

Opowiadania

Sheckley Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SHECKLEY

OPOWIADANIA

W trzech częściach

Oaxe II była małą nudną, zacofaną planetą w pobliżu Oriona. Jej mieszkańcy pochodzili od Ziemi i nadal przestrzegali obowiązujących na Zielni obyczajów. Sędzia Abner Low był jedynym źródłem prawa na tej małej planecie. Większość spraw, jakie do niego trafiały, dotyczyła granic posiadłości lub własności świń i gęsi, obywatele Oaxe II mieli bowiem mało zamiłowania do przestępstw.

Ale pewnego dnia wylądował tu statek kosmiczny, który przywiózł recydywistę Timothy'ego Monta i jego adwokata. Przybyli na Oaxe II szukając schronienia i sprawiedliwości. A kolejnym statkiem przylecieli trzej policjanci oraz oskarżyciel publiczny.

- Wysoki Sądzie - oświadczył prokurator - ten szatan wcielony popełnił potworną zbrodnię.

Timothy Mont, proszę Wysokiego Sadu, spalił sierociniec! Co więcej, zanim uciekł, przyznał się do winy. Mam tu jego zeznanie, podpisane własnoręcznie.

Na to wstał adwokat Monta, blady mężczyzna o zimnych, rybich oczach.

- Domagam się uchylecia wyroku.

- Wykluczone - odparł sędzia Low. - Spalenie sierocińca to okropne przestępstwo.

- To prawda - zgodził się adwokat. - W większości przypadków. Ale mój klient popełnił ten czyn na planecie Altira III. Czy Wysoki Sąd orientuje się w panujących tam zwyczajach?

- Nie - przyznał sędzia.

- Na Altirze III - informował adwokat wszystkie sieroty uczy się sztuki zabijania w celu redukcji populacji sąsiednich planet. Spalając sierociniec mój klient uratował tysiące, może nawet miliony niewinnych istot. Dlatego powinien zostać uznany za bohatera narodowego.

- Czy to, co powiedziano tu o Altirze III, jest prawdą? - spytał sędzia urzędnika sądowego.

Urzędnik sprawdził w Encyklopedii Zwyczajów i Folkloru Planet i potwierdził, że to istotnie

prawda. - W takim razie oddalam sprawę - oświadczył sędzia.

Mont i jego adwokat wyszli, a na Oaxe II życie toczyło się leniwie dalej, zakłócanie tylko od czasu do czasu procesami o miedzę albo własność świń lub gęsi. Nic minął jednak rok, a Timothy Mont i jego adwokat - znaleźli się wsadzie ponownie, wraz z depczącym im po piętach prokuratorem.

. Sprawa i tym razem dotyczyła spalenia sierocińca.

- Choć mój klient nie wypiera się zarzucanego mu czynu - podkreślił znacząco blady adwokat Wysoki Sąd musi wzuć pod uwagę, że sierociniec, o którym tu mowa, znajdował się na planecie Deegra IV. Jak dobrze wiadomo, wszystkie sieroty na Deegrze IV są przyjmowane do cechu oprawców po to, by sprawować pewne obrzędy, które budzą wstręt w całej cywilizowanej galaktyce.

Stwierdziwszy, - że przytoczone przez adwokata fakty są prawdziwe, sędzia Low ponownie oddalił sprawę.

Po piętnastu miesiącach Timothy Mont i jego adwokat zostali ponownie wezwani do stawienia się przed sądem, w identycznej jak poprzednie sprawie.

- No, no - stwierdził sędzia Low - Co za reformatorskie zapędy... Gdzie popełniono przestępstwo tym razem?

- Na Ziemi - odparł oskarżyciel.

- Na Ziemi? - zdziwił się sędzia.

- Obawiam się, że to prawda - potwierdził smutno adwokat. - Mój klient jest winny.

- A jakież to powód mógł mieć tym razem?

- Czasowa niepoczytalność - odparł natychmiast adwokat. - I mam dwunastu psychiatrów, którzy mogą to potwierdzić. Dlatego domagam się kary w zawieszeniu, zgodnie z prawem obowiązującym w takim przypadku.

Sędzia spurpurowiał z gniewu.

- Timothy Mont, pytam, dlaczego to zrobiłeś?

- Ponieważ lubię podpalać sierocińce! oświadczył Mont, nim adwokat zdążył go powstrzymać.

Tego dnia sędzia Low ustanowił nowe prawo, z którym zapoznano się w całej cywilizowanej galaktyce i które studiowano w tak różnych od siebie miejscach, jak Droma II Aos X. Prawo Lowa stanowi, iż adwokat oskarżonego powinien odbywać tę samą karę, na jaką zostaje skazany jego klient.

Wiele osób uważa, że to jest niesprawiedliwe, ale częstotliwość pojawiania się adwokatów na Oaxe II znacząco zmalała.

Edmond Dritche, wysoki zgorzkniały naukowiec o bladożółtej cerze został pozwany do sądu przez General Products Corporation pod zarzutem pesymizmu, braku lojalności grupowej i negatywnego nastawienia. Były to poważne oskarżenia, a na dodatek zostały udokumentowane przez kolegów Dritche'a. Sędzia nie miał innego wyjścia - musiał karnie usunąć Dritche'a z pracy.

Od zasądzonej zazwyczaj w takich wypadkach kary więzienia odstąpiono, uwzględniając jako okoliczność łagodzącą dziewiętnaście lat wzorowo przepracowanych przez oskarżonego w General Products; ale i tak żadna korporacja nie chciała go zatrudnić.

Dritche, jeszcze bardziej bladożółty i zgorzkniały niż przedtem, obraził się na General Products, i jej nie kończący się strumień samochodów, tosterów, lodówek, telewizorów i tym podobnych urządzeń. Przeniósł się na swoją farmę w Pensylwanii, gdzie zaczął prowadzić doświadczenia w urządzonym w piwnicy laboratorium.

Miał serdecznie dość General Products i tego, co ta korporacja reprezentowała, to znaczy praktycznie wszystkiego. Chciał założyć kolonię ludzi, którzy myśleli tak jak on, czuli to, co on i wyglądali tak jak on. Jego kolonia byłaby utopią i niech diabli wezmą całą resztę tego radosnego, ogłupiałego na punkcie różnych urządzeń technicznych świata.

Istniała na to tylko jedna metoda. Dritche, przy pomocy swojej żony Anny, trudził się dzień i noc nad swoim wielkim projektem.

W końcu odniósł sukces. Wyregulował skonstruowane przez siebie urządzenie i nacisnął guzik. Z maszyny wyszedł doskonały duplikat Edmonda Dritche'a.

Tak oto Dritche wynalazł pierwszy na świecie duplikator.

Wyprodukował pięciuset Dritche'ów, a potem zwołał walne zebranie polityczne. Pięciuset uczestników jednogłośnie uznało, że aby zadanie stworzenia kolonii się powiodło, potrzebne są im żony.

Dritche 1 uważał swoją Annę za doskonałą partnerkę. Pięćset duplikatów naturalnie zgodziło się z nim. Dritche wyprodukował więc pięćset doskonałych kopii Anny dla pięciuset prototypowych Dritche'ów i w ten sposób powstała kolonia.

Wbrew powszechnym przewidywaniom początkowo funkcjonowała doskonale. Dritche'owie dobrze się czuli we własnym gronie, nigdy nie dochodziło między nimi do kłótni i nie przepadali za gośćmi. Tworzyli swój własny, zadowolony z siebie mały światek. Indie wysłały do nich delegację, która miała zapoznać się z ich metodą, a Dania uchwaliła ustawę gwarantującą prawa duplikatom. Ale, tak jak i przy innych próbach realizacji utopii, ziarno klęski tkwiło po prostu w ułomności natury człowieka. Najpierw Dritche 49 został przyłapany in flagranti z panią Dritche 5. Następnie Dritche 37 niespodziewanie i namiętnie zakochał się w Annie 142. To z kolei doprowadziło do wykrycia tajnego gniazdka miłości, urządzonego przez Dritche'a 10 dla Anny 498, przy współudziale Anny 3.

Na próżno Dritche 1 przekonywał, że wszyscy są sobie równi i identyczni. Pomieszane pary oświadczyły mu, że nie ma pojęcia, co to jest miłość, i stanowczo odmówiły rezygnacji z nowych związków.

Mimo to kolonia mogłaby istnieć nadal. Okazało się jednak, Dritche 77 miał harem, w którym

znalazło się osiem kobiet Dritche - Anny 12, 13, 77, 187, 303, 336, 489 oraz 500. Wszystkie zgodnie twierdziły, że ten właśnie Dritche jest absolutnie wyjątkowy, i odmówiły opuszczenia go. Koniec stał się już wówczas łatwy do przewidzenia. Przyspieszyła go jeszcze ucieczka żony Dritche'a 1 z reporterem.

Wtedy kolonia się rozpadła, a Dritche'owie 1, 19, 32 i 433 umarli z powodu złamanego serca. Może zresztą dobrze się stało. Z całą pewnością oryginalny Dritche nie przeżyłby szoku, jakiego musiałby doznać z powodu zastosowania jego utopijnego duplikatora przez General Products do wprowadzenia na rynek nie kończącego się strumienia samochodów, tosterów, lodówek i tym podobnych urządzeń.

Profesor Bolton, znany filozof, opuścił Ziemię, udając się na Uniwersytet Marsjański w celu wygłoszenia tam cyklu wykładów. Zabrał ze sobą zaufanego robota - kamerdynera Akka, zmianę bielizny i cztery kilogramy notatek. Prócz załogi profesor był na statku jedynym ludzkim pasażerem.

Gdzieś w pobliżu Punktu, z Którego Nie Ma Powrotu, statek zaczął wysyłać wołanie o pomoc: DYSZE USZKODZONE. STATEK NIESTEROWNY.

Obywatele Ziemi i Marsa z niepokojem oczekiwali na rozwój wypadków. Kolejna wiadomość ze statku brzmiała: CAŁA ZAŁOGA ZGINEŁA W SKUTEK KOLIZJI STATKU W PASIE ASTEROIDÓW POMÓŻCIE BOLTON.

Statki ratownicze pognały na zasłany asteroidami obszar pomiędzy Marsem a Jupiterem. Miały mgliste pojęcie, gdzie szukać, dzięki ostatniej wiadomości od Boltona; przestrzeń, którą należało spenetrować, była jednak ogromna, a szansa uratowania profesora bardzo mała.

Trzy dni później otrzymano następującą wiadomość: NIE DAM RADY WYTRWAĆ DŁUGO NA ASTEROIDZIE SPOKOJNIE Z GODNOŚCIĄ OCZEKUJĘ ŚMIERCI BOLTON.

Gazety pisały o nieugiętym duchu tego człowieka, współczesnego Robinsona Crusoe walczącego

o życie na pozbawionej powietrza, żywności i wody planetce, - z kurczącymi się zapasami, gotowego - tak jak to pisał wcześniej w swoich książkach i głosił w wykładach - przyjąć śmierć spokojnie i z godnością.

Poszukiwania były coraz intensywniejsze. Ostatnia wiadomość brzmiała: WSZYSTKIE ZAPASY ZUŻYŁEM OCZEKUJIY NA ŚMIERĆ Z UŚMIECHEM NA USTACH BOLTON.

Trafiwszy na ślad dzięki temu sygnałowi, łódź patrolowa zlokalizowała asteroid i wylądowała obok rozbitego statku. Odnaleziono zwęglone zwłoki załogi, a także - nie naruszone zapasy żywności, wody i tlenu. Ale, ku zdumieniu poszukujących, nie było ani śladu Boltona.

W kąci w tyle statku odnaleziono robota Boltona.

- Profesor nie żyje - poinformował robot, z trudem poruszając zardzewiałymi szczękami.

Wysłałem ostatnią wiadomość w jego imieniu wiedząc, że nie przybylibyście na ratunek, gdyby chodziło tylko o mnie.

- A jak zginął Bolton?

- Z największym żalem musiałem go zabić odparł ponuro robot. - Zapewniam was jednak, że jego śmierć była bezbolesna.

- Ale dlaczego go zabiłeś? I gdzie jest ciało? Robot usiłował odpowiedzieć, ale zardzewiałe szczęki odmówiły posłuszeństwa. Dopiero wtrysnięcie porcji smaru przywróciło mu sprawność.

- Oliwienie - stwierdził Akka - to najpoważniejszy problem robotów. Panowie, czy rozważaliście kiedyś, jak trudno jest wytopić z ciała człowieka tłuszcz i smary, jeśli nie ma się odpowiednich do tego urządzeń'?

Ratownicy słuchali słów Akki z rosnącym przerażeniem. Historia ta została, oczywiście, utajniona. Usłyszał ją jednak robot znajdujący się na łodzi ratowniczej i opowiedział innemu robotowi, a ten z kolei przekazał ją dalej.

Ale dopiero teraz, po zwycięskiej rewolucji uciemionych robotów ta natchniona historia walki

robota o przetrwanie w przestrzeni kosmicznej może być otwarcie głoszona. Wiwat Akka, nasz wyzwoliciel!

przekład : Anna Minczewska - Przeczek

Agencja uwalniania od kłopotów

Żaden interesant - naturalnie z wyjątkiem osób wysoko postawionych - nie mógł ominąć sekretariatu, gdyż M. Ferguson przyjmował jedynie po uprzednim umówieniu wizyty. Jego czas liczył się na wagę złota i musiał go chronić.

Jednakże miss Dale, jego sekretarka, była osobą młodą i łatwo było jej zaimponować. A interesant był mężczyzną w wieku budzącym uszanowanie. Ubrany w garnitur z angielskiego tweedu o kroju bardzo konserwatywnym, używał laski o złotej gałce i wytwornych wizytówek.

Miss Dale, sądząc, że musi to być ktoś ważny, skierowała go do biura M. Fergusona.

- Dzień dobry, drogi panie - powiedział interesant, skoro tylko miss Dale zamknęła za nim drzwi.

- Pozwoli pan, że się przedstawię: Esmond z Agencji Uwalniania od Kłopotów.

Wręczył Fergusonowi swą kartę.

- Hm, hm! - mruknął Ferguson, niezadowolony z niedopatrzenia swej sekretarki. - Z Agencji

Uwalniania od Kłopotów. Esmond, powiada pan? Przykro mi, ale nie mam w tej chwili żadnych kłopotów, od których pragnąłbym się uwolnić.

Wstał, żeby uciąć rozmowę.

- Absolutnie żadnych, jest pan tego pewien? - nastawał pan Esmond.

- Absolutnie. Dziękuję, że mnie pan odwiedził...

- Czy mam przez to rozumieć, że pod żadnym względem nie uskarża się pan na ludzi, którzy pana otaczają?

- He? A cóż to pana obchodzi?

- Ależ panie Ferguson, to bezpośrednio obchodzi Agencję Uwalniania od Kłopotów.

- Kpi pan sobie ze mnie?

- Bynajmniej - odparł Esmond z lekkim zdziwieniem. - Chce pan może powiedzieć - rzekł

Ferguson ze śmiechem - że wy "załatwiacie" ludzi?

- Naturalnie. Niestety, nie mogę panu okazać żadnych referencji, gdyż staramy się unikać wszelkiej reklamy. Ale mogę pana zapewnić, że nasza firma jest stara i szanowana.

Ferguson obserwował niskiego, schludnego i wypielęgnowanego mężczyznę. Jakie ma wobec niego zajęcie? To był z pewnością jakiś żart. Jasne jak słońce. To musiał być żart.

- A co robicie z ludźmi, których... zabieracie? - spytał jowialnym tonem.

- To już nasza sprawa - odparł Esmond. - Dla klienta oni znikają.

Ferguson wstał.

- Świetnie, panie Esmond. Zechce mi pan teraz powiedzieć, po co pan tu przyszedł?

- Właśnie panu to mówię.

- Ależ, panie. Nie biorę tego poważnie. Gdybym panu wierzył choć przez chwilę, powinienem był wezwać policję... Esmond wstał i westchnął.

- A zatem dochodzę do wniosku, że nie pragnie pan skorzystać z naszych usług. Nie uskarża się pan ani na przyjaciół, ani na rodziców, ani na żonę.

- Na żonę? A cóż pan wie o mojej żonie?

- Nic a nic, panie Ferguson.

- Rozmawiał pan z naszymi sąsiadami? Z takich rozmów nic nie wynika, absolutnie nic.

- Panie Ferguson, nie mam pojęcia o pańskim pożyciu małżeńskim - zapewnił Esmond i usiadł z powrotem.

- Więc dlaczego mówił pan o mojej żonie?

- Wiemy z doświadczenia, że instytucja małżeńska jest głównym źródłem naszych dochodów.

- A więc nasze małżeństwo jest zupełnie zgodne. Rozumiemy się z moją żoną doskonale.

- Czyli że nie potrzebuje pan usług Agencji Uwalniania od Kłopotów - zakończył Esmond biorąc łaskę.

- Proszę chwilę zaczekać. - Ferguson przechadzał się po biurze, z rękami założonymi do tyłu. - Pan wie, że nie wierzę ani jednemu pańskiemu słowu. Ani jednemu. Ale przypuśćmy na chwilę, że mówi pan poważnie... Tak, przypuśćmy... Jaka byłaby... procedura... gdybym... gdybym zażądał...

- Żadna, poza pańskim ustnym zezwoleniem.

- A rachunek?

- Płatny na końcu. Nie żądamy żadnej zaliczki.

- Pytam o to tak... tak z ciekawości - żywo dodał Ferguson. Zawahał się. - Czy to bolesne?

- Ani odrobinę. Ferguson znów zaczął spacerować po pokoju.

- Moja żona i ja rozumiemy się bardzo dobrze powiedział. - Jesteśmy małżeństwem już od siedemnastu lat. Naturalnie nie można się dziwić pewnym tarciom w ciągu tak długiego pożycia. Dziwne byłoby, gdyby było inaczej. Twarz Esmonda pozostała zupełnie obojętna.

- Człowiek uczy się z czasem iść na ustępstwa - ciągnął Ferguson. - Ale ja doszedłem do wieku, w którym kaprysy mnie... mnie...

- Rozumiem doskonale - rzekł Esmond.

- Chcę powiedzieć - podjął Ferguson - że moja żona bywa czasami trudna we współżyciu. Z pewnością. Jest agresywna... Uparta... Przypuszczam, że musiano panu o tym opowiadać?

- Absolutnie nie.

- Na pewno panu o tym mówiono! Musiał być przecież jakiś szczególny powód, że pan do mnie przyszedł! Esmond uniósł ramiona.

- Jakkolwiek by było - rzekł Ferguson - doszedłem do wieku, w którym można marzyć o innym ułożeniu sobie życia. Przypuśćmy, że nie byłbym żonaty. Przypuśćmy, że chciałbym się związać - powiedzmy - z moją sekretarką. To mogłoby być miłe.

- Co najmniej miłe - poprawił Esmond.

- Właśnie. Nie byłoby zresztą trwałe. Brakowałoby temu solidnej podstawy moralnej, na której musi się budować każde przedsięwzięcie, jeżeli ma być przedsięwzięciem udanym.

- Byłoby to tylko czymś bardzo miłym - powtórzył Esmond.

- Właśnie. Miss Dale jest uroczą młodą kobietą. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Ma równe usposobienie, przyjemną naturę, jest wesoła. Przyznaję to...

Esmond uśmiechnął się uprzejmie, wstał i skierował się ku drzwiom.

- Jak mógłbym pana odnaleźć? - spytał nagle Ferguson. - Ma pan moją kartę. Do piątej zastanie mnie pan pod tym numerem. Może do tego czasu postara się pan zdecydować. Nasz czas jest cenny i musimy przestrzegać jego rozkładu.

- To zrozumiałe. - Ferguson uśmiechnął się z lekka. - Nie wierzę w ani jedno słowo z całej tej historii. Nie powiedział mi pan nawet, jakie są wasze warunki.

- Przystępne, zapewniam pana. Zwłaszcza dla człowieka na pańskim stanowisku.

- I mógłbym twierdzić, że nigdy pana nie znałem, nigdy z panem nie rozmawiałem i tak dalej?

- Naturalnie.

- I zastanę pana pod tym numerem?

- Do piątej. Do widzenia, panie Ferguson.

Ferguson zauważył, że drżą mu ręce. Rozmowa z Esmondem była męcząca. Musiał natychmiast zebrać myśli.

Ale to nie było łatwe. Nachylał się nad papierami, zmuszał się do pisania, lecz słowo po słowie przypominał sobie to, o czym mówił Esmond.

Agencja Uwalniania od Kłopotów musiała słyszeć o drobnych wadach jego żony. Esmond mówił przecież, że była agresywna, kłótniwa, uparta. Ferguson mógł tylko uznać dokładność tych twierdzeń, jakkolwiek byłyby niemiłe. Nawet bezstronny obserwator by to zauważył.

Powrócił do pracy. Ale zaraz weszła miss Dale z pocztą do podpisu i Ferguson raz jeszcze zauważył, że była naprawdę czarująca.

- To wszystko, panie Ferguson?

- Uhm! Tak, tak, na razie nie jest mi pani już potrzebna. Jeszcze długo po jej wyjściu wpatrywał się w drzwi.

Nie mógł dłużej pracować w tych warunkach. Postanowił natychmiast wrócić do domu.

- Miss Dale - powiedział, wkładając płaszcz. - Muszę teraz wyjść. Ale jest dużo zaległej pracy.

Czy mogłaby pani w tym tygodniu zostać tutaj ze mną przez jeden lub dwa wieczory?

- Naturalnie, panie Ferguson.

- Mam nadzieję, że nie zakłóci to pani prywatnego życia.

- Ależ bynajmniej, proszę pana.

- Spróbujemy... Spróbujemy jakoś to pani wynagrodzić... Do jutra!

Wybiegł z biura z wypiekami na twarzy. Gdy wrócił do domu, żona nakrywała do stołu. Pani

Ferguson była małą, niepozorną kobietką o oczach otoczonych tysiącem zmarszczek. Zdziwiła się na jego widok.

- Już wróciłeś! - powiedziała.

- Czy to ci nie odpowiada? - spytał opryskliwie, co dla niego samego było zdumiewające.

- Skądże...

- Wolałabyś może, żebym umarł przy pracy...?

- Ależ ja przecież nic nie powiedziałam...

- Zrób mi tę przyjemność i nie kłóć się ze mną. Choć ten jeden raz nie bądź uparta.

- Nie jestem uparta! - krzyknęła.

- Pójdę się trochę położyć. Wszedł do swego pokoju i znalazł się twarzą w twarz z telefonem. Nie było wątpliwości. Wszystko, o czym mówił Esmond, to prawda.

Spojrzał na zegarek i zdziwił się: już za kwadrans piąta. Zaczął spacerować wokół telefonu.

Oglądał wizytówkę Esmonda i nie opuszczała go wizja ślicznej i uroczej miss Dale.

Ujął słuchawkę.

- Agencja Uwalniania od Kłopotów. Esmond przy aparacie.

- Tu mówi Ferguson.

- Tak, proszę pana, co pan postanowił?

- Ja właśnie...

Ferguson kurczowo ścisnął słuchawkę. Z pewnością miał prawo tak postąpić. Ale przecież już od siedemnastu lat byli małżeństwem. Siedemnaście lat! Spędzili przecież razem także wiele pięknych chwil. Czy mógł?

- Cóż pan postanowił, panie Ferguson? - powtórzył Esmond.

- Ja... ja... nie! Nie potrzebuję waszych usług! krzyknął Ferguson.

- Czy jest pan tego pewien?

- Kategorycznie! Takich jak wy powinno się wtrącać do więzienia. Żegnam! - Powiesił słuchawkę i natychmiast poczuł się wolny od wielkiego ciężaru. Zszedł na dół.

Żona stawiała na stół baranie kotlety, potrawę, której nie znosił. Ale cóż to miało za znaczenie.

Łatwo było mu nie zwracać uwagi na te drobne przykrości.

Zadzwonił dzwonek.

- To pewnie ktoś z pralni - powiedziała pani Ferguson, równocześnie przyprawiając sałatę. -

Może otworzysz?

- Oczywiście, natychmiast.

Ferguson promieniejąc odzyskaną szlachetnością, pobiegł do drzwi.

Stało tam dwóch ludzi w mundurach, dźwigających wielki płócienny worek.

- Z pralni? - spytał Ferguson.

- Agencja Uwalniania od Kłopotów, proszę pana - odparł jeden z nich.

- Ależ ja właśnie powiedziałem, że...

Dwaj mężczyźni rzucili się na niego i ze zręcznością, na jaką pozwala długi trening, wcisnęli go do worka.

- Nie macie prawa!!! Wy... - wrzeszczał Ferguson. Uczuł, że worek zawiązano i wyniesiono go na ulicę. Drzwi samochodu były otwarte. Położono go na tylnym siedzeniu.

Rozpoznał głos swojej żony:

- Wszystko poszło dobrze?

- Tak jest, proszę pani. Zmienił się nam trochę rozkład zajęć i mogliśmy to dla pani załatwić jeszcze dziś.

- Dziękuję panom - odparła. - Było mi bardzo miło rozmawiać dziś po południu z panem Frenchem z waszej Agencji. Ale teraz muszę panów przeprosić. Obiad już prawie gotowy, a muszę jeszcze zatelefonować.

przekład : TOP

Ponad dziesięć, czyli Akademia

Sanimetr Cahil-Thomasa, seria I M-14 (model ręczny)

Spółka C-T ma zaszczyt przedstawić swój ostatni wzór sanimetru. Aparat ten, całkowicie obudowany, nadaje się do każdego pomieszczenia: sypialni, kuchni, przedpokoju. Jest to, we wszystkich szczegółach, odpowiednik naszego sanimetru wielkiego formatu, stosowanego w miejscach publicznych, autobusach, supermarketach itd. Jest to najtańszy i najdoskonalszy sanimetr, jaki dotąd wyprodukowaliśmy.

1. Działanie.

Po prawej stronie sanimetru znajduje się gałka. Należy nastawić ją na pozycję A i czekać kilka sekund, by aparat się nagrzał; następnie przesunąć na pozycję B - aparat zaczyna działać. Zaczekać,

odczytać wyniki.

2. Odczytanie.

Na przodzie sanimetru, pod przezroczystym ekranem znajduje się linia prosta, oznaczona skala od 0 do 10. Liczba, na której zatrzyma się czarna wskazówka, oznacza zgodnie z obowiązującymi normami stopień twego nastawienia psychicznego.

3. Objasnienie wyniku od 0 do 3.

Jak na kazdym sanimetrze, takze i tu 0 oznacza punkt idealny. Znaczenie zera jest jednak raczej teoretyczne niz praktyczne. Dlatego w naszej cywilizacji normalnosc rozciaga sie od 0 do 3.

Wahania na tym odcinku uwazane sa za normalne.

4. Objasnienie wyniku od 4 do 7.

Cyfry te okreslaja strefe tolerancji. Osoby, ktore osiagnely wynik w tym przedziale, winny natychmiast zwrócic sie do psychoterapeuty.

5. Objasnienie wyniku od 8 do 10.

Kazdy osobnik osiagajacy ten wynik przedstawia powazne niebezpieczenstwo dla otoczenia.

Osobnik taki bezwzgleinnie podlega ustawie nakazujacej zgloszenie swego wskaznika i (podczas okresu zapobiegawczego) doprowadzenie go do poziomu 7. W razie niepowodzenia jednostka taka winna zwrócic sie do Przeistoczenia Chirurgicznego lub dobrowolnie poddac sie terapeutom Akademii.

6. Objasnienie wyniku 10.

Na wysokosci liczby 10 znajduje sie czerwona kreska. Gdy jest przekroczona, nalezy natychmiast poddac sie Przeistoczeniu Chirurgicznemu lub terapeutom z Akademii.

Uwaga! Aparat nie stawia diagnozy, nie Nalezy samemu wybierac terapii. Skala intensywnosci dotyczy tylko potencjalu niebezpieczenstwa, jaka stanowi dany osobnik dla otoczenia. W sprawie dodatkowych informacji nalezy zwrócic sie do swego psychoterapeuty.

Właściwe nastawienie psychiczne jest sprawą społeczną. Nasza cywilizacja opiera się na zdrowiu społeczeństwa, jednostkowej odpowiedzialności oraz zabezpieczeniu status quo.

Zatem jeśli twój wynik przekracza cyfrę 3 - poddaj się leczeniu. Jeśli twój wynik przekracza 7 - musisz się leczyć. Jeśli twój wynik wynosi ponad 10 - nie czekaj, aż cię zaaresztują, poddaj się dobrowolnie w imię naszej cywilizacji.

Powodzenia SPÓŁKA C-T

Skończywszy śniadanie pan Feerman stwierdził, że powinien natychmiast udać się do pracy.

Biorąc pod uwagę okoliczności, niepunktualność z jego strony mogła być interpretowana niekorzystnie.

Włożył więc elegancki szary kapelusz, poprawił krawat i skierował się w stronę drzwi. Ale już trzymając rękę na klamce rozmyślił się i postanowił zaczekać na pocztę.

Niezadowolony z siebie odwrócił się od drzwi i zaczął krążyć po pokoju. Doskonale wiedział, że nie powinien czekać na pocztę. Po co ten fałszywy pretekst? Czy nie mógł być szczery z samym sobą, szczególnie teraz, gdy ta szczerłość była tak potrzebna?

Speed, jego czarny spaniel, popatrzył na niego z zaciekawieniem.

Feerman pogłaskał psa po głowie. Chciał zapalić papierosa., ale zmienił zamiar. Znowu pogłaskał psa, który przeciągnął się leniwie. Potem naprawił lampę, którą należało naprawić. Wstrząsany dreszczami, zaczął się przechadzać.

Musiał z niechęcią przyznać, że nie chce opuścić mieszkania, że jest przerażony na samą myśl o tym, choć nie może znaleźć żadnego pretekstu. Usiłował przekonać siebie, że dziś jest zwykły dzień, jak wczoraj i przedwczoraj. Wystarczyło w to uwierzyć, naprawdę uwierzyć, by nic mu się nie przydarzyło.

Zresztą dlaczego miało mu się coś przydarzyć? Dzisiaj? Jego okres prewencyjny jeszcze się nie skończył. Wydawało mu się, że słyszy hałas, podbiegł i otworzył drzwi; mylił się, to jeszcze nie

była poczta. Z drugiej strony hallu właścicielka także wyjrzała ze swego pokoju i rzuciła nieprzyjazne spojrzenie.

Zamykając drzwi spostrzegł, jak mu drżą ręce. Zdecydował się spojrzeć na sanimetr. Wszedł do sypialni, ale był tam domowy robot, zajęty zamiataniem śmieci na środku pokoju. Łóżko Feermana było już zasłane, łóżka jego żony nie trzeba było ścielić, gdyż od przeszło tygodnia nie było zajęte.

- Czy mam wyjść, proszę pana?

Feerman zawahał się chwilę. Wolał być sam uruchamiając sanimetr. No cóż, domowy robot nie był osobą w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie miał osobowości, lecz tylko coś, co było do niej podobne. Zresztą jego obecność nie miała znaczenia, skoro wszystkie roboty zaopatrzone w sanimetry. Tego wymagały przepisy.

- Jak chcesz - odparł wreszcie Feerman.

Robot domowy wchłonął kupkę śmieci i bezgłośnie opuścił pokój. Feerman zbliżył się do sanimetru i włączył go. Ponury obserwował igłę, która mijała dwójkę, trójkę, szóstkę i siódmkę, by ostatecznie zatrzymać się na drugiej kresce za ósemką.

O dziesiątą część więcej niż wczoraj - o jedną dziesiątą bliżej do czerwonej linii. Wyłączył aparat i zapalił papierosa. Bez pośpiechu opuścił sypialnię, przygarbiony zmęczeniem, jakby dzień właśnie się skończył.

- Poczta, proszę pana - powiedział robot domowy sunąc w jego stronę.

Feerman łapczywie chwycił paczkę listów i szybko je przejrzał.

- Nie napisała - wyrwało mu się.

- Bardzo mi przykro - powiedział robot.

- Bardzo ci przykro? - Feerman spojrział z ciekawością na maszynę. - Dlaczego?

- Interesuję się pańskim samopoczuciem - wyjaśnił robot. - Zupełnie jak Speed, oczywiście zachowując proporcje. List od pani Feerman poprawiłby pański nastrój. Żałujemy, że nie napisała.

Speed szczerzył cicho i przekrzywił łeb.

Sympatia maszyny i litość zwierzęcia - pomyślał Feerman. Był im jednak wdzięczny.

- Nie mogę mieć do niej żalu - powiedział. - Nie mogłem żądać, by ze mną została.

Czekał w nadziei, że robot powie, iż ona wróci, że wszystko się ułoży. Ale robot milczał, Speed też.

Feerman znowu przejrzał pocztę: było tam kilka rachunków, prospekt i mały sztywny list. Adres na odwrocie był adresem Akademii. Feerman otworzył go szybko. Była to kartka ze słowami:

Drogi panie Feerman, pańskie podanie o przyjęcie zostało rozpatrzone pozytywnie. Będziemy szczęśliwi przyjmując pana w obojętnym terminie. Łączymy wyrazy szacunku. Dyrekcja.

Feerman zerknął na kartkę. Nigdy nie pisał podania o przyjęcie do Akademii. Była to ostatnia rzecz na świecie, którą chciałby zrobić.

Feerman obracał kartkę w ręce. Wiedział o istnieniu Akademii. Trudno było o niej nie słyszeć, skoro tę obecność odczuwało się w każdej chwili. Ale w gruncie rzeczy niewiele wiedział o tej ważnej instytucji. Zastanawiająco mało...

- Co to jest Akademia? - zapytał.

- Wielki szary gmach na południowym zachodzie miasta łatwo dostępny środkami miejskiej komunikacji odrzekł robot.

- Ale co to jest?

- Publiczny ośrodek terapii dostępny każdemu na zwykłą prośbę pisemną lub ustną - powiedział robot. - Jednocześnie Akademia jest rozwiązaniem dostępnym dla tych, których stan dochodzi do czerwonej kreski i którzy pragną uniknąć interwencji chirurgicznych.

Feermanowi wyrwało się pełne zniecierpliwienia westchnienie.

- To wszystko wiem. Ale jakie są ich metody? Jakiego rodzaju terapii używają?

- Nie wiem, proszę pana.

- Jaki jest procent wyzdrowień?

- Sto procent, proszę pana - rzekł żywo robot. Feerman przypomniał sobie nagle coś, co wydało mu się dziwne.

- Nikt nigdy nie wychodzi z Akademii, prawda? - Nigdy nie sygnalizowano, że ktoś z niej wyszedł. - Dlaczego?

- Nie wiem, proszę pana.

Feerman zgniótł kartkę i rzucił ją do popielniczki. Wszystko to było dziwne. Akademia była tak znana, że nikt o niej nie myślał. Dla niego to zawsze było miejsce tajemnicze, dalekie, nierealne. Należało się tam udać przekroczywszy czerwoną linię, jeśli nie chciało się przejść lobotomii, topektotomii i tego wszystkiego, co oznaczało zniszczenie osobowości.

Ale oczywiście nikt nie brał pod uwagę możliwości przekroczenia dziesiątki. Już sam fakt myślenia o tym stanowiłby dowód zachwiania równowagi. A w tym przypadku jednostka nie była już zdolna rozpatrzeć alternatywy, która stawała przed nią.

Po raz pierwszy w życiu Feerman musiał przyznać, że niezbyt mu się to wszystko podoba.

Należy przedsięwziąć pewne poszukiwania. Dlaczego nikt nigdy nie wychodzi z Akademii?

Dlaczego nic nie wiadomo o jej metodach, jeśli leczenie zapewnia sto procent wyzdrowień?

- Może powinienem pójść do pracy - powiedział.

- Tak, proszę pana. Życzę powodzenia.

Speed zeskoczył z kanapy i odprowadził go do drzwi. Feerman schylił się, pogłaskał jego łeb.

Potem przeszedł szybko przez lożę dozorczyń i znalazł się na Sto Trzydziestej Ósmej Ulicy.

Miał prawie dwadzieścia minut spóźnienia. Wchodząc do gmachu, zapomniał pokazać świadectwo zdrowia kontrolującej maszynie.

Olbrzymi sanimetr zarejestrował jego stan. Igła przekroczyła cyfrę siedem i zapaliły się czerwone światełka.

- Proszę pana, proszę pana! - ryknął głośnik. Przekroczył pan linię alarmową. Proszony jest pan o natychmiastowe skontaktowanie się z psychoterapią.

Feerman szybko wyciągnął zaświadczenie z portfela, ale niezycziwa maszyna ryczała dalej. W hallu ludzie przyglądali mu się niby dziwnemu zwierzęciu. Gońcy przystanęli zadowoleni z rozrywki, sekretarki zaczęły szeptać, a dwaj agenci policji sanitarnej wymienili znaczące spojrzenia.

Zmoczona potem koszula Feermana lepiła się do pleców. Oparł się chęci wybiegnięcia na ulicę i udało mu się skierować do windy. Była pełna i nie mógł wejść.

Doszedł piechotą na drugie piętro i dopiero tam wsiadł do windy. Znalazłszy się przed agencją Morgana, odzyskał spokój. Podał swój dowód sanimetrowi, który stał u drzwi, wytarł chustką czoło i wszedł.

Wszyscy w agencji wiedzieli już, co się zdarzyło. Feerman spostrzegł to po ich milczeniu, spuszczonej głowach. Szybko wszedł do swego gabinetu, zamknął drzwi i powiesił kapelusz.

Usiadł za biurkiem, trochę zadyszany i pełen nienawiści do sanimetrów. Chciałby roztrzaskać w kawałki wszystkie te piekielne maszyny! Wciąż czyhające, raniące uszy rykami dzwonek, by jeszcze bardziej zdenerwować...

Zapalił papierosa, po czym nakręcił numer Informacji Terapeutycznych.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał miły głos kobiety.

- Chciałbym się dowiedzieć czegoś o Akademii.

- Akademia znajduje się...

- Wiem, gdzie się znajduje Akademia. Chcę wiedzieć, jakie metody stosuje.

- Nie podajemy tego rodzaju wiadomości - po krótkiej pauzie rzekła młoda kobieta.

- Ach...! Myślałem, że wszystkie terapie odpłatne są jawne dla potencjalnych pacjentów.

- Teoretycznie tak - odrzekła młoda kobieta. - Ale Akademia nie oferuje terapii odpłatnej w

ścisłym sensie tego słowa. Leczenie wprawdzie kosztuje, ale biednych przyjmuje się darmo. Jest to instytucja częściowo subwencionowana. Znajduje się w pewnej mierze poza prawem. Ten szczególnie nieco status zdobyła dzięki stuprocentowym sukcesom, jakie uzyskuje.

- Gdzie mogę obejrzeć jakieś przypadki? Jeśli dobrze zrozumiałem, nikt nie wraca z Akademii.

Nareszcie ją mam - pomyślał. Przecież będzie musiała odpowiedzieć. Usłyszał szept z drugiej strony drutu. Nagle dosłyszał męski głos, wyraźny i silny:

- Przy aparacie naczelnik wydziału. Są jakieś trudności? Słyszając ten ostry głos mężczyzny

Feerman omal nie wypuścił słuchawki. Uczucie triumfu ulotniło się nagle. Wolałby nigdy nie dzwonić. Ale zmusił się do dalszej rozmowy.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o Akademii.

- Akademia znajduje się...

- Nie, proszę o konkretne informacje - nalegał Feerman zrozpaczonym tonem.

- Na co są panu potrzebne? - zapytał naczelnik wydziału, a jego głos stał się nagle słodki i hipnotyzujący, jak głos psychoterapeuty.

- Pytam z ciekawości - odrzekł żywo Feerman. Ponieważ Akademia ofiaruje terapię dostępną mi, jeśli sobie tego życzę, chciałbym wiedzieć o niej nieco więcej, abym mógł ocenić...

- To bardzo możliwe - odrzekł naczelnik wydziału - ale niech się pan chwilę zastanowi. Pyta pan o to w pożytecznym i praktycznym zamiarze wzbogacenia swej wiedzy? By jeszcze lepiej włączyć się w społeczeństwo? Czy też pcha pana do tego chorobliwa ciekawość, wynikająca z jakiejś niepewności czy nawet poważniejszych zaburzeń? - Pytam pana o to, bo...

- Jak brzmi pańskie nazwisko? - zapytał nagle naczelnik wydziału.

Feerman nie odpowiedział.

- Jaki jest pański wskaźnik sanimetryczny? Feerman dalej nie odpowiadał.

Zastanawiał się, czy mieli już czas zorientować się, skąd telefonuje.

- Czy wątpi pan w życzliwość Akademii?

- Nie.

- Nie jest pan przekonany, że Akademia pracuje nad utrzymaniem istniejącego stanu, nad utrzymaniem status quo?

- Ależ jestem.

- W takim razie, czego pan sobie życzy? Dlaczego nie chce pan podać swego nazwiska i wskaźnika sanimetrycznego?

- Dziękuję - szepnął Feerman i odłożył słuchawkę. Zdawał sobie sprawę, że telefonowanie było poważną omyłką. Gest, którego nigdy by nie zrobił normalny osobnik. Naczelnik wydziału dzięki swej praktyce zaraz to spostrzegł. I oczywiście naczelnik wydziału nie podałyby wiadomości człowiekowi o wyniku 8 lub nawet więcej. Feerman na przyszłość powinien pilnować najmniejszych gestów, analizować je, jeśli chce powrócić do normalności.

Zapukano do drzwi; nie czekając odpowiedzi wszedł pan Morgan, jego szef Morgan był tęgim, silnie zbudowanym mężczyzną, o okrągłej mięsistej twarzy. Zbliżył się do Feermana, zastukał nerwowo palcem w biurko.

- Mówiono mi o pańskiej historii na dole - rzekł nie patrząc na Feermana. I znowu zastukał w biurko.

- Chwilowy wzrost - tłumaczył się odruchowo Feerman. - Zresztą mój wskaźnik zaczyna się obniżać. - Mówiąc te słowa starał się nie patrzeć na Morgana.

Obaj mężczyźni oglądali z zainteresowaniem sufit. Wreszcie ich spojrzenia się spotkały.

- Słuchaj, Feerman, nie chcę się mieszać w cudze sprawy - rzekł Morgan, siadając na brzegu biurka - ale do diabła, zdrowie jest sprawą wszystkich. Wszyscy siedzimy w tej samej galerze. Jak się to zaczęło?

Feerman wzruszył ramionami.

- Nie wiem, panie Morgan, wszystko szło jak najlepiej i nagle mój wskaźnik zaczął wzrastać.

- Czy odkryto jakieś zmiany mózgowe?

- Nie, zapewniono mnie, że nie mam żadnych zaburzeń organicznych.

- Próbował pan psychoterapii?

- Próbowiałem wszystkiego: psychoanalizy, elektroterapii, metody Smitha, Ramesa, myśli odchyleniowej, dyferencjacji...

- I co powiedzieli? - zapytał Morgan. - Przecież musieli coś znaleźć.

- Prawie nic. Pewną wrodzoną nieśmiałość, ukryte motywacje, niezdolność do przyjęcia status quo...

Morgan zaczął się przechadzać po biurze wzdłuż i wszerz z rękami założonymi z tyłu. Milczał długą chwilę, zagubiony w swych myślach. Wreszcie rzekł:

- Feerman, myślę, że potrzebuje pan wypoczynku.

- Wypoczynku?! - zawołał Feerman, natychmiast jeżąc się wewnątrz. - Chce pan powiedzieć, że mnie pan wyrzuca z pracy?

- Ależ nie, absolutnie nie, Feerman. Chcę być w porządku w tej grze. Ale nie jestem sam, mam cały zespół. - Szerokim gestem wskazał biuro, dom, miasto. - Nienormalność jest zaraźliwa. W biurze podczas ostatniego tygodnia wskaźniki wzrosły.

- I to niby z mojej winy.

- Musimy przestrzegać przepisów - rzekł Morgan. Będziemy panu nadal wypłacać pensję aż do... aż do chwili, gdy znajdzie pan jakieś rozwiązanie.

- Dziękuję - rzekł sucho Feerman. Wstał i włożył kapelusz.

Morgan położył mu rękę na ramieniu.

- Czy myślał pan już o Akademii? - zapytał ściszej głoś.

- Absolutnie nie ma o tym mowy - odparł Feerman, patrząc Morganowi prosto w oczy.

To dziwne uczucie zostać nagle bez pracy. Nie miał gdzie iść. Często nienawidził swej pracy; zdarzało mu się rano drzeć na myśl o nowym dniu w biurze, jaki go czekał. Teraz, gdy tego zabrakło, doceniał, jak ważna była dla niego praca, jakie stanowiła zabezpieczenie. Człowiek, który stracił pracę, jest niczym - pomyślał.

Szedł ulicą bez celu, próbując zebrać myśli. Nie mógł się skupić. Myśli wymykały się, a ich miejsce zajmowały mętne obrazy - obraz żony. Nie mógł ich nawet zatrzymać, gdyż miasto nagliło, nacierało nań twarzami, hałasem, zapachem, natrętnymi reklamami.

Jedyny plan działania, jaki mu przyszedł na myśl, był nie do przeprowadzenia. Uczucia podpowiadały mu:

Idź tam, gdzie cię nigdy nie znajdą. Ukryj się!

Lecz Feerman dobrze wiedział, że to nie jest rozwiązanie. Ucieczka była tylko podstępny wykrętem, jawnym dowodem jego nienormalności. Istotnie, przed kim miałby uciekać?

Przed najzdrowszym, najdoskonalszym społeczeństwem? Tylko wariat mógł wpaść na taki pomysł.

Feerman zaczął obserwować mijanych ludzi. Wydawali się szczęśliwi, przeniknięci uczuciem odpowiedzialności, gotowi poświęcić swoje namiętności na rzecz istniejącej trwałej prosperity. Był to idealny świat. Czemu więc nie umiał w nim żyć? Ale przecież z pewnością mógł! Tak czy inaczej postanowił się przystosować. Przynajmniej jeśli uda mu się znaleźć sposób.

Po kilku godzinach wólczygi Feerman stwierdził, że jest głodny. Wszedł do pierwszej napotkanej restauracji. Usiadł przy stole. Przeglądając kartę mówił sobie, że musi się skupić. Musi wybrać kierunek działania, zdecydować.

- Hej, ty tam!

Podniósł głowę. Łysy kelner przyglądał mu się uporczywie.

- Kto?

- Wynoś się stąd!

- Dlaczego? - zapytał Feerman, próbując opanować panikę, jaka go ogarnęła.

- Tutaj nie podaje się wariatom - rzucił kelner. Pokazał palcem ścienny sanimetr, którego igła przekroczyła dziewiątkę. - Wynoś się!

- Mam zaświadczenie o...

- Wynoś się! - powtarzał kelner. - Prawo mówi, że nie muszę obsługiwać dziesiątki. To przeszkadza moim klientom. No, zabieraj się stąd!

Feerman poczuł rosnący gniew. Miał ochotę rozwalić błyszczącą czaszkę kelnera. Ale oczywiście w ten sposób zachowałby się tylko wariat. To niczego nie ułatwiało. Opanował się i wstał.

Znowu podjął swój spacer. Powstrzymał chęć biegnięcia, próbując myśleć logicznie. Ale zamęt w jego umyśle wzrastał. Zapadał już wieczór, umierał ze zmęczenia.

Znalazł się w jakiejś dalekiej wąskiej uliczce. W oknie drugiego piętra zobaczył wypisany ręcznie szyld: J. J. FLYNN, PSYCHOTERAPEUTA - MOŻE MOGĘ CI POMÓC.

Feerman próbował się uśmiechnąć, wspominając wszystkich sławnych specjalistów, których się radził. Poszedł dalej, ale potem wrócił i wszedł na schody prowadzące do gabinetu Flyna. Jeszcze raz był z siebie niezadowolony. Już w chwili, gdy ujrzał napis, wiedział, że tam pójdzie.

Gabinet Flyna był mały i ciasny. Na ścianach wisały oderwane tapety, pokój był od dawna nie wietrzony. Flynn siedział za prostym biurkiem zatopiony w lekturze magazynu komiksów. Mały łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Palił fajkę.

Feerman miał zamiar zacząć od początku. Zamiast tego wymknęło mu się:

- Proszę pana, mam kłopoty. Straciłem pracę, porzuciła mnie żona, byłem u wszystkich specjalistów w mieście. Czy może mi pan pomóc?

Flynn wyjął z ust fajkę i przyjrzał się Feermanowi. Obejrzał jego buty, kapelusz, ubranie, taksując go. Po czym rzekł:

- Co panu powiedzieli?

- Że właściwie nie mam żadnej szansy.

- Tak, oczywiście - rzekł szybko i ostro Flynn. - Ci faceci łatwo się zniechęcają. Ale zawsze jest nadzieja. Umysł jest złożonym i dziwnym mechanizmem i czasem...

Flynn zamilkł nagle, uśmiechając się ze smutkiem i ironią, wreszcie powiedział:

- Ach, po co to? Wygląda pan na skazanego, żadnych wątpliwości - wytrząsnął popiół z fajki i spojrzał w sufit proszę pana, nic nie mogę zrobić dla pana. Pan o tym doskonale wie i ja także o tym wiem.

- Dziękuję za szczerość - rzekł Feerman nie ruszając się z miejsca.

- Mój zawodowy obowiązek - powiedział wolno Flynn - każe mi przypomnieć, że zawsze jest panu dostępna Akademia.

- Jak mogę tam pójść? Nic nie wiem o ich metodach.

- Nikt nic nie wie. A przecież podobno zawsze im się udaje.

- Więc dlaczego nikt stamtąd nie wychodzi?

- Wiem tyle samo co pan. Może nie mają ochoty. - Flynn zaciągnął się dymem. - Chce pan rady, niech pan mnie posłucha. Ma pan pieniądze?

- Trochę - odparł przezornie Feerman.

- Doskonale. Nie powinienem tego panu mówić, ale... Niech pan nie szuka ratunku u fachowców.

Proszę wrócić do domu. Pośle pan robota po żywność na dziesięć czy piętnaście dni. Niech się pan ukrywa jakiś czas.

- Ukrywa? Czemu?

Flynn przesłał mu rozdrażnione spojrzenie.

- Bo niszczy się pan, próbując powrócić do normalności. Wszystko, co pan robi, tylko pogarsza sprawę. Widziałem setki takich przypadków. Niech pan nie myśli o normalnym i nienormalnym.

Niech pan przeczeka spokojnie jakiś czas, odpoczywa, czyta, tyje. Potem zobaczy pan, jak sprawa wygląda.

- Proszę pana - rzekł Feerman. - Zdaje się, że ma pan rację. Jestem tego pewny! Ale nie wiem, czy nie byłoby lepiej, gdybym nie powracał do domu. Telefonowałem dzisiaj niepotrzebnie... Mam pieniądze. Czy nie mógłby mnie pan tutaj ukryć?

Flynn wstał i spojrzał z niepokojem przez okno.

- I tak za dużo powiedziałem. Może, gdybym był młodszy... Ale nie mogę! Dałem panu niedorzeczne rady! Nie chcę na dodatek popełnić niedorzecznego czynu.

- Przepraszam - rzekł Feerman. - Nie powinienem był pana prosić o to. Dziękuję panu. Szczerze dziękuję. - Wstał. - Ile jestem winien?

- Nic. I życzę powodzenia.

- Dziękuję.

Zbiegł szybko po schodach i przywołał taksówkę. Dziesięć minut później był w domu.

Na klatce schodowej było dziwnie cicho. Drzwi dozorczyńni były zamknięte.

Ale Feerman miał wrażenie, że zostały zamknięte tuż przed jego przyjściem i że dozorczyńni stoi za nimi nad słuchując. Przyśpieszył kroku i wszedł do swego mieszkania. Tu także było nienormalnie cicho. Feerman poszedł do kuchni. Przed kuchenką stał robot domowy, w kącie spał Speed.

- Dobry wieczór panu - powiedział robot. - Jeśli chce pan usiąść, zaraz podam obiad.

Feerman zasiadł za stołem i przemyślał plan. Zostawało wiele szczegółów do załatwienia, ale doktor . Flynn miał rację. Najlepsze, co mógł zrobić, to ukryć się, zniknąć z obiegu.

- Jutro wczesnym rankiem pójdziesz na zakupy rzekł do robota.

- Tak, proszę pana - odrzekł robot, stawiając przed nim talerz z zupą.

- Będą nam potrzebne zapasy: chleb, mięso... Nie, kup raczej konserwy.

- Jakie konserwy? - zapytał robot.

- Obojętnie. I papierosy. Przede wszystkim pamiętaj o papierosach! Podaj mi sól!

Robot stał nieruchomy przed kuchenką, podczas gdy Speed cicho skomlił.

- Prosiłem o sól.

- Żałuję, proszę pana.

- Czego żałujesz? Podaj mi sól.

- Nie mogę pana słuchać.

- Co takiego?

- Przekroczył pan właśnie czerwoną linię.

Feerman patrzył na niego chwilę. Potem skierował się do sypialni i włączył sanimetr. Czarna igła wolno zbliżała się do czerwonej kreski, wahała się chwilę i przekroczyła ją.

Miał ponad dziesięć.

Ale jakie to miało znaczenie?

W końcu to tylko wynik na skali. To nie znaczy, że nagle stał się potworem. Przekona robota, wytłumaczy mu. Wyszedł pośpiesznie z pokoju.

- Słuchaj, robot...

Usłyszał odgłos zamykających się drzwi. Robot odszedł. Wrócił do jadalni i upadł na tapczan.

Oczywiście robot odszedł. Miał wmontowany sanimetr. Jeśli pan przekraczał czerwoną linię, automatycznie musiał wrócić do fabryki. Dziesiątka nie ma prawa używać automatu.

A jednak nie wszystko było stracone. Posiadał jeszcze w domu jakieś zapasy. Usiłował się opanować. Może wystarczy na kilka dni.

- Speed! Żadnego odgłosu. - Speed, do nogi! Wciąż nic.

Feerman przeszukał metodycznie mieszkanie, psa nie było, widocznie musiał odejść z robotem.

Zapukano do drzwi.

- Panie Feerman.

- Nie! - krzyknął.

- Panie Feerman, musi pan zaraz odejść. Była to dozorczyń. Otworzył drzwi.

- Zaraz? A gdzie mam pójść?

Wszystko mi jedno. Nie może pan tu zostać ani minuty, panie Feerman. Pan musi odejść.

Feerman poszedł po kapelusz, włożył go, rozejrzał się po mieszkaniu i wyszedł. Zostawił otwarte drzwi.

Na dworze czekało nań dwóch ludzi. W ciemności nie mógł rozróżnić ich twarzy.

- Gdzie chce pan pójść? - zapytał jeden z nich.

- Jakie są możliwości?

- Chirurgia lub Akademia.

- To Akademia.

Wepchnęli go do wozu, który natychmiast ruszył. Opadł na siedzenie zbyt zmęczony, aby myśleć. Lekki przeciąg głaskał go po twarzy, usypiał warkot wozu. Ale droga zdawała się nie kończyć.

- Jesteśmy - rzekł wreszcie jeden z konwojentów. Wóz zatrzymał się i wprowadzono go do wielkiego szarego gmachu. Na środku małego pustego pomieszczenia stało biurko z tabliczką RECEPCJA. Pilnujący mężczyzna cicho chrapał z głową na biurku.

- Jeden z konwojentów Feermana zakaszał głośno. Recepcjonista poderwał się i przetarł oczy.

Włożył okulary i przyjrzał mu się zaspany.

- Który? - zapytał.

Konwojenci wskazali Feermana.

- W porządku.

Recepcjonista wyciągnął wątłe ramiona i sięgnął po gruby czarny rejestr. Coś w nim zanotował,

wyrwał kartkę papieru i podał strażnikowi. Natychmiast odeszli.

Recepcjonista nacisnął guzik, potem żywo poskrobał się w głowę.

- Wieczorem jest pełnia - rzekł do Feermana z widocznym zadowoleniem.

- Co?

- Pełnia. Kiedy jest pełnia, przychodzi dużo więcej takich typów jak pan, tak mi się przynajmniej wydaje. Zawsze miałem ochotę to zbadać.

- Dużo więcej kogo? - zapytał Feerman. Trudno mu było uświadomić sobie, że jest w Akademii.

- Niech pan nie udaje głupka - rzekł surowo recepcjonista. - Oczywiście, dziesiątek. Może nie ma żadnego związku, ale... No, jest strażnik.

Do biurka zbliżył się strażnik w mundurze, zajęty wiązaniem krawata.

- Zaprowadzić go do 312 AA - rzekł recepcjonista. Zaczekał, aż Feerman ze strażnikiem wyszli, a potem znowu ułożył się na biurku.

Strażnik prowadził Feermana przez labirynt korytarzy pełnych drzwi.

Wydawało się, że korytarze zbudowano bez sensu: rozwidlały się we wszystkie strony i wiły jak uliczki starego miasta. Feerman zauważył, że numery nie były kolejne. Przeszli obok 3112, potem 259, wreszcie 14. Przysięgłby, że trzykrotnie minęli 888.

- Co pan robi, żeby się tu nie zgubić? - zapytał.

- To moje zajęcie - rzekł niezbyt przyjaźnie strażnik. - Niezbyt logiczne jest to oznakowanie - zauważył po chwili Feerman.

- Nie można było zrobić inaczej - wyjaśnił konfidencjonalnie strażnik. - Początkowo przewidziano dużo mniej pokoi, a potem był run. Pacjenci i jeszcze raz pacjenci, co dzień więcej.

Więc trzeba było dzielić pokoje i wybijać nowe korytarze.

- Ale jak doktorzy odnajdują swoich pacjentów? Doszli do 312 AA. Nie odpowiedziawszy strażnik otworzył drzwi, skinął na Feermana, by wszedł, potem zamknął za nim zasuwę.

Pokój był malutki. Znajdował się tam tapczan, krzesło i mała szafa. Meble zajmowały prawie całą przestrzeń.

Po kilku chwilach Feerman usłyszał głosy za drzwiami. Ktoś powiedział:

- Spotkamy się o dziesiątej w kawiarni.

Klucz zgrzytnął w zamku, zagłuszając odpowiedź. Ale doszedł go wybuch śmiechu i głos, który rzekł:

- Jeszcze stu, i znów trzeba będzie drążyć nowe korytarze. Drzwi się otwarły i do pokoju wszedł brodaty mężczyzna w białym kitlu. Uśmiechał się blado.

- Proszę, niech się pan położy na tapczanie - rzekł uprzejmie, lecz rozkazująco.

Feerman wciąż stał.

- Teraz, kiedy już tu jestem, może mi pan wytłumaczy, co to wszystko znaczy?

Brodacz zajęty był otwieraniem szafy. Rzucił Feermanowi pełne ironii spojrzenie i uniósł brwi.

- Jestem lekarzem, a nie wykładowcą.

- Możliwe, wydaje mi się jednak...

- Tak, tak - rzekł doktor wzruszając ramionami. - Wiem, ma pan prawo wiedzieć i tak dalej, i tak dalej... Należało to zrobić przed odesłaniem pana tutaj. To do mnie nie należy. Feerman stał nadal.

- Proszę się tu położyć jak greczny chłopiec, wszystko panu powiem.

Feermanowi przyszło na myśl, by rzucić się na niego i zatłuc. Ale pomyślał, że tysiące dziesiątek myślało tak przed nim. Na pewno to przewidzieli.

Położył się na tapczanie.

- Akademia - zaczął doktor grzebiąc dalej w szafce jest produktem naszej cywilizacji. Aby ją lepiej zrozumieć, trzeba najpierw zrozumieć epokę, w jakiej żyjemy.

Zrobił teatralną pauzę, po czym podjął z wyraźną przyjemnością.

- Nastawienie psychiczne! Normalność! Trzeba pamiętać, że to wymaga poważnego wysiłku.

Umysł rozkojarzy się tak łatwo. Gdy to następuje, zmieniają się wartości, w człowieku rodzą się nadzieje, pomysły, odczuwa gwałtowną potrzebę działania, postępu. Same w sobie te fakty nie są może anormalne, ale niebezpieczne. Naszym ideałem jest pragnienie stagnacji. Wymaga ono jednak wielkiej siły woli, jeśli ktoś nie jest do tego zdolny... W tym tragedia.

- Nie rozumiem - rzekł Feerman, ale doktor przerwał mu.

- Powinien pan teraz pojąć konieczność istnienia Akademii. Dzisiaj chirurgia mózgu jest jedynym prawdziwym i skutecznym leczeniem umysłu... Ale jednostce nie podoba się myśl, że oryginalna osobowość zginie, co jest zresztą śmiercią w najlepszym znaczeniu. Akademia pragnie przynieść inne rozwiązanie.

- Ale jakie jest to rozwiązanie? Dlaczego go nie ogłaszacie?

- W gruncie rzeczy większość ludzi woli o tym nie wiedzieć.

Doktor zamknął szafkę na klucz, tak że Feerman nie mógł dostrzec, co stamtąd wyjął.

- Pańska reakcja jest bardzo nietypowa, to właśnie z powodu pańskiego nienormalnego stanu.

Normalni ludzie uważają za jedyne lekarstwo to przyjemne uwolnienie się od twardej rzeczywistości. Wierzą nam na słowo... Dla większości ludzi jesteśmy aniołami.

- Chcecie mnie zabić! - wykrzyknął Feerman usiłując wstać.

- Z pewnością nie - odrzekł doktor przytrzymując go na tapczanie.

- Więc co chce pan zrobić?

- Zobaczy pan.

- A czemu nikt stąd nie wychodzi?

- Bo nie chce.

Zanim Feerman zrobił najmniejszy ruch, doktor wbił mu w rękę igłę i wstrzyknął letnią ciecz.

Kontury pokoju się zacierały. Doktor odpowiedział, ale Feerman już go nie usłyszał.

Miał jedynie uczucie, że jego słowa były słuszne, mądre i prawdziwe.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się na wielkiej równinie. Słońce wschodziło.

W bladym świetle dostrzegł, że owiany jest mgłą i stopy jego toną w wilgotnej i sprężystej ziemi.

Był zdziwiony, widząc tulącą się do niego żonę, a z drugiej strony psa Speeda, który drżał lekko.

Jego zdziwienie nie trwało długo. Cóż normalniejszego, że żona i pies są z nim?

Przed nim były fale, które w miarę zbliżania się wyraźniały. Feerman poznał natychmiast.

To był wróg! Na czele procesji kroczył jego domowy robot, w niezwykłym blasku. Za nim

Morgan, krzyczący do naczelnika wydziału, że Feerman musi umrzeć. Potem dozorczyńni rycząca

"Wynoś się!", dalej lekarze, recepcjoniści, strażnicy.

Feerman gotował się do ostatniej walki, w której pozbyć się miał na zawsze tych wszystkich, co go zdradzili. Nagle poczuł wątpliwości.

Czy to wszystko jest realne? Ujrzał swoje znarkotyzowane ciało w numerowanym pokoju

Akademii, podczas gdy umysł krążył po urojonym świecie i walczył z cieniami. Nic mi nie jest!

Feerman w błysku jasnowidzenia zrozumiał, że musi się stąd wymknąć. Jego losem nie była walka

z cieniami. Musi wrócić do rzeczywistego świata. Status quo nie będzie trwać wiecznie. Co

pocznie ludzkość pozbawiona bojowości, wynalazczości, indywidualizmu, postępu?

Nikt nigdy nie opuścił Akademii? Będzie pierwszym, próbował odsunąć złudzenia, które go

zalewały, czuł swoje ciało poruszające się na tapczanie.

Ale żona ujęła go za rękę, pies szczeknął. Feerman zapomniał o swojej decyzji.

przekład : Franciszek Welczar

A tobie dwa razy tyle

W Nowym Jorku masz to jak w banku: ile razy rzucisz się na zasłużoną drzemkę, zawsze jest

dzwonek. Człowiek z charakterem powiedziałby w takiej sytuacji: "Mam to w nosie, mój dom to

moja twierdza, a telegramy można wsunąć pod drzwi". Ale jeśli ktoś ma, jak Edelstein, niezbyt

silny charakter, pomyśli, że może to ta blondynka spod numeru 12C przyszła pożyczyć słoiczek

chili. A może nawet jakiś zwariowany reżyser filmowy, który chciałby zrobić film na podstawie twoich listów do motki z Santa Monica. (Dlaczego niby nie? - czy nie robią filmów z gorszych rzeczy niż jego listy?).

Ale tym razem Edelstein rzeczywiście twardo postanowił nie otwierać. Leżąc na kanapie, z zamkniętymi oczami, zawołał:

- Nic nie potrzebuję!

- Owszem, potrzebujesz pan - odpowiedział głos zza drzwi.

- Mam wszelkie możliwe encyklopedie, szczotki i suche produkty - odparł Edelstein znużonym głosem.

Mam wszystko, cokolwiek pan oferuje. - Niech pan posłucha. Ja nic nie sprzedaję - rzekł głos. - Ja chcę panu coś dać, za darmo.

Edelstein uśmiechnął się kwaśno. Jako nowojorczyk wiedział doskonale, że nawet gdyby ktoś zrobił mu prezent z paczki autentycznych nie znaczonych banknotów dwudziestodolarowych, to i tak w końcu musiałby za nie zapłacić.

- A... jeśli za darmo - odpowiedział - to już w żadnym wypadku mnie na to nie stać.

- Ale naprawdę za darmo - powiedział głos. - Mówiąc "za darmo" mam na myśli, że nie będzie to pana kosztowało ani teraz, ani nigdy.

- Nie jestem tą sprawą zainteresowany - odrzekł Edelstein podziwiając siłę swego charakteru.

Głos zamilkł. Edelstein zawołał:

- Halo, jeśli pan tam jeszcze jest, to proszę sobie iść.

Drogi panie Edelstein - powiedział głos po chwili. - Cynizm jest tylko forma naiwności. Panie Edelstein, mądrość to sztuka dostrzegania różnic.

- Będzie mi robił wykłady - zwrócił się Edelstein do ściany.

- Okay - odezwał się głos. Niech pan zostanie przy swoim cynizmie i różnicach rasowych. Po co

mi jeszcze takie kłopoty?

- Chwileczkę - rzekł Edelstein. Na jakiej podstawie sady pan, że mam uprzedzenia rasowe?

- Dostyc tego gadania - odparł głos. - Gdybym zbierał na fundusz Hadassah, albo sprzedawał obligacje pożyczki rządu Izraela, to inna sprawa. Ale jestem po prostu tym, kim jestem, więc przepraszam, że żyję.

- Spokojnie - zmitygował go Edelstein. - Dla mnie jest pan po prostu głosem zza drzwi. Może pan być równie dobrze katolikiem, adwentysta dnia siódmego czy nawet starozakonnym.

- Pan w i e d z i a ł - odrzekł głos. - Panie, przysięgam...

- W gruncie rzeczy - oświadczył głos - to nie ma żadnego znaczenia. Nieraz spotykam się z takim traktowaniem. Do widzenia, panie Edelstein. - Chwileczkę.

Edelstein przeklinał sam siebie za głupotę. Ileż to już razy dał się nabrać na gadkę jakiegoś domokrażcy płacąc na przykład dziewięć dziewięćdziesiąt osiem za dwutomową ilustrowaną "Seksualną historię ludzkości", która, jak mu wytknął jego przyjaciel Manowitz, mógł kupić w pierwszej lepszej księgarni Marboro za dwa dziewięćdziesiąt osiem.

Ale głos miał rację. Edelstein wyczuł, że ma do czynienia z gojem.

I potem taki głos odejdzie i sobie pomyśli: tym Żydom to się wydaje, że są lepsi od innych. I na najbliższym spotkaniu Łoży Losi czy Kawalerów Kolumba powie to swoim fanatycznym przyjaciołom i znów będzie punkt karny dla Żydów.

- Rzeczywiście mam słaby charakter - pomyślał smutno Edelstein i zawołał

- No już dobrze, proszę wejść! Ale z miejsca uprzedzam: nie mam najmniejszego zamiaru nic kupować.

Zwłóknął się z kanapy i ruszył otworzyć. Nagle zatrzymał się, bo głos odpowiedział:

- Dziękuję bardzo - i przeszedł przez drewniane zamknięte na dwa zamki drzwi.

Mężczyzna był średniego wzrost, przyzwoicie ubrany w zmodyfikowany edwardiański szary

garnitur w prążki. Buty z kurdybanu lśniły wypucowane. Był czarny, miał teczkę i przeszedł przez drzwi Edelsteina, jak przez galaretkę "Gella".

- Chwileczkę, wolnego, chwileczkę rzedł Edelstein łapiąc się na tym, że wykręca sobie palce, i że serce bije mu nieprzyjemnie szybko.

Mężczyzna stał bez ruchu, całkowicie rozluźniony, o krok od drzwi. Edelstein odzyskał oddech.

- Przepraszam - powiedział. - Miałem mały atak, coś w rodzaju halucynacji...

- Chce pan, żebym to zrobił jeszcze raz? - zapytał gość.

- O Boże, nie! To pan rzeczywiście przez drzwi? Ale się głupio władowałem.

Edelstein wrócił do kanapy i usiadł ciężko. Mężczyzna zajął miejsce obok na krześle.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał gospodarz.

- Ten numer po prostu oszczędza mi czasu - wyjaśnił mężczyzna. - Poza tym załatwia sprawę mojej wiarygodności. Nazywam się Charles Sitwell i zajmuję się badaniem rynku z ramienia Szatana.

Edelstein uwierzył mu. Usiłował przypomnieć sobie jakąś modlitwę, ale zapamiętał jedynie tę, którą odmawiał przy krojeniu chleba na letnim obozie, w którym brał udział jako chłopak.

Prawdopodobnie i tak na nic by się nie zdała. Znał także Ojciec Nasz, ale ta modlitwa przecież nawet nie pochodziła z jego religii. A może tak hymn narodowy...

- Niech się pan nie denerwuje powiedział Sitwell. - Nie przyszedłem tu po pańską duszę, nic z tych starych niemodnych bzdur.

- Ale niby na jakiej podstawie mam panu uwierzyć? - zapytał Edelstein.

- Niech pan sam do tego dojdzie odparł Sitwell. - Niech pan weźmie pod uwagę choćby same wojny. Od pięćdziesięciu lat nic, tylko bunty i rewolucje. Dla nas oznacza to niespotykana wprost podaż potępionych

Amerykanów,

Wietcongów,

Nigeryjczyków,

Biafrańczyków,

Indonezyjczyków, obywateli RPA, Rosjan, Hindusów, Pakistańczyków i Arabów. Żydów też, z

przykrością muszę powiedzieć. Ściągamy coraz więcej Chińczyków, a zupełnie ostatnio bardzo nam się ożywił rynek południowoamerykański. Mówiąc szczerze, panie Edelstein, dławimy się już duszami. Jeżeli w tym roku wybuchnie jeszcze jedna wojna, to będziemy musieli ogłosić amnestię no grzechy powszednie.

Edelstein przemyślał sprawę.

- To pan rzeczywiście nie przyszedł po to, żeby mnie zabrać do piekła? - Do diabła, nie! -

powiedział Sitwell. - Mówiłem panu przecież, że mamy listę oczekujących jak stąd do Peter Cooper Village. Piekło dosłownie trzeszczy w szwach.

- No więc... to po co pan tu przyszedł

Sitwell założył nogę na nogę i pochylił się z powagą.

- Panie Edelstein, musi pan zrozumieć, że piekło bardzo przypomina koncerny U.S. Steel i L.T. and T. Stanowimy potężną instytucję i działamy w mniejszym czy większym stopniu na zasadzie monopolu. Ale, jak każde duże towarzystwo, jesteśmy w służbie publicznej i zależy nam na dobrej opinii.

- To się trzyma kupy - przyznał Edelstein.

- Ale odwrotnie niż Ford, nie możemy ustanowić fundacji i rozdawać stypendiów i dotacji.

Ludzie by tego nie zrozumieli. Z tych samych względów nie budujemy wzorcowych miast i nie walczymy z zanieczyszczeniem środowiska. Nie moglibyśmy nawet zbudować tamy w

Afganistanie, żeby nie zakwestionowano naszych motywów.

- Rozumiem, w czym problem rzekł Edelstein.
 - Ale mimo to chcielibyśmy coś zrobić. Dlatego od czasu do czasu, zwłaszcza teraz, przy tak korzystnej koniunkturze, przeznaczamy niewielką premię do rozdzielenia pomiędzy przypadkowo wybranych potencjalnych klientów.
 - Ja? Wasz klient?
 - Nikt przecież nie robi z pana grzesznika - podkreślił Sitwell. - Powiedziałem: potencjalnych, a to może oznaczać dosłownie każdego.
 - Och... a na czym polega to premia?
 - Trzy życzenia - odparł z ożywieniem Sitwell. - Stara tradycyjna forma. - Zaraz, sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem - rzekł Edelstein. - Mam wymienić trzy dowolne życzenia? I żadnej kary, żadnych ukrytych "ale" czy "jeśli"?
 - Owszem, jest jedno "ale" - odparł Sitwell.
 - Wiedziałem - westchnął Edelstein. - Sprawa jest bardzo prosta. O cokolwiek pan poprosi, pański najgorszy wróg dostanie tego dwa razy tyle.
- Edelstein zastanowił się.
- To znaczy, że gdybym poprosił o milion dolarów...
 - To pański wróg dostanie dwa miliony.
 - A gdybym tak poprosił o zapalenie płuc?
 - To pański najgorszy wróg dostanie obustronnego zapalenia płuc. Edelstein ściągnął usta i potrząsnął głową.
 - Nie chciałbym was uczyć waszego fachu, ale chyba zdajecie sobie sprawę, że stosując taka klauzulę wystawiacie na próbę dobre serce klienta.
 - Owszem, jest w tym pewne ryzyko, ale niezbędne z kilku powodów rzekł Sitwell. - Otóż, widzi pan, ta klauzula pełni funkcję czegoś w rodzaju psychicznego sprzężenia zwrotnego, które pomaga

utrzymać homeostaz.

- Przykro mi, ale nie bardzo pana rozumiem - odparł Edelstein.

- Spróbuję to wyrazić w ten sposób. Ta klauzula w pewnym sensie ogranicza te trzy życzenia, utrzymując je w granicach zdrowego rozsądku. Pragnienie to potężna siła.

- Mogę sobie wyobrazić. Czy jest jeszcze jakiś inny powód?

- Powinien już się pan był sam go domyślić - rzekł Sitwell obnażając wyjątkowo białe zęby w czymś, co miało przypominać uśmiech. - Tego rodzaju klauzula to nasz znak fabryczny. Można po nim poznać przedziwnie piekielny towar.

- Rozumiem, rozumiem - powiedział Edelstein. - Potrzebuję jednak trochę czasu do zastanowienia.

- Ważność mojej oferty wynosi trzydzieści dni. - Sitwell wstał. - Jeśli zdecyduje się pan na wyrażenie życzeń, wystarczy, że je pan sformułuje - głośno i dobitnie. Reszta należy do mnie.

Sitwell ruszył do drzwi.

- Jest jeden problem - powiedział Edelstein - o którym powinienem chyba wspomnieć.

- Mianowicie?

- Tak się akurat składa, że nie mam najgorszego wroga. Szczerze mówiąc, w ogóle nie mam wroga na całym świecie.

Sitwell zaśmiał się rubasznie, a następnie otarł oczy fiołkową chustką.

- Edelstein! Czy pan przypadkiem nie przesadza? Nie ma pan wroga na całym świecie? A pański kuzyn Seymour, któremu nie chciał pan pożyczyć pięciuset dolarów na otwarcie pralni? Czy on się nagle stał pańskim przyjacielem?

- Nie pomyślałem o Seymourze przyznał Edelstein.

- A co pan powie o pani Abramowitz, która spluwa na sam dźwięk pańskiego imienia, ponieważ nie chciał się pan ożenić z jej Marjorie? A Tom Cassidy spod numeru 1C, który ma pełny zbiór

mów Goebbelsa i co noc mu się śni, że wyrzyna w pień wszystkich żydów na całym świecie, poczynając od pana? Panie... czy pan ma dobrze w głowie?

Siedzący na kanapie Edelstein zrobił się biały jak ściana i znów zacisnął mocno ręce.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Nikt sobie nie zdaje sprawy rzekł Sitwell. - Ale co się pan przejmuję, sześciu czy nawet siedmiu wrogów to drobiazg; zapewniam pana, że jest pan dużo poniżej średniej, jeśli chodzi o współczynnik nienawiści.

- Kto jeszcze - zapytał Edelstein ciężko dysząc.

- Nie powiem panu - odrzekł Sitwell. - Byłoby to dodatkowe zbędne obciążenie.

- Ale przecież ja muszę wiedzieć, kto jest moim największym wrogiem! Cassidy? Uważa pan, że powinienem kupić pistolet?

Sitwell potrząsnął głową.

- Cassidy jest niegroźnym półgłówkiem. Nie podniesie na pana nawet palca, może mi pan wierzyć. Pańskim największym wrogiem jest Edward Samuel Manowitz.

- Jest pan pewien - zapytał Edelstein z niedowierzaniem.

- Całkowicie pewien.

- Ale przecież Manowitz to mój najlepszy przyjaciel.

- A zarazem i pański najgorszy wróg. Tak to czasami bywa. Do widzenia, panie Edelstein, i wszystkiego najlepszego w sprawie pańskich trzech życzeń.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Edelstein. Cisnęło mu się na usta milion pytań, ale był skrepowany, więc zapytał tylko:

- Jak to jest możliwe, żeby piekło było takie przeładowane?

- Bo tylko niebo nie ma granic odparł Sitwell.

- A co do nieba, też pan jest zorientowany?

- Oczywiście. To organ założycielski. No, ale ja już naprawdę muszę iść. Jestem umówiony w Poughkeepsie. Wszystkie dobrego, panie Edelstein.

Sitwell pomachał mu ręką, odwrócił się i przeszedł przez zamknięte drzwi.

Edelstein siedział bez ruchu przez pięć minut. Myślał o Eddim Manowitzu. Najgorszy wróg! To śmieszne; jeśli chodzi o tę informację, to już się z pewnością musiały piekłu druty poplątać. Zna Manowitza od dwudziestu lat, widują się niemal codziennie, grają w szachy i w remika. Chodzą na spacerory i do kina i przynajmniej raz na tydzień jedzą razem kolację.

To prawda, że Manowitzowi zdarza się nie panować nad językiem i potrafi przekroczyć granice dobrego smaku.

Czasem Manowitz bywa naprawdę ordynarny. . Mówiąc szczerze, nieraz go obraził. - Ale przecież jesteśmy p r z y j a c i ó ł m i - powiedział sam do siebie Edelstein. - No, jesteśmy przyjaciółmi, tak czy nie?

Sprawdzenie, czy to prawda, nie przedstawia większych trudności stwierdził. Może zażądać na przykład miliona dolarów. Dla Manowitza oznaczałoby to dwa miliony. I co z tego? Co jemu, bogatemu człowiekowi, może przeszkadzać, że jego najlepszy przyjaciel jest bogatszy?

Owszem! Przeszkadzałoby mu! I to cholernie! Myśl, że taki cwaniaczek jak Manowitz wzbogacił się na jego życzenie, doprowadzałyby go do szału.

- Mój Boże! - pomyślał Edelstein. Jeszcze godzinę temu byłem biedny, ale szczęśliwy. A teraz mam przed sobą perspektywę spełnienia trzech życzeń i wroga.

Spostrzegł, że znów wykręca sobie ręce. Potrzęsnał głową. Musi to jednak przemyśleć.

W następnym tygodniu Edelstein wziął urlop i dzień i noc siedział z piórem i notesem w ręku.

Początkowo myśl jego natrętnie krążyła wokół zamków. Zamki pasowały jakoś do takich życzeń.

Ale jak się nad tym zastanowił, nie była to taka prosta sprawa.. Jeśli się wzięło przeciętny zamek z marzeń, taki z kamiennymi murami grubości dziesięciu stóp, z otaczającym go dziedzińcem, i

wszystkim, powstał problem utrzymania obiektu. A ogrzewanie, a kilkoro służby - bez tego to wszystko byłoby śmieszne.

Zawsze więc kończyło się jednak na pieniądzach.

Zupełnie przyzwoity zamek mógłbym utrzymać za dwa tysiące dolarów tygodniowo, pomyślał Edelstein, pospiesznie zapisując w notatniku jakieś cyfry. Ale to by oznaczało, że Manowitz będzie miał dwa zamki plus cztery tysiące dolarów na utrzymanie tygodniowo !

W następnym tygodniu Edelstein miał już zamki z głowy i gorączkowo rozważał nieograniczone możliwości i kombinacje podróży. Czy to nie będzie za dużo, jak zażąda podróży dookoła świata?

Może za dużo; nie wiedział, czy da radę. Oczywiście lato w Europie - bardzo proszę. Nawet dwutygodniowy urlop w "Fontainebleau" w Miami Beach na zregenerowanie skołatanych nerwów.

Ale dla Manowitza oznacza to podwójny urlop! Jeżeli Edelstein zatrzyma się w "Fontainebleau", Manowitz weźmie apartament w Colony Club w Key Largo. I będzie dwa razy dłużej.

Chyba lepiej pozostać biednym i nie stwarzać Manowitzowi takiej okazji. Chyba, ale nie na pewno.

W ostatnim tygodniu Edelstein był już zły, doprowadzony do rozpaczycy stał się nawet cyniczny.

Pomyślał: skończony idiota, skąd możesz wiedzieć, że to wszystko nie jest bzdura.

Wielka rzecz, że Sitwell przenika przez zamknięte drzwi?

Z tego jeszcze nie wynika, że jest czarodziejem. Może w ogóle niepotrzebnie się martwię?

Ku własnemu zaskoczeniu wstał nagle i głośno, stanowczo zażądał:

- Chcę mieć dwadzieścia tysięcy dolarów, i to natychmiast.

Poczuł lekki nacisk na prawy pośladek. Wyciągnął portfel. Znalazł w nim wystawiony na siebie potwierdzony czek na dwadzieścia tysięcy dolarów.

Poszedł do swojego banku i zrealizował czek trzęsąc się ze strachu, że go lada chwila capnie policja. Dyrektor banku spojrział na czek i podparafował go. Kasjer spytał Edelstein, jakie sobie

życzy banknoty. Edelstein polecił mu zapisać to na jego konto. Kiedy wychodził z banku, wpadł tam właśnie Manowitz z wyrazem strachu, radości i osłupienia na twarzy...

Edelstein pospieszył do domu, zanim Manowitz zdążył otworzyć usta. Do końca dnia bolał go żołądek.

Kretyn ! Zażądał tylko głupich dwudziestu tysięcy! A Manowitz dostał czterdzieści !

Można było skończyć ze zdenerwowania.

Nastroje Edelsteina wahały się pomiędzy apatią a wściekłością. Wrócił ból żołądka, co prawdopodobnie oznaczało wrzód.

To jest jednak cholernie niesprawiedliwe. Przecież nie wpędzi się do grobu przejmując się Manowitzem.

Owszem, dlaczego nie. Ponieważ teraz już nie miał wątpliwości co do tego, że Manowitz jest jego wrogiem, i myśl o tym, że jego wróg się dzięki niemu wzbogaci, dosłownie go zabijała.

Zastanowił się nad tym i powiedział sobie: posłuchaj mnie ,Edelstein, tak dalej nie możesz, musisz wreszcie i ty mieć z tego jakąś satysfakcję!

Ale w jaki sposób?

Przechadzał się po mieszkaniu tam i z powrotem; ból musiał być z pewnością spowodowany wrzodem żołądka, bo czymże by jeszcze?

Wreszcie - tak, ma! Edelstein przestał spacerować. Przewrócił dziko oczami, złapał papier i ołówek i dokonał błyskawicznego obliczenia. Kiedy skończył, zaczerwieniony i podniecony, po raz pierwszy od wizyty Sitwella poczuł się szczęśliwy. Wstał i wykrzyknął:

- Chcę sześćset funtów siekanych kurzych wątróbek, i to natychmiast. W ciągu pięciu minut zaczęli walić dostawcy. Edelstein zjadł kilka ogromnych porcji wątróbki, dwa funty schował do lodówki i prawie całą resztę sprzedał dostawcy na pniu za pół ceny zarabiając na tym ponad siedemset dolarów. Siedemdziesiąt pięć funtów, które przeoczyli, musiał zabrać dozorca. Edelstein

konął ze śmiechu na myśl o Manowitzu, który stoi u siebie w mieszkaniu po szyję w siekanej wątróbce.

Ale jego radość trwała krótko. Dowiedział się bowiem, że Manowitz zatrzymał dla siebie dziesięć funtów (zawsze miał ogromny apetyt), pięć funtów dał w prezencie małej, niepozornej wdowie; na której zawsze usiłował zrobić wrażenie, a resztę sprzedał dostawcy obniżając mu cenę o jedną trzecią i zarabiając na tym ponad dwa tysiące dolarów.

- Jestem najgorszym idiotą na świecie - pomyślał. Za chwilę głupiej satysfakcji poświęciłem życzenie warte, skromnie licząc, sto milionów dolarów. I co ja z tego mam? Dwa funty siekanej wątróbki z drobiu, kilkaset dolarów i dozgonną wdzięczność dozorca!

Zdawał sobie sprawę, że ta prymitywna zawiść go wykończy.

Zostało mu już tylko jedno życzenie. Teraz mądre wykorzystanie tej ostatniej okazji stało się sprawą zasadniczej wagi. Ale musi poprosić o coś, co mu jest bardzo potrzebne, a czego by sobie Manowitz w żadnym razie nie życzył.

Minęły cztery tygodnie. Pewnego dnia Edelstein uświadomił sobie ponuro, że termin upływa.

Łamał sobie głowę, po to jednak jedynie, żeby potwierdzić swoje najgorsze podejrzenia: że Manowitz lubi wszystko to co i on. Manowitz lubił bowiem: zamki, urlopy, kobiety, wino, muzykę i jedzenie. O czymkolwiek pomyślał, Manowitz małpował go we wszystkim.

Nagle przypomniał sobie. Otóż Manowitz - dziwny kaprys podniebienia - nie znosi wędzonego łososia, nawet najlepszego.

Edeistein modlił się: Dobry Boże, który rządysz niebem i piekłem, miałem do dyspozycji trzy życzenia i dwa zmarnowałem. Wysłuchaj mnie, Boże, nie chciałbym być niewdzięczny, ale pytam cię: czy człowiek, któremu zagwarantowano spełnienie trzech życzeń, nie ma prawa lepiej ich wykorzystać, niż ja to zrobiłem Czy nie powinno mu się przydarzyć coś dobrego bez nabijania kabzy Manowitzowi, jego najgorszemu wrogowi, który nawet palcem nie kiwnie, tylko zgarnia

wszystko podwójnie, bez najmniejszego wysiłku czy przykrości !

Wybiła ostatnia godzina. Edelstein był spokojny jak człowiek, który już się pogodził ze swoim losem. Zrozumiał, że jego nienawiść do Manowitza, jest bezcelowa, niegodna. Z nową, pełną słodyczy pogodą powiedział sobie: a teraz poproszę o coś, na czym mnie, Edelsteinowi, osobiście zależy. Jeśli i Manowitz musi na tym zyskać, to jui trudno, nie ma rady,

Edelstein stanął wyprostowany i powiedział:

- To jest moje ostatnie życzenie. Zbyt długo byłem kawalerem. Potrzebna mi jest kobieta, z którą mógłbym się ożenić. Powinna mieć około 162 centymetrów wzrostu, ważyć około 52 kilogramów i być oczywiście zgrabną naturalną blondynką. Powinna być przy tym inteligentna, praktyczna, zakochana we mnie, naturalnie żydówka, ale zmysłowa i wesoła...

Umysł Edelsteina nabrał wyższych obrotów !

- A szczególnie - dodał - powinna... nie bardzo wiem, jak to wyrazić... powinna stawiać najwyższe, jakim tylko potrafiłbym sprostać, wymagania czysto seksualne. Rozumiesz, o co mi chodzi, Sitwell Delikatność nie pozwala mi precyzować tego dokładniej, ale gdyby istniała potrzeba dalszych wyjaśnień...

Rozległo się lekkie, jak gdyby zmysłowe stukanie do drzwi. Edelstein chichocząc poszedł otworzyć. Ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, dwa funty siekanej wątróbki i teraz to! Mam cię, Manowitz, pomyślał. Dwa raty tyle, ile mężczyzna może. Tego się nie życzy najgorszemu wrogowi - a ja życzę!

przekład : Tłum. Uhrynowska-Hanasz

Bezgłośna broń

Czyżby trzasnęła gałązka? Dixon obejrzał się i wydało mu się, że dostrzegł, jak w poszycie buszu wtopiła się nagle jakaś ciemna sylwetka. Zamarł. Nieruchome oczy starały się przeniknąć zwarty gąszcz zielonopiennych drzew. Panowała martwa, pełna wyczekiwania cisza. Hen - nad głowa -

ścierwoptak, kołysany podmuchami wiatru, bacznie przeszukiwał wzrokiem spalony słońcem krajobraz. Pełen nadziei, czekał...

Dixon posłyszał nagle niski, niecierpliwy kaszel dochodzący z poszycia. Teraz już wiedział, że go śledzono.

Przedtem było to tylko podejrzenie. Ale te niewyraźne, na wpół zamazane sylwetki okazały się realne. W drodze do stacji sygnałowej dały mu spokój - widać przyczaiły się wtedy i zastanawiały. Teraz były już zdecydowane. Postanowiły spróbować.

Wyjął BRON z kabury, pstryknął bezpiecznikami i wsunął ją z powrotem. Potem ruszył dalej. Znowu dobiegł go odgłos pokaszliwania. Coś podążało za nim cierpliwie, czekając zapewne, aż opuści busz i wejdzie do puszczy. Uśmiechnął się do siebie.

Nic mu się nie mogło stać. Miał BRON.

Bez niej nigdy by się nie zapuścił tak daleko swoim statkiem. Po prostu w pojedynkę nigdy nie rusza się na podbój obcych planet. Ale Dixon mógł. Miał na statku broń nad broniami, mogącą go obronić przed wszystkim absolutnie przed wszystkim, co chodziło, latało, pełzało lub pływało. To był ostatni, najnowszy model broni ręcznej.

To była BRON!

Obejrzał się znów. Zobaczył je teraz - trzy bestie - nie więcej niż pięćdziesiąt jardów za nim. Z tej odległości przypominały trochę psy lub hieny. Pokaszliwały w jego stronę i z wolna postępowały jego tropem.

Dotknął BRONI, ale nie zdecydował się od razu jej użyć. Będzie jeszcze masa czasu, kiedy podejdą bliżej.

Alfred Dixon był niskim człowiekiem o rozłożystych barach i szerokiej piersi. W jego gęste włosy wplatały się jasne pasma, a sumiaste blond wąsy nadawały ogorzalej twarzy wręcz dziki wygląd.

Naturalnym środowiskiem Dixona były właściwie ziemskie piwiarnie i knajpy. Tam, odziany w mundur koloru khaki, donośnym, wojowniczym głosem mógł zamawiać drinki i obserwować swych kompanów od kieliszka wąskimi, niebieskimi-jak-metal-spluwymi oczami. Wyjaśniał im niedbałym, pogardliwym nieco tonem, różnice pomiędzy iglicowcem Sykesa i Coltem Trójpunktowcem; pomiędzy marsjańską zarazą czułkową a wenusjańską askomią. Mówił, co trzeba czynić, gdy rannareński pancerożec zaatakuje cię nagle w gęstwinie, i jak odeprzeć nieoczekiwaną napaść skrzydlatych połysklic.

Niektórzy traktowali Dixona jako skończonego kłamcę, choć byli ostrożni z wypowiedzianiem swoich sądów. Zdaniem innych, był to porządny facet - wbrew jego własnemu o sobie mniemaniu. Był po prostu zupełnie szczery - i dlatego jedynie śmierć lub kalectwo mogły tę skazę usunąć...

Dixon bezgranicznie wierzył w potęgę broni. W jego kategoriach myślenia zwycięstwo amerykańskiego Zachodu nad Indianami było po prostu wygrana Colta 0,44 w pojedynku z łukiem i strzałą. Afryka? Włócznia przeciw strzelbie. Mars? Colt Trójpunktowiec przeciwko nożownicy. Fakt - bomby H skaziły i zniszczyły miasta, ale terytorium zdobywali pojedynczy ludzie, wyposażeni w lekką broń osobistą. Czemuż więc miałby wnikać w mętne aspekty ekonomiczne, filozoficzne czy polityczne, skoro wszystko było tak proste?

Jego zaufanie do BRONI nie miało granic.

Spojrzał za siebie i dostrzegł, jak do początkowej trójki dołączyło jeszcze z pół tuzina wilkkształtnych istot. Szły już teraz otwarcie, nie kryjąc się, wywaliwszy na wierzch jęzory i stopniowo zmniejszając dystans.

Postanowił wstrzymać się z otwarciem ognia. Niech odległość jeszcze się zmniejszy. Efekt zaskoczenia powinien być wtedy większy.

Robił już wiele rzeczy. Był poszukiwaczem, myśliwym, szukał złóż minerałów i ropy, był asteroiderem. Wyglądało jednak na to, że fortuna go unika. Inni jemu podobni natykali się na

opuszczone miasta, łowili rzadkie okazy albo znajdowali złoża kruszców. Dixon jednak akceptował ciężące nad nim fatum pełen dobrych myśli. Cholerne szczęście! Cóż miał jednak zrobić? Teraz był radiooperatorem kontrolującym a u tomatyczne stacje sygnałowe na nie zajętych planetach.

Ale jeszcze ważniejsze było to, że tu, w warunkach polowych, poddawał ostatecznej próbie nowa broń ręczna. Jej wynalazcy liczyli na to, że BRONÍ stanie się kosmicznym standardem. Dixon żywił nadzieję, że i on coś na tym zyska.

Dotarł do skraju wilgotnej, mrocznej puszczy. Statek znajdował się jakieś dwie mile stąd, na małej polance. Kiedy wszedł w ponury cień lasu, usłyszał podniesione piski drzewaków. Miały pomarańczowe i niebieskie futerka; zwisając z wierzchołków drzew, z uwagą, bacznie go obserwowały.

“Wszystko tu iście afrykańskie” skonstatował. Liczył na to, że napotka tu jakąś grubą zwierzyńę, jakieś znośne trofeum - jedno czy dwa...

Dziki psy za jego plecami podeszły już na jakieś dwadzieścia jardów. Były szare lub brązowe, wielkości terierów, ze szczękami hien. Niektóre gwałtownie dawały nura w poszycie, pędząc przed siebie z zamiarem odcięcia mu drogi.

Nadszedł czas, by pokazać, co potrafi BRONÍ.

Wyjął ją z kabury. Z grubsza miała kształt pistoletu i spory ciężar. Oprócz tego była nienajlepiej wyważona konstruktorzy obiecali zredukować jej masę i ulepszyć rękojeść w następnych modelach. Ale Dixon lubił ją taką, jaka była.

Podziwiał ją przez chwilę, potem odbezpieczył i nastawił przełącznik na ogień pojedynczy.

Sfora pędziła teraz susami w jego kierunku, kaszląc i warcząc. Dixon niedbale wycelował i nacisnął spust.

BRONÍ cicho mruknęła. Przed nim, na przestrzeni jakichś stu jardów, wycinek lasu po prostu znikł.

To był skutek odpalenia pierwszego dezintegratora. Z otworu lufy o średnicy nie większej niż cal wiązka promieni rozszerzyła się na kształt stożka do średnicy dwunastu stóp, wykrawając w lesie lejkowata pustkę - wewnątrz nie było nic. Drzewa, trawy, owady, krzaki, dzikie psy, motyle - wszystko zniknęło. Obwisłe konary i gałęzki, których dosięgła bezgłośna eksplozja, wyglądały jak obcięte gigantycznym ostrzem.

Jak oceniał, udało mu się załatwić co najmniej siedem bestii. Siedem bestii w pół sekundy! I żadnych problemów z ugięciem czy odchyłkami trajektorii, jak w zwykłej pociskowej broni! Żadnych kłopotów z powtórным ładowaniem - BRONIA miała zapas mocy na osiemnaście godzin pracy.

Idealna broń!

Odwrócił się i ruszył dalej, wsuwając do kabury ciężki pistolet.

Panowała cisza. Drzewaki analizowały nowe doświadczenie. Po chwili jednak otrząsnęły się z zaskoczenia i znów rozhuśtały się nad nim pomarańczowe lub błękitne futerka. Nisko nad głową szybował ścierwoptak - a za nim z odległych zakamarków nieba przybyły inne - czarnoskrzydłe - by zataczając nad nim kręgi, bacznie go obserwować. W poszyciu znów rozkaszały się dzikie psy. Nie dały jeszcze za wygraną. Słyszał je, jak skryte w gęstym listowiu - po obu jego stronach - to susami gnały do przodu, to znów zatrzymywały się, by mu się przyjrzeć.

Wyciągnął BRONIA, zastanawiając się, czy ośmiela się spróbować raz jeszcze. Ośmieliły się.

Nakrapiany, szary jak pies myśliwski stwór wyskoczył z krzaków tuż przed nim. Pistolet znów głucho westchnął. Pies znikł, uchwycony w półskoku. Lekko, febrycznie zatrzęsły się drzewa, targnięte podmuchem powietrza, wdzierającego się w powstała próżnię.

Ruszył drugi pies. Dixon unicestwił go, zmarszczywszy nieco czoło. Tych bestii nie można było przecież uważać za durne. Dlaczego więc ta lekcja niczego ich nie nauczyła? Nie nauczyła, że występowanie przeciwko niemu, niemu - posiadającemu BRONIA! - było bezsensowne? Istoty w

całej Galaktyce szybko uczyły się ostrożnego postępowania z uzbrojonym człowiekiem. Czemu więc te nie?

Nie zachowując żadnej ostrożności, trzy bestie na raz rzuciły się na niego z różnych stron. Dixon przełączył szybko na ogień ciągły i ściał je w locie jak człowiek tnący kosa. Roziskrzył się i zawirował obłok kurzu, wsysanego przez bąbel próżni.

Słuchał uważnie. Puszcza zdawała się być pełna niskich, pokaszających odgłosów. Naciągały inne sfory, by przyłączyć się do dzieła zabijania.

Dlaczego niczego się nie nauczyły? Nagle doznał olśnienia. "Jakże mogą się nauczyć - pomyślał - skoro lekcja była tak delikatna !"

Przecież BRONŃ - to unicestwienie. Bezgłośnie, czyste, bez śladu. Większość psów, które sprzątnął, po prostu zniknęła - nie było ni skowytu agonii, ni ryku, wycia, przenikliwego jęku śmierci.

A przede wszystkim - nie było huku wystrzału, który by je zaskakiwał, nie było swądu kordytu i szczęku pocisku wprowadzanego do komory...

"Może nie zaznały w wystarczającym stopniu bólu? - pomyślał. - Na tyle, by zdać sobie sprawę, że to broń śmiertelna? Może nie wiedza, co oznacza to nagłe zniknięcie? I myślą, że jestem bezbronny?"

Szedł - teraz już szybciej - przez mroczny las. "Nic ci stary nie grozi..." - upominał sam siebie.

Właśnie dlatego, że to była śmiertelna broń, one nie mogły już w niczym zmienić tego stanu.

Ale powinien chyba nalegać na wprowadzenie jakiegoś urządzenia do robienia huku. To nie powinno być trudne, a dźwięk stanowiłby dodatkowe zabezpieczenie.

Drzewaki znów były pełne ufności. Skakały i huśtały się na gałęziach prawie na wysokości jego głowy. Obnażały kły. "Pewnie mięsożerne" - przemknęło mu przez głowę. Uniósł BRONŃ i zaczął ścinać w marszu wierzchołki drzew.

W dół posypały się liście i małe gałązki. Drzewaki rozpięchły się, krzycząc przeraźliwie.

Nawet psy wydawały się z każdą chwilą coraz bardziej zastraszone - przezornie uskakiwały przed walącymi się konarami.

Dixon wyszczerzył zęby w uśmiechu. W tej samej chwili runął na ziemię. Wielki konar dzielił go w lewy bark.

Wytracona z ręki BRON upadła dziesięć stóp dalej. Nastawiona nadal na ogień ciągly, błyskawicznie obróciła w próżnię krzaki na kilka j ardów przed Dixonem.

Wyczołgał się spod konara i dał nura po pistolet. Ale drzewak był szybszy. Dixon rzucił się twarzy do ziemi.

Drzewsk, triumfalnie wrzeszcząc wywijał dezintegratorem nad głową. Wielkie drzewa przecinane na pół z hukiem waliły się na poszycie lasu. Powietrze pociemniało od fruwających liści i gałązek, grunt pokryły głębokie rowy. Kolejne machnięcie dezintegratorem skosiło następne drzewo - tuż obok Dixona; zważyło się kilka cali od jego stopy. Uskoczył w bok i następne machnięcie p r zeszło mu nad głową.

Opuściły go resztki nadziei, gdy wtem drzewak zgłupiał. Idiotycznie coś bełkocząc, zadowolony, zwrócił broń w swoją stronę, próbując zajrzeć do lufy.

Głowa zwierzęcia bezgłośnie zniknęła. Dixon spostrzegł swoją szansę. Rzucił się przed siebie przeskakując rów i porwał dezintegrator, zanim następny drzewsk zdążył go złapać, by od nowa zacząć zabawę. Przerwał ogień.

Kilka psów uskoczyło przed nim zbiegły się tu przed chwila, by mu się przyjrzeć.

Nie ośmielił się otworzyć do nich ognia. Paskudnie trzęsły mu się łapy większe ryzyko dla niego niżli dla psów. Obrócił się i kuśtykając ruszył w kierunku statku.

Bestie ruszyły jego śladem. Po chwili uspokoił się nieco. Popatrzył na połyskującą w ręku BRON. Miał teraz dla niej więcej uznania. I trochę się jej obawiał - tak, bał się bardziej niż psy.

One najwyraźniej nie skojarzyły zniszczenia lasu z dezintegratorem. Dla nich wyglądało to raczej na gwałtowną, niespodziewaną burzę.

A ta już minęła. Znowu nastał czas polowania.

Przedzierał się teraz przez gęstwę, unicestwiając krzaki przed sobą, by utorować sobie drogę.

Psy, biegnąc z obu stron, dotrzymywały mu kroku. Strzelał teraz bezustannie, biorąc od czasu do czasu na cel i psa. Było ich teraz już kilkadziesiąt - napierały nań ze wszystkich stron.

“Niech to diabli! - pomyślał. Czyżby nie policzyły swoich strat?!” Wtedy doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie umieją liczyć.

Przebił się wreszcie nieopodal statku. Na drodze leżał ciężki pień. Przeształ przezeń.

Pień gwałtownie ożył i rozwarł olbrzymie szczęki tuż pod jego stopami. Strzelił na ślepo, naciskając spust przez jakieś trzy sekundy. Stwór znikł. Dixon zakrzuszył się, zachwiał i nieoczekiwanie ześliznął do powstałego dopiero co dołu. Runął ciężko, wykręcając kostkę. Psy otoc z yły natychmiast dół, kłapiąc zębami i warcząc.

“Tylko spokojnie, Dixon...” - powiedział do siebie. Dwoma strzałami unicestwił bestie na krawędzi leju i spróbował wdrapać się na powierzchnię. Ale ściany dołu były zbyt strome i śliskie jak szkło.

Wściekle próbował raz po raz, lekkomyślnie szafując siłami. Nagle zatrzymał się i zmusił do zastanowienia. BRON wtrąciła go do tej dziury i BRON musi go teraz z niej wydobyć.

Po chwili zastanowienia wyciął pistoletem płytkie stopnie w ścianie i boleśnie utykając wy dostał się na powierzchnię.

Lewa noga z trudem unosiła ciężar ciała. Jeszcze gorszy był ból w ramieniu. “Pewnie złamał je ten cholerny konar” - pomyślał podpierając się jak kulą kawałkiem grubej gałęzi, pakuśtykał dalej.

Po chwili psy znowu zaatakowały. Zniszczył je, ale BRON w dłoni robiła się coraz cięższa.

Ścierwoptaki opuściły się w dół, by zabrać się za resztki zręcznie skoszonych bestii. Dixon czuł,

jak gdzieś w granice świadomości zaczyna wdzierać się mrok. Powstrzymał go cała siła woli. Nie wolno teraz osłabnąć teraz, kiedy wokoło byty bestie.

Widział już statek. Ruszył niezdarnym biegiem. I wtedy TO poczuł.

Było na nim kilka psów.

Wypalił bez zastanowienia, tnąc je w pół, usuwając z siebie, dokładnie pół cala od ciała - aż do stóp. Znow ruszył.

“Ależ broń - pomyślał. - Niebezpieczna dla wszystkich, włącznie z właścicielem”. Chciałby mieć w rękach jej wynalazcę.

Pomyśleć tylko: wynaleźć bezgłośną broń!

Dotarł do statku. Podczas gdy mocował się ze śluzą powietrzna, zewsząd otoczyły go psy.

Zdezintegrował dwa najbliższe i z trudem wgramolił się do wnętrza. Ciemność, która doń podpełzła, była coraz bliżej - odczuwał już mdłości, chwytające go skurczami za gardło.

Ostatkiem sił zatrzasnął śluzę i opadł na podłogę.

Wreszcie bezpieczny.

Nagle usłyszał niskie pokaszliwanie. Wraz z nim do wnętrza dostał się jeden z psów.

Ramię było już zbyt słabe, by podnieść ciężka BRONĀ, ale powoli zaczął ją unosić. Pies był ledwie widoczny w słabo oświetlonym statku... Skoczył na niego.

W porywie przerażenia przemknęło mu przez głowę, że nie starczy mu już sił, by nacisnąć spust.

Bestia była już przy jego gardle. Chyba tylko podświadomy odruch nakazał Dixonowi zacisnąć rękę.

Pies zaskowyczał i zapadła cisza. Dixon stracił przytomność...

Kiedy powróciła świadomość, leżał przez dłuższy czas, delektując się jedynie radością pozostania wśród żywych. Odpoczywał kilka minut. Potem porzucił w myślach to wszystko - był z dala od obecnej planety. Powrócił do ziemskiego baru. Wlaż tam, by zdrowo wypić. A potem udał się na

poszukiwanie tego cholernego wynalazcy i wepchał jego BRON do gardła.

Tylko skończony maniak mógł wynaleźć pistolet bez huk.

Ale na to przyjdzie czas później. Teraz wszystko już było w porządku. Przyjemnie pozostawać przy życiu, leżeć w świetle słońca, rozkoszując się...

W świetle s ł o Ń c a? Wewnątrz kosmicznego statku?

Usiadł. Na stopie leżał ogon i jedna łapa psa. Przed nim, wycięty w pancerzu rakiety, widniał interesujący zygzak. Był szeroki na jakieś trzy cale i długi na cztery stopy. Przesączało się przezeń słoneczne światło. Na zewnątrz przysiadły na łapach cztery psy i z uwaga zaglądały do środka.

Musiał poharatać pancerz, kiedy strzelał do ostatniego psa.

Wtem dostrzegł również inne szczeliny w pancerzu. Kiedy to się stało? Och - tak! Kiedy torował sobie drogę powrotną do statku - to te ostatnie sto jardów. Kilka strzałów musiało wtedy dosięgnąć rakiety.

Wstał, by obejrzeć zniszczenia. "Schludna robota" - pomyślał ze spokojem, który towarzyszy czasem hysterii. "Tak, sir. To dopra wdy niezwykle solidna robota".

Pęknięte były także przewody sterowania. To stało się w miejscu, gdzie kiedyś było radio. Poza tym udało mu się jednym wystrzałem zniszczyć zbiorniki tlenu i wody - niezły rezultat strzelecki. I wreszcie - no tak, stało się, co się stać powinno - sprytny, chytry strzał przeciął przewody paliwowe. Cały zapas paliwa posłuszny prawu grawitacji wyciekł, tworząc wokół statku sadzawkę, która z wolna wsiąkała w grunt.

"Nieźle jak na faceta, który nawet tego nie chciał - pomyślał Dixon na skraju szaleństwa. - Palnikiem nie można by lepiej".

W gruncie rzeczy nie udałoby mu się tego dokonać palnikiem. Pancerze statku były na to zbyt twarde. Ale nie były zbyt twarde dla małej pocziwej nigdy-nie-chybiającej BRONI.

W rok później, kiedy Dixon nadal nie dawał znaku życia, zdecydowano wysłać na planetę inny

statek. -Chciano mu sprawić porządny pogrzeb. Przy okazji noszono się z zamiarem odszukania i przywiezienia z powrotem prototypu dezintegratora. Pod warunkiem, że udałoby się go o czywiście odszukać.

Statek ratunkowy wylądował tuż obok statku Dixona. Załoga z zainteresowaniem oglądała pocięty i zdemolowany statek.

- Jacyś faceci nie bardzo wiedzieli, jak się obchodzić ze spluwą - powiedział inżynier.

- Fakt - przytaknął główny pilot. Od strony puszczy doszły ich jakieś głuchoe odgłosy. Pospieszyli tam, by stwierdzić, że Alfred Dixon nie zginął. Był najzupełniej żywy i podśpiewując sobie właśnie pracował.

Zbudował drewniana chałupę, wokół której założył sobie ogród z jarzynami. Ogród otaczała drewniana palisada. Kiedy podeszli, Dixon wbijał właśnie świeży kołek na miejsce starego, zbutwiałego.

Jak było do przewidzenia, jeden z ludzi krzyknął:

- Dixon, więc żyjesz!

- Cholerna prawda! - powiedział Dixon. - Pospieszcie się, chłopcy, tymczasem, zanim skończę tę palisadę. Te psy to diabelnie brutalne bestie. Ale nauczyłem je odrobiny respektu!

Uśmiechnął się i wskazał na oparty obok - w zasięgu ręki - łuk, sporządzony z podsuszonego, sprężystego drzewka. Przy nim znajdował się kołczan pełen strzał.

- Tak, nauczyły się respektu - kiedy tylko ujrzały, jak kilku ich towarzyszy goni ze strzałami w bokach!

- Ale BRON ! - wykrzyknął główny pilot.

- Ach BRON... - powiedział Dixon z radosnym błyskiem w oczach. - Czy mógłbym bez niej przeżyć?

Wrócił do przerwanej pracy. Nowy pał wbijał ciężką, gładką rękojeścią BRONI.

przekład : Krzysztof Malinowski

Bilet na Tranai

Pewnego pięknego czerwcowego dnia wysmukły, skromnie odziany, młody człowiek wkroczył zdecydowanie do biur Agencji Podróży Transstellarnych. Przemaszerował obok jaskrawego plakatu reklamującego Dożynki na Marsie nie rzuciwszy nań nawet okiem. Nie zwrócił uwagi na gigantyczny fotofresk z płaszącymi gajami Traganium. Zignorował dwuznaczne nieco malowidło obrazujące rytuały pierwotne na Opiuchusie II i podszedł do biurka urzędnika z działu rezerwacji.

- Chciałbym zabukować przelot na Tranai - oznajmił młodzian.

Urzędnik zamknął swój egzemplarz "Niezbędnych Wynalazków" i zadumał się.

- Tranai? Tranai? Czy to nie jeden z księżyców Kenta IV?

- Nie - odparł młody człowiek. - Tranai to planeta krążąca wokół słońca o tej samej nazwie.

Chciałbym zarezerwować tam przelot.

- Nigdy o niej nie słyszałem - urzędnik zdjął katalog gwiazd, uproszczoną mapę gwiazdną i egzemplarz "Drugorzędnych Tras Kosmicznych". - No, tak - oświadczył w końcu. - Każdego dnia można się czegoś nauczyć. Chce więc pan zarezerwować lot na Tranai, panie...

- Goodman. Marvin Goodman.

- ...panie Goodman. Cóż, wygląda na to, że ta Tranai jest najdalszym od Ziemi miejscem, jakie można osiągnąć nie opuszczając Drogi Mlecznej. Nikt tam nie bywa.

- Wiem. Czy może mi pan załatwić przelot? - zapytał Goodman, a w jego głosie pobrzmiwała nuta hamowanego podniecenia.

Urzędnik pokręcił głową.

- Nie ma szans. Nawet nonskedy nie latają tak daleko.

- A dokąd może mnie pan dowieźć?

Urzędnik obdarzył go zwycięskim uśmiechem.

- Po cóż się przejmować? Mogę wysłać pana do świata, który ma to wszystko, co tamta planetka, a bije ją bliskością, niższymi kosztami, przyzwoitymi hotelami, wycieczkami krajoznawczymi...

- Chcę lecieć na Tranai - oświadczył Goodman nieugięcie.

- Ale nie ma sposobu, żeby tam dotrzeć - wyjaśniał urzędnik cierpliwie. - Cóż spodziewa się pan tam znaleźć? Może mógłbym pomóc.

- Może mi pan pomóc rezerwując bilety aż do...

- Czy chodzi o przygodę? - pytał urzędnik, wyciągając wnioski z nieatletycznej postury

Goodmana i jego uczenie przygarbionych pleców. - Pozwoli więc pan, że zasugeruję Africanusa II, prymitywny glob rojący się od dzikich plemion, tygrysów szablatozębnych, ludożerczych paproci, grzędawisk, aktywnych wulkanów, pterodaktyli i w ogóle wszystkiego. Ekspedycje wyruszające z Nowego Jorku co pięć dni łączą w sobie maksimum ryzyka i absolutne bezpieczeństwo.

Gwarantowany łeb dinozaura albo zwracamy pieniądze.

- Tranai - rzekł Goodman.

- Hmm - urzędnik obrzucił szacującym spojrzeniem zaciśnięte usta i bezkompromisowe oczy

Goodmana. A może jest pan znudzony purytańskimi ograniczeniami naszej Ziemi? W takim razie

niech mi wolno będzie zaproponować wycieczkę na Almagordo III, Perłę Południowego Pasa

Granicznego. Nasz dziesięciodniowy, uwzględniający wszelkie koszty, program obejmuje

zwiedzanie tajemniczej Kazby Almagordyjskiej, wizyty w ośmiu klubach nocnych (stawiamy

pierwszą kolejkę!), odwiedziny w fabryce cyntalu, gdzie po fenomenalnie okazjnych cenach może

pan nabyć oryginalne paski cyntalowe, buty i pantofle, oraz w dwóch gorzelniach. Dziewczęta z

Almagordo są piękne, pełne werwy i odświeżająco naiwne. Uważają Turystę za najdoskonalszą i

najbardziej pożądaną formę istoty ludzkiej. A więc...

- Tranai - powtórzył Goodman. - Jak daleko może mnie pan wyprawić?

Sposępniały urzędnik wydobył bloczek biletów.

- "Królową Konstelacji" dotrze pan na Legis II i tam przesiądzie się pan na "Chwałę Galaktyki", która zabierze pana na Oume. Tam łapie pan statek lokalny, który po międzyładowaniach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Ostrydze wysadza pana na Tung-Bradard IV, o ile, rzecz jasna, nie rozleci się po drodze. Nonsked wywiezie pana za Wir Galaktyczny (jeśli zdoła się przebić) na Aloonsridgię, skąd pocztowcem poleci pan na Bellismoranti. Sądzę, że ten pocztowiec wciąż jeszcze kursuje. I w ten sposób będzie pan mniej więcej w połowie drogi. Później może pan liczyć tylko na siebie.

- Znakomicie - rzekł Goodman. - Czy zdoła mi pan przygotować dokumenty na dzisiejsze popołudnie?

Urzędnik przytaknął.

- Panie Goodman - zapytał z rozpaczą - jakiego rodzaju miejscem ma być ta Tranai?

Goodman uśmiechnął się anielsko.

- Utopią - powiedział.

Większą część swojego życia Marvin Goodman przeżył w stanie New Jersey, mieście Seakirk, przez blisko pięćdziesiąt lat kontrolowanym to przez jednego politycznego bossa, to przez drugiego.

Większość mieszkańców tego miasta obojętna była na korupcję w sferach wysokich i niskich; na wojny gangów, hazard, alkoholizm nieletnich i przyzwyczajona do widoku niszczących ulic, trzaskających ze starości zbiorników wodnych, do psujących się elektrowni i rozpadających się wiekowych domów, gdy bossowie budowali coraz okazalsze rezydencje, dłuższe baseny i cieplejsze stajnie. Ludzie do tego przywykli. Ale nie Goodman.

Urodzony krzyżowiec, pisał artykuły programowe, których nie drukowano, i listy do Kongresu, których nie czytano, agitował za uczciwymi kandydatami, których nie wybierano, i organizował Ligę Uzdrawienia Społecznego Obywateli Przeciw Gangsteryzmowi, Unię Obywatelską na Rzecz

Uczciwych Sił Policyjnych, Stowarzyszenie przeciw Hazardowi, Komitet Równych Szans Zawodowych dla Kobiet i dziesiątki innych.

Nic nie wynikało z jego wysiłków. Ludzie byli zbyt apatyczni, żeby się przejmować.

Skorumpowani politycy po prostu wyśmiewali go, a czegoś takiego Goodman znieść nie potrafił. A potem, jakby tego było mało, narzeczona porzuciła go dla hałaśliwego młodzieńca w sportowej kurtce, którego jedyną pozytywną cechą było posiadanie pakietu kontrolnego w Seakirk Construcion Corporation.

Był to cios dobijający. Dziewczyna zdawała się nieporuszona faktem, że SCC używała do produkcji cementu nieproporcjonalnie dużych ilości piasku i zaniżała jakość swych stalowych dźwigarów. Jak to ujęła:

- Wielkie mecyje, Marvie, no i co z tego? Takie jest życie. Musisz być realistą...

Goodman nie miał zamiaru być realistą. Niezwłocznie udał się do Eddie's Moonlight Bar, gdzie między jednym drinkiem a drugim jął kontemplować powab szałasów z trawy w zielonym piekle Wenus.

Do baru wkroczył wyprostowany mężczyzna o orlim obliczu. Jego krępowany grawitacją krok, jego bladość, blizny radiacyjne i przenikliwe szare oczy powiedziały Goodmanowi, że jest kosmolem.

- Pospieszny na Tranai, Sam - rzekł barmanowi stary podróżnik.

- Ahoj, już leci, kapitanie Savage - odparł barman.

- Tranai? - wyszeptał Goodman mimowolnie.

- Tranai - potwierdził kapitan. - Nigdyś o niej nie słyszał, synku, co?

- Nie, panie kapitanie - wyznał Goodman.

- Ano, synku - rzekł kapitan Savage - zbiera mi się dziś na gadanie, więc ci opowiem o Tranai

Błogosławionej, hen, za Wirem Galaktycznym.

Zamgliły się oczy kapitana, a uśmiech złagodził ostry zarys jego ust.

- Żelaznymi ludźmi w stalowych statkach byliśmy w owe dni. Ja, Johnny Cavanaugh i Żaba Larsen do samego piekła byśmy polecieeli po nieduży ładunek terganium i jeszcze Belzebuba porwali na jungę, gdyby nam ludzi brakowało. To były dni, gdy kosmiczny skorbut zabierał co trzeciego człowieka, a duch Wielkiego Dana Mc'Clintocka straszył na szlakach. Moll Gann wciąż prowadziła Tawernę pod Czerwonym Kogutem na Asteroidzie 342-AA, żądając pięciuset dolców za kufelek piwa i dostając je, jako że w promieniu dziesięciu miliardów mil innej knajpy nie było. W owych dniach Gnojniki wciąż rznąły na Gwiezdnej Grani i statki na Prodigenum musiały przechodzić przez Szpaler Łamigrzbietów. Więc możesz sobie wyobrazić, synku, jakem się czuł, gdy pewnego pięknego dnia trafiłem na Tranai.

Goodman słuchał, a stary kapitan kreślił obraz wielkich dni, wątych statków przeciwko żelaznemu niebu, statków mknących w dal, zawsze w dal, ku najodleglejszym granicom Galaktyki. I tam, na skraju Wielkiej Nicości, była Tranai.

Tranai, gdzie znaleziono Sposób, a ludzie nie byli już wprzężeni w Kierat. Tranai Przeobfita, spokojna, twórcza, szczęśliwa społeczność - nie świętych, nie ascetów ani też intelektualistów, ale zwykłych ludzi, którzy osiągnęli utopię.

Przez godzinę mówił kapitan Savage o wielokształtnych cudach Tranai, skończywszy zaś opowieść, pożałił się, że w gardle mu wyschło. Próżniowe gardło, tak to nazwał, i Goodman zamówił dlań następnego pospiesznego na Tranai i jednego dla siebie. Pociągając egzotyczną szarozieloną miksturę Goodman również zatonął w marzeniach.

W końcu, bardzo delikatnie, zapytał:

- Dlaczego pan tam nie wraca, kapitanie?

Starzec potrząsnął głową.

- Kosmischias. Jestem uziemiony na dobre. W tamtych czasach nie wiedzieliśmy zbyt wiele o

nowoczesnej medycynie. Nadają się tylko do ziemskiej roboty.

- Czym się pan zajmuje?

- Jestem brygadzystą w Seakirk Construcion Company - westchnął kapitan. - Ja, którym dowodził pięćdziesięciodyszowym kliprem! Sposób, w jaki ci faceci robią cement... Cóż, przelecimy jeszcze po maluchu na cześć pięknej Tranai?

Przelecieli po kilka. Gdy Goodman opuszczał bar, decyzja była powzięta. Gdzieś we wszechświecie znaleziono modus vivendi, praktyczne rozwiązanie odwiecznego marzenia człowieka o doskonałości.

Nie zadowoli się niczym pomniejszym.

Następnego dnia rzucił swą pracę projektanta w East Coast Robot Works i podjął z banku oszczędności całego życia.

Wyruszał na Tranai.

"Królową Konstelacji" poleciał na Legis II, gdzie złapał "Chwałę Galaktyki" na Oume. Po międzyładowaniach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Ostrydze - posępnych planetkach - osiągnął Tung-Bradard IV. Bez przygód minął Wir Galaktyczny i dotarł w końcu do Bellismoranti, gdzie kończyły się wpływy Ziemi.

Za niebotyczne wynagrodzenie lokalna linia kosmiczna przewiozła go na Dvasta II, stąd zaś frachtowiec zabrał aż za Seves, Olgo i Mi na podwójną planetę Mvanti. Tu ugrzązł na trzy miesiące, wykorzystując czas na hipnopedyczny kurs języka tranajskiego. Wynajął w końcu nielicencjonowanego pilota i ten dostarczył go na Dinga.

Na Dingu aresztowano go jako higastomerytrejskiego szpiega, zdołał jednak zbiec i w ładowni rakiety przewożącej rudę dotrzeć na g'Moree, gdzie poddał się kuracji w związku z odmrożeniami, porażeniem termicznym i powierzchownymi poparzeniami radiacyjnymi, załatwił wreszcie przelot na Tranai.

Nie wierzył własnemu szczęściu, gdy przemknąwszy obok księżyców Doe i Ri statek wylądował w Port Tranai.

Kiedy otworzyły się śluzy, Goodman znajdował się w stanie całkowitej depresji. Było to w części poczucie zawodu, nieuniknione po takiej podróży, jaką przeżył, co więcej jednak, Goodman przeraził się nagle, że Tranai może okazać się humbugiem.

Przemierzył Galaktykę zawierzywszy gawędzie starego kosmola, która teraz nie brzmiała aż tak prawdopodobnie.

Wysiadł. Port Tranai wydawał się miastem nader przyjemnym. Ulice były ludne, a w sklepach piętrzyły się stosy towarów. Tubylcy, których mijał, wyglądali jak zwykli ludzie w jakimkolwiek innym świecie, a niewiasty były wręcz atrakcyjne.

Było tu jednak coś dziwnego, coś subtelnie, a przecież zdecydowanie złego, coś innego.

Potrzebował chwili, by to określić.

Zdał sobie sprawę, że na każdym dziesięciu mężczyzn w polu widzenia przypada tylko jedna kobieta. I, co jeszcze dziwniejsze, każda z nich miała albo mniej niż osiemnaście, albo więcej niż trzydzieści pięć lat.

Cóż stało się z kobietami w grupie wiekowej osiemnaście-trzydzieści pięć lat? Czy jakieś tabu broni im ukazywania się w miejscach publicznych? Czy może wytrzebiła je epidemia?

Musi tylko poczekać, a wszystkiego się dowie.

Podążył do Gmachu Idriga, gdzie skupiały się wszystkie tranajskie agendy rządowe, i zaanonsował się w biurze Ministra do Spraw Obywateli Innych Planet. Poproszono go natychmiast. Biuro było małe i zagracone, a na tapetach widniały osobliwe niebieskie plamy. Goodmana uderzył fakt, że na ścianie złowieszczo wisiała wielkokalibrowa strzelba wyposażona w tłumik i lunetę. Nie miał czasu zastanowić się nad tą kwestią, minister bowiem porwał się z krzesła i jął dziarsko potrząsać jego dłonią.

Minister był tłustym, wesołym panem w wieku jakichś pięćdziesięciu lat. Na szyi miał mały medalion ozdobiony herbem Tranai - błyskawicą przecinającą ziarno zboża. Goodman wysunął poprawny wniosek, że to insygnium jego urzędu.

- Witamy na Tranai - oświadczył minister serdecznie. Zrzucił z krzesła stos papierów i gestem poprosił Goodmana, by usiadł.

- Panie ministrze - zaczął Goodman w formalnej tranajszczyźnie.

- Den Melith się nazywam. Mów mi Den. Jesteśmy tu dość nieoficjalnie. Połóż stopy na biurku i czuj się jak u siebie. Cygaro?

- Nie, dziękuję - odparł nieco stropiony Goodman. - Panie... aaa... Den, przybyłem z Terry, planety, o której musiałeś słyszeć.

- Jasne, słyszałem - rzekł Melith. - Nerwowe, zatłoczone miejsce, prawda? Bez urazy, rzecz jasna.

- Rzecz jasna. Takie właśnie jest i moje zdanie. Powód, dla którego tu przybyłem... - Goodman zawahał się, mając nadzieję, że jego słowa nie zabrzmiały humorystycznie. - Cóż, słyszałem o Tranai pewne historie. Wydają się niedorzeczne, gdy o nich teraz myślę. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zapytać...

- Pytaj, o co chcesz - wtrącił Melith wylewnie. Dostaniesz uczciwą odpowiedź.

- Dzięki. Słyszałem, że na Tranai od czterystu lat nie było nic w rodzaju wojny.

- Od sześciuset - poprawił go Melith. - I żadnej w polu widzenia.

- Ktoś mi mówił, że na Tranai nie ma przestępczości.

- Absolutnie żadnej.

- A w związku z tym nie ma policji, sądów, sędziów, szeryfów, katów, kuratorów, agentów rządowych. Ani też więzień, domów poprawczych czy innych miejsc odosobnienia.

- Nie potrzebujemy ich - wyjaśnił Melith - nie ma bowiem przestępstw.

- Mówiono mi - rzekł Goodman - że na Tranai nie ma ubóstwa.

- Ja przynajmniej o nim nie słyszałem - odparł Melith radośnie. - Czy jesteś pewien, że nie masz ochoty na cygaro?

- Nie, dziękuję - podniecony Goodman pochylił się do przodu. - Rozumiem więc, że osiągnęliście stabilną ekonomię nie uciekając się do praktyk socjalistycznych, komunistycznych, faszystowskich ani też biurokratycznych?

- Oczywiście - rzekł Melith.

- Że obowiązuje u was wolna gra sił społecznych, rozkwitają inicjatywy indywidualne, a funkcje rządowe sprowadzone zostały do absolutnego minimum?

Melith przytaknął.

- Ogólnie rzecz biorąc, rząd zajmuje się drobnymi kwestiami porządkowymi, opieką nad ludźmi w podeszłym wieku, upiększaniem krajobrazu.

- Czy to prawda, że odkryliście sposób rozdziału dóbr bez uciekania się do interwencji administracyjnej, a nawet bez systemu podatkowego, sposób oparty w całości na wyborze indywidualnym? - rzucił Goodman wyzywająco.

- Och, tak, absolutnie.

- A czy jest także prawdą, że korupcja nie dotknęła tranajskich instytucji rządowych żadnego szczebla?

- W istocie - rzekł Melith. - I przypuszczam, że właśnie z tego powodu mamy takie kłopoty w znajdowaniu ludzi, którzy chcieliby sprawować urzędy publiczne.

- A więc kapitan Savage mówił prawdę?! - wrzasnął Goodman, przestając nad sobą panować. - To jest utopia!

- Nam się tu podoba - powiedział Melith.

Goodman głęboko zaczerpnął powietrza i spytał:

- Czy mogę tu u was pozostać?

- Czemu nie? - Melith wyciągnął formularz. - Nie mamy ograniczeń imigracyjnych. Powiedz, jaki jest twój zawód.

- Na Ziemi byłem projektantem robotów.

- Masa możliwości w tej branży. - Melith zaczął wypełniać formularz. Jego pióro zrobiło kleksa.

Minister rzucił nim obojętnie o ścianę; pióro roztrzaskało się zdobiąc tapetę kolejną plamą.

- Wypełnimy ten dokument jakimś innym razem rzekł. - Teraz nie jestem w nastroju.

Opadł na oparcie krzesła.

- Pozwól, że dam ci jedną radę. Czujemy tu, na Tranai, żeśmy się bardzo przybliżyli do tej, jak ją nazywasz, utopii. Ale nasza państwowość nie jest wysoce zorganizowana. Nie mamy skomplikowanego kodeksu praw. Żyjemy przestrzegając kilku niepisanych praw czy, jak ty byś powiedział, zwyczajów. Poznasz ich naturę. I oto moja jedyna rada - choć z całą pewnością nie rozkaz - przestrzegaj ich.

- Będę to robił! - wykrzyknął Goodman. - Mogę pana zapewnić, sir, że nie mam zamiaru zagrozić jakiemukolwiek elementowi waszego raj.

- Och, nie martwiłem się o nas - odparł Melith z pełnym zaskoczenia uśmiechem. - Miałem na względzie twoje bezpieczeństwo. Być może moja żona będzie mieć dla ciebie inne rady.

Wcisnął wielki guzik na swym biurku. Natychmiast ukazała się niebieskawa mgła. Mgła poczęła się skupiać i po chwili Goodman dostrzegł przed sobą przystojną młodą kobietę.

- Dzień dobry, mój drogi - powiedziała do Melitha.

- Zbliża się wieczór - poinformował ją Melith. Moja droga, ten młody człowiek przybył aż z Ziemi, żeby zamieszkać na Tranai. Udzieliłem mu zwykłej rady. Czy moglibyśmy uczynić dla niego coś jeszcze?

Pani Melith rozmyślała przez moment, a potem spytała Goodmana:

- Czy jesteś żonaty?

- Nie, psze pani - odparł Goodman.

- W takim razie powinien poznać miłą dziewczynę - powiedziała pani Melith do męża. -

Starokawalerstwo, choć, oczywiście, nie wzbronione, nie jest na Tranai mile widziane. Niech pomyślę... Co powiesz o tej ładniutkiej dziewczynie Drigantich?

- Zaręczona - rzekł Melith.

- Naprawdę? Czyżbym aż tak długo była w stazie? Mój drogi, to nieładnie z twojej strony.

- Byłem zapracowany - powiedział Melith przeprasząco.

- A Mihna Vensis? - Nie w jego typie.

- Janna Vley?

- Doskonała! - Melith puścił do Goodmana oko. - Niezmiernie atrakcyjna młoda dama. - Znalazł

na biurku inne pióro, zapisał adres i wręczył go Goodmanowi. - Moja żona powiadomi ją telefonicznie, by jutro spodziewała się twojej wizyty.

- I wpadnij któregoś wieczoru na kolację - dodała pani Melith.

- Z rozkoszą - odparł kompletnie otumaniony Goodman.

- Miło było cię poznać - rzekła pani Melith.

Jej mąż wcisnął czerwony guzik. Uformowała się niebieska mgła i pani Melith zniknęła.

- Muszę już zamykać - powiedział Melith zerknąwszy na zegarek. - Ludzie mogą zacząć gadać,

jeśli będą pracować po godzinach. Wpadnij któregoś dnia, to wypełnimy te formularze. I

powinieneś odwiedzić też Najwyższego Prezydenta Borga w Dworzyszczu Narodowym. A może on do ciebie wpadnie. Tylko nie pozwól, żeby ten stary lis coś na ciebie zwałił. I nie zapomnij o Jannie.

Mrugnął szelmowsko i odprowadził Goodmana do drzwi.

Po chwili samotny Goodman znalazł się na chodniku. Dotarł do utopii, powiedział sobie,

prawdziwej, oryginalnej, namacalnej utopii.

Ale były w niej sprawy bardzo zagadkowe.

Goodman zjadł obiad w małej restauracyjce i zameldował się w pobliskim hotelu. Dziarski boy zaprowadził go do pokoju, gdzie Goodman bezzwłocznie rozciągnął się na łóżku. Tarł z wysiłkiem oczy, próbując uporządkować wrażenia. Tak wiele przeżył i to wszystko w ciągu jednego dnia! I tak wiele spraw zbijało go z tropu. Proporcja mężczyzn do kobiet, na przykład. Zamierzał spytać o to Melitha.

Ale Melith mógł nie być najwłaściwszym człowiekiem, miał bowiem kilka osobliwych cech. Jak rzucanie o ścianę piórem. Czy był to postępek godny dojrzałego, odpowiedzialnego urzędnika? A żona Melitha...

Goodman wiedział, że pani Melith przybyła z derrsinoowego pola stazy; rozpoznał charakterystyczną błękitną mgłę. Derrsinu używano również na Ziemi. Bywały niekiedy uzasadnione powody medyczne, by zawiesić wszelką aktywność, wszelki rozwój, wszelki rozkład. Wyobraźmy sobie, że pacjent rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś serum, które można sprokurować tylko na Marsie. Cóż prostszego, jak pogrążyć go w stazie aż do chwili, gdy lek będzie mógł przybyć?

Ale na Ziemi polem mógł operować tylko licencjonowany lekarz. Za nieuzasadnione użycie groziły kary.

Nigdy nie słyszał o trzymaniu w tym polu żony.

A przecież, gdyby wszystkie tranajskie żony przetrzymywano w stazie, jasny stałby się powód nieobecności grupy wiekowej osiemnaście-trzydzieści pięć, a także proporcji liczbowej mężczyzn i kobiet.

Ale jakie było źródło owego technologicznego czarzaflu?

I coś jeszcze leżało Goodmanowi na sercu, coś mało istotnego, lecz mimo to niepokojącego.

Strzelba na ścianie Melitha.

Czy polował nią na zwierzynę łowną? Musiałaby to być w takim razie nader wielka zwierzyna.

Strzelectwo sportowe? Nie z lunetką. I po co tłumik? Dlaczego trzymał broń w swoim biurze?

Były to wszakże kwestie drobne, uznał Goodman; małe lokalne idiosynkrazje, które staną się dlań jasne, gdy pożyje na Tranai dłużej. Nie może przecież oczekiwać, że pojmie natychmiast i całkowicie coś, co jest w końcu obcą planetą.

Zapadał właśnie w drzemkę, gdy usłyszał stukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołał.

Mały człowieczek o szarej twarzy wślizgnął się pospiesznie do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Jesteś tym człowiekiem z Ziemi, nieprawdaż?

- Istotnie.

- Wykombinowałem sobie, że tu będziesz - rzekł mały człowieczek z uśmiechem zadowolenia. -

Trafiłem w dziesiątkę za pierwszym razem. Chcesz zostać na Tranai?

- Jestem tu na dobre.

- Znakomicie - powiedział przybysz. - Nie miałbyś ochoty zostać Najwyższym Prezydentem?

- Hę?

- Dobra pensja, wygodne godziny, kadencja tylko jednoroczna. Wyglądasz, na typ społecznika - oznajmił człowieczek pogodnie. - No i co powiesz?

Goodman nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Chcesz mi powiedzieć - zapytał z niedowierzaniem - że tak zwyczajnie proponujesz mi najwyższy urząd w kraju?

- Co masz na myśli mówiąc "zwyczajnie"? - podniecił się człowieczek. - Czy sądzisz, że proponujemy Najwyższą Prezydenturę każdemu? Taka oferta to wielki zaszczyt.

- Nie zamierzałem...

- A ty, jako Ziemianin, posiadasz wyjątkowe predyspozycje.

- Czemu?

- Cóż, ogólnie wiadomo, że Ziemianie czerpią z władzy przyjemność. A my, Tranajanie, nie, ot i wszystko. Za dużo kłopotów.

Tak po prostu. Reformatorska krew Goodmana poczęła wrzeć. Mimo całej doskonałości Tranai, było tu jednak miejsce na ulepszenia. Zobaczył nagle siebie jako rządcę utopii, który dokonuje wielkiego dzieła czynienia ideału jeszcze doskonalszym. Ostrożność jednak powstrzymała go przed natychmiastowym wyrażeniem zgody. Może ten facet jest szajbusem.

- Dzięki za propozycję - rzekł Goodman. - Muszę to przemyśleć. Może powinienem porozmawiać z aktualnym beneficjentem i dowiedzieć się czegoś o naturze pracy.

- A jak sądzisz, skąd się tu wzięłem? - zapytał człowieczek. - Jestem Najwyższy Prezydent Borg. Dopiero teraz Goodman dostrzegł oficjalny medalion na szyi gościa.

- Daj mi znać, gdy podejmiesz decyzję. Będę w Dworzyszczu Narodowym. - Uścisnął dłoń i wyszedł.

Goodman odczekał pięć minut, a potem zadzwonił na boya.

- Kim był ten człowiek?

- To był Najwyższy Prezydent Borg - odparł boy. - Wzięłeś robotę?

Goodman powoli pokręcił głową. Nagle pojął, że o Tranai musi się jeszcze dowiedzieć w i e 1 e.

Następnego ranka Goodman sporządził alfabetyczną listę rozmaitych fabryk produkujących roboty i ruszył w poszukiwaniu pracy. Ku swemu zdumieniu dostał ją bez najmniejszych problemów w pierwszym miejscu, o które zahaczył. Wielkie Zakłady Robotów Domowych Abbaga zatrudniły go, ledwie zerknąwszy na referencje.

Jego nowy pracodawca, pan Abbag, był niski, miał groźny wygląd, ogromną siwą grzywę i roztaczał aurę ogromnej energii osobistej.

- Cieszę się, że mamy Ziemiannina na pokładzie - rzekł Abbag. - O ile wiem, jesteście ludźmi pomysłowymi, a potrzebujemy tu bez wątpienia pomysłowości... Będę z tobą szczery, Goodman - mam nadzieję, że twój innoplanetarny punkt widzenia przyniesie mi korzyści. Znaleźliśmy się w impasie.

- Czy to problem produkcyjny? - spytał Goodman.

- Pokażę ci. - Abbag powiódł Goodmana przez fabrykę - Tłocznię, Obróbkę Ciepłą, Laboratorium Analiz Rentgenologicznych, Montażownię - do Sali Prób, którą urządzono jak połączenie kuchni z bawialnią. Pod jedną ze ścian stał w szeregu tuzin robotów.

- Wypróbuj jednego - polecił Abbag.

Goodman zbliżył się do najbliższego z robotów i spojrział na jego urządzenia sterujące. Były dość proste. Poddał maszynę standardowemu testowi, jak podnoszenie przedmiotów, zmywanie garnków i patelni, nakrywanie stołu. Reakcje robota były zupełnie poprawne, choć wściekle powolne. Na Ziemi podobną niezdarność wypleniono sto lat temu. Widać tu, na Tranai, byli trochę zacofani.

- Wygląda na dość wolnego - zauważył Goodman ostrożnie.

- Masz rację - rzekł Abbag. - Cholernie wolny. Osobiście myślę - że mniej więcej akurat. Ale Badania Rynku wykazują, że klienci chcą, żeby były jeszcze wolniejsze.

- Hę?

- Zabawne, co? - spytał Abbag smętnie. - Zaczniemy tracić pieniądze, jeśli spowolnimy je bardziej. Popatrz na jego flaki.

Goodman otworzył tylną pokrywę i zatrzepotał powiekami na widok plątaniny kabli. Po chwili zdołał się w nich rozeznąć. Robot zbudowany był tak jak każda nowoczesna, ziemiska maszyna na niedrogich układach scalonych. Ale zainstalowano w nim specjalne przekaźniki spowalniające sygnał, moduły wygłuszające impuls i mechanizmy obniżające napięcie.

- Tylko mi powiedz - gniewnie zapytał Abbag - jak możemy spowolnić go jeszcze bardziej, nie zwiększając jego rozmiaru o jedną trzecią a ceny po dwakroć? Nie mam pojęcia, o jaki rodzaj oddoskonolenia będą się dopominać w najbliższej kolejności.

Goodman próbował przystosować się mentalnie do koncepcji o d d o s k o n a l e n i a maszyny.

Ziemskie fabryki starały się zawsze budować roboty o reakcjach szybszych, sprawniejszych, dokładniejszych. Nigdy nie miał powodu, by kwestionować sensowność tej zasady. I nie znajdował go teraz.

- A jakby tego było mało - skarżył się Abbag plastik, który zsyntetyzowaliśmy dla tego właśnie modelu, akatalizował albo diabli wiedzą co. Popatrz.

Kopnął robota w część brzuszną. Plastik wgiął się jak arkusz cyny. Kopnął ponownie. Plastik wgiął się głębiej, a robot zaczął terkotać i migać patetycznie. Trzeci kopniak roztrzaskał powłokę. Wnętrznosci robota eksplodowały, zaścieraając podłogę.

- Dość tandetny - rzekł Goodman.

- Niewystarczająco tandetny. Powinien się rozpaść od pierwszego kopniaka. Nasi klienci nie będą mieli żadnej satysfakcji z wsadzania im stopy w brzuch przez cały dzień. Ale powiedz, jak niby mam wyprodukować plastik, który zniesie normalną eksploatację - bo nie chcemy, żeby te rzeczy rozpadały się przypadkowo - a jednak rozleci się w kawałki, kiedy klient tego zapragnie?

- Jedną chwileczkę - zaprotestował Goodman. Ustalmy to sobie. Celowo spowalnicie te roboty, by tak irytowały ludzi, że ci je zniszczą?

Abbag uniósł brwi. - Oczywiście!

- Dlaczego?

- Ty j e s t e ś tu nowy - rzekł Abbag. - Wie o tym każde dziecko. To rzecz fundamentalna.

- Będę wdzięczny, jeśli mi wyjaśnisz.

Abbag westchnął.

- Cóż, przede wszystkim, jak wiesz, każdy wynalazek mechaniczny jest źródłem irytacji.

Ludzkość charakteryzuje się głęboką i odwieczną nieufnością wobec maszyn. Psychologowie nazywają to instynktowną reakcją życia na pseudożycie. Zgodzisz się ze mną w tej kwestii?

Marvin Goodman przypomniał sobie całą tę niepokojącą literaturę, jaką czytał - o buntach maszyn, mózгах cybernetycznych przejmujących władzę nad światem, androidach w natarciu i tak dalej. Pomyślał o humorystycznych artykułach i facetach strzelających do swych telewizorów, roztrzaskujących tostery o ścianę, albo "wyrównujących rachunki" z samochodami. Przypomniał sobie też wszystkie kawały o robotach podminowane głęboką wrogością.

- Myślę, że mogę się na to zgodzić - powiedział Goodman. "

- Więc pozwól, że moją tezę ujmę inaczej - rzekł Abbag pedantycznie. - Każda maszyna jest źródłem irytacji. Im lepiej działa, tym bardziej irytuje. Stąd, w konsekwencji, wniosek, że maszyna działająca doskonale jest ogniskiem frustracji, utraty szacunku do siebie, resentymentów bez adresu...

- Chwileczkę! - zaproponował Goodman. - Tak daleko bym się nie posunął!

- ...i schizofrenicznych fantazji - ciągnął nieubłaganie Abbag. - Ale maszyny są nieodzowne w zaawansowanej gospodarce. Najlepszym tedy rozwiązaniem z ludzkiego punktu widzenia jest posiadanie maszyn zawodnych.

- Zupełnie tego nie chwytam.

- To oczywiste. Na Ziemi wasze gadgety pracują na granicy optimum, wywołując uczucie niższości w ludziach, którzy je obsługują. Niestety, macie masochistyczne tabu plemienne, które broni je przed zniszczeniem. Rezultat? Ogólny niepokój w obecności uświęconej i nieludzko sprawnej Maszyny i poszukiwanie obiektu agresji, którym zwykle staje się żona lub przyjaciel. Bardzo żaloszny stan rzeczy. Och, wszystko, jak sędzę, gra w kategoriach produkcji mierzonej w robotogodzinach, ale wcale nie gra w kategoriach perspektywicznie ocenianego zdrowia i

samopoczucia.

- Nie jestem pewien...

- Człowiek to istota niespokojna. U nas, na Tranai, kierujemy niepokój ku temu właśnie punktowi, pozwalając mu służyć jako kanał ujścia także innych frustracji. Facet ma czegoś po uszy - bum! Bierze i kopie swojego robota. Następuje natychmiastowe i terapeutyczne rozładowanie emocji, zyskanie cennego - i niepodważalnego - poczucia wyższości nad zwykłą maszyną, zmniejszenie ogólnych napięć, życiodajny zastrzyk adrenaliny do krwiobiegu, a zarazem impuls dla rozwoju industrializacji Tranai, bo gość niezwłocznie idzie kupić następnego robota. I co on, w końcu, takiego zrobił? Nie stłukł żony, nie popełnił samobójstwa, nie wypowiedział wojny, nie wynalazł nowej broni ani też nie uciekł się do jakiegokolwiek z innych, co pospolitszych, sposobów rozładowania agresji. Po prostu rozwalił taniego robota, którego natychmiast może zastąpić nowym.

- Sądzę, że trochę potrwa, zanim to zrozumiesz przyznał Goodman.

- Jasne, że potrwa. Jestem pewien, że okażesz się tu wartościowym nabytkiem, Goodman.

Przemyśl to, co ci powiedziałem, i pomyśl o jakimś niedrogim sposobie oddoskonalenia tego robota.

Goodman borykał się z tym problemem całą resztę dnia, ale nie mógł tak od ręki przypasować swego myślenia do idei produkowania maszyn coraz gorszych. Była dlań z lekka bluźniercza.

Wyszedł z pracy o siedemnastej trzydzieści, niezadowolony z siebie, ale zdecydowany spisywać się lepiej czy też raczej "gorzej" - zależy od punktu widzenia i uwarunkowań.

Po szybkiej i samotnej kolacji Goodman postanowił odwiedzić Janę Vley. Nie chciał spędzać wieczoru sam na sam ze swymi myślami i czuł rozpaczliwą potrzebę znalezienia w tej skomplikowanej utopii czegoś przyjemnego, prostego i nieskomplikowanego. Może czymś podobnym okaże się ta Janna.

Dom Vleyów znajdował się ledwie o tuzin przecznicy dalej i Goodman postanowił iść na piechotę.

Kłopot zasadniczy polegał na tym, że miał własne wyobrażenie na temat tego, jaka ma być utopia, i trudno mu było tak skorygować własne myślenie, by pasowało do konkretnej sytuacji.

Wyobrażał sobie sielankową scenografię, planetę ludzi, co żyją w małych niezwykłych wioskach, spacerują w powiewnych szatach, są mądrzy, łagodni i rozumiejący. Dzieci, które igrają w złocistym blasku słońca, młódź tańcząca na wioskowym placu...

Śmieszne! Kreślił raczej żywy obraz niż sytuację, serię stylizowanych póz zamiast nieustannego ruchu życia. Ludzie nigdy nie mogliby tak żyć, nawet przyjąwszy, że tego by pragnęli. Bo gdyby mogli, przestaliby być ludźmi.

Dotarł do domu Vleyów i stanął przed nim niezdecydowany. W co się teraz pakuje? Na jakie obce - choć zdecydowanie utopijne - zwyczaje wnet się natknie?

Nieomal zawrócił. Ale perspektywa długiej samotnej nocy w pokoju hotelowym była wyjątkowo niezachęcająca. Zacisnął zęby i zadzwonił.

Drzwi otworzył rudy mężczyzna średniego wzrostu i w średnim wieku.

- Ach, musisz być tym facetem z Ziemi. Janna się szykuje... Wejdz i poznaj żonę.

Powiódł Goodmana do przyjemnie urządzonej bawialni i wcisnął czerwony guziczek w ścianie.

Niebieska mgła derrsinowa nie zaskoczyła tym razem Goodmana. W końcu sposób, w jaki Tranajanie traktowali swoje kobiety, był ich wyłączną sprawą.

Z mgły wyłoniła się przystojna, mniej więcej dwudziestoosmioletnia kobieta.

- Moja droga - rzekł Vley - to jest Ziemianin, pan Goodman.

- Jakże miło pana poznać - powiedziała pani Vley. - Zrobić panu drinka?

Goodman skinął głową. Vley wskazał mu wygodne krzesło. Po chwili pani Vley przyniosła tacę oszronionych napitków i usiadła.

- Więc jest pani z Ziemi - rzekł pan Vley. - Nerwowe, zatłoczone miejsce, prawda? Ludzie bez

przerwy w galopie?

- Tak, chyba tak jest - odparł Goodman.

Ze schodów dobiegł szelest spódnicy. Goodman poderwał się na nogi.

- Panie Goodman, to nasza córka Janna - powiedziała pani Vley.

Goodman dostrzegł z miejsca, że włosy Janny są dokładnie tego samego koloru co supernowa w Circe, oczy mają ten sam głęboki, niewiarygodny błękit jesiennego nieba nad Algo II, że łagodny róż jej ust przypomina smugę odrzutu Scarslotta-Turnera, że jej nos...

Ale tu mu się skończyły porównania astronomiczne, które tak czy owak nie były najodpowiedniejsze. Janna była smukłą i zdumiewająco ładną, jasnowłosą dziewczyną i Goodman doznał nagle poczucia wielkiego zadowolenia, że przemierzywszy Galaktykę dotarł na Tranai.

- Bawcie się dobrze, dzieci - rzekła pani Vley.

- Nie wracaj zbyt późno - powiedział do Janny pan Vley.

Dokładnie tak, jak ziemscy rodzice mówią do swoich dzieci.

W randce nie było nic egzotycznego. Poszli do niedrogiego klubu nocnego, tańczyli, trochę pili i wiele rozmawiali.

Goodman był zaskoczony ich natychmiastowym porozumieniem. Janna zgadzała się ze wszystkim, co mówił. Odkrycie inteligencji w tak ładnej dziewczynie było doznaniem ożywczym.

Wywarły na niej wielkie wrażenie, może nawet ją zafascynowały, niebezpieczeństwa, które przeżył przemierzając Galaktykę. Wiedziała zawsze, że Ziemianie to typy awanturnicze (choć nerwowe), ale ryzyko, jakie podjął Goodman, nie mieściło się w głowie.

Drżała, gdy mówił o śmiertelnie niebezpiecznym Wirze Galaktycznym, i słuchała z szeroko rozwartymi oczami, gdy relacjonował przeprawę przez słynny Szpaler Łamigrzbietów obok krwiożerczych Gnojników, które wciąż wyrzynały się wzdłuż Gwiazdnej Grani i roiły w szatańskich norach Prodigium. Jak to Goodman ujął, Ziemianie byli żelaznymi ludźmi w stalowych statkach,

prowadzącymi zwiad na skrajach Wielkiej Nicości.

Janna nawet się nie odezwała, dopóki Goodman nie powiedział o zapłaceniu pięciuset ziemskich dolarów za szklankę piwa w Czerwonym Kogucie Moll Gan na Asteroidzie 342-AA.

- Musiałeś być bardzo spragniony - rzekła z troską.

- Niespecjalnie - odparł Goodman. - Forsa po prostu nie jest tam tak ważna.

- ...ale czy nie byłoby lepiej ją zaoszczędzić? To znaczy, któregoś dnia możesz mieć żonę i dzieci... - oblała się rumieńcem.

Goodman oznajmił chłodno:

- Cóż, ta część mojego życia jest już skończona. Zamierzam się ożenić i osiąść tu, na Tranai.

- Jak m i ł o! - wykrzyknęła. To był niezwykle udany wieczór.

Goodman odprowadził Jannę do domu o przyzwoitej godzinie i ustalił randkę na jutrzejszy wieczór. Ośmielony swymi opowieściami, pocałował ją w policzek. Nie wyglądało, by miała coś przeciwko temu, ale nie posunął się dalej.

- Więc do jutra - powiedziała i uśmiechnąwszy się doń, zamknęła drzwi.

Odszedł czując zawroty głowy. Janna! Janna! Czy to możliwe, że już jest zakochany? Czemu nie? Miłość od pierwszego wejrzenia była dowiedzioną możliwością i jako taka jest instytucją w zupełności szacowną. Miłość w utopii! Jakże cudownie, że tu, na doskonałej planecie, znalazł doskonałą dziewczynę!

Z cienia wyszedł mężczyzna i zagroził mu drogę. Goodman dostrzegł, że ma na twarzy czarną jedwabną maskę, spoza której nie widać było nic prócz oczu. Dzierżył wielki i potężny z wyglądu blaster, który mierzył nieruchomo w brzuch Goodmana.

- W porząsiu, brachu - rzekł mężczyzna. - Dawaj całą forszę.

- Co? - sapnął Goodman.

- Słyszałeś. Całą forszę. Wręczaj, ale już!

- Nie możesz tego zrobić - rzekł Goodman, za bardzo zbity z tropu, by logicznie myśleć. - Na

Tranai nie ma przestępstw!

- A kto mówi, że są? - zapytał spokojnie mężczyzna. - Po prostu proszę o twoje pieniądze. Dasz mi je grzecznie, czy mam je z ciebie wytrząsnąć?

- Nie unikniesz odpowiedzialności! Zbrodnia nie popłaca!

- Nie bądź śmieszny - rzekł mężczyzna. Ważył w dłoni swój masywny blaster.

- W porządku. Nie denerwuj się. - Goodman wyjął portfel zawierający cały jego majątek i wręczył gotówkę zamaskowanemu.

Mężczyzna przeliczył ją, wyglądając na mile zaskoczonego.

- Lepiej, niż się spodziewałem. Dzięki, brachu. Teraz spokojnie.

Pospiesznie zniknął w mrocznej ulicy.

Goodman dziko rozglądał się za policjantem, aż sobie przypomniał, że na Tranai nie ma policji.

Zobaczył na rogu niewielki cocktail-bar z neonowym napisem Kici Koci Bar. Pognał ku niemu.

Wewnątrz był tylko barman posepnie wycierający szklanki.

- Zostałem obrabowany! - wrzasnął doń Goodman.

- Więc? - rzekł barman, nie podnosząc nawet wzroku.

- Ale myślałem, że na Tranai nie ma przestępstw.

- Bo nie ma.

- Ależ zostałem o b r a b o w a n y!

- Musisz być tu nowy - rzekł barman, spojrzawszy w końcu na Goodmana.

- Dopiero co przybyłem z Ziemi.

- Ziemia? Nerwowe, zatłoczone mie...

- Tak, tak - zgodził się Goodman. Ten stereotyp poczynał go z lekka nużyć. - Ale jak na Tranai może nie być przestępstw, skoro zostałem obrabowany?

- Przecież to jasne. Na Tranai rabunek nie jest przestępstwem.

- Ale rabunek zawsze jest przestępstwem. - Jakiego koloru była jego maska? Goodman zastanawiał się przez chwilę.

- Czarna. Czarny jedwab. Barman skinął głową.

- Więc był rządowym poborcą podatków.

- To śmieszny sposób pobierania podatków - warknął Goodman.

Barman postawił przed Goodmanem Pospieszego na Tranai.

- Spróbuj na to spojrzeć w kategoriach dobra ogólnego. Rząd musi mieć j a k i e ś pieniądze.

Pozyskując je w ten sposób, możemy uniknąć podatku dochodowego z całym jego skomplikowanym aparatem prawnym i ustawodawczym, A znów w kategoriach zdrowia psychicznego jest czymś o wiele lepszym wyciągnięcie pieniędzy w krótkiej, szybkiej i bezlitosnej operacji, niż pozwalanie obywatelowi na całoroczną troskę wynikłą z konieczności płacenia w jakimś określonym terminie.

Goodman pochłonął swojego drinka i barman postawił przed nim następnego.

- Ale - powiedział Goodman - sądziłem, że podstawą tego społeczeństwa są koncepcje wolnej woli i inicjatywy indywidualnej.

- Bo tak jest - odrzekł barman. - I wobec tego rząd, jakkolwiek skromnie się przedstawia, ma takie same prawo do wolnej woli jak każdy prywatny obywatel, nieprawdaż?

Goodman niezupełnie mógł to wszystko pojąć, skończył więc swojego drugiego drinka.

- Mógłbym dostać jeszcze jednego? Zapłacę, jak tylko będę mógł.

- Jasne, jasne - zgodził się barman jowialnie, nalewając po szklaneczce dla siebie i dla Goodmana.

Goodman powiedział:

- Pytałeś mnie, jakiego koloru miał maskę. Dlaczego? - Czarny to kolor masek rządowych.

Prywatni obywatele zakładają białe maski.

- Twierdzisz, że prywatni obywatele również dopuszczają się rabunków?

- No, oczywiście! To nasza metoda rozdania dóbr. Egalitaryzacja dochodu dokonuje się bez interwencji rządu, nawet bez systemu podatkowego, wyłącznie środkami inicjatywy indywidualnej.

- Barman z emfazą skinął głową. - I to też sprawdza się doskonale. Wiesz, rabunek to potężne narzędzie wyrównywania.

- Sądzę, że masz rację - przyznał Goodman, kończąc trzeciego drinka. - Jeśli więc pojmuję cię prawidłowo: każdy obywatel może wsadzić w kieszeń blaster, założyć maskę, wyjść na ulicę i rabować.

- Dokładnie tak - odparł barman. - W pewnych granicach, oczywiście.

Goodman parsknął.

- Mogę zagrać według tych reguł. Mógłbyś pożyczyć mi maskę? I broń?

Barman sięgnął pod ladę.

- Tylko zwróć na pewno. Pamiątki rodzinne.

- Oddam - obiecał Goodman. - A jak wrócę, zapłacę za swoje drinki.

Wsunął blaster za pasek, zakrył twarz maską i wyszedł z baru. Jeśli tak stoją sprawy na Tranai, to on się dostosuje. Obrabowali go, nie? To teraz on im zrabuje, co jego, a nawet z nawiązką.

Znalazł odpowiedni róg ulicy, skulił się w cieniu i czekał. W końcu usłyszał odgłos kroków i wyjrawszy zza rogu dostrzegł tęgiego, dobrze ubranego Tranajczyka spieszącego ulicą.

Goodman zastąpił mu drogę i warknął: - Stój no, brachu!

Tranajczyk zatrzymał się i spojrzał na blaster Goodmana. - Hmm. Używamy szerokolufowego Droga 3, co? Raczej staromodna broń. Jak ci się sprawdza?

- W porządku - odparł Goodman. - Dawaj swoją...

- A jednak mechanizm spustowy jest zbyt powolny - dumiał Tranajczyk. - Osobiście doradzałbym

igłowca Milsa-Sleevena. Tak się składa, że jestem komiwojazerem Rusznikarni Sleeveva.

Mógłbym zaproponować ci bardzo korzystny zakup lub zamianę z dopłatą...

Tęgi Tranajczyk uśmiechnął się.

- Zasadniczym defektem twego Droga 3 jest to, że nie wystrzeli, dopóki nie odwiedzisz kurka. -

Wyciągnął rękę i wytrącił broń z dłoni Goodmana. - Widzisz? I nic w tej sprawie nie mogłeś zrobić. - Zaczął się oddalać.

Goodman podniósł blaster, znalazł kurek, odwiódł go i pogonił za Tranajczykiem.

- Ręce do góry - rozkazał, zaczynając odczuwać lekką desperację.

- Nie, nie, mój dobry człowieku - rzekł Tranajczyk nawet się nie obejrzawszy. - Tylko jedna próba na klienta. Nie można łamać niepisanych praw, kapujesz.

Goodman stał i gapił się, aż mężczyzna skręcił za róg i zniknął. Uważnie sprawdził swego Droga 3 i upewniwszy się, że wszelkie zabezpieczenia są uwolnione, zajął ponownie stanowisko.

Po godzinnym oczekiwaniu znów usłyszał kroki. Mocniej ścisnął blaster. Tym razem zamierzał dokonać rabunku i nic nie mogło go powstrzymać.

- W porządziu, brachu - rzekł. - Łapy do góry! Tym razem ofiarą był niski, krępy Tranajczyk, ubrany w stare ciuchy robocze. Zagapił się na broń w dłoni Goodmana.

- Panie, niech pan nie strzela! - błagał Tranajczyk. To już lepiej! Goodman doznał przyływu głębokiej satysfakcji.

- Tylko się nie ruszać - ostrzegł. - Wszystkie zabezpieczenia odwiedzione.

- Widzę to - rzekł, kuląc się, krępy. - Niech pan uważa z tą armatą, proszę pana. Nawet włoskiem nie ruszam.

- Lepiej, żebyś nie ruszał. Dawaj pieniądze. - Pieniądze?

- Tak, twoje pieniądze i pospiesz się.

- Nie mam żadnych pieniędzy - zaskomlił mężczyzna. - Panie, jestem biedakiem. Nędzarzem.

- Nie ma ńędzy na Tranai - rzekł Goodman sentencjonalnie.

- Wiem, ale można się o nią otrzeć tak blisko, że nie widać różnicy. Niech mi pan da szansę, panie.

- Nie masz żadnej inicjatywy? - zapytał Goodman. - Jeśli jesteś biedny, to dlaczego nie wyjdiesz rabować jak wszyscy inni?

- Po prostu nie miałem możliwości. Najpierw córeczka dostała koklusu i czuwałem przy niej długo w noc. Potem nawalił derrsin, więc przez cały dzień miałem na karku paplającą żonę.

Powiadam, że w każdym domu powinien być zapasowy derrsin! Więc kiedy naprawiono generator, postanowiła posprzątać mieszkanie i wetknęła gdzieś mój blaster, a potem zapomniała gdzie. Więc już się szykowałem, żeby pożyczyć blaster od przyjaciela, gdy...

- Dość - powiedział Goodman. - To jest rabunek i zamierzam c o s ci zrabować. Podaj swój portfel. Mężczyzna żałośnie pociągnął nosem i wręczył Goodmanowi podniszczony portfel. W środku Goodman znalazł jednego diglo, odpowiednik ziemskiego dolara.

- To wszystko, co mam - znów żałośnie pociągnął nosem mężczyzna - ale bierz, daję z serca. Wiem, jak to jest, gdy się stoi całą noc na wietrznym rogu...

- Zatrzymaj to - rzekł Goodman i oddawszy mężczyźnie portfel począł się oddalać.

- Buu, dzięki, proszę pana!

Goodman nie odpowiedział. Strapiony wrócił do Kici Koci Baru i oddał barmanowi blaster i maskę. Gdy wyjaśnił, co zaszło, barman wybuchnął szorstkim śmiechem.

- Nie miał pieniędzy! Człowieku, to najstarszy trik w podręcznikach. Każdy nosi fałszywy portfel na wypadek rabunku - czasem nawet dwa lub trzy. Przeszukałeś go?

- Nie - przyznał się Goodman. - Bracie, ależ z ciebie żółtodziób!

- Chyba masz rację. Posłuchaj, naprawdę zapłacę ci za te drinki, gdy tylko dojdę do jakiejś forsy.

- Jasne, jasne - odrzekł barman. - Lepiej idź teraz do domu i prześpij się trochę. Miałeś pracowitą

noc.

Goodman zgodził się z tym. Znużony wrócił do swego pokoju hotelowego i zasnął natychmiast, gdy jego głowa opadła na poduszkę.

Stawiwszy się w Zakładach Robotów Domowych Abbaga jął się mężnie borykać z problemem oddoskonalania automatów. Ziemska wynalazczość wnet dała o sobie znać.

Goodman począł syntetyzować nowy plastik na powłokę robota. Był to silikon, pochodny silikitu, który pojawił się na Ziemi ładny kawał czasu temu. Miał wszystkie przymioty, jeśli chodzi o twardość, sprężystość, odporność na długą eksploatację; mógł również znieść masę urazów. Ale powłoka rozpadała się natychmiast, i to bardzo spektakularnie, otrzymawszy kopniaka zadanego z siłą trzydziestu funtów lub więcej.

Pracodawca pochwalił Goodmana za to odkrycie, dał gratyfikację (której Goodman rozpaczliwie potrzebował), i polecił nadal pracować nad pomysłem, by jeśli to możliwe, obniżyć pożądaną siłę do dwudziestu trzech funtów. Tak bowiem, zdaniem działu badań, przedstawiały się parametry przeciętnego kopniaka frustracyjnego.

Goodman zajęty był tak bardzo, że praktycznie nie miał czasu, by prowadzić dalsze studia nad tranajskimi obyczajami i nawykami. Zdołał jednak odwiedzić Lokal Obywatelski. Ta jedyna w swoim rodzaju tranajska instytucja mieściła się w małym budynku przy cichej, bocznej uliczce. Wszedłszy, stanął przed wielkim pulpitem, na którym znajdowały się plakietki z nazwiskami i tytułami wszystkich urzędników państwowych Tranai. Obok każdego nazwiska był guzik. Facet z obsługi pouczył Goodmana, że przez naciśnięcie guzika obywatel wyraża dezaprobatę wobec posunięć tego czy innego urzędnika. Naciśnięcie jest natychmiast rejestrowane w Sali Historycznej i stanowi niewymazywalny minus na koncie funkcjonariusza.

Nieletnim, oczywiście, naciskać guzików nie pozwalano.

Goodman uznał ten system za niezbyt efektywny, ale być może, powiedział sobie, oficjele Tranai

są motywowani inaczej niż ich ziemscy koledzy.

Spotykał się z Janną niemal każdego wieczoru i pospołu eksploatowali rozmaite kulturalne "aspekty" Tranai: cocktail-bary, filharmonie, wystawy sztuki, muzea nauki, targi i festiwale.

Goodman nosił blaster i po kilku nieudanych próbach zdołał obrabować kupca z pięciuset diglo.

Janna, jak przystało rozsądnej tranajskiej dziewczynie, wpadła po tym sukcesie w ekstazę i urządzili fetę w Kici Koci Barze. Rodzice Janny zgadzali się, że Goodman sprawia wrażenie człowieka dobrze troszczącego się o środki utrzymania.

Następnej nocy owych pięćset diglo - plus trochę pieniędzy z gratyfikacji Goodmana - zrabował z kolei mężczyzna w przybliżeniu wzrostu i budowy barmana z Kici Koci, posługujący się prehistorycznym Drogiem 3.

Goodman pocieszał się myślą, że pieniądź krąży swobodnie, tak, jak zakłada to system.

Potem przeżył kolejny triumf. Pewnego dnia w Zakładach Robotów Domowych Abbaga wymyślił kompletnie nowy proces produkowania powłoki robota. Rzecz polegała na specjalnym plastiku, odpornym na poważne nawet stuknięcia i upadki. Właściciel robota musiał nosić specjalne buty z wtopionym w obcasy katalizatorem. Gdy kopał robota, katalizator wchodził w reakcję z plastikową powłoką; efekt był natychmiastowy i bardzo przyjemny.

Zrazu Abbag nie był szczególnie przekonany - pomysł wydawał się zbyt karkołomny. Ale chwycił z miejsca i Zakłady Robotów Domowych zaangażowały się marginalnie w branżę obuwniczą, sprzedając przynajmniej jedną parę butów do każdego robota.

Owa horyzontalna ekspansja przemysłowa ukazała się wielce satysfakcjonująca dla akcjonariuszy fabryki i była nawet ważniejsza niż oryginalny wynalazek plastiku i katalizatora. Goodman otrzymał znaczną podwyżkę pensji i hojną premię.

Żeglując na grzbiecie swej triumfalnej fali, oświadczył się Jannie i z miejsca został przyjęty. Jej rodzice sprzyjali związkowi i pozostawało tylko zdobyć oficjalne błogosławieństwo rządu, z

technicznego bowiem punktu widzenia Goodman wciąż był innoplanetałem.

Wziął przeto wolny dzień i powędrował do Gmachu Idriga, by się zobaczyć z Melithem. Był przepyszny wiosenny dzionek, jeden z tych, jakie Tranai ma przez dziesięć miesięcy w roku, i Goodman kroczył lekko i sprężysto. Kochał, robił karierę i rychło miał się stać obywatelem utopii. Oczywiście, utopii przydadzą się pewne zmiany, nawet bowiem Tranai nie jest zupełnie doskonała. Może przyjmie Najwyższą Prezydenturę, by przeprowadzić niezbędne reformy. Ale bez pośpiechu...

- Hej, panie - rozległ się głos. - Nie zbywa panu digło?

Goodman spojrzał w dół i dostrzegł przycupniętego na chodniku brudnego starca w łachmanach, który trzymał cynowy kubek.

- Co? - zapytał Goodman.

- Nie zbywa ci digło, bracie? - powtórzył staruch przy pochlebnie. - Nie dałbyś pan biedakowi na kubek ogło? Od dwóch dni nic nie jadłem, panie.

- To haniebne! Czemu nie weźmiesz Mastera i nie obrabujesz kogoś na ulicy?

- Jestem zbyt stary - zaskomlał tamten. - Ofiary tylko się ze mnie śmieją.

- Czy masz pewność, że nie jesteś po prostu leniwy? - zapytał Goodman surowo.

- Nie jestem, sir! - upewnił go żebrak. - Niech pan tylko spojrzy, jak mi drżą ręce!

Wyciągnął obie brudne łapy: trzęsły się.

Goodman wyjął portfel i wręczył starcowi digło. - Myślałem, że na Tranai nie ma ubóstwa.

Rozumiałem, że rząd zajmuje się ludźmi w podeszłym wieku.

- Bo też się zajmuje - powiedział starzec. - Niech pan spojrzy. - Wyciągnął swój kubek - na jego ścianie wygrawerowany był napis: AUTORYZOWANY ŻEBRAK RZĄDOWY. NUMER DR-43241-3.

- Masz na myśli, że rząd skłania cię do tej roboty?

- Rząd p o z w a l a mi wykonywać tę robotę - wyjaśnił stary. - Żebrowanie jest zajęciem rządowym zarezerwowanym dla wiekowych i upośledzonych.

- Ale to haniebane!

- Musisz być tu obcy.

- Jestem Ziemianinem.

- Aha! Nerwowi, zaganiani ludzie, tacy jesteście, co? - N a s z rząd nie pozwala obywatelom żebrać - oświadczył Goodman.

- Nie? No to co robią starzy? Żyją na łasce dzieci? Czy może siedzą w jakimś domu starców, czekając na śmierć z nudów? Ale nie tu, młodzieńcze. Na Tranai każdemu staremu człowiekowi zapewnia się posadę rządową, która nie wymaga specjalnych umiejętności, choć umiejętności są pomocne. Jedni proszą o pracę pod dachem, w kościołach i teatrach. Inni lubią podniecenie targów i karnawałów. Osobiście wolę robotę na świeżym powietrzu, w słoneczku. Zmusza mnie do umiarkowanego wysiłku, pozwala spotykać wielu dziwnych i interesujących ludzi takich jak ty.

- Ale żebranie?

- A do jakiej innej pracy jestem predysponowany?

- Nie wiem. Ale... ale popatrz na siebie! Brudny, nie myty, w plugawych szmatach...

- To moje ciuchy robocze - wyjaśnił żebrak rządowy. - Powinieneś zobaczyć mnie w niedzielę.

- Masz i inne ubrania?

- Jasne, że mam,- a do tego przyjemne mieszkanko, lożę w operze, dwa roboty domowe i prawdopodobnie więcej forsy na koncie, niż widziałeś w życiu. Miło było z tobą pogadać, młodzieńcze, i dzięki za wsparcie. Ale muszę wracać do pracy, co i tobie bym radził.

Goodman oddalił się, a zerknąwszy przez ramię zaobserwował, że interes żebraka rządowego kwitnie. Ale - żebranie!

Zaiste, coś takiego powinno się ukrócić. Jeśli przyjmie kiedykolwiek Prezydenturę - a jest nader

oczywiste, że powinien - zbada tę kwestię dokładnie.

Miał wrażenie, iż musi być rozwiązanie godziwsze.

W Gmachu Idriga Goodman opowiedział Melithowi o swych planach matrymonialnych.

Minister imigracyjny był pełen entuzjazmu.

- Cudownie, absolutnie cudownie - rzekł. - Rodzinę Vleyów znam od dawna. To wspaniali ludzie. A Janna jest dziewczyną, z której byłby dumny każdy mężczyzna.

- Czy nie ma jakichś formalności, które powinienem był dopełnić? - zapytał Goodman. - Jestem innoplanetą i w ogóle...

- Żadnych, ale to żadnych. Postanowiłem odpuścić wszelkie formalności. Możesz zostać obywatelem Tranai, jeśli tego chcesz, przez prosty akt ustnej deklaracji. Albo możesz zatrzymać obywatelstwo ziemskie i nikt się nie pogniewa. Albo możesz uczynić obie rzeczy na raz - być obywatelem i Ziemi, i Tranai. Jeśli Ziemia nie będzie miała nic przeciwko temu, to my też nie.

- Sądzę, że wolałbym zostać obywatelem Tranai powiedział Goodman.

- To w zupełności zależy od ciebie. Ale jeśli myślisz o Prezydenturze, to przecież możesz zachować status Ziemianina i mimo to objąć urząd. Nie jesteśmy wcale sztywni w tych kwestiach. Jednym z naszych najbardziej udanych Najwyższych Prezydentów był pochodzący od płazów facet z Aquarelli XI.

- Jakże światłe podejście!

- Jasne, dać każdemu szansę, to nasze motto. A teraz co do ślubu - ceremonii może dokonać każdy urzędnik państwowy. Najwyższy Prezydent Borg byłby szczęśliwy mogąc to zrobić dziś po południu, jeśli masz ochotę. - Melith puścił oko. - Stary pierdoła lubi całować panny młode. Ale myślę, że ciebie naprawdę ceni.

- Dziś po południu? - zastanowił się Goodman. - Tak, chciałbym wziąć ślub dziś po południu, jeśli Janna się zgodzi.

- Prawdopodobnie się zgodzi - upewnił go Melith. - Sprawa kolejna: gdzie będziecie mieszkać, jak wrócicie z miodowego miesiąca? Pokój hotelowy byłby raczej nieodpowiedni. - Rozmyślał przez chwilę. - Wiesz, co ci powiem? Mamy mały domek na skraju miasta. Czemu nie mielibyście się tam wprowadzić, nim znajdziecie coś lepszego? Albo zostać na stałe, jeśli się wam spodoba?

- Słowo daję - zaprotestował Goodman - jesteś zbyt hojny.

- Daj sobie spokój. Myślałeś może o tym, żeby zostać następnym ministrem imigracyjnym?

Żadnej biurokracji, krótkie godziny pracy, dobra pensja. Nie? Masz na oku Najwyższą

Prezydenturę, co? Chyba nie mogę ci mieć tego za złe.

Pogrzebawszy w kieszeniach, Melith znalazł dwa klucze.

- Ten od drzwi frontowych, a ten od kuchennych. Adres jest na nich wygrawerowany. Dom ma pełne wyposażenie, w tym fabrycznie nowy generator pola derrsinowego.

- Derrsin?

- Jasne. Dom na Tranai nie jest całkowicie wyposażony, dopóki nie ma generatora derrsinowego pola stazy.

Chrząknąwszy Goodman powiedział ostrożnie:

- Miałem zamiar spytać cię o to - dokładnie do czego używa się pola stazy?

- No, żeby trzymać tam swoją żonę - odparł Melith. - Sądziłem, że wiesz.

- Wiem, ale dlaczego?

- Dlaczego? - Melith zmarszczył brwi. Najoczywiściej kwestia taka nigdy nie przyszła mu do głowy. - Dlaczego robi się to czy owo? Zwyczaj, ot i wszystko. A poza tym bardzo logiczny zwyczaj. Nie chciałbyś chyba słuchać na okrągło babskiego paplania, dzień i noc?

Goodman oblał się rumieńcem, odkąd bowiem poznał Janę, rozmyślał tylko o tym, jakże miło by ją było mieć u boku dzień i noc.

- Nie wygląda to na zbyt uczciwe wobec kobiet stwierdził Goodman.

Melith roześmiał się.

- Mój drogi przyjacielu, czyżbyś głosił doktrynę równości płciowej? To naprawdę skompromitowana teoria. Mężczyźni i kobiety są po prostu różni. Nie są tacy sami, bez względu na to, co mówiono ci na Ziemi. Co dobre dla mężczyzny, nie jest konieczne, a nawet - zazwyczaj - dobre dla kobiety.

- Traktujecie je tedy jako istoty niższe - rzekł Goodman, w którym poczęła kipieć reformatorska krew.

- Wcale nie. Traktujemy je w i n n y sposób niż mężczyzn, ale nie w sposób dowodzący ich n i ż s z o ś c i. Tak czy owak, one nie mają zastrzeżeń.

- A to dlatego, że nie miały okazji pokosztować lepszego losu. Czy jest jakieś prawo nakazujące mi przetrzymywanie żony w polu derrsinowym?

- Oczywiście, nie ma. Zwyczaj sugeruje po prostu, byś przywoływał ją ze stazy na określony tygodniowo czas. Nie jest w porządku pudłować kobietkę całkowicie, rozumiesz.

- Oczywiście, że nie jest - stwierdził Goodman sarkastycznie. - Trzeba jej dać c z a s e m pożyć.

- I o to chodzi - rzekł Melith, nie dostrzegłszy sarkazmu w słowach Goodmana. - Zaczynasz kapować.

Goodman wstał.

- Czy to wszystko?

- Myślę, że mniej więcej. Dużo szczęścia i w ogóle.

- Dziękuję - odparł Goodman sztywno i odwróciwszy się gwałtownie, wyszedł.

Tego popołudnia w Dworzyszczu Narodowym Najwyższy Prezydent Borg dokonał prostych tranajskich obrzędów ślubnych, a potem z zapałem ucałował pannę młodą... Była to piękna ceremonia i tylko jedna rzecz rzuciła na nią cień.

Na ścianie Borga wisiała strzelba wyposażona w tłumik i lunetkę. Była bliźniaczo podobna do

broni Melitha i równie niepojęta.

Borg odprowadził Goodmana na bok i zapytał:

- Czy rozważałeś poważniej sprawę Prezydentury?

- Wciąż mam ją na uwadze - odrzekł Goodman. - Tak naprawdę, to wcale bym nie chciał sprawować urzędów publicznych...

- Nikt nie chce.

- ...ale są pewne reformy, których Tranai na gwałt potrzebuje. Myślę, że zwrócenie na nie uwagi ludu może być moim obowiązkiem.

- To się nazywa duch! - powiedział Borg z aprobatą w głosie. - Od jakiegoś już czasu nie mieliśmy naprawdę przedsiębiorczego prezydenta. A czemu nie miałbyś przejąć urzędu od razu? Moglibyście wówczas spędzić miesiąc miodowy tylko we dwoje w Dworzyszczu Narodowym. Goodman odczuwał pokusę, ale nie chciał, by sprawy państwowe zakłócały mu miesiąc miodowy, który tak czy owak był już zaplanowany. Skoro Tranai wytrzymała tak długo w swym prawie utopijnym stanie, może niewątpliwie poczekać jeszcze kilka tygodni.

- Rozważę to sobie, gdy wrócimy - oznajmił w końcu.

Borg wzruszył ramionami.

- Cóż, myślę, że zdołam unieść to brzemień jeszcze jakiś czas. Och, i to - wręczył Goodmanowi zaklejoną kopertę.

- Co to jest?

- Po prostu standardowa porada - rzekł Borg. Pospiesz się, panna młoda czeka.

- Chodź już, Marvin! - zawołała Janna. - Nie chcesz chyba, żebyśmy spóźnili się na statek!

Goodman popędził za nią, by wsiąść do limuzyny z portu kosmicznego.

- Powodzenia! - zawołali rodzice.

- Powodzenia! - wrzasnął Borg.

- Powodzenia! - dorzucił Melith, jego żona i wszyscy pozostali goście.

W drodze do portu Goodman otworzył kopertę i przeczytał drukowany arkusz:

Rada dla młodego małżonka

Zawarłeś właśnie związek małżeński i oczekujesz, co zupełnie naturalne, całego życia w małżeńskiej szczęśliwości. I jest to jak najbardziej właściwe, szczęśliwe małżeństwo bowiem jest ostoją dobrego rządu. Musisz jednak uczynić więcej, niż tylko żywić takie pragnienie. Szczęśliwe małżeństwo nie staje się twoim udziałem za sprawą łaski bożej. Na dobre małżeństwo trzeba zapracować.

Pamiętaj, że twoja żona jest istota ludzką. Powinno się ją obdarzyć pewną dozą wolności, do której ma niezbywalne prawo. Sugerujemy, byś powoływał ją ze stazy przynajmniej raz w tygodniu. Zbyt długi pobyt w stazie nie służy dobrej orientacji. Zbyt wiele stazy źle wpływa na cerę i nie tylko dla niej jest to niekorzystne, ale również i dla ciebie.

W przerwach, takich jak weekendy czy wakacje, pozwala się zwykle żonie funkcjonować poza stazą cały dzień bez przerwy, niekiedy nawet przez dwa albo trzy dni. Zaszkozić to nie może, a urozmaicenie zdarza cuda, jeśli chodzi o jej samopoczucie.

Miej w pamięci garść tych zdroworozsądkowych zasad, a możesz być pewien, że twoje małżeństwo będzie szczęśliwe.

Rządowa Rada Matrymonialna

Goodman powoli porwał kartkę na drobne strzępy upuścił je na podłogę limuzyny. Jego duch reformatora był już całkowicie rozbudzony. Wiedział, że Tranai jest pył piękna, by mogła być prawdziwa. Ktoś musiał zapłacić doskonałość. W tym przypadku - kobiety.

Znalazł pierwszą poważną skazę w raj.

- Co to było, kochanie? - zapytała Janna, spojrzawszy a strzępy papieru.

- To była pewna bardzo głupia rada - odparł Goodran. - Moja droga, czy myślałaś kiedykolwiek -

tak naprawdę myślałaś - o ślubnych zwyczajach tej swojej planety?

- Nie sądzę. Czy nie są słuszne?

- Są złe, zupełnie złe. Traktuje się tu kobiety jak zabawki, jak lalki, które po skończeniu zabawy kładzie się na półkę. Czy tego nie dostrzegasz?

- Nigdy o tym nie myślałam.

- Cóż, teraz możesz pomyśleć - powiedział Goodan - bo dokonają się pewne zmiany, a damy im początek naszemu domu.

- Co tylko uznasz za najlepsze, ukochany - rzekła Janna z szacunkiem.

Uścisnęła jego ramię. On ją pocałował.

A potem limuzyna dotarła do portu i wsiedli na pokład statku kosmicznego.

Ich miesiąc miodowy na Doe był jak krótka podróż przez raj bez skazy. Cuda małego księżycy Tranai stworzono dla kochanków i tylko dla kochanków.

Żaden biznesmen nie wpadł na Doe na krótki odpoczynek; żaden drapieżny kawaler nie polował na jej ścieżkach. Strudzeni, rozczarowani, pełni lubieżnych nadziei musieli sobie znaleźć inne łowiska. Jedyne, srodze przestrzegane prawo Doe brzmiało: tylko we dwoje, szczęśliwi i zakochani, wstęp w innym stanie uczuć wzbroniony.

Był to jedyny z tranajskich obyczajów, który Goodman docenił bez trudu.

Były na małym księżycu łąki z wysoką trawą i zielone lasy do spacerów, a w lasach chłodne czarne jeziora; były postrzępione malownicze szczyty, które aż się prosiły, by je zdobyć.

Kochankowie, ku swej wielkiej uciechy, bez przerwy gubili się w lasach, ale nie gubili się na dobre, bo cały księżyc można było obejść w przeciągu jednego dnia. Dzięki słabej grawitacji nikt nie zdołałby utonąć w jeziorach, a upadek ze szczytu góry napawał wprawdzie lękiem, ale prawie nie przynosił uszczerbku.

W punktach strategicznych rozrzucono małe hoteliki z dyskretnie oświetlonymi barami, w

których królowali sympatyczni siwowłosi barmani.

Nie brakło posępnych podziemnych korytarzy, które głębiej (ale nie za głęboko) rozszerzały się w fosforyzujące, roziskrzane lodem jaskinie i biegły obok ospałych, podziemnych rzek, w których pływały świetliste ryby o ognistych oczach.

Rządowa Rada Matrymonialna uznała te proste atrakcje za wystarczające i nie zatroszczyła się ani o tereny golfowe, ani o baseny, ani o szlaki do przejażdżek konnych, ani o pola do gry w gazdę. Wynikało to z przekonania, że skoro już małżeństwo potrzebuje tych rzeczy, miesiąc miodowy ma za sobą.

Goodman i jego małżonka spędzili na Doe magiczny tydzień, ale w końcu wrócili na Tranai.

Pierwszą rzeczą, jaką Goodman uczynił, przeniósłszy pannę młodą przez próg ich nowego domu, było rozłączenie generatora derrsinowego.

- Moja droga - rzekł - aż do tej chwili przestrzegałem wszystkich tranajskich obyczajów, nawet tych, które wydawały mi się groteskowe. Ale tej jednej rzeczy nie zaaprobuję. Na Ziemi byłem założycielem Komitetu Równych Szans Zawodowych dla Kobiet. Na Ziemi traktujemy nasze kobiety jak równych sobie towarzyszy, jak partnerów w przygodzie życia.

- Cóż za osobliwy koncept - powiedziała Janna i chmura przemknęła przez jej śliczną twarzyczkę.

- Pomyśl tylko - nie ustępował Goodman - nasze życie będzie znacznie bardziej satysfakcjonujące, jeśli zamiast zamykać cię w seraju pola derrsinowego, pozwolę ci trwać u mego boku. Czy się ze mną zgadzasz?

- Wiesz o wiele więcej niż ja, kochany. Podróżowałeś po całej Galaktyce, gdy ja nie ruszyłam się z Port Tranai. Jeśli mówisz, że tak będzie najlepiej - to będzie.

Ponad wszelką wątpliwość, pomyślał Goodman, jest najdoskonalszą z kobiet.

Wrócił do swej pracy w Zakładach Robotów Domowych Abbaga i rychło zagłębił się w kolejny

projekt oddoskonaleniowy. Tym razem wpadł na błyskotliwy pomysł uczynienia przegubów robota trzeszczącymi i skrzypiącymi. Dźwięki te podniosą irytacyjne zalety robota, przez co jego unicestwienie, bardziej teraz wartościowe z psychologicznego punktu widzenia, stanie się również aktem przyjemniejszym. Pan Abbag nie posiadał się z radości, dał Goodmanowi kolejną podwyżkę i kazał przygotować oddoskonalenie do rychłego wdrożenia.

Pierwszy plan Goodmana polegał na wyeliminowaniu części procesu smarowania, okazało się jednak, że tarcie uszkodzi zbyt szybko żywotne elementy maszyny. A do tego, naturalnie, nie można było dopuścić.

Począł więc szkicować zarys wbudowanego modułu skrzypiąco-trzeszczącego. Musiał brzmieć absolutnie realistycznie i nie powodować rzeczywistych uszkodzeń. Musiał być tani i mały, bo wewnątrz robota wypełnione już było po brzegi różnymi oddoskonaleniami.

Atoli Goodman przekonał się, że taki mały produkujący trzaski moduł brzmi sztucznie, większe zaś są zbyt kosztowne i nie mieszczą się w powłoce robota. Zaczął pracować po kilka wieczorów w tygodniu, schudł i stał się drażliwy.

W Jannie miał żonę, na której można było polegać. Posiłki zawsze były gotowe na czas, wieczorami krzepiła go wesołym słowem i ze zrozumieniem słuchała o jego kłopotach. W ciągu dnia nadzorowała sprzątaną domu przez roboty domowe. Zajmowało to nie więcej niż godzinę, później więc czytała książki, wypiekała ciasta, robiła na drutach i niszczyła roboty.

Goodman był tym lekko zaniepokojony, czyniła to bowiem w tempie trzy - cztery sztuki tygodniowo. Ale przecież każdy musi mieć jakieś hobby. Stać go było na to, by jej pobłażać, gdyż kupował maszyny po kosztach własnych.

Goodman znalazł się w kompletnym impasie, gdy inny projektant, człowiek o nazwisku Dath Hergo, wystąpił z projektem zmodernizowanego systemu sterowania. Oparty na zasadzie antyżyroskopowej, pozwalał robotowi wejść do pokoju z bocznym przechyłem wynoszącym

dziesięć stopni. (Dziesięć stopni, zdaniem działu badań, to najbardziej irytujące przechylenie, jakie może przyjąć robot.) Co więcej, wykorzystując zasadę selekcji przypadkowej, robot mógł słańać się na nogach, po pijacku, irytująco, w nieregularnych odstępach - nigdy niczego nie upuszczając, ale będąc od upuszczenia o krok.

Wynalazek ten, co zrozumiałe, okrzyknięto wielkim postępem w inżynierii oddoskonaleniowej.

A Goodman przekonał się, że może wbudować swój moduł trzeszczącokrryjący wprost w ośrodek sterujący słańaniem się robota.

W czasopismach fachowych jego nazwisko wymieniano jednym tchem z nazwiskiem Datha Hergo.

Nowa generacja Robotów Domowych Abbaga była sensacją.

W owej chwili Goodman postanowił wziąć z pracy urlop bezpłatny i przyjąć Najwyższą Prezydenturę Tranai. Czuł, że winien jest to społeczeństwu. Jeśli ziemską wynalazczość i wiedza pozwoliła udoskonalić oddoskonalenia, zdoła niechybnie, z jeszcze większym powodzeniem, udoskonalić udoskonalenia. Tranai była bliska utopii. Gdy na cuglach spocznie jego dłoń, mogą przebyć ten ostatni odcinek ku ideałowi.

Udał się do biura Melitha, by to omówić.

- Sądzę, że zawsze jest pole do zmian - rzekł z zadumą Melith. Szef resortu imigracji siedział przy oknie, obserwując przechodniów. - Oczywiście, nasz obecny system funkcjonuje już od dawna i funkcjonuje bardzo dobrze. Nie wiem, co mógłbyś udoskonalić. Nie ma na przykład
- Boście ją zalegalizowali - oświadczył Goodman. - Po prostu wykręciliście się od tego problemu.
- My postrzegamy go inaczej. Nie ma ubóstwa...
- Bo wszyscy kradną. I nie ma problemu ludzi starych, bo rząd przekształcił ich w żebraków.

Naprawdę, wiele jest miejsca na zmiany i udoskonalenia.

- Cóż, może - powiedział Melith. - Ale myślę... przerwał raptownie, pognął ku ścianie i ściągnął z

niej strzelbę. - Tam jest!

Goodman wyjrzał przez okno. Niżej przechodził człowiek, z pozoru niczym nie różniący się od innych. Usłyszał trzask, a potem zobaczył, że człowiek ów chwieje się i osuwa na chodnik.

Melith zastrzelił go ze swej strzelby z tłumikiem.

- Po co to zrobiłeś? - spytał Goodman zdławionym głosem.

- Potencjalny morderca - odparł Melith.

- Co?

- Rzecz jasna, nie mamy tu rzeczywistej przestępczości, ale będąc ludźmi, musimy stawić czoło takiej możliwości.

- Co takiego zrobił, że stał się potencjalnym mordercą?

- Zabił pięciu ludzi - oznajmił Melith.

- Ale... cholera, człowieku, to nie w porządku! Nie aresztowałeś go, nie postawiłeś przed sądem, nie dałeś szansy skorzystania z adwokata...

- A jak to miałem zrobić? - zapytał lekko poirytowany Melith. - Nie mamy żadnej policji, która by mogła aresztować ludzi, nie mamy systemu prawnego. Dobry Boże, chyba się nie spodziewałeś, że po prostu pozwolę mu iść dalej, co? Nasza definicja mordercy: zabójca dziesięciu ludzi; i ten tam był niezłe zaawansowany. Po prostu nie mogłem siedzieć beczynnym. Chronić ludzi to mój obowiązek. Mogę cię upewnić, że starannie rozeznałem sprawę.

- To niesprawiedliwe! - wrzasnął Goodman.

- A kto mówi, że sprawiedliwe?! - odwrzasnął Melith. - Co ma s p r a w i e d l i w o ś ć do utopii?!

- Wszystko! - Goodman z trudem nakazał sobie spokój. - Sprawiedliwość jest podstawą godności ludzkiej, ludzkiego łaknienia...

- Teraz po prostu zapędzasz się w pustostowie - rzekł Melith ze swym zwykłym, jowialnym

uśmiechem. - Spróbuj być realistą. Stworzyliśmy utopię dla i s t o t l u d z k i c h, nie dla świętych, którym ona na nic. Musimy akceptować ułomności ludzkiej natury, a nie udawać, że ich nie ma.

Wedle naszego sposobu myślenia aparat policyjny i system prawno-egzekucyjny mają tę skłonność, że tworzą atmosferę zbrodni i akceptację zbrodni. Jest, uwierz mi, lepiej w ogóle nie akceptować możliwości zbrodni. Ogromna większość ludzi powie ci to samo.

- Ale kiedy dochodzi do zbrodni, co przecież nieuniknione.

- Dochodzi tylko do możliwości - upierał się Melith. - A i to rzadziej, niż sobie myślisz. Kiedy więc dochodzi, załatwiamy to szybko i po prostu.

- A jeśli załatwiasz niewłaściwego człowieka?

- Nie możemy załatwić niewłaściwego człowieka. Nie ma na to najmniejszej szansy.

- Dlaczego nie?

- Bo każdy wyeliminowany przez funkcjonariusza rządowego jest z definicji i prawa zwyczajowego potencjalnym przestępcą.

Przez chwilę Marvin Goodman milczał. Potem rzekł:

- Widzę, że rząd dysponuje większą władzą, niż zrazu sądziłem.

- Dysponuje - potwierdził Melith. - Ale nie taką, jaką mu w tej chwili przypisujesz.

Goodman uśmiechnął się ironicznie.

- A czy wciąż mogę prosić o Najwyższą Prezydenturę?

- Jasne. I bez żadnych warunków. Naprawdę chcesz? Przez chwilę Goodman zastanawiał się głęboko. Czy naprawdę jej chce? Cóż, ktoś musi rządzić. Ktoś musi strzec ludzi. Ktoś musi przeprowadzić parę reform w tym utopijnym domu wariatów.

- Tak, chcę - oświadczył.

Rozwarły się drzwi i wpadł do środka Najwyższy Prezydent Borg.

- Cudownie, absolutnie cudownie! Już dziś możesz się przenieść do Dworzyszczca Narodowego.

Od tygodnia byłem spakowany i czekałem, aż się zdecydujesz.

- Muszą być jakieś formalności, których trzeba dokonać...

- Żadnych formalności - rzekł Borg, którego twarz połyskiwała od potu. - Absolutnie żadnych.

Musimy tylko dokonać przekazania Pieczęci Prezydenckiej, a potem zejść na dół, wymażę w aktach swoje nazwisko i wstawię twoje.

Goodman popatrzył na Melitha. Twarz ministra imigracji była nieprzenikniona.

- W porządku - powiedział.

Borg sięgnął po Pieczęć Prezydencką i począł ją zdejmować z szyi...

Ekspłodowała nagle i gwałtownie

I oto Goodman przekonał się, że ogarnięty grozą patrzy na czerwoną, roztrzaskaną głowę Borga.

Najwyższy Prezydent chwiał się przez chwilę, a potem spłynął na podłogę.

Melith zdjął marynarkę i zarzucił ją na głowę Borga. Goodman cofnął się ku krzesłu i opadł na nie. Otworzył usta, ale nie wydobył z nich ani słowa.

- Doprawdy, głupia sprawa - rzekł Melith. - Był tak bliski końca kadencji. Ostrzegałem go w sprawie zaakceptowania budowy tego nowego portu kosmicznego. Ludziom to się nie spodoba, mówiłem. Ale był pewien, że zechcą mieć dwa porty zamiast jednego. Cóż, mylił się.

- Chcesz powiedzieć... rozumiem... jak... co...

- Wszyscy funkcjonariusze rządowi noszą insygnium urzędu, zawierające tradycyjną ilość tezejum, materiału wybuchowego, o którym mogłeś słyszeć - wyjaśnił Melith. - Zapalnik sterowany jest drogą radiową z Lokalu Obywatelskiego. Każdy obywatel ma dostęp do lokalu, g a to w tym celu, by wyrazić dezaprobatę wobec rządu. - Melith westchnął. - I to był ostateczny minus na koncie biednego Borga.

- Pozwalacie ludziom wyrażać dezaprobatę przez wysadzanie w powietrze urzędników państwowych? - wyskrzecztał przerażony Goodman.

- To jedyny sposób, który cokolwiek znaczy - odparł Melith. - Mechanizm kontrolny. Tak jak my mamy w garści obywateli, tak obywatele mają w garści nas.

- I to d l a t e g o chciał, żebym ja przejął urząd. Dlaczego nikt mi nie powiedział?

- Bo nie pytałeś - rzekł Melith z cieniem uśmiešku. Nie bądź taki przerażony. Skrytobójstwo jest zawsze możliwe, wiesz, na każdej planecie, pod każdymi rządami. Próbujemy zeń uczynić zjawisko konstruktywne. W naszym systemie ludzie nigdy nie tracą kontaktu z rządem, a rząd nigdy nie próbuje sięgać po władzę dyktatorską. A skoro każdy może się udać do Lokalu Obywatelskiego, to sam się zdziwisz, jak skąpo z tego prawa korzysta. Oczywiście, zawsze są zapaleńcy...

Goodman podniósł się na nogi i nie patrząc na ciało Borga ruszył ku drzwiom.

- Czyżbyś nie chciał już Prezydentury? - zapytał Melith.

- Nie

- Tacy już wy, Ziemianie, jesteście - zauważył ze smutkiem Melith. - Pragniecie

odpowiedzialności tylko wtedy, gdy nie zakłada podejmowania ryzyka. To złe podejście, gdy chce się kierować rządem.

- Może masz rację - rzekł Goodman. - Rad po prostu jestem, że się w porę zorientowałem.

Pospieszył do domu.

Gdy doń wkraczał, jego duszą rządził kompletny chaos. Czy Tranai jest utopią, czy domem wariatów rozmiarów planety? Jaka zresztą różnica? Po raz pierwszy w życiu Goodman zastanawiał się, czy utopia jest warta świeczki. Czyż nie lepiej dążyć ku doskonałości, niż ją osiągnąć? Raczej mieć ideały, niż żyć zgodnie z nimi... Jeśli sprawiedliwość jest ułudą, to czyż ułuda nie jest lepsza od prawdy?

A może nie? Goodman był smutny i pełen rozterek, gdy dowlókł się do domu. Tam znalazł żonę w ramionach innego mężczyzny.

Ta scena miała, w jego oczach, przeraźliwie zwolnione tempo. Sądził, że trwało wieki, nim Janna podniosła się na nogi i poprawiwszy rozchełstaną odzież spojrzała nań z rozdziawionymi ustami. Mężczyzna - wysoki i przystojny, którego Goodman nigdy dotąd nie widział - sprawiał wrażenie zbyt zaskoczonego, by przemówić. Wykonywał drobne, nic nie znaczące gesty - strząsał pył z kłapy marynarki, obciągał mankiety.

Potem uśmiechnął się nienaturalnie.

- No, no! - rzekł Goodman. W tych okolicznościach było to dość anemiczne, ale wywarło swój efekt. Janna wybuchnęła płaczem.

- Okropnie mi przykro - wymamrotał mężczyzna. Nie spodziewaliśmy się ciebie jeszcze przez parę godzin. Musisz być tym zaszokowany. Okropnie mi przykro.

Jedyną rzeczą, jakiej Goodman nie oczekiwał i nie pragnął, było współczucie ze strony kochanka żony. Zignorował mężczyznę i wlepił wzrok w łkającą Janne.

- A czegoś się spodziewał! - wrzasnęła doń raptownie. - Musiałam. Nie kochałeś mnie!

- Nie kochałem cię! Jak możesz tak mówić?!

- A jak mnie traktowałeś?

- Bardzo cię kochałem, Janno - powiedział miękko.

- Wcale nie! - pisnęła, odrzucając głowę do tyłu. Tylko popatrz, jak mnie traktowałeś! Trzymałeś mnie przy sobie całymi dniami, codziennie zmuszałeś do prac domowych, gotowania, wysiadania. Marvin, c z u ł a m, jak się starzeję. Dzień po dniu ten sam nudny, głupi rytuał. I przez większość czasu, kiedy wracałeś do domu, byłeś zbyt zmęczony, żeby choć mnie dostrzec. Jedyne, o czym potrafiłeś mówić, to twoje durne roboty! Marnowałam się, Marvin, marnowałam!

Nagle dotarło do Goodmana, że jego żona doznała rozstroju. Bardzo łagodnie powiedział:

- Ależ, Janno, takie jest życie. Mąż i żona tworzą wspólnotę. Starzeją się pospołu, ramię przy ramieniu. Życie nie może się składać z samych radości...

- Oczywiście, że może! Spróbuj zrozumieć, Marvin. Może! Na Tranai - dla kobiety!

- To niemożliwe - rzekł Goodman.

- Na Tranai kobieta oczekuje życia pełnego uciech i przyjemności. To jej prawo, tak jak swoje prawa mają mężczyźni. Oczekuje, że przywołana ze stazy weźmie udział w przygotowanym przyjętku, pójdzie na spacer w blasku księżyca albo popływać, albo do kina. - Znow zaczęła płakać. - Ale ty byłeś mądrzejszy. Musiałeś to zmienić. Powinnam być na tyle rozsądna, by nie ufać Ziemianinowi.

Tamten mężczyzna westchnął i zapalił papierosa.

- Wiem, nic nie możesz na to poradzić, Marvin, że jesteś innoplanetalem - powiedziała Janna. -

Ale naprawdę chcę, żebyś zrozumiał. Miłość to nie wszystko. Kobieta powinna być też praktyczna.

Gdyby szło tak dalej, byłabym starą kobietą, podczas gdy moje przyjaciółki wciąż by były młode.

- Wciąż młode? - powtórzył głucho Goodman.

- Oczywiście - wtrącił mężczyzna. - Kobieta nie starzeje się w polu derrsinowym.

- Ależ ta cała historia jest upiorna - rzekł Goodman. - Moja żona ma być młoda, gdy ja się zestarzeję.

- I dopiero wtedy doceniłbyś młodą kobietę - powiedziała Janna.

- A co z tobą? - zapytał Goodman. - Czy też byś doceniła starca?

- On wciąż nie rozumie - stwierdził mężczyzna.

- Marvin, spróbuj. Czy to jeszcze nie jest jasne? Przez całe życie miałbyś młodą i piękną kobietę, której jedynym pragnieniem byłoby sprawiać ci przyjemność. A kiedy byś umarł - nie miej takiej zaszokowanej miny, kochanie, wszyscy umierają - więc kiedy byś umarł, ja, wciąż młoda, odziedziczyłabym zgodnie z prawem wszystkie twoje pieniądze.

- Zaczynam rozumieć - rzekł Goodman. - Wnioskuje, że to kolejna, powszechnie akceptowana, faza tranajskiego żywota - bogata, młoda wdowa, która może czynić zadość swoim zachciankom.

- Naturalnie. I tym sposobem wszystko idzie ku dobru wszystkich. Mężczyzna ma młodą żonę, którą widuje tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Dana mu jest zupełna wolność, a także miły dom. A kobieta, wyzwolona z nudy szarego życia, ma dostateczne środki, by się zabawić, póki jeszcze może.

- Powinnaś mi to była powiedzieć - poskarżył się Goodman.

- Myślałam, że wiesz - powiedziała Janna - skoro sądziłeś, że masz lepszy sposób. Ale teraz widzę, że nigdy byś nie zrozumiał, bo jesteś tak naiwny - co, przyznam, stanowi o części twego uroku. - Uśmiechnęła się z zadumą. - A poza tym, gdybym ci powiedziała, nie poznałabym Ronda. Mężczyzna skłonił się lekko.

- Roznosiłem próbki Konfekcji Greaha: Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, gdym znalazł tę piękną, młodą kobietę n i e w s t a z i e. Rozumiesz, to było jak bajka, która staje się życiem. Nigdy się nie spodziewamy, że stare legendy przerodzą się w prawdę, więc sam przyznasz, że wrażenie jest silne, gdy jednak do tego dochodzi.

- Kochasz go? - zapytał Goodman ciężko.

- Tak - odparła Janna. - Rondo przejmuję się mną. Ma zamiar trzymać mnie w stazie tak długo, aż nadrobię stracony czas. To z jego strony poświęcenie, ale Rondo ma szczodłą naturę...

- Jeśli tak to wygląda - rzekł Goodman posępnie - to na pewno nie stanę wam na drodze. Jestem w końcu istotą cywilizowaną. Możesz dostać rozwód.

Splótł ramiona na piersi, czując się nader szlachetnie. Czuł wszakże niejasno, że decyzja jego wyrosła nie tyle ze szlachetności, co z nagłego, ostrego wstrętu do wszystkiego co tranajskie.

- Nie mamy na Tranai rozwodów - rzekł Rondo.

- Nie? - chłodny dreszcz przebiegł po plecach Goodmana.

W dłoni Ronda pojawił się blaster.

- Byłoby to, rozumiesz, zbyt anarchiczne, gdyby ludzie wymieniali się sobą. Jest tylko jeden

sposób odmienienia swego stanu.

- Ależ to ohydne! - wyjąkał Goodman, wycofując się. - Przeciwno wszelkiej przyzwoitości.

- Nie, jeśli żona tego pragnie. A nawiasem mówiąc, oto i kolejny znakomity powód, by przetrzymywać połowicę w stazie. Czy mam twoje zezwolenie, moja droga?

- Wybacz mi, Marvin - powiedziała Janna i zamknęła oczy. - Tak!

Rondo wymierzył blaster. Bez chwili wahania Goodman dał nurka przez najbliższe okno. Tuż za nim świsnął strzał.

- Słuchaj no! - zawołał Rondo. - Pokaż styl, człowieku. Przyjmij to godnie!

Goodman wylądował ciężko na ramieniu. Zerwał się z miejsca i ruszył sprintem, a drugi strzał Ronda osmalił mu bark. Potem skrył się za domem i był chwilowo bezpieczny. Nawet nie stanął, by się nad tym zastanowić. Ze wszystkich sił pomknął do portu kosmicznego.

Szczęśliwie wnet startował statek, który zabrał go na g'Moree. Stąd zatelegrafował na Tranai po swoje pieniądze i opłacił przelot na Higastomerytreję, gdzie władze oskarżyły go o to, że jest szpiegiem Dingu. Oskarżenie nie trzymało się kupy, Dinginganie bowiem byli rasą amfibii i Goodman omal nie utonął, dowodząc ku ogólnemu zadowoleniu, że potrafi oddychać tylko powietrzem.

Bezzałogowcem dostał się na podwójną planetę Mvanti, za Seves, Olgo i Mi. Najął nielicencjonowanego pilota, który dostarczył go na Bellismoranti, gdzie zaczynały się wpływy Ziemi. Stąd lokalna linia kosmiczna przewiozła go za Wir Galaktyczny i - po międzylądowaniach na Ostrydze, Lekungu, Pankungu, Inchangu i Machangu - przybył wreszcie na Tung-Bradard IV.

Pieniądze już mu się skończyły, ale był praktycznie o krok od Ziemi, przynajmniej w skali dystansów kosmicznych. Zdołał zapracować na przelot do Oume, a z Oume na Legis II. Tu Towarzystwo Pomocy Podróżnikom Gwiezdnym załatwiło mu miejscówkę i dotarł w końcu na Ziemię.

Goodman osiadł w Seakirk w stanie New Jersey, gdzie człowiek jest zupełnie bezpieczny tak

długo, jak długo płaci podatki. Piastuje stanowisko Naczelnego Technika-Robotyka w Seakirk Construction Corporation i poślubił drobną, ciemnowłosą, cichą dziewczynę, która najoczywiściej go uwielbia, choć on rzadko wypuszcza ją z domu.

Chadza często z kapitanem Savage'em do Eddie's Moonlight Bar i popijając Pospieszne na Tranai, gwarzą o Tranai Błogosławionej, gdzie znaleziono Sposób, a Człowiek nie jest już wprzężony w Kierat. Przy tych okazjach Goodman narzeka na kosmalarię - za której sprawą nie może ruszyć w kosmos ani wrócić na Tranai.

Ostatnio, z pomocą kapitana Savage'a, Goodman zorganizował Ligę Seakirku na Rzecz Odebrania Kobietom Praw Wyborczych. Są jej jedynymi członkami, ale czyż - jak to ujmuje Goodman - podobna rzecz powstrzymała kiedykolwiek krzyżowca?

przekład : Stanisław Czaja

Bitwa

Głównodowodzący, generał Fetterer, wkroczył do sali dowodzenia z krótkim "Spocznij!". Trzej generałowie posłusznie stanęli na spocznij.

- Mamy niewiele czasu - powiedział Fetterer spoglądając na zegarek. - Powtórzmy sobie jeszcze raz plan bitwy.

Podszedł do ściany i rozwinął ogromną mapę Sahary.

Zgodnie z najbardziej wiarygodnymi informacjami teologicznymi, Szatan wystawi swoje siły na tych koordynatach. - Pokazał grubym palcem. W pierwszej linii staną diabły, demony, sukuby, inkuby i cała reszta. Bael będzie dowodził prawą flanką, Buer lewą. Jego diabelska wysokość będzie trzymał centrum.

- Dość średniowieczne - mruknął generał Dell.

Wszedł adiutant generała Fetterera z twarzą rozjaśnioną myślą o Powtórny Przyjściu.

- Panie generale - powiedział - przyszedł znów ten ksiądz.

- Baczność żołnierzu! - rzucił Fetterer surowo. - Musimy jeszcze stoczyć i wygrać tę bitwę.

- Tak jest, panie generale. - Adiutant wyprężył się i część radości odpłynęła z jego oblicza.

- Ksiądz, powiadasz? - Głównodowodzący w zamyśleniu zatarł dłonie. Od chwili Przyjścia, odkąd stało się jasne, że zbliża się Ostatnia Bitwa, pracownicy kultów religijnych całego świata stali się wyjątkowo natrętni. Zaprzestali starych sporów, co jest godne pochwały, ale teraz próbują się wtrącać do spraw wojskowych.

- Odeślijcie go - powiedział Fetterer. - Wie przecież, że przygotowujemy się do Armageddonu.

- Tak jest. - Adiutant dziarsko zasalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł

- Kontynuujmy - powiedział generał Fettero. - Za pierwszą linią obrony Szatana będą rozmieszczeni zmartwychwstali grzesznicy i różne elementarne siły diabelskie. Upadłe anioły będą działać jako lotnictwo bombardujące. Zajmą się nimi automatyczne myśliwce Della.

Generał Dell uśmiechnął się złowieszczo.

- Po nawiązaniu kontaktu, zrobotyzowane siły pancerne McFee uderzą w kierunku centrum - ciągnął Fetterer - przy wsparciu automatycznej piechoty generała Ongina. Dell przeprowadzi wodorowe bombardowanie odwodów nieprzyjaciela na pozycjach wyjściowych. Ja uderzę kawalerią zmechanizowaną tutaj i tutaj.

Adiutant wrócił i stanął sztywno na baczność.

- Panie generale - powiedział - Ksiądz nie chce odejść. Twierdzi, że musi mówić z panem generałem.

Głównodowodzący zawahał się, zanim powiedział nie. Przypomnił sobie, że to jest Ostatnia Bitwa i że pracownicy kultów mają z tym pewien związek. Postanowił poświęcić temu człowiekowi pięć minut.

- Wprowadźcie - powiedział

Ksiądz był w zwykłym garniturze dla podkreślenia, że nie reprezentuje żadnej określonej religii,

jego twarz wyrażała zmęczenie, ale i determinację.

Panie generale - odezwał się - reprezentuję wszystkich duchownych całego świata: księży, rabinów, pastorów, mułłów i całą resztę. Prosimy pana, generale, żeby nam pan pozwolił wziąć udział w bitwie Naszego Pana.

Głównodowodzący nerwowo zabębnił palcami po pulpicie. Wolał utrzymać dobre stosunki z tymi ludźmi. Nawet on, Wódz Naczelny, może potrzebować słowa wstawiennictwa, kiedy przyjdzie co do czego...

- Chyba pan rozumie moją sytuację? - powiedział Fetterer ze skargą w głosie. - Jestem generałem i mam stoczyć bitwę.

- Ale to jest Ostatnia Bitwa - odparł ksiądz - i powinna to być bitwa ludzi.

- I tak jest - powiedział Fetterer. - żołnierze stoczą ją w ich imieniu.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

- Nie chciałby pan chyba, żebyśmy przegrali tę bitwę, prawda? Żeby Szatan zwyciężył?

- Oczywiście że nie - mruknął ksiądz.

- Więc nie wolno nam ryzykować. Wszystkie rządy zgodziły się co do tego, prawda? Bardzo pięknie byłoby stoczyć Ostatnią Bitwę siłami ludzkimi. Symbolicznie, można by powiedzieć. Ale czy mielibyśmy pewność zwycięstwa?

Duchowny usiłował coś wtrącić, ale Fetterer nie dopuścił go do słowa.

- Skąd możemy znać siłę wojsk szatańskich? Musimy użyć wszystkiego, co mamy najlepsze z wojskowego punktu widzenia. A to oznacza armie automatów, zrobotyzowane samoloty i czołgi, bomby wodorowe.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

- Ale tak być nie powinno - powiedział. - Chyba możecie znaleźć w swoich planach jakieś miejsce dla ludzi?

Fetterer zastanowił się, ale żądanie było nierealne. Plan bitwy był zapięty na ostatni guzik, piękny, nieodparty. Każde wprowadzenie niepewnego elementu ludzkiego spowodowałoby tylko zamieszanie. Żaden biologiczny organizm nie wytrzymałby hałasu tego mechanicznego ataku, potencjałów energii wypełniającej powietrze, przepotężnej siły ognia. Istota ludzka, która zbliżyłaby się na sto mil do pola bitwy, zginęłaby, zanim zobaczyłaby nieprzyjaciela.

- Niestety nie - powiedział Fetterer.

- Są tacy - stwierdził surowo duchowny - którzy uważają, że błędem było oddanie tego w ręce wojskowych.

- Trudno - powiedział Fetterer dziarsko. - To tylko defetystyczne gadanie. A teraz, jeżeli pan pozwoli... - wskazał drzwi. Duchowny wyszedł przygnębiony.

- Ci cywile - pokręcił głową Fetterer. - Do rzeczy, panowie. Czy wasze wojska są gotowe? .

- Jesteśmy gotowi walczyć za Niego - powiedział z entuzjazmem generał McFee. - Ręczę za każdy automat pod moją komendą. Metal lśni, przekładnie naoliwione, akumulatory naładowane.

Czekają niecierpliwie na rozkaz do ataku!

Generał Ongin ocknął się z zamyślenia.

- Oddziały lądowe gotowe, panie generale.

- Wojska powietrzne gotowe - zameldował generał Dell.

- Znakomicie - podsumował generał Fetterer. - Wszystkie inne przygotowania też zostały zakończone. Cała ludność świata ma dostęp do transmisji telewizyjnych. Wszyscy, bogaci i biedni, będą mogli obejrzyć Ostatnią Bitwę.

- A po Bitwie... - zaczął generał Ongin i urwał. Spojrzał na Fetterera.

Fetterer zamyślił się. Nie wiedział, co ma się stać po Bitwie. Te sprawy znajdowały się zapewne w rękach organizacji religijnych.

- Myślę, że odbędzie się prezentacja, czy coś takiego - powiedział wymijająco.

- Czy to znaczy, że zobaczymy jego? - spytał generał Dell.

- Naprawdę nie wiem - powiedział Fetterer. - Ale myślę, że tak. Ostatecznie, no, wiecie, co mam na myśli.

- Ale jaki strój obowiązuje? - spytał McFee z paniką w głosie. Co się nosi na taką okazję?

- A jak są ubrani aniołowie? - spytał Fetterer Ongina.

- Nie mam pojęcia - odparł Ongin.

- Chyba w długie szaty? - podsunął generał Dell.

- Nie - zarządził Fetterer surowo. - Wystąpimy w mundurach galowych bez odznaczeń.

Generałowie skinęli głowami. To było dobre wyjście. A potem wybiła godzina.

Wspaniałe w swoim szyku bitewnym legiony Piekieł zstąpiły na pustynię. Zagrały piekielne dudy, zahuczały kotły i potężne zastępy ruszyły z miejsca.

W oślepiającej chmurze pyłu automatyczne czołgi generała McFee nuciły się na szatańskiego wroga. Natychmiast w górze zawyły automatyczne bombowce Della, zasypując bombami stłoczone hordy potępieńców. Fetterer śmiało uderzył swoją automatyczną kawalerią.

Ruszyła w dym bitwy automatyczna piechota Ongina i metal dawał z siebie wszystko, co metal potrafi.

Potępieńcy przerwali front, szarpiąc na sztuki czołgi i roboty. Automaty ginęły bohatersko, broniąc każdej piędzi piasku. Bombowce Della padały strącone z nieba przez upadłych aniołów pod komendą Markocjasa, którego nietoperze skrzydła wzniecały trąby powietrzne.

Cienka linia pokiereszowanych robotów stawiała czoła gigantycznym mocom, które je miażdżyły i roztrącały, siejąc przerażenie w sercach widzów, zgromadzonych przed ekranami na całym świecie. Roboty walczyły jak ludzie, jak bohaterowie, odpierając ataki sił ciemności.

Astaroth wrzasnęła i Behemoth ruszył do przodu. Beal, prowadząc ta sobą klin diabłów przypuścił atak na nadwątloną lewą flankę generała Fetterera. Rozległ się zgrzyt metalu i wycie

elektronów.

Generał Fetterer spływał potem i drżał z napięcia tysiąc mil za linią frontu. Ale systematycznie i na zimno kierował naciskaniem guzików i dźwigni.

Jego wspaniała armia nie zawiodła. Śmiertelnie uszkodzone roboty podrywały się do walki.

Miażdżone, tratowane, niszczone przez wyjące diabelstwo roboty utrzymywały swoje pozycje.

Wtedy do kontrataku ruszył doborowy Piąty Korpus i front nieprzyjacielski został i przerwany.

Z odległości tysiąca mil generałowie kierowali operacją oczyszczania pola walki.

- Bitwa jest wygrana - szepnął generał Fetterer odwracając się od ekranów. - Gratuluję wam, panowie.

Zmęczone twarze generałów rozjaśnił uśmiech.

Potem spojrzeli na siebie i wydali okrzyk radości. Armageddon był wygrany, siły Szatana rozbite.

Ale na ekranach monitorów coś się działo.

- Czy to jest... czy to jest... - zająknął się generał McFte i słowa utknęły mu w gardle.

Bo na polu bitwy pojawił się On, idąc między stosami poskręcane, nadtopionego metalu.

Generałowie zamilkli.

Dotknął rozbitego automatu i na całej zasnutej dymem pustyni roboty zaczęły ożywać.

Poskręcane, nadwęglone, stopione maszyny zaczęły się prostować.

Po chwili wszystkie roboty stały na nogach.

- McFee - szeptem powiedział głównodowodzący - wypróbuj zdalne sterowanie. Każ tym robotom uklęknąć albo coś takiego. Generał spróbował, ale sterowanie nie działało.

Tymczasem roboty zaczęły unosić się w powietrzu. Podtrzymywane przez Aniołów Pańskich automatyczne czołgi, żołnierze i bombowce wlatywały coraz wyżej i wyżej.

- On je bierze do Nieba! - krzyknął histerycznie Ongin. - On zbawia roboty!

- Zaszła pomyłka! - powiedział Fetterer. - Szybko. Wyślijcie łącznika... Nie, polecimy osobiście!

Szybko podstawiono im samolot i natychmiast polecieł na pobojuwisko. Ale było już za późno, ba Armageddon się skończył, roboty znikły, a Pan ze swoimi zastępami wrócił do siebie.

przekład : Lech Jęczmyk

Broń Ostateczna

Edsel był w fatalnym nastroju. Pozbawiony już wszelkich hamulców, gotów prawdziwe i urojone konflikty rozwiązywać po prostu śmiertelnym strzałem. On, Parke i Faxon spędzili już trzy tygodnie w tym potwornym pustkowiu rozkopując każdy kurhan, na który się natknęli. Nie znajdowali niestety nic i szli dalej, próbując szczęścia przy następnym kurhanie.

Mijało już krótkie marsjańskie lato i każdy dzień stawał się chłodniejszy. I z każdym dniem nerwy Edsela, nigdy zresztą nie najmocniejsze, ścierały się coraz bardziej. Mały Faxon był nadal w dobrym humorze i wciąż marzył o fortunie, którą zdobędą po odnalezieniu broni. Parke włócił się bez słowa i harował, jakby był z żelaza. Odzywał się tylko wtedy, gdy któryś z kompanów zwracał się do niego.

Tylko Edsel osiągnął już granice wytrzymałości. Wryli się w kolejny kurhan i znów nie natrafili na żaden ślad zaginionej marsjańskiej broni. Rozwodnione słońce zdawało się świecić prosto w niego, ale mimo to widział doskonale gwiazdy na nieprawdopodobnie błękitnym niebie.

Południowy chłód wsączał się pod izolowany skafander Edsela, usztywniał mu stawy, zamrażał potężne mięśnie.

Zupełnie niespodziewanie nawiedziła Edsela myśl o zabiciu Parkego. Nie lubił tego zbyt cichego człowieka jeszcze z czasów, kiedy zawierali spółkę na Ziemi. Nie lubił go jeszcze bardziej, niż gardził Faxonem.

Edsel zatrzymał się.

- Czy wiesz, dokąd idziemy? - zapytał Parkego, złowieszczo zniżając głos.

Parke wzruszył szczupłymi ramionami, wyrażając w ten sposób niechęć do podejmowania rozmowy. Jego blada twarz o zapadłych policzkach była zupełnie bez wyrazu.

- No, wiesz? - nie rezygnował z zaczepki Edsel.

Parke znów wzruszył ramionami.

Kula w łeb - zdecydował Edsel i sięgnął po broń.

- Czeka! - wtrącił się Faxon i wszedł między nich. Nie wygłupiaj się, Edsel. Pomyśl tylko o forsie, którą zdobędziemy, kiedy znajdziemy magazyn broni! - Oczy małego człowieczka aż zaiskrzyły się na tę myśl. - Ten magazyn musi być gdzieś tu w pobliżu, Edsel, może już pod następnym kurhanem...

Edsel zawahał się, spoglądając na Parkego. Teraz, właśnie teraz pragnął zabić, a pragnienie to było silniejsze niż wszystkie inne jego emocje. Gdyby wiedział, jak to będzie, kiedy tworzyli tę spółkę na Ziemi... Wtedy wydawało im się wszystko takie proste, takie łatwe. On miał tabliczkę, opisującą kryjówkę, w której znajdował się magazyn tej legendarnej, zaginionej broni marsjańskiej.

Parke potrafił odcyfrowywać pismo marsjańskie, a Faxon podjął się sfinansowania ekspedycji.

Wydawało mu się wówczas, że trzeba będzie tylko wylądować na Marsie i przejść się do kurhanu, osłaniającego kryjówkę.

Edsel nigdy przedtem nie opuszczał Ziemi. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie tych tygodni dokuczliwego chłodu, ograniczania się do głodowych racji skoncentrowanego pożywienia, ciągłych zawrotów głowy, wywoływanych niedostateczną ilością tlenu w stęchłym powietrzu z regeneratora. Nie spodziewał się ciągłego bólu mięśni, wyczerpanych uciążliwą wędrówką wśród gęstwiny marsjańskich krzewów.

Myślał wtedy tylko o jednym: o cenie, którą zapłaci rząd - jakkolwiek rząd - za ten legendarny arsenał cudownej broni.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie, odzyskawszy już panowanie nad sobą. - Ta planeta mnie

dobija. Przykro mi, Parke, że wybuchłem. Przepraszam. Prowadź dalej.

Parke skinął tylko głową i ruszył naprzód. Faxon odetchnął z ulgą i poszedł ścieżką wydeptaną przez Parkego. Ostatecznie - pomyślał jeszcze Edsel, dołączając do nich - mogę go zabić później.

Poszukiwany tak długo kurhan odnaleźli w końcu przed wieczorem, w momencie kiedy znów wyczerpywała się cierpliwość Edsela. Wzgórze było dziwne, masywne i właściwie wyglądem swoim odpowiadało opisowi z tabliczki Edsela. Pod kilkoma calami gruntu natrafili na metal.

Odsłonili go szerzej i trafili na drzwi.

- Zaraz je rozwalę - zaofiarował się Edsel i wyciągnął swój rewolwer.

Parke odsunął go, przekręcił wielką klamkę i bez trudu otworzył drzwi. Weszli do olbrzymiego pomieszczenia. Rzędami leżała tam legendarna, zaginiona broń marsjańska, z zapisów tylko znane dowody wysokiego poziomu techniki tej martwej już planety.

Trzej mężczyźni stali przez chwilę zapatrzeni w osiągnięty cel swoich poszukiwań. Przed nimi leżał skarb, ze znalezienia którego rezygnowali już kilkakrotnie w chwilach słabości, skarb, którego bezskutecznie poszukiwało tyle ekspedycji przed nimi. Od czasu kiedy ludzie wylądowali na Marsie, badano ruiny wielkich miast. Na wielkich pustych placach, drogach i ulicach porzucane były resztki jakichś pojazdów, dzieł sztuki, narzędzi i maszyn, świadczących niby zjawy z innego świata, o potężnej cywilizacji, która co najmniej o tysiąclecie prześcignęła rozwój nauki i techniki na Ziemi. Cierpliwie odcyfrowywane dokumenty mówiły o potwornych wojnach, pustoszących powierzchnię Marsa. Niestety, zapisy dokumentów zatrzymały się w jakimś momencie i nie pozwoliły już ustalić, co stało się z mieszkańcami tej planety. Od kilku tysięcy lat nie było już na Marsie żadnej inteligentnej istoty. Również i wszelkie zwierzęce życie ustało całkowicie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Zniknęli gdzieś Marsjanie i wraz z nimi zniknęła mordercza broń, którą posługiwali się w tych swoich niszczycielskich wojnach. Edsel zdawał sobie sprawę, że ta broń warta jest swej wagi w

diamentach. Na Ziemi nie było jej równej.

Poszli dalej w głąb magazynu. Edsel wziął w rękę coś, co wyglądem swoim przypominało pistolet maszynowy kalibru 0,45 cala. Podszedł z nim do drzwi i wycelował w kępę krzaków.

- Nie strzelaj - ostrzegł go Faxon. - Może odpalić do tyłu... albo diabli wiedzą co. Przecież nie znamy tej broni. Niech ją wypróbują ci, którzy ją od nas kupią.

Edsel pociągnął za kurek. Kępa krzaków oddalona o dwadzieścia pięć metrów zniknęła w oślepiającym, czerwonym blasku.

- Nieźle - stwierdził Edsel, poklepując pistolet. Odłożył go i sięgnął po broń innego typu.

- Proszę cię, Edsel - mówił błagalnym głosem Faxom nerwowo zezując w jego stronę. - Nie ma potrzeby wypróbowywania jej. Możesz jeszcze wywołać jakiś wybuch atomowy czy coś w tym rodzaju.

- Zamknij się - zgasił go Edsel, oglądając broń w poszukiwaniu mechanizmu uruchamiającego.

- Nie strzelaj już - błagał Faxon. Obejrzał się na Parkego, oczekując od niego poparcia, ale tamten spokojnie obserwował Edsela. - Przecież któraś ze znajdujących się tu rzeczy mogła spowodować likwidację wszystkich mieszkańców Marsa. Nie chcesz chyba uruchomić jeszcze raz tej strasznej broni?

Edsel znów strzelił i z zadowoleniem przyglądał się ognistemu efektowi wybuchu gdzieś w oddali.

- Dobra rzecz - pochwalił i sięgnął po trzeci rodzaj broni, dziwny instrument podobny do zwykłego pręta. Zapomniał już o nękającym go głodzie. Był szczęśliwy, mając możliwość zabawienia się tymi połyskującymi narzędziami śmierci.

- Chodźmy już stąd - zaproponował Faxom ruszając w stronę drzwi.

- Dokąd? - zapytał Edsel. Oglądał właśnie następny okaz marsjańskiego uzbrojenia, pasujący doskonale do układu jego dłoni.

- Wracajmy na kosmodrom - powiedział Faxon. Polecimy na Ziemię, sprzedamy ten towar, tak jak zamierzaliśmy. Uważam, że możemy wziąć za to każdą cenę, absolutnie każdą cenę. Każdy rząd zapłaci miliardy za taki arsenał jak ten.

- Zmieniłem zamiar - oświadczył Edsel. Kącikiem oka obserwował Parkego. Szczupły mężczyzna chodził między równo ułożonymi stertami uzbrojenia, ale jak dotąd nie dotknął żadnej sztuki.

- Słuchaj, ty - odezwał się Faxon patrząc na Edsela - ja finansowałem tę ekspedycję.

Zamierzaliśmy sprzedać ten towar. Mam prawo... hm, zresztą, może i nie...

Nie wypróbowana jeszcze broń wymierzona była wprost w jego żołądek.

- ...a co ty chcesz zrobić z tym towarem? - zapytał Faxon już innym tonem, starając się nie patrzeć na wymierzony w niego instrument.

- Do diabła ze sprzedawaniem tego - zaklął Edsel, opierając się o ścianę w takim miejscu, z którego jednocześnie mógł obserwować Parkego. - Myślę, że sam będę mógł wykorzystać ten towar. - Uśmiechnął się, wciąż nie spuszczając wzroku z obu współników. - Mogę uzbroić trochę chłopaków u nas w mieście. Mając tę broń do dyspozycji, bez trudu sprzątniemy któryś z rządów w jakiejś środkowoamerykańskiej republice. Myślę, że będziemy mogli na zawsze utrzymać ją w swoich rękach.

- Ja nie chcę brać udziału w czymś takim - powiedział Faxon zapatrzony w broń w rękach Edsela. - Nie licz na mnie.

- Proszę bardzo - zgodził się z zadowoleniem Edsel. - I nie martw się, że się wygadam - dodał prędko Faxon. - Nie wykupuję ciebie. Po prostu nie chcę uczestniczyć w żadnej strzelaninie i w zabijaniu. Mogę na tym zarobić, ale nie chcę sam tym się zajmować. Wrócę więc chyba na Ziemię.

- Oczywiście - odezwał się Edsel. Parke stał z boku i oglądał paznokcie.

- Kiedy już otworzysz to swoje królestwo, z chęcią przyjadę do ciebie - obiecał Faxon

uśmiechając się sztucznie. - Może zrobisz mnie księciem albo czymś takim. - Sądzę, że coś się da zrobić.

- To świetnie. Powodzenia... - Faxon pomachał ręką i ruszył w kierunku drzwi. Edsel dał mu ujść jakieś dziesięć metrów, a potem skierował w niego trzymaną w ręce broń i zwolnił kurek.

Nie było żadnego huku ani błysku. Jednak niewidoczne działanie broni odcięło ramię Faxonowi.

Edsel wymierzył jeszcze dokładniej i po raz drugi nacisnął kurek. Tym razem niewidoczne, niszczące promienie przecięły małego człowieczka na pół.

Edsel odwrócił się gwałtownie, uświadomiwszy sobie, że Parke znalazł się za nim. Tamten mógł po prostu złapać najbliższą leżącą broń i strzelić do Edsela. Ale Parke stał bez ruchu tam, gdzie był poprzednio, złożony ramiona na piersiach.

- Te promienie mogą pewno przeciąć każdy materiał zauważył Parke. - Bardzo użyteczne.

Edsel spędził wspaniałe pół godziny, biegając tam i z powrotem z głębi magazynu do drzwi z różnymi rodzajami broni. Parke nie ruszał się nawet, ale obserwował próby kompana z zainteresowaniem. Starożytne uzbrojenie Marsjan było jak nowe, w pełni sprawne i nie uszkodzone mimo tysięcy lat bezużytecznego magazynowania. Było wiele typów broni wybuchowej, różnych wzorów i mocy. Były pistolety ciepłe i wyzwalające energię promieniowania, narzędzia cudownie małe i poręczne. Były aparaty zamrażające i palące, były takie, które kruszyły najtwardszą skałę, takie, które cięły, które wywoływały krzepnięcie, paraliż i rozmaite inne efekty niszczące życie.

- Wypróbujemy ten aparat - zaproponował Parke. Edsel szykował się właśnie do próby interesującego, trzylufowego karabinu. Przerwał swoje wstępne badania na dźwięk głosu Parkego.

- Jestem zajęty - odburknął.

- Przestań się bawić tymi drobiazgami. Przyjrzyjmy się rzeczom poważniejszym.

Parke stał teraz obok przysadzistej, czarnej maszyny na kołach. Wspólnie z Edselem wyciągnął ją

przed magazyn. Edsel oczywiście zabrał się do uruchamiania maszyny, próbując efektów poruszania licznych kółek, dźwigni i tastrów. Gdzieś w głębi aparatu odezwał się słaby szum, a zaraz potem wokół nich utworzyła się sina mgiełka. Przy pokręcaniu jednego z kółek na tablicy kontrolnej zasięg mgły się powiększył.

- Teraz wypróbuj którąś z tych pukawek - powiedział Parke. Edsel wziął jeden z pistoletów i strzelił. Pocisk pochłonięty został przez ścianę mgły. Wypróbowali zaraz jeszcze trzy dalsze rodzaje broni. Żaden z nich nie był w stanie przebić się przez świecącą siną mgłę.

- Sądzę, że to może odizolować nawet od wybuchu bomby atomowej - stwierdził Parke.

- To niezwykle silne pole magnetyczne...

Edsel wyłączył aparaturę. Sina mgła zniknęła. Słońce ginęło już za horyzontem. Kiedy powrócili do magazynu, było już tam znacznie ciemniej.

- Wiesz co, Parke - odezwał się nagle Edsel. - Jesteś całkiem fajny chłop. Podobasz mi się jednak.

- Dziękuję - odpowiedział Parke, ogarniając wzrokiem masę broni w magazynie.

- Nie masz do mnie pretensji, że przeciąłem na pół tego Faxona, co? On miał przecież zamiar donieść na mnie władzom na Ziemi.

- Wprost przeciwnie, w pełni aprobuję to, co uczyniłeś. - Świetnie. Mówiłem, że jesteś jednak całkiem fajny chłop. Mogłeś mnie wykończyć, kiedy załatwiałem Faxona... Edsel nie dodał, że sam tak właśnie by postąpił.

Parke wzruszył po swojemu ramionami.

- Odpowiadałoby ci, żeby współpracować ze mną przy zorganizowaniu tego królestwa w Ameryce Środkowej? spytał Edsel, uśmiechając się. - Myślę, że udałoby się nam. Zdobędziemy jakiś niezły kraik, kupę dziewczynek, mnóstwo uciech. Co o tym sądzisz?

- Naturalnie - odpowiedział Parke. - Na mnie możesz liczyć.

Edsel klepnął go po ramieniu i razem ruszyli na dalszą inspekcję magazynu.

- To wszystko jest jasne - mówił Parke, wskazując rozmaite rodzaje broni. - Różne odmiany tego, co już widzieliśmy.

Dopiero teraz ujrzeli drzwi, zasłonięte wysoką pryzmą jakichś śmiertelnych instrumentów.

Na drzwiach tych wygrawerowany był marsjański napis.

- Co tam jest napisane? - dopytywał się Edsel.

- Coś o broni ostatecznej - odrzekł Parke, wysilając wzrok przy odcyfrowywaniu słabo już widocznego napisu. - Ostrzeżenie, żeby tam nie wchodzić...

Sam otworzył drzwi. Obaj weszli do następnej sali, ale już po pierwszym kroku wzdrygnęli się nagle i stanęli jak wryci.

Druga sala była co najmniej trzykrotnie większa od pierwszej. Jak daleko sięgał ich wzrok, pełna była żołnierzy. Barwnie ubranych, uzbrojonych od stóp do głów żołnierzy... nieruchomych, podobnych do posągów ...

Żołnierze ci nie żyli.

Tuż przy drzwiach stał stół, a na nim trzy przedmioty. Najbliżej ciekawych przybyszów znajdowała się kula wielkości mniej więcej ludzkiej pięści z wykalibrowaną na powierzchni tarczą. Obok kuli leżał połyskujący hełm. A dalej mała czarna szkatułka, na przykrywce której znów znajdował się jakiś marsjański napis.

- Czy to grobowiec? - wyszeptał Edsel, z grozą obserwując grube, nieziemskie rysy marsjańskich wojaków. Parke, stojący za nim, nie odpowiadał.

Edsel odważył się wreszcie poruszyć, podszedł do stołu i wziął do ręki kulę. Ostrożnie przekreślił tarczę o jedno nacięcie.

- Co to za aparat, jak ci się zdaje? - zapytał jednocześnie kompana. - Czy uważasz, że...

Obaj ledwie złapali powietrze i cofnęli się.

Szeregi martwych dotąd żołnierzy się poruszyły. Wojacy zachwiali się i zaraz potem stanęli na

bacność. Ale zniknęła z nich surowość śmierci. Starożytni rycerze marsjańscy ożyli. Jeden z nich we wspaniałym purpurowym mundurze, bogato szamerowanym srebrem, wystąpił naprzód i skłonił się przed Edselem.

- Panie, twe wojska czekają na rozkazy.

Edsel był zbyt zaskoczony, żeby coś odpowiedzieć.

- W jaki sposób ożyliście po tysiącach lat? - zapytał rzeczowo Parke. - Czy jesteście Marsjanami?

- Jesteśmy poddanymi Marsjan - odpowiedział żołnierz. Parke zauważył jednak, że jego usta nie poruszały się, kiedy mówił. Ten stwór porozumiewał się z nimi telepatycznie. Dlatego go zresztą rozumieli, chociaż nie mógł przecież znać języka przybyszów z Ziemi.

- Kim więc jesteście? - dopytywał się Parke.

- Jesteśmy Syntetykami. Stworzono nas z materiałów odmiennych od protoplazmy. Dlatego jeszcze istniejemy. - Komu jesteście posłuszni? - zapytał Parke.

- Posłuszni jesteśmy rozkazom Aktywatora, panie syntetyczny żołnierz mówił teraz zwrócony w stronę Edsela i wpatrzony w kulę, którą tamten trzymał w ręce. - Nie potrzebujemy ani pożywienia, ani snu. Naszym jedynym pragnieniem jest służyć tobie, panie, i walczyć dla ciebie.

Żołnierze stojący w szeregach skinęli aprobowująco głowami.

- Prowadź nas do boju, panie! - wyskandowali chórem.

- Na pewno was poprowadzę! - powiedział ośmielony już Edsel. - Pokażę wam, chłopcy, jak trzeba walczyć, możecie na mnie polegać!

Żołnierze wiwatowali na cześć nowego dowódcy, który uruchomił kulę - aktywator, instrument ożywiający ich i budzący wojenne emocje, a do nich zostali przecież stworzeni. Edsel uśmiechnął się zadowolony i spojrzał na Parkego.

- A do czego służy reszta tych numerów? - zainteresował się, wskazując na tarczę kuli. Ale żołnierz nie odpowiadał. Pytanie przekraczało najwidoczniej zasięg jego wiedzy.

- Mogę zaktywizować chyba innych Syntetyków odgadywał Parke. - Pod spodem znajdują się tu chyba jeszcze dalsze komory.

- Bracie! - zawołał zachwycony Edsel. - Poprowadzę ich wszystkich do boju!

Żołnierze znów odpowiedzieli wiwatami.

- Uśpij ich z powrotem - powiedział Parke. Musimy się zastanowić, co zrobić dalej.

Oszołomiony Edsel przesunął tarczę do poprzedniej pozycji. Szeregi żołnierzy znów zamarły w bezruchu.

- Chodź, wyjdziemy stąd - zaproponował Parke. Jest już tu prawie zupełnie ciemno.

- Dobrze - zgodził się Edsel.

- I zabierz ze sobą resztę tych rzeczy - wskazał połyskujący hełm i czarną szkatułkę.

Edsel wziął jedno i drugie i wyszedł za Parkem. Słońce zniknęło już niemal zupełnie za horyzontem. Na czerwonym gruncie kładły się teraz długie czarne cienie. Było bardzo zimno, ale żaden z nich nie zwracał na to uwagi.

- Czy słyszałeś, co oni mówili, Parke? Czy słyszałeś to? Powiedzieli, że jestem ich wodzem! Z takim wojskiem... Roześmiał się uszczęśliwiony. Z takim wojskiem, z takim uzbrojeniem nic go już nie powstrzyma. Będzie miał to królestwo, o którym przedtem mówił, i wszystkie jego bogactwa, najładniejsze dziewczęta świata, będzie żył jak król.

- Jestem generałem! - zawołał Edsel i nałożył na głowę połyskujący hełm. - Jak w tym wyglądam, Parke? Czy nie wyglądam na generała...

Urwał nagle. Usłyszał jakiś głos, szeptem dochodzący do jego uszu, głos pomrukujący coś. Kto to mówił? Co takiego?

"...ty nędzny idioto z twoimi marnymi mrzonkami o królestwie w Ameryce Środkowej - brzmiały słowa dudniące w hełmie. - Taka potęga przeznaczona jest tylko dla geniusza, dla człowieka zdolnego zmienić bieg historii. A więc dla mnie!"

- Kto to mówi? Czy to nie ty, Parke...- Edsel uświadomił sobie wreszcie, że ten hełm pozwala mu słyszeć myśli kompana. Nie miał nawet czasu na rozważanie, co to za wspaniały instrument byłby dla wodza...

Parke przeciął go zgrabnie przez plecy tą samą bronią, którą przedtem Edsel zabił Faxona.

- Cóż to za idiota - mówił Parke do siebie, wkładając na głowę hełm zdjęty z głowy ofiary. -

Królestwa mu się zachciało! Ma do dyspozycji całą potęgę wszechświata i marzy o operetkowym królestwie i dziwkach!

Zerknął za siebie na wejście do arsenału.

- Z tym syntetycznym wojskiem, z aparatem do wytwarzania pola magnetycznego, żółtym cudownym uzbrojeniem opanować mogę przecież całą Ziemię...

Wiedział, że nic go już nie powstrzyma przed zrealizowaniem tego zamiaru. Wiedział, że to już niemal fakt. Miał już zamiar wrócić do magazynu i zaktywizować syntetyczną armię, kiedy przypomniał sobie o czarnej szkatułce, którą wraz z hełmem Edsel wyniósł z arsenału.

Dopiero teraz dostrzegł, że na wieku szkatułki wygrawerowany był napis: BRONŃ OSTATECZNA. A więc jeszcze jeden instrument do zdobycia władzy. Może nawet potężniejszy niż wszystkie inne zgromadzone w marsjańskiej zbrojowni.

- Co to może być? - pytał Parke sam siebie. Dostatecznie długo utrzymał przy życiu Edsela, aby ten idiota wypróbował tajemnicze marsjańskie bronie. Zapomniał o tej szkatułce. Zbadanie jej samemu może zakończyć się dla niego nieszczęśliwie. Po co ryzykować? Szkoda jednak, że wykończył Edsela, zanim tamten wypróbował jeszcze tę broń ostateczną zamkniętą w niewielkiej czarnej szkatułce.

Oczywiście, że dam sobie doskonale radę i bez tego perswadował sobie Parke. Miał taką masę najróżniejszego uzbrojenia, przeciw któremu nie znano na Ziemi obrony. Ale wszystko mogłoby pójść znacznie łatwiej, dużo prędzej, może i o wiele bezpieczniej dla niego samego. Cokolwiek to

było, sądząc po reszcie skarbów nagromadzonych w zbrojowni, musiało być również coś wyśmienitego.

Wreszcie zdecydował się. Sprawdzi, co Marsjanie traktowali jako broń ostateczną. Otworzy szkatułkę... Wydobyła się z niej jakaś para. Parke odrzucił szkatułkę daleko od siebie sądząc, że to gaz trujący. Para wzbierała, koncentrowała się, falowała jakoś dziwnie przez chwilę, a potem zaczęła krzepnąć, rozrastać się, nabierać kształtów. Po kilku sekundach proces formowania się tego stworu ustał. Nad szkatułką, niby podstawą, kołysało się coś w rodzaju wielkiego balona o białą pobłyskującą powierzchnią.

W tym momencie Parke zorientował się, że to, co powstało, to jakby olbrzymia paszcza, nad którą znajdowała się jeszcze para utkwionych w niego ślepi. Hełm, który przyszył wódz wszechświata miał na głowie, umożliwił mu zrozumienie słów wypowiedzianych przez olbrzymią paszczę.

- Nareszcie znów protoplazma! - radowała się paszcza. - Po tak długim czasie znów okazja pożywienia się protoplazmą...

Wyzwolony ze szkatułki potwór sięgnął po trupa Edsela. Paszcza pochłonęła zwłoki, nie zostawiając po nich żadnego śladu.

Parke podniósł trzymaną w ręce broń i wycelował ją w potwora.

- Spokojna protoplazma - zachwycała się paszcza po połknięciu Edsela. - Lubię spokojną protoplazmę.

Parke wypalił. Pod szkatułką powstał trzymetrowy krater, ale potwór nawet nie drgnął. Chichotał tylko złowrogo, gramoląc się wraz ze szkatułką z krateru.

- Od dawna nie miałem świeżej protoplazmy - westchnął.

Parke starał się opanować. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu poddać się panice. Wiedział już, na czym polegała ta potworna, ostateczna broń Marsjan. Ostateczna broń, która nie oszczędziła

ani obrońców, ani agresorów. Parke zbliżył się wolno do czarnej maszyny na kołach, którą przed godziną wytoczył z magazynu wraz z Edselem. Uruchomił aparaturę. Wokół niego powstała sina mgła pola magnetycznego.

Ale sina mgła niszcząca pociski nie stanowiła przeszkody dla olbrzymiej paszczy. Potwór zachichotał znów i bez trudu przedostał się przez mgłę magnetyczną. Parke sięgnął teraz po broń, którą zabił Edsela. Skierował śmiertelny promień w sam środek paszczy.

Potwór zbliżał się coraz bardziej.

- Giń, giń! - wrzeszczał Parke z całych sił naciskając spust broni.

Paszczka była już nad nim.

- Lubię spokojną protoplazmę - dudnił skrzeczący głos pod hełmem - ale lubię również żywą protoplazmę. Paszczka przełknęła żarłocznie Parkego i wyszła z obrębu pola magnetycznego, rozglądając się wkoło z tęsknotą za milionami jednostek protoplazmy, które przed tysiącami lat zamieszkiwały tę planetę.

przekład : Jan Staśko

Bunt łodzi ratunkowej

No, powiedzcie prawdę. Czy widzieliście kiedy wspanialsze silniki? - spytał Joe,

międzygwiazdny handlarz starzyzną. I spójrzcie tylko na te serwa!

- Hm... - mruknął ostrożnie Gregor.

- I na kadłub - dodał miękko Joe. Poklepał czule lśniąca burtę łodzi. Co za szczęście, zdawał się mówić każdym z tych klepięć, że ten pływający klejnot trafił się tu właśnie wtedy, gdy "As" potrzebuje łodzi ratunkowej. - Prezentuje się rzeczywiście nieźle - przyznał Joe z wystudiowaną miną człowieka, który właśnie się zakochał i ze wszystkich sił próbuje tego nie okazać. - Co o tym myślisz, Dick?

Richard Gregor nie odpowiedział. Łódź mu się podobała i odniósł wrażenie, że idealnie nadawała

się do prac oceanograficznych na Tridencie. Ale do towaru Joego należało podchodzić z rezerwą.

- Dziś już takich po prostu nie budują - westchnął Joe. - Spójrzcie na blok napędowy. Nie przedziurawi go nawet młotem spadowym. Zobaczcie, jaka wydajność układu chłodzenia.

Przyjrzyjcie się...

- Ona naprawdę w y g l ą d a niezłe... - powiedział powoli Gregor. Międzyplanetarna Służba Asenizacyjna "As" miewała już do czynienia z Joem i nauczyło ją to ostrożności. Wcale nie dlatego, że Joe był nieuczciwy; skądże znowu. Rupiecie gromadzone przez niego ze wszystkich zakątków zamieszkanego wszechświata działały. Ale te starożytne maszyny miewały często swoje własne poglądy na to, jak powinna być wykonana robota, a zmuszane do zmiany utartych przyzwyczajień, bywały zrzędlive i skore do popadania w irytację.

- ...ale dla mnie nie musi ona być ani piękna, ani wytrzymała, czy nawet wygodna - ciągnął prowokująco Gregor. - Chcę mieć za to absolutną pewność, że jest bezpieczna.

Joe skinął głową.

- To oczywiście sprawa podstawowa - powiedział. Wejźmy do środka.

Przez wąskie drzwi przesunęli się do kabiny. Joe podszedł do tablicy kontrolnej i uśmiechając się tajemniczo, nacisnął jeden z klawiszy.

W tej samej chwili Gregor usłyszał jakiś głos, który zdawał się rozlegać we wnętrzu jego głowy:

- Jestem łódź ratunkowa 342-A. Moim podstawowym zadaniem...

- Telepatia? - przerwał Gregor.

- Bezpośredni przekaz zapisu - odparł Joe, uśmiechając się ponownie, tym razem z widoczną dumą. - W ten sposób nie ma żadnych barier językowych. Mówiłem wam, że dziś się już takich nie buduje.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - podjęła swój przekaz maszyna. - Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelakim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych,

którzy znajdują się na moim pokładzie. W tej chwili jestem uruchomiona tylko częściowo.

- Czy może być coś bezpieczniejszego?! - zawołał Joe. - To nie jest żadna nieczuła bryła metalu.

Ta łódź będzie się wami opiekowała. Ona o was z a d b a!

Słowa łodzi wywarły na Gregorze silne wrażenie, choć sama myśl o korzystaniu z łodzi

wyposażonej w zdolność odczuwania napełniła go czymś w rodzaju obrzydzenia. Ale też takie paternalistyczne gadgety zawsze go irytowały.

Arnold nie miał żadnych podobnych odczuć. - Weźmiemy ją! - wykrzyknął.

- I nie będziecie tego żałować - pochwalił tę decyzję Joe, a w jego głosie zadźwięczała ta sama szczerą i otwartą nutą, która wybitnie dopomogła mu w z biciu wielu z jego milionów.

I Gregor miał nadzieję, że nie będą żałować. Następnego dnia ŁR-342-A została załadowana na pokład ich statku kosmicznego, który niezwłocznie odpalił w kierunku Tridentu.

Planeta Trident, położona w samym środku Doliny Wschodniej Gwiazdy, została ostatnio zakupiona przez spekulanta nieruchomości, który uznał ją za niemal idealną do kolonizacji.

Wielkością przypominała Marsa, lecz panujący na niej klimat o wiele bardziej sprzyjał prowadzeniu akcji zasiedlania. Nie posiadała żadnej tubylczej ludności, którą trzeba byłoby wypierać, żadnych trujących roślin, żadnych bakterii chorobotwórczych. I w przeciwieństwie do wielu światów, na Tridencie nie było drapieżnych zwierząt. Prawdę mówiąc, nie było na nim w ogóle żadnych zwierząt. Poza jedną małą wyspą i czapą polarną całą powierzchnię planety pokrywał jeden wielki ocean.

Niemniej brak lądów był w znacznej mierze czysto pozorny; wiele mórz Tridentu można byłoby przejść bród. Łądy po prostu nie wypiętrzały się jak trzeba.

Eksperci "As" uzyskali zlecenie na skorygowanie tej drobnej usterki.

Natychmiast po wylądowaniu na jedynej wyspie Tridentu przystąpiono do spuszczenia łodzi na wodę. Pozostałą część dnia zajęło sprawdzenie i przenoszenie na jej pokład specjalnej aparatury

pomiarowo-badawczej. Wczesnym rankiem następnego dnia Gregor przygotował kanapki i napełnił wodą manierkę. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia prac.

Odczepiwszy liny cumownicze, Gregor zszedł do Arnolda, do kabiny łodzi. Z przesadnym namaszczeniem Arnold wcisnął pierwszy guzik.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - nadała telepatycznie łódź. - Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelkim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W chwili obecnej jestem uruchomiona tylko częściowo. Dla uzyskania pełnego rozruchu proszę wcisnąć klawisz oznaczony numerem dwa.

Gregor dotknął drugiego przycisku.

Gdzieś we wnętrzu łodzi rozległ się stłumiony chrobot. Poza tym nie nastąpiło zupełnie nic.

- To dziwne - powiedział Gregor. Ponownie wcisnął klawisz i ponownie odpowiedział mu jedynie stłumiony brzęk.

- Na moje ucho to coś jakby zwarcie - postawił diagnozę Arnold. Spoglądając przez bulaj, Gregor zobaczył oddalający się z wolna brzeg wyspy. Poczuł, że oblatuje go strach - na tej planecie było tak wiele wody, a tak mało lądu. Co gorsza, żadne z urządzeń kontrolnych na płycie rozdzielczej nie przypominało w niczym koła sterowego czy rumpla, żadne nie wyglądało na sprzęgło ani na dźwignię gazu. Jak, u licha, prowadzi się "częściowo uruchomioną" łódź?

- Musi być sterowana telepatycznie - orzekł w końcu z nadzieją w głosie, po czym dodał już bardziej stanowczo:

- Powoli naprzód.

Mała łódź ruszyła przed siebie.

- Teraz trochę w prawo.

Łódź idealnie reagowała na jasne, choć niezbyt żeglarskie komendy Gregora. Wspólnicy wymienili uśmiechy.

- Wyprostuj - rozkazał Gregor - i ruszaj pełnym gazem naprzód.

Łódź pomknęła przez rozmigotane, puste morze.

Uzbrojony w latarkę i próbnik do sprawdzania obwodów, Arnold zniknął w luku prowadzącym do maszynowni łodzi. Prowadzenie badań było na tyle proste, że Gregor mógł sobie doskonale radzić w pojedynkę. Wszystkie prace wykonywały maszyny, same kreśląc mapę dna morskiego, zaznaczając na niej przebieg ważniejszych uskokiów i lokalizację najbardziej obiecujących wulkanów, a także kierunki prądów morskich i pionowe ukształtowanie wypiętrzeń. Po zakończeniu prac przygotowawczych następny etap robót miał zostać zlecony podwykonawcy. To on odrutuje wulkany, obsieje uskoki, po czym, z bezpiecznej odległości, naciśnie odpowiedni guzik.

I wtedy na pewien czas Trident stanie się miejscem ogromnie hałaśliwym. A później, wraz z powrotem ciszy, planeta będzie miała już dość suchego lądu, by zadowolić nawet najwybredniejszego handlarza nieruchomościami.

Wczesnym popołudniem Gregor uznał, że jak na pierwszy dzień, wykonali już dość prac kartograficznych. Zjedli z Arnoldem kanapki i popili je wodą z manierki. Potem zażyli krótkiej kąpieli w krystalicznie czystych zielonkawych falach Tridentu.

- Chyba już wiem, w czym problem - powiedział Arnold. - Ktoś usunął doprowadzenia do głównych aktywatorów. I przeciął kabel odprowadzający energię.

- A po co miałyby to robić? - zdziwił się Gregor. Arnold wzruszył ramionami.

- Może to jeden z elementów rozbrojenia łodzi zasugerował. - Naprawa nie zajmie mi dużo czasu. Wczołgał się z powrotem do maszynowni.

Gregor zawrócił telepatycznie łódź w kierunku wyspy, obserwując, jak jej dziób tnie rażno fale, zmieniając je w dwie wstęgi zielonkawej piany. W chwilach takich jak ta, wbrew wszystkim doświadczeniom przeszłości, wszechświat wydawał mu się miejscem pięknym i przyjaznym.

Pół godziny później Arnold wyłonił się z luku, umorusany smarem, lecz z triumfem w oczach.

- Wypróbuj ten klawisz teraz - powiedział.

- Przecież jesteśmy już prawie u brzegów wyspy.

- No to co? Nie zaszkodzi doprowadzić tę łódź do pełnej sprawności.

Gregor skinął głową i wcisnął drugi klawisz.

Usłyszeli serię delikatnych piknięć towarzyszących włączaniu się obwodów, a potem pomruk kilku podejmujących pracę urządzeń. Jakies światło błysnęło ostrą czerwienią i mrugnawszy kilka razy, niemal natychmiast zgasło, dając znać, że zasilanie przejęły generatory.

- No, tak już lepiej - powiedział Arnold.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - oznajmiła telepatycznie łódź. - W tej chwili jestem już w pełni uruchomiona i mogę chronić tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. Zaufajcie mi. Moje taśmy akcyjno-reakcyjne, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, zostały przygotowane przez najtęższe umysły naukowe Dromy.

- Człowiek zaraz czuje się znacznie pewniej, nie uważasz? - spytał Arnold. - Tylko co to takiego ta Droma?

- Panowie - ciągnęła łódź - spróbujcie myśleć o mnie nie jak o bezdusznej maszynie, lecz jak o swoim przyjacielu i towarzyszu broni. Wiem, co czujecie. Byliście świadkami zatonięcia własnego statku, podziurawionego jak rzeszoto przez bezlitosnych i nieprzejednanych H'genów. Ostatkiem sił wczólgaliście się...

- Jakiego statku? - spytał Gregor. - O czym ona mówi?

- ...wczólgaliście się na mój pokład, na wpół uduszeni zabójczymi oparami wody, ledwie żywi...

- Chodzi ci o tę paszę małą kąpiel? - spytał Arnold. Wszystko ci się pomieszało. Prowadzimy tutaj prace oceanograficzne i...

- ...ledwie żywi od doznanego szoku, z podupadłym morale - dokończyła łódź. - Być może

jesteście trochę przestraszeni - dodała już znacznie łagodniej. - Jeśli tak, to macie do tego absolutne prawo, pozbawieni kontaktu z flotą Dromy, rzućni na łaskę fal morza obcej planety, planety o tak surowym klimacie. Tej odrobiny strachu nie należy się wstydzić, panowie. Ale to jest wojna, a wojna to okrutna rzecz. Nie mamy po prostu innego wyjścia, jak odeprzeć barbarzyńskich H'genów i zmusić ich do powrotu na własną planetę.

- Musi być jakieś sensowne wyjaśnienie tego jej bełkotu - powiedział Gregor. - Pewnie do jej banku reakcji zaplątał się jakiś stary scenariusz telewizyjny.

- Trzeba będzie zrobić jej generalny przegląd - zdecydował Arnold. - Nie możemy całymi dniami wysłuchiwać tych bredni.

Zbliżali się do wyspy. Łódź w dalszym ciągu plotła coś o domowych ogniskach, działaniach wymijających, manewrach taktycznych i potrzebie zachowania spokoju w sytuacjach tak krytycznych jak ta. I nagle zwolniła.

- O co chodzi? - spytał Gregor.

- Przeprowadzam inwigilację wyspy - odparła łódź. Gregor i Arnold spojrzeli po sobie.

- Lepiej jej nie drażnić - szepnął Arnold, po czym głośniejszym głosem odezwał się do łodzi: - Ta wyspa jest w porządku. Sprawdziliśmy ją osobiście.

- Może i sprawdziliście - zaproponowała łódź - ale przy prowadzeniu nowoczesnych, błyskawicznych działań wojennych zmysłom Dromów nie należy dowierzać. Są zbyt niedoskonałe, zbyt skłonne do takiej interpretacji faktów, która byłaby zgodna z ich życzeniami. Natomiast zmysły elektroniczne są beznamienne, wiecznie czujne i, w granicach określonych ich zastosowaniem, bezbłędne.

- Ale tam nic nie ma! - zawołał Gregor.

- Dostrzegam obcy statek kosmiczny - odpowiedziała łódź. - Nie ma na nim znaków rozpoznawczych Dromów. - Nie nosi także znaków wroga - zauważył Arnold z całkowitą

pewnością siebie, ponieważ osobiście malował starożytny kadłub.

- To prawda, nie nosi. Ale w czasach wojny trzeba zakładać, że co nie należy do nas, należy do wroga. Rozumiem wasze pragnienie znalezienia się znów na stałym lądzie. Ale ja biorę pod uwagę czynniki, które ulegający emocjom Drom mógłby przeoczyć. Rozważam tę pozorną pustkę tak strategicznego kawałka lądu; obecność nie oznakowanego statku kosmicznego jakże kusząco wystawionego na przynętę; fakt, iż nasza flota nie operuje już w tych rejonach; to, że...

- W porządku, wystarczy. - Gregor miał już absolutnie dość tej dyskusji z wygadaną i egoistyczną maszyną. Płyn prosto do wyspy. To rozkaz.

- Nie mogę wypełnić tego rozkazu - odparła łódź. - Umknięcie śmierci ledwie o włos wytrąciło was poważnie z równowagi...

Arnold sięgnął ręką do wyłącznika i natychmiast ją cofnął, wydając okrzyk bólu.

- Bądźcież, panowie, rozsądni - powiedziała łódź dość surowo. - Tylko wyższy rangą oficer z uprawnieniami do rozbijania może mnie wyłączyć. Dla waszego dobra muszę was ostrzec, byście nie dotykali żadnego z moich urządzeń kontrolnych. Jesteście niezrównoważeni. Nieco później, kiedy znajdziemy się w bezpieczniejszej sytuacji, poddam was odpowiedniej kuracji. Na razie wszystkie swoje siły muszę poświęcić na wykrycie i uniknięcie wroga.

Nabrała gwałtownie szybkości i oddaliła się od wyspy, klucząc w niezwykle zawiły sposób.

- Dokąd płyniemy?- spytał Gregor.

- Połączyć się z flotą Dromy! - zawołała łódź z taką pewnością siebie w głosie, że współnicy rozejrzeli się nerwowo po bezkresnych, absolutnie pustych wodach Tridentu.

- To znaczy, jak tylko ją odzyskam - poprawiła się łódź.

Była już późna noc. Gregor i Arnold siedzieli obok siebie w kącie kajuty i łapczywie jedli ostatnią kanapkę. Łódź w dalszym ciągu wściekle pruć fale, wyęzając maksymalnie wszystkie swoje elektroniczne zmysły w poszukiwaniu floty, która pływała pięć wieków wcześniej na

zupełnie innej planecie.

- Słyszałeś kiedyś o tych Dromach? - spytał Gregor. Arnold przeszukiwał w pamięci swój pokaźny zasób wiedzy o mało istotnych wydarzeniach historycznych.

- Dromowie to istoty niehumanoidalne, produkt ewolucji jaszczurów - stwierdził. -

Zamieszkiwały szóstą planetę pewnego niewielkiego układu w pobliżu Capelli. Cała rasa wymarła ponad sto lat temu.

- A ci H'genowie?

- Też jaszczury; ta sama historia - mruknął Arnold znajdując jakiś okruszek i wkładając go sobie do ust. - To nie była żadna znacząca wojna; wszyscy jej uczestnicy już dawno przestali istnieć.

Najwyraźniej z wyjątkiem tej łodzi.

- No i nas - przypomniał mu Gregor. - Zostaliśmy wcieleni do armii Dromy. - Westchnął ze znużeniem. Czy myślisz, że uda nam się to tej balii wyperswadować? Arnold pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Nie bardzo widzę jak. Z punktu widzenia tej łodzi wojna trwa nadal. Wszystkie fakty interpretuje wyłącznie na podstawie tej przesłanki.

- Pewnie podsłuchuje nas nawet w tej chwili - powiedział Gregor.

- Nie przypuszczam. Ona chyba nie potrafi czytać wszystkich myśli. Centra percepcji musi mieć wyczulone wyłącznie na te skierowane bezpośrednio do niej.

- Miałeś pan rację, Joe - powiedział Gregor cierpko - dziś już się takich nie buduje. - Żałował, że nie może dostać w swoje ręce. międzygwiazdowego handlarza starzyzną.

- Prawdę mówiąc, to bardzo interesująca sytuacja podjął po chwili Arnold. - Może nawet napiszę o tym do "Cybernetyki dla Wszystkich". Oto mamy maszynę wyposażoną w niemal niezawodny system percepcji bodźców zewnętrznych. Odbierane przez nią impulsy są natychmiast logicznie przetwarzane w odpowiednie reakcje. Jedyne problem w tym, że zastosowana tu logika opiera się

na nie istniejących już założeniach. Toteż można byłoby właściwie powiedzieć, że maszyna ta padła ofiarą usystematyzowanego układu złudzeń.

Gregor ziewnął.

- Chcesz powiedzieć, że ta łajba jest po prostu stuknięta - rzekł Gregor bez ogródek.

- Totalnie. Mam wrażenie, że paranoja byłaby odpowiednim rozpoznaniem. Ale już wkrótce będzie po wszystkim. - Skąd masz tę pewność?

- To zupełnie jasne - odparł Arnold. - Imperatywem tej łodzi jest utrzymanie nas przy życiu.

Zatem musi nas karmić. Po kanapkach nie ma już nawet śladu, a jedyne zapasy pożywienia znajdują się na wyspie. Wnioskuje stąd, że będzie musiała zaryzykować i popłynąć z powrotem.

Kilka minut później poczuli, że łódź nabiera lekkiego przechyłu i zmienia kierunek.

- Ale tam nic nie ma! - zawołał Gregor.

- W tej chwili nie mogę zlokalizować floty Dromy odebrali jej telepatyczny przekaz. - Dlatego też zawracam, by przeprowadzić szczegółową inwigilację wyspy. Na szczęście w bezpośrednim sąsiedztwie nie ma także wrogów. Mogę więc już z całą mocą mojej pełnej uwagi poświęcić się opiece nad wami.

- Widzisz? - mruknął Arnold, trącąc łokciem Gregora. - Dokładnie jak przewidywałem. Teraz trzeba tylko utwierdzić ją w przekonaniu, że dobrze robi. W samą porę sobie o nas przypomniałaś - powiedział do łodzi. Jesteśmy głodni.

- Właśnie może byś nas nakarmiła - zażądał Gregor. - Już się robi - nadała łódź i w tej samej chwili ze ściany wysunęła się jakaś taca. Znajdowała się na niej jakaś ciastowata bryła czegoś, co wizualnie przypominało glinę, lecz śmierdziało jak olej maszynowy.

- Co to ma być? - spytał Gregor.

- To jest pryka - odparła łódź. - Podstawowe pożywienie wszystkich Dromów. Potrafię ją przyrządzić na szesnaście różnych sposobów.

Gregor ostrożnie skosztował ciemnej mazi. Smakowała dokładnie jak glina zmieszana pół na pół z olejem maszynowym.

- Tego nie da się jeść! - zaprotestował.

- Oczywiście, że się da - powiedziała łódź tonem łagodnej perswazji. - Dorosły Drom spożywa pięć i trzy dziesiąte funta pryki dziennie i woła o jeszcze.

Taca przesunęła się w ich kierunku. Gregor i Arnold cofnęli się o krok.

- Chwileczkę - powiedział Arnold. - Posłuchaj. My nie jesteśmy bromami. Masz przed sobą ludzi, przedstawicieli zupełnie innego gatunku. Wojna, w której wydaje ci się, że bierzesz udział, zakończyła się pięćset lat temu. My nie możemy jeść pryki. Nasza żywność znajduje się na wyspie.

- Panowie, spróbujcie zrozumieć sytuację. Złudzenie, któremu ulegacie, jest u żołnierzy czymś zupełnie powszechnym. To zwykły przypadek ucieczki w krainę wyobraźni, uchylenia się od percepcji sytuacji, której nie można znieść. Panowie, błagam was na wszystko - spójrzcie w oczy rzeczywistości!

- To ty spójrz w oczy rzeczywistości! - zawołał Gregor. - Albo każę cię rozebrać na śrubki i trzpienie! - Groźby nie mogą mnie wytrącić z równowagi nadała pogodnie łódź. - Wiem, przez co przeszliście. Istnieje nawet możliwość, że kontakt z trującymi wyziewami wody spowodował u was trwałe uszkodzenie mózgu.

- Trującymi... - szepnął Gregor, czując, że coś go chwyta za gardło.

- Według kryteriów Dromów - przypomniał mu Arnold.

- Jeśli okaże się to absolutnie nieodzowne - ciągnęła łódź - to mam pełne wyposażenie do przeprowadzenia chirurgicznej operacji mózgu. To środek bardzo drastyczny, ale w czasach wojny nie można się zbyt pieścić.

W tym momencie odskoczyła jakaś kłapa i oczom współników ukazał się rząd połyskujących ostrzy chirurgicznych.

- Czujemy się już znacznie lepiej - powiedział pośpiesznie Gregor. - Ta partia pryki wygląda rzeczywiście wspaniale, nie uważasz, Arnold?

- Bardzo smakowicie - powiedział Arnold, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Swego czasu wygrałam ogólnoplanetarny konkurs kulinarny - wyznała telepatycznie łódź ze zrozumiałą dumą. - Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla naszych chłopców w mundurach. Bardzo proszę, próbujcie.

Gregor wziął z tacy garść pryki, rozsmarował sobie trochę na wargach i dyskretnie upuścił resztę na podłogę. - Pycha - powiedział, mając nadzieję, że wewnętrzne czujniki łodzi są nieco mniej sprawne niż jej sensory zewnętrzne.

Najwyraźniej były.

- To świetnie - powiedziała łódź. - Kieruję się w tej chwili na wyspę. Aha, obiecuję wam także, że już za chwilę warunki staną się dla was znacznie bardziej znośne.

- Jakie warunki? - spytał Arnold.

- Panująca tu temperatura jest zabójczo wysoka. Zdumiewa mnie, że do tej pory nie zapadliście w letarg. Każdy inny Drom już by to zrobił. Wytrzymajcie proszę jeszcze chwilę. Już wkrótce obniżę ją do normalnych dla bromy dwudziestu stopni poniżej zera. A teraz, dla podtrzymania waszego morale, zagram wam nasz hymn narodowy.

Powietrze wypełnił upiorny, miarowy skrzek. Z zewnątrz dobiegał stłumiony plusk fal, bijących o kadłub rozpędzonej łodzi. Już w kilka chwil później w kajucie zrobiło się wyraźnie zimniej.

Gregor zamknął ze znużenia oczy, próbując ignorować chłód pełzający wzdłuż rąk i nóg.

Zaczynał być śpiący. Takie już moje szczęście, pomyślał, że dam się zamrozić na śmierć wewnątrz jakiejś chorej umysłowo łodzi. Oto skutki kupowania paternalistycznych gadżetów, przeczulonych, humanistycznych kalkulatorów, przewrażliwionych, emocjonalnych maszyn.

Zapadając w półsen zaczął się zastanawiać, do czego to wszystko doprowadzi. Przed oczyma

stanął mu ogromny szpital dla maszyn. Dwóch robotów-lekarzy pchało długim, białym korytarzem leżącą na łóżku kosiarkę. Naczelny robot-lekarz spytał:

- Cóż to dolega temu chłopcu?

- Zupełnie zszedł zmysły - odparł asystent. - Myśli, że jest śmigłowcem.

- Aha! - powiedział naczelny uczenie. - Deluzja psychomotoryczna! Szkoda. Taki sympatyczny facet.

Asystent skinął głową.

- To wszystko z przepracowania - stwierdził stanowczo. - Serce mu pękło na kępie sitowia.

Kosiarka poruszyła się niespokojnie.

- A teraz jestem trzepaczką do jajek! - zachichotała. - Trach, trach, trach!

- Obudź się - powtórzył Arnold, szczękając zębami, i jeszcze raz potrząsnął Gregorem. - Musimy coś zrobić. - Poproś ją, żeby włączyła ogrzewanie - zaproponował Gregor słabo.

- Nie da rady. Dromowie żyją w temperaturze minus dwadzieścia; my jesteśmy bromami; minus dwadzieścia jest dla nas w sam raz i nie ma co pyskować.

Biegnące w poprzek całej łodzi przewody aparatury chłodzącej pokryła gruba warstwa szronu.

Ściany zaczynały robić się białe, a na szyby iluminatora wypełził mróz.

- Mam pewien pomysł - odezwał się ostrożnie Arnold. Rzucił okiem na tablicę kontrolną, po czym szepnął coś Gregorowi do ucha.

- Możemy spróbować - odparł Gregor. Podniósł z podłogi manierkę z wodą, po czym obaj współnicy wstali i odeszli w najdalszy kąt kajuty.

- Co tam robicie? - spytała ostro łódź.

- Mamy zamiar trochę poćwiczyć - wyjaśnił Gregor. - Żołnierze Dromy muszą dbać o zachowanie sprawności fizycznej, sama o tym wiesz.

- To prawda - potwierdziła niepewnie łódź. Gregor rzucił manierkę do Arnolda.

Arnold zachichotał i odrzucił manierkę Gregorowi.

- Tylko ostrożnie z tym pojemnikiem - ostrzegła łódź. - Jest napełniony śmiertelną trucizną.

- Będziemy uważać - odparł Gregor. - Zabieramy ją ze sobą do kwatery głównej. - Rzucił manierkę do Arnolda.

- Dowództwo naczelne może kazać ją rozpylić nad armią H'genów - dodał Arnold.

- Naprawdę? - zaciekała się łódź. - To interesujące. Nowe zastosowanie tej...

Nagle Gregor rzucił manierkę w przewody chłodzące. Rura pękła i wypełniająca ją ciecz zaczęła spływać na podłogę.

- Fatalny rzut, staruszk - powiedział Arnold.

- Ależ ze mnie niezdara! - zawołał Gregor.

- Powinam była podjąć środki zabezpieczające przed wypadkami na pokładzie - nadała łódź posępnie. To już się nie powtórzy. Ale sytuacja jest bardzo poważna. Nie jestem w stanie własnymi siłami naprawić tych przewodów. Nie jestem w stanie odpowiednio chłodzić kabiny.

- Gdybyś wysadziła nas na brzegu wyspy - zaczął Arnold - tylko na chwilę...

- To wykluczone! - zawołała łódź. - Moim podstawowym zadaniem jest utrzymanie was przy życiu, a w klimacie tej planety zginęlibyście prawie natychmiast. Dlatego też będę musiała podjąć odpowiednie środki dla zapewnienia wam bezpieczeństwa.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Gregor, czując, że żołądek kurczy mu się ze strachu.

- Nie mam ani chwili do stracenia. Zbadam jeszcze raz całą wyspę. Jeśli nie wykryję na niej żadnych śladów naszych wojsk, popłyniemy do jedyne miejsca na tej planecie, gdzie panują warunki odpowiednie do utrzymania przy życiu Dromów.

- To znaczy gdzie?!

- W okolicy południowej czapy polarnej - odparła łódź. - Tamtejsza temperatura jest niemal idealna. Szacuję, że jakieś trzydzieści stopni poniżej zera.

Silniki ryknęły na podwójnych obrotach, a łódź dodała tonem usprawiedliwienia:

- I oczywiście muszę się zabezpieczyć przed dalszymi wypadkami na moim pokładzie.

Kiedy ruszyła pełną szybkością w kierunku wyspy, usłyszeli ciche szcęknięcie zamków, odcinających im drogę wyjścia z kabiny.

- Myśl! - ponaglił Arnold.

- Nic innego nie robię - warknął Gregor. - Tyle że nic mi z tego nie wychodzi.

- Musimy się z niej wydostać, kiedy podpłyne do wyspy. To będzie nasza ostatnia szansa.

- Może udałoby nam się jakoś wyskoczyć za burtę? zasugerował Gregor.

- Mowy nie ma. Nie spuszcza nas już z oka. Gdybyś nie rozwalił tej rury chłodzącej, pewnie mielibyśmy jeszcze jakąś szansę.

- Tak, wiem - mruknął Gregor cierpko. - Ty i te twoje pomysły!

- Moje pomysły! Dokładnie przypominam sobie, że to była twoja propozycja. Powiedziałeś...

- Mniejsza o to, czyj to był pomysł - przerwał mu ugodowo Gregor, pograżając się w rozmyślaniach. Słuchaj, wiemy już, że jej czujniki wewnętrzne nie są najlepsze. Może udałoby się jakoś przeciąć kabel energetyczny, kiedy znajdziemy się koło wyspy.

- Nie da ci podejść do niego bliżej niż na kilka stóp odparł Arnold, ciągle jeszcze mając świeżo w pamięci kopnięcie prądem, jakim potraktowała go łódź, kiedy próbował ją wyłączyć.

- Hmm... - mruknął Gregor, ściskając z całej siły obiema rękami czoło. Gdzieś w zakamarkach mózgu zaczynał mu kiełkować pewien pomysł. Był jeszcze dość nie sprecyzowany, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

- Dokonuję teraz szczegółowego badania wyspy oznajmiła łódź.

Wyglądając przez bulaj, Gregor i Arnold ujrzeli brzeg wyspy oddalony od nich o mniej więcej sto jardów. Na niebie nad horyzontem kładła się pierwsza poświata nadchodzącego świtu, a od jej tła wyraźnie odcinało się pokryte bliznami, ukochane dziobisko ich statku.

- Mnie ta wyspa wydaje się zupełnie w porządku powiedział Arnold.
 - Mnie też - poparł go Gregor. - Założę się, że nasze oddziały okopały się pod ziemią.
 - Niestety nie - nadała ze smutkiem łódź. - Zbadałam całą powierzchnię do głębokości stu stóp.
 - No cóż - powiedział Arnold - w tych okolicznościach powinniśmy chyba sprawdzić to nieco dokładniej. Najlepiej będzie, jeśli sam zejść na brzeg i trochę się rozejrzeć.
 - Wyspa jest opuszczona - oznajmiła stanowczo łódź. - Naprawdę możecie mi wierzyć, że moje zmysły są nieskończenie bardziej wyczulone niż wasze. Nie mogę dopuścić, byście narażali życie, schodząc na brzeg. Droma potrzebuje swoich żołnierzy, zwłaszcza takich jak wy, odpornych na upał śmiałków.
 - Nam ten klimat bardzo odpowiada - powiedział Arnold.
 - Oto słowa godne patrioty! - nadała łódź serdecznie. - Wiem, jak bardzo musicie cierpieć. Ale już ruszam na biegun południowy, a tam znajdziecie wreszcie, dzielni weterani, tak bardzo zasłużony odpoczynek.
- Gregor uznał, że najwyższy czas wprowadzić w życie własny plan, choćby był nie wiadomo jak nie sprecyzowany.
- To nie będzie potrzebne - powiedział.
 - Co?
 - Działamy zgodnie z rozkazem specjalnym - wyjaśnił. - Otrzymaliśmy polecenie nie ujawniać tego żadnej jednostce pływającej poniżej rangi pancernika. Ale w tych okolicznościach...
 - Właśnie - zawtórował mu skwapliwie Arnold w tych okolicznościach będziemy musieli cię z nim zapoznać.
 - Jesteśmy żołnierzami jednostki samobójczej - powiedział Gregor.
 - Szkolonymi specjalnie do zadań w gorącym klimacie. - Mamy rozkaz wylądowania na tej wyspie i zabezpieczenia jej dla wojsk Dromy.

- Nic o tym nie wiedziałam - odparła łódź.

- Bo nie widzieliśmy potrzeby, żeby ci o tym mówić - wyjaśnił Gregor. - W końcu jesteś tylko łodzią ratunkową.

- Natychmiast wysadź nas na brzeg - rozkazał Gregor. - Nasza misja to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

- Trzeba mi było powiedzieć o tym wcześniej powiedziała łódź. - Chyba rozumiecie, że sama nie mogłam się tego domyślić.

Zaczęła z wolna zbliżać się do wyspy.

Gregor wstrzymał oddech. Nie mógł wprost uwierzyć, by taki prosty podstęp mógł się udać.

Choć z drugiej strony, dlaczego nie? Łódź zbudowano tak, by przyjmowała każde słowo tych, którzy nią kierują, za prawdę. Jeżeli tylko owa "prawda" była spójna logicznie z założeniami funkcjonalnymi łodzi, powinna ją ona przyjąć i wykonać.

Plaża znajdowała się teraz już tylko o pięćdziesiąt jardów, jaśniejąc w zimnym świetle poranka wstęgą bieli.

I nagle wrzuciła całą wstecz i zatrzymała się.

- Nie - powiedziała.

- Co nie?

- Nie mogę tego zrobić.

- Jak to nie możesz! - ryknął Arnold. - To jest wojna! Nasze rozkazy...

- Wiem - przerwała mu łódź smutno. - I jest mi bardzo przykro. Ale przecież do wykonania takiej misji wybrano by jednostkę pływającą jakiegoś innego typu. J a k i e g o k o l w i e k innego typu. Lecz nie łódź ratunkową.

- Musisz to zrobić - jęknął błagalnie Gregor. Pomyśl o naszej ojczyźnie, pomyśl o barbarzyńskich H'genach...

- Wykonanie przeze mnie tego rozkazu jest czystą niemożliwością - wyjaśniła Łódź. -

Podstawowym nakazem mego działania jest zabezpieczenie korzystających ze mnie osób przed wszelkim niebezpieczeństwem. Ten imperatyw zapisano na każdej z moich taśm, dając mu bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi nakazami. Nie mogę pozwolić, byście wyruszyli na pewną śmierć.

Łódź zaczęła oddalać się od wyspy.

- Za ten brak subordynacji czeka cię sąd wojskowy! wrzasnął histerycznie Arnold. - Zostaniesz całkowicie rozbrojona.

- Muszę działać w wyznaczonych mi granicach odparła smutno Łódź. - Jeśli znajdziemy flotę, przekażę was niszczycielowi. Lecz tymczasem muszę umieścić was w jedynym miejscu, gdzie nic wam nie grozi - na biegunie południowym.

Nabrała szybkości, zostawiając wyspę powoli w tyle. Arnold rzucił się do tablicy kontrolnej i w tej samej chwili znalazł się, mocno oszołomiony, na pokładzie. Gregor chwycił manierkę i zamierzył się, by cisnąć nią daremnym gestem w zaryglowaną pokrywę luku. W połowie zamachu zamarł w bezruchu, porażony pewną szaleńczą myślą.

- Proszę was bardzo, nie próbujcie dokonywać żadnych dalszych zniszczeń - nadała błagalnie Łódź. - Wiem, co czujecie, ale...

Pomysł jest cholernie ryzykowny, uznał Gregor, ale przecież biegun południowy to i tak pewna śmierć. Odkręcił manierkę.

- Jeśli nie wykonamy swojej misji - powiedział - to jakże moglibyśmy spojrzeć w twarz naszym towarzyszom broni? Jedyne, co nam pozostało, to samobójstwo. - Wypił trochę wody i podał manierkę Arnoldowi, wciąż jeszcze leżącemu w oszołomieniu na podłodze.

- Nie! Nie róbcie tego! - krzyknęła przeraźliwie Łódź. - To jest w o d a!!! To śmiertelna trucizna...

Z tablicy wystrzelił strumień energii i uderzył w manierkę, wytrącając ją Arnoldowi z rąk.

Arnold chwycił ją w powietrzu i nim łódź zdążyła zareagować ponownie, pociągnął z niej spory łyk.

- Umieram ku chwale Dromy! - zawołał Gregor, osuwając się na podłogę. Dyskretnym ruchem nakazał Arnoldowi, by się nie ruszał.

- Antidotum na tę truciznę nie jest znane! - jęknęła łódź. - Och, gdybym tylko skontaktowała się ze statkiem szpitalnym... - Zabrzęczała niezdecydowanie silnikami na jałowym biegu. - Odezwiście się! - nadała błagalnie. Powiedzcie do mnie choć słowo! Żyjecie jeszcze?

Gregor i Arnold leżeli w absolutnym bezruchu, wstrzymując oddech.

- Odpowiedzcie! Może gdybyście zjedli trochę pryki... Podsunęła im pod nos dwie tace.

Wspólnicy ani drgnęli. - Nie żyją - orzekła łódź. - N i e ż y j ą. Odprawię uroczystość pogrzebową.

Na chwilę zaległa zupełna cisza. A potem łódź zaintonowała:

- Wielki Duchu Wszechświata, przyjmij pod swą opiekę dusze tych Twoich dwóch sług. Choć zadali sobie śmierć własnymi rękami, uczynili to służąc naszej ojczyźnie, walcząc o domowe ognisko. Nie sądź surowo ich bezbożnego czynu, lecz winą obarcz raczej ducha wojny, który rozpała i niszczy wszystkich Dromów.

Pokrywa luku odskoczyła na całą szerokość. Gregor poczuł na twarzy powiew chłodnej bryzy.

- A teraz na mocy uprawnień przyznanych mi przez flotę Dromów i z pełnym nabożeństwem powierzam ich ciała głębinom.

Gregor poczuł, że zostaje wyniesiony przez luk i złożony na pokładzie. Chwilę później znów uniósł się w powietrze, po czym zaczął spadać i w następnym momencie znalazł się w wodzie, tuż obok Arnolda.

- Unoś się bez ruchu - szepnął.

Wyspa znajdowała się zupełnie niedaleko. Ale łódź w dalszym ciągu krążyła wokół nich, porykując nerwowo silnikami.

- Jak myślisz, co ta łajba kombinuje? - spytał szeptem Arnold.

- Pojęcia nie mam - odparł Gregor, mając nadzieję, że Dromowie nie praktykowali obracania ciał swoich zmarłych w proch.

Łódź podpłynęła bliżej. Jej dziób znajdował się już tylko o kilka stóp. Wspólnicy zamarli w napięciu. I wtedy to usłyszeli - upiorny skrzek hymnu narodowego Dromów. Chwilę później było już po wszystkim.

- Spoczywajcie w pokoju - powiedziała łódź, po czym zawróciła i z rykiem silników pomknęła w dal.

Kiedy wreszcie odważyli się popłynąć do brzegu, Gregor zobaczył, że łódź ratunkowa kieruje się na południe, ku biegunowi, by tam oczekiwać na przybycie floty Dromy.

przekład : Paweł Michalski

Cena

Carrin uznał, że jego podły nastrój ciągnie się od samobójstwa Millera w zeszłym tygodniu.

Świadomość ta wcale nie pomogła mu uwolnić się od niejasnych, bezkształtnych obaw. Było to głupie. Samobójstwo Millera nie miało z nim żadnego związku.

Tylko dlaczego ten gruby pogodny człowiek to zrobił? Miller miał po co żyć - żona, dzieci, dobra praca i wszystkie wspaniałe luksusy naszego wieku. Dlaczego on to zrobił?

- Dzień dobry, kochanie! - powitała go żona, kiedy siadał do śniadania.

- Dzień dobry! Cześć Billy!

Syn coś odmruknął.

Z ludźmi nic nie wiadomo, podsumował Carrin i zamówił śniadanie. Posiłek był elegancko przygotowany i podany przez nowy automat kuchenny firmy Avignon Electric.

Ponury nastrój Carrina nie przechodził... a tak chciał być dzisiaj w najlepszej formie. Miał wolne i oczekiwał wizyty przedstawiciela Avignon Electric. Był to ważny dzień.

Odprowadził syna do drzwi.

- Trzymaj się, Billy!

Syn kiwnął głową, przełożył teczkę z ręki do ręki i wyszedł bez słowa. Carrin zastanowił się, czy chłopak ma jakichś zmartwień. Miał nadzieję, że nie. Jeden zmartwiony w rodzinie wystarczy aż nadto.

- Do zobaczenia, kochanie. - Pocałował żonę, która wyruszała na zakupy.

Ona w każdym razie jest szczęśliwa, pomyślał patrząc, jak żona oddala się chodnikiem.

Ciekawe, ile dziś wyda w sklepie A.E., przemknęło mu przez myśl.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze pół godziny do wizyty przedstawiciela A.E.

Najlepszy sposób na zły nastrój, to splukać go, pomyślał i poszedł wziąć natrysk.

Kabina z natryskiem była lśniącym plastikowym cudem i sam widok tego luksusu przyniósł

Carrinowi ulgę. Wrzucił ubranie do automatu piorąco-relaksującego A.E. i nastawił natrysk na maksimum. O pięć stopni cieplejsza od temperatury ciała woda smagała jego chude, białe ciało.

Potem relaksujący masaż autoręcznikiem A.E.

Wspaniale, myślał, podczas gdy automat rozciągał i ugniatał jego wątłe mięśnie. I powinno być wspaniale, przypomniał sobie. Autoręcznik z przystawką golącą kosztował trzysta trzynaście dolarów plus podatek.

Ale wart był tego, uznał, podczas gdy golarka A.E. wysunęła się z kąta i usunęła mu z twarzy zadatki zarostu. Ostatecznie, cóż warte byłoby życie, gdyby człowiek nie mógł korzystać z tej odrobiny luksusu?

Czuł, że jego skóra żyje, kiedy wyłączył autoręcznik. Powinien się czuć wspaniale, ale tak nie było. Samobójstwo Millera nie wychodziło mu z głowy rujnując jego wolny dzień.

Czy coś jeszcze leżało mu na wątrobie? W domu przecież wszystko było w porządku, papiery dla przedstawiciela A.E. miał przygotowane.

- Czy nie zapomniałem? - zadał sobie na głos pytanie.

- Za piętnaście minut przyjdzie przedstawiciel Avignon Electric - przypomniał mu szeptem ścienny kalendarz firmy A.E.

- Wiem. Czy coś jeszcze?

Kalendarz wyrecytował długą listę zadań: podlać trawnik, oddać super-turbo do przeglądu, kupić kotlety jagnięce na poniedziałek, i tak dalej. Rzeczy, na które od dawna nie mógł znaleźć czasu.

- Dość. Wystarczy.

Pozwolił się ubrać automatycznemu kamerdynerowi, który zręcznie udrapował dobrane tkaniny na jego kościstej postaci. Na zakończenie mgiełka modnych męskich perfum i przeszedł do salonu, przeciskając się między stojącymi wzdłuż ścian urządzeniami.

Rzut oka na ściennie wskaźniki upewnił go, że w domu panował porządek. Naczynia po śniadaniu zostały zdezynfekowane i odstawione do kredensu, mieszkanie wysprzątane, odkurzone, wypolerowane, ubrania żony powieszono, gwiazdoloty syna schowane do szafy.

- Przestań się martwić, ty hipochondryku! - powiedział do siebie ze złością.

- Pan Pathis z działu rozliczeń Avignon Electric - zaanonsowały drzwi.

Carrin już miał powiedzieć drzwiom, żeby się otworzyły, kiedy zauważył automatycznego barmana.

Dobry Boże, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Automatyczny barman był produktem Castile Motors. Kupił go w chwili słabości. Firma A.E.

nie byłaby zachwycona, ponieważ produkowała własny model barmana.

Przepędził automat do kuchni i powiedział drzwiom, żeby się otworzyły.

- Moje uszanowanie panu! - powiedział pan Pathis. Był to wysoki, imponujący mężczyzna

ubrany konserwatywnie w tweedową togę. Od oczu rozchodziły mu się kurze łapki świadczące jak często się uśmiecha. Teraz też uśmiechał się promiennie potrząsając prawicą Carrina i rozglądając

się po zagraconym salonie.

- Piękne ma pan mieszkanie. Piękne! Myślę, że nie naruszę zasad naszej firmy, jeżeli zdradzę panu, że jest pan właścicielem najpiękniejszego wnętrza w tym rewirze.

Carrin poczuł nagły przypływ dumy na myśl o szeregach identycznych domków w tym kwadracie ulic, w następnym, jeszcze w następnym.

- Wszystko w porządku? - spytał Pathis stawiając teczkę na krześle. - Czy wszystko działa bez zarzutu?

- Ależ taki - stwierdził entuzjastycznie Carrin. - Avignon Electric nigdy nie zawodzi.

- Czy fonograf jest sprawny? Zmienia płyty przez pełne siedemnaście godzin?

- Tak, tak - powiedział Carrin. Nie miał jak dotąd okazji do wypróbowania fonografu, ale był to niewątpliwie piękny mebel.

- A trójwymiarowy projektor? Co pan sądzi o programach?

- Odbiór idealny. - Obejrzał jeden program w zeszłym miesiącu i złudzenie było pełne.

- A jak tam kuchnia? Automatyczny kucharz w porządku? Jak tam menu?

- Wspaniałe rzeczy. Po prostu wspaniałe.

Pan Pathis spytał potem o lodówkę, jego odkurzacz, jego samochód jego helikopter, jego podziemny basen pływacki i setki innych urządzeń, które Carrin zakupił od Avignon Electric.

Wszystko działa znakomicie - zapewnił Carrin nie całkiem zgodnie z prawdą, bo nie wszystko jeszcze zdążył rozpakować. - Absolutnie bez zarzutu.

- Ogromnie się cieszę - powiedział Pathis z westchnieniem ulgi. - Nie ma pan pojęcia, jak bardzo staramy się zadowolić naszych klientów.

- Doceniam to w pełni, panie Pathis.

Carrin miał nadzieję, że przedstawiciel A.E. nie zechce zajrzeć do kuchni. Wyobraził sobie barmana firmy Castile Motors sterczącego tam jak jeżozwierz na wystawie psów.

- Z dumą mogę stwierdzić, że większość mieszkańców w tej okolicy zaopatruje się u nas - mówił Pathis. Jesteśmy poważną firmą.

- Czy Miller też był waszym klientem? - spytał Carrin.

- Ten, co popełnił samobójstwo? - Pathis zmarszczył czoło. - Tak, był. To zaskakujące, absolutnie zaskakujące. Zaledwie w zeszłym miesiącu kupił ode mnie super-turbo osiągający na prostej przeszło trzysta mil na godzin. Cieszył się z niego jak dziecko, a potem nagle coś takiego! Naturalnie wóz zwiększył nieco jego zadłużenie.

- Naturalnie.

- Ale czy to ważne? Miał wszystkie luksusy świata. A tu nagle poszedł i się powiesił.

- Tak - Pathis znów zmarszczył czoło. - Miał w domu wszystkie najnowocześniejsze urządzenia, a powiesił się na kawałku sznurka. Musiał być od dawna niezrównoważony.

Jego twarz wygładziła się i wrócił na nią zwykły uśmiech.

- Ale dość na ten temat! Porozmawiajmy o panu! Uśmiech poszerzył się jeszcze, kiedy Pathis otworzył swoją teczkę.

- Oto więc pańskie rozliczenie. Jest pan nam winien dwieście trzy tysiące dolarów i dwadzieścia dziewięć centów po ostatnim zakupie. Zgadza się?

- Zgadza się - potwierdził Carrin, bo pamiętał tę sumę ze swoich kopii rachunków. - Tu jest moja rata. Wręczył Pathisowi kopertę, którą ten sprawdził i wsunął do kieszeni.

- Świetnie. A teraz, zapewne zdaje pan sobie sprawę, że nie starczy panu życia, żeby spłacić pełne dwieście tysięcy, prawda?

- No, chyba tak - zgodził się trzeźwo Carrin.

Miał dopiero trzydzieści dziewięć lat i pełne sto lat przed sobą dzięki postępom nauk medycznych. Ale przy pensji trzech tysięcy rocznie, nie miał szans, żeby spłacić należność i jednocześnie utrzymać rodzinę.

- Oczywiście, za nic nie chcielibyśmy pozbawiać pana niezbędnych sprzętów. Nie mówiąc o wspaniałych produktach, które wypuszczamy w przyszłym roku. Rzeczy, z których na pewno nie chciałby pan zrezygnować)

Carrin kiwnął głową. Jasne, że chciał mieć te nowe rzeczy.

- Cóż, w takim razie sądzę, że załatwimy to zwyczajowo. Pod zastaw zarobków pańskiego syna za pierwsze trzydzieści lat jego dorosłego życia możemy bez trudu uzyskać dla pana dalszy kredyt.

Pathis wyciągnął z teczki plik formularzy i rozłożył je przed Carrinem:

- Zechce pan podpisać tutaj i tutaj.

- Ale... - bąknął Carrin - nie jestem pewien... Chciałbym zapewnić chłopcu start życiowy, a nie obarczać go...

- Ależ drogi panie - przerwał mu Pathis - przecież to jest również dla pańskiego syna. On też tu mieszka, prawda? Ma prawo korzystać z tych luksusów, z cudów nauki.

- Jasne - powiedział Carrin. - Tylko, że...

- Proszę parsza, przecież dzisiaj przeciętny człowiek żyje jak król. Sto lat temu najbogatszy człowiek świata nie mógłby sobie pozwolić na to, co dziś posiada zwykły obywatel. Niech pan nie patrzy na to jako na dług. To inwestycja.

- To prawda - powiedział Carrin nie całkiem przekonany.

Pomyślał o swoim synu, o jego modelach gwiazdolotów, o mapach nieba. Zadawał sobie pytanie, czy to będzie słuszne.

- Na czym polega problem? - spytał dziarsko Pathis. - Tak się zastanawiam. Zadłużyć się na poczet zarobków syna... czy to nie przesada?

- Przesada? Ależ drogi panie! - Pathis zaniósł się śmiechem. - Zna pan Mellona, który mieszka o kilka domów dalej? Niech pan nie mówi, że dowiedział się pan tego ode mnie, ale on zastawił już pensje wnuków do końca ich statystycznie przewidzianego życia. I jeszcze nie ma połowy rzeczy,

które postanowił mieć. Musimy coś dla niego wymyśleć. Nasza praca polega na spełnianiu życzeń naszych klientów i dobrze o tym wiemy.

Carrin był wyraźnie w rozterce.

- A po pana śmierci wszystko to przecież przejdzie na własność pańskiego syna.

To prawda, pomyślał Carrin. Wszystkie te cudowne rzeczy wypełniające jego dom staną się własnością syna. Poza tym chodziło tylko o trzydzieści lat ze statystycznie przewidywalnych stu pięćdziesięciu.

Podpisał zamazyście.

- Znakomicie!- powiedział Pathis. - A nawiasem mówiąc, czy ma pan w domu majordomusa naszej produkcji?

Okazało się, że nie. Pathis wyjaśnił, że mechaniczny majordomus jest nowym zdumiewającym osiągnięciem nauki i techniki. Został zaprogramowany do przejęcia wszystkich funkcji związanych ze sprząaniem i gotowaniem, tak żeby jego właściciel nie musiał ruszyć palcem.

- Zamiast przez cały dzień biegać i naciskać guziki ktoś, kto ma mechanicznego majordomusa, przyciska tylko jeden! Epokowy wynalazek!

Ponieważ majordomus kosztował zaledwie pięćset trzydzieści pięć dolarów, Carrin zamówił go, dopisując jego cenę do długu syna.

Co racja, to racja, myślał odprowadzając Pathisa do drzwi. Ten dom będzie kiedyś własnością syna. I synowej. Niewątpliwie będą chcieli mieć dom nowocześnie wyposażony.

Tylko jeden guzik, myślał. Jaka oszczędność czasu! I Po wyjściu Pathisa Carrin zasiadł w ruchomym fotelu i włączył trójwymiarowy projektor. Pokręciwszy zdalnym sterowaniem stwierdził, że nie ma ochoty oglądać żadnego programu. Odchylił oparcie i postanowił się zdrzemnąć.

Coś nadal nie dawało mu spokoju.

- Dzień dobry, kochanie! - Obudził się i stwierdził, że żona wróciła. Pocałowała go w ucho! -

Zobacz, co mam!

Kupiła "seksycytujący negliż" firmy A.E. Carrin był mile zaskoczony, że tylko tyle. Zwykle wracała z zakupów obładowana.

- Śliczne - powiedział.

Pochyliła się, żeby ją pocałował i zachichotała zalotnie: zwyczaj, który przejęła od najpopularniejszej ostatnio gwiazdy trój-ekranu. Carrin wolałby, żeby tego nie robiła.

- Zaprogramuję kolację - powiedziała i poszła do kuchni. Carrin uśmiechnął się na myśl, że wkrótce żona będzie mogła zamawiać posiłki nie ruszając się z saloniku. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wtedy przyszedł syn.

- Jak tam, synu? - spytał z uczucie;

- W porządku - odpowiedział apatycznie Bill.

- O co chodzi, synu? - Chłopak wpatrywał się w podłogę i nie odpowiadał. - Chodź i powiedz tacie, co cię gnębi!

Billy usiadł na skrzynce i oparł głowę na rękach. Podniósł na ojca zamyślane oczy.

- Tato, czy gdybym chciał, to mógłbym zostać inżynierem serwisu?

Carrin uśmiechnął się. Billy nie mógł się zdecydować, czy chce zostać inżynierem serwisu, czy pilotem kosmicznym. Inżynierowie serwisu stanowili elitę. To oni naprawiali automaty naprawcze.

Automaty naprawcze potrafiły naprawiać prawie wszystko, ale nie można mieć maszyn do naprawiania maszyn naprawczych. I tutaj wkraczali inżynierowie serwisu.

Jednak konkurencja w tym zawodzie była ogromna i tylko nieliczne wybitne umysły otrzymywały dyplom. Billy był wprawdzie inteligentnym chłopcem; ale nie zdradzał jakichś wybitnych uzdolnień technicznych.

- To możliwe, synu. Wszystko jest możliwe.

- Ale czy to jest możliwe dla mnie?
- Nie wiem - odpowiedział Carrin najuczciwiej, jak mógł.
- A ja wcale nie chcę być inżynierem serwisu - powiedział Billy rozumiejąc, że odpowiedź brzmi nie. - Chcę być pilotem kosmicznym.
- Pilotem kosmicznym? - spytała Leela wchodząc do pokoju. - Przecież wiesz, że nie ma żadnych pilotów kosmicznych.
- Właśnie, że są - upierał się Billy. - W szkole pan powiedział, że rząd wyśle ekspedycję na Marsa.
- Mówią tak od stu lat - powiedział Carrin - ale jeszcze nic nie zrobili.
- Teraz zrobią.
- A dlaczego właściwie chcesz lecieć na tego Marsa? spytała Leela robiąc oko do męża. - Nie ma tam ładnych dziewcząt.
- Nie obchodzą mnie dziewczyny. Chcę polecieć na Marsa i tyle.
- Na pewno by ci się tam nie podobało, kochanie powiedziała Leela. - Paskudna stara planeta bez powietrza.
- Jest tam trochę powietrza i chcę tam polecieć - upierał się ponuro chłopiec. - Mnie się nie podoba tutaj.
- Co to ma znaczyć? - spytał Carrin podrywając się w fotelu. - Czy ci czegoś tu brakuje? Chciałbyś coś mieć?
- Nie, ojczu. Mam wszystko. - Ilekroć Billy nazywał go "ojcem", Carrin wiedział, że coś jest nie w porządku.
- Posłuchaj, synu, kiedy byłem w swoim wieku, ja też chciałem lecieć na Marsa. Chciałem robić różne wielkie rzeczy. Chciałem nawet zostać inżynierem serwisu.
- To dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo dorosłem. Zrozumiałem, że są ważniejsze rzeczy. Najpierw musiałem spłacić dług, który odziedziczyłem po ojcu, potem poznałem twoją matkę...

Leela zachichotała.

- ... i zapragnąłem mieć własny dom. Z tobą będzie tak samo. Spłacisz swój dług i ożenisz się tak jak wszyscy. Billy przez chwilę milczał. Potem odgarnął z czoła włosy - ciemne i proste jak u ojca - i oblizał wargi.

- A dlaczego ja mam dług, ojcze?

Carrin wszystko mu cierpliwie tłumaczył. Że rodzina potrzebuje wielu rzeczy, żeby żyć w sposób cywilizowany. Że trzeba za to płacić i że jest w zwyczaju, żeby syn, kiedy dorasta, przejmował część długu ojca.

Milczenie Billy'ego irytowało go. Zupełnie, jakby chłopak miał do niego pretensję, po tym jak on latami harował, żeby zapewnić temu niewdzięcznemu szczeniakowi wszelkie luksusy.

- Synu - powiedział surowo - uczyłeś się w szkole historii? To dobrze. W takim razie wiesz, jak to było w przeszłości. Wojny. Chciałbyś być rozerwanym na strzępy?

Chłopak nie odpowiadał.

- Albo czy chciałbyś giąć grzbiet przez osiem godzin dziennie przy pracy, którą powinna wykonywać maszyna? Albo chodzić stale głodny? Albo marznąć i moknąć bez dachu nad głową?

Zrobił przerwę na odpowiedź, nie otrzymał jej i ciągnął dalej.

- Żyjesz w najszcześniejszych czasach w całych dziejach ludzkości. Otaczają cię wszelkie cuda nauki i sztuki. Najwspanialsza muzyka, najlepsze książki i obrazy są w zasięgu twojej ręki.

Wystarczy tylko nacisnąć guzik. Zmienił ton na łagodniejszy. - No i co na to powiesz?

- Zastanawiam się, jak polecieć na Marsa - powiedział chłopiec. - Chodzi o ten dług. Pewno nie da się od tego wykręcić?

- Oczywiście, że nie.

- Chyba, żebym poleciał na gapę.

- Ale tego nie zrobisz.

- Jasne, że nie - powiedział chłopiec, ale jakoś jakby bez przekonania.

- Zostaniesz tutaj i ożenisz się z miłą i ładną dziewczyną - stwierdziła Leela.

- Jasne - powiedział Billy. - Oczywiście. - Uśmiechnął się. nagle. - Z tym Marsem to ja żartowałem. Naprawdę.

- Cieszę się - powiedziała Leela.

- To było tylko tak sobie - Billy uśmiechnął się z przymusem, wstał i pobiegł na górę.

- Pewnie poszedł bawić się swoimi raketami - zauważyła Leela. - Mały urwis.

Carrinowie zjedli w spokoju kolację, po której Carrin musiał iść do pracy. W tym miesiącu miał nocną zmianę. Pocałował na pożegnanie żonę, wsiadł do super-turbo i z rykiem silnika pomknął do fabryki. Automatyczna brama zidentyfikowała go i wpuściła. Zaparkował wóz i wszedł do hali.

Automatyczne tokarki, automatyczne prasy, wszystko było tu zautomatyzowane. Fabryka była wielka i jasna, maszyny mruczały cicho same do siebie wykonując swoją pracę i wykonując ją dobrze.

Carrin poszedł na koniec taśmy montażowej pralek automatycznych, Weby zmienić pracującego tam człowieka.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Jasne - odpowiedział tamten. - W tym roku nie miałem ani jednego braku. Te nowe modele nie mrugają już lampkami, ale mają wmontowany głos.

Carrin usiadł w fotelu i czekał na pierwszą pralkę. Jego praca była szczytem prostoty. Siedział, a maszyny defilowały przed nim. Przy każdej przyciskał guzik i sprawdzał, czy działa. Działały zawsze. Minąwszy go pralki szły do pakowni.

Właśnie podjechała na wałkach pierwsza. Wcisnął włącznik.

- Gotowa do prania - odezwała się pralka automatyczna.

Carrin przycisnął inny guzik i pralka odjechała.

Ten mój chłopak, myślał Carrin. Czy dorośnie i podejmie swoje obowiązki? Czy dojrzeje i stanie się odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa? Wątpliwe. Ten chłopak był urodzonym buntownikiem. Jeżeli ktoś kiedyś polecą na Marsa, to właśnie on.

Ta myśl jakoś go nie zasmuciła.

- Gotowa do prania - zgłosiła się następna pralka.

Carrin przypomniał sobie coś w związku z Millerem. Ten pełen życia człowiek często mówił o innych planetach, o wyprawach i o ryzyku. Ale tylko mówił. A potem popełnił samobójstwo.

- Gotowa do prania.

Carrin miał przed sobą osiem godzin, poprawił się więc w fotelu i rozluźnił pasek. Osiem godzin przyciskania guzików i słuchania maszyn obwieszczających swoją gotowość do pracy.

- Gotowa do prania.

Przycisnął guzik.

- Gotowa do prania.

Carrin oddalił się myślą od swojej pracy, która, prawdę mówiąc, nie wymagała zbyt wiele uwagi. Nagle uświadomił sobie, co go dręczyło.

Przyciskanie guzików go nie bawiło.

Przełożył Lech Jęczmyk

Cena Ryzyka

Reader wysunął ostrożnie głowę ponad parapet okna. Ujrzał schody awaryjnego wyjścia pożarowego, a poniżej wąski zaułek. Stał tam zdewastowany wózek dziecienny i trzy pojemniki na śmieci. Gdy tak patrzył, zza ostatniego pojemnika uniosło się ramię w czarnym rękawie. W dłoni połyskiwał jakiś przedmiot. Reader momentalnie schylił głowę. Pocisk roztrzaskał szybę tuż nad

nim i wbił się w sufit, obsypując go odpryskami tynku.

Już wiedział. Zaulek był pilnowany tak samo jak i drzwi.

Leżał, rozciągnięty jak długi na popękany linoleum, gapiąc się na otwór pocisku widniejący w suficie i nasłuchując odgłosów dochodzących zza drzwi. Był wysokim mężczyzną o przekrwionych oczach i dwudniowym zarostem. Brud i zmęczenie poryły mu twarz bruzdami. Strach wycisnął na niej swe piętno, tu napinając mięsień, tam szarpiąc ją nerwowym skurczem. Efekt był wstrząsający. Twarz Readera, zniekształcona oczekiwaniem na śmierć, nabrała teraz wyrazu.

Zaułka pilnował Jeden rewolwerowiec, dwóch czekało na schodach. Był w pułapce. Był martwy.

Pewnie, myślał Reader, porusza się jeszcze i oddycha ; ale to tylko dzięki nieudolności śmierci.

Śmierć zajmie się nim za kilka minut. Śmierć wybije dziury w jego twarzy i ciele, artystycznie ochlapie krwią jego ubranie, ułoży jego członki w jakąś groteskową figurę z cementarnego baletu.

Reader wgrzył gwałtownie wargę. Chciał żyć. Musi być jakiś sposób. Przekreślił się na brzuch i rozejrzał się po obskurnym mieszkaniu, do którego zapędzili go mordercy. Przypominało świetną, małą, jednomiejscową trumnę. Miało drzwi, które były pilnowane i wyjście pożarowe, którego strzeżono. Miało też małą łazienkę bez okna.

Przezołgał się do łazienki i wstał. Na suficie ział postrzępiony otwór, szeroki na prawie cztery cale. Gdyby tak udało się go powiększyć, precyzyjnie przecisnąć przezeń do mieszkania znajdującego się powyżej...

Jego uszu doszedł głuchy łomot. Mordercy byli niecierpliwi. Zaczynali wyważać drzwi.

Zbadał otwór w suficie. Nie ma co marzyć. Nigdy nie zdoła go powiększyć.

Rąbali w drzwi, stękając przy każdym ciosie. Za chwilę wyszarpią zamek, albo wyrwą zawiasy z nadgniętego drewna framugi. Drzwi upadną na podłogę i, otrzepując z pyłu marynarki, wtargną tu dwaj zamaskowani mężczyźni.

Ale ktoś mu na pewno pomoże! Wyciągnął z kieszeni małą odbiornik telewizyjny. Obraz był

zamazany i nie mógł sobie poradzić z uregulowaniem go. Dźwięk był wyraźny i czysty.

Słuchał starannie wymodulowanego głosu Mika Terry'ego, który zwracał się do oglądającej go, ogromnej rzeszy widzów zgromadzonej przed odbiornikami.

- Straszne położenie - mówił Mike Terry. - Tak, proszę państwa, Jim Reader znajduje się w prawdziwie okropnej sytuacji. Jak państwo zapewne pamiętają, ukrywał się pod przybranym nazwiskiem w trzypiętrowym hotelu na Broadwayu. Wydawało się, że to całkiem bezpieczna kryjówka, ale tak się tylko, proszę państwa, wydawało. Rozpoznał go goniec hotelowy i doniósł o tym gangowi Thompsona.

Drzwi trzeszczały pod spadającymi na nie ciosami. Reader ścisnął kurczowo telewizorek i słuchał dalej.

- Jim Reader zdołał zbiec z hotelu! Mając swych prześladowców na karku, wpadł do kamienicy przy West End Avenue 156. Zamierzał przedostać dalej dachami i to mogło się udać, proszę państwa, to mogło się udać. Ale drzwi prowadzące na dach były zamknięte. Zdawało się, że to już koniec... Ale Jim Reader zorientował się, że lokal numer 7 jest nie zamieszkały i ginie zamknięty na klucz. Wszedł tam...

Terry przerwał, aby podkreślić grozę sytuacji i zaraz krzyknął: - ...i jest teraz, proszę państwa, osaczony, osaczony jak szczur w potrzasku. Gang Thompsona wyważa drzwi! Wyjście pożarowe jest pilnowane. Nasi kamerzyści, ulokowani w pobliskim budynku, przekazują teraz państwu zbliżenie. Proszę spojrzeć, proszę państwa., proszę tylko spojrzeć! Czy nie ma już żadnej nadziei dla Jima Readera?

- Czy nie ma już żadnej nadziei powtórzył cicho Reader. Stał złany potem w ciemnej, przytłaczająco ciasnej łazience, nasłuchując nieustającego walenia w drzwi.

- Poczekaj! - krzyknął Mike Terry. - Nie wyłączaj się, Jimie Reader, jeszcze się nie wyłączaj.

Mam pilną rozmowę telefoniczną z jednym z naszych widzów, rozmowę z aparatu Linii

Dobrego Samarytanina. To ktoś, kto uważa, że może ci pomóc. Może jest jeszcze jakaś nadzieja,

Jim. Czy mnie słyszysz, Jimie Reader?!

Reader czekał, słysząc chrupnięcie wyrywanych z przegniłej framugi zawiasów.

- Proszę mówić, sir - powiedział Mike Terry. - Pana nazwisko,

- Eee... - Felix Bartholomew.

- Niech się pan nie denerwuje, Mr. Bortholomew. Proszę mówić.

- No więc tak... O.K. Mr. Reader rozległ się roztrzęsiony, starczy głos. Mieszkałem kiedyś przy West End Avenue 156. W takim samym mieszkaniu, w jakim jest pan teraz, Mr. Reader - no tak, w takim samym ! Niech pan słucha, Mr. Reader, łazienka ma okno. Jest zamalowane, ale ma...

Reader wepchnął telewizorek do kieszeni. Znalazł zarysy okna i kopnął w nie z całej siły. Szkło rozprysło się w drobne kawałki i łazienkę zalało światło dzienne. Zgarnął odpryski szkła z parapetu i wychylił się szybko przez okno.

Od wylanej betonem nawierzchni podwórza dzieliła go spora odległość. Zawiasy puściły. Słyszał jak drzwi otwierają się. Nie namyślając się dłużej, przelazł przez okno, zwił na chwilę na koniuszkach palców i skoczył.

Wstrząs oszołomił go. Wstał na chwiejnych nogach. W oknie łazienki pojawiła się jakaś twarz.

- Masz pecha - powiedział mężczyzna, wychylając się i mierząc spokojnie z trzydziestki ósemki ze spiłowaną lufą.

W tym momencie eksplodowała w łazience świeca dymna.

Kula mordercy poszła bakiem. Odwrócił się klnąc. Na podwórzu wybuchały następne świece, przysłaniając dymem sylwetkę Readera.

Słyszał wydobywający się ze schowanego w kieszeni telewizorka, oszalały z podniecenia głos Mika Terry'ego.

- Biegnij! - wrzeszczał Terry - biegnij po swoje życie, Jimie Reader. Uciekaj, dopóki oczy

morderców wypełnione są dymem. Dziękujemy Dobrej Samarytance, Sarze Winters z Bockton w stanie Massachusetts, Edgar Street 3412, za ufundowanie pięciu świec dymnych i wynajęcie człowieka, który je podrzucił!

- Ocaliła pani dzisiaj ludzkie życie, Mrs. Winters - już spokojniejszym głosem ciągnął Terry. Czy powie pani naszym telewidzom w jaki sposób...

Reader nie mógł słuchać dalej. Biegł przez wypełnione dymem podwórze, minął sznury na bieliznę - wypadł na ulicę.

Szedł Sześćdziesiątą Trzecią Ulicą, garbiąc się, aby ująć sobie wzrostu. Słaniał się lekko z wyczerpania, osłabiony brakiem jedzenia i snu.

- Hej, ty!

Reader odwrócił się. Na schodkach siedziała kobieta w średnim wieku, przyglądając mu się krzywo.

- Ty jesteś Reader, tak? Ten, którego próbują zabić?

Reader chciał odejść.

- Wejdz do środka, Reader - powiedziała kobieta.

Być może była to pułapka, ale Reader wiedział, że musi polegać na wielkoduszności i życzliwości ludzi. Był ich reprezentantem, przedłużeniem ich samych, przeciętnym facetem w tarapatach. Bez nich był zgubiony. Z nimi nic nie mogło mu się stać.

Wierz w ludzi, powiedział mu Mike Terry. Oni cię nigdy nie opuszczą. Wszedł za kobietą do salonu. Kazała mu usiąść - i wyszła z pokoju, aby wrócić prawie natychmiast z talerzem gulaszu.

Stała, obserwując go jak jadł, tak jak patrzy się na małpę w ZOO, opychając się orzeszkami.

Z kuchni wyszło dwoje dzieci i gapiło się na niego. Przez drzwi od łazienki weszli do pokoju trzej mężczyźni w kombinezonach i skierowali na posilającego się Readera kamerę telewizyjną. W salonie stał wielki odbiornik telewizyjny. Reader, połykając swój posiłek, patrzył na produkującego

się na ekranie Mika Terry'ego i słuchał silnego, szczerze zmartwionego głosu komentatora.

- Oto jest, proszę państwa - mówił Terry. - Obserwujemy teraz na naszych ekranach Jima Readera, spożywającego swój pierwszy od dwóch dni, skromny posiłek. Nasi kamerzyści porządnie się napracowali, aby przekazać państwu ten obraz! Dziękuję, chłopcy... Proszę państwa, chwilowego schronienia udzieliła Jimowi Readerowi Mrs. Velma O'Dell z Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy 343. Dziękujemy, Dobra Samarytanko O'Dell! To naprawdę cudowne, jak ludzie ze wszystkich ścieżek życia otwierają swe serca przed Jimem Readerem!

- Pośpiesz się lepiej - powiedziała Mrs. O'Dell.

- Dobrze, proszę pani - wymamrotał Reader.

- Nie chcę strzelaniny w moim mieszkaniu.

- Już kończę, proszę pani.

- Nie zabiją go? - spytało jedno z dzieci.

- Zamknij buzię - skarciła je Mrs. O'Dell.

- Tak, Jim - zawołał śpiewnie Mike Terry - pośpiesz się lepiej. Twoi prześladowcy nie są daleko.

Oni nie są głupcami, Jim. Zdeprawowani, wypaczeni, szaleni - tak! Ale nie głupi. Idą po śladzie twojej krwi - krwi z twojej skaleczonej dłoni, Jim!

Dopiero teraz Reader zdał sobie sprawę, że rozciął dłoń na parapecie okiennym.

- Daj, zabandażuję to - powiedziała Mrs. O'Dell.

Reader wstał i pozwolił upatrzeć sobie dłoń. Patem Mrs. O'Dell dała mu brązową marynarkę i szary kapelusz z jedną połową runda wygiętą do dołu.

- To rzeczy mojego męża - powiedziała.

- Ma przebranie! - zawył z zachwytu Mike Terry: - To coś nowego, proszę państwa! Przebranie!

Na siedem godzin przed ocaleniem!

- Teraz wyjdź stąd - powiedziała Mrs. O'Dell. - Idę, proszę pani - zdecydował się Reader. -

Dzięki.

- Myślę, że jesteś głupcem - dodała. - Myślę, że jesteś głupcem mieszając się w to.

- Tak, proszę pani. - Nie warto.

Reader podziękował i wyszedł. Dotarł pieszo do Broadwayu, wsiadł do pociągu metra w kierunku Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, a potem kolejką miejską dojechał do Osiemdziesiątej Szóstej. Tam kupił gazetę i przesiadł się do pierwszego składu metra zmierzającego w kierunku Manhasset.

Metro przemknęło z łoskotem pod Manhattanem. Reader drzemał. Skrył pod gazetą obandażowaną dłoń i nasunął głęboko na oczy kapelusz. Czy już go rozpoznano? Czy zgubił gang Thompsona? A może ktoś teraz do nich telefonuje?

Zastanawiał się sennie, czy naprawdę uszedł z życiem. A może był martwym, zręcznie animowanym trupem, poruszającym się tylko dzięki nieudolności śmierci? (Moja droga, śmierć jest teraz taka opieszła! Jim Reader, zanim można go było pochować jak należy, spacerował po swej śmierci kilka godzin i odpowiadał na pytania ludzi!)

Reader pod wpływem nagłego impulsu otworzył szeroko oczy. Śniło mu się coś... coś nieprzyjemnego. Nie mógł sobie przypomnieć co.

Zamknął ponownie oczy i przypomniał sobie, z pewnym zdziwieniem, czasy, kiedy żył sobie beztrosko i nic mu nie groziło.

To było przed dwoma laty. Był wtedy wielkim, sympatycznym młodzieńcem i pracował jako pomocnik kierowcy ciężarówki. Był zbyt skromny, aby marzyć.

Marzył za niego niski kierowca ciężarówki o ściągniętej twarzy.

- Dlaczego nie spróbujesz w widowisku telewizyjnym, Jim? Ja bym spróbował, gdybym miał twoje warunki. Lubią tam takich przeciętnych, mało bystrych facetów. Jako uczestników. Każdy lubi takich facetów. Czemu by nie spróbować?

No i spróbował. Właściciel miejscowego sklepu radiowa-telewizyjnego udzielił mu bliższych wyjaśnień.

- Widzisz, Jim. Publiczność ma już powyżej uszu dobrze wytrenowanych siłaczy z ich zmanierowanymi odruchami i profesjonalną odwagą. Kto może się wczuć w takich facetów? Kto może się z nimi identyfikować? Ludzie chcą oglądać emocjonujące rzeczy, to prawda, ale nie, kiedy jakiś cwaniak robi sobie z tego rzemiosło i zbija pięćdziesiąt tysięcy rocznie. To dlatego tracą popularność wyreżyserowane widowiska. To dlatego właśnie prosperują widowiska grozy.

- Rozumiem - powiedział Reader. - Sześć lat temu, Jim, Kongres uchwalił Ustawę o Świadomym Samobójstwie. Paru starych senatorów gadało dużo o nieprzymuszonej woli i samookreśleniu jednostki, ale to wszystko gówno. Czy wiesz, co oznacza Ustawa o Świadomym Samobójstwie? Oznacza ona, że nie tylko zawodowcy, ale i amatorzy mogą ryzykować swoje życie za dużą forszę: Dawniej, jeśli chciałeś, żeby ci legalnie obtłukli mózg za pieniądze, musiałeś zostać zawodowym bokserem, futbolistą, albo graczem w hokeja. A teraz taka szansa stoi otworem dla zwykłych ludzi, takich jak ty, Jim.

- Rozumiem - powiedział znowu Reader.

- To cudowna okazja. Skorzystaj z niej. Nie wyróżniasz się niczym, Jim. Wszystko, co potrafisz ty, potrafi każdy. Jesteś przeciętniak. Myślę, że widowiska grozy będą o ciebie zabiegać.

Reader pozwolił sobie na marzenia. Widowiska telewizyjne wydawały się prostą drogą do fortuny dla skromnego, młodego faceta bez żadnych szczególnych uzdolnień i wykształcenia.

Napisał list do programu o nazwie "Hazard" i dołączył swoją fotografię.

"Hazard" zainteresował się nim. Sieć JBC zbadała jego dane i uznała, że był na tyle przeciętny, aby usatysfakcjonować najszersze kręgi widzów. Sprawdzono jego pochodzenie i przynależność organizacyjną. W końcu wezwano go do Nowego Jorku. Tam przeprowadził z nim rozmowę Mr. Mouliau.

Moulian był ponury i uczuciowy. Mówiąc, żuł gumę.

- Wystąpisz - powiedział oschle ale nie w "Hazardzie". Wystąpisz w "Eliminacjach". To półgodzinny program dzienny na trzecim kanale.

- Orany! - ucieszył się Reader. - Nie dziękuj mi. Jeśli wygrasz albo zajmiesz drugie miejsce, otrzymasz tysiąc dolarów, a jeśli przegrasz, dostaniesz nagrodę pocieszenia w wysokości stu dolarów. Ale nie to jest ważne.

- Nie, proszę pana.

- "Eliminacje" to skromny program. Jest on poligonem doświadczalnym dla sieci JBC. Zdobywcy pierwszego i drugiego miejsca przechodzą do "Stanu zagrożenia". W "Stanie zagrożenia" nagrody są o wiele wyższe.

- Wiem, że są wyższe, proszę pana. - I jeśli spiszysz się dobrze w "Stanie zagrożenia", otworzy się przed tobą droga do widowisk grozy pierwszej klasy, takich jak "Hazard" i "Podwodne Niebezpieczeństwa", transmitowanych na cały kraj i oferujących olbrzymie wygrane. I wtedy zaczyna się naprawdę wielka gra. Jak daleko dojdiesz, zależy od ciebie.

- Zrobię co będę mógł, proszę pana - zapewnił Reader.

Moulian przestał na chwilę żuć gumę i niemal z szacunkiem powiedział:

- Możesz tego dokonać, Jim. Pamiętaj tylko. Ty jesteś ludzie, a ludzie mogą wszystko.

Sposób, w który wypowiedział te słowa sprawił, że Readerowi zrobiło się przez chwilka żal Mr.

Mouliana, który był ponury, miał kędzierzawe włosy, wyłupiaste oczy i na pewno był "ludzie".

Podali sobie ręce. Potem Reader podpisał dokument zwalniający sieć JBC od wszelkiej odpowiedzialności za utratę przez niego życia, członków, czy rozumu w trakcie konkursu. Podpisał również inny dokument, wyszczególniający prawa przysługujące mu na mocy Ustawy o Świadomym Samobójstwie. Wymagało tego prawo i była to czysta formalność.

Po trzech tygodniach wystąpił w "Eliminacjach".

Program nawiązywał do klasycznej formy wyścigu samochodowego. Niewyszkoleni kierowcy wgramolili się do potężnych, amerykańskich i europejskich maszyn wyścigowych i ścigali się na morderczej, dwudziestomilowej trasie. Reader, trzęsąc się ze strachu, wrzucił zły bieg w swoim Maserati i wystartował.

Wyścig był przeraźliwym koszmarem spalonych opon. Reader trzymał się z tyłu stawki, pozwalając pierwszym liderom roztrzaskiwać się na okolonych bandami zakrętach wijącej się serpentyną drogi. Wysunął się na trzecie miejsce, gdy jadący przed nim Jaguar skręcił nagle w bok, wpadając na Alfa Romeo i obydwie maszyny z łoskotem wylądowały w zaoranym polu. Na drugie miejsce wysforował się Reader na ostatnich trzech milach, ale nie mógł znaleźć miejsca na wyprzedzenie prowadzącego wozu. Na zakręcie w kształcie litery S omal nie wyleciał z trasy, ale szybko wprowadził samochód na drogę i ciągle jeszcze był trzeci. Potem kierowca prowadzącego wozu złamał na ostatnich pięćdziesięciu jardach wał korbowy i Jim ukończył wyścig na drugiej pozycji.

Był teraz o tysiąc dolarów do przodu. Dostał cztery listy od kibiców, a pewna pani z Oshkosh przysłała mu parę ciepłych skarpetek. Został zaproszony do wystąpienia w "Stanie Zagrożenia". W odróżnieniu od innych widowisk, "Stan Zagrożenia" nie był programem typu turniejowego. Wymagał on wykazania się inicjatywą. Przed występem zaaplikowano Readerowi dawkę nieuzależniającego narkotyku. Ocknął się w kabinie małego samolotu lecącego na autopilocie na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Wskazanie paliwomierza sygnalizowało niemal puste zbiorniki. Spadochronu nie miał. Należało sprowadzić samolot do lądowania.

Naturalnie, nigdy przedtem nie latał. Ostrożnie eksperymentował z urządzeniami wypełniającymi tablicę przyrządów samolotu pamiętając, że w zeszłym tygodniu bohater odzyskał świadomość na pokładzie łodzi podwodnej, otworzył nie ten zawór co trzeba i utonął.

Tysiące widzów z zapartym tchem obserwowało, jak ten przeciętny człowiek, człowiek taki

sam jak oni, borykał się z zaistniała sytuacja tak, jak robiliby to oni. Jim Reader był nimi.

Wszystko, co potrafił on, potrafili oni. Był reprezentantem ludzi.

Readerowi udało się sprowadzić samolot na dół w sposób, który zachowywał pozory lądowania.

przekoziółkował kilka razy, ale pas bezpieczeństwa spełnił swoją rolę, a silnik, wbrew

oczekiwaniom nie buchnął płomieniami. Wyszedł wtedy z tego ogłuszony, z trzema złamanymi

zębrami, trzema tysiącami dolarów i szansa, że po wyzdrowieniu wystąpi w "Torrero".

Nareszcie widowisko pierwszej klasy!. "Torrero" płaciło dziesięć tysięcy dolarów. Trzeba było

tylko zakłuć szpada czarnego byka z Miura, tak jak robili to zawodowi matadorzy.

Walka odbywała się w Madrycie, gdyż walki byków były w Stanach Zjednoczonych ciągle

jeszcze nielegalne. Transmitowała ją telewizja.

Reader miał dobrą kwadrylię. Polubili wielkiego, ślamazarnego Amerykanina. Pikadorzy

naprawdę przykładali się do swych lancy, aby osłabić mu byka, banderillerzy próbowali zwalić

bestię z nóg, zanim wbili w nią swe banderille, a drugi matador, ponury człowiek z Algiceras,

fantazyjnymi ruchami mulety niemal skręcił bykowi kark.

Ale kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, na placu boju, ściskając niezgrabnie w

lewym ręku muletę, a w prawym szpadę, oko w oko z czarnym, ociekającym krwią, szerokorogim

bykiem stał Jim Reader.

- W płuca go, hombre, w płuca darł się ktoś. - Nie zgrywaj bohatera, dźgnij go w płuca.

Ale Jim Reader trzymał się tego, co powiedział mu w Nowym Jorku doradca techniczny:

"Nastaw szpadę i wbij ją nad rogami".

I tak zrobił. Szpada ześlizgnęła się po kości i byk wziął go na rogi, po czym przerzucił sobie nad

grzbietem. Podniósł się, cudem nie rozpruty, pochwycił drugą szpadę i zamykając oczy, ponownie

wbił ją nad rogami. Bóg sprawujący pieczę nad dziećmi i głupcami musiał się temu przyglądać,

gdyż szpada weszła jak nóż w masło. Byk wyglądał na zaskoczonego i gapił się na Jima z

niedowierzaniem, a potem upadł jak przekłuty balon.

Wyplacili mu dziesięć tysięcy dolarów, a złamany obojczyk zrosł się niemal natychmiast. Dostał dwadzieścia trzy listy od kibiców, a wśród nich namiętne zaproszenie od dziewczyny z Atlantic City, które zignorował. Spytano go, czy nie zechciałby wystąpić w następnym widowisku.

Pozbył się już trochę swej naiwności. Był teraz w pełni świadomy, że dał się niemal zabić za marne grosze. Wielka forsa była nadal przed nim. Teraz chciał być niemal zabijany za coś wartego zachodu.

Wystąpił więc w "Podwodnych Niebezpieczeństwach", widowisku finansowanym przez firmę Mydło Fairlady. W masce na twarzy, z respiratorem, pasem obciążającym, płetwami i nożem, skoczył wraz z czterema rywalami w ciepłe wody Morza Karaibskiego. Za nimi, w ochronnej klatce zanurzyła się obsługa kamery telewizyjnej. Zadanie polegało na znalezieniu i wyłowieniu skarbu, który firma finansująca program ukryła na dnie.

Nurkowanie w masce nie jest specjalnie niebezpieczne, ale fundator, celem uatrakcyjnienia widowiska, zadbał o trochę fanaberii. W rejonie, w którym odbywały się zawody, roiło się od gigantycznych mięczaków, jadowitych moren, rekinów kilku gatunków, ogromnych ośmiornic, trujących koralowców i innych niebezpieczeństw, czyhających na śmiałków w głębinach.

Była to pasjonująca walka. Skarb znalazł w głębokiej rozpadlinie człowiek z Florydy, ale jego znalazła morena. Skarb porwał drugi nurek, a jego porwał rekin. Przejrzysta, niebieskozielona woda zmętniała od krwi, co dobrze wychodziło w kolorze na ekranach telewizorów. Skarb opadł na dno, a zanurkował za nim Reader, w trakcie czego trzasnęły mu bębenki w uszach. Wyszarpał skarb z koralowca, odrzucił pas obciążający i popłynął w kierunku powierzchni. Na trzydzieści stóp od celu musiał stoczyć walkę o skarb z czwartym nurkiem.

Wodzili się tam i z powrotem z nożami w dłoniach, wreszcie mężczyzna zaatakował i ciał Readera przez pierś. Ale Reader, z zimną krwią rutynowanego zawodnika, puścił swój nóż i

wyrwał napastnikowi z ust respirator.

To pomogło. Reader wynurzył się i pokazał wyłowiony skarb komisji konkursowej oczekującej w łodzi. Okazało się, że była to paczka mydła firmy Mydło Fairlady - "Największy Skarb".

Występ przyniósł mu na czysto dwadzieścia dwa tysiące dolarów w gotówce i papierach wartościowych, oraz trzysta osiem listów ad kibiców i interesującą propozycję od dziewczyny z Macon. Odbił bezpłatne leczenie rany od noża, pękniętych bębenków i zatrucia jadem koralowca. Ale, co najważniejsze, zaproszony został do wzięcia udziału w największym widowisku grozy - w "Cenie Ryzyka". I wtedy się zaczęło...

Skład zatrzymał się, wrywając Readera z zadumy. Zsunął kapelusz z czoła i w przejściu między siedzeniami dostrzegł mężczyznę, gapiącego się nań i szepczącego coś do tęgiej kobiety. Czyżby go rozpoznali?

Gdy tylko otworzyły się drzwi wstał i zerknął na zegarek. Miał jeszcze przed sobą pięć godzin.

Na stacji Manhasset ,wsiadł do taksówki i kazał się wieźć do New Salem.

- New Salem? - spytał kierowca przyglądając mu się w lusterku wstecznym.

- Tak.

Kierowca włączył radio.

- Kurs do New Salem. Tak, zgadza się. New Salem.

Ruszyli. Reader zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy nie był to czasem sygnał. Zgłaszanie dyspozytorom kursu należało, oczywiście, do obowiązków taksówkarzy, ale coś w głosie tego człowieka...

- Niech mnie pan tutaj wysadzi zażądał Reader.

Zapłacił kierowcy i ruszył pieszo wąską, polną drogą, wijącą się między rzadko rosnącymi drzewami. Drzewa były zbyt niskie i zbyt oddalone jedno od drugiego, aby mogły stanowić osłonę.

Reader szedł dalej, szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć.

Od strony autostrady zbliżała się wielka ciężarówka. Reader, nie zatrzymując się, nasunął kapelusz głębiej na oczy. Nagle, gdy ciężarówka była już blisko, usłyszał, dobywający się z trzymanego w kieszeni telewizorka, krzyk: - Uważaj!

Rzucił się do rowu. Ciężarówka, przechylając się na jedną stronę, przejechała obok, niemal ocierając się o niego. Zapiszczały hamulce. Kierowca krzychał

- Tam ucieka! Strzelaj, Harry, strzelaj!

Pociski strzygły liście wokół wpadającego między drzewa Readera.

- I znów do tego doszło! - mówił Mike Terry cienkim z podniecenia głosem. - Obawiam się, że czujność Jima Readera uspioła została złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Tak nie można, Jim!

Nie możesz tak postępować, gdy zagrożone jest twoje życie! Nie teraz, gdy tropią cię bandyci!

Bądź ostrożny, Jim. Masz jeszcze ciągle cztery i pół godziny przed sobą.

- Claude, Harry - mówił kierowca zawróćcie ciężarówkę. Otaczamy go. - Otaczają cię, Jim - wrzeszczał

Mike Terry - ale jeszcze cię nie dostali! Możesz podziękować Dobrej Samarytance, Susy Peters z South Orange w stanie New Jersey, Elm Street 12, za ostrzegający krzyk, który wydała w momencie, gdy ciężarówka wpadała na ciebie. Za chwilę ujrzymy małą Susy przed naszymi kamerami... Proszę spojrzeć, proszę państwa, przybył na miejsce nasz helikopter studyjny. Teraz motecie państwo obserwować uciekającego Jima Readera i morderców ścigających go, okrążających go...

Reader przebiegł sto jardów między drzewami i wypadł na betonową autostradę. Po drugiej stronie rósł rzadki las. Za nim, między drzewami, kłusował jeden ze ścigających go bandytów.

Ciężarówka wyjechała już z bocznej drogi i było teras o milę od miejsca, w którym stał, pędząc w jego stronę.

Z przeciwnego kierunku nadjeżdżał samochód. Reader, wymachując jak oszalały rękoma, wbiegł

na autostradę. Samochód zatrzymał się.

- Szybko! - krzyknęła młoda blondynka siedząca za kierownicą.

Reader wskoczył do wozu. Dziewczyna zawróciła. Przednią szybę roztrzaskał pocisk. Wcisnęła pedał gazu, omal nie rozjeżdżając samotnego bandyty wybiegającego przed maskę samochodu.

Wóz wyrwał do przodu, zanim ciężarówka zbliżyła się na odległość strzału.

Reader opadł na oparcie fotela i mocno zacisnął powieki. Kobieta skoncentrowała się na prowadzeniu, obserwując w lusterku wstecznym ciężarówkę.

- I znów się udało! - darł się w ekstazie Mike Terry. - Jim Reader znowu został wyrwany z objęć śmierci, dzięki Dobrej Samarytance, Janice Morrow z New York City, Lexington Avenue 433. Czy oglądali państwo kiedyś coś podobnego? Ta brawura z jaką panna Morrow gnała poprzez grad pocisków i wyrwała Jima Readera z paszczy zguby! Przeprowadzimy później wywiad z Miss Morrow i dowiemy się, co wtedy przeżywała. Teraz, kiedy Jim Reader odjeżdża z szaloną prędkością - może tam, gdzie będzie bezpieczny, może tam, gdzie czyhają na niego nowe niebezpieczeństwa - nadamy krótkie ogłoszenie naszego fundatora. Nie wytaczajcie odbiorników!

Jim Reader ma jeszcze przed sobą cztery godziny i dziesięć minut, wszystko może się zdarzyć!

- W porządku - odezwała się dziewczyna. - Zeszliśmy z anteny. Co się z tobą do diabła dzieje, Reader?

- Co takiego? - spytał zdziwiony. Dziewczyna miała dwadzieścia kilka lat. Wyglądała atrakcyjnie i robiła wrażenie nieprzystępnej. Reader zauważył, że ma ładne rysy twarzy i doskonałą figurę.

Zauważył też, że była zła.

- Panienko - powiedział - nie wiem jak panience dziękować...

- Nie wysilaj się - przerwała mu Janice Morrow. - Nie jestem Dobrą Samarytanką. Pracuję w sieci JBC.

- A więc uratował mnie program! - Sprytnie to wykombinowałeś - powiedziała.

Ale dlaczego?

- Słuchaj, Reader, to kosztowny program. Musimy zrobić z niego dobre przedstawienie. Jeśli krąg oglądających nas widzów zacznie się zawężać, to pójdziemy z torbami. A ty nie przyczyniasz się do podniesienia jego atrakcyjności.

- Bo jesteś okropny - stwierdziła cierpko dziewczyna. - Jesteś fajtłapa, niedołęga. Czy ty próbujesz popełnić samobójstwo? Nie nauczyłeś się jeszcze jak przetrwać?

- Robię co mogę.

- Thompsonowie mogli cię już dopaść z tuzin razy. To my poinstruowaliśmy ich, żeby się nie spieszyli, żeby odwlekali chwilę ostatecznego rozstrzygnięcia. Ale to przypomina strzelanie do glinianego kogucika wysokiego na sześć stóp. Thompsonowie stosują się do naszego zalecenia, ale jak dotąd mogą tylko fuszerować. Gdybym nie nadjechała, zabiliby cię - obojętne, czy transmisja by trwała, czy nie.

Reader gapił się wytrzeszczonymi oczyma nie mogąc uwierzyć, że taka ładna dziewczyna może wysławiać się w taki sposób. Rzuciła mu krótkie spojrzenie i przeniosła wzrok z powrotem na drogę.

- Co tak na mnie patrzysz? - powiedziała. - Zgodziłeś się za pieniądze ryzykować swoim życiem, chłopczyku. I to za duże pieniądze! Wiedziałaś, czego się od ciebie wymaga. Nie zachowuj się jak nędzny urzędnicyzna, który stwierdza, że gonią go wstrętne chuligani. To inny scenariusz.

- Wiem dowiedział Reader.

- Jeśli nie potrafisz porządnie żyć, postaraj się przynajmniej umrzeć porządnie...

- Pani nie chciała tego powiedzieć - wpadł jej w słowa Reader.

- Nie bądź taki pewien... Masz do końca widowiska trzy godziny i czterdzieści minut, Jeśli potrafisz utrzymać się przy życiu, świetnie. Forsa jest twoja. Ale jeśli ci się nie uda, spróbuj przynajmniej pokazać coś ludziom zapłacili za to.

Reader skinął głową i wpatrywał się w dziewczynę tak, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

- Za chwilę wchodzimy znowu na antenę. Udam, że zepsuł się silnik i wysiądziesz.

Thompsonowie postawią teraz wszystko na jedną kartę. Zabiją cię, kiedy tylko i jeśli tylko będą mogli. Rozumiesz?

- Tak - powiedział Reader. - A jeśli mi się uda to spotkamy się kiedyś?

- Próbujesz mnie nabierać? - zacięła ze złością usta.

- Nie. Chciałbym się jeszcze z panią zobaczyć. Mogę?

Popatrzyła na niego dziwnie.

- Nie wiem. Nie myśl o tym. Program zaraz się zaczyna. Najlepiej chyba będzie, jak schronisz się w tym lesie po prawej. Gotowy?

- Tak. Jak mogę się z panią skontaktować? Znaczą się potem.

- Och, Reader, nie uważasz. Idź przez las, aż znajdziesz wyżłobiony przez wodę wąwóz. To niewiele, ale będziesz miał przynajmniej jakąś osłonę.

- Jak mogę się z panią skontaktować? - spytał ponownie Reader.

- Mój numer jest w książce telefonicznej Manhattanu. - Zatrzymała samochód. - O. K., Reader, uciekaj.

Otworzył drzwiczki.

- Zaczekaj. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Powodzenia, ty idioto. Zadzwoń do mnie, jak ci się uda.

Po chwili biegł już w stronę lasu.

Minął brzozowo-sosnowy lasek, przebiegł obok wielopoziomowego domu letniskowego odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami wyglądających przez wielkie, panoramiczne okno ludzi. Ktoś z mieszkańców tego domu musiał powiadomić gang, bo kiedy dotarł do wąwozu, o którym mówiła mu Janice Morrow, mordercy byli tuż za nim. Ci spokojni, kulturalni, przestrzegający

prawa ludzie nie chcą, żeby uciekł, pomyślał ze smutkiem Reader. Chcą zobaczyć mord. A może pragną ujrzeć, jak ledwo uchodzi z życiem.

Na jedno właściwie wychodziło.

Wpadł do wąwozu, ukrył się w gęstych krzakach i leżał bez ruchu. Na obu skarpach pojawili się Thompsonowie. Szli powoli wypatrując jakiegokolwiek poruszenia. Gdy przechodzili obok miejsca, gdzie leżał, Reader wstrzymał oddech.

Usłyszał bliski huk wystrzału, ale bandyta strzelał tylko do wiewiórki. Wiła się przez chwilę z bólu, a potem znieruchomiała.

Leżąc tak w krzakach, Reader usłyszał warkot helikoptera studyjnego, unoszącego się nad wąwozem. Zastanawiał się, czy kamery były skierowane na niego. Było to możliwe. A jeśli ktoś widzi, jakiś Dobry Samarytanin, w jakiej znalazł się sytuacji, to może przyjdzie mu z pomocą.

Patrząc tak w niebo na helikopter, Reader nadał swej twarzy pełen czci wyraz, złożył ręce i zaczął się modlić. Modlił się po cichu, bo zebrane przed telewizorami audytorium nie lubiło religijnej ostentacji, ale jego usta poruszały się. To był przywilej każdego człowieka.

Miał na ustach prawdziwą modlitwę. Kiedyś, ktoś z widzów, potrafiący czytać z ust, wykrył, że uciekinier udaje odmawianie pacierza, a w rzeczywistości recytuje tabliczkę mnożenia. Dla tego człowieka nie było już ratunku!

Reader skończył się modlić. Zerkając na zegarek stwierdził, że pozostały mu jeszcze prawie dwie godziny.

A on nie chciał umierać! To nie było tego warte, obojętne ile mu wypłaca! Musiał być szalony, kompletnie szalony, żeby się na to zgodzić.

Wiedział jednak, że nie była to prawda. I przypomniał sobie, jaki był wtedy świadomy tego, co czyni,

Tydzień temu, mrużąc oczy w ostrych światłach reflektorów, stał w studio programu "Cena

Rzyka", a Mike Terry ścisnął mu rękę.

- A więc, Mr. Reader - spytał uroczyście Terry - czy zna pan reguły gry, w której ma pan uczestniczyć?

Reader skinął głową.

- Jeśli je zaakceptujesz, Jimie Reader, będziesz przez tydzień człowiekiem ściganym. Będą cię tropić mordercy, zawodowi mordercy, ludzie ścigani przez prawo za inne zbrodnie, którym, na mocy Ustawy o Świadomym Samobójstwie, zagwarantowano bezkarność za to jedyne zabójstwo. Będą próbowali cię zabić, Jim. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparł Reader. Rozumiał również to, że jeśli przez ten , tydzień zdoła utrzymać się przy życiu, otrzyma dwieście tysięcy dolarów.

- Pytam po raz ostatni, Jimie Reader. Nie zmuszamy nikogo do gry, gdy stawką w niej jest śmierć. Czy chcesz grać?

- Chcę - powiedział Reader.

Mike Terry zwrócił się do widowni. - Panie i panowie, mam tutaj kopię wyczerpującego testu psychologicznego, który na naszą prośbę przeprowadził na Jimie Readerze bezstronny instytut badań psychologicznych. Kopie takie zostaną przesłane każdemu, kto ich zażąda, po uiszczeniu przez tą osobę opłaty w kwocie dwudziestu pięciu centów na pokrycie kosztów wysyłki. Test wykazuje, że Jim Reader jest w pełni władz umysłowych, zrównoważony i całkowicie odpowiedzialny pod jakimkolwiek względem. - Tu zwrócił się do Readera.

- Czy nadal chcesz stanąć do współzawodnictwa, Jim?

- Tak, chcę.

- Świetnie! - krzyknął Mike Terry Jimie Reader, poznaj swoich przyszłych morderców!

Na scenę, witani gwiazdami publiczności, weszli ludzie z gangu Thompsona. - Proszę na nich spojrzeć, proszę państwa - powiedział z nieukrywana pogardą Mike Terry. - Proszę tylko na nich

spojrzeć! Antyspołeczni, z gruntu zdeprawowani, kompletnie amoralni. Ci ludzie nie mają innego kodeksu, poza spaczonym, kodeksem kryminalistów, żadnego honoru, poza tchórzliwym honorem mordercy do wynajęcia. Są ludźmi skazanymi, skazanymi przez nasze społeczeństwo, które nie na długo usankcjonuje ich działalność. Czeka ich przedwczesna i niechlubna śmierć.

Widownia przyjęła te słowa aplauzem.

- Co masz do powiedzenia, Claude Thompson? - spytał Mike Terry. Claude, rzecznik

Thompsonów, podszedł do mikrofonu. Był szczupłym, gładko wygolonym, staromodnie ubranym mężczyzną.

- Uważam - powiedział ochryple uważam, że nie jesteśmy gorsi od innych. Znaczą się, jesteśmy jak żołnierze na wojnie, oni też zabijają. A popatrzcie na łapownictwo w rządzie i w związkach.

Każdy dorabia sobie na boku.

Był to właśnie nie trzymający się kupy kodeks Thompsonów. Ale jakże szybko, z jaką precyzją Mike obalił argumentację mordercy! Pytania Terry'ego wrażały się prosto w plugawą duszę tego człowieka.

Pod koniec wywiadu, Claude Thompson wycierał spoconą twarz jedwabną chusteczką i rzucał swym ludziom gniewne spojrzenia.

Mike Terry położył dłoń na ramieniu Readera.

- Oto człowiek, który zgodził się zostać waszą ofiarą - jeśli potraficie go schwytać.

- Schwytny go - powiedział Thompson. Wróciła mu już pewność siebie.

- Nie bądź taki pewny - upomniał go Terry. - Jim Reader walczył z dzikimi bykami - teraz ma za przeciwników szakale. Jest przeciętnym człowiekiem. Jest "ludzie" - a to oznacza ostateczną zgubę dla ciebie i osobników twojego pokroju.

- Dostaniemy go - chełpił się Thompson.

- I jeszcze jedno - dodał cicho Terry. - Jim Reader nie jest osamotniony. Stoją za nim ludzie z

całej Ameryki. Dobrzy Samarytanie ze wszystkich zakątków naszego wielkiego kraju są gotowi pomagać mu. Nieuzbrojony, bezbronny Jim Reader może liczyć tylko na pomoc i serdeczność ludzi, których jest reprezentantem. Nie bądź więc taki pewien, Claude Thompson! Za Jimem Readerem stoją przeciętni ludzie - a ludzi przeciętnych jest mnóstwo!

Reader rozmyślał o tym, leżąc bez ruchu w krzakach. Tak, ludzie pomagali mu, ale pomagali także mordercom.

Wstrząsnął nim dreszcz. Sam tego chciał, pamiętał dobrze. Sam był sobie winien. Potwierdzał to test psychologiczny.

A mimo to, jakaś część winy spadała tu na psychologów, którzy przeprowadzali z nim ten test?

Na ile winien był Mike Terry, oferując biednemu człowiekowi taka sumę pieniędzy?

Społeczeństwo samo zrobiło tę pętlę i założyło mu ją na szyję, a on sam się na niej powiesił, nazywając to nieprzymuszoną wolą.

Czyja to wina?

- Aha ! - krzyknął ktoś.

Reader spojrział w górę i zobaczył stojącego nad nim, tęgiego mężczyznę. Mężczyzna ubrany był w tweedowa marynarkę w krzykliwa kratę. U szyi zwisała mu lornetka, a w ręku trzymał laskę.

- Proszę pana - wyszeptał Reader - niech pan nic nie mówi!

- Hej! - Krzyknął grubas, wskazując laska na Readera. - Tutaj jest! Wariat, pomyślał Reader.

Temu przekłętemu głupcowi musi się wydawać, że to zabawa w chowanego.

- O, tutaj! - wrzeszczał mężczyzna. Reader, klnąc, zerwał się na nogi i zaczął uciekać. Wybiegł z wąwozu i ujrzał w oddali biały budynek. Skręcił w tym kierunku. Za sobą słyszał ciągle okrzyki mężczyzny.

- Tamtędy, o tam. Patrzcie, głupcy, jeszcze go nie widzicie?

Bandyci znowu zaczęli strzelać. Reader biegł, potykając się o nierówności terenu. Minął troje

dzieci bawiących się w szafasie.

- Tutaj jest! - rozwrzeszczały się dzieciaki. - Tutaj jest!

Reader jęknął i biegł dalej. Dopadł schodów budynku i zobaczył, że to kościół.

Gdy otwierał drzwi, pocisk trafił go w kolano.

Upadł i wczołgał się do środka. Telewizorek w jego kieszeni przemawiał głosem Mika Terry'ego:

- Co za zakończenie, proszę państwa, co za zakończenie! Reader został trafiony! Został trafiony, proszę państwa. Czołga się teraz, cierpi, ale nie rezygnuje! Nie, Jim Reader!

Reader leżał w przejściu między ławkami, niedaleko ołtarza. Docierał do niego - ożywiony głos dziecka, które mówiło:

- Wszedł tutaj, Mr. Thompson. Jak się pan pospieszy, to jeszcze go pan złapie.

Czyż kościół nie był uważany za sanktuarium; zastanawiał się Reader, czyż nie gwarantował azylu?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Reader zdał sobie sprawę, że na ten obyczaj nikt tu nie zważa.

Zebrał się w sobie i wpełzł za ołtarz, a stamtąd, przez tylne drzwi kościoła, wyczołgał się na zewnątrz.

Znalazł się na starym cmentarzu. Pełzał między krzyżami i gwiazdami, mijał marmurowe i granitowe płyty, mijał groby z kamienia i proste, drewniane tablice pamiątkowe. O nagrobek, tuż przy jego głowie, roztrzaskał się pocisk, obsypując go gradem kamiennych odprysków. Doczołgał się nad krawędź świeżo wykopanej mogiły.

Oszukali go, myślał. Wszyscy ci mili, przeciętni normalni ludzie. Czy nie mówili, że jest ich reprezentantem? Czy nie przysięgali ochraniać siebie samych? Ale nie, oni go nienawidzili. Czemu tego nie dostrzegł? Ich bohaterem był zimny, zaślepiony rewolwerowiec, Thompson, Capone, Billy Kid, Young Lochinvar, Cyd, Cuchulain, człowiek bez ludzkich pragnień i obaw. Czčili go, tego bezdusznego, nieprzejednanego robota rewolwerowca i pragnęli poczuć jego stopę na swej twarzy.

Reader spróbował się poruszyć i osunął się bezradnie do otwartego grobu. Leżał na plecach, patrząc w błękitne niebo. Niebawem, zamajaczyła nad nim czarna sylwetka, plamiąc swą obecnością czysty błękit. Szczęknął metal. Zjawą wolno brała go na cel.

I Reader na zawsze stracił wszelką nadzieję.

- STÓJ, THOMPSON! - zaryczał wzmocniony głos Mike Terryego. Rewolwer zadrżał.

- Jest sekunda po piątej! Tydzień minął! JIM READER WYGRAŁ!

Rozpętała się istna burza wiwatów wznoszonych przez publiczność zgromadzona w studio.

Ludzie z gangu Thompsona w ponurych nastrojach zebrali się nad grobem. - Wygrał, przyjaciele, wygrał! - krzyczał Mike Terry. - Spójrzcie państwo, spójrzcie na ekrany swoich telewizorów!

Przybyła policja. Zabierają Thompsonów od ich ofiary - ofiary, której nie potrafili zabić. A wszystko dzięki wam, Dobrzy Samarytanie Ameryki. Spójrzcie państwo, opiekuńcze ręce podnoszą Jima Readera z otwartej mogiły, która stała się jego ostatnim azylem. Jest tam Dobra Samarytanka Janice Morrow. Czyżby to początek romansu? Zdaje się, że Jim zasłabł, proszę państwa. Podają mu środek pobudzający. Wygrał przecież dwieście tysięcy dolarów! Zamienimy teraz kilka słów z Jimem Readerem!

Zapadła chwila milczenia.

- To przykre - odezwał się Mike Terry. - Proszę państwa, przykro mi, ale nie możemy teraz usłyszeć Jima. Badają go lekarze. Jedna chwileczkę...

Ponownie zapadła cisza. Mike Terry otarł czoło z potu i uśmiechnął się.

- To zmęczenie, proszę państwa, straszliwe zmęczenie. Lekarz mówi mi... No tak, proszę państwa, Jim Reader chwilowo nie jest sobą. Ale to tylko chwilowo! Sieć JBC wynajmuje najlepszych psychiatrów i psychoanalityków w kraju. Zrobimy wszystko co w ludzkiej mocy dla tego dzielnego chłopca. Wszystko na nasz koszt.

Mike Terry zerknął na zegar wiszący w studio.

- No tak, proszę państwa, zbliża się pora zakończenia naszego programu. Proszę obejrzyć zapowiedź naszego następnego, wielkiego widowiska grozy. I proszę się nie martwić. Pewien jestem, że Jim Reader będzie niedługo z nami.

Mike Terry uśmiechnął się i mrugnął okiem w kierunku widowni.

- Na pewno wyzdrowieje, proszę państwa. Przecież wszyscy trzymamy za niego kciuki !

przekład : Jacek Manicki

Ciało

Profesor Meyer otworzył oczy. Zobaczył trzech młodych specjalistów, pochylonych nad nim z wyrazem niepokoju. Pomyślał przede wszystkim, że trzeba być tak młodym jak oni, żeby odważyć się na przeprowadzenie takiej operacji. Młodym i nonszalanckim, przesiąkniętym wyłącznie teoretycznymi wiadomościami. Trzeba na to być precyzyjnym i niezawodnym jak automat, mieć stalowe nerwy i palce z żelaza.

Te myśli zafrapowały go do tego stopnia, że dopiero po dobrej chwili zdał sobie sprawę, że operacja się udała.

- Jak się pan czuje, panie profesorze?

- Wszystko jest w porządku?

- Może pan mówić?

Patrzyli na niego z niepokojem.

Profesor przełknął ślinę, dotknął swego nowego podniebienia końcem nowego języka, a potem rzekł drętwym głosem: - Myślę... zdaje mi się...

- W porządku! - wrzasnął Cassidy. - Feldman! Obudź się!

Feldman zeskoczył z polowego łóżka i zaczął gorączkowo szukać okularów.

- Już się zbudził?! Powiedział coś?!

- Tak, powiedział! Mówi jak anioł! Udało się! Feldman znalazł wreszcie okulary i podbiegł do

stołu operacyjnego.

- Mógłby pan nam jeszcze coś powiedzieć, panie profesorze? Wszystko jedno co?

- Jestem... jestem...

- Mój Boże! - zawołał Feldman - chyba zemdleję. Tamci trzej wybuchnęli śmiechem. Otoczyli Feldmana i potężnie klepali go po plecach. Z kolei on się roześmiał, lecz śmiech przeszedł mu wkrótce w gwałtowny napad kaszlu.

- Dokąd poszedł Kent?! - zawołał Cassidy. - Powinien tu być. Dziesięć godzin siedziałem nad tym oscyloskopem. Ale dokąd on teraz polazł?

- Po sandwicze - wyjaśnił Lupowicz. - Jest! Kent! Kent! Udało się!

Wszedł Kent, obładowany dwiema papierowymi torbami, z połową sandwicza w ustach. Połknął go pośpiesznie.

- Powiedział coś? Co powiedział?

Za plecami Kenta rozległ się gwar. Z tuzin mężczyzn tłoczyło się po drzwiach.

- Każcie opróżnić salę! - zawołał Feldman. - Dzisiaj żadnych wywiadów. Gdzie ten cholerny policjant? Policjant torował sobie przejście wśród dziennikarzy i tarasował drzwi własnym ciałem.

- Słyszeliście, chłopcy, co wam powiedziano?

- To bezprawie! Profesor Meyer należy do świata! - Jakie były jego pierwsze słowa?

- Co powiedział?

- Naprawdę zamieniliście go w psa?

- Jakiej rasy?

- Może poruszać ogonem?

- Powiedział, że czuje się świetnie - oświadczył policjant, wciąż barykadując drzwi. - A teraz idźcie stąd!

Fotografowi udało się prześliznąć pod jego ramieniem. Spojrzał na profesora Meyera,

rozciągniętego na stole operacyjnym i wybełkotał: "Rany boskie". Nastawił aparat. "Niech pan spojrzysz tutaj!"

Kent przesłonił ręką obiektyw w tej samej chwili, w której błysnął flesz.

- Co pan robi?! - zaprotestował fotograf.

- Niech się pan nie skarży, ma pan zdjęcie mojej ręki - sarkastycznie powiedział Kent. - Niech je pan powiększy i wystawi w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. A teraz wynoś się pan, jeśli chcesz mieć całe kości!

- Jazda, rozejść się! - surowo powtórzył policjant, odpychając dziennikarzy. Odwrócił się, żeby spojrzeć na profesora Meyera i mruknął, zamykając drzwi:

- Ojej! Nie mogę w to uwierzyć! Cassidy zaczął wrzeszczeć:

- Trzeba to uczcić!

- Zasłużyliśmy sobie!

Profesor Meyer uśmiechnął się - naturalnie wewnątrz, bo jego zdolność wyrażania uczuć za pomocą gry rysów twarzy była teraz dość ograniczona.

Feldman zbliżył się do niego.

- Jak się pan czuje, panie profesorze?

- Czuję się zupełnie dobrze - z trudem wykrztusił Meyer, wciąż jeszcze nieprzyzwyczajony do nowego podniebienia. - Ale jestem trochę oszołomiony.

- Niczego pan nie żałuje?

- Nie wiem jeszcze - oświadczył Meyer. - Sprzeciwiałem się temu - w zasadzie, wie pan. Nikt nie jest niezastąpiony.

- Ale pan jest, panie profesorze - zaprotestował Feldman z żarliwym przekonaniem. - Słuchałem wszystkich pańskich wykładów. Nie roszczę sobie pretensji do zrozumienia nawet dziesiątej części tego, co pan mówił. Symbolika matematyki nie jest dla mnie niczym, zamknięta księga, lecz

wszystkie te zasady unifikacji...

- Proszę pana... - zaczął Meyer.

- Nie, proszę mi pozwolić mówić, profesorze - nastawał Feldman. - Podjął pan dzieło, gdzie najwybitniejsi je porzucili. Nikt inny nie potrafiłby go ukończyć, tylko pan! Nikt inny! Trzeba było absolutnie zapewnić panu kilka dodatkowych lat, wszelkimi środkami, jakimi wiedza może dysponować! Ubolewam tylko nad tym, że nie dało się dla pańskiej inteligencji wynaleźć godniejszej powłoki. Nie doszliśmy niestety jeszcze do możliwości eksperymentowania z innym ciałem ludzkim, a musieliśmy wyłączyć pierwotniaki...

- To nie ma żadnego znaczenia! - zapewniał Meyer. - Liczy się jedynie inteligencja. Jestem jeszcze trochę odurzony...

- Przypominam sobie pański ostatni wykład na uniwersytecie - ciągnął Feldman. - Sprawiał pan wrażenie takiego starca, profesorze! Chciało mi się płakać...! Patrzeć na pańskie ciało, tak zmęczone...

- Może pan się napije, profesorze? - spytał Cassidy, podając mu szklankę.

Meyer uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że w mojej nowej postaci nie bardzo się nadaję do korzystania z naczynia tego rodzaju. Może lepsza byłaby jakaś miseczka...

- To prawda! - przyznał Cassidy. - Miskę dla profesora proszę... Mój Boże! Mój Boże!...

- Zechce pan wybaczyć, profesorze - usprawiedliwiał się Feldman. - To był jednak dla nas olbrzymi wysiłek. Znajdujemy się w tej sali od tygodnia i żaden z nas w ciągu całego tego czasu nie spał dłużej niż cztery godziny. O mało nie straciliśmy pana, profesorze...

- Jest miska! Spodeczek pana profesora podany! powiedział Lupowicz. - Czego się pan napije, profesorze? Mamy whisky.

- Po prostu trochę wody - rzekł Meyer. - Czy sądzicie, że mógłbym teraz wstać?

- Jeśli pan to zrobi ostrożnie...

Lupowicz delikatnie go podniósł i postawił na ziemi. Meyer niezgrabnie zachwiał się na swych czterech łapach. Młodzi lekarze byli zachwyceni.

- Brawo!

- Myślę, że mogę od jutra zacząć trochę pracować. Oczywiście będę wyłącznie dyktował na magnetofon. Pojawi się na pewno jeszcze wiele innych problemów. Trzeba będzie podjąć różne decyzje w związku z faktem mojej metamorfozy. Nie mam jeszcze w tej chwili wyraźnych pomysłów...

- Ależ nie trzeba się spieszyć, ma pan mnóstwo czasu. - Och, przede wszystkim się nie spieszyć! Żebyśmy właśnie teraz pana nie stracili!

- Jakiego szumu narobi to w prasie!

- Sądzisz, że będzie lepiej, jeśli napiszemy wspólnie, czy też każdy napisze własną relację w ramach swej specjalności?

- Na pewno i jedno, i drugie! Oni nigdy nie będą mieli dosyć! Długo będzie się o tym mówiło...

- Czy moglibyście mi wskazać, gdzie są toalety? nieśmiało zapytał Meyer.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zakłopotani.

- Po co?

- Zamknij się, bałwanie! Tędy, panie profesorze. Otworzę panu drzwi.

Meyer, idąc za nogą młodego człowieka, zdawał sobie sprawę z łatwości poruszania się na czterech łapach. Gdy wrócił, lekarze z ożywieniem dyskutowali na temat technicznych aspektów tego przypadku.

- ...od wielu tysięcy lat...

- Nie zgadzam się z wami. To, co można było zrobić raz...

- Nie baw się w mędrca, pocziwcze. Dobrze wiesz, wszystko było dość przypadkowym

połączeniem nie dających się przewidzieć czynników. Miało się szczęście, to wszystko...

- Nie masz prawa tak mówić. Niektóre z tych transformacji bioelektrycznych...

- Uwaga, oto on.

- Nie powinien jeszcze zbyt wiele chodzić...

- Nie jestem niemowlęciem - uciął profesor. - Jestem dość stary, żeby być waszym dziadkiem.

- Proszę nam wybaczyć, profesorze. Ale wydaje się, że lepiej by pan zrobił, gdyby się pan położył.

- Macie rację - przyznał profesor. - Nie czuję się jeszcze całkiem pewnie.

Kent podniósł go i położył na polowym łóżku. - O tak! Dobrze panu?

Młodzi lekarze cisnęli się wokół niego, trzymając się za ramiona. Uśmiechali się, sprawiali wrażenie bardzo z siebie zadowolonych.

- Może pan sobie czegoś życzy?

- Prosimy tylko powiedzieć, zaraz panu przyniesiemy.

- O proszę, nalałem wody do pańskiej miseczki.

- Zostawimy panu przy łóżku kilka sandwiczów.

- Niech pan dobrze wypocznie - łagodnie powiedział Cassidy.

A potem, niechcący, jakby nieświadomie, pogłaskał długą, pokrytą jedwabistą sierścią głowę profesora Meyera. Feldman wykrzyknął coś bez związku.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się zakłopotany Cassidy.

- Musimy na siebie uważać!

- Wiem. Jestem zmęczony... Chcę powiedzieć, że on bardzo jest podobny do psa, że zapomina się...

- Wynoście się wszyscy! - ryknął Feldman. - Jazda! Wynoście się!

Wypchnął ich z pokoju i natychmiast wrócił do łóżka profesora Meyera.

- Czy mogę coś dla pana zrobić, profesorze?

Meyer zmusił się, żeby coś powiedzieć, aby się przekonać, że wciąż jeszcze jest człowiekiem.

Ale słowa uwięzły mu w gardle.

- To się już nie powtórzy, profesorze. Może mi pan wierzyć. Jest pan... jest pan zawsze profesorem Meyerem!

Feldman naciągnął koc na drżące ciało profesora.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, usiłując nie patrzeć na zwierzę wstrząsane dreszczami. -

Liczy się tylko inteligencja! Duch!

- Z pewnością - z trudem powiedział znakomity matematyk. - Ale... jeśli nie sprawi to panu różnicy... czy... czy mógłby pan pogłaskać mnie po głowie...?

przekład : TOP

Coś za nic

Czyżby istotnie coś usłyszał? Nie był tego pewien. Odtwarzając zdarzenia w chwilę później, Joe Collins przypomniał sobie, że leżał na własnym łóżku, tak straszliwie zmęczony, że nie miał nawet siły zdjąć z koca przesiąkniętych wodą butów. Z wzrokiem utkwionym w sieci pęknięć na brudnym żółtym suficie, obserwował wolno, żalobnie kapiącą do środka wodę.

To się musiało zdarzyć właśnie wtedy. Collins kątem oka złowił błysk metalu tuż koło łóżka.

Usiadł. Na podłodze, tam, gdzie nigdy nie było żadnej maszyny, stała maszyna.

W pierwszym momencie zaskoczenia, Collinsowi wydało się, że słyszy bardzo odległy głos, który mówi:

- Już! Gotowe.

Co do głosu - nie był go pewien. Ale maszyna pozostawała faktem niezaprzeczalnym.

Collins przyklęknął, żeby ją lepiej obejrzeć. Maszyna mogła mieć ze trzy stopy kwadratowe powierzchni i cicho szumiała. Spękana, szara powierzchnia pozbawiona była cech szczególnych, z

wyjątkiem czerwonego przycisku w jednym rogu i mosiężnej płytki pośrodku. Płytką informowała: UTYLIZATOR KLASY A, SERIA AA - 1256432. Pod spodem zaś - UWAGA! MASZYNA DO WYŁĄCZNEGO UŻYTKU OSOBNIKÓW KLASY A!

I to było wszystko.

Collins nie zauważył żadnych pokręteł, wskazówek, przełączników i tym podobnych urządzeń, które zawsze kojarzyły mu się z maszynami. Tylko mosiężna płyta, czerwony guzik i ten szum.

- Skądę się tu wzięło? - zapytał. Utylizator Klasy A szumiał dalej. Collins i tak nie spodziewał się odpowiedzi. Siedząc na skraju łóżka, patrzył w zamyśleniu na Utylizator. Pozostawało pytanie - co z nim zrobić?

Ostrożnie nacisnął czerwony guzik, świadom swojego braku doświadczenia z maszynami, które spadały nie wiadomo skąd. Co się stanie, kiedy uruchomi urządzenie - podłoga się rozstąpi? Z sufitu zaczną spadać małe zielone ludziki?

Ale do stracenia miał mniej niż nic. Nacisnął guzik. Lekko.

Nic się nie stało.

- No, co jest, rób coś! - zirytował się Collins, wyraźnie zawiedziony. Utylizator dalej tylko cicho szemrał i nic więcej.

Zawsze można go oddać w zastaw. Uczciwy handlarz dałby mu za złom przynajmniej dolara.

Spróbował podnieść Utylizator. Okazało się to niemożliwe. Spróbował raz jeszcze, tym razem angażując wszystkie siły i zdołał unieść jeden róg o cal nad ziemię. Puścił ciężar i siadł na łóżku, dysząc ciężko.

- Trzeba było przysłać ze dwóch facetów do pomocy - zwrócił się Collins do Utylizatora. W mgnieniu oka szum nasilił się i cała maszyna zaczęła wibrować.

Collins obserwował ją uważnie, ale dalej nic się nie działo. Wiedziony impulsem, wyciągnął rękę i pacnął w czerwony guzik.

W mig pojawili się dwaj potężni faceci, odziani w zgrzebne stroje robocze. Z uznaniem popatrzyli na Utylizator.

- Bogu dzięki - odezwał się jeden - że to mały model. Z tymi dużymi człowiek się naużera jak głupi.

- I tak lepsze to niż marmurowe kamieniołomy, no nie? - odezwał się drugi.

Spojrzeni na Collinsa, który wytrzeszczał na nich gały. W końcu pierwszy powiedział:

- No dobra, szefie, nie będziem tu sterczeć do nocy. Gdzie przestawić?

- Kim panowie są? - wydukał Collins.

- Przenosicielami. A co, może wyglądamy jak siostry Vanizaggi?

- Ale skąd panowie się tu wzięli? - pytał dalej Collins. - I dlaczego?

- Wzięliśmy się z firmy przenosicielskiej Powha Minnile Movers, Incorporated - wyjaśnił facet. -

A dlatego, że pan szanowny życzył sobie coś przestawić. Gdzie to postawić?

- Proszę sobie iść - powiedział Collins. - Później panów wezwę.

Przenosiciele wzruszyli ramionami i zniknęli. Collins przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce po nich. Potem przeniósł spojrzenie na Utylizator Klasy A, który z powrotem szumił sobie z cicha.

Utylizator? Znalazłby dla niego lepszą nazwę. Spełniarka życzeń, na przykład.

Collins nie był specjalnie wstrząśnięty. Kiedy zdarza się cud, tylko tępe, przyziemne umysły nie potrafią go spokojnie zaakceptować. Collins z całą pewnością do nich nie należał. Miał doskonały grunt do akceptacji wszelkich zjawisk.

Większą część życia spędził na marzeniach, nadziejach i modlitwach o to, żeby zdarzył mu się cud. W gimnazjum marzył o tym, że któregoś dnia obudzi się i będzie umiał całą pracę domową bez nudnej konieczności uczenia się. W wojsku marzył o tym, żeby jakiś czarodziej albo dzinn zmienił dyspozycje i przydzielił go do dekorowania świątlicy, zamiast zmuszać go, żeby robił to,

co wszyscy - czyli trenował musztrę.

Po wyjściu z wojska Collins unikał pracy, gdyż był do niej psychicznie nieprzystosowany. Obijał się, z nadzieją, że jakaś bajecznie bogata osoba, pod wpływem nagłego impulsu zmieni swój testament, zapisując mu Wszystko.

W gruncie rzeczy, nigdy się niczego nie spodziewał. Ale kiedy cud nastąpił, był przygotowany.

- Chciałbym dostać tysiąc dolarów w drobnych banknotach - odezwał się ostrożnie Collins.

Kiedy szum się nasilił, wcisnął guzik. Wyrosła przed nim spora kupa podniszczonych banknotów jedno - , pięć - i dziesięciodolarowych. Nie były zbyt piękne, to fakt, ale bez wątpienia były to pieniądze.

Collins wyrzucił garść banknotów w powietrze i patrzył, jak z gracją osiadają na podłodze.

Wyciągnął się na łóżku i począł snuć plany.

Przede wszystkim, wyjedzie z maszyną poza Nowy Jork - może gdzieś na prowincję, gdzie wścibscy sąsiedzi nie będą mu przeszkadzali. Mogą być hece z podatkiem dochodowym. Kiedy się już ustawi, powinien wyyjechać do Ameryki Środkowej, albo...

W pokoju rozległ się podejrzany odgłos.

Collins skoczył na równe nogi. W ścianie otwierała się wyrwa, przez którą ktoś próbował wtrynić się do środka.

- Ejże! Przecież cię o nic nie prosiłem! - powiedział Collins do maszyny.

Dziura w ścianie powiększyła się i wielki, czerwony na gębie gość wkroczył jedną nogą do pokoju, z furią napierając na brzeg wyrwy. W tym momencie Collins przypomniał sobie, że maszyny na ogół miewają właścicieli.

Ktokolwiek był posiadaczem spełniarki życzeń, na pewno nie przyjąłby jej utraty ze stoickim spokojem. Zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Możliwe, że nie zawahałby się nawet przed...

- Broń mnie! - wrzasnął Collins do Utylizatora i dźgnął czerwony guzik.

Pojawił się drobny, łysy człowieczek w krzykliwej piżamie, zaspany i ziewający.

- Sanisa Leek, Gwarantowane Remonty Ścian - wyrecytował, trąc oczy. - Jestem Leek. Czym mogę służyć?

- Wyrzuć go stąd! - wrzasnął Collins. Czerwony na gębie, wymachując dziko ramionami, zdołał już prawie przecisnąć się przez otwór w ścianie.

Leek wygrzebał z kieszeni piżamy błyszczący kawałek metalu. Czerwony na gębie zaczął wrzeszczeć.

- Chwileczkę! Pan nie rozumie! Ten człowiek...

Leek wycelował w niego błyszczącą blaszką. Czerwony na gębie wrzasnął i zniknął. Po chwili znikła również dziura w ścianie.

- Zabił go pan? - zapytał Collins.

- Skądże znowu - odparł Leek, chowając blaszkę. - Ja go tylko zawróciłem jego własnym kanałem. Tą drogą więcej nie spróbuje.

- Czy to ma znaczyć, że spróbuje inną? - zapytał Collins.

- To możliwe - powiedział Leek. - Może próbować mikrotransferu, a nawet animacji. - Spojrzał surowo na Collinsa. - To jest pański Utylizator, tak?

- Jasne - powiedział Collins i zaczął się pocić.

- I ma pan klasę A?

- Naturalnie - zapewnił go Collins. - Gdybym nie miał klasy A, to co by u mnie robił Utylizator?

- Nie chciałem pana urazić - uspokoił go sennym głosem Leek. - Tak tylko zgaduję - wolno pokiwał głową. - Wy, ludzie klasy A, to sobie podróżujecie! Pan tutaj wrócił, żeby pisać powieść historyczną?

Collins tylko uśmiechnął się zagadkowo.

- No, będę leciał - powiedział Leek, ziewając jak najęty. - Dzień i noc na nogach. Już bym chyba

wolał kamieniołomy. I zniknął w pół ziewnięcia.

Deszcz ciągle bębnił w dach. Z drugiej strony wywietrznika nadal dobiegało chrapanie, niczym nie zakłócone. Collins był znowu sam, sam ze swoją maszyną.

I z tysiącem dolarów w drobnych banknotach, rozsianych po całej podłodze. Czule poklepał Utylizator. Ci z klasą A rzeczywiście nieźle sobie żyli. Pan sobie czegoś życzy? Wystarczy wymówić życzenie i nacisnąć guzik. Nie ma wątpliwości, że prawdziwy właściciel tęskni za swoją maszynką.

Leek ostrzegał, że gość może próbować dobrać się do niego inną drogą. Tylko jaką?

A zresztą, co za różnica. Collins zgarnął banknoty, pogwizdując pod nosem. Wiedział, że dopóki ma spełniarkę życzeń, potrafi o siebie zadbać.

Kilka następnych dni przyniosło wielkie zmiany w życiu Collinsa. Z pomocą firmy przenosielskiej Powha Minnile przetransportował Utylizator w głąb stanu Nowy Jork. Tam zakupił średniej wielkości górę w mało uczęszczanym zakątku Adirondaków. Ledwie dostał papiery do ręki, udał się w samo serce swojej posiadłości, o kilka mil od autostrady. Dwaj przenosiciele, pocąc się jak myszy, taszczyli Utylizator w ślad za nim, klnąc przy tym monotonie, w miarę jak forsowali gąszcz.

- Postawić mi go tutaj i zjeżdżać - polecił Collins. Ostatnie dni znacznie wzmogły jego pewność siebie.

Przenosiciele westchnęli, nieco zdziwieni, i ulotnili się. Collins rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron, jak okiem sięgnąć, otaczał go gęsty las brzozowo - sosnowy. Powietrze było słodkie i wilgotne. Ptaki ćwierkały radośnie w koronach drzew, od czasu do czasu przemknęła wiewiórka.

Natura! Collins zawsze kochał przyrodę. Miejsce było idealne pod budowę dużego, efektownego domu, z basenem, kortami tenisowymi, a nawet - czemu nie? - małym lotniskiem.

- Chcę mieć dom - oświadczył stanowczo Collins i wcisnął czerwony guzik.

Pojawił się człowiek w nienagannym szarym garniturze urzędnika i z pince - nez.

- Służę uprzejmie, sir - rzekł, patrząc po drzewach. - Jestem jednak zmuszony prosić o bardziej szczegółową specyfikację. Czy życzy pan sobie coś klasycznego - bungalow, ranczo, willa dwupoziomowa, dworek, zameczek lub pałac? Czy też model prymitywny typu igloo albo szałas?

Jako A, może pan wymagać czegoś supernowoczesnego - może być Pół - Fronton, Nowość Rozwinięta, albo Zatopiona Miniatura.

- Coś podobnego - powiedział Collins. - Sam nie wiem. Co pan by proponował?

- Nieduży dworek - odparł tamten bez wahania. - Na ogół zaczyna się od niedużego dworku.

- Czyżby?

- Tak. Potem przeprowadzka w ciepły klimat i tam pałac.

Collins miał ochotę zadać więcej pytań, ale powstrzymał się. Wszystko szło jak po maśle. Tamci naprawdę brali go za A - legalnego właściciela Utylizatora. Nie było powodu, żeby pozbawiać ich iluzji.

- Niech pan się sam wszystkim zajmie - polecił Collins urzędnikowi.

- Naturalnie, sir - odparł tamten. - Zawsze to robię.

Przez resztę dnia Collins spoczywał na kanapie i popijał mrożone napoje, podczas gdy

Towarzystwo Budowlane Maxima Olph materializowało sprzęt i stawiało mu dom.

Owocem tych działań była niewysoka budowla, licząca około dwudziestu pokoi, którą Collins ocenił jako skromną, uwzględniając okoliczności. Dom wzniesiono z materiałów najwyższej klasy, według projektów Moga z Degmy, wnętrza projektował Towige, basen - Mula, a ogród francuski - Vierien.

Do wieczora dzieło było ukończone, szczupła armia budowlanych zwinęła swój sprzęt i ulotniła się.

Collins zezwolił łaskawie, żeby szef kuchni przyrządził dla niego kolację. Następnie zasiadł w przestronnym, chłodnym salonie, aby rzecz całą przemyśleć. Przy nim, szumiąc łagodnie, przycupnął Utylizator.

Collins zapalił cheroota i wciągnął nosem aromat egzotycznego cygara. Na początek odrzucił wszelkie wyjaśnienia o charakterze nadprzyrodzonym. Wykluczył demony i diabły. Jego dom wzniesiony został przez normalne ludzkie istoty, które gadały, śmiały się i rzucały mięsem jak każda inna normalna ludzka istota. Utylizator był niczym więcej jak eksperymentalnym gadżetem, działającym na zasadach, których Collins nie rozumiał i na zrozumieniu których wcale mu nie zależało.

Czyżby aparat pochodził z obcej planety? Mało prawdopodobne. Kto by specjalnie dla Collinsa opanowywał język angielski?

Utylizator musiał zatem pochodzić z ziemskiej przyszłości. Ale jak trafił do Collinsa?

Collins rozparł się wygodnie i zaciągnął cygarem. Wypadki się zdarzają, pouczył sam siebie.

Całkiem możliwe, że Utylizator po prostu osunął się w przeszłość. Potrafił przecież tworzyć coś z niczego, a to już była sprawa skomplikowana.

Cóż to musi być za wspaniała przyszłość, myślał Collins. Maszyny do spełniania życzeń! Co za kultura! Człowiekowi pozostawało do roboty tylko jedno: wymyślać życzenia. Hokus - pokus - i gotowe. Z czasem wyeliminują pewnie i ten czerwony przycisk. Wszelkie działanie manualnie stanie się zbyteczne.

Oczywiście będzie musiał bardzo uważać. Nadal przecież istniał prawowity właściciel, i reszta tych całych A. Na pewno będą próbowali odebrać mu maszynę. Może to klika rodowa...

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Podniósł wzrok. Utylizator drżał jak listek na wietrze.

Collins podszedł do niego, surowo marszcząc brwi. Utylizator spowity był ledwie widocznym obłokiem pary. Aparat najwyraźniej się przegrzewał.

Czyżby Collins go przeforsował? Może kubek wody...

Wtem zauważył, że Utylizator wyraźnie się zmniejsza. Miał już najwyżej dwie stopy kwadratowe powierzchni i kurczył się dalej na oczach Collinsa.

Właściciel! Albo cała kasta A! To musi być ten mikrotransfer, o którym mówił Leek. Collins zrozumiał, że jeżeli nie działa natychmiast, spełniarka życzeń skurczy się do nicości i zniknie.

- Służba pomocnicza Leeka! - zakomenderował. Pacnął guzik i szybko cofnął rękę. Maszyna była bardzo gorąca.

Leek zjawił się w kącie pokoju, ubrany w luźne portki i koszulkę gimnastyczną, z kijem golfowym w ręku.

- Czy musi mi pan przeszkadzać zawsze, kiedy...

- Niech pan działa! - wrzasnął Collins, wskazując na Utylizator, który mierzył już zaledwie stopę kwadratową powierzchni i dyszał dymną czerwienią.

- Ja tu nic nie poradzę - powiedział Leek. - Mam licencję tylko na ścianę czasu, a tu potrzebni są ludzie od mikrokontroli.

Poprawił uchwyt kija golfowego i już go nie było.

- Mikrokontrola! - zadysponował Collins i wyciągnął rękę w stronę guzika. Cofnął ją pośpiesznie. Czterocalowej szerokości Utylizator pałał czerwienią barwy wiśni. Guzik wielkości łebka od szpilki, był ledwo widoczny. Zjawiła się dziewczyna w rogowych okularach, z notesem w dłoni, i gotowym do notowania ołówkiem w drugiej.

- Z kim chciałby się pan skontaktować? - zapytała z niezmaconym spokojem.

- Pomocy, szybko! - ryknął Collins, patrząc, jak jego bezcenny Utylizator kurczy się i kurczy.

- Pan Vergon wyszedł na lunch - powiedziała dziewczyna, w zamyśleniu gryząc koniec ołówka.

- Wystrefował się, nie mam z nim łączności.

- A z kim ma pani łączność?

Dziewczyna skonsultowała się z notesem.

- Pan Vis przebywa w Ciągłości Dieg, a pan Elgis działa gdzieś w terenie, w Europie ery paleolitycznej. Jeżeli to naprawdę pilne, radzę się skontaktować z Kontrolą Transferów Punktowych. To nieduża firma, ale...

- Kontrola Transferów Punktowych! Natychmiast!

Całą uwagę skupił na Utylizatorze. Zaatakował go osmaloną już poduszką. Nic się nie stało.

Utylizator miał powierzchnię połowy cala kwadratowego i poduszka - uzmysłowił sobie Collins - nie mogła wcisnąć niewidocznego prawie guzika.

Przez moment Collins wahał się, czy nie darować sobie Utylizatora. Może właśnie nadszedł właściwy moment. Mógłby sprzedać dom, z urządzeniem, i dalej żyć sobie całkiem nieźle.

Nie! Przecież jeszcze niczego ważnego nie zażądał! Nikt mu nie odbierze skarbu bez walki!

Zmusił się do trzymania oczu otwartych, kiedy dźgał rozgrzany do białości guzik sztywno wyprężonym palcem wskazującym.

Stał przed nim mikry, nędznie odziany staruszek, który trzymał w rękach coś jakby wesoło pokolorowaną wielkanocną pisanekę. Jajo pękło, a z jego wnętrza wydobył się pomarańczowy dym, który natychmiast wessany został przez niewidoczny gołym okiem Utylizator. Buchnął straszny dym; Collins omal się nie udławił. Utylizator zaczął powracać do dawnych rozmiarów. Wkrótce odzyskał pierwotną wielkość. Wydawał się nienaruszony. Staruszek skromnie skinął głową.

- My się tam nie cackamy - powiedział - ale za to działamy solidnie, mucha nie siada.

Jeszcze raz kiwnął głową i zniknął.

Collins miał wrażenie, że słyszy z oddali wściekle wrzaski.

Roztrzęsiony, usiadł na podłodze przed maszyną. Ból w palcu émił nielitościwie.

- Ulecz mnie - wymamrotał Collins przez spierzchnięte wargi, przyciskając guzik zdrową ręką.

Utylizator jeszcze chwilę szumiał głośniej, po czym ucichł. Ból ulotnił się z poparzonego palca i

Collins stwierdził, że nie widać ani śladu po oparzeniu - w ogóle nie wiadomo, gdzie to było.

Collins strzelił sobie sporą brandy i poszedł prosto do łóżka. Tej nocy śniło mu się, że ściga go wielka litera A, ale rano nic z tego nie pamiętał.

Po tygodniu Collins zorientował się, że wzniesienie domu w lesie było najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpaść. Zmuszony był wynająć pluton strażników dla utrzymania ciekawskich z daleka, a myśliwi uparli się biwakować właśnie w jego francuskich ogrodach.

Na domiar złego, jego sprawami zaczął się żywo interesować urząd podatkowy.

Ale przede wszystkim Collins doszedł do wniosku, że wcale nie szaleje za urokami przyrody. Nie miał nic przeciwko ptaszkom i wiewiórkom, ale trudno je było uznać za partnerów do konwersacji.

Drzewa, chociaż bezsprzecznie dekoracyjne, wysiadały w charakterze kompanów od kieliszka.

Collins skonstatował, że w głębi duszy jest skończonym mieszczuchem.

W związku z tym, korzystając z pomocy towarzystwa przenosicielskiego Powha Minnile, towarzystwa budowlanego Maxima Olph, biura podróży Jagton Instantaneous, oraz lokując sporą forszę w odpowiednich rękach, Collins przeprowadził się do małej republiki w Ameryce Środkowej.

Tam, korzystając z cieplejszego klimatu i braku podatku dochodowego, wybudował obszerny, przewiewny, wystawny pałac.

Przez krótki czas wszystko układało się sympatycznie.

Któregoś ranka Collins podszedł do Utylizatora z niezbyt sprecyzowaną intencją zażądania samochodu sportowego i może niewielkiego stadka rodowodowego bydła na dodatek. Pochylił się nad szarym blatem maszyny, sięgnął ręką do guzika...

A wtedy Utylizator cofnął się przed nim.

Przez chwilę Collins myślał, że ma przywidzenia i bliski był podjęcia decyzji, że już nie będzie pił szampana przed śniadaniem. Dał krok do przodu i sięgnął do guzika.

Utylizator wykonał zgrabny unik i truchcikiem wycofał się z pokoju.

Collins skoczył za nim, przeklinając właściciela i całą klasę A. To na pewno była ta animacja, o której opowiadał Leek - właścicielowi udało się w jakiś sposób ożywić maszynę. Ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było dogonić aparat, wcisnąć guzik i wezwać fachowców z Kontroli Animacji.

Utylizator pędził środkiem hallu, Collins tuż za nim. Pomocnik lokaja, polerujący właśnie masywną gałkę u drzwi, spojrział na nich z rozdziawioną gębą.

- Zatrzymaj to! - wrzasnął Collins.

Pod - lokaj niezdarnie zablokował drogę Utylizatorowi. Maszyna wyminęła go z wdziękiem i sprintem puściła się ku drzwiom wejściowym.

Collins nacisnął guzik i drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem.

Utylizator wziął rozpęd i staranował zamknięte drzwi. Znalazłszy się na zewnątrz, zawadził o szlauch ogrodowy, natychmiast odzyskał równowagę i ruszył ku otwartej przestrzeni.

Collins puścił się za nim. Gdyby tylko udało mu się zbliżyć jeszcze o kawałek...

Utylizator nagle wyskoczył w górę. Na moment zawisł w powietrzu, po czym opadł na ziemię.

Collins rzucił się do guzika.

Utylizator przeturlał się na bok, podbiegł kawałek i znów podskoczył. Przez chwilę wisiał dwadzieścia stóp nad głową Collinsa, podciągnął się jeszcze o kilka stóp do góry, zamarł bez ruchu, obrócił się gwałtownie i spadł na ziemię.

Collins przeraził się, że za trzecim skokiem maszyna już nie opadnie. Kiedy Utylizator niechętnie wracał na ziemię, Collins był już przygotowany. Przyczał się i przypadł do guzika. Utylizator zrobił unik, ale za późno.

- Kontrola Animacji! - ryknął triumfalnie Collins.

Nastąpił drobny wybuch i Utylizator potulnie osiadł w miejscu. Nie było w nim ani śladu życia.

Collins otarł czoło i przysiadł na maszynie. Tamci są coraz bliżej. Powinien teraz, póki jest

okazja, wygłosić jakieś ważne życzenie.

Jednym tchem zażądał pięciu milionów dolarów, trzech czynnych szybów naftowych, studia filmowego, doskonałego stanu zdrowia, jeszcze dwudziestu pięciu tancerek, nieśmiertelności, samochodu sportowego i stada rodowodowego bydła.

Wydało mu się, że ktoś syknął z niesmakiem. Rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było.

Kiedy się odwrócił, Utylizatora też nie było.

Collins tylko wytrzeszczył oczy. A po chwili nie było również i jego...

Kiedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed biurkiem. Po drugiej stronie biurka siedział potężny facet, czerwony na gębie, ten sam, który kiedyś próbował się wdrzeć do jego pokoju.

Facet nie wyglądał na zagniewanego. Minę miał raczej zmartwioną, wręcz melancholijną.

Collins przez krótką chwilę stał w milczeniu. Żał mu było, że to już koniec. Właściciel i ci A jednak go w końcu dopadli. Ale dopóki trwało, było fantastycznie.

- No - odezwał się bez ogródek Collins. - Ma pan z powrotem swoją maszynkę. Czego jeszcze?

- Moją maszynkę? - powtórzył czerwony na gębie, z niedowierzaniem podnosząc wzrok. - To nie moja maszynka. Bynajmniej.

Collins wybałuszył oczy.

- Nie bujaj, szefie. Wy, A klasa, dobrze dbacie o ochronę swojego monopolu, co?

Czerwony na gębie odłożył papier na biurko.

- Panie Collins - oświadczył sztywno. - Moje nazwisko Flign. Jestem agentem Obywatelskiej Jednostki Ochronnej, organizacji bezdochodowej, której celem jest ochrona jednostek takich jak pan przed błędami w ocenie.

- Jak to, to pan nie jest A?

- Szanowny pan działa na podstawie fałszywych przesłanek - odparł Flign z cichą godnością. -

Klasa A nie oznacza grupy społecznej, jak zdaje się pan sądzić. Jest to po prostu kategoria

kredytowa.

- Co takiego? - Collins przeciągał sylaby.

- Kategoria kredytowa - Flign zerknął na zegarek. - Czasu mamy niewiele, więc będę się streszczał. Żyjemy w epoce decentralizacji, panie Collins. Nasze przedsiębiorstwa, instytucje i usługi rozsiane są na znacznych obszarach przestrzeni i czasu. Korporacja utylizacyjna jest ogniwem niezbędnym. Zapewnia transfer dóbr i usług z jednego punktu czasoprzestrzeni do drugiego. Czy pan mnie rozumie?

Collins pokiwał głową.

- Kredyt jest, rzecz jasna, przywilejem automatycznym. Jednak w końcu za wszystko trzeba płacić.

Collinsowi nie spodobało się to ostatnie zdanie. Jak to - zapłacić? A więc nie był to świat aż tak cywilizowany, jak mu się zdawało. Nikt wcześniej nie wspominał o płaceniu. Dlaczego wyskakują z tym dopiero teraz?

- Dlaczego ktoś mnie nie powstrzymał? - zapytał zrozpaczony Collins. - Przecież musieli wiedzieć, że nie mam odpowiedniej kategorii.

Flign pokręcił głową.

- Kategorie kredytowe mają charakter sugestii, nie przepisów. W cywilizowanym świecie jednostka ma prawo do decydowania o sobie. Bardzo mi przykro, sir - znów zerknął na zegarek i wręczył Collinsowi papier, który uprzednio studiował. - Zechce pan rzucić okiem na ten rachunek i powiedzieć mi, czy wszystko się zgadza?

Collins wziął od niego kartkę i przeczytał:

Jeden pałac z wyposażeniem.....kred. 45 000 000

Usługi Przenosielskie, Maxima Olph.....111 000

122 tancerki.....122 000 000

Szybko przeleciał wzrokiem resztę listy. Suma opiewała na nieco ponad osiemnaście miliardów kredytów.

- Jedną chwileczkę! - zaprotestował Collins. - Nie mogę za to wszystko odpowiadać! Ten cały Utylizator wpadł mi do pokoju przypadkiem!

- Jest to fakt, na który zamierzam zwrócić ich uwagę - odparł Flign. - Kto wie, może okazać zdrowy rozsądek. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Collins poczuł, że pokój się kołysze. Twarz Fligna rozplywa się przed jego oczami.

- Czas minął - powiedział Flign. - Powodzenia.

Collins zamknął oczy.

Kiedy je znów otworzył, stał na ponurej równinie, a przed nim wznosił się łańcuch kołkowatych gór. Zimny wicher smagał po twarzy, niebo miało barwę stali.

Koło niego stał jakiś obdartus.

- Trzymaj - powiedział i wręczył Collinsowi kilof.

- Co to jest?

- To jest kilof - wyjaśnił cierpliwie obdartus. - A tam - o tam, są kamieniołomy, z których ty, i ja, i inni też, będziemy wydobywać marmur.

- Marmur?

- A jak! Zawsze się znajdzie jakiś drań, któremu się zamarzy marmurowy pałac. - Obdartus uśmiechnął się kwaśno. - Możesz mi mówić Jang. Spędzimy razem kawał czasu.

Collins, ogłupiały, zamrugał oczami.

- Ile?

- Sam sobie oblicz - powiedział Jang. - Stawka jest piętnaście kredytów za miesiąc, do chwili całkowitego spłacenia długu.

Kilof wypadł z ręki Collinsa. Nie mogli mu zrobić czegoś takiego! Korporacja Utylizacyjna na pewno już dostrzegła swoją omyłkę?! To oni się pomylili, przez nich maszyna omsknęła się w przeszłość! Czyż tego nie rozumieją?

- To pomyłka! - powiedział Collins.

- Nie ma żadnej pomyłki - powiedział Jang. - Oni tu stale cierpią na brak rąk do pracy. Prowadzą rekrutację gdzie się da. Nie przejmuj się. Najgorsze pierwsze tysiąc lat, potem się przyzwyczaisz.

Collins ruszył za Jangiem w stronę kamieniołomów. Nagle zatrzymał się.

- Pierwsze tysiąc lat? Przecież człowiek tyle nie żyje!

- Niektórzy żyją - uspokoił go Jang. - Nie prosisz przypadkiem o nieśmiertelność?

Istotnie, prosił. Zażądał nieśmiertelności tuż przed tym jak cofnęli mu maszynę. A może cofnęli mu maszynę tuż po tym jak zażądał nieśmiertelności?

Collins coś sobie przypomniał. Dziwne, ale na rachunku, który przedstawił mu Flign, nieśmiertelność nie figurowała.

- Nie wiesz czasem, ile biorą za nieśmiertelność? - zapytał.

Jang popatrzył na niego i parsknął śmiechem.

- Nie bądź naiwny, synku. Powinieneś się już dawno połapać.

Podprowadził Collinsa pod kamieniołomy.

- Nieśmiertelność dostajesz za frajer, to chyba jasne.

przekład : Jolanta Kozak

Jeśli czerwony zabójca

Nawet nie będę próbował opisać tego bólu. Powiem tylko tyle, że był nieznośny pomimo znieczulenia i wytrzymałem wyłącznie dlatego, iż nie miałem innego wyjścia. Wreszcie ustał, a ja otworzyłem oczy i popatrzyłem na twarze skupionych nade mną braminów. Było ich trzech, ubranych w zwykłe białe fartuchy operacyjne i maseczki z gazy. Oni twierdzą, że te maseczki są po

to, aby nas nie zainfekować jakimiś zarazkami. Ale każdy żołnierz wie, że nosi je, abyśmy nie mogli ich rozpoznać.

Byłem nadal odurzony po uszy środkami uśmierzającymi ból i działały tylko fragmenty mojej pamięci.

- Ile czasu byłem martwy? - spytałem.

- Około dziesięciu godzin - odpowiedział mi jeden z braminów.

- A jak umarłem?

- Nie pamiętasz? - spytał najwyższy z nich.

- Jeszcze nie.

- Byłeś - mówił ten najwyższy - ze swoim plutonem w okopach 2645B-4. O świcie cała twoja kompania ruszyła do frontального ataku, usiłując zająć okopy numer 2645B-5.

- I co się stało?

- Dopadło cię kilka pocisków z broni maszynowej. Nowego rodzaju, z głowicami wstrząsowymi.

Przypomniało ci się? Jeden trafił cię w piersi, a następne trzy w nogi. Kiedy sanitariusze znaleźli cię, byłeś martwy.

- Zdobyliśmy okopy?

- Nie. Jeszcze nie tym razem.

- Rozumiem. - W miarę słabnięcia działania znieczulenia szybko wracała mi pamięć.

Przypomnieli mi się chłopcy z mojego plutonu. I nasze okopy. Stare 2645B-4 były mi domem przez ponad rok, co było całkiem miłe, jako że okopy przechodzą z rąk do rąk. Wróg usiłował je zająć i w rzeczywistości nasz wypad o świcie był kontratakiem. Przypomniały mi się pociski z broni maszynowej, rozszarpujące mnie na kawałki, a także cudowną ulgę, jaką odczułem umierając. I przypomniało mi się coś jeszcze...

Usiadłem wyprostowany.

- Hej, chwileczkę!

- O co chodzi?

- Wydaje mi się, że górną granicą możliwości przywracania człowieka do życia jest osiem godzin.

- Od tego czasu ulepszyliśmy nasze metody odparł jeden z braminów. - Ulepszamy je przez cały czas. Obecnie górną granicą jest dwanaście godzin, to znaczy tyle, żeby nie doszło do poważnych zmian w mózgu.

- Wasze szczęście - powiedziałem. Teraz już kompletnie odzyskałem pamięć i zdałem sobie sprawę z tego, co się stało. - A jednak popełniliście poważną pomyłkę, przywracając m n i e.

- Co jest grane, żołnierzu? - spytał jeden z braminów tonem, jakiego potrafią używać wyłącznie oficerowie.

- Przeczytajcie moją oznakę tożsamości. Przeczytał. Jego czoło - a tylko tyle z jego twarzy mogłem dostrzec - zmarszczyło się.

- To zdumiewające - powiedział.

- Zdumiewające - potwierdziłem.

- Widzisz - powiedział - znajdowałeś się w okopach pełnych zmarłych. Powiedziano nam, że wszyscy zginęliście pierwszy raz. Otrzymaliśmy rozkaz przywrócenia do życia całej waszej paczki.

- I nie czytaliście żadnych oznak tożsamości? - Byliśmy przepracowani. Nie mieliśmy czasu.

Naprawdę bardzo mi przykro, szeregowy. Gdybym wiedział...

- Do diabła z przeprosinami. Chcę się widzieć z Inspektorem Generalnym.

- Czy naprawdę uważasz...?

- Owszem - oświadczyłem. - Nie jestem polowym piniaczem, ale mam autentyczny powód do skargi. Przysługuje mi prawo spotkania się z LG.

Bramini udali się na szeptaną konferencję, a ja w tym czasie obejrzałem swoje ciało. Odwalili

przy mnie kawał dobrej roboty. Choć, oczywiście, nie tak dobrej jak w pierwszych latach wojny.

Przeszczepy skóry były mniej staranne i czułem się trochę poobijany w środku. Poza tym miałem prawa rękę o jakieś pięć centymetrów dłuższą od lewej; kiepska robota ortopedy łączącego stawy. Mimo to było całkiem nieźle.

Bramini wrócili ze swojej narady i oddali mi odzież. Ubrałem się.

- Jeśli chodzi o Inspektora Generalnego poinformował runie jeden z nich - cóż, będzie to dość trudne w tej chwili. Widzi pan...

Nie muszę chyba mówić, że nie doszło do spotkania z LG. Zaprowadzili mnie do wielkiego, flegmatycznego, uprzejmego sierżanta. Jednego z tych wszystko rozumiejących, takich, co to pogadają z tobą i załagodzą wszelkie problemy. Tyle, że ja nie miałem żadnego problemu.

- No wiecie, szeregowy - po ojcowsku strofował mnie sierżant - czy to możliwe, co słyszałem?

Robicie jakieś awantury, że przywrócono was do życia?

- Dobrze pan słyszał - odparłem. - Nawet szeregowy żołnierz ma swoje prawa na mocy Kodeksu Wojennego. A przynajmniej tak mi mówiono.

- Oczywiście, że ma - zgodził się uprzejmie sierżant.

- Wykonałem swoje obowiązki - mówiłem dalej. - Siedemnaście lat w armii, w tym osiem na froncie. Trzy raty zabity i przywracany do życia. Regulamin mówi, że po trzecim razie przysługuje prawo wyboru śmierci. I skorzystałem z tego prawa, co zostało mi wstemplowane do oznaki tożsamości. Ale nie pozostawiono mnie martwego. Ci cholerni medycy przywrócili mnie z powrotem do życia i to jest nie w porządku. Chcę pozostać martwy.

- Przecież o wiele lepiej jest być żywym. Wtedy zawsze masz szansę, że zdejmą cię z pola walki i przerzucą na tyły, do innych obowiązków. Wprawdzie rotacja trochę szwankuje z powodu braku personelu, ale zawsze istnieje taka ewentualność.

- Wiem - upierałem się. - Ale i tak chcę pozostać martwy.

- Myślę, że mógłbym ci obiecać, że za jakieś sześć miesięcy...

- Życzę sobie pozostać martwy - oświadczyłem zdecydowanym tonem. - Po trzecim razie przysługuje mi taki przywilej na mocy Kodeksu Wojennego.

- Oczywiście, że tak - zgodził się uprzejmie sierżant, uśmiechając się do mnie jak żołnierz do żołnierza. - Ale w czasie wojny zdarzają się pomyłki. Zwłaszcza wojny takiej, jak ta. - Odchylił się i oparł głowę o złożone z tyłu dłonie. - Pamiętam, jak to się zaczęło. Na początku wyglądało, że ograniczy się to tylko do przyciśnięcia guzików. Ale zarówno my, jak i Czerwoni mieliśmy całe arsenały antyrakiet, co bardzo skutecznie zablokowało broń atomową. Wynalezienie dławika przeciwoatomowego przypieczętowało jej los ostatecznie. I w ten sposób wojna stała się sprawą piechoty.

- Wiem, wiem.

- Ale nasi wrogowie przewyższali nas pod względem liczebnym - zauważył uprzejmy sierżant. - I nadal jest ich więcej. Te niezliczone miliony Rosjan i Chińczyków! Musieliśmy mieć więcej ludzi. Musieliśmy przynajmniej utrzymać swoje pozycje. To dlatego medycy zaczęli przywracać do życia zmarłych.

- Wiem o tym wszystkim. Niech mi pan wierzy, sierżancie, że naprawdę chcę, abyśmy wygrali. Bardzo tego chcę. Byłem dobrym żołnierzem. Ale zginąłem trzy razy i...

- Problem w tym - przerwał mi sierżant - że Czerwoni też przywracają swoich do życia. Dlatego w tej chwili najważniejsza jest walka o personel zdolny do walki. W ciągu kilku najbliższych miesięcy sprawa się rozstrzygnie, tak czy inaczej. Czy nie mógłbyś zapomnieć o tej pomyłce? Obiecuję ci, że jak cię znowu zabija, zostawimy cię w spokoju. Ale tym razem puść to w niepamięć.

- Chcę się widzieć z Inspektorem Generalnym - oświadczyłem.

- Jak sobie życzycie, szeregowy - uprzejmy sierżant powiedział to niezbyt przyjaznym tonem.

Udajcie się do pokoju 303.

Poszedłem do 303 i czekałem. Miałem lekkie wyrzuty sumienia z powodu zamieszania, jakie wywołałem. Poza wszystkim toczyła się przecież wojna. Ale równocześnie byłem zły. Żołnierz ma swoje prawa, nawet w czasie wojny. Ci przekłęci braminami...

W śmieszny sposób zyskali ten przydomek. Byli po prostu medykami, a nie żadnymi Hindusami, braminami czy kimś takim. Nazywano ich tak z powodu artykułu, jaki ukazał się w gazecie kilka lat temu, kiedy cała ta sprawa była jeszcze nowa. Facet, który napisał ten artykuł, opowiedział o tym, jak dzięki medykom zmarli mogą być przywracani do życia i to w takim stanie, że nadają się do wysłania na front. Wtedy była to jeszcze ogromna sensacja. Autor zacytował wiersz Emersona, który zaczynał się tak:

Jeśli czerwony zabójca sady, że zabija,
Albo zabity myśli, że nie żyje potem,
Subtelnych metod nie poznali jeszcze widać.
Ja jestem, i mijam, i zjawiam się z powrotem.

Tak to właśnie było. Jeśli zabiłeś kogoś, nigdy nie wiedziałeś, czy pozostanie martwy, czy też wróci następnego dnia do okopów i będzie do ciebie strzelał. Ty sam też nie miałeś pewności, czy pozostaniesz martwy, jeśli cię zabito. Wiersz Emersona miał tytuł "Brahma", więc naszych medyków zaczęto nazywać braminami. Początkowo nie było źle zostać przywróconym do życia. Nawet pomimo bólu dobrze jest żyć. Ale w końcu przychodzi taka chwila, że masz dość nieustannego umierania i przywracania do życia. Człowiek zaczyna się zastanawiać, ile śmierci jest winien swojej ojczyźnie i czy nie byłoby miłe i odprężające, gdyby można przez jakiś czas pozostać martwym. Zaczynasz tęsknić za długim snem.

Władze to zrozumiały. Zbyt częste przywracanie do życia źle wpływa na morale. Ustalono więc limit trzech wskrzeszeń. Po trzecim możesz wybrać przeniesienie na drugą linię albo trwałą śmierć.

Władze wołały nawet, jeśli wybierałeś śmierć; człowiek, którego zabito trzy razy, ma bowiem bardzo negatywny wpływ na morale cywilów. I większość wyczerpanych walką na froncie żołnierzy wołała pozostać martwa po trzeciej śmierci.

Ale ja zostałem oszukany. Przywrócono mnie do życia czwarty raz. Jestem równie gorącym patriotą jak i inni, ale na to nie zamierzałem się zgodzić.

W końcu pozwolono mi zobaczyć się z adiutantem Inspektora Generalnego. Był to pułkownik, szczupły, szary, taki co to nie lubi żartów. Poinformowano go już o moim przypadku i nie poświęcił mi dużo czasu. Rozmowa była zwięzła.

- Przykro mi, szeregowy, ale zostały wydane nowe rozkazy. Czerwoni zwiększyli ilość przywracanych do życia, a my musimy się do tego dostosować. Obecnie obowiązuje sześć ożywień przed emeryturą.

- Ale ten rozkaz nie obowiązywał jeszcze w chwili, kiedy zostałem zabity.

- Działa jednak wstecz - oświadczył. - Tak więc czekają was jeszcze dwie śmierci. Żegnam i życzę wam powodzenia, szeregowy.

I tyle. Powinienem wiedzieć, że nie miałem szansy wygrania z wyższymi rangą. Oni nie wiedzą jak to jest. Rzadko się zdarza, aby zabito ich więcej niż raz i po prostu nie rozumieją, jak się człowiek czuje po czwartym razie. Wróciłem więc do okopów.

Szedłem powoli obok trujących zasieków z drutu kolczastego i intensywnie rozmyślałem.

Minąłem coś okrytego brezentem w kolorze khaki, na czym był napis "tajna broń". W naszym sektorze jest mnóstwo tajnej broni. Pojawiają się coraz to nowe typy, mniej więcej raz w tygodniu i może któryś z nich wygra wojnę.

Ale akurat wtedy wcale mnie to nie obchodziło. Myślałem o następnej zwrotce wiersza

Emersona:

Dla mnie czymś bliskim jest i dal i zapomnienie;

Cień czy tek słońca blask znaczą to samo;

Ja niewidzialnych bogów widzę objawienie

I obojętne mi, czy wstydem się okryję, czy też famą.

Stary Emerson bardzo dobrze to ujął, ponieważ właśnie tak to jest po czwartej śmierci. Nic ci już nie robi żadnej różnicy i wszystko wydaje się bardzo podobne do siebie. Nie zrozumcie mnie źle.

Nie jestem cynikiem. Chciałem tylko powiedzieć, że punkt widzenia człowieka musi się zmienić po tym, jak cztery razy umierał.

W końcu dotarłem do moich okopów 2645B-4 i przywitałem się ze wszystkimi chłopakami.

Dowiedziałem się, że o świcie będziemy znowu atakować. Nadal intensywnie rozmyślałem.

Nie należę do tych, co to się łatwo poddają, ale doszedłem do wniosku, że cztery śmierci mi zupełnie wystarczą. W czasie tego ataku - zdecydowałem zadbam o to, żeby już na pewno zostawili mnie martwym. Tym razem już nie będzie mowy o żadnej pomyłce.

Ruszyliśmy o bladym świcie, minęliśmy zasieki oraz toczące się miny i wkroczyliśmy na ziemię niczyją pomiędzy naszymi okopami a 2645B-S. Do tego ataku ruszył cały batalion i byliśmy uzbrojeni w nowe pociski samonaprowadzające. Przez pewien czas całkiem szybko posuwaliśmy się do przodu. Wreszcie wróg odsłonił się na całej linii.

Nadal zdobywaliśmy teren. Cugle coś wybuchalo wokół mnie, ale nie miałem jeszcze ani zadraśnięcia. Zacząłem już wierzyć, że tym razem może nam się udać. I nie zostanę zabity.

Właśnie wtedy oberwałem. Pocisk rozrywający, prosto w pierś. Definitywnie śmiertelna rana.

Zazwyczaj jak coś takiego trafi, pada się na ziemię. Ale nie padłem. Chciałem mieć pewność, że tym razem już zostawią mnie martwego. Wziąłem się więc w garść i utykając, ruszyłem naprzód, używając karabinu jako szczudła. Przeszedłem następne piętnaście metrów w tak piekielnym ogniu krzyżowym, jakiego jeszcze w życiu nie widziałem. I wreszcie znowu mnie trafili, dokładnie tak, jak trzeba. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce.

Poczułem, jak pocisk wybuchający uderzył mnie w czoło. Przez ułamek sekundy czułem się tak, jakby zagotował mi się mózg, i zrozumiałem, że byłem już bezpieczny. Bramini nie mogli nic zrobić w przypadku poważnej rany w głowę, a moja była naprawdę poważna.

I umarłem.

Odzyskałem przytomność i spojrzałem na braminów, w ich białych fartuchach i gazowych maseczkach.

- Jak długo byłem martwy? - spytałem. - Dwie godziny.

Wtedy przypomniałem sobie.

- Ale przecież dostałem w głowę!

Maseczki gazowe zmarszczyły się i wiedziałem, że bramini się uśmiechnęli.

- Tajna broń - powiedział jeden z nich. Pracowaliśmy nad tyłu przez blisko trzy lata. W końcu wspólnie z inżynierami udoskonaliśmy scalacz. Wspaniały wynalazek!

- Naprawdę?

- W końcu medycyna uzyskała metodę leczenia poważnych ran głowy-poinformował mnie bramin. - A także wszelkich innych. Możemy teraz przywrócić do życia każdego, jeśli tylko zbierzemy siedemdziesiąt procent fragmentów jego ciała i włożymy je do scalacza. To w istotny sposób zmniejszy nasze straty. Dzięki temu wojna przybierze, być może, inny obrót!

- Wspaniale - stwierdziłem.

- Przy okazji - powiedział bramin - zostałeś odznaczony medalem za bohaterski atak w ogniu walki pomimo śmiertelnej rany.

- To miłe - odparłem. - Czy zajęliśmy 2645B-5?

- Zajęliśmy je tym razem. I szykujemy masowy atak na okopy 26458-6.

Pokiwałem tylko głową. Jakiś czas potem przyniesiono mi ubranie, po czym zostałem odesłany z powrotem na front. Wszystko się jakoś uciszyło i muszę przyznać, że na swój sposób nawet jest

przyjemnie być żywym. Choć nadal uważam, że miałem już wszystko, czego chciałem od życia.

Teraz czeka mnie jeszcze tylko jedna śmierć do zaliczenia wymaganych sześciu.

Jeśli nie zmienią znowu rozkazów.

przekład : Anna Minczewska - Przeczek

Danta, ostatni Mowotahitańczyk

Edward Danton był kompletnym nieudacznikiem - pierwsze objawy nieprzystosowania społecznego zaczęły się u niego pojawiać już w wieku dziecięcym. Powinno to stanowić wystarczające ostrzeżenie dla jego rodziców, których obowiązkiem było dostarczyć go natychmiast do kompetentnego psychologa. Ten ustaliłby bez wątpienia, który z elementów, tworzących dziecięcy świat Dantona, przyczynił się do wykształcenia owych antyspołecznych skłonności. Jednakże rodzice Dantona, jakkolwiek przewrażliwieni na swoim własnym punkcie, uznali beztrząsco, że ich dziecko po prostu z tego wyrośnie.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

W szkole Danton z wielkim trudem zaliczał Grupowe Przystosowanie Kulturowe, Dopasowanie Braterskie, Rozpoznawanie Wartości, Ocenę Zachowań Środowiskowych i inne przedmioty, których znajomość jest po prostu niezbędna, by móc spokojnie żyć we współczesnym świecie.

Danton absolutnie nie potrafił żyć spokojnie we współczesnym świecie.

Minęło sporo czasu, zanim to sobie w pełni uświadomił. Patrząc na Dantona nikt by się nigdy nie domyślił, że brak mu Zdolności Dopasowania. Był trochę niefrasobliwym, wysokim, atletycznie zbudowanym młodym mężczyzną o zielonych oczach. Miał w sobie coś, co dość wyraźnie oddziaływało na dziewczęta z jego bezpośredniego otoczenia. Kilka z nich obdarzyło go nawet największym ze znanych im komplementów, to znaczy uznało go za odpowiedniego kandydata na męża.

Jednak największa nawet wietrznica nie mogła nie dostrzec jego braków: potrafił na przykład

poczuć się śmiertelnie znużony ledwie po kilku godzinach Tańców Masowych, w momencie, gdy prawdziwa zabawa dopiero się zaczynała. Podczas gry w dwunastoosobowego brydża myśli Dantona często gdzieś się rozłaziły i, ku zgorszeniu jedenastu pozostałych graczy, musiał prosić o powtórzenie licytacji. A już zupełnie nie do zniesienia był podczas zabawy w Metro.

Bardzo starał się wczuć w ducha tej klasycznej gry. Spleciony ciasno ramionami z kolegami z drużyny, rzucał się do wagonu kolei podziemnej, próbując nim zawładnąć, zanim uda się to przeciwnikom szturmującym przez drugie drzwi. Jego kapitan wrzeszczał: „Naprzód, chłopcy! Jedziemy do Rockaway!” Kapitan tamtych ryczał zaś w odpowiedzi: „Nigdy! Gazu, chłopaki! Do Bronx Parl albo nigdzie!”

Danton ze sztucznym uśmiechem na zmarszczonej, zmęczonej twarzy szamotał się w napierającej zewsząd ciżbie. Jego aktualna dziewczyna pytała: „Co się stało, Edward? Chyba dobrze się bawisz?” „Pewnie” - odpowiadał Danton, z trudem chwytając oddech. „Właśnie że nie!” - wołała z mieszaniną zdumienia i zakłopotania dziewczyna. „Czy ty nie rozumiesz, że nasi przodkowie w ten właśnie sposób wyładowywali swoje agresje? Historycy twierdzą, że tylko dzięki zabawie w Metro nie doszło do wybuchu wojny jądrowej. My także mamy agresywne skłonności i musimy dawać im upust w sposób akceptowany przez społeczeństwo”. „Jasne, wiem o tym - odpowiedział Danton - bardzo to lubię i... o Boże!” - w tej chwili bowiem, skandując „Do Canarsie! Do Canarsie!” runęła na nich trzecia, ciasno zbita grupa.

Tak oto stracił kolejną dziewczynę, której trudno było, w sumie, brać za złe, że nie potrafiła dostrzec świetlanej przyszłości, rysującej się przed nią w razie kontynuowania związku z takim człowiekiem. Braku Zdolności Dopasowania nie można bowiem ukryć czy zamaskować. Było aż nazbyt widoczne, że Danton nigdy nie będzie czuć się dobrze w rozciągających się od Rockport, stan Maine, po Norfolk, stan Virginia, przedmieściach Nowego Jorku. Wątpliwe, czy istnieje w ogóle takie miejsce, w którym czułby się dobrze.

Próbował jakoś sobie z tym poradzić, ale na próżno. Mało tego. Zaczęły się pojawiać nowe problemy: od ciągłego widoku różnych reklam wykształcił mu się astygmatyzm, a dziarskie piosenki zachęcające do kupna tego czy tamtego, pozostawiały po sobie przykre dzwonienie w uszach. Lekarz ostrzegł go, że ~ sama tylko analiza objawów nie wyleczy go z tych psychosomatycznych dolegliwości. Tym bowiem, czym należałoby się zająć, była leżąca u podstaw wszystkiego antyspołeczna nerwica. Nią jednak zająć się Danton nie potrafił. W jego myślach coraz częściej pojawiał się pomysł ucieczki. W kosmosie było pełno miejsca dla ziemskich nieudaczników.

W ciągu ostatnich dwu stuleci poleciało ku gwiazdom miliony psychopatów, neurotyków, schizofreników i w ogóle pomyleńców różnej maści. Statki tych, którzy na ten krok zdecydowali się wcześniej, wyposażone były w napęd Mikkelsena; na doczłapanie się z jednego systemu do drugiego potrzebowały dwadzieścia do trzydziestu lat. Nowsze jednostki napędzane były podprzestrzennym konwerterem pól siłowych systemu GM i taką samą podróż odbywały w kilka miesięcy.

Pozostający w domu opłakiwali, jak na społecznie dostosowanych przystało, stratę współobywateli, ale jednocześnie cieszyli się ze zwiększonej liczby nie wykorzystanych zezwoleń prokreacyjnych, które, siłą rzeczy, były wśród nich rozdzielane.

W dwudziestym siódmym roku życia Danton postanowił porzucić Ziemię i ruszyć na podbój kosmosu. Smutny to był dzień, kiedy jego najlepszy przyjaciel, Al Trevor, otrzymał od niego bezcenny karteluszek.

- O rety, Edward - powiedział Trevor ściskając w palcach drogocenne zezwolenie - nie masz pojęcia, co to dla nas znaczy. Zawsze chcieliśmy mieć dwoje dzieci. Dzięki tobie...

- Nie ma o czym mówić - przerwał mu Danton. - Tam, dokąd lecę, nie będę potrzebował żadnych zezwoleń na rozmnażanie. Możliwe zresztą - dodał, po raz pierwszy uświadamiając sobie taką

możliwość - że nie miałbym nawet z kim takiego zezwolenia wykorzystać.

- To jak sobie dasz radę? - zapytał Al, zawsze dbający o sprawy przyjaciela.

- Zobaczymy. Zresztą może po pewnym czasie traf się jakaś dziewczyna. A poza tym są przecież różne środki zastępcze.

- No pewnie. Który wybierzesz?

- Uprawę warzyw. W końcu raz na jakiś czas mogę być praktycznie myślącym człowiekiem.

- Jasne. W takim razie - powodzenia, chłopie.

Wraz z pozbyciem się zezwolenia prokreacyjnego Danton wkroczył na drogę, z której nie mógł już zawrócić; nie pozostawało mu nic innego, jak przeć twardo do przodu. W zamian za wyrzeczenie się prawa do potomka rząd dawał mu dwuletni ekwipunek i zapewniał darmowy trans; port do dowolnego zakątka wszechświata.

Danton natychmiast ruszył w drogę.

Gęściej zaludnione planety wolał omijać z daleka, znajdowały się bowiem zazwyczaj pod absolutną władzą małych, spragnionych panowania grup kolonistów.

Zupełnie, na przykład, nie podobała mu się Heil V, gdzie totalitarne społeczeństwo, złożone z 342 osobników, najpoważniej w świecie sposobiło się do podboju Galaktyki.

Nie był też zainteresowany Korani II, gdzie matematycznym imperium rządził gigantyczny komputer. Zrezygnował także z Planet Rolniczych - smutnych, odizolowanych światów, na których zajmowano się głównie praktycznym potwierdzaniem lub obalaniem różnych ekstremalnych teorii, dotyczących wpływu takich czy innych czynników na życie i zdrowie człowieka.

Przelatując koło Hedonii zapragnął zrazu osiedlić się na tej znanej powszechnie planecie.

Odwiodły go od tego zamiaru pogłoski o bardzo krótkim życiu jej mieszkańców; co prawda nawet autorzy tych pogłosek nie zaprzeczali, że życie na Hedonii, aczkolwiek krótkie, z pewnością nie może być nazwane nudnym.

Danton leciał dalej przed siebie.

Minął Planety Górnicze - ponure, skaliste globy zamieszkałe przez posępnych, skorych do bitki brodaczy. A potem znalazł się już na Nowych Terytoriach. Planety były tu nie zamieszkałe i wyznaczały najdalszą granicę politycznych wpływów Ziemi. Danton zbadał kilka z nich, aż wreszcie trafił na jedną bez jakichkolwiek śladów inteligentnego życia.

Planeta miała łagodny klimat i pokryta była olbrzymim oceanem, ozdobionym okazałymi rozmiarów wyspami z pyszną, soczystą zielenią dżungli. Sprawiała wrażenie zasobnej w ryby i wszelkiego rodzaju zwierzyne. Kapitan statku skrupulatnie odnotował objęcie w posiadanie przez Edwarda Dantona planety o nazwie Nowa Tahiti, tak ją bowiem jej nowy właściciel postanowił ochrzcić. Danton został następnie wysadzony na największej wyspie i wziął się za budowę obozowiska.

Czekało go sporo pracy. Parę kroków od olśniewająco białej plaży zbudował z gałęzi i trawy małą chatkę. Potem sporządził sieci, trochę sideł i oszczep do polowania na ryby. Założył także warzywnik i z dumą obserwował, jak dzięki tropikalnemu słońcu i padającemu codziennie między 7.00 a 7.30 ciepłemu deszczowi jego warzywa dosłownie z dnia na dzień stają się coraz większe. Ogólnie rzecz biorąc, Nowa Tahiti była rzeczywiście rajskim miejscem i Danton powinien czuć się tutaj bardzo szczęśliwy. Było jednak jedno małe ale...

Warzywnik miał stanowić niezawodny środek zastępczy, odciągający jego myśli od pewnych, ściśle określonych spraw. Pod tym względem absolutnie nie spełniał swego zadania. Danton w dzień i w nocy myślał o kobietach i zawodził smętnie do pomarańczowego księżycy nastrojowe, miłosne ballady.

Było to ze wszech miar niezdrowe. Rzucił się desperacko na inne formy działań zastępczych. Na pierwszy ogień poszło malarstwo, potem wziął się za wydawanie gazety, następnie próbował skomponować sonatę, wreszcie wyrzeźbił z miejscowego piaskowca dwie gigantycznych

rozmiarów postacie, wykończył je starannie i zaczął się rozglądać za czymś nowym do roboty. Niczego takiego nie dostrzegł; warzywa dawały sobie doskonale radę bez niego - jako przybysze z Ziemi nie dały szans miejscowym roślinom. Ryby całymi ławicami wpływały w jego sieci, mięsa też miał pod dostatkiem wystarczyło tylko zastawić sidła. Znowu więc całe dni i noce spędzał na rozmyślaniu o kobietach - wysokich i niskich, czarnych i białych, a także o kobietach brązowych. Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Danton zaczął myśleć z pożądaniem o kobietach marsjańskich; coś takiego nie udało się do tej pory żadnemu Ziemianinowi. Musiał jakoś położyć temu kres. Ale jak?

Nie miał jak wezwać pomocy, nie istniały możliwości ucieczki z Nowej Tahiti. Zajęty był właśnie ponurą kontemplacją swej sytuacji, kiedy wysoko nad morzem dostrzegł czarną kropkę. Z zapartym tchem obserwował, jak rosła coraz bardziej, i modlił się cały czas w duchu, by nie okazała się jakimś ptakiem czy owadem. Kropka jednak rozrastała się w oczach i wkrótce już mógł dostrzec, strzelający z dyszy, błyśnięcie zimnego ciągu.

Statek! Koniec samotności!

Statek lądował długo i bardzo ostrożnie. Danton przebrał się tymczasem w swoje najlepsze pareu, strój z Mórza Południowych, wręcz idealny dla kogoś mieszkającego w klimacie Nowej Tahiti. Wykapany, ze starannie przylizanymi włosami, obserwował podchodzącą do lądowania maszynę. Był to jeden z gwiazdolotów jeszcze wyposażonych w archaiczny napęd Mikkelsena. Z tego, co Danton wiedział, wszystkie zostały już dawno wycofane ze służby. Ten jednak, co od razu rzuciło się w oczy, musiał być w drodze od bardzo już długiego czasu. Kadłub, o beznadziejnie archaicznym kształcie, pełen był rys i wgnieceń, a mimo to sprawiał wrażenie, że bez obawy można mu powierzyć życie. Na dziobie miał wymalowaną wielkimi literami nazwę: „Drużyna Huttera”.

Kiedy wraca się z długiej kosmicznej wyprawy, najbardziej jest się spragnionym świeżego

jedzenia. Zanim „Drużyna Huttera” osiadła ciężko na plaży, Danton zebrał i przygotował dla jej pasażerów stos soczystych owoców.

W burcie statku otworzył się niewielki właz. Wyszło z niego dwóch uzbrojonych w karabiny, ubranych od stóp do głów na czarno mężczyzn. Rozglądali się ostrożnie dookoła.

Danton rzucił się w ich kierunku.

- Halo, witamy na Nowej Tahiti! Rany, ludzie, fajnie, żeście przylecieli! Co tam słyszeć...

- Ani kroku dalej! - krzyknął jeden z mężczyzn. Mógł mieć około pięćdziesiątki, był wysoki i wręcz nieprawdopodobnie chudy. Twarz miał nieprzyjemną, pokrytą siecią zmarszczek. Jego stalowoniebieskie oczy zdawały się przewiercać Dantona na wylot. Lufę karabinu wycelował prosto w jego pierś. Drugi mężczyzna miał szeroką twarz, był niewysoki, krępy i bardzo mocno zbudowany.

- Coś nie tak? - zapytał Danton zatrzymując się. - Jak się nazywasz?

- Edward Danton.

- Ja jestem Simeon Smith - powiedział mężczyzna o pomarszczonej twarzy - komendant wojskowy „Drużyny Huttera”, a to Jedekiah Franker, mój zastępca. Jakim cudem mówisz po angielsku?

- Zawsze mówiłem po angielsku - wyjaśnił Danton. Zrozum, ja...

- Gdzie reszta?

- Nie ma żadnej reszty, jestem tylko ja. - Wszystkie iluminatory statku wypełnione były twarzami mężczyzn i kobiet. - Zebrałem trochę tego dla was - powiedział Danton wskazując na stertę owoców. - Myślałem, że po tak długim locie będziecie mieli ochotę przekąsić coś świeżego.

We włazie pojawiła się śliczna dziewczyna o krótkich, rozczochranych włosach.

- Czy możemy już wyjść, ojcze?

- Nie! - odparł Simeon. - To niebezpieczne. Wracaj do środka, Anito.

- Popatrzę w takim razie stąd - powiedziała, utkwivszy w Dantonie zaciękawione spojrzenie.

Danton poczuł, jak przez jego ciało przebiega łagodny, nie znany mu do tej pory dreszcz.

- Przyjmujemy wasze dary - oznajmił Semeon - ale jeść tego nie będziemy.

- Dlaczego? - zapragnął wiedzieć Danton.

- Bo nie wiemy, jakimi truciznami chcecie nas załatwić.

- Truciznami? Chwileczkę, może tak byśmy sobie spokojnie porozmawiali?

- Co o tym sądzisz? - zapytał Jedekiah Simeona.

- Jest tak, jak się spodziewałem - odparł komendant. - Przymilny, płaszcący się, bez wątpienia perfidny. Przyszedł sam, bez swoich ludzi. Założę się, że czają się w krzakach. Lekcja pogładowa byłaby tutaj jak najbardziej na miejscu.

- Słusznie, trzeba zaszcześcić im lęk przed cywilizacją powiedział uśmiechnięty Jedekiah i wycelował karabin.

- Hej! - krzyknął Danton, cofając się raptownie.

- Ależ, ojczcie - wtrąciła się Anita - przecież on jeszcze nic nie zrobił.

- Otóż to. Jak się go zastrzeli, to wtedy już na pewno nic nie robi. Dobry tubylec to martwy tubylec.

- Dzięki temu - dodał Jedekiah - reszta będzie wiedziała, że mamy rzeczywiście poważne zamiary.

- Ale to nie fair! - zawołała z oburzeniem Anita. - Rada...

- ...nie ma teraz nic do gadania. Lądowanie na obcym terytorium stwarza sytuację zagrożenia, a wtedy o wszystkim decyduje wojsko. Zrobimy to, co uznamy za stosowne. Pamiętacie chyba, co było na Lan II?

- Poczekajcie chwilę - odezwał się Danton. - Wszystko pomieszaliście. Nie ma tu nikogo oprócz mnie, po co więc...

Pocisk wzbił fontannę piasku tuż przy jego lewej stopie. Rzucił się do ucieczki, szukając schronienia w gęstwinie dżungli. Druga kula świsnęła w powietrzu, a trzecia, kiedy już dawał nura w gęste poszycie, ścięła tuż przy jego głowie małą gałązkę.

- Dobra! - usłyszał ryk Simeona. - To powinno ich czegoś nauczyć!

Danton zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy między nim a statkiem było pół mili splątanej dżungli.

Spożywając lekki obiad złożony z miejscowej odmiany bananów i owoców drzewa chlebowego, próbował zrozumieć, o co właściwie chodziło „Drużynie Huttera”. Może byli szaleni? Widzieli przecież, że jest Ziemianinem - samotnym, nie uzbrojonym i o jak najbardziej pokojowych zamiarach. A mimo to w ramach jakiejś lekcji pogładowej o mało go nie zabili. Dla kogo była ta lekcja przeznaczona? Dla ohydnych tubylców, którym należało dać nauczkę...

Otóż to! Danton pokiwał głową z przekonaniem. Ci z „Drużyny Huttera” myśleli zapewne, że mają do czynienia z miejscowym dzikusiem i że cała horda jemu podobnych czeka w krzakach na pierwszą okazję, by dokonać masakry przybyszów. Szczerze mówiąc, trudno było im się dziwić. Znajdował się przecież na odległej planecie, bez statku i kiedy ujrzeli go paradującego tylko w opaleniznie i skromnej przepasce na biodrach...

Musiał przedstawiać sobą widok pasujący jak ulał do ich wyobrażeń o zamieszkujących dziewicze planety dzikusach. Tylko gdzie, według nich, zdołał nauczyć się angielskiego? Cała ta historia była beznadziejnie głupia. Ruszył z powrotem w kierunku statku, pewien, że w ciągu paru minut będzie w stanie wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Jednak po kilku metrach stanął.

Zbliżał się wieczór. Niebo za jego plecami pełne było białych i szarych chmur, od strony morza nadciągała gęsta mgła, dżungla pełna była różnorodnych odgłosów - całkowicie zresztą nieszkodliwych, jak się o tym już nieraz zdążył przekonać. Przybysze jednak mogli mieć na ten temat akurat odwrotne zdanie.

Jak go nauczyło niedawne doświadczenie, mechanizmy spustowe ich karabinów były bardzo dobrze naoliwione. Wyleźć teraz na plażę równało się pewnej kuli w łeb. Poruszał się z największą ostrożnością; ciemnoskóra postać ginąca w splątanym tle zielonobrazowej dżungli. Ostatni odcinek drogi przebył czołgając się przez gęste poszycie. Dotarł do skraju lasu i wyjrzał na schodzącą do morza plażę.

Przybysze zdecydowali się jednak na opuszczenie statku. Wśród kilkunastu kobiet i mężczyzn Danton dostrzegł także kilkoro dzieci. Wszyscy pocili się niemiłosiernie w ciężkich, dopasowanych, czarnych strojach. Przyniesione przez niego owoce leżały nie tknięte - na rozstawiony właśnie aluminiowy stół przynoszono potrawy z chłodni.

Na skraju zebranego na plaży niewielkiego tłumu Danton dostrzegł kilku mężczyzn objuczonych karabinami i pasami z zapasowymi ładunkami. Stali bez wątpienia na straży i obserwowali uważnie ścianę dżungli, zerkając od czasu do czasu z niepokojem na ciemniejące niebo.

Simeon uniósł w górę ręce i natychmiast zapadła cisza. - Przyjaciele - zwrócił się do zebranych - znaleźliśmy nareszcie dom, którego tak długo przyszło nam szukać. Spójrzcie tylko - oto kraj mlekiem i miodem płynący, hojny i zasobny we wszelkie dary Natury. Warto chyba było tak długo czekać, tak usilnie szukać, narażać się na takie niebezpieczeństwa?

- Tak, bracie! - odpowiedział tłum.

Simeon ponownie uciszył ich gestem uniesionych rąk. - Nikt jeszcze nie zaszczepił na tej ziemi cywilizacji. Przybyliśmy tu pierwsi i do nas ona należy. Czekają na nas jednak nie same tylko radości! Kto wie, na przykład, jakie potwory kryją się w gęstwinie tej dżungli?

- Największe są prawie tak duże jak wiewiórka mruknął pod nosem Danton. - Czemu mnie o to nie zapytają? Przecież bym im powiedział.

- Kto wie, co za bestie żyją w głębinach tego morza? - mówił dalej Simeon. - Tego nie wiemy, ale wiemy za to co innego: mieszkają tu tubylcy - nadzy, dzicy, z pewnością podstępni, bezlitośni i

amoralni - słowem, tacy, jak wszyscy tubylcy. Musimy się ich strzec. Będziemy żyć z nimi w pokoju, o ile nam na to pozwolą. Obdarujemy ich owocami cywilizacji i kwiatami kultury. Być może będą sprawiać wrażenie przyjaźnie do nas nastawionych, ale pamiętajcie o jednym: nigdy nie można być pewnym, co się dzieje w sercu dzikusa. Zasady moralne, jakimi się kierują, są diametralnie różne od naszych. Nie wolno im zaufać! Musimy być zawsze czujni! A w razie czego - strzelać jako pierwsi! Pamiętajcie przecież, co nas spotkało na Lan II.

Przemówienie zostało nagrodzone długotrwałymi oklaskami, po czym odśpiewano hymn i zabrano się do wieczornego posiłku. Wraz z nadejściem nocy na statku zapłonęły potężne światła, wypłaszając ciemność z zajętej przez przybyszów plaży. Przygarbieni strażnicy nerwowo chodzili tam i z powrotem z karabinami gotowymi do strzału.

Danton obserwował, jak osadnicy wyciągają z bagaży swoje śpiwory i udają się na spoczynek w cieniu ogromnego kadłuba. Nawet strach przed ewentualnym atakiem nie był w stanie zmusić ich do spędzenia jeszcze jednej nocy we wnętrzu statku, szczególnie kiedy alternatywę dla jego dusznego wnętrza stanowiło czyste, świeże powietrze, którym tak lekko i przyjemnie było oddychać.

Wielki pomarańczowy księżyc Nowej Tahiti skrył się do połowy za zawieszonymi gdzieś wysoko chmurami. Strażnicy klęli pod nosem i starali trzymać się jak najbliżej siebie. Wkrótce zaczęła się kanonada; rozstrzeliwali każdy podejrzany cień i odgłos.

Danton cofnął się nieco w głąb dżungli. Noc spędził za drzewem chroniącym go przed zbłąkanymi kulami. Po namyśle doszedł do wniosku, że chyba nie jest to najodpowiedniejsza pora dla wyjaśniania czegokolwiek. Ludzie z „Drużyny Huttera” byli jednak odrobinę zbyt popędliwi. Najlepiej będzie wytłumaczyć wszystko przy dziennym świetle - w sposób prosty, rozsądny i bezpośredni.

Kłopot polegał na tym, że przybyszów w żaden sposób nie można było nazwać rozsądnymi.

Rano wszystko jeszcze wyglądało obiecująco. Danton pozwolił „Drużynie Huttera” zjeść spokojnie śniadanie, a potem wyszedł spomiędzy drzew na plażę.

- Stój! - wrzasnęły strażę.

- Dzikus wrócił! - zawołał jeden z osadników.

- Mamuuusiu! - zapłakał jakiś chłopczyk. - Ja nie chcę, żeby mnie ten brzydki pan pożarł!

- Nie bój się, kochanie - uspokajała go matka - tatuś ma specjalną strzelbę na dzikusów.

Ze statku pośpiesznym krokiem wyszedł Simeon. - Dobra, ty tam! Możesz podejść!

Danton, czując jak w skórę wbijają mu się drażniące igielki niepokoju, ruszył ostrożnie przez plażę. Zbliżył się do Simeona, cały czas trzymając na widoku swoje puste ręce.

- Jestem dowódcą tych ludzi - powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z dzieckiem, powiedział

Simeon. - Ja wielki szef moje ludzcie. Ty wielki szef twoje ludzcie?

- Nie wiem, czemu pan w ten sposób do mnie mówi. Ledwo pana rozumiem - odparł Danton. -

Wyjaśniłem panu już wczoraj, że oprócz mnie nikogo więcej tu nie ma. Zawzięta twarz Simeona pobladła z gniewu.

- Mów lepiej prawdę, bo jak nie, to tego pożałujesz. No więc, gdzie jest twój szczerp?

- Jestem Ziemianinem! - wrzasnął Danton. - Głuchy jesteś? Nie słyszysz, jak mówię?

Podszedł do nich Jedekiah, a wraz z nim niski, przygarbiony siwowłosy człowiek z wielkimi rogowymi okularami na nosie.

- Zdaje mi się - zwrócił się do Simeona - że nie miałem jeszcze przyjemności poznać naszego gościa.

- Profesorze Baker, ten dzikus utrzymuje, że jest Ziemianinem i że nazywa się Edward Danton.

Profesor jednym długim spojrzeniem obrzucił opaloną skórę, skąpy strój i bose stopy Dantona.

- Więc jesteś Ziemianinem? - zapytał go. - Oczywiście.

- A kto wyrzeźbił te posągi na plaży?

- Ja - przyznał Danton - ale to była po prostu forma terapii.

- Otóż, widzi pan... Rzeźby te są ponad wszelką wątpliwość dziełem jakiegoś prymitywnego ludu. Ta stylizacja, charakterystyczna linia nosa...

- To pewnie przypadkiem. Niech pan posłucha: kilka miesięcy temu opuściłem Ziemię na statku...

- Jaki miał napęd? - przerwał mu profesor Baker. - Podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM.

Baker skinął głową i Danton mówił dalej.

- No więc, zależało mi na czymś innym niż Koram czy Heil V. Hedonia też niezbyt mi odpowiadała, dałem sobie spokój z Planetami Górniczymi i Rolniczymi, aż wreszcie wylądowałem tutaj. Planeta jest zarejestrowana na moje nazwisko pod nazwą Nowa Tahiti. Zaczynało mi się tu jednak trochę nudzić, więc cieszę się, żeście przylecieli.

- I jak, profesorze? - zapytał Simeon. - Co pan o tym myśli?

- Zadziwiające - mruknął Baker - doprawdy zadziwiające. Poziom opanowania potocznej odmiany angielskiego świadczy o stosunkowo wysokim poziomie inteligencji, co z kolei naprowadza nas na trop zjawiska często spotykanego w niedorozwiniętych społeczeństwach, a mianowicie nieprawdopodobnie zaawansowanej umiejętności kamuflażu. Nasz przyjaciel Danta (tak bowiem najprawdopodobniej brzmi jego prawdziwe imię) powinien stać się dla nas niewyczerpanym źródłem plemiennych legend, mitów, pieśni, tańców...

- Ale ja jestem Ziemianinem!

- Niestety, mój biedny przyjacielu - poprawił go delikatnie profesor - nie jesteś. Z pewnością natomiast musiałeś kiedyś spotkać jakiegoś Ziemianina, na przykład wędrownego kupca, który wylądował tu dla dokonania jakichś napraw.

- Odkryliśmy ślady świadczące o tym, że kiedyś zatrzymał się tu na krótko jakiś statek -

powiedział Jedekiah. - No proszę - pokiwał głową profesor Baker. - Oto potwierdzenie mojej hipotezy.

- Właśnie tym statkiem tutaj przyleciałem - próbował wyjaśnić Danton.

- Na uwagę zasługuje również sposób - kontynuował mentorskim tonem profesor Baker - w jaki ta niemalże wiarygodna historia w wielu swoich kluczowych punktach przeradza się w najczystszej wody fantazję. Na przykład ów „podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM”, jakim miał być jakoby napędzany mityczny statek naszego przyjaciela, jest bezsensownym nowotworem leksykalnym, jako że jedynym używanym w badaniach dalekiego kosmosu napędem jest napęd Mikkelsena. Nasz przyjaciel twierdzi także, że jego podróż z Ziemi trwała kilka miesięcy, a wiemy przecież, że takiej prędkości nie jest w stanie, nawet teoretycznie, zapewnić statkowi z a d e n napęd. Tego rodzaju twierdzenia Dante są spowodowane tym, że jego niewykształcony i niedorozwinięty umysł nie jest po prostu w stanie wyobrazić sobie podróży trwającej całe lata.

- A może wynaleziono taki napęd już po waszym odlocie? - zapytał Danton. - Jak długo byliście w drodze? - „Drużyna Huttera” opuściła Ziemię sto dwadzieścia lat temu - pobłażliwym tonem wyjaśnił Baker. - Obecna jej załoga to głównie czwarte i piąte pokolenie. Proszę zwrócić także uwagę - kontynuował już wyłącznie na użytek Simeona i Jedekiaha - na jego wysiłki zmierzające do podania nam brzmiących możliwie wiarygodnie nazw własnych; słowa takie jak „Koram”, „Heil”, „Hedonia” brzmią dla niego dobrze - prawdopodobnie są to jakieś onomatopeje. To, że takie miejsca nie istnieją, nie ma dla niego żadnego znaczenia.

- Właśnie że istnieją! - zaperzył się Danton.

- Gdzie? - zaatakował Jedekiah. - Podaj mi współrzędne!

- A skąd mam je niby znać? Nie jestem nawigatorem. Zdaje się, że Heil jest gdzieś koło Bootes, czy może Kasjopei... Nie, to na pewno było Bootes...

- Przykro mi, przyjacielu - powiedział Jedekiah ale może zainteresuje cię informacja, że jestem

nawigatorem tego statku. Mogę ci pokazać atlasy i mapy gwiazdowe. Nazw, które wymieniłeś, z pewnością na nich nie znajdziesz.

- Twoje mapy są o sto lat przestarzałe!

- Więc gwiazdy też - odparł Simeon. - A teraz, Danta, gdzie są twoi ludzie? Dlaczego się przed nami kryją? Co planują!

- To niedorzeczność - zaprotestował Danton. - Jak mam was przekonać? Jestem Ziemianinem, urodziłem się i wychowałem...

- Dostyc tego - przerwał mu Simeon. - Byle dzikus nie będzie nam tu pyskował. Dostyc tego, Danta. Gdzie są twoi ludzie?

- Nie ma nikogo oprócz mnie - upierał się Danton.

- Zawiazany języczek? - zazgrzytał zębami Jedekiah. - A może damy powąchać...

- Potem, potem - wtrącił się Simeon - przyjdą tu wkrótce po upominki. Wszyscy tubylcy tak robią. A tymczasem, Danta, możesz pomóc przy rozładunku.

- Dziękuję bardzo, ale wolę...

Pięść Jedekiaha strzeliła błyskawicznie, trafiając Dantona w bok szczęki. Zatoczył się, z trudem utrzymując się na nogach.

- Szef powiedział: nie pyskować! - ryknął Jedekiah. Czemu wszystkie dzikusy to takie śmierdzące lenie? Zapłacimy ci, jak tylko wyładujemy paciorki i perkal.

Dyskusja wyglądała na zakończoną. Danton, ogłupiały i otumaniony, podobnie jak przed nim miliony tubylców na tysiącach innych planet, dołączył do długiego ogonka kolonistów podających sobie wyciągane z ładowni towary.

Późnym popołudniem wyładunek został zakończony i można było nareszcie odpocząć. Danton siedział na uboczu, próbując wykombinować jakieś wyjście z tej sytuacji. Był głęboko w tych rozważaniach pogrążony, kiedy podeszła do niego Anita z menażką wody.

- Czy ty też myślisz, że jestem tubylcem? - zapytał. Usiadła przy nim i powiedziała:

- A czy możesz nim nie być? Każdy przecież wie, jak szybko może lecieć statek...

- Wiele się zmieniło od chwili, kiedy opuściliście Ziemię. Chyba nie lecieliście cały ten czas?

- Oczywiście, że nie. Najpierw wylądowaliśmy na H, gastro I, ale że ziemie nie były tam zbyt żyzne, następne pokolenie przeniosło się na Ktedi. Tam jednak zboże przeszło jakąś mutację, w wyniku której o mało nie doszło do zagłady wyprawy. Za następny cel obrano więc Lan II.

Wszyscy mieli nadzieję, że będą to już ostatnie przenosiny. - I co się stało?

- Tubylcy - westchnęła Anita. - Z początku nawet wydawało się, że są dosyć przyjaźnie nastawieni i wyglądało na to, że panujemy nad sytuacją. Aż tu nagle pewnego dnia znaleźliśmy się, ni stąd, ni zowąd, w stanie wojny z całą tubylczą ludnością. Mieli tylko maczugi i dzidy, ale było ich zbyt wielu, toteż odlecieliśmy i przybyliśmy tutaj.

- Hmm - mruknął Danton - teraz rozumiem, czemu tak nieufnie odnosicie się do tubylców.

- Właśnie. W razie najmniejszego nawet zagrożenia przechodzimy pod rozkazy wojskowych. To znaczy mego ojca i Jedekiaha. Kiedy niebezpieczeństwo mija, ster przejmują na powrót władze cywilne.

- To znaczy?

- Rada Starszych: naprawdę dobrzy ludzie, brzydzący się przemocą. Jeżeli tobie i twoim ludziom rzeczywiście zależy na pokoju...

- Nie ma żadnych ludzi - znużonym tonem zaprotestował Danton.

- ...to pod rządami Rady Starszych będziecie mogli wieść spokojne i szczęśliwe życie -

dokończyła Anita. Siedzieli obok siebie obserwując zachód słońca. Danton widział, jak zwichrzone wiatrem włosy przytulały się miękko do jej czoła i jak odbłask tonącego w oceanie słońca zarysowuje i uwypukla linię jej warg i policzka. Wstrząsnął nim dreszcz, który wytłumaczył sobie wieczornym chłodem.

Anita, która cały czas opowiadała mu z ożywieniem o swoim dzieciństwie, zdawała się nagle mieć kłopoty z utrzymaniem wątku. Zdania rwały się coraz bardziej ...

Ich dłonie nie musiały szukać się zbyt długo. Koniuszki palców zetknęły się delikatnie i tak już zostały. Przez długi czas nie padło ani jedno słowo. A potem lekko i jakby z ociąganiem pocałowali się.

- Co tu się dzieje, do cholery? - zażądał wyjaśnień jakiś donośny głos.

Danton zerknął w górę i ujrzał stojącego nad nim tęgiego mężczyznę, którego potężna głowa otoczona była aureolą pomarańczowego księżyca. Zaciśnięte w pięści dłonie miał wsparte na biodrach.

- Proszę cię, Jedekiah - odezwała się Anita - tylko nie rób sceny.

- Wstawaj - polecił Jedekiah Dantonowi złowieszczo spokojnym głosem. - Podnieś się na nogi.

Danton stanął, trzymając ręce w pogotowiu i czekał. - Jesteś hańbą dla „Drużyny Huttera” i dla całej swojej rasy - zwrócił się Jedekiah do Anity. - Czyś ty oszalała? Jak można mieć choć odrobinę szacunku dla swojej własnej osoby szlajając się z jakimś brudnym dzikusiem? A ty - to już było przeznaczone dla Dantona słuchaj uważnie i lepiej, żebyś to sobie dobrze zapamiętał: wara dzikusom od kobiet z „Drużyny Huttera”! A teraz wbiję ci tę lekcję do głowy!

Nastąpiła krótka szarpanina i Jedekiah znalazł się na ziemi. - Na pomoc! - ryknął. - Tubylcy atakują!

Na statku rozdzwięczał się alarmowy dzwonek i nocną ciszę przeszył jęk syren. Kobiety i dzieci, dobrze przygotowane na taką ewentualność, w karnych oddziałach zniknęły we wnętrzu statku. Mężczyźni, w których rękach momentalnie pojawiły się karabiny, pistolety maszynowe i granaty, ruszyli w kierunku Dantona.

- To był jeden na jednego! - zawołał Danton. Trochę się posprzecaliśmy, to wszystko. Nie ma żadnych tubylców, jestem tylko ja.

- Anita, cofnij się, szybko! - rozkazał najbardziej wysunięty z napastników.

- Nie widziałam żadnych tubylców - protestowała gorąco dziewczyna - a poza tym to nie była wina Danty... - Cofnij się!

Odciągnięto ją na bok. Zanim odezwały się karabiny, Danton zdołał dać nura w krzaki.

Pięćdziesiąt metrów przebył na czworakach, potem wstał i rzucił się do szaleńczej ucieczki.

Na szczęście nikt z „Drużyny Huttera” nie miał zamiaru go ścigać. Zainteresowani byli jedynie

obroną statku i utrzymaniem małego przyczółka, składającego się ze skrawka plaży i

przylegającego do niego wąskiego paska dżungli. W nocnej ciszy rozbrzmiewały strzały, wrzaski i dzikie okrzyki.

- Tam jest jeden!

- Prędko, obróć karabin! Okrążyli nas! - Tam! Tam! Mam jednego!

- Uciek! Tam ucieka!... Na drzewie, uważaj, na drzewie! - Strzelaj, człowieku, strzelaj!

Przez całą noc Danton przysłuchiwał się odgłosom walki „Drużyny Huttera” z wyimaginowanym

przeciwnikiem. Nad ranem ogień ustał. Przez noc zdołano wystrzelić około. tony ołowiu, raniono

setki drzew, a całe hektary trawy wdeptano w błoto. Dżungla śmierdziała kordytem. Danton zapadł

w niespokojną drzemkę.

Około południa obudził go trzask łamanych gałęzi i deptanych krzewów: ktoś przedzierał się

przez dżunglę. Cofnął się głębiej w gęsty las i przyrządził sobie obiad z miejscowej odmiany

bananów i mango. Potem postanowił wszystko dokładnie przemyśleć.

Zupełnie jednak nie mógł się skupić. Umysł miał bez reszty zaprzątnięty Anitą i rozpaczą z

powodu jej utraty.

Resztę dnia spędził na ponurym łożeniu bez celu i bez sensu. Późnym popołudniem znowu

usłyszał, jak ktoś przedziera się przez gęstwinię.

Zawrócił już, by skryć się w głębi wyspy, kiedy ten ktoś zawołał go po imieniu:

- Danta! Danta! Zaczekaj!

To był głos Anity. Danton zawahał się, nie wiedząc, co ma począć. Może porzuciła statek, by żyć z nim w głębi zielonej dżungli? Bardziej jednak prawdopodobne było to, że wysłano ją jako przynętę, i że w krzakach za nią czai się cały oddział z gotowymi do strzału karabinami. Skąd miał wiedzieć, czy może jej zaufać?

- Danta! Gdzie jesteś?

Uświadomił sobie, że przecież i tak nigdy nie będzie im wolno się połączyć. Ci, z którymi przybyła, pokazali już, co myślą o tubylcach. Nigdy mu nie zaufają, jego życie będzie zawsze wisiało na włosku...

- Danta, proszę!

Danton wzruszył ramionami i skierował się w stronę, z której dochodził jej głos.

Spotkali się na małej polance. Choć Anita miała włosy w nieładzie, a ubranie wisiało na niej w strzępach, to dla Dantona i tak była najpiękniejszym zjawiskiem na świecie. Przez moment uwierzył, że uciekła, by zacząć z nim nowe życie.

Potem pięćdziesiąt metrów za nią zobaczył uzbrojonych mężczyzn.

- Nie bój się - powiedziała Anita. - Nic ci nie zrobią. Są tu tylko po to, żeby mnie bronić.

- Bronić cię? Pewnie przede mną? - zaśmiał się ponuro Danton.

- Nie znają cię tak dobrze jak ja - odparła Anita. - Dzisiaj zebrała się Rada Starszych. Wszystko im powiedziałam.

- Wszystko?

- Oczywiście. Powiedziałam im, że to nie ty sprowokowałeś bójkę, i że walczyłeś w obronie własnej, i że Jedekiah kłamał. Nie było żadnej hordy tubylców, tylko ty jeden. Tak im powiedziałam.

- Dzielna dziewczyna! - zawołał z zapalem Danton. I co, uwierzyli ci?

- Chyba tak. Wy tłumaczyłam im, że atak tubylców nastąpił później.

Danton jęknął.

- O rany, jak mógł nastąpić jakiś atak, skoro nie ma żadnych tubylców?

- Ależ są - odparła Anita. - Słyszałam ich wrzaski. - Słyszałaś krzyki waszych ludzi.

Danton próbował intensywnie znaleźć jakiś sposób, żeby ją przekonać. Jeżeli nie uda mu się to z jedną dziewczyną, to jak niby ma sobie poradzić z całą „Drużyną Huttera”?

I wtedy nadeszło olśnienie. Pomysł sam w sobie był bardzo prosty, ale jego efekty musiały, po prostu musiały być olbrzymie.

- Jak rozumiem, jesteście przekonani, że byliście obiektem frontalnego ataku ze strony tubylców?

- Naturalnie.

- A ilu było tych tubylców?

- Słyszałam, że stosunek sił wynosił 10:1 na waszą korzyść.

- I byliśmy uzbrojeni? - Oczywiście.

- Jak więc w takim razie wytłumaczysz fakt - z triumfem w głosie zapytał Danton - że ani jeden z waszych ludzi nie został ranny?

Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma. - Ależ, Danta, mój drogi! Wielu naszych zostało rannych, niektórzy nawet ciężko. Dziwne, że nikt nie został zabity!

Danton poczuł, jak ziemia chwieje mu się pod nogami. Przez jedną straszliwą chwilę uwierzył we wszystko, co mówiła. Ci ludzie byli święcie przekonani, że to, co mówią, jest najszczęśliwszą prawdą!

Może rzeczywiście miał swoje plemię, może rzeczywiście w dżungli kryli się ciemnoskórzy, jak on, tubylcy, czyhający na pierwszą okazję, by...

- Ten kupiec, który nauczył cię angielskiego - mówiła dalej Anita - musiał być człowiekiem bez skrupułów. Prawo międzygwiazdne zabrania sprzedaży broni palnej mieszkańcom zacofanych

planet. Mam nadzieję, że kiedyś go złapią i...

- Broni palnej?!

- Właśnie. Oczywiście nie potraficie jej zbyt dobrze używać, ale Simeon mówi, że sama siła ognia...

- Jak przypuszczam, wszyscy wasi poszkodowani mają rany postrzałowe?

- Tak. Nie pozwoliliśmy zbliżyć się wam na tyle, żebyście mogli użyć łuków i noży.

- Rozumiem - powiedział Danton. Cały jego wywód okazał się diabła wart, ale odczuwał beżmierną ulgę, że jednak nie postradał zdrowych zmysłów. Mało doświadczeni osadnicy napytali sobie biedy uganiając się po dżungli i strzelając do wszystkiego, co się rusza - czyli do siebie nawzajem.

Było więcej niż dziwne, że nikt nie został zabity. To był po prostu cud.

- Wytlumaczyłam im jednak, że nie mogą was za to winić. Zostałeś zaatakowany i twoi ludzie mieli prawo przypuszczać, że jesteś w niebezpieczeństwie. Rada Starszych uznała taką wersję za bardzo prawdopodobną.

- To miło z ich strony - powiedział Danton.

- Starają się być rozsądni. A poza tym zdają sobie sprawę, że jesteście ludźmi tak samo jak i my.

- A czy ty też tak myślisz? - z odcieniem ironii w głosie zapytał Danton.

- Oczywiście. Rada Starszych zwołała następne walne zebranie na temat naszej polityki wobec tubylców i ustanowiła jej niepodważalne zasady. Przeznaczamy obszar o powierzchni tysiąca akrów na rezerwat dla ciebie i twoich ludzi. To spory szmat ziemi, prawda? Zaczęliśmy już ustawianie słupków granicznych. Będziecie żyć spokojnie w swoim rezerwacie, a my w naszej części wyspy.

- Co takiego?!

- Ażeby sprawę już definitywnie zakończyć, Rada Starszych prosi cię o przyjęcie tego oto

dokumentu mówiąc to wręczyła mu swój pergamin.

- Co to jest?

- Traktat pokojowy, ogłaszający zakończenie wojny między „Drużyną Huttera” a Nową Tahiti i zobowiązujący nasze dwa narody do utrzymywania wiecznej przyjaźni.

Danton wziął bezmyślnie pergamin z rąk Anity. Oddział towarzyszący dziewczynie rozproszył się tymczasem i wesoło podśpiewując wbijał w ziemię czerwono-czarne słupki. Było się z czego cieszyć - przecież w prosty i szybki sposób udało się rozwiązać niełatwy problem tubylców.

- A czy nie sądzisz - zapytał Danton - że, powiedzmy, lepszym wyjściem z sytuacji byłaby asymilacja?

- Sama im to zasugerowałam - odparła, czerwieniąc się, Anita.

- Naprawdę? Czy zrobiłabyś to...

- Oczywiście, że bym zrobiła - powiedział nie patrząc na niego. - Uważam, że wymieszanie dwóch tak silnych ras byłoby wspaniałą i jak najbardziej odpowiednią rzeczą.

A jakie cudowne historie mógłbyś opowiadać naszym dzieciom!

- Nauczyłbym je polować i łowić ryby, pokazałbym, które rośliny nadają się do jedzenia...

- A te wasze upojne pieśni i tańce! - westchnęła Anita. - To by było naprawdę wspaniałe. Przykro mi, Danta.

- Ale coś chyba da się zrobić! Nie mógłbym porozmawiać z Radą Starszych? Czy rzeczywiście nic nie można poradzić?

- Nic - odpowiedziała Anita. - Uciekłabym z tobą, ale prędzej czy później i tak by nas znaleźli, choćby nie wiem, jak długo musieli nas szukać.

- Właśnie że nigdy by nas nie znaleźli - zapewnił ją Danton.

- Może tak, może nie. W każdym razie chciałabym to sprawdzić...

- Kochanie!

- ...ale nie mogę. Pomyśl o swoich ludziach, Danta! Nasi schwytaliby zakładników i zabiliby ich, gdybym nie wróciła.

- Ależ ja nie mam żadnych ludzi, do jasnej cholery! - To miło z twojej strony, że tak mówisz - powiedziała łagodnie Anita - ale nie wolno nam, w imię naszej miłości, poświęcać czyjegoś życia.

Musisz powiedzieć swoim ludziom, że jeżeli chcą żyć, to nie wolno im przekraczać granicy rezerwatu. A na razie do widzenia i pamiętaj, że najdalej można zajść krocząc ścieżką pokoju. Uciekła do swoich. Danton, patrząc na nią, był wściekły na jej szlachetne sentymenty, które bez żadnej realnej przyczyny nie pozwalały im się połączyć, a jednocześnie kochał ją za miłość, jaką okazywała jego ludziom. To, że ci ludzie nie istnieli, nie miało żadnego znaczenia. Liczyły się intencje.

Wreszcie odwrócił się i poszedł w głąb dżungli. Zatrzymał się przy cichym, okolonym gigantycznymi drzewami i kwitnącymi paprociami, oczku czarnej wody i próbował ułożyć plany na resztę swego życia. Anita odeszła; wszelkie stosunki z ludźmi zerwane. Próbował sobie wmówić, że ani jej, ani ich nie potrzebuje. Miał przecież swój rezerwat. Mógł na nowo zająć się uprawą ogródka, wyrzeźbić parę nowych posągów, skomponować kilka sonat, zacząć wydawać kolejną gazetę...

- Do diabła z tym wszystkim! - wrzasnął na otaczające go drzewa. Dostyc miał już tych środków zastępczych. Pragnął Anity i chciał żyć razem z ludźmi. Samotność zbyt już mu dopiekała.

Ale co miał zrobić?

Możliwości miał doprawdy niewielkie. Oparł się o pień drzewa i zapatrzył w nieprawdopodobnie niebieskie nowotahitańskie niebo. Żeby tylko ci przybysze nie byli tacy przesądni, żeby nie mieli tego kompleksu tubylców, żeby...

I wtedy przyszedł mu do głowy plan - absurdalny, niebezpieczny...

- Ale warto spróbować - powiedział do siebie. Nawet gdyby mieli mnie zabić.

Ruszył kłusem w stronę granicy rezerwatu.

W pobliżu statku dostrzegł go strażnik i natychmiast skierował w jego stronę lufę karabinu.

Danton uniósł obie ręce.

- Nie strzelać! Muszę pomówić z waszymi wodzami! - Wracaj lepiej do rezerwatu - ostrzegł go strażnik - bo będę strzelał!

- Muszę mówić z Simeonem - oświadczył Danton, nie ruszając się ani o milimetr.

- No cóż, rozkaz, to rozkaz - westchnął strażnik składając się do strzału.

- Chwileczkę! - ze statku wyszedł skrzywiony ponuro Simeon.

- O co chodzi?

- Wrócił ten dzikus - wyjaśnił strażnik. - Mogę go zdmuchnąć?

- Czego chcesz? - zapytał Simeon.

- Przyszedłem tutaj - ryknął pełnym głosem Danton - żeby wypowiedzieć wam wojnę!

Podziałało to jak kij włożony w mrowisko. Po kilku chwilach wokół statku zgromadził się pełny stan osobowy „Drużyny Huttera”. Nieco z boku stała Rada Starszych - grupka podeszłych wiekiem mężczyzn wyróżniających się siwymi brodami.

- Zaakceptowaliście przecież traktat pokojowy - zaprotestował Simeon.

- Skonsultowałem się z pozostałymi wodzami z tej wyspy - odparł postępując krok naprzód

Danton. Według nas traktat jest nieuczciwy. Nowa Tahiti jest nasza. Należała do naszych ojców i do ojców naszych ojców. Tutaj wychowaliśmy nasze dzieci, zbieraliśmy z pól plony, zrywaliśmy owoce drzewa chlebowego. Nie możemy się zgodzić na zamknięcie nas w rezerwacie!

- Danta! - zawołała Anita pojawiając się we włązie. Prosiłam cię przecież, żebyś zaniósł pokój swemu ludowi! - Lud nie chciał mnie słuchać - odparł Danton.

- Już gromadzą się plemiona całej wyspy. Nie tylko moje, Cynochi, ale i Drovati, Lorognasti, Retellsmbroichi, Vitelli. Oraz, rzecz jasna, zależne od nich szczepy i lennicy.

- Ilu was jest? - zapytał Simeon.

- Jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy. Nie wszyscy, oczywiście, mamy strzelby.

Większość z nas będzie musiała polegać na nieco bardziej tradycyjnej broni, jak na przykład zatrute strzały i dmuchawy.

Przez tłum przeszedł nerwowy pomruk.

- Wielu naszych zginie - mówił z niewzruszonym spokojem Danton - ale to nie ma znaczenia.

Każdy Nowotahitańczyk będzie walczył jak lew. Na każdego z waszych przypada tysiąc naszych.

Na sąsiedniej wyspie mieszkają nasi krewniacy, którzy z pewnością się do nas przyłączą. Bez względu na ofiarę z życia i cierpienia, jaką przyjdzie nam złożyć, zepchniemy was do morza. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Odwrócił się na pięcie i powolnym, dostojnym krokiem ruszył w stronę dżungli.

- Mogę już go zdmuchnąć? - przypomniał o sobie strażnik.

- Odłóż ten karabin, idioto! - warknął Simeon. Danta, zaczekaj. Przecież możemy się dogadać.

Nie ma sensu niepotrzebnie przelewać krwi.

- Zgadzam się z tym - ze śmiertelną powagą odparł Danton.

- Czego chcecie? - Równych praw!

Rada Starszych niezwłocznie rozpoczęła obrady. Simeon przysłuchiwał im się jakiś czas, potem wrócił do Dantona. - To się da zrobić. Coś jeszcze?

- Nic - odparł Danton. - Nic, oprócz potwierdzającego nasz układ przymierza między rodziną panującą „Drużyny Huttera” a rodziną panującą Nowotahitańczyków. Najlepsze byłoby jakieś małżeństwo.

Po kolejnej rundzie obrad Rada Starszych przekazała swe stanowisko Simeonowi. Komendant wydawał się czymś najwyraźniej wzburzony. Kark mu nabrzmiął, ale zdołał się jakoś opanować, kiwnął głową na znak zgody i podszedł do Dantona.

- Zostałem upoważniony przez Radę Starszych oświadczył - by zaproponować ci zawarcie przymierza krwi. Ty i ja, jako przedstawiciele rodzin panujących naszych narodów, zmieszamy naszą krew, a następnie podzielimy się chlebem i solą. Będzie to podniosła i mająca wielkie, symboliczne znaczenie uroczystość, która...

- Przykro mi - przerwał mu Danton - ale my, Nowotahitańczycy, nie uznajemy takich rzeczy. To musi być małżeństwo.

- Ależ, do cholery, człowieku... - To moje ostatnie słowo.

- Nigdy się na to nie zgodzimy! Nigdy!

- A więc wojna! - oznajmił Danton i poszedł w las. Znajdował się akurat w odpowiednim nastroju do prowadzenia wojny, ale jak jeden tubylec miał poradzić sobie z całym statkiem uzbrojonych ludzi?

Rozważał właśnie ponuro ten problem, kiedy spomiędzy drzew wyszli Simeon i Anita.

- W porządku - oświadczył wściekły Simeon. - Rada Starszych wyraziła zgodę. Dostyc już mamy tego latania od planety do planety. Mieliśmy już takie kłopoty wcześniej i podejrzewam, że mielibyśmy je wszędzie, gdziekolwiek byśmy się przenieśli. Zmęczyły nas te ciągłe problemy z tubylcami, więc sędzę - tu mężnie powstrzymał napływające mu do oczu łzy - że najlepiej będzie rozpocząć proces asymilacji. Tak w każdym razie uważa Rada Starszych. Ja osobiście wolałbym walczyć.

- Przegrałbyś - zapewnił go Danton i w tym momencie poczuł, że sam jeden potrafiłby dać radę całej „Drużynie Huttera”.

- Możliwe - przyznał Simeon. - W każdym razie podziękuj Anicie, bo tylko dzięki niej możemy zawrzeć ten układ.

- Dzięki niej? Jak to?

- O rany, bo jest jedyną dziewczyną, która chciałaby wyjść za gołego, brudnego, durnego

dzikusa!

I tak oto wzięli ślub, i Danta, nazywany teraz Przyjacielem Białych Ludzi, zaczął prowadzić osiadły tryb życia, pomagając „Drużynie Huttera” w podboju nowego kraju. W zamian za to zaznajomiono go z cudami cywilizacji. Nauczono go gry w dwunastoosobowego brydża i Tańców Masowych, a wkrótce potem „Drużyna Huttera” wybudowała sobie małe Metro - przecież cywilizowani ludzie muszą mieć jakieś możliwości dawania upustu swoim agresjom. Dancie, rzecz jasna, także wytłumaczono, na czym ta zabawa polega.

Próbował się jakoś zidentyfikować z praktykowanym na Ziemi sposobem spędzania wolnego czasu, ale okazało się to zadaniem przekraczającym możliwości jego barbarzyńskiej duszy. Cywilizacja działała na niego przygnębiająco, toteż, wraz ze swoją żoną, przemierzał olbrzymie przestrzenie planety, zawsze w straży przedniej, zawsze jak najdalej od powabów cywilizowanego świata.

Często odwiedzali go antropolodzy. Rejestrowali pilnie wszystkie historie, jakie opowiadał swoim dzieciom prastare, cudowne nowotahitańskie legendy, pełne mitów o bogach przestworzy i demonach oceanów, o duchach ognia i nimfach z puszczy i lasów, opowieści o tym, jak to Katamandura musiał w ciągu trzech dni stworzyć świat z niczego i jaką otrzymał za to nagrodę, o tym, co Jevasi powiedział Hootmentaliemu, kiedy spotkali się w królestwie podziemi i o przedziwnych następstwach tego spotkania.

Antropolodzy dostrzegli pewne podobieństwo między tymi opowieściami a niektórymi z ziemskich mitów; dało to okazję do wysunięcia wielu ciekawych hipotez. Zainteresowanie naukowców wzbudziły także wielkie, wyrzeźbione w piaskowcu posągi z największej wyspy Nowej Tahiti. Te groźne, ponure postacie były z pewnością dziełem jakiejś prastarej, przed wiekami zaginionej rasy; kto je raz ujrzał, nie mógł już ich zapomnieć.

Jednak dla wszystkich najbardziej pasjonującym problemem była zagadka samych

Nowotahitańczyków. Ci szczęśliwi, uśmiechnięci, miedzianoskórzy barbarzyńcy, wyżsi, silniejsi, przystojniejsi i zdrowsi od wszystkich znanych dotychczas ras, zniknęli wraz z przybyciem białego człowieka. Tylko nieliczni z najstarszych członków „Drużyny Huttera” widzieli ich w większej liczbie, a i tak wiarygodność ich opowieści była przez wielu kwestionowana.

- Moi ludzie? - mawiał Danta, gdy go o to pytano. Cóż, nie potrafili obronić się przed chorobami przyniesionymi przez białych ludzi, nie mogli znieść ich maszynowej cywilizacji, brutalnego i bezwzględnego stylu bycia. Teraz są wszyscy w szczęśliwej krainie Valhoola, skryci za błękitem nieba. Pewnego dnia i ja do nich dołączę.

A biali ludzie, słysząc te słowa, doświadczali dziwnego uczucia winy i podwajali swe wysiłki, by okazać serce Dancie, Ostatniemu Nowotahitańczykowi.

przekład : Arkadiusz Nakoniecznik

Diabelska Maszyna

Wolna konkurencja to rzecz sama w sobie bardzo piękna. Ale oto przypadek zgotował coś jeszcze lepszego: produkcję nieograniczoną i całkowicie bezpłatną.

Richard Gregor siedział w swoim zakurzonym biurze usług higieny międzyplanetarnej. Było już południe, a Arnolda - jego współnika - ani widu, ani słychu. Gregor ślęczał nad niezwykle skomplikowanym pasjansem, gdy usłyszał na schodach hałas. Drzwi biura otworzyły się i ukazała się w nich głowa Arnolda.

- Zachowujesz się jak wielki przedsiębiorca! - zawołał Gregor.

- Dzięki mnie jesteśmy od dzisiaj bogaczami! - zawołał Arnold. Szerokim gestem otworzył drzwi i zawołał w stronę korytarza: - Przynieście to tutaj, chłopcy!

Czterech spoconych mężczyzn wniosło do biura jakąś czarną maszynę wielkości małego słonia. Postawili ją na środku pokoju.

- Oto ona - rzucił Arnold z dumą. Zapłacił tragarzom i założywszy ręce do tyłu, zapatrzył się w

maszynę.

Gregor odsunął od siebie papiery gestem człowieka zmęczonego. Wstał i obszedł dookoła przedmiot.

- Bardzo to interesujące. Ale do czego właściwie służy?

- To jest milion, który nam spada z nieba.

- Oczywiście. Ale co to właściwie jest?

- To jest bezpłatna produkcja - powiedział Arnold. Był uśmiechnięty i dumny z siebie. -

Przechodziłem właśnie obok składów międzyplanetarnych Joego i zauważyłem to na wystawie.

Kupiłem ją za grosze. Joe nawet nie wiedział, co to jest.

- Tak jak ja - rzekł Gregor. - A ty?

Arnold dreptał na czworakach wokół maszyny, usiłując odczytać wygrawerowany na niej jakiś napis. Nie podnosząc oczu zapytał:

- Słyszałeś oczywiście o planecie noszącej nazwę Meldge?

Gregor skinął potakująco głową.

Meldge była to niewielka planeta trzeciego rzędu, nieco na uboczu od uczęszczanych szlaków handlowych. Niegdyś kwitła tam bardzo rozwinięta cywilizacja.

W historii nosiło to nazwę epoki Starej Wiedzy Meldgeskiej. Technika Starej Wiedzy została już dawno zapomniana, ale od czasu do czasu natrafiano na jakieś jej osiągnięcia.

- I to miałby być egzemplarz z epoki Starej Wiedzy? zapytał Gregor.

- Właśnie. Ta maszyna to fabryka, która bezpłatnie produkuje. Myślę, że w całym naszym systemie nie ma więcej niż pięć, sześć takich egzemplarzy. No, a dzisiaj nikt czegoś takiego nie umie zbudować.

- A co właściwie produkuje ta maszyna? - zapytał Gregor.

- Skądże ja mam o tym wiedzieć - powiedział Arnold. - Daj mi, proszę cię, słownik meldgeski.

Nie okazując zniecierpliwienia Gregor podszedł do półki z książkami.

- Nie wiesz nawet, co ona produkuje? Tu masz słownik.

- Dziękuję. Co za różnica? Cokolwiek wytwarza, wytwarza bezpłatnie. Pobiera energię z powietrza, z eteru, ze słońca, zewsząd. Nie ma potrzeby włączać jej do czegokolwiek... Ona po prostu funkcjonuje bez końca.

Arnold otworzył słownik i zabrał się do szukania słów, które wyryte były na maszynie.

- Energia bezpłatna... Wcale nie tacy głupi ci starzy uczeni... Energia pobierana z powietrza...

Zresztą mówię ci, że obojętne, co z tej maszyny wychodzi. Zawsze będziemy mogli ją sprzedać, a to, co w tym czasie wyprodukuje, będzie czystym zyskiem.

Gregor spoglądał na podnieconego współnika okrągłymi oczyma, a jego podłużna smutna twarz była coraz bardziej zachmurzona.

- Mój drogi - rzekł - czy muszę ci przypominać? Jesteś przede wszystkim chemikiem. Ja jestem biologiem. Nie znamy się na maszynach, a jeszcze mniej na maszynach zagranicznych i to tak skomplikowanych.

Arnold skinął tylko głową i nacisnął jakiś guzik. Maszyna wydała głuchy dźwięk.

- Poza tym - dodał Gregor - jesteśmy specjalistami w dziedzinie higieny międzyplanetarnej. I nie widzę powodu, dla którego...

Maszyna zaczęła jakby pokastywać.

- Kapuję - powiedział Arnold. - Tu jest napisane, że maszyna wytwarza bezpłatnie. Stanowi wielki sukces laboratoriów Glatten. Maszyna jest niezawodna. Niełamliwa. Działa bezbłędnie. Nie ma potrzeby włączania jej do jakiegokolwiek źródła energii. Aby ją uruchomić, wystarczy nacisnąć guzik oznaczony cyferką 1. Zatrzymać ją można za pomocą klucza liguryjskiego. Jeśli w czasie pracy wystąpi jakiś błąd, należy zwrócić się do laboratoriów Glatten.

- Może nie dość jasno się wyraziłem - zaczął ponownie Gregor - jesteśmy...

- Nie bądź głupcem - powiedział Arnold. - Puścimy maszynę w ruch i będziemy mogli przestać pracować... A to jest właśnie ten guzik numer 1.

Maszyna znowu wydała jakiś podejrzany dźwięk, który po chwili przekształcił się w regularny turkot. Upłynęło kilka minut, ale nic nie nastąpiło.

- Musi się rozgrzać - powiedział Arnold nieco zaniepokojony.

Nagle z otworu znajdującego się u dołu maszyny zaczął wysypywać się jakiś szary proszek.

- To może być odpad albo osad - mruknął Gregor. Ale przez następne piętnaście minut proszek regularnie wysypywał się z maszyny na podłogę.

- Nadzwyczajne! - krzyknął zachwycony Arnold.

- Co to jest?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Trzeba będzie zrobić analizę.

Z uśmiechem triumfu Arnold nabrał trochę proszku do próbówki. Gregor zaś milcząco wpatrywał się w maszynę wysypującą z siebie szary proszek.

- Czy nie sądzisz - rzekł wreszcie - że byłoby lepiej, gdybyśmy zatrzymali maszynę, dopóki się nie dowiemy, co to jest?

- Z pewnością nie - rzekł Arnold. - Cokolwiek to jest, musi mieć jakąś wielką wartość.

Zapalił palnik Bunsena, wlał do próbówki trochę wody destylowanej i zabrał się do roboty.

W biurze zapanowało milczenie. Trwało kilka godzin. Arnold ciężko pracował. Bez przerwy dorzucał do próbówki preparaty chemiczne, cedził osad i notował wyniki w wielkiej księdze, którą trzymał na biurku.

Gregor przyniósł tymczasem kilka kanapek i kawę. Przyszedł już nieco do siebie i obserwował szary proszek, który maszyna z siebie wypluwała. Jej turkot stawał się głośniejszy, a struga proszku coraz gęstsza. W godzinę po obiedzie Arnold wstał od biurka.

- No, nareszcie skończyłem - rzekł poważnie.

- A więc co to jest? - Gregor zastanawiał się, czy aby Arnold nie dokonał jakiegoś wielkiego odkrycia.

- To jest tangress - rzekł Arnold i spojrzał zaniepokojony na Gregora.

- Tangress?

- Tak jest.

- Może zechciałbyś mi wyjaśnić, co to takiego tangress? - zdenerwował się Gregor.

- Sądziłem, że wiesz. To jest, jak by ci to wyjaśnić, podstawowa potrawa, podstawowy produkt żywnościowy mieszkańców planety Meldge. O ile mnie pamięć nie myli, dorosły Meldgejczyk spożywa kilka ton tangressu rocznie.

- Aha. To jest więc pokarm?

Gregor spojrzał na górę proszku z odcieniem respektu. Maszyna, która wytwarzała produkt żywnościowy dwadzieścia cztery godziny na dwadzieścia cztery - mogła rzeczywiście przynieść zysk. Zwłaszcza że nie trzeba jej było niczym zasilać i nie zużywała żadnej energii.

Arnold otworzył książkę telefoniczną. - Zaraz to sprawdzimy.

Nakręcił jakiś numer.

- Halo? Czy to Instytut Żywienia Międzyplanetarnego? Poproszę do telefonu dyrektora. Nie ma go? To może jego zastępcę? To bardzo ważne... Halo? Ach, to ty, Channels? Dzień dobry. Mam dla ciebie interesującą propozycję. Mogę ci dostarczyć nieograniczone ilości tangressu, podstawowego pokarmu Meldgejczyków. Tak, tak. Domyślam się, że to cię może zainteresować. Dobrze, czekam.

Nie, nie. Nie wyłączam.

Odwrócił się do Gregora.

- Przypuszczam, że będzie mógł to zakupić... Tak, tak. Słucham. Możesz zakupić tangress?

Znakomicie. Świetnie...

Gregor zbliżył się do aparatu, chcąc usłyszeć słowa wypowiedziane na drugim końcu drutu.

Arnold odepchnął go lekko łokciem.

- Cena? A jakie są obecnie ceny na rynku? Pięć dolarów tona? To nie jest wiele, ale ostatecznie...

Co?! Pięć centów! Chyba się śmiejesz?

Gregor odsunął się od telefonu i opadł na fotel. Z obojętnością wysłuchał rozmowy do końca.

- Tak, tak. Nie wiedziałem. Rozumiem. Do widzenia. Arnold odłożył słuchawkę.

- Okazuje się, że popyt na tangress jest u nas niewielki. Na Ziemi mieszka kilkudziesięciu

Meldgejczyków, transport zaś tego produktu jest zupełnie nieopłacalny.

Gregor spojrzał ponownie na maszynę. Odnalazła prawdopodobnie swój normalny rytm, gdyż

tangress wysypywał się z niej jakby pod wielkim ciśnieniem. Obok maszyny rozciągała się

piętnastocentymetrowa warstwa proszku, który pokrył całą prawie podłogę.

- Nic nie szkodzi - rzekł Arnold. - W jakiś sposób uda nam się to sprzedać. To przecież może służyć i do innych celów.

Usiadł przy biurku i ponownie zabrał się do wertowania książek.

- Czy nie należałoby jej jednak zatrzymać? - zaniepokoił się Gregor.

- Oczywiście, że nie - powiedział Arnold stanowczo. - To idzie przecież zupełnie gratis, rozumiesz? Przecież ona sypie nam pieniądze.

Przed maszyną góra proszku osiągnęła wysokość jednego metra. Utonęły w niej pióra i ołówki, rejestr i jeden z regałów. Gregor zadawał sobie pytanie, czy aby podłoga wytrzyma taki ciężar.

- Wreszcie Arnold zamknął swoje książki. Był zmęczony, ale zadowolony.

- To rzeczywiście może służyć do czegoś innego.

- Do czego?

- Tangress może być używany także jako materiał budowlany. Jeśli pozostawi się go na powietrzu przez kilka tygodni, staje się twardy jak granit, rozumiesz?

- Nie wiedziałem o tym.

- Połącz mnie z jakimś przedsiębiorstwem budowlanym. Gregor zadzwonił do przedsiębiorstwa budowlanego Toledo-Mars i poinformował jakiegoś O'Toole'a, że może mu dostarczyć nieograniczonych ilości tangressu.
 - Tangress? - rzekł O'Toole. - Nie jest to nadzwyczajny materiał budowlany. Nie trzyma żadnej farby, rozumie pan?
 - Nie miałem o tym zielonego pojęcia - usprawiedliwił się Gregor.
 - Tak to jest. Poradzę, co pan ma zrobić. Podobno istnieje gdzieś jakaś rasa bałwanów, które odżywiają się tym świństwem. Może by tam spróbować...?
 - Wolałbym to sprzedać jako materiał budowlany.
 - Jak pan chce. Ostatecznie moglibyśmy to kupić. Buduje się jeszcze tu i ówdzie tanie domy mieszkalne. Mogę zapłacić piętnaście za tonę.
 - Dolarów?
 - Nie, centów.
 - To muszę się jeszcze zastanowić - rzekł Gregor. Kiedy Arnold usłyszał tę propozycję, pomyślał chwilę i skinął głową.
 - Zgoda - rzekł. - Powiedzmy, że maszyna wyrobi tego dziesięć ton dziennie. Wypadnie to około pięciuset dolarów rocznie. To nie jest majątek, ale zawsze pozwoli nam to płacić komorne.
 - Ale tego nie można tu w tym stanie zostawić! zawołał Gregor wskazując na maszynę, wypuszczającą z siebie regularnie szary proszek.
 - Oczywiście, że nie. Trzeba będzie wyszukać jakiś ką, gdzieś poza miastem, gdzie to ulokujemy. Kiedy zechcą, będą mogli tam przyjechać i załadować, ile im potrzeba.
- Gregor połączył się ponownie z O'Toole'em i powiedział mu, że gotów jest zrobić z nim interes.
- Dobrze - rzekł O'Toole - znacie nasz adres. Będziecie mogli to dostarczyć, kiedy zechcecie.
 - To my mamy wam dostarczyć? Myślałem, że sami będziecie odbierać...

- Po piętnaście centów za tonę? To my wam wyświadczamy przysługę, że wreszcie będziecie się mogli tego pozbyć.

- Niedobrze - rzekł ponuro Arnold, gdy Gregor odłożył słuchawkę. - Koszty transportu...

- ...przekroczyłyby oczywiście piętnaście centów za tonę - dokończył Gregor. - Najwyższy czas, byś maszynę zatrzymał, dopóki czegoś nie wynajdziemy.

Arnold utorował sobie drogę do maszyny. - Zaraz to zrobię.

Obejrzał dokładnie maszynę ze wszystkich stron.

- Zatrzymajże to! - zawołał Gregor.

- Chwileczkę.

- Zatrzymasz, czy nie?

Arnold pochylił się nad maszyną, następnie wyprostował się i rzekł z wymuszonym uśmiechem.

- To nie jest takie proste...

- A to dlaczego?

- Bo bez klucza liguryjskiego maszyny zatrzymać nie można, a my takiego klucza nie mamy.

Następne kilka godzin spędzili obaj przy telefonie. Dzwonili na wszystkie strony w poszukiwaniu klucza.

Informowali się w muzeach, w laboratoriach naukowych, w instytucie archeologii i wielu innych instytucjach, które mogły im udzielić pomocy. Bezskutecznie. Nikt nigdy na tezy nie widział klucza liguryjskiego i nikt nigdy o nim nie słyszał.

A maszyna ciągle wysypywała z siebie proszek, którego nie moim się było pozbyć. Tangress zasypał już obydwa krzesła, kaloryfer i osiągnął wysokość biurka.

- Co to za wspaniałe źródło dochodu - mruknął Gregor.

- Znajdziemy w końcu jakiś sposób.

- Na pewno?

Arnold zabrał się do studiowania swoich książek i resztę nocy spędził przy biurku. Gregor musiał część proszku przesyłać na korytarz, aby całe umeblowanie nie utonęło w tangressie.

Nastał ranek i promień słońca próbował przedrzeć się przez szybę pokrytą chmurą szarego kurzu.

Arnold wstał od biurka i ziewnął.

- I co nowego? - zapytał Gregor.

- Właściwie nic.

Gregor znowu utorował sobie drogę do drzwi, aby zejść po kawę. Gdy wrócił, zastał w pokoju dozorcę budynku i dwóch potężnych policjantów, którzy wykrzykiwali coś pod adresem nieszczęsnego Arnolda.

- Natychmiast zabierze mi pan to świństwo z korytarza! - krzyczał dozorca

- Oczywiście! I jeszcze zapłaci pan karę za zainstalowanie fabryki w dzielnicy urzędowej. Bez zezwolenia! - dodał owo jeden z policjantów.

- To nie jest fabryka - próbował sprawę wyjaśnić Gregor. - To jest taka maszyna, która produkuje...

- A ja panu mówię, że to jest fabryka - powtórzył policjant. - I pan to natychmiast zatrzyma.

- Niestety, są pewne trudności - powiedział Arnold. - Można by powiedzieć, że nie potrafimy tego zatrzymać...

- Nie potrafi pan tego zatrzymać? - policjant spojrzał na Arnolda podejrzliwie. - Pan się ze mnie śmieje, co? A ja panu mówię, żeby pan to zatrzymał!

- Przysięgam panu, że...

- Słuchaj, chłopie - policjant przeszedł na "ty". Wracam za godzinę. W ciągu tego czasu zatrzymasz mi tę maszynę i usuniesz całe to świństwo. Jeśli nie, to inaczej pogadamy.

Cała trójka z dostojeństwem opuściła pokój. Gregor i Arnold spojrzeli na siebie, a następnie na maszynę. Wyrzucała z siebie regularnie szary proszek, który dochodził już do połowy wysokości

pokoju.

- Do jasnej cholery! - krzyknął Arnold u progu hysterii. - Musi się znaleźć jakiś sposób, aby to upłynnić. Przecież to wszystko bezpłatnie. Przypominam ci, bezpłatnie, bezpłatnie!

- Spokojnie, mój drogi rzekł Gregor drapiąc się w głowę pokrytą szarym proszkiem.

- Czy naprawdę tego nie rozumiesz? Jeśli możesz coś wyprodukować bezpłatnie i to w każdych ilościach, to do czegoś musi to służyć!

Drzwi się nagle otworzyły i do pokoju wszedł wysoki chudy mężczyzna, elegancko ubrany, trzymając w rękach dziwny przedmiot.

- A więc to tu - rzekł.

Gregor powstrzymał oddech w radosnej nadziei.

- To jest klucz liguryjski? - zapytał.

- Co?! To nie żaden klucz - rzekł przybysz. - To jest drenometr.

- Ach, tak...

- Właśnie, i jak widzę, zaprowadził mnie do źródła zaburzeń - rzekł przybysz. - Przepraszam, jeszcze się nie przedstawiłem. Moje nazwisko Canters.

Zamaszystym gestem zmiótł z biurka proszek, spojrzął jeszcze raz na swój drenometr i zabrał się do wypełniania wdrukowanych formularzy.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Arnold.

- Pracuję w Kontynentalnej Centrali Energetycznej rzekł Canters. - To rozpoczęło się wczoraj koło południa. Zauważyliśmy na naszych licznikach, że jakaś potężna siła absorbuje niezwykle potężne ilości energii. Zmusiło to nas do odszukania miejsca, gdzie zaburzenia te powstają...

- I to właśnie tutaj? - zapytał Gregor.

- Z tej właśnie maszyny - rzekł Canters.

Zakończył wypełnianie swoich formularzy, złożył je i schował do teczki.

- Dziękuję panom za pomoc. Oczywiście rachunek wkrótce prześlemy.

Otworzył, nie bez pewnych trudności, drzwi i spojrzał jeszcze raz na maszynę.

- Ona musi wytwarzać coś, co ma wielką wartość rzekł - jeśli tak olbrzymie zużycie energii ma się opłacać. Co to jest? Proszek platynowy?

Uśmiechnął się, skłonił uprzejmie głową i wyszedł. Gregor odwrócił się w stronę Arnolda.

- Bezpłatna energia, co?

- Myślę, że ona wykorzystuje po prostu to źródło, które znajduje się najbliżej.

- Też tak myślę. Ta maszyna czerpie energię z powietrza, ze słońca, z eteru. No i oczywiście z centrali energetycznej, jeśli ta znajduje się w pobliżu.

Tak to wygląda. Ale zasada działania...

- Niech diabli wezmą całą zasadę działania! - krzyknął Gregor. - Nie możemy zatrzymać tej maszyny bez klucza Liguryjskiego, nikt nie ma klucza liguryjskiego, a my zasypani jesteśmy przez ten przeklęty kurz, którego nie możemy się pozbyć. I w dodatku w błyskawicznym tempie zużywamy olbrzymie ilości energii.

- Musi się znaleźć jakieś wyjście - z uporem powtórzył Arnold.

Gregor zaczął zastanawiać się nad losem ich konta bankowego, które gwałtownie malało. Coś niecoś ostatnio zarobili, ale całe ich oszczędności zamieniały się szybko w szary proszek. Nie mógł temu przeciwdziałać. Arnold był od dawna jego współnikiem. Trudno, musi wytrzymać do końca.

Arnold usiadł tam, gdzie powinno było znajdować się biurko, i ukrył twarz w dłoniach. Znowu usłyszeli pukanie do drzwi i jakieś głosy.

- Zasuń zamek - rzekł Arnold.

Gregor spuścił zasuwę. Arnold znowu pograżył się w myślach.

- Nic nie jest stracone - rzekł. - Ta maszyna musi nas wzbogacić.

- Owszem, pozostała nam jeszcze jedna droga - rzekł Gregor. - Trzeba ją usunąć. Wyrzucimy ją

po prostu do morza.

- Nigdy w życiu! Nigdy! A poza tym wymyśliłem! Znalazłem! Trzeba natychmiast ruszyć w drogę.

Następne dni minęły im na gorączkowej działalności. Zaangażowali ludzi, którzy oczyścili dom z tangressu. Potem trzeba było wnieść maszynę, która ciągle pluła proszkiem do ich niewielkiego statku międzyplanetarnego - a to nie było łatwe. Wreszcie wszystko było gotowe. Maszynę umieszczono w zbiorniku, który zresztą szybko wypełnił się tangressem. Wreszcie wyruszyli i wkrótce pojazd ich przekroczył granice systemu słonecznego.

- Wszystko to jest bardzo logiczne - wyjaśnił później Arnold. - Oczywiście, że tangress nie znajduje zbytu na Ziemi. I dlatego nie ma właśnie sensu upłynniać go właśnie , na naszym globie. Natomiast na planecie Meldge...

- Muszę ci powiedzieć, że mimo wszystko nie mam tej pewności - powiedział Gregor.

- To nie może się nie udać. Koszty transportu tangressu na Meldge są zbyt wysokie. Ale można tam zainstalować naszą maszynę. Możemy im dostarczyć każdą ilość tego pokarmu.

- A jeśli ceny i tam są zbyt niskie? - zapytał Gregor. - Nie mogą być. Przecież tangress stanowi tam podstawowy pokarm; to chleb dla Meldgejczyków. Tym razem ta historia musi nam się udać...

Po trzytygodniowej podróży w przestrzeni sygnały na tablicy rozdzielczej zapowiedziały planetę Meldge. Był już najwyższy czas. Zbiornik całkowicie zapełnił się tangressem. Sam zbiornik był wprawdzie dobrze zamknięty, ale produkcja szarego proszku groziła rozsądzeniem całego statku kosmicznego. Codziennie musieli pozbywać się tego produktu; ale taka operacja zajmowała dużo czasu i powodowała stratę ciepła i powietrza.

Wylądowali wreszcie na planecie mając statek kosmiczny wypełniony tangressem, z niewielkimi zapasami tlenu i prawie kompletnie zamarznięci. Natychmiast po wylądowaniu zjawił się na pokładzie celnik o pomarańczowej skórze.

- Witam panów - powiedział. - Rzadko przybywają do nas ostatnimi czasy podróżni. Zamierzają panowie zostać tu długo?

- Prawdopodobnie - rzekł Arnold. - Chcemy tu otworzyć pewne przedsiębiorstwo.

- Doskonały pomysł - powiedział urzędnik. - Nasza planeta potrzebuje trochę świeżej krwi, trochę dynamizmu ziemskiego. Czy wolno zapytać, jakiego rodzaju przedsiębiorstwo zamierzają tu panowie założyć?

- Zamierzamy sprzedawać tangress - wasz podstawowy produkt żywnościowy.

Twarz celnika spochmurniała.

- Co panowie zamierzają sprzedawać?

- Tangress. Mamy maszynę, która produkuje tangress zupełnie bezpłatnie.

Celnik nacisnął guzik na specjalnej tarczy, którą nosił przy sobie.

- Bardzo żałuję, ale muszą panowie natychmiast ruszyć w powrotną drogę.

- Ale my mamy odpowiednie paszporty i przepustki!

- A my mamy nasze prawa. Musicie, panowie, natychmiast stąd wyjechać i zabrać ze sobą swoją maszynę.

- Chwileczkę - rzekł Gregor - głosicie przecież, że panuje u was całkowita wolność w dziedzinie inicjatywy prywatnej.

- Z wyjątkiem produkcji tangressu.

Na zewnątrz pojawiło się prawie dwadzieścia czołgów. Z głuchym szumem otoczyły statek kosmiczny. Celnik wycofał się i zaczął schodzić ze schodów.

- Jeszcze chwilę! - zawołał Gregor z rozpaczą w głosie. - Domyślam się, że obawiacie się z naszej strony jakiejś niełojalnej konkurencji. Wobec tego weźcie sobie tę maszynę. Zostawiamy ją w charakterze prezentu.

- Co takiego?! Nigdy! - zawołał Arnold.

- Tak, tak. Zabierzcie ją. Będziecie mogli dzięki niej nakarmić waszych biedaków. A potem postawcie nam pomnik.

Na zewnątrz czołgi drugim rzędem zaczęły otaczać ich pojazd kosmiczny. Nad nimi pojawiła się eskadra starych samolotów odrzutowych, które powoli osiadły na kosmodromie.

- Wynoście się stąd! - krzyknął celnik. - Czy na prawdę sądzicie, że można sprzedać tangress na naszej planecie? Spójrzcie dookoła!

Rozejrzeli się. Cały kosmodrom pokryty był szarym proszkiem, który unosił się w powietrzu gryzącym kurzem. Stojące opodal budynki były również szare - bez cienia kolorowych tynków. Smutne szare pola rozciągały się hen w dal, aż do podnóża równie szarych wzgórz. Wszystko wokół, jak daleko okiem sięgnąć, było z tangressu.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że planeta jest z...

- Możecie to sobie sami obliczyć - odpowiedział celnik schodząc z drabiny. - To tutaj przecież rozpoczął się okres Starej Wiedzy, a zawsze się znajdzie paru durniów, którzy wszystko chcą sprawdzić i dotknąć...

Na połowie drabinki zatrzymał się, podniósł głowę do góry i dodał:

- Gdybyście jednak, któregoś dnia, odnaleźli klucz liguryjski, możecie wrócić. Postawimy wam wspaniały pomnik.

przekład : A. M.

Duch V

Teraz czyta nasz szyld, powiedział Gregor, stojąc twarzą przyciśniętą do judasza w drzwiach biura,

- Daj mi popatrzeć, poprosił Arnold.

Gregor odepchnął go. Zaraz zapuka. Nie, rozmyślił się. Odchodzi.

Arnold wrócił do biurka i rozłożył karty do pasjansa. Gregor nadal obserwował przez judasza.

Judasza w drzwiach zamontowali po prostu z nudów trzy miesiące po założeniu spółki i wynajęciu biura. Przez cały ten czas interesy AAA Agencji Doskonałej Adaptacji Planet nie szły dobrze - mimo że była na pierwszym miejscu w książce telefonicznej. Adaptacja planet była specjalnością istniejącą od dawna i całkowicie zmonopolizowaną przez dwa duże przedsiębiorstwa. Dla małej, nowej firmy prowadzonej przez dwóch młodych ludzi o wspaniałych pomysłach i z wieloma nie zapłaconymi rachunkami za aparaturę było to zniechęcające.

- Wracaj, - krzyknął Gregor. - Szybko - udawaj zapracowanego i ważnego!

Arnold zgarnął karty do szuflady i ledwie skończył zapinać fartuch, kiedy rozległo się pukanie.

Ich gość był niskim, łysym mężczyzną o zmęczonej twarzy. Spojrzał na nich niepewnie.

- Panowie adaptują planety?

- Tak, proszę pana - powiedział Gregor i odsunawszy stos papierów ścisnął wilgotną dłoń mężczyzny - jestem Richard Gregor. A to mój wspólnik, doktor Frank Arnold .

Arnold wyglądający efektownie w białym fartuchu i okularach w czarnej rogowej oprawce, kiwnął głową w zamyśleniu, nie przerywając baczego przyglądania się starym próbowkom.

- Proszę , niech pan usiądzie, panie...

- Ferngraum

- Panie Ferngraum. Sądzę, że możemy prowadzić każdą sprawę , jaką pan nam zleci - powiedział Gregor zachęcająco. - Kontrolę flory i fauny , oczyszczanie atmosfery i zasobów wody, sterylizację gleby, próby stabilności, kontrole wulkanów i trzęsień ziemi - słowem, wszystko co jest konieczne, by umożliwić zasiedlenie planety.

Ferngraum nadal miał niewyraźną minę.

- Będę z panami szczerzy. Mam problemy z moją planetą.

Gregor kiwnął głową z pewną siebie miną. -Nasza praca polega na rozwiązywaniu problemów.

- Jestem pośrednikiem w handlu nieruchomościami, mówił dalej Ferngraum. -Wie pan jak to jest

- kupuję planety, sprzedaję - jakoś trzeba zarabiać na życie. Zwykle zajmuję się dzikimi planetami i adaptację pozostawiam nabywcom. Ale kilka miesięcy temu trafiła mi się okazja kupienia planety o naprawdę dużej wartości - sprzątnąłem ją sprzed nosa wielkiej spółce handlowej.

Ferngraum z zaskowaniem wytarł czoło.

To jest piękne miejsce - ciągnął dalej bez entuzjazmu - przeciętna temperatura dwadzieścia dwa stopnie. Teren górzysty, ale gleba żyzna. Wodospady, tęcze, wszystkie te cuda. I zupełny brak fauny.

- Brzmi to wspaniale - powiedział Gregor. - A mikroorganizmy?

- Nic, co mogłoby być niebezpieczne.

- O co w takim razie chodzi?

Ferngraum wyglądał na zakłopotanego.

- Może panowie słyszeli o tej planecie. Numer ewidencyjny RJC - 5. Ale wszyscy nazywają ją Duch V.

Gregor uniósł brwi.

- Duch to dość dziwna nazwa dla planety, ale słyszał już dziwniejsze. W końcu trzeba było je jakoś nazywać. W zasięgu lotów kosmicznych znajdowało się tysiące słońc z planetami zamieszkałymi przez ludzi lub nadających się do zasiedlenia. I w cywilizowanych światach było wielu ludzi którzy chcieli założyć kolonie. Sekty religijne, mniejszości polityczne, grupy filozoficzne - czy po prostu pionierzy chcący zacząć wszystko od nowa.

- Nie przypominam sobie, żeby coś o tym słyszał - powiedział Gregor.

Ferngraum poruszył się niespokojnie.

- Powinienem być posłuchać mojej żony. Ale nie - chciałem zostać wielkim przedsiębiorcą.

Zapłaciłem za Ducha V dziesięć razy więcej niż zwykle płace i nabrałem się.

- - Ale w czym tkwi problem? - zapytał Gregor.

- - Wygląda na to, że tam straszny, odpowiedział z rozpaczą w głosie Ferngraum.

Ferngraum zbadał swoją planetę radarami, potem wydzierżawił ją spółce farmerów z Dijon VI.

Ośmioosobowa grupa rozpoznawcza wylądowała na miejscu i nie minął dzień, kiedy zaczęły nadchodzić zniekształcone raporty o demonach, duchach, wampirach, dinozaurach i innych potworach.

Kiedy przybył po nich statek ratunkowy, wszyscy byli martwi. Raport po autopsji stwierdził, że cięcia i rany na ich ciałach mogły być zadane przez wszystko, nawet demony, duchy, wampiry czy dinozaury, jeśli takie istnieją - Ferngraum musiał zapłacić karę za niewłaściwe przygotowanie planu . Farmerzy zrezygnowali z dzierżawy. Ale udało mu się wydzierżawić ją grupie czcicieli słońca z Opalu II.

Czciciele słońca byli ostrożni. Wysłali swój ekwipunek i tylko trzech ludzi na rekonesans. Ludzie ci założyli obóz, rozpakowali rzeczy i ogłosili, że planeta jest rajem. Właśnie przekazywali wiadomość, by grupa przybyła na miejsce, kiedy rozległ się przeraźliwy krzyk i... cisza.

Statek patrolowy poleciał na Ducha V, pogrzebano ciała i opuszczono planetę w ciągu dokładnie pięciu minut.

- I tak to się skończyło - powiedział Ferngraum. - Teraz nikt jej nie chce za żadną cenę. Załogi statków nie chcą na niej lądować: A ja nadal nie wiem co się stało.

Westchnął głęboko i spojrzał na Gregora.

- Jeśli chcecie, możecie się tym zająć

Gregor i Arnold przeprosili go na chwile i wyszli do przedpokoju.

Arnold wydał okrzyk radości: - Mamy robotę!

- Taak - powiedział Gregor, - ale jaką robotę.

- Chcieliśmy coś trudnego, - zwrócił mu uwagę Arnold. „Jeśli nam się uda, zdobędziemy rozgłos

- nie mówiąc już o zyskach.

- Zdaje się, że zapominasz, - powiedział Gregor, - że to ja mam polecić na te planetę. Ty tylko będziesz tu siedział i wyciągał wnioski z przysyłanych przeze mnie danych.

- Tak przecież ustaliliśmy, przypomniał Arnold. - Ja jestem dział naukowy, a ty przeprowadzasz ekspertyzę. Pamiętasz?

Gregor pamiętał. Od najmłodszych lat ciągle pakował się w kłopoty, podczas, gdy Arnold siedział spokojnie i tłumaczył mu dlaczego to robił.

- Nie podoba mi się ta sprawa, - powiedział.

- Chyba nie wierzysz w duchy?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Cóż, z każdą inną zmorą poradzimy sobie. Tylko odważni mogą liczyć na dobry zarobek.

Gregor wzruszył ramionami. Wrócili do Ferngrauma.

W ciągu pół godziny uzgodnili warunki - wysoki procent z przyszłych zysków jeśli robota się uda, pokrycie poniesionych kosztów jeśli się nie uda

Gregor odprowadził Ferngrauma do drzwi.

- Swoją drogą, zapytał, - jak pan do nas trafił?

- Nikt inny nie chciał wziąć tej sprawy, - powiedział Ferngreum, wyraźnie z siebie zadowolony. - Życzę powodzenia.

Trzy dni później Gregor był już w drodze na Ducha V na pokładzie frachtowca kosmicznego.

Czas podróży wykorzystał na dokładne przestudiowanie raportów z dwóch prób kolonizacji i czytanie szeregu prac dotyczących zjawisk nadprzyrodzonych.

Ale to niczego nie wyjaśniało. Na Duchu V nie znaleziono żadnych śladów istnienia zwierząt i nigdzie w Galaktyce nie odkryto dowodów istnienia stworów nadprzyrodzonych.

Gregor zastanawiał się nad tym. Sprawdził swoją broń, gdyż frachtowiec zbliżał się do Ducha V.

Wiózł arsenał wystarczający do prowadzenia i wygrania niewielkiej wojny.

O ile znajdzie się coś do czego będzie można strzelać...

Kapitan frachtowca zniżył statek na odległość kilku tysięcy stóp od pogodnej, zielonej powierzchni planety. Gregor zrzucił swoje rzeczy na spadochronie na miejsce dwóch poprzednich obozowisk, uścisnął reke kapitana i sam również skoczył na spadochronie.

Wylądował bezpiecznie i spojrzał w górę. Frachtowiec gnał w górę jakby goniły go rozwścieczone furie.

Był sam na Duchu V.

Po sprawdzeniu czy aparatura nie uległa uszkodzeniu, nadał Arnoldowi wiadomość, że wylądował bezpiecznie. Potem z miotaczem w ręku, przeprowadził inspekcje obozu czcicieli słońca.

Wybrali sobie miejsce u podnóża gór, nad małym jeziorem o krystalicznie czystej wodzie.

Baraki były w idealnym stanie.

Nie zniszczyły ich wiatry ani burze, bo Duch V obdarzony był wspaniałym klimatem. Stały smutne i opuszczone.

Gregor dokładnie zbadał wnętrze jednego z nich. Ubrania starannie ułożone w pokoikach, obrazy na ścianach, a na jednym oknie wisiała nawet zasłona. W rogu pokoju stało otwarte pudło z zabawkami, przygotowane na przyjazd dzieci.

Pistolet, na wodę, bąk i kulki do gry leżały rozrzucone na podłodze.

Nadchodził wieczór, więc Gregor wniósł swoje rzeczy do jednego z baraków i przygotował się do przetrwania nocy. Podłączył system alarmowy i nastawił go tak, że zareagowałby nawet na karalucha. Włączył radar kontrolujący najbliższe otoczenie. Rozpakował swój arsenał, układając karabiny ciężkiego kalibru w zasięgu ręki. Miotacz ręczny wetknął sobie za pas. Po czym, usatysfakcjonowany, zjadł lekką kolację.

Za oknami wieczór zmienił się w noc. Ciepłą, rozmarzoną krainę ogarnęła ciemność. Lekki

wietrzyk zmarszczył wody jeziora i szeleścił cicho w wysokiej trawie.

Było spokojnie.

Doszedł do wniosku, że koloniści musieli być histerykami. Prawdopodobnie ogarnęła ich panika i pozabijali się nawzajem.

Po sprawdzeniu jeszcze raz systemu alarmowego, Gregor rzucił swoje ubranie na krzesło i wszedł do łóżka. Pokój rozświetlało światło gwiazd, silniejsze niż światło księżyca na Ziemi.

Miotacz był pod poduszką. Wszystko było w porządku.

Właśnie zasypiał, kiedy poczuł że nie jest sam w pokoju.

To nie było możliwe. System alarmowy nie reagował. Radar nadal szemrał spokojnie.

A jednak każdy nerw w jego ciele wył na alarm. Wyciągnął miotacz i rozejrzał się.

W rogu pokoju stał mężczyzna.

Nie było czasu na zastanawianie się jak tu się dostał. Gregor wycelował miotacz i powiedział:

- Dobra, teraz ręce do góry.

Postać nie poruszyła się.

Palec Gregora zacisnął się na cynglu, a potem nagle rozluźnił się. Poznał tego mężczyznę. To było jego własne ubranie, ułożone na krześle, któremu światło gwiazd i jego wyobraźnia nadały kształt człowieka.

Uśmiechnął się i opuścił miotacz. Sterta ubrań poruszyła się. Gregor poczuł wiew powietrza od strony okna i nadal się uśmiechał. Potem sterta ubrań wstała, wyprostowała się i zaczęła iść wyraźnie w jego kierunku .

Znieruchomiały w łóżku; patrzył jak bezcielesne ubranie, przybrawszy ludzką postać, zbliża się do niego.

Kiedy było w połowie pokoju i puste rękawy wyciągnęły się ku niemu, zaczął strzelać.

I strzelał długo, gdyż strzępy i resztki ubrania leciały do niego jakby nagle ożyły. Płonące

kawałki materiału napierały na jego twarz, a pas próbował okręcić się wokół jego nóg. Musiał spalić wszystko na popiół, zanim atak ustał.

Kiedy już było po wszystkim, Gregor zapalił wszystkie światła. Zaparzył kawę i wlał do niej prawie całą butelkę brandy. Z trudem powstrzymał się przed rozwaleniem urządzeń alarmowych na kawałki. Połączył się ze współnikiem.

- To bardzo interesujące, powiedział Arnold, kiedy Gregor opowiedział mu o wydarzeniach. Animacja ! Naprawdę bardzo interesujące.

- Wiedziałem, że cię to rozbawi, - powiedział z goryczą Gregor. Po sporej dawce brandy poczuł się opuszczony i wykorzystywany.

- Czy coś jeszcze się stało?

- Jeszcze nie.

- No tak, uważaj. Mam pewną teorię. Muszę nad nią popracować. A propos, jakiś zwariowany facet stawia pięć do jednego, że ci się nie uda.

- Naprawdę?

- Tak. Założyłem się z nim.

- Postawiłeś na mnie?, - zapytał Gregor

- Oczywiście, - oburzył się Arnold. - Przecież jesteśmy współnikami.

Rozłączyli się i Gregor zaparzył jeszcze jeden dzbanek kawy. Nie miał zamiaru zasypiać tej nocy. Podtrzymywała go na duchu myśl, że Arnold postawił na niego. Ale, w końcu, Arnold zawsze był złym graczem.

Obudził się koło południa, znalazł jakieś ubranie i zabrał się do przeszukiwania obozu czcicieli słońca.

Przed wieczorem znalazł coś. Na ścianie baraku ktoś w pośpiechu wydrapał słowo "TgaskliY" "TgaskliY". Nic mu to nie mówiło, ale natychmiast dał o tym znać Arnoldowi.

Potem przetrząsnął każdy kąt swojego baraku, zapalił światła, sprawdził system alarmowy i naładował miotacz. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Z żalem patrzył na zachodzące słońce mając nadzieję że uda mu się przeżyć do wschodu. Potem usadowił się na wygodnym krześle i próbował wymyślić coś mądrego.

Nie było tu żadnych zwierząt ani wędrujących roślin, żyjących skał ani wielkich mózgów ukrytych w jądrze planety. Duch V nie miał nawet księżyca, na którym ktoś mógłby się schować. Nie mógł uwierzyć w istnienie duchów czy demonów. Wiedział, że zjawiska nadprzyrodzone przestawały być niezwykle, jeśli je się dokładnie zbadało. Duchy nigdy nie chciały stać spokojnie, by jakiś niedowiarek mógł je zbadać - znikwały. Zawsze wtedy, kiedy w zamku pojawiał się naukowiec z kamerami i magnetofonami, upiory wydawały się być na urlopie.

Była jeszcze jedna możliwość. Przypuśćmy, że ktoś chciał mieć te planetę, ale nie za cenę proponowaną przez Ferngrauma. Czy taki ktoś nie mógł ukryć się tu, straszyć osadników, a nawet zabić ich, żeby doprowadzić do opuszczenia ceny?

To brzmiało logicznie. W ten sposób można by wytłumaczyć również zachowanie jego ubrania. Elektryczność statyczna, właściwie użyta...

Coś stało przed nim. System alarmowy, tak jak przedtem, nie zareagował.

Gregor powoli podniósł głowę. To coś naprzeciw niego miało dziesięć stóp wysokości i przypominało postać ludzką, z wyjątkiem krokodylej głowy. Było jasnoczerwone w pionowe, purpurowe pasy. W jednej pazurzastej łapie trzymało dużą, brązową puszkę.

- Cześć, - powiedziało.

- Cześć, - odpowiedział Gregor zdławionym głosem. Jego miotacz leżał na stole dwa metry od niego. Zastanawiał się czy to coś zaatakuje jeśli on sięgnie po broń. - Jak się nazywasz?, - zapytał Gregor spokojnie.

- Jestem Szkartatno-Purpurowy Pożeracz, - odpowiedziało. - Chwytam i pożeram.

- Bardzo ciekawe. - Gregor pomaleńku sięgał po miotacz.

- Chwytam i pożeram rzeczy nazywające się Richard Gregor - pogodnie i szczerze tłumaczył mu

Pożeracz. - I zwykle jem je w czekoladowym sosie.

Pokazał mu puszkę i Gregor przeczytał nalepkę: "Sos Smiga - Wspaniały do polewania

Gregorych, Arnoldów i Flynnów.

Palce Gregora dotknęły kolby miotacza. Zapytał:

- Czy miałeś zamiar mnie pożreć?

- O, tak, - odpowiedział Pożeracz.

Gregor miał już w ręku miotacz. Odbezpieczył go i strzelił. Świetlisty strumień spłynął po

Pożeracz, osmalił podłogę, ściany i brwi Gregora.

- To mnie nie zrani, - wyjaśnił Pożeracz. Jestem za wysoki.

Miotacz wypadł Gregorowi z ręki. Pożeracz pochylił się ku niemu.

- Nie zjem cię teraz, - powiedział.

- Nie? - wykrztusił Gregor.

- Nie. Mogę cię zjeść dopiero jutro, pierwszego maja. Takie są zasady. Przyszedłem prosić cię o przysługę.

- Jaką?

Pożeracz uśmiechnął się czarująco.

- Czy mógłbyś być tak miły i zjeść kilka jabłek? One nadają wspaniały aromat.

I powiedziawszy to pasiasty potwór zniknął.

Drżącymi rękami Gregor włączył nadajnik i opowiedział wszystko Arnoldowi.

- Hmm, - powiedział Arnold. "Szkarłatno-purpurowy Pożeracz", tak? To potwierdza moje przypuszczenia.

- Jakie przypuszczenia? - O czym ty mówisz?

- Po pierwsze zrób to co ci powiem. Muszę się upewnić.

Posłuszny instrukcjom Arnolda, Gregor rozpakował aparaturę do badań chemicznych.

Porozkładał różne probówki, retorty i chemikalia. Mieszał potrząsał, dodawał i odejmował według wskazówek i w końcu podgrzał otrzymaną mieszanę.

- No już, - powiedział podchodząc z powrotem do nadajnika, - wytłumacz mi co się dzieje.

- Posłuchaj. Poszukałem w słowniku słowa "TgaskliY". To po opaliańsku. Oznacza "ducha o wielu zębach". Czyciele słońca byli z Opalu. Czy już coś rozumiesz ?

- Zostali zabici przez rodzimego ducha, odparł burkliwie Gregor - Musiał się ukryć w ich statku.

Pewnie jakaś klątwa...

- Uspokój się, - powiał Arnold. - Duchy nic nie mają z tym wspólnego. Czy roztwór się gotuje?

- Nie

- Powiedz mi jak się zagotuje. A teraz wróćmy do sprawy twojego ożywionego ubrania. Czy to ci czegoś nie przypomina?

Gregor zastanowił się.

- Cóż, kiedy byłem dzieckiem - nie, to bez sensu.

- No powiedz, nalegał Arnold.

- Kiedy byłem mały, nigdy nie zostawiałem ubrania na krześle. W ciemności zawsze wyglądało jak człowiek albo smok czy coś w tym rodzaju. Myślę, że każdemu się to zdarzyło. Ale to nie wyjaśnia...

- Oczywiście, że wyjaśnia! Czy już sobie przypomniałeś Szkartatno-purpurowego Pożeracza?

- Nie. Dlaczego?

- Bo to ty go wymyśliłeś! Pamiętasz? Mieliśmy wtedy po osiem czy dziewięć lat, ty ja i Jimmy Flynn. Wymyśliliśmy najstraszniejszego potwora - to był nasz własny potwór i chciał pożreć tylko albo ciebie, albo mnie, albo Jimmiego - polanych czekoladowym sosem. Ale tylko pierwszego

każdego miesiąca. Żeby się go pozbyć, trzeba było wymówić zaklęcie.

Teraz Gregor przypomniał sobie i dziwił się jak mógł o tym zapomnieć. Ileż to nocy przesiedział skulony, przerażony czekając na Pożeracza?

- Czy roztwór się gotuje?, zapytał Arnold.

- Tak, - odpowiedział Gregor spojrzawszy na próbkę.

- Jakiego jest koloru?

- Taki zielonkawo-niebieski. Bardziej niebieski...

- Prawidłowo. Możesz go już wyłączyć. Muszę jeszcze przeprowadzić kilka prób, ale myślę, że wygraliśmy.

- Co wygraliśmy? Czy możesz mi wytłumaczyć?

- To oczywiste. Na planecie nie ma zwierząt. Duchy nie istnieją, przynajmniej nie takie które mogłyby zabić oddział uzbrojonych mężczyzn. Jedynym rozwiązaniem mogły być halucynacje, więc szukałem czegoś co mogło je powodować. Znalazłem sporo przyczyn. Oprócz narkotyków spotykanych na Ziemi, jest kilkanaście gazów, wywołujących halucynacje, spisanych w Katalogu Obcych Pierwiastków Śladowych. - Mogą powodować depresje, pobudzać - sprawiać, że czujesz się jak glista albo orzeł, albo geniusz. Ten, o który nam chodzi określony jest jako Longstead 42. Jest to ciężki, przezroczysty, bezwonny gaz, który nie uszkadza żadnych tkanek. To jest środek pobudzający wyobraźnię.

- Chcesz przez to powiedzieć że wszystko mi się przywidziało? - Zrozum...

- To nie jest takie proste, - przerwał mu Arnold. - Longstead 42 działa bezpośrednio na podświadomość. Wyzwala, najmocniejsze podświadome lęki, stłumione koszmary z dzieciństwa. Ożywia je. I to właśnie widziałeś.

- Więc tak naprawdę to nic tu nie było?, - zapytał Gregor.

- Nic o realnej, fizycznej postaci. Ale te halucynacje są prawdziwe dla każdego kto je ma.

Gregor sięgnął po następną butelkę brandy. Trzeba było uczcić takie odkrycie.

- Bez trudu poradzimy sobie z Duchem V, - Arnold kontynuował, pewnym siebie głosem. -

Longstead 42 można łatwo wyeliminować. I będziemy bogaci, wspólniku!

Gregor chciał już wznieść toast, kiedy przysłała mu do głowy niepokojąca myśl.

Jeśli to są tylko halucynacje, to co się stało z osadnikami?

Arnold milczał przez chwilę.

- No cóż, - odezwał się - Longstead 42 może powodować instynkt śmierci. Osadnicy musieli zwariować. Pozabijali się nawzajem

- I nikt nie pozostał przy życiu?

- Oczywiście. Ci ostatni popełnili samobójstwo albo zmarli na skutek odniesionych ran. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Zaraz wsiadam na statek i przylecę zrobić te badania. Za dzień lub dwa zabiorę cię stamtąd

Na tym skończyli rozmowę. Tego wieczoru Gregor pozwolił sobie na wypicie reszty brandy.

Uważał, że mu się to należy. Zagadka Ducha V była rozwiązana i wkrótce mieli zostać bogaci.

Wtedy on będzie mógł wynająć człowieka na lądowania na dziwnych planetach, a sam będzie siedział w domu i dawał instrukcje przez radio.

Następnego dnia obudził się na kacu. Statek Arnolda jeszcze nie przybył, więc spakował swoje rzeczy i czekał. Nadszedł wieczór, a statku jeszcze nie było. Usiadł na progu baraku i przyglądał się jaskrawemu zachodowi słońca. Potem wszedł do środka i zrobił kolację.

Sprawa osadników nadal go niepokoiła, ale postanowił nie myśleć o tym. Na pewno istniało jakieś logiczne wytłumaczenie. Po kolacji wyciągnął się na łóżku. Zaledwie zamknął oczy, kiedy usłyszał czyjeś nieśmiałe chrząknięcie.

- Cześć, - powiedział Szkartatno-purpurowy Pożeracz.

Postać z wyobraźni wróciła by go pożreć.

- Cześć, stary, - odpowiedział pogodnie, bez cienia strachu czy niepokoju.

- Czy zjadłeś jabłka?

- Bardzo cie przepraszam. Zapomniałem.

- Trudno. - Pożeracz starał się ukryć rozczarowanie. - Przyniosłem sos czekoladowy. - Pokazał mu puszkę.

Gregor uśmiechnął się.

- Możesz już teraz zniknąć. Wiem, że jesteś tylko wymysłem mojej wyobraźni. Nie możesz zrobić mi nic złego

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział Pożeracz. - Po prostu mam zamiar cię zjeść

Podszedł do Gregora. Gregor stał w miejscu i uśmiechał się, chociaż wolałby, żeby Pożeracz nie wyglądał tak realnie materialnie. Pożeracz pochylił się i spróbował ugryźć go w rękę.

Gregor cofnął się gwałtownie i spojrzał na rękę. Widać było na niej ślady krwi. Z ranek sączyła się krew - prawdziwa jego krew.

Ciała osadników były poszarpane, pogryzione i pocięte.

W tym momencie Gregor przypomniał sobie pokaz hipnotyzera, który kiedyś oglądał.

Hipnotyzer powiedział wtedy swojemu medium, że dotyka jego ramienia zapalonym papierosem.

Dotknął to miejsce długopisem. W ciągu kilku sekund na ramieniu medium pojawił się czerwony ślad i pęcherz, dlatego że uwierzyło w oparzenie.

A więc jeśli w podświadomości człowiek jest przekonany, że nie żyje, to naprawdę staje się martwy!

On nie wierzył w Pożeracza.

Ale jego podświadomość wierzyła.

Rzucił się w kierunku drzwi. Pożeracz zastąpił mu drogę. Schwycił go w łapy i zbliżył uzębiony pysk do jego szyi.

Zakłęcie! Jak to brzmiało?

Gregor krzyknął:

- Alfoisto?!

- To nie to słowo, - powiedział Pożeracz. - Proszę, nie wrywaj się.

- Regnastikio

- Nie. Przestań się wiercić, a będzie po wszystkim zanim...

- Woorspelhappilo!

Pożeracz wrzasnął z bólu i puścił go. Uniósł się do góry i zniknął. Gregor opadł bezwładnie na krzesło. Koniec był tak blisko. Zbyt blisko. Idiotycznie byłoby umrzeć w ten sposób - rozdarty przez swoją własną, pożądającą śmierci wyobraźnię, zabity przez przekonanie. Miał szczęście, że przypomniał sobie to słowo. Gdyby Arnold się pośpieszył...

Usłyszał cichy chichot.

Rozległ się w ciemności za przymkniętymi drzwiami pracowni. Przywołał wspomnienia z dawnych lat. Znów miał dziewięć lat i wrócił Zmrokotwór - jego Zmrokotwór- dziwne, chude, przerażające stworzenie, które kryło się za drzwiami, spało pod łóżkiem i atakowało tylko w ciemności.

- Zgaś światło, - powiedział Zmrokotwór.

- Nie ma mowy, - odpowiedział Gregor, chwytając miotacz. W oświetlonym pokoju był bezpieczny.

- Dobrze ci radzę, zgaś je.

- Nie !

- W porządku. Egan, Megan Deganl

Trzy małe stworzonka wbiegły do pokoju. Rzuciły się na żarówkę i zaczęły ją pożerać z apetytem.

W pokoju zrobiło się ciemniej. Gregor strzelał za każdym razem, kiedy zbliżały się do lampy.

Szkło rozprysło się, ale zwinne stworki za każdym razem zdążyły uskoczyć z drogi.

I wtedy Gregor zdał sobie sprawę z tego co zrobił. Stworki nie mogły naprawdę jeść światła.

Wyobraźnia nie działa na przedmioty martwe. Jemu zdawało się, że w pokoju się ściemnia i...

Rozwalił żarówki ! Niszcząca podświadomość zrobiła mu paskudny kawał.

Teraz Zmrokotwór wtoczył do pokoju. Skacząc od cienia do cienia zbliżył się do Gregora.

Miotacz okazał się bezużyteczny. Gregor gorączkowo próbował wymyślić zaklęcie i z

przerażeniem przypomniał sobie, że na Zmrokotwora nie działało żadne. Cofał się, dopóki nie

dotknął plecami wielkiej skrzyni. Zmrokotwór pochylił się nad nim. Gregor upadł na ziemię i

zamknął oczy.

Jego ręka dotknęła czegoś zimnego. Leżał przy skrzyni z zabawkami dla dzieci osadników.

Przedmiot, którego dotykał to był pistolet na wodę.

Chwycił go i wyciągnął przed siebie. Zmrokotwór cofnął się, patrząc na broń bojaźliwie.

Gregor szybko podbiegł do kranu i napełnił pistolet. Skierował na potwora śmiertelny strumień

wody.

Zmrokotwór zawył i zniknął.

Gregor uśmiechnął się i wcisnął pusty pistolet za pas.

Pistolet na wodę to skuteczna broń przeciwko wymyślonym potworom.

Już świtało kiedy wylądował statek Arnolda. Nie tracąc czasu Arnold zabrał się do

przeprowadzania badań. Skończył koło południa, definitywnie stwierdzając że mają do czynienia z

pierwiastkiem Longstead 42. Spakowali się natychmiast i wystartowali.

Kiedy już byli w przestrzeni, Gregor opowiedział swemu współnikowi o wydarzeniach ostatniej

nocy.

- Przeżyłeś ciężkie chwile, - powiedział Arnold z podziwem .

Teraz, gdy był już w bezpiecznym oddaleniu od Ducha V, Gregor mógł przybrać pozę skromnego bohatera.

- Mogło być gorzej, - powiedział.

- Jak to gorzej?

- Gdyby Jimmy Flynn był tutaj. On to potrafił wymyślać potwory. Pamiętasz Gromostracha?

- Pamiętam jedynie, że przez niego przeżyłem wiele koszmarnych nocy - powiedział Arnold.

Statek sunął w kierunku Ziemi. Arnold napisał parę zdań do artykułu pod tytułem "Instynkt śmierci na Duchu V. Badania Stymulacji Podświadomości, Histerii i Grupowych. Halucynacji wywołujących objawy fizyczne". Potem poszedł do kabiny sterowania by włączyć autopilota.

Gregor wyciągnął się na łóżku, postanowiwszy odbić sobie nie przespane noce na Duchu V.

Ledwie zasnął, kiedy do pokoju wpadł Arnold z twarzą bladą ze strachu.

- Wydaje mi się, że coś jest w kabynie sterowania, - powiedział.

Gregor usiadł.

- To niemożliwe. Jesteśmy daleko od ...

W kabynie sterowania rozległ się cichy pomruk.

- O Boże!, - jęknął Arnold. Milczał przez chwilę w skupieniu. - Wiem. Kiedy wylądowałem, zapomniałem zamknąć dopływ powietrza. Nadal oddychamy powietrzem z Ducha V!

W drzwiach stał wielki szary stwór o skórze pokrytej czerwonymi cętkami. Miał zaskakującą ilość rąk, nóg, macek, szponów i zębów i jeszcze dwa małe skrzydła. Szedł powoli w ich stronę mruczac i stękając.

Poznali go - to był Gromostrach.

Gregor rzucił się do drzwi i zamknął mu je przed nosem.

- Powinniśmy być bezpieczni tutaj, - szepnął oddychając z trudem. - Drzwi są hermetyczne. Ale jak będziemy kierować statkiem?

- Nie będziemy, - odparł Arnold. - Musimy zaufać autopilotowi, chyba że wymyślimy jakiś sposób by pozbyć się tego stwora.

Zauważyli, że nikły dym zaczął przedostawać się przez uszczelnione drzwi.

- Co to? - zapytał drżącym głosem Arnold.

Gregor zmarszczył brwi.

- Zapomnieliśmy, że Gromostrach może wejść do każdego pokoju. Nie ma sposobu na powstrzymanie

- Nic sobie nie mogę przypomnieć, - powiedział Arnold. - Czy on je ludzi?

- Nie. O ile dobrze pamiętam, tylko rozszarpuje na kawałki.

Dym zaczął przybierać formę Gromostracha. Uciekli do następnego pokoju, zamykając szczelnie drzwi za sobą. W ciągu kilku sekund dym znów wślizgnął się za nimi.

- To idiotyczne, - powiedział Arnold przygryzając wargi. - Być ściganym przez wymyślonego potwora - poczekaj ! Masz jeszcze ten pistolet na wodę, prawda?

- Tak, ale...

- Daj mi go !

Arnold podbiegł do zbiornika z wodą i napełnił pistolet. Gromostrach znowu się zmaterializował. Sunął ku nim niezdarnie, stękając z niezadowolenia. Arnold strzelił do niego strumieniem wody.

Gromostrach ciągle się zbliżał.

- Już wiem - powiedział Gregor. - Pistolet na wodę nie zatrzyma Gromostracha.

Wycofali się do następnego pokoju i zatrzasnęli drzwi. Dalej był już tylko magazyn paliwa i śmiertelna próżnia przestrzeni.

- Czy nie możesz zrobić czegoś z powietrzem? -zapytał Gregor.

Arnold pokręcił głową przecząco.

Już się ulatnia. Ale Longstead przestaje działać dopiero po dwudziestu godzinach.

- Nie ma żadnego antidotum?

- Nie.

Gromostrach jeszcze raz się pojawił. Odgłosy, które wydawał, świadczyły, że jest w nie najlepszym nastroju.

- Jak można go zabić?, - zapytał Arnold. - Musi być jakiś sposób. Zakłęcia? A może drewniany miecz?

Gregor pokręcił głową.

- Już sobie wszystko przypomniałem, - powiedział smętnie

- Co go zniszczy !

- Nie zniszczy go ani pistolet na wodę, ani korkowiec ani fajerwerk , kopec, ani proca, ani żadna inna dziecięca broń. Gromostrach jest zupełnie niezniszczalny.

- Ach ten Flynn ze swoją cholerną wyobraźnią! Co nas podkusiło, żeby o nim rozmawiać? Jak w takim razie pozbyć się potwora?

- Mówiłem ci. Nie ma rady. Może odejść tylko z własnej woli.

Gromostrach urósł już do swych normalnych rozmiarów. Arnold i Gregor schronili się w maleńkim magazynie i zatrzasnęli ostatnie drzwi.

- Pomyśl, Gregor - błagał Arnold. - Żadne dziecko nie wymyśla potwora przed którym nie można się jakoś obronić. Pomyśl !

- Gromostracha nie można zabić, - powtórzył Gregor.

Dym znów zaczął przybierać postać cętkowanego potwora. Gregor przypomniał sobie wszystkie nocne koszmary, jakie kiedykolwiek miał. Jako dziecko musiał przecież robić coś, by bronić się przed nieznaną siłą.

- I nagle - w ostatniej chwili - przypomniał sobie.

Sterowany przez autopilota statek mknął ku Ziemi, całkowicie opanowany przez Gromostracha.

Gromostrach wędrował pustymi korytarzami, przenikał przez stalowe ściany do kabin i magazynów, jęcząc, stękając i ciskając gromy, bo nie mógł znaleźć żadnej ofiary.

Statek dotarł do systemu słonecznego i automatycznie wszedł na orbitę Księżyca.

Gregor ostrożnie wychylił głowę, gotowy schować się z powrotem w razie potrzeby. Nie słysząc było groźnego szurania ani jęków, ani stękań. Nie było złowroziej mgły przenikającej przez drzwi i ściany.

- W porządku, - krzyknął do Arnolda. - Gromostrach znikł

Bezpieczni w niezawodnym schronieniu przed koszmarami nocy - zawinięci po czubki głów w koce - teraz mogli już wyjść ze swych kryjówek.

- Mówiłem ci, że pistolet na wodę nic nie pomoże, - powiedział Gregor. Czule pogładził koc. -

Przykrycie kocem głowy to najlepsza obrona.

przekład : Anna Miklińska

Humory

Alistair Crompton był stereotypem i budziło to jego głęboką niechęć. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Czy mu się podobało, czy nie, jego osobowość była monolityczna, pragnienia przewidywalne, a obawy oczywiste dla wszystkich. Co gorsza, jego somatotyp dopasował się do osobowości z nieludzką wręcz perfekcją.

Crompton był średniego wzrostu, rażąco szczupły, miał ostry nos i wąskie wargi. Linia włosów cofała mu się coraz dalej od czoła, nosił wypukłe okulary, jego oczy były szkliste, a zarost rzadki. Wyglądał jak urzędnik. I był urzędnikiem.

Spoglądając na niego każdy mógł powiedzieć, że ten człowiek jest przeciętny, małostkowy, ostrożny, nerwowy, purytański, zawzięty, popędliwy, oględny i tłumiący odruchy. Dickens przedstawiłby go zapewne jako osobnika rozsadanego poczuciem własnej ważności, siedzącego

na wysokim stołku i gryzmołającego w księgach handlowych jakiejś staroświeckiej i szacownej firmy. Lekarz z trzynastego wieku widziałby go jako wcielenie jednego z czterech zasadniczych humorów, które rządzą temperamentem człowieka i których istotę można odnaleźć w podstawowych jakościach: ziemi, powietrzu, ogniu i wodzie. W przypadku Cromptona był to Melancholijny Humor Wody, wywołany przez nadmiar zimnego, ponurego, czarnego rozgoryczenia, wskutek czego miał on skłonności do zachowywania się w sposób opryskliwy i zajmowania się wyłącznie sobą.

Ponadto Crompton był triumfem Lombroseà i Kretschmera, stanowiącą zamkniętą całość ostrzegawczą opowieścią, rzymską przesadą i smutną farsą na temat człowieczeństwa.

Co gorsza, Crompton zdawał sobie sprawę, w pełni i dokładnie, ze swojej cieniutkiej, nieszczęśliwej, przewidywalnej osobowości; zdawał sobie sprawę, był wściekły z tego powodu, a jednocześnie nie mógł nic z tym zrobić, co najwyżej nienawidzić tych mających dobre intencje lekarzy, którzy ją stworzyli.

Wszędzie wokół siebie zazdrosny Crompton widział ludzi, z całą ich cudowną złożonością i sprzecznościami, nieustannie wymykających się poza stereotypy, jakie społeczeństwo usiłowało im narzucić. Zauważał prostytutki, które nie były dobrodusze; sierżantów wojska czujących wstręt do brutalności; bogaczy nigdy nie dających pieniędzy na cele dobroczynne; Irlandczyków nie lubiących się bić; Greków, którzy nigdy nie widzieli okrętu; Francuzów pozbawionych zmysłu logicznego. Większość przedstawicieli rasy ludzkiej zdawała się wieść życie cudownie bogate i nieprzewidywalne, wybuchając nagle pasją lub reagując dziwnym spokojem, mówiąc jedno, a robiąc coś innego, odrzucając swoją przeszłość, pokonując własne ograniczenia, wprawiając w kłopot psychologów i socjologów i wpędzając psychoanalitików w alkoholizm.

Taki splendor był jednak niedostępny Cromptonowi, którego lekarze obdarli ze złożoności dla ratowania jego zdrowia psychicznego.

Crompton, z przekłętą regularnością robota, przez całe życie każdego dnia pracy punktualnie o dziewiątej zasiadał za biurkiem. O piątej starannie odkładał na bok księgi i wracał do wynajętego pokoju. Tam zjadał skromny posiłek, złożony z nieapetycznej zdrowej żywności, układał trzy pasjansy, rozwiązywał jedną krzyżówkę i kładł się spać na wąskim łóżku. W każdy sobotni wieczór oglądał film w kinie, popychany przez wesołych i nieprzewidywalnych nastolatków. Niedziele i dni świąteczne przeznaczał na studiowanie geometrii euklidesowej, ponieważ Crompton wierzył w samodoskonalenie. A raz w miesiącu szedł chyłkiem do kiosku i kupował magazyn pornograficzny. W zaciszu swojego pokoju rozsmakowywał się w jego zawartości, po czym pod wpływem samoobrzydzenia rwał tego obrzydliwego szmatławca na drobne kawałki.

Crompton zdawał sobie, naturalnie, sprawę z tego, że został przekształcony w stereotyp dla własnego dobra. Usiłował nawet przystosować się do tego. Przez jakiś czas utrzymywał kontakty towarzyskie z innymi chudymi jak szczapa, cienkimi na milimetr osobowościami. Ale ci, których spotykał, byli zadowoleni z siebie, samowystarczalni i nie nadający się do życia towarzyskiego z powodu swojej sztywności.

Byli tacy od urodzenia; inaczej niż Crompton, którego lekarze zmienili w wieku lat jedenastu. Wkrótce doszedł więc do wniosku, że podobne do niego osobowości są dla niego nie do zniesienia; a on sam był nie do zniesienia dla wszystkich innych.

Usilnie starał się przełamać dławiące go ograniczenia osobowości. Przez pewien czas myślał o wyemigrowaniu na Wenus lub Marsa, ale nigdy nie podjął kroków, by zrealizować ten pomysł. Zgłosił się do Nowojorskiego Biura Usług Sercowych, które zorganizowało mu randkę. Crompton poszedł na spotkanie ze swoją nieznaną ukochaną przed kinem Loew`'s Jupiter, z goździkiem wpiętym w klapę. Ale o przecnicę przed wyznaczonym miejscem opanował go taki strach, że był zmuszony wrócić do swojego pokoju. Tej nocy wypełnił sześć łamigłówek i ułożył dziewięć pasjansów dla uspokojenia nerwów; ale nawet ta zmiana nie była trwała.

Mimo usilnych prób Crompton nie mógł wyjść poza wąskie ramy swojego charakteru. Jego wściekłość na siebie i na mających dobre intencje lekarzy narastała, a wraz z nią pogłębiała się jego potrzeba transcendencji.

Pozostał mu tylko jeden sposób uzyskania posiadanej przez innych ludzi zdumiewającej różnorodności możliwych zachowań, sprzeczności, namiętności, człowieczeństwa. Crompton pracował więc i czekał, aż wreszcie ukończył trzydzieści pięć lat. Był to minimalny wiek wymagany przez prawo federalne, do uzyskania zgody na reintegrację osobowości.

W dzień po swoich trzydziestych piątych urodzinach Crompton zrezygnował z posady, wyciągnął swoje starannie gromadzone przez siedemnaście lat pracy oszczędności i poszedł na wizytę do swojego lekarza, zdecydowany odzyskać to, czego go niegdyś pozbawiono.

Stary doktor Berrenger zaprowadził Cromptona do gabinetu, w którym udzielał konsultacji, i podsunął mu wygodne krzesło.

- Dawno cię nie widziałem, chłopcze - powiedział. - Jak się masz !

- Okropnie - odparł Crompton.

- A cóż to ci dolega?

- Moja osobowość.

- Och - Doktor byстрыm wzrokiem przyglądał się urzędniczej twarzy Cromptona. - Masz uczucie skrępowania?

- Skrępowania to za mało powiedziane oświadczył stanowczo Crompton. - Jestem maszyna, robotem, zerem...

- Daj spokój - przerwał mu doktor Berrenger. - Na pewno nie jest aż tak źle. Przystosowanie się wymaga czasu...

- Mam już siebie powyżej uszu - oświadczył stanowczo Crompton. - Chcę się zreintegrować.

Doktor patrzył na niego z powątpiewaniem.

- Skończyłem trzydzieści pięć lat - dodał Crompton. - I na mocy ustawy federalnej mam do tego prawo.

- Masz- przyznał doktor Berrenger. - Ale jako twój przyjaciel, a także twój lekarz, Alistairze, z całą mocą odradzałbym ci to.

- Dlaczego?

Stary doktor westchnął i zetknął czubki palców, układając je w kształt wieżyczki.

- Byłoby to dla ciebie niebezpieczne. Niezwykle niebezpieczne. Zapewne wręcz zgubne.

- Ale mam jakąś szansę, prawda?

- Znikomo małą.

- W takim razie żądam należnego mi przywileju reintegracji.

Doktor ponownie westchnął, poszedł do swojej kartoteki i wyjął z niej gruby skoroszyt.

- Cóż - powiedział - przejrzę twój przypadek.

Alistar Crompton, syn Lyle'a i Beth Cromptonów z Amundsenville, urodził się w Marie Byrd Land na Antarktydzie. Ojciec był nadzorcą w kopalniach plutonu Scotta, matka pracowała na pół etatu w małej firmie elektronicznej. Wyniki badań stanu zdrowia psychicznego i fizycznego obojga rodziców były zadowalające. Alistair jako niemowlak przejawiał wszelkie oznaki doskonałej adaptacji postnatalnej.

Przez pierwsze dziewięć lat Alistair wydawał się normalny pod każdym względem, z wyjątkiem pewnej skłonności do markotności, co się jednak często zdarza u dzieci. Poza tym był dociekliwy, agresywny, uczuciowy i beztroski, a pod względem inteligencji znacznie przewyższał poziom przeciętny. W dziesiątym roku życia jego skłonność do melancholii znacząco się nasiliła. Bywały dni, że całymi godzinami siedział na krześle, wpatrując się w coś nieokreślonego. Czasami nie reagował na własne imię.

(Tych "przerw w życiorysie" nie uznano za symptomy choroby. Zlekceważono je, uznając za

stany zadumy dziecka o rozbudzonej wyobraźni, z których powinien wyrosnąć w stosownym wieku).

Z upływem czasu białe plamy w życiu Alistaira stawały się coraz częstsze i intensywniejsze.

Zaczął także miewać napady złego humoru, na które miejscowy lekarz zapisał mu środki uspokajające. Pewnego dnia, w wieku dziesięciu lat i siedmiu miesięcy Alistair uderzył małą dziewczynkę, bez żadnego określonego powodu. Kiedy się rozplakała, zaczął ją dusić. Następnie, doszedłszy do wniosku, że przekracza to jego siły, złapał podręcznik szkolny, z poważnym zamiarem roztrzaskania jej głowy. Ktoś dorosły zdołał odciągnąć kopiącego i wrzeszczącego Alistaira na bok. Dziewczynka miała wstrząs mózgu i blisko rok leczono ją w szpitalu.

Pytany, co się stało, Alistair twierdził, że on tego nie zrobił. Musiał to być ktoś inny. Upierał się, że nie mógłby nikogo skrzywdzić, a już z pewnością nie tę dziewczynkę, którą bardzo lubił. Dalsze wypytywania odniosły jedynie taki skutek, że wpadł w stan otępienia, który trwał pięć dni.

Jeszcze wtedy stadium choroby było na tyle wczesne, by Alistair kwalifikował się do wyleczenia, gdyby rozpoznano u niego objawy schizofrenii wirusowej. Nawet u bardzo młodych pacjentów choroba ta ustępuje dzięki natychmiastowemu leczeniu.

W umiarkowanych strefach klimatycznych schizofrenia wirusowa jest endemiczna od wieków i co pewien czas wybucha w postaci epidemii, tak jak epidemie tańca świętego Wita w średniowieczu. Immunolodzy ciągle jeszcze nie wynaleźli szczepionki na ten wirus. Dlatego też zwykła technika polega na natychmiastowym - póki schizoidalne osobowości są jeszcze podatne - całkowitym rozdzieleniu jaźni, wyszukaniu i zachowaniu dominującej i integracji pozostałych za pomocą projektora Mikkletona w biernej substancji, jaką jest durier.

Ciała durierów wytwarza się sztucznie; mają one trwałość około czterdziestu lat. Oczywiście nie są one zdolne do rozmnażania się. Ale prawo federalne zezwala na reintegrację jaźni w wieku trzydziestu pięciu lat. Osobowości zaszczepione w durierze mogą zatem, za zgodą dominującej,

zostać z powrotem przejęte przez pierwotne ciało i umysł, przy doskonałych rokowaniach co do reintegracji i całkowitej fuzji...

Naturalnie, jeśli rozdzielenie zostało przeprowadzone we właściwym czasie.

Internista w małym, odległym Amundsenville umiał radzić sobie z odmrożeniami, śnieżną ślepotą, rakiem, obsesyjną melancholią i innymi prostymi schorzeniami, typowymi dla

Południowej Strefy Wiecznej Zmarzliny. Nie wiedział natomiast nic o chorobach umiarkowanej strefy klimatycznej.

Alistair został zatrzymany w miejskim szpitalu na dwutygodniową obserwację. Przez pierwszy tydzień był ponury, nieśmiały i nieswój, chwilami wybuchając swoją dawną beztroską. W drugim tygodniu zaczął przejawiać uczucie wyraźnego przywiązania do swojej pielęgniarki, która oświadczyła, że chłopiec zachowuje się idealnie i jest jej ulubieńcem. Pod wpływem jej kojącego, ciepłego stosunku Alistair zaczął zachowywać się tak, jak dawniej.

W trzynastym dniu pobytu w szpitalu Alistair rozciął pielęgniarce twarz kawałkiem szkła ze złamanej szklanki, po czym desperacko usiłował poderżnąć sobie gardło. Został hospitalizowany z powodu obrażeń cielesnych i popadł w stan katalepsji, którą doktor uznał za zwykły szok. Zalecono mu spokój i odpoczynek, co biorąc pod uwagę okoliczności, było terapią najgorszą z możliwych.

Po dwóch tygodniach otępienia, nacechowanego woskową elastycznością katatonii, choroba znalazła się w szczytowym stadium rozwoju. Rodzice oddali Alistaira do wspaniałej kliniki Rivera w Nowym Jorku. Tam jego przypadek został natychmiast prawidłowo rozpoznany jako schizofrenia wirusowa w stadium zaawansowanym.

Alistair, obecnie jedenastoletni, rzadko nawiązywał kontakt ze światem rzeczywistym; zbyt rzadko, by specjaliści mogli to wykorzystać. Był w niemal ciągłym stanie katatonii, jego schizoidalne osobowości nieodwracalnie się utrwaliły, przebywał w swoim własnym, nieosiągalnym świecie mroku, pośród koszmarów, które stały się jego jedynymi towarzyszami. W

tak zaawansowanym stadium szansa na udane przeprowadzenie masowego oddzielenia była niewielka. Bez tego jednak Alistair byłby skazany na spędzenie reszty życia w zakładach, nie odzyskując właściwie świadomości, na zawsze uwięziony w surrealistycznych lochach swojego umysłu.

Jego rodzice wybrali to, co uznali za mniejsze zło, i podpisali dokumenty zezwalające lekarzom na przeprowadzenie spóźnionej i desperackiej próby rozdzielenia.

Alistair został poddany operacji w wieku jedenastu lat i jednego miesiąca. Wprowadzono go w stan głębokiej synthohipnozy i wywołano jego trzy oddzielne osobowości. Doktorzy porozmawiali z nimi i dokonali wyboru. Dwie osobowości zostały przeniesione do ciał durierów. Trzecią, uznaną za najodpowiedniejszą, pozostawiono w ciele oryginalnym. Wszystkie trzy osobowości dobrze zniosły traumę i operację oceniono jako ograniczony sukces.

Prowadzący zabieg neurohipnotyk, dr Vlacjeck, zanotował w sprawozdaniu, że trzy osobowości, wszystkie niepełne, nie powinny żywić nadziei na udaną reintegrację w wieku trzydziestu pięciu lat. Operacja odbyła się zbyt późno i osobowości utraciły istotną zdolność łączenia cech charakterystycznych i sympatii, innymi słowy - swoją zasadniczą wspólnotę. Toteż dr Vlacjeck nalegał, aby zrzekły się prawa do reintegracji i żyły własnym życiem, najlepiej jak potrafią, niezależnie od siebie.

Oba duriery otrzymały imiona i nazwiska, po czym zostały wysłane do rodzin zastępczych, jeden na Marsa, a drugi na Wenus. Lekarze życzyli im wszystkiego najlepszego, ale spodziewali się po nich bardzo mało.

Alistair Crompton, dominująca osobowość w ciele oryginalnym, wyzdrowiał po operacji, ale brakowało mu istotnych dwóch trzecich jego "ja", które odeszły wraz z odszczepionymi osobowościami. Określone atrybuty człowieczeństwa, emocje i możliwości zostały z niego wyeliminowane i nie miał ich już nigdy odzyskać ani zastąpić innymi.

Crompton rósł i rozwijał swoje jedyne, jakie posiadał, cechy indywidualne: poczucie obowiązku, schludność, wytrwałość i rozwagę. Nieunikniony nadmiar tych wartości przemienił go w stereotyp, monolityczną osobowość świadomą swoich braków i namiętnie pragnącą dopełnienia, fuzji, reintegracji...

- A więc tak to właśnie wygląda, Alistairze powiedział dr Berrenger, zamykając skoroszyt. - Dr Vlacjeck z całą mocą odradza reintegrację. I przykro mi to powiedzieć, ale w pełni się z nim zgadzam.

- To moja jedyna szansa - upierał się Crompton.

- To nie jest żadna szansa - odparł dr Berrenger. - Możesz przyjąć osobowości, ale brak ci stabilności, aby utrzymać je pod kontrolą, aby dokonać fuzji. Alistairze, uratowaliśmy cię przed schizofrenią wirusową, ale nadal jesteś podatny na tę chorobę. Spróbuj tylko się zreintegrować, a przekonasz się, że zamierzasz prostą drogą ku schizofrenii funkcjonalnej, i to już na zawsze!

- Innym się udało - nalegał Crompton.

- Oczywiście. Wielu innym. Ale im wszystkim robiono operacje we właściwym czasie, zanim części schizoidalne stwardniały.

- A jednak muszę zaryzykować. Żądam podania mi nazwisk i adresów moich durierów.

- Czy ty słuchasz, co do ciebie mówię? Wszelkie próby reintegracji oznaczają dla ciebie chorobę umysłową albo coś jeszcze gorszego. Jako twój lekarz nie mogę...

- Proszę podać mi adresy - zażądał zimno Crompton. - To mój przywilej z mocy prawa. Czuję się wystarczająco stabilny, aby utrzymać w ryzach pozostałe człony mojej osobowości. A kiedy zostaną odpowiednio podporządkowane, nastąpi ich fuzja. Staniemy się jedną, funkcjonalną całością. I wtedy będę istotą w pełni ludzką.

- Nie wiem, jacy są ci pozostali Cromptonowie - powiedział lekarz. - Uważasz siebie za niewystarczającego? Alistairze, ty jesteś jeszcze najlepszy ze wszystkich!

- Nie obchodzi mnie, jacy oni są. Są częścią mnie. Proszę o nazwiska i adresy.

Kręcąc z niezadowoleniem głową doktor napisał je na kawałku papieru i podał Cromptonowi.

- Alistairze, twój zamiar praktycznie nie ma szansy na powodzenie. Błagam cię, żebyś rozważył...

- Dziękuję, doktorze Berrenger - przerwał mu Crompton, skłonił się lekko i wyszedł.

Natychmiast po wyjściu z biura znikła pewność siebie Cromptona. Nie odważył się ujawnić swojego lęku doktorowi Berrengerowi; ten mający dobre intencje starszy z pewnością odwiódłby go od zamiaru reintegracji. Ale teraz, kiedy miał w kieszeni nazwiska i wiedział, że ponosi pełną odpowiedzialność, Crompton poczuł, jak ogarnia go niepokój. Dostał napadu drżaczki. Udało mu się opanować ją na tyle, by dojechać taksówką do swojego wynajętego pokoju, gdzie mógł rzucić się na łóżko.

Leżał przez godzinę, trzymając się zagłówka jak tonący deski, a jego ciałem targały spazmy niepokoju. Wreszcie napad minął. Wkrótce był w stanie na tyle kontrolować ręce, że mógł popatrzeć na kartkę, którą dał mu doktor.

Pierwsze nazwisko brzmiało: Edgar Loomis, z Elderbergu na Marsie. Drugie - Dan Stack z East Marsh na Wenus. To wszystko, co doktor zapisał.

Jakie były te ucieleśnione części jego osobowości? Jakie nastroje, jakiego kształtu stereotypy przybrały te odcięte od niego segmenty?

Nie było o tym na kartce ani słowa. Będzie musiał sam pojechać i sprawdzić.

Rozłożył pasjansa i rozważał ryzyko. Jego pierwotny, schizoidalny umysł przejawiał wyraźną manię zabójczą. Czy po dokonaniu fuzji byłoby lepiej - zakładając, że fuzja jest możliwa? Czy ma prawo narzucać światu potencjalnego potwora? Czy to mądre z jego strony, że chce zrobić krok, który, jak wie, niesie ze sobą poważną groźbę choroby umysłowej, katatonii, a nawet śmierci?

Myślał o tym do późna w nocy. W końcu jego wrodzona ostrożność wygrała. Złożył starannie kartkę i schował ją do szuflady. Niezależnie od tego, jak bardzo pragnął reintegracji,

niebezpieczeństwo było po prostu zbyt duże. Jego obecna egzystencja wydała mu się korzystniejsza niż szaleństwo.

Następnego dnia wyszedł z domu i znalazł sobie pracę urzędnika w staroświeckiej i szacownej firmie.

Natychmiast jego nawyki zawładnęły nim na nowo. Z nieomylną dokładnością robota każdego ranka punktualnie o dziewiątej zasiadał za biurkiem, a o piątej wychodził i wracał do swojego pokoju, zjadał nieapetyczną, zdrową żywność, układał trzy pasjansy, rozwiązywał krzyżówkę i kładł się spać. Ponownie w sobotnie wieczory szedł do kina, studiował geometrię w niedziele i raz w miesiącu kupował, czytał, a następnie niszczył czasopismo pornograficzne.

Jego niechęć do samego siebie narastała. Zaczął zbierać znaczki pocztowe, ale po krótkim czasie odechciało mu się; wstąpił do Gminnego Klubu Szczęścia, ale wyszedł w trakcie pierwszego, sztywnego i pełnego zakłopotania wieczorku tanecznego; próbował nauczyć się grać w szachy, ale zrezygnował. Nie mógł pozbyć się swoich ograniczeń w ten sposób.

Wokół siebie widział nieskończone bogactwo i różnorodność sprzeczności, będących immanentną cechą ludzi. Miał przed sobą ucztę życia, w której nie mógł uczestniczyć. Nawiedzała go wizja spędzenia kolejnych dwudziestu lat na monotonnym, niczym nie urozmaiconym życiu urzędnika; trzydziestu lat, czterdziestu lat bez żadnej przerwy, bez nadziei, póki śmierć go nie odmieni.

Przez sześć miesięcy Crompton rozmyślał nad tym, po swojemu, metodycznie. W końcu doszedł do wniosku, że woli jednak szaleństwo niż dotychczasową egzystencję.

Zrezygnował więc z pracy i ponownie wyjął z konta starannie gromadzone oszczędności. Tym razem kupił bilet drugiej klasy na Marsa, z zamiarem odszukania Edgara Loomisa z Elderbergu.

Uzbrojony w grubą książkę z krzyżówkami Crompton udał się o wyznaczonej porze do portu kosmicznego Idlewild, dzielnie zniósł lot z przeciążeniem do Stacji Trzeciej, tam przesiadł się na

wahadłowiec kursujący między Lockheed a Lackawanna, którym dostał się do Punktu Wymiany. Skoczkiem przeleciał do Stacji Pierwszej na Marsie, przeszedł przez kontrolę celną, paszportową i zdrowotną, po czym wahadłowcem udał się do Port Newton. Odczekał tam trwający trzy dni okres aklimatyzacyjny, nauczył się używać zamontowanych na brzuchu pomocniczych płuc, ze stoickim spokojem zniósł dodatkowy zastrzyk zwiększający odporność i w końcu otrzymał wizę turystyczną, ważną na obszarze całego Marsa. Uzbrojony w ten dokument pojechał koleją błyskawiczną do Elderbergu, leżącego w pobliżu bieguna południowego na Marsie.

Kolej błyskawiczna pełzła przez płaskie, monotonne równiny Marsa, obok niskich szarych krzaków walczących o życie w zimnym, rozrzedzonym powietrzu, przez bagniste regiony bladozielonej tundry. Przez cały ten czas Crompton rozwiązywał krzyżówki. Na moment przerwał i z zainteresowaniem wyjrzał przez okno, gdy konduktor obwieścił, że przekraczają Wielki Kanał. Było to jednak tylko płytkie zagłębienie, w którym mieściło się łóżysko wyschłej rzeki. Rośliny porastające błotniste dno miały ciemnozielony, niemal czarny kolor. Crompton oderwał wzrok i wrócił do swoich krzyżówek.

Jechali przez Pomarańczową Pustynię i zatrzymywali się na małych stacyjkach, gdzie brodaci, ubrani w kapelusze z szerokim rondem imigranci podjeżdżali po koncentraty witaminowe i zmikrofilmowane egzemplarze . Sunday Timesa. Aż w końcu dotarli do przedmieść Elderbergu. Miasto to spełniało lokalnego ośrodka wszelkiej działalności górniczej i rolniczej na biegunie południowym. Było to również uzdrowisko dla bogaczy, którzy przyjeżdżali tu zażywać kąpieli w Łażniach Długowieczności, jak i dla urozmaicenia sobie życia. Region, podgrzany dzięki aktywności wulkanicznej do dwudziestu stopni Celsjusza, był najcieplejszym miejscem na Marsie. Mieszkańcy zazwyczaj nazywali go Tropikiem.

Crompton zameldował się w małym motelu, poczym przyłączył się do tłumu kolorowo ubranych mężczyzn i kobiet, którzy spacerowali po malowniczych, nieruchomych chodnikach Eldelbergu.

Gapił się, oniemiały, na wystawy sklepów, w których sprzedawano Prawdziwe Okazy Sztuki Wymarłej Rasy Marsjan, zaglądał do kasyn, nowo otwartych koktajlbarów i błyszczących restauracji. Podskoczył jak oparzony, kiedy zagadnęła go wymalowana młoda kobieta, zapraszając do Domu Mamy Teele, gdzie dzięki małej sile ciążenia wszystko co dobre staje się jeszcze lepsze. Odepchnął ją od siebie, i jeszcze kilkanaście takich jak ona, po czym usiadł w parku, aby zebrać myśli.

Wokół niego rozciągał się Elderberg, nasycony uciechami, krzykliwie występny, jak wymalowana Jezabel. Crompton pogardliwie wyduł usta. A jednak mimo iż unikał patrzenia na to wszystko, a jego nozdrza niechętnie wciągały zepsute powietrze tego miasta, gdzieś w głębi niego tliła się tęsknota za ludzkim występkiem, stanowiącym alternatywę dla jego obecnej, bezbarwnej i sterylnej egzystencji.

Ale niestety Elderberg nie był ani trochę skuteczniejszy od Nowego Jorku, jeśli chodzi o skłonienie Cromptona do rozpusty czy uciech. Zapewne Loomis uzupełni brakujący element jego osobowości.

Poszukiwania Loomisa rozpoczął Crompton od hoteli, które ułożył sobie w alfabetycznym porządku. W pierwszych trzech recepcjoniści stwierdzili, że nie mają pojęcia, gdzie przebywa Loomis, a gdyby się przypadkiem znalazł pozostaje do załatwienia drobna sprawa nie zapłaconych rachunków. W czwartym zgłoszono przypuszczenie, że być może przyłączył się do tłumów, które wyruszyły na poszukiwania minerałów na Górze Siodłowej. W piątym hotelu, niedawno otwartym, w ogóle nie słyszano o Loomisie. W szóstym wyzywająco ubrana młoda kobieta roześmiała się, jakby nieco histerycznie, kiedy usłyszała nazwisko Loomisa, ale odmówiła udzielenia jakichkolwiek informacji.

W siódmym hotelu recepcjonista poinformował Cromptona, że Loomis zajmuje apartament numer 314. Wprawdzie nie ma go teraz u siebie, ale zapewne można go zastać w barze Czerwona

Planeta.

Crompton spytał o drogę, po czym z gwałtownie bijącym sercem udał się w stronę starszej części Elderbergu.

Tu hotele były przybrudzone i podniszczone, farba złuszczała się, a na plastik nosił ślady sezonowych burz piaskowych. Sale hazardu tłoczyły się jedna przy drugiej, a z dancingów dobiegał radosny gwar zarówno w południe jak i o północy. To tutaj właśnie turyści przyjeżdżający z wycieczkami krążyli grupkami z kamerami i magnetofonami w poszukiwaniu miejscowego kolorytu, w nadziei, że natkną się z odległości bezpiecznej, umożliwiającej jednak filmowanie na scenki niegodziwej uciechy, które spowodowały nazwanie Elderbergu przez jego gorliwych zwolenników Niniwą Trzech Planet. Były tu także sklepy safari, sprzedające wyposażenie dla turystów, którzy zamierzają opuścić się w głąb słynnych Pieczar Xanadu lub udać się na długą wyprawę pojazdami piaskoodpornymi do Diabelskiego Skrętu. I to tu znajdował się cieszący się złą sławą Sklep Marzeń, handlujący wszelkimi znanymi ludzimi narkotykami, nadal otwarty, mimo licznych prób zamknięcia go podejmowanych przez aparat państwowy. A na chodnikach handlarze sprzedawali kawałki rzeźb, wykonanych rzekomo przez Marsjan w kamieniu, a także wszelkie inne towary, jakich można sobie zażyczyć.

Crompton odnalazł bar Czerwona Planeta, wszedł do środka i przez chwilę czekał, aż źrenice mu się akomodują i zacznie widzieć w gęstej mgłę dymu tytoniowego i haszyszu. Spojrzał na turystów w kolorowych koszulach, stojących przy długim barze, przyjrzał się szybko rozmawiającym między sobą przewodnikom i ponurym górnikom skalnym. Rozejrzał się także po stolikach do gier hazardowych, przy których siedziały szczebioczące kobietki i ich mężczyźni, pyszniący się lekko pomarańczową marsjańską opalenizną, której, jak powiadają, nabywa się dopiero po miesiącu regularnego opalania.

Wtem zobaczył Loomisa.

Siedział przy stoliku do faraona, w towarzystwie okazałej blondynki, która na pierwszy rzut oka miała około trzydziestki, na drugi - około czterdziestki, a po dokładniejszym przyjrzeniu się wyglądała zapewne na jakieś czterdzieści pięć lat. Grała zawzięcie, a Loomis obserwował ją z pełnym rozbawienia uśmiechem.

Był wysoki i smukły. Włosy, mysiego koloru, gładko zaczesane do tyłu, przylegały do wąskiej czaszki. Niezbyt wybredna kobieta mogłaby go uznać za przystojnego.

Nie przypominał Cromptona, ale istniało między nimi pewne pokrewieństwo, wzajemny pociąg, natychmiast wyczuwalne rozpoznanie, które występuje u wszystkich oddzielonych od siebie osobowości. Umysł przemawia do drugiego umysłu, części domagają się scalenia z niemal telepatyczną intensywnością. Loomis, wyczuwając to, uniósł głowę i spojrzał Cromptonowi prosto w oczy.

Crompton ruszył w jego stronę. Loomis szepnął coś blondynce i wstał od stolika. Spotkali się w pół drogi.

- Kim jesteś? - spytał Loomis.

- Alistair Crompton. A ty jesteś Loomis, prawda? Ja posiadam oryginalne ciało i... wiesz, o czym mówię?

- Tak, oczywiście. Myślałem nawet o tym, czy się zjawisz. Hmm. - Obejrzał Cromptona od góry do dołu i nie wydawał się szczególnie zadowolony z tego, co zobaczył.

- No dobra - stwierdził - pójdziemy do mojego apartamentu i pogadamy. Załatwimy to od ręki.

Jeszcze raz spojrzał na Cromptona, z nieukrywaniem niesmakiem, i wyprowadził go z baru.

Apartament Loomisa był ósmym cudem świata. Crompton o finały włos byłby się przewrócił, gdy jego stopy zapadły się w długowłosym, wschodnim dywanie. Złotawe światło było przyciemnione, a na ścianach i suficie wiły się w tańcu cienie, przemieniające się nieustannie i o różnej intensywności. Raz przypominały kształtem tulących się do siebie, przenikających się

wzajemnie ludzi, potem stawały się zwierzętami rozrastającymi się nagle w plamy jakby wyjęte z dziecięcych, koszmarnych snów i nikły na mozaice sufitu. Crompton słyszał wprawdzie o pieśniach cieni, ale nigdy przedtem ich nie widział.

- To taki dość kiepski, krótki utwór, zatytułowany "Zstąpienie do Kartherum" - powiedział Loomis. - Jak ci się to podoba?

- To jest... imponujące - odparł Crompton. - Takie coś trusi być chyba okropnie drogie.

- Nie przeczę - stwierdził beztrósco Loomis. - Dostałem w prezencie. Nie usiądziesz?

Crompton usiadł w głębokim fotelu, który dostosował się natychmiast do jego kształtów i zaczął, bardzo delikatnie masować mu plecy.

- Napijesz się czegoś? - spytał Loomis.

Crompton skinął głową w milczeniu. Dopiero w tej chwili poczuł w powietrzu zapach perfum, złożony i zmieniającą się mieszankę korzennosłodką, z ledwie wyczuwalnym śladem zgnilizny.

- Ten zapach...

- Można się do niego przyzwyczaić po pewnym czasie - powiedział Loomis. - To sonata węchowa, skomponowana jako akompaniament do tej pieśni cieni. Mogę ją wyłączyć.

Zrobił to, ale nastawił coś innego. Crompton usłyszał melodię, która robiła takie wrażenie, jakby wydobywała się z jego własnej głowy. Była spokojna, zmysłowa i nieprawdopodobnie przejmująca. Cromptonowi wydawało się, że już ją kiedyś słyszał, w innym czasie i miejscu.

- Ten utwór nazywa się "Deja Vu". Technika bezpośredniej transmisji auralnej - stwierdził Loomis. - Przyjemny kawałek, prawda?

Crompton zdawał sobie sprawę, że Loomis usiłuje mu zaimponować. I robił to skutecznie.

Podczas gdy Loomis nalewał drinki, Crompton rozglądał się po pokoju, patrzył na rzeźby, draperie, meble, różne bibeloty. Szacował w swoim urzędniczym umyśle ceny, dodawał koszty transportu z Ziemi i podatki, sumował.

Z niejaką trwogą uświadomił sobie, że tylko w tym pokoju Loomis miał dobra warte więcej, niż on sam mógłby zarobić w ciągu trzech i ćwierci swojego urzędniczego życia.

Loomis podał Cromptonowi szklaneczkę z napojem.

- To miód - powiedział. - Bardzo modny w Elderbergu w tym sezonie. Powiedz mi, jak ci smakuje.

Crompton upił mały łyk.

- Doskonały - przyznał. - Myślę, że bardzo drogi.

- Owszem. Ale nie sadzisz, że to co najlepsze, jest zaledwie wystarczające?

Crompton nie odpowiedział. Przyglądał się Loomisowi i dostrzegł oznaki zużywania się duriera.

Uważnie obserwował jego regularne, przystojne rysy, marsjańską opaleniznę, gładkie włosy mysiego koloru, niedbałą elegancję ubioru, słabo widoczne kurze łapki przy oczach, zapadnięte policzki, na których widniały ślady kosmetyków. Obserwował też pełen samozachwytu uśmiech Loomisa, pogardliwy grymas ust, sposób, w jaki jego niespokojne palce gładziły kawałek brokatu, i w jaki jego pewne siebie ciało opierało się na wykwintnym meblu.

Oto miał przed sobą stereotyp zmysłowy; człowieka, który żył wyłącznie po to, by zaznawać przyjemności i lenistwa. Uosobienie Sangwicznego Humoru Ognia, spowodowane nadmiarem gorącej, pełnej temperamentu krwi, wskutek czego człowiek oczekuje od życia wyłącznie radości i zaspokojenia cielesnego. Loomis, podobnie jak i on sam, był więc monolityczną, cienką na centymetr osobowością, której pragnienia są w pełni przewidywalne, a obawy oczywiste dla wszystkich.

W Loomisie skupił się cały potencjał zaznawania przez Cromptona przyjemności, wyrwany z niego i uformowany w samoistny byt. Tak więc Loomis, esencja czystej przyjemności, był niezbędny Cromptonowi, jego umysłowi i ciału.

- Jak zarabiasz na życie? - spytał bezceremonialnie Crompton.

- Świadczyć określone usługi, za które mi płacą - odparł z uśmiechem Loomis.

- Mówiąc wprost - podsumował Crompton - jesteś pijawką i pasożytem. Żyjesz z głupich bogaczy, którzy zjeżdżają do Elderbergu.

- Oczywiście ty widzisz to w ten sposób, mój ciężko pracujący, purytański bracie - odpowiedział Loomis, zapalając papierosa barwy kości słoniowej. - Ale mój punkt widzenia jest nieco odmienny. Rozważ tylko. Wszystko jest teraz nastawione wyłącznie na biednych, jakby niezaradność stała się jakąś szczególną cnotą. A przecież bogacze także mają swoje potrzeby! Są one inne niż te, które mają biedni, ale nie mniej pilne. Biedacy potrzebują żywności, dachu nad głową, opieki lekarskiej. I rządy im tego dostarczają w sposób godny uznania. Ale co z potrzebami bogaczy? Ludzie śmieją się, kiedy im się mówi, że bogacze mają problemy; ale czy sam fakt posiadania bogactwa automatycznie uwalnia człowieka od wszystkich jego problemów? Nie! Wręcz odwrotnie, zasobność materialna zwiększa i zaostrza potrzeby, powodując często, iż człowiek bogaty żyje w większym niedostatku niż jego ubogi brat.

- Czemu, w takim razie, nie zrezygnują ze swojego majątku? - spytał Crompton.

- A dlaczego biedny nie rezygnuje ze swojej nędzy? - odbił piłeczkę Loomis. - Nie, to się nie da zrobić. Musimy godzić się na warunki, jakie narzuca nam życie. Bogacze dźwigają na swych barkach wielki ciężar, a jednak muszą to znosić i szukać pomocy, gdzie tylko mogą.

- Bogaci potrzebują współczucia; a ja odnoszę się do nich z dużą sympatią. Oni potrzebują w swoim otoczeniu ludzi, którzy potrafią autentycznie cieszyć się z luksusów i uczyć ich, jak czerpać z tego przyjemność; sądzę, że tylko nieliczni umieją równie dobrze jak ja cieszyć się komfortem życia bogaczy i w pełni go doceniać. A ich kobiety - mówię ci, Crompton! One mają swoje potrzeby - pałace potrzeby, których ich mężowie często nie są w stanie zaspokoić wskutek napięć i stresów, w jakich żyją. Te kobiety nie mogą przecież powierzyć siebie jakimś gburom z ulicy. Są nerwowe, dobrze wychowane, podejrzliwe i bardzo łatwo ulegające sugestiom. Potrzebują

niuansów i subtelności. Zainteresowania mężczyzny o rozbudzonej wyobraźni, posiadającego niezwykłą wrażliwość. Tacy mężczyźni zdarzają się stanowczo zbyt rzadko na tym banalnym świecie. A tak się złożyło, że ja mam właśnie szczególne talenty w tej dziedzinie. Dlatego wykorzystuję je. I, co oczywiste, oczekuję za to rekompensaty, jak każdy pracujący człowiek. Loomis uśmiechał się, rozparty w fotelu. Crompton wpatrywał się w niego z niejakim przerażeniem. Trudno mu było uwierzyć, że ten sprzedajny, zadowolony z siebie uwodziciel, ta kreatura o mentalności norki, była częścią niego. Ale była, i to częścią niezbędną, aby mogła się dokonać fuzja.

- No cóż - odezwał się po chwili - twoje poglądy są twoją sprawą. Jestem podstawową osobowością Cromptona w ciele oryginalnym. Przyjechałem, żeby dokonać reintegracji.

- Nie jestem zainteresowany - odparł Loomis.

- Czy to ma znaczyć, że nie chcesz?

- Właśnie.

- Nie zdajesz sobie chyba sprawy - mówił Crompton - że jesteś niekompletny, niedokończony.

Musisz przecież czuć ten sam pociąg do samorealizacji co i ja. A to jest możliwe jedynie poprzez reintegrację.

- Szczera prawda.

- A zatem...

- Nie - stwierdził Loomis. - Odczuwam potrzebę uzupełnienia swojej osobowości. Ale znacznie silniejszy pociąg odczuwam do życia dokładnie takiego, jakie wiodę i które uważam za niezwykle satysfakcjonujące. Luksus ma swoją cenę, jak wiesz.

- Chyba zapomniałeś - powiedział Crompton - że istniejesz w ciele duriera, które szacunkowo starcza na czterdzieści lat. Jeśli się nie zreintegrujesz, będziesz miał przed sobą co najwyżej pięć lat życia. Zauważ - najwyżej pięć. Zdarzało się, że ciała durierów rozpadały się i wcześniej.

- To prawda - przyznał Loomis, lekko marszcząc czoło.

- Reintegracja nie jest taka straszna - ciągnął Crompton, mając nadzieję, że mówi przekonująco. - Twój impuls odczuwania przyjemności nie zginie. Będzie tylko w nieco lepszej proporcji do pozostałych składników osobowości.

Loomis myślał intensywnie, paląc papierosa. Wreszcie spojrzał Cromptonowi prosto w oczy.

- Nie - powiedział zdecydowanym głosem.

- A twoja przyszłość...?

- Ja po prostu nic należę do osób, które umieją martwić się o przyszłość - odparł Loomis z rozbijającym uśmiechem. - Zupełnie mi wystarcza życie dniem dzisiejszym, smakowanie każdej chwili. Pięć lat - kto może przewidzieć, co się będzie działo za pięć lat? Pięć lat to cała wieczność! Do tego czasu coś może się zanienić.

Crompton powstrzymał przemożną ochotę wtłoczenia odrobiny rozsądku w Loomisa. To oczywiste, że ten typ zmysłowca żył wyłącznie chwilą obecną i nie zawracał sobie głowy odległą i niepewną przyszłością. Pięć lat to niewyobrażalnie długi okres dla pochłoniętego teraźniejszością Loomisa. Powinien był uświadomić to sobie wcześniej.

- Nic się nie zanieni - powiedział, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie. - Za pięć lat, pięć krótkich lat, umrzesz.

- Z zasady nic martwię się niczym, co ma nastąpić później niż w najbliższy czwartek - stwierdził Loomis, wzruszając ramionami. - Mam pomysł. Wpadnę do ciebie za trzy albo cztery lata i wtedy porozmawiamy.

- Nic z tego - sprzeciwił się Crompton. - Ty będziesz na Marsie, ja na Ziemi, a nasz trzeci komponent na Wenus. Nie uda nam się zejść razem we właściwym czasie. Poza tym ty nawet nie będziesz o tym pamiętał.

- Kto wie, zobaczymy. - Loomis spojrzał na zegarek. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko

temu, spodziewam się wkrótce wizyty kogoś, kto bez wątpienia wolałby...

Crompton wstał.

- Jeśli zmienisz zdanie, znajdziesz mnie w motelu "Błękitny Księżyc". Będę tam jeszcze przez dzień lub dwa.

- Życzę ci miłego pobytu. I koniecznie zobacz Pieczary Xanadu. Wspaniały widok!

Solidnie oszołomiony, Crompton opuścił elegancki apartament Loomisa i wrócił do motelu.

Wieczorem zjadł w barze marsburgera i popił czerwonym mlekiem słodowym. W kiosku z gazetami znalazł książkę z akrostychami. Wrócił do pokoju, rozwiązał trzy łamigłówki i poszedł spać.

Następnego dnia usiłował podjąć decyzję, co robić dalej. Wydawało mu się, że nie ma sposobu na to, żeby przekonać Loomisa. Czy powinien w takim razie jechać na Wenus, odszukać Dana Stacka, tę następną brakującą część jego osobowości? Nie, to byłoby zupełnie bez sensu. Nawet gdyby Stack chciał się zreintegrować, nadal brakowałoby im istotnej jednej trzeciej - Loomisa, tej tak ważnej części, decydującej o korzystaniu z przyjemności. Dwie trzecie pragnęłyby uzupełnienia bardziej niż jedna trzecia i cierpiałyby jeszcze rozpaczliwiej. A Loornis nie da się przekonać.

W tej sytuacji mógł jedynie wrócić na Ziemię, nie zreintegrowany, i przystosować się, na ile to możliwe. Poza wszystkim ciężka, pełna poświęcenia praca też może dawać określoną radość, źródłem przyjemności może być także stabilizacja, rozwaga, pewność. Nie należy gardzić również pomniejszymi cnotami.

Ale było mu trudno przekonać samego siebie. Z ciężkim sercem zadzwonił na stację i zarezerwował miejsce w odjeżdżającym wieczorem błyskawicznym pociągu do Port Newton.

Kiedy pakował się na godzinę przed odjazdem, nagle otworzyły się drzwi od jego pokoju i wszedł Edgar Loornis. Rozejrzał się szybko dokoła, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Zmieniłem zdanie - oświadczył. - Zdecydowałem się na reintegrację.

Pierwsze, gwałtowne uczucie radości Cromptona szybko przemieniło się w podejrzenie.

- Co cię do tego skłoniło? - spytał.

- Czy to naprawdę ma znaczenie? Czy nie możemy...

- Chcę wiedzieć dlaczego.

- To dość trudno wyjaśnić. Widzisz, właśnie miałem...

W tej chwili ktoś zaczął gwałtownie walić w drzwi. Loomis zbladł pod pomarańczową opalenizną.

- Proszę - jęknął.

- Powiedz mi. - Crompton był nieugięty.

Na czole Loomisa pojawiły się kropelki potu.

- To tylko jedna z tych sytuacji - wyjaśnił pośpiesznie. - Czasem mężowie nie doceniają tej odrobiny uwagi, jaką ktoś poświęca ich żonom.

Nawet bogacze bywają czasem szokująco drobnomieszczańscy. Mężowie są jednym z zagrożeń w moim zawodzie. Toteż raz lub dwa razy w roku uważam za właściwe spędzenie krótkich wakacji w umeblowanej jaskini w Diamentowych Górach. Jest tam naprawdę bardzo wygodnie, choć jedzenie, z konieczności, dość niewyszukane. A po kilku tygodniach cała sprawa przycicha.

Ktoś stukał w drzwi coraz głośniej.

- Wiem, że jesteś tu, Loomis! - zawołał jakiś basowy głos. - Wyjdź albo wyrwę te przeklęte drzwi i właduję ci je na ten twój obleśny kark!

Ręce Loomisa drżały w niekontrolowany sposób.

- Strasznie się boję przemocy fizycznej - powiedział. - Czy nie moglibyśmy się zreintegrować i wtedy wyjaśniłbym ci...

- Chcę wiedzieć, czemu tym razem nie pojechałeś do swojej jaskini - domagał się Crompton.

Usłyszeli odgłos ciała, uderzającego z całej siły w drzwi.

- To twoja wina, Crompton - jęknął przejmująco Loomis. - Twój przyjazd wytrącił mnie z równowagi. Straciłem moje doskonałe wycucie sytuacji, mój szósty zmysł, sygnalizujący niebezpieczeństwo. Do licha, Crompton, nie nawiałem na czas. Dałem się złapać na gorącym uczynku. Ledwie uciekłem, a ten fantastycznie muskularny neandertalski idiota, ten nowobogacki, ścigał mnie po całym mieście, przeszukując bary i hotele, grożąc, że połamię mi kończyny. Nie miałem dość dużo gotówki pod ręką, by wynająć piaskoodporny pojazd, a nie zdążyłem zastawić biżuterii. Policjant zaś tylko się uśmiechnął i odmówił mi ochrony! Crompton, proszę!

Drzwi wygięły się od nieustannych uderzeń i zamek zaczął puszczać. Crompton zwrócił się w stronę części swojej osobowości, - zadowolony, że zasadnicza niedoskonałość Loomisa ujawniła się we właściwym momencie.

- Chodź - powiedział. - Zintegrujmy się.

Spojrzeli sobie prosto w oczy, jako części pragnące się połączyć w całość, z intensywnością pozwalającą na pokonanie podziału. Loomis westchnął i jego ciało duriera upadło na ziemię, układając się jak szmaciana lalka. W tym samym momencie Cromptonowi ugięły się kolana, jakby na jego ramionach wylądował jakiś wielki ciężar.

Zamek puścił i otworzyły się drzwi. Niski, mocno zbudowany, czarnowłosy mężczyzna o przekrwionych oczach wpadł do pokoju.

- Gdzie on jest? - wrzasnął.

Crompton wskazał na rozciągnięte na ziemi ciało Loomisa.

- Atak serca - wyjaśnił.

- Och - wyjąkał czarnowłosy mężczyzna, zaskoczony i jeszcze niezupełnie wolny od uczucia wściekłości. - Och, no cóż... och.

- Jestem przekonany, że zasłużył na to - oświadczył zimnym tonem Crompton, wziął walizkę i

wyszedł, śpiesząc się na wieczorny pociąg.

Długa podróż przez równiny Marsa była tym razem bardzo potrzebną chwilą wytchnienia. Dała Cromptonowi i Loomisowi szansę prawdziwego poznania się i uregulowania pewnych podstawowych problemów, z jakimi siłą rzeczy muszą borykać się dwa umysły funkcjonujące w jednej osobie.

Kwestia dominacji nie istniała. Crompton był podstawową osobowością, która przez trzydzieści pięć lat rezydowała w jego ciele. W normalnych okolicznościach Loomis nie mógłby przejąć procesu decyzyjnego i wcale zresztą nie miał na to ochoty. Godnie zaakceptował swoją bierną rolę i z typową dla niego dobrą wolą przyjął status komentatora, doradcy i, ogólnie, sympatyka.

Nie nastąpiła jednak reintegracja. Crompton i Loomis istnieli w jednym umyśle; jak planeta i księżyc, dwie niezależne, ale blisko ze sobą związane istoty, które ostrożnie testują się nawzajem, nie chcąc i nie mogąc zrzec się własnej autonomii. Następowало, oczywiście, w jakimś stopniu przenikanie się wzajemne, ale fuzja tych odrębnych elementów w jedną stabilną całość nie mogła nastąpić, póki nie dołączył do nich trzeci składnik - Dan Stack.

A nawet wtedy, jak przypomniał Crompton optymistycznie nastawionemu Loomisowi, może nie dojść do fuzji. Zakładając, że Stack zechce się przyłączyć (a przecież może nie zechcieć) i tak istnieje niebezpieczeństwo, że trzy schizoidalne części odmówią fuzji lub nie będą mogły jej przeprowadzić; w takiej sytuacji, istniejąc w jednym ciele bez wątpienia popadną w konflikt, który w krótkim czasie doprowadzi ich do choroby umysłowej.

- Po co się martwisz na zapas, stary? - spytał Loomis.

- O to po prostu trzeba się martwić - odparł Crompton. - Nawet jeśli wszyscy trzej się zintegrujemy, nowo powstały umysł może się okazać niestabilny. Mogą przeważać w nim elementy psychotyczne, a wówczas...

- Po prostu będziemy musieli to znosić - stwierdził Loomis. - Dzień po dniu, chwila po chwili.

Crompton przyznał mu rację. Loomis - dobronaszna, pogodna, sybarycka strona jego osobowości - zaczął już wywierać na niego pewien wpływ. Z niejakim wysiłkiem Crompton zmusił się, by przestać o tym myśleć. Chwilę później był już w stanie rozwiązywać łamigłówki. Loomis bawił się tymczasem pierwszymi strofkami villanelli.

Pociąg błyskawiczny dotarł wreszcie do Port Newton i Crompton przesiadł się na wahadłowiec do Stacji Pierwszej. Przeszedł przez kontrolę celną, emigracyjną i zdrowotną, po czym przejechał skoczkiem do Punktu Wymiany. Tam musiał poczekać piętnaście dni na statek udający się na Wenus. Energiczny młody urzędnik w kasie biletowej mówił o problemach z "opozycją" i "orbitami ekonomicznymi", ale ani Crompton, ani Loomis nie zrozumieli, o co mu chodziło. Okres oczekiwania okazał się bardzo korzystny. Loomis zdołał za pośrednictwem Cromptona złożyć wystarczająco podobny do własnego podpis pod listem do przyjaciela w Elderbergu, w którym prosił o spieniężenie majątku, zapłacenie rachunków i przesłanie reszty, po odliczeniu sobie solidnej opłaty za pośrednictwo, jego kuzynowi - Cromptonowi. Jedenastego dnia transakcja została sfinalizowana, dzięki czemu Crompton otrzymał blisko trzy tysiące bardzo mu potrzebnych dolarów.

W końcu statek na Wenus wyruszył. Crompton zasiadł do nauki podstaw yggdra, języka tubylców na Wenus. Loomis, po raz pierwszy w życiu, także usiłował wziąć się do pracy. Odłożywszy na bok swoją villanellę zabrał się za rozgryzanie skomplikowanych zasad yggdra. Wkrótce znudziły go złożone koniugacje i deklinacje, ale starał się, na miarę swoich możliwości, i podziwiał pilnego, wytrwałego Cromptona.

W zamian za to Crompton podjął kilkakrotnie próbę zachwycenia się pięknem. Wspierany i instruowany przez Loomisa chodził na organizowane na statku koncerty, obejrzał obrazy w salonie, a także długo i gorliwie przyglądał się ze stanowiska obserwacyjnego cudownie błyszczącym gwiazdom. Wszystko to wydawało mu się wprawdzie stratą czasu, ale wytrzymał.

Dopiero dziesiątego dnia podróży ich współdziałanie zostało wystawione na poważniejszą próbę.

Stało się to za sprawą żony plantatora z Wenus, którą Crompton spotkał na stanowisku obserwacyjnym. Jej mąż był przedstawicielem drugiego pokolenia osadników na Wenus, a ona sama, po leczeniu gruźlicy na Marsie, wracała właśnie do domu.

Była drobna, pełna życia, z błyszczącymi oczami, smukłą figurą i lśniącymi, czarnymi włosami. I znudzona długą podróżą kosmiczną.

Poszli razem do salonu. Po czterech kieliszkach martini Crompton rozluźnił się i z własnej, nieprzymuszonej woli dopuścił do głosu Loomisa. Ten dwukrotnie zatańczył z nieznaną przy muzyce z gramofonu, po czym wspaniałomyślnie ustąpił pierwszeństwa zdenerwowanemu, splecionemu, płaczącemu krok w tańcu, a jednocześnie niezwykle uradowanemu Cromptonowi. I to Crompton odprowadził ją do stolika, Crompton z nią rozanawiał, Crompton dotknął jej dłoni, a Loomis tylko przyglądał się temu z zadowoleniem.

Około drugiej nad ranem - według czasu obowiązującego na statku - żona plantatora pożegnała się, podając wcześniej w znaczący sposób numer swojego pokoju. Crompton, upojony radością, wrócił tanecznym krokiem na pokład B, do swojej kajuty, i padł na łóżko.

- No i co? - spytał Loomis.

- O co ci chodzi?

- Idziemy. Przecież zupełnie wyraźnie zapraszała.

- Nie było żadnego zaproszenia - odparł zdumiony Crompton.

- Podała numer pokoju - powiedział z naciskiem Loomis. - A to, wzięwszy pod uwagę inne wydarzenia tego wieczoru, stanowi niewątpliwe zaproszenie, niemal nakaz.

- Nie wierzę! - upierał się Crompton.

- Daję ci słowo. Masz pewne, niewielkie doświadczenie w tych sprawach. Było to z całą pewnością zaproszenie. Droga wolna. Ruszaj!

- Nie, nie... - spieszył się Crompton. - Nie mógłbym... to znaczy, ja... ja nie potrafiłbym...

- Brak doświadczenia nie jest żadnym usprawiedliwieniem - stwierdził zdecydowanym tonem

Loomis. - Zresztą w takich sytuacjach niezwykle pomocna jest natura. Pomyśl tylko o bobrach, szopach, wilkach, tygrysach, myszach i innych stworzeniach, które nie mają nawet setnej części twojej inteligencji; a rewelacyjnie radzą sobie z tym, co dla ciebie starowi powód do zakłopotania.

Przecież nie dopuścisz chyba do tego, żeby mysz była lepsza od ciebie!

Crompton wstał, otarł zarumienione czoło, zrobił dwa kroki w stronę drzwi, po czym zawrócił i usiadł na łóżku.

- Wykluczone - oświadczył.

- Ale dlaczego?

- To by było nieetyczne. Ta młoda dama jest mężatką.

- Małżeństwo - tłumaczył cierpliwie Loomis - to instytucja wymyślona przez człowieka. Przedtem istnieli mężczyźni i kobiety, którzy postępowali w określony sposób. Prawa natury zawsze mają pierwszeństwo przed prawodawstwem stworzonym przez ludzi.

- To jest niemoralne - stwierdził Crompton bez szczególnego zapału.

- Ależ wcale nie - zapewnił go Loomis. - Jesteś nieżonaty, a zatem nie możesz w żaden sposób zostać potępiony za tego typu czyn. To młoda dama jest mężatką i odpowiedzialność spadnie na nią. Ale pamiętaj o tym, że ona jest istotą ludzką, mającą prawo decydować o sobie, a nie jedynie własnością męża. Podjęła decyzję i musimy respektować jej prawo do tego; gdybyśmy postąpili inaczej, poczułaby się obrażona. A teraz o mężu. Nie dowie się o tym, a zatem nie będzie się czuł zraniony. Co więcej - zyska, ponieważ żona, aby mu to zrekompensować, będzie dla niego szczególnie miła. Mąż naturalnie uzna, że ona zachowuje się tak, ponieważ on jest wyjątkowo męski, dzięki czemu zostanie podbudowane jego „ja”. Jak więc widzisz, wszyscy zyskają, a nikt nie straci.

- Czysta sofistyka - stwierdził Crompton ponownie wstając i ruszając w stronę drzwi.

- Zuch chłopak - pochwalił go Loomis.

Crompton uśmiechnął się idiotycznie i otworzył drzwi. Ale właśnie wtedy przyszło mu coś do głowy, w związku z czym zatrzasnął drzwi z powrotem i położył się na łóżku.

- Wykluczone - oświadczył.

- O co ci chodzi tym razem?

- Powody, które mi podałeś, może i są rozsądne. Nic wiem, mam za mało doświadczenia, żeby to ocenić. Ale jednego jestem pewien. Nie będę robił nic z tych rzeczy, gdy ty będziesz mnie obserwował.

- Ale... u licha, ja jestem tobą! Ty jesteś mną! Jesteśmy dwiema częściami jednej osobowości!

- Jeszcze nie jesteśmy - odparł Crompton. - Istniejemy na razie jako odrębne części, dwoje ludzi w jednym ciele. Później, po reintegracji... Ale w obecnej sytuacji moje poczucie przyzwoitości nie pozwala pni zrobić tego, co sugerujesz. To jest nie do pomyślenia! I nie życzę sobie dalszej dyskusji na ten temat.

Po czymś takim Loomis wpadł w furję. W sposób nietypowy dla swojej osobowości zaczął wściekać się, krzyczeć, obrzucać Cromptona wyzwiskami, z których najłagodniejszym było "parszywy tchórz". Jego gniew spowodował zamieszanie w umyśle Cromptona i odbijał się echem w całym ich wspólnym organizmie. Linie podziału między dwiema osobowościami pogłębiły się; powstały nowe szczeliny i zrodziła się groźba, że nastąpi między nimi rozłam, izolujący oba umysły w sposób identyczny jak u Jekylla i Hyde'a.

Dominująca osobowość Cromptona zdołała przeprowadzić ich przez tę burzę. Ale w pewnej chwili, pod wpływem wściekłości na Loomisa, jego umysł zaczął produkować antydole. Te nie do końca jeszcze poznane małe byty, jak leukocyty we krwi, miały za zadanie usuwać źródło bólu i izolować jakby murem chore miejsca w umyśle.

Loomis cofnął się, spłoszony, kiedy antydole zaczęły budować wokół niego swój "kordon sanitarny", tłocząc się, zmniejszając jego przestrzeń, wypychając go.

- Crompton! Proszę!

Groziło Loomsowi, że zostanie kompletnie i nieodwracalnie odizolowany, zagubiony na zawsze w jakimś czarnym zakątku umysłu Cromptona. A wraz z nim znikłaby jakakolwiek szansa reintegracji. Ale Cromptonowi udało się odzyskać równowagę na czas. Ustał napływ antydolów, zbudowany przez nie mur rozpułnął się i Loomis, niepewnie, odzyskał swoją pozycję.

Przez pewien czas nie rozmawiali ze sobą. Loomis był w złym humorze i gniewał się przez cały dzień, przysięgając, że nigdy nie wybaczy Cromptonowi jego brutalnego postępu. Ale był przede wszystkim typem zmysłowym, żyjącym daną chwilą, zapominającym o przeszłości i niezdolnym do martwienia się o przyszłość. Jego uraza minęła więc szybko, po czym odzyskał humor i stał się czarujący jak zwykle.

Crompton nie zapominał tak łatwo, ale zdawał sobie sprawę ze swoich obowiązków wynikających z faktu, iż był dominującą osobowością. Starał się podtrzymać współpracę, dzięki czemu obie jaźnie wkrótce znowu odnosiły się do siebie z jak największą sympatią.

Za obustronną zgody unikały towarzystwa młodej damy. Reszta podróży upłynęła im szybko i w końcu dotarli na Wenus.

Wylądowali na Satelicie Numer 3, gdzie przeszli odprawę celną, paszportową i zdrowotną.

Otrzymali szczepionki przeciw pełzającej gorączce, wenusjańskiej pladze, chorobie Knighta i wielkiemu swędzeniu. Dostali też zasyпки, na wypadek gdyby zaatakowała ich zgnilizna bagienna, oraz pastylki zapobiegające sinieniu stóp. W końcu pozwolono im wsiąść do wahadłowca, który dowiózł ich do stacji przeładunkowej w Port New Haarlem.

To miasto, na zachodnim brzegu leniwego Inland Zee, leży w umiarkowanej strefie klimatycznej Wenus. Mimo to było im za gorąco po chłodnym, orzeźwiającym klimacie Marsa. Po raz pierwszy

zobaczyli tu rdzennych mieszkańców Wenus na ulicy, a nie w cyrku. Było ich tu mnóstwo.

Przeważnie mierzą około stu pięćdziesięciu centymetrów, a ich przypominająca pancerz łuskowy skóra świadczy, że jednym z ich protoplastów była jaszczurka. Po chodnikach poruszają się w pozycji pionowej; ale często, aby uniknąć tłoku, przemieszczają się po pionowych ścianach budynków, przyczepiając się ssawkami w kształcie dysków, w które wyposażone są ich dłonie, stopy, kolana i przedramiona.

Wiele budynków w Port New Haarlem jest pokrytych drutem kolczastym dla ochrony okien, ponieważ ci tubylcy, którzy zostali wyrwani ze swoich plemion, cieszą się złą sławą złodziei, a ich jedyny sport to skrytobójstwo.

Crompton spędził cały dzień w znieście, po czym poleciał helikopterem do East Marsh, był to bowiem ostatni znany mu adres Stacka. Lot okazał się monotonnym trzepotaniem i furkotaniem w gęstej ławicy chmur, przesłaniających widok na powierzchnię. Radar buczał przenikliwie, wyszukując przemieszczające się strefy inwersji, w których czasami rodziły się przerażające wenusjańskie tornada, tak zwane zicre. Ale w czasie ich podróży wiatry były łagodne i Crompton przespał większą część drogi.

East Marsh to ruchliwy port nad dopływem Inland Zee. Crompton odnalazł przybranych rodziców Stacka, małżeństwo osiemdziesięciolatków, przejawiających już pewne oznaki starości. Powiedzieli mu, że Dan był dużym, krzepkim chłopakiem, bywało że nieco zbyt gwałtownym, ale zawsze kierującym się dobrymi intencjami. Zapewnili go, że ta afera z córką Morrisonów, to nieprawda. Dan z pewnością został fałszywie oskarżony. Nie mógłby zrobić czegoś takiego biednej, bezbronnej dziewczynie.

- Gdzie mógłbym spotkać Dana? - spytał Crompton.

- Ach - westchnął starzec, mrugając załzawionymi oczami.- To pan nie wie, że Dan stąd odszedł?

Jakieś dziesięć, może nawet piętnaście lat temu.

- East Marsh było dla niego zbyt nudne - stwierdziła staruszka głosem, w którym dało się wyczuć ślad goryczy. - Pożyczył sobie tę odrobinę pieniędzy, które mieliśmy odłożone na czarną godzinę, i odszedł w środku nocy, kiedy spaliśmy.

- Nic chciał nas kłopotać - szybko wyjaśnił staruszek. - Poszedł szukać swojego szczęścia, ten nasz Dan. I nie zdziwiłbym się, gdyby mu się udało. Miał w sobie zawsze zadatki na prawdziwego mężczyznę.

- A dokąd poszedł? - zapytał Crompton.

- Właściwie, to nic umiem powiedzieć- odparł staruszek. - Nie napisał do nas. Nigdy nie lubił trzymać w ręce pióra. Ale Billy Davies widział go w Ou-Barkar, kiedy pojechał tam ciężarówką z ziemniakami.

- A kiedy to było?

- Pięć, może sześć lat temu - powiedziała staruszka. - Wtedy po raz ostatni mieliśmy wiadomość o Danie. Wenus jest duża, proszę pana.

Crompton podziękował. Usiłował odnaleźć Billa Davisa, żeby zdobyć od niego więcej informacji, ale okazało się, że Bill pracował jako trzeci mat na małym frachtowcu. Statek wypłynął miesiąc temu i miał przybijać do wszystkich małych, uśpionych portów na południowym Inland Zee.

- No cóż - stwierdził Crompton. - Nie mamy wyboru. Będziemy musieli jechać do Ou-Barkar.

- Też tak sędzę - zgodził się Loomis. - Chociaż szczerze mówiąc, staruszkę, zaczynam się wahać co do tego Stacka.

- Ja też - przyznał Crompton. - Ale on jest częścią nas i musimy się z nim zreintegrować.

- Pewnie tak - powiedział Loomis. - Prowadź więc, Starszy Bracie.

I Crompton poprowadził. Poleciał helikopterem do Dopotsville, a następnie autobusem udał się do St. Denis. Tam trafiła mu się ciężarówka jadąca przez bagna do Ou-Barkar z ładunkiem

środków owadobójczych. Kierowca był zadowolony, że będzie miał towarzystwo w drodze przez nie zamieszkaną Krainę Moczarów.

W trakcie czternastogodzinnej podróży Crompton dowiedział się dużo ciekawych rzeczy o Wenus. Ten rozległy, ciepły, wilgotny świat stanowi nowe rubieże Ziemi. Mars to martwe kuriozum dla turystów, ale Wenus ma prawdziwie wielki potencjał. Na Wenus przyjechali pionierzy, duchowi, a czasem i autentyczni spadkobiercy amerykańskich osadników, burskich farmerów, mieszkańców izraelskich kibuców i australijskich ranczerów. Uparcie walczyli o skrawki ziemi dla siebie na żyznych stepach, w bogatych w rudy górach i nad brzegami ciepłych mórz. Toczyli boje z tubylcami żyjącymi w epoce kamienia łupanego, pochodzącymi od jaszczurek Aisami. Ich wielkie zwycięstwa pod Satan's Pass, Squareface, Albertsville i Double Tongue oraz ich porażki pod Slow River i Blue Falls weszły już do historii ludzkości i są równie ważne, co bitwy pod Chancellorsville, Little Big Horn i Dien Bien Phu. A walki jeszcze się nie skończyły. Na Wenus, jak mówił kierowca, był do zdobycia jeszcze kawał świata.

Crompton słuchał tego i myślał sobie, że może i miałby ochotę wziąć w tym udział. Natomiast Loomis był szczerze znudzony całą tą gadaniną, a poza tym unoszący się nad bagnami odór budził jego wstręt.

Ou-Barkar było skupiskiem plantacji w głębi Kontynentu Białej Chmury. Piętnastu Ziemian nadzorowało pracę dwóch tysięcy tubylców, którzy sadzili, pielęgowali i zbierali owoce z drzew li, rosnących wyłącznie w tym regionie. Dojrzewające dwa razy w roku owoce li były podstawą przyprawy eli, uważanej na Ziemi za niezbędną w każdej kuchni.

Crompton spotkał się z nadzorcą Haarisem, potężnym, rumianym na twarzy, noszącym na biodrze rewolwer, a wokół talii owinięty bat z czarnej skóry węża.

- Dan Stack? - powtórzył nadzorca. - Jasne, że go znam; pracował tu prawie rok. A potem odjechał, dostawszy zdrowego kopniaka na drogę.

- Czy zechciałby mi pan powiedzieć dlaczego? - spytał Crompton.

- Czemu nie. Chodźmy się czegoś napić, to panu opowiem - odparł Haaris.

Zaprowadził Cromptona do jedyne go baru w Ou-Barkar. Tam, nad szklaneczką miejscowej whisky, mówił o Danie Stacku.

- Przyjechał tu z East Marsh. Zdaje mi się, że miał tam jakieś kłopoty z dziewczyną; wybił jej zęby czy coś w tym rodzaju. Nie moja sprawa. Większość z nas tutaj nie należy do ludzi przesadnie delikatnych i mam wrażenie, że w miastach cholernie się cieszą, że się nas pozbyli. Dałem Stackowi nadzór nad pięćdziesięcioma tubylcami na stuakrowej plantacji drzew li. Na początku pracował cholernie dobrze.

Nadzorca wypił swoją whisky. Crompton zamówił następną i zapłacił.

- Powiedziałem mu - mówił dalej Haaris - że będzie musiał poganiać swoich chłopaków do roboty, aby się nie objali. Pracują tu głównie tubylcy z plemienia Chipetzi, a to banda ponurych zdrajców. Ale krzepcy. Ich wódz wynajmuje nam robotników na dwudziestoletni kontrakt, w zamian za strzelby. Potem usiłują polować na nas z tymi strzelbami, ale to już inny problem. A my nie zajmujemy się więcej niż jedną sprawą na raz.

- Dwudziestoletni kontrakt? - zdziwił się Crompton. - Czyli Aisi są praktycznie niewolnikami?

- Tak - potwierdził zdecydowanym tonem nadzorca. - Niektórzy właściciele plantacji usiłują ubrać to w ładne słówka, nazywając kontraktem tymczasowym czy też feudalną gospodarką okresu przejściowego. Ale to jest po prostu niewolnictwo i czemu nie mielibyśmy nazywać rzeczy po imieniu? To jedyna metoda ucywilizowania tych ludzi. Stack to rozumiał. Był to duży, krzepki facet i miał rękę jakby stworzoną do bata. Sądziłem, że będzie sobie dobrze radził.

- I co? - ponaglał Crompton, zamawiając kolejną szklaneczkę dla nadzorcy.

- Na początku szło mu dobrze - ciągnął Haaris.- Okładał ich swoim czarnym węzem i dusił z nich, ile trzeba, a nawet nieco więcej. Ale nie miał umiaru. Zaczął zabijać swoich chłopaków tym

batem, a nowi robotnicy kosztują. Powiedziałem mu, żeby trochę poluzował. Ale nie zrobił tego. Któregoś dnia jego Chipetzi zaczęli się na niego i musiał ośmiu zastrzelić, żeby się reszta cofnęła. Pogadałem sobie z nim wtedy od serca. Powiedziałem, że ma wyciskać z Aisów robotę, a nie mordować ich. Liczymy się, naturalnie, z tym, że pewien procent Aisów jest na stratę. Ale Stack przekraczał normę, wskutek czego zyski malały.

Nadzorca westchnął i zapalił papierosa.

- Stack po prostu zanadto lubił używać bata. Wielu chłopaków to lubi, ale Stack stracił umiar.

Jego Chipetzi napadli na niego znowu, i tym razem musiał ich zabić kilkunastu. Ale stracił rękę w walce. Tę, w której trzymał bat. Myślę, że Chipetzi mu ją odgryźli.

- Dałem go wtedy do pracy w suszarni, ale znowu doszło do bójki i zabił czterech Aisów. Tego było już za wiele. Ci robotnicy kosztują i nie możemy pozwolić, żeby jakiś w gorącej wodzie kapany wariat zabijał ich za każdym razem, jak go napadnie złość. Wręczyłem mu wtedy pensję i posłałem do diabła.

- Czy powiedział, dokąd zamierzał pójść? - spytał Crompton.

- Powiedział, że my nie rozumiemy, że Aisów trzeba pozabijać, aby zrobić miejsce dla Ziemiaków. I że przyłączy się do Straży Obywatelskiej. To taka wędrująca armia, co kontroluje te plemiona, których jeszcze nie spacyfikowano.

Crompton podziękował nadzorcy i spytał, gdzie obecnie mieszczą się kwatery Straży Obywatelskiej.

- Teraz to mają obóz na lewym brzegu rzeki Rainmaker - oświadczył Haaris. - Usiłują dojść do ładu z Seriidami. Bardzo ci zależy na odnalezieniu Stacka, co?

- To mój brat - odparł Crompton, odczuwając przy tym lekkie mdłości.

Nadzorca przyglądał mu się przez chwilę.

- Ha - rzekł w końcu. - Rodzina to rodzina. Ale twój brat jest chyba najgorszym typem, jakiego

zdarzyło mi się spotkać, a widziałem już różnych. Lepiej zostaw go w spokoju.

- Muszę go odnaleźć - stwierdził Crompton.

Haaris wzruszył ramionami z ponurą miną.

- Do rzeki Rainmaker jest daleko. Mogę ci sprzedać juczne muły i zaopatrzenie, wynajmę ci też dzieciaka tubylców na przewodnika. Będziesz jechał przez tereny spacyfikowane, powinieneś więc dotrzeć bez przeszkód do Straży Obywatelskiej. To znaczy, mam nadzieję, że ten obszar jest nadal spacyfikowany.

Tej nocy Loomis namawiał Cromptona na rezygnację z poszukiwani. Stack to najwyraźniej złodziej i morderca. Jaki sens miałyby włączanie go do ich kombinacji?

Crompton miał wrażenie, że to wcale nie jest takie proste, jakby się wydawało. Po pierwsze, opowiadania o Stacku mogły być przesadzone. Ale nawet jeśli są prawdziwe, wynika z nich tylko tyle, że Stack to kolejny stereotyp, niepełna, monolityczna osobowość, wykraczająca poza granice normy, tak samo jak Crompton i Loomis. W ramach kombinacji, po fuzji, osobowość Stacka zostanie zmodyfikowana. Dostarczy potrzebnej dawki agresji, hardości i umiejętności przetrwania, czego brakuje i Cromptonowi, i Loomisowi.

Loomis miał inne zdanie, ale zgodził się poczekać z wydawaniem osądu do spotkania z tą ich brakująca częścią.

Rankiem Crompton kupił potrzebne wyposażenie i muły, płacąc za wszystko wygórowane ceny, a następnego dnia o świcie wyruszył wraz z Rekkim, młodym chłopakiem z plemienia Chipetzi, który służył mu za przewodnika.

Podążał za swoim przewodnikiem przez dziewicze lasy ku Górcom Thompsona, wspinał się na ostre jak żyłotka zbocza, przechodził przez tonące w chmurach szczyty i wąskie, granitowe przełęcze, w których wiatry wyły jak dusze zmarłych smażone w ogniu piekielnym, wreszcie przedostał się na drugą stronę i zszedł ku gęstej, parującej dżungli. Loomis, przerażony tą trudną

wędrówką, skulił się w kącie umysłu Cromptona i wyzierał z niego jedynie wieczorami, kiedy zapalono już ognisko i powieszono hamak. Crompton, z zaciśniętymi zębami i przekrwionymi oczami, brnął przez upalne dni, dźwigając na sobie cały emocjonalny ciężar tej wyprawy i zastanawiając się, na jak długo starczy mu sił.

Osiemnastego dnia dotarł i do brzegu płytkiego, błotnistej strumienia. Była to, jak stwierdził Rekki, rzeka Rainmaker. Przeszedłszy jeszcze trzy kilometry trafili na obóz Straży Obywatelskiej. Dowódca, pułkownik Prentice, był wysoki, szczupły, szarooki. Widać było po nim, że niedawno chorował na wyniszczającą gorączkę. Bardzo dobrze pamiętał Stacka.

- Tak, był u nas przez jakiś czas. Nie miałem pewności, czy należało go przyjmować. Przede wszystkim ze względu na jego reputację. A poza tym jednoręki... Ale tak wyćwiczył lewą rękę, że strzelał lepiej niż większość z nas prawą, a na kikucie miał protezę z brązu. Sam ją sobie zrobił i miała taki kształt, żeby mógł trzymać maczetę. Nie brak mu fantazji, mówię wam. Był z nami prawie dwa lata. A potem wyrzuciłem go ze służby.

- Dlaczego? - spytał Crompton.

Dowódca westchnął ciężko.

- Wbrew powszechnej opinii Straż Obywatelska nie jest bandą rozbójników. Nie jesteśmy tu po to, aby dziesiątkować i wybijać tubylców. Ani po to, by pod jakimś błahym pretekstem anektować nowe tereny. Naszym zadaniem jest kontrola przestrzegania układów zawartych w dobrej wierze przez Aisów z osadnikami, zapobieganie wzajemnym atakom na siebie Aisów i Ziemiaków, czyli, najogólniej mówiąc, utrzymywanie pokoju. Stackowi ogromnie trudno było wbić to sobie do jego pustej głowy.

Przez twarz Cromptona najwidoczniej przemknął wyraz zrozumienia, dowódca pokiwał bowiem głową ze współczuciem.

- Wie pan, jaki on jest, prawda? Może pan sobie zatem wyobrazić, co się zdarzyło. Nie chciałem

go tracić. Był wytrzymałym i zdolnym żołnierzem, dobrze radzącym sobie w lasach i na terenach górskich, czującym się w dżungli jak w domu. Patrole graniczne są rozrzucone pod dużym terenie i potrzebujemy każdego, kogo tylko możemy dostać. Stack był wartościowy. Poleciałem sierżantowi, żeby go krótko trzymał i nie dopuszczał do brutalnego traktowania tubylców. Przez jakiś czas wszystko się układało dobrze. Stack bardzo się starał. Uczył się naszych zasad, kodeksu, sposobów działania. Miał nieskazitelne konto. A potem nastąpił ten incydent na Shadow Peak, o którym musiał pan zapewne słyszeć.

- Niestety, nie - powiedział Crompton.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że wszyscy na Wenus o nim słyszeli. No cóż, wyglądało to tak. Patrol Stacka okrążył niemal setkę Aisów z wyjątego spod prawa plemienia, z którym mieliśmy trochę kłopotów. Poprowadził ich do specjalnego rezerwatu na Shadow Peak. W drodze doszło do drobnych nieporozumień, jakiejś szarpaniny. Jeden z Aisów miał nóż i zaciął Stacka w nadgarstek. Zapewne wskutek utraty jednej ręki tak bardzo się przestraszył, że mógłby utracić i drugą. Rana od noża Aisa była niewielka, ale Stack wpadł w szał. Zabił tego tubylca serią z karabinu, a potem zaczął strzelać do pozostałych. Porucznik musiał go znokautować, nie było innego sposobu, żeby go uspokoić. Szkody, jakie wyrządził ten incydent w stosunkach Ziemiaków z Aisami, są niewyobrażalne. Jak mogłem mieć w swojej jednostce kogoś takiego? On powinien się leczyć u psychiatry. Toteż go zwolniłem.

- A gdzie jest teraz? - spytał Crompton.

- Czemu tak pana interesuje ten człowiek? - Pytanie dowódcy zabrzmiało dość szorstko.

- Jest moim przyrodnym bratem.

- Rozumiem. Cóż, słyszałem, że powędrował do Port New Haarlem, gdzie przez jakiś czas pracował w dokach. Skumał się z niejakim Bartonem Fiochem. Obaj siedzieli za pijaństwo i zakłócanie porządku, a kiedy wyszli z więzienia, wrócili na pogranicze Krainy Białej Chmury.

Teraz Stack do spółki z Fiochem mają małą faktorię koło Blood Delta.

Crompton potarł czoło znużonym gestem.

- Jak się tam dostać? - spytał.

- Czólnem - odparł dowódca. - Musi pan popłynąć w dół rzeki Rainmaker aż do rozwidlenia.

Lewa odnoga to rzeka Blood. Jest żeglowna do samej Blood Delta. Ale odradzałbym panu tę wyprawę. Po pierwsze, jest bardzo ryzykowna. A poza tym bez sensu. Nic pan nie pomoże Stackowi. To urodzony morderca. Lepiej go zostawić w spokoju w tym przygranicznym miasteczku, gdzie nie może wyrządzić żadnej większej szkody.

- Muszę do niego pojechać - stwierdził Crompton, czując, jak mu nagle zaschło w gardle.

- Prawo tego nie zabrania - oświadczył dowódca głosem sugerującym, że uważa, iż wypełnił swój obowiązek.

Crompton odkrył, że Blood Delta była najdalszym przyczółkiem człowieka na Wenus. Leżała na terenach wrogich sobie plemion Grel i Tengtzi, z którymi utrzymywano kruchy pokój, ignorując toczącą się nieustannie wojnę partyzancką. W krainie Delty znajdowały się ogromne bogactwa, które można było eksploatować. Tubylcy przynosili diamenty i rubiny wielkości pięści, worki najcenniejszych przypraw, a także, czasami, jakiś przypadkowy flet lub rzeźbę z zaginionego miasta Alteirne. Wymieniali te rzeczy na strzelby i amunicję, których następnie ochoczo używali przeciw handlarzom i współplemieńcom. W krainie Delty można było znaleźć bogactwo, ale i nagłą śmierć, a także śmierć powolną, bolesną, przewlekłą. Rzeka Blood, która wiła się spokojnie w samym sercu krainy Delty, niosła własne szczególne zagrożenia, które przeważnie pochłaniały pięćdziesiąt procent żeglujących nią podróżnych.

Crompton świadomie nie słuchał własnego głosu rozsądku. Część jego osobowości, Stack, była już niemal w zasięgu ręki. Już był tylko o krok od osiągnięcia celu, zdecydowany ten krok zrobić. Kupił więc czólno i najął czterech tubylców na wioślarzy, zgromadził zaopatrzenie w żywność,

strzelby, amunicję i przygotował wszystko tak, by o świcie wyruszyć.

Ale w nocy przed planowanym wyjazdem Loomis zbuntował się.

Byli w małym namiocie, który dowódca kazał rozbić dla Cromptona w pobliżu obozu. Siedząc przy lampie naftowej Crompton ładował właśnie naboje do pasa, koncentrując całą uwagę na tym zajęciu.

- Posłuchaj - odezwał się nagle Loomis. - Uznałem cię za dominującą osobowość. Nigdy nie próbowałem przejąć kontroli nad ciałem. Byłem w dobrym nastroju i podtrzymywałem twój dobry nastrój, kiedy maszerowaliśmy przez pół Wenus. - Było tak?

- Owszem odparł Crompton, niechętnie odkładając pas na bok.

- Robiłem, co mogłem, ale tego już za wiele. Chcę reintegracji, ale nie z maniakałnym zabójcą. I nie opowiadaj mi o monolitycznych osobowościach. Stack jest mordercą i nic chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Jest częścią nas.

- I co z tego? Posłuchaj sam siebie, Crompton! Miałeś podobno być tą częścią, która najpewniej chodzi nogami po ziemi. A ty jesteś zupełnie obłąkany i chcesz wysłać nas na pewną śmierć w tej rzece.

- Zobaczysz, że uda nam się dopłynąć - stwierdził bez przekonania Crompton.

- Tak sądzisz? Czyś ty słuchał tych opowieści o rzece Blood? A nawet jeśli dopłyniemy, co znajdziemy w Delcie? Maniakałnego zabójcę! On nas przecież porąbie na kawałki!

Crompton nie mógł znaleźć przekonującej odpowiedzi. Im dłużej trwały ich poszukiwania, tym bardziej ogarniało go przerażenie, gdy poznawał coraz to nowe cechy osobowości Stacka, a jednocześnie coraz bardziej pragnął go odnaleźć. Loomis nigdy nie żył oczekiwaniem na reintegrację; zgodził się na nią, żeby uniknąć problemów zewnętrznych, a nic z wewnętrznej potrzeby. A Crompton przez całe swoje życie odczuwał przymus zaspokojenia swojego pragnienia

uczłowieczenia się, uzupełnienia, przemiany. Bez Stacka fuzja nie mogła nastąpić. A z nim istniała przynajmniej szansa, nieważne jak mała.

- Pojedziemy - oświadczył.

- Alistair, proszę! Ty i ja godzimy się zupełnie dobrze. Możemy doskonale istnieć bez Stacka.

Wróćmy na Marsa lub na Ziemię.

Crompton pokręcił przecząco głową. Odczuwał już teraz głębokie, nie do pogodzenia różnice między sobą a Loomisem. Wyczuwał, że przyjdzie chwila, kiedy te różnice ujawnią się na całej linii i będą musieli żyć bez reintegracji, każdy osobnym życiem w jednym ciele.

A to znaczyłoby szaleństwo.

- Nie zrezygnujesz? - spytał Loomis.

- Nie.

- W takim razie przejmuję kontrolę!

Osobowość Loomisa przypuściła niespodziewany atak i przejęła częściową władzę nad funkcjami motorycznymi ciała. Crompton przez moment znieruchomiał ze zdumienia. Następnie, czując jak wymyka mu się kontrola, odważnie zwarł się z Loomisem i rozgorzała walka.

Była to cicha wojna, toczona w świetle kopczącej lampki naftowej, coraz słabszym w miarę zbliżania się świtu. Polem bitewnym był umysł Cromptona; stawką - jego ciało, które leżało na łóżku polowym, wstrząsane dreszczami, ze zroszonym od potu czołem, nie widzącymi oczami utkwionymi w jeden punkt i pulsującym rytmicznie nerwem na skroni.

Crompton był dominującą osobowością, ale osłabił go konflikt i poczucie winy, a krępowały skrupuły. Loomisowi, słabszemu ale pozbawionemu wątpliwości, pewnemu swojej racji, zaangażowanemu w walce całym sobą, udało się przejąć główne funkcje motoryczne i zahamować napływ antydoli.

Przez kilka godzin te dwie osobowości toczyły bój, a rozgorączkowane ciało Cromptona

pojękiwało i wiło się na łóżku z bólu. W końcu, o bladym świetle Loomis zaczął zwyciężać.

Crompton zebrał siły do ostatecznej próby, ale nie mógł przełamać własnych oporów przed jej podjęciem. Ciało Cromptona i tak było już przegrzane walką; jeszcze trochę i mogło się okazać, że żadna z osobowości nie miałaby się gdzie podziać.

Loomis, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów, które mogłyby go powstrzymać, nadal nacierał, przejął najważniejsze synapsy i zawładnął wszystkimi funkcjami motorycznymi.

Przed wschodem słońca Loomis zwyciężył.

Niepewnie wstał. Potarł zarost na brodzie, rozmasował zdrętwiałe koniuszki palców i rozejrzał się wokół. Teraz było to już jego ciało. Po raz pierwszy od opuszczenia Marsa widział i czuł bezpośrednio; przedtem wszystkie zmysłowe informacje docierały do niego przefiltrowane, retransmitowane przez osobowość Cromptona. Jak miło było oddychać stojącym powietrzem, czuć na sobie ubranie, być głodnym, żyć! Wrócił z szarego świata cieni na ziemię promieniejącą kolorami. Cudownie! Chciał, żeby wszystko pozostało tak, jak w tej chwili.

Biedny Crompton...

- Nie martw się, stary - odezwał się. - Wiesz, że robię to i dla twojego dobra.

Crompton nie odpowiedział.

- Wrócimy na Marsa - ciągnął Loomis. - Do Elderbergu. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Crompton nie chciał, albo nie mógł odpowiedzieć. Loomis zaczął być trochę niespokojny.

- Jesteś tam, Crompton? Nic ci się nie stało?

Żadnej odpowiedzi.

Loomis zmarszczył się, po czym pośpiesznie ruszył w stronę namiotu dowódcy.

- Zmieniłem zdanie - oświadczył pułkownikowi. - Nie będę szukał Dana Stacka. On chyba faktycznie jest zbyt szalony.

- Sądzę, że podjął pan słuszną decyzję.

- Tak więc chciałbym jak najszybciej wrócić na Marsa.

Dowódca kiwnął potakująco głową.

- Wszystkie statki kosmiczne odlatują z Port New Haarlem, z którego pan tu przybył.

- A jak mam tam wrócić?

- Hm... To dość skomplikowane. Chyba mógłbym dać panu tubylca za przewodnika. Będzie pan musiał przedostać się z powrotem przez Góry Thompsona do Ou-Barkar. Proponowałbym panu tym razem trasę przez Dolinę Desset, ponieważ przez centralne puszcze tropikalne przechodzi teraz horda Kmikti, a z tymi diabłami wcielonymi nigdy nic nie wiadomo. Dotrze pan do Ou-Barkar w porze deszczowej, ciężarówki dostawcze nie będą więc przejeżdżać tamtędy do Depotsville. Być może uda się panu przyłączyć do karawany solnej idącej skrótem przez przełęcz Knife, jeśli będzie pan tam na czas. Jeśli nie, to droga jest stosunkowo łatwa do odnalezienia za pomocą kompasu, pod warunkiem, że uwzględni pan strefy zmienności magnetycznych. Kiedy dotrze pan do Depotsville, pora deszczowa zacznie się już na dobre. To zresztą wspaniały widok. Pewnie będzie pan mógł polecieć helikopterem do New St. Denis, a potem następnym do East Marsh, chociaż wątpię ze względu na zicre. Wiatry tej mocy potrafią silnie uszkodzić samolot. Może więc raczej powinien pan popłynąć łodzią z wiosłarzami do East Marski, a stamtąd frachtowcem po Inland Zee do Port New Haarlem. Wydaje mi się, że wzdłuż południowego brzegu jest kilka portów awaryjnych, na wypadek gdyby wiały zbyt silne huragany i pogoda stała się wyjątkowo niekorzystna. Ja sam wolę podróżować lądem lub w powietrzu. Ale wybór trasy, oczywiście, należy do pana.

- Dziękuję - odparł słabym głosem Loomis.

- Proszę mi dać znać, kiedy już podejmie pan decyzję.

Loomis podziękował i wrócił do namiotu mocno zdenerwowany. Rozmyślał o drodze powrotnej przez góry i bagna, przez prymitywne osady, obok przemierzających się hord. Wyobrażał sobie utrudnienia spowodowane przez deszcze i zicre. Nigdy przedtem jego bujna wyobraźnia nie

pracowała równie intensywnie, przywołując wizje przerażającej drogi powrotnej.

Wystarczająco trudno było dostać się tutaj, a powrót zapowiadał się jeszcze gorzej. Ponadto tym razem jego zmysłowej duszy estety nie będzie chronił cierpliwy, wytrzymały Crompton. Sam będzie musiał znosić uderzenia wiatru, deszcz, głód, pragnienie, wyczerpanie i strach. On będzie musiał jeść niewyszukaną żywność i popijać ją ohydną wodą. I to on będzie musiał pokonywać skomplikowaną drogę, której Crompton z takim trudem się nauczył, a którą on sarn zignorował. Cała odpowiedzialność spadnie na niego. To on będzie musiał wybierać szlak i podejmować decyzje w krytycznych chwilach, dla ratowania Cromptona i siebie samego.

Ale czy on potrafi? Przecież jest mieszczuchem, stworzeniem społecznym. Jego życiowymi problemami były dotychczas osobliwości i zachowania ludzi, a nie wybryki i żywioły natury.

Unikał jak mógł otwartego i nieprzychylnego świata słońca i nieba, żyjąc w korytarzach i zaułkach mrowiska w całości stworzonego przez człowieka. Oddzielony od środowiska naturalnego chodnikami, drzwiami, oknami i stropami, zwątpił w potęgę tego gigantycznego młyna, jakim była natura, o której autorzy starszego pokolenia pisali z takim zaangażowaniem i która dostarczała tak wspaniałych pomysłów do poematów i pieśni. Natura, jak wydawało się Loomisowi opalającemu się w czasie łagodnych letnich dni na Marsie lub sennie przysłuchującemu się wyciu wiatru za szybą w czasie nocnych burz, była zdecydowanie przeceniana.

Ale teraz, pełen strachu, miał poruszać tryby tego młyna.

Loomis pomyślał o tym i nagle stanął mu przed oczami obraz jego śmierci. Wyobraził sobie siebie samego, w chwili gdy wyczerpie się jego energia i będzie leżał, szarpany przez wiatr, na jakiejś przełęczy lub siedział ze zwieszoną głową w strugach deszczu, gdzieś na moczarach.

Usiłowałby iść dalej, starając się odnaleźć w sobie siły, o których powiada się, że tkwią w człowieku pomimo ogromnego zmęczenia. Ale nie udałooby mu się ich znaleźć w sobie. Poczulby się skrajnie wyczerpany wewnętrznie, osamotniony i zagubiony w bezkresnym pustkowiu. A

wówczas z pewnością uznaliby, że życie wymaga od niego zbyt wiele wysiłku, naraża go na za duże stresy. I wtedy, tak jak wielu innych przed nim, przyznałby, że przegrał, poddałby się, położył i czekał na śmierć...

- Crompton? - szepnął Loomis.

Brak odpowiedzi.

- Crompton, słyszysz mnie? Oddam ci władzę. Tylko wydostań nas z tej zarośniętej szklarni.

Zabierz nas na Ziemię albo na Marsa! Crompton, nie chcę umierać!

Nadal cisza.

- W porządku, Crompton. - Szept Loomisa zabrzmiał ochryple. - Wygrałeś. Przejmuj kontrolę!

Rób, co chcesz. Poddaję się, wszystko jest twoje. Tylko proszę, przejmij kontrolę

- Dziękuję - powiedział Crompton lodowatym tonem i przejął kontrolę nad ciałem.

Dziesięć minut później był z powrotem w namiocie dowódcy, aby go poinformować, że ponownie zmienił zdanie. Dowódca pokiwał ze znużeniem głową, myśląc jednocześnie, że nigdy nie uda mu się zrozumieć ludzi.

Niedługo później Crompton siedział w samym środku dębki, otoczony pakunkami z zaopatrzeniem. Wioślarze, nucąc jakąś pełną wigoru melodię, odbili od brzegu. Crompton odwrócił się do tyłu i patrzył, póki namioty Straży Obywatelskiej nie zniknęły mu z oczu za zakrętem rzeki.

Ta wyprawa w dół rzeki Blood była dla niego jakby powrotem do początku życia na ziemi.

Sześciu tubylców zanurzało cicho wiosła w jednym rytmie, czółno ślizgało się jak pająk wodny po szerokim, leniwym nurcie. Gigantyczne paprocie, zwieszające się z brzegu drżały, kiedy łódź przepływała obok, i wyciągały pożądliwie ku nim długie łodygi. Wtedy wioślarze podnosili ostrzegawczy krzyk, czółno wracało na środek rzeki, a paprocie opadały ponownie, kurcząc się w ostrym słońcu południa. Dopłynęli też do miejsca, gdzie gałęzie drzew łączyły się nad ich głowami, tworząc ciemny tunel z liści. Wtedy Crompton i wioślarze skulili się pod rozciągniętym nad ich

głowami namiotem, pozwalając łodzi dryfować z nurtem, nasłuchując cichych uderzeń rozpryskującego się wokół żrącego soku. Minąwszy tunel, wychylili się spod okrycia i pod rozżarzoną niebem wiosłarze ponownie złapali za wiosła.

- Niesamowite - odezwał się nerwowym głosem Loomis.

- Faktycznie, dość przerażające - zgodził się z nim Crompton, czując, że otoczenie napawa go coraz większym lękiem.

Rzeka Blood niosła ich w głąb kontynentu. Na noc cumowali do sterczących w środku nurtu głazów. Do ich uszu dobiegały wojownicze pomruki wrogo nastawionych Aisów. Pewnego dnia dwa czółna puściły się w pogoń za nimi. Ludzie Cromptona nacisnęli mocniej na wiosła i ich dłubanka pomknęła szybciej. Wrogowie pędzili za nimi. Crompton wyciągnął strzelbę i czekał. Ale jego wiosłarze, gnani strachem, zwiększyli tempo i wkrótce napastnicy zostali za zakrętem rzeki.

Po tym wydarzeniu podróżnicy odzyskali trochę pewności siebie. Ale w miejscu gdzie rzeka się zwężała, na zakręcie przywitał ich grad strzał z obu brzegów. Jeden z wiosłarzy padł na okrężnicę, przebity czterokrotnie. Reszta wiosłowała co sił i wkrótce znaleźli się poza zasięgiem rażenia.

Wyrzucili martwego Aisa za burtę i natychmiast rzuciły się na niego wygłodzone stworzenia, żyjące w wodzie. Wielki opancerzony stwór, z podobnymi do kraba szczypcami, płynął potem za czółnem, z wystającym z wody pyskiem, uparcie czekając na więcej jedzenia. Nawet pociski ze strzelby nie były w stanie zmusić tego potwora do odstąpienia i Crompton zaczął mieć koszmarne sny pod wpływem nieustannej obecności zwierzęcia.

Więcej jedzenia potwór dostał, kiedy dwóch wiosłarzy zmarło, zaatakowanych przez szarą pleśń, która wpełzła na ich wiosła. Krabopodobny pochłoniął ich i czekał na jeszcze. Towarzystwo tego boga rzeki miało jednakże i dobrą stronę. Kiedy zobaczyła go grupa tubylców chcących zaatakować czółno, podniosła głośny wrzask i uciekła z powrotem do dżungli.

Stworzenie nie odstępowało ich przez ostatnie sto kilkadziesiąt kilometrów. A kiedy wreszcie

dopłynęli do porośniętej mchem przystani na brzegu rzeki, zatrzymało się, przez chwilę obserwowało ich posepnie, po czym odwróciło się i ruszyło w drogę powrotną.

Wioślarze przybili do zrujnowanego pomostu. Crompton wdrapał się nań i dostrzegł kawałek deski pomazany czerwoną farbą. Odwróciwszy ją zobaczył napis "Blond Delta. Liczba ludności: 92".

Dalej była już tylko dżungla. Dotarli do ostatniego schronienia Dana Stacka.

Wąską, zarośniętą ścieżką przedostał się z przystani do polany, powstałej w miejscu gdzie wykarczowano dżunglę. Stało na niej osiedle przypominające miasto duchów. Nikogo nie było na jedynej, zakurzonej drodze, żadne oczy nie śledziły przybysza z okien niskich, nie pomalowanych budynków. Małe miasteczko smażyło się w ciszy, w białym blasku południa i Crompton nie słyszał innego dźwięku prócz szurania w pyle jego własnych butów.

- Nie podoba mi się tutaj - odezwał się Loomis.

Crompton szedł wolno ulicą. Minął rząd baraków służących za magazyny, z nazwiskami właścicieli wypisanymi po prostu na ścianach; pusty bar, którego drzwi wisiały tylko na jednym zawiasie, a osłonięte siatką przed komarami okna miały potłuczone szyby; trzy opuszczone sklepy. Wreszcie dotarł do czwartego, na którym widniał napis "Stack i Finch. Zaopatrzenie".

Wszedł do środka. Towary stały na podłodze, porządnie poukładane w stosy, a część z nich wisiała, podczepiona na linach do krokwi. Nie było nikogo.

- Jest tu kto? - zawołał Crompton, ale nie otrzymał odpowiedzi i wyszedł po chwili z powrotem na ulicę.

Przy końcu miasteczka doszedł do przysadzistego budynku przypominającego spichlerz. Siedział przed nim na stołku opalony, wąsaty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Za paskiem od spodni miał rewolwer. Stołek był odchylony do tyłu, w stronę ściany i wydawało się, że mężczyzna drzemie.

- Dan Stack? - spytał Crompton.

- W środku - odparł mężczyzna.

Crompton ruszył w stronę drzwi. Wąsacz poruszył się i rewolwer niespodziewanie znalazł się w jego dłoni.

- Cofnij no się od tych drzwi - powiedział.

- Dlaczego? Co się stało?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? - spytał wąsacz.

- Nie! Kim pan jest?

- Nazywam się Ed Tyler i jestem stróżem pokoju, wyznaczonym przez obywateli Blood Delta i zatwierdzonym na urządzenie przez dowódcę Straży Obywatelskiej. Stack jest w więzieniu. Ten budynek, to właśnie więzienie, przynajmniej na pewien czas.

- Jak długo będzie siedział? - spytał Crompton.

- Kilka godzin.

- Czy mogę z nim porozmawiać?

- Nie.

- A czy będę mógł z nim porozmawiać, jak wyjdzie?

- Jasne - odparł Tyler - ale wątpię, czy ci odpowie.

- Dlaczego?

Stróż pokoju uśmiechnął się krzywo.

- Stack będzie w więzieniu tylko kilka godzin, bo po południu wyprowadzimy go stąd i powiesimy, dopilnowawszy, żeby się nie urwał żywy. A kiedy już spełnimy ten nasz obowiązek, możesz sobie gadać z nim, ile tylko zechcesz. Ale, jak już mówiłem, wątpię, czy ci odpowie.

Crompton był zbyt zmęczony, by czuć jakikolwiek szok.

- Co Stack zrobił?

- Zamordował.

- Tubylca?

- Gdzie tam - odparł z niesmakiem Tyler. - Kto by sobie zawracał głowę jakimś tubylcem? Stack zabił człowieka, Bartona Firicha. Swojego partnera. Finch jeszcze wprawdzie nie umarł, ale już dogorywa. Stary doktor twierdzi, że nie przeżyje do wieczora, wobec czego to, co zrobił Stack, można uznać za morderstwo. Został postawiony przed sąd złożony z równych mu stanem i uznany winnym zabójstwa Bartona Fincha, złamania nogi Billy'emu Redburnowi, uszkodzenia dwóch żeber Eliemu Talbotowi, zniszczenia baru Moriarty i, ogólnie, naruszenia spokoju. Sędzia - znaczy ja - zarządził powieszenie go jak najszybciej. Czyli dziś popołudniu, gdy tylko chłopaki wrócą z roboty przy nowej tamie.

- Kiedy odbył się proces?

- Dziś rano.

- A zabójstwo?

- Jakieś trzy godziny wcześniej.

- Uwinęliście się - stwierdził Crompton.

- Tu, w Blood Delta, nie traci się czasu - odparł dumnie Tyler.

- Właśnie widzę. Nawet wieszacie człowieka, zanim jego ofiara umrze.

- Powiedziałem ci, że Finch już dogorywa - oświadczył Tyler, a jego oczy zwęziły się. - Uważaj, panie obcy. Nie pozwalaj sobie na krytykowanie wymiaru sprawiedliwości w Blood Delia, bo możesz sobie napytać biedy. Nie potrzebujemy, żeby jacyś przemądrzali prawnicy mówili nam, co jest dobre, a co złe.

- Daj spokój, zostawmy to i uciekajmy stąd - szepnął niespokojnie Loomis do ucha Cromptonowi.

Crompton zignorował tę radę.

- Panie Tyler - zwrócił się do szeryfa. - Dan Stack jest moim przyrodnim bratem.

- To ma pan pecha.

- Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybym mógł się z nim zobaczyć. Tylko na pięć minut. Po prostu przekazałbym mu wiadomość od matki.

- Mowy nie ma.

Crompton sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik przybrudzonych banknotów.

- Tylko dwie minuty.

- Hm. Może dałoby się... cholera!

Crompton spojrział w stronę, w którą utkwiony był wzrok Tylera, i dostrzegł dużą grupę mężczyzn nadchodzących w tumanie kurzu wzbitego na ulicy.

- Chłopaki idą - powiedział Tyler. - Teraz już nie ma szansy, nawet gdybym chciał. Ale możesz popatrzeć, jak będzie wieszany.

Crompton stanął na uboczu. W grupie było przynajmniej pięćdziesięciu mężczyzn, a nadchodzili jeszcze następni. Byli przeważnie szczupli, umięśnieni, twardzi i większość z nich niosła na ramieniu strzelby. Przez chwilę konferowali z szeryfem.

- Nie rób żadnych głupstw - ostrzegł Loomis.

- W ogóle nic nie mogę zrobić - odparł Crompton.

Szeryf Tyler otworzył wrota stodoły. Grupa mężczyzn weszła do środka i po chwili wróciła, ciągnąc jakiegoś człowieka. Crompton nie dostrzegł, jak skazaniec wygląda, bo natychmiast otoczył go tłum.

Szedł za innymi aż do odległego krańca miasteczka, gdzie z solidnego konara jednego z drzew zwisała przygotowana lina.

- Do góry go! - wrzasnął tłum, kiedy dociągnięto skazańca na miejsce.

- Chłopaki! - zawołał stłumionym głosem Dan Stack. - Dajcie mi coś powiedzieć!

- Do diabła z tym - wrzasnął jakiś człowiek. - Do góry go!

- Moje ostatnie słowa! - przenikliwie krzyknął Stack.

Wtedy nagle odezwał się szeryf.

- Dajmy mu powiedzieć, chłopaki. Każdy skazaniec ma takie prawo. No, Stack, zaczynaj, ale żeby to nie trwało długo.

Postawili Stacka na wozie, zarzuciwszy mu pętlę wokół szyi. Kilkanaście rąk trzymało drugi koniec liny. Wreszcie Crompton go zobaczył. Wpatrywał się, zafascynowany, w ten długo szukany segment swojej osobowości.

Dan Stack był roslym, mocno zbudowanym mężczyzną. Jego grube, głęboko poorane rysy nosiły znamię zaciętości i nienawiści, strachu i skłonności do brutalnych zachowań, ukryty żal i ukryte zło. Miał wydatne, rozszerzające się ku dołowi nozdrza, grube wargi kryjące silne zęby i wąskie, zdradzieckie oczy. Niechlujne czarne kosmyki opadały mu na rozognione czoło, a na zaczerwienionych policzkach miał ciemny, szczeciniasty zarost. Jego twarz zdradzała, jakim jest stereotypem - Cholerycznym Humorem Powietrza, wywołanym nadmiarem żółci, która powoduje, że człowiek łatwo wybucha gniewem i traci przy tym rozsadek.

Stack patrzył w górę, na rozgrzane białe niebo. Powoli spuścił głowę i wtedy zrobiona z brązu proteza na prawej ręce -zaświeciła czerwono w otaczającym ich blasku.

- Chłopaki - odezwał się -zrobiłem dużo złego w swoim ryciu.

- Nam to mówisz? - przerwał mu ktoś.

- Byłem kłamcą i oszustem - krzyknął Stack. - Uderzyłem dziewczynę, którą kochałem, i to uderzyłem ja mocno, chcąc żeby cierpiała. Okradłem własnych rodziców. Wyrzynałem masowo nieszczęsnych tubylców na tej planecie. Chłopaki, nie byłem dobry.

Tłum przyjął śmiechem tę jego ckliwą przemowę.

- Ale chcę, byście wiedzieli - ryknął z całej siły Stack - chcę, byście wiedzieli, że walczyłem z tą

swoją grzeszną naturą i usiłowałem ja pokonać. Mocowałem się z tym starym diabłem tkwiącym w mojej duszy i to najlepiej, jak potrafiłem. Wstąpiłem do Straży Obywatelskiej i przez dwa lata byłem jak wszyscy inni. A potem znowu napadł mnie szal i zabiłem.

- Skończyłeś? - spytał szeryf.

- Ale chcę, byście wszyscy wiedzieli o jednym - zaskrzeczał przenikliwie Stack, przewracając gałkami oczu. - Przyznaję się otwarcie do zła, jakie wyrządziłem, przyznaję się dobrowolnie i otwarcie. Ale chłopaki, ja nie zabiłem Bartona Fincha!

- No dobra - przerwał mu szeryf. - Powiedziałeś swoje, a teraz my zrobimy, co do nas należy.

- Posłuchajcie! - krzyknął Stack. - Finch był moim przyjacielem, jedynym, jakiego miałem!

Chciałem mu pomóc, potrząsnąłem nim trochę, żeby odzyskał rozum. A kiedy to nie pomogło, zapewne straciłem głowę, rozbiłem bar Moriarty i poturbowałem kilku chłopaków. Ale klnę się na Boga, że nie skrzywdziłem Fincha.

- Skończyłeś już? - spytał szeryf.

Stack otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, po czym zamknął je i kiwnął potakująco głową.

- W porządku, chłopaki - powiedział szeryf. - Do roboty!

Mężczyźni zaczęli wysuwać spod Stacka wóz, na którym stał. A Stack, z wyrazem beznadziejnej desperacji na twarzy, spojrzał nagle na Cromptona.

I rozpoznał go.

- Uwważaj, zastanów się - ostrzegał Cromptona zdenerwowany Loomis. - Nie rób niczego, nie wierz mu. Przypomnij sobie tylko, co on robił, jakie było jego życie. On nas zniszczy, rozbije na kawałki. On ma skłonności do dominacji, jest silny, zły. To morderca.

Na ułamek sekundy Crompton przypomniał sobie, jak doktor Berrenger oceniał jego szanse na udaną reintegrację.

Szaleństwo albo jeszcze gorzej...

- Zupełnie zdeprawowany - mówił Loomis - zły, nic nie wart, absolutnie beznadziejny!

Ale Stack był częścią niego! Stack tęsknił do reintegracji, walczył o to, by się udoskonalić, przegrywał i zaczynał walkę od nowa. Stack nie był absolutnie beznadziejny, nie był ani trochę bardziej beznadziejny niż Loomis czy on sam.

Skąd jednak wiadomo, że mówił prawdę? Może ta pełna emocji przemowa była tylko ostatnią próbą poruszenia słuchaczy w nadziei na ułaskawienie?

Powinien uwierzyć w dobre chęci Stacka. Powinien dać mu szansę.

W czasie kiedy wysuwano mu wóz spod nóg, Stack wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w Cromptona, aż ten podjął w końcu decyzję i pozwolił mu wniknąć w siebie.

Tłum podniósł wrzawę, kiedy ciało Stacka, zsunąwszy się ze skrajów wozu, dygotało przez chwilę w śmiertelnym tańcu, po czym zawisło w bezruchu na grubej linie. A Cromptonowi ugięły się nogi w kolanach, kiedy umysł Stacka wniknął w niego. I zemdlął.

Ocknął się na łóżku polowym w małym, słabo oświetlonym pokoju.

- Dobrze się czujesz? - zapytał jakiś głos. Dopiero po chwili Crompton rozpoznał pochylonego nad nim szeryfa Tylera.

- Tak, już dobrze - odpowiedział machinalnie.

- Przypuszczam, że wieszanie musi być szokujące dla cywilizowanego człowieka, takiego jak ty.

Jak myślisz, nic ci się nie stanie, jeśli zostawię cię tu samego?

- Naturalnie - odparł apatycznie Crompton.

- To dobrze. Mam trochę roboty. Zajrzę do ciebie za parę godzin - powiedział Tyler i wyszedł.

Crompton usiłował zorientować się w sytuacji.

Integracja... Fuzja... Uzupełnienie... Czy udało mu się osiągnąć to w trakcie kojącej nieprzytomności? Ostrożnie zaczął przeszukiwać swój umysł.

Odnalazł pojękującego, niepocieszonego Loomisa, potwornie przestraszonego i bełkoczącego coś o Pomarańczowej Pustyni, wyjazdach na kempingi w Górach Diamentowych, przyjemnościach dostarczanych przez kobiety, luksusie, odczuciach i pięknie.

Był też Stack, masywny i nieporuszony, nie dołączony.

Crompton porozmawiał z nim przez chwilę, jak swój ze swoim, i zorientował się, że Stack był absolutnie szczery w swojej ostatniej mowie. Naprawdę pragnął się zmienić, zacząć kontrolować swoje postępowanie, nabrać umiaru.

Ale wiedział też, że Stack nie był w stanie zmienić sam siebie, narzucić sobie samokontroli, opanowania. Nawet teraz, pomimo starań, Stacka przepelniało pragnienie zemsty. Jego umysł miotał się wściekle, stanowiąc rażące przeciwieństwo bełkoczącego coś przenikliwym głosem Loomisa. Przez jego umysł przewijały się wspaniałe marzenia o rewanżu, błyskotliwe plany podboju całej Wenus. Zrobić coś z tymi przeklętymi tubylcami, zetrzeć ich na proch, przygotować miejsce dla Ziemiaków. Porwać na strzepy Tylera. Wybić z broni maszynowej wszystkich mieszkańców miasteczka i udawać, że zrobili to tubylcy. Stworzyć grupę oddanych sobie mężczyzn, taką prywatną armię wielbiącą S t a c k a, utrzymywać w niej żelazną dyscyplinę, żadnych oznak słabości, żadnego wahania. Wyciąć w pień Straż Obywatelską i wtedy już nikt nie przeszkodzi mu prowadzić podboju, mordować, mścić się, wściekać, stosować terror!

Popychany z obu stron, Crompton usiłował zachować równowagę i objąć kontrolą te dwie osobowości. Walczył o to, by doprowadzić do ich fuzji i powstania całości. Stabilnej całości. Ale odrębne umysły broniły się, nie chcąc zrezygnować ze swojej autonomii. Linie podziału pogłębiały się, rodziły się nowe, nic do pokonania, i Crompton czuł, jak jego własna równowaga psychiczna zaczyna się kruszyć, a zdrowie umysłowe staje się coraz bardziej zagrożone.

Nagle Dan Stack, przepełniony stłumioną i niemożliwą do realizacji potrzebą zreformowania siebie samego, doznał olśnienia.

- Przykro mi - powiedział. - Nic na to nie pomogę. Potrzebujesz jeszcze tego drugiego.

- Jakiego drugiego?

- Próbowałem - jęknął Stack. - Naprawdę próbowałem się zmienić! Ale było mnie za dużo, za dużo sprzeczności, zimnego i gorącego, tego i owego. Pomyślałem, że sam się wyleczę. Więc się podzieliłem.

- Co zrobiłeś?

- Nie słyszałeś, co powiedziałem? - spytał Stack. - Ja też zostałem podzielony. Po kryjomu.

Odbyło się to tu, na Wenus. Kiedy wróciłem do Port New Haarlem, dostałem kolejne ciało duriera i podzieliłem się... Myślałem, że wszystko będzie prostsze, jeśli i ja będę mniej złożony. Ale myliłem się!

- Jest jeszcze jedna część nas? - zawołał Crompton. - To dlatego nie może dojść do reintegracji!

Kto to jest i gdzie go można znaleźć?

- Staralem się - jęknął Stack. - Och, tak bardzo się starałem. Byliśmy jak bracia. Myślałem, że będę mógł nauczyć się czegoś od niego; był taki cichy, spokojny, dobry i cierpliwy! Uczyłem się! A potem on zaczął się poddawać.

- Kto? - spytał Crompton.

- Usiłowałem mu pomóc, wybić go z tego stanu. Ale on szybko gasł, po prostu nie zależało mu na życiu. Moja ostatnia szansa znikła i wtedy wpadłem w szal, potrząsnąłem nim trochę i zrujnowałem bar Moriarty. Ale nie zabiłem Bartona Fincha! On po prostu nie chciał żyć!

- To Finch jest tą ostatnią częścią?

- Tak! Musisz iść do niego, zanim umrze, i musisz dać mu przyłączyć się do nas. Jest w małym pokoiku za sklepem. Lepiej się pośpiesz...

Stack wrócił do swoich marzeń o krwawych morderstwach, a Loomis bredził coś o niebieskich Pieczarach Xanadu.

Crompton zmusił ciało Cromptona do wstania z łóżka i zaciągnął je ku drzwiom. Dostrzegł przy ulicy sklep Stacka. Musisz tam dotrzeć, polecił sam sobie i potykając się ruszył przed siebie.

Wydawało mu się, jakby miał do przejścia miliony kilometrów. Jakby czołgał się przez tysiąc lat, przez góry, rzeki, pustynie, bagna, jaskinie, które prowadziły w dół do środka Ziemi i z powrotem na górę, przez niezmierzone oceany, które musiał przepływać w pław. Wreszcie, po tej potwornie długiej i wyczerpującej go podróży, dotarł do sklepu Stacka.

W pokoju na zapleczu, na pryczy, okryty kocem pod brodę leżał Finch, ostatnia nadzieja na reintegrację. Patrząc na niego Crompton uświadomił sobie ostatecznie bezsens swoich poszukiwań. Finch leżał bardzo spokojnie, z otwartymi oczami, wpatrującymi się nie widzącym wzrokiem w niewiadomy punkt. Miał dużą, bladą, pozbawioną wyrazu twarz idioty. Jego łagodne rysy Buddy miały w sobie jakiś nieludzki spokój, jakby Fincie niczego nie chciał i niczego nie oczekiwał. Z jego ust spływała cienka strużka śliny, a serce uderzało od czasu do czasu. Najmniej przystosowany z nich trzech, był skrajnym wyrazem Ziemskiego Humoru Flegmy, który powoduje, że człowiek jest bierny i obojętny.

Crompton opanował ogarniającą go wściekłość i doczołgał się do łóżka. Wpatrzył się w oczy idioty i usiłował zmusić Fincha do spojrzenia na niego, rozpoznania go, połączenia się z nim. Ale Finch nic nie dostrzegł.

Nie udało mu się. Pozwolił zmęczonemu, poddanemu nadmiernym stresom ciału Cromptona opaść przy łóżku idioty. W milczeniu obserwował, jak ogarnia go powoli szaleństwo.

I wtedy Stack, desperacko pragnący zmiany, wyłonił się ze swoich marzeń o zemście. Wspólnie z Cromptonem zaczął nakłaniać idiotę, żeby spojrzał i dostrzegł ich. Nawet Loomis zanusił się do wykrzesania z siebie ostatku sił i przyłączył się do ich prób.

Wszyscy trzej razem wpatrywali się w idiotę. A Finch, przywołany przez trzy czwarte jego samego, przez segmenty wzywające go do połączenia się, zrobił ostatni wysiłek. Jego oczy na

moment oprzytomniały. Rozpoznał.

I dołączył do nich.

Crompton poczuł, że zalewa go rozległa fala cierpliwości i tolerancji. Cztery zasadnicze Humory, składające się na temperament człowieka: Ziemia, Powietrze, Ogień i Woda w końcu się połączyły.

I w końcu możliwa była fuzja.

Ale co to? Co się dzieje? Co za siła przejmuje kontrolę, spychając na bok wszystko, co było przed nią?

Crompton krzyknął z przerażenia, usiłował przez chwilę rozedrzeć paznokciami własne gardło, co mu się prawie udało, po czym upadł na ziemię obok ciała Fincha.

Kiedy leżące na podłodze ciało otworzyło ponownie oczy, ziewnęło i przeciągnęło się, szczęśliwe, że wdycha powietrze, widzi światło i kolory, zadowolone z siebie i przekonane, że czeka je na tym świecie jeszcze dużo pracy, miłości i, w ogóle, że ma przed sobą całe życie.

Ciało, dawniej własność Alistaira Cromptona, zamieszkiwane czasowo także przez Edgara Loomisa, Dana Stacka i Bartona Fincha, wstało. Zdało sobie sprawę, że będzie musiało znaleźć dla siebie nowe nazwisko.

przekład : Anna Minczewska - Przeczek

Kobieta Doskonała

Morcheck obudził się z niesmakiem w ustach i brzmiącym w uszach śmiechem. To był śmiech George'a Owen-Clarka, ostatnia rzecz, którą pamiętał z przyjęcia u Morgana. Co to było za przyjęcie! Cała Ziemia świętowała nadejście nowego wieku. Rok Trzysięczny! Pokój i dobrobyt dla wszystkich, i szczęśliwe życie...

- Jak szczęśliwe jest twoje życie? - spytał Owen-Clark, szczerząc chytrze zęby, pijany sporo ponad miarę. - To znaczy, jak tam życie z twoją słodką małżonką?

To nie było przyjemne. Wszyscy wiedzieli, że Owen-Clark jest Prymitywistą, ale jakie miał

prawo wyrażać się kpiąco o innych? Tylko dlatego, że ożenił się z Prymitywną Kobieta...

- Kocham moją żonę powiedział Morcheck stanowczym głosem. - Jest o niebo miłsza i bardziej czuła niż ten kłębek nerwic, który ty nazywasz swoją żoną.

Ale oczywiście twarda skóra Prymitywisty jest odporna na takie ukłucia. Oni kochają wady swoich żon równie mocno, jak kochają ich zalety - może nawet mocniej.

Owen-Clark uśmiechnął się jeszcze chytrze i powiedział:

- Wiesz co, mój stary, myślę, że twoja żona wymaga przeglądu. Zwróciłeś ostatnio uwagę na jej czas reakcji?

Nieznośny kretyn! Morcheck wyszedł z łóżka, mrużąc oczy przed promieniami jasnego, porannego słońca. Czas reakcji Myry... Bez względu na chamstwo Owen-Clarka, w tym co powiedział kryło się jednak ziarno prawdy. Ostatnio Myra była jakby trochę... rozkojarzona.

- Myra! - krzyknął. - Moja kawa już gotowa?

Przez chwilę było cicho. Potem z dołu przyplłynął jej wesoły głos. - Za chwileczkę!

Wsunął się w domowe spodnie, wciąż jeszcze sennie mrugając. Dzięki Bogu następne trzy dni to Czas Świętowania. Będą mu potrzebne co do jednego, żeby pozbyć się śladów wczorajszej zabawy. Zszedł na dół. Myra krzątała się, nalewając kawę, rozkładając serwetki, odsuwając dla niego krzesło. Usiadł, a ona pocałowała go w łysinę na czubku głowy. Lubił być całowany w łysinę na czubku głowy.

- Jak się dziś czuje moja żoneczka? - spytał.

- Wspaniale, kochanie - odpowiedziała po krótkiej chwili. Zrobiłam ci dziś Seffinery. Lubisz Seffinery.

Morcheck zgryzł jednego, doskonale przyrządzonego, i wypił łyk kawy.

- Jak się dziś rano czujesz? - spytał.

Myra posmarowała grzanek masłem, podała mu, potem powiedziała:

- Wspaniale, kochanie. Wiesz, wczorajsze przyjęcie było absolutnie cudowne. Uwielbiałam każdą jego minutę.

- Ja chyba się trochę wstawiłem - powiedział Morcheck z krzywym uśmiechem.

- Bardzo lubię, gdy się wstawisz. Mówisz wtedy i opowiadasz jak anioł, jak bardzo mądry anioł.

Mogłabym cię słuchać bez końca. - Posmarowała masłem następną grzanekę.

Morcheck zajaśniał do niej jak łaskawe słońce, potem zmarszczył brwi. Odłożył swego Seffinera i potarł policzek.

- Wiesz - powiedział - miałem małe starcie z Owen-Clarkiem. Opowiadał o Prymitywnych Kobietach.

Myra, nie odpowiadając, posmarowała masłem piątą grzanekę, dodając ją do rosnącej sterty.

Zaczęła sięgać po szóstą, jednak dotknął lekko jej dłoni, Pochyliła się i pocałowała jego nos.

- Prymitywne Kobiety! - powiedziała szyderczo. - Te neurotyczki! Czy nie jesteś bardziej szczęśliwy ze mną, kochany? Mogę być Nowoczesna - ale żadna Prymitywna Kobieta nie potrafiłaby cię kochać tak, jak ja - ja cię uwielbiam!

To była prawda. Mężczyzna nigdy, w ciągu całej pisanej historii; nie był w stanie żyć szczęśliwie z Prymitywną Kobieta. Te egoistyczne, zepsute istoty domagały się bezustannej, trwającej całe życie uwagi i opieki. To bardzo charakterystyczne że żona Owen-Clarka zmusza go do wycierania naczyń. A ten głupiec się na to zgadza! Prymitywne Kobiety zawsze żądały pieniędzy za które kupowały ubrania i różne błyskotki, wymagały podawania śniadania do łóżka, urywały się na wieczorki brydżowe, paplały godzinami przez telefon i Bóg jeden wie co jeszcze. Próbowwały przejmować męskie zajęcia. I wreszcie, dowodziły swej równości.

Niektórzy kretyńcy w rodzaju Owen-Clarka utrzymywali, że są wspaniałe.

Morcheck czuł, kąpiąc się w promieniującej z Myry miłości, że kac powoli mu przechodzi. Myra nie jadła. Wiedział, że zjadła wcześniej, żeby móc całą uwagę poświęcić jemu. Cała różnica

polegała na takich właśnie, drobnych sprawach.

- Powiedział, że twój czas reakcji się wydłuża.

- Tak powiedział? - spytała Myra po krótkiej pauzie. - Ci Prymitywni uważają, że wszystko wiedzą najlepiej.

To była właściwa odpowiedź, ale jej sformułowanie zabrało jej zbyt wiele czasu. Morcheck zadał żonie jeszcze kilka pytań, obliczając jej czas reakcji za pomocą sekundowej wskazówki kuchennego zegara. Ona wyraźnie zwalniała!

- Czy przysłała już poczta? - zapytał szybko. - Czy ktoś dzwonił? Czy spóźnię się dziś do pracy?

Po trzech sekundach otworzyła usta, potem je zamknęła. Coś było straszliwie nie w porządku.

- Kocham cię - powiedziała po prostu.

Morcheck czuł, że serce wali mu jak oszalałe. Kochał ją! Ogromnie, szaleńczo! A jednak ten obrzydliwy Owen-Clark miał rację. Ona potrzebowała przeglądu. Myra zdawała się wyczuwać jego myśli: Skupiła się z wyraźnym wysiłkiem i powiedziała:

- Wszystkim, czego pragnę jest twoje szczęście, kochany. Myślę, że jestem chora... Czy każesz mnie wyleczyć? Zabierzesz mnie z powrotem, gdy już będę zdrowa... i nie pozwalaj im mnie zmieniać. Nie chciałabym być zmieniana! - Jej jasna głowa opadła na dłonie. Płakała - bezgłośnie, żeby go nie denerwować.

- To będzie tylko przegląd, kochanie - powiedział Morcheck, walcząc z własnymi łzami. Jednak wiedział - podobnie jak i ona wiedziała - że jej choroba jest naprawdę poważna.

To takie niesprawiedliwe, pomyślał. Prymitywne Kobiety, z ich prostą strukturą mentalną, były niemal całkowicie odporne na takie dolegliwości. A Kobiety Nowoczesne, o delikatnie równoważonej uczuciowości, były na nie zbyt podatne. Taka straszliwa niesprawiedliwość!

Przecież Kobieta Nowoczesna była zbiorem najlepszych, najbardziej pożądanych stron kobiecości.

Wszystkich, z wyjątkiem wytrzymałości.

Myra skupiła uwagę. Podniosła się z wysiłkiem. Była taka piękna. Choroba zabarwiła mocnym rumieńcem jej policzki, poranne, słońce rozświetlało jej włosy.

- Kochany - powiedziała. - Może pozwoliłbyś mi zostać jeszcze jakiś czas? Może sama bym wyzdrowiała. - Jednak jej wzrok szybko tracił ostrość.

- Najdroższy... - Oparła się ciężko o krawędź stołu. - Kiedy będziesz miał nową żonę... Postaraj się pamiętać jak bardzo cię kochałam. - Usiadła z twarzą jak maska.

- Pójdę po samochód - wymamrotał Morcheck i wybiegł na zewnątrz. Jeszcze chwila, a sam mógłby się załamać.

Idąc w stronę garażu czuł się zmęczony, złamany, pusty. Myra - odeszła! I cała nowoczesna nauka, ze wszystkimi jej osiągnięciami, nie była w stanie nic pomóc.

Doszedł do garażu i powiedział: - Dalej, wyjeżdżaj.

Samochód gładko wycofał i zatrzymał się przy nim. - Coś nie w porządku, szefie? - spytał. -

Wygląda pan na zmartwionego. Ciągle kac po wczorajszym?

- Nie... to Myra. Jest chora.

Samochód milczał przez chwilę. Potem powiedział miękko:

- Bardzo panu współczuję, panie Morcheck. Chciałbym, żeby istniał jakiś sposób, żebym mógł pomóc.

- Dziękuję - powiedział Morcheck, zadowolony, że w tej ciężkiej chwili ma przy sobie przyjaciela. - Obawiam się, że tutaj nikt nie jest w stanie pomóc.

Samochód podjechał pod drzwi domu i Morcheck pomógł Myrze wejść do środka. Samochód łagodnie ruszył w drogę.

Przez całą drogę do fabryki delikatnie milczał.

przekład : Darosław J. Toruń

Królewskie Zachcianki

Już od przeszło dwóch godzin Bob Granger siedział w mocno niewygodnej pozycji, wciśnięty między ladę a wielką pralkę elektryczną. Spróbował przeciągnąć się i ostrożnie rozprostować zdrętwiałe nogi, ale właśnie wtedy duży młotek, w który się uzbroił, zsunął mu się z kolan i spadł z hukiem na podłogę.

- Ciicho! - syknęła Jenny mocniej ściskając swój kij golfowy. Chwilę oboje nasłuchiwali, wytrzeszczając oczy w ciemnościach.

- Chyba już nie przyjdzie - stęknął Bob.

- Jak będziesz tak hałasować, to na pewno go spłoszysz!

Bob westchnął i ułożył się jak mógł najwygodniej, przeklinając w duchu moment, kiedy zdecydowali nie zawiadomiać na razie policji i sami zrobić zasadzkę na tajemniczego złodzieja. Od trzech dni ktoś wynosił nocami towar ze sklepu. Wieczorem w warsztacie, w samym sklepie i w małym składziku wszystko się zgadzało, a nazajutrz rano brakowało akumulatora, lodówki, aparatu klimatyzacyjnego, nie licząc pomniejszych artykułów. Co dziwniejsze, drzwi i zamki pozostawały nie tknięte, szyby całe, kasa nie naruszona. A przecież zmontowanie i rozkręcenie tego niewielkiego sklepu - warsztatu elektrotechnicznego pochłonęło wszystkie oszczędności młodej pary. Jenny była równocześnie ekspedientką i mechanikiem, a Bob zwoził towar, biegał za większymi zamówieniami, prowadził książki, zaś w wolnych chwilach siedział w kasie. Jasne, że nie mogli czekać z założonymi rękami, aż tajemniczy złodziej zupełnie ich zrujnuje.

Bob poprawił się na niskim stołku, myśląc po raz dziesiąty tej nocy, jak też wygląda facet, który potrafi wynieść na plecach kilkusetkilowa lodówkę. A może jest ich kilku?

- Słyszysz - ręka Jenny dotknęła jego ramienia.

Coś zaszeleściło i zaraz potem dał się słyszeć jakby szmer cichych kroków. Jakiś wielki cień zamajaczył na jaśniejszym tle szyby wystawowej.

Bob szybko przekręcił kontakt i trochę oślepiony światłem, potrząsając młotkiem, rzucił się

mężnie naprzód z okrzykiem : „Ręce do góry !”.

- Ojej! Nie... - wyjąkała Jenny i kij golfowy wysunął się jej z rąk.

Bob obejrzał się i z trudem przełknął ślinę.

O kilka kroków od nich, już przy ladzie, stała dziwna postać. Człowiek ten mógł mieć najmniej ze trzy metry wzrostu. Z czoła okrytego długim czarnym włosiem wychodziły dwa różki, a na plecach poruszały się lekko dwa małe skrzydełka. Ubrany był w brudnoniebieski kombinezon.

Przy całym swym ogromie wydawał się zaskoczony i zakłopotany.

- Psiakrew! - przemówił po prostu że też zaniedbałem te wykłady niewidzialności!

Skrzyżował ręce na piersiach i nadał policzki. Efekt był niespodziewany. Wielkie nogi, obute w wysokie safianowe cizmy, zniknęły do kolan.

Nadał się mocniej i cała dolna część tułowia stała się niewidzialna. Ale tu był kres jego możliwości.

- Nie dam rady - wystękał wypuszczając powietrze i powracając do poprzedniej postaci.

- Czego... czego pan od nas chce? krzyknęła Jenny.

- Czego ja chcę? Zaraz... aha, już wiem... wentylator! - przeszedł w głąb sklepu i podniósł duży wentylator na nóżce.

- Momencik! - zawołał Bob zbliżając się do olbrzyma. - Dokąd pan to chce zabrać?

- No przecież do Króla Aleriana. Właśnie wyraził życzenie posiadania takiego wentylatora.

- Doprawdy? - Jenny była oburzona i wściekłość zaczynała w niej brać górę nad rozsądkiem. - A moim życzeniem jest, żeby pan natychmiast odstawił mój wentylator na miejsce.

I groźnie machnęła kijem.

- Kiedy naprawdę nie mogę - odpowiedział nieznajomy z widoczną przykrością, aż zadrgały mu skrzydełka. - Król życzy sobie...

- Ach, tak? No to masz dla twego króla!

Rozjuszona Jenny z całą siłą dwudziestoletniej wysportowanej Amerykanki zdzieliła intruza kijem golfowym po głowie.

Wtedy stało się coś niesamowitego. Kij i młotek przeszły przez ciało owej dziwnej istoty, nie napotykając oporu. Jenny zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę, ale Bob, pociągnięty siłą zamachu, rozłożył się jak długi.

- Siła fizyczna na nic się nie przyda przeciwko ferrom - powiedział olbrzym, jakby przepraszająco.

- Przeciwko komu? - zdziwił się Bob gramoląc się z podłogi.

- Przeciwko ferrom. Bo ja jestem ferra. Jakby to wam przystępnie wytłumaczyć... Jesteśmy spokrewnieni z dzinami arabskimi, spowinowaceni z całym światem duchów, koboldów, leśnych boginek, no... w ogóle...

- Czy to znaczy, że pan się wyrwał z „Bajek z tysiąca i jednej nocy”?

- Nie - tłumaczył uprzejmie ferra. - Przecież mówiłem, że dziny z Arabii i Persji są naszymi kuzynami, ale ja jestem ferra... Zresztą postaram się wam wyjaśnić moją wizytę, używając stów i pojęć, które są wam znane.

Ferra obrócił się, dmuchnął za siebie i osiadł wygodnie na powietrzu jak w głębokim fotelu.

- Otóż kilka miesięcy temu ukończyłem Wyższą Szkołę Czarnoksięską i zaraz po uzyskaniu dyplomu złożyłem podanie o przyjęcie mnie do administracji.

- Niby na urzędnika? - spytał Bob z lekką pogardą w głosie.

- Wszystkie posady w nadprzyrodzonym świecie czarów są państwowe. Nawet duch lampy Aladyna był urzędnikiem. Przedtem są jednak trudne egzaminy konkursowe...

- I pan zdał?

- To jest... - ferra zakłopotał się i spomarańczowiał na twarzy - mówiąc między nami... posadę otrzymałem przez protekcję. Ojciec mój jest Wielkim Ferrą Rady Piekielnej i dlatego zostałem

zaraz mianowany Królewskim Podczaszym. To bardzo zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko. Podczaszy musi mieć doskonale opanowana znajomość wszystkich dyscyplin demonologii. Jasne, że nie byłem odpowiednio przygotowany, bo ledwo, ledwo zdałem na dyplom. Ale myślałem, że się jakoś wykręcę...

- Wszystko to pięknie - odezwała się sceptyczna Jenny - ale czy to ten pański król kazał panu ukraść nasz wentylator?

- W pewnym sensie - odpowiedział niejasno ferra i jego twarz znów nabrała pięknego pomarańczowego koloru.

Jenny postanowiła na razie potraktować tego dziwnego gościa jak normalnego człowieka.

- Czy ten wasz król jest zamożny?

- Król Alerian jest jednym z najbogatszych monarchów na świecie.

- Więc dlaczego nie kupi, czego mu potrzeba, tylko każe panu kraść?

- Dlatego - wyjąkał ferra - że po prostu nie ma takiego miejsca, gdzie mógłby te rzeczy kupić.

- Na pewno jakieś zacofane, feudalne państewko Środkowego albo Dalekiego Wschodu - orzekła Jenny z pogardą. - Ale przecież wolno wam importować?

- Kiedy to bardzo delikatna sprawa - męczył się ferra, trąc swój prawy rózek i poprawiając się na powietrzu, na którym siedział. - Nie mogę odżałować, że nie nauczyłem się niewidzialności...

- Widzę, że pan coś kręci! - rozgniewała się Jenny.

- Jeśli już chcecie koniecznie wiedzieć - powiedział nadąsany ferra to król Alerian żyje w czasie, który wy określacie jako 2 tysiące lat przed Chrystusem.

- Że co?!

- Momencik - zawołał zniecierpliwiony ferra. - Postaram się wam to wytłumaczyć najprzystępniej, jak potrafię. Otarł pot z rogów i szybko mówił dalej:

- Jako Podczaszy oczekiwałem, że Król i pan mój zażąda ode mnie klejnotów albo pięknych

niewolnic. Mogłem mu się z łatwością wystarać o jedno i drugie. To są zadania z pierwszego roku Czarnej Magii. Ale Król mój i pan posiada wszelkie kosztowności, o których mógłby zamarzyć, i więcej kobiet, niż jest w stanie... no... tego... - tu mrugnął na Boba porozumiewawczo. - Któregoś dnia wywołuje mnie i powiada: „Palec mój jest zbyt gorący w lecie. Zrób, by był chłodniejszy”. Zaraz wiedziałem, że wpadłem. Tylko bardzo obkuty ferra potrafi sobie poradzić ze zmianami temperatury. A ja w czasie studiów miałem przeważnie w głowie to, co wy nazywacie „sportem”...

Ferra dmuchnął przed siebie, oparł rękę na próżni, podparł nią głowę i opowiadał dalej:

- Odszukałem Wielką Księgę Czarów Ponadczasowych i zacząłem przeglądać hasło „Temperatura”. Ale użycie zalecanych zaklęć magicznych było zbyt skomplikowane jak na moje możliwości, a nie chciałem nikogo prosić o pomoc, bo zaraz by moja ignorancja wyszła na jaw. Wertując Wielką Księgę dowiedziałem się, że w XX wieku, według waszej rachuby, istniały aparaty do wytwarzania zimnego lub gorącego powietrza. Toteż przybyłem tutaj, posuwając się wzdłuż wąskiej ścieżki, która prowadzi w przyszłość. No i zabrałem akumulator, a później lodówkę i jeszcze kilka waszych maszynek...

- A jak pan je podłączył do akumulatora? - zainteresowała się Jenny.

- Jakoś mi się udało. Jestem dość zręczny w ręku i lubię majsterkowanie.

Bob starał się rozsądnie przemyśleć tę całą nieprawdopodobną historię. Istnienie duchów i nadprzyrodzonych dziwów nie budziło zasadniczego sprzeciwu tego potomka szkockich górali, żyjących dawniej za pan brat z wrózkami i upiorami. Młody człowiek zastanawiał się dłużej nad tym uprzejmym demonem, który im się tak bezpośrednio objawił. Skąd też mógł pochodzić? Jaka magia go zrodziła? Do mitologii jakiego kraju należał? Nie wyglądał na Asyryjczyka... na pewno nie Egipcjanin.

- Guzik z tego rozumiem! - oświadczyła prostodusznie Jenny. - Mówi pan o przeszłości, i to

takiej, która dzieje się teraz... Czy to ma znaczyć, że pan podróżuje w czasie?

- Oczywiście. Na egzaminach otrzymałem pochlebne wyróżnienie za poruszanie się w czasie - odpowiedział ferra z nie ukrywaną dumą. - A jak możecie zauważyć, nawet wiedziałem, jak się ubrać do transportu waszych maszynek...

- Ale dlaczego w takim razie wybrał pan nasz skromny sklep? Trzeba się było udać do wielkich składów państwowych. Bo to i wybór większy, i na pewno nic by nie zauważyli...

- Nic z tego - przerwał ferra. - To jedyne miejsce, do którego prowadzi wąska ścieżka przyszłości. Przykro mi bardzo, moi państwo, ale nie mogę wracać z pustymi rękami. Za niewypełnienie obowiązku służbowego wylano by mnie natychmiast i nigdy już nie otrzymałbym funkcji przy dworze królewskim... Byłby to koniec mojej kariery...

Schwycił wentylator i zniknął.

W pół godziny później Bob i Jenny siedzieli w małej nocnej knajpce, pałaszując parówki i popijając ciemne piwo.

- Ferra? Demony? Królestwo sprzed 4 tysięcy lat? Nie. wierzę w takie banialuki - mówiła Jenny, której powrócił wrodzony sceptycyzm.

- Przecież widziałaś na własne oczy?

- To nie znaczy jeszcze, że muszę w to wierzyć ! - obruszyła się. - Zresztą nie w tym rzecz.

Powiedz lepiej, co mamy teraz zrobić. Ten łobuz na pewno zjawi się jutro i znowu coś buchnie.

Mam kolegę, od którego można by pożyczyć parę pistoletów, a nawet stena.

- To na nic. Kule przejdą na wskroś, nie robiąc mu żadnej krzywdy, albo odbiją się od niego...

Czy ja wiem, zresztą?... Ale, moim zdaniem, trzeba się starać pobić go jego własną bronią.

Musimy na czary odpowiedzieć czarami... Jakieś odpowiednie zaklęcie...

- Pleciesz, mój drogi! Znasz się na tym akurat tyle co ja. Skąd weźmiesz odpowiednie zaklęcia?

- Na wszelki wypadek trzeba by zastosować wszystkie możliwe zaklęcia magiczne. Konieczne

jest tylko wiedzieć, skąd ten ferra pochodzi. Czary i wypędzanie duchów lepiej skutkują, jeśli...

- Czy państwo życzą sobie coś słodkiego? A może kawy? - zapytał kelner, który nagle wyrósł przed ich stolikiem.

- Nie... dziękuję - powiedział speszony Bob. - Chyba zapłacimy.

Jenny zaczerwieniła się po korzonki rudawosrebrnych włosów.

- Chodźmy stąd prędko - szepnęła. - Jeśli ktoś nas usłyszy, pomyśli, że ma do czynienia z pomyłkami...

Nazajutrz spotkali się dopiero późnym wieczorem w sklepie. Bob spędził pracowity dzień w kilku bibliotekach miejskich, wertując dzieła okultystyczne, i jego plon wynosił kilkanaście kartek zapisanych równym, drobnym maczkiem.

- Żałuję jednak, że nie wzięliśmy spluwy - powiedziała Jenny, niechętnie przeglądając zapiski.

Punktualnie o jedenastej zjawił się ferra z miłym uśmiechem na młodzieńczym obliczu.

- Cześć - powiedział wesoło. Gdzie macie grzejniki elektryczne? Król Alerian chce się zaopatrzyć na zimę...

- Precz, duchu nieczysty! Apage ! - zaczął Bob swoje egzorcyzmy, potrząsając małym krzyżykiem od różańca.

- Żałuję bardzo - odpowiedział grzecznie ferra - ale nie mamy nic wspólnego z chrześcijaństwem.

- A więc przepadnij! Rozkazuję u w imieniu Namtara i Idpa oraz innych sług Wielkiego Arymana ! - wołał teraz Bob, ponieważ starożytna Assyria i Chaldea figurowały jako pierwsze na jego liście. -

Uśłuchaj głosu Utukha, władcy pustyni, Alala i Telala.

- A więc to są te grzejniki? - ucieszył się ferra. - Chciałbym taki większy, żeby było reprezentacyjnie. Bo te małe coś mi tandetnie wyglądają...

- Przepadnij! Zaklinam cię w imieniu Wilka Niebios - ciągnął Bob, przechodząc z kolei do Chin

- Wilka, który stróżuje u bram Szang-Ti, oraz króla burz i piorunów Li-Kung...

- Tandetne? - obraziła się mimo woli Jenny. - Nawet najmniejszy grzejnik sprzedajemy z roczną gwarancją!

- Wzywam Rathę Budowniczego łodzi i Hina-O-Hina Stworzyciela Tapu piał Bob przerzuciwszy się na Polinezję.

- I jeszcze jedno - powiedział ferra - potrzebna mi jest wanna.

- W imię Baala, Buera, Foshara, Astaroth... - wyliczał Bob zorientowawszy się, że ani bogi podziemne Chin, ani moce Polinezji nie robią na przybyszu najmniejszego wrażenia.

- Wezmę największy rozmiar - zdecydował ferra. - Król i pan mój jest dość korpulentny:

- ...Behemota! Księcia Piekielnego Theuta, Asmodeusza, Inkuba...

Ferra popatrzał na Boba z szacunkiem, ale zaraz zwrócił się do Jenny. - Zdaje mi się, że wezmę jeszcze poduszkę elektryczną - powiedział niedbale.

Bob przerzucił się na Fenicję i wezwał Damballę, Belfegora i Dagona. Próbował magii tessalskiej i imion dawnych demonów Haiti, Indii, Madagaskaru, Libii i Egiptu. Rzucał klątwy powołując się na upiory islandzkie, strzygi skandynawskie, krwiożercze bóstwa Azteków, Czarne Smoki Japonii, Wielkiego Tygrysa z Malajów, Kruka Jelsa Eskimosów...

- Wszystko to pięknie i brzmi nader groźnie - powiedział uprzejmie ferra ale, mówiąc po waszemu, to wszystko diabła warte.

- Aaa... dlaczego? - zapytał zdyszany zaklinacz-amator.

- Trzeba wam wiedzieć, że ferrowie posłuszni są jedynie własnym zaklęciom, tak samo jak dżiny ulegają tylko czarom Arabii. Zresztą nie zna pan mego imienia, a zaklęcia na pozbycie się kogoś nie dają dobrych rezultatów bez wymienienia jego istotnego miana.

- Więc jakiego kraju jest pan demonem?

- Tego nie powiem. Gotów pan wpaść na właściwy szlak magiczny, a mam i tak już dość własnych kłopotów. żegnajcie...

- Zaraz, zaraz - zatrzymała go Jenny. - Jeśli ten wasz król jest taki bogaty, to dlaczego nie mógłby nam po prostu zapłacić?

- Król i pan mój nigdy nie płaci za to, co może otrzymać darmo. Dlatego właśnie jest taki bogaty - zakończył sentencjonalnie ferra. Wziął w rękę wannę, w drugą grzejnik i poduszkę i już go nie było.

- No i jak wyglądasz z twoją magią? - zapytała ironicznie Jenny, kiedy zostali sami.

- Takie czary na chybił-trafił rzeczywiście nie mogą być skuteczne - przyznał Bob. - On ma rację. Ale w żadnej encyklopedii nie ma najmniejszej wzmianki o ferrach ani o Królu Alerianie. Pewno jakieś zakichane państewko indyjskie albo - czy ja wiem? - tybetańskie, afgańskie... i w dodatku na 2 tysiące lat przed Chrystusem!...

- Rozumiem, ale zobaczysz, że on następnym razem zażąda odkurzacza albo telewizora. I co tu robić?

- Nie mam pojęcia.

- Może by go jeszcze przebłagać? - Boi się stracić dobrą posadę. Nie wiesz, jacy urzędnicy są tchórzliwi?

- Tak myślisz? Czekaj... - Jenny zastanawiała się przez chwilę tak intensywnie, że aż zamknęła oczy. - Zdaje się, że coś mi świta...

- No? Słucham cię!

- Czary to nie moja specjalność, ale na mechanice się cokolwiek rozumiem. Już ja wykieruję tego ferrę od siedmiu boleści! Wkładaj fartuch i do roboty!

Nazajutrz ferra zjawił się w sklepie kwadrans po jedenastej. Tym razem miał na sobie zgrabny kombinezon i lekkie płócienne pantofle.

- Królowi specjalnie dziś zależy na czasie - oświadczył na wstępie. - Otóż jego najświeższa i najukochańsza małżonka nie daje mu chwili spokoju. Po każdym praniu z jej cieniutkiej bielizny

zostają strzępy. Niewolnice piorą zwykle jej szaty w potoku, tłukąc je płaskim kamieniem...

- Chętnie służymy pralką - zaofiarowała się Jenny.

- Właśnie o to mi chodziło - powiedział ferra z wdzięcznością. - Doprawdy nie wiem, jak wam dziękować.

Wybrał największą z czterech pralek i zarzucił sobie na plecy.

- Wybaczcie, królowa czeka - powiedział na odchodnym.

Bob poczęstował Jenny papierosem. Palili w milczeniu.

Nie minęło nawet pół godziny, a ferra zjawił się z powrotem.

- Cóżście zrobili najlepszego?! - zawołał z wyrzutem.

- A bo co? - spytała Jenny z miną niewinnego dziecka.

- No, ta wasza pralka! Jak tylko królowa chciała jej użyć, maszyna wypuściła cuchnący kłęb dymu, wydała z siebie kilka dziwnych zgrzytów i zatrzymała się. Nikt nie może jej uruchomić.

Jenny wypuściła zgrabne kółko z dymu.

- W naszym języku to się nazywa sabotaż - pouczyła zmartwionego olbrzyma.

- Sabotaż?

- Innymi słowy, pralka została przez nas umyślnie popsuta, rozkręcona, uszkodzona, powiedziałabym nawet dosadnie - spieprzona, tak samo zresztą jak wszystkie inne rzeczy u nas w sklepie.

- Jak mogliście zrobić mi coś takiego ! - oburzył się ferra. - I co teraz ja pocznę?

- Pan podobno tak lubi majsterkować - rzuciła Jenny ze słodką perfidią.

- Przechwalałem się - wyznał ferra ze wstydem - z ćwiczeń praktycznych miałem ledwo dostatecznie.

Jenny nonszalancko paliła papierosa. - Więc co teraz będzie? - zapytał zgnębiony ferra, a jego małe skrzydełka zaczęły drgać nerwowo.

- Bardzo nam przykro - uśmiechnął się Bob.
- Wpakowaliście mnie w parszywą sytuację. Teraz wywalą mnie bez gadania z posady.
- Nie można od nas wymagać, żebyśmy zbankrutowali z miłości do pana, drogi ferro - triumfowała Jenny. A może jednak król zgodziłby się zapłacić - zaproponowała.
- To mu wcale nie przypadnie do smaku - odparł ferra z powątpiewaniem.
- Trzeba mu powiedzieć, że działają tu bardzo silne moce magiczne i zmuszony jest pan zapłacić rodzaj daniny tutejszym potęgom piekielnym tłumaczył Bob.
- Spróbuję. Nie mam innego wyjścia - powiedział zrezygnowany ferra i zniknął.
- Jak to zaksięgujemy? - zatroskała się praktyczna Jenny. - A poza tym ten Król Alerian jest tak bogaty, że moglibyśmy z powodzeniem doliczyć mu coś do rachunku...
- Policzymy mu po normalnych cenach. - Bob miał żelazne zasady uczciwości. - Ale, słuchaj! - zawołał nagle. - Nic z tego I w ogóle nie możemy się zgodzić na tego rodzaju transakcję.
- Dlaczego?
- Pomyśl tylko! Przecież nie możemy wprowadzać lodówek elektrycznych w epokę na 2 tysiące lat przed Chrystusem !..
- Rozumiem.., ale...
- To by zmieniło całą historię ludzkości... Jakiś zdolny facet zbada nasze aparaty, zorientuje się i gotów jeszcze wynaleźć elektryczność w tych czasach... a wtedy dzieje świata potoczą się całkiem inaczej... Nawet teraźniejszość... to, co się dzieje obecnie... może się zmienić...
- Chcesz powiedzieć, że to niemożliwe?
- No, chyba !
- To właśnie tłumaczę ci od początku! - oświadczyła Jenny z triumfem. - Daj spokój! Chciałbym raz wreszcie połapać się w tym wszystkim. Bo tak, jak sprawy stoją, wygląda na to, że dostarczenie naszych lodówek czy pralek temu ich królowi może zmienić świat, w którym żyjemy,

albo też...

W tym momencie pojawił się uśmiechnięty ferra.

- Król się zgadza - oznajmił. - Czy to będzie wystarczającą zapłatą za wszystko, co od was pobrałem?

I z małego woreczka wysypał garść rubinów, szmaragdów, szafirów i innych wspaniałych, kamieni o imponujących rozmiarach.

- Niestety - Bob był szczerze zasmucony - nie będziemy mogli nic panu sprzedać !

- Bob, nie bądź głupi - szturchnęła go Jenny.

- Klnę się na Wielką Pieczęć Piekielną, że wszystkie kamienie są prawdziwe, a tylko jeden szafir jest trochę obtłuczony - zaręczył ferra uroczyście.

- Chodzi mi o to, że nie możemy wprowadzać nowoczesnych maszyn do przeszłości - tłumaczył

Bob. - Cały rozwój ludzkości poszedłby inną drogą!... ba, miałyby to wpływ na świat obecny...

Czy ja wiem zresztą...

- Mogę pana uspokoić - powiedział ferra. - Nic podobnego się nie stanie. - No jakże? Przecież gdybyśmy wyposażyli w pralki elektryczne społeczeństwo starożytnego Rzymu, to w konsekwencji... Pomyśleć tylko, co by się stało w przyszłości...

- Na nieszczęście, a raczej na szczęście dla was, królestwo Króla Aleriana nie ma przyszłości.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie minie rok, a Król Alerian, jego pałac, państwo i cały kraj zostaną nieuchronnie zniezione z powierzchni ziemi przez siły przyrody, żaden z jego poddanych nie uratuje się, morze pochłonie wszystko i nikt nigdy nie znajdzie nawet kawałka glinianej skorupy...

- To świetnie! - ucieszyła się Jenny oglądając pod światło największy z rubinów. - W tych warunkach możemy się zgodzić.

Bob rzeczywiście nie miał skrupułów. - A co się stanie z panem? - zapytał.

- Właśnie chciałem się z wami definitywnie pożegnać - odrzekł ferra. Król jest tak zadowolony z moich usług, że zgodził się na przeniesienie mnie za granicę. Może uda mi się utrzymać się na stałe w Arabii. Tam są podobno duże możliwości w branży usług czarnoksiężskich... Zegnajcie.

- Chwileczkę - poprosił Bob. - Czy teraz moglibyśmy się dowiedzieć, skąd Pan pochodzi i jakim to krajem rządzi Król Alerian?

- Ależ oczywiście - odpowiedział ferra znikając szybko w głębinach niewidomej ścieżki czasu. - Myślałem, żeście się już domyślili. My, ferrowie, jesteśmy demonami Atlantydy...

przekład : A. Wołowski

Magazyn Światów

Pan Wayne doszedł do końca długiej, sięgającej mu po ramię hałdy szarego gruzu i ujrzał Magazyn Światów. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisywali znajomi; mała buda, skonstruowana z kawałków desek, fragmentów karoserii samochodów, ocynkowanej blachy i kilku rzędów rozpadających się cegieł; całość niechlujnie pomalowana wyblakłą niebieską farbą.

Pan Wayne spojrzął za siebie, na długą, zasypaną gruzem drogę, sprawdzając, czy nikt go nie śledził. Ścisnął mocniej trzymaną pod pachą paczkę, po czym - wzdrygnąwszy się lekko na myśl o swoim zuchwalstwie - otworzył drzwi i wślizgnął się do wnętrza.

- Dzień dobry - powitał go właściciel.

On też był zupełnie taki sam, jak w opisie; wysoki, sprawiający wrażenie chytrego, o małych oczkach i opuszczonych kącikach ust. Nazywał się Tompkins. Siedział w starym fotelu na biegunach, na oparciu którego przycupnęła niebiesko-zielona papuga.

W magazynie było jeszcze jedno krzesło oraz stół. Na stole leżała zardzewiała strzykawka.

- Dowiedziałem się o pańskim magazynie od przyjaciół - wyjaśnił pan Wayne.

- W takim razie zna pan moją cenę- stwierdził Tompkins. - Czy przyniósł pan?

- Tak - odparł pan Wayne, podnosząc wyżej swoją paczkę. - Ale najpierw chciałbym zapytać... -

Zawsze chcą zapytać - powiedział Tompkins do papugi, która mrugnęła w odpowiedzi. - No, dalej, proszę pytać.

- Chciałbym wiedzieć, co się naprawdę będzie działo.

Tompkins westchnął.

- Wygląda to tak. Płaci mi pan moją stawkę. Ja panu daję zastrzyk, po którym traci pan przytomność. Wtedy, za pomocą pewnych urządzeń, które mam na zapleczu magazynu, uwalniam pański umysł.

Mówiąc to Tompkins uśmiechnął się, a jego milcząca papuga też wyglądała tak, jakby się uśmiechała.

- A co się dzieje potem? - spytał pan Wayne.

- Pański umysł, uwolniony od ciała, jest w stanie wybrać spośród niezliczonych światów prawdopodobnych, które Ziemia wytwarza w każdej sekundzie swojego istnienia.

Uśmiechając się teraz szeroko, Tompkins wyprostował się w fotelu, wyraźnie przejawiając oznaki entuzjazmu.

- Tak, mój przyjacielu, choć być może wcale tego nie podejrzewasz, od kiedy tylko ta zmaltretowana Ziemia wydostała się z rozpalonego łona Słońca, wytwarza własne światy alternatywne. Światy nie kończące się, powstające zarówno z dużych, jak i małych wydarzeń; każdy Aleksander i każda ameba tworzą swoje światy, tak jak zawsze na wodzie w stawie pojawiają się zmarszczki, niezależnie od tego, czy wrzucisz duży czy też mały kamień. Czyż nie jest tak, że każdy przedmiot rzuca cień? Otóż, mój przyjacielu, Ziemia jest czterowymiarowa; dlatego rzuca trójwymiarowe cienie, pełne odbicia samej siebie, w każdym momencie swojego istnienia.

Miliony, miliardy globów ziemskich! Nieskończona liczba Ziemi! A twój umysł, uwolniony przeze mnie, będzie w stanie wybrać którykolwiek z nich i j przebywać w nim przez jakiś czas.

Pan Wayne miał nieprzyjemne wrażenie, że Tompkins przypomina mu naganiacza do cyrku, i

zapowiadającego cuda, które po prostu nie mogą być prawdą. Ale, upomniał sam siebie, zdarzały mu się już w życiu takie sytuacje, w które nigdy by nie uwierzył, że mogą mu się przytrafić. Nigdy! Może więc i te cuda, o których mówi Tompkins, są możliwe.

- Moi przyjaciele powiedzieli mi też... odezwał się.

- Że jestem skończonym oszustem? - dokończył za niego Tompkins.

- Niektórzy sugerowali to - przyznał niepewnym głosem pan Wayne. - Ale ja staram się zachować otwarty umysł. Mówili też...

- Wiem, co ci pańscy znajomi o plugawych umysłach mówili. Powiedzieli panu o spełnieniu pragnień. To o tym chciał pan, żebym mu opowiedział?

- Tak. Mówili, że czegokolwiek pożądam... cokolwiek chciałbym...

- Właśnie - potwierdził Tompkins. - To nie może inaczej zadziałać: Ma pan do wyboru nieskończoną liczbę światów. Pański umysł wybiera, a jego jedynymi doradcami są pragnienia. Tylko najgłębsze pragnienie jest tym, co się liczy. Jeśli ukrywa pan w myślach jakieś utajone marzenie o morderstwie...

- Och, wykluczone! - zawołał pan Wayne.

- ...wtedy znajdzie się pan w świecie, gdzie będzie pan mógł mordować, tarzać się we krwi, przegonić w pomysłowości de Sade'a, Cezara, czy innego pańskiego idola. A może pożąda pan władzy? Wtedy wybierze pan sobie świat, w którym będzie pan bogiem, dosłownie i pod każdym względem. Może spragnionym krwi Kriszną albo wszytkowiedzącym Buddą.

- Bardzo w to wątpię, abym...

- Są tak że i inne pragnienia - ciągnął Tompkins. - Wszelkie możliwe nieba i piekła. Niczym nie hamowany seks, żarłoczność, pijaństwo, miłość, sława - wszystko, czego pan zechce.

- Zdumiewające!

- Tak - zgodził się Tompkins. - Oczywiście, to, co wymieniłem, nie wyczerpuje listy możliwych

kombinacji i permutacji pragnień. Może pan akurat pragnąłby prostego, spokojnego wiejskiego życia gdzieś na południowych morzach, wśród wyidealizowanych tubylców.

- Wydaje mi się, że faktycznie to bardziej do mnie pasuje - przyzwał pan Wayne, uśmiechając się z zażenowaniem.

- Ale kto wie? - spytał Totnpkins. - Może pan nawet nie wiedzieć, jakie są pańskie ukryte marzenia. Mogą na przykład wiązać się z pańską śmiercią.

- Czy to się często zdarza? - zaniepokoił się pan Wayne.

- Czasami.

- Nie chciałbym umrzeć.

- To się przytrafia tylko wyjątkowo - sprostował Tompkins zerkając na trzymaną przez pana Wayne'a paczkę.

- Skoro pan tak mówi... Ale skąd będę wiedział, że to wszystko dzieje się naprawdę? Pańska cena jest bardzo wysoka, pochłonie wszystko, co posiadam. A z tego, co usłyszałem, wynika, że da mi pan jakiś narkotyk i będę po prostu śnił! Wszystko, co posiadam w zamian za... za zastrzyk heroiny i dużo nieprawdopodobnych obietnic!

Tompkins uśmiechnął się uspokajająco.

- To co będzie pan przeżywał, w żadnym stopniu nie przypomina odurzenia narkotykami. I wcale nie będzie pan miał wrażenia, że śni.

- Jeśli to prawda - powiedział pan Wayne nieco opryskliwym tonem - to dlaczego nie mogę pozostać w świecie moich pragnień na zawsze?

- Pracuję nad tym - odparł Tompkins. - Dlatego właśnie cena jest taka wysoka; żebym mógł zdobyć środki na materiały, na eksperymentowanie. Staram się znaleźć sposób na to, aby przejście do innego świata było trwałe. Jak dotąd nie udało mi się rozluźnić więzów, które łączą człowieka z jego własną Ziemią - i przyciągają go do niej z powrotem. Nawet wielcy mistycy nie mogli

przeciąć tych więzów; jedyną metodą jest śmierć. Ale ciągle nie tracę nadziei.

- Byłoby to wielkim osiągnięciem, gdyby się panu udało - powiedział uprzejmie pan Wayne.

- Och, tak! - wykrzyknął Tompkins z zaskakującym ładunkiem emocji w głosie. - Ponieważ wtedy mógłbym zamienić moją graciarnię w port dla uciekinierów! Wtedy mój proces byłby bezpłatny, dostępny dla każdego! Każdy mógłby udać się do Ziemi swoich pragnień, Ziemi odpowiadającej mu, i pozostawić to przeklęte miejsce szczurom i robakom...

Tompkins przerwał w pół zdania i raptownie stał się lodowato opanowany.

- Ale obawiam się, że pozwoliłem sobie ujawnić wobec pana moje uprzedzenia. Otóż na razie nie jestem w stanie zaoferować panu trwałej ucieczki Ziemi, w każdym razie takiej, która nie pociągałaby za sobą pańskiej śmierci. Zapewne nigdy nie będę w stanie tego osiągnąć. Na razie wszystko, co mogę panu zaproponować, to wakacje, zmiana, posmakowanie życia w innym świecie i przyjrzenie się własnym pragnieniom. Zna pan moją cenę. Zwracam koszty, jeśli przeżycie nie wyda się panu zadowalające.

- To ładnie z pańskiej strony - powiedział całkiem szczerze pan Wayne. - Ale jest jeszcze jedna kwestia, o której wspomnieli przyjaciele. Dziesięć lat mojego życia.

- Na to nic nie mogę poradzić i tego nie da się zrefundować. Mój proces stwarza ogromne obciążenie dla systemu nerwowego i odpowiednio do tego skraca się przewidywana długość życia. To jeden z powodów, dla których nasz tak zwany rząd uznał moją działalność za nielegalną.

- Ale niezbyt rygorystycznie przestrzega zakazu - zauważył pan Wayne.

- Nie. Oficjalnie proces jest zakazany jako szkodliwe oszustwo. Ale urzędnicy to już ludzie. I podobnie do innych, chętnie opuściliby tę Ziemię.

- Taki koszt - zadumał się pan Wayne, ściskając mocniej swoją paczuszkę. - I do tego dziesięć lat mojego życia! Za spełnienie utajonych pragnień... Naprawdę, muszę to jeszcze przemyśleć.

- Bardzo proszę - stwierdził obojętnym głosem Tompkins.

W drodze do domu pan Wayne przez cały czas intensywnie myślał. Także i wtedy, gdy jego pociąg dotarł do Port Washington na Long Island. I prowadząc samochód ze stacji do domu, nadal rozmyślał o chytrym wyrazie twarzy starego Tompkinsa, prawdopodobnych światach i spełnieniu pragnień.

Ale gdy tylko wszedł do domu, natychmiast musiał przestać. Janet, jego żona, chciała, żeby ostro upomniął służącą, która się znowu upiła. Syn Tommy potrzebował pomocy przy jachcie, który miał być następnego dnia spuszczonej na wodę. A mała córeczka pragnęła opowiedzieć mu o swoich przeżyciach w przedszkolu.

Pan Wayne porozmawiał uprzejmie, lecz stanowczo, ze służącą. Pomógł Tommy'emu położyć ostatnią warstwę miedzianej farby na dno jachtu i wysłuchał wszystkiego, co miała mu do opowiedzenia Peggy o swoich przygodach na placu zabaw.

Później, gdy dzieci poszły spać i został sam na sam z żoną w salonie, Janet zapytała go, czy stało się coś złego.

- Złego?

- Wyglądasz, jakbyś się czymś martwił. Miałeś ciężki dzień w pracy?

- Och, zupełnie normalny...

Z całą pewnością nie zamierzał mówić Janet, ani zresztą nikomu innemu, że wziął wolny dzień i pojechał zobaczyć Tompkinsa w jego zwariowanym Magazynie Światów. Ani też nie miał zamiaru mówić o prawie, które powinien mieć każdy człowiek, do tego, by raz w życiu zaspokoić swoje najgłębsze pragnienia. Janet, kierująca się zawsze zdrowym rozsądkiem, nigdy by tego nie zrozumiała.

Następnego dnia w biurze miał prawdziwe urwanie głowy. Cała Wall Street była w stanie umiarkowanej paniki w związku z wydarzeniami na Bliskim Wschodzie i w Azji, a giełdy w odpowiedni sposób zareagowały na to. Pan Wayne zabrał się do pracy. Starał się nie myśleć o

spełnieniu swoich pragnień za cenę wszystkiego, co posiadał, oraz skrócenia życia o dobre dziesięć lat. To by było szaleństwem z jego strony! Stary Tompkins chyba zwariował!

W weekendy pływał z Tommym. Stary jacht sprawował się bardzo dobrze i praktycznie nie przepuszczał wody przez spojenia w dnie. Tommy chciał mieć do niego nowe żagle, ale pan Wayne zdecydowanie odmówił. Może w przyszłym roku, jeśli poprawi się sytuacja rynkowa. Na razie stare żagle muszą wystarczyć.

Czasami w nocy, kiedy dzieci spały, chodził popływać żaglówką z Janet. Cieśnina Long Island była wtedy spokojna i chłodna. Ich łódź spokojnie mijała migocące boje, sunąc w stronę napęczniałego, żółtego Księżyca.

- Wiem, że o czymś rozmyślasz - powiedziała pewnego dnia Janet.

- Kochanie, proszę!

- Czy coś ukrywasz przede mną?

- Nic!

- Jesteś pewien? Absolutnie pewien?

- Jestem absolutnie pewien.

- To przytul mnie. O, właśnie tak... I jacht przez jakiś czas płynął sarn.

Pragnienia i ich zaspokojenie... Ale nadeszła jesień i trzeba było wyciągnąć jacht na brzeg.

Giełda ustabilizowała się, ale dla odmiany Peggy złapała odrę. Tommy chciał wiedzieć, czym się różnią bomby konwencjonalne od atomowych, wodorowych; kobaltowych i wszelkich innych, o których mówiono i pisano w wiadomościach. Pan Wayne wyjaśnił mu najlepiej, jak umiał. A służąca nieoczekiwanie odeszła.

Ukryte marzenia są, oczywiście, ważne. Może faktycznie chciałby kogoś zabić, albo mieszkać na wyspie na morzach południowych. Ale ma przecież tyle obowiązków, o których musi myśleć. Ma dwoje dorastających dzieci i żonę, lepszą niż na to zasługuje.

Może kiedyś, przed Bożym Narodzeniem...

W środku zimy w nie zamieszkanym pokoju gościnnym wybuchł pożar wskutek zwarcia w instalacji elektrycznej. Strażacy ugasili ogień; straty były niewielkie i nikt nie odniósł obrażeń. Ale to wydarzenie odsunęło na pewien czas myśli pana Wayne od Tompkinsa. Najpierw należało wyremontować pokój. Stary, wytworny dom był bowiem powodem dumy jego właściciela.

W przedsiębiorstwie nadal panowała atmosfera napięcia i niepewności, w związku z sytuacją międzynarodową. Ci Rosjanie, Arabowie, Grecy, Chińczycy. Te rakiety międzykontynentalne, bomby atomowe, sputniki... Pan Wayne spędzał w biurze całe dni, a czasami nawet i wieczory. Tommy zachorował na świnkę. Część dachu należało pokryć nowym gontem. A zaraz potem okazało się, że nadeszła wiosna i czas spuścić jacht na wodę.

Minął rok, a pan Wayne nie bardzo miał kiedy pomyśleć o ukrytych pragnieniach. Może w przyszłym roku. Tymczasem...

- No i jak? - spytał Tompkins. - Dobrze się pan czuje?

- Tak, zupełnie dobrze - odparł pan Wayne. Wstał z krzesła i potarł dłonią czoło.

- Czy chce pan, abym zwrócił zapłatę?

- Nie. Było to całkiem zadowolające.

- Zawsze jest takie - stwierdził Tompkins, mrugając znacząco do papugi. - A co pan przeżywał?

- Niedawną przeszłość.

- Jest ich całe mnóstwo. Poznał pan swoje ukryte pragnienia? Czy to było morderstwo? A może wyspy na morzach południowych?

- Wolałbym o tym nie dyskutować - powiedział pan Wayne uprzejmie, ale stanowczo.

- Wielu ludzi nie chce ze mną o tym rozmawiać -ponuro stwierdził Tompkins. - I niech mnie piekło pochłonie, jeśli rozumiem dlaczego.

- Ponieważ... cóż, wydaje mi się, że świat ukrytych pragnień jest dla każdego na swój sposób

święty. Proszę się nie obrażać... Jak pan sądzi, uda się kiedyś zrobić tak, żeby to było na stałe?

Chodzi mi o wybór świata.

Starzec wzruszył ramionami.

- Staram się. Jeśli mi się powiedzie, usłyszysz pan o tym. Wszyscy usłyszą.

- Tak. Myślę, że tak.

Pan Wayne rozpakował paczkę, którą trzymał i wyłożył na stół jej zawartość: parę butów wojskowych, nóż, dwa zwoje miedzianego drutu i trzy małe puszki solonej wołowiny.

Tompkinsowi na moment zabłyśły oczy.

- Całkiem zadowolające - powiedział. Dziękuję.

- Do widzenia - pożegnał się pan Wayne. - To ja dziękuję.

Opuścił statek i pośpiesznie szedł dróżką wśród gruzów. Wszędzie wokół, jak daleko sięgał wzrokiem, leżały pola brązowych, szarych i czarnych gruzów. Te pola, rozciągające się po horyzont w każdym miejscu na Ziemi, powstały z powykręcanych trupów miast, roztrzaskanych na kawałki drzew i doskonale białego prochu, który niegdyś był ludzkimi ciałami i kośćmi.

- No cóż - powiedział do siebie-przynajmniej odpłaciliśmy pięknym za nadobne.

To cofnięcie się o rok kosztowało go wszystko, co posiadał, a na dodatek dobre dziesięć lat życia.

Czy to był sen? Nawet jeśli, i tak warto było. Ale teraz musi już przestać myśleć o Janet i dzieciach. Minęło, chyba że Tompkins ulepszy swój proces. Teraz musi pomyśleć o sobie.

Za pomocą umocowanego na nadgarstku licznika Geigera odnalazł w gruzach zdeaktywowaną ścieżkę. Powinien dotrzeć do baraku przed zmierzchem, zanim wychyną szczury. A jeśli się nie pośpieszy, może nie zdążyć na wieczorną porcję ziemniaków.

przekład : Anna Minczewska - Przeczek

Maszyna, która nie lubiła powtarzać

Richard Gregor siedział przy biurku w pokojach Międzyplanetarnego Towarzystwa Zleceń i

zmęczonym wzrokiem patrzył na leżącą przed nim długą listę. Zawierała około dwóch tysięcy trzystu pozycji.

Gregor starał się przypomnieć sobie, czy czegoś nie opuścił. Maść przeciwko promieniowaniu? Lampy próżniowe? Komplet przyrządów do oczyszczania wody? Tak, wszystko było w porządku. Ziewnął i spojrzał na zegarek. Arnold, jego wspólnik i towarzysz, powinien był już wrócić. Poszedł zamówić dwa tysiące trzysta artykułów i załadować je na statek międzyplanetarny. Za kilka godzin ich zgrabny okręcik "As" miał wylecieć w przestrzeń.

Ale czy na pewno niczego nie zapomniał? Statek międzyplanetarny jest z konieczności odizolowaną od świata samowystarczalną jednostką. Jeśli zabraknie ci fasolki w puszkach, nie ma żadnego sklepiku za rogiem, gdzie mógłbyś ten artykuł nabyć. Słowem - wszystko trzeba wozić z sobą.

Zasysacz tlenu? Zapas papierosów? Gregor odsunął od siebie listę, wyciągnął z biurka talię zatłuszczonych i zniszczonych kart i począł rozkładać skomplikowanego pasjansa własnego pomysłu.

W kilka minut później Arnold wkroczył do pokoju.

- Dostałeś wszystko? - zapytał Gregor.

- Więcej niż wszystko - powiedział z dumą Arnold. Zaoszczędziłem naszej firmie poważną sumę pieniędzy.

- Co znowu zrobiłeś? Czy to jeszcze jeden z twoich wspaniałych pomysłów?

- Zastanów się - mówił Arnold przekonywającym tonem - tylko się zastanów nad straszliwą rozrzutnością przy ekwipowaniu przeciętnej ekspedycji. Załadujemy dwa tysiące trzysta rozmaitych artykułów tylko dlatego, że czegoś możemy przypadkiem potrzebować. Nasza przestrzeń ładunkowa jest zmniejszona, załoga nie ma miejsca do poruszania się, a większość tych rzeczy i tak nigdy nie zostaje użyta.

- Oczywiście z wyjątkiem tych momentów - powiedział sarkastycznie Gregor - kiedy niektóre zapasy po prostu ratują nam życie.

- I to wziąłem pod uwagę. Zastanawiałem się nad tym poważnie. I dzięki łutowi szczęścia znalazłem ten jeden jedyny przyrząd niezbędny dla naszej ekspedycji.

Gregor wstał i o mało nie rzucił się na swojego współnika; lecz po chwili opanował się i usiadł.

- Nie mam pojęcia, coś wyrabiał. Ale radzę ci, postaraj się o te dwa tysiące trzysta artykułów, które tutaj są wymienione, i to jak najszybciej.

- Nic się nie da zrobić - odparł Arnold z nerwowym uśmiechem. - Wydałem całą forszę. Ale ten sprawunek zapłaci sam za siebie.

- Jaki?

- Chodź ze mną na statek.

Gregor nie mógł wydobyć z niego ani jednego słowa więcej podczas całogodzinnej drogi do portu międzyplanetarnego w Idlewild. Statek stał już gotów na wyrzutni; był przygotowany do odjazdu, mającego nastąpić za kilka godzin.

- Patrz! Oto jest materializacja marzeń członków wszystkich ekspedycji międzyplanetarnych.

Gregor wszedł do środka. Ujrzał tam dużą, fantastycznie wyglądającą maszynę z zegarem, światełkami i wskazówkami rozszanymi po całej niemal powierzchni.

- Powiedz sam, czy nie jest piękna? - Arnold pogłaskał maszynę pieszczotliwie. - Znalazłem ją w sklepie ze złomem międzyplanetarnym. Oddali ją po prostu za grosze.

Gregor poruszył się niecierpliwie.

- Poczekaj! - rzekł Arnold. - Pozwól, niech ci pokażę. Bo zastanów się tylko - lecimy w przestrzeni... automatyczny kierunkowskaz wysiada. Okazuje się, że ćwierćcalowa nakrętka z trzeciego kółka zębatego jest do niczego. Nie możemy znaleźć nakrętki. Cóż wtedy czynimy?

- Wyciągamy nową nakrętkę spośród dwóch tysięcy trzystu artykułów, jakie zabraliśmy ze sobą

właśnie na takie wypadki - odparł Gregor.

- Tak, tak. Tylko że na naszej liście nie ma ćwierćcalowych nakrętek duraluminiowych! - zawołał triumfalnie Arnold. - Sprawdziłem listę. Cóż wtedy?

- Nie mam pojęcia i bardzo jestem ciekaw.

Arnold podszedł do maszyny, nacisnął guzik i powiedział głośno i wyraźnie:

- Nakrętka duraluminiowa, gwint jedna czwarta cala. Maszyna mruknęła, szcęknięła, zapaliło się kilka światełek, po czym ze środka wysunęła się niewielka tacka ze spoczywającą na niej nowiutką, świeżo wykonaną ćwierćcalową nakrętką duraluminiową.

- To właśnie robimy w takim przypadku - powiedział Arnold.

Na Gregorze nie wywarło to zbyt wielkiego wrażenia.

- A więc ta maszyna wykonuje nakrętki. Cóż jeszcze?

Arnold nacisnął guzik.

- Funt szyjek rakowych - powiedział.

Gdy wyciągnął z powrotem tackę, leżały na niej szyjki rakowe.

- Powinieneś kazać obrać - dodał Arnold. - Ale zresztą - machnął ręką i nacisnął guzik. - Bolec grafitowy długości czterech stóp, średnica dwa cale.

Otwór automatu rozchylił się tym razem szerzej, aby przepuścić żądany bolec.

- Co jeszcze potrafi ta maszyna wykonać? - zapytał Gregor.

- A cóż byś jeszcze chciał? Małego żywego tygrysa? Karburator model A? A może dwudziestopięciowatową żarówkę? Czy kawałek gumy do żucia?

- Chcesz przez to powiedzieć, że ta maszyna wykona wszystko, czego od niej żądamy? - zapytał Gregor.

- Wszystko absolutnie. To jest konfigurator. Zresztą spróbuj sam.

Gregor spróbował i otrzymał szybko litr świeżej wody, zegarek na rękę i słoik sarepskiej

musztardy.

- Hmm... - mruknął.

- A więc widzisz. Czy to nie lepiej, niż obciążać statek dwoma tysiącami niepotrzebnych rzeczy?

Gregor nie był jednak zupełnie przekonany. Doświadczenie mówiło mu, że różne przyrządy nie zawsze i nie w każdej okoliczności działają tak, jak się tego od nich oczekuje. Zastanowił się chwilę, po czym podszedł do maszyny i nacisnął guzik.

- Tranzystor seria GE 1324 E.

Maszyna poszła w ruch, mruknęła i po chwili wyrzuciła małe tranzystory.

- Wygląda całkiem nieźle - przyznał wreszcie Gregor. - Co robisz?

- Obieram raki! - odparł Arnold.

Po spożyciu porcji szyjek obaj podróżnicy uzgodnili z kierownictwem portu godzinę odlotu i po godzinie wzniesli się w przestrzeń.

Celu ich podróży był Dennett IV, średniej wielkości planeta w grupie Sycophaxa. Dennett IV był dość gorącą i żyzną planetą, miał tylko jedną wadę: zbyt wielkie opady deszczowe. Deszcz padał tam praktycznie bez przerwy.

Na szczęście technika zmieniania klimatu była już tak dobrze znana, że uczynienie z Dennetta IV krainy słońca mogło zająć naszym dwóm przyjacicielom kilka zaledwie dni. Podróż przebiegała spokojnie. Gdy planeta zjawiała się w wizjerze, Arnold wyłączył automatyczne sterowanie i skierował statek w dół, prosto przez grube zwały chmur. Spadali przez dziesiątki kilometrów w białej puchowej mgle. Wreszcie zaczęły się zjawiać szczyty górskie, a na koniec podróżnicy ujrzeli pustą gładką równinę.

- Dziwny kolor ma ten krajobraz - zauważył Gregor.

Arnold skinął głową. Z nabraną przez lata rutyną wprowadził statek w spiralę, wyrównał, spokojnie wprowadził go na równinę i wyłączył motor.

Gregora nagle coś tknęło.

- Do góry! Poderwij do góry! - zawołał.

Reagując instynktownie, Arnold nacisnął guzik uruchamiający odrzutowe motory, lecz było już za późno. Statek Zawisnął na chwilę w powietrzu, po czym opadł poprzez równinę i dopiero kilka metrów niżej uderzył o ziemię.

Równina - jak się okazało - była mgłą tak gęstą, jaka się zdarzała tylko na Dennecie IV.

Podróżnicy wyswobodzili się z kabiny i sprawdzili najpierw całość swych własnych osób.

Stwierdziwszy, że nic im się nie stało, poczęli przeglądać statek.

Impet upadku nie wpłynął, oczywiście, dobrze na pojazd. Radio i aparat automatycznego sterowania były zupełnie zrujnowane. W tym ostatnim zwłaszcza uległo zniszczeniu kilka bardzo delikatnych części.

- No, mieliśmy dużo szczęścia - powiedział Arnold.

- Tak - odrzekł bez przekonania Gregor. - Ale następnym razem lądujemy z radarem.

- W pewnym sensie jestem zadowolony z tego, co się stało - powiedział Arnold. - Teraz zobaczysz, jakie usługi może nam oddać konfigurator. Zabieramy się do roboty.

Sporządzili spis wszystkich uszkodzonych części. Arnold podszedł do Konfiguratora, nacisnął guzik i powiedział: - Płytką, powierzchnia cztery cale kwadratowe, grubość pół cala, stop stalowy numer 342.

Maszyna momentalnie dostarczyła żadaną płytkę.

- Potrzebujemy takich dziesięć - powiedział Gregor. - Wiem. - Arnold znów nacisnął guzik. -

Jeszcze jedną proszę.

Maszyna nie zareagowała.

- Pewnie trzeba powtórzyć całe polecenie - powiedział Arnold. Nacisnął guzik jeszcze raz i rzekł:

- Płytką, powierzchnia cztery cale kwadratowe, grubość pół cala, stop stalowy numer 342.

Maszyna milczała.

- To dziwne - powiedział Arnold.

- Prawda? - Gregor poczuł przykre gniesienie w dołku.

Arnold spróbował jeszcze raz - bez skutku. Chwilę zastanawiał się głęboko, po czym nacisnął guzik i powiedział:

- Plastikowy kubek do mycia zębów.

Maszyna wyrzuciła piękny kubek w jasnoniebieskim kolorze.

- Jeszcze jeden - rozkazał Arnold. Gdy konfigurator stał spokojnie, Arnold zażądał woskowej kredki. Maszyna wyrzuciła żądany przedmiot. - Jeszcze jedną woskową kredkę. - Maszyna milczała.

- To ciekawe. Zdaje mi się, że ktoś powinien był pomyśleć o takiej ewentualności.

- O jakiej ewentualności?

- Najwidoczniej konfigurator potrafi wykonać wszystko - powiedział Arnold. - Ale tylko raz.

- A to doskonale. Potrzebujemy jeszcze dziewięciu płytek. A automatyczne sterowanie wymaga czterech identycznych części. Co teraz poczniemy?

- Trzeba będzie coś wymyślić.

- Mam nadzieję - powiedział Gregor.

Spadła kolejna ulewa. Podróżnicy poczęli się intensywnie zastanawiać.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie - powiedział Arnold po kilku godzinach. - Zasada przyjemności i nudy.

- Co? - zapytał Gregor. Słowa Arnolda obudziły go z drzemki.

- Ta maszyna musi mieć rodzaj inteligencji - rzekł Arnold. - Otrzymuje bodźce, sama je przetwarza w polecenia wytwórcze i wykonuje przedmioty z czegoś, co nazwałbym intelektualnym rysunkiem technicznym.

- Tak jest. Wszystko racja. Ale tylko raz.

- Tak. A dlaczego tylko raz? To jest klucz do naszych trudności. Mam wrażenie, że chodzi tu o jakieś ograniczenie połączone z pędem do zaspokojenia przyjemności.

- Nie bardzo rozumiem.

- Słuchaj uważnie. Konstruktorzy na pewno umyślnie nie ograniczyliby aparatu w ten sposób.

Nasuwa się jedyne wyjaśnienie: gdy maszyna jest skonstruowana w sposób tak skomplikowany, nabiera częściowo ludzkich cech. Uzyskuje jakiś rodzaj mechanicznej przyjemności z wyprodukowania nowego przedmiotu. Lecz przedmiot jest nowy tylko raz. Potem konfigurator chce robić coś nowego.

Gregor zapadł ponownie w apatyczny półsen.

Arnold mówił dalej:

- Pełne zadowolenie, pełne wykorzystanie potencjalnych możliwości - oto czego pragnie maszyna. Pragnieniem konfiguratora jest tworzenie wszystkiego co możliwe. Z tego punktu widzenia powtórzenie jest stratą czasu i powoduje nudę.

- To najdziwniejszy sposób rozumowania, jaki kiedykolwiek słyszałem - powiedział Gregor. -

Ale przypuśćmy, że masz rację, cóż możemy począć?

- Nie mam pojęcia.

- Tak właśnie myślałem.

Na kolację tego wieczoru Konfigurator wyprodukował bardzo przyzwoity kawałek rostbefu. Na deser podróżnicy zjedli szarlotkę i kawałek ostrego francuskiego sera. Posiłek bardzo podniósł ich samopoczucie.

- Materiały zastępcze - rzekł Gregor puszczając dym z konfiguratorowego cygara. - Tego powinniśmy spróbować. Stop numer 342 nie jest jedynym materiałem, jakiego możemy używać do tych płytek. Istnieje całe mnóstwo innych surowców, które wytrzymują podróż na Ziemię.

Jednak nie można było nabrać konfiguratora na to, by wyprodukował płytkę z żelaza czy też jakiegokolwiek stali. Zażądali i otrzymali płytkę z brązu. Lecz maszyna odmówiła potem wykonania płytki z miedzi lub cyny. Następnie zamówili płytki z aluminium, z kadmu, platyny, złota i srebra. Potem przypomnieli sobie tungsten. Arnold był ciekaw, w jaki sposób maszyna wykonała to zamówienie. Gregor sprzeciwił się plutonowi i zaczynało im już brakować materiałów. Arnoldowi przypomniało się, że niezłym materiałem zastępczym będzie twarda płytka ceramiczna. Wreszcie ostatnią płytkę zamówili z czystego cynku.

Wprawdzie szlachetne metale będą miały tendencje do topienia się podczas podróży, lecz przy zastosowaniu odpowiedniego chłodzenia mogą wytrwać aż do powrotu na Ziemię. W sumie odwalili tej nocy kawał roboty. Toteż z nową nadzieją wzniesli toasty kielichami z doskonałym sherry, zatracającym lekko olejem.

Następnego dnia wspólnicy zamocowali płytki na miejscu i przyjrzeni się swojej pracy. Rufa okrętu przypominała pocerowaną pończochę.

- Wygląda dosyć ładnie - zauważył Arnold.

- Mam nadzieję, że wytrzyma - powiedział Gregor. No, a teraz trzeba dorobić części do aparatu automatycznego sterowania.

Ale to była już zupełnie inna sprawa. Brak było czterech jednakowych, delikatnych, precyzyjnie wykonanych przyrządów ze szkła i cieniutkiego drutu. Tu nie można było stosować materiałów zastępczych.

Konfigurator wykonał pierwszą część bez wahania. Ale to było wszystko. Około południa podróżnicy stracili ochotę do dalszych prób.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał Gregor.

- Nie w tej chwili. Zróbmy przerwę obiadową.

Zdecydowali, że najchętniej zjedzą sałatkę z krabów i wydali odpowiedni rozkaz maszynie.

Konfigurator pomruczał przez chwilę, lecz nie wyprodukował nic.

- O co chodzi? - Gregor spojrzał pytająco na maszynę.

- Tego się bałem - powiedział Arnold.

- Czego? Przecież nie zamawialiśmy do tej pory krabów. - Nie. Ale żądaliśmy raków. Obawiam się, że konfigurator podejmuje decyzje zależnie od klas i gatunków. - No to trzeba otworzyć kilka puszek.

Arnold uśmiechnął się niewyraźnie.

- Gdy już kupiłem konfigurator, sądziłem, że nie będziemy musieli...

- Nie ma konserw? - Nie.

Powrócili do maszyny i zażądali łososia, tuńczyka i węgorza - bez rezultatu. Następnie spróbowali pieczonej wieprzowiny, baraniny i cielęciny. Nic.

- Boję się, że nasz konfigurator uważa rostbef za reprezentatywny dla wszystkich ssaków - powiedział Arnold.

- To ciekawe. Będziemy mogli tu rozwinąć całą nową teorię gatunków...

- Umierając z głodu - przerwał Gregor. Spróbował zamówić pieczoną kurę - i tym razem konfigurator wykonał polecenie natychmiast.

- Eureka! - wykrzyknął Arnold.

- Do diabła! - zaklął Gregor. - Powinienem być zażądać indyka, dużego indyka.

Deszcz padał dalej i woda ściekała po wielokolorowej rufie statku. Arnold usiadł w kącie i długo coś kombinował. Gregor dopił sherry, spróbował bez powodzenia zamówić butelkę szkockiej whisky i począł rozkładać pasjansa. Podczas tego zajęcia najlepiej mu się myślało.

Na kolację zjedli resztki kury, a następnie Arnold dokończył swe rachunki.

- Tak, z tego coś może być - powiedział wreszcie.

- Z czego?

- Zasada przyjemności i nudy.

Arnold wstał i począł się przechadzać po kabinie tam i na powrót.

- Ta maszyna ma quasi-ludzkie cechy. Niewątpliwie potrafi się uczyć. Sądzę, że potrafimy ją nauczyć doznawania przyjemności z produkowania tego samego przedmiotu wielokrotnie. A mianowicie części do mechanizmu automatycznego sterowania.

- Warto spróbować - zgodził się Gregor.

Do późnej nocy obaj podróżnicy pouczali łagodnym głosem maszynę. Arnold przekonywał ją o radości, jaką może dać powtarzanie. Gregor wyrażał się z uznaniem o wrażeniach estetycznych, czerpanych z produkowania tak pięknych obiektów, jak części do mechanizmu automatycznego sterowania i to w kilku identycznych egzemplarzach.

Konfigurator zapalał i gasił lampki, szczekał zębatymi kółkami pokazując w ten sposób, że słucha uważnie. I gdy wreszcie noc ustąpiła blademu świtowi, Arnold nacisnął guzik i wydał polecenie wykonania części do mechanizmu sterującego.

Maszyna się zawahała. Światła migotały niepewnie, wskazówki zegarów poczęły błędzić po skalach. Konfigurator wyraźnie się zastanawiał. Wreszcie aparat szczęknął i - wyrzucił jeszcze jedną żadaną część.

- Brawo! - zawołał Gregor i poklepał mocno po plecach Arnolda. Następnie szybko powtórzył swój rozkaz. Lecz konfigurator długo i przeciągle zamruczał i nie wyprodukował nic.

Gregor spróbował jeszcze raz, lecz tym razem maszyna nawet się nie zawahała, lecz stała spokojnie.

- Co się tam teraz zepsuło? - zapytał Gregor.

- Jasna rzecz - powiedział smutno Arnold. - Konfigurator zdecydował się spróbować powtórzenia, po prostu, żeby się przekonać, jak to wygląda. Lecz po tej próbie przestało mu się to podobać.

- Maszyna, która nie lubi powtarzać! - zawołał Gregor. - To nieludzkie!

- Przeciwnie, to jak najbardziej ludzkie!

Przyszła pora kolacji i partnerzy musieli się dobrze napocić, zanim wymyślili potrawy, które aparat zechciałby wyprodukować. Bukiet z jarzyn byłby najłatwiejszym rozwiązaniem, lecz było to danie mało pożywne. Udało im się uzyskać jeden bochenek chleba, lecz już nie ciasto. Wszystkie produkty mleczne były wykluczone, ponieważ kilka dni temu jedli ser.

Wreszcie, po godzinnych próbach, konfigurator dał im porcję wielorybiego mięsa.

Po posiłku Gregor ponownie rozpoczął wygłaszać przemówienia na temat rozkoszy powtarzania.

Stały pomruk i błyskanie świateł wskazywały, że konfigurator słuchał z uwagą. Był to dobry znak.

Wilgoć zaczynała się wkradać do kabiny statku. Części stalowe pokryła rdza, a na ubraniach podróżników zjawiała się pleśń.

Na następny posiłek nic nie mogli wymyślić.

Wówczas Gregor wpadł na pewien pomysł. Powoli zbliżył się do konfiguratora. Arnold podniósł głowę, przerażony dzikim blaskiem oczu towarzysza.

- Gregor! Co chcesz zrobić?

- Mam zamiar wydać tej maszynie ostatni rozkaz. Drżącą ręką Gregor nacisnął guziczek i szepnął swoje polecenie. Nastąpiła chwila ciszy. Nagle Arnold krzyknął:

- Cofnij się! Cofnij się!

Konfigurator począł drżeć i trząść się, wskazówki jak szalone biegały po tarczach, światełka zapalały się spazmatycznie.

- Co mu kazałeś wyprodukować? - zapytał Arnold. - Nie kazałem mu nic produkować - powiedział Gregor. - Kazałem mu się z r e p r o d u k o w a ć!

Konfiguratorem wstrząsały konwulsje i z maszyny począł wydobywać się czarny dym.

Podróżnicy zakaszleli i poczęli się dusić.

Gdy dym się rozwiął, aparat stał w dalszym ciągu na swoim miejscu z popękaną farbą i pokrzywionymi częściami. A obok niego, błyszczący nowością, stał drugi konfigurator.

- Brawo! - Arnold nie posiadał się z radości. Uratowałeś nas.

- Żeby tylko to - powiedział z zadowoleniem Gregor. - To przedsięwzięcie przyniesie nam sławę i majątek. - To powiedziawszy obrócił się do nowego konfiguratora, nacisnął guzik i rozkazał: - Zreprodukuje się!

W ciągu tygodnia Arnold, Gregor i trzy konfiguratory Zawinęli z powrotem do kosmoportu im. Kennedy'ego. Nie musieli już nic robić, tylko cierpliwie czekać na fortunę, która sama wpadnie im w ręce. Zaraz po wylądowaniu Arnold opuścił statek i złapał taksówkę. Pojechał najpierw na ulicę Canal, a potem do śródmieścia Nowego Jorku. Uwiął się szybko ze swoimi sprawami i po kilku godzinach był z powrotem na statku.

- Dobra, wszystko w porządku! - zawołał do Gregora. - Byłem u kilku jubilerów. Możemy sprzedać jakieś dwadzieścia dużych kamieni, ale bez robienia sensacji na rynku. A potem trzeba zmusić konfiguratory do produkcji platyny, przez pewien okres, a później... co u diabła?

Gregor popatrzył na niego kwaśno.

- Czy zauważyłeś jakieś zmiany?

- Mhm? - Arnold rozejrzał się po kabinie, rzucił okiem na Gregora i konfiguratory. W kabinie znajdowały się c z t e r y konfiguratory.

- Zmusiłeś je do wyprodukowania nowego? - spytał Arnold. - Nic nie szkodzi. Teraz niech produkują diamenty każdy z osobna.

- Jeszcze nie zrozumiałeś - powiedział Gregor ze smutkiem. - Spójrz.

Nacisnął guzik najbliższego konfiguratora i powiedział: "Diament". Konfigurator zaczął się trząść.

- Ty i ta twoja cholerna zasada przyjemności - jęknął Gregor. - Reprodukacja. Te przeklęte

maszyny oszalały na punkcie seksu!

Maszyna zatrzymała się i wyprodukowała następny konfigurator.

przekład : Stefan Nowina

Człowiek minimum

Każdy ma swoje pieśń, myślał Anton Perceveral. Ładna dziewczyna jest jak sentymentalna melodia, a dzielny zdobywca przestrzeni kosmicznej jak ekscytujące solo na trąbce. Mądrzy starcy z Rady Międzyplanetarnej kojarzą się z bogactwem tonów wydobywanych z instrumentów dętych. Są geniusze, których życie jest zawiłym, nieustannie upiększonym kontrapunktem; są też wyrzutki społeczności planet, których egzystencja wydaje się jedynie zawodzeniem oboju na tle nieubłaganego rytmu wybijanego na mosiężnych bębnach.

Perceveral rozmyślał o tym, trzymając w dłoni żyłkę i przyglądając się bladoniebieskim żyłom na nadgarstku.

Skoro każdy ma swoją pieśń, to on także. Jego przypomina zapewne źle skomponowaną i kiepsko wykonywaną symfonię błędów.

Urodził się przy stłumionych dźwiękach radosnego dęcia w rogi. Dzielnie, w rytm cichego akompaniamentu bębnów, młody Perceveral wyruszył na podbój szkoły. Okazał się lepszy od wielu innych i przyjęto go do małej klasy autorskiej, do której chodziło tylko pięciuset uczniów. Mógł więc liczyć na odpowiednie zainteresowanie ze strony nauczycieli.

Przyszłość zapowiadała się obiecująco.

Ale Anton Perceveral był od urodzenia pechowcem. Nieustannie przydarzały mu się jakieś drobne wypadki - wywracały się kałamarze, gubiły książki, zapodziały notatki. Rzeczy miały niezwykłą skłonność do łamania się w jego palcach, a czasami odwrotnie - to jego palce łamały się w zetknięciu z rzeczami. Co gorsza, łapał każdą możliwą chorobę wieku dziecięcego, łącznie z odrą, alergiczną świnką, pęcherzycą ospą wietrzną, zieloną febrą i febrą pomarańczową.

Oczywiście nie wpływało to na wrodzone zdolności Perceverala, ale by poradzić sobie w zatłoczonym i przesyconym duchem rywalizacji świecie, same -zdolności nie wystarczą. Trzeba mieć jeszcze sporo szczęścia, a Perceveral go nie miał ani za grosz. Został przeniesiony do zwykłej klasy liczącej dziesięć tysięcy uczniów, w której jego problemy się nasiliły. Ponadto - miał tam więcej okazji zarażenia się jakąś chorobą.

Był wysokim, szczupłym, dobrodusznym i pracowitym okularnikiem, którego lekarze już we wczesnym wieku kwalifikowali jako szczególnie podatnego na wypadki, z przyczyn, których nie umieli wyjaśnić. Ale jakiegokolwiek były te przyczyny, fakt pozostawał faktem. Perceveral należał do tych nieszczęśliwych ludzi, dla których życie było tak uciążliwe, że aż nie do zniesienia.

Większość ludzi prześlizguje się przez dżunglę ludzkiej egzystencji ze zręcznością żerującej pantery. Ale Perceveral nieustannie natykał się w tej dżungli na zasadzki, sidła i wnyki, niespodziewane urwiska i nieprzebyte strumienie, trujące grzyby i niebezpieczne bestie. Żadna droga nie była dla niego bezpieczna. Każda prowadziła do klęski.

Młody Perceveral przebrnął przez koledz pomimo wybitnego talentu do łamania sobie nóg na krętych klatkach schodowych, wybijania kostek na krawężnikach, miażdżenia łokci w drzwiach obrotowych, tłuczenia okularów o szyby okienne i całej reszty innych smutnych, śmiesznych, bolesnych wydarzeń, które towarzyszą ludziom podatnym na wypadki. Po męsku bronił się przed ucieczką w hipochondrię i nie ustawał w próbach.

Po ukończeniu koledzu Perceveral wziął się w garść i postanowił zrealizować związane z nim od dawna nadzieje stanowczego ojca i łagodnej matki. Przy akompaniamencie werbli i akordów wzruszenia Perceveral wkroczył na Manhattan, by tam wykuwać swój los. Ciężko pracował nad przewyciężeniem swojej nieszczęsnej predyspozycji, z całych sił starając się być mimo wszystko wesoły i nastawiony optymistycznie.

Ale jego pech był niepokonany. Wspaniałe akordy przemieniły się w ledwo słyszalne pomruki, a

symfonia jego rycia uległa degeneracji, przypominając operę buffo. Tracił pracę jedną po drugiej przy akompaniamencie warkotu poniszczonych głosopisów i zamazanych tuszem kontraktów, zapomnianych kart rejestrowych i źle włożonych zestawień; przy coraz głośniejszym crescendo łamanych w tłoku w metrze żeber, kostek wykręcanych na kratownicach osłaniających kanały ściekowe, okularów tłuczonych o nie zauważone występy w ścianach i ataków chorób, wśród których była żółtaczka typu J, grypa marsjańska, grypa wenusjańska, chorobliwa bezsenność oraz febra chichotliwa.

Perceveral nadal nie poddawał się pokusie hipochondrii. Marzył o przestrzeni kosmicznej, o nieustraszonych odkrywcach nowych obszarów, o koloniach na dalekich planetach, o leżących z dala od znerwicowanej, plastikowej dżungli na Ziemi rozległych terenach, na których człowiek mógłby naprawdę odnaleźć samego siebie. Złożył nawet podanie do Urzędu Badań Planetarnych i Osadnictwa, ale został odrzucony. Niechętnie odsunął więc na bok swoje marzenia i podejmował się różnych prac. Przeszedł też terapie analizy, sugestii hipnotycznej, hipersugestii hipnotycznej i usuwania przeciwsugestii - wszystko na próżno.

Każdy ma swoje ograniczenia, a każda symfonia kiedyś się kończy. Perceveral utracił nadzieję pod koniec trzydziestego czwartego roku życia, kiedy został wyrzucony po trzech dniach z pracy, której poszukiwał przez dwa miesiące. To, jeśli chodzi o jego odczucia, było ostatnim humorystycznym, fałszywym akordem na cymbałach w utworze, którego zapewne po prostu nie należało zaczynać.

Ponuro odebrał swoją nikłą zapłatę, przyjął ostatni, wstrzemięźliwy uścisk dłoni byłego pracodawcy i zjechał windą do holu. Przez jego umysł już wtedy przewijały się luźne myśli o samobójstwie, w postaci kół ciężarówki, instalacji gazowej, wysokich budynków i wartkich rzek. Winda -zatrzymała się w wielkim wyłożonym marmurem holu, w którym stali umundurowani stróże porządku publicznego, a tłum ludzi czekał na wejście na ulice śródmieścia. Perceveral

ustawił się na końcu, bezmyślnie patrząc na licznik gęstości zaludnienia balansujący wokół wskaźnika paniki, i czekając na swoją kolej. Znalazłszy się na zewnątrz, włączył się w zwarty strumień ludzi, przesuwaną się w kierunku zachodnim czyli w stronę jego dzielnicy mieszkalnej. Myśli samobójcze nadal krążyły mu po głowie, choć już wolniej i przybierając konkretniejsze formy. Rozwagał różne metody. Kiedy dotarł do domu, wydostał się z tłumu i wślizgnął do wnętrza przez bramę wejściową.

Przedarł się przez nieustannie wypływający z korytarzy strumień dzieci i wszedł do przyznanej mu przez miasto sypialni. Wszedł, zamknął za sobą drzwi na klucz i wyjął żyletkę z maszynki do golenia. Położył się na łóżku opierając nogi o przeciwległą ścianę i przyglądał się bladoniebieskim żyłom na nadgarstku.

Czy potrafi to zrobić? Zrobić szybko i czysto, bez błędu i bez żalu? Czy znowu spartaczy wszystko i zostanie ubrany do szpitala, wijąc się z bólu i robiąc z siebie widowisko dla lekarzy stażystów?

W trakcie tych rozmyślań dostrzegł, że pod drzwi wsunięto mu jakąś żółtą kopertę. Był to telegram. Pojawił się w chwili, gdy Perceveral miał właśnie podjąć decyzję. Nadszedł z melodramatyczną wręcz nagłością, która wydawała się mocno podejrzana. Niedoszły samobójca odłożył jednak żyletkę i podniósł przesyłkę.

Była z Urzędu. Badani Planetarnych i Osadnictwa, potężnej organizacji, która kontrolowała każdy ruch człowieka w przestrzeni kosmicznej. Perceveral otworzył drżącymi palcami kopertę i zaczął czytać:

Sz. P. Anton Perceveral

Tymczasowe Osiedle Mieszkaniowe 1993

Dzielnica 43825,

Manhattan 212,

Nowy Jork

Drogi Panie Perceveral:

Trzy lata temu ubiegał się Pan u nas o stanowisko w jakiegokolwiek jednostce organizacyjnej poza Ziemią. Byliśmy zmuszeni wówczas odrzucić pańską ofertę. Jednakże dane Pana zostały wpisane do rejestru i ostatnio uaktualnione. Z prawdziwą przyjemnością pozwalam sobie zawiadomić Pana, że dysponujemy stanowiskiem, które może Pan objąć od zaraz i które - jak sędzę - jest dopasowane do Pańskich szczególnych uzdolnień i kwalifikacji. Wierzę, że nasza oferta zostanie przez Pana przyjęta, wraz z pensją 20 000 dolarów rocznie, wszelkimi dodatkami przysługującymi pracownikowi instytucji państwowej i nieograniczonymi możliwościami awansu.

Czy zechce Pan przyjść i porozmawiać ze mną na ten temat?

Z poważaniem William Haskeil

Zastępca Dyrektora Działu Kadr

WH

ibm3dc

Perceveral starannie złożył telegram i wsunął z powrotem do koperty. Jego pierwsza, ogromna radość nagle zgasła, ustępując miejsca uczuciu zniechęcenia.

Jakie to niby miał szczególne uzdolnienia czy kwalifikacje, które upoważniałyby go do pobierania dwudziestu tysięcy dolarów plus dodatki? Czy to możliwe, że pomyłono go z jakimś innym Amonem Perceveralem?

Wydawało się to mało prawdopodobne. Urząd po prostu nie popełniał takich błędów. Zakładając jednak, że znali go i jego niefortunną przeszłość czego mogli chcieć? Co był w stanie zrobić takiego, czego praktycznie każdy inny mężczyzna, kobieta, a nawet dziecko nie mogłoby zrobić lepiej?

Perceveral schował telegram do kieszeni, po czym umieścił żyłkę z powrotem w maszynie do

golenia. Samobójstwo wydało mu się teraz posunięciem nieco przedwczesnym. Najpierw dowie się, czego chce Haskell.

W siedzibie Urzędu Badań Planetarnych i Osadnictwa natychmiast poprowadzono Percevala do prywatnego gabinetu Williama Haskella. Zastępca dyrektora kadr był potężnym mężczyzną, miał ostre rysy i siwe włosy. Promieniował wylewną radością, która wydała się Perceveralowi podejrzana.

- Proszę siadać, niech pan siądzie, bardzo proszę, panie Perceveral - przywitał go Haskell
Papierosa? A może napiłby się pan czegoś? Tak się ogromnie cieszę, że mógł pan przyjść.
- Czy jest pan pewien, że jestem tym człowiekiem, o którego panu chodzi? - upewnił się Perceveral.

Haskell rzucił okiem na teczkę osobową, leżącą na jego biurku.

- Zaraz sprawdzimy. Anton Perceveral, lat trzydzieści cztery, rodzice: Gregory James Perceveral i Anita Swaans Perceveral, zamieszkały w Laketown, w stanie New Jersey. Zgadza się?

- Tak - przytaknął Perceveral. - I ma pan dla mnie pracę?

- W rzeczy samej.

- Za którą dostanę dwadzieścia tysięcy rocznie i dodatki?

- Dokładnie.

- Czy może mi pan powiedzieć, co to za praca?

- Po to się właśnie spotkaliśmy - odparł radośnie Haskell. - Otóż praca, o jakiej myślę dla pana, panie Perceveral, w naszym katalogu nazywa się "zwiadowca pozaziemski".

- Słucham?

- Zwiadowca pozaziemski czyli badacz obcych planet - wyjaśnił Haskell. - Zwiadowcy, jak pan wie, to tacy ludzie, którzy jako pierwsi nawiązują kontakt z nieznanymi planetami, pierwsi osadnicy, którzy zbierają dla nas podstawowe informacje. Uważam ich za Drake'ów i Magel tanów

naszej epoki. Jest to, jak sam pan chyba przyzna, doskonała szansa.

Perceveral wstał, z twarzą czerwoną jak burak. - Jeśli skończył pan już te żarty, pozwolę sobie wyjść.

- Słucham?

- Ja miałbym być zwiadowcą pozaziemskim? - spytał Perceveral, śmiejąc się gorzko. - Proszę sobie ze mnie nie kpić. Czytuję gazety i wiem, jacy ludzie zostają odkrywcami.

- No, jacy?

- Najlepsi na Ziemi - odparł Perceveral. Najdoskonalsze umysły w najwspanialszych ciałach. Ludzie o niezwykłym refleksie, potrafiący rozwiązać każdy problem, poradzić sobie w każdej sytuacji, przystosować się do życia w każdym środowisku. Czyż nie tak?

- No cóż - stwierdził Haskell - tak to było w początkowym okresie badań planetarnych. I pozwoliliśmy, aby ten stereotyp nadal funkcjonował publicznie, dla podtrzymania zaufania. Ale ten typ zwiadowcy już się przeżył. Jest całe mnóstwo zajęć dla ludzi takich, jakich pan opisał. Ale nie badania Kosmosu.

- Czyżby pańscy supermani nie byli w stanie sprostać wymaganiom? - spytał Perceveral z lekką nutką ironii w głosie.

- Oczywiście, że byliby. Nie ma w tym żadnego paradoksu. Osiągnięcia pierwszych odkrywców są niepodważalne. Ci ludzie potrafili przeżyć na każdej planecie, gdzie ludzkie życie było ledwie znikomo możliwe, radząc sobie z przytłaczającymi przeciwnościami wyłącznie dzięki hartowi i wytrwałości. Ich praca wymagała poświęcenia bez granic, a oni byli w stanie sprostać wszelkim wyzwaniom. Stali się nieśmiertelnym pomnikiem wytrzymałości i zdolności przystosowawczych Homo sapiens.

- Czemu więc przestaliście korzystać z ich usług?

- Ponieważ zmieniły się nasze problemy na Ziemi - powiedział Haskell. - W początkowym

okresie badanie Kosmosu było przygodą, osiągnięciem naukowym, środkiem służącym celom obronnym, symbolem. Ale to już minęło. Tendencja do przeludnienia na Ziemi utrzymuje się, a nawet narasta. Miliony ludzi zalało stosunkowo dotąd mało zaludnione obszary, takie jak Brazylia, Nowa Gwinea i Australia. W wielkich miastach osiągnięto wskaźnik przeludnienia na poziomie paniki i zaczęło dochodzić do rozruchów. A liczba ludności, także dzięki geriatrici i dalszemu gwałtownemu spadkowi śmiertelności niemowląt, nadal rośnie.

Haskell potarł czoło.

- Potworne zamieszanie. Ale etyka przyrostu liczby ludności to nie moja sprawa. My tu, w Urzędzie, wiemy tylko tyle, że musimy pozyskiwać jak najszybciej nowe tereny. Potrzebne są nam planety, które - inaczej niż Mars czy Wenus - mogą w krótkim czasie stać się samowystarczalne. Tereny, które wessałyby miliony ludzi, podczas gdy uczeni i politycy będą usiłowali przywrócić porządek na Ziemi. Musieliśmy umożliwić błyskawiczną kolonizację tych obszarów. A to oznaczało przyspieszenie badań nad odkryciami.

- Wiem o tym - stwierdził Perceveral. - Ale nadal nie rozumiem, dlaczego przestaliście wykorzystywać optymalny typ zwiadowcy.

- Czyż to nie oczywiste? Szukaliśmy miejsc, gdzie mogli się osiedlić i przeżyć zwykli ludzie. A nasz optymalny typ zwiadowcy nie był typem zwykłego człowieka. Wręcz odwrotnie, był niemal przedstawicielem nowego gatunku. Nie mógł więc właściwie oceniać warunków, niezbędnych do przetrwania dla przeciętnych ludzi. Na przykład są posępne, ponure, deszczowe małe planety, które przeciętny kolonista uważa za przygnębiające aż do szaleństwa, ale nasz optymalny zwiadowca jest zbyt odporny psychicznie, aby monotonia klimatu mogła wywrzeć na niego wpływ. Zarazki, które są w stanie zabić tysiące ludzi, u niego powodują zaledwie czasowe pogorszenie samopoczucia. Niebezpieczeństwa grożące klęską całej kolonii nasz optymalny zwiadowca po prostu omija. Nie potrafi oceniać rzeczy w kategoriach codzienności. Tego typu problemy dla niego nie istnieją.

- Zaczynam rozumieć.

- Najlepszą metodą - mówił dalej Haskell byłoby zdobywanie planet etapami. Najpierw zwiadowca, potem podstawowa grupa badaczy, następnie próbna kolonia złożona głównie z psychologów i socjologów, potem znów grupa badaczy, którzy interpretowaliby odkrycia tamtych grup i tak dalej. Ale na to nigdy nie ma dość czasu ani pieniędzy. Kolonie są nam potrzebne teraz, a nie za pięćdziesiąt lat.

Haskell przerwał i spojrział twardym wzrokiem na Perceverala.

- Jak więc pan widzi, musimy zdobyć natychmiast informacje, czy grupa zwykłych ludzi może mieszkać i działać na nowej planecie. Dlatego zmieniliśmy wymagania co do kwalifikacji, jakie musi posiadać zwiadowca.

Perceveral kiwnął potakująco głową.

- Zwykli zwiadowcy dla zwykłych ludzi. Jednakże istnieje pewien szkopuł - powiedział.

- To znaczy?

- Nie wiem, jak dobrze zna pan moją przeszłość...

- Dość dobrze.

- A zatem być może zauważył pan, że mam pewne skłonności do... no, że jestem szczególnie podatny na wypadki. I mówiąc szczerą prawdę, jest mi wystarczająco trudno przeżyć tu, na Ziemi.

- Wiem o tym - powiedział sympatycznym tonem Haskell.

- Jak więc mógłbym sobie poradzić na jakiejś obcej planecie? I czemu mielibyście zatrudnić właśnie mnie?

Haskell wyglądał na nieco zakłopotanego.

- Cóż, ocenił pan nasze stanowisko niezupełnie właściwie mówiąc, że mają być "zwykli zwiadowcy dla zwykłych ludzi". To nie jest takie proste. Kolonię zamieszkują tysiące, często miliony ludzi, którzy znacznie różnią się między sobą, jeśli chodzi o zdolność przetrwania. Ludzkie

podejście i prawo wymagają, aby wszyscy mieli szansę. Co więcej, muszą mieć pewność tej szansy, nim opuszczą Ziemię. Musimy przekonać ich, a także prawo i samych siebie, że nawet najslabsi będą mogli przetrwać.

- Proszę mówić dalej - powiedział Perceveral. - Dlatego też - Haskell wyraźnie przyspieszył - kilka lat temu przestaliśmy wykorzystywać zwiadowców o maksymalnej zdolności przeżycia i zaczęliśmy zatrudniać zwiadowców o minimalnej zdolności.

Perceveral siedział przez chwilę w milczeniu, przetrawiając tę informację.

- Tak więc jestem wam potrzebny, ponieważ jeśli ja przeryję gdzieś, będzie to znaczyło, że może tam żyć dosłownie każdy.

- Można by to mniej więcej tak właśnie podsumować - przyznał Haskell, z miłym uśmiechem.

- A jaką mam szansę?

- Niektórzy z naszych zwiadowców o minimalnej zdolności przeżycia radzą sobie bardzo dobrze.

- A inni?

- Oczywiście istnieje pewne ryzyko - przyznał Haskell - i oprócz potencjalnych niebezpieczeństw, jakie mogą pana czekać na nowej planecie, w samej istocie eksperymentu zawiera się pewne zagrożenie. Nie mogę nawet powiedzieć panu jakie, ponieważ zepsułoby to jedyny element kontrolny naszego testu na minimalną zdolność do przetrwania. Powiem panu tylko, że takie zagrożenie istnieje.

- Niezbyt zachęcająca perspektywa.

- Zapewne nie. Ale proszę pomyśleć o nagrodzie, jaka pana czeka, jeśli się panu powiedzie.

Stanie się pan wówczas założycielem kolonii! Pana wartość jako eksperta będzie nieoceniona. I będzie pan miał swoje stałe miejsce w społeczności. A poza tym, co jest równie ważne, może uda się panu rozproszyć pewne zdradliwe wątpliwości co do pańskiego miejsca na świecie.

Perceveral przytaknął niechętnie.

- Proszę mi jeszcze jedno wyjaśnić. Wasz telegram przyszedł dzisiaj w szczególnym momencie.

Wydawać by się mogło...

- Tak, to zostało zaplanowane - przyznał Haskell. - Odkryliśmy, że ludzie, których potrzebujemy, są najbardziej podatni, kiedy docieramy do nich, gdy znajdują się w określonym stanie psychicznym. Uważnie obserwujemy tych kilku wybranych, którzy spełniają nasze wymagania, czekając na właściwy moment, aby złożyć im propozycję.

- Mogłoby być kłopotliwe, gdybyście przyszli godzinę później.

- Lub bezowocne, gdybyśmy byli dzień wcześniej. - Haskell wstał zza biurka. - Czy zje pan ze mną lunch, panie Perceveral? Przedyskutujemy resztę problemów przy butelce wina.

- Dobrze- zgodził się Perceveral. - Ale niczego jeszcze nie obiecuję.

- Oczywiście, że nie - powiedział Haskell, otwierając drzwi.

Po lunchu Perceveral przez jakiś czas intensywnie się zastanawiał. Praca w charakterze zwiadowcy ogromnie go pociągała mimo ryzyka. Poza wszystkim nie była bardziej niebezpieczna niż samobójstwo, a znacznie lepiej płatna. Nagroda, gdyby mu się udało, była wspaniała; a kara za niepowodzenie nie większa niż cena, którą o mały włos byłby zapłacił za swoje dotychczasowe porażki.

Przez trzydzieści cztery lata niezbyt dobrze radził sobie na Ziemi. Co najwyżej udawało mu się pokazać przebłycki zdolności, przyćmione dużą skłonnością do chorób, wypadków i popełniania błędów. Ale też Ziemia jest zatłoczona, hałaśliwa i zawikłana. Zapewne jego szczególna podatność na wypadki to nie żadna wada tkwiąca w nim, lecz efekt warunków, które są nie do zniesienia. Jako zwiadowca znalazłby się w nowym otoczeniu. Byłby sam, zdany tylko na siebie, odpowiedzialny przed samym sobą. To straszliwie niebezpieczne - ale czy jest cokolwiek bardziej niebezpiecznego niż lśniąca żyłtka we własnej dłoni?

Byłby to największy wysiłek w jego życiu, test ostateczny. Musiałby walczyć jak jeszcze nigdy,

by pokonać swoje fatalne skłonności. Ale tym razem rzuciłby do tej walki całą swoją siłę i determinację, do ostatniego grama.

Przyjął tę pracę. W ciągu następnych tygodni przygotowań żył determinacją. Nie opuszczała go ani na moment - jadł i pił z myślą o niej, wbijał ją sobie do głowy, oplatał nią system nerwowy, mamrotał o niej do siebie samego, jakby odmawiał buddyjską modlitwę, śnił o niej, myślał o niej czyszcząc zęby i myjąc ręce, medytował nad nią, aż ten monotony refren brzęczał mu w głowie na jawie oraz we śnie i powoli zaczął działać jak sprawdzian, jak ograniczenie jego czynów.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym podpisał zgodę na wyjazd na obiecującą planetę w Paśmie Gwiazdy Wschodniej. Haskell życzył mu szczęścia i zapowiedział, że będzie z nim utrzymywał kontakt za pośrednictwem radia L-fazowego. Perceveral wraz z ekwipunkiem został załadowany na pokład trójstopniowego statku Queen of Glasgow i przygoda się rozpoczęła.

W ciągu miesięcy spędzonych w przestrzeni kosmicznej Perceveral nadal obsesyjnie rozmyślał o swoim postanowieniu. Starał się zachować maksymalną ostrożność przy poruszaniu się w nieważkości, obserwował każdy swój ruch i rozważał każdy motyw. Ta nieustanna samokontrola znacznie zwalniała tempo jego działania, ale stopniowo stawała się nawykiem. Zaczął się u niego kształtować zespół nowych reakcji, walczących o lepsze z dotychczasowym.

Ale zmiany w jego zachowaniu następowały nieregularnie. Mimo wysiłków Perceveral doznał lekkiego podrażnienia skóry w reakcji na zastosowany na statku system oczyszczania, stłukł o jakiś występ jedną z dziesięciu par okularów, cierpiał na bóle głowy i pleców, a także wielokrotnie zdierał sobie skórę z kostek u rąk i wybijał palce u nóg.

Jednak czuł, że robi postępy, co jeszcze bardziej utwierdzało go w postanowieniu. W końcu na horyzoncie pojawił się cel podróży.

Planeta nazywała się Theta. Perceveral został wysadzony wraz ze swoim ekwipunkiem na trawiastej, zalesionej wyżynie w pobliżu pasma gór. Na podstawie badań przeprowadzonych z

powietrza, wybrano ten teren ze względu na jego walory. Woda, drewno, lokalne owoce i rudy minerałów-wszystko znajdowało się w pobliżu. Obszar wydawał się więc doskonały jako miejsce dla przyszłej kolonii.

Załoga życzyła Perceveralowi powodzenia i odleciała. Osamotniony zwiadowca wpatrywał się w niebo, póki statek nie zniknął w chmurach, po czym wziął się do pracy.

Najpierw uruchomił swojego robota. Była to wysoka, błyszcząca maszyna wieloczynnościowa, należąca do standardowego wyposażenia zwiadowców i osadników. Nie umiała mówić, śpiewać, recytować ani grać w karty, jak to było w przypadku droższych modeli. Jej jedyną odpowiedzią był przeczący lub potakujący ruch głowy. Nudne towarzystwo jak na rok czekający Perceverala. Ale była tak zaprogramowana, by spełniać wydawane słownie całkiem skomplikowane polecenia, wykonywać najcięższą pracę fizyczną i przejawiać pewną intuicję w trudnych sytuacjach.

Z pomocą robota Perceveral rozbił na równinie obóz, bacznie obserwując horyzont i wypatrując niepokojących sygnałów. Sonda powietrzna nie wykryła wprawdzie żadnych śladów obcej cywilizacji, ale nigdy nie wiadomo. Fauna Thety też jak dotąd była nie zbadana.

Perceveral pracował powoli i ostrożnie, a milczący robot uwijał się u jego boku. Do wieczora uporał się z budowaniem tymczasowego obozu. Uruchomił alarm radarowy i poszedł spać.

O bladym świetle obudził go przejmujący dźwięk alarmu. Ubrał się i pośpiesznie wybiegł. W powietrzu rozlegał się gniewny szum, jakby nadlatującej szarańczy.

- Przynieś dwa promienniki - polecił robotowi - i szybko wracaj. Przynieś też lornetkę.

Robot kiwnął potakująco i ruszył wykonać polecenie. Tymczasem Perceveral, drżąc pod wpływem przejmującego porannego chłodu, zaczął się powoli obracać w celu zlokalizowania kierunku, z którego dochodził dźwięk. Przebiegł wzrokiem po wilgotnej równinie, zielonym skraju lasu i widocznych dalej urwistych skałach. Nic się nie poruszało. Wreszcie dostrzegł wyraźnie widoczne na tle wschodzącego słońca coś, co wyglądało jak ciemna chmura. Chmura ta leciała w

kierunku obozu, przenosząc się z dużą prędkością pod wiatr.

Robot wrócił z promiennikami. Perceveral wziął jeden z nich i rozkazał robotowi trzymać drugi, gotowy do strzału. Robot przytaknął, bezmyślnie świecąc komórkami oczu i zwrócił się w stronę wschodzącego słońca.

Kiedy chmura podpłynęła bliżej, okazało się, że było to gigantyczne stado ptaków. Perceveral przyglądał się im przez lornetkę. Były wielkości mniej więcej ziemskich jastrzębi, ale ze względu na ciężki, nieporadny lot przypominały nietoperze. Miały ogromne szpony, a ich długie dzioby kończyły się ostrym zębem. Tak uzbrojone z pewnością musiały być drapieżnikami.

Z głośnym szumem ptaki okrążyły stojących przybyszów, po czym ze złożonymi skrzydłami i rozcapierzonymi szponami zaczęły atakować ich z wszystkich stron. Perceveral polecił robotowi otworzyć ogień.

Stali, opierając się o siebie plecami i razili nacierające na nich ptaki. W powietrzu zawirowało od pierza i krwi, kiedy całe hordy drapieżnych napastników spadały, jak skoszone. Perceveral i robot utrzymywali to stado latających wilków na dystans, a nawet zmusili je do cofnięcia się nieco. Ale w pewnym momencie promiennik Perceverala przestał działać.

Podobno miała to być broń z pełnymi magazynkami, gwarantującymi nieprzerwany, w pełni zautomatyzowany ogień przez siedemdziesiąt pięć godzin. To niemożliwe, aby promiennik zawiódł! Perceveral stał przez moment, bezmyślnie naciskając cyngiel. Wreszcie rzucił broń na ziemię i pobiegł do namiotu służącego za magazyn, pozostawiając robota samego na polu walki. Szybko odnalazł dwa zapasowe promienniki i wybiegł. Kiedy wrócił, zobaczył, że promiennik robota też nie działa, a on sam stoi wyprostowany, usiłując opędzić się rękami od chmary ptaków. Ze złączy stawowych kapały mu krople smaru, kiedy młócił gęsto atakujące go stado. Chwiał się przy tym niebezpiecznie na boki, ryzykując utratę równowagi, a kilka ptaków, którym udało się uniknąć ciosów jego rak, siedziało mu na ramionach, dziobiąc go po komórkach ocznych i antenie

kinestetycznej.

Perceveral uruchomił oba promienniki na raz i zaczął razić stado. Jeden automat zepsuł się niemal natychmiast. Strzelał z ostatniego, jaki posiadał, modląc się, aby ten nie zawiódł.

W końcu ptaki, przerażone ponoszonymi stratami, wzbiły się w powietrze i odfrunęły, skrzecząc i pohukując. Perceveral i jego robot, cudem nie odniósłszy ran, stali po kolana w pierzu, otoczeni zwęglonymi ciałami napastników.

Perceveral popatrzył na cztery promienniki, z których trzy okazały się do niczego, po czym pomaszerował do namiotu telekomunikacyjnego.

Skontaktował się z Haskelllem i opowiedział mu o napastnikach oraz awarii trzech spośród czterech promienników. Z czerwoną od wściekłości twarzą krytykował ludzi odpowiedzialnych za sprawdzenie wyposażenia zwiadowcy. Wreszcie, straciwszy oddech, przerwał i czekał na przeprosiny oraz wyjaśnienia.

- To było jednym z elementów eksperymentu - oświadczył Haskell.

- Co?

- Wyjaśniałem to panu kilka miesięcy temu. Sprawdzamy możliwość przetrwania w warunkach minimalnych. Minimalnych, pamięta pan? Musimy wiedzieć, co stanie się z kolonią złożoną z ludzi o bardzo różnym stopniu zaradności. Dlatego szukamy najmniejszego wyróżnika.

- Wiem o tym wszystkim. Ale promienniki... - Panie Perceveral, tworzenie kolonii, nawet o absolutnie minimalnej bazie, jest operacją niesamowicie kosztowną. Wyposażamy naszych kolonistów w najnowszą i najlepszą broń oraz cały ekwipunek, ale nie możemy wymieniać rzeczy, które się zepsują czy zużyją. Osadnikom zabraknie w pewnym momencie amunicji, sprzęty się połamią lub zniszczą, zapasy żywności wyczerpią lub zepsują...

- I ja zostałem wyposażony w taki sam sposób? - spytał Perceveral.

- Naturalnie. Eksperymentalnie wyposażyliśmy pana w sprzęty stanowiące minimum niezbędne

do przeżycia. To jedyny sposób, abyśmy mogli przewidzieć, jak koloniści poradzą sobie na Thecie.

- To nieuczciwe! Zwiadowcy zawsze otrzymują najlepszy sprzęt!

- Nieprawda - zaprzeczył Haskell. - Tak było za czasów dawnych zwiadowców, o maksymalnej zdolności przeżycia. Ale sprawdzamy przecież warunki minimalne i to musi się odnosić w jednakowym stopniu do sprzętu, jak i do osobowości. Uprzedzałem, że naraża się pan na niebezpieczeństwa.

- Tak, ale... W porządku. Czy ma pan w zanadrzu jeszcze jakieś niespodzianki dla mnie?

- Właściwie nie - odparł Haskell, po krótkim namyśle. - I pan i pańskie wyposażenie posiadacie minimalną zdolność przetrwania. Właściwie tak by to można podsumować.

Perceveral wyczuł, że odpowiedź była nieco wykrętna, ale jego rozmówca nie chciał ujawnić żadnych szczegółów. Rozłączyli się więc i zwiadowca wrócił do znajdującego się w stanie chaosu obozu.

Dla ochrony przed ewentualnymi kolejnymi atakami ptaków przeniósł swoją siedzibę do lasu.

Rozbijając na nowo obozowisko, Perceveral spostrzegł, że przynajmniej połowa sznurów, jakimi dysponował, była już mocno zużyta, urządzenia elektryczne zaczynały się przepalać, a płótno namiotów miejscami pokryła pleśń. Cierpliwie poreperował wszystko, zdzierając sobie przy tym skórę z palców i dłoni. Wtedy zepsuł się generator.

Pocił się nad nim przez trzy dni, usiłując zorientować się w rodzaju uszkodzenia, mając do dyspozycji źle wydrukowaną instrukcję, napisaną do tego po niemiecku. Wszystko wyglądało nie tak i nic nie chciało działać. W końcu przez czysty przypadek odkrył, że instrukcja była od zupełnie innego modelu. To go wytrąciło z równowagi i zaczął kopać generator, przy czym o mały włos nie złamał sobie małego palca u prawej nogi.

Wreszcie wziął się w garść i przez kolejne cztery dni ślęczał nad różnicami pomiędzy modelem, jakim dysponował, a tym, który opisano w instrukcji, aż udało mu się uruchomić generator.

Ptaki odkryły, że mogą sfrunąć między drzewami do obozu, podkraść trochę żywności i uciec, nim Perceveral lub robot zdąży wycełować w nie promiennik. Ich ataki kosztowały Perceverala parę okularów i paskudną ranę na szyi. Pracowicie utkał więc sieci i przy pomocy robota rozciągnął je między gałęziami drzew nad całym obozem.

Ptaki nie mogły już szkodzić. Perceveral znalazł wreszcie wolną chwilę, by sprawdzić zapasy.

Odkrył, że wiele spośród suszonych produktów było niewłaściwie zabezpieczonych, a w innych zaległy się obrzydliwe robaki. I jedno i drugie należało uznać za zmarnowane. Jeśli nie podejmie już teraz jakichś kroków, zostanie bez zapasów niezbędnych do przetrwania zimy na Thecie.

Zabrał się w związku z tym do testowania miejscowych owoców, zbóż i jarzyn. Liczne ich odmiany okazały się jadalne i o odżywczych własnościach. Kiedy jednak zaczął je jeść, dostał silnej wysypki na tle alergicznym. Dzięki starannemu smarowaniu maścią udało mu się pozbyć alergii i rozpoczął badania, szukając rośliny, która go uczuliła. Ale kiedy zamierzał sprawdzić wyniki, zbliżył się robot i przez nieuwagę stłukł próbkę, rozlewając przy tym wszystkie odczynniki, jakie posiadali.

Perceveral musiał zatem kontynuować doświadczenia na sobie samym. W efekcie wyeliminował jeden rodzaj jagód i dwa okazy warzyw jako nie nadające się dla niego do spożycia.

Ale ogólnie owoce były doskonałe, a z miejscowych zbóż dawało się upiec świetny chleb.

Perceveral nazbierał ziarna i w porze późnej thetańskiej wiosny polecił robotowi zaorać pole i zasiać ziarno.

Robot pracował niezamieszanie na nowych polach, podczas gdy Perceveral zajął się przeszukiwaniem okolicy. Odnalazł kawałki wygładzonej skały, na których były wyskrobane jakieś znaki wyglądające na cyfry, a nawet kreskowe obrazki drzew, chmur i szczytów górskich. Doszedł do wniosku, że musiały tu niegdyś mieszkać jakieś istoty inteligentne. Całkiem prawdopodobne, że nadal zamieszkują one niektóre rejony planety. Nie miał jednak czasu ich szukać.

Kiedy sprawdził bowiem pola, stwierdził, że robot posiał ziarno o wiele za głęboko, choć Perceveral zaprogramował mu odpowiednie instrukcje. Te ziarna zostały zmarnowane i następne Perceveral posiał własnoręcznie.

Zbudował też drewniany barak dla siebie oraz szopy, do których przeniósł zapasy z butwiejących namiotów. Pomału przygotowywał się do zimy. I pomału nabierał podejrzeli, że robot zaczyna się zużywać.

Wielka czarna maszyna wieloczynnościowa jak i przedtem wykonywała swoje zadania. Ale jej ruchy stawały się coraz bardziej niezręczne i coraz częściej urywała siły w sposób niekontrolowany. Ciężkie słoje pękały w jej uścisku, narzędzia łamały się. Perceveral zaprogramował robota, aby opielił pola, ale w tym samym czasie gdy jego race wrywały chwasty, ogromne, płaskie stopy rozdeptywały kiełkujące zboże. A kiedy szedł narąbać drewna do ogniska, zazwyczaj przy okazji łamał trzonek siekiery. Drewniany barak drżał, kiedy robot wchodził do środka, a drzwi czasami wylatywały z zawiasów.

Perceverala bardzo martwiło psucie się robota. Nie był w stanie zreperować go, ponieważ został on trwale zapieczętowany i mogli go naprawić wyłącznie technicy z fabryki, wyposażeni w specjalne narzędzia, części zamienne, a przede wszystkim wiedzę. Perceveral mógł tylko wyłączyć robota, ale wtedy zostałby zupełnie sam.

Dawał więc mu coraz prostsze zadania i coraz więcej pracy wykonywał samodzielnie. Ale robot nadal działał coraz gorzej. Aż któregoś wieczoru, kiedy Perceveral jadł obiad, robot nagle zachwiał się nad piecykiem węglowym i potrąciwszy garnek, wyrzucił w powietrze gotujący się ryż.

Bogatszy o nowo nabyte umiejętności radzenia sobie, Perceveral uchylił się na bok i wrząca masa wylądowała mu na ramieniu, a nie na twarzy.

Ale tego było już zbyt wiele. Robot stał się niebezpiecznym towarzyszem. Opatrzywszy ranę Perceveral postanowił wyłączyć robota i kontynuować swoją misję samotnie. Zdecydowanym

głosem wydał maszynie polecenie samowylączenia.

Robot popatrzył na niego bez wyrazu i nadal nieustannie wiercił się po baraku, nie reagując na ten najbardziej elementarny rozkaz dla robotów.

Perceveral wydał polecenie ponownie. Robot pokręcił przecząco głową i zaczął układać w stosik drewno na podpałkę.

Coś było nie tak. Perceveral uznał więc, że musi wyłączyć robota ręcznie. Ale na gładkiej, czarnej powierzchni maszyny nie było ani śladu wyłącznika. Mimo to Perceveral wziął narzędzia i zaczął zbliżać się do robota.

Ze zdumieniem zauważył jednak, że maszyna, unosząc obronny gest ręce, odsuwa się od niego.

- Stój spokojnie! - krzyknął Perceveral.

Robot cofał się, póki nie wylądował plecami na drewnianej ścianie.

Perceveral zawahał się, rozmyślając nad tym, co mogło się stać. Maszyny nie mogły być nieposłuszne. A gotowość do autodestrukcji dokładnie programowano w każdym modelu obdarzonych intelektem urządzeń.

Zbliżył się do robota, zdecydowany za wszelką cenę jakoś go wyłączyć. Robot wyczekał chwili, aż Perceveral podszedł całkiem blisko, po czym zamierzył się nań swoją potężną pięścią.

Perceveral uchylił się przed ciosem i rzucił kluczem francuskim w kinestetyczną antenę robota.

Robot szybko wciągnął antenkę i zamachnął się ponownie. Tym razem jego pięść trafiła Perceverala w żebra.

Zwiadowca upadł na ziemię, a robot stanął nad nim, świecąc czerwonymi komórkami ocznymi, rytmicznie zaciskając i otwierając palce. Perceveral zamknął oczy i czekał na cios ostateczny. Ale maszyna odwróciła się i wyszła z baraku, wrywając przy okazji zamek z drzwi.

Po kilku minutach z podwórza dobiegły odgłosy świadczące, że robot - jak zwykle - rąbie drewno

i układa je w stosy.

Perceveral obandażował sobie bok. Robot skończył pracę i wrócił po następne instrukcje.

Łamiącym się głosem zwiadowca posłał go po wodę do odległego źródła. Robot wyszedł, nie przejawiając już żadnych oznak agresji. Perceveral dowlókl się do baraku telekomunikacyjnego.

- Nie trzeba było próbować go wyłączyć oświadczył Haskell, usłyszawszy, co się stało. - On nie ma wbudowanego rozkazu autodestrukcji. Czy to nie było dla pana oczywiste? Dla własnego bezpieczeństwa proszę więcej już nie próbować.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ, jak się pan zapewne domyśla, robot działa jako nasz kontroler pańskiego zachowania.

- Nic rozumiem. Po co kontrolujecie moje zachowanie?

- Czy muszę panu to wszystko tłumaczyć od nowa? - spytał znużonym głosem Haskell. - Został pan zatrudniony jako zwiadowca o minimalnej zdolności przetrwania. Nic przeciętnej. Ani doskonałej. Minimalnej.

- Tak, ale...

- Proszę pozwolić mi dokończyć. Czy przypomina pan sobie, jaki pan był przez trzydzieści cztery lata na Ziemi? Nieustannie nękały pana jakieś wypadki, choroby i ogólnie miał pan pecha. Tego właśnie oczekiwaliśmy na Thecie. Ale pan się zmienił, panie Perceveral.

- W każdym razie z całą pewnością starałem się zmienić.

- To naturalne. Spodziewaliśmy się tego. Większość naszych zwiadowców o minimalnej zdolności przetrwania zmienia się. W nowych warunkach i mając szansę zacząć wszystko od nowa biorą się w garść jak nigdy przedtem. Ale my przecież nie to badamy, musimy więc jakoś rekompensować sobie te przemiany. Widzi pan, koloniści nie zawsze przybywają na nową planetę z zamiarem samodoskonalenia. I w każdej kolonii zdarzają się niezdary, nie mówiąc o starcach,

niedołęgach, osobnikach niedorozwiniętych, głupcach, niedoświadczonych dzieciach i tak dalej.

Nasze normy minimalnego przetrwania są gwarancją że wszyscy oni będą mieli szansę. Czy teraz zaczyna pan rozumieć?

- Tak sędzę.

- To dlatego potrzebna nam kontrola pańskiego zachowania; żeby powstrzymać pana od osiągnięcia przeciętnej albo nawet ponadprzeciętnej zdolności przetrwania, ponieważ nie taką testujemy.

- Dlatego robot... - zaczął Perceveral ponuro.

- Właśnie. Robot został zaprogramowany tak, żeby sprawdzać pański zdolność do przeżycia.

Reaguje na pana. Jak długo mieści się pan w ramach pańskiej, wcześniej określonej kategorii niekompetencji, robot współpracuje z panem. Ale kiedy pan robi postępy, staje się bardziej przystosowany do życia i mniej podatny na wypadki, zachowanie robota ulega pogorszeniu.

Zaczyna łamać rzeczy, które pan powinien połamać, podejmuje złe decyzje, które pan powinien podejmować...

- To nieuczciwe!

- Perceveral, czy panu się wydaje, że prowadzimy jakieś sanatorium lub program samopomocy dla pańskiej korzyści? Otóż tak nie jest. Interesuje nas tylko wykonanie określonej pracy, za który panu płacimy. Pracy, pozwolę sobie dodać, którą wybrał pan jako alternatywę wobec samobójstwa.

- W porządku! - krzyknął Perceveral. - Robię, co do mnie należy. Ale czy jest taki przepis, który stanowi, że nie mogę zdemontować tego przeklętego robota?

- Nie ma takiego przepisu - stwierdził Haskell, ścisząc głos - jeśli umie pan to zrobić. Ale szczerze panu radzę nie próbować. To zbyt niebezpieczne. Robot nie pozwoli się wyłączyć.

- To ja o tym decyduję, a nie on - oświadczył Perceveral i rozłączył się.

Na Thecie minęła wiosna i Perceveral uczył się postępowania z robotem. Kazał mu zbadać

odległe pasmo gór, ale robot odmówił rozstania się z nim. Próbował nie wydawać mu żadnych poleceń, ale ten czarny potwór nie chciał próżnować. Jeśli nie miał do wykonania określonej pracy, sam sobie wymyślał zajęcia, nagle rzucając się do robienia czegoś i siejąc spustoszenie na polach oraz w baraku Perceverala.

Broniąc się przed tym Perceveral dawał mu możliwie jak najprostsze zadania, jakie tylko był w stanie wymyślić. Kazał wykopać studnię, w nadziei, że maszyna się w niej sama zasypie, ale każdego wieczora robot wyłaniał się z dołu, usmarowany i triumfujący. Wchodził do baraku, strzepując Perceveralowi brud do jedzenia i wywołując tym alergie, tłukąc naczynia oraz szyby w oknach.

Z rezygnacją Perceveral zaakceptował taki stan rzeczy. Robot wydawał mu się teraz wcieleniem tej drugiej, ciemniejszej strony jego samego, niezdarnej i podatnej na wypadki. Obserwując go w czasie destrukcyjnych działań czuł się tak, jakby oglądał tę nieudaną część siebie samego, chorobę, która przybrała kształt realnej, żywej istoty.

Starał się uwolnić od tej obsesji. Ale robot coraz bardziej stawał się wyrazem jego własnych skłonności do niszczenia, niezależnych od impulsu życia i mogących się swobodnie rozwijać. Perceveral pracował, a jego neuroza kryła się cały czas tuż za nim, nieustannie niszczyć coś, a jednocześnie - w sposób typowy dla neuroz oszczędzając sama siebie. Ucieleśniona choroba żyła z nim, obserwowwała go, kiedy jadł, i przebywała w pobliżu, kiedy spał.

Perceveral robił swoje i stawał się coraz bardziej kompetentny. Starał się cieszyć za dnia, czym tylko mógł, czując żal, gdy zachodziło słońce, i przeżywając nocą strach, gdy robot stawał przy jego łóżku i robił wrażenie, jakby zastanawiał się, czy nadszedł już czas rozrachunku. Rankiem, nadal żywy, Perceveral rozmyślał nad tym, jak pozbyć się tej swojej potykającej się, przewracającej wszystko, niszczącej neurozy.

Ale nic się nie zmieniało, póki nie pojawił się nowy czynnik, który jeszcze bardziej

skomplikował sprawy.

Przez kilka dni padały ulewne deszcze. Kiedy pogoda się poprawiła, Perceveral wyruszył do pracy w polu. Robot szedł ciężkim krokiem za nim, niosąc narzędzia.

Nagle w wilgotnej glebie pod stopami Perceverala pojawiło się pęknięcie, które się poszerzyło i wreszcie zapadł się cały fragment pola, na którym stał. Perceveral uskoczył na twardey grunt, znajdując oparcie dla nóg na skraju zapadliny, a robot podciągnął go do góry, o mało nie wyrywając mu przy okazji ramienia ze stawu.

Perceveral zbadał miejsce, w którym ziemia się rozpadła, i zauważył, że biegnie tam tunel. Nadal były w nim widoczne ślady kopania. Jedna strona tunelu została zasypana, ale po drugiej korytarz ciągnął się głęboko pod ziemią.

Perceveral wrócił do obozu po promiennik i latarkę. Następnie zszedł do dziury i zaświecił w głąb tunelu. Dostrzegł wielkie, pokryte futrem stworzenie, pośpiesznie kryjąc się za zakrętem.

Wyglądało jak gigantyczny kret.

W końcu spotkał kolejny gatunek istot żyjących na Thecie.

Przez kilka następnych dni ostrożnie badał tunele. Kilka razy mignęły mu w zasięgu wzroku szare, podobne do kretów stworzenia, ale uciekały na jego widok, kryjąc się w labiryncie.

Postanowił więc zmienić taktykę. Przeszedł tylko kilkadziesiąt metrów głównym korytarzem i zostawił stworzeniom prezent w postaci owoców. Kiedy wrócił następnego dnia, owoców nie było.

Na ich miejscu leżały dwie grudki ołowiu.

Wymiana prezentów trwała tydzień. Wreszcie któregoś dnia, kiedy Perceveral przyniósł więcej niż zazwyczaj owoców i jagód, gigantyczny kret pojawił się, podchodząc z wyraźnym niepokojem.

Wskazał na trzymani przez Perceverala latarkę, zwiadowca zasłonił więc światło, tak żeby nie raziło kreta w oczy.

I czekał. Kret zbliżał się powoli, na dwóch nogach, ze zmarszczonym nosem i małymi,

pomarszczonymi łapkami złożonymi na piersi. Kiedy był już blisko, zatrzymał się, popatrzył na Perceverala wylupiastymi oczami, po czym pochylił się i wyskrobał w pyłe na ścieżce jakiś symbol.

Perceveral nic miał pojęcia, co ten symbol mógł zobaczyć. Ale sam ten fakt sugerował istnienie języka, inteligencji i zdolności do myślenia abstrakcyjnego. Wyskrobał więc obok symbolu kreta swój własny, aby zasygnalizować to samo.

Tak rozpoczęła się próba porozumienia się dwóch różnych gatunków. Robot stał za Perceveralem, świecąc komórkami ocznymi, przyglądając się, jak człowiek i kret szukali czegoś, co mogło ich połączyć.

Rozwój form kontaktu z mieszkańcami Thety stanowił dla Perceverala dodatkowe obciążenie. Musiał doglądać pól i ogródka, reperować sprzęty i pilnować robota, a w wolnych chwilach ciężko pracował nad zrozumieniem języka kretów. Te z kolei dokładały starań, by go nauczyć.

Pomału zaczęli się wzajemnie rozumieć, cieszyć swoim towarzystwem i zostali przyjaciółmi.

Perceveral poznał ich styl życia, dowiedział się o niechęci do światła, podróżach po podziemnych jaskiniach, głodzie wiedzy i oświecenia. Sam starał się z kolei nauczyć je jak najwięcej o tym, jacy są ludzie.

- A co to jest ta metalowa rzecz? - chciały wiedzieć krety.

- To jest służa człowieka - odpowiedział Perceveral.

- Ale to stoi za tobą i świeci. Ta metalowa rzecz cię nienawidzi. Czy wszystkie metalowe rzeczy nienawidzą ludzi?

- Z pewnością nie - zaprzeczył Perceveral. To szczególny przypadek.

- Boimy się tego. Czy wszystkie metalowe rzeczy budzą strach?

- Niektóre. Ale nie wszystkie.

- Trudno myśleć, kiedy ta metalowa rzecz gapi się na nas, trudno cię rozumieć. Czy zawsze tak

jest z tymi metalowymi rzeczami?

- Czasami przeszkadzają - przyznał Perceveral. - Ale nie martwcie się, robot was nie skrzywdzi.

Krety nie były jednak tego takie pewne.

Perceveral usiłował usprawiedliwiać, jak tylko potrafił, tę ciężką, chwiejącą się, gburowatą maszynę, opowiadał o tym, jakie usługi oddaje człowiekowi i jak bardzo ułatwia mu życie. Ale kreki lud nie nabrał zaufania do robota i peszył się w obecności tej przerażającej maszyny.

Mimo to po długotrwałych negocjacjach Perceveral zawarł układ z krecim ludem. W zamian za dostawę świeżych owoców i jagód, które stanowiły dla kretów pożądane, choć trudne do zdobycia dobro, podziemna społeczność zgodziła się wskazywać przyszłym kolonistom złoża metali oraz źródła wody i ropy naftowej. Co więcej, koloniści otrzymali prawo zagospodarowania całej powierzchni Thy, podczas gdy kretom zagwarantowana została ich własność podziemna.

Obie negocjujące strony uznały ten podział za sprawiedliwy i Perceveral oraz wódz kretów podpisali wyryty w kamieniu dokument, starając się, aby było na nim tyle ozdobnych zawijasów, ile tylko dało się wykrobać rylcem.

W celu przypieczętowania układu Perceveral wydał ucztę. Wraz z robotem zanieśli kreciemu ludowi dużą ilość różnych owoców i jagód. Okryte szarymi futerkami, o czułych oczach krety skupiły się nad prezentem, popiskując radośnie.

Robot postawił swoje kosze z owocami i zrobił krok do tyłu. Poślizgnął się przy tym o wystający, gładki kamień, stracił równowagę i upadł, przygniatając jednego z kretów. Natychmiast podniósł się i usiłował niezdarnymi żelaznymi rękami pomóc wstać poszkodowanemu stworzeniu. Jednak okazało się, że złamał mu kręgosłup.

Pozostałe krety uciekły, zabierając martwego towarzysza. A Perceveral i robot zostali sami w tunelu, wśród stosów owoców.

Tej nocy Perceveral długo rozmyślał. Widział przeklętą logikę tego wydarzenia. Kontakty z

obcymi mieszkańcami planety, w warunkach eksperymentu sprawdzającego minimalne możliwości przeżycia, powinny zawierać element niepewności, braku zaufania, nieporozumień, a nawet pociągnąć za sobą śmierć kilku osobników. Dotychczasowe kontakty z kretami układały się za dobrze jak na minimalne warunki przetrwania.

Robot po prostu wprowadził poprawkę, zrobił błąd, który Perceveral powinien był popełnić osobiście.

Ale choć Perceveral rozumiał logikę tego wydarzenia, nic mógł się z nim pogodzić. Krety przyjęły go przyjaźnie, a on je zdradził. Nie może już być między nimi mowy o zaufaniu, nie ma nadziei na współpracę z przyszłymi kolonistami. Przynajmniej póki robot tłucze się po tunelach. Perceveral postanowił więc, że robota należy zniszczyć. Raz. na zawsze. Użyje swoich z takim trudem nabytych umiejętności przeciw tej niszczącej neurozie, która nieustannie chodzi krok w krok za nim. A gdyby miał zapłacić za to życiem - cóż, pamiętał, że rok temu gotów był je oddać z bez porównania mniej istotnego powodu.

Ponownie nawiązał kontakt z kretami i przedyskutował z nimi ten problem. Zgodziły się mu pomóc, bo nawet ten łagodny lud znał pojęcie zemsty. Podsunęły kilka pomysłów, które były zaskakująco ludzkie, jako że krety posiadały także własną sztukę wojenną. Wyjaśniły jej zasady i Perceveralowi, który zgodził się wypróbować ich metodę.

Przygotowania zabrały kretom tydzień. Kiedy wszystko było gotowe, Perceveral obładował robota koszami owoców i poprowadził go do tuneli, jak gdyby podejmując próbę zawarcia kolejnego układu.

Kretów nie było nigdzie widać. Perceveral wraz z robotem weszli głębiej w korytarze, przyświecając sobie latarkami w ciemności. Komórki oczne robota rzucały czerwony blask, a on sam trzymał się jak najbliżej Perceverala, niemalże deptając mu po piętach.

Weszli do podziemnej pieczary. Perceveral usłyszał cichy gwizd i rzucił się do ucieczki. Robot

wyczuł niebezpieczeństwo i usiłował pobiec za nim. Potknął się jednak wskutek swojej zaprogramowanej niezdatności i owoce rozsypały się po ziemi. Wtedy z ciemnego sufitu pieczary spadły grube liny, motając głowę i ramiona robota.

Starał się zerwać z siebie mocne sznury, ale oplatywało go coraz więcej lin spadających z sufitu. Robot wściekle błyskając lampkami, usiłował zerwać sznury z ryk.

Z bocznych korytarzy wyłoniły się dziesiątki kretów. Zaczęły oplatywać jeszcze większą ilością sznurów robota, któremu ze złączy wyciekał już olej, gdy napręzał się, by zerwać wizy. Przez chwilę w pieczarze słychać było tylko świst spadających lin, skrzypienie złączy robota i suchy trzask pękających sznurów.

Perceveral wrócił biegiem i przyłączył się do walki. Wiązali robota coraz mocniej, aż wreszcie jego kończyny zostały unieruchomione. A mimo to nadal w powietrzu świszczą dalsze liny, póki robot nie znalazł się w kokonie, z którego wystawały mu tylko głowa i stopy.

Wtedy lud kreci zapiszczał triumfalnie i rzucił się na niego, usiłując wydłubać mu oczy pazurami przystosowanymi do kopania w ziemi. Ale na oczodoły robota nasunęły się metalowe powieki.

Krety zaczęły więc sypać mu piasek na stawy, aż wreszcie Perceveral odsunął zwierzęta na bok i próbował stopić maszynę za pomocą ostatniego pozostałego mu promiennika.

Ładunek wyczerpał się jednak, nim metal zdążył się choćby rozgrzać. Krety przywiązały więc sznury do stóp robota i pociągnęły go wzdłuż korytarza, który kończył się głęboką przepaścią.

Zepchnęły go z krawędzi i słuchały, jak obija się o granitowe skały, po czym ucieszyły się, gdy uderzył o dno.

Wtedy społeczność krecia zaczęła świętować. Perceveral czuł się jednak źle. Wrócił do baraku i przez dwa dni leżał w łóżku, powtarzając sobie w kółko, że nie zabił przecież człowieka, ani nawet żadnej istoty myślącej. Zniszczył tylko niebezpieczną maszynę.

Nie mógł jednak przestać myśleć o swoim milczącym towarzyszu, który walczył wraz z nim z

ptakami, pielął jego pola i zbierał dla niego drewno. Mimo że robot był niezdarny i niszczył rzeczy, działało się to wszystko w sposób bliski Percevalowi, w taki, jak on to niegdyś robił. Dlatego Perceveral, bardziej niż inni, mógł zrozumieć robota i czuć do niego sympatię.

Przez pewien czas czuł się tak, jakby umarła część jego osobowości. Ale wieczorami przychodziły do niego krety i pocieszały go, a poza tym czekało na niego dużo zajęć na polach i w szopach.

Była jesień, pora żniw i zbierania zapasów żywności. Perceveral zabrał się do pracy. Kiedy zabrakło robota, na krótko wróciła gnu chroniczna skłonność do wypadków. Zwalczył ją jednak dzięki nowemu dla niego poczuciu pewności siebie. Nim spadły pierwsze śniegi, zdążył ukończyć prace przy zbiorach i zabezpieczeniu żywności. A jego rok na Thecie zbliżał się ku końcowi.

Przekazał przez radio Haskellowi sprawozdanie z występujących na planecie zagrożeń i potencjału, poinformował o traktacie zawartym ze społecznością kretów i zarekomendował Thetę jako miejsce warte kolonizacji. Po dwóch tygodniach Haskell połączył się z nim drogą radiową.

- Dobra robota - pochwalił Perceverala. Urząd zdecydował, że Theta spełnia pod każdym względem nasze wymagania w zakresie minimalnych możliwości przetrwania. Natychmiast wysyłamy statek z kolonizatorami.

- Czy to znaczy, że eksperyment już się skończył? - spytał Perceveral.

- Tak jest. Statek powinien dotrzeć na miejsce za jakieś trzy miesiące. Ja pewnie też skorzystam z okazji i się przelecę. Moje gratulacje, panie Perceveral. Zostanie pan ojcem założycielem całkiem nowej kolonii!

- Nie wiem jak panu dziękować, panie Haskell... - Nie ma za co. To ja powinienem być panu wdzięczny. A przy okazji, jak pan sobie radzi z robotem?

- Zniszczyłem go - odparł Perceveral. Opisał zabicie kreta i wydarzenia, jakie po tym nastąpiły.

- Hm - westchnął Haskell.

- Powiedział mi pan, że prawo tego nie zabrania.

- Naturalnie, że nie. Robot jest częścią pańskiego ekwipunku, tak jak promienniki, namioty i zapasy żywności. I jak te sprzęty, stanowił część pańskich kłopotów związanych z przetrwaniem.

Miał pan prawo zrobić z nim wszystko, co tylko mógł pan wymyślić.

- W takim razie w czym tkwi problem?

- Cóż, mam nadzieję, że go pan naprawdę zniszczył. Te modele służące kontroli zachowania są naprawdę trwałe. Mają wbudowane mechanizmy samoreparacji i silny instynkt samozachowawczy.

Piekielnie trudno zniszczyć je naprawdę.

- Myślę, że mi się udało.

- Mam nadzieję. Byłoby kłopotliwe, gdyby robot przetrwał.

- Dlaczego? Czy przyszedłby się zemścić?

- Z pewnością nie. Robot nie zna emocji.

- A zatem?

- Problem jest następujący. Celem robota jest niszczenie wszelkich osiągnięć poprawiających pańską zdolności przetrwania. Robił to niszcząc różne rzeczy.

- Jasne. Czyli jeśli wróci, będę musiał wszystko zaczynać od nowa.

- Gorzej. Robot był rozdzielony z panem przez kilka miesięcy. Jeśli nadal funkcjonuje, zakumulował całe mnóstwo wypadków dla pana. Wszystkie jego zadania destrukcyjne będą musiały zostać wykonane, nim robot zacznie działać normalnie. Rozumie pan?

Perceveral odchrząknął nerwowo.

- I będzie chciał się od nich jak najszybciej uwolnić, żeby powrócić do normalnej pracy, Tak? spytał.

- Właśnie. Niech pan posłucha. Statek będzie u pana za trzy miesiące. Szybciej nie jesteśmy w stanie. Proponowałbym panu upewnić się, czy robot na pewno jest unieruchomiony. Nie

chcielibyśmy pana teraz stracić.

- Ja też bym nie chciał. Zajmę się tym natychmiast.

Zabrał potrzebny sprzęt i pośpieszył do tuneli. Wyjaśnił kretom, o co chodzi, a one zaprowadziły go na skraj przepaści. Ubrojony w palnik, piłę, młot kowalski i nożyce do metalu Perceveral zaczął powoli schodzić na dno przepaści.

Na dnie szybko odnalazł miejsce, w którym wylądował robot. Tkwiła tam, między dwoma głazami, wyrwana z zawiasu barkowego ręka robota, a kawałek dalej natknął się na fragmenty rozbite komórki ocznej. Zobaczył też pusty, porwany kokon z lin.

Ale robota nie było.

Perceveral wdrapał się z powrotem na górę, ostrzegł krety i zaczął się przygotowywać, jak najlepiej potrafił.

Przez następnych dwanaście dni nic się nie działo. A potem przestraszony kret przyniósł wiadomość. Robot ponownie zjawił się w tunelach, kroczy w ciemnościach, przyświecając sobie jednym okiem, i zbliża się do głównego korytarza.

Krety przygotowały liny na jego przyjście, ale robot był przygotowany. Udało mu się uniknąć cicho spadających pętli i zaatakował krety. Zabił sześć, a i pozostałe zmusił do ucieczki.

Wysłuchawszy tych wieści Perceveral kiwnął tylko potakująco głową, po czym odesłał krety i pracował dalej. Miał w tunelach przygotowany system obronny. A przed nim na stole leżały cztery zepsute promienniki, rozłożone na części. Brakowało mu instrukcji, ale z posiadanych elementów usiłował złożyć jeden, w pełni sprawny.

Pracował do późna w nocy, sprawdzając dokładnie każdą cząstkę przed ponownym umieszczeniem w obudowie. Miał wrażenie, że maleńkie fragmenciki rozplývają mu się przed oczami, a palce są jak z kiełbasek. Bardzo uważnie, z pomocą pęsety i szkła powiększającego, zaczął ponownie składać broń.

Nagle odezwało się radio.

- Anton? - spytał Haskell.

- Co z robotem?

- Zbliża się.

- Tego się właśnie obawiałem. Posłuchaj. Udało mi się błyskawicznie połączyć z producentem tego robota. Okropnie się ścięliśmy, ale w końcu dostałem zgodę na to, żebyś go wyłączył, oraz instrukcję, jak to się robi.

- Dzięki. To co mam zrobić? Tylko szybko... - Będziesz potrzebował źródła energii elektrycznej o napięciu dwustu woltów i natężeniu dwudziestu pięciu amperów. Czy twój generator jest w stanie dać taki prąd?

- Tak. I co dalej'?

- Musisz mieć miedziany sztyft, trochę szębrnego drutu i sondę z materiału nieprzewodzącego, na przykład z drewna. Wszystko to musisz ustawić w następujący...

- Nie starczy mi czasu - przerwał Perceveral ale proszę mówić.

Radio zatrzeszczało.

- Haskell! - zawołał do mikrofonu Perceveral. Ale odbiornik milczał. Perceveral usłyszał dochodzące z baraku radiowego odgłosy łamania i tłuczenia, po czym w drzwiach baraku pojawił się robot.

Nie miał lewej ręki i prawej komórki ocznej, ale mechanizm samonaprawy zabezpieczył uszkodzone miejsca. Robot był teraz matowo czarny, a wzdłuż piersi i po bokach miał rdzewiejące szramy.

Perceveral spojrział na niemal w całości złożony promiennik. Zaczął wkładać na miejsce ostatnie elementy.

Robot szedł w jego kierunku.

- Idź narąbać drewna - powiedział Perceveral tonem na tyle zwyczajnym, na ile go było stać.

Robot zatrzymał się, odwrócił, złapał za siekiere i ruszył ku drzwiom.

Perceveral dopasował ostatnią część, nasunął osłonę i zaczął przykręcać śruby.

Robot upuścił siekiere i ponownie odwrócił się w stronę zwiadowcy, walcząc ze sprzecznymi rozkazami. Perceveral miał nadzieję, że może w wyniku tego konfliktu wewnętrznego nastąpi jakieś zwarcie obwodów, ale robot podjął decyzję i rzucił się na niego.

Perceveral uniósł promiennik i nacisnął spust. Błysk zatrzymał robota w pół kroku. Jego metalowa powłoka zaczęła z lekka świecić czerwonym blaskiem.

I właśnie wtedy promiennik znowu odmówił posłuszeństwa.

Perceveral zaklął, uniósł ciężką broń i rzucił nią w jedyne oko, jakie pozostało robotowi. Chylił tylko odrobinę i trafił w czoło.

Ogłuszony uderzeniem robot wyciągnął rękę, usiłując pochwycić Perceverala, ten uchylił się jednak i wybiegł z baraku w stronę czarnego otworu tunelu. Wbiegając do środka spojrzął za siebie i dostrzegł, że robot podąża za nim.

Przeszedłszy kilkaset metrów tunelem Perceveral włączył latarkę i zaczął na robota.

Dokładnie opracował całą taktykę, kiedy tylko się zorientował, że robot nie został zniszczony.

Najpierw, co wydaje się oczywiste, pomyślał o ucieczce. Ale jego prześladowca; mogący wędrować dzień i noc bez przerwy, łatwo by go dogonił.

Nie mógł też się ukrywać, krążąc bez celu po labiryncie tuneli. Musiałby bowiem zatrzymywać się, spać, jeść i pić. A robot nie zatrzymywałby się z żadnego z tych powodów.

Postawił więc wszystko na jedną kartę i przygotował w tunelach serię pułapek. Któraś z nich musi zadziałać. Był tego absolutnie pewien.

Ale nawet przekonując samego siebie, że tak musi być, Perceveral zadrżał na myśl o wypadkach, jakie robot nagromadził dla niego - o miesiącach z połamanymi rękami i żebrami, wybitymi

kostkami, skaleczeniami, zacięciami, pokąsaniem, infekcjami i chorobami. A to wszystko robot powodowałby tak szybko, jak tylko było to możliwe, aby wrócić do normalnego trybu działania. Nie było mowy, żeby Perceveralowi udało się przeżyć te skumulowane przez robota wypadki. Jego pułapki koniecznie muszą zadziałać!

Wkrótce usłyszał dudniące kroki robota. Po chwili maszyna pojawiła się, dostrzegła go i zaczęła biec w jego stronę.

Perceveral ruszył w głąb tunelu, po czym skręcił w przecznicę. Robot podążał za nim, z wolna się zbliżając.

Kiedy Perceveral dotarł do odległego wyjścia na powierzchnię, obejrzał się za siebie, oceniając pozycję robota. Następnie szarpnął za sznur, który ukrył za skałą.

Sklepienie tunelu opadło, zrzucając na maszynę tony ziemi i skał.

Gdyby robot zrobił jeszcze jeden krok, zostałby zasypany. Ale błyskawicznie oceniając sytuację zdążył zakręcić i rzucić się do tyłu. Spadło na niego trochę ziemi i drobnych kamyczków, uderzając go w głowę i ramiona. Ale główne uderzenie go nie dosięgło. Kiedy spadł już ostatni kamyczek, robot wdrapał się na hałdę gruzu i kontynuował pościg. Perceveralowi zaczynało brakować tchu. Czuł zawód, że pułapka zawiodła. Ale miał przygotowane i następne, lepsze. Druga z pewnością wykończy tę bezlitosną maszynę.

Przemierzali teraz wijący się korytarz, oświetlany jedynie co jakiś czas latarką Perceveralą.

Robot ponownie zaczął się przybliżać. Perceveral wybiegł na prostą i znacznie przyspieszył.

Przekroczył skrawek ziemi, który wyglądał dokładnie tak samo jak pozostałe. Ale kiedy robot całym ciężarem stąpnął na to miejsce, grunt zapadł się pod nim. Perceveral dokładnie to wyliczył.

Pułapka, która wytrzymała jego wagę, zadziałała pod ciężarem robota.

Maszyna wyciągnęła rękę, szukając przytrzymania. Grunt przesypywał się jej między palcami, opadając do wykopanej przez Perceveralą pułapki szybu o ukośnych zboczach w kształcie leja,

mającego za zadanie unieruchomić robota na dnie.

Robot rozsunął jednak szeroko nogi, niemal pod kątem prostym do ciała. Złącza zaskrzypiały mu, kiedy wbił się piętami w spadziste stoki, które ugięły się nieco pod ciężarem, ale go utrzymały.

Dzięki temu zatrzymał się, nim opadł na dno, z obiema nogami szeroko rozstawionymi i wciśniętymi w miękką glebę. Zaparty w ten sposób, wygrzebał ręką w ziemi punkt zaczepienia, uwolnił jedną nogę, znalazł dla niej podporę, po czym wyciągnął drugą. Tą metodą powoli wydostał się na wierzch, a Perceveral zaczął znowu uciekać.

Biegł z każdym krokiem ciężej, zaczynało mu brakować oddechu i odczuwał coraz silniejszy ból w boku. Robot tym łatwiej go doganiał i Perceveral musiał wyczerpać wszystkie siły, aby zachować przewagę.

Bardzo liczył na te dwie pułapki. Teraz pozostała mu już tylko jedna. Doskonała, choć ryzykowna. Pomimo narastającego zmęczenia Perceveral zmusił się do koncentracji. Przy tej ostatniej zasadzce należało zachować wielką precyzję. Minął oznakowany na biało kamień i wyłączył latarkę. Zaczął odliczać kroki, zwalniając, póki robot nie znalazł się tuż za nim, póki nie poczuł jego palców o centymetry od swojego karku.

Osiemnaście... dziewiętnaście... dwadzieścia! Przy dwudziestym kroku Perceveral rzucił się głową do przodu w ciemność. Przez kilka sekund leciał w powietrzu, po czym uderzył o powierzchnię wody. Płytko zanurkował, wynurzył się i czekał.

Robot biegł za nim zbyt blisko, by wyhamować. Kiedy uderzył o lustro wody podziemnego jeziora, rozległ się głośny plusk, następnie rozpaczliwe młócenie wody i w końcu bulgotanie bąbelków powietrza, towarzyszące opadaniu maszyny na dno.

Usłyszawszy to Perceveral skierował się ku przeciwległemu brzegowi. Dotarł tam i wydostał się z lodowatej wody. Przez chwilę leżał, drżąc, na wilgotnej, śliskiej skale. Wreszcie, ostatkiem sił, wczołgał się wyżej na brzeg, do kryjówki, w której miał przygotowane drewno na ognisko, zapalki,

i żywność, whisky, koce i suche ubrania.

W ciągu następnych kilku godzin Perceveral wytarł się, przebrał i rozpałił małe ognisko. Najadł i się i napił, obserwując nieruchomą powierzchnię wody. Wiele dni temu badał głębokość tego jeziora za pomocą trzydziestometrowej liny i nie znalazł dna. Zapewne w ogóle nie miała dna.

Albo - co wydaje się bardziej prawdopodobne łączy się ono z wartką podziemną rzeką, której nurt przez tygodnie, a nawet miesiące, będzie unosić robota. Zapewne...

Nagle usłyszał od strony wody jakiś słaby dźwięk i skierował w tym kierunku światło latarki.

Dostrzegł wyłaniającą się na powierzchnię głowę, a po chwili ramiona i tors robota.

Najwyraźniej jezioro nie było bezdenne. Robot musiał przejść pod wodą i wdrapał się na stromy brzeg po drugiej stronie. A teraz wspinał się na zamuloną skałę w pobliżu. Perceveral ze znużeniem podniósł się i ruszył przed siebie.

Ostatnia pułapka zawiodła i jego neuroza zbliża się oto, by go zabić.

Skierował się w stronę wyjścia z tunelu. Chciał zakor5czyć życie w blasku słońca.

Biegając ciężkim truchtem Perceveral wyprowadził robota z tunelu w stronę stromych gór.

Oddech palił go w gardle, a mięśnie brzucha zacisnęły się boleśnie. Biegł z półprzymkniętymi oczami, ledwie żywy ze zmęczenia.

Pułapki go zawiodły. Dlaczego nie przewidział wcześniej, że tak się musiało skończyć? Robot był częścią jego osobowości, jego własną neurozą, zmierzającą do zniszczenia go. A jak człowiek mógł liczyć, że uda mu się zwieść najbardziej podstępna część samego siebie? Przecież prawa ręka zawsze wie, co robi lewa, a nawet najsprytniejszy pomysł nic jest w stanie na dłuższą metę oszukać jeszcze sprytniejszego oszusta.

Zabrałem się za to w niewłaściwy sposób, pomyślał Perceveral wspinając się na zbocze góry.

Droga do wolności nie prowadzi przez podstęp. Prowadzi...

Robot był już tuż za nim, przypominając o różnicy między wiedzą teoretyczną a praktyczną.

Perceveral usunął się na bok i zaczął bombardować robota kamieniami, ale ten osłaniał się, odbijając je od siebie, i wspinał się nadal.

Perceveral przeciął ukośnie strome skaliste zbocze. Doszedł do wniosku, że droga do wolności nie prowadzi przez podstęp. To musiało zawieść. Ta droga prowadzi przez z m i a n ę! Prowadzi przez przewyciężenie, ale nie robota, tylko tego, co robot reprezentuje.

Siebie samego!

Czuł teraz jasność w głowie, a myśli biegły nie hamowane. Jeśli, wmawiał sobie, potrafi przewyciężyć swoje poczucie pokrewieństwa z robotem, wtedy robot przestanie być jego neurozą! Będzie po prostu jakąś tam neurozą, nie mającą już nad nim żadnej kontroli.

Musi tylko pozbyć się swojej neurozy - choćby na dziesięć minut - a robot nie będzie już mógł go skrzywdzić!

Całe uczucie zmęczenia opuściło go, ustępując miejsca najwyższej, upajającej pewności siebie.

Śmiało pobiegł przez zwały połupanych skał, doskonale nadających się do skręcenia kostki czy złamania nogi. Rok temu, nawet jeszcze miesiąc temu niewątpliwie przydarzyłby mu się tu wypadek. Ale odmieniony Perceveral, biegnący jak półbóg, przeskakiwał przez skały bezbłędnie.

Robot, jednoręki i jednooki, konsekwentnie przejął na siebie wszystkie wypadki. W pewnej chwili potknął się i upadł na ostrą skałę. Kiedy pozbierał się i podjął pościg, wyraźnie utykał.

W stanie zupełnego upojenia, ale niezmiernie skoncentrowany, Perceveral dobiegł do granitowej ściany i podskoczył, sięgając ręką do występu skalnego, który był tak odległy, że wyglądał jak jakiś szary cień nad nim. Na moment zawisł niebezpiecznie w powietrzu. Wreszcie, w chwili gdy zaczęły mu się ześlizgiwać palce, znalazł podparcie dla stopy. Bez wahania podciągnął się do góry.

Robot poszedł jego śladem, a towarzyszyło temu głośnie skrzypienie nie naoliwionych złączy.

Wyłamał sobie przy tym palec, wspinając się na stromiznę, której Perceveral nie powinien był

pokonać.

Perceveral przeskakiwał z głazu na głaz. Robot podążał za nim, trzymając się blisko mimo potknięć i omsknięć. Perceveral nie zwracał na to uwagi. Przeszło mu przez myśl, że przez całe lata wrażliwości na wypadki pracował na tę właśnie chwilę. Jego pech minął. Był wreszcie tym, do czego był przeznaczony od samego początku - człowiekiem odpornym na wypadki!

Robot pełził za nim po oślepiającej powierzchni białej skały. Perceveral, upojony uczuciem niezachwianej pewności siebie, zepchnął w dół głaz i krzyknął, aby spowodować lawinę.

Odłamki skalne zaczęły się osuwać, a do uszu zwiadowcy dobiegł z góry głuchy łoskot. Uchylił się za skałę, unikając w ten sposób wyciągniętej ręki robota i znalazł się w pułapce.

Był w małej, płytkiej jaskini. Robot pojawił się przed nim, zasłaniając wyjście, z wyciągniętą za plecami żelazną pięścią.

Perceveral wybuchnął śmiechem na widok biednego, niezdarnego, wrażliwego na wypadki robota. Wtedy robot z całej siły zamierzył się na niego.

Perceveral uskoczył, ale nie było to konieczne. Nieporadny robot i tak chybił, co najmniej o centymetr. Był to tego rodzaju błąd, którego Perceveral spodziewał się po tej śmiesznym, nieporadnym stworze.

Siła, z jaką robot się zamachnął, pociągnęła go na zewnątrz. Walczył uparcie, by odzyskać równowagę, balansując na krawędzi skały. Każdy normalny człowiek czy robot bez trudu wróciłby do pionu. Ale nic ten, wrażliwy na wypadki. Upadł na głowę, tłukąc sobie przy tym jedyną pozostałą komórkę oczną, i zaczął się staczać.

Perceveral wychylił się, aby dodać mu przyśpieszenia, po czym pośpiesznie schronił się z powrotem w jaskini. Lawina dokończyła za niego dzieła, spychając malejącą czarną plamkę po zboczu białej skały i grzebiąc ją pod tonami kamieni.

Perceveral przyglądał się tej scenie chichocząc z radości. W pewnej chwili zdał sobie jednak

pytanie, co zrobił.

I dopiero wtedy zaczął drzeć.

Kilka miesięcy później Perceveral stał przy opuszczonym pomoście statku Cuchulain, przyglądając się kolonistom wysiadającym w słońcu thetańskiej zimy. Byli to ludzie wszelkich typów i rodzajów.

Przybyli na Thetę, w nadziei na rozpoczęcie nowego życia. Każdy z nich był niezmiernie ważny, przynajmniej dla samego siebie, i każdy zasługiwał na to, aby mieć szansę walczyć o swoje przetrwanie, nie-należnie indywidualnych możliwości.

I to on, Anton Perceveral, ustalił dla tych ludzi minimalne wymagania stwarzające warunki do przetrwania na Thecie oraz, w pewnym stopniu, dał nadzieję i obietnicę najmniej zaradnym spośród nich - niezdarom, które takie pragną żyć.

Odwrócił się od wypływających równym potokiem pionierów i wspiął się do wnętrza statku po umieszczonej z tyłu drabince. Przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi kabiny Haskella.

- No, Anton - przywitał go Haskell - jak ci się podobają?

- Robią wrażenie sympatycznej grupy.

- Są tacy. Ci ludzie uważają cię za założyciela tej kolonii, Antonie. Chcą, żebyś tu był. Zostaniesz z nimi?

- Uważam Thetę za swój dom.

- W takim razie postanowione. Jeszcze tylko...

- Chwileczkę - przerwał Perceveral. - Nie skończyłem. Uważam Thetę za dom. Chciałbym się tu osiedlić, ożenić, dochować dzieci. Ale jeszcze nie teraz.

- Co?

- Bardzo mi się spodobała praca zwiadowcy i stwierdził Perceveral. - Chciałbym ją jeszcze przez jakiś czas wykonywać. Zbadałbym z jedną, czy dwie planety. A potem osiedlę się na Thecie.

- Obawiałem się tego - przyznał nieszczęśliwym głosem Haskell.

- A co w tym złego?

- Nic. Ale obawiam się, że nie będziemy mogli cię już zatrudnić jako zwiadowcy, Antonie.

- Dlaczego?

- Wiesz kogo potrzebujemy. Osobowości o minimalnej zdolności do przetrwania, która wytyczy nowe kolonie. Przy największej dozie dobrej woli ciebie nic da się już uznać za osobowość o minimalnej zdolności do przetrwania.

- Ależ ja jestem dokładnie taki sam, jak zawsze - zaproponował Perceveral. - Och, jasne, trochę się poprawiłem na tej planecie. Ale wyście to przewidzieli i robot kompensował moją zmianę. A w końcu...

- No właśnie, jak to było?

- Hm... w końcu poniosło mnie. Myślę, że musiałem być chyba pijany albo coś w tym rodzaju.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak mogłem tak postąpić.

- A jednak zrobiłeś to.

- No, tak. Ale pomyśl! Nawet jeśli, to i tak ledwie uszedłem z życiem - w ogóle ledwie przeżyłem moje doświadczenia na Thecie! L e d w i e! A czy to nie dowodzi, że nadal jestem osobowością o minimalnej zdolności przetrwania? Haskell ściągnął usta i zastanawiał się.

- Prawie udało ci się mnie przekonać powiedział po chwili. - Ale obawiam się, że stosujesz wybiegi słowne. Mówiąc zupełnie szczerze, nie potrafię cię już traktować jako minimum. Będziesz więc chyba musiał zająć się swoją działką na Thecie.

Perceveral zgarbił się, zrezygnowany. Ze znużeniem skinął potakująco głową, uściskał

Haskellowi dłoń i odwrócił się w stronę wyjścia.

Kiedy się odwracał, zaczepił rękawem o stojący i na biurku kałamarz, strącając go. Rzucił się, by go złapać, i walnął ręką o biurko, oblewając się przy tym atramentem. Kiedy znowu starał się go

podnieść, potknął się o krzesło i wywrócił.

- To było udawane, prawda, Anton? - spytał go Haskell.

- Nie - odparł Perceveral - nie było, psiakrew!

- Hm. Interesujące. No cóż, nie chciałbym nadmiernie rozbudzać twojej nadziei, ale może...
powiedziałem tylko, że m o ż l i w e...

Haskell wpatrywał się uporczywie w zarumienioną twarz Perceverala i nagle parsknął śmiechem.

- Ależ z ciebie diabeł wcielony! Mało brakowało, a dałbym się oszukać. A teraz bądź tak miły, wynieś się stąd i dołącz do kolonistów. Właśnie wystawiają ci pomnik i sądzą, że chcą, abyś był przy tym obecny.

Zawstydzony, ale mimo wszystko roześmiany, Anton Perceveral wyszedł na spotkanie swojego nowego przeznaczeniu.

przekład : Anna Minczewska - Przeczek

Mnemon

Dzień, w którym przyszedł Mnemon, był wielkim dniem dla naszej wioski. Z początku nie połapaliśmy się, kim jest, gdyż ukrywał przed nami swoją tożsamość. Przedstawiał się jako Edgar Smith, specjalista od napraw mebli. Oba oświadczenia przyjęliśmy bez zastrzeżeń, tak jak w ogóle przyjmowaliśmy wszelkie oświadczenia. Nigdy przedtem nie znaliśmy nikogo, kto miałby cokolwiek do ukrycia.

Przyszedł do wioski pieszo, z plecakiem i obszarpaną walizką. Rozejrzał się po sklepach i domach. Podeszedł do mnie i zapytał:

- Gdzie komenda policji?

- U nas nie ma - odparłem.

- Naprawdę? W takim razie miejscowy szef policji albo szeryf?

- Posterunkowym był u nas Luke Johnson, przez dziewiętnaście lat wyjaśniłem. - Tylko że dwa lata temu Luke umarł. Zgodnie z przepisami powiadomiliśmy o tym władze okręgu. Ale jakoś nikogo nie przysyłają na jego miejsce.
- To co, sami się pilnujecie?
- U nas ludzie żyją spokojnie. Nikt w wiosce nie łamie prawa. A czemu Pan pyta ?
- Bo chcę wiedzieć - odparł Smith, niewiele tym wyjaśniając. - Odrobina wiedzy jest mniej szkodliwa niż wielka niewiedza, mam rację? Nic już, nic, mój pustooki przyjacielu. Podoba mi się tu u was. Podobają mi się drewniane domy i te potężne wiązy. Podoba mi się...
- Potężne - co?
- Wiązy - powtórzył wskazując rosłe drzewa wzdłuż głównej ulicy. Nie wiesz, że tak się nazywają?
- Nazwa poszła w zapomnienie odparłem z pewnym zażenowaniem.
- Nie szkodzi. Wiele rzeczy przepadło, niektóre ukryto. Ale przecież nazwa drzewa to nic zdrożnego. A może tak?
- Nie, na pewno nie - uspokoiłem go. - Wiązy.
- Nie mów nikomu - mrugnął do mnie. - To tylko okruch wiedzy, ale nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Zostanę u was w wiosce przez jakiś czas.
- Serdecznie zapraszamy. Szczególnie teraz, w żniwa.
- Smith spojrział na mnie karcąco. - Ja z tym nie mam nic wspólnego. Nie bierzesz mnie chyba za byle obrywacza jabłek?
- W ogóle za nic pana nie biorę. A co pan chce tu robić?
- Naprawiam meble - powiedział Smith.
- W takiej małej wiosce nie będzie pan miał wielkiego powodzenia.
- No to może zajmę się czymś innym. - Znienacka odsłonił zęby w uśmiechu. - Na początek

potrzebna mi kwatery.

Zaprowadziłem go do wdowy Marsini, u której wynajął duży pokój z werandą i oddzielnym wejściem. Załatwił też sobie, że będzie jadał na miejscu.

Jego przybycie otwarło tamę plotkom i domysłom. Pani Marsini twierdziła, że skoro Smith pyta o policję, to najlepszy dowód; że sam jest policjantem.

- Oni właśnie tak działają - mówiła. - Znaczący, działali, kiedyś. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu co trzecia osoba była jakoś tam powiązana z policją. Czasami własne dzieci pracowały dla policji i jak przyszło co do czego, zamykały rodziców tak sarnie łatwo jak obcych. Albo i łatwiej!

Inni jednak dowodzili, że wszystko, o czym mówi pani Marsini, należy do przeszłości, że teraz panuje spokój i że policjantów widuje się niezwykle rzadko, chociaż krążą pogłoski, że oni nadal istnieją.

Tylko po co ten Smith do nas przyszedł? Jedni uważali, że po to, żeby nam coś zabrać. "Po co innego obcy przychodziłby do takiej małej wioski?" A drudzy twierdzili, że przyszedł nam coś dać i na poparcie cytowali ten sam argument.

Tak naprawdę to nikt nie wiedział. Pozostawało nam czekać, aż Smith sam zechce ujawnić prawdę o sobie.

Żył wśród nas jak zwyczajny człowiek. Sporo wiedział o świecie; uznaliśmy, że musiał wiele podróżować. Wreszcie, pomału, zaczął nam sygnalizować swoją prawdziwą tożsamość.

Któregoś dnia zaprowadziłem go na wzgórze, skąd widać całą naszą dolinę. Jesień była już w pełni, piękna pora. Smith rozejrzał się z góry i pochwalił widok.

- Ten widok przywodzi mi na myśl słynny aforyzm Williama Jamesa - powiedział. - Jak to szło?

"Krajobraz odciska się w ludzkiej świadomości trwalej niż jakikolwiek inny element życia". Celnie sformułowane, prawda?

- A kto to jest czy był William James?

Smith puścił do mnie oko.

- Wymieniłem takie nazwisko? Przejęzyczenie, mój chłopcze.

Nie było to bynajmniej ostatnie "przejęzyczenie". W kilka dni później pokazałem Smithowi nieładne zbrocze porośnięte skarłalą sośniną, kołtunem niskich krzaków i chwastami.

- Tu się paliło pięć lat temu wyjaśniłem. - Z tego kawałka nie ma już żadnego pożytku.

- Ach tak - powiedział Smith. A jednak, jak nas poucza Montaigne, w przyrodzie nic nie jest bezużyteczne, nawet sama bezużyteczność.

A jeszcze później, idąc przez wioskę, zatrzymał się z podziwem przed późno kwitnącymi peoniami pani Vogel.

- Kwiaty istotnie mają spojrzenia dzieci, a usta starców... Dokładnie tak, jak to zauważył Chazal.

Pod koniec tygodnia zebraliśmy się w kilku na zapleczu sklepu Edmonsa, żeby pogadać o panu Edgarze Smith. Wspomniałem, co Smith mi mówił. Bill Edmonds przypomniał sobie, że Smith cytował faceta nazwiskiem Emerson; chodziło o to, że życie w samotności jest nie do osiągnięcia, a życie w społeczeństwie prowadzi do zguby. Billy Foreclough powiedział ,nam, że Smith cytował mu Iona z Chios: że Przypadek i Sztuka to dwie zasadniczo różne rzeczy, a jednak ich owoce są często takie same. Ale z najlepszym wystąpiła pani Gordon; zdanie, które Smith jej powiedział, pochodziło od wielkiego Leonarda da Vinci: obietnice zaczynają się tam, gdzie umiera nadzieja. Spojrzeliśmy po sobie i nikt nic nie mówił. Dla wszystkich było jasne, że pan Edgar Smith - czy jak tam się naprawdę nazywał - nie był takim sobie zwykłym naprawiaczem mebli.

Wreszcie ująłem w słowa to, co wszystkim nam chodziło po głowie:

- Koledzy - oświadczyłem. - Wszystko wskazuje na to, że ten człowiek jest Mnemonem.

Mnemoni jako klasa społeczna wypłynęli w ostatnim roku Wojny, Która Położyła Kres

Wszystkim Wojnom. Ich jedyną funkcją społeczną było zapamiętywanie dzieł literackich, którym groziło zagubienie, zniszczenie lub zakaz czytania.

Z początku rząd przyklasnął ich wysiłkom, zachęcał do dalszych działań, przyznawał nawet zaliczki i stypendia. Kiedy jednak wojna się skończyła, a do władzy doszli Prezydenci Policyjni, polityka rządu uległa zmianie. Postanowiono raz na zawsze wziąć rozbrat z nieszczęsną przeszłością i zbudować nowy świat, w teraźniejszości i tylko z jej elementów. Wszelkie próby sabotażu miały być bezlitośnie tępione.

Prawomyślni byli zgodni co do tego, że przeważająca część (literatury jest w najlepszym razie przegadana, w najgorszym zaś razie - wywrotowa. W końcu, czy warto przechowywać wycieczki takiego złodzieja jak Villon albo pedała jak Genet, czy też schizofrenika jak Kafka? Czy warto trzymać tysiące sprzecznych opinii tylko po to, żeby potem wyjaśniać, czemu są niesłuszne? Czy można oczekiwać od ludzi, aby zachowywali się właściwie i zgodnie z zaleceniami pod tak potężnym gradem różnorodnych wpływów? Jak ich w takich warunkach zmusić do posłuchu? Rząd wiedział, że wszystko zależy od utrzymania posłuszeństwa.

Aby jednak osiągnąć ten błogosławiony stan, należało wyeliminować elementy różnorodności i dwuznaczności. Największym siedliskiem sprzeczności były teksty historyczne i literackie. Historię zatem należało przepisać, a literaturę uregulować, oczyścić, oswoić, uporządkować albo całkiem odrzucić.

Mnemonom kazano raz na zawsze odczepić się od przeszłości. Naturalnie gwałtownie się temu sprzeciwili. Negocjacje ciągnęły się i ciągnęły, aż wreszcie rząd stracił cierpliwość. Wydano ostateczne rozporządzenie, przewidujące surowe kary dla tych, którzy się nie podporządkują.

"Większość Mnemonów zaprzestała działalności. Garstka jednak tylko udawała, że przestaje. Ta garstka stała się nieuchwytną, prześladowaną mniejszością wędrownych nauczycieli, ciągle zmieniających miejsce pobytu, sprzedających swoją wiedzę gdzie i kiedy się da.

Przepyaliśmy człowieka, który podawał się za Edgara Smitha; przyznał się, że jest Mnemonem.

Przekazał naszej wiosce hojne dary:

Dwa sonety Williama Shakespeare'a.

Lament Hioba.

Cały jeden akt sztuki Arystofanesa. Co uczyniwszy, otworzył interes, oferując swój towar mieszkańcom, wioski.

Z panem Ogdenem dobił trudnej transakcji, wymuszając całego świniaka za dwie linijki Symonidesa.

Pan Bellington, stary samotnik, dał złoty zegarek za aforyzm Heraklita. Twierdził, że zrobił dobry interes.

Staruszka, pani Heath, wymieniła funt pierza gęsiego za trzy zwrotki poematu pod tytułem "Atalanta w Kaledonii" autorstwa niejakiego Swinburne'a.

Pan Mervin, właściciel restauracji, kupił kompletną krótką odę Katullusa, charakterystykę Cyncerona pióra Tacyty i dziesięć wersów z Katalogu Okrętów Homera. Dał za to wszystkie swoje oszczędności.

Ja sam niewiele miałem, jeśli idzie o pieniądze i dobra materialne. Lecz za wyświadczone mu usługi Smith ofiarował mi jeden akapit z Montaigne'a, powiedzonko przypisywane Sokratesowi i dziesięć wyrwanych z kontekstu wersetów Anakreonta.

Całkiem nieoczekiwanym klientem był pan Lind, który pewnego mroźnego zimowego poranka wkroczył do kantorka Mnemona. Pan Lind był krępy, czerwony na twarzy i porywczy: najlepszy gospodarz w okolicy, który nie cierpiał bzdur i wierzył jedynie w to, co sam zobaczył albo czego dotknął. Był ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o chęć zakupu towarów Mnemona. Już prędzej posądziłbym o to policjanta.

- Tak... tego... - odezwał się Lind, energicznie zacierając ręce - Słyszałem o panu i pańskich - niewidzialnych towarach.

- Ja słyszałem o panu - rzekł Mnemon z lekką przyganą w głosie. - Ma pan do mnie jakiś interes?

- Mam, jak Boga Kocham! - krzyknął Lind. - Chcę od pana kupić trochę tych pięknych starych słówek.

- Jestem szczerze zdziwiony powiedział Mnemon. - Kto by przypuszczał, że taki prawomyślny obywatel jak pan przyjdzie kupować dobra które nie dość, że są niewidzialne, to jeszcze nielegalne!

- To nie mój pomysł - wyjaśnił Lind. - Przychodzę tylko po to, żeby sprawić przyjemność żonie, która ostatnio marnie się czuję.

- Marnie? Nic dziwnego - rzekł Mnemon. - Wół roboczy by padł od tej harówki, do której pan ją zmusza.

- Nie twoja sprawa, człowieku! zaperzył się Lind.

- Owszem, moja - zaprzeczył Mnemon. - W moim fachu nie rozdaje się słów jak popadło.

Dopasowujemy tekst do odbiorcy. Czasami nie potrafimy znaleźć nic odpowiedniego i wtedy niczego nie sprzedajemy.

- Myślałem, że sprzedajecie swój towar każdemu, kto chce kupić.

- To źle pan myślał. Znam pewną odę Pindara, której bym panu nie sprzedał za żadne pieniądze.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić, człowieku!

- Mówię, jak mi się podoba. Niech pan sobie handluje z kim innym. Pan Lind purpurowiał, wydymał wargi, stroił miny, ale nie miał wyjścia. Wreszcie powiedział:

- Przepraszam, że się uniosłem. Sprzeda mi pan coś dla żony? W ubiegłym tygodniu były jej urodziny, a ja zapomniałem i dopiero teraz mi się przypomniało.

- Fajny z pana gość - powiedział Mnemon. - Wrażliwy jak nutria, a troskliwy prawie jak rekin!

Dlaczego właśnie do mnie pan przychodzi po prezent dla żony? Nie lepiej kupić pożywną maślaną chałkę?

- Nie, nie o to chodzi - rzekł Lind tonem ściszonego i uległego. - Ona od miesiąca leży w łóżku i prawie nic nie je. Wydaje mi się, że niedługo umrze.

- I prosiła o moje słowa?

- Prosiła, żebym jej przyniósł coś ładnego.

Mnemon pokiwał głową.

- Umiera! No cóż, nie będę składał kondolencji człowiekowi, który ją doprowadził do tego błogosławionego stanu, a i dla kobiety, która sobie wybrała takiego męża jak pan, nie mam wielkiego współczucia. Ale mam coś, co jej się spodoba, coś podniosłego, co jej ułatwi odejście. Wyniesie to dla pana głupie tysiąc dolarów.

- Boże miłosierny, człowieku! Nie ma pan nic tańszego?

- Oczywiście, że mam - odrzekł Mnemon. - Mam całkiem przyzwoity komiczny wierszyk w dialekcie szkockim, bez środka - należy do pana za dwieście dolarów. Mam też jedną zwrotkę ody pochwalnej do Generała Kitchenera, która mogę panu odstąpić za dziesięć dolarów.

- I nic poza tym? - Dla pana nic.

- No to... wezmę ten kawałek za tysiąc - zdecydował się Lind.

- Tak, wezmę, jak mi Bóg miły! Sara jest tego warta, co do centa !

- Pięknie , powiedziane, choć nieco późno. Teraz proszę uważać. Powiem wiersz.

Mnemon oparł się wygodnie, przymknął oczy i zaczął recytować. Lind słuchał z twarzą napiętą, w skupieniu. I ja też słuchałem, przeklinając niewprawną pamięć i modląc się, żeby mi nie kazano wyjść z pokoju.

Wiersz był długi i bardzo dziwny i piękny. Do dziś mam go w całości. Ale najczęściej przypominają mi się te oto wersy:

Zakłęte wnęki, okna w groźnych wirach morza,

Wśród piany, tam - gdzie kraje baśni zatracone.

(John Keats -Oda do słowika. Tł. Jerzy pietrkiewicz)

Jesteśmy ludźmi: dziwacznymi istotami o dziwacznych gustach. Kto by nas podejrzewał o głód

tego co niewysłowione? Co to był za głód, że kazał człowiekowi oddać trzy buszle ziarna za jeden aforyzm Gnostyków? Widocznie człowiek musi żywić ducha ale my? Kto by pomyślał? Komu by przyszło do głowy, że cierpimy z niedożywienia, bo brak nam Platona? Czy człowiek może się rozchorować z braku Plutarcha albo umrzeć na niedobór Arystotelesa?

Ja wiem, że tak. Sam

widziałem efekty gwałtownego odstawienia Strindberga strindbergomanowi.

Nasza wspólna przeszłość jest nieodzowną częścią każdego z nas, a odebrać nam tę część, znaczy nieuleczalnie nas okaleczyć. Znam kogoś, kto nabrał odwagi dopiero, gdy mu opowiedziano o Epaminondasie, znam też kobietę, która stała się piękna, kiedy usłyszała o Afrodycie.

Zapamiętałym wrogiem Mnemona był nauczyciel z naszej szkoły, pan Vich, który wszystkiego nauczał w wersjach autoryzowanych. Drugim wrogiem Mnemona był Ojciec Dulces, który troszczył się o nasze duchowe potrzeby z ramienia Uniwersalnego Patriotycznego Kościoła Ameryki.

Mnemon godził w oba te autorytety. Mówił nam, że wiele ich nauk to kłamstwa albo fałszywe wersje słynnych powiedzeń, tak przeformułowane, żeby głosiły coś wręcz przeciwnego do intencji autora. A już godzeniem w same podstawy naszej cywilizacji było podważenie przez Mnemona wiarygodności następujących aforyzmów:

Większość ludzi ma niemałe aspiracje.

Najcenniejsze jest życie niezbadane.

Poznaj siebie w dopuszczalnych granicach.

Słuchaliśmy Mnemona i rozmyślaliśmy nad tym, co nam mówił. Powoli, z trudem zaczynaliśmy na nowo myśleć, rozumować, badać świat na własną rękę. A kiedy już do tego doszło, zaczęliśmy też żywić nadzieję. Neoklasyczny rozkwit naszej wioski był okresem krótkotrwałym, gwałtownym,

nieoczekiwanym i dla wszystkich radosnym. Jedno tylko ostrzegło mnie, że kres może być bliski. Pewnego dnia, wczesną wiosną, pomagałem w lekcjach jednemu z dzieci sąsiadów. Dziecko miało nowe wydanie "Historii powszechnej" Dunstera, więc skorzystałem z okazji i przekartkowałem rozdział dotyczący Srebrnego Wieku w Rzymie. Dopiero po kilku minutach połąpałem się, że opuszczono Cyncerona. Nie było go nawet w indeksie, chociaż figurowały tam nazwiska o wiele mniej znacznych poetów i mówców. Ciekaw byłem, za jakie to zbrodnie został w ten sposób wstecznie osądzony.

I nagle pewnego dnia, jak grom z jasnego nieba, przyszedł koniec. Do wioski przybyło trzech ludzi. Ubrani byli w szare mundury z mosiężnymi insygniami. Twarze mieli szerokie bez wyrazu, maszerowali sztywno w ciężkich, czarnych butach. Wszędzie chodzili razem i zawsze stawali jeden bardzo blisko drugiego. Nie zadawali pytań. Z nikim nie rozmawiali. Wiedzieli dokładnie, gdzie mieszka Mnemon: popatrzyli na mapę i bez wahania ruszyli pod właściwy adres.

W pokoju Smitha spędzili może z dziesięć minut.

Potem trzech policjanci znów ukazali się na ulicy, maszerując razem, jak jeden mąż. Strzelali oczami w prawo i w lewo; wyglądało na to, że się boją. Szybko opuścili wioskę.

Pochowaliśmy Smitha na wzgórzu, skąd jest widok na całą dolinę, tuż koło miejsca, gdzie po raz pierwszy zacytował Williama Jamesa, pośród późnych, jesiennych kwiatów, które miały spojrzenia dzieci i usta starców.

Pani Blake, wbrew powszechnie przyjętym obyczajom, nazwała swego najmłodszego syna Cyncero. Pan Lind o swoim jabłkowym sadzie mawia: Xanadu. Ja sam stałem się zagorzałym Zoroastrianinem, od początku do końca na wiarę, gdyż nie wiem o tej religii nic ponad to, że zaleca mówić prawdę i posyłać strzałę prosto przed siebie.

Ale to wszystko bezowocne gesty. Prawda jest taka, że bezpowrotnie utraciliśmy i Xanadu, i Cyncerona, i Zoroastro. Co jeszcze straciliśmy? W jakich wielkich bitwach braliśmy udział, jakie

budowaliśmy miasta, jakie zdobywaliśmy dżungle? O czym śpiewało się pieśni, o czym śniło się sny? Dzisiaj- zbyt późno - zrozumieliśmy; że nasza inteligencja jest rośliną, która musi tkwić korzeniami w żyznej glebie przeszłości.

Inaczej mówiąc, odebrano nam pamięć zbiorową, najważniejszą część istnienia. Jesteśmy nędzarcami. W zamian za pałace wyobraźni ci, którzy nami rządzą, podarowali nam namacalne gliniane lepianki. Źle wyszliśmy na tej zamianie.

Mocą oficjalnego zarządzenia Mnemona w ogóle nigdy nie było. Specjalnym dekretem zaliczono go do niewyjaśnionych fantazji czy też złudzeń - jak Cycerona. A ja, który to piszę, również wkrótce przestanę istnieć. Będę zakazany, tak jak Cycero i jak Mnemon.

Nic mi już nie pomoże: prawda jest nazbyt krucha, zbyt łatwo rozpada się w żelaznych rękach naszych władców. Nikt mnie nie pomści. Nikt nie będzie o mnie pamiętał. Jeżeli bowiem nawet wielkiego Zoroastra pamiętał w końcu tylko jeden człowiek, a i tego zabito, to jaka może być dla mnie nadzieja?

Pokolenie krów! Owiec! Świń! Nie mamy w sobie nawet tyle ducha co koza! Jeżeli człowiekiem był Epaminondas, jeżeli człowiekiem był Achilles, jeżeli człowiekiem był Sokrates - to czy i my jesteśmy ludźmi?

przekład : Jolanta Kozak

Najazd o Świcie

System składał się z jedenastu planet i Dillon szybko stwierdził, że na zewnętrznych brak jest jakichkolwiek śladów życia. Czwarta planeta od słońca była niegdyś zamieszкана, a trzecia dopiero oczekiwała na mieszkańców. Tylko na drugiej - błękitnym globie z własnym księżycem - istniało rozumne życie i tam Dillon skierował swój statek.

Zbliżał się chyłkiem pod osłoną ciemności, prześlizgując się przez gęste, burzowe chmury, od których jego pojazd niewiele się różnił. Wylądował nie robiąc żadnego zamieszania, w sposób

charakterystyczny dla Ziemi.

Jego statek osiadł na powierzchni planety godzinę przed świtem; w porze, gdy większość żywych stworzeń jest pogrążona we śnie. A przynajmniej tak mówił mu ojciec. Było to zgodne z wszelkimi regułami sztuki inwazji; krwawo okupionej wiedzy o tym, jak przetrwać na obcych planetach.

- Jednak cała ta naukowa teoria jest zawodna - przypominał mu ojciec - ponieważ dotyczy czegoś zupełnie nieobliczalnego; inteligentnych istot.

Wygłosivszy tę uwagę stary człowiek pokiwał sentencjonalnie głową.

- Pamiętaj, mój chłopcze - ciągnął dalej - można przewidzieć deszcz meteorów, nadejście ery lodowcowej czy wybuch supernowej. Cóż jednak można wiedzieć naprawdę o innej inteligentnej istocie?

Niewiele, stwierdził Dillon. Jednak wierzył w swoją młodość, spryt i zapał, a ponadto ufał technice inwazji. Dzięki niej Ziemiak mógł wywalczyć sobie prawo bytu w każdym środowisku, choćby nie wiem jak obcym i wrogim.

Od urodzenia uczono go, że życie to nieustanna walka. Dowiedział się, że Galaktyka jest wielka i nieprzyjazna, złożona głównie z żarzących się słońc i pustej przestrzeni

Jednak czasem spotyka się w niej planety, a na nich istoty o niezmiernie zróżnicowanych kształtach i rozmiarach, lecz pod pewnym względem podobne do siebie: jednakowo nienawidzące innych, odmiennych ras. Współpraca między rasami była niemożliwa. Chcąc żyć wśród nich, Ziemiak musiał zmobilizować cały swój spryt, odwagę i zręczność.

A nawet wtedy nie przeżyłby, gdyby nie wspaniała, ziemską metodą inwazji.

Dillon był zdolnym studentem i z niecierpliwością oczekiwał na dzień, w którym stawi czoło swemu przeznaczeniu.

Zgłosił się na ochotnika, nie czekał, aż go powołają.

W końcu, tak samo jak miliony młodych ludzi przed nim, otrzymał własny statek i wyruszył w

drogę, zostawiając za sobą małą, zatłoczoną Ziemię - na zawsze. Leciał, aż skończyło mu się paliwo. I wreszcie znalazł swoje przeznaczenie.

Jego statek wylądował na skraju dżungli, obok wioski o słomianych dachach, prawie zupełnie ukrytej w gęstwinie

Czekał w napięciu za pulpitem sterowniczym, aż nadszedł blady świt, zaróżowiony luną wschodzącego słońca. Nikt się nie pojawił, nie wybuchła żadna bomba, nie wystrzelono do niego żadnych pocisków. Musiał uznać, że udało mu się wylądować niepostrzeżenie.

Kiedy żółte słońce wychyliło się za horyzontu, Dillon wysiadł i ocenił sytuację. Zbadał powietrze, sprawdził ciśnienie, oszacował zakres i natężenie promieniowania słonecznego, po czym ze smutkiem potrząsnął głową.

Podobnie jak większość planet w Galaktyce, ta również nie nadawała się do zamieszkania przez Ziemię. Miał może godzinę na zakończenie pierwszej fazy inwazji.

Wcisnął guzik na tablicy rozdzielczej i szybko odszedł. Za jego plecami statek rozpadł się w szary proch. Ranny wietrzyk rozwiął go i rozsypał nad dżunglą. Teraz Dillon nie miał już odwrotu. Ruszył ku wiosce.

Kiedy podszedł bliżej, stwierdził, że kryte strzechą chaty zbudowano z drewna lub ręcznie ociosanego kamienia. Wyglądały na solidne i dostosowane do klimatu.

Nigdzie nie dostrzegł urządzeń energetycznych ani wyrobów przemysłowych. Zdecydował, że natknął się na prymitywną cywilizację, z opanowaniem której nie powinno być kłopotów.

Wyszedł z gąszczy i prawie zderzył się z obcym.

Spojrzeni na siebie. Obcy był dwunogiem, znacznie wyższym od Ziemię, o sporej pojemności czaszki. Nosił tylko coś w rodzaju pasiastej spódniczki. Szare futro okrywało większość jasnobrązowej skóry. Nie zdradzał chęci do ucieczki.

-Ir tai! - powiedział, co Dillon przyjął za okrzyk zdumienia.

Rozejrzawszy się szybko dookoła stwierdził, że nikt inny nie odkrył jeszcze jego obecności.

Spięty, pochylił się lekko.

- K, tal tai a.

Dillon skoczył jak gwałtownie rozprężająca się sprężyna. Obcy próbował uskoczyć, lecz Dillon przekręcił się w powietrzu jak kot i zdołał zacisnąć dłoń na jednej z kończyn napotkanego.

To wystarczyło. Kontakt fizyczny został nawiązany. Reszta powinna być łatwa.

Od setek lat katastrofalnie wysoki przyrost demograficzny zmuszał mieszkańców Ziemi do nieustającej migracji. Jednak zaledwie jedna na dziesięć tysięcy planet nadawała się do zasiedlenia.

Próbowano zmienić środowisko tak, by planety odpowiadały ludzkim potrzebom, lub genetycznie przystosować człowieka do panujących na nich warunków. Jednak była jeszcze inna metoda, zapewniająca najlepsze wyniki przy minimum zachodu. Hipnotyczna projekcja własnej osobowości - zdolność, jaką w mniejszym lub większym stopniu posiadają wszystkie inteligentne istoty.

Ziemianie pielęgowali ją w sobie, ćwiczyli i potęgowali. Dzięki niej człowiek mógł żyć na każdej planecie, jeżeli tylko udało mu się opanować umysł jednego z jej mieszkańców. W ten sposób zyskiwał ciało dopasowane do środowiska oraz masę ciekawych i użytecznych wiadomości.

Kiedy już się przystosował, wiedziony potrzebą współzawodnictwa zazwyczaj zajmował wysoką pozycję w hierarchii miejscowego społeczeństwa.

Była tylko jedna trudność: obcy zwykle niechętnie oddawali swoje ciała. I czasem potrafili sprawić trochę kłopotu.

Wniknąwszy, Dillon z głębokim żalem poczuł, że jego własne ciało natychmiast zwiotczało i skurczyło się. Po chwili miało zniknąć zupełnie, nie zostawiając żadnego śladu. Tylko on i jego ofiara będą wiedzieć, że inwazja miała miejsce.

A później tylko jeden z nich.

Teraz Dillon skoncentrował się na oczekującym go zadaniu. Bariery myślowe padały jedna po

drugiej, gdy parł naprzód do centrum kryjącego podstawy samoświadomości. Jeżeli uda mu się wdrzeć do tej cytadeli i wyprzeć okupujące ego, bitwa będzie wygrana. Pospiesznie wznoszone barykady padały, wzięte szturmem. Przez chwilę myślał, że już pierwszy atak doprowadzi go do celu. Nagle zagubił się w szarej, bezpostaciowej mgle.

Obcy otrząsnął się z zaskoczenia. Dillon czuł rosnący opór.

Oczekiwała go zacięta walka. Rozpoczęli krótką rozmowę.

- Kim jesteś?

- Edward Dillon, z planety Ziemi. A ty?

- Arek. Nazywamy tę planetę K'egra. Czego tu szukasz, Dillon?

- Trochę przestrzeni życiowej, Arek - powiedział ze śmiechem Dillon. - Możesz mi jej użyczyć?

- No, niech mnie diabli... Wynoś się!

- Nie mogę - rzekł Dillon. - Nie mam dokąd iść. - Rozumiem. Ostro. Jednak jesteś tu

nieproszonym gościem, naprawdę. I coś mi się wydaje, że chcesz nie tylko odrobiny miejsca do życia. Chcesz czegoś więcej, no nie?

- Muszę przejąć kontrolę. Nie ma innego wyjścia. Jednak jeżeli nie będziesz się opierał, to może zostawię ci trochę miejsca, chociaż to nie jest przyjęte.

- Nie jest?

- Jasne, że nie - odparł Dillon. - Współistnienie odmiennych istot jest niemożliwe. Silniejszy zawsze wypiera słabszego. Jednak może zechcę spróbować.

- Nie potrzebuję łaski - rzekł Arek i zerwał kontakt.

Otoczająca Dillona szarość zmieniła się w nieprzeniknioną czerń. Czekać na zbliżającą się walkę, poczuł pierwsze rodzące się wątpliwości

Arek był prymitywną istotą. Nie miał żadnego doświadczenia w odpieraniu ataku myślowego. A jednak w lot zrozumiał sytuację, opanował się i przygotował do bitwy. Jego opór pewnie będzie

słaby, ale mimo to...

Co to za stworzenie?

Stał na kamienistej wyżynie, otoczonej stromymi, poszarpanymi skałami. W oddali ciągnął się łańcuch wysokich, owianych niebieskawą mgiełką gór. Słońce świeciło mu prosto w oczy, a po zboczu pełzła powoli czarna plama.

Dillon kopnął i czekał, aż plama zmieni się w coś konkretnego. Takie były zasady walki - myśli przybierały określony kształt, wyobrażenia stawały się namacalne.

Plama zamieniła się w K'egranina. Olbrzymi wojownik o muskularnym, błyszczącym ciele wzniosł groźnie sztylet i miecz. Dillon cofnął się, unikając pierwszego ciosu.

Walka przebiegała w zwykły, łatwy do opanowania sposób. Obcy zwykle wywołują w swoich umysłach wyidealizowany wizerunek własnej postaci. Niezmiennie jest to superistota; niezwycięzona, budząca lęk. Jednak z reguły taka postać jest obciążona jakąś słabością. Na tym Dillon opierał swoje rachuby. K'egranin runął na niego jak burza. Dillon zrobił unik, rzucił się na ziemię i kopnął obiema nogami, odsłaniając się ma moment. K'egranin próbował odparować cios i skontrolować, ale był zbyt powolny. Ciężkie buty Dillona z impetem wylądowały na jego brzuchu. Uradowany Ziemianin ruszył do ataku. Znalazł słaby punkt przeciwnika. Zanurkował pod wzniesione ramię, uchylił się przed spadającym ostrzem i zanim przeciwnik zdążył się zasłonić, precyzyjnie złamał mu kark dwoma uderzeniami kantem dłoni.

K'egranin upadł, aż zatrzęsła się ziemia. Dillon patrzył na jego śmierć z pewnym współczuciem.

Wyidealizowana postać była większa od żywego wojownika, dzielniejsza i bardziej wytrzymała.

Roztaczała aurę strasliwego majestatu i godności. Doskonałe uosobienie siły, ale jako przeciwnik do niczego. Nadmiar godności wiązał się ze zwolnionym refleksem, a to oznaczało śmierć. Martwy gigant zniknął. Przez chwilę Dillon myślał, że już wygrał. Nagle usłyszał z tyłu cichy pomruk.

Okręcił się na pięcie i zobaczył długie, przypłaszczone cielsko. Czarne, przypominające pumę

zwierzę wyszczerzyło kły i położyło uszy po sobie.

A więc Arek się nie poddał. Dillon wiedział, ile energii pochłania ten rodzaj walki. Niedługo siły obcego wyczerpią się, a wtedy...

Dillon podniósł miecz giganta i zaczął się cofać, aż plecami oparł się o skałę. Przed sobą miał niewysoki kamień, przez który puma musiała przeskoczyć. Słońce świeciło mu prosto w oczy, a słaby wietrzyk sypał w nie kurzem. Wzniósł miecz dokładnie w chwili, gdy zwierzę skoczyło.

W ciągu następnych, wolno płynących godzin, napotkał i pokonał co groźniejszych przedstawicieli k'egrańskiej fauny, radząc sobie z nimi tak samo, jak uczyniłby to z ich odpowiednikami na Ziemi. Nosorożec - a przynajmniej zwierzę bardzo do niego podobne - mimo swych rozmiarów i szybkości był łatwym przeciwnikiem. Dillon zdołał zwabić go nad urwisko i nakłonić do szarży. Kobra była groźniejsza i prawie udało jej się trysnąć mu jadem w oczy, zanim przeciął ją na pół ostrzem miecza. Goryl był zwinny, silny i straszliwie szybki. Jednak nie zdołał schwycić człowieka w swój miażdżący uścisk. Nacierając i cofając się na przemian, Dillon porąbał go na kawałki. Tyranozaur miał gruby pancerz i niesłychaną wytrzymałość. Dopiero lawina go załatwiła. Dillon stracił rachunek; innych przeciwników. W końcu został na placu boju sam; chwiejąc się ze zmęczenia, z poszczerbionym kikutem miecza w dłoni.

- Masz dość, Dillon? - spytał Arek.

- Wcale nie - odparł Dillon spierzchniętymi z pragnienia wargami. - Nie możesz tego robić w nieskończoność. Nawet twoje siły muszą się w końcu wyczerpać.

- Naprawdę? - mruknął Arek.

- Nie zostało ci ich już wiele - ciągnął Dillon, próbując okazać pewność siebie, której nie czuł. - Czemu nie chcesz być rozsądny? Zostawię ci miejsce, naprawdę. Ja... no, mam dla ciebie coś w rodzaju szacunku.

- Dziękuję, Dillon - powiedział Arek. - Coś jakbym podzielał to uczucie. Słuchaj, jeżeli się

poddasz...

- Nie - odparł Dillon. - Na moich warunkach.

- Dobrze - rzekł K'egranin. - Sam tego chciałeś!

- Dawaj, co tam masz - mruknął Dillon.

Skalista wyżyna zniknęła.

Stał po kolana w szarym bagnie. Otulone mchem, sękaty pnie wielkich drzew wznosiły się z nieruchomej, zielonej wody. Białe jak rybi brzuch lilie trzęsły się i kołysały, chociaż nawet najśłabszy podmuch wiatru nie przeleciał nad bagnem. Nad wodą wisiał ciężki, trupi opar przylegający do szorstkiej kory drzew. Dillon wyczuwał kłębiące się wokół życie, chociaż nie mógł niczego dosłyszeć ani dostrzec.

Czekał, rozglądając się powoli wokół siebie. Wciągnął w nozdrza zastałe, ciężkie powietrze, grzebnął nogą w kleistej mazi, powąchał wydzielające woń rozkładu lilie. Nagle zrozumiał.

Takiego bagna nie było na K'egrze!

Wiedział, że się nie myli - mówiły mu o tym wszystkie zmysły. Ciężenie było inne, i powietrze także. Nawet błoto, w którym stał, nie przypominało k'egrańskiego.

Wynikające z tego wnioski przytłoczyły go na chwilę, uniemożliwiając sensowne wyjaśnienie tego faktu. Czyżby K'egranie potrafili podróżować w kosmosie? Niemożliwe! A więc skąd Arek mógł znać tak dobrze inną planetę? Może przeczytał, może wyobraził sobie albo...

Coś ciężkiego otarło się o bark Dillona. Zamyślił się tak głęboko, że kolejny atak go zaskoczył.

Próbował wprawdzie odskoczyć, ale utknął w gęstej mazi. Spadająca gałąź prawie go obaliła.

Zobaczył, że wszystkie gigantyczne drzewa poczęły się chwiać i kołysać. Grube konary pękały i łamały się z trzaskiem, syjąc się na niego jak deszcz.

A przecież nie powiał nawet leciutki wietrzyk.

Na wpół ogłuszony, z wysiłkiem brnął przez bagno, próbując znaleźć stały grunt i nie

zadrzewioną przestrzeń. Jednak wielkie pnie wyrastały wszędzie, a bagnisko wydawało się nie mieć końca. Grad gałęzi padał coraz gęściej i Dillon na próżno rozglądał się na wszystkie strony szukając przeciwnika. Wokół rozciągało się tylko bezkresne bagno.

- Wyjdź i walcz! - wrzasnął Dillon. Upadł na kolana pod ciosem, podniósł się i znów upadł.

Nagle, półprzytomny ze zmęczenia, znalazł wyjście z sytuacji.

Dobrnął do wielkiego drzewa i przywarł do niego całym ciałem. Konary dalej spadały, gałęzie smagały ze świstem powietrze, ale drzewo nie mogło go dosięgnąć. Był bezpieczny!

Nagle z przerażeniem stwierdził, że rosnące wokół lilie owijają swymi łodygami jego kostki.

Próbował się uwolnić kopniakiem. Lilie, jak blade węże, owinięły się jeszcze mocniej. Oswobodził się przecinając je mieczem i porzucił wątpliwe schronienie.

- Walcz ze mną! - zawył, obsypywany spadającymi gałęziami.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Lilie kołysały się na swoich łodyżkach, sięgając ku niemu łakomie. Nad głową usłyszał złowrogi łopot skrzydeł. Czarne wronce, zamieszkujące bagna, gęstą chmurą kołowały w powietrzu, czekając na nieunikniony koniec. Zataczając się, Dillon poczuł, że coś ciepłego i ohydneho dotyka jego nogi.

Wtedy pojął, co musi zrobić.

Przez chwilę nabierał tchu, po czym rzucił się głową naprzód w brudnozieloną toń.

W ten samej chwili wszystko się uspokoiło. Gigantyczne drzewa stały nieruchomo na tle ciemnoszarego nieba. Lilie straciły zapach i zwisły bezwładnie na swoich łodyżkach. Biały opar wisiał nieruchomo, czepiając się szorstkiej kory pni, a ścierwojady odleciały cicho w bezkres nieba.

Przez chwilę na powierzchni bagna pokazywały się bąbelki. Później przestały.

Dillon wynurzył się, z trudem łapiąc powietrze, z głębokimi zadrapaniami na szyi i plecach. W rękach trzymał bezkształtne, przezroczyste stworzenie rządzące bagnem.

Dobrnął do drzewa i uderzył bezwładnym stworem o pień, miażdżąc kompletnie niekształtne

ciało. Zrobiwszy to, usiadł ciężko.

Nigdy jeszcze nie był tak zmęczony i obolały ani tak przeświadczony o daremności wszelkich wysiłków. Czemu tak zażarcie walczy o życie, będące przecież czymś tak nieskończenie małym wobec ogromu wszechświata. Jakie znaczenie może mieć ta krótka chwila wobec wieczności krążących planet lub majestatycznego blasku dalekich gwiazd? Dillona zadziwił upór, z jakim kurczowo pragnął utrzymać się przy życiu.

Ciepła wody chlupotała wokół jego piersi. Życie, powiedział sobie Dillon, to zaledwie drobny okruch w porównaniu z ogromem martwej materii. Liczy się ilość, myślał, gdy woda sięgnęła mu po szyję. Czym jest życie w porównaniu z nieskończonością śmierci? Jeżeli martwota jest stanem naturalnym - pomyślał, gdy woda dotknęła mu podbródka - to życie jest chorobą, a jedynym na nią lekarstwem jest śmierć.

Tak, śmierć wydała mu się czymś przyjemnym. Woda sięgała mu już warg. Czuł się niewyobrażalnie zmęczony i obolały. Teraz tak dobrze byłoby poddać się, osunąć w...

- Świetnie - szepnął, podnosząc się na nogi. Świetnie, Arek. A może też jesteś zmęczony? Może zostało ci już niewiele więcej niż odrobina emocji?

Wokół zrobiło się ciemniej i coś zaczęło cicho szeptać Dillonowi do ucha; coś, co wyglądało jak małeńki sobowtór, skulony na ramieniu...

- Przecież są rzeczy gorsze od śmierci - mówił sobowtór. - Ukryte na samym dnie duszy, znieawidzone i godne pogardy uczucia, których istnienia nie da się jednak zaprzeczyć. Śmierć jest lepsza od uświadomienia sobie tego, Dillon. Śmierć staje się pożądana i niezwykle droga. Modlisz się o nią, wymyślasz sprytne plany napotkania jej - kiedy musisz stawić czoło prawdzie ukrytej na samym dnie twojej duszy.

Dillon próbował nie słuchać stworzenia, które tak bardzo było do niego podobne. Jednak sobowtór przyczepił się mocniej i wskazał palcem. Dillon zobaczył coś formującego się w mroku i

rozpoznał to.

- Nie, Dillon! - prosił sobowtór. - Proszę, tylko nie to! Bądź dzielny, Dillon! Wybierz śmierć!

Bądź śmiały, bądź odważny! Wiedz, kiedy lepiej umrzeć!

Patrząc na zbliżający się kształt Dillon poczuł ukłucie potwornego lęku. Zobaczył prawdę kryjącą się na dnie własnej duszy, zaznał przerażającej goryczy samouświadomienia.

- Szybko, Dillon! - krzyknął sobowtór. - Bądź silny, śmiały, bądź rzetelny! Umrzyj, dopóki jeszcze wiesz, kim jesteś!

I Dillon zapragnął umrzeć. Z głębokim westchnieniem ulgi rozluźnił się, chcąc dać umknąć świadomości...

I nie mógł.

- Pomóż mi! - wrzasnął.

- Nie mogę! - odkrzyknęło stworzenie. - Musisz to zrobić sam!

Dillon spróbował jeszcze raz. Kształt zbliżał się coraz bardziej. Daremnie prosił, błagał o śmierć

- nie potrafił umrzeć. Pozostało mu tylko jedno. Zebrał wszystkie siły i rozpaczliwie rzucił się naprzód, na majaczący przed nim kształt.

Wszystko zniknęło.

Dopiero po chwili Dillon uświadomił sobie, że niebezpieczeństwo minęło. Został sam na placu boju. Mimo wszystko wygrał!

Przed nim leżała opuszczona cytadela ego, oczekująca na zamieszkanie. Dillon poczuł przyływ szacunku dla biednego Arka. Walczył naprawdę dobrze i był godnym przeciwnikiem. Może mógłby mu zostawić trochę miejsca, gdyby Arek nie próbował...

- To bardzo miło z twojej strony, Dillon! - usłyszał. Nie miał czasu zareagować. Został pochwycony w uścisk tak silny, że myśl o jakimkolwiek oporze wydawała się śmieszna. Dopiero teraz poczuł prawdziwą moc umysłu K'egranina.

- Byłeś dobry, Dillon - rzekł Arek. - Nie musisz się wstydzić swojej walki.
- Ale od początku nie miałem żadnych szans - dopowiedział Dillon.
- Tak, żadnych - odparł uprzejmie Arek. - Sądziłeś, że wasza ziemską metodą inwazji jest wyjątkowa. Większość młodych ras tak sądzi. Jednak K'egra to bardzo stara planeta i w swoim czasie przeżyliśmy wiele inwazji, zarówno fizycznych, jak i psychicznych. Tak więc dla nas to nic nowego.
- Bawiłeś się ze mną! - krzyknął Dillon.
- Chciałem się dowiedzieć, jaki jesteś - powiedział Arek.
- Pewnie jesteś zadowolony z siebie! Niezła zabawa. W porządku, skończmy z tym.
- W jaki sposób?
- Zabij mnie!
- Czemu miałbym to robić?
- Ponieważ... ponieważ cóż innego mógłbyś zrobić? Czemu miałbyś mnie traktować inaczej niż tamtych najeźdźców?
- Niektórych z nich już spotkałeś, Dillon. Walczyłeś z Ethanem, który zamieszkiwał bagno swej rodzinnej planety, zanim zachciało mu się podróży. A małe stworzenie, które tak przekonująco szeptało ci do ucha, to Oolermik, który przybył tu niedawno, pełen zapału i energii tak jak ty.
- Ale...
- Przyjęliśmy ich, użyczyliśmy im miejsca i wykorzystaliśmy ich zdolności do uzupełnienia naszych. Razem jesteśmy czymś więcej, niż bylibyśmy osobno.
- Żyćcie razem? - wyszeptał Dillon. - W jednym ciele?
- Oczywiście. Dobre ciało to w Galaktyce rzadkość i nie można marnować okazji. Poznaj innych, Dillon.

Dillon znów zobaczył bezkształtne stworzenie z bagna, pokrytego łuskami Oolermika i tuzin

innych.

- Przecież to niemożliwe! - wykrzyknął. - Obce rasy nie mogą żyć razem! Życie to walka i śmierć! To podstawowe prawo natury.

- Tylko we wczesnych stadiach rozwoju - odparł Arek. - Już dawno temu odkryliśmy, że współpraca oznacza przetrwanie i to w znacznie lepszych warunkach. Przyzwyczaj się. Witamy w federacji, Dillon!

I wciąż oszołomiony Dillon wkroczył do cytadeli, by zamieszkać w niej wspólnie z licznymi przedstawicielami innych planet.

przekład : Zbigniew A. Królicki

Najszczęśliwszy człowiek na świecie

Naprawdę czuję się wyśmienicie tutaj na dole. Ale musicie państwo pamiętać, że jestem człowiekiem, któremu zawsze wiedzie się w życiu. Mój przysłowiowy łut szczęścia sprawił, że wysłano mnie do Patagonii. Proszę mnie źle nie zrozumieć - to nie sprawa protekcji czy zdolności.

Wprawdzie jestem niezłym meteorologiem, ale z łatwością mogliby wysłać kogoś lepszego ode mnie. Po prostu miałem wyjątkowe szczęście być na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Cała sprawa zaczyna przypominać bajkę, jeżeli weźmie się pod uwagę, że wojskowi wyposażyli moją stację meteorologiczną we wszystkie cuda techniki, jakie zna ludzkość. Oczywiście zrobili to niezupełnie dla mnie. Po prostu zamierzali zbudować tutaj bazę. Sprowadzili już całe wyposażenie, później zaś musieli porzucić ten projekt.

A mimo to wysyłałem im raporty o pogodzie tak długo, jak tego chcieli.

Cóż to za wspaniałe urządzenia! Nauka zawsze mnie zdumiewała. Przypuszczam, że sam jestem czymś w rodzaju naukowca, ale nie potrafię pracować twórczo i na tym polega cała różnica.

Wystarczy powiedzieć naukowcowi z prawdziwego zdarzenia, że ma zrobić coś niemożliwego, a on zakasze rękawy i za każdym razem zrobi to, co mu polecono. To doprawdy przerażające.

Tak jak ja to widzę, jakiś generał musiał powiedzieć naukowcom: "Słuchajcie, chłopcy. Brak nam wielu specjalistów z różnych dziedzin i nie mamy skąd ich wziąć. Ich zadania musimy powierzyć ludziom, którzy często nie posiadają odpowiednich kwalifikacji. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale czy możecie coś z tym zrobić?" A naukowcy zabrali się żywo do pracy nad tymi wszystkimi zdumiewającymi podręcznikami i urządzeniami.

Na przykład: w zeszłym tygodniu rozboleły mnie zęby. Początkowo myślałem, że to tylko przeziębienie, bo tutaj na dole nadal jest bardzo zimno, mimo iż czynne są te wszystkie wulkany. Ale bez wątplenia był to ból zęba. Więc wyjąłem z pudła aparat dentystyczny, złożyłem go i przeczytałem, co miałem do przeczytania. Przebadałem się sam, sklasyfikowałem chory ząb, rodzaj bólu i ubytek. Później zrobiłem sobie zastrzyk, oczyściłem ząb i założyłem plombę. A dentyści całymi latami uczą się na studiach tego, co ja sam zrobiłem z konieczności w ciągu pięciu godzin. Weźmy chociażby sprawę wyżywienia. Byłem obrzydliwie tłusty, ponieważ poza wysyłaniem raportów o pogodzie nie miałem nic do roboty. Ale kiedy przestałem się tym zajmować, zacząłem przygotowywać takie posiłki, jakich mogliby mi pozazdrościć najlepsi na świecie szefowie kuchni. Gotowanie było zawsze sztuką, ale kiedy zabrali się za nie naukowcy, zrobili z niego ścisłą dyscyplinę naukową.

Mógłbym pisać o tym bez końca. Wiele z rzeczy, w które mnie wyposażono, nie jest mi już do niczego potrzebne, gdyż, zostałem zupełnie sam. Ale z podręcznikami, jakie tu mam, mógłbym zostać bardzo kompetentnym adwokatem. Owe podręczniki zostały napisane w taki sposób, że każdy przeciętnie inteligentny człowiek może znaleźć paragrafy potrzebne do skutecznej obrony danej sprawy i zrozumieć, co one znaczą w potocznej angielszczyźnie.

Nikt nigdy nie próbował pozwać mnie do sądu, ponieważ zawsze miałem szczęście w życiu. Ale teraz chciałbym, żeby ktoś to zrobił, choćby po to, bym mógł wypróbować te podręczniki prawa. Budownictwo to inna sprawa. Kiedy tu przybyłem, musiałem mieszkać w baraku z blachy

falistej. Ale rozpakowałem kilka tych cudownych maszyn budowlanych i znalazłem materiały konstrukcyjne, z którymi każdy mógłby dać sobie radę. Zbudowałem sobie pięciopokojowy bomboodporny dom, z łazienką wykładaną kafelkami. Oczywiście nie są to autentyczne kafelki, ale wyglądają jak prawdziwe i bez trudu można je ułożyć. Równie łatwo przychodzi wykładanie ścian tapetami, wystarczy tylko o tym poczytać.

Rzecz, która mnie najbardziej zaskoczyła, był montaż instalacji wodociągowych w moim domu.

Zawsze uważałem inżynierię sanitarną za najbardziej skomplikowaną dziedzinę na świecie -

trudniejszą nawet niż medycyna czy stomatologia. Nie miałem jednak z tym żadnych kłopotów.

Może według profesjonalnych standardów wykonanie nie jest absolutnie doskonałe, ale wystarcza

mi w zupełności. Serie filtrów, sterylizatorów, oczyszczaczy, wzmacniaczy i tak dalej zapewniają

mi dopływ wody wolnej od najbardziej odpornych mikroobów. A przecież te filtry zainstalowałem

ja sam, bez niczyjej pomocy.

Czasem czuję się tu bardzo samotny, lecz na to naukowcy niewiele mogą poradzić. Nic nie

zastąpi towarzystwa drugiego człowieka. Może gdyby naukowcy z prawdziwego zdarzenia bardzo

się postarali, wówczas mogliby wymyślić coś lepszego niż zupełna samotność dla facetów takich

jak ja, odizolowanych od reszty świata.

Nie mam tu nawet jednego Patagończyka, z którym mógłbym pogadać. Nieliczni, którzy ocalili,

odeszli na pomoc, gdy cofnęły się fale przyływu. No i muzyka też niewiele mi pomaga - ale

jestem przecież człowiekiem, któremu niezbyt przeszkadza samotność. Może właśnie dlatego mnie

tutaj wysłali.

Bardzo mi jednak brakuje drzew.

Malarstwo! Nie wspomniałem o malarstwie! Każdy wie, jaka to skomplikowana dziedzina.

Trzeba znać się na perspektywie, rysunku, kolorach i nie wiem, czym jeszcze. Praktycznie rzecz

biorąc trzeba być geniuszem, zanim człowiekowi coś z tego wyjdzie.

No a ja, po prostu, wybieram pędzle, ustawiam sztalugi i mogę namalować, co mi się tylko spodoba. O wszystkim, co trzeba zrobić, napisano w podręczniku. Moje obrazy przedstawiające zachody słońca są bardzo efektowne. Nadają się do galerii malarstwa. Nigdy nie widzieliście państwo takich zachodów słońca. Jakie płomienne kolory, niewiarygodne kształty! To wszystko przez ten pył w powietrzu.

Z moimi uszami również jest lepiej. Czyż nie powiedziałem, że mam szczęście w życiu? Przy pierwszym wybuchu popękały mi bębniaki w uszach, ale aparat słuchowy, który noszę, jest tak mały, że niemal niedostrzegalny i z jego pomocą słyszę lepiej niż kiedykolwiek.

To przywodzi mi na myśl medycynę, a przecież nigdzie indziej nauka nie zrobiła równie dobrej roboty. Podręcznik mówi mi, co należy robić we wszystkich przypadkach. Przeprowadziłem na sobie operację usunięcia wyrostka robaczkowego, którą jeszcze kilka lat temu uznano by za niemożliwą. Musiałem tylko odnaleźć objawy chorobowe, zastosować się do instrukcji i już było po wszystkim.

Wyleczyłem się z wielu różnorodnych schorzeń, ale oczywiście nie mogę nic poradzić na chorobę popromienną. To nie wina podręcznika. Po prostu nikt nie może się z tym uporać. Nawet gdybym miał tu najlepszych na świecie specjalistów, oni także nie mogliby mi pomóc.

Jeżeli pozostaliby jeszcze jacyś specjaliści. Ale oczywiście nie ma już żadnego.

Mimo wszystko nie jest ze mną aż tak źle. Wiem, co mam robić, żeby nie bolało. I nie znaczy to, że opuściło mnie szczęście czy coś podobnego. Po prostu szczęście opuściło wszystkich.

No cóż, kiedy przeglądam, co dotąd napisałem, nie wygląda mi to na wyznanie wiary, jakim miało być. Myślę, że dobrze będzie, jeżeli przestudiuję jeden z tych podręczników poprawnego pisania. Będę wtedy wiedział, jak opowiedzieć wszystko tak dobrze, jak to tylko możliwe. A chcę opowiedzieć dokładnie o uczuciach, jakie żywię wobec nauki i jaki jestem jej wdzięczny. Mam trzydzieści dziewięć lat. Żyłem dłużej niż ktokolwiek inny, nawet gdybym miał jutro umrzeć. A to

dlatego, że miałem szczęście i zawsze byłem na właściwych miejscach, o właściwej porze.

Myślę jednak, że nie będę zawracać sobie głowy podręcznikiem poprawnego pisania, ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby przeczytać choć jedno słowo z mojego rękopisu. A komu potrzebny jest pisarz bez czytelników?

Fotografowanie jest bardziej interesujące.

Poza tym muszę rozpakować część narzędzi do kopania grobów, zbudować mauzoleum i wyrzeźbić dla siebie nagrobek.

przekład : Ewa Witecka

Ochrona

W przyszłym tygodniu samolot rozbije się w Birmie, ale nie powinno mi to zaszkodzić w Nowym Jorku. A figsy w żaden sposób nie mogą zrobić mi krzywdy. Nie mogą, bo drzwi od szafy są zamknięte. Jedyne prawdziwy problem stanowi lesnerowanie. Nie mogę lesnerować. W żadnym przypadku. Możecie sobie wyobrazić, jak mi to przeszkadza. A w dodatku wydaje mi się, że porządnie się przeziębilem.

Cała rzecz zaczęła się siódmego listopada wieczorem. Szedłem Broadwayem do baru Bakera. Zdałem tego dnia trudny egzamin z fizyki i byłem w dobrym humorze. W kieszeni brzęczało mi pięć monet, trzy klucze i pudełko zapalek. Żeby obraz był pełny, trzeba dodać, że wiał północno-zachodni wiatr z szybkością pięciu mil na godzinę, Wenus wschodziła, a Księżyc był niewątpliwie pełny. Z faktów tych możecie wyciągnąć swoje własne wnioski.

Doszedłem do rogu Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy i zacząłem przechodzić przez jezdnię. Kiedy zszedłem z krawężnika, ktoś wrzasnął do mnie:

- Ciężarówka! Uważaj na ciężarówkę!

Oskoczyłem i rozejrzałem się szybko wokół. Nie było niczego widać w pobliżu. Po upływie całej sekundy ciężarówka ścięła róg na dwóch kołach i nie zważając na czerwone światło pomknęła

w stronę Broadwayu.

Gdyby nie ostrzeżenie, uderzyłaby z pewnością we mnie. Słyszeliście już podobne historie, prawda? O dziwnym głosie, jaki ostrzegł ciocię Minnie, by nie wchodziła do windy, która po chwili rzeczywiście runęła w dół. Albo o takim, co powiedział wujkowi Joe, by nie płynął "Titanikiem".

Na tym zwykle taka historia się kończy. Bardzo bym chciał, by z moją było podobnie.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedziałem i rozejrzałem się powtórnie wokół. Oprócz mnie na ulicy nie było nikogo.

- Czy nadal mnie słyszysz? - zapytał głos.

- Jasne - obróciłem się i popatrzyłem podejrzliwie na zamknięte okna mieszkań u góry. - Ale gdzie, do diabła, jesteś?

- Gronish - odpowiedział głos. - Czy to odnośnik? Wskaźnik załamywania się światła. Stworzenie niematerialne. Cięń wie. Czy wybrałem właściwie?

- Jesteś niewidzialny? - zaryzykowałem.

- Właśnie.

- Ale k i m jesteś?

- Jestem dergiem waliduzjańskim.

- Czym?

- Jestem - otwórz usta trochę szerzej. - Teraz zastanówmy się. Jestem Duchem Przyszłych Świąt. Stworem z Czarnej Laguny. Narzeczoną Frankensteina. Jestem...

- Poczekaj - przerwałem - czy starasz się mi powiedzieć, że jesteś duchem lub stworzeniem z innej planety? - Właśnie, właśnie - odpowiedział derg.

Oczywiście. Teraz wszystko było zupełnie jasne. Każdy dureń mógł zrozumieć, że głos należał do kogoś z innej planety. Był on niewidzialny na Ziemi, ale jego nadzwyczajne zmysły wyczuły

niebezpieczeństwo i zdążyły mnie ostrzec.

Zwykle, codzienne, nadprzyrodzone zdarzenie.

Zacząłem iść bardzo szybko w dół Broadwayu.

- O co chodzi? - spytał niewidzialny derg.

- Absolutnie o nic - odpowiedziałem - poza tym, iż wydaje mi się, że stoję na środku ulicy i rozmawiam z niewidzialnym przybyszem z najodleglejszych części przestrzeni kosmicznej.

Przypuszczam, że tylko ja mogę cię słyszeć?

- Tak, naturalnie.

- Świetnie. Czy wiesz, gdzie mogę się znaleźć przez takie zdarzenie?

- Pojęcie, jakie starasz się wyrazić, nie jest dla mnie całkowicie jasne.

- Na oddziale chorych umysłowo. W szpitalu dla obłąkanych. U czubków. Wśród wariatów. Tam kierują ludzi rozmawiających z niewidzialnymi stworami z innych planet. Dzięki za ostrzeżenie...

Dobranoc.

Uspokojony, skręciłem na wschód z nadzieją, że mój niewidzialny przyjaciel będzie się dalej trzymał Broadwayu.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać? - zapytał derg. Pokręciłem głową (niewinny gest, za który nie mogą cię mknąć) i szedłem dalej.

- Ale przecież musisz - powiedział derg z pewną determinacją. - Prawdziwy kontakt głosowy jest niezmiernie rzadki i szalenie trudny do utrzymania. Czasem udaje mi się przekazać ostrzeżenie tuż przed momentem zagrożenia, ale później połączenie znika.

Tak więc uzyskaliśmy wyjaśnienie na przeczucie cioci mnie. Niemniej jednak nadal nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

- Warunki mogą być niekorzystne przez następne sto lat - ubolewał derg.

Jakie warunki? Pięć monet i trzy klucze obijające się o siebie, w czasie gdy wschodziła Wenus?

Być może jest to warte zbadania, ale nie przeze mnie.

Nigdy nie udowodnisz rzeczy ponadnaturalnych. Wystarczająco dużo ludzi wyplata koszyki lub odpoczywa w kaftanach bezpieczeństwa. I po co ja tam jeszcze?

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziałem. Nadchodzący policjant dziwnie spojrzał na mnie.

Uśmiechnąłem się chłopięco i pospieszyłem dalej.

- Rozumiem twoją sytuację - namawiał derg - ale kontakt... jest w twoim najlepszym interesie.

Pragnę ochraniać cię od niezliczonych niebezpieczeństw ludzkiej egzystencji.

Nie odpowiedziałem nawet.

- Cóż - rzekł derg - nie mogę cię zmuszać. Będę musiał zaoferować swoje usługi gdzie indziej.

Do widzenia, przyjacielu.

Skinąłem grzecznie głową.

- Na koniec jeszcze jedno - powiedział. - Nie korzystaj jutro z metra między południem a 13.15.

Do widzenia.

- Co? Dlaczego?

- Ktoś zginie na stacji Columbus Circle wepchnięty pod pociąg przez tłum. Ty, jeśli tam będziesz. Cześć.

- Ktoś zginie jutro? - zapytałem. - Jesteś pewien?

- Oczywiście.

- Czy będzie o tym w gazetach?

- Wydaje mi się, że tak.

- I wiesz z góry o wszystkich takich rzeczach?

- Potrafię przewidzieć wszystkie zagrożenia przemieszczające się ku tobie w czasie. Jedynym moim pragnieniem jest ochronienie cię przed nimi.

Zatrzymałem się. Dwie nadchodzące dziewczyny zaczęły chichotać słysząc mnie mówiącego do

siebie. Ruszyłem dalej.

- Posłuchaj - szepnąłem - czy możesz poczekać do jutrzejszego wieczora?

- I pozwolisz mi być swoim opiekunem? - zapytał derg ochoczo.

- Odpowiem jutro - odrzekłem. - Po przeczytaniu wieczornych gazet.

Notatka była, rzeczywiście. Przeczytałem ją w moim wynajętym pokoju na Sto Trzynastej Ulicy.

Mężczyzna popchnięty przez tłum, stracił równowagę i spadł na tory prosto pod koła nadjeżdżającego pociągu. Dało mi to dużo do myślenia podczas oczekiwania na pojawienie się mojego niewidzialnego opiekuna.

Nie wiedziałem, co robić. Jego chęć do ochraniań mnie wyglądała na dość szczerą. Ale nie mogłem się zdecydować, czy takiej opieki rzeczywiście pragnę. Kiedy godzinę później derg skontaktował się ze mną, cała sprawa podobała mi się jeszcze mniej i powiedziałem mu o tym.

- Czy mi nie ufasz? - spytał.

- Chcę tylko prowadzić normalne życie.

- Jeżeli będziesz miał w ogóle jakieś życie - przypomniał mi. - Ta ciężarówka ostatniego wieczora...

- To była rzecz wyjątkowa, zdarzająca się tylko raz w życiu.

- Właśnie raz w życiu się umiera - powiedział derg uroczyście. - Było też metro.

- To się nie liczy. Nie planowałem dzisiaj jazdy metrem. - Ale nie było przyczyny, abyś tego nie zrobił. To jest istotne. Tak jak nie ma powodu, byś na przykład nie wziął prysznicu w ciągu następnej godziny.

- Dlaczego nie miałbym wziąć?

- Panna Flyun - rzekł derg - mieszkająca na końcu korytarza, właśnie skończyła się kąpać w łazience na tym piętrze i zostawiła roztopiający się kawałek różowego mydła na różowych kaflach posadzki. Poślizgnąłbyś się i skręcił nadgarstek.

- Nie byłby to wypadek śmiertelny, co?
- Nie. W żadnym razie nie można tego porównać na przykład z powiedzmy ciężką doniczką strąconą z dachu przez pewnego, niezbyt pewnie zachowującego równowagę, starszego dżentelmena.
- Kiedy to się wydarzy? - spytałem. - Myślałem, że to cię nie interesuje.
- Ależ to jest bardzo interesujące. Kiedy? Gdzie?
- Czy pozwolisz mi na dalsze ochranianie siebie? - zapytał.
- Powiedz mi tylko jedną rzecz - rzekłem. - Co ty masz z tego?
- Zadowolenie - odpowiedział. - Dla derga waliduzjańskiego największą rozkoszą jest możliwość pomagania innym istotom w unikaniu niebezpieczeństwa.
- Ale czy nie chcesz za to czegoś więcej? Jakiegoś drobiazgu jak moja dusza czy władza nad światem?
- Niczego. Oczekiwanie zapłaty za ochronę zrujnowałoby moje emocjonalne przeżycie. Wszystko, czego oczekuję od życia - czego każdy derg pragnie - to ochranianie kogoś od zagrożeń, których ten ktoś nie dostrzega, a które ja widzę aż za dobrze. - Derg przerwał, po chwili dodał cicho: - Nie oczekujemy nawet wdzięczności.
- Cóż, to przesądziło sprawę. W jaki sposób mogłem przewidzieć konsekwencje? Skąd mogłem wiedzieć, iż jego pomoc wmanewruje mnie w sytuację, w której nie będę mógł lesnerować?
- Co z tą doniczką? - spytałem.
- Spadnie ona na róg Dziesiątej Ulicy i Bulwaru McAdamsa jutro o 8.30 rano.
- Dziesiątej i McAdamsa? Gdzie to jest?
- W Jersey City - odpowiedział natychmiast.
- Ale ja w życiu nie byłem w Jersey City. Po co uprzedzać mnie o tym?
- Nie wiem, dokąd pójdziesz lub nie pójdziesz powiedział derg. - Ja tylko wyczuwam

niebezpieczeństwa grożące ci, wszystko jedno, w którym miejscu mogące wystąpić.

- Co mam teraz robić?

- Co sobie życzysz - odpowiedział mi. - Po prostu żyj sobie tak jak zawsze.

Tak jak zawsze. Ha!

Zacząłem się całkiem dobrze. Chodziłem na wykłady na Uniwersytecie Columbia, do kina, na randki, uczyłem się w domu, grałem w ping-ponga i szachy, wszystko tak jak przedtem. Nigdy nie pokazałem po sobie, że jestem pod bezpośrednią ochroną derga waliduzjańskiego.

Derg zgłaszał się do mnie raz lub dwa razy dziennie. Mówił coś w rodzaju: "Obluzowane okratowanie na wlocie do kanału pomiędzy Sześćdziesiątą Szóstą i Sześćdziesiątą Siódmą Ulicą. Nie nastąp na nie". I oczywiście nie następowałem. Ale ktoś inny, tak. Często widziałem takie notatki w gazetach.

Gdy przyzwyczaiłem się do mojej sytuacji, dała mi ona całkiem spore poczucie bezpieczeństwa. Stworzenie z innej planety krzątało się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i wszystko, czego pragnęło od życia, to ochranianie mnie. Straż osobista nie z tego świata! Myśl ta dodawała bardzo pewności siebie.

Moje życie towarzyskie w tym okresie nie mogłoby rozwijać się lepiej.

Wkrótce jednak, w trosce o mnie, derg stał się zbyt gorliwy. Wynajdował coraz więcej i więcej zagrożeń, z których większość nie miała żadnego wpływu na moje życie w Nowym Jorku - rzeczy i miejsca, których powinienem unikać w Mexico City, Toronto i Omaha, Papeete...

Spytałem go w końcu, czy zamierza donosić mi o każdym potencjalnym niebezpieczeństwie na Ziemi.

- Uprzedzałem cię tylko o nielicznych, bardzo nielicznych, takich, które odnoszą się lub mogłyby odnieść się do ciebie - odpowiedział.

- W Mexico City? Lub w Papeete? Czemu nie ograniczysz się do wypadków lokalnych?

Powiedzmy w Nowym Jorku i okolicy!

- "Lokalny" nic dla mnie nie znaczy - derg był uparty. - Moja percepcja jest czasowa, a nie przestrzenna. Muszę chronić cię przed w s z y s t k i m.

Na swój sposób było to wzruszające i nic nie mogłem na to poradzić. Musiałem tylko odrzucać z jego doniesień przeróżne niebezpieczeństwa w Hoboken, Tajlandii, Kansas City, Angkor Wat (upadający posąg), Paryżu i Sarasosie. W końcu dochodziliśmy do wydarzeń lokalnych.

Ignorowałem na ogół zagrożenia oczekujące mnie w Queens, Bronksie, Staten Island i Brooklynie i koncentrowałem się na Manhattanie.

O niektórych z nich jednak warto było wiedzieć wcześniej. Derg ustrzegł mnie od kilku bardzo przykrych przeżyć takich, jak na przykład napad w parku, atak bandy nastolatków, pożar.

Ale jednocześnie zwiększał on stale tempo swych ostrzeżeń. Zaczęło się od jednego lub dwóch doniesień dziennie. Po miesiącu przestrzegał mnie już pięć i sześć razy w ciągu dnia. W końcu ostrzeżenia lokalne, krajowe i międzynarodowe płynęły nieprzerwanym strumieniem. Na mojej drodze zaczęły się piętrzyć niebezpieczeństwa ponad wszelki rachunek prawdopodobieństwa. ..

Oto typowy dzień:

"Zepsuta żywność w restauracji Bakera. Nie jedz tam dziś wieczorem".

"Autobus 312 ma niepewne hamulce. Nie jedź nim".

"Pralnia chemiczna Mellena ma uszkodzoną instalację gazową. Może wybuchnąć. Lepiej oddaj odzież do czyszczenia gdzie indziej".

"Wściekły pies krąży między ulicami Riverside Drive i Central Park West. Weź taksówkę".

Wkrótce większość czasu poświęcałem na nierobienie wielu rzeczy i unikanie różnych miejsc.

Wyglądało na to, iż niebezpieczeństwo czyha na mnie na każdym kroku.

Podejrzewałem derga, że przesadnie powiększa liczbę ostrzeżeń. Wydawało mi się to jedynym możliwym wytłumaczeniem. Ostatecznie, przed spotkaniem z dergiem, żyłem już dość długo i bez

absolutnie żadnej nadprzyrodzonej pomocy szło mi całkiem nieźle. Dlaczego więc ryzyko codziennego bytowania miałoby się teraz tak wyraźnie zwiększyć? Zapytałem go o to pewnego wieczora.

- Wszystkie moje meldunki są całkowicie prawdziwe odpowiedział, najwyraźniej nieco dotknięty. - Jeśli mi nie wierzysz, spróbuj jutro zapalić światło na wykładzie psychologii.

- Czemu?

- Uszkodzona instalacja.

- Nie wątpię w prawdziwość twoich ostrzeżeń - zapewniłem. - Wiem tylko, że moje życie nie było tak najeżone niebezpieczeństwami przed poznaniem z tobą.

- Oczywiście, że nie było. Z pewnością wiesz o tym, iż przyjmując ochronę, musisz jednocześnie pogodzić się z jej niedogodnościami.

- Jakimi niedogodnościami? Derg zawahał się.

- Ochrona powoduje potrzebę dalszej ochrony. Jest to powszechna niezmienność rzeczy.

- Powtórz to - powiedziałem oszołomiony.

- Zanim mnie spotkałeś, byłeś przeciętnym człowiekiem i napotykałeś na swej drodze przeciętnie ryzykowne sytuacje. Ale gdy ja się pojawiłem, twoje bezpośrednie otoczenie zmieniło się. I twoja pozycja w tym otoczeniu zmieniła się również.

- Zmieniła się? Dlaczego? - Ponieważ zawiera ona teraz m n i e. Do pewnego stopnia istniejesz teraz w moim środowisku, podobnie jak ja w twoim. A, oczywiście, wiadomo jest powszechnie, że uniknięcie jednego zagrożenia otwiera drogę innym groźbom.

- Czy starasz mi się powiedzieć - powiedziałem powoli - że liczba niebezpieczeństw, na które jestem narażony, wzrosła z powodu twojej pomocy?

- Nie można było tego uniknąć - westchnął.

W tym momencie udusiłbym chętnie derga, gdyby nie był niewidzialny i nieuchwytny. Miałem

paskudne uczucie, iż zostałem wykiwany przez pozaziemskiego oszusta.

- W porządku - powiedziałem, usiłując zachować kontrolę nad głosem - dziękuję za wszystko. Do zobaczenia na Marsie, czy też tam, gdzie zwykle się kręcisz.

- Nie chcesz dalszej ochrony?

- Dobrze zgadłeś. Nie trzaskaj drzwiami wychodząc. - Ale dlaczego? - derg wydawał się szczerze zdziwiony. - Liczba niebezpieczeństw w twoim życiu zwiększyła się, to prawda, ale co z tego?

Prawdziwą sławę i prawdziwy honor przynosi stawienie czoła zagrożeniom i wychodzenie z nich zwycięsko. Im większe niebezpieczeństwo, tym większa radość z jego uniknięcia.

Po raz pierwszy zrozumiałem, jak obcy w swej naturze był ten przybysz z zewnątrz.

- Nie dla mnie - odpowiedziałem. - Wynoś się.

- Ryzyko zwiększyło się - argumentował derg - ale moja zdolność do wykrywania go jest bardziej niż wystarczająca. Jestem s z c z ę ś l i w y, starając się je zniwelować. Moja obecność przedstawia dla ciebie coraz większą wartość.

Pokręciłem głową.

- Wiem, co będzie dalej. Liczba zagrożeń w moim życiu będzie się stale zwiększać, nieprawdaż?

- Wcale nie. Jeżeli chodzi o tego rodzaju przypadki, osiągnąłeś już ilościowy limit.

- Co to właściwie ma oznaczać?

- Znaczy to, że w przyszłości nie będzie się już zwiększała liczba niebezpieczeństw, których musisz unikać.

- Świetnie. A teraz może będziesz tak uprzejmy i wyniesiesz się stąd do cholery.

- Ale przecież właśnie ci tłumaczę...

- Rozumiem. Bez dalszego zwiększania, tylko to, co było... Ale słuchaj, jeśli zostawisz mnie samego, moje pierwotne otoczenie powróci, prawda? I razem z nim moja poprzednia liczba zagrożeń.

- Stopniowo - zgodził się derg - jeżeli tego dożyjesz.

- Zaryzykuję.

Derg milczał przez chwilę. W końcu powiedział:

- Nie mogę pozwolić na oddalenie mnie. Jutro...

- Nie mów nic. Będę unikał tych wypadków na własną rękę.

- Nie myślałem o wypadkach.

- A o czym?

- Naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć - jego głos był zmieszany. - Tłumaczyłem ci, że nie będzie ilościowej zamiany. Nie wspomniałem o zmianie j a k o ś c i o w e j.

- O czym ty mówisz?! - krzyknąłem.

- Staram ci się wyjaśnić - odpowiedział derg - że gamper czyha na ciebie.

- Kto? Co to za kawały?

- Gamper jest tworem z m o j e g o środowiska. Wydaje mi się, że przyciągnął go twój wzmożony, dzięki mnie, potencjał unikania niebezpieczeństw.

- Do diabła z gamperem i do diabła z tobą!

- Jeżeli się pojawi, staraj się przepędzić go używając jemioły. Żelazo jest również często skuteczne, jeżeli zetknie się z czymś miedzianym. Także...

Rzuciłem się na łóżko i schowałem głowę pod poduszkę. Derg zrozumiał. Po chwili mogłem wyczuć, że opuścił mnie.

Jakim idiotą byłem! My, mieszkańcy Ziemi, mamy jedną wadę: bierzemy to, co nam oferują, nie zważając na to, czy naprawdę tego potrzebujemy, czy też nie. W ten sposób można sobie przysporzyć masę kłopotów.

Tymczasem jednak derg odszedł i moje najgorsze zmartwienia się skończyły. Będę przez pewien czas ostrożny, pozwolę, by te sprawy same się jakoś ułożyły. Za parę tygodni, być może już...

Wydawało mi się, że słyszę jakiś szum. Usiadłem na łóżku. W kącie pokoju było dziwnie ciemno, a jednocześnie poczułem na twarzy zimny podmuch. Szum stał się głośniejszy, nie szum właściwie, ale śmiech, cichy i monotony.

W takiej chwili nikt nie musiał mi wyjaśniać sytuacji. - Derg! - krzyknąłem. - Wydostań mnie z tego.

Zjawił się.

- Jemioła. Machaj nią w kierunku gampera.

- Skąd, do cholery, wezmę jemiołę?

- Żelazo i miedź w takim razie!

Skoczyłem do biurka, złapałem miedziany przycisk do papierów i rozglądałem się rozpaczliwie za czymś żelaznym, by zetknąć to z miedzią. Przycisk wyrwano mi z rąk. Złapałem go, nim spadł na podłogę. Wtedy dojrzałem pióro wieczne i przytknąłem stalówkę do przycisku.

Ciemność rozproszyła się. Uczucie chłodu znikło. Zdaje się, że zemdlałem.

Godzinę później derg rzekł triumfalnie:

- Widzisz? Potrzebujesz mojej ochrony.

- Chyba tak - odparłem apatycznie.

- Będziesz potrzebował paru rzeczy - powiedział derg - tojad żółty, amarant, czosnek, ziemia cmentarna. - Ale przecież gamper zniknął?!

- Tak. Jednak grajlersy pozostały. Potrzebujesz też ochrony przed lipsami, figsami i melgerizerem.

Zrobiłem więc listę ziół, wyciągów i specyfików. Nie trudziłem się już, by spytać go o powiązanie rzeczy nadprzyrodzonych z botaniką. Moje dostosowanie się do sytuacji było już pełne i całkowite. Duchy i zjawy? Czy też istoty pozaziemskie? Jedno i to samo, powiedział, i zrozumiałem, co miał na myśli. Z zasady zostawiają one nas w spokoju. Jesteśmy na innych

poziomach percepcji, a nawet istnienia. Do czasu, aż jakiś człowiek okaże się głupi na tyle, by zwrócić na siebie uwagę.

Teraz byłem dla nich zwierzyną, na którą się poluje. Niektóre z nich chciały mnie zniszczyć, inne ochronić, ale żaden nie dbał o m n i e, nawet derg. Były zainteresowane wyłącznie moją wartością w tej grze, w tym polowaniu, jeżeli tak to można nazwać.

A sytuacja wynikła z mojej winy.

Przecież miałem do dyspozycji całą wiedzę rasy ludzkiej, tę straszliwą rasową nienawiść do czarownic i duchów, irracjonalny strach przed innym życiem. Bo przecież moja przygoda rozgrywała się już tysiące razy i historia wciąż się powtarza - o tym, jak człowiek zajmuje się dziwnymi sztukami i wywołuje demona. W ten sposób zwraca na siebie uwagę - a to najgorsza rzecz ze wszystkich.

Tak więc byłem nierozzerwalnie związany z dergiem, derg ze mną. To znaczy do wczoraj. Teraz bowiem jestem rowu zdany wyłącznie na siebie.

Przez parę tygodni panował spokój. Prosty sposób otwierania drzwi od szafy chronił mnie przed figsami. Ipsy były bardziej niebezpieczne, ale oko ropuchy powstrzymywało je, jak się wydaje, melgerizer zaś był groźny tylko podczas pełni księżyca.

- Jesteś w niebezpieczeństwie - powiedział wczoraj derg.

- Znowu? - spytałem ziewając.

- Trang nam zagraża.

- Nam?

- Tak, zarówno mnie, jak i tobie, bo nawet derg musi narażać się czasem na ryzyko i niebezpieczeństwo.

- Czy ten trang jest bardzo groźny?

- Niezmiernie.

- Cóż, co mam więc zrobić? Skóra węża nad drzwiami? Pentagra?

- Nic z tych rzeczy - odpowiedział derg. - Tranga neutralizuje się na odwrót. Chodzi o unikanie pewnych czynności.

Musiałem już unikać tylu rzeczy, że jeszcze jedno ograniczenie nie wydawało się mieć znaczenia.

- Czego nie powinienem robić?

- Nie możesz lesnerować - odpowiedział derg.

- Lesnerować - skrzywiłem się. - Co to oznacza? - Z pewnością wiesz. Jest to przecież zwykła, codzienna, ludzka czynność.

- Prawdopodobnie znam ją pod inną nazwą. Powiedz mi jaką.

- Dobra. Lesnerować to znaczy... - przerwał gwałtownie.

- Co?

- On jest tutaj. Trang.

Cofnąłem się pod ścianę. Wydawało mi się, że wyczułem lekki powiew kurzu, ale mogły to być tylko napięte nerwy.

- Derg! - wrzasnąłem. - Gdzie jesteś? Co mam robić? Usłyszałem jęk i dźwięk przypominający zamykanie się szczęk.

Derg krzyknął nagle:

- Złapał mnie!

- Co mam robić? - wrzasnąłem znowu.

Nastąpił nieprzyjemny dźwięk rozgniatania. Potem ledwo słyszalny głos derga:

- Nie lesneruj!

I nastąpiła cisza.

Siedzę więc teraz twardo w mieszkaniu. W przyszłym tygodniu samolot rozbije się w Birmie, ale nie powinno mi to zaszkodzić w Nowym Jorku. A figsy w żaden sposób nie mogą zrobić mi

krzywdy. Nie mogą, jeżeli drzwi od szafy będą zamknięte.

Jedyny prawdziwy problem stanowi lesnerowanie. Nie mogę lesnerować. W żadnym razie. Jeśli powstrzymam się od lesnerowania, wszystko skończy się i nagonka ruszy w innym kierunku. Musi!

Wszystko, co trzeba zrobić, to tylko ich przetrzymać.

Kłopot w tym, że nie mam zielonego pojęcia, co oznaczać może lesnerowanie. Derg nazwał je "zwykłą, codzienną, ludzką czynnością". A więc przez jakiś czas będę się starał nie wykonywać tak wielu czynności, jak to możliwe.

Odespałem trochę poprzednie zaległości i nic się nie wydarzyło, tak więc nie jest to lesnerowanie. Wszedłem z domu, kupiłem coś do jedzenia, zapłaciłem, przygotowałem sobie posiłek i zjadłem go. To też nie było lesnerowanie.

Napisałem tę relację. Także to nie było lesnerowaniem.

Jeszcze wyjdę z tego!

W tej chwili zamierzam uciąć sobie drzemkę. Chyba się przeziębilem. Teraz muszę kich...

przekład : Jacek Kwieciński

Ofiara brakoróbstwa

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Niniejszym zawiadamiam Pana, że wykonałem umowę Nr 13371 A. W rejonie przestrzeni oznaczonym kodem ATTALA zbudowałem jedną metagalaktykę, obejmującą 549 bilionów galaktyk z odpowiednią ilością skupisk gwiazdnych, gwiazd zmiennych, nowych, itd. Szczegóły w załączonym zestawieniu.

Zewnętrzne granice metagalaktyki ATTALA określone są na załączonej mapie.

Występując w imieniu firmy i swoim własnym, jako głównego konstruktora, pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że stworzyliśmy nie tylko wartościową konstrukcję, lecz także dzieło o dużej wartości artystycznej.

Prosimy o potwierdzenie przyjęcia obiektu.

Ponieważ wykonaliśmy warunki umowy, oczekujemy wypłaty przewidzianego umową honorarium.

Z poważaniem

Carienomen

Załączniki:

1. Zestawienie instalacji
2. Mapa metagalaktyki ATTALA

Do Zarządu Budownictwa

Główny Konstruktor Carienomen

Szanowny Panie Carienomen!

Komunikuję uprzejmie, że dokonaliśmy inspekcji Pańskiego obiektu, w wyniku czego zawiesiliśmy wypłatę honorarium. Wartości artystyczne? Być może, że jest to dzieło sztuki, ale proszę nie zapominać, że naszym podstawowym zadaniem jest budownictwo.

Inspektorzy nasi wykryli poważne ilości nie wyjaśnionych faktów, zdarzających się nawet w pobliżu centrum metagalaktyki, a więc tam, gdzie należało się spodziewać szczególnej staranności z Pańskiej strony. Jest to rzecz niedopuszczalna. Na szczęście okolica nie jest zaludniona.

To jeszcze nie wszystko. Może zechce Pan wyjaśnić zjawiska przestrzenne? Po jakie лихо wbudował Pan na przykład ten efekt przesunięcia w kierunku czerwieni? Czytałem Pańskie wyjaśnienie, które zupełnie nie trzyma się kupy. Jak zareagują na to obserwatorzy z poszczególnych planet?

Efekt artystyczny nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Poza tym jakich Pan używa atomów?

Chce Pan robić oszczędności stosując tandetny materiał? Stwierdzono poważny procent atomów niestabilnych, które rozpadają się przy najlżejszym dotknięciu, a nawet bez dotknięcia. Czy nie mógł Pan znaleźć żadnego innego sposobu oświetlenia swoich słońc?

Załączamy protokół, zawierający uwagi naszych inspektorów. O wypłacie nie ma mowy do czasu usunięcia wszystkich braków.

Jest jeszcze jedna poważna sprawa, o której zostałem właśnie powiadomiony. Widocznie niezbyt starannie zaplanował Pan rozkład napięć w tkaninie czasoprzestrzennej, gdyż odkryliśmy dziurę w czasie na peryferiach jednej z galaktyk. Na razie jest niewielka, ale może się rozszerzyć. Proponuję zająć się tym natychmiast, zanim trzeba będzie przebudowywać całą galaktykę.

Jeden z mieszkańców planety, natknąwszy się na dziurę, został już poszkodowany, wyłącznie wskutek pańskiej lekkomyślności. Proponuję, aby naprawił pan to, zanim człowiek ten znajdzie się poza swoim normalnym następstwem czasu, siejąc paradoksami na prawo i na lewo.

W razie potrzeby proszę z nim wejść w kontakt!

Doszły mnie także słuchy o nie wyjaśnionych zjawiskach na jednej z Pańskich planet, włącznie z latającymi świniami, poruszającymi się górami, duchami, itp. zgodnie z załącznikiem.

Nie możemy tolerować podobnych faktów, Panie Carienomen! Wszelkie paradoksy są surowo zabronione, gdyż paradoks jest zawsze zwiastunem chaosu.

Proszę natychmiast zająć się poszkodowanym. Nie wiem, czy zdaje on już sobie sprawę z sytuacji.

Miglese

Załącznik: 1. Zestawienie zjawisk nadprzyrodzonych

Kay Masrin skończyła pakowanie i z pomocą męża zamknęła walizkę.

- No to cześć - powiedział Jack Masrin unosząc pękata walizę. - Czas pożegnać nasz stary dom.

Rozejrzeli się oboje po pokoju, w którym spędzili ostatni rok.

- Do widzenia - powiedziała Kay. - Chodź, bo spóźnimy się na pociąg.

- Mamy masę czasu - uspokoił ją mąż, idąc w stronę drzwi. - Czy pożegnamy się z Wesołym Chłopcem? Przewalili tak właściciela domu, pana Harfa, ponieważ uśmiechał się raz na miesiąc, kiedy wręczali mu pieniądze za komorne. Oczywiście w chwilę później wracał na jego twarz normalny świętoszkowaty wyraz.

- Lepiej nie - powiedziała Kay - przyglądając na sobie kostium. - Może nam życzyć powodzenia i co wtedy będzie? - Masz zupełną rację. Nie ma sensu zaczynać nowego życia z błogosławieństwem Wesołego Chłopca. Wolałbym już przekleństwo czarownicy z Endor.

Wyszli na podest schodów. Masrin spojrział w dół, stanął na pierwszym stopniu i zatrzymał się gwałtownie.

- Co się stało? - spytała Kay.

- Czy niczego nie zapomnieliśmy?

- Zajrzałam do wszystkich szuflad i pod łóżko. Chodź, bo się spóźnimy.

Masrin powtórnie spojrział w dół. Coś go niepokoiło. Szukał w myśli przyczyny tego stanu.

Oczywiście byli prawie bez grosza, ale to nigdy dotychczas go nie martwiło. Przecież dostał wreszcie pracę w szkole, chociaż co prawda w Iowa. Po rocznej pracy w księgarni, to było coś. Tak więc, wszystko szło dobrze - nie było powodów do niepokoju.

Zrobił krok w dół i zatrzymał się znowu. Uczucie niepokoju wzrosło. Coś ostrzegało go przed następnym krokiem. Obejrzał się na Kay.

- Tak ci żal odjeżdżać? - spytała Kay. - Chodźmy, bo Wesoły Chłopiec policzy nam za następny miesiąc. A na to, dziwnym trafem, nie mamy pieniędzy,

Masrin wciąż wahał się, Kay precyzyjnie się obok niego i zbiegła po schodach.

- Widzisz? - wołała z parteru. - To nie jest trudne. Chodź tu do mamusi, maleńki.

Masrin zaklął pod nosem i ruszył po schodach. Niepokój był coraz silniejszy.

Doszedł do ósmego stopnia i...

Stał na porosłej trawą równinie. Przejście było momentalne.

Gwałtownie wciągnął powietrze i zmrużył oczy. Miał w ręku walizkę, ale gdzie się podział dom?

Gdzie się podziała Kay? Gdzie się podział Nowy Jork?

W oddali widać było niewielką błękitną górę. Bliżej rosła kępa drzew. Stała koło niej grupa około dwunastu mężczyzn.

Masrin miał uczucie, że śni. Bez większego zdziwienia zauważył, że ludzie ci są niscy, krępi, muskularni. Na biodrach mają przepaski, a w rękach pięknie rzeźbione i polerowane maczugi.

Wpatrywali się w niego i Masrin zrozumiał, że są nie mniej od niego zaskoczeni.

Jeden z mężczyzn wydał gardłowy pomruk i wszyscy ruszyli w stronę Masrina.

Maczuga rzucona z rozmachem odbiła się od walizki. Szok minął w jednej chwili. Masrin odwrócił się, wypuścił walizkę i pomknął niczym chart. Cios maczugą w plecy omal nie zwałił go z nóg. Wśród deszczu strzał wbiegał na niewielki pagórek.

Jeszcze kilka metrów w górę i nagle zdał sobie sprawę, że jest znowu w Nowym Jorku.

W pełnym biegu znalazł się na szczycie schodów i nie mogąc się zatrzymać wpadł na ścianę. Kay stała na parterze, nie odrywając wzroku od schodów. Kiedy go zobaczyła, zachłysnęła się nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Masrin patrzył na dobrze znane, ciemne, pomalowane na liliowy kolor ściany i na swoją żonę.

Ani śladu dzikusów.

- Co się stało? - wyszeptała blada Kay, wchodząc po schodach.

- Co widziałaś? - spytał Masrin. Nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tego, co się stało. W głowie kłębiły mu się najróżniejsze teorie i przypuszczenia.

Kay wahała się chwilę, gryząc dolną wargę.

- Zrobiłeś kilka kroków i znikłeś. Straciłam cię nagle z oczu. Stałam tak bez ruchu i wpatrywałam się w miejsce, w którym znikłeś. Nagle usłyszałam hałas i ujrzałam cię wbiegającego po schodach. Wrócili do swojego pokoju i otworzyli drzwi. Kay osunęła się na łóżko. Masrin chodził w tę i z powrotem, ciężko dysząc. Miał trudności z uporządkowaniem myśli.

- Nie uwierzysz mi - powiedział.

- Dlaczego? Spróbuj !

Opowiedział jej o dzikusach.

- Mógłbyś powiedzieć, że byłeś na Marsie i też bym ci uwierzyła. Widziałam przecież, jak znikłeś.

- Moja walizka! - przypomniał sobie nagle Masrin. - Daj spokój z walizką.

- Muszę po nią wrócić.

- Nie!

- Muszę. Zrozum, kochanie, to jest oczywiste. Natknąłem się na jakąś dziurę w czasie, przez którą trafiłem w przeszłość. Musiałem wylądować w czasach prehistorycznych, sądząc po komitecie powitalnym. Muszę wrócić po tę walizkę.

- Dlaczego musisz?

- Nie mogę dopuścić do powstania paradoksu - Masrin nawet nie zastanowił się, skąd mu to przyszło do głowy. - Pomyśl tylko - mówił dalej - moja walizka znajduje się w przeszłości. Mam w niej elektryczną maszynkę do golenia, spodnie z zamkiem błyskawicznym, plastikową szczotkę do włosów, nylonową koszulę i kilka książek wydanych w ostatnich latach. Jest tam nawet dzieło Ettisona o dziejach cywilizacji zachodniej od roku 1490 do czasów obecnych.

Zawartość tej walizki może popchnąć dzikusów do zmiany ich własnej historii. A wyobraźmy sobie, że te rzeczy trafiają do rąk Europejczyków po odkryciu Ameryki? Jaki by to miało wpływ na teraźniejszość?

- Nie wiem - powiedziała Kay. - I ty też nie wiesz. - Oczywiście, że wiem - zaprotestował Masrin. Wszystko było dla niego jasne jak słońce. Był zdziwiony, że Kay tego nie rozumie.

- Spójrzmy na to w ten sposób - mówił Masrin. Historia składa się z drobnych faktów.

Teraźniejszość składa się z ogromnej ilości nieskończenie małych czynników, ukształtowanych przez przeszłość. Jeśli wprowadzi się nowy czynnik w przeszłość, to musi się otrzymać inną teraźniejszość. Jednak teraźniejszość jako taka jest niezmienna. Mamy więc do czynienia z paradoksem, a to jest niedopuszczalne.

- Dlaczego? - spytała Kay.

Masrin zmarszczył czoło. Jak na inteligentną dziewczynę nie popisywała się zbyt.

- Musisz mi wierzyć - powiedział. - Paradoks nie ma racji bytu w logicznym wszechświecie.

Wszechświat musi się opierać na jakiejś zasadzie. Wszystkie prawa przyrody są jej wyrazem.

Zasada ta nie może tolerować paradoksów, ponieważ... ponieważ... - Wiedział, że odpowiedź ma coś wspólnego ze zwalczaniem pierwotnego chaosu, ale nie wiedział dlaczego. - W każdym razie prawa wszechświata nie tolerują paradoksów.

- Skąd ci to przyszło do głowy.? - spytała Kay. Nigdy nie słyszała Jacka mówiącego w ten sposób.

- Zastanawiałem się nad tym od dawna - powiedział Masrin i sam był o tym przekonany. - Po prostu nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. A teraz wracam po swoją walizkę.

Wyszedł na schody, a Kay za nim.

- Szkoda, że nie mogę ci przynieść żadnej pamiątki. Niestety to też wywołałoby paradoks.

Wszystko w przeszłości miało swój udział w kształtowaniu teraźniejszości.

Zabranie czegoś stamtąd, to jakby usunięcie jednej niewiadomej z równania. Otrzyma się wtedy inny wynik. - Mówiąc to zaczął schodzić.

Na ósmym stopniu znikł.

Znowu był w prehistorycznej Ameryce. Dzikusy zebrały się wokół walizki, w odległości kilku kroków od niego. Masrin z ulgą zauważył, że jeszcze jej nie otworzyli. Oczywiście sama walizka też była wystarczająco paradoksalnym zjawiskiem. Ale jej pojawienie się - i jego także - zostanie przetrwawione w postaci mitów i legend. Czas ma określoną elastyczność.

Patrząc na dzikusów Masrin nie mógł zdecydować, czy są to przodkowie Indian, czy też jakaś podrasa, która zginęła bezpowrotnie. Zastanawiał się, czy uważają go za wroga, czy za jakiegoś leśnego demona.

Masrin podbiegł do kręgu dzikusów, odepchnął dwóch najbliższych, chwycił walizkę i rzucił się do ucieczki, okrążając zbawcze wzgórze.

Nadal jednak znajdował się w przeszłości.

"Gdzież u licha podziąła się ta dziura" myślał Masrin. Dzicy puścili się w pogoń. Masrin gorączkowo starał się przypomnieć sobie, w którym miejscu znajdowało się przejście, ale przeszkadzał mu świst strzał.

Gdzie jest ta dziura? Czyżby się przesunęła? Czuł pot spływający po twarzy. Maczuga drasnęła go w ramię, więc zmienił kierunek, szukając rozpaczliwie schronienia.

Nagle wyrosło przed nim trzech dzikusów.

Masrin padł na ziemię, aby uniknąć ich maczug i wszyscy trzej zwalili się na niego. Zerwał się czym prędzej, gdyż nadbiegała reszta.

W górę! Doznał nagłego olśnienia. Trzeba biec pod górę. Rzucił się w kierunku szczytu pagórka z uczuciem, że nie dobiegnie tam żywy.

I znalazł się na schodach, z walizką w dłoni.

- Nic ci nie jest, kochanie? - objęła go Kay. - Co się stało?

Masrin był teraz opanowany jedną myślą. Nie słyszał o żadnych prehistorycznych ludach, które by tak wymyślnie rzeźbiły swoje maczugi, jak te dzikusy. Była to unikalna forma sztuki i chciałby

zdobyć jedną taką maczugę dla muzeum.

Potem spojrział z przestachem na liliowe ściany klatki schodowej, jakby spodziewał się, że za chwilę wyskoczy z nich banda dzikusów. A może jakieś małe ludziki siedzą w walizce. Starał się zapanować nad nerwami. Rozsądek podpowiadał mu, że nie ma powodu do paniki; zdarzają się defekty w strukturze czasu i on natrafił na jeden z nich. Wszystko inne wynika z tego logicznie.

Powinien tylko...

Jednak podświadomość nie chciała słyszeć o logice, obserwowała tylko w niemym zdumieniu nieprawdopodobieństwo tego, co się działo i nie trafiały do niej żadne racjonalne argumenty. Skoro coś jest niemożliwe, to znaczy, że jest niemożliwe i już.

Masrin jęknął i stracił przytomność.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Uważam, że Pańskie podejście do sprawy jest krzywdzące. Rzeczywiście zastosowałem pewne nowe pomysły w konstrukcji tej metagalaktyki. Pozwoliłem sobie na pewną swobodę artystyczną, nie przypuszczając, że narażę się na szykany ze strony konserwatywnej i reakcyjnej Centrali.

Proszę mi wierzyć, że jestem w nie mniejszym stopniu niż Pan zaangażowany w realizację naszego wielkiego celu - zwalczania pierwotnego chaosu. Jednak w walce tej nie powinniśmy zapominać o pewnych istotnych wartościach.

W załączeniu przesyłam uzasadnienie zastosowania efektu przesunięcia w kierunku czerwieni oraz wyliczenia korzyści płynących z użycia pewnej ilości niestabilnych atomów jako źródła światła i energii.

Jeśli chodzi o defekt czasowy, był to drobny błąd, nie mający nic wspólnego z samą strukturą

czasoprzestrzeni, która jest, proszę mi wierzyć, pierwszorzędnej jakości.

Istnieje, jak Pan podkreślił, osobnik zamieszany w to zjawisko, co komplikuje nieco sprawę usunięcia błędu. Wszedłem z nim w kontakt, oczywiście pośrednio, dzięki czemu posiada on pewną ogólną orientację co do swojej roli.

Jeśli nie będzie on rozszerzał otworu przez zbyt częste przejścia, uda mi się go zaszyć bez większych trudności. Nie wiem jednak, o ile jest to możliwe. Maj kontakt z nim jest dość wyrywkowy i poza tym pozostaje on pod wpływem innych czynników, zachęcających go do zmiany miejsca pobytu.

Oczywiście zawsze mogę dokonać ekstrakcji i możliwe, że będę w końcu do tego zmuszony.

Niewykluczone, że jeśli sprawa wymknie się spod kontroli, trzeba będzie usunąć całą planetę. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, gdyż spowodowałoby to konieczność oczyszczenia całego wycinka przestrzeni, w którym znajdują się lokalni obserwatorzy. Co z kolei mogłoby spowodować konieczność przebudowy całej galaktyki.

Mam nadzieję, że w następnym liście będę już mógł zawiadomić Pana o pomyślnej likwidacji problemu. Zwichrowanie w centrum metagalaktyki spowodowane zostało przez robotników, którzy pozostawili otwarty zsyp na odpadki. Został on już zamknięty.

Zjawiska takie, jak chodzące góry itp., zostały usunięte w normalny sposób.

Przypominam, że nadal nie otrzymałem honorarium za swoją pracę.

Carienomen

Załączniki:

1. Oświadczenie na temat przesunięcia widma barwnego, str. 5541
2. Oświadczenie w sprawie niestabilnych atomów, str. 7888

Do Zarządu Budownictwa

Główny Konstruktor Carienomen

Otrzyma Pan zapłatę wówczas, kiedy potrafi Pan przedstawić logicznie zaprojektowaną i przyzwoicie wykonaną konstrukcję. Pańskie oświadczenia przeczytam, jeśli znajdę na to czas.

Proszę usunąć ten defekt czasowy, zanim będzie za późno!

Miglese

Masrin wrócił do przytomności po pół godzinie. Kay przyłożyła mu kompres na stłuczone ramię.

Masrin zaczął chodzić po pokoju. Znowu odzyskał panowanie nad sobą. I znowu pojawiły się myśli.

- Przeszłość jest w dole - powiedział ni to do Kay, ni to do siebie samego. - To znaczy, oczywiście, nie dosłownie "pod nami", ale kiedy poruszam się w tym kierunku, trafiam na dziurę w czasie. Jest to przypadek przesunięcia siatki współrzędnych czasu.

- Co to znaczy? - spytała Kay, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w męża.

- Musisz mi uwierzyć na słowo - powiedział Masrin. Nie wolno mi schodzić w dół!

Nie potrafił wytłumaczyć tego jaśniej. Brakowało mu słów na wyrażenia myśli.

- A czy możesz iść w górę? - spytała Kay, zupełnie zbита z tropu.

- Nie wiem. Myślę, że wtedy trafiłbym w przyszłość!

- Nie wytrzymam tego dłużej - jęknęła Kay. - Co się z tobą dzieje? Jak się stąd wydostaniesz? Jak zejdziesz po tych zaklętych schodach?

- Jeszcze jesteście? - odezwał się skrzekliwy głos pana Harfa. Masrin poszedł otworzyć drzwi.

- Myślę, że jeszcze zostaniemy przez jakiś czas - powiedział.

- Niemożliwe - uciął Harf. - Pokój został już wynajęty komu innemu.

Wesoły Chłopiec Harf był mały i kościsty, miał wąską twarz i wargi cienkie niczym pajęcza nici.

Wśliznął się do pokoju, rozglądając się, czy nie znajdzie gdzieś śladów uszkodzenia swojej własności. Pan Harf żywił przekonanie, że nawet najmilszy człowiek zdolny jest do najgorszych zbrodni.

- Kiedy mają się wprowadzić nowi lokatorzy? - spytał Masrin.

- Dziś po południu. Proszę do tego czasu opuścić lokal. - Czy nie można by tego jakoś załatwić? - spytał Masrin. Zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Nie mógł zejść po schodach. Jeśli Harf zmusi go do tego, znajdzie się znowu w prehistorycznym Nowym Jorku, gdzie na pewno czekają na niego z niecierpliwością.

A poza tym był jeszcze najważniejszy problem - sprawa paradoksu.

- Źle się czuję - powiedziała Kay słabym głosem. - Nie mogę wyjść w takim stanie.

- Jeśli pani jest chora, to mogę wezwać pogotowie powiedział Harf i rozejrzał się podejrzliwie, szukając oznak dżumy lub czegoś w tym rodzaju.

- Chętnie zapłacę panu podwójnie, jeśli pozwoli nam pan zostać jeszcze przez jakiś czas - powiedział Masrin.

Harf podrapał się w głowę patrząc na Masrina. Wreszcie otarł nos dłonią i spytał:

- Ma pan pieniądze?

Masrin policzył i okazało się, że zostało mu około dziesięciu dolarów i bilety kolejowe. Miał zamiar poprosić o zaliczkę zaraz po przystąpieniu do pracy.

- A więc jesteście bez grosza - powiedział Harf. - Zdawało mi się, że dostał pan pracę w jakiejś szkole?

- To prawda - powiedziała Kay bojawo.

- W takim razie, dlaczego tam nie jedzicie?

Masrinowie milczeli. Harf świdrował ich wzrokiem.

- Bardzo podejrzane! Jeśli nie opuścicie mieszkania do południa, wezwę policję!

- Spokojnie! - przerwał mu Masrin. - Za dzisiejszy dzień mamy zapłacone. Pakój jest nasz do dwunastej w nocy.

- Nie próbujcie zostać ani minuty dłużej - powiedział Harf po chwili namysłu i wyszedł z pokoju.

Kay czym prędzej zamknęła za nim drzwi.

- Kochanie - powiedziała - dlaczego nie zadzwonisz do jakichś uczonych tutaj w Nowym Jorku i nie powiesz im, co się stało? Jestem pewna, że oni by nam pomogli do czasu aż.: jak długo będziemy musieli tu siedzieć?

- Dopóki dziura nie zostanie zlikwidowana. Ale nie wolno o tym nikomu mówić, zwłaszcza uczonym.

- Dlaczego?

- Mówiłem już, że najważniejszą rzeczą jest uniknięcie paradoksu. Znaczy to, że muszę trzymać się z daleka zarówno od przeszłości jak i od przyszłości, prawda?

- Skoro tak sądzisz...

- A co się stanie, jeśli wezwiemy uczonych? Oczywiście będą nastawieni sceptycznie. Będą chcieli zobaczyć, jak to robię. Pokażę im, a wtedy sprowadzą swoich uczonych kolegów. Zobaczą, jak znikam, ale nie będzie żadnego dowodu, że przenoszę się w przeszłość. Stwierdzą tylko, że schodząc: po schodach znikam w pewnym momencie.

Wezwą fotografów, żeby upewnić się, że ich nie hipnotyzuję. Potem zażądadają dowodów. Będą chcieli, żebym zdobył skalp albo rzeźbioną maczugę. Sprawa dostanie się do gazet. Jest prawie nieuniknione, że w czasie tego wszystkiego spowoduję jakiś paradoks. A wiesz, co się wtedy stanie?

- Nie wiem i ty też nie wiesz.

- Ja wiem - powiedział zdecydowanie Masrin. Z chwilą pojawienia się paradoksu, przyczyna - to jest człowiek, który go spowodował - znika. Na zawsze. Sprawa zostaje odnotowana jako jedna więcej nie rozwiązana zagadka. Najłatwiejszym sposobem rozwiązania paradoksu jest zlikwidowanie czynnika, który go powoduje.

- Jeśli uważasz, że możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie, to oczywiście nie będziemy wzywać żadnych uczonych - powiedziała Kay - chociaż nie zrozumiałam niczego z twoich

wyjaśnień.

Kay wyrzała przez okno. Był tam Nowy Jork, a gdzieś za nim Iowa, do której mieli jechać.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że pociąg już odszedł.

- Zadzwoń do szkoły - odezwał się Masrin. - Powiedz im, że spóźnię się o kilka dni.

- Więc to potrwa tylko kilka dni? A jak się potem wydostaniesz?

- Dziura w czasie nie ma charakteru trwałego - powiedział Masrin z przekonaniem. - Jeśli nie będę się przez nią przepychał, to zarośnie sama.

- Ale przecież możemy tu zostać tylko do północy. Co będzie dalej?

- Nie wiem, miejmy nadzieję, że do tego czasu sprawa się wyjaśni.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Niniejszym przesyłam ofertę na wykonanie nowej metagalaktyki w rejonie MORSTT. Jeśli śledził pan ostatnie dyskusje w kręgach artystycznych, to zapewne wie pan, że zastosowanie przeze mnie niestabilnych atomów w budowie metagalaktyki ATTALA zostało uznane za "największy krok naprzód w inżynierii od czasu wynalezienia zmiennego przepływu czasu". Jako dowód załączam recenzje.

Praca moja została powszechnie uznana za osiągnięcie artystyczne.

Większość niedociągnięć - nieuniknionych w tego rodzaju pracy - w metagalaktyce ATTALA została zlikwidowana. Pracuję nadal nad osobnikiem zamieszanym w sprawę dziury w czasie. Jak dotychczas, współpraca z nim układa się zupełnie dobrze, uwzględniając inne czynniki, mające wpływ na jego postępowanie.

Dzisiaj ściągnąłem brzegi otworu, pozostawiając je do zrośnięcia. Mam nadzieję, że wchodzący

w grę osobnik pozostanie na miejscu, gdyż w gruncie rzeczy nie lubię dokonywać ekstrakcji.

Ostatecznie każdy osobnik, każda planeta, każdy układ słoneczny, choćby nie wiem jak mały, jest integralną częścią zaplanowanej przeze mnie całości.

W każdym razie pod względem artystycznym.

Proszę o powtórne dokonanie inspekcji. Proszę zwrócić uwagę na układy galaktyczne wokół centrum metagalaktyki. Ich niezapomniane piękno pozostaje z człowiekiem na zawsze.

Proszę rozważyć moją ofertę w świetle moich dotychczasowych osiągnięć.

Przypominam, że w dalszym ciągu nie otrzymałem należnego honorarium za metagalaktykę

ATTALA.

Carienomen

Załączniki:

1. Oferta w sprawie budowy metagalaktyki MORSTT

2. Artykuły na temat metagalaktyki ATTALA

- Jest za kwadrans dwunasta, kochanie - powiedziała zdenerwowana Kay. - Czy sądzisz, że można już wyjść?

- Poczekajmy jeszcze parę minut - Masrin wpatrywał się w swój zegarek, słysząc kroki skradającego się Harfa, który czekał dokładnie dwunastej.

Za pięć dwunasta Masrin postanowił, że trzeba spróbować. Jeśli dziura nie znikła do tego czasu, to pięć minut niczego nie zmieni.

Postawił walizkę na komodzie i przysunął sobie krzesło. - Co robisz? - spytała Kay.

- Nie chcę próbować tych schodów po nocy. Ci praindianie są wystarczająco nieprzyjemni w dzień. Spróbuję wyjść w górę.

Żona spojrzała na niego spod oka w sposób zdradzający niedwuznacznie, co sądzi o stanie jego umysłu.

- Schody tu nie są ważne - wyjaśnił Masrin. - Chodzi o przesunięcie się w górę lub w dół.

Krytyczna różnica poziomów wynosi chyba około pięciu stóp.

Kay nerwowo zaciskała dłonie, patrząc, jak Masrin staje na krześle, a potem ostrożnie wchodzi na komodę.

- Zdaje się, że wszystko w porządku - powiedział nieco drżącym głosem. - Spróbuję jeszcze trochę wyżej. Mówiąc to wszedł na walizkę.

I znikł.

Był jasny dzień i znajdował się w mieście. W mieście, które jednak nie przypominało w niczym Nowego Jorku. Jego piękno zapierało dech w piersiach - Masrin bał się odetchnąć z obawy, aby nie naruszyć tego kruchego piękna.

Widział delikatne w rysunku, wysmukłe wieże i budynki. I ludzi. Ale jakich ludzi! - uświadomił sobie Masrin gwizdnąwszy ze zdumienia.

Ludzie byli błękitni, w zielonkawym świetle zielonego słońca.

Masrin zrobił głęboki wdech i poczuł, że się dusi. Jeszcze jeden kurczowy wdech i zaczął się chwiać na nogach. Ależ tutaj nie było powietrza! W każdym razie nadającego się dla niego. Zrobił krok do tyłu i spadł.

Wylądował na wpół uduszony na podłodze w swoim pokoju.

Po chwili doszedł do siebie. Usłyszał, że Harf dobija się do drzwi. Masrin podniósł się z trudem i próbował coś wymyślić. Harf zapewne podejrzewa, że Masrin jest szefem gangu, czy coś takiego.

Jeśli nie wyjdą, wezwie policję. A to będzie musiało doprowadzić do...

- Posłuchaj - powiedział do Kay - mam pomysł.

W gardle czuł jeszcze gorzki smak atmosfery przyszłości. Właściwie trudno się dziwić, pomyślał. Zajrzał widocznie daleko w przyszłość. Skład atmosfery uległ stopniowo zmianie i ludzie przystosowali się. Dla niego była to jednak trucizna.

- Są dwie możliwości - mówił Masrin. - Jedna, że pod warstwą prehistoryczną znajduje się inna, wcześniejsza warstwa. Druga, że warstwa prehistoryczna jest tylko miejscowym naruszeniem ciągłości, że pod nią jest znowu współczesny Nowy Jork, rozumiesz?

- Nie.

- Chcę spróbować dostać się pod warstwę prehistoryczną. Być może w ten sposób znajdę się na parterze.

Kay zastanowiła się nad logiką udawania się na tysiące lat wstecz po to, żeby przejść kilka metrów, ale nie odezwała się.

Masrin otworzył drzwi i wyszedł na schody, odprowadzany przez Kay.

- Życz mi powodzenia! - powiedział.

- To nic nie pomoże - wtrącił stojący na schodach Harf. - Chcę, żebyście się stąd wynieśli!

Masrin zbiegł po schodach.

W prehistorycznym Nowym Jorku był wciąż jeszcze ranek i dzicy wciąż jeszcze czekali na niego.

Masrin uznał, że upłynęło tu najwyżej pół godziny, lecz nie miał czasu na zastanawianie się dlaczego.

Zaskoczył ich i odbiegł na jakieś dwadzieścia jardów, zanim go zobaczyli. Rzucili się w pogoń, a Masrin w biegu rozglądał się za jakimś obniżeniem gruntu. Musiał zejść o pięć stóp w dół, żeby się stąd wydostać.

Zobaczył przed sobą obniżenie terenu i skoczył.

Znalazł się w wodzie. Raczej pod wodą. Ciśnienie zgniatało go, nad głową nie widział światła dziennego.

Widocznie trafił na okres, kiedy ta część kontynentu była dnem oceanu.

Masrin rozpaczliwie machał nogami, ból w uszach był nie do wytrzymania. Zbliżał się do powierzchni i...

Stał znowu na ziemi, ociekając wodą.

Tym razem dzicy mieli dosyć. Widząc, jak wyrasta spod ziemi tuż przed nimi, wydali okrzyk, przerażenia i uciekli.

Zmęczonym krokiem Masrin wrócił na wzgórze, wdrapał się na szczyt i znalazł się na schodach.

Kay czekała na niego, a obok stał Harf, gapiąc się z otwartą gębą. Masrin uśmiechnął się słabo.

- Panie Harf - powiedział - czy może pan wejść do pokoju? Chciałbym coś panu powiedzieć.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Nie rozumiem Pańskiej odpowiedzi na moją ofertę w sprawie budowy metagalaktyki MORSTT.

Co więcej, nie sądzę, aby rynsztokowe wyrażenia były na miejscu w korespondencji urzędowej.

Gdyby zadał Pan sobie trud zapoznania się z moją ostatnią pracą w rejonie ATTALA,

przekonałby się Pan, że jako całość jest to piękne dzieło, stanowiące trwałe osiągnięcie w walce z pierwotnym chaosem.

Jedyną usterką jest przypadek owego człowieka zamieszanego w sprawę dziury w czasie.

Obawiam się, że będę jednak musiał dokonać ekstrakcji.

Zasklepiony już otwór twardniał, kiedy nagle osobnik ten przedarł się znowu, rozrywając go

gorzej niż przedtem. Paradoksu jak na razie nie ma, ale w każdej chwili może się zdarzyć.

Jeśli nie zapanuje on nad swoim bezpośrednim otoczeniem i jeszcze raz spróbuje przejścia,

podejmę niezbędne kroki. Paradoksy są niedopuszczalne.

Zwracam się do Pana, aby rozpatrzył Pan ponownie moją ofertę.

Proszę mi wybaczyć, że niepokoję Pana takimi drobiazgami, ale wciąż jeszcze nie otrzymałem

honorarium.

Z poważaniem

Carienomen

- Oto cała historia - kończył swoją opowieść Masrin w godzinę później. - Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale sam pan widział, jak znikąłem.

- To prawda - przyznał Harf.

Masrin poszedł do łazienki zdjąć mokre ubranie.

- Tak - mówił Harf - chyba pan rzeczywiście znikł. - Nie ulega wątpliwości.

- I woli pan, żeby uczeni nie dowiedzieli się o pańskich konszachtach z diabłem?

- Nie! Wyjaśniałem już panu sprawę paradoksu.

- Chwileczkę - przerwał mu Harf. - Mówił pan o tych rzeźbionych maczugach. To musiałyby być cenne dla muzeum. Twierdził pan, że niczego podobnego nie widział.

- Ależ mówiłem już - powiedział Masrin wychodząc z łazienki - że nie wolno mi stamtąd niczego zabierać. Wywołałoby to...

- Oczywiście - przerwał mu Harf - mógłbym też wezwać dziennikarzy. I uczonych. Mógłbym nieźle zarobić na tym kulcie diabła...

- Diabeł nie ma tu nic do rzeczy. Nie wie pan., jaką rolę taka maczuga mogła odegrać w historii.

Może na przykład zabito nią człowieka, który zjednoczyłby ludy Ameryki Północnej i pierwsi Europejczycy zetknęliby się ze zjednoczonym narodem Indian. Niech pan tylko pomyśli, jaki by to miało wpływ...

- Po co to gadanie - przerwał mu Harf - przyniesie mi pan tę maczugę, czy nie?

- Mówiłem już panu - powiedział zniechęcony Masrin. - Nie chcę słuchać tych historii o paradoksach. I tak nic z tego nie rozumiem. Ale mogę się z panem podzielić po połowie tym, co dostaniemy za maczugę.

- Nie mogę.

- W porządku. W takim razie do zabaczenia - Harf podszedł do drzwi.

- Niech pan zaczeka!

Harf przystanął i na jego cienkich, pajęczych wargach pojawił się uśmiech.

Masrin zastanawiał się, co będzie gorsze. Przyniesienie maczugi oznacza poważne prawdopodobieństwo wywołania paradoksu, gdyż usunie z przeszłości wszystko to, co wiązało się z tą maczugą. Jeśli tego nie zrobi, Harf ściągnie tu dziennikarzy i uczonych. Mogą sprawdzić prawdziwość wszystkiego spychając go po prostu ze schodów; prędzej czy później zrobiłaby to i tak policja.

Przy zamieszanu w to większej ilości osób paradoks byłby nieunikniony. I możliwe, że cała Ziemia zostałaby usunięta. Masrin był co do tego przekonany, choć nie wiedział dlaczego.

Tak czy owak był zgubiony, ale zdobycie maczugi wydawało mu się prostsze.

- Przyniosę panu maczugę - powiedział Masrin. Wyszedł na schody odprowadzany przez Kay i Harfa. Kay chwyciła go za rękę.

- Nie rób tego - prosiła.

- Nie mam innego wyjścia. - Przez chwilę myślał o zabiciu Harfa. To jednak mogłoby go zaprowadzić na krzesło elektryczne. Oczywiście mógłby zabrać jego ciało i pogrzebać je w przeszłości.

Ale trup dwudziestowiecznego człowieka w prehistorycznej Ameryce też może wywołać paradoks. Gdyby go tak znaleziono?

A poza tym nie byłby zdolny do zabicia człowieka. Masrin pocałował żonę i zszedł po schodach. Dzikusów nie było nigdzie widać, ale miał uczucie, że śledzą go czyjeś oczy. Znalazł na ziemi dwie maczugi. Widocznie te, które go dotknęły, stawały się tabu - pomyślał podnosząc jedną z nich i spodziewając się, że podobna maczuga może mu w każdej chwili rozłupać czaszkę. Jednak na równinie nadal panował spokój.

- Brawo! - zawołał Harf. - Dawaj ją pan tutaj! Masrin podał mu maczugę, potem podszedł do Kay i objął ją. Teraz paradoks był równie oczywisty, jak gdyby zamordował własnego prapradziadka.

- Piękna sztuka - mówił Harf, podziwiając maczugę.

Może pan uważać, że zapłacił pan za następny miesiąc. Nagle maczuga znikła z jego dłoni.

Potem znikł Harf.

Kay zemdląca.

Masrin zaniósł ją na łóżko i prysnął jej wodą w twarz.

- Co się stało? - spytała Kay.

- Nie wiem - powiedział Masrin zdziwiony. - Wiem tylko tyle, że musimy tu pozostać jeszcze przez dwa tygodnie. Choćbyśmy mieli z głodu kit z okien wyjadać.

Do Centrali

Biuro 41

Kontroler Miglese

Szanowny Panie!

Pańska propozycja, abym zajął się remontem uszkodzonych gwiazd, jest obelgą dla mnie i mojej firmy. Odmawiamy, powołując się na dotychczasowe osiągnięcia, opisane w broszurze, którą załączam. Jak może Pan proponować taką pracę jednej z najbardziej zasłużonych firm Centrali?

Ponawiam swoją ofertę budowy nowej metagalaktyki w rejonie MORSTT.

Jeśli chodzi o metagalaktykę ATTALA, to praca nad nią została zakończona i śmiało można stwierdzić, że lepszej konstrukcji nigdzie Pan nie znajdzie. Ten fragment wszechświata jest cudem.

Co do osobnika, który zaklinował się w dziurze czasowej, to ostatecznie nie dokonałem jego ekstrakcji, usunąłem natomiast jeden z czynników mających na niego negatywny wpływ. Będzie mógł się teraz rozwijać normalnie.

Musi Pan przyznać, że jest to przykład dobrej roboty i charakterystycznej dla mnie

wynalazczości.

Decyzja moja była następująca: Po co usuwać zdrowego osobnika, jeśli można go uratować usuwając tego, który wnosi rozkład?

Jeszcze raz proszę o komisyjne przyjęcie mojej pracy. Domagam się powtórnego rozpatrzenia mojej oferty w sprawie nowej metagalaktyki.

W dalszym ciągu nie otrzymuję honorarium!

Z poważaniem

Carienomen

Załączniki:

1) broszura, stron 9978.

przekład : Lech Jęczmyk

Okrutne Równania

Po wylądowaniu na Piątej Regulusa członkowie Eskpedycji Jarmolińskiego rozbili obóz i uruchomili RR-22-0134, czyli robota rewirowego, zwanego w skrócie Maksem. Było to reagujące na głos dwunogie urządzenie, mające za zadanie strzeżenie obozu przed najściem nieziemców na wypadek, gdyby gdzieś kiedyś spotkano się z nieziemcami. Maks miał początkowo regulaminowy kolor szarometaliczny, ale podczas ciągnącej się w nieskończoność drogi pomalowano go na błękitno. Mierzył dokładnie 125 centymetrów. Ludzie z ekspedycji przywykli uważać go za łagodnego, rozsądnego metalowego człowieczka, takiego żelaznego krasnoluda.

Mylili się oczywiście. Ich robot wcale nie był taki, jakim go sobie wyobrażali. RR-22-0134 nie był bardziej rozsądny niż przeciętny kombajn zbożowy, nie bardziej łagodny niż zautomatyzowana walcownia. Pod względem moralnym był porównywalny z turbiną albo z radiem, ale nie z człowiekiem. Jediną ludzką cechą RR-22-0134 była zdolność działania w nieprzewidzianych sytuacjach.

Mały Maks, niemowłęco błękitny z czerwonymi oczkami, krążył po obwodzie obozu wytężając czujniki. Kapitan Beatty i porucznik James odlecieli poduszkowcem na tygodniowy rekonesans.

Zostawili porucznika Hallorana na gospodarstwie.

Holloran był niski, barczysty i miał krzywe nogi. Był także wesoły, piegowaty, twardy, prosty i zaradny. Zjadł lunch i przyjął sygnał radiowy od wyprawy. Następnie rozłożył sobie płócienne krzesło i usiadł, żeby podziwiać okolicę. Piąta Regulusa była całkiem przyjemna, jeżeli ktoś jest miłośnikiem odludzia. We wszystkich kierunkach rozciągał się rozpalony krajobraz skał, piargów i lawy. Były jakieś ptaki podobne do wróbli i jakieś zwierzęta podobne do kojotów. Nieliczne kaktusy wyraźnie ledwo zipsały.

Po chwili Halloran wstał.

- Maks! Idę rozejrzeć się za granicę obozu. Zostaniesz na straży podczas mojej nieobecności.

Robot zatrzymał się.

- Tak jest, zostanę na straży.

- Nie wpuszczaj tu żadnych nieziemców, zwłaszcza tych z dwiema głowami i ze stopami skierowanymi do tyłu.

- Rozkaz. - Maks był pozbawiony poczucia humoru, kiedy chodziło o nieziemców. - Czy pamięta pan hasło, panie Halloran

- Pamiętam. A ty, Maks .

- Tak jest, pamiętam.

- Dobra. Do zobaczenia.

Halloran przekroczył granicę obozu.

Spędziwszy godzinę na oglądaniu terenu Halloran nie znalazł nic godnego uwagi i wrócił. Z przyjemnością ujrzał RR-22-0134 patrolującego granicę obozu. Znaczyło to, że wszystko jest w porządku.

- Stać! - odezwał się robot. Hasło !

- Cześć, Maks! - zawołał. - Jakies wiadomości ze zwiadu

- Stać! - krzyknął robot, kiedy Halloran miał już przekroczyć granicę obozu.

- Nie wygłupiaj się, Maks. Nie jestem w nastroju do...

Halloran stanął jak wryty. Fotoelektryczne oczy Maksa rozjarzyły się i cichy podwójny trzask zdradził, że jego broń pierwszego stopnia Jest gotowa do użycia. Halloran postanowił działać ostrożnie.

- Stoję. Nazywam się Halloran. Czy teraz wszystko w porządku?

- Proszę podać hasło.

- "Bławatek" - powiedział Halloran. - A teraz, jeżeli pozwolisz...

- Nie przekraczać granicy obozu ostrzegł robot. - Hasło nieprawidłowe. - Co ty gadasz Sam ci je dałem. - To było poprzednie hasło.

- Poprzednie Chyba ci się pomieszał twój półciekły mózg. "Bławatek" to jedyne hasło i nie ma innego, bo nikt ci nie mógł dać innego. Chyba że...

Robot czekał. Halloran rozważał nieprzyjemną myśl z różnych punktów widzenia aż wreszcie wypowiedział ją na głos.

- Chyba że kapitan Beatty dał ci nowe hasło przed odjazdem. Czy tak było?

- Tak - odpowiedział robot.

- Że też o tym nie pomyślałem powiedział Halloran. Uśmiechał się, ale był zaniepokojony. Takie niedopatrzenia zdarzały się już wcześniej. Tylko zawsze był ktoś w obozie, kto mógł je skorygować.

Mimo wszystko nie było powodów do zmartwienia. Właściwie sytuacja była po prostu śmieszna. I musiało być z niej wyjście przy odrobinie zdrowego rozsądku.

Halloran oczywiście zakładał, że roboty RR mają odrobinę zdrowego rozsądku.

Maks - zaczął Halloran - już rozumiem, jak się to stało. Kapitan Beatty dał ci nowe hasło. Ale zapomniał powiedzieć o tym mnie. A ja pogłębiłem jego błąd nie sprawdzając hasła przed opuszczeniem obozu.

Robot nie skomentował tego ani słowem. Halloran ciągnął dalej.

- Na szczęście ten błąd da się łatwo naprawić.

- Mam nadzieję - zauważył robot. - Jasna sprawa - powiedział Halloran już z mniejszym przekonaniem. Kapitan i ja trzymamy się w tej kwestii ściśle ustalonej procedury. Kiedy daje ci hasło, informuje mnie o tym ustnie. Jednak na wypadek, gdyby nie mógł tego zrobić natychmiast, tak jak tym razem, zapisuje je.

- Naprawdę? - spytał robot.

- Tak - potwierdził Halloran. Zawsze. Niezmiennie. Co obejmuje, mam nadzieję, i ten raz. Czy widzisz ten namiot za tobą?

Robot przekręcił jeden czujnik, drugim obserwując Hallorana.

- Widzę - powiedział.

- Dobrze. W tym namiocie stoi stół. Na stole leży księga.

- Zgadza się.

- Dobrze. Na pierwszej stronie tej księgi jest lista najważniejszych danych, częstotliwości radiowe w razie alarmu itd. Na tej samej stronie jest zakreślone na czerwono aktualne hasło.

Robot wysunął jeden z czujników i wciągnął go z powrotem.

- Mówisz prawda, ale to nie ma znaczenia. Interesuje mnie znajomość hasła, a nie miejsca, gdzie się znajduje. Jeżeli wypowiesz hasło, muszę cię wpuścić. Jeżeli nie, mam cię nie wpuszczać.

- To szaleństwo! - krzyknął Halloran. - Maks, ty biurokratyczny baranie, to ja, Halloran, i dobrze o tym wiesz! Jesteśmy razem od dnia, kiedy cię uruchomiono! Przestań zgrywać Horatia na moście i wpuść mnie wreszcie.

- Twoje podobieństwo do pana Hallorana jest nieco niepokojące - przyznał robot - ale nie jestem ani wyposażony, ani upoważniony do przeprowadzania sprawdzianów identyfikacyjnych. Nie wolno mi również polegać na moich wyobrażeniach. Jedyнным dowodem, jaki mogę zaakceptować, jest hasło.

Halloran stłumił wściekłość i spokojnym głosem powiedział:

- Maks, przyjacielu, czyżbyś zakładał, że jestem nieziemcem?

- Ponieważ nie znasz hasła, muszę przyjąć takie założenie.

- Maksi - krzyknął Halloran robiąc krok do przodu - jak Boga kocham! - Nie zbliżać się do granicy obozu! - powiedział robot błyskając czujnikami. - Kimkolwiek czy czymkolwiek jesteś, cofnij się!

- Dobrze, cofam się - powiedział Halloran pośpiesznie. - Nie bądź takt nerwowy.

Cofnął się i odczekał aż czujniki robota przygasną. Potem usiadł na kamieniu. Musiał się dobrze zastanowić.

Było prawie południe tysięczgodzinnego dnia Regulusa. Na białym niebie wisały dwa oślepiająco białe bliźniacze słońca. Przesuwały się leniwie nad granatowoczarnym krajobrazem, jak dwa powolne pojazdy boga śmierci niszczące wszystko, czego dotkną.

Co jakiś czas w ognisto suchym powietrzu zataczał leniwy krąg jakiś ptak. Jakieś małe zwierzątka przemykały się z cienia do cienia. Inne zwierza, przypominające rosomaka, ogryzało kołek od namiotu nie niepokojone przez małego błękitnego robota. Człowiek siedział na kamieniu i przyglądał się robotowi.

Halloran, który zaczął już odczuwać skutki upału i pragnienie, starał się zrozumieć sytuację i znaleźć z niej wyjście.

Chciało mu się pić. Wkrótce będzie musiał się napić. Niedługo po tym umrze z pragnienia.

Jedynę znane źródło wody pitnej w okolicy znajdowało się w obozie.

W obozie było dużo wody. Ale robot bronił do niej dostępu.

Zgodnie z programem, Beatty i James mają nawiązać z nim kontakt radiowy za trzy dni, ale pewnie nie będą zaniepokojeni, jeżeli im się to nie uda. Krótkofalówki zawodzą, nawet na Ziemi. Spróbują od nowa wieczorem i rano następnego dnia. Dopiero wtedy wrócą.

Powiedzmy cztery ziemskie dni. Jak długo wytrzyma bez wody!

Odpowiedź zależy od tempa utraty wody. Kiedy dojdzie do utraty płynu w granicach od dziesięciu do piętnastu procent wagi ciała, straci przytomność. Może to nastąpić gwałtownie.

Pozbawieni wody Beduini ginęli w ciągu doby. Pasażerowie uszkodzonych samochodów, którzy usiłowali pieszo wydostać się z pustyni Baker albo Mohave na amerykańskim Południowym Zachodzie, czasem nie przeżywali jednego dnia.

Piąta Regulusa miała temperatur Kalahari i mniejsza wilgotność powietrza niż Dolina Śmierci.

Dzień trwał tu prawie tysiąc ziemskich godzin. Było południe, miał więc przed sobą pięćset godzin nieprzerwanej operacji dwóch słońc bez skrawka cienia.

Jak długo mógł przetrwać? Jeden ziemski dzień. Dwa, przy najbardziej optymistycznym obliczeniu.

Beatty i James nie wchodzili w grę. Musiał sam dostać się do wody w obozie i to szybko.

Co oznaczało, że musi znaleźć sposób na robota.

Postanowił spróbować logiki.

- Maks, musisz wiedzieć, że ja, Halloran, wyszedłem z obozu i że ja, Halloran wróciłem po godzinie i że to ja, Halloran, stoję teraz przed tobą bez hasła.

- Prawdopodobieństwo przemawia bardzo silnie na rzecz twojej interpretacji - przyznał robot.

- No, więc...

- Ale nie mam prawa działać na podstawie prawdopodobieństwa lub nawet prawie-pewności.

Zostałem przecież zbudowany dla ochrony przed nieziemcami mimo skrajnie niskiego

prawdopodobieństwa, że kiedykolwiek zajdzie tego potrzeba.

- Czy możesz mi przynajmniej przynieść manierkę wody?

- Nie, to byłoby sprzeczne z rozkazami.

- Kiedy otrzymałeś rozkazy na temat podawania wody?

- Nie dostałem szczegółowego rozkazu w tej sprawie. Wniosek wynika z mojego zasadniczego przeznaczenia. Nie wolno mi udzielać żadnej pomocy nieziemcom.

Halloran powiedział bardzo dużo słów, bardzo szybko i głośno. Jego wypowiedź była ostra i nasycona przenośniami, ale Maks zignorował ją całkowicie jako obraźliwą, tendencyjną i nie odnoszącą się do tematu.

W chwilę potem nieziemiec podający się za Hallorana skrył się za stosem kamieni.

Po kilku minutach stwór wyszedł zza stosu kamieni pogwizdując.

- Cześć, Maks - powiedział stwór. - Dzień dobry, panie Halloran odoowiedział robot.

Halloran zatrzymał się kilka metrów od granicy obozu.

- Tak - powiedział. - Rozejrzałem się, ale nie ma tu nic do oglądania. Czy coś się działo podczas mojej nieobecności?

- Tak jest - odpowiedział Maks. Nieziemiec usiłował przedostać się do obozu.

- Naprawdę? - zdziwił się Halloran.

- Tak jest, proszę pana.

- Jak ten nieziemiec wyglądał? - Był bardzo podobny do pana.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Halloran. - A jak poznałeś, że to nie byłem ja?

- Bo usiłował wejść na teren obozu bez podania hasła. Prawdziwy pan Halloran nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Rzeczywiście - powiedział Halloran. - Brawo, Maks. Będziemy musieli mieć oko na tego jegomościa.

- Tak jest. Dziękuję panu. Halloran niedbale skinął głową. Był z siebie zadowolony. Doszedł do wniosku, że Maks z racji samej swojej konstrukcji musi traktować każde spotkanie jako unikalną i nową sytuację. Musiało tak być, skoro Maksowi nie było wolno wnioskować z poprzednich doświadczeń.

Maks miał wbudowane preferencje. Zakładał, że Ziemianin zawsze zna hasło. Zakładał, że obcy nigdy nie zna hasła, ale zawsze usiłuje dostać się do obozu. Zatem istota, która nie usiłuje dostać się do obozu, można uważać za Ziemianina, dopóki nie okaże się, że jest inaczej.

Halloran pomyślał, że to całkiem dobry wywód myślowy jak na człowieka, który stracił już parę procent płynu ustrojowego. Teraz pozostawała mu tylko nadzieja, że dalszy ciąg planu również się sprawdzi.

- Maks - powiedział - podczas swojej inspekcji dokonałem dość niepokojącego odkrycia.

- Jakiego, proszę pana?

- Stwierdziłem, że obozujemy na skraju szczeliny tektonicznej. W porównaniu z nią słynne pęknięcie Św. Andrzeja z Kalifornii to małe piwo.

- To brzmi groźnie. Czy istnieje duże ryzyko?

- Możesz się założyć o swój blaszany tyłek, że tak. A duże ryzyko oznacza dużo pracy. Musimy we dwójkę przenieść cały obóz o jakieś dwie mile na zachód. I to natychmiast! Bierz zbiorniki z wodą i idziemy.

- Tak jest. Jak tylko mnie pan zwolni.

- Dobrze. Zwalniam cię. Do roboty.

- Nie mogę. Musi mnie pan zwolnić podając aktualne hasło i odwołując je. Tylko wtedy będę mógł przerwać służbę wartowniczą.

- Nie ma czasu na formalności rzucił Halloran surowo. - Nowe hasło brzmi "bieługa". Ruszaj się, Maks, poczułem lekki wstrząs.

- Ja nic nie czułem.

- A dlaczego miałbyś poczuć? uciął Halloran. - Jesteś tylko robotem rewirowym o nie specjalnie wyszkolonym człowiekiem z wyostrzonym aparatem zmysłowym. Psiakrew, znów drży! Chyba tym razem poczułeś?

- Zdaje mi się, że tak. - No, to ruszaj się!

- Nie mogę, panie Halloran! jest fizyczną niemożliwością, żebym opuścił stanowisko bez formalnego rozkazu! Proszę mi wydać rozkaz!

- Nie denerwuj się tak - powiedział Halloran. - Po namyśle sędzę, że można zostawić obóz tu, gdzie jest. - Ale trzęsienie ziemi...

- Przeprowadziłem nowe obliczenia. Mamy więcej czasu niż myślałem. Pójdę rozejrzeć się jeszcze raz.

Halloran wszedł za skałkę znikając z pola widzenia robota. Serce mu waliło, czuł jak gęsta krew z trudem przepycha się przez żyły. Zmusił się, żeby usiąść bardzo spokojnie w skrawku cienia. Dzień ciągnął się bez końca. Bezkształtny biały kleks podwójnego słońca przesunął się o parę centymetrów w stronę horyzontu. RR-22-0134 trwał na straży.

Zerwał się wiatr, nasilił się i dmuchnął piaskiem w czujniki Maksa. Robot wędrował nieustannie wokół obozu. Wiatr ucichł i wśród głazów w odległości dwudziestu metrów pojawiła się jakaś postać. Halloran czy obcy? Maks nie wdawał się w przypuszczenia. Strzegł obozu.

Małe stworzenie podobne do kojota nadbiegło klucząc z pustyni i omal nie zderzyło się z Maksem. Z góry spadł na nie wielki ptak. Rozległ się cienki, przeraźliwy pisk i krew zbryzgała jeden z namiotów. Ptak uniósł się ciężko w powietrze, w szponach niósł coś, co się ruszało.

Maks nie zwracał na to uwagi. Obserwował człekokształtną istotę zmierzającą niepewnym krokiem w jego stronę.

Istota zatrzymała się.

- Dzień dobry, panie Halloran odezwał się Maks. - Czuję się w obowiązku zauważyć, że wykazuje pan wyraźne oznaki odwodnienia. Może to prowadzić do udaru, utraty przytomności i śmierci, jeżeli natychmiast nie podejmie pan odpowiednich kroków.

- Zamknij się - powiedział Halloran ochryple przez wyschnięte gardło.

- Rozkaz, panie Halloran.

- I przestań nazywać mnie panem Halloranem.

- Dlaczego?

- Bo nie jestem żadnym Halloranem. Jestem nieziemcem.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Czy wątpisz w moje słowo?

- No, wie pan, takie niczym nie poparte twierdzenie...

- Zaraz ci dam dowód. Nie znam hasła. Czy to ci wystarczy?

Podczas gdy robot się wahał, Halloran mówił dalej.

- Posłuchaj, panie Halloran powiedział mi, że mam ci przypomnieć o twoich podstawowych definicjach, stanowiących kryteria twojego działania. Ziemianin to istota rozumna, która zna hasło, nieziemiec to istota rozumna, która nie zna hasła.

- Tak - przyznał robot niechętnie. Znajomość hasła jest dla mnie sprawdzianem. A jednak coś mi się tu nie podoba. Przypuśćmy, że mnie okłamujesz?

- Jeżeli kłamię, to znaczy, że jestem Ziemianinem, który wie, że nie ma niebezpieczeństwa. Ale ty wiesz, że nie kłamię, bo wiesz, że żaden Ziemianin nie kłamałby na temat hasła.

- Nie wiem, czy wolno mi przyjąć takie założenie.

- Musisz. Przecież żaden Ziemianin nie chciałby uchodzić za obcego, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- I hasło jest jedynym pewnym sposobem na odróżnienie człowieka od nieziemca?

- Tak.

- Zatem rzecz jest udowodniona.

- Wciąż nie jestem pewien - powiedział Maks i Halloran zrozumiał, że robot niechętnie przyjmował informacje od nieziemca, nawet jeżeli nieziemiec chciał tylko udowodnić, że jest nieziemcem.

Czekał. Po chwili Maks powiedział:

- Dobrze. Zgadzam się, że jesteś nieziemcem. W związku z tym zabraniam ci wstępu do obozu.

- Wcale nie chcę, żebyś mnie wpuścił. Rzecz w tym, że jestem jeńcem Hallorana i sam wiesz, co to znaczy. Robot zamrugał czujnikami.

- Nie wiem, co to znaczy.

- To znaczy - powiedział Halloran - że musisz w stosunku do mnie postępować zgodnie z rozkazami Hallorana. A rozkazy są takie, że mam być uwięziony na terenie obozu i nie wolno ci mnie wypuścić bez wyraźnego polecenia.

- Pan Halloran wie, że nie mogę cię wpuścić na teren obozu.

- Oczywiście! Ale Halloran każe ci uwięzić mnie w obozie, a to jest coś zupełnie innego.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście! Musisz wiedzieć że Ziemianie zawsze biorą do niewoli obcych, którzy próbują dostać się na teren obozu !

- Coś takiego obito mi się o uszy powiedział Maks. - Mimo to nie mogę cię wpuścić. Mogę cię pilnować tutaj, przed obozem.

- To jest do niczego - powiedział ponuro Halloran.

- Żałuję, ale to wszystko, co mogę zrobić.

- No, dobrze - zgodził się Halloran siadając na piasku. - Jestem zatem twoim więźniem.

- Tak.

- To proszę mi dać pić. - Nie wolno mi...

- Do diabła, wiesz przecież, że więźci do niewoli nieziemcy mają być traktowani z względami stosownymi do ich stopnia i muszą zgodnie z Konwencją Genewska otrzymywać wszystko, co jest im niezbędne do życia.

- Tak, coś o tym słyszałem - powiedział Maks. - Jaki jest twój stopień?

- Starszy jamisdar. Numer książeczki 12278031. I muszę natychmiast otrzymać wodę, bo inaczej umrę.

Maks namyślał się przez kilka sekund i powiedział:

- Dam ci wody. Ale dopiero, jak pan Holloran się napije.

- Chyba wystarczy dla nas obu? spytał Halloran siląc się na przymilny uśmiech.

- Decyzja - stwierdził twardo Maks - należy do pana Hallorana.

- Dobrze - powiedział wstając Halloran. - Czas na moja południowa modlitwę, która muszę odbyć na osobności.

- A jeżeli uciekniesz?

- Po co? - spytał Halloran odchodząc. - Holloran i tak by mnie złapał. - To prawda. Ten człowiek to geniusz - mruknął robot.

Upłynęło bardzo niewiele czasu. Nagle spoza głazów wyszedł Halloran.

- Pan Halloran? - spytał Maks.

- To ja - powiedział Halloran radośnie. - Czy zgłosił się tu mój jeniec?

- Tak, proszę pana. Jest tam, za tymi skałkami, modli się.

- Nie ma w tym nic złego. Słuchaj, Maks, kiedy zgłosi się tu po raz drugi, koniecznie daj mu wody.

- Chętnie. Jak tylko pan się napije. - Co tam, mnie się nie chce pić. Daj koniecznie wody temu nieszczęsnemu nieziemcowi.

- Nie mogę, póki się nie upewnię, że pan się napił. Stan odwodnienia, o którym wspominałem, zaszedł jeszcze dolej. Jest pan bliski utraty przytomności. Nalegam stanowczo, żeby pan się napił.

- Dobrze już, przestań mi wiercić dziurę w brzuchu i przynieś manierkę. - Ależ, proszę pana

- Co tam znowu?

- Wie pan, że nie wolno mi opuścić posterunku na granicy obozu.

- Dlaczego, do diabła?

- Bo to sprzeczne z rozkazami. Także dlatego, że tam, za skałkami jest obcy.

- Ja za ciebie popilnuję, a ty bądź dobrym chłopcem i przynieś manierkę. - To miło z pana strony, ale nie mogę się zgodzić. Jestem robotem RR zbudowanym wyłącznie w celu strzeżenia obozu. Nie wolno mi przekazywać obowiązków nikomu, nawet człowiekowi albo drugiemu robotowi RR, dopóki nie otrzymam hasła i nie zostanę zdjęty z posterunku.

- Tak, tak - mruknął Halloran. Z którego końca bym zaczął, dochodzę do ściany. - Z trudem powlókł się z powrotem za skałki.

- Co się stało? - spytał robot. Co ja takiego powiedziałem? Odpowiedzi nie było.

- Panie Halloran? Starszy jamizdarze?

Nadal żadnej odpowiedzi. Maxs kontynuował obchód obozu.

Halloran był wyczerpany. Gardło bolało go od gadania z tępym robotem, a całe ciało od nieustannego ataku podwójnego słońca. To już nie było poparzenie słoneczne - był czarny, spalony, nie człowiek, a pieczony indyk. Ból, pragnienie i zmęczenie nie pozostawiały miejsca na żadne uczucie poza wściekłością.

Był wściekły na siebie, że dał się złapać w tak absurdalną pułapkę, że tak głupio dał się zabić.

("Halloran? A tak, to ten biedak, co nie znał hasła i umarł z pragnienia niecałe pięćdziesiąt metrów od wody i cienia. Smutna, dziwna i śmieszna śmierć...")

Tylko wściekłość trzymała go teraz przy życiu, umożliwiała mu analizę sytuacji i poszukiwanie

drogi do obozu. - Co mi jeszcze pozostało?

Przekręcił się na wznak i patrzył w rozpalone do białości niebo. Przed oczami pływały mu czarne punkty. Halucynacje? Nie, to krążące ptaki. Ignorowały swoją codzienną, złożoną z kojotów dietę i czekały na coś ekstra, na egzotyczny kąsek...

Halloran zmusił się, żeby usiąść. Muszę rozważyć sytuację, przekonywał siebie, i znaleźć jakiś fortel.

Z punktu widzenia Maksa wszystkie istoty rozumne, które znają hasło, są Ziemianami, a wszystkie istoty rozumne, które nie znają hasła, są nieziemcami.

Co znaczy...

Właśnie, co to znaczy? Przez chwilę Halloranowi zdawało się, że znalazł klucz do całej zagadki, ale miał trudności ze skupieniem się. Ptaki krążyły coraz niżej. Jeden z kojotów zbliżył się i obwąchiwał mu buty.

Wszystko nieważne. Skoncentrować się. Stać się automatologiem-praktykiem.

- Tak naprawdę, jak się zastanowić, to Maks jest głupi. Nie zbudowano go z myślą o wykrywaniu fałszerstw, poza bardzo ograniczoną dziedziną. Jego kryteria są, powiedzmy, archaiczne. Jak w tej opowieści o Platonie; który zdefiniował człowieka jako beziórego dwunoga, na co stary cynik Diogenes przyniósł oskubanego kurczaka. Wówczas Platon zmienił definicję i określił człowieka jako beziórego dwunoga z płaskimi paznokciami.

Ale co to wszystko miało wspólnego z Maksem?

Halloran energicznie potrząsnął głową usiłując zmusić się do koncentracji. Ale nie mógł się pozbyć obrazu platońskiego człowieka-kurczaka wzrostu metr osiemdziesiąt bez jednego pióra na ciele, ale z płaskimi paznokciami.

Maks musiał mieć jakieś słabe miejsce! W odróżnieniu od Platona nie mógł zmieniać poglądów.

Maks był więźniem swoich definicji i ich logicznych konsekwencji...

- Niech mnie diabli! - powiedział Halloran. - Zdaje się, że znalazłem. Usiłował to przemyśleć, ale stwierdził, że nie potrafi. Po prostu musiał spróbować stawiając wszystko na jedną kartę.

- Maks - mruknął pod nosem idzie do ciebie jeden oskubany kurczak. A raczej nieskubany.

Zobaczmy, jak sobie z tym poradzisz!

Nie bardzo wiedział, o co mu chodzi, ale wiedział, co zaraz zrobi.

Kapitan Beatty i porucznik James wrócili do obozu pod koniec trzech ziemskich dni. Znaleźli Hallorana nieprzytomnego i w malignie, ofiarę odwodnienia i udaru słonecznego. Bredził coś, że Platon nie chciał go wpuścić do obozu i że on, Halloran, zmienił się w kurczaka wysokości metr osiemdziesiąt bez płaskich paznokci, wystawiając w ten sposób do wiatru zarówno uczonego filozofa, jak i jego koleżkę robota.

Maks napoił go, owinał w mokre koce i zbudował czarny daszek z podwójnego plastyku. Za dzień lub dwa Halloran musiał dojść do siebie.

Przed utratą przytomności zdążył skreślić kilka słów "Nie miałem hasła nie mogłem wrócić zawiadomić fabrykę zainstalować wyłącznik awaryjny w robotach RR".

Beatty nic nie rozumiał z tego, co mówił Halloran, przepytał więc Maksa. Usłyszał o inspekcyjnej wycieczce Hallorana i o różnych nieziemcach, podobnych do niego jak dwie krople wody, o tym, co oni mówili i co mówił Halloran. Były to wyraźnie coraz bardziej rozpaczliwe próby Hallorana przedostania się do obozu.

- Ale co się stało dalej? - spytał Beatty. - Jak w końcu wszedł?

- On nie wszedł - powiedział Maks. - Od pewnej chwili był w środku.

- Ale jak go przepuściłeś?

- Nie przepuściłem go. To byłoby zupełnie wykluczone. Pan Halloran po prostu był w obozie.

- Nie rozumiem - powiedział Beatty. - Szczerze mówiąc, proszę pana, ja też. Podejrzewam, że tylko pan Holloran może odpowiedzieć na to pytanie.

- Upłynie trochę czasu, zanim Halloran będzie mógł coś powiedzieć. Ale skoro on znalazł sposób, to i ja powinienem go znaleźć.

Beatty i James bardzo się starali, ale odpowiedzi nie potrafili znaleźć. Nie byli wystarczająco zdesperowani, albo wystarczająco wściekli, albo rozumowali nie tak, jak trzeba było. Żeby zrozumieć, jak Halloran wszedł do obozu, należało spojrzeć na końcowa fazę wydarzeń z punktu widzenia Maksa.

Upał, wiatr, ptaki, głązy, słońca, nie zwracam uwagi na to, co nie jest ważne. Mam pilnować obozu przed obcymi.

Coś zbliża się od strony głązów, od strony pustyni. Duże stworzenie, włosy zasłania ją mu pysk, idzie na czterech nogach.

Staję na jego drodze. Warczy. Jeszcze raz zastawiam mu drogę, odbezpieczam broń, grozę. Stworzenie warczy i dalej pełźnie w kierunku obozu.

Dokonuję przeglądu definicji, żeby zachować się w odpowiedni sposób. Wiem, że ludzie i nieziemcy są klasami istot charakteryzujących się inteligencją, która wyraża się w zdolności do artykułowanej mowy. Ta zdolność ujawnia się w reakcji na moje pytania.

Ludzie spytani o hasło zawsze odpowiadają prawidłowo.

Nieziemcy spytani o hasło zawsze odpowiadają nieprawidłowo. Zarówno nieziemcy jak i ludzie odpowiadają, prawidłowo lub nieprawidłowo, na pytanie o hasło. Skoro tak jest zawsze, to muszę przyjąć, że stworzenie, które nie odpowiada na moje pytanie, nie umie mówić i mogę na nie nie zwracać uwagi.

Mogę nie zwracać uwagi na ptaki i jaszczurki. Na to duże zwierzę, które czołga się obok mnie, też mogę nie zwracać uwagi. Ono mnie interesuje, ale muszę wyteżać czujniki, bo gdzieś tam na pustyni jest pan Halloran. Jest tam też nieziemiec w stopniu starszego jamisdara.

Ale co to? To pan Halloran, cudem, znalazł się z powrotem w obozie. Jęczy, cierpi na

odwodnienie organizmu i skutki udaru słonecznego. Po zwierzęciu, które przeczołgało się obok mnie oni śladu, a jamisdar pewnie nadal modli się wśród głązów...

przekład : L. J.

Pasażer na gapę

Przyjechałem do Marsport w kilka godzin po lądowaniu rakiety, pochodzącej z Ziemi. Jej ładunek zawierał świdry o diamentowych wiertłach, które zamówiłem z góry rok temu. Zależało mi na tym, żeby je odebrać, zanim ktoś inny wszystko zgarnie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że ktoś miałby mi ukraść przesyłkę; tutaj, na Marsie, wszyscy jesteśmy uczonymi i dżentelmenami. Ale trudno tu dostać potrzebne rzeczy i "rekwizycja w wypadku nagłej potrzeby" jest dla uczonego-dżentelmena najlepszym sposobem skradzenia czegoś, czego mu brak.

Ładowałem właśnie moje świdry na jeepa, gdy zjawił się Carson z Sekcji Kopalnianej, wymachując rozkazem rekwizycji z prawem pierwszeństwa w wypadku nagłej potrzeby. Na szczęście miałem dobry pomysł, żeby przygotować sobie - znałem osobiście dyrektora Burke - nakaz rekwizycji z prawem pierwszeństwa przed wszystkimi innymi nakazami rekwizycji. Carson okazał się tak posłuszny, że trzy świdry dałem mu w prezencie.

Odjechał z hałasem na swym skuterze poprzez słynne czerwone piaski Marsa, które tak ładnie wyglądają na kolorowych pocztówkach, lecz które tylko zanieczyszczają motory.

Zbliżyłem się do rakiety, nie dlatego, żebym specjalnie interesował się raketami, lecz raczej, żeby zobaczyć coś, co urozmaiciłoby mi trochę codzienną monotonię.

I właśnie zobaczyłem pasażera na gapę.

Stał tuż przy rakiecie i oczami wielkimi jak spodki obserwował czerwone piaski, wypalone tereny lądowania i pięć budynków Marsportu. Cała jego postać niemal mówiła: "A więc to jest Mars...!"

Zirytowałem się w duchu. Miałem już na ten dzień więcej pracy, niż mógłbym odwalić w ciągu tygodnia. A pasażerowie na gapę - to było moje zajęcie. Dyrektor Burke powiedział mi kiedyś, w chwili nagłego kaprysu:

- Tully, pan umie się obchodzić z ludźmi. Pan ich rozumie. Oni pana lubią. Więc mianuję pana szefem marsjańskiej służby bezpieczeństwa.

Inaczej mówiąc, do mnie należało zajmowanie się pasażerami na gapę. Ten mógł mieć jakieś dwadzieścia lat. Wzrostu był wyższego niż metr dziewięćdziesiąt, a ważył zaledwie jakieś pięćdziesiąt kilo. Skóra i kości. Nos jego przybrał w naszym dobroczynnym, marsjańskim klimacie zabawną czerwoną barwę. Miał duże niezgrabne ręce i dusił się jak ryba wyrzucona z wody w naszą dobroczynną atmosferę. Naturalnie nie miał inhalatora. Pasażerowie na gapę nigdy ich nie mają.

Zbliżyłem się do niego i powiedziałem:

- No i co pan myśli? To zabawne wrażenie, prawda, znaleźć się na autentycznej obcej planecie.

- Pewnie! - dyszał pasażer na gapę.

Jego skóra z powodu braku tlenu stawała się niebieska, z wyjątkiem końca nosa, który świecił teraz jaskrawą czerwienią. Postanowiłem, że jeszcze przez chwilę pozwolę mu cierpieć.

- A więc po kryjomu załadowaliśmy się razem z ładunkiem. Chciało się odbyć gratisową przejażdżkę na uroczą, zachwycającą planetę Mars?

- Pan... pan niesłusznie uważa mnie za zwykłego pasażera na gapę - zaprotestował. - Jak by to powiedzieć... jak by to powiedzieć...

- ...jak by to powiedzieć, dałem łapówkę kapitanowi skończyłem za niego.

Zaczął niebezpiecznie chwiać się na długich, chudych nogach. Wyjąłem mój zapasowy inhalator i założyłem mu na nos.

- Tędy, darmozjadku! Postaramy się znaleźć dla ciebie coś do zjedzenia. A potem utniemy sobie

poważną rozmówkę w cztery oczy.

Musiałem trzymać go za ramię, żeby doprowadzić aż do messy. Tak przewracał oczami, że za każdym krokiem mało brakowało, a byłby się o coś potknął i potłukł. Kiedy znaleźliśmy się wreszcie w środku, wyregulowałem ciśnienie atmosferyczne i kazałem mu odgrzać kotlet wieprzowy i fasolę.

Łapczywie połknął wszystko, obrócił się na krześle i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nazywam się Johny Franklin - oświadczył. - Mars! Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że tu jestem!

To mówią wszyscy pasażerowie na gapę, przynajmniej ci, którym uda się przeżyć podróż. Na dziesięciu lub dwunastu, którzy co roku tego próbują, rzadko tylko więcej niż jeden lub dwóch przybywa żywy. Większość z nich to straszni głupcy.

Udaje im się wśliznąć pomiędzy ładunek, mimo wszelkich kontroli służby bezpieczeństwa.

Rakieta startuje z przyspieszeniem prawie dwudziestu "g" i wtedy pasażer na gapę, pozbawiony jakiegokolwiek specjalnej ochrony, pęka jak pluskwa. A jeśli to wytrzyma, wykańcza go promieniowanie. Albo też dusi się w nie nadającej się do oddychania atmosferze wnętrza statku, zanim zdoła dotrzeć do kabiny pilota.

Mamy tutaj na uboczu specjalny cmentarz, zarezerwowany wyłącznie dla pasażerów na gapę.

Jednakże zdarzają się tacy, którzy to przeżywają i lądują na Marsie, pełni marzeń i złudzeń. I to właśnie ja mam obowiązek rozwiewać ich złudzenia.

- Co masz zamiar robić na Marsie? - spytałem go. - Powiem panu - odparł Franklin. - Na Ziemi musi się być takim samym jak wszyscy. Trzeba myśleć tak jak wszyscy i postępować tak jak wszyscy. A jeśli nie, to człowieka zamykają.

Skinąłem głową potakująco. Życie na Ziemi, po raz pierwszy w historii ludzkości, było teraz ustabilizowane. Władze dążyły, żeby to utrwalić.

- A zatem przyszła ci chętka zmienić trochę klimat? - Tak, proszę pana - powiedział Franklin. -

Może pan powie, że to banalne, ale chciałem być pionierem. Jeśli to trudne, tym gorzej dla mnie!

Będę pracował. Niech mi pan pozwoli zostać, a zobaczy pan! Będę pracował tak ciężko, jak będzie trzeba!

- Po co?

- He?

Przez chwilę był skonsternowany. Potem odparł: - Ależ... wszystko jedno po co...

- Co umiesz robić? Będziemy pewnie potrzebowali dobrego specjalisty chemii nieorganicznej.

Orientujesz się może przypadkiem w tego rodzaju badaniach?

- N... nie, proszę pana. I nie sprawiało mi to przyjemności, lecz trzeba było, żebym mu przedstawił całą smutną i niosącą rozczarowanie prawdę, tak jak przedstawiałem ją innym.

- A więc chemia nie jest twoją dziedziną - ciągnąłem. - Znalazłaby się może posada dla świetnego geologa. Albo, dajmy na to, dla statystyka...

- Obawiam się, że...

- Powiedz mi, Franklin, jakie ty masz dyplomy?

- Żadnych, proszę pana.

- Nic? Nawet najskromniejszego doktoratu? Żadnego stopnia? Nawet najędźniejszego magisterium?

- Nie, proszę pana - żałośnie przyznał Franklin.

- A więc? Na co tu liczysz?

- Proszę pana, czytałem gdzieś, że wasza organizacja rozciąga się nieco poza samą planetę.

Myślałem, że może mógłbym być gońcem, łącznikiem pomiędzy jej różnymi placówkami.

Znam się trochę na stolarstwie i blacharce... Na pewno znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie...

Nalałem mu drugą filiżankę kawy, a on patrzył na mnie błagalnym wzrokiem. Na tym etapie

rozmowy pasażerowie na gapę zawsze tak patrzą. Wyobrażają sobie, że Mars jest tym, czym była Alaska w latach siedemdziesiątych lub Antarktyda około roku 2000 - rodzajem strefy frontowej, otwartej dla wszystkich ludzi odważnych i zdecydowanych. Ale Mars nie jest strefą frontową; jest raczej ślepą uliczką.

- Franklin - powiedziałem - czy wiesz, że Plan Marsjański to nie zabawka i na pewno nigdy nią nie będzie? Czy wiesz, że według planu musi się wydać pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, aby utrzymać tutaj jednego człowieka? Czy myślisz, że jesteś wart rocznej pensji w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów?

- Nie będę jadł zbyt dużo - rzekł Franklin. - A jak raz się czegoś dobrze nauczę, to...

- A czy wiesz - przerwałem mu - że na Marsie nie ma ani jednego człowieka, który nie posiadałby co najmniej tytułu doktora?!

- Nie wiedziałem o tym - westchnął Franklin. Pasażerowie na gapę nigdy o tym nie wiedzą. Zawsze muszę im o tym mówić. Wyjaśniłem Franklinowi, że to sami uczeni zajmowali się w swych wolnych chwilach wszelkimi pracami stolarskimi. A także kuchnią, gospodarstwem domowym i sprzątnięciem. Te prace nie były może zbyt dobrze wykonywane, ale trzeba się tym zadowolić. W istocie, na Marsie nie ma ani jednego robotnika, który by poza tym nie był jakimś specjalistą. Nie możemy sobie na to pozwolić.

Myślałem, że wybuchnie płaczem, ale udało mu się opanować.

Rozgląda się z namysłem dookoła, obserwując każdy szczegół naszej nędznej, małej messy. Jak na marsjańską, była marsjańska!

- Chodźmy powiedziałem, wstając z miejsca. Spróbujmy znaleźć dla ciebie łóżko. Jutro wyda się dyspozycje co do twego powrotu na Ziemię. Nie rób takiej miny! Będiesz mógł przynajmniej opowiadać, że widziałeś Marsa.

- Tak, proszę pana. - Podniósł się ze znużeniem. Ale ja nie wrócę na Ziemię.

Dyskusja nie miała sensu. Większość pasażerów na gapę ma najdziwniejsze myśli. Jakże mogłem wiedzieć, co tam się kłębi pod tą czaszką?

Po zainstalowaniu Franklina wróciłem do mojego laboratorium, gdzie spędziłem parę godzin, kończąc terminową pracę. Potem, śmiertelnie zmęczony, rzuciłem się przespać.

Nazajutrz rano poszedłem obudzić Franklina. Nie było go w łóżku. Natychmiast wziąłem pod uwagę możliwość sabotażu. Któż wie, do czego jest zdolny niefortunny pionier? Mógł przecież wyciągnąć parę prętów ze stosu atomowego. Wściekły, poszedłem szukać go w terenie i wreszcie odnalazłem przed laboratorium spektroskopowym, już prawie całkiem ukończonym.

Budową tego laboratorium zajmowaliśmy się, z konieczności, jedynie w wolnych chwilach. Gdy tylko ktoś z nas dysponował odrobiną czasu, szedł położyć kilka cegieł albo skończyć heblowanie powierzchni stołu, albo przyśrubować zawiasy do drzwi. Ale nikt nie mógł oderwać się od swych zajęć na tak długo, żeby laboratorium rzeczywiście "postawić na nogi".

Franklin przez kilka godzin zrobił tutaj więcej niż my wszyscy w ciągu kilku miesięcy. Był rzeczywiście świetnym i stolarzem i pracował, jakby miał diabła za skórą.

- Franklin!! - zawołałem.

- Tak, proszę pana.

Przybiegł do mnie bardzo ożywiony.

- Chciałem tylko panu pokazać, co umiem robić. Proszę mi dać jeszcze kilka godzin, a będzie pan miał dach. A jeśli nikomu nie są potrzebne te kawałki rur, to może do jutra zdążyłbym założyć całą instalację.

Nie ulegało wątpliwości, że Franklin był dobrym robotnikiem. Właśnie tego typu, jakiego potrzebowaliśmy na Marsie. Z czystym sumieniem mogłem klepnąć go po ramieniu i powiedzieć:

- Mój chłopcze, studia to nie wszystko! Możesz zostać. Potrzebujemy cię.

Naprawdę miałem ochotę mu to powiedzieć. Ale nie mogłem. Historia skromnego pasażera na

gapę, który przybył na Marsa i któremu się powiodło, taka historia nie istnieje. Pasażerowie na gapę nie mają najmniejszej szansy powodzenia. My, uczeni, potrafimy ostatecznie przyciąć deski i zainstalować parę kawałków rur, jakkolwiek wątpliwy bywa rezultat tej pracy. Ale nie możemy sobie pozwolić na luksus zaangażowania do niej kogoś innego.

- Dlaczego utrudniasz mi zadanie, Franklin? Mam miękkie serce. Przekonałeś mnie. Ale nie mogę nic zrobić wbrew regulaminowi. Musisz odjechać.

- Nie mogę - powiedział z cicha.

- Dlaczego?

- Jeśli wrócę, zrobią mnie na szaro.

- Dobrze, dobrze! Jazda, opowiedz swoją historię mruknąłem. - Tylko żeby była krótka!

- Dobrze, proszę pana. Na Ziemi, jak już panu mówiłem, trzeba postępować i myśleć jak wszyscy. Do pewnego czasu nie było z tym tak źle. Ale potem, któregoś dnia odkryłem Prawdę.

- Co takiego?

- Odkryłem Prawdę! - powtórzył Franklin z mocą. Odkryłem ją przypadkowo, ale w gruncie rzeczy to było niezwykle proste. Tak proste, że powiedziałem o tym mojej siostrze. A z chwilą, kiedy ona zrozumiała, każdy mógł zrozumieć. Spróbowałem więc powiedzieć o tym wszystkim.

- Mów dalej - rzekłem.

- Wszyscy się na mnie oburzyli. Powiedzieli mi, że jestem wariatem i lepiej zrobię, jeśli będę milczał. Ale ja nie mogłem milczeć, panie Tully, bo przecież chodziło o Prawdę. Wobec tego chcieli mnie zamknąć, a ja uciekłem na Marsa.

To już szczyt wszystkiego! - myślałem. - Tylko tego nam brakowało, żeby jakiś Franklin, fanatyk jak za dawnych czasów, przybył, żeby nas nauczyć, nas, uczonych!

- A to jeszcze nie wszystko - powiedział Franklin. - Uważa pan, że to nie wystarczy?

- Oni teraz także szukają mojej siostry. Widzi pan, kiedy ona zrozumiała Prawdę, zapagnęła ją

głosić. Rozumie pan, to przecież jest Prawda. Więc musi się teraz ukrywać, dopóki... dopóki... -

Wytarł nos i przełknął ślinę. Myślałem, że pokażę panu, jak mogę się przydać na Marsie, a potem mogłaby tu do mnie przyjechać moja siostra i...

- Wystarczy! - przerwałem.

- Tak jest, proszę pana.

- Nie chcę nic więcej słyszeć. Dość już słyszałem.

- Nie chce pan, żebym objawił Prawdę? - zapytał z uporem. - Mógłbym panu wyjaśnić...

- Ani słowa! - warknąłem. - Dobrze, proszę pana.

- Franklin, nie mogę dla ciebie nic zrobić, absolutnie nic. Nie masz żadnych wymaganych kwalifikacji. Nie mam prawa pozwolić ci tu zostać. Jediną rzeczą, jaką mógłbym dla ciebie zrobić, to pomówić z dyrektorem.

- Och! Stokrotne dzięki, panie Tully! Czy może mu pan wytłumaczyć, że nie przyszedłem jeszcze do siebie po tej podróży? Któregoś dnia, kiedy odzyskam siły, pokażę panu...

- Dobrze, dobrze! - powiedziałem i oddaliłem się pośpiesznie.

Dyrektor spojrzał na mnie tak, jakbym nagle kompletnie oszalał.

- Ależ, Tully! Zna pan przecież regulamin.

- Naturalnie - odparłem. - Ale on z pewnością mógłby się przydać. Naprawdę nie mam odwagi go odesłać.

- Utrzymanie człowieka na Marsie wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Myśli pan, że on jest tyle wart? - Tak, wiem o tym. Ale naprawdę mi go żal. On się tak rwie do pracy, może moglibyśmy...

- Wszyscy pasażerowie na gapę wzbudzają litość!

- Oho! A poza tym to są istoty niższe, co? Nie to, co my, uczeni! Proszę się nie krępować! Wyśle się go i nie mówmy o tym więcej!

- Ed - odpowiedział spokojnie - przeczuwam, że ta historia wywoła wśród nas kwasy. Ale panu pozostawiam decyzję. Niech pan nie zapomina, że co roku otrzymujemy dziesiątki tysięcy podań o zatrudnienie w Planie Marsjańskim. Odmawiamy ludziom bardziej kwalifikowanym niż my sami. Młodzi latami kształcą się na uniwersytetach, spodziewając się znaleźć tutaj pracę, a w końcu zastaje miejsce zajęte. Czy biorąc to wszystko pod uwagę, naprawdę pan sądzi, że Franklin powinien tu zostać?

- Skoro pan stawia sprawę w ten sposób... - A czy jest inny sposób? - spytał Burke.

- Nie, z pewnością nie.

- Ziemia potrzebuje nowych terenów ekspansji. Pragnąłbym otworzyć całego Marsa dla osadnictwa. Kiedyś to się stanie. Ale nie wcześniej, zanim uda się nam samym zaspokajać nasze potrzeby.

- Zrozumiano. Zajmę się wyprawieniem naszego młodego pasażera na gapę w drogę powrotną. Gdy wróciłem, Frankin pracował przy dachu laboratorium. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby się zorientować, jak brzmi odpowiedź.

Wskoczyłem z powrotem do jeepa i pojechałem do Marsportu. Miałem kilka słów do powiedzenia kapitanowi, który wpuścił Franklina na pokład. Takie rzeczy zdarzały się zbyt często. Ten błazen będzie musiał teraz z powrotem odstawić Franklina na Ziemię.

Rakieta stała w dole odlotowym, z czubem skierowanym ku niebu. Clarkson, nasz specjalista od silników atomowych, przygotowywał ją właśnie do odlotu.

- Gdzie jest kapitan tej landary? - zapytałem.

- W ogóle nie ma kapitana - odparł Clarkson. - Ten model jest zdalnie kierowany przez radio.

Uczułem, jak mi żołądek podchodzi do gardła.

- Nie ma kapitana?

- Nie.

- Nie ma załogi?

- Skądże! Na zdalnie kierowanej rakiecie? Przecież pan o tym świetnie wie, Tully!

- Wobec tego - powiedziałem łagodnie - na pokładzie nie ma tlenu?

- Naturalnie, że nie!

- I żadnej obrony przed promieniowaniem?

- Oczywiście! - Clarkson zaczął mi się przyglądać z niepokojem.

- I żadnej izolacji!

- Tylko tyle, żeby powłoka nie spłonęła.

- I spodziewam się, że ta rakietka startuje z maksymalnym przyspieszeniem? Około trzydziestu pięciu "g"?

- Naturalnie! Jeśli nie ma nikogo na pokładzie, tak jest najbardziej ekonomicznie. Co jest z panem, Tully?

Nie siląc się na odpowiedź, wskoczyłem do jeepa i ruszyłem w kierunku laboratorium spektroskopowego.

Takiej podróży nie mogła przeżyć istota ludzka. Nie było na to najmniejszej szansy. Nawet jednej na miliard. To było fizycznie niemożliwe.

Kiedy przyjechałem do laboratorium, Franklin ukończył już dach i był zajęty gromadzeniem rur.

Była to pora przerwy obiadowej i pomagało mu wielu ludzi z Sekcji Kopalnianej.

- Franklin! - zawołałem.

- Tak, proszę pana? Odetchnąłem głęboko.

- Franklin, czy przyjechałeś z tym ładunkiem?

- Ależ nie, proszę pana. Próbowałem panu powiedzieć, że nie, że nic nie płaciłem kapitanowi, ale pan nie...

- Wobec tego - powiedziałem bardzo powoli - w jaki sposób tutaj przybyłeś?

- Za pomocą Prawdy!

- Czy mógłbyś mi to zademonstrować? Franklin zastanowił się przez chwilę.

- Ta podróż straszliwie mnie zmęczyła, panie Tully rzekł. - Ale myślę, że mógłbym...

I zniknął.

Zastygłem w miejscu, mrugając powiekami. Potem jeden inżynier z Sekcji Kopalnianej wskazał na niebo. Był tam Franklin, spokojnie szybujący jakieś sto metrów nad nami.

W chwilę później stał już przy mym boku, zaczerwieniony z zimna. Co za historia!

- I to jest twoja Prawda?! - zawołałem.

- Tak, proszę pana. To jest odmienny sposób widzenia rzeczy. Spojrzenia na rzeczy z góry. Kiedy pan raz zobaczy - kiedy zobaczy pan naprawdę - o! Ale na Ziemi uważano, że to... halucynacja, i kazano mi zaprzestać.

- Potrafiłbyś nauczyć tej metody?

- Oczywiście, proszę pana, ale to wymaga czasu... Panie Tully, czy chce pan przez to powiedzieć, że zostaję?

- Możesz zostać, Franklin. Co więcej, gdybyś próbował odjechać, zabiłbym cię na miejscu.

- Och, dziękuję panu! A moja siostra? Może tu przyjechać?

- Ależ naturalnie! Jakżeby inaczej! Jak tylko przyjedzie...

Usłyszałem okrzyk zdumienia, wydany przez ludzi z Sekcji Kopalnianej. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Odwróciłem się z wolna.

Przede mną stała wysoka, szczupła dziewczyna z oczami jak spodki. Patrzyła dookoła jak lunatyczka, mruczając:

- A więc to jest Mars! - Potem zwróciła się do mnie, oblana rumieńcem: - Bardzo pana przepraszam... ale ja... ja słyszałam pańską rozmowę.

przekład : Karol Zach

Pielgrzymka na Ziemię

Alfred Simon urodził się na Kazandze IV, małej rolniczej planecie położonej blisko Arcturusa, i tam właśnie jeździł kombajnem po polach pszenicznych, a w długie, ciche wieczory słuchał nagrań pieśni miłosnych z Ziemi.

Życie na Kazandze wydawało się nie najgorsze, a dziewczyny, hoże, wesołe, bezpośrednie i przychylne, były dobrymi kompankami we wspólnych wypadach w góry czy nad rzekę, a nawet wiernymi towarzyszkami życia. Ale romantyzmu w nich za grosz! Owszem, można się było na Kazandze zabawić wesoło i beztrosko, ale nic poza tym.

Simon czuł, że tej spokojnej egzystencji czegoś brakuje. Pewnego dnia odkrył czego.

Na Kazandze zjawił się mianowicie w poobijanym, wyładowanym książkami statku kosmicznym, handlarz. Był wychudzony, siwy i troszkę szalony. Odbyła się nawet uroczystość na jego cześć, bo na światach pozaziemskich ceniono sobie nowinki.

Handlarz opowiedział im najnowsze plotki: o wojnie cen pomiędzy Detroit II a III i jak się na Alenie rozwija rybołówstwo, jak się ubiera prezydentowa z Moracii i jak dziwnie mówią ludzie z Doram V. Aż wreszcie ktoś zawołał:

- Opowiedz nam coś o Ziemi!

- O! - rzekł handlarz unosząc brwi. - Chcielibyście się czegoś dowiedzieć o planecie macierzystej. No cóż, przyjaciele, nie ma drugiego takiego miejsca jak nasza stara, poczciwa Ziemia. Nie ma. Na Ziemi, przyjaciele, wszystko jest możliwe, nic nie jest zabronione.

- Nic? - spytał Simon.

- Zabranianie jest prawnie zabronione - wyjaśnił handlarz z uśmiechem. - I nie słyszałem, żeby ktokolwiek to prawo złamał. Ziemia jest i n n a , przyjaciele. Wasza specjalność to, zdaje się, rolnictwo, tak? Otóż Ziemia specjalizuje się w takich niepraktycznych rzeczach jak szaleństwo, piękno, wojna, upojenie, czystość, groza i tym podobne i ludzie zjeżdżają tam z miejsc odległych o

wiele lat świetlnych w pogoni za tymi towarami.

- A miłość? Co z miłością? - zapytała jakaś kobieta.

- Dziewczyno - odparł handlarz - Ziemia jest jedynym miejscem w całej galaktyce, gdzie jeszcze istnieje miłość. Detroit II i III próbowały miłości, ale uznały ją za zbyt kosztowną, rozumiesz, na Alanie doszli do wniosku, że wywołuje niepokój, a na Morację czy Doram V nie było nawet czasu jej sprowadzić. Ale, jak już mówiłem, Ziemia specjalizuje się w tym, co niepraktyczne, i jeszcze ciągnie z tego zyski.

- Zyski? - zapytał zwałisty farmer.

- Oczywiście! Ziemia jest stara, jej bogactwa mineralne są na wyczerpaniu, a gleba całkowicie wyjałowiona. Kolonie ziemskie uzyskały niepodległość i są zaludnione przez trzeźwo myślących ludzi, takich jak wy, którzy za swoje towary domagają się zapłaty. Czym więc ta stara Ziemia może się jeszcze zajmować, jak nie sprawami błahymi, które nadają życiu jakiś sens?

- A czy byłeś kiedy zakochany na Ziemi?

- Owszem, byłem - odparł handlarz dość ponuro. Byłem zakochany, a teraz podróżuje.

Przyjaciele, te książki...

Za nieprawdopodobną wprost cenę Simon kupił starożytny tomik poezji i czytając śnił o miłości pod szalonym księżycem, o świetle migocącym białą na spieczonych ustach kochanków, o ciałach splecionych na ciemnej plaży, opętanych namiętnością, ogłuszonych hukami fal.

A to wszystko było możliwe tylko na Ziemi! Ponieważ jak twierdził handlarz, jej rozproszone w Kosmosie dzieci zbyt ciężko walczyły o byt na obcych światach. Na Kazandze rosły pszenica i kukurydza, na Detroit II i III fabryki. Łowiska Alany była to sprawa południowego Pasa Gwiezdnego, Moracia roiła się od niebezpiecznych zwierząt, a Doran V stanowił jeszcze nie zdobytą pustynię. I to było w porządku, dokładnie tak, jak być powinno.

Ale nowe światy, surowe i starannie zaplanowane były sterylne w swojej perfekcji. Coś zostało

zaprzepaszczone w najdalszych zakątkach przestrzeni i jeszcze tylko Ziemia знаła miłość.

Simon tyrał wiec, oszczędzał i marzył. W dwudziestym dziewiątym roku życia sprzedał fermę, spakował czyste koszule do solidnej torby, włożył najlepszy garnitur i parę solidnych butów i wsiadł na statek relacji Kazanga - Metropole.

Aż w końcu wylądował na Ziemi, gdzie marzenia m u s z ą s i ę spełniać, ponieważ jest to prawie zagwarantowane.

Szybko przeszedł przez komorę celną na dworcu kosmicznym Nowy Jork i koleją podziemną dojechał na Times Square. Tam wyłonił się na światło dzienne mrugając i mocno ściskając torbę, ponieważ go ostrzegano przed wszelkiego rodzaju złodziejaskami i przed innymi szumowinami miasta.

Oniemiały z podziwu rozglądał się dokoła.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był niekończący się szereg kin z dwu-, trój- i czterowymiarowymi atrakcjami zależnie od życzenia. I to z jakimi atrakcjami!

Na prawo agresywna markiza ogłaszała: **ŻĄDZA NA WENUS! FILM DOKUMENTALNY O PRAKTYKACH SEKSUALNYCH WŚRÓD MIESZKAŃCÓW ZIELONEGO PIEKŁA! SZOKUJĄCE! ODKRYWCZE!**

Miał ochotę tam wejść. Ale po drugiej stronie ulicy był film wojenny. Reklama głosiła:

ŚMIAŁKOWIE SŁONECZNI! BOHATEROM KOSMICZNYCH WOJSK DESANTOWYCH! A poniżej widniała scena zatytułowana: TARZAN W WALCE Z WAMPIRAMI SATURNA!

Tarzan, jak sobie Simon przypominał z lektur, był starożytnym pogańskim bohaterem z Ziemi.

Wszystko było takie wspaniałe, ale przecież było znacznie więcej. Simon zwrócił uwagę na małe otwarte sklepiki, gdzie można było kupić żywność ze wszystkich światów, a w szczególności takie typowo ziemskie potrawy jak pizza, hot dogi, spaghetti i farfelki. A były specjalne magazyny, w których sprzedawano odzież z demobilu z ziemskich flot kosmicznych i inne sklepy, z samymi

napojami.

Simon nie wiedział, od czego zacząć. W pewnym momencie usłyszał za sobą staccata ognia karabinowego i obrócił się błyskawicznie.

Ale była to tylko strzelnica, długie, wąskie, jaskrawo pomalowane pomieszczenie z kontuarem sięgającym pasa. Właściciel, śniady, tłusty facet z myszką na brodzie, siedział na wysokim stołku i uśmiechał się do Simona.

- Spróbuj pan szczęścia?

Simon wszedł i stwierdził, że cele stanowiły cztery skąpo odziane dziewczyny siedzące na końcu galeryjki na posiekanych kulami krzesłach. Miały na czołach i nad piersiami wymalowane maleńkie środki tarcz.

- Czy tu się strzela prawdziwymi nabojami? - zapytał Simon.

- Oczywiście! - odparł właściciel. - Ziemskie przepisy zabraniają fałszywych ogłoszeń.

Prawdziwe naboje i prawdziwe dziewczyny! Wejdź i zastrzel sobie którąś. Jedna z dziewczyn zawołała:

- Chodź no, bracie, założę się, że nie trafisz? Inna wrzasnęła:

- On by nawet nie wcelował w bok statku kosmicznego!

- Owszem, wcelowałby! - krzyknęła jeszcze jedna. Chodź no tu, kochasiu.

Simon przetarł oczy i starał się nie robić wrażenia zdziwionego. Ostatecznie znajduje się na Ziemi, gdzie wszystko jest możliwe, jeśli się tylko opłaca.

- Czy macie i takie strzelnice, gdzie się strzela do mężczyzn?

- Oczywiście - odparł właściciel. - Ale mam nadzieję, że nie jesteś zboczony, co?

- Jasne, że nie!

- Czy jesteś nieziemcem?

- Tak. A skąd wiesz?

- Ubranie. Zawsze poznaje po ubraniu. - Tłuszcioch zamknął oczy i zaśpiewał: - Wejdz, wejdz i zabij dziewczynę! Zrzuć bagaż zahamowań! Naciśnij spust, a poczujesz, jak ulatuje z ciebie nagromadzona złość! To lepsze niż masaż! Lepsze niż się upić! Wejdz, wejdz i zabij sobie kobietę!

Simon zapytał jedną z dziewczyn:

- A jak cię zabiją, to zostaniesz zabita?

- Nie bądź głupi - odparła dziewczyna.

- Ale szok...

Wzruszyła ramionami.

- Mogłam trafić gorzej.

Simon miał właśnie spytać, w jaki sposób mogła trafić gorzej, kiedy właściciel wychylił się nad kontuarem mówiąc coś poufnym szeptem.

- Popatrz no, koleś. Popatrz, co ja tu mam.

Simon spojrział przez kontuar i zobaczył pistolet automatyczny.

- Za śmiesznie niską cenę - powiedział właściciel pozwolę ci się pobawić tym karabinem maszynowym. Możesz polecieć po całym tym pomieszczeniu, postrzelać meble, porozwalać ściany. Kaliber 45, a kopie jak muł. Jak sobie z tej spluwy postrzelasz, to przynajmniej poczujesz, że sobie postrzelałeś.

- Mnie to nie interesuje - odparł Simon stanowczo.

- Mam też parę granatów - zaproponował właściciel. Rozpryskowe oczywiście. Mógłbyś naprawdę...

- Nie!

- Za pewną cenę - powiedział właściciel - mógłbyś strzelić i do mnie, gdybyś miał takie upodobania, chociaż nie wyglądasz na to. No i co powiesz?

- Nie! Nigdy! To okropne!

Właściciel spojrział na niego bez wyrazu.

- Dziś nie w humorze? Okay. Jesteśmy otwarci dwadzieścia cztery godziny na dobę. Do zobaczenia, bracie.

- Nigdy! - odparł Simon odchodząc.

- Czekam na ciebie, kochasiu! - zawołała za nim jedna z kobiet.

Podszedł do stoiska z napojami i zamówił małą szklaneczkę coca-coli. Stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Uspokoił je z trudem i wypił zamówiony napój. Uświadomił sobie, że nie powinien oceniać Ziemi według własnych standardów. Jeżeli ludzie na Ziemi lubią się nawzajem zabijać, a ofiarom to nie przeszkadza, to co to kogo może obchodzić?

A może jednak powinno?

Rozważał właśnie ten problem, kiedy usłyszał koło siebie:

- Hej, chłopcze!

- Simon obrócił się i zobaczył spoglądającego ukradkiem, zaszuszonego człowieczka w za dużym płaszczu.

- Nietutejszy? - zagadnął człowieczek.

- Owszem - odparł Simon. - Skąd pan wie?

- Buty. Zawsze patrzę na buty. Jak ci się podoba nasz mały światek?

- Jest dziwny - powiedział Simon ostrożnie. - To znaczy nie przypuszczałem, że...

- Oczywiście - rzekł mały człowieczek. - Jesteś idealistą. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na twoją uczciwą twarz, przyjacielu. Przyjechałeś na Ziemię w określonym celu. Chyba się nie mylę, prawda?

Simon skinął głową. Mały człowieczek oświadczył:

- I nawet wiem, w jakim. Poszukujesz wojny, która uczyni świat bezpiecznym i trzeba

powiedzieć, że dobrze trafiłeś. Mamy sześć poważnych wojen, toczących się jednocześnie non-

stop. Zdobyć w którejś z nich jakiejś poważniejszej pozycji z reguły nie wymaga czekania.

- Przykro mi, ale...

- Właśnie w tej chwili - ciągnął nieustępliwie mężczyzna - wyzyskiwani robotnicy Peru podjęli rozpaczliwą walkę przeciwko skorumpowanej, upadającej monarchii. Jeden człowiek mógłby przesądzić o losach walki! Tym człowiekiem mógłbyś być ty, przyjacielu! Ty mógłbyś zapewnić zwycięstwo socjalistom.

Obserwując pilnie wyraz twarzy Simona mały człowieczek dodał szybko:

- Chociaż można wiele dobrego powiedzieć i na rzecz oświeconej arystokracji. Stary mądry monarcha Peru (król-filozof w najgłębszym, platońskim tego słowa znaczeniu) pilnie potrzebuje twojej pomocy. Jego skromny sztab, składający się z uczonych, humanistów, Gwardii Szwajcarskiej, szlachty i podległego chłopstwa znajduje się pod silnym naciskiem socjalistycznego spisku, popieranego przez zagranicę. Jest to moment, kiedy jednostka...

- To mnie nie interesuje - odparł Simon.

- W Chinach anarchiści...

- Nie.

- A może wolisz komunistów w Walii? Albo kapitalistów w Japonii? Chyba że są ci bliższe takie ruchy jak feministyczny, prohibicjonizm, monetaryzm i tym podobne, to moglibyśmy ci pewnie załatwić...

- Nie chce żadnej wojny - powiedział Simon.

- Czy można ci się dziwić? - powiedział mały człowieczek gwałtownie skinąwszy głową. - Wojna to piekło. Wobec tego przyszedłeś na Ziemię po miłość.

- Skąd wiesz? - zapytał Simon.

Mały człowieczek uśmiechnął się skromnie.

- Miłość i wojna - odparł - to dwa główne artykuły Ziemi. Od zarania dziejów mamy w tej

dziedzinie rekordowe zbiory.

- A czy o miłość jest bardzo trudno? - zapytał Simon. - Wystarczy przejść dwie przecznice w stronę przedmieścia - wyjaśnił żwawo mały człowieczek - i nie sposób się na nią nie natknąć.

Powiesz, że Joe cię przysyła.

- Ależ to niemożliwe! Nie można przecież tak po prostu sobie iść i...

- A co ty wiesz o miłości - rzekł Joe.

- Nic.

- No właśnie, a my jesteśmy ekspertami w tej dziedzinie.

- Wiem tyle, ile było w książce - powiedział Simon. Namiętność pod szalonym księżycem...

- Jasne, i ciała splecione na ciemnej plaży, opętane namiętnością i ogłuszone hukiem fal.

- Czytałeś te książkę?

- To standardowa broszura reklamowa. No, ale muszę już iść. Dwie przecznice. Z pewnością znajdziesz.

I z miłym skinieniem Joe wmieszał się w tłum.

Simon skończył coca-colę i ruszył wolno Broadwayem; myśl pobruździła mu czoło, ale był zdecydowany nie formułować przedwczesnych sądów.

Kiedy doszedł do ulicy czterdziestej czwartej, zobaczył płonący jasno, potężny neon, który głosił: MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA. Mniejszy neon zawiadamiał: Czynne 24 godziny na dobę. A pod spodem: Na piętrze.

Simon spochmurniał - przyszło mu do głowy straszliwe podejrzenie. Mimo to wszedł po schodach i znalazł się w małej, urządzonej ze smakiem poczekalni. Stamtąd posłano go długim korytarzem do jednego z numerowanych pokojów. Na widok Simona zza okazałego biurka podniósł się przystojny, siwy mężczyzna i uściskał mu dłoń pytając:

- Co tam słyhać na Kazandze?

- Skąd pan wie, że ja jestem z Kazangi?

- Koszula. Zawsze patrzę na koszule. Nazywam się Tate i jestem tu po to, żeby pana obsłużyć, jak potrafię najlepiej. Pana godność...

- Simon, Alfred Simon.

- Proszę siadać, panie Simon. Papierosa? A może drinka? Nie pożałuje pan, że pan do nas przyszedł. Jesteśmy. najstarszą na rynku firmą zajmującą się dostarczaniem miłości, znacznie większą

niż

nasza

główna

konkurencja

ŻĄDZA

Z

NIEOGRANICZONĄ

ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ. Co więcej, nasze ceny są znacznie przystępniejsze, a i towar lepszy.

Czy można spytać, w jaki sposób pan się o nas dowiedział? Widział pan naszą całostronicową reklamę w "Timesie" czy może...

- Przesłał mnie Joe - odparł Simon.

- Ach, on jest rzeczywiście aktywny - powiedział pan Tato figlarnie potrząsając głową. - No to cóż, nie ma co zwlekać. Odbył pan długą drogę w poszukiwaniu miłości i dostanie ją pan.

Sięgnął do guzika na biurku, ale Simon go powstrzymał.

- Nie chciałbym być ordynarny ani nic w tym sensie powiedział - ale...

- Tak? - zapytał pan Tate z zachęcającym uśmiechem.

- Ja z tego nic nie rozumiem - wyrzucił z siebie Simon okrywając się głębokim rumieńcem, a na

jego czole wystąpił perlisty pot. - Ja chyba trafiłem w niewłaściwe miejsce. Nie przyjechałem taki

kawał drogi na Ziemi tylko po to, żeby... Mam na myśli, że chyba nie handlujecie m i ł o ś c i ą ?

Nie m i ł o ś c i ą . To przecież nie może być prawdziwa m i ł o ś ć !

- Ależ oczywiście, że może! - odparł pan Tate ze zdumienia unosząc się w fotelu. - Na tym właśnie cała rzecz polega. Seks może kupić każdy. Mój Boże, to najtańsza rzecz w całym wszechświecie, zaraz po ludzkim życiu. Ale miłość jest czymś rzadkim, czymś wyjątkowym, m i ł o ś ć można znaleźć tylko na Ziemi. Czytał pan naszą broszurę?

- Ciała na ciemnej plaży? - zapytał Simon.

- Tak, właśnie te. Jestem jej autorem. Przekazuje coś z tego uczucia, prawda? A nie da go panu każdy, panie Simon. Tylko ktoś, kto kocha, może pana wprowadzić w taki nastrój.

Simon powiedział z powątpiewaniem:

- Ale to chyba nie jest autentyczna miłość, prawda? - Oczywiście, że autentyczna! Gdybyśmy sprzedawali miłość udawaną, jako taką byśmy ją reklamowali. Przepisy dotyczące reklamy są na Ziemi bardzo surowe, zapewniam pana. Można handlować dosłownie wszystkim, ale trzeba nazywać rzeczy po imieniu. To sprawa etyki, panie Simon! - Tate zaczerpnął tchu i podjął już spokojniej. - Nie, sir, nie pomylił się pan. Nasz towar nie jest żadną namiastką. To dokładnie to sarno uczucie; o którym od tysięcy lat bredzą poeci i pisarze. Dzięki cudom nowoczesnej nauki możemy to uczucie dostarczyć na zawołanie każdemu, atrakcyjnie podane i po śmiesznie niskiej cenie.

Simon powiedział:

- Ja sobie wyobrażałem, że to będzie coś bardziej spontanicznego.

- Spontaniczność ma, owszem, swoje uroki - przyznał pan Tate. - Prowadzimy nawet w naszych laboratoriach tego typu badania. Niech mi pan wierzy, nie ma nic takiego, czego by nauka nie wyprodukowała, jeśli tylko istnieje zapotrzebowanie.

- Mnie się to wszystko nie podoba - powiedział Simon podnosząc się z krzesła. - Chyba pójdę na film.

- Chwileczkę! - wykrzyknął pan Tate. - Pan sobie pewnie wyobraża, że chcemy pana wyprowadzić w pole. Że zapoznamy pana z dziewczyną, która będzie się, zachowywała tak, jakby pana kochała, ale która w rzeczywistości wcale nie będzie pana kochała. Czy mam racje?

- Chyba tak - przyznał Simon.

- Nic podobnego! Przede wszystkim byłoby to za kosztowne. A poza tym dziewczyny by się za szybko zużywały. Zresztą byłoby to dla nich niezdrowe z punktu widzenia psychologicznego - żyć w kłamstwie tak głębokim i na taką skalę.

- No wiec jak to osiągniecie?

- Wykorzystujemy naukę i znajomość ludzkiej natury.

Dla Simona zabrzmiało to jak oszustwo. Ruszył w stronę drzwi.

- Niech pan mi powie jedną rzecz - rzekł pan Tate. Wygląda pan na bystrego młodego człowieka. Czy pan by nie potrafił odróżnić prawdziwej miłości od fałszerstwa ?

- Z pewnością bym potrafił.

- I to jest właśnie pańska gwarancja! Musi pan być zadowolony, w przeciwnym razie nie zapłaci pan nam ani centa.

- Zastanowię się - odparł Simon.

- Po co zwlekać? Najwybitniejsi psycholodzy twierdzą, że autentyczna miłość wzmacnia, robi dobrze na zdrowy rozsądek, stanowi balsam na chorą duszę, przywraca równowagę hormonalną, poprawia cerę. W miłości, której my dostarczamy, znajdzie pan wszystko: głębokie trwale uczucie, niepohamowaną namiętność, względną wierność, niemal mistyczną fascynację zarówno wadami jak i zaletami partnera, wzruszające pragnienie zaspokojenia, a poza tym, dodatkowy plus, który może zapewnić jedynie MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA : owa spontaniczna pierwsza iskra, ten

oślepiający moment zakochania się od pierwszego wejrzenia!

Pan Tate nacisnął guzik. Simon skrzywił się, niezdecydowany. Otworzyły się drzwi, weszła dziewczyna i - Simon przestał myśleć.

Była wysoka i szczupła, włosy miała ciemne z rudawym połyskiem. Simon nie byłby w stanie powiedzieć nic na temat jej twarzy, poza tym, że wycisnęła mu łzy z oczu. A gdybyście go spytali o jej figurę, mógłby zabić.

- Panno Penny Bright - powiedział Tate - zechce pani poznać: pan Alfred Simon.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale nie mogła dobyć słów. Simona zatkało w równym stopniu. Spojrzał na nią i już w i e d z i a ł . Przestało się cokolwiek liczyć. Do głębi serca wiedział, że jest prawdziwie i szczerze kochany.

Wyszli natychmiast trzymając się za ręce. Odrzutowiec zawiózł ich do małego, białego domku położonego w sosnowym zagajniku, z widokiem na morze, i tam rozmawiali i śmiali się, i kochali, i później Simon widział swoją ukochaną spowitą w płomień zachodzącego słońca jak boginie ognia. W błękitnie przedświtu patrzyła na niego oczyma wielkimi i ciemnymi, a jej znane już ciało było od nowa tajemnicze. Wszedł księżyc, jasny i szalony, zamieniając ich ciała w cienie, i dziewczyna płakała waląc małymi piąstkami w jego pierś, i on też płakał nie wiedząc dlaczego. Aż wreszcie nadszedł świt, słaby i niespokojny, migocąc na ich spieczonych ustach i splecionych ciałach, a fala hucząc ogłuszała ich, podniecała i przyprawiała o szaleństwo. W południe byli z powrotem w biurze firmy MIŁOŚĆ, SPÓLKA AKCYJNA. Penny przez chwilę trzymała go za rękę, a potem zniknęła w otwartych drzwiach.

- Czy to była prawdziwa miłość? - spytał pan Tate.

- Tak!

- I wszystko jest tak, jak pan sobie wyobrażał?

- Tak! To była miłość, i to miłość autentyczna! Ale dlaczego ona koniecznie chciała tu wrócić?

- Sugestia posthipnotyczna - wyjaśnił pan Tate.

- Co takiego?

- A co pan myślał? Każdy chce miłości, ale mało kto ma ochotę za nią płacić. Oto pański rachunek.

Simon zapłacił, wściekły.

- To było zupełnie niepotrzebne - powiedział. - Przecież to jasne, że bym panu zapłacił za połączenie nas. Gdzie ona jest? Co pan z nią zrobił?

- Tylko spokojnie - powiedział pan Tate kojąco. Niech pan się postara uspokoić.

- Ja wcale nie chcę się uspokoić! - wykrzyknął Simon. - Ja chce Penny!

- A, to jest niemożliwe - rzekł pan Tate, z ledwie uchwytną lodowatą nutą w głosie. - Niech pan łaskawie nie robi z siebie widowiska!

- Czy pan chce wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy?! - wrzasnął Simon. - W porządku, zapłacę.

Ile będzie mnie kosztowało wydarcie jej z pańskich szponów" - Simon wyszarpnął portfel z kieszeni i walnął nim w biurko.

Pan Tate potrącił portfel sztywnym palcem.

- Proszę to schować. Jesteśmy starą firmą, która cieszy się dobrą opinią. Jeżeli jeszcze raz podniesie pan głos, będę zmuszony pana wyrzucić.

Simon z wysiłkiem nakazał sobie spokój, schował portfel do kieszeni i usiadł. Wziął głęboki oddech i bardzo spokojnie powiedział:

- Przepraszam.

- To już lepiej - pochwalił go pan Tate. - Nie lubię, jak ktoś na mnie krzyczy. Ale jak pan się będzie zachowywał grzecznie, to i ja będę grzeczny. No więc na czym polega problem?

- Problem? - Simon znów zaczął podnosić głos. Opanował się jednak i powiedział:

- Ona mnie kocha.

- Oczywiście.

- No to jak pan może nas rozdzielać?

- A co ma jedno z drugim wspólnego? - zapytał pan Tate. - Miłość jest cudownym przerywnikiem, relaksem, dobrym na umysł, na charakter, na równowaga hormonalną i na cerę.

Ale przecież nikomu nie zależy na tym, żeby ta miłość t r w a ł a , zgodzi się pan chyba ze mną?

- Mnie zależy - odparł Simon. - Ta miłość była wyjątkowa, niepowtarzalna...

- Każda jest taka - rzekł pan Tate. - Ale jak pan wie, wszystkie powstają w ten sam sposób.

- Co takiego?

- Wie pan zapewne coś niecoś na temat techniki produkcji miłości.

- Nie - odpowiedział Simon. - Ja myślałem, że to uczucie... naturalne...

Pan Tate potrząsnął głową.

- Od doboru naturalnego odeszliśmy już całe wieki temu, wkrótce po Rewolucji Technicznej. Był zbyt powolny. I zupełnie nieopłacalny z handlowego punktu widzenia. Po co się w to bawić, skoro możemy wyprodukować dowolne uczucie w drodze odpowiedniego warunkowania i pobudzania odpowiednich ośrodków mózgowych? A rezultat? - zakochana w panu po uszy Penny! Pański pociąg do jej typu fizycznego, który uwzględniliśmy, dokonał reszty. Z reguły dodajemy jeszcze do tego ciemną plażę, szalony księżyc i blady świt...

- To znaczy, że ona mogłaby pokochać każdego... rzekł powoli Simon.

- Moglibyśmy spowodować, że pokochałaby każdego skorygował pan Tate.

- O Boże, a w jaki sposób ona się dostała do tej straszliwej pracy? - zapytał Simon.

- Zgłosiła się i podpisała kontrakt na normalnych warunkach - wyjaśnił Tate. - To bardzo popłatne zajęcie. Po wygaśnięciu kontraktu zwracamy takiej dziewczynie własną osobowość - nietkniętą! Ale nie rozumiem, dlaczego pan nazywa tę pracę straszliwą. W miłości nie ma nic naganego.

- To nie była miłość! - wykrzyknął Simon.

- Jak to nie była? Rzetelny towar! - Bezstronne placówki naukowe przeprowadzały testy jakościowe, porównując to, co my dajemy, z produktem naturalnym. W każdym przypadku n a s z a miłość wykazywała większą głębię, żarliwość i zasięg.

Simon zacisnął powieki, otworzył je i powiedział:

- Niech pan posłucha. Mnie nie interesują pańskie naukowe testy. Kocham ją i ona mnie kocha i tylko to się liczy. Pozwólcie mi z nią porozmawiać! Ja się chcę z nią ożenić!

Pan Tate z niesmakiem zmarszczył nos.

- Do licha, człowieku, przecież nie będzie się pan żenił z t a k ą dziewczyną! Ale jeśli panu zależy na małżeństwie, to zajmujemy się i takimi sprawami. Mogę panu załatwić idylliczny i prawie spontaniczny związek z dziewicą z oficjalnym certyfikatem dziewictwa.

- Nie! Ja kocham Penny! Pozwólcie mi przynajmniej z porozmawiać!

- Ależ to jest niemożliwe odparł pan Tate.

- Dlaczego?

Pan Tate nacisnął guzik.

- A jak pan myśli? Skasowaliśmy całkowicie poprzednie uwarunkowanie. Panny jest w tej chwili zakochana w kim innym.

I wreszcie Simon zrozumiał. Dotarło do niego, że właśnie w tej chwili Panny patrzy na kogoś innego z tą samą namiętnością, której on dopiero co zaznał, odczuwając dla innego mężczyzny tę całkowitą i bezbrzeżną miłość, której tak wielką przewagę nad niemodnym i handlowo nieopłacalnym doborem naturalnym potwierdziły obiektywne placówki naukowe i że na tej samej ciemnej plaży, wspomnianej w broszurze reklamowej...

Rzucił się Tate'owi do gardła. Dwaj pracownicy, którzy chwile wcześniej weszli do biura, złapali go i odprowadzili do drzwi.

- Niech pan pamięta, że to w żadnym stopniu nie umniejsza pańskich przeżyć - zawołał za nim pan Tate. Ku swojej męce Simon wiedział, że Tate mówi prawdę.

Znalazł się na ulicy.

Początkowo chciał uciekać z Ziemi, gdzie nie-praktyczne towary przekraczały możliwości normalnego człowieka. Szedł bardzo szybko, a obok jego Penny, z twarzą opromienioną miłością do niego, do niego, do ciebie, do ciebie.

I oczywiście trafił do strzelnicy.

- Spróbuj pan szczęścia? - zapytał właściciel.

- Ustaw no mi je - odparł Alfred Simon.

przekład : Zofia Uhrynowska-Hanasz

Pijawka

Frank Connors wyszedł na werandę i dwa razy cicho kaszlnął.

- Proszę wybaczyć, profesorze - powiedział. Długonogi mężczyzna, leżący na składanym łóżku, nawet nie poruszył się i chrapał dalej.

- Nie chciałbym pana niepokoić. - Connors ze wzruszenia przesunął wyświechtaną czapkę na tył głowy. - Ja wiem, że jest to tydzień pana odpoczynku, ale tam w rowie leży jakieś świństwo...

Jedna brew śpiącego z lekka się uniosła.

Frank Connors jeszcze raz kaszlnął. Na jego ręce ściskającej uchwyt łopaty wystąpiły starcze żyły.

- Słyszysz pan, profesorze?

- Oczywiście, wszystko słyszę - wymamrotał Mikehill nie otwierając oczu. - Znalazłeś elfa?

- Co? - zapytał Connors, z wysiłkiem marszcząc czoło.

- Maleńki ludzik w czerwonym serdaczku. Daj mu mleka, Connors.

- Nie, proszę pana. To jakiś kamień. Profesor otworzył jedno oko.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pana niepokoić - usprawiedliwił się Connors.

- No więc?

- Nie odważyłbym się niepokoić pana głupstwami, ale ten diabelski kamień stopił mi łopatę...

Profesor od razu otworzył oczy. Connors pokazał mu łopatę. Jej metalowa część była równiutko przecięta. Mikehill rażno opuścił nogi z łóżka i wsunął je w przydeptane mokasyny.

- Idziemy - powiedział wstając. - Zobaczymy, co to za cudo.

"Cudo" leżało w przydrożnym rowie oddzielającym łączkę koło domu od autostrady biegnącej do Nowego Jorku. Zwykły kamień grubości trzech cali. Na ciemnoszarej powierzchni miał mnóstwo splątanych, drobnych żyłek.

- Proszę nie dotykać - uprzedził Connors.

- Nie mam zamiaru. Daj mi łopatę. - Mikehill wziął łopatę i dotknął nią zagadkowego przedmiotu. Był rzeczywiście twardy jak kamień. Przez pewien czas profesor trzymał łopatę przytkniętą do jego powierzchni, ale kiedy odjął ją, jeszcze jeden cal metalu zniknął.

Mikehill nachmurzył się, poprawił okulary. Potem znowu jedną ręką przytknął łopatę do "kamienia", a drugą ręką przybliżył do metalowej powierzchni. Ostrze topiło się na jego oczach.

- Jakby nie grzało - powiedział zwracając się do Connorsa. - A jak było za pierwszym razem? Nie zauważyłeś, czy szło od kamienia ciepło?

Connors przecząco pokręcił głową.

Mikehill wziął garść błota i rzucił je na kamień. Grudka natychmiast stopiła się nie zostawiając nawet śladu na ciemnoszarej powierzchni. W ślad za grudką poszedł duży kamień, który również zniknął w ten sam sposób.

- Widział pan coś podobnego, profesorze? - zapytał Connors.

- Nie. - Mikehill wyprostował się. - Nie widziałem. Jeszcze raz wziął łopatę i z całej siły uderzył nią w kamień... I omal jej nie upuścił. Oczekując odbicia, zbyt mocno ścisnął rękojeść. Ale odbicia

nie było. Łopata uderzyła i stanęła jak przyklejona. Kiedy podniósł ją, stwierdził, że na ciemnoszarej powierzchni nie został żaden ślad od uderzenia.

- To jednak nie kamień - powiedział Mikehill odstępując. - Pijawki wysysają krew, a ta sztuka, jak mi się wydaje, ssie błoto i łopaty. Spróbuję zadzwonić do college'u. Poproszę, aby przyjechał któryś z fizyków lub biologów - dodał. - Dobrze byłoby zabrać stąd to świństwo, dopóki nie zniszczy mi klombu.

Ruszył w kierunku domu.

Wszystko dokoła było dla niej pożywieniem. Wiatr oddawał jej swoją energię. Nadszedł deszcz i uderzenie każdej kropli dodawało jej sił. Pochłaniała wodę całą swą powierzchnią. Słoneczne promienie, piach, błoto, kamienie - wszystko przyswajała swymi komórkami.

I rosła.

Na drugi dzień pijawka liczyła już osiem stóp długości. Jednym końcem sięgała szosy, drugim klombu. W ciągu następnego dnia jej średnica wzrosła do osiemnastu stóp. Pokrywała teraz całą drogę.

Mikehill chodził dokoła pijawki i zadawał sobie ciągle pytanie: Jaka r z e c z może zachowywać się w ten sposób? Odpowiedź była prosta - żadna ze znanych mu rzeczy.

W dali dał się słyszeć szum kolumny samochodów wojskowych. Przewodnik jadący w jeepie na przedzie podniósł rękę i cała kolumna się zatrzymała. Z jeepa wysiadł oficer. Po liczbie gwiazdek na ramionach Mikehill poznał, że ma przed sobą generała.

- Zabierzcie to i oczyśćcie przejazd - powiedział generał do żołnierzy.

Był wysoki i szczupły. W ogorzałej twarzy chłodno błyszczały oczy.

- Nie możemy tego usunąć. - Mikehill opowiedział o wydarzeniach z poprzednich dni.

- Ale to koniecznie trzeba usunąć - generał podszedł bliżej i z uwagą przyglądał się pijawce.

- Mówi pan, że łomem nie da się jej zepchnąć? I ogień też się jej nie ima?

- Fakt. - Mikehill uśmiechnął się lekko.

- Szofer! - rzucił generał przez ramię - proszę przejechać po tym.

Mikehill chciał się wmieszać, ale dał spokój, generalskie mózgi to delikatna sprawa.

Jeep wyrwał do przodu podskakując na dziesięciocentymetrowej krawędzi pijawki. W środku samochód zatrzymał się nagle.

- Nie rozkazałem hamować! - huknął generał. - Nie hamowałem - zaprotestował szofer. Jeep jeszcze drgnął w miejscu i stanął na dobre.

- Przepraszam - powiedział Mikehill - ale topią się opony.

Generał spojrział i jego ręka automatycznie sięgnęła po pistolet. Potem ryknął:

- Uciekaj! Wyskakuj! Nie dotykaj tego świństwa! Twarz szofera zbieleła. Szybko wspiął się na samochód i szczęśliwie zeskoczył na ziemię.

W zupełnej ciszy wszyscy patrzyli na jeepa. Najpierw stopiły się opony, potem błotniki, karoseria...

Na końcu powoli zniknęła antena. Generał cicho zaklął i rozkazał szoferowi:

- Idź do kolumny i wracaj z granatami i dynamitem.

T eraz jakby się zbudziła. Całe ciało domagało się pożywienia, coraz więcej i więcej. Rosła.

Każdy przedmiot, który pojawiał się na jej powierzchni, stawał się jej zdobyczą.

Wybuch energii przy samej powierzchni, potem drugi i jeszcze jeden, i jeszcze... Chciwie, z wdzięcznością pochłonęła te nowe siły i przemieniła je w masę. Małeńkie metalowe odłamki uderzyły powierzchnię, a ona wessała ich energię kinetyczną zmieniając ją w masę. Jeszcze kilka wybuchów... Jej komórki krzyczały z głodu. Z niepokojem i nadzieją czekała na dalsze wybuchy. Potem znów wzięła się za ziemię i światło słoneczne. Jadła, rosła i rozpełzała się we wszystkie strony.

Z wierzchołka niewysokiego wzgórza Mikehill przyglądał się, jak runął jego własny dom.

Pijawka, o średnicy już kilkuset metrów, pochłaniała właśnie dach.

"Żegnaj, mój domku" - pomyślał wspominając dziesięć letnich sezonów tu spędzonych.

Teraz pijawka przypominała ogromne pole zastygłej lawy. Szare, mroczne piętno na zielonej trawie.

- Przepraszam pana - z tyłu, tuż za nim, stał żołnierz - generał O'Donnell chce pana widzieć.

- Proszę bardzo. - Mikehill rzucił ostatnie spojrzenie w stronę domu i poszedł za żołnierzem przejściem wytyczonym dokoła pijawki. Na całej jego długości stali żołnierze, nie dopuszczając reporterów i ciekawskich.

W namiocie przy małym stoliku siedział generał O'Donnell. Gestem poprosił Mikehilla, by usiadł.

- Polecono mi uwolnić nas od tej pijawki - powiedział. Mikehill w milczeniu skinął głową. Kiedy sprawy naukowe powierza się wojsku, komentarze stają się zbyteczne.

- Jest pan profesorem, czy tak? - Antropologii.

- Wspaniale. Chciałbym, aby pan tu został w charakterze konsultanta. Bardzo sobie cenię pana spostrzeżenia dotyczące... - uśmiechnął się - wroga.

- Chętnie zostanę - powiedział profesor Mikehill - ale wam bardziej potrzebny jest fizyk lub biochemik. - Nie mam zamiaru urządzać tu wojny między naukowcami - generał O'Donnell nachmurzył się patrząc na koniec papierosa. - Proszę mnie źle nie zrozumieć. Z dużym szacunkiem odnoszę się do nauki. Sam jestem, jeśli można się tak wyrazić, uczonym żołnierzem. Obecnie nie można wygrać wojny bez nauki. Ale nie chcę, aby tłum długowłosych kręcił się tu miesiącami i powstrzymywał nas od działania. Moim obowiązkiem jest zniszczyć ją. Jakimkolwiek sposobem i jak najszybciej.

- Myślę, że to nie będzie takie proste - rzekł Mikehill. - Właśnie dlatego potrzebuję pana. Niech mi pan wyjaśni, dlaczego to nie jest proste, a już ja wymyślę, jak się z nią uporać.

- O ile wiem, pijawka jest ograniczoną przetwornicą energii w masę. To przeobrażenie jest nadzwyczaj efektywne. Daje się zauważyć dwa cykle działania. Najpierw masa przekształca się w energię, a potem energia w masę własnego już ciała. Ale ta przetwornica potrafi też od razu przekształcać energię w masę ciała. Natomiast jak to się dzieje, nie mam pojęcia.

- Krótko mówiąc, musimy użyć przeciw niej czegoś mocnego - przerwał O'Donnell. - Świetnie. Już my coś znajdziemy.

- Myślę, że źle mnie pan zrozumiał - powiedział profesor. - Pijawka odżywia się również energią. Przyswaja sobie i wykorzystuje siłę każdej broni.

- A co się stanie - spytał O'Donnell - jeśli ona ciągle będzie jeść?

- Nie wiem, do jakich rozmiarów może się rozrosnąć odrzekł Mikehill. - Jej wzrost prawdopodobnie może być ograniczony tylko przez niedostatek pożywienia.

- Chce pan powiedzieć, że ona może tak rosnać w nieskończoność.

- Tak, może rozrastać się dotąd, dopóki będzie miała czym się odżywiać.

- No cóż, to prawdziwy pojedynek - powiedział O'Donnell. - A nie można rozprawić się z nią siłą?

- Okazuje się, że nie. Najlepiej będzie zaprosić tu fizyków i biologów. Oni z pewnością znajdą jakąś radę. Generał wyjął z ust papierosa:

- Profesorze, ja nie mogę tracić czasu na spory uczonych. Postępuję według własnej maksymy.

Mogę ją panu wyłożyć - zrobił wieloznaczną pauzę. - Nic nie może oprzeć się sile! Użyjmy dostatecznej siły, a w s z y s t k o przed nią ustąpi! Wszystko! Myśli pan, że pijawka oprze się bombie atomowej?

- Niewykluczone, że można ją zniszczyć energią - ze zwątpieniem w głosie rzekł Mikehill. W tej chwili zrozumiał, dlaczego jego osoba odpowiadała, generałowi.

Po długiej przerwie znów miała mnóstwo pożywienia. Wibracja, wybuch, jakaż cudowna

rozmaitość! Wszystko pochłaniała. Ale strawa przychodziła zbyt wolno. Głodne, dopiero narodzone komórki żądały jeszcze i jeszcze... Szybciej! - domagało się wiecznie głodne ciało. Teraz, kiedy urosła, jej zmysły się wyostrzyły. Wyczuła, że niedaleko stąd, w jednym miejscu zgromadzono ogromne ilości pożywienia. Pijawka lekko wzniosła się do góry, przeleciała kawałek drogi i runęła na łakomy kąsek.

- Idioci! - generał O'Donnell był wściekły. - Po diabła ulegli panice?

Drżącymi krokami przemierzał ziemię obok nowego namiotu, oddalonego o trzy mile od miejsca, na którym stał stary.

Pijawka urosła do dwóch mil średnicy. Trzeba było ewakuować trzy farmy.

Profesor Mikehill mimo wszystko nie mógł uwolnić się od koszmarnego obrazu. Ta kreatura przyjęła zmasowane uderzenie wszelkiego rodzaju broni, a potem jej ciało nieoczekiwanie uniosło się w powietrze. Na chwilę przesłoniło słońce, zawisło nad North Hill, a potem runęło w dół.

Żołnierze w North Hill mogli się uratować, ale przecież nie ruszyli się nawet z miejsca. Utraciwszy w operacji "Pijawka" siedemdziesięciu żołnierzy, generał O'Donnell poprosił o pozwolenie użycia bomby atomowej. Z Waszyngtonu przyjechała grupa uczonych, aby zorientować się w sytuacji.

- Ci eksperci ciągle jeszcze nie podjęli decyzji? O'Donnell rozdrażniony zatrzymał się przed namiotem. - Trochę za długo się naradzają.

- Trudno jest podjąć decyzję - powiedział Mikehill. - Fizycy uważają, że jest to żywe ciało, a biologowie znowu są zdania, że na wszystkie pytania powinni odpowiedzieć chemicy. Nikt nie jest specjalistą w tej materii.

- To jest problem wojskowy - zduszonym głosem rzekł generał. - Mnie nie interesuje, co to jest.

Ja chcę wiedzieć, jak to można zniszczyć. Najlepiej, aby pozwolili użyć bomby atomowej.

Profesor Mikehill robił jakieś obliczenia. Obliczając szybkość, z jaką pijawka pochłaniała energię - masę, jej rozmiary i możliwości rozrastania się, doszedł do wniosku, że bomba atomowa mogłaby

ją pokonać. Ale musiałyby to nastąpić jak najszybciej.

Pijawka rozrastała się w postępie geometrycznym. W ciągu paru miesięcy byłaby w stanie pokryć powierzchnię Stanów Zjednoczonych.

- Przez cały tydzień starałem się o pozwolenie - huczał O'Donell. - I dostanę je, ale muszę czekać, aż te osły dogadają się między sobą. - Zatrzymał się i zwrócił do Mikehilla. - Zniszczę tę pijawkę.

Rozniosę ją w drobny mak. Tu już nie tylko chodzi o bezpieczeństwo. To dotyczy mnie osobiście.

Z namiotu wyszła grupa zmęczonych ludzi. Na przedzie szedł biolog Alenson.

- Więc - powiedział generał - wyjaśniliście, co to takiego?

- Jeszcze moment - ze złością odpowiedział Alenson. - No, a wymyśliliście jakąś naukową metodę zniszczenia jej?

- Oto nietrudno - sucho stwierdził Moriarty. I praktycznie pokrywa się ona z pańską. Pijawka najprawdopodobniej jest pochodzenia kosmicznego. W każdym razie możemy się cieszyć, że nie wpadła do oceanu. Ziemia pod nami zostałaby pożarta wcześniej, niż połapałibyśmy się, w czym rzecz...

Wnioski komisji złożonej z kilku uczonych zostały przedłożone komisji złożonej z innych uczonych. Trwało to kilka dni. Następnie Waszyngton chciał się upewnić, czy nie ma innego wyjścia. I czy konieczne jest użycie bomb atomowych w centrum Nowego Jorku. Potem trzeba było ewakuować ludzi. Na to też stracono sporo czasu.

W końcu tęponosa rakieta ukazała się nad miastem. Ciemnoszara narośl przypominająca jątrzącą się ranę pokryła już dolinę i końcami sięgnęła wierzchołków najbliższych gór.

Pierwsza bomba poleciała w dół.

Oszłamiający wybuch!

Wszystko dokoła napełniło się pożywieniem, ale pojawiło się niebezpieczeństwo przesytu.

Energia płynęła nieprzerwanym potokiem, przenikając na wskroś pijawkę, która niesamowicie

rosła.

Następne porcje były nadzwyczaj smakowite i z nimi dała sobie radę.

Pijawka rosła, jadła i znowu rosła.

Nowy obóz rozbito o dziesięć mil od południowego krańca pijawki, w opustoszałym miasteczku.

Obecnie jej średnica wynosiła sześćdziesiąt mil. Ciągle rosła.

Dwustumilowa strefa wokół pijawki została ewakuowana. Generałowi O'Donnellowi pozwolono użyć bomby wodorowej. Za zgodą uczonych.

- Dlaczego tak zwlekają - kipiał generał. - Pijawkę trzeba natychmiast roznieść na kawałki. Nad czym oni radzą?

- Obawiają się reakcji łańcuchowej - odpowiedział Mikehill - którą może wywołać na Ziemi lub w atmosferze taka koncentracja bomb jądrowych. Mogą nastąpić i inne niebezpieczne zjawiska.

- To może mam ją zaatakować bagnietami? - pogardliwie powiedział O'Donnell.

Mikehill westchnął w milczeniu i usiadł w fotelu. Był przekonany, że każde przedsięwzięcie już w założeniu jest bezsensowne.

Eksperci poprzestali na jednym kierunku działania. Sytuacja stała się tak groźna, że nie usiłowano szukać innych dróg wyjścia prócz próby siły. A pijawce właśnie tego było potrzeba.

Do namiotu generała wszedł Alenson, a za nim jeszcze sześciu uczonych.

- Tak więc mamy znakomitą okazję rozłupać naszą planetę na dwie części - powiedział.

- Wojna to wojna - krótko przeciął O'Donnell. - Więc zaczynamy?

I nagle Mikehill zrozumiał, że O'Donnella wcale nie interesuje, co stanie się z Ziemią.

Interesowało go tylko to, że dokona tak niebywałego wybuchu, jakiego jeszcze nie dokonał żaden człowiek.

- Chwileczkę - powiedział Alenson. - Niech każdy wypowie swoje własne zdanie.

- Proszę pamiętać - syknął generał - że według waszych obliczeń, pijawce co godzinę przybywa

dwadzieścia stóp.

- I szybkość ta wzrasta z każdą godziną - dodał Alenson - ale decyzja, jaką musimy podjąć, jest zbyt poważna.

W tym momencie Mikehill pomyślał o gromach i błyskawicach Zeusa. Przydałoby się coś takiego. Albo... siła Herkulesa. Albo... Nieoczekiwana myśl przyszła mu do głowy.

- Panowie, wydaje mi się, że znalazłem inne wyjście. Słyszeliście kiedykolwiek o Anteuszu?

Im więcej jadła, tym szybciej rosła i była coraz bardziej głodna. Wiele rzeczy ożyło w jej pamięci. Kiedyś zjadła planetę. Potem skierowała się ku najbliższej gwiazdzie i pożarła ją, nasyciwszy komórki energią potrzebną do dalszej drogi. Ale w pobliżu nie było więcej pożywienia, a następna gwiazda błyszczała nieskończenie daleko.

Masa przekształciła się w energię lotu i została rozproszona na dalekiej drodze.

Stała się martwym niewielkim pyłkiem lecącym bez celu wśród gwiazd.

Tak było. Teraz wydawało się jej, że przypomina też sobie o wiele wcześniejsze własne dzieje.

Czasy, kiedy zjadała całe gwiazdne korytarze, rozrastała się, pęczniała. A gwiazdy umykały w popłochu i zbijały się w galaktyki i konstelacje.

Czyżby to jej się przyśniło?

Stopniowo pożerała Ziemię, zdumiewając się znikaniem tej wspaniałej stawy. I oto znowu pojawiło się pożywienie tuż obok, ale tym razem nad nią.

Czekała, ale było nieosiągalne. Wyraźnie czuła, jakie jest czyste i sycące.

Dlaczego nie spada?

Wreszcie pijawka uniosła się całą swą masą i sama pomknęła w jego kierunku.

Pożywienie oddalało się od powierzchni Ziemi. Koszmarnie drażniący, słodki kąsek ulatywał w kosmos, a ona w ślad za nim...

O'Donnell roznosił uczonym szampana. Oficjalny obiad miał odbyć się później, ale już należało

jakoś uczcić zwycięstwo.

- Proponuję wypić - uroczyście powiedział generał. Wszyscy podnieśli kieliszki. Nie uczynił tego tylko porucznik obsługujący pulpit kierujący lotem rakiety. - Za profesora Mikehilla, za jego pomysł... jak go on nazwał?

- Anteusz. - Mikehill z wolna popijał szampana i mimo wszystko nie był zachwycony. - Anteusz, zrodzony z Gei, bogini Ziemi, i Posejdona, boga morza. Niepokonany bohater. Za każdym razem, kiedy Herkules rzucał go o Ziemię, on znów podnosił się, pełen nowych sił, których nabierał przez kontakt z nią. Dopóki Herkules nie oderwał go od matki i nie uniósł w powietrze.

Moriarty zamruczał coś pod nosem.

Szybko przesuwiał suwak logarytmiczny i coś zapisywał. Alenson pił w milczeniu i też wyglądał niewesoło.

- Dlaczego jesteście tacy naburmuszeni? - O'Donnell ciągle nalewał. - Potem porachujecie. Teraz wypijmy zwrócił się do operatora. - Jak tam wyglądają sprawy?

Myśli Mikehilla krążyły wokół rakiety. Pojazd zdalnie kierowany był cały wyładowany materiałem radioaktywnym. Wisiał nad pijawką, dopóki nie poleciała w ślad za nim, łapiąc się na przynętę. Anteusz oderwał się od matki Ziemi i zaczął tracić swą siłę. Operator tak prowadził kosmiczny pojazd, aby przez cały czas znajdował się w pobliżu pijawki, ale by ona nie mogła go dosięgnąć.

Pojazd i pijawka leciały ku Słońcu.

- Świetnie, sir - zaraportował porucznik - znajdują się teraz wewnątrz orbity Merkurego.

- Panowie - powiedział generał - przysięgam sobie zniszczyć tę sztukę. Innym, prostszym sposobem, ale to nieważne. Najważniejsze zniszczyć. Zagłada to niekiedy święta rzecz. Tak jak w tym wypadku, panowie. I jestem szczęśliwy.

- Zawróćcie statek! - krzyknął nagle Moriarty. Był blady jak śnieg. - Zawróćcie tę przeklętą

rakietę! Potrząsnął im przed oczami plikiem pokrytych cyframi kartek. Łatwo było zrozumieć te cyfry. Oznaczały szybkość wzrostu pijawki, szybkość zużywania przez nią energii idącej od Słońca w miarę zbliżania się do niego.

- Ona zeżre Słońce - cicho powiedział Moriarty. Pokój zamienił się w piekło. Wszyscy starali się wytłumaczyć O'Donnellowi, w czym rzecz. Potem sam Moriarty. W końcu Alenson.

- Ona rozrasta się tak szybko, a leci z taką małą prędkością i pochłania tyle energii, że kiedy dotrze do Słońca, jej rozmiary będą na tyle wielkie, że rozprawi się z nim. O'Donnell zwrócił się do operatora i rozkazał:

- Zawrócić ich!

Wszyscy w największej ciszy zastygli przed ekranem radaru.

Pożywienie nagle zboczyło z jej drogi i umknęło w bok. Przed nią znajdowało się ogromne źródło stawy, ale jeszcze było nieosiągalne. Inne pożywienie natomiast było tuż przy niej, niesamowicie blisko. A więc bliższe czy dalsze?

Całe ciało domagało się jedzenia: teraz, natychmiast... Ruszyła ku bliższej porcji, oddalając się wraz z nią od Słońca. Na tamto jeszcze przyjdzie czas.

Odetchnęli z ulgą. Niebezpieczeństwo było tak blisko! - W jakiej części nieba znajdują się teraz?

- spytał generał.

- Myślę, że mogę pokazać - rzekł astronom. - Gdzieś w tym miejscu - wskazał ręką, podchodząc do otwartych drzwi.

- Wspaniale, poruczniku! - O'Donnell zwrócił się do operatora. - Do dzieła!

Uczeni osłupieli. Operator pomanewrował nad pulpitem i kropka zaczęła doganiać punkcik.

- Stój pan! - ryknął generał. Jego rozkazujący głos zatrzymał Mikehilla, który ruszył w stronę pulpitu. Wiem, co robię, został zbudowany specjalnie w tym celu. Kropka na ekranie dogoniła punkcik.

- Przysięgam sobie zniszczyć tę pijawkę - powiedział O'Donnell. - Nigdy nie będziemy

bezpieczni, dopóki ona żyje - uśmiechnął się chytrze. - Może popatrzymy w niebo?

Generał skierował się do drzwi. W milczeniu poszli za nim.

- Nacisnąć guzik, poruczniku!

Operator wypełnił rozkaz. Wszyscy czekali w milczeniu. Na niebie zawisła świecąca gwiazda. Jej nagły blask rozświetlił mrok, potem zaczęła powoli gasnąć.

- Co pan zrobił? - wykrztusił Mikehill.

- W rakiecie były bomby wodorowe - uroczystym głosem wyjaśnił O'Donnell. - No jak, jest tam coś jeszcze na ekranie, poruczniku?

- Ani pyłku, sir.

- Panowie - powiedział generał - spotkałem wroga i zwyciężyłem go. Napijmy się szampana, panowie. Mamy powód!

Mikehill poczuł nagle atak duszności.

Pijawką wstrząsnął straszny strumień energii. Nie mogła tyle wchłonąć. Przez ułamek sekundy jej komórki drgały, potem przesyciły się i rozsypały po całym niebie.

Była zniszczona, starta na proch, rozdrobniona na miliony cząstek, które rozpadały się z kolei na miliony innych.

Miliardy zarodników rozleciały się na wszystkie strony. I wszystkie żądały pożywienia...

przekład : Jolanta Grytner - Łukasiewicz

Potwory

Kordowir i Hum stali na skalistym szczycie góry i obserwowali z dużą przyjemnością nowe zjawisko. Było to niewątpliwie najnowsze zjawisko jakie zdarzyło się od pewnego czasu.

- Sądząc z tego, jak błyszczy w słońcu, powiedziałbym, że to jest z metalu - zauważył Hum.

- Zgadzam się, ale jak się to trzyma w powietrzu? - zapytał Kordowir.

Nie odrywali wzroku od doliny, w której działa się ta nowa rzecz: Spiczasty obiekt unosił się nad ziemią. Z jego dolnego końca wypływała substancja przypominająca ogień.

- Balansuje na kolumnie ognia - powiedział Hum. To chyba oczywiste, nawet dla twoich starych oczu.

Kordowir uniósł się wyżej na grubym ogonie, żeby uzyskać lepszy widok. Obiekt opadł na ziemię i ogień zgasł! - Zejdziemy, żeby się temu przyjrzeć z bliska? - spytał Hum.

- Dobrze. Myślę, że mamy dość czasu... Zaczekaj! Jaki to dziś dzień?

Hum policzył w milczeniu.

- Piąty dzień Luggatu - odpowiedział.

- Przekleństwo! - jęknął Kordowir. - Muszę iść do domu i zabić żonę.

- Do zachodu jest jeszcze kilka godzin - uspokoił go Hum. - Zdążysz zrobić i jedno, i drugie.

Kordowir nie był taki pewien.

- Nie chciałbym się spóźnić - powiedział.

- Wiesz, jaki jestem szybki. Jak się zrobi późno, pobiegnę przodem i ja ci ją zabiję - zaoferował się Hum. Co ty na to?

- Jesteś bardzo miły. - Kordowir podziękował młodszemu koledze i razem zaczęli ześlizgiwać się ze stromego zbocza.

Na dole obaj mężczyźni zatrzymali się przed metalową rzeczą i podnieśli się na ogonach.

- To jest większe niż myślałem - odezwał się Kordowir mierząc wzrokiem metalowy przedmiot.

Ocenił, że jest nieco dłuższy niż ich wioska i szeroki na pół wioski. Przeczolągali się dokoła rzeczy stwierdzając, że metal był obrobiony, prawdopodobnie ludzkimi mackami.

W oddali zaszło małe słońce.

- Myślę, że powinniśmy wracać - powiedział Kordowir zauważywszy brak światła.

- Ja mam jeszcze dużo czasu - Hum z dumą napiął mięśnie.

- Tak, ale mężczyzna lubi zabić swoją żonę sam.

- Jak chcesz.

Szybkim tempem ruszyli do wsi.

W domu żona Kordowira kończyła kolację. Zgodnie z wymaganiami etykiety była zwrócona tyłem do wejścia. Kordowir zabił ją jednym potężnym uderzeniem ogona, wywłókł ciało na zewnątrz i zasiadł do posiłku.

Po jedzeniu i medytacji poszedł na Zgromadzenie. Hum z niecierpliwością, młodego wieku już tam był, opowiadając o metalowym przedmiocie. Pewnie zrezygnował z kolacji, pomyślał Kordowir lekko zbrzydzone.

Kiedy młody człowiek powiedział swoje, Kordowir wyłożył własne obserwacje. Jediną rzeczą, jaką dodał do relacji Huma, była myśl, że metalowy przedmiot może zawierać istoty rozumne.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Miszil, inny członek starszyny.

- Z powodu ognia, który wychodził z przedmiotu, kiedy opadał, a przestał wychodzić, kiedy przedmiot stanął na ziemi. Domyślam się, że wyłączyła go jakaś istota.

- Niekoniecznie - przeciwstawił mu się Miszil. Dyskusja przeciągnęła się do późna w nocy.

Potem zebrani się rozeszli, zakopali zamordowane żony i poszli spać.

Leżąc w ciemności Kordowir stwierdził, że nie wie jeszcze, co sądzić o tej nowej rzeczy.

Powiedzmy, że zawiera ona istoty inteligentne, ale czy moralne? Czy mają zdolność rozróżniania dobra i zła? Kordowir wątpił w to i z tą myślą zasnął.

Następnego ranka wszyscy mężczyźni z wioski udali się do metalowego przedmiotu. Było to jak najbardziej właściwe, ponieważ zadaniem mężczyzny jest badanie rzeczy nowych i ograniczanie liczebności kobiet. Utworzyli krąg wokół przedmiotu i dyskutowali nad tym, co może być w środku.

- Jestem pewien, że to będą ludzie - odezwał się Esktel, starszy brat Huma. Kordowir potrząsnął

całym ciałem na znak niezgody.

- Raczej jakieś potwory - powiedział. - Jeżeli wziąć pod uwagę...

- Niekoniecznie - przerwał mu Esktel. - Weź pod uwagę logikę budowy naszego ciała. Jedno centralne oko...

- Ale w wielkiej przestrzeni zewnętrznej może istnieć wiele obcych ras, w większości różniących się od ludzi. W nieskończoności...

- Jednak logika naszej...

- Jak powiedziałem - ciągnął Kordowir - jest nieskończenie mała szansa, że będą podobni do nas.

Weźmy, na przykład, ich pojazd. Czy my zbudowalibyśmy...

- Jednak stojąc na gruncie logiki - mówił Esktel - łatwo się przekonać...

Przerwał Kordowirowi po raz trzeci. Ten jednym ruchem ogona rzucił Esktela o metalowy przedmiot. Esktel upadł na ziemię martwy.

- Rzeczywiście mój brat często zachowywał się jak cham - zauważył Hum. - Na czym stanąłeś?

Ale Kordowirowi znów przerwano. Kawał metalu osadzony w większym kawale metalu zaskrzypiał i przesunął się, a na jego miejscu stało stworzenie.

Kordowir natychmiast upewnił się, że miał rację. To, co wypełzło z otworu, miało dwa ogony.

Było pokryte częściowo skórą, częściowo metalem. A jego kolor! Kordowir aż się otrząsnął.

To coś miało kolor wilgotnego, obdartego ze skóry ciała.

Mieszkańcy wioski cofnęli się, czekając na to, co przybysz zrobi. Początkowo nie robił nic. Stał na metalowej powierzchni i baniaste zwieńczenie jego ciała obracało się w lewo i w prawo. Nie towarzyszyły temu jednak żadne ruchy ciała, które mogłyby nadać temu gestowi jakiś sens.

Wreszcie istota podniosła obie macki i wydała jakieś dźwięki.

- Czy myślisz, że to próbuje się porozumieć? - spytał Miszil cicho.

W dziurze pojawiły się trzy dalsze istoty z metalowymi kijami w mackach. Wydawały do siebie

dźwięki.

- Stanowczo nie są humanoidalne - stwierdził Kordowir. - Następne pytanie to, czy są istotami moralnymi. Jedna z istot spuściła się po metalowej powierzchni i stanęła na ziemi. Pozostałe skierowały swoje metalowe kije w dół: Wyglądało to na jakąś ceremonię religijną.

- Czy istota tak odrażająca może mieć poczucie moralności? - spytał Kordowir, a jego skórą wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Z bliska stworzenia były tak paskudne, że przekraczało to ludzkie wyobrażenie: Te banie na szczycie ich ciał mogą pełnić rolę głów, uznał Kordowir, choć nie przypominało to żadnej głowy, jaką widział. Przez środek przedniej części głowy, zamiast gładkiej, pełnej charakteru powierzchni, przebiegało podłużne wzniesienie. Po jego obu stronach były okrągłe otwory, a dalej za nimi dwie narośle. W dolnej zaś połowie głowy, jeżeli to była głowa, biegło czerwone poprzeczne rozcięcie. Kordowir przypuszczał, że natężywszy wyobraźnię można to uznać za usta.

Ale to jeszcze nie wszystko. Istoty miały taką budowę, zauważył Kordowir, że ujawniała się struktura kostna. Kiedy poruszały mackami, nie był to wdzięczny, płynny gest istoty ludzkiej, lecz raczej jakieś kanciaste pozy konarów drzew.

- Wielki Boże - jęknął Gilrik, mężczyzna w wieku pośrednim. - Należałoby ich pozabijać, żeby skrócić ich męki.

Pozostali mężczyźni dzielali chyba jego uczucia, bo wszyscy posunęli się do przodu.

- Zaczekajcie! - krzyknął jeden z młodzików. - Spróbujmy się z nimi porozumieć, jeżeli to możliwe! Może jednak są istotami moralnymi. Przestrzeń zewnętrzna jest ogromna i wszystko jest w niej możliwe.

Kordowir opowiedział się za natychmiastową likwidacją, ale i tak mieszkańcy wioski zatrzymali się, żeby sprawę przedyskutować. Tymczasem Hum z właściwą mu brawurą podczołgał się do istoty stojącej na ziemi.

- Cześć - powiedział Hum. Istota coś odpowiedziała.

- Nie rozumiem - stwierdził Hum i zaczął się czołgać z powrotem, ale istota zamachała swoimi sztywnymi mackami, jeżeli to były macki, i wskazała na jedno ze słońc wydając dźwięki.

- Ciepło, prawda? - potwierdził Hum wesoło.

Potem istota znów wydając dźwięki wskazała na ziemię.

- Zbiory mieliśmy w tym roku nie najlepsze - rzucił Hum niezobowiązująco.

Potem istota wskazała na siebie i zabalgotała. w

- Zgadzam się - powiedział Hum. - Jesteś brzydki jak grzech.

Potem ludzie poczuli głód i odczołgali się do wioski.

Tylko Hum został słuchając dźwięków, jakie do niego wydawały istoty. Kordowir czekał na niego z niepokojem.

- Wiesz co? - powiedział Hum po powrocie. - Myślę, że oni chcą się nauczyć naszego języka.

Albo chcą mnie nauczyć swojego.

- Nie rób tego! - zawołał Kordowir dostrzegając mglisty zarys wielkiego zła.

- Myślę; że jednak to zrobię - mruknął Hum. Razem wspieśli się po zboczu do wsi.

Tego popołudnia Kordowir udał się do zagrody z nadliczbowymi kobietami i formalnie spytał młodej kobiety, czy zechce być panią jego domu przez dwadzieścia pięć dni. Oczywiście zgodziła się z wdzięcznością.

W drodze powrotnej Kordowir spotkał Huma, również wybierającego się do zagrody.

- Właśnie zabiłem żonę - wyjaśnił Hum, niepotrzebnie, bo w przeciwnym razie po co szedłby do magazynu zapasowych kobiet?

- Czy wybierasz się jutro oglądać te istoty? - spytał Kordowir.

- Chyba tak - odpowiedział Hum. - Jeżeli nie wydarzy się nic nowszego.

- Musimy się dowiedzieć, czy to są istoty moralne czy potwory.

- Słusznie! - zgodził się Hum i poczołgał się swoją drogą.

Wieczorem, po kolacji odbywało się Zgromadzenie. Wszyscy mieszkańcy wsi byli zgodni, że przybysze nie są humanoidami. Kordowir ostro bronił tezy, że sam ich wygląd wyklucza wszelką myśl o człowieczeństwie. Coś tak obrzydliwego nie może mieć żadnych zasad moralnych, poczucia dobra i zła, a przede wszystkim, pojęcia prawdy.

Młodzi ludzie nie zgadzali się z nim, może dlatego, że od dawna nie wydarzyło się nic nowego:

Wskazywali, że metalowy przedmiot był niewątpliwie dziełem inteligencji. Inteligencja automatycznie zakłada zdolność dostrzegania różnic, także między dobrem a złem.

Rozwinęła się smakowita dyskusja. Olgolel przeciwstawił się Arastowi i został przez niego zabity. Mawrt w przystępie gniewu nietypowym dla tak łagodnego zwykle młodzieńca zabił trzech braci Holianów i sam z kolei został zabity przez Hurtia, który też się zaperzył. Słysząc było, że nawet nadliczbowe kobiety kłóca się w swojej zagrodzie na końcu wsi.

Zmęczeni i szczęśliwi, mieszkańcy wioski udali się na spoczynek.

Dyskusje nie wygasły przez następne kilka tygodni, choć poza tym życie toczyło się jak zwykle.

Kobiety wychodziły rankiem, zbierały żywność, przygotowywały ją do spożycia i składały jaja.

Jaja odnoszono nadliczbowym kobietom do wysiadywania. Jak zwykle wykluwało się około ośmiu kobiet na jednego mężczyznę. W dwudziestym piątym dniu małżeństwa, albo nieco wcześniej, mężczyzna zabijał żonę i brał następną.

Mężczyźni schodzili w dolinę do statku słuchać jak Hum uczy się języka przybyszów. Potem, kiedy to się stało nudne, wrócili do zwyczajowych wędrówek po górach i lasach w poszukiwaniu czegoś nowego.

Przybysze nie oddalali się od swego statku, wychodząc na zewnątrz tylko, kiedy przychodził

Hum.

Po dwudziestu czterech dniach od pojawienia się przybyszów Hum oświadczył, że potrafi się z nimi jako tako porozumiewać.

- Mówią, że przybyli z daleka - powiedział Hum tego wieczoru w wiosce. - Mówią, że są dwupłciowi, tak jak i my, i że są ludźmi, jak i my. Mówią, że są jakieś powody I ich odmiennego wyglądu, ale tej części nie rozumiałem.

- Jeżeli uznamy ich za ludzi - powiedział Miszil - to będzie znaczyć, że wszystko, co mówią, jest prawdą.

Pozostali mieszkańcy wsi zatrzęśli się na znak zgody.

- Mówią, że nie chcą naruszać naszego życia, ale bardzo chcieliby je poznać. Chcą przyjść do wioski i patrzeć na nas.

- Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy im nie pozwolić - odezwał się jeden z młodszych mężczyzn.

- Nie! - krzyknął Kordowir. - To jest igranie ze złem. Te potwory są zdradliwe. Może nawet są zdolne do mówienia... nieprawdy. - Wielu starszych potaknęło, ale przyparty do muru Kordowir nie przedstawił żadnego dowodu na poparcie swoich potwornych oskarżeń.

- Przecież - wskazał Sil - z faktu, że wyglądają jak potwory nie można wnioskować, że również myślą jak potwory.

- Można - upierał się Kordowir, ale został przegłosowany.

Hum ciągnął dalej.

- Zaoferowali mi, czy też nam, tego nie jestem pewien, różne metalowe przedmioty, które, jak twierdzili, mogą robić różne rzeczy. Nie zareagowałem na to naruszenie etykiety, gdyż uznałem, że winna jest ich ignorancja.

Kordowir skinął głową. Młodzieniec się rozwijał. Wreszcie zaczynał dawać dowody, że wie co to dobre maniery.

- Chcą przyjść do wsi jutro.

- Nie! - krzyknął Kordowir, ale znów go przegłosowano.

- Nawiasem mówiąc - powiedział Hum na zakończenie - jest wśród nich kilka kobiet. Te z bardzo czerwonymi ustami to kobiety. Ciekawe będzie popatrzeć, jak je zabijają. Jutro mija dwadzieścia pięć dni od ich przybycia.

Następnego dnia istoty przybyły do wioski, wspinając się powoli i z wysiłkiem po skałach.

Mieszkańcy mogli zaobserwować niezwykłą kruchość ich kończyn i przerażający brak zręczności.

- Za grosz wdzięku - mruczał Kordowir. - I wszyscy wyglądają jednakowo.

W wiosce istoty zachowywały się okropnie. Wpełzały i wypęły z chat. Kręciły się przy zagrodzie z nadliczbowymi kobietami. Ruszały i oglądały jaja. Przyglądały się mieszkańcom przez jakieś czarne błyszczące przedmioty.

Po południu Rantan, jeden ze starszych, uznał, że czas zabić żonę. Odsunął więc z drogi przybyszów, którzy akurat wpełzli do jego chaty i roztrzaskał swoją kobietę o ścianę.

Dwójka przybyszów natychmiast opuściła jego chatę coś do siebie z ożywieniem pokrzykując.

Jeden miał czerwone usta kobiety.

- Widocznie przypomniał sobie, że czas zabić swoją samicę - zauważył Hum. Mieszkańcy wioski czekali, ale nic się nie zdarzyło.

- A może - powiedział Rantan - chciałby, żeby ktoś to zrobił za niego? Może u nich jest taki zwyczaj.

Bez dłuższych deliberacji Rantan strzelił samicę przybysza ogonem.

Samiec przeraźliwie krzyknął i skierował metalowy kij na Rantana, który padł martwy.

- Dziwne - powiedział Miszil - czyżby to oznaczało niezadowolenie?

Ośmioro istot z metalowego przedmiotu utworzyło ciasny krąg. Jedna trzymała nieżywą samicę, reszta skierowała metalowe kije we wszystkie strony. Hum podszedł do nich i spytał co się stało.

- Nie rozumiem - powiedział Hum po rozmowie z nimi. - Używali słów, których mnie nie uczyli.

Ale domyślałam się, że mają o coś żal.

Potwory wycofywały się z wioski. Inny młody człowiek uznał, że nadszedł czas i zabił swoją żonę stojącą w drzwiach chaty. Grupa potworów zatrzymała się mamrocząc z ożywieniem. Po chwili przywołali Huma.

Po rozmowie z nimi ciało Huma wykonywało ruchy wprost niewiarygodne.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem - powiedział Hum - oni zabraniają nam zabijać nasze kobiety.

- Co? - krzyknęli mieszkańcy wioski.

- Spytam ich jeszcze raz.

Hum odbył jeszcze jedną naradę z obcymi, którzy wymachiwali trzymanymi w mackach kijami.

- To prawda - powiedział Hum i bez zbędnych wstępów machnął ogonem, przerzucając jednego z potworów na drugi koniec placu. Inne natychmiast zaczęły używać swoich kijów, jednocześnie wycofując się pospiesznie.

Po ich odejściu mieszkańcy wioski doliczyli się siedemnastu zabitych mężczyzn. Hum jakimś cudem ocalał.

- Czy teraz mi uwierzycie? - krzyknął Kordowir. - Te stworzenia rozmyślnie powiedziały nieprawdę. Obiecały, że nie zrobią nam nic złego, a potem zabiły siedemnastu ludzi. To nie tylko akt niemoralny, ale więcej - ukartowane wielokrotne morderstwo!

Rzeczywiście przechodziło to ludzkie wyobrażenie.

- Rozmyślnie kłamstwo! - Kordowir wydusił z siebie to bluźnierstwo chore z obrzydzenia. Ludzie nigdy prawie nie wspominali o możliwości rozmyślnego powiedzenia nieprawdy.

Mieszkańcy wioski nie posiadali się z gniewu i odrazy, kiedy uświadomili sobie, że może istnieć istota zdolna do kłamstwa. I jeszcze na dodatek to zbiorowe morderstwo z premedytacją.

Wszystko to razem było jak jakiś koszmarny sen. Nagle stało się jasne, że te stworzenia nie

zabijają swoich samic. Zapewne pozwalają im składać jaja bez żadnych ograniczeń. Sama myśl mogłaby przyprawić najsilniejszego mężczyznę o mdłości.

Nadliczbowe kobiety wyrwały się ze swojej zagrody i przemierzawszy się z żonami dopytywały się, co się stało. Kiedy się dowiedziały, były dwukrotnie bardziej oburzone niż mężczyźni, bo taka już jest natura kobiet.

- Zabić ich! - ryknęły zapasowe kobiety. - Wara im od naszych obyczajów! Nie pozwólmy im szerzyć niemoralności!

- To prawda - przyznał ze smutkiem Hiram - należało to przewidzieć.

- Trzeba ich natychmiast pozabijać! - krzyknęła jedna z kobiet. Jako nadliczbowa nie miała na razie imienia, ale w pełni nadrabiała ten brak ekspansywną osobowością.

- My, kobiety, pragniemy żyć moralnie i przyzwoicie, wysiadując w zagrodzie jaja, póki nie nadejdzie czas małżeństwa. A potem dwadzieścia pięć cudownych dni. Czy można żądać czegoś więcej? Te potwory chcą zniszczyć nasz obyczaj. Chcą, żebyśmy byli równie potworni jak oni.

- Widzicie teraz? - wrzasnął na mężczyznę Kordowir. - Ostrzegałem was, uprzedzałem, ale nie słuchaliście mnie. W chwilach zagrożenia młodzi muszą słuchać starszych. - W gniewie uderzeniem ogona zabił dwóch młodzików. Widzowie przyjęli to brawami.

- Trzeba ich przepędzić - krzyczał Kordowir. - Zanim nas zatrują.

Wszystkie kobiety rzuciły się, żeby pozabijać potwory. - Oni mają te zabijające kije - zauważył Hum. - Czy samice wiedzą?

- Nie sędzę - powiedział Kordowir. Był teraz całkowicie spokojny. - Może idź i powiedz im.

- Jestem zmęczony - powiedział Hum niezadowolony. - Ja tłumaczyłem. Idź ty.

- No, dobrze, chodźmy razem - zaproponował Kordowir, mając dość młodzieńczych dąsów Huma. W towarzystwie chyba połowy męskich mieszkańców wioski pospieszyli w ślad za kobietami.

Dogonili je na urwistych zboczach wznoszących się nad statkiem przybyszów. Hum powiedział o śmiertelnych kijach; podczas gdy Kordowir rozważał zagadnienie..

- Zrzućcie na nich głazy! - powiedział kobietom. Może uda się wam rozłupać ten metalowy przedmiot.

Kobiety zaczęły z wielką energią spychać w dół kamienie. Niektóre trafiały w metalowy przedmiot. Natychmiast z przedmiotu wytrysnęły ogniste linie i wiele kobiet zginęło. Ziemia zatrzęsała się pod nogami.

- Odsuńmy się stąd - zaproponował Kordowir. - Kobiety doskonale dają sobie radę, a ja nie lubię, jak ziemia się pode mną trzęsie.

Wraz z resztą mężczyzn odczołgali się na bezpieczną odległość i stamtąd obserwowali przebieg akcji.

Kobiety padały na lewo i na prawo, ale otrzymały posiłki kobiet z sąsiednich wsi, które przybyły na wieść o zagrożeniu. Teraz walczyły o swoje domy i o swoje prawa, z zawziętością, której nie mógł dorównać żaden mężczyzna. Metalowy przedmiot bluzgał ogniem po stromych zboczach, strącając na siebie jeszcze więcej głazów. Na koniec z dolnego krańca przedmiotu wystrzelił wielki ogień.

Przedmiot uniósł się w górę tuż przed wielką lawiną. O mało nie zawadził o górę, a potem wzniósł się coraz wyżej, aż stał się małym czarnym punktem na tle tarczy większego słońca. Potem znikł.

Tego wieczoru stwierdzono, że zniknęły pięćdziesiąt trzy samice. Było to korzystne, gdyż zmniejszyło nadwyżkę kobiet. Problem byłby szczególnie odczuwalny, bo zabrakło też siedemnastu mężczyzn.

Kordowir czuł się szczególnie dumny z siebie. Jego żona zginęła chwalebnie w walce, ale natychmiast wziął sobie nową.

- Myślę, że przez jakiś czas powinniśmy zabijać nasze żony częściej niż co - dwadzieścia pięć dni - zaproponował na wieczornym Zgromadzeniu. - Póki wszystko się nie unormuje.

Ocalałe kobiety, które tymczasem wróciły do swojej zagrody, usłyszały go i odpowiedziały entuzjastycznymi okrzykami.

- Ciekawe, dokąd te potwory poleciały - przedłożył Zgromadzeniu pytanie Hum.

- Pewnie poszukać jakiejś bezbronnej rasy, którą mogliby ujarzmić - powiedział Kordowir.

- Niekoniecznie - wtrącił Miszil i rozgorzała wieczorna dyskusja.

Przełożył Lech Jęczmyk

Ptaki - Czujniki

Gelsen wszedłszy do sali stwierdził, że wszyscy producenci ptaków-czujników już są. Było ich sześciu oprócz niego i w pokoju zrobiło się niebiesko od dymu drogich cygar.

- Sie masz, Charlie - zawołał jeden z nich na widok Gelsena.

Pozostali przerwali na chwilę rozmowę, by machnąć mu niedbale ręką na powitanie. Uświadomił sobie kwaśno, że jako producent ptaków-czujników należał do grupy pracującej nad zbawieniem ludzkości. Bardzo ekskluzywnej. Ale jeśli chcesz ratować rodzaj ludzki, musisz mieć zamówienie rządowe.

- Brakuje jeszcze pełnomocnika rządu - poinformował Gelsena jeden z obecnych. - Spodziewamy się go lada chwila.

- Mamy zielone światło - dodał drugi.

- Wspaniale. - Gelsen znalazł sobie krzesło w pobliżu drzwi i powiódł wzrokiem po sali. Zebranie robiło wrażenie zbiórki harcerskiej. Sześciu uczestników hałaśliwością nadrabiało nikłą liczebność.

Prezes Zjednoczenia Południowego wydierał się na całe gardło mówiąc o niezwyklej wytrzymałości ptaków. Zwracał się do dwóch innych prezesów, którzy uśmiechając się i kiwając głowami usiłowali mu przerwać - jeden wywodem na temat tego, jak to świeżo przeprowadził test

na pomysłowość ptaków, drugi charakterystyką nowego aparatu zasilającego.

Trzej pozostali, tworzący małą, zwartą grupkę, połączyli swe głosy w czymś, co można by nazwać jedynie peanem pochwalnym na cześć ptaków.

Gelsen zauważył, że wszyscy stoją prosto, sztywno, jakby byli zbawcami ludzkości. Czuli się nimi rzeczywiście. Nie wydało mu się to zabawne. Jeszcze parę dni temu sam się za takiego uważał. Za brzuchatego, z lekka łysiejącego świętego.

Westchnął i zapalił papierosa. Na początku był pełen entuzjazmu, tak jak i oni. Pamięta doskonale, jak powiedział do Macintyre'a, swojego głównego inżyniera: "Mac, nadchodzą nowe czasy. Ptaki to nasza odpowiedź". A Macintyre, również wyznawca idei ptaków, poważnie skinął głową.

Jakież cudowne wszystko się wtedy wydawało! Prosta, pewna odpowiedź na jeden z poważniejszych problemów ludzkości, zawarta w odrobinie nierdzewnego metalu, kryształu i plastyku.

I pewnie właśnie dlatego ogarnęły go teraz wątpliwości. Gelsen podejrzewał, że rozwiązanie jednego z najpoważniejszych problemów ludzkości nie może być aż tak łatwe. To musi mieć jakiś słaby punkt.

Ostatecznie zbrodnia jest zbyt starym problemem, żeby tak świeży wynalazek jak ptaki mógł stanowić jego rozwiązanie.

- Panowie - wszyscy rozmawiali w takim podnieceniu, że nikt nie zauważył wejścia pełnomocnika rządu. Nagłe zrobiło się cicho jak makiem zasiał. - Panowie - powtórzył tłusty przedstawiciel rządu - prezydent w porozumieniu z kongresem postanowił powołać we wszystkich mniejszych i większych ośrodkach miejskich specjalne placówki do spraw ptaków-czujników.

Na sali zapanowało ożywienie. Mimo wszystko jednak będą mieli szansę ocalić ludzkość, pomyślał Gelsen, i z niepokojem zadał sobie pytanie, co w tym może być niewłaściwego.

Uważnie słuchał, jak przedstawiciel rządu referował plany dystrybucji. Otóż kraj miał zostać podzielony na siedem okręgów, z których każdy miał być zaopatrywany przez jednego producenta. Oznaczało to oczywiście monopol, ale nie było innego wyjścia. Podobnie jak w przypadku łączności telefonicznej, jest to sprawa ogólnego dobra, a tym samym nie może być mowy o żadnej konkurencji. Ptaki-czujniki miały służyć wszystkim jednakowo.

- Prezydent ma nadzieję - ciągnął przedstawiciel rządu - że organizacja służby ptasiej zostanie zakończona w możliwie najkrótszym terminie. Będziecie mieli pierwszeństwo w uzyskiwaniu takich surowców, jak metale strategiczne, nie mówiąc o sile roboczej i tym podobnych.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział prezes Zjednoczenia Południowego - pierwszą partię ptaków mogę dostarczyć w ciągu tygodnia. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Reszta obecnych zajęła podobne stanowisko. Fabryki już od miesiący były gotowe do rozpoczęcia produkcji. Ostatecznie przyjęto znormalizowane urządzenia i tylko czekano na zezwolenie czynników oficjalnych.

- Świetnie - rzekł przedstawiciel rządu. - Jeśli to wszystko, to myślę, że możemy... czy są jakieś pytania?

- Tak - odparł Gelsen. - Chciałbym wiedzieć, czy do produkcji zatwierdzony jest obecny model.

- Oczywiście - odrzekł pełnomocnik rządu. - Jest najdoskonalszy.

- Mam pewne zastrzeżenia - oświadczył Gelsen wstając. Koledzy zmierzli go lodowatym wzrokiem. Ten człowiek opóźnia nadejście złotej ery.

- Jakiej natury? - zapytał pełnomocnik.

- Przede wszystkim chciałbym się zastrzec, że w pełni popieram wprowadzenie urządzeń mechanicznych służących zapobieganiu zbrodni. Od wieków istnieje ogromna tego potrzeba.

Kwestionuję jedynie układy uczenia. Ożywiają one niejako maszynę, wyposażając ją w rodzaj świadomości. Nie mogę tego aprobować.

- Ależ sam pan przecież dowodził, że ptaki nie będą w pełni doskonałe, jeżeli nie wmontuje im się takich obwodów. Bez tego zdołają udaremnić zaledwie jakieś siedemdziesiąt procent morderstw.

- Wiem o tym - odrzekł Gelsen trochę niepewnie. Wydaje mi się jednak, że umożliwienie maszynie podejmowania decyzji, do których ma prawo jedynie człowiek, kryje w sobie niebezpieczeństwo natury moralnej - uparcie obstawał przy swoim.

- Daj spokój, Gelsen! - wykrzyknął jeden z kolegów. To nie ma z tym nic wspólnego. Będzie to jedynie potwierdzenie decyzji wszystkich uczciwych ludzi od początku świata.

- Całkowicie się z tym zgadzam - oświadczył pełnomocnik rządu. - Ale rozumiem jednocześnie zastrzeżenia pana Gelsena. To rzeczywiście smutne, że rozwiązywanie naszych, ludzkich, problemów musimy powierzać maszynom, a jeszcze smutniejsze, że maszyny muszą egzekwować nasze prawa. Ale pan będzie uprzejmy nie zapominać, panie Gelsen, że praktycznie nie istnieje inny sposób zapobieżenia zbrodni, z a n i m do niej dojdzie. Byłoby to nieuczciwe w stosunku do wszystkich tych, którzy ciągle giną niewinnie, gdybyśmy z pobudek czysto filozoficznych ograniczali możliwości ptaków-czujników. Czy nie zgadza się pan ze mną?

- No, owszem - odrzekł bez przekonania Gelsen. Tłumaczył to sobie tysiące razy, ale ciągle jeszcze coś go niepokoiło. Będzie musiał pogadać z Macintyre'em.

Pod koniec konferencji uderzyła go pewna myśl. Gelsen uśmiechnął się. Wielu policjantów zostanie bez pracy.

- No i co ty na to? - zapytał funkcjonariusz policji Celtrics. - Piętnaście lat człowiek harował w Wydziale Zabójstw po to, żeby go w końcu wygryzła jakaś tam maszyna. - Przejechał dużą, czerwoną dłonią po czole i pochylił się nad biurkiem kapitana. - I proszę: czy nauka nie jest wspaniała?

Dwóch innych policjantów, też byłych pracowników Wydziału Zabójstw, ponuro pokiwało

głowami.

- Nie martw się - rzekł kapitan. - Urządźmy cię w Kradziejach. Zobacysz, na pewno ci się spodoba.

- Nie mogę się z tym pogodzić - narzekał Celtrics żeby jakiś cholerny kawałek blachy i szkła rozwiązywał za człowieka sprawy morderstw.

- Niezupełnie - odparł kapitan. - Zadaniem ptaków-czujników jest zapobieganie zbrodni, zanim do niej dojdzie. - Wobec tego trudno tu mówić o zbrodni - odparł jeden z policjantów. - Chodzi mi o to, że przecież nie można powiesić człowieka za morderstwo, dopóki go nie popełni, prawda?

- A tym samym nie można go aresztować - dodał Celtrics.

- Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzą - przyznał kapitan.

Zapadła cisza. Kapitan ziewnął i spojrział na zegarek.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Celtrics - jak oni to robią? Od czego się to wszystko zaczęło, kapitanie?

Kapitan pilnie studiował twarz Celtricsa, usiłując doszukać się w niej śladów ironii - ostatecznie od miesięcy ptaki-czujniki nie schodziły z łamów gazet. Uświadomił sobie jednak, że Celtrics, podobnie jak jego kumple, rzadko kiedy czyta cokolwiek poza wiadomościami ze sportu.

- No więc - zaczął usiłując przypomnieć sobie, czego się dowiedział z niedzielnych dodatków - ci uczeni zajmowali się kryminologią. Przeprowadzali badania nad mordercami, żeby się przekonać, na jakiej zasadzie oni działają. Stwierdzili, że ich mózg wysyła zupełnie inny rodzaj fal niż mózg zwykłego człowieka. I ich gruczoły też funkcjonują inaczej. A to wszystko można zaobserwować w chwili, kiedy właśnie mają popełnić zbrodnię. No i ci uczeni wynaleźli takie urządzenie - coś w rodzaju czerwonego sygnału, który się zapala, w momencie kiedy powstają te fale.

- Uczeni - powtórzył z goryczą Celtrics.

- Ale właściwie to nie wiedzieli, co z tym urządzeniem zrobić. Było za duże i niewygodne w

eksploatacji. Zbudowali więc na podobnej zasadzie mniejsze jednostki i rozesłali je do kilku komisariatów. Zdaje się, że nawet jeden taki aparat był w naszym stanie. Ale nie zdało to egzaminu. Nie można było zdążyć na czas, żeby zapobiec zbrodni. Dlatego skonstruowali ptaki-czujniki.

- Nie wierzę, żeby one skutecznie działały - upierał się jeden z policjantów.

- Owszem, działają. Czytałem o wynikach próbnych akcji. Te ptaki potrafią wyniuchać zbrodniarza, zanim zamorduje. A wtedy wywołują u niego coś w rodzaju potężnego szoku i to wystarcza, żeby faceta zniechęcić.

- Kapitanie, likwiduje pan Wydział Zabójstw? - zapytał Celtrics.

- Nie - odparł kapitan. - Zostawię załogę kadrową, zobaczymy, jak się te ptaki będą spisywać.

- Też! - parsknął Celtrics. - Załogę kadrową. To śmieszne !

- Możliwe. Ale mimo to zostawię kilku ludzi. Wydaje mi się, że ptaki nie dadzą sobie z tym wszystkim rady.

- Dlaczego?

- Niektórzy mordercy nie wysyłają tych fal - odrzekł kapitan usiłując sobie przypomnieć dalsze szczegóły przeczytanego artykułu. - A może ich gruczoły nie działają czy coś w tym rodzaju?

- A którzy to są? - zapytał Celtrics z zawodową ciekawością.

- Dokładnie nie wiem. Ale słyszałem, że powymyślali jakieś cholerne urządzenia, więc pewnie niedługo ze wszystkimi sobie te ptaki poradzą.

- W jaki sposób?

- Uczą się. To znaczy ptaki. Tak jak ludzie.

- Bujasz.

- Nic podobnego.

- Już ja tam lepiej na wszelki wypadek naoliwię moją spluwę. Człowiek nie może ufać tym

uczonym.

- Masz rację.

- Jakies ptaki sobie wymyslili! - parsknal pogardliwie Celtrics.

Ponad miastem szybowal leniwie ptak-czujnik. Jego aluminiowa pokrywa lsnila w porannym sloncu, a na rozpostartych skrzydlach tanczyly plamy swiatla. Ptak lecial bezszelestnie, ale wyczulony byl na kazdy bodziec. Ukklad orientacji przestrzennej informowal go, gdzie sie znajduje, i utrzymywal krzywa lotu. Oczy i uszy, stanowiacy jeden zespól, nie przestawaly szukać, wypatrywac.

I nagle - błyskawiczny elektroniczny refleks: ptak zaczął reagować na jakiś bodziec. Ośrodek koordynacji sprawdzil wrażenie, porównujac je z elektrycznymi i chemicznymi danymi zawartymi w pamieci. Przekaznik włączyl sie samoczynnie.

Pod wpływem coraz silniejszych bodzcow ptak spiralnym lotem opadal w dol. C z u l wydzieline pewnych gruczołow; smakowal osobliwa fale wyslana przez czyjs mozg.

Gotowy do ataku spikowal w porannym jasnym sloncu.

Dinelli byl w takim napieciu, ze nie zauwazył zbliżajacego sie ptaka. Z wycelowanym pistoletem wpatrywal sie w potezna postać wlasciciela sklepu.

- Nie zbliżaj sie!

- Chcesz mnie zabiec, nedzny łobuzie?! - powiedzial kupiec i postapil krok naprzod. - Uwazaj, bo ci gnaty poprzetracam, ty pokurczu jeden! - Zbyt glupi czy tez zbyt odwazny, zeby docenic grozbe wycelowanej w siebie broni, ruszyl na malego opryszka.

- Dobra, juz dobra - rzekl Dinelli w stanie kompletnej paniki. - Zjezdżaj...

Potezne wyładowanie elektryczne przewrocilo go na plecy. Pistolet wystrzelil, niszczac wystaew pelna produktow spozywczych.

- Co to ma znaczc, u diabla? - powiedzial wlasciciel sklepu patrzac na ogluszonego zlodzieja. W

tych momencie dostrzegł błysk skrzydeł. - A niech to wszyscy diabli, te ptaki rzeczywiście działają!

Patrzył tak długo, aż srebrzyste skrzydła znikły mu z oczu, po czym zadzwonił na policję.

Ptaka powrócił do swego punktu obserwacyjnego ponad miastem. Jego ośrodek koordynacji zarejestrował nowe informacje dotyczące morderstwa. Z wieloma faktami zetknął się po raz pierwszy.

Nowe dane zostały przekazane jednocześnie wszystkim pozostałym ptakom, które z kolei nadesłały swoje spostrzeżenia. Między ptakami nie ustawała wzajemna wymiana informacji, metod i definicji.

Teraz, kiedy ptaki-czujniki płynęły z taśmy montażowej nieprzerwanym strumieniem, Gelsen pozwolił sobie na małe odprężenie. Jego zakłady zawsze na czas wywiązywały się z zamówień, na pierwszym miejscu uwzględniając potrzeby dużych ośrodków miejskich w jego okręgu.

- Wszystko idzie gładko, szefie - powiedział inżynier Macintyre wchodząc po zakończeniu swojego normalnego obchodu.

- Pierwszorzędnie. Siadaj.

Ogromny mężczyzna usiadł i zapalił papierosa.

- Już kawał czasu, jakżeśmy zaczęli produkcję, co? odezwał się Gelsen, któremu nic lepszego nie przyszło do głowy.

- Aha - zgodził się Macintyre. Oparł się wygodnie, głęboko zaciągając się papierosem. Był jednym z konsultantów przy opracowywaniu prototypu ptaka. Od tamtej pory upłynęło sześć lat. Cały czas pracował u Gelsena i mężczyźni zaprzyjaźnili się serdecznie.

- Chciałem cię zapytać o jedną rzecz - Gelsen zawiesił głos. Nie wiedział, jak to sformułować.

Zapytał więc po prostu: - Co ty myślisz o ptakach, Mac?

- Kto? Ja? - inżynier uśmiechnął się nerwowo. Od momentu, kiedy zrodziła się koncepcja ptaka-czujnika, nie potrafił jeść, pić ani spać, żeby o tym nie myśleć. Jaki więc mógł mieć do tej sprawy

stosunek! - To przecież wspaniała rzecz!

- Nie o to mi chodzi - odparł Gelsen. Chodziło mu właściwie o to, żeby ktoś wreszcie zrozumiał jego punkt widzenia. - Czy nie uważasz, że myśląca maszyna może kryć w sobie niebezpieczeństwo?

- Nie sądzę, szefie. A dlaczego pytasz?

- Słuchaj, Mac, nie jestem ani uczonym, ani inżynierem. Ja po prostu finansuję tę całą imprezę, a reszta to już wasza sprawa. Ale jako laika ptaki zaczynają mnie przerażać.

- Nie widzę żadnych powodów.

- Nie podobają mi się te układy uczenia.

- Dlaczego? - Macintyre znów się uśmiechnął. - Wiem, nie ty jeden się boisz. Obawiacie się, że pewnego pięknego poranka wasze maszyny ockną się i zapytają: "Właściwie co my tutaj robimy? To my powinniśmy rządzić światem". O to ci chodzi, co?

- Coś w tym rodzaju - przyznał Gelsen.

- Nie ma obawy - odparł Macintyre. - Rzeczywiście ptak-czujnik to skomplikowane urządzenie, ale na przykład taka maszyna licząca z MIT jest o całe niebo bardziej skomplikowana. A poza tym ptaki nie mają świadomości.

- Nie. Ale mogą się uczyć.

- Owszem, w tym samym stopniu co wszystkie maszyny liczące nowego typu. Boisz się, że się sprzymierzą z ptakami?

Gelsen był zły na Macintyre'a, ale jeszcze bardziej był zły na siebie, że się ośmiesza.

- Kiedy naprawdę ptaki mogą wykorzystać swoją zdolność uczenia się. Przecież nikt ich nie kontroluje.

- Właśnie o to chodzi - rzekł Macintyre.

- Myślałem o tym, żeby się wycofać z całego tego interesu - Gelsen dopiero teraz tak na dobre

zdał sobie z tego sprawę.

- Szefie, może posłuchasz, co o tym sądzi twój inżynier.

- Jasne, słucham.

- Ptaki-czujniki nie są bardziej niebezpieczne niż samochody, maszyny liczące IBM czy termometry. Nie mają więcej świadomości czy woli od tamtych urządzeń. Są tak skonstruowane, żeby reagowały na określone bodźce i pod ich wpływem wykonywały pewne operacje.

- A co z układami uczenia?

- One są niezbędne - mówił Macintyre cierpliwie, jakby tłumaczył dziesięcioletniemu dziecku.

Celem ptaków-czujników jest udaremnianie wszelkich zbrodni, zgadzasz się ze mną? Ale tylko niektórzy mordercy wysyłają te bodźce. Żeby jednak móc zidentyfikować wszystkich, ptak musi poszukiwać nowych definicji zbrodni i porównywać je z wiadomościami, jakie uzyskał do tej pory.

- Uważam, że jest w tym coś nieludzkiego - rzekł Gelaen.

- I to jest właśnie najwspanialsze. Że ptaki nie podlegają uczuciom. Ich sposób myślenia jest nieantropomorficzny. Nie można ich ani przekupić, ani poddać działaniu narkotyków. Ani zastraszyć.

Na biurku Gelsena zabrzączał radiotelefon. Gelsen zignorował go.

- Ja to wszystko wiem - rzekł - a mimo to czuję się czasem jak człowiek, który wynalazł dynamit.

On też myślał, że dynamit będzie służył tylko do wysadzania w powietrze karpin.

- Ale przecież ty n i e w y n a l a z ł e ś ptaków.

- To nie szkodzi. Jako ich producent i tak czuję się za to wszystko moralnie odpowiedzialny.

Radiotelefon zabrzączał ponownie i Gelsen poirytowany nacisnął guzik.

- Mam meldunki z pierwszego tygodnia działalności ptaków - zakomunikowała sekretarka.

- Jak sprawa wygląda?

- Wspaniale.

- Chciałbym je mieć w ciągu piętnastu minut - Gelsen wyłączył radiotelefon i zwrócił się do

Macintyre'a, który właśnie czyścił sobie paznokcie zapałką. - Czy nie uważasz, że świadczy to o

pewnej aktualnej tendencji w myśli ludzkiej? Demon mechanizacji? Elektroniczny ojciec?

- Szefie - rzekł Macintyre - myślę, że powinieneś dokładniej przestudiować problem ptaków. Czy orientujesz się, co zostało wbudowane w ich obwody?

- Tylko z grubsza.

- Przede wszystkim cel: uniemożliwienie żywym organizmom popełniania morderstw. Po drugie: morderstwo zostało zdefiniowane jako akt gwałtu polegający na biciu, duszeniu, maltretowaniu, w każdym razie na przerwaniu funkcji życiowych jednego żywego organizmu przez drugi żywy organizm. Po trzecie: większość morderców można będzie wykryć dzięki specjalnym reakcjom chemicznym i elektrycznym zachodzącym w ich organizmach.

Macintyre przerwał, żeby zapalić następnego papierosa.

- Te czynniki warunkują normalne funkcje ptaka. Jeśli chodzi o układy uczenia, dochodzą dwa punkty dodatkowe. Po czwarte: istnieją żywe organizmy, które mogą popełniać morderstwa bez reakcji wspomnianych w punkcie trzecim. Po piąte: mogą być one wykryte dzięki danym zawartym w punkcie drugim.

- Rozumiem - rzekł Gelsen.

- Widzisz teraz, jakie to niezawodne urządzenie?

- Tak... chyba tak - Gelsen zawahał się przez chwilę. To by chyba było wszystko.

- W porządku - odparł inżynier i wyszedł.

Gelsen zadumał się. Przecież ptaki n i e m o g ł y zawieść. .

- Proszę mi przysłać sprawozdanie - polecił przez radiotelefon.

Wysoko ponad oświetlonymi budynkami miasta szybował ptak-czujnik. Zrobiło się ciemno, ale w oddali widział jeszcze jednego i jeszcze jednego ptaka. Bo było to duże miasto. Aby zapobiec

zbrodni...

Trzeba było na coraz więcej rzeczy zwracać uwagę. Coraz to nowe informacje krzyżowały się w powietrzu tworząc niewidzialną siatkę łączącą ptaki. Nowe dane, nowe sposoby wykrywania gwałtu i mordy.

Uwaga! Czujnik reaguje! Dwa ptaki dały nurka jednocześnie. Jeden pochwycił sygnał o ułamek sekundy wcześniej niż drugi, który wobec tego wzbił się z powrotem podejmując swój lot patrolowy. ~

Punkt czwarty: istnieją żywe organizmy, które mogą popełniać morderstwa bez reakcji wymienionych w punkcie trzecim.

Dzięki tej nowej informacji ptak poprzez ekstrapolację doszedł do wniosku, że ten osobnik zamierza popełnić morderstwo, mimo że nie towarzyszą temu charakterystyczne fluidy natury chemicznej i elektrycznej.

Ptak wyostrzonymi zmysłami obserwował podejrzanego osobnika. Wreszcie podjął decyzję i runął w dół.

Roger Greco stał oparty o mur budynku z rękami w kieszeniach. W lewej dłoni zaciskał chłodną kolbę swojej czterdziestki piątki. Czekał cierpliwie.

Nie myślał o niczym szczególnym; po prostu spokojnie, całkowicie odprężony, oparty o mur czekał na człowieka. Greco nie wiedział nawet, dlaczego ów człowiek miał zginąć. Zresztą wszystko mu było jedno. Ten brak zainteresowania stanowił jedną z jego dwóch głównych zalet.

Drugą była znajomość fachu.

Jedna kula ulokowana zręcznie w głowie mężczyzny, którego nawet nie znał. Ani go to nie podniecało, ani nie mierzilo. Praca jak każda inna. Zabiłeś człowieka. No to co?

Kiedy jego ofiara wyszła z budynku, Greco wyjął spluwę z kieszeni. Odbezpieczył ją i wycelował... w dalszym ciągu o niczym nie myśląc...

Nagle został zwalony z nóg.

Był pewien, że to kula. Pozbierał się jakoś, rozejrzał dokoła i kiedy ponownie usiłował wziąć swoją ofiarę na cel... znów został zwalony z nóg.

Tym razem mierzył z pozycji leżącej. Jako wytrawnemu fachowcowi nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby dać za wygraną.

Po następnym ciosie zrobiło mu się czarno przed oczami. Szok nie ustępował, obowiązkiem ptaka bowiem było chronić ofiarę gwałtu za wszelką cenę, b e z w z g l ę d u na mordercę.

Mężczyzna podszedł do swojego samochodu, nie zauważywszy nic szczególnego. Wszystko odbyło się w kompletnej ciszy.

Gelsen był zadowolony. Ptaki spisywały się bez zarzutu. Liczba zbrodni zmniejszyła się najpierw do połowy, a potem do jednej czwartej. Ciemne zaułki przestały ziać grozą. Ludzie przestali unikać o zmierzchu parków i skwerów.

Zdarzały się jeszcze oczywiście napady rabunkowe. Szerzyły się kradzieże kieszonkowe, defraudacje, fałszerstwa i setki innych przestępstw. Ale to już nie miało takiego znaczenia.

Stracone pieniądze można odzyskać; życia - nie.

Gelsen już był właściwie skłonny przyznać, że nie miał racji w sprawie ptaków. Mimo wszystko spełniały zadanie, z którym człowiek nie potrafił sobie poradzić.

Pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku, odebrał dziś rano, kiedy do jego gabinetu wszedł Macintyre. Stał w milczeniu przed biurkiem Gelsena, wyraźnie zaniepokojony i jak gdyby trochę zmieszany.

- Co się stało, Mac?

- Jeden z ptaków zaatakował pracownika rzeźni. Przewrócił go.

Gelsen zastanowił się. Tak, oczywiście, że ptaki muszą to robić. Za pomocą swoich nowych układów uczenia sklasyfikowały zabijanie zwierząt jako morderstwo.

- Powiedz właścicielom rzeźni, żeby zmechanizowali ubój. Zawsze mnie to napawało wstrętem.

- Dobra - Macintyre złożył usta w ciup, wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu.

Gelsen stał zamyślony koło swego biurka. Czy ptaki nie mogą odróżnić morderstwa od legalnie wykonywanego zawodu? Najwyraźniej nie. Dla nich morderstwo to morderstwo. Bez żadnych wyjątków. Zasepił się. Trzeba będzie im trochę skalibrować obwody.

Ale niewiele, zdecydował pospiesznie. Tak żeby tylko trochę lepiej potrafiły różnicować zjawiska. Usiadł i znów pogрузzył się w papierach, usiłując nie dopuścić do głosu dawnego strachu.

Przywiązali skazańca do krzesła elektrycznego i przypięli mu elektrodę do nogi.

- Och! Och! - jęczał, niezupełnie świadom tego, co się z nim dzieje.

Na ogoloną głowę włożono mu hełm i dopięto ostatnie paski. Jego cichy jęk nie ustawał.

I wtedy wleciał ptak. Którędy się dostał - nikt nie wiedział. Więzienia są wielkie, masywne, z wieloma zaryglowanymi drzwiami, a jednak ptak dostał się jakoś do środka... żeby zapobiec zbrodni.

- Wyrzucicie go stąd! - krzyknął dozorca i sięgnął do wyłącznika. Ptak zwałił go z nóg.

- Co to ma znaczyć?! - wrzasnął strażnik i sam wyciągnął rękę. Ale w tej chwili runął na podłogę obok dozorca.

- To nie morderstwo, idioto! - krzyknął drugi strażnik. Wyjął broń, żeby zestrzelić szybującego pod sufitem metalowego ptaka.

Wyczuwając to ptak cisnął nim o ścianę.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Po chwili skazaniec, w hełmie na głowie, zaczął chichotać.

Ale zaraz przestał. Ptak polatując nad nim pilnował, żeby nie popełniono żadnej zbrodni.

Łącząc ptaki siatką popłynęły nowe informacje. Tysiące nie kierowanych przez nikogo, niezależnych ptaków zarejestrowały je i zaczęły zgodnie z nimi działać.

Bicie, duszenie czy w jakikolwiek inny sposób przerwanie funkcji życiowych jednego żywego

organizmu przez drugi żywy organizm. Nowe akty gwałtu wymagające interwencji.

- No, bujaj się! - wykrzyknął farmer Ollister i ponownie uniósł bat. Koń wierzgnął i wóz turkocząc i podskakując na wybojach żwawiej ruszył do przodu. - No, ruszaj się, ty chabeto cholerna! - wrzasnął farmer i znów uniósł bat.

Ale bat nie spadł. Czujny ptak, węsząc w tym akt gwałtu, zwalił chłopca z kozła.

Żywy organizm? Co to jest żywy organizm? W miarę poznawania nowych faktów ptaki rozszerzały swoje definicje, mając tym samym coraz więcej pracy.

Sylwetka jelenia rysowała się wyraźnie na tle lasu. Myśliwy uniósł strzelbę i starannie wycelował. Nie zdążył jednak pociągnąć za spust.

Wolną ręką Gelsen otarł spoconą twarz.

- W porządku - powiedział do telefonu. Wysłuchał spokojnie obelg płynących z drugiej strony przewodu, po czym lekko odłożył słuchawkę na widełki.

- Co tym razem? - zapytał Macintyre. Był nie ogolony, miał rozluźniony krawat i rozpiętą koszulę.

- Następny rybak - odparł Gelsen. - Ptaki nie dają mu łowić, mimo że jego rodzina przymiera głodem. Pyta, co zamierzamy w tej sprawie zrobić.

- Ile już jest zażaleń?

- Nie mam pojęcia. Nie otwierałem jeszcze poczty.

- Wydaje mi się, że wiem, na czym kłopot polega rzekł ponuro Macintyre, z miną człowieka, który ponieważ wie, jak doszło do tego, że wysadził ziemię w powietrze.

- Ciekaw jestem.

- Wszyscy założyli z góry, że my chcemy zapobiec wszelkim morderstwom. A myśmy sobie wyobrażali, że ptaki będą myślały tak samo jak my. Powinniśmy jaśniej sprecyzować warunki.

- Ale wiesz co - powiedział Gelsen - zanim je sprecyzujemy, musimy wiedzieć dokładnie, co to

są morderstwa i dlatego się zdarzają. A z kolei gdybyśmy to wiedzieli, ptaki nie byłyby nam potrzebne.

- Nie jestem tego pewny. Po prostu trzeba im powiedzieć, że niektóre sytuacje noszące pozory morderstwa nie są morderstwami.

- Ale dlaczego one przeszkadzają rybakom? - zapytał Gelsen.

- A dlaczego miałyby nie przeszkadzać? Ryby i zwierzęta są żywymi organizmami. To po prostu tylko my uważamy, że zabijanie ich nie jest mordowaniem.

Zadzwonił telefon. Gelsen spojrzał na niego z wściekłością i nacisnął guzik radiotelefonu.

- Prosiłem przecież, żeby nie łączyć telefonów. Żadnych. - To Waszyngton - odparła sekretarka. - Myślałam, że...

- Przepraszam. - Gelsen podniósł słuchawkę. - Tak, oczywiście, że kłopot. Tak? W porządku, zastosuję się odłożył słuchawkę.

- Krótko węzłowato - oznajmił Macintyre'owi. - Mamy chwilowo wycofać ptaki.

- To nie będzie takie proste - odparł Macintyre. Wiesz przecież, że one właściwie nie podlegają żadnej kontroli. Raz na tydzień zgłaszają się tylko na przegląd techniczny. Będziemy je musieli jeden po drugim po prostu wyłączać.

- Trudno, musimy się za to wziąć. Firma Monroe z wybrzeża wyłączyła już blisko czwartą część swoich ptaków.

- Trzeba im będzie wmontować obwody ograniczające. - Pięknie - odrzekł Gelsen z goryczą. - Nie posiadam się wprost ze szczęścia.

Ptaki uczyły się błyskawicznie, w zawrotnym tempie rozszerzając zasięg swego działania i powiększając wiedzę. Stale uogólniały luźno sformułowane pojęcia, sprawdzały je w praktyce i ponownie uogólniały.

Żeby zapobiec zbrodni...

Metal i elektrony rozumują dobrze, ale nie na ludzką modłę.

Żywy organizm? Każdy żywy organizm.

Ptaki wzięły na siebie obowiązek chronienia wszystkiego, co żyło.

Mucha bzyząc latała po pokoju. Przysiadła na chwilę na stole, po czym zerwała się i poleciała w stronę parapetu. Ze zwiniętą w rulon gazetą w ręku skradał się do niej starszy mężczyzna.

Morderca !

W mgnieniu oka ptaki zniżyły lot i... uratowały muchę. Starszy człowiek wił się przez chwilę na podłodze, po czym znieruchomiał. Doznał lekkiego szoku, który okazał się jednak śmiertelny dla starczego roztrzepanego serca. Ale przedmiot ataku został uratowany, i to było najważniejsze.

Ocalić ofiarę, a agresorowi dać nauczkę.

Gelsen zapytał poirytowany:

- Dlaczegoście ich nie powyłączali?

Zastępca szefa do spraw kontroli technicznej wskazał ręką. Na podłodze w rogu warsztatów remontowych leżał szef. Właśnie odzyskiwał przytomność.

- Próbował wyłączyć jednego z nich - wyjaśnił zastępca. Miał splecione dłonie i wyraźnie usiłował opanować ich drzenie.

- To śmieszne! Przecież one są zupełnie pozbawione instynktu samozachowawczego.

- Tak? To sam spróbuj coś z nimi zrobić. Poza tym myślę, że one przestaną się zgłaszać.

Jakim cudem? Jak mogło do tego dojść? - Gelsen zaczął rozważać problem. Ptaki w dalszym ciągu nie potrafiły dokładnie sprecyzować, czym jest właściwie żywy organizm. Kiedy pierwsza partia została wyłączona w zakładach Monroego, reszta zdążyła już pewnie przetworzyć nowe dane.

Musiały przyjąć, że same są żywymi organizmami. Nikt im nigdy nie powiedział, że nie są. I nie ulega wątpliwości, że wykonują większość funkcji właściwych żywym organizmom.

Powróciły dawne obawy. Gelsen roztrzęsiony wybiegł z warsztatów remontowych. Chciał jak najprędzej porozumieć się z Macintyre'ern.

Pielęgniarka podała chirurgowi gąbkę. - Skalpel.

Podała mu skalpel. Chirurg zrobił pierwsze nacięcie. I nagle poczuł, że mu coś przeszkadza.

- Kto go tutaj wpuścił'?

- Nie mam pojęcia - odparła pielęgniarka głosem stłumionym przez maskę.

- Proszę go w tej chwili usunąć!

Pielęgniarka zaczęła machać rękami w kierunku błyszczącego skrzydlatego intruza, który jednak dalej spokojnie unosił się nad jej głową.

Chirurg usiłował operować, ale ptak czuwał nie dopuszczając go do pacjenta..

- Proszę zadzwonić do przedsiębiorstwa produkującego ptaki - rozkazał chirurg. - Niech przyjadą go wyłączyć. Ptak stał na straży bezpieczeństwa żywego organizmu.

Chirurg stał i patrzył bezradnie, jak jego pacjent umiera.

Polatując wysoko ponad siecią autostrad, ptak obserwował i czekał. Pracował już kilka tygodni bez odpoczynku i bez naprawy. Odpoczynek czy naprawa nie wchodziły w grę, ptak bowiem - jako żywy organizm - nie mógł dopuścić do tego, by go zamordowano. A powrót do fabryki równałby się dla niego śmierci.

W obwody ptaków wbudowano nakaz, by po upływie pewnego czasu wracały, ale znacznie silniejszym nakazem, którego musiały przestrzegać bezwzględnie, był nakaz ochrony życia, łącznie z własnym.

Definicje morderstwa uległy teraz takim uogólnieniom i tak zostały rozszerzone, że ptaki nie były w stanie podać stojącym przed nimi zadaniami. Ale nie zastanawiały się nad tym. ślepo odpowiadały na bodźce, obojętne, z jakiego pochodziły one źródła.

W rejestrach pamięci ptaka pojawiła się nowa definicja żywego organizmu. Wynikała ona z

odkrycia, że ptaki-czujniki też są żywymi organizmami. A to z kolei prowadziło do dalszych uogólnień.

Uwaga. Po raz setny tego dnia ptak spiralnym lotem zniżył się, przechylił i opadł łagodnie - żeby zapobiec zbrodni.

Jackson ziewnął i zatrzymał samochód na poboczu. Nie zauważył migotliwego punktu na niebie.

A zresztą nie było żadnego powodu, żeby miał się tym interesować. Jackson nie zamierzał popełnić morderstwa w żadnym ludzkim sensie tego słowa. To dobre miejsce na krótką drzemkę, pomyślał.

Jechał siedem godzin bez przerwy i zaczynało mu się już wszystko mącić przed oczami. Sięgnął ręką do kluczyka, żeby wyłączyć silnik, i... rzuciło nim o oparcie siedzenia.

- Co do diabła?! - powiedział ze złością. - Ja przecież chciałem tylko... - Ponownie sięgnął do kluczyka i znów nim rzuciło.

Jackson nie był taki głupi, żeby próbować po raz trzeci. Słuchał radia i wiedział, co go czeka, jak będzie uparty.

- Ty durniu mechaniczny - warknął. - Przecież samochód nie jest żywą istotą. I nie zamierzam go zabić.

Ale ptak wiedział tylko jedno: że na skutek pewnej czynności ustanie działanie jakiegoś organizmu. A samochód był niewątpliwie organizmem. Czyż nie był zbudowany z metalu, tak jak ptaki? I czy nie poruszał się?

Macintyre powiedział:

- One się same zużyją bez konserwacji - odsunął piętrzącą się przed nim dokumentację techniczną.

- Ale kiedy? - zapytał Gelsen.

- Pół roku - rok. No, na wszelki wypadek przyjmijmy, że w ciągu roku.

- Hm, w ciągu roku - powtórzył Gelsen. - A tymczasem ptaki powykańczają wszystkich dokoła.

Słyszałeś, co się ostatnio stało?

- Co takiego?

- Ptaki zdecydowały, że Ziemia jest żywym organizmem. Nie pozwalają farmerom orać. No i oczywiście żywymi organizmami są wszelkie stworzenia: króliki, żuki, muchy, wilki, moskity, lwy, krokodyle, wrony i mniejsze formy żywe, jak na przykład bakterie.

- Wiem - rzekł Macintyre.

- I ty mi mówisz, że one się wyczerpią w ciągu sześciu miesięcy czy roku. A co t e r a z? Co będziemy jedli przez te sześć miesięcy?

Inżynier podrapał się w głowę.

- Musimy coś zrobić jak najszybciej. Całą równowagę ekologiczną diabli biorą.

- "Jak najszybciej" to nie jest odpowiednie słowo. "Natychmiast" byłoby stosowniejsze. - Gelsen zapalił trzydziestego piątego papierosa tego dnia. - Przynajmniej mam tę wątpliwą satysfakcję, że mogę ci teraz powiedzieć: "a nie mówiłem"? Chociaż oczywiście ponoszę za to wszystko nie mniejszą odpowiedzialność niż reszta uprawiających kult mechanizacji idiotów.

Macintyre słuchał go zamyślony.

- Zupełnie jak plaga królików w Australii.

- Przeciętna zgonów wzrasta - rzekł Gelsen. - Głód. Powodzie. Nie można wycinać drzew.

Lekarze nie mogą... zaraz... co takiego mówiłeś o Australii?

- Króliki - powtórzył Macintyre. - W tej chwili nie został już chyba w Australii ani jeden królik.

- Dlaczego? Jak to zrobili?

- Wynaleźli jakiś zarazek, który atakował tylko króliki. Zdaje się, że jego nosicielami były moskity...

- Spróbuj czegoś takiego - rzekł Gelsen. - Może wam coś przyjdzie do głowy. Dzwonź zaraz i zwołaj ekstranaradę z inżynierami z innych fabryk. Ale prędko. Razem może coś wymyślicie.

- W porządku - powiedział Macintyre. Zgarnął czyste kartki i pospieszył do telefonu.
- A nie mówiłem? - powiedział Celtrics. Uśmiechnął się do kapitana. - Nie mówiłem, że uczeni to kupa idiotów?
- Ale ja wcale nie przeczyłem, o ile dobrze pamiętam.
- Nie, ale nie byłeś pewny.
- Teraz już jestem. A ty już lepiej idź. Czeka na ciebie masa roboty.
- Wiem. - Celtrics wyjął z pochwy rewolwer, sprawdził go i schował z powrotem. - Czy wszyscy chłopcy już wrócili, kapitanie?
- Wszyscy? - kapitan roześmiał się ponuro. - Musieliśmy powiększyć Wydział Zabójstw o pięćdziesiąt procent. Nigdy nie było tyle morderstw co teraz.
- Jasne - rzekł Celtrics. - Ptaki mają za dużo roboty z pilnowaniem samochodów i pajaków. - Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, by rzucić jeszcze na koniec: - Wierz mi, maszyny są głupie.

Kapitan skinął głową.

Tysiące ptaków-czujników usiłujących udaremnić miliony zbrodni - beznadziejna sprawa. Ale ptaki nie wiedziały, co to nadzieja. Nie mając świadomości nie doświadczały ani satysfakcji związanej z sukcesem, ani uczucia porażki. Cierpliwie wykonywały swoje zadania, reagując na każdy bodziec.

Nie mogły być jednocześnie wszędzie, ale to wcale nie było potrzebne. Ludzie szybko zrozumieli, na co ptaki reagują, i zaczęli tego unikać. W imię własnego bezpieczeństwa. Mając możliwość rozwijania ogromnej szybkości i niezwykłą sprawność zmysłów, ptaki błyskawicznie przenosiły się z miejsca na miejsce.

Nie było z nimi żartów. Jeżeli wszelkie inne środki zawiodą, należy zabić mordercę - tak zostały zaprogramowane.

Dlaczego miałyby go oszczędzać?

Ale każdy kij ma dwa końce. Ptaki odnotowały fakt, że w związku z ich działalnością zbrodnie i wszelkie akty gwałtu zaczęły wzrastać w postępie geometrycznym. I nic dziwnego: ich nowe definicje rozszerzały coraz bardziej pojęcie morderstwa. Ale dla ptaków oznaczało to jedynie, że ich pierwotne metody były niewłaściwe. Bardzo prosta logika: Jeżeli A się nie nadaje, należy spróbować B. Ptaki zaczęły zabijać.

Rzeźnie w Chicago stanęły, a bydło zdychało z głodu w swoich zagrodach, ponieważ farmerzy nie mogli ani kosić siana, ani zbierać zboża.

Nikt bowiem nie powiedział ptakom, że równowaga w życiu zależała zawsze od starannie wyważonej liczby zabójstw. Problem śmierci głodowej nie istniał dla ptaków, ich sprawą była śmierć zadana gwałtem.

Myśliwi siedzieli w domach, patrząc ze złością na srebrzyste punkty na niebie i marząc o tym, by móc je zestrzelić. Ale na ogół nie próbowali. Ptaki bardzo szybko wyczuwały takie intencje i odpowiednio reagowały.

Kutry rybackie stały beczynnie na cumach w San Pedro i Gloucester. Ryby były żywymi organizmami. Farmerzy klęli i złorzeczyli, a w końcu ginęli bezskutecznie usiłując zebrać plony.

Zboże żyło, a tym samym zasługiwało na ochronę. Kartofle były dla ptaków nie mniej ważne niż jakikolwiek inny żywy organizm. Śmierć żdźbła trawy równała się zamordowaniu prezydenta... dla ptaków.

No i oczywiście pewne urządzenia mechaniczne też były żywymi istotami. Wynikało to z faktu, że ptaki będąc maszynami - żyły.

Niech cię Bóg broni, żebyś maltretował na przykład radio. Wyłączenie odbiornika jest równoznaczne z zabójstwem. Nic dziwnego: głos cichnie, lampy gasną - radio stygnie.

Ale ptaki, jak mogły, wywiązywały się i z innych obowiązków. Wilk padał martwy atakując królika. Królik zdychał chrupiąc zieleninę. Pnącza ulegały spopieleniu, nim zdążyły opleść drzewo.

Motyl ginął przysiadłszy na róży.

Oczywiście interwencja ptaków miała charakter wyrywkowy - było ich za mało. Nawet miliard ptaków nie był w stanie zrealizować tak ambitnego i kosztownego przedsięwzięcia. Efekt był taki, że dziesięć tysięcy bezsensownych, obdarzonych morderczą siłą piorunów szalało w całym kraju uderzając po tysiąc razy dziennie. Piorunów, które potrafiły uprzedzić każdy twój ruch i zniszczyć za same intencje.

- Panowie - zebrał pełnomocnik rządu - błagam was, pospieszcie się.

Siedmiu producentów ptaków ucichło.

- Zanim formalnie rozpoczniemy tę naradę - powiedział prezes firmy Monroe - chciałbym coś powiedzieć: my nie czujemy się odpowiedzialni za ten przykry stan rzeczy. To rząd wystąpił z tym programem. I dlatego rząd musi ponieść za to odpowiedzialność zarówno moralną, jak i finansową.

Gelsen wzruszył ramionami. Trudno wprost było uwierzyć, że ci ludzie jeszcze parę tygodni temu oczekiwali laurów jako wybawiciele świata. Teraz, kiedy ponieśli fiasko, chcieli jak najprędzej zrzucić z siebie odpowiedzialność.

- Nie czas dzisiaj zajmować się tą sprawą - odparł stanowczo pełnomocnik rządu. - Musimy się przede wszystkim pospieszyć. Wy, inżynierowie, wykonaliście wspaniałą robotę. Jestem z was dumny; zdaliście egzamin w tej trudnej sytuacji. Możecie przystąpić do realizowania przyjętego planu.

- Chwileczkę odezwał się Gelsen.

- Nie mamy ani chwili do stracenia.

- Ale ten plan jest niedobry.

- Pan się obawia, że może się okazać nieskuteczny?

- Nie. Obawiam się, że kuracja będzie znacznie szkodliwsza niż sama choroba.

Obecni popatrzyli na Gelsena, jakby go chcieli udusić. Ale Gelsem nie tracił czasu.

- Czy nie wystarczy wam ta nauuczka, którą dostaliśmy? - zapytał. - Nie rozumiecie, że rozwiązanie ludzkich problemów leży nie w mechanizacji?

- Panie Gelsen - rzekł prezes firmy Monroe - pańskie filozofowanie jest może bardzo interesujące, ale niestety tymczasem giną ludzie. Plony niszczeją. W niektórych okolicach kraju panuje już głód. Ptaki należy zlikwidować natychmiast.

- Zbrodnię też. O ile dobrze pamiętam, wszyscy się co do tego zgodziliśmy. Ale nie w ten sposób

- Co pan proponuje wobec tego? - zapytał pełnomocnik rządu.

Gelsen zaczerpnął tchu. To, co miał zamiar powiedzieć, wymagało maksymalnej odwagi.

- Niech się ptaki same wyczerpią - zaproponował. Wrzawa, jaka wybuchła w tej chwili, przypominała rozruchy uliczne. Uspokoił ją dopiero przedstawiciel rządu.

- Wyciągnijmy z tej lekcji jakieś wnioski - nie ustępował Gelsen. - Przyznajmy, że myliliśmy się próbując rozwiązywać ludzkie problemy za pomocą środków mechanicznych. Zaczniemy od nowa.

Używajmy maszyn, owszem, ale nie jako sędziów, nauczycieli, ojców.

- To śmieszne - rzekł przedstawiciel rządu. - Pan jest przemęczony. Niech pan uważa na słowa. -

Odchrząknął. Panowie są proszeni o przystąpienie do realizacji planu, który przedłożyliście prezydentowi. - Spojrzał ostro na Gelsena. - Niezastosowanie się do tego polecenia będzie potraktowane jako zdrada stanu.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy - odparł Gelsen.

- W porządku. W ciągu tygodnia postanowienia przyjęte na tej naradzie muszą zostać wykonane.

Gelsen sam wyszedł z sali. Znów był w rozterce. Ma rację czy tylko sobie coś ubzdurał? Trzeba przyznać, że nie wytłumaczył zbyt jasno, o co mu chodzi.

I czy w ogóle wie, o co mu chodzi?

Zaklął pod nosem. Zastanawiał się, dlaczego nigdy niczego nie może być pewien. Czyż nie istnieją wartości, przy których rzeczywiście warto byłoby obstawać?

Pospiesznie udał się na lotnisko i wrócił do swoich zakładów.

Ptak właściwie nie działał już dobrze. Wiele spośród jego delikatnych części uległo zniszczeniu od stałego użycia. Ale dzielnie zareagował na bodziec.

Pająk atakował właśnie muchę. Ptak śmignął w dół.

W tej samej chwili wyczuł coś nad sobą i pospieszył na spotkanie intruza.

Rozległ się głośny trzask i koło skrzydła ptaka nastąpiło wyładowanie. Ptak z wściekłością wysłał falę porażającą. Napastnik doznał poważnego wstrząsu. Ponownie strzelił w ptaka ładunkiem elektrycznym, tym razem uszkadzając mu skrzydło. Ptak odleciał, ale wróg, nie przestając strzelać ładunkami elektrycznymi, pomknął za nim z niesłychaną szybkością.

Ptak runął na ziemię, ale zdążył jeszcze nadać: Uwaga! Żywym organizmom zagraża nowe niebezpieczeństwo, jak dotąd najgroźniejsze! Ptaki w całym kraju zarejestrowały tę wiadomość. Ich układy myślenia gorączkowo poszukiwały odpowiedzi.

- Szefie, dzisiaj zestrzeliły pięćdziesiąt - rzekł Macintyre wchodząc do gabinetu Gelsena.

- Wspaniale - odparł Gelsen nie patrząc w stronę inżyniera.

- Nie tak znowu wspaniale - Macintyre usiadł. Jestem wykończony. Wczoraj było siedemdziesiąt dwa!

- Wiem - na biurku Gelsena leżało kilkadziesiąt pozwów do sądu, które odsyłał z listami do kancelarii prezydenta. - One znów odżyją - powiedział Macintyre konfidencjonalnie. - Jastrzębie zostały tak skonstruowane, by je strącać. Są silniejsze od ptaków, szybsze i lepiej uzbrojone.

Prędkośmy się z nimi uwinęli, co?

- Jasne.

- Ale ptaki też są dobre - Macintyre musiał przyznać. Nauczyły się już ukrywać. I w ogóle próbują różnych sztuczek. Pamiętaj o tym, że każdy ptak, zanim spadnie, przekazuje innym jakąś wiadomość.

Gelsen nie odpowiedział.

- Ale wszystko to, co potrafią ptaki, jastrzębie potrafią jeszcze lepiej - powiedział Macintyre wesoło. - Jastrzębie mają układy uczenia specjalnie nastawione na polowanie. Są elastyczniejsze od ptaków. I szybciej się uczą.

Gelsen wstał ponuro, przeciągnął się i podszedł do okna. Niebo było czyste. Jego niepokoje już się skończyły. Dobrą czy złą - ale w każdym razie podjął jakąś decyzję.

- Powiedz mi - odezwał się do Macintyre'a - na co będą polowały jastrzębie, jak już postracają wszystkie ptaki?

- Co? - zapytał Macintyre. - A dlaczego...

- Żeby mieć spokojną głowę, trzeba by na dobrą sprawę wynaleźć z kolei jakieś urządzenie do strącania jastrzębi. To znaczy na wszelki wypadek.

- Czy myślisz...

- Wiem tylko, że jastrzębie działają na zasadzie samokontroli, tak jak ptaki. Toczyły się długie spory na temat zdalnego sterowania. Uznano, że ten system byłby zbyt powolny. A ptaki z samego założenia miały być szybkie. Czyli tym samym bez układów ograniczających.

- Można by coś wykombinować... - rzekł Macintyre niepewnie.

- W tej chwili mamy w powietrzu maszyny agresywne. Mordercze. Przedtem mieliśmy maszyny antymordercze. Nasze następne urządzenie w jeszcze większym stopniu będzie musiało być samodzielne, prawda?

Macintyre nie odpowiedział.

- Wcale nie uważam, żebyś to ty był odpowiedzialny za to wszystko - rzekł Gelsen. -

Odpowiedzialny jestem ja. My wszyscy.

Na niebie ukazała się szybko powiększająca się plamka.

- Takie są skutki - powiedział Gelsen - powierzania maszynom spraw, których rozwiązanie

należało właściwie do nas.

Wysoko na niebie jastrząb krążył nad ptakiem. Wiele nauczyła się w ciągu paru dni ta śmiercionośna maszyna. Jediną jej funkcją było zabijanie. Teraz cała jej działalność skierowana była przeciwko pewnemu określone mu typowi żywego organizmu, metalowego jak ona sama. Ale jastrząb zdążył już odkryć, że istnieją również inne rodzaje żywych organizmów, które należy mordować.

przekład : Zofia Uhrynowska

Pułapka

Samish, potrzebuję twojej pomocy! Sytuacja staje się niebezpieczna. Czy możesz przybyć natychmiast?

Miałeś rację. Ziemianie to istoty podstępne i nieodpowiedzialne. I nie są takimi głupcami, na jakich wyglądają. Zaczynam wierzyć, że subtelność czulek nie jest jedynym kryterium inteligencji.

Jakiż żałosny zamęt, Samish! A mój plan wydawał się przecież bezbłędny!

Ed Dailey spostrzegł o parę kroków od chaty coś metalowego. Ale był jeszcze zanadto zaspany, żeby chciało mu się podejść i obejrzeć to z bliska.

Zbudził się wkrótce po świcie i wyszedł na palcach, żeby rzucić okiem na niebo.

Przez całą noc lało jak z cebra i teraz deszcz ściekał z liści drzew pobliskiego lasu. Samochód wyglądał jak porzucony wrak, a ścieżka tonęła w błocie.

Na progu chaty stanął w piżamie jego przyjaciel, Thurston. Jego okrągła twarz, spokojna jak u Buddy, była nabrzmiała od snu.

- Zawsze leje w pierwszym dniu wakacji - oświadczył. - Takie już prawo natury.

- Dobry czas na łowienie pstrągów - poddał Dailey. - Raczej na to, żeby rozpaścić ogień na kominku i napić się czegoś rozgrzewającego.

Od jedenastu lat dwaj przyjaciele przywykli spędzać razem jesienny urlop, choć z różnych

powodów.

Dailey namiętnie kochał wszystko, co należało do ekwipunku. Sprzedawcy sklepów z artykułami sportowymi odziewali go w przedziwne skafandry, w jakich można by tropić na szczytach ślady śnieżnego człowieka.

Sprzedawali mu małe, cudowne kochery, które nie gasły podczas najgwałtowniejszych huraganów, a także wspaniałe noże z najlepszej szwedzkiej stali.

Dailey lubił nosić u pasa płaską manierkę, a na ramieniu karabinek z niebieskiej stali. Co prawda karabinek rzadko służył do innych celów niż do otwierania puszek z konserwami. Albowiem na przekór swym marzeniom, Dailey był człowiekiem spokojnym i muchy by nie skrzywdził.

Jego otyły przyjaciel Thurston miał skłonność do zadyszki i zawsze potrafił znaleźć dla siebie najlżejszą wędkę i najmniejszy plecak. Zawsze z początkiem drugiego tygodnia urlopu umiał tak pokierować polowaniem, żeby znaleźć się nad brzegami jeziora. Były tam małe, wygodne knajpki, w których Thurston nareszcie czuł się znowu w swoim żywiole.

Te odrobiny sportu były raczej wskazane dla dwóch ludzi z za biurka - koło czterdziestki, nieco już ociężałych i przygarbionych. Wracali brązowi i odświeżeni, z nowym zapałem do pracy i z odnowioną czułością dla swych drogich małżonek.

- No to chodźmy się napić - zgodził się Dailey, nie dając się długo prosić. - Hola, a cóż to takiego? spojrzal na metalowy przedmiot przed chatką.

Rozsunawszy wysoką trawę, znalazł się wobec czegoś w rodzaju szkieletu zbudowanego z metalowych płaskich listewek, którego górną część można było usunąć. Na jednej z owych listewek znajdował się napis: SIDŁA - PUŁAPKA.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- To nie ja, zapewniam cię.

Dailey odkrył małą, plastikową etykietkę, zawieszoną z boku aparatu. Zdjął ją i przeczytał:

Drogi przyjacielu, przedstawiamy ci oto SIDŁA - PUŁAPKĘ o nowej, rewolucyjnej konstrukcji.

Ażeby zapoznać publiczność z naszymi SIDŁAMI, ofiarowujemy ten egzemplarz całkowicie bezpłatnie! Z pewnością potrafi pan ocenić ten specjalny i z niczym nieporównywalny system chwytania malej zwierzyny, pod warunkiem, że zastosuje się pan dokładnie do instrukcji podanych na odwrocie. Życzymy powodzenia i pomyślnego polowania!

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Myślisz, że oni postawili to tutaj w nocy? - spytał Dailey.

- Nie wiem.

- Co! Nie interesuje cię to?

- Jeżeli mam być szczery, niespecjalnie. Jeszcze jeden z ich reklamowanych "cudów". Jest tego na tuziny. Sidła na niedźwiedzie firmy Abererombie Fitch. Pułapka na jaguary firmy Battler. Przynęta na krokodyle firmy...

- Ale nigdy jeszcze nie widziałem sideł tego rodzaju rzekł Dailey w zamyśleniu. - Niezła reklama, tak to tutaj zostawić.

- Potem ci przyślą rachunek - cynicznie odparł Thurston. - Idę robić śniadanie. Ty zajmij się naczyniem.

Wrócił do chaty, podczas gdy Dailey studiował notatkę wydrukowaną na odwrocie etykiety:

Należy umieścić SIDŁA - PUŁAPKĘ na polance i łańcuchem, przymocowanym do kadłuba aparatu, przywiązać je do najbliższego drzewa. Nacisnąć guzik nr 1, umieszczony w podstawie.

Teraz wasze SIDŁA są odbezpieczone. Należy odczekać pięć sekund i nacisnąć guzik nr 2. Teraz wasze SIDŁA funkcjonują. Następnie należy już tylko czekać. A potem naciśnijcie guzik nr 3.

Otwórzcie SIDŁA i wyjmijcie ZDOBYCZ.

Uwaga! SIDŁA muszą być stale zamknięte, z wyjątkiem chwili, w której wyjmuje się

ZDOBYCZ. Nie ma potrzeby otwierania SIDEŁ po to, aby mogły ZDOBYCZ schwytać, gdyż

funkcjonują one na zasadzie ultraosmozy i wciągają ZDOBYCZ za pomocą bezpośredniej indukcji.

- Fiu! Czego to ludzie nie wymyślą! - gwizdnął Dailey z podziwem.

- Śniadanie gotowe! - zawołał Thurston.

- Pomóż mi najpierw zainstalować pułapkę.

Thurston, ubrany teraz w szorty i w pstrą koszulę, wyszedł z chaty i patrzył na pułapkę z powątpiewaniem.

- Nie sądzisz, że lepiej byłoby tego nie ruszać?

- Ależ dlaczego? A może złapie się lis, kto wie?

- A po co chcesz złapać lisa?

- Żeby go wypuścić! Cała przyjemność polega na schwyтaniu... Pomóż mi to podnieść.

Sidła były zdumiewająco ciężkie. We dwóch za ledwie mogli je odciągnąć o pięćdziesiąt metrów od chaty. Dailey przywiązał je do jodły, a potem nacisnął guzik nr 1. Sidła zaczęły wydawać lekki blask. Thurston, zaniepokojony, cofnął się o krok.

Po pięciu sekundach Dailey nacisnął drugi guzik.

Las ociekał kroplami deszczu po ostatniej ulewie. Wśród drzew przebiegały wiewiórki, a długie trawy poruszały się aksamitnym szmerem. Sidła leżały nieruchomo, ich szkielet lekko fosforyzował.

- Chodźże - powiedział Thurston. - Jajecznicza wystygnie.

Samish, gdzie jesteś? Coraz pilniej cię potrzebuję. Moja mała planetoida została przewrócona do góry nogami!

Jesteś moim przyjacielem, Samish, jesteś przyjacielem mojego dzieciństwa, świadkiem mojego ślubu. Jesteś też przyjacielem mojej pięknej Fregel. Liczę na ciebie.

Nie spóźnij się.

Ziemia nie uznała moją pułapkę za zwykłe sidła i nic ponadto. I natychmiast jej użyli, tak jak

oczekiwałem. Niewiarygodna ciekawość tych istot jest przecież znana.

Tymczasem moja żona przyjechała do mnie wesoła, szczęśliwa, że opuściła miasto. Wszystko składało się doskonale.

Podczas śniadania otyły Thurston, wdając się w uczone szczegóły, tłumaczył z przekonaniem, że sidła nie mogą funkcjonować, skoro się ich nie otworzy, tak żeby zdobycz w nie wpadła. Chudy Dailey uśmiechał się pobłaźliwie i opowiedział mu o osmozie i przenikaniu. Gdy już pomyli i osuszyli naczynia, poszli poprzez wilgotną, elastyczną łąkę w stronę sideł.

- Patrz! - wykrzyknął Dailey.

W sidłach coś było, coś przedziwnego, co miało wielkość królika, lecz w kształcie i kolorze przypominało zielone jabłko. "Zwierzę" miało wydłużone oczy na końcu wystających czulek i wyciągało ku nim kleszcze jak u kraba.

- Już nigdy nie będę pił rumu przed śniadaniem oświadczył Thurston. - Od jutra. Daj mi manierkę.

Pociągnął obfitą porcję, a potem znów spojrział na istotę zamkniętą w pułapce.

- Brrr!

- To musi być jakiś nowy okaz - powiedział Dailey. - Okaz koszmarny, w każdym razie. Co byś powiedział na to, żeby raczej przenieść się nad jezioro i zapomnieć o tym wszystkim?

- Nie ma mowy. Nawet w książkach zoologicznych nigdy nie widziałem niczego, co by było do tego podobne. Jakaś rasa nie znana uczonym. Gdzie to schować?

- Schować?!!

- Oczywiście. Nie można przecież zostawić tego w sidłach. Trzeba zbudować jakąś klatkę i zastanowić się nad tym, co toto może jeść.

Twarz Thurstona straciła swój zwykły spokojny wyraz. - Posłuchaj, Ed. Nie mam najmniejszego zamiaru spędzić moich wakacji z czymś podobnym. Może to jest jadowite, a jestem zupełnie

pewien, że jest brudne. - Złapał oddech i ciągnął: - To coś, co jest w tych sidłach, nie jest normalne.

To jest... to jest nieludzkie.

Dailey zaśmiał się szyderczo:

- Tak samo właśnie mówiono o pierwszym samochodzie Forda i o żarówce Edisona. Te sidła są nowym świadectwem postępu i wiedzy.

- Nie jestem bynajmniej przeciwny postępowi - zaprotestował Thurston - ale myślę...

- Powiesz mi później. Najpierw zbudujmy klatkę i znowu nastawmy sidła.

Thurston coś mruknął, ale poszedł za nim.

Dlaczego jeszcze cię tu nie ma, Samish!

Czy nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji? Pomyśl o swoim starym przyjacielu! Pomyśl o pięknej Fregel, o lśniącej sierści, którą kocham, dla której zaryzykowałem tę całą awanturę.

Przynajmniej daj mi odpowiedź.

Ziemianie użyli sideł, które - rzecz jasna - nie były żadnymi sidłami, lecz przekaźnikiem materii.

Nadajnik ukryłem na planetoidzie i wysłałem trzy zwierzęta, które znalazłem w ogrodzie.

Ziemianie wydobywali je z przekaźnika, w miarę jak je wysyłałem, zastanawiam się po co. Ale

Ziemianie chowają wszystko, co znajdują. Gdy trzecie zwierzę zostało wysłane i nie wróciło, powiedziałem sobie, że wszystko gotowe.

Przygotowałem więc czwartą i ostatnią przesyłkę, tę jedynie ważną, wobec której wszystkie poprzednie były tylko manewrem przygotowawczym.

Znajdowały się w trzech klatkach odnalezionych w przybudówce przyległej do chaty. Thurston ze wstrętem patrzył na klatki. Każda z nich ukrywała jednego stwora.

- Pfuj! - mówił Thurston. - Cóż za zapach!

Pierwsza klatka zawierała pierwszą zdobycz, zwierzę wyposażone w czułki i w kleszcze jak u kraba. W następnej klatce znajdowała się istota latająca, zaopatrzona w trzy pary skrzydeł

pokrytych łuskami. W ostatniej coś, co można by nazwać wężem, gdyby nie to, że miało dwie głowy, po jednej z każdej strony. W klatkach znajdowały się poza tym miseczki z mlekiem, kawałkami mięsa, jarzyny, trawa i łupiny - lecz wszystko to było nietknięte.

- Nic nie chcą jeść - stwierdził Dailey ze smutkiem.

- Z pewnością są chore - zapewniał Thurston. Mogą rozsiewać bakterie. Powinniśmy się ich pozbyć, Ed! Dailey ze złością spojrział na przyjaciela.

- Czy nigdy nie marzyłeś o sławie, Tom?

- Hę?

- Tak, o sławie. O tym, że twoje nazwisko może być znane potomnym.

- Nigdy nie myślałem o czymś takim.

- Nigdy?

Thurston głupio się uśmiechnął.

- Ba! Któż nigdy nie marzył o sławie...? Ale do czego zmierzasz?

- Te stworzenia - cierpliwie wyjaśniał Dailey - są unikatami. Ofiarujemy je do muzeum.

- Ach! - krzyknął Thurston.

- Wystawa Daileya i Thurstona... Wystawa istot nie znanych aż po dzień dzisiejszy...

- Może nadadzą im nasze imiona - ożywił się Thurston. - Ostatecznie to myśmy je odkryli.

- Będą musieli to zrobić. I nasze imiona przejdą do potomności, obok imion Linneusza, Darwina i Kolumba.

- Hm! - chrząknął Thurston, zatopiony w myślach. Pewnie masz rację. Zajęłoby się tym Muzeum Historii Naturalnej. Zorganizują wystawę...

- Myślałem nie tylko o wystawie... Myślałem raczej o całym oddziale muzeum... oddział Daileya i Thurstona. Thurston patrzył na przyjaciela ze zdumieniem. W tym Daileyu tkwiły głębie, których nigdy by nie podejrzewał. - Ed, ale my dysponujemy tylko trzema okazami. A trzema okazami nie

zapełnimy całego oddziału. .

- Tam, skąd przybyły te trzy, są z pewnością i inne. Chodźmy spojrzeć na sidła.

Tym razem w sidłach tkwiła istota wysoka prawie na metr, o małej zielonkawej głowie i z rozwidlonym ogonem. Miała około tuzina czulek, którymi poruszała z furją.

- Tamte były łagodniejsze - zauważył Thurston z niepokojem. - Ta może być niebezpieczna.

- Schwytamy ją w sieć - zdecydował Dailey. - A potem zredagujemy raport dla muzeum.

Naprawdę z wielkim trudem udało im się wcisnąć zwierzę do klatki. Znowu nastavili sidła i

Dailey wysłał do muzeum Historii Naturalnej telegram tej treści:

ODKRYLIŚMY CO NAJMNIJ CZTERY ZWIERZĘTA KTÓRE JAK SĄDZĘ, NALEŻĄ DO
NIEZNANYCH GATUNKÓW STOP CZY DYSPONUJECIE MIEJSCEM NA EKSPOZYCJĘ
STOP POSTARAJCIE SIĘ ZARAZ KOGOŚ DO NAS PRZYSŁAĆ.

Później, na prośbę Thurstona, przesłał jeszcze do Muzeum szczegółowe opisy istot; a to po to, żeby nie wzięto go za jakiegoś żartownisia.

Tego samego popołudnia Dailey wyłożył Thurstonowi swoją teorię. W tych stronach musiała istnieć jakaś izolowana okolica, w której zachowały się do dziś zwierzęta przedhistoryczne. Nie schwytano ich nigdy przedtem z tego prostego powodu, że ze względu na swój wiek nabyły one niezwykłej przezorności i doświadczenia. Ale te sidła, działające na zupełnie nowej zasadzie osmozy, okazały się silniejsze od ich przezorności i sprytu.

- Jednakże te strony zostały chyba zbadane - oponował Thurston.

- Jak się okazało, niewystarczająco - odparł Dailey z niezbitą logiką.

Gdy wieczorem poszli do sideł, były puste.

Musiałem cię źle słyszeć, Samish. Może zechcesz trochę powiększyć wolumen. Albo jeszcze lepiej: przyjdź tutaj sam. Po co mnie wywołujesz? Nie jest to dla mnie zbyt wielką pomocą. Moja sytuacja jest coraz bardziej rozpaczliwa.

Co, Samish? Koniec historii? Po wysłaniu trzech zwierząt przez przekaźnik byłem gotów.

Nadszedł czas, abym poszukał mojej żony.

Koniec końców poprosiłem ją, żeby poczołgała się ze mną trochę po ogrodzie. Była zachwycona.

- Powiedz mi, najdroższy - spytała - czy ostatnio nic cię nie dręczy?

- Uhm - odparłem.

- Czy może ja zrobiłam ci jakąś przykrość?

- Ależ nie, kochanie, ty jesteś zupełnie w porządku ... Na nieszczęście, okazuje się, że to nie wystarcza. Mam zamiar ożenić się z kimś innym.

Na chwilę jakby skamieniała, jej czułki poruszały się nieskoordynowanie. Potem zawołała:

- Fregel!

- Tak - powiedziałem. - Cudowna Fregel zgodziła się dzielić mój dom.

- Ależ... zapominasz, że połączyliśmy się na całe życie. - Wiem. Tym gorzej dla ciebie, że wspomniałaś o tym drobiazgu.

I w zwykły sposób wysłałem ją przez przekaźnik materii. Och, Samish, żebyś mógł ją zobaczyć!

Konwulsyjnie ruszała czułkami, wrzeszczała... a potem znikła.

Nareszcie jestem wolny! Czuję do siebie trochę wstrętu, lecz jestem wolny! Wolny, aby poślubić Fregel!

Mam nadzieję, że oceniasz doskonałość mego planu. Wystarczyło mi się upewnić co do współpracy Ziemian, co do tego, że przekaźnik materii będzie obsługiwany z obu stron.

Podrzuciłem go im jako sidła, bo Ziemianie nie wierzą w byle co. I w końcu wysłałem im swoją żonę. Może jakoś spróbują z nią żyć! Ja już dłużej nie mogłem! Mój plan był absolutnie niezawodny! Nikt nigdy nie znajdzie ciała mojej żony! Ziemianie zawsze chowają wszystko, co znajdują. Nikt nie będzie mi nigdy mógł niczego dowieść.

Otoczenie małej chaty straciło swój spokojny, wiejski wygląd. Ślady opon krzyżowały się tam i

z powrotem na błotnistej ścieżce. Ziemia była zasłana żarówkami fleszów, pudełkami od papierosów, papierkami od cukierków. Ale po kilku godzinach szalonego ruchu wszyscy odjechali. Zostało tylko niewyraźne rozgoryczenie.

Dailey i Thurston stali przed pustymi sidłami, patrząc na nie z rozpaczą.

- Co się stało tej przeklętej maszynie? - spytał Dailey i z wściekłością kopnął aparat.

- Może po prostu nie ma już nic więcej do schwytania - mówił Thurston.

- To niemożliwe. Dlaczego mogła schwycić cztery nieznane zwierzęta, a potem nagle już nic?

Ukląkł przy sidłach i dodał z goryczą:

- Co za idioci, ci faceci z muzeum! I dziennikarze!

- Szkoda, że w chwili, kiedy te typki z muzeum przyjechały, zwierzęta były już nieżywe. To musiało im się wydawać podejrzane.

- Te głupie stworzenia nie chciały jeść. Nic na to nie poradzę. To zupełnie nie jest moja wina! Już nie mówię o dziennikarzach... Sądziłem, że nasze wielkie gazety przyślą trochę inteligentniejszych reporterów.

- Same zwierzaki byłyby wystarczającą sensacją. Nie powinienem był obiecywać, że złapiesz jeszcze inne zwierzęta. Od tej chwili zaczęli posądzać nas, że opowiadamy im zmyślane historyjki; w nasze sidła nic już nie wpadło.

- Naturalnie, że obiecałem! Skąd mogłem wiedzieć, że ta przeklęta maszyna zatrzyma się za czwartym razem! I czemu oni, do diabła, się śmiali, kiedy im mówiłem o osmozie?

- Nic z tego nie zrozumieli - odparł Thurston znużonym tonem. - Wiesz, w gruncie rzeczy myślę, że nikt nigdy nie rozumie nic z tego, co się do niego mówi. Jedźmy nad jezioro i zapomnijmy o tym wszystkim.

- Nie! Ten aparat musi zacząć działać! Musi!

Dailey odbezpieczył sidła i nastawił je, a potem obserwował je przez kilka sekund. Wreszcie

otworzył ruchomy wierzch.

Wsunął rękę do środka i krzyknął:

- Moja ręka! Nie mam jej! Straciłem rękę! Odskoczył do tyłu.

- Ależ masz ją, spójrzże - odrzekł Thurston uspokajająco.

Dailey patrzył na swoje obie ręce i pocierał jedną o drugą, lecz upierał się przy swym twierdzeniu.

- Moja ręka zniknęła we wnętrzu sideł, zapewniam cię. - Tak, tak - łagodnie potakiwał Thurston.

- Myślę, że mały odpoczynek nad jeziorem znakomicie ci zrobi.

Dailey znowu pochylił się nad sidłami i zanurzył w nie rękę. I ręka zniknęła. Zanurzył ją głębiej i spostrzegł, jak jego ramię znika aż do barku. Spojrzał na Thurstona z uśmiechem triumfu.

- Rozumiesz już teraz, jak to działa - rzekł. - Te zwierzęta nie przyszły tutaj z niezbadanej okolicy.

- Więc skąd?

- Stamtąd, gdzie w tej chwili znajduje się moja ręka, gdziekolwiek by to było... Chcą innych zwierząt, co? Uważają mnie za łgarza, he? Ja im pokażę!

- Ed, nie rób tego! Nie wiesz, czy...

Ale Dailey włożył tym razem nogi do sideł. I nogi zniknęły. Powoli pogrążał się w sidłach całym ciałem. Wkrótce widać mu już było tylko głowę.

- Życz mi powodzenia - rzekł do Thurstona. - Ed!

Dailey zacisnął nozdrza, zanurzył się i znikł.

Samish, jeśli natychmiast nie przyjdiesz, będzie już za późno. Nie mogę dłużej porozumiewać się z tobą. Olbrzymi Ziemiąnin zupełnie splądrował moją planetoidę. Co mu tylko wpada w rękę, wysyła przez przekaźnik. Wszystko jest w ruinie. Samish, ten potwór chce mnie schwytać jako okaz nieznanego gatunku! Nie ma ani chwili do stracenia!

Samish, co cię właściwie zatrzymuje? Ciebie, mojego najlepszego przyjaciela???

Co? Samish? Co ty mówisz? Ty i Fregel? Nie, nie mówisz tego poważnie! Opamiętaj się,

Samish! Przez wzgląd na naszą przyjaźń!

przekład : TOP

Raj II

Stacja kosmiczna krążyła wokół swojej planety i czekała. Prawdę mówiąc, była to stacja pozbawiona inteligencji, gdyż ta nie była jej niezbędna. Miała jednak świadomość, pewne odruchy, skłonności i reakcje.

Potrafiła sobie radzić. Jej zadania wpisane zostały w strukturę mechanizmów, zapamiętane w obwodach i sieciach rurociągów. Być może w maszynerii pozostało nieco emocji towarzyszących jej budowie - szalonych nadziei, obaw, gwałtownego wyścigu z czasem.

Ale nadzieje szczyły, wyścig został przegrany i w przestrzeni pozostała wielka machina, nie dokończona i bezużyteczna. Miała jednak świadomość, pewne odruchy, skłonności i reakcje.

Potrafiła sobie radzić. Wiedziała, co jest jej potrzebne. Krążyła więc w przestrzeni, czekając na brakujące komponenty.

W rejonie Bootes dotarli do małego ciemnoczerwonego słońca i kiedy statek się obrócił, Fleming spostrzegł, że jedna z planet ma rzadko spotykaną błękitnozieloną barwę Ziemi.

- Spójrz na nią! - krzyknął, odwracając się od tablicy przyrządów, a jego głos aż rwał się z podniecenia. Ziemiopodobna! Howard, ona jest ziemiopodobna! Zbijemy na niej majątek!

Howard wolno wyszedł z kuchni, gryząc owoc avocado. Był mały, łysy i z godnością nosił wydatny brzusek rozmiarów sporego arbuza. Nie ukrywał irytacji, gdyż oderwano go od obiadu.

Howard uwielbiał gotowanie i gdyby nie został biznesmenem, byłby z pewnością kuchmistrem. W czasie wyprawy jadali doskonale, gdyż Howard świetnie sobie radził z pieczonymi kurczakami, serwował pieczeń w sosie własnego pomysłu, szczególną biegłość zaś wykazywał w

przygotowaniu sałatki a la Howard.

- Być może i jest ziemiopodobna - rzekł, obojętnie spoglądając na błękitnozieloną planetę.

- Oczywiście, że jest - odparł Fleming.

Fleming był młody i zbyt, jak na człowieka zajmującego się podróżami kosmicznymi, przepełniony entuzjazmem. Pomimo wysiłków Howarda był wychudzony, a jego marchewkowe włosy w nieładzie opadały na czoło. Howard tolerował go nie tylko dlatego, że Fleming świetnie sobie radził ze statkami kosmicznymi i ich napędami, ale przede wszystkim dlatego, że Fleming miał głowę do interesów. Głowa do interesów zaś stanowiła najważniejszą rzecz w przestrzeni kosmicznej, gdyż tutaj już zwykle zbudowanie statku kosztowało małą fortunę.

- Żeby tylko nie była zamieszкана. - Fleming wypowiadał słowa swej entuzjastyczno-handlowej modlitwy. - Żeby cała należała do nas. Do nas, Howard! Ziemiopodobna planeta! Boże, za samą powierzchnię możemy dostać majątek, nie mówiąc już o prawach eksploatacji minerałów, prawach budowy stacji paliwowych i tylu innych rzeczach.

Howard przełknął ostatni kawałek avocado. Ten młody Fleming wiele się jeszcze musi nauczyć. Odkrywanie planet i handel nimi było biznesem, takim samym jak uprawa i handel pomarańczami. Z małą różnicą, oczywiście: pomarańcze nie są niebezpieczne, a planety bywają. A jednak pomarańcze nie przynoszą takich dochodów, jakie można uzyskać z planet.

- Wylądujemy zaraz? - spytał Howard. - Tylko ta stacja kosmiczna przed nami nasuwa mi wniosek, że mieszkańcy mogą uważać, iż to ich planeta.

Fleming spojrzał. Rzeczywiście, stacja kosmiczna, poprzednio przysłonięta przez planetę, kołysała się przed ich oczami.

- Do licha - powiedział Fleming, a jego wąska, piegowata twarz wykrzywiła się w grymasie. - Jest więc zamieszкана. Czy sądzisz, że moglibyśmy...

Nie dokończył zdania, ale rzucił okiem na celownik wyrzutni.

- Hm... - Howard spojrział na stację, szacując jej poziom techniczny, a potem popatrzył na planetę. Z żalem potrząsnął głową. - Nie, nie tym razem.

- No, dobrze - odparł Fleming. - Mamy przynajmniej pierwszeństwo w koncesjach handlowych. -

Wyjrzał ponownie przez luk i złapał Howarda za ramię: - Spójrz... ta stację!

W poprzek starej metalicznej powierzchni kuli mrugały jasne światła.

- Co to może znaczyć? - spytał Fleming.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział mu Howard i z kosmosu nigdy się tego nie dowiemy. Dobrze byłoby wylądować na planecie, jeśli nikt nas nie spróbuje powstrzymać.

Fleming przytaknął i przełączył napęd na sterowanie ręczne. Przez kilka chwil Howard go obserwował.

Tablica przyrządów roiała się od zegarów, przełączników i wskaźników; metalowych, plastikowych i kwarcowych.

Fleming zbudowany był z krwi i kości. Wydawało się więc niemożliwe, by istniał jakiś bliższy związek między tymi różnymi substancjami. A jednak Fleming zdawał się wcielać w tablicę przyrządów. Jego oczy przebiegały tarcze zegarów z precyzją automatu, jego palce stawały się przedłużeniem przełączników. Metal miękł w jego dłoniach i poddawał się jego woli. Kwarcowe wskaźniki błyskały czerwienią i oczy Fleminga również płonęły czerwono, przy czym nie było to wyłącznie odbicie światła wskaźników.

W końcu weszli na orbitę hamowania. Howard usadowił się wygodnie w kuchni. Obliczył zużycie paliwa, żywności i amortyzację statku. Do otrzymanej sumy dodał na wszelki wypadek jedną trzecią i zanotował w księgach. Może później przydać się przy płaceniu podatku dochodowego.

Wylądowali na peryferiach miasta i czekali na miejscowych celników. Nikt nie przybył.

Wykonali standardowe pomiary składu atmosfery i testy mikrobiologiczne i nadal czekali. Wciąż

nikt nie nadchodził. Kiedy minęło pół dnia, Fleming odblokował luk i ruszyli w stronę miasta.

Pierwsze szkielety, rozrzucone wzdłuż zrytej bombami, betonowej drogi, wprawiły ich w osłupienie - wyglądało to tak niechlujnie. Jakież cywilizowany naród zostawia szkielety na drogach?

Dlaczego nikt tego nie uprzątnął?

Miasto było wyłącznie zamieszkane przez szkielety; tysiące i miliony stłoczone w rozsypujących się teatrach, leżące w drzwiach zaśmieconych sklepów, porozrzucone wzdłuż poszarpanych pociskami ulic.

- Musiała tu być wojna - inteligentnie stwierdził Fleming.

W centrum miasta znaleźli plac defilad, na którym szereg za szeregiem leżały na trawie umundurowane szkielety. Trybuna wypełniona była szkieletami oficjeli, szkieletami generałów, szkieletami ich żon i rodziców. Za trybuną zebrały się szkielety dzieci chcących obejrzeć defiladę.

- Zgadza się, wojna - rzekł stanowczo Fleming i pokiwał głową. - Oni przegrali.

- To jasne - stwierdził Howard. - Ale kto wygrał?

- Co?

- Gdzie są zwycięzcy?

W tym momencie stacja przeleciała nad nimi i cień przemknął po milczących szeregach szkieletów. Obaj mężczyźni niepewnie popatrzyli w górę.

- Myślisz, że wszyscy nie żyją? - spytał Fleming z nadzieją w głosie.

- Myślę, że powinniśmy to sprawdzić.

Zawrócili do statku. Fleming zaczął pogwizdywać dla dodania sobie otuchy i kopnął kupkę pokrytych plamami kości, które stanęły mu na drodze.

- Trafiliśmy na żyłę złota - rzekł, szczerząc się do Howarda.

- Jeszcze nie - odparł Howard ostrożnie. - Ktoś mógł przetrwać... - dostrzegł spojrzenie Fleminga i roześmiał się mimo woli. - To jednak wygląda na udaną wyprawę.

Zwiedzali planetę bardzo krótko. Ten błękitnozielony ~~ świat był jednym wielkim cmentarzyskiem poranym bombami. Na każdym kontynencie miasteczka zamieszkałe były przez tysiące szkieletów, a wielkie metropolie - przez miliony. Na równinach i w górach leżały szkielety, szkielety były w jeziorach, w lasach, w dżunglach.

- Ależ tłumy - rzekł w końcu Fleming, gdy krążyli nad powierzchnią planety. - Ile, według ciebie, było tu mieszkańców?

- Oceniałbym to na jakieś dziewięć miliardów - odrzekł Howard.

- Co tu się mogło zdarzyć? Howard uśmiechnął się z wyższością.

- Są trzy klasyczne metody zagłady. Pierwsza to zniszczenie atmosfery trującym gazem.

Podobnie działają substancje radioaktywne, ale one niszczą również życie roślinne. Wreszcie istnieją zarazki sztucznie wyhodowane właśnie w celu atakowania całych populacji. Jeśli wymkną się spod kontroli, mogą zetrzeć wszystkich z powierzchni planety.

- Myślisz, że to właśnie zdarzyło się tutaj? - spytał Fleming z zainteresowaniem.

- Tak uważam - powiedział Howard wycierając jabłko o rękaw i gryząc je. - Nie jestem patologiem, ale te plamy na kościach...

- Zarazki - rzekł Fleming. Zakaszłał mimo woli. - Nie sądzisz, że...

- Już byś nie żył, gdyby nadal były aktywne. To wszystko musiało się wydarzyć kilkaset lat temu, sądząc po tych zwietrzałych szkieletach. Zarazki wymarły z braku ludzkich nosicieli.

Fleming pokiwał głową.

- Wszystko jak na zamówienie. No, przykro mi z powodu tych ludzi. Wojna i te wszystkie nieszczęścia. Ale planeta jest naprawdę nasza!

Spojrzał przez iluminator na leżące w dole urodzajne, zielone pola.

- Jak ją nazwiemy, Howard?

Howard popatrzył na pola, na dziczące pastwiska przylegające do betonowych dróg.

- Moglibyśmy nazwać Raj II - rzekł. - To miejsce powinno stać się prawdziwym rajem dla rolników.

- Raj II! Bardzo ładnie - powiedział Fleming. Chyba będziemy musieli wynająć ekipę, żeby usunęła te szkielety. Wyglądają zbyt niesamowicie.

Howard przytaknął. Było mnóstwo szczegółów, którymi musieli się zająć.

- Zrobimy to, kiedy już...

Stacja kosmiczna przeleciała nad nimi.

- Światła! - krzyknął nagle Howard.

- Światła? - Fleming spojrzał na oddalającą się kulę. - Były, kiedy przylecieliśmy. Pamiętasz?

Tamte błyskające światła?

- Słusznie - rzekł Fleming. - Myślisz, że ktoś w niej siedzi?

- Zaraz -to sprawdzimy - ponuro odparł Howard.

Zjadł resztę jabłka, a tymczasem Fleming skierował statek w stronę stacji.

Gdy do niej dotarli, zobaczyli inny statek kosmiczny przyczepiony do gładkiej, metalowej powierzchni stacji niczym pająk dla dzieci. Statek był mały, ledwie jedna trzecia ich pojazdu, i miał uchylony jeden luk.

Obaj mężczyźni, w skafandrach i hełmach, zatrzymali się obok luku. Fleming otworzył go.

Ostrożnie oświetlili wnętrze latarkami, zajrzeli i gwałtownie odskoczyli.

Potem Howard poruszył się niecierpliwie i Fleming zaczął wchodzić.

Wewnątrz było ciało ludzkie, na wpół wychylone z fotela pilota i na zawsze zamrożone w tej niestabilnej pozycji. Na twarzy zachowały się ślady przedśmiernej agonii, a skóra miejscami była aż do kości przeżarta przez jakąś chorobę.

Tylna część statku wypełniona była dziesiątkami drewnianych skrzynek. Fleming otworzył jedną i skierował strumień światła do środka.

- Żywność - stwierdził Howard.

- Pewnie próbował ukryć się w stacji - rzekł Fleming.

- Na to wygląda. Ale nie dotarł tam nigdy.

Szybko opuścili statek z uczuciem lekkiego obrzydzenia.

Szkielety były do przyjęcia. Stanowiły jakoś samą w sobie. Te zwłoki zaś zbyt wymownie przypominały o śmierci.

- Więc kto włączył światła? - spytał Fleming na powierzchni stacji.

- Może są tam automatyczne przekaźniki - niepewnie powiedział Howard. - Tu nikt nie mógł przeżyć.

Przeszli się po powierzchni stacji i znaleźli wejście.

- Wejdziemy? - spytał Fleming.

- Po co zawracać sobie głowę? - szybko odparł Howard. - Mieszkańcy wyginęli. Możemy wracać i ogłosić nasze prawa do planety.

- Jeśli choć jedna osoba tu przetrwała - przypomniał mu Fleming - zgodnie z prawem planeta należy do niej. Howard niechętnie się zgodził. Byłoby fatalnie, gdyby odbyli długą, kosztowną podróż na Ziemię, wrócili z ekipą badawczą i zastali kogoś gospodarującego sobie w stacji kosmicznej. Co innego, jeśli mieszkańcy przetrwaliby gdzieś w ukryciu na powierzchni planety. Ale człowiek w stacji, której nie chciało się im zbadać...

- Myślę, że musimy... - powiedział Howard i otworzył luk.

Wewnątrz panowały zupełne ciemności. Howard skierował światło swej latarki na Fleminga. W jej złotym blasku twarz Fleminga straciła wszelki wyraz, była jak maska wyrzeźbiona przez jakieś prymitywne plemię. Howard zamrugał, lekko przerażony tym widokiem, gdyż na chwilę twarz Fleminga pozbawiona była cech ludzkich.

- Powietrze nadaje się do oddychania - rzekł Fleming i natychmiast odzyskał swą osobowość.

Howard odrzucił do tyłu hełm i skierował światło w inną stronę. Wydało mu się, że pionowe ściany stacji chcą go zmiażdżyć. Sięgnął do kieszeni, znalazł rzodkiewkę i dla podniesienia morale włożył ją sobie do ust.

Ruszyli naprzód.

Przez pół godziny szli wąskim, krętym korytarzem, a światła ich latarek rozpraszały ciemność przed nimi. Metalowa podłoga, która wydawała się tak solidna, zaczęła skrzypieć i jęczeć od jakichś ukrytych naprężeń, doprowadzając Howarda do kresu wytrzymałości nerwowej. Na Flemingu nie robiło to jednak wrażenia.

- To musiała być stacja do bombardowania planety - zauważył po chwili.

- Też tak myślę.

- Po prostu tony metalu - rzekł spokojnie Fleming, opukując jedną ze ścian. - Myślę, że sprzedamy ją całą na złom, chyba że zdołamy zdemontować część urządzeń.

- Cena złomu... - zaczął Howard. W tej samej jednak chwili segment podłogi otworzył się wprost pod stopami Fleminga. Fleming zniknął z pola widzenia tak szybko, że nie zdołał nawet krzyknąć, a segment podłogi zatrzasnął się z powrotem.

Howard zatoczył się, jakby otrzymał mocne uderzenie. Światło latarki na chwilę rozbłysło szaleńczo, po czym przygasło ponownie.

Howard stał w milczeniu, z podniesionymi rękami, a jego umysł stracił poczucie czasu. Szok powoli mijał, pozostawiając Howardowi ciężki, uporczywy ból głowy.

- ...nie jest teraz najwyższa - bezmyślnie dokończył zdanie, jakby mając nadzieję, że nic się nie stało.

Podszedł do segmentu podłogi i zawołał:

- Fleming!

Nie było żadnej odpowiedzi. Wstrząsnął nim dreszcz. Pochylił się nad szczelnie zamkniętą

podłogą i na całe gardło wrzasnął:

- Fleming!

Wyprostował się, w głowie mu łomotało. Głęboko zaczerpnął powietrza, odwrócił się i pokłusował w stronę wyjścia. Nie chciał o niczym myśleć.

Wejście jednak było zamknięte, a jego zespawane krawędzie jeszcze parzyły. Howard sprawdzał drzwi na wszelkie sposoby. Popychał je, ostukiwał, kopał. W końcu przypomniał sobie o napierającej na niego ciemności. Zakręcił się i w kółko, pot ściekał mu po twarzy. - Kto tu jest?! - krzyknął w stronę korytarza. - Fleming! Słyszysz mnie?!

Nie było żadnej odpowiedzi. Krzyknął znowu:

- Kto to zrobił?! Dlaczego zapaliłeś światło stacji? Co zrobiłeś z Flemingiem?

Nasłuchiwał przez chwilę i znowu zaczął krzyżeć, I szlochając co chwilę:

- Otwórz wejście! Odejdę i nikomu nic nie powiem! Czekał, oświetlając latarką korytarz i zastanawiając się, co czai się w ciemnościach. W końcu wrzasnął:

- Pode mną też otwórz pułapkę!

Oparł się o ścianę, ciężko dysząc. Żadna pułapka nie otworzyła się. Pomyślał, że może nigdy się nie otworzy. Myśl ta na chwilę dodała mu odwagi. Twardo powiedział sobie, że na pewno istnieje jakieś inne wejście. Znowu ruszył korytarzem.

Godzinę później nadal maszerował. Przed nim światło latarki rozpraszało ciemność, ale z tyłu ciemność wpełzała j mu na kark. Znowu zaczął logicznie myśleć.

Światła mogły być zapalone przez automatyczne bezpieczniki. Pułapka zadziałała także automatycznie. Zamykające się zaś wejście mogło być środkiem ostrożności na i wypadek wojny, żeby żaden wróg nie wdarł się do stacji. Wiedział, że jego rozumowanie nie bardzo trzyma się kupy, ale nic lepszego nie potrafił wymyślić. Cała ta sytuacja była bardzo niejasna. Zwłoki w statku kosmicznym, stacja, martwa planeta - wszystko to musiało mieć ze sobą związek. Żeby tyko

odkryć jaki.

- Howard - rozległ się głos.

Howard podskoczył konwulsyjnie, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Natychmiast powrócił ból głowy. - To ja - rzekł głos - Fleming.

Howard rozpaczliwie szperał latarką we wszystkich kierunkach.

- Gdzie? Gdzie jesteś?

- Około dwustu stóp w dole, o ile dobrze to oceniam powiedział Fleming, a jego głos chrapliwie płynął wzdłuż korytarza. - Retransmisja głosu nie jest najlepsza, ale nic więcej nie mogę zrobić.

Howard usiadł, gdyż nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Czuł się jednak lepiej. To, że Fleming był dwieście stóp niżej, brzmiało rozsądnie, zrozumiała też wydała mu się jakość retransmisji.

- Możesz się wydostać? Jak mogę ci pomóc?

- Nie możesz - odparł Fleming, a po chwili pojawiły się trzaski, które w uszach Howarda zabrzmiały jak chichot. - Zdaje się, że niewiele pozostało z mojego ciała.

- Ale gdzie jest twoje ciało? - spytał poważnie Howard.

- Zmiażdżone przy upadku. Zostało ze mnie tylko to, co udało się podłączyć do obwodów.

- Rozumiem - rzekł Howard, czując dziwną lekkość w głosie. - Jesteś po prostu mózgiem, czystym intelektem.

- O, moim zdaniem czymś więcej - powiedział Fleming. - Jestem dokładnie tym, czego potrzebuje maszyna. Howard zaczął chichotać nerwowo, gdyż wyobraził sobie szary mózg Fleminga pływający w naczyniu pełnym krystalicznej wody. Opanował się jednak i spytał:

- Maszyna? Jaka maszyna?

- Stada kosmiczna. Wydaje mi się, że jest to najbardziej skomplikowany mechanizm, jaki kiedykolwiek zbudowano. To ona błyskała światłami i otworzyła drzwi.

- Ale po co?

- Mam nadzieję to odkryć - rzekł Fleming. - Jestem teraz jej częścią. Albo ona jest częścią mnie.

Tak czy inaczej ona mnie potrzebuje, gdyż nie ma prawdziwej inteligencji. Korzysta więc z mojej.

- Twojej? Przecież maszyna nie wiedziała, że przybędziesz!

- Nie chodziło konkretnie o mnie. Prawdziwym operatorem był pewnie ten człowiek w statku.

Ale ja też mogę. Dokończymy plan konstruktorów.

Howard z trudem się uspokoił. Nie mógł już o niczym myśleć. Chciał tylko uciec z tej stacji i

wrócić na swój statek. Potrzebował jednak pomocy Fleminga, ale tego nowego, nieznanego

Fleminga. Rozmawiał on wprawdzie dość normalnie, ale czy nadal był człowiekiem?

- Fleming - spróbował Howard.

- Tak, stary?

Brzmiało to zachęcająco.

- Czy możesz mnie stąd wydostać?

- Myślę, że tak - rzekł głos Fleminga. - Spróbuję.

- Wrócę z neurochirurgami - zapewnił go Howard. Wszystko będzie z tobą w porządku.

- Nie martw się o mnie - powiedział Fleming. - Już teraz wszystko jest w porządku.

Howard stracił rachubę godzin, w czasie których wędrował. Wąskie korytarze następowały jeden

po drugim i rozgałęziały się na kilka następnych. Zmęczenie narastało, a nogi zaczęły mu

sztynnieć. Podczas marszu jadł. W plecaku miał kanapki i teraz żuł je mechanicznie, dla

pokrzepienia.

- Fleming! - zawołał w końcu, zatrzymując się na odpoczynek.

Po długiej chwili usłyszał ledwie zrozumiały głos, brzmiący jak zgrzyt metalu o metal.

- Jak długo jeszcze?

- Niedługo - odparł zgrzytliwy, metaliczny głos. - Zmęczony?

- Tak.

- Zrobię, co będę mógł.

Głos Fleminga był przerażający, ale cisza była jeszcze bardziej przerażająca. Howard posłyszał dochodzący z głębi stacji odgłos silnika rozpoczynającego pracę.

- Fleming?

- Tak?

- Co to takiego? Czy to stacja bombardująca?

- Nie. Wciąż jeszcze nie znam przeznaczenia tej maszyny. Nie całkiem się z nią zintegrowałem.

- Ale ona ma jakieś przeznaczenie?

- Tak! - Metaliczny głos zgrzytnął tak głośno, że Howard drgnął. - Dysponuję wspaniałą aparaturą wykonawczą. Na przykład w zakresie sterowania temperaturą mogę w ciągu mikrosekundy zmienić wartość o setki stopni, nie mówiąc już o reaktorach chemicznych, o źródłach zasilania i o całej reszcie. I oczywiście o moim zadaniu.

Howardowi nie spodobała się ta odpowiedź. Odnosiło się wrażenie, że Fleming identyfikował się z maszyną, jednoczył swą osobowość z osobowością stacji kosmicznej. Howard zmusił się do następnego pytania:

- Dlaczego nie wiesz, do czego ona służy?

- Brakuje newralgicznego komponentu - rzekł Fleming po chwili milczenia. - Niezbędnej matrycy. A poza tym nie mam jeszcze pełnej kontroli nad nią.

Więcej silników zaczęło tętnić życiem, a ściany drżały i brzęczały. Howard poczuł, że podłoga trzęsie się pod nim. Stacja zdawała się budzić, nabierać siły, gromadzić wiedzę. Miał wrażenie, że jest w brzuchu jakiegoś gigantycznego potwora morskiego.

Wędrował kilka następnych godzin i zostawiał za sobą ślad znaczony ogryzkami, skórkami pomarańczy, tłustymi kawałkami mięsa, pustymi puszkami, kawałkami papieru śniadaniowego.

Jadł teraz bez przerwy, czuł się zmuszony do jedzenia. Kiedy jadł, był bezpieczny, gdyż jedzenie

jednoczyło go ze statkiem, z Ziemią.

Jeden segment ściany odsunął się nagle. Howard cofnął się.

- Wejdz - głos, który uznał za głos Fleminga, zaprosił go.

- Po co? Co to jest? - skierował latarkę w stronę otworu i zobaczył wstęgę ruchomego chodnika znikającą w ciemności.

- Jesteś zmęczony - rzekł głos. - Tędy jest szybciej.

Howard chciał uciec, ale nie miał dokąd. Musiał wierzyć Flemingowi albo stawić czoło ciemności otaczającej ze wszystkich stron światło jego latarki.

- Wejdz.

Howard posłusznie wspiął się i usiadł na ruchomym chodniku. Przed sobą widział tylko ciemność. Położył się na plecach.

- Czy już wiesz, do czego służy ta stacja? - rzucił pytanie w ciemność.

- Już wkrótce - odpowiedział głos. - Nie zawiedziemy ich.

Howard nie śmiał pytać, kogóż to Fleming nie zawiedzie. Zamknął oczy i pozwolił ciemności otoczyć się ze wszystkich stron.

Jazda trwała dłuższy czas. Howard trzymał latarkę pod pachą i jej pionowo skierowana smuga światła odbijała się od błyszczącego, metalowego stropu. Machinalnie gryzł kawałek biszkoptu, prawie nie zdając sobie sprawy, że ma coś w ustach.

Dokoła niego maszyna jakby zaczęła rozmawiać w jakimś niezrozumiałym języku. Słyszał zgrzyt trących o siebie części protestujących przeciw takim kontaktom. Potem następował zastrzyk oleju i pogodzone części poruszały się cicho, miarowo. Silniki piszczały i chciały ruszać. Wahały się, kaszlały, a w końcu zaczynały pracować z radosnym pomrukiem. Stopniowo wśród innych dźwięków pojawiły się trzaski w obwodach elektrycznych, które modyfikowały się, adaptowały, testowały.

Co to znaczyło? Howard leżący na plecach, z zamkniętymi oczami nie wiedział tego. Jedynym realnym doznaniem było przeżuwanie biskopta, a kiedy go zabrakło, pozostały tylko majaki.

Widział szkielety maszerujące po planecie, miliardy idące w równych szeregach przez opustoszałe miasta, przez żyzne, czarne pola i wychodzące w przestrzeń. Przebiliowały przed martwym pilotem w małym stateczku, a jego zwłoki patrzyły na nie z zazdrością. Pozwólcie mi iść z wami, prosił pilot, ale szkielety bezlitośnie potrząsały głowami, gdyż pilot wciąż miał ciało. Kiedy odpadnie ciało, będę wolny od tego ciężaru? pytały zwłoki, ale szkielety tylko potrząsały głowami. Kiedy? Gdy maszyna będzie już gotowa, kiedy zrozumie swoje zadanie. Wtedy miliardy szkieletów będą odkupione, a szkielet pilota uwolniony z ciała. Zwłoki błagały przegniłymi wargami, by je zabrać już teraz. Ale szkielety dostrzegały tylko ciało, a ciało nie może opuścić żywności zgromadzonej w statku. Ze smutkiem maszerowały dalej, a pilot czekał.

- Tak!

Howard obudził się natychmiast i rozejrzał dokoła. Żadnych szkieletów, żadnych zwłok. Tylko ściany maszyny, tuż obok niego. Poszperał w kieszeniach, ale jedzenie się skończyło. Wygrzebał kilka okruchów i położył je na języku.

- Tak!

Usłyszał więc głos!

- O co chodzi? - spytał.

- Poznałem - rzekł głos triumfalnie.

- Poznałeś? Co poznałeś?

- Moje zadanie!

Howard skoczył na równe nogi, świecąc dokoła latarką. Metaliczny pogłos przetoczył się wokół i napełnił go nieokreślonym lękiem. Nagle wydało mu się straszne, że maszyna poznała swoje zadanie.

- Jakie więc jest twoje zadanie? - spytał bardzo cichym głosem.

W odpowiedzi rozbłysło jasne światło, tłamsząc słaby promień jego latarki. Howard zmrużył oczy i cofnął się, prawie się przewracając.

Taśma była nieruchoma. Howard otworzył oczy i ujrzał wielką, olśniewająco jasną salę.

Rozglądając się dokoła zobaczył, że jest ona wyłożona lustrami.

Setka Howardów patrzyła na niego, a on na nich. Obrócił się dokoła. W sali nie było żadnego wyjścia. Ale odbici w lustrach Howardowie nie obrócili się razem z nim. Stali w milczeniu.

Howard podniósł prawą rękę. Howardowie trzymali ręce przy ciele. To nie były lustra.

Setka Howardów zaczęła iść naprzód, w stronę środka sali. Chwiali się na nogach, a w ich tępych oczach nie było żadnego przebłysku inteligencji. Oryginalny Howard fuknął i rzucił w nich latarką.

Z brzękim spadła na podłogę.

Momentalnie zrozumiał wszystko. To właśnie było zadanie maszyny. Jej konstruktorzy przewidzieli zagładę swego gatunku. Zbudowali więc w przestrzeni maszynę. Jej zadanie to stworzenie ludzi i zaludnienie planety. Potrzebowała operatora, a prawdziwy operator nigdy do niej nie dotarł. I potrzebowała matrycy...

Ale tym prototypowym Howardom najwyraźniej brakowało inteligencji. Dreptali wokół sali, poruszali się jak automaty, z trudem panowali nad własnymi członkami.

Oryginalny Howard zaś prawie w tej samej chwili stwierdził, że się straszliwie pomylił.

Strop się otworzył. Obniżyły się olbrzymie haki, a połyskujące noże energicznie zjeżdżały na dół.

Otworzyły się ściany i ukazały gigantyczne koła i przekładnie, buchające piece, a także białe ściany zamrażarek. Wciąż nowi i nowi Howardowie wchodzili do sali, a wielkie noże i haki wbijały się w nich, wlokąc braci Howarda w stronę otwartych ścian.

Żaden z nich, poza oryginalnym Howardem, nie krzyczał.

- Fleming! - darł się. - Nie mnie! Nie mnie! Fleming! Teraz wszystko się wyjaśniło: stacja

zbudowana została w czasie wojny dziesiątkującej planetę; operator, który dotarł do stacji tylko po to, by umrzeć, nim zdołał wejść, i ten ładunek żywności... której on, operator, nigdy nie miał jeść. Oczywiście! Planetę zamieszkiwało dziewięć czy dziesięć miliardów. Głód popchnął ich do tej ostatecznej wojny. Przez cały ten czas budowniczy maszyny walczyli z czasem i chorobami, próbując uratować swój gatunek...

Ale czy Fleming nie wiedział, że on - Howard - jest złą matrycą?

Fleming jednak był maszyną, a Howard spełniał wszystkie warunki. Ostatnią rzeczą, którą Howard zobaczył, była sterylne czysta powierzchnia zbliżającego się noża.

A Fleming-maszyna przetwarzał rozdrobionych Howardów, ciął ich i siekał, zamrażał i schludnie pakował, tworząc stosy pieczonego Howarda, smażonego Howarda, Howarda w śmietanie, Howarda w sosie cebulowym, Howarda duszonego w krótkim sosie, Howarda z fasolą, Howarda z ryżem, a zwłaszcza sałatki z Howarda.

Proces powielania żywności się powiódł! Wojna mogła się zakończyć, gdyż dla każdego było teraz dość jedzenia. Żywność! Żywność! Żywność dla głodujących miliardów Raju II.

przekład : Andrzej Śluzek

Ręce przy sobie

Pokładowy detektor masy rozbłysnął na różowo, potem na czerwono. Agee przysypiał już nad deską rozdzielczą, czekając, aż Victor upora się z obiadem. Teraz gwałtownie podniósł wzrok. - Planeta się zbliża! - zawołał, przekrzykując syk uciekającego powietrza.

Kapitan Barnett kiwnął głową. Skończył właśnie modelować gorącą łatę, którą z głośnym plaśnięciem przykleił do zniszczonego kadłuba "Niezlomnego". Świst uchodzącego powietrza przycichł do poziomu cichego jęku, ale nie ustał całkowicie. Nigdy nie ustawał.

Kiedy Barnett podszedł do konsoli, planetę było już widać, ledwo ledwo, spoza krawędzi małego czerwonego słońca, jarzyła się zielono na tle czarnej nocy kosmosu i obu mężczyznom

podsunęła tę samą myśl.

Barnett ujął ową myśl w słowa.

- Ciekawe, czy znalazłoby się tam coś do wzięcia powiedział marszcząc czoło.

Agee, na znak nadziei, uniósł białą brew. Patrzyli na przyrządy, które właśnie zaczynały rejestrować.

Nigdy by nie wytropili tej planety, gdyby skierowali "Niezlomnego" na szlaki południowogalaktyczne. Ale na tamtej trasie namnożyło się Policji Konfederacyjnej, więc Barnett wolał ją omijać wielkim łukiem.

"Niezlomny" był zarejestrowany jako handlowiec chociaż cały przewożony przez niego ładunek sprowadzał się do kilku butelek silnie żrącego kwasu, używanego do otwierania sejfów i trzech średniej wielkości bomb atomowych. Władze niechętnym okiem patrzyły na tego rodzaju dobra i stale usiłowały przymknąć załogę na podstawie jakiegoś przedawnionego oskarżenia - o morderstwo na Lunie, o kradzież na Omedze, o napad z włamaniem na Samii II. Były to wszystko stare, prawie zapomniane przestępstwa, które policja z maniackim uporem próbowała rozdmuchać na nowo.

Co gorsza, nowe policyjne krążowniki przewyższały "Niezlomnego" pod względem uzbrojenia.

Dlatego wybrali trasę okrężną do Nowych Aten, gdzie właśnie rozpoczął się wielki strajk uranowy.

- Z wyglądu nic specjalnego - skomentował Agee, krytycznym okiem szacując wskaźniki.

- Tak czy owak, możemy się koło niej przejechać powiedział - Barnett.

Odczyty były mało ciekawe. Ukazywały planetę mniejszą niż Ziemia, nieobecną na mapach, i pozbawioną jakiegokolwiek wartości handlowej poza atmosferą tlenową.

Kiedy mijali planetę, czujniki metali ciężkich gwałtownie ożyły.

- Tam jest materiał! - Agee błyskawicznie interpretował liczne odczyty. - Czysty. B a r d z o czysty - i to na powierzchni !

Spojrzał na Barnetta, który skinął głową. Pojazd skręcił gwałtownie w stronę planety.

Z zaplecza statku nadszedł Victor, w malutkiej wełnianej czapeczce wciśniętej na wielką ogoloną głowę. Stał za Barnettem i patrzył mu przez ramię, jak Agee sprowadza pojazd w dół po torze ciasnej spirali. Z odległości pół mili od powierzchni planety dostrzegli swoje złoża ciężkiego metalu.

Był to statek kosmiczny, spoczywający na ogonie pośrodku naturalnej polany.

- A to ciekawe - zauważył Barnett. Gestem nakazał Ageemu zejść niżej.

Agee z niebywałą zręcznością osadził pojazd na ziemi. Dawno już przekroczył wiek emerytalny dla pilotów dowodzących, co jednak wcale nie osłabiło jego koordynacji. Barnett, który znalazł go bez grosza i dachu nad głową, zatrudnił Agee'ego bez wahania. Kapitan zawsze chętnie pomagał bliźniemu, jeżeli było mu to na rękę i stwarzało szanse zysku. On i Agee mieli identyczny stosunek do własności prywatnej, chociaż czasami różnili się co do metod jej pozyskiwania. Agee wolał pewniaki. Barnett, przeciwnie, miał w sobie więcej odwagi niż to było wskazane u przedstawiciela stosunkowo delikatnego gatunku jakim był Homo sapiens.

Zbliżywszy się do powierzchni planety, stwierdzili, że obcy statek jest większy niż "Niezlomny", a do tego błyszczący, lśniący nowością. Kształt pokrywy był im nieznany, podobnie jak oznakowanie.

- Widziałeś kiedy coś podobnego? - spytał Barnett.

Agee skonsultował zasoby swojej przepastnej pamięci.

- Trochę przypomina robotę cephańską, tyle że ich statki nie są takie przysadziste. Solidnie zboczyliśmy z kursu. Ten statek może w ogóle nie być z Konfederacji.

Victor gapił się na statek z rozdziawioną gębą. Westchnął głośno.

- Przydałby nam się taki stateczek, co, kapitanie? Nagły uśmiech Barnetta był jak pęknięcie w granicie.

- Victor! - powiedział Barnett. - W prostocie swojej dotknąłeś sedna sprawy. Istotnie, przyda nam się taki statek. Chodźmy tam i pogadajmy z jego szefem.

Przed dopięciem pasa, Victor upewnił się, że lodomiotacze mają pełny ładunek.

Już stojąc na ziemi, posłali w górę pomarańczowozieloną racę sygnalizacyjną, ale nie otrzymali odpowiedzi z obcego statku. Atmosfera planety chyba nadawała się do oddychania, temperatura wynosiła 72 stopnie Fahrenheita. Po odczekaniu paru minut wymaszerowali z pojazdu, trzymając lodomiotacze w pogotowiu pod osłoną kurtek.

Wszyscy trzej przemierzali dzielącą statki odległość z wystudiowanymi uśmiezkami na twarzach.

Z bliska statek był wspaniały. Jego połyskliwa srebrzystoszara powłoka była prawie nietknięta przez meteoryty. Wejście było otwarte, a po stłumionym mruczeniu poznali, że generatory właśnie się ładują.

- Jest tam kto?! - huknął Victor w czeluść wjazdu. Jego głos poniósł się głuchym echem po całym statku. Odpowiedzi nie było - tylko cichy szum generatorów i szelest traw na równinie.

- Gdzie oni się podziali, jak myślicie? - zapytał Agee. - Pewnie wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedział Barnett. - Na pewno nie spodziewali się gości.

Victor potulnie usiadł na ziemi. Barnett i Agee buszowali wokół podstawy statku, zachwycając się jego wspaniałymi dyszami.

- Dałbyś radę? Jak myślisz? - zapytał Barnett.

- Czemu nie - powiedział Agee. - Najważniejsze, że napęd jest konwencjonalny. Mechanizmy pomocnicze to drobiazg - istoty oddychające tlenem stosują podobne systemy kontroli napędu. Na pewno się połapie, to tylko kwestia czasu.

- Ktoś idzie! - zawołał Victor.

Rzucili się do wjazdu. O trzysta jardów od statku zaczynał się wystrzępiony las. Jakaś figura

wyłoniła się spomiędzy drzew i zmierzała w ich stronę.

Agee i Victor równocześnie wydobyli miotacze. Lornetka Barnetta pozwoliła określić figurę jako równoległobok mierzący około dwóch stóp wysokości na jedną stopę szerokości. Grubość obcego nie sięgała dwóch cali. Głowy nie miał.

Barnett zmarszczył brwi. Nigdy jeszcze nie widział czworokąta płynącego w powietrzu nad wysoką trawę. Kiedy wyostrzał lornetkę, okazało się, że obcy ma w sobie coś z humanoida. Ściślej rzecz ujmując, miał cztery kończyny. Dwóch z nich, prawie niewidocznych przez trawę, używał do chodzenia, podczas gdy dwie pozostałe sterczały sztywno w przestrzeń. Pośrodku postaci Barnett z trudem wyróżnił maleńkie oczy i usta. Stworzenie nie miało na sobie żadnego ubrania ani kasku.

- Ciekawy typ urody - mruknął Agee, ustawiając aparaturę miotacza. - A może on jest sam?

- Miejmy nadzieję - powiedział Barnett, również wyciągając miotacz.

- Odległość około dwa tysiące jardów - Agee wycelował broń, po czym podniósł wzrok. - A może pan kapitan życzył sobie najpierw z nim porozmawiać?

- Co tu gadać - uśmiechnął się leniwie Barnett. - Ale dajmy mu podejść bliżej. Szkoda by było spudłować. Agee pokiwał głową i poprowadził obcego w oku celownika.

Kalen zatrzymał się na tym opuszczonym małym świecie z nadzieją zdobycia, metodą wysadzenia w powietrze, kilku ton erolu - minerału wysoko cenionego przez Mabogian. Nie miał szczęścia. Niezużyta bomba tetnitowa nadal spoczywała w jego cielesnej sakiewce, w towarzystwie zabłąkanego orzecha kerla. Kalen pomyślał, że wróci na Mabog z balastem zamiast ładunku.

Trudno, mówił sobie wynurzając się z lasu, może następnym razem.

Widok chudego, upstrzonego łatami statku kosmicznego przy jego własnym przyprawiał Kalena o szok. Najmniej ze wszystkiego spodziewał się znaleźć na tym światku inną żywą istotę.

Tubylcy w dodatku stali przed jego wjazdem! Kalen od razu dostrzegł, że jeżeli chodzi o kształt, są z grubsza mabogijni. W Unii Mabogijskiej istniała rasa bardzo do nich podobna, tyle że

budująca zupełnie inne statki. Intuicja podszeptęła mu, że mogą to być przedstawiciele tej wielkiej cywilizacji z peryferii Galaktyki, o której od dawna już chodziły plotki.

Dziwna rzecz: obcy się nie poruszali. Dlaczego nie wychodzą na powitanie? Wiedział, że go zauważyli, ponieważ wszyscy trzej wskazywali w jego kierunku.

Przyspieszył kroku, uświadamiając sobie, że nic nie wie o ich obyczajach. Miał tylko nadzieje, że nie są zwolennikami zbyt rozwlekłych ceremonii. Już po godzinie spędzonej na tym wrogim świecie czuł się zmęczony. Był głodny, rozpaczliwie potrzebował prysznic...

Coś intensywnie zimnego rzuciło nim do tyłu. Rozejrzał się czujnie: czyżby to była jakaś nieznaną cechą planety?

Ponownie ruszył do przodu. Następny pocisk też trafił go celnie, zamrażając zewnętrzną warstwę jego powłoki.

Sprawa wyglądała poważnie. Mabogianie należeli do najsilniejszych form żywych w Galaktyce, ale nawet ich odporność miała swoje granice. Kalen rozejrzał się ponownie, szukając źródła kłopotów.

To ci obcy - s t r z e 1 a 1 i do niego!

Przez chwilę jego ośrodki myślowe odmawiały przyjęcia dowodu zmysłów. Kalen wiedział, co to jest morderstwo. Oniemiały ze zgrozy, bywał świadkiem tej perwersji wśród niektórych niskich form zwierzęcych. Widywał też rejestry odchyłeń psychicznych, które dokumentowały każdy przypadek morderstwa z premedytacją, jaki miał miejsce od początku historii Mabogu.

Ale żeby coś takiego zdarzyło się jemu osobiście! Kalen nie był w stanie w to uwierzyć.

Trafił go kolejny ładunek. Kalen stał bez ruchu, próbując przekonać samego siebie, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Nie mógł pojąć, że stworzenia obdarzone zmysłem współdziałania wystarczającym do prowadzenia statku kosmicznego, potrafią być jednocześnie zdolne do morderstwa.

Przecież oni go nawet nie znali!

Kiedy było już prawie za późno, Kalen zrobił w tył zwrot i pognął do lasu. Wszyscy trzej obcy strzelali za nim jednocześnie, toteż trawa wokół Kalena chrzęściła i bieląca od szronu, a powierzchnia jego skóry zlodowaciała całkowicie. Zimno było tym czynnikiem, do którego organizm mabogiański nie był szczególnie przystosowany. Chłód zaczynał się wdzierać do organów wewnętrznych Kalena.

Mimo to, nadal nie mógł uwierzyć.

Dopał lasu, ale zanim skrył się za drzewo, dosięgnął go podwójny atak. Poczuł, jak cały jego system wewnętrzny rozpaczliwie stara się przywrócić organizmowi ciepło, a w chwilę potem ze szczerym żalem poddał się ciemności.

- Jakiś głupi ten obcy - zauważył Agee, chowając miotacz do kabury.

- Głupi i silny - dodał Barnett. - Ale żaden tlenowiec dużo tego nie wytrzyma - dumnie wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał srebrnoszary kadłub statku. Ochrzcimy go "Niezlomny II".

- Hip hip hura na cześć kapitana! - krzyknął entuzjastycznie Victor.

- Oszczędzaj płuca - pouczył go Barnett. - Jeszcze ci się przydadzą. - Popatrzył w górę. - Mamy jeszcze ze cztery godziny światła. Victor, przynieś żywność, tlen i narzędzia z "Niezlomnego I" i rozładuj jego stosy. Kiedyś tu wrócimy i weźmiemy staruszka do domu. Ale na razie chcę odpalić przed zachodem słońca.

Victor oddalił się pospiesznie. Barnett i Agee weszli na pokład statku.

Tylną połowę "Niezlomnego II" wypełniały generatory, silniki, transformatory, urządzenia pomocnicze, zbiorniki paliwa i powietrza. Obok mieściła się wielka ładownia, zajmująca niemal, reszta wnętrza. Pełno w niej było orzechów rozmaitych kształtów i kolorów, których średnica wahała się od dwóch cali do mniej więcej podwójnej średnicy głowy dorosłego mężczyzny.

Pozostawały dwie kabinki w dziobie statku.

Pierwsza powinna była służyć za kabinę załogi - jako jedyny kawałek wolnego miejsca. Była jednak kompletnie pusta: ani kozetek deceleracyjnych, ani stołów czy krzeseł - tylko wypolerowana metalowa podłoga. W ścianach i w suficie widniał szereg otworów, których funkcja na pierwszy rzut oka nie była oczywista.

Z tym pomieszczeniem połączona była kabina pilota, bardzo mała, ledwo mieszcząca jedną osobę. Deska rozdzielcza pod kopułą była szczelnie inkrustowana przyrządami.

- W twoje ręce perswaduję - powiedział Barnett do Agee'ego. - Zobaczymy, co potrafisz.

Agee kiwnął głową i rozejrzał się za stolkiem, po czym ukucnął przed konsolą i zaczął ją uważnie studiować. W ciągu paru godzin Victor przeniósł cały ich dobytek na "Niezlomnego II".

Agee do tego czasu niczego jeszcze nie dotknął. Po rozmiarach, kolorach, kształtach i usytuowaniu poszczególnych urządzeń próbował odgadnąć, co kontroluje co. Nie było to łatwe, nawet przy założeniu podobieństwa systemów nerwowych i wzorców rozumowania. Czy pomocniczy system nastawczy biegnie od lewej do prawej? Jeżeli nie, Agee musiałby oduczyć się dotychczasowych nawyków. Czy dla projektantów tego statku kolor czerwony oznaczał zagrożenie? Jeżeli tak, to duży przycisk mógłby służyć do obniżania poziomu paliwa. Ale kolor czerwony mógł z równym powodzeniem oznaczać gorące paliwo, w którym to przypadku przycisk kontrolowałby zapewne nadmierny przepływ energii.

W końcu Agee doszedł do wniosku, że zadaniem przycisku jest przeładować stopy w razie wrogiego ataku. Mając to na uwadze, Agee dalej badał przyrządy. Nie przejmował się za bardzo tym, czego nie rozumiał. Po pierwsze, statki kosmiczne były to twarde sztuki, na dobrą sprawę niezniszczalne od wewnątrz. Po drugie, miał wrażenie, że złapał system.

Barnett wetknął głowę do kabiny. Tuż za jego plecami stał Victor.

- Gotów?

Agee obrzucił spojrzaniem całą konsolę.

- Chyba tak - lekko dotknął jednego z pokręteł. - To powinno kontrolować śluzy.

Przekręcił gałkę. Victor i Barnett zamarli w oczekiwaniu, pocąc się obficie w chłodnym pomieszczeniu. Usłyszeli gładki świst naoliwionego metalu. Śluzy zatrzasnęły się.

Agee, rozpromieniony, dmuchnął w koniuszki palców - na szczęście.

- To by był system wymiany powietrza - oświadczył. Włączył przycisk.

Z sufitu zaczął się sączyć żółty dym.

- System zanieczyszczony - mamrotał Agee, kręcąc gałką. Victor zaniósł się kaszlem.

- Wyłącz to - powiedział Barnett.

Dym walił gęstymi smugami,, momentalnie wypełniając oba pomieszczenia.

- Wyłącz to!

- Kiedy nic nie widzę! - Agee po omacku nie trafił we właściwy przycisk i zamiast niego wcisnął guzik pod spodem. Generatory zaczęły z miejsca wściekle zawodzić. Błękitne ogniki przemknęły wzdłuż konsoly i wskoczyły na ścianę.

Agee, zataczając się, odstąpił od konsoly i padł na ziemię. Victor już był przy drzwiach ładowni, próbując je wywalić pięściami. Barnett zakrył dłonią usta i rzucił się do przyrządów. Na ślepo szukał wyłącznika, czując, jak cały statek wokół niego wiruje do utraty tchu.

Victor runął na ziemię, -nie przestając bębnić w drzwi ładowni zwiotczającymi pięściami.

Barnett na oślep dźgnął konsolę.

Generatory umilkły w jednej chwili. Następnie Barnett poczuł na twarzy zimny powiew. Otarł łzawiące oczy i spojrzał w górę.

Przypadkowo trafiony przycisk zamknął ujście w suficie, przerywając dopływ żółtego gazu.

Barnett przez przypadek otworzył śluzy i zimne nocne powietrze planety już wypierało gaz ze statku. Wkrótce można było oddychać.

Victor niepewnie gramolił się na nogi, ale Agee nie dawał znaku życia. Barnett zrobił staremu pilotowi sztuczne oddychanie, klnąc przy tym przez cały czas pod nosem. Wreszcie powieki Agee'ego zatrzepotały, a jego klatka piersiowa zaczęła wznosić się i opadać. W chwili potem usiadł i tylko kręcił głową.

- Co to było za świństwo? - zapytał Victor. - Obawiam się - powiedział Barnett - że nasz znajomek uważał to za świeże powietrze do oddychania. Agee dalej kręcił głową.

- Niemożliwe, kapitanie. Przecież był w świecie otoczonym tlenem, chodził po nim bez kasku, bez...

- Upodobania dotyczące powietrza potrafią być bardzo różne - zauważył Barnett. - Spójrzmy prawdzie w oczy: pod względem fizycznym nasz przyjaciel nie przypominał nas ani trochę.

- To nie za dobrze - podsumował Agee.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. W następnej chwili ciszy dobiegł ich niewyraźny, niepokojący odgłos.

- Co to było? - Victor skoczył na równe nogi, wyszarpując miotacz z kabury.

- Spokój!- wrzasnął Barnett.

Nasłuchiwali. Im dłużej Barnett próbował zidentyfikować odgłos, tym bardziej czuł, że każdy włoszek na karku staje mu dęba.

Odgłos dobiegał z daleka. Jakby metal uderzał w twardy obiekt niemetaliczny.

Trzej mężczyźni wyjrzeni przez luk. W pożegnalnym, blasku słońca zobaczyli, że główny właz "Niezlomnego I" jest otwarty. Odgłos dobiegał ze statku.

- Niemożliwe - powiedział Agee. - Lodomiotacze...

- Nie zabiły go - dokończył Barnett.

- To źle - wystękał Agee. - To bardzo źle.

Victor dalej dzierżył swój lodomiotacz w pogotowiu. - Kapitanie, a może ja bym się tam

przespacerował...

Barnett pokręcił głową.

- Nie dopuści cię bliżej niż na dziesięć stóp do śluzy. Nie, daj pomyśleć. Było tam coś na pokładzie, czym mógł się posłużyć? Stosy?

- Ja mam łącza, kapitanie - powiedział Victor. - Dobrze. Wobec tego nie ma tam nic, co...

- Kwas - wtrącił Agee. - Bardzo mocny. Ale nie przypuszczam, żeby mógł nim wiele zdziałać.

- Nic a nic - przytaknął Barnett. - Jesteśmy na tym statku i nie ruszymy się z niego. Na początek oderwijmy go od ziemi.

Agee patrzył na deskę rozdzielczą. Jeszcze pół godziny temu prawie ją rozumiał. Teraz wydawała mu się chytrą, śmiertcionośną pułapką - potrzaskiem, którego niewidoczne druciki prowadzą nieuchronnie do zniszczenia.

Pułapka była niezamierzona. Ale statek kosmiczny był siłą rzeczy machiną przeznaczoną nie tylko do podróżowania, ale i do życia. Przyrządy musiały starać się odtwarzać naturalne środowisko obcego, zaspokajając jego potrzeby.

Dla nich trzech mogło się to okazać fatalne w skutkach.

- Szkoda, że nie wiemy z jakiego rodzaju planety gość pochodzi - odezwał się żałośnie Agee.

Gdyby znali warunki naturalne obcego, potrafiliby przewidzieć zachowania jego statku.

Wiedzieli tylko tyle, że oddycha trującym żółtym gazem.

- Dobrze nam idzie - oświadczył bez przekonania Barnett. - Znajdź tylko przycisk napędu; a resztę zostawimy w spokoju.

Agee odwrócił się do konsoli.

Barnett ciekaw był, co zamierza obcy. Zapatrzył się w sylwetkę swojego dawnego statku, widoczną na tle wieczornego nieba i słuchał niesamowitego odgłosu uderzenia metalu o nie-metal.

Kalen zdziwił się bardzo, że jeszcze żyje. Ale popularne wśród ludu porzekadło głosiło, że

"Mabogianin umiera natychmiast, albo wcale". Na razie okazało się, że wcale.

Skołowany, usiadł i oparł się o drzewo. Pojedyncze czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wokół Kalena wirowały podmuchy trującego tlenu. Natychmiast skontrolował płuca i stwierdził, że nadal są bezpiecznie zablokowane. Życiodajne żółte powietrze, chociaż już w dużej mierze pozbawione wartości wskutek długiego używania, wciąż jeszcze trzymało go przy życiu.

Kalen nadal jednak nie bardzo wiedział, co się dzieje. O kilkaset jardów od niego stał sobie spokojnie jego statek. Coraz słabsza czerwona łuna ślizgała się po jego kadłubie i Kalen na chwilę uległ złudzeniu, że żadnych obcych nie było. Wymyślił sobie całą sytuację, a teraz wróci na statek...

Zobaczył, jak jeden z obcych, obładowany różnymi dobrami, wsiada do jego pojazdu. Po krótkiej chwili śluzy się zamknęły.

To była prawda, wszystko było prawdą. Kalen wykonał ostry zwrot myślowy w stronę niewesołej rzeczywistości.

Pilnie potrzebował jedzenia i powietrza. Jego skóra zewnętrzna była sucha i popękana; wymagała oczyszczenia i ożywienia. A żywność, powietrze i środki czyszczące zostały na statku. Przy sobie, w cielesnej sakiewce, Kalen miał tylko jeden czerwony orzech kerla i bombę tetnitową.

Gdyby udało mu się rozłupać i zjeść orzech, odzyskałby nieco sił. Ale jak go rozłupać?

Był przerażony tym, jak dalece uzależnił się od maszyn. I tym, że teraz będzie musiał znaleźć sposoby na wykonanie czynności najprostszych, zwyczajnych, codziennych - tych, które jego statek wykonywał automatycznie, a o których on sam nawet nie musiał myśleć.

Kalen zauważył, że obcy najwyraźniej porzucili swój statek. Dlaczego? To nie było ważne.

Ważne było to, że jeżeli zostanie na równinie, umrze przed nastaniem dnia. Jedyna jego szansa na przeżycie leżała we wnętrzu obcego statku.

Wolno prześlizgiwał się wśród traw, przystając tylko w chwilach, gdy atakowały go zawroty

głowy. Starał się nie tracić z oczu swojego pojazdu. Jeżeli obcy zaczną go teraz ścigać - wszystko stracone. Ale nic takiego nie nastąpiło. Podkradłszy się do statku, co trwało wieczność, Kalen wszedł do środka.

Nadchodził wieczór. Ale nawet w półmroku dało się zauważyć, że statek jest stary. Ściany, od początku za cienkie, miały łatę na łacie. Wszystko świadczyło o długoletniej, intensywnej eksploatacji.

Teraz rozumiał, dlaczego tak im zależało na jego statku.

Zaatakowała go kolejna fala słabości. W ten sposób organizm Kalena domagał się natychmiastowej uwagi.

Problemem numer jeden wydawało się jedzenie. Kalen wyłuskał z sakwy orzech kerla. Orzech był okrągły, mierzył około czterech cali średnicy, przy czym grubość łupiny wynosiła dwa cale. Orzechy tego gatunku były podstawowym składnikiem diety mabogiańskiego kosmonauty. Stanowiły koncentrat energii i dawały się przechowywać praktycznie w nieskończoność - niełuskane, rzecz jasna.

Kalen położył orzech przy ścianie, znalazł stalowy pręt i z całej siły uderzył prętem w orzech. Przy zetknięciu z orzechem, pręt powodował głuchy odgłos, jak z wielkiego bębna. Orzech pozostał nietknięty.

Kalen ciekaw był, czy obcy usłyszeli odgłos. Musiał się liczyć z ryzykiem. Przymierzył się i ponownie zaatakował orzech. Po kwadransie, on sam padał z wyczerpania, a pręt zgięty był niemal w pół.

Orzech nie odniósł szwanku.

Kalen zrozumiał, że nie da rady rozłupać orzecha bez Zgniatacza - standardowego wyposażenia wszystkich mabogiańskich statków. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można próbować innych metod łupania orzechów.

Był to przerażający dowód jego bezradności.

Uniósł łom do następnego uderzenia i stwierdził, że jego kończyny sztywnieją. Rzucił pręt i dokonał oględzin własnej osoby.

Zmrożona powłoka zewnętrzna hamowała ruchy. Skóra twardniała powoli w nieprzenikalną tkankę rogową. Z końcem procesu twardnienia, Kalen zostałby unieruchomiony. Zamrożony w jednej pozycji, siedziałby tak lub stał, dopóki nie udusiłby się na śmierć.

Kalen z trudem odegnał fale rozpaczony i zmusił się do myślenia. Musiał bezzwłocznie zdjąć starą skórę. To było ważniejsze niż jedzenie. Na pokładzie własnego statku obmyłby ją i namoczył, zmiękczył i w końcu wykurował. Wątpił jednak, czy obcy wozili z sobą odpowiednie środki czyszczące.

Drugim wyjściem było zderzyć z siebie zewnętrzną powłokę. Kolejna warstwa skóry przez parę dni byłaby bardzo delikatna, ale przynajmniej nie krępowałaby ruchów.

Na sztywnych kończynach udał się w poszukiwaniu Rozbieraka. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że obcy na pewno nie będą mieli nawet tego podstawowego urządzenia. Znowu zdany był wyłącznie na siebie.

Podniósł stalowy łom, wygięty w hak, i jego czubek wetknął pod fałd skóry. Z całej siły szarpnął w górę. Skóra nie poddawała się.

Kalen wcisnął się między generator a ścianę i inaczej zamocował hak. Zbyt krótkie ramiona nie pozwoliły mu jednak zastosować techniki dźwigni i twarda skóra uparcie trzymała się na ciele.

Wypróbował jeszcze z dziesięć innych pozycji - bez powodzenia. Pozbawiony pomocy mechanicznej, nie mógł utrzymać się dość mocno w jednym miejscu.

Zniechęcony, rzucił łom. Nic nie mógł zrobić, absolutnie nic. I nagle przypomniał sobie o bombie tetnitowej w cielesnej sakwie.

Prymitywna część jego umysłu, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał, podszeptowała,

że jest jedno proste wyjście z sytuacji. Kalen mógł podrzucić bombę pod własny statek, korzystając z nieuwagi obcych. Słaby ładunek nie wyrządziłby statkowi większej szkody, tylko wyrzuciłby go w górę na wysokość dwudziestu, może trzydziestu stóp.

Obcy jednak niewątpliwie ponieśliby śmierć.

Kalen poczuł grozę. Jak mógł o czymś takim pomyśleć? Etyka Mabogian, wszczepiona głęboko w samą tkankę jego istnienia, zabraniała odbierania życia istocie inteligentnej, bez względu na okoliczności. Bez względu na wszelkie okoliczności.

- Ale czy to nie będzie usprawiedliwione? - szeptała prymitywna część jego umysłu. - Ci obcy są chorzy. Oddałbyś przysługę wszechświatu pozbywając się ich, a przy okazji tylko pomógłbyś sam sobie. Nie myśl o tym jako o morderstwie. Uznaj to za eksterminację.

Kalen wyjął bombę z sakiewki i obejrzał ją, po czym pospiesznie schował z powrotem.

- Nie! - powiedział sam do siebie, bez wielkiego przekonania.

Nie chciał już więcej myśleć. Na zmęczonych, niemal całkiem sztywnych kończynach, zaczął przeszukiwać obcy statek, rozglądając się za czymś, co uratowałoby mu życie.

Agee siedział w kucki w kabinie pilota, ze znużeniem znacząc przyciski niezmywalnym ołówkiem. Czuł ból w płucach; pracował całą noc. Teraz na zewnątrz ponuro szarzał świt i chłodny wiatr smagał kadłub "Niezlomnego II". Statek miał już oświetlenie, ale nie miał ogrzewania, ponieważ Agee bał się dotknąć regulatora temperatury.

Victor wszedł do pomieszczenia załogi, zataczając się pod ciężarem wielkiej skrzyni.

- A Barnett? - zawołał Agee. - Idzie - odpowiedział Victor.

Kapitan kazał cały sprzęt składać na przedzie statku, gdzie byłby łatwo dostępny. Pomieszczenie załogi było jednak nieduże i prawie w całości już zastawione.

Rozglądając się za kawałkiem wolnego miejsca pod skrzynię, Victor zauważył drzwi w jednej ścianie. Wcisnął widniejący w nich guzik - drzwi gładko podjechały w górę i schowały się w

suficie, ukazując pokoię wielkości szafy. Victor uznał, że będzie to świetny magazyn.

Nie zważając na okruchy czerwonych łupin walające się po podłodze, wpełznął skrzynie do środka.

Sufit pokoiku zaczął się momentalnie opuszczać. Victor ryknął, aż się poniosło po całym statku.

Podskoczył - i wyrznął głową w sufit. Padł na twarz, oniemiały ze zdziwienia.

Agee wypadł z kabiny pilota, a i Barnett nadbiegł do nich sprintem. Barnett złapał Victora za nogę, chcąc go wyciągnąć ze schowka, ale Victor był ciężki, a kapitan ślizgał się po gładkim metalu posadzki.

Wykazując rzadką przytomność umysłu, Agee ustawił skrzynie na sztorc. Sufit zatrzymał się na niej.

Barnett i Agee zaczęli we dwóch szarpać Victora za nogi. Udało im się go wyciągnąć w samą porę: ciężka skrzynia rozpękła się na kawałki, a w następnej chwili zmiażdżona została w proch.

Sufit pokoiku, opuszczający się na lśniącym olejem potężnym sztyfcie, sprasował kufer do grubości sześciu cali. Dokonawszy tego, urządzenie mlasnęło dźwięcznie i bezszelestnie wróciło na miejsce.

Victor usiadł, masując głowę.

- Kapitanie - odezwał się błagalnym tonem. - Nie moglibyśmy wrócić na nasz statek?

Agee też miał swoje wątpliwości co do całego przedsięwzięcia. Ogarnął wzrokiem złowieszczy pokoię, który na powrót przypominał szafę z okruchami czerwonych skorup na podłodze.

- Jak słowo daje, to jakaś pułapka - odezwał się strapiony. - Może Victor ma rację.

- Chcesz zostawić taki statek? - zdumiał się Barnett. Agee skrzywił się niewyraźnie i kiwnął głową.

- Najgorsze - powiedział, nie patrząc na Barnetta - jest to, że nie wiemy, z czym on za chwile wyskoczy. Za duże ryzyko, kapitanie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, z czego byś zrezygnował? zbeształ go Barnett, - Sam kadłub wart jest majątek. Oglądałeś silniki? Nie ma siły po tej stronie Ziemi zdolnej powstrzymać tę maszynę. Potrafi przewiercić planetę na wylot i wyjść po drugiej stronie bez jednego draśnięcia na lakierze. A ty chcesz ją zostawić!

- Nie będzie tyle warta, jak nas pozabija - zauważył Agee.

Victor entuzjastycznie pokiwał głową. Barnett wytrzeszczył na nich oczy.

- Słuchajcie mnie uważnie - powiedział. - Nie zostawimy tego statku. To nie jest żadna pułapka.

To pojazd obcych, wyposażony w obcą aparaturę. Wystarczy, żebyśmy nie ruszali czego nie trzeba do momentu lądowania. Zrozumiano?

Agee miał ochotę wypowiedzieć się na temat szaf, które zamieniają się w prasy hydrauliczne. Nie wydawało mu się to zbyt obiecującym sygnałem na przyszłość. Ale spojrzał na minę Barnetta i postanowił nie zabierać głosu.

- Poznaczyłeś wszystkie przyrządy?

- Jeszcze kilka mi zostało - powiedział Agee.

- W porządku. Skończ i tylko tych będziemy dotykać. Jeżeli resztę maszyny pozostawimy w spokoju, to i ona nas nie ruszy. Musimy tylko trzymać ręce przy sobie - i nie ma strachu.

Barnett otarł pot z twarzy, oparł się o ścianę i rozpiął kurtkę.

Natychmiast z otworów po obu jego stronach wysunęły się dwie metalowe wstęgi, które opasały Barnetta na wysokości talii i żołądka.

Barnett chwile im się przyglądał, po czym z całej siły szarpnął się do przodu. Wstęgi nie puszczały. W ścianie rozległ się dziwny odgłos, jakby kląskanie, a zaraz potem wysunął się stamtąd delikatny cienki drucik. Drucik z szacunkiem dotknął kurtki Barnetta, po czym schował się w głąb ściany.

Agee i Victor patrzyli na to wszystko bezradnie. - Wyłącz to - wycedził Barnett przez zęby.

Agee skoczył do kabiny pilota. Victor dalej wytrzeszczał oczy. Ze ściany wyslizgnęła się metalowa łapa, zakończona połyskliwym trzycalowym ostrzem.

- Nie! - rozdarł się Barnett.

Victor ożył gwałtownie. Podbiegł do łapy, próbował ją wyrwać ze ściany, ale ramię wykonało tylko jeden zwrot i posłało Victora w przeciwny koniec pomieszczenia.

Z chirurgiczną precyzją ostrze przecięło kurtkę Barnetta równo pośrodku, nie dotykając koszuli pod spodem. Łapa znikła z pola widzenia.

Agee wciskał jeden przycisk po drugim: generatory wyły, stabilizatory drgały, mrużyły światła.

Na mechanizmie, który więził Barnetta nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Wiotki drucik znów się pokazał. Dotknął koszuli Barnetta i zawahał się na moment. Mechanizm wewnętrzny zaświergotał ostrzegawczo. Drucik raz jeszcze dotknął koszuli Barnetta, jakby niepewny, co powinien w takim przypadku uczynić.

Agee darł się z pomieszczenia kontrolnego.

- Nie daje się wyłączyć! To chyba w pełni automatyczne!

Drucik schował się w ścianie, a w jego miejsce pojawiło się zakończone ostrzem ramię.

Victor zdążył tymczasem znaleźć ciężki klucz francuski. Podskoczył, zamachnął się i morderczym ciosem trafił w ramię, omijając o włos głowę Barnetta.

Łapa ani trochę na tym nie ucierpiała. Spokojnie rozplatała koszulę Barnetta od strony pleców, pozostawiając go nagim do pasa.

Barnettowi nic się nie stało, ale dziko przewrócił oczami, kiedy wiotki drucik wyłonił się ze ściany po raz trzeci. Victor wpakował pieść do ust i zaczął się cofać. Agee zacisnął powieki.

Drucik dotknął ciepłego, żywego ciała Barnetta i wyraźnie usatysfakcjonowany, cofnął się w głąb ściany. Wstęgi otworzyły się. Barnett padł na kolana.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Nie było o czym mówić. Barnett zagapił się w

przestrzeń. Victor strzelał kostkami palców, aż Agee trącił go w bok.

Stary pilot zastanawiał się, dlaczego mechanizm porozcinał odzież Barnetta, ale zatrzymał się kiedy doszedł do żywego ciała. Czyżby obcy w ten sposób się rozbierał? Nie miało to sensu. Ale, z drugiej strony, szafa-prasa też nie miała sensu.

Agee nawet się trochę ucieszył z tego incydentu. Zdarzenie musiało dać Barnettowi nauczkę.

Teraz już na pewno zostawią to zdraдлиwe monstrum i wymyślą sposób na odzyskanie własnego statku.

- Daj mi jakąś koszulę - powiedział Barnett. Victor pospiesznie znalazł coś dla niego. Barnett ubrał się w koszulę, stojąc jak najdalej od ściany.

- Jak szybko możesz uruchomić ten statek? - zapytał Barnett Agee'ego, jeszcze nieco roztrzęsiony.

- Co takiego?

- Słyszałeś chyba.

- Ty jeszcze nie masz dość? - Agee'ego zatkało. - Nie mam. Jak szybko możemy odpalić?

- Za godzinę, coś koło tego - burknął niechętnie Agee. Co innego mógł powiedzieć? Kapitan był nie do wytrzymania. Agee poczłapał zmęczony do pomieszczenia kontrolnego.

Barnett założył sweter na koszulę, a na to jeszcze kurtkę. W pomieszczeniu było chłodno, a on dostał silnych dreszczy.

Kalen leżał bez ruchu na podłodze obcego statku. Jak głupi, zmarnował resztkę sił na próby zerwania sztywnej powłoki zewnętrznej. A im on był słabszy, tym szybciej skóra twardniała. Teraz już w ogóle nie opłacało się ruszać. Lepiej odprężyć się i czuć, jak ognie wewnętrzne wolno dogasają.

Wkrótce śnił już o zębatych wzgórzach Mabogu i o wielkim porcie Canthanope, do którego spływali w dół handlarze międzygwiazdni ze swoimi egzotycznymi towarami. Był tam teraz,

zapadał zmierzch, a on patrzył ponad płaskimi dachami na dwa ogromne zachodzące słońca.

Dlaczego jednak oba słońca zachodziły na południu? Fizyczna niemożliwość. Może ojciec zdoła to wyjaśnić. Noc zapadła szybko.

Otrząsnął się z fantazji i zobaczył ponure światło po ranka. Nie tak powinien umierać kosmonauta z Mabogu. Jeszcze raz spróbuje.

Po pół godzinie żmudnych, bolesnych poszukiwań trafił na zapleczu statku na zaplombowaną metalową ; skrzynkę. Obcy najwyraźniej o niej zapomnieli. Zerwał wieko. Wewnątrz było kilka butelek, starannie zamocowanych i zabezpieczonych okładzinami przed rozbiciem. Kalen wyjął jedną i obejrzał ją uważnie.

Oznaczona była dużym białym symbolem. Nie było żadnego powodu, żeby Kalen miał znać ten symbol, a jednak wydał mu się on dziwnie znajomy. Kalen wysilił pamięć, starając się dociec, gdzie widział coś podobnego.

I przypomniał sobie, jak przez mgłę: było to przedstawienie czaszki humanoida. W Unii Mabogijskiej była jedna rasa humanoidalna, a kopie jej czaszek Kalen oglądał w muzeum.

Ale czemu ktoś miałby tym symbolem ozdabiać butelkę?

W Kalenie czaszka budziła uczucie szacunku. O to zapewne chodziło producentom. Otworzył butelkę i powąchał.

Woń była ciekawa. Przypominała zapach...

...roztworu do oczyszczania skóry!

Nie zwlekając, Kalen wylał na siebie całą zawartość butelki. Bał się żywić nadzieję, czekał tylko, co będzie. Gdyby udało mu się przywrócić skórę do porządku...

Tak jest, płyn zawarty w butelce z czaszką był łagodnym środkiem czyszczącym. A do tego miał przyjemny zapach.

Kalen wylał kolejną butelkę na swój pancerz i poczuł, jak zbawczy płyn wsącza się głębiej, jego

ciało, spragnione odżywki, chciwie wołało o jeszcze. Opróżnił trzecią butelkę.

Przez dłuższy czas Kalen tylko leżał i czuł jak wsącza się w niego życiodajny płyn. Skóra rozluźniła się i uelastyczyła. Czuł w sobie nowy zastrzyk energii, nową wole życia.

Będzie żył!

Po kąpieli Kalen zbadał konsolę statku; miał nadzieję, że zdoła dolecieć starym pudłem na Mabog. Natychmiast wyłoniły się trudności. Z niewiadomej przyczyny, urządzenia kontrolne nie były zabezpieczone w oddzielnym pomieszczeniu. Zastanawiał się, dlaczego. Niemożliwe przecież, żeby te dziwne stworzenia cały swój statek uczyniły komorą deceleracyjną. Niemożliwe. Nie mieli nawet dość miejsca na pojemniki z płynem.

Było to niepokojące, ale niepokojące było jak dotąd wszystko, co dotyczyło obcych. Tę trudność Kalen był w stanie przezwyciężyć. Kiedy jednak poszedł obejrzeć silniki, stwierdził brak kluczowego ogniwa, które usunięto ze stosów. Mechanizm był bezużyteczny.

Pozostawało tylko jedno wyjście: musi odzyskać swój statek.

Ale jak?

Nerwowo przemierzał pokład. Etyka mabogiańska zabraniała zabijać inteligentne życie i nie było w tej kwestii żadnego "ale". Pod żadnym pozorem - nawet w obronie własnego życia - nie wolno było zabić. Było to mądre prawo, które dobrze przysłużyło się Mabogianom. Dzięki ścisłemu jego przestrzeganiu, Mabogianie przez trzy tysiące lat unikali wojen, za to osiągnęli wysoki poziom rozwoju cywilizacji - co byłoby niemożliwe, gdyby dopuścili wyjątki od reguły. Każde "ale" może zaszkodzić najzdrowszej nawet zasadzie.

Nie mógł złamać prawa.

Ale czy wobec tego ma tu umierać bez walki?

Kalen spojrzał pod nogi i stwierdził ze zdumieniem, że rozlany płyn czyszczący powyżerał dziury w pokładzie. Cóż za nietrwałe urządzenie - byle płyn kosmetyczny potrafi je zniszczyć!

Sami obcy wobec tego też muszą być słabi.

Wystarczyłaby jedna bomba tefitowa.

Podszedł do okna. Chyba nikt nie stał na straży. Kalen pomyślał, że na pewno zajęci są przygotowaniami do startu. Nic prostszego jak przemknąć się wśród traw do samego statku...

A na Mabogu nikt by się nie musiał dowiedzieć prawdy.

Kalen, ku własnemu zdumieniu, stwierdził, że już bezwiednie pokonał połowę odległości między pojazdami. To ciekawe, ile potrafi zrobić ciało bez udziału umysłu.

Wyjął bombę i podczołgał się o następne dwadzieścia stóp bliżej.

W końcu przecież - w dalszej perspektywie - to zabójstwo niczego nie zmieniało.

- Jeszcze nie jesteś gotowy? - zapytał Barnett o dwunastej w południe.

- Chyba już jestem - odpowiedział Agee. - Bardziej gotowy już nie będę.

Barnett kiwnął głową.

- My z Victorem przytroczymy się pasami w kabinie załogi. Startuj z najmniejszym przyspieszeniem. Barnett wrócił do pomieszczenia załogi. Agee podopinał pasy i nerwowo zatarł ręce. Zdawało mu się, że pozaznaczał wszystkie podstawowe urządzenia. Powinno się było udać.

Miał nadzieję, że się uda.

Bo przecież była ta szafa, i łapa z nożem. Kto zgadnie, z czym jeszcze wyskoczy szalony pojazd?

- Gotowi! - zawołał Barnett z kabiny załogi. - Dobra. Jeszcze z dziesięć sekund.

Zamknął i zabezpieczył śluzy. jego własne drzwi zamknęły się automatycznie, odcinając pilota od reszty załogi. Z lekkim uczuciem klaustrofobii, Agee włączył stopy. Na razie wszystko szło doskonale.

Na podłogę wypełzła cienka strużka oleju. Agee uznał to za wyciek z obłuzowanego złącza i nie przejął się zbyt. Powłoki kontrolne pracowały jak marzenie. Agee wcisnął kurs i ustawił przyrząd kontroli lotu.

I wtedy poczuł, że coś uderza o jego stopę. Spojrzał w dół i ze zdziwieniem odnotował prawie trzycalową warstwę gęstego, cuchnącego oleju na pokładzie. Solidny wyciek. Agee'emu nie mieściło się w głowie, żeby taki porządny statek mógł mieć taką wadę. Odpiął pasy i zaczął szukać źródła wycieku.

Znalazł je bez trudu. W pokładzie były cztery małe ujścia i każdym z nich gładko, równomiernie, bił strumień oleju.

Agee wcisnął guzik otwierający drzwi kabiny, ale drzwi ani drgnęły. Odrzucając panikę, Agee starannie obejrzał drzwi.

Powinny były się otworzyć. Nie otwierały się.

Olej już prawie sięgał jego kolan.

Agee uśmiechnął się idiotycznie. Go za głupiec z niego! Kabinę pilota zamykało się z konsoly.

Zwolnił blokadę i wrócił do drzwi.

Nadal nie chciały się otworzyć.

Agee szarpał je z całych sił, ale drzwi były niewzruszone. Wrócił do deski rozdzielczej. Kiedy znaleźli statek, oleju nie było. Co znaczy, że gdzieś musi być odpływ.

Zanim znalazł odpływ, olej sięgał mu do pasa. Potem znikł prawie natychmiast. A kiedy tylko olej znikł, drzwi otworzyły się z łatwością.

- Co jest? - zapytał Barnett. Agee powiedział mu.

- A więc to tak wygląda jego sposób! - powiedział cicho Barnett. - Dobrze wiedzieć.

- Sposób na co? - spytał Agee, czując, że Barnett traktuje całą sprawę zbyt lekko.

- Sposób na to, żeby wytrzymać przyspieszenie przy starcie. To mnie dręczyło. Przecież na pokładzie nie ma nic na kształt łóża czy leżanki. Nawet krzesel nie ma - do czego tu się przypasać?

Dlatego on pływa sobie w oleistej kąpieli, której kurki włączają się automatycznie z chwilą gotowości maszyny do lotu.

- Ale dlaczego drzwi nie dawały się otworzyć? - pytał dalej Agee.

- To przecież oczywiste - uśmiechnął się Barnett. - Nie chciał, żeby mu olej zalał cały statek.

Albo żeby przypadkiem nie spłynął z pokładu.

- Nie możemy startować - zawyrokował Agee.

- A to dlaczego?

- Ponieważ nie jestem szczególnie mocny w oddychaniu olejem. Dopływ oleju włącza się automatycznie razem z mocą i nie ma siły, żeby go wyłączyć.

- Rusz głową - poradził mu Barnett. - Wystarczy, że zablokujesz otwarty odpływ: co się naleje, to natychmiast spłynie.

- Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy - przyznał ze skruchą Agee.

- No to do roboty.

- Chciałbym się najpierw przebrać.

- Nie. Oderwij ten cholerny statek od ziemi.

- Ale, kapitanie...

- Ruszaj - rozkazał Barnett. - Zdaje mi się, że ten obcy coś kombinuje.

Agee wzruszył ramionami, wrócił do kabiny pilota i zapiął pasy.

- Gotowi?

- Tak, ruszaj wreszcie.

Agee zablokował odpływ i olej rozpoczął bezpieczną cyrkulację, nie wznosząc się ponad poziom butów pilota. Bez dalszych komplikacji Agee uruchomił resztę przyrządów.

- Jazda.

Nastawił na minimalne przyspieszenie i dmuchnął w opuszki palców - na szczęście.

Wcisnął start.

Kalen z głębokim żalem patrzył na swój oddalający się statek. Bombę tetnitową nadal trzymał w

ręku.

Zdążył dojść do statku, przez parę sekund nawet pod nim stał. Po czym odczołgał się z powrotem do wraku obcych. Nie zdobył się na podłożenie bomby. Parę godzin nie wystarczyło na pokonanie kilkusetletnich uwarunkowań.

Uwarunkowań - owszem, ale i czegoś jeszcze. Nieliczni przedstawiciele każdej rasy mordują dla przyjemności. Z drugiej strony, istnieje szereg powodów usprawiedliwiających zabójstwo, i to takich, które uznałby każdy filozof.

Jeżeli się je jednak raz zaakceptuje, takich powodów natychmiast rodzi się więcej, i coraz więcej. Morderstwo raz zaakceptowane staje się nie do powstrzymania. Nieuchronnie prowadzi do wojny, i dalej, do unicestwienia.

Kalen czuł, że to morderstwo wpłynęłoby w jakiś sposób na los jego rasy. Powstrzymanie się od zabójstwa wydało mu się nieomal kwestią jej przetrwania.

Mimo wszystko, nie poprawiło mu to samopoczucia. Patrzył; jak jego statek zmienia się w kropkę na niebie. Obcy oddalali się w śmiesznie powolnym tempie. Nie widział po temu żadnego usprawiedliwienia - chyba że chcieli mu dokuczyć.

Bez wątpienia mieli w sobie dość sadyzmu na coś takiego.

Kalen wrócił na statek. Wola życia była w nim silniejsza niż kiedykolwiek. Nie miał zamiaru się poddawać. Postanowił za wszelką cenę czepiać się życia, w nadziei jednej na milion - że kiedyś ktoś jeszcze odwiedzi planetę.

Rozejrzał się i uznał, że może sprokurować namiastkę powietrza ze środka czyszczącego oznakowanego czaszką. Wystarczy na dzień, może dwa. A gdyby jeszcze zdołał otworzyć orzech kerla...

Zdawało mu się, że słyszy coś na zewnątrz. Skoczył sprawdzić. Niebo było puste. Statek zniknął.

Kalen był sam.

Znów wrócił na obcy statek i podjął zmuszone zadanie utrzymania się przy życiu.

Odzyskawszy przytomność, Agee stwierdził, że tuż przed omdleniem zdołał zredukować przyspieszenie do połowy. Tylko to uratowało mu życie.

Nawet obecne przyspieszenie, oscylujące tuż nad punktem zero, było nieznośnie ciężkie! Agee odpieczętował drzwi i przeczołgał się do sąsiedniego pomieszczenia.

Barnetta i Victora przy starcie wystrzeliło z pasów. Victor właśnie odzyskiwał przytomność.

Barnett podnosił się ze sterty pogniecionych skrzyń.

- Co ty sobie myślisz, że w cyrku jesteś? - zrzędził Barnett. - Mówiłem przecież: przyspieszenie minimum.

- Startowałem z przyspieszeniem minimum - poinformował go Agee. - Idź, sam sobie poczytaj zapis. Barnett pomaszerował do kabiny pilota. Zaraz wrócił. - Kiepska sprawa. Nasz przyjaciel podróżuje tym statkiem z przyspieszeniem trzykrotnie wyższym od naszego.

- Na to wygląda.

- Nie pomyślałem o tym - zasepił się Barnett. - W takim razie on musi pochodzić z ciężkiej planety, z takiego miejsca, gdzie trzeba startować błyskawicznie, żeby się w ogóle odczepić od podłoża.

- Coś mnie uderzyło - poskarżył się Victor, rozcierając głowę.

W ścianie coś pstryknęło. Statek ożył na całego, urządzenia automatycznie wkraczały do akcji.

- Ciepło się robi, nie? - zagadnął Victor.

- Owszem, i gęstawo - dodał Agee. - Zwyżka ciśnienia.

Wrócił do kabiny pilota. Barnett i Victor stali w drzwiach i obserwowali go w napięciu.

- Nie mogę tego wyłączyć - oświadczył Agee, ocierając pot, który strumieniami zalewał mu twarz. - Temperatura i ciśnienie regulowane są automatycznie. Muszą wracać do "normy", kiedy statek leci.

- Wyłącz to cholerstwo - polecił Barnett. - Usmażymy się tutaj jak zaraz nie wyłączysz.
 - Nie ma jak.
 - Przecież gdzieś musi być regulator ciepła.
 - Owszem - tutaj - wskazał Agee. - Już skręcony do minimum.
 - Myślisz, że jaką on ma normalną temperaturę? - zapytał Barnett.
 - Wolę nie myśleć - powiedział Agee. - Ten statek jest zbudowany z wyjątkowo trudno topliwych stopów. Wytrzymałby ciśnienie dziesięciokrotnie wyższe niż statek ziemski. Uwzględniając oba te czynniki...
 - To się musi dać wyłączyć! - Barnett zdarł z siebie kurtkę i sweter. Temperatura szybko wzrastała, pokład był już tak rozgrzany, że ledwo można było na nim ustać. - Wyłącz to! - zawył Victor.
 - Momencik - odpowiedział Agee. - Nie ja budowałem ten statek. Skąd mam wiedzieć...
 - Dosyć! - Victor darł się, potrząsając Ageem jak szmacianą lalką. - Dość!
 - Puszczaj ! - Agee wyciągnął miotacz do połowy. I nagle, w przypiływie natchnienia, wyłączył silniki statku. Pstrykanie w ścianach umilkło. Pomieszczenie zaczęło się ochładzać.
 - Co jest? - zapytał Victor.
 - Temperatura i ciśnienie spadają po wyłączeniu mocy - wyjaśnił Agee. - Nic nam nie grozi, dopóki znów nie włączymy silników.
 - Kiedy możemy zawinąć do najbliższego portu? spytał Barnett.
- Agee liczył w myślach.
- Za jakieś trzy lata - ocenił. - Zapędziliśmy się dosyć daleko. - Nie dałoby się powyrywać tych urządzeń? Odłączyć?
 - Są wmontowane w bebechy statku - powiedział Agee. - Potrzebowalibyśmy całej narzędziowni i fachowej pomocy. A nawet wtedy nie byłoby to proste.

Barnett przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu odezwał się.

- No dobra.

- Co dobra?

- Daliśmy dupy. Trzeba wracać na tamtą planetę i brać stary statek.

Agee odetchnął z ulgą i wcisnął nowy kurs na zapisie statku.

- Myślisz, że obcy nam go odda? - zapytał Victor.

- Na pewno - powiedział Barnett. - Jeżeli w ogóle jeszcze żyje. Spodziewam się, że odzyskanie statku byłoby mu bardzo na rękę. Ale żeby wejść na swój statek, musi zejść z naszego.

- No tak, kiedy jednak już wsiądzie na ten swój...

- Pomajstrujemy koło przyrządów - zdecydował Barnett. - To go chwilę przytrzyma.

- Chwile - zgodził się Agee. - Ale prędzej czy później wystartuje, z pianą na ustach. Nigdy mu nie uciekniemy.

- Wcale nie musimy - powiedział Barnett. - Jedyne co musimy, to znaleźć się w górze wcześniej niż on. Kadłub ma mocny, ale trzy bomby atomowe to chyba będzie aż nadto.

- O tym nie pomyślałem - uśmiechnął się niemrawo Agee.

- Jedyne logiczne wyjście - powiedział Barnett niezbyt pewnym siebie tonem. - Te stopy metali z kadłuba dalej będą sporo warte. A teraz spróbuj nas tam dowieźć z powrotem i nie usmażyć po drodze.

Agee włączył silniki. Wykonał ostry zwrot, ładując tyle atmosfer, ile tylko mogli wytrzymać.

Urządzenia towarzyszące włączyły się pstrykając gęsto i temperatura momentalnie wzrosła.

Wykonawszy manewr, Agee skierował "Niezlomnego II" we właściwy punkt i zgasił silniki.

Większość drogi pokonali bez pomocy silników. Dopiero kiedy zbliżali się do planety, Agee musiał ponownie włączyć moc, żeby wprowadzić statek w spiralę deceleracyjną i zejść do lądowania.

Ledwo wygramolili się ze statku, cali w pęcherzach, buty przepalone na wylot. Nie było czasu na figle z przyrządami obcego.

Schowali się w lesie i czekali.

- Może wykitował - odezwał się z nadzieją Agee. Zobaczyli małą figurkę wyłaniającą się z "Niezlomnego I". Obcy poruszał się powoli, ale zdecydowanie mógł się poruszać.

Obserwowali go.

- A jeżeli on - odezwał się Victor - zbudował sobie broń? Jak nas zacznie gonić?

- A jakbyś ty się tak zamknął, co? - odpowiedział mu Barnett.

Obcy pomaszerował wprost do swojego statku. Zniknął wewnątrz, zamknął wszystkie otwory.

- No dobra - Barnett wstał z miejsca. - Trzeba się spieszyć. Agee, ty się zajmiesz sterami. Ja połączę stosy. Victor zabezpieczy otwory. Tempo!

Puścili się biegiem przez równinę i w parę sekund dopadli otwartej śluzy "Niezlomnego I".

Nawet gdyby Kalen chciał się pospieszyć, nie miał na razie dość sił na poprowadzenie statku. Ale wiedział, że wewnątrz pojazdu jest bezpieczny. Żaden obcy nie wdrze się przez zapieczętowane otwory. Znalazł zapasowy kanister z powietrzem i otworzył go.

Wnętrze zapełniło się gęstym, życiodajnym żółtym gazem. Przez kilka długich minut Kalen tylko oddychał i oddychał.

Potem przetrzął do Zgniatacza trzy największe orzechy kerla. Zgniatacz je rozłupał.

Kiedy Kalen zjadł, poczuł się o wiele lepiej. Dał się rozebrać Rozbierakowi z zewnętrznej powłoki. Druga skóra też była martwa, więc i tę Rozbierak rozplątał na pół, ale trzeciej, żywej warstwy, już nie ruszył.

Kalen, jak nowy, wślizgnął się do kabiny pilota. Teraz już miał pewność, że obcy ulegli chwilowemu szaleństwu. Inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wrócili i oddali mu statek.

A więc musi odszukać ich władze i podać im położenie planety. Niech znajdą swoich i wyleczą

ich, raz na zawsze.

Kalen czuł się bardzo szczęśliwy. Nie odstąpił od zasad etyki mabogiańskiej, a to było najważniejsze. Jakże łatwo mógł im podrzucić na pokład bombę tetnitową, z precyzyjnie ustawionym zegarem. Mógł zniszczyć ich silniki. I miał takie pokusy.

Ale nie uległ im. Nie zrobił nic złego.

Sporządził tylko kilka substancji niezbędnych do ratowania własnego życia.

Kalen ożywił przyrządy i stwierdził, że wszystkie funkcjonują bez zarzutu. Płyn akceleracyjny zaczął się wlewać do kabiny z chwilą włączenia stosów.

Victor pierwszy dopadł wjazdu i wskoczył do środka. Wyrzuciło go z powrotem.

- Co jest? - zapytał Barnett.

- Coś mnie uderzyło - powiedział Victor. Ostrożnie zajrzeli do środka.

Zobaczyli misternie wykonaną śmiertelną pułapkę: wejście zagradzały połączone szeregowo przewody akumulatorów. Gdyby Victor oparł się o ścianę, zostałby momentalnie porażony prądem.

Przecięli obwód i weszli do środka.

Bałagan był nieopisany. Wszystko, co można było ruszyć z miejsca, zostało ruszone i rzucone byle gdzie. W kącie leżał zgięty łom. Silny kwas był porozlewany po podłodze, w kilku miejscach przeżarł ją na wylot. Stary kadłub "Niezlomnego 1" świecił dziurami.

- Kto by pomyślał, że to on nas tak załatwi! - odezwał się Agee.

Sprawdzali dalej. W pobliżu ogona tkwiła druga pułapka: drzwi do ładowni zostały zręcznie przymocowane do startera. Wystarczyło dotknąć, żeby z impetem odskoczyły na ścianę.

Ktokolwiek by się tam znalazł, zostałby sprasowany na placek.

Znaleźli jeszcze szereg innych pułapek, o niejednoznacznym przeznaczeniu.

- Da się naprawić? - spytał Barnett. Agee wzruszył ramionami.

- Większość narzędzi została na "Niezlomnym II". Może w rok da się jako tako połatać. Ale

trudno przewidzieć, czy kadłub wytrzyma.

Wyszli na zewnątrz. Obcy statek właśnie odpalał.

- Co za monstrum! - powiedział Barnett, patrząc na poprzężaną kwasem powłokę swojego statku.

- Z obcymi nigdy nic nie wiadomo - zgodził się Agee. - Dobry obcy, to martwy obcy - podsumował Victor. "Niezlomny I" był teraz równie niezrozumiały i niebezpieczny jak "Niezlomny II".

A "Niezlomnego II" nie było.

przekład : Jolanta Kozak

Rozdwojenie

Everett Barthold wykupił polisę ubezpieczeniową na życie nie bez zastanowienia. Najpierw dokładnie zapoznał się z warunkami, zwracając szczególną uwagę na zagadnienia łamania punktów umowy, rozmyślnych oszustw, machinacji z czasoprzestrzenią i zasad wypłacania odszkodowań. Sprawdził, na ile drobiazgowo towarzystwa ubezpieczeniowe badają sprawy przed wypłaceniem odszkodowania. Uzyskał wreszcie znaczną wiedzę na temat przypadków rozdwojenia - a to właśnie interesowało go szczególnie.

Kiedy uznał, że wie już wszystko, zaczął szukać towarzystwa ubezpieczeniowego, które spełniałoby jego wymagania. W końcu zdecydował się na Inter-Temporal Corporation, które w Teraźniejszości miało siedzibę w Hartford. Filie Inter-Temporal mieściły się w Nowym Jorku (w roku 1959), w Rzymie (rok 1580) i w Konstantynopolu (rok 1126). Oferowali więc swe usługi w całym obszarze czasowym, co było ważne dla realizacji całego planu.

Zanim Barthold złożył wniosek o polisę, przedyskutował swój projekt z żoną. Mavis Barthold była szczupłą, przystojną kobietą o przewrotnej kociej naturze.

- To się nigdy nie uda - stwierdziła natychmiast.

- Ależ to jest całkiem bezpieczne, kochanie - rzekł stanowczo Barthold.

- Resztę życia spędzisz pod kluczem.

- Nie ma mowy - zapewnił ją Barthold. - To nie może się nie udać... jeżeli mi pomożesz.

- Chcesz zrobić ze mnie swoje narzędzie - powiedziała żona. - Nie zgadzam się, kochanie.

- Moja droga, wydaje mi się, że chciałabyś mieć futro z autentycznych marsjańskich skartów.

Chyba już niewiele ich pozostało przy życiu.

Oczy pani Barthold błysnęły. Mąż sprytnie ugodził w jej czuły punkt.

- Myślę też - rzekł z wolna Barthold - że sprawiłby ci przyjemność nowy poduszkowiec

Daimlera, stroje z firmy Letti Det, sznur klejnotów ruum, willa na wenusjańskiej Riwierze...

- Wystarczy, kochanie! - pani Barthold z lubością patrzyła na swego przedsiębiorczego męża. Od

dawna podejrzewała, że w tym niepozornym ciele bije dzielne serce. Barthold był niski, zaczynał

łysieć, miał pospolite rysy, a zza rogowych okularów patrzyły łagodne oczy. Ale jego duch

najlepiej czułby się w jakimś potężnym ciele pirata.

- Więc jesteś pewny, że to się uda? --spytała go.

- Zupełnie pewny, jeśli zrobisz to, co ci powiem, i przestaniesz się zgrywać.

- Dobrze, kochanie - powiedziała pani Barthold i pomyślała o blasku klejnotów ruum, o

zmysłowym dotyku futra ze skartów.

Barthold poczynił ostatnie przygotowania. Wszedł do małego sklepiku, w którym na wystawie

były różne rzeczy, ale wewnątrz handlowano czymś zupełnie innym. Wyszedł uboższy o kilka

tysięcy dolarów, ale za to z małą brązową walizeczką, którą mocno ścisnął pod pachą. Pochodzenie

tych pieniędzy było nie do ustalenia. Zbierał je w drobnych banknotach przez kilka lat.

Pochodzenie zawartości brązowej walizeczki również było nie do ustalenia.

Zdeponował walizeczkę w przechowalni bagażu, odetchnął głęboko i wszedł do biura Inter-

Temporal Corporation.

Przez pół dnia lekarze opukiwali go i osłuchiwali. Wypełnił formularze i w końcu został zaprowadzony do gabinetu pana Grynsa, kierownika oddziału.

Gryns był uprzejmym, zwalistym mężczyzną. Szybko przejrzał papiery Bartholda, kiwając potakująco głową.

- Doskonale, doskonale - rzekł. - Wszystko wydaje się w porządku. Poza jedną sprawą.

- Co takiego? - zapytał Barthold, a serce zabiło mu gwałtownie.

- Kwestia dodatkowego ubezpieczenia. Nie jest pan zainteresowany pożarem albo kradzieżą?

Może odpowiedzialność cywilna, wypadek albo choroba? Ubezpieczamy od wszystkiego, począwszy od kuli muszkietowej, a skończywszy na tak dokuczliwej dolegliwości jak chroniczny katar.

- Och - powiedział Barthold, a puls zaczął mu wracać do normy. - Nie, dziękuję. Teraz interesuje mnie tylko polisa na życie. Moje obowiązki zmuszają mnie do podróżowania w czasie. Chcę odpowiednio zabezpieczyć moją żonę.

- Oczywiście, proszę pana - rzekł Gryns. - W takim razie sądzę, że wszystko jest w porządku.

Czy zna pan warunki tej polisy?

- Myślę, że tak - odparł Barthold, który przez cały miesiąc studiował formularze Inter-Temporal.

- Polisa dotyczy życia ubezpieczonego - mówił pan Gryns - a okres tego życia mierzony jest wyłącznie w subiektywnym czasie fizjologicznym. Polisa chroni pana w przedziale tysiąca lat z obu stron Teraźniejszości. Ale nie dalej. Ryzyko jest zbyt wielkie.

- Nie mógłbym marzyć o niczym więcej - powiedział Barthold.

- Polisa zawiera też zwyczajową klauzulę dotyczącą rozdwojenia. Czy rozumie pan jej znaczenie i warunki?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Barthold, który pamiętał ją słowo w słowo.

- Wszystko jest wobec tego w porządku. Proszę tu podpisać. I tutaj.

- Dziękuję - rzekł Barthold i naprawdę tak pomyślał. Wrócił do swego biura. Był kierownikiem działu sprzedaży w firmie Alpro (zabawki dla wszystkich epok). Oznajmił, że w celach handlowych niezwłocznie udaje się w przeszłość.

- Wspaniale! - wykrzyknął pan Carlisle, dyrektor Alpro. - Od dawna miałem nadzieję, że to zrobisz, Everett. - Wiedziałem o tym, panie Carlisle. Ale decyzję, proszę pana, podjąłem niedawno. Udaj się tam, pomyślałem, i sam sprawdź, co się dzieje. Wyszedłem więc, poczyniłem przygotowania i mogę już wyruszyć.

Carlisle poklepał go po ramieniu.

- Jesteś najlepszym szefem sprzedaży, jakiego Alpro kiedykolwiek miało. Bardzo się cieszę, że postanowiłeś wyruszyć.

- Ja także, panie Carlisle.

- Powodzenia! Przy okazji... - pan Carlisle uśmiechnął się szelmowsko - ...mam pewien adres w Kansas City w roku 1895, który może cię zainteresować. Wiesz, teraz się tego tak nie buduje. A w San Francisco w roku 1840 znam...

- Dziękuję, proszę pana, ale...

- Tylko sprawy zawodowe, co, Everett?

- Tak, proszę pana - rzekł Barthold z poważną miną. - Tylko sprawy zawodowe.

Wreszcie wszystko już było gotowe. Barthold wrócił do w domu, spakował się i dał żonie ostatnie wskazówki.

- Pamiętaj - mówił jej - kiedy nadejdzie pora, udaj zaskoczoną, ale nie symuluj załamania nerwowego. Bądź zakłopotana, ale nie szalej.

- Wiem - powiedziała. - Czy myślisz, że jestem taka - . głupia?

- Nie, moja droga. Po prostu masz tendencję do nadmiernego okazywania uczuć przy każdej okazji. Zbyt mało, to źle, zbyt dużo - także źle.

- Skarbie - rzekła pani Barthold cichym głosem.

- Co?

- Czy nie sądzisz, że mogłabym kupić jeden malutki ruum już teraz? Tylko jeden, żeby dotrzymał mi towarzystwa, zanim...

- Nie! Czy chcesz zmarnować wszystko? Psiakrew, Mavis...

- Już dobrze. Ja tylko zapytałam. Powodzenia, kochanie.

- Dziękuję, kochanie. Pocałowali się.

Potem Barthold wyszedł.

Odebrał brązową walizeczkę ze schowka w przechowalni bagażu. Następnie pojechał heli-taxi do centralnego magazynu wehikułów czasu. Po dłuższym zastanowieniu kupił flippera typu A i zapłacił za niego gotówką.

- Nigdy pan tego nie pożałuje - powiedział sprzedawca, odcinając metkę błyszczącym narzędziem. - Co za moc jest w tym pojeździe! Podwójny wirnik. Pełne sterowanie w każdej epoce.

Na pewno nie utknie w osobliwym punkcie równowagi czasoprzestrzennej.

- Świetnie - rzekł Barthold. - Zaraz wejdę i...

- Pomogę panu włożyć te bagaże. Wie pan, że jest podatek federalny od podróży w czasie?

- Wiem - odpowiedział Barthold, ostrożnie wkładając brązową walizeczkę do bagażnika flippera.

- Bardzo dziękuję, już wchodzę i...

- Dobrze, proszę pana. Zegar jest ustawiony na zero i zarejestruje wszystkie pana podróże. Tutaj jest lista obszarów czasoprzestrzennych zabronionych przez rząd. Drugi egzemplarz jest naklejony na tablicy rozdzielczej. Lista obejmuje wszystkie poważniejsze wojny, obszary klęsk żywiołowych i punkty osobliwe czasoprzestrzeni. Udanie się do zakazanego obszaru podlega karze, a zegar zarejestruje każdą taką podróż.

- Wiem o tym wszystkim. - Barthold nagle się zdenerwował. Oczywiście sprzedawca niczego nie

podejrzewał, ale po co tyle trajkotał o łamaniu prawa?

- Muszę pana zapoznać z przepisami - powiedział pogodnie sprzedawca. - Ponadto, proszę pana, istnieje tysiącletni limit podróży czasoprzestrzennych. Nikomu nie wolno go przekraczać bez pisemnego zezwolenia z Departamentu Stanu.

- Bardzo rozsądny zakaz - rzekł Barthold - i jedyny, o którym mi wspomniano w towarzystwie ubezpieczeniowym.

- Teraz to już wszystko. Życzę panu przyjemnej podróży! Flipper okaże się idealnym pojazdem na każdą okazję. Czy zechce pan udać się na skaliste drogi Meksyku w roku 1932, czy do wilgotnych tropików Kanady z roku 2308, Flipper doprowadzi pana do celu.

Barthold uśmiechnął się sztywno, uściśnął rękę sprzedawcy i wszedł do flippera. Zamknął drzwiczki, poprawił pasy bezpieczeństwa i włączył silniki. Z zaciśniętymi zębami pochylił się do przodu i nastawił docelowy punkt czasoprzestrzenny.

Potem wcisnął klawisz startowy.

Otoczyła go szara nicość. Na chwilę Barthold wpadł w przerażenie. Przemógł to jednak i poczuł przypływ gwałtownego podniecenia.

Nareszcie zaczynała się jego podróż ku fortunie! Nieprzenikniona szarość otaczała flippera jak lepka mgła. Barthold pomyślał o przepływających obok latach, o bezkształtnym świecie, bezkształtnej przestrzeni.

Ale nie było czasu na filozoficzne rozważania. Otworzył brązową walizeczkę i wyciągnął plik zapisanych kartek. Notatki, przygotowane dla niego przez agencję badań historycznych, zawierały kompletną historię rodu Bartholdów od najwcześniejszych czasów.

Bardzo długo studiował tę historię. Do realizacji swego planu potrzebował bowiem... Bartholda. Ale nie było jakiego Bartholda. Potrzebny był mu Barthold płci męskiej, liczący trzydzieści osiem lat, nieżonaty, nie utrzymujący kontaktów z rodziną, nie posiadający bliskich przyjaciół i nie

piastujący zbyt ważnego stanowiska. Najlepiej w ogóle nie pracujący.

Potrzebował Bartholda, którego nagłe zniknięcie nie zaniepokoiłoby nikogo, którego nikt by nie szukał.

Mając takie wymagania, Barthold mógł skreślić ze swej listy tysiące Bartholdów. Większość mężczyzn ożeniła się przed trzydziestym ósmym rokiem życia. Niektórzy nie dożyli tego wieku. Inni, choć samotni w wieku trzydziestu ośmiu lat, mieli bliskich przyjaciół i utrzymywali ścisłe kontakty z rodziną. Jeszcze inni, nie podtrzymujący więzów rodzinnych i pozbawieni przyjaciół, byli ludźmi, których zniknięcie spowodowałoby poszukiwania.

Po długotrwałym szperaniu Bartholdowi pozostała zaledwie garstka kandydatów. Tych zamierzał sprawdzić, mając nadzieję, że któryś spełni wszystkie jego wymagania...

Jeżeli taki człowiek w ogóle istniał - pomyślał i szybko wyrzucił tę myśl z głowy.

Niebawem szarość się rozproszyła. Wyjrzał i zobaczył, że znajduje się na brukowanej ulicy. Za nim parskał dziwny, wysoki automobil kierowany przez mężczyznę w słomkowym kapeluszu.

Był w Nowym Jorku w roku 1912.

Na pierwszej pozycji listy figurował Jack Barthold, zwany przez przyjaciół Bully Jackiem, dorywczo pracujący drukarz, włóczęga i niespokojny duch. Jack porzucił żonę i trójkę dzieci w 1902 roku w Cheyenne i nie zamierzał do nich wracać. Dla Bartholda taki człowiek był równie dobry jak kawaler. Bully Jack służył pod generałem Pershingiem, a potem wrócił do swego dawnego zajęcia. Przenosił się z drukarni do drukarni, nigdzie nie zabawiając dłużej. Teraz, w wieku trzydziestu ośmiu lat, pracował gdzieś w Nowym Jorku.

Barthold udał się na Battery i stamtąd zaczął swoje polowanie po nowojorskich drukarniach. W jedenastej, na Water Street, znalazł tego człowieka.

- Szukasz Jacka Bartholda? - spytał go stary drukarz. - Tak, jest na zapleczu. -Hej, Jack! Jakiś facet do ciebie!

Serce Bartholda żywiej zabiło. Mężczyzna zbliżył się do niego, wyłaniając się z ciemnych zakamarków. Podeszedł i spojrzał spode łba.

- Jestem Jack Barthold - rzekł. - Czego chcesz? Barthold spojrzał na swego krewniaka i smutno potrząsnął głową.

- Nie - powiedział - zupełnie nic. Szybko odwrócił się i wyszedł z drukarni.

Bully Jack, mierzący pięć stóp i osiem cali, ważący ze dwieście dziewięćdziesiąt funtów, poskrobał się w głowę. - O co, do diabła, w tym wszystkim chodzi? - spytał. Stary majster wzruszył ramionami.

Everett Barthold wrócił do flippera i przełączył sterowanie. Szkoda - powiedział do siebie - ale tłuścioch nie pasował do całego planu.

Następny przystanek był w Memphis w roku 1869. Odziany w stosowny strój Barthold wszedł do hotelu "Dixie Helle" i spytał w recepcji o Bena Bartholdera.

- Cóż - rzekł wytworny, siwy pan za biurkiem - jego klucz jest tutaj, więc sądzę, że wyszedł. Być może znajdzie go pan w barze na rogu, razem z resztą tej napływowej hołoty.

Barthold przełknął obelgę i wszedł do baru.

Był wczesny wieczór, ale gazowe lampy już się paliły. Ktoś brzdąkał na banjo; duża, wyłożona mahoniem sala była wypełniona.

- Gdzie mógłbym znaleźć Bena Bartholdera? - spytał a Barthold barmana.

- Tam dalej - odparł barman - wśród jankeskich handlarzy.

Wzdłuż długiego kontuaru Barthold przeszedł w drugi koniec baru. Tłoczyli się tam dostatnio odziani mężczyźni i wyzywająco wymalowane kobiety. Byli to z pewnością handlowcy z Północy, hałaśliwi, pewni siebie, zarozumiali. Kobiety były z Południa. Ale to już ich sprawa - stwierdził Barthold.

Gdy tylko podeszedł do stołu, natknął się na tego człowieka. Bez wątpienia Ben Bartholder.

Wyglądał dokładnie tak samo jak Everett Barthold. Takiej właśnie osoby szukał Barthold.

- Panie Bartholder - powiedział - czy można słówko na osobności?

- Czemu nie? - rzekł Ben Bartholder.

Barthold skierował się do wolnego stolika. Jego krewniak usiadł naprzeciwko i patrzył bacznie.

- Proszę pana - zaczął Ben - między nami jest niesamowite podobieństwo.

- Rzeczywiście jest - odpowiedział Barthold. - Między innymi z tego powodu tu jestem.

- A jakie są pozostałe?

- Zaraz do nich przejdę. Ma pan ochotę na drinka? Barthold zamówił, zauważając jednocześnie, że Ben trzyma prawą rękę pod surdudem, poza zasięgiem wzroku. Ciekaw był, czy trzymał w niej rewolwer. Jankesi musieli być ostrożni w okresie "przebudowy" Południa.

Kiedy podano drinki, Barthold powiedział:

- Przejdę teraz do rzeczy. Czy chciałby pan zarobić wcale pokaźną sumę?

- Któż nie chciałby?

- Nawet gdyby wymagało to długiej i męczącej podróży?

- Przyjechałem tutaj z Chicago - rzekł Ben. - Mogę pojechać dalej.

- A jeśli trzeba będzie trochę naruszyć prawo?

- Ben Bartholder gotów jest na wszystko, proszę pana, jeśli ma z tego jakiś zysk. Ale kim pan jest i na czym polega pańska propozycja?

- Nie tutaj - powiedział Barthold. - Czy jest tu jakieś miejsce, w którym na pewno nikt nam nie przeszkodzi?

- Mój pokój w hotelu.

- Więc chodźmy tam.

Obaj wstali. Barthold spojrzał na prawą rękę Bena i zamarł. Benjamin Bartholder nie miał prawej ręki.

- Straciłem pod Vicksburgiem - wyjaśnił Ben, widząc osłupienie Bartholda. - To nic wielkiego.

Każdego mogę wyzwać i spuścić mu baty jedną ręką i protezą.

- Nie wątpię - rzekł z irytacją Barthold. - Podziwiam pańską siłę woli. Proszę zaczekać. Ja... ja zaraz wrócę.

Barthold wypadł przez obrotowe drzwi baru i pobiegł prosto do flippera. Szkoda - pomyślał nastawiając przyrządy. Benjamin Bartholder byłby idealny.

Ale kaleka nie pasował do jego planu.

Następny skok czasoprzestrzenny wykonał do Prus roku 1676. Zaopatrzony w hipnotyczną znajomość niemieckiego i strój stosownego kroju przemierzał wyludnione ulice Królewca, szukając Hansa Baerthalera.

Było południe, ale ulice niesamowicie opustoszałe. Barthold szedł i szedł, aż w końcu natknął się na mnicha.

- Baerthaler? - zamyślił się mnich. - A, chodzi wam, panie, o starego Ottona, krawca! Teraz mieszka on w Rawensburgu, dobry człowieku.

- To musi być jego ojciec - rzekł Barthold. - Ja szukam Hansa Baerthalera, syna.

- Hans... oczywiście! - Mnich energicznie pokiwał głową, a potem rzucił na Bartholda kpiące spojrzenie. Ale czy jesteście pewni, że tego człowieka szukacie?

- Całkowicie pewny - powiedział Barthold. - Mógłbyś pokazać mi drogę do niego?

- Możecie go znaleźć w katedrze - rzekł mnich.

Chodźmy, ja też tam idę.

Barthold poszedł za mnichem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie otrzymał złych informacji.

Baerthaler, którego szukał, nie był księdzem. Był najemnym żołnierzem, który w bojach przemierzył całą Europę. Taki osobnik nie chodzi do katedry, chyba że - pomyślał ze zgrozą

Barthold - niespodziewanie popadł w religijność.

Gorączkowo modlił się, żeby tak nie było. To zniweczyłoby wszystko.

- Oto jesteśmy, panie - powiedział mnich, zatrzymując się przed niebotyczną, imponującą budowlą. - A to jest Hans Baerthaler.

Barthold spojrział. Zobaczył okrytego łachmanami człowieka, siedzącego na schodach katedry.

Przed nim leżał stary kapelusz, w którym wałały się dwa miedziaki i kromka suchego chleba.

- Żebrak - mruknął Barthold z goryczą. - Chociaż może...

Przypatrzył się i dostrzegł pusty, pozbawiony wyrazu wzrok żebraka, trzęsącą się szczękę, pożądliwie rozbiegane wargi.

- Żal mi go - rzekł mnich. - Hans Baerthaler został ranny w głowę w bitwie ze Szwedami pod Fehrbellin i nigdy nie odzyskał rozumu. Bardzo mi go żal.

Barthold pokiwał głową i rozejrzał się po pustym placu przed katedrą, po wyludnionych ulicach.

- Gdzie są wszyscy? - spytał.

- Ależ, panie, przecież sami musicie to wiedzieć! Wszyscy poza nim i mną opuścili Królewiec.

Szaleje tu czarna śmierć!

Przerażony Barthold zawrócił i pobiegł pustymi ulicami do flippera, do swych antybiotyków, do jakiejś innej epoki.

Z ciężkim sercem i poczuciem zbliżającej się klęski znów cofnął się w czasie, do Londynu roku 1595. W tawernie "Pod Małym Dzikim" obok Great Hertford wypytywał się o Thomasa Barthala.

- A na co ci Barthal? - spytał szynkarz tak bełkotliwie, że Barthold ledwie go zrozumiał.

- Mam sprawę do niego - odrzekł Barthold swym hipnotycznie wyuczonym staroangielskim.

- Naprawdę masz? - Szynkarz zmierzył od stóp do głów przyodzianego w koronki Bartholda. -

Naprawdę teraz masz sprawę?

Tawerna była niska, cuchnącą izbą oświetloną tylko przez dwie kapiące łojowe świece. Klienci, którzy zebrali się wokół Bartholda i ciasno go otoczyli, wyglądali na najgorszą hołotę. Stali dokoła,

wciąż trzymając swoje cynowe kufle, ale Barthold dostrzegł pomiędzy ich łachmanami ostre błyski metalu.

- Szpicel, co?

- Co, u diabła, porabia tu szpicel?

- Pewno stuknięty.

- Całkiem zgłupiał, skoro przyszedł tu sam.

- I chce, żebyśmy mu dali biednego Toma Barthala. - Dajmy mu coś innego, chłopaki!

- Dobra, dajmy mu!

Szynkarz ze śmiechem patrzył, jak odziany w łachmany tłum napierał na Bartholda, wznosząc cynowe kufle jak maczugi. Przyparli go do ściany obok oprawnych w ołów okien. I dopiero wtedy Barthold w pełni zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie dlań stanowiła ta banda włóczęgów.

- Nie jestem szpiclem! - krzyknął.

- Gadaj se zdrów! - Ciżba znów napała i ciężki kufel roztrzaskał się o ścianę tuż obok jego głowy.

Wiedziony niespodziewanym natchnieniem Barthold zerwał z głowy swój wielki kapelusz.

- Spójrzcie na mnie!

Zatrzymali się, wpatrując się w niego z otwartymi gębami. - Wierny obraz Toma Barthala! - zawołał ktoś.

- Ale Tom nigdy nie mówił, że ma brata! - zauważył ktoś inny.

- Jesteśmy bliźniakami - szybko powiedział Barthold - których rozłączono zaraz po urodzeniu. Ja wychowałem się w Normandii, Akwitanii i Kornwalii. Dopiero miesiąc temu dowiedziałem się, że mam brata bliźniaka. I przyjechałem, żeby się z nim spotkać.

Była to całkiem prawdopodobna historia w średniowiecznej Anglii, podobieństwo zaś było niezaprzeczone. Barthold został posadzony za stołem i wyrosły przed nim kufle piwa.

- Przybyłeś za późno, chłopie - rzekł mu stary, jedynaki żebrak. - Dobry był z niego fachowiec i zdolny nocny masztalerz...

Barthold domyślił się, że termin ten oznacza koniokrada. - ...ale zabrali go do Aylesbury i sądzili razem z portowymi dziwkami i innymi szczurami lądowymi. Najgorsze, że go skazali.

- Na jaką karę? - spytał Barthold.

- Na najwyższą - powiedział krępy włóczęga. Wieszają go dziś na Rybnym Targu!

Barthold przez chwilę milczał. Potem zapytał:

- Czy mój brat naprawdę jest podobny do mnie?

- Jak wykapany! - wykrzyknął szynkarz. - To niesamowite, chłopie, nie do uwierzenia. Te same rysy, ten sam wzrost, ta sama tusza - wszystko tak samo!

Pozostali potakująco kiwali głowami. Barthold, tak już bliski sukcesu, postanowił zaryzykować.

Musiał mieć Toma Barthala!

- Zbliżcie się, zuchy - rzekł. - Nie kochacie szpicli ani londyńskiego trybunału, prawda? Ja we Francji jestem bogatym człowiekiem, bardzo bogatym. Czy chcielibyście pojechać ze mną i żyć jak baronowie?

- Jasne, że chcielibyśmy.

- To się da załatwić. Ale musimy zabrać ze sobą również mego brata.

- Ale jak? - spytał wędrowny garncarz o potężnych barach. - Wieszają go dzisiaj!

- Nie macie odwagi? - pytał ich Barthold. - Nie macie broni? Nie ośmielilibyście się pchnąć nożem dla łatwiejszego życia i majątku?

Głośnymi okrzykami wyrazili swą zgodę. Barthold przemówił do nich:

- Wiem, że rwiecie się do tego. Ale chcę, żebyście wypełnili moje polecenia.

Tylko mała grupka ludzi zebrała się na Rybnym Targu, gdyż była to zwykła, nieznacząca egzekucja. Jednak tłumek uradował się i zaczął wiwatować, gdy więzienny wózek zadudnił na

brukowanych uliczkach i zatrzymał się przed szubienicą.

- To jest Tom - mruknął garncarz, stojąc na uboczu. - Widzisz go?

- Tak - rzekł Barthold. - Ruszajmy.

On i jego piętnastu ludzi przebili się przez tłum i otoczyli szubienicę. Kat już podniósł platformę, przypatrzył się gapiom przez otwory swej czarnej maski, a teraz sprawdzał linę. Dwaj pachołkowie wprowadzili Toma Barthała na schodki, ustawili go tuż pod liną...

- Jesteś gotów? - spytał Bartholda szynkarz. - Hej, jesteś gotów?

Barthold wpatrywał się z otwartymi ustami w człowieka na platformie. Podobieństwo było bezbłędne. Tom Barthał wyglądał dokładnie tak samo jak on... poza jednym drobiazgiem.

Policzki i czoło Barthała były głęboko poznaczone dziobami po czarnej ospie.

- Nadeszła odpowiednia chwila - rzekł szynkarz. i Jesteś gotowy, panie? Hej!

Odwrócił się i ujrzał wielki kapelusz znikający w bocznej uliczce.

Chciał rzucić się w pogoń, ale nagle się zatrzymał. Z szubienicy usłyszał świst, stłumiony krzyk i głucho mlaśnięcie. Kiedy się znowu odwrócił, kapelusz zniknął mu z oczu.

Everett Barthold wrócił do flippera w ponurym nastroju. Oszepecony mężczyzna nie pasował do jego planu. Wewnątrz flippera Barthold długo rozmyślał. Sprawy miały się źle, naprawdę bardzo źle. Przemierzył tyle epok, aż do średniowiecznego Londynu i nie znalazł żadnego Bartholda, którego mógłby wykorzystać. Teraz zbliżał się do granicy tysiąca lat.

Nie mógł poruszać się dalej. Legalnie nie mógł.

Ale przestępstwo trzeba udowodnić. On zaś nie chciał, nie mógł teraz wracać.

Gdzieś w czasoprzestrzeni musiał istnieć jakiś odpowiedni Barthold!

Otworzył brązową walizeczkę i wyjął z niej małe, ciężkie urządzenie. W swojej Teraźniejszości zapłacił za nie kilka tysięcy dolarów. Teraz znaczyło dla niego dużo więcej.

Starannie nastawił urządzenie i podłączył do zegara. Mógł już swobodnie podróżować w czasie.

Nawet do prapoczątków świata, gdyby zechciał. Zegar tego nie zarejestruje.

Nastawił przyrząd i nagle poczuł się strasznie samotny. Przekroczenie bariery tysiąca lat było rzeczą przerażającą. Przez moment wahał się, czy nie zrezygnować z tego ryzykownego interesu, wrócić w bezpieczną Teraźniejszość, do żony, do pracy.

Jednak przemógł się i nacisnął klawisz startowy.

Zjawił się w Anglii, w roku 662, obok starożytnej warowni Maiden Castel. Ukrył flippera w zaroślach i włożył odzież ze zgrzebnego lnu. Wszedł na drogę prowadzącą do Maiden Castel, który stał na niewielkim wzniesieniu i był widoczny z daleka.

Minęła go grupa wojów ciągnących wózek. Na wózku dostrzegł żółtą bryłę bałtyckiego bursztynu, czerwone pomalowane dzbany z Galii, a nawet italski świecznik. Bez wątpienia łupy z jakiegoś obrabowanego miasta. Chciał spytać wojów, ale spojrzeli na niego groźnie, więc przemknął się obok nie zaczepiając ich.

Potem przeszło dwóch mężów obnażonych do pasa i śpiewających po łacinie. Ten z tyłu okładał drugiego srogim rzemiennym batogiem. Wtem zamienili się rolami, na moment tylko przerywając biczowanie.

- Bardzo panów przepraszam... Ale oni nawet nie spojrzeli na niego.

Barthold szedł dalej, wycierając pot z czoła. Po jakimś czasie minął mężczyznę w płaszczu, który niósł harfę na jednym ramieniu, a miecz na drugim.

- Panie - rzekł Barthold - czy wiesz może, gdzie mógłbym spotkać mojego krewniaka, który przybył z Iona? Nazywa się Connor Lough Mac Bairthre.

- Wiem - stwierdził mężczyzna.

- Gdzie? - spytał Barthold.

- Stoi przed tobą - rzekł mąż. Błyskawicznie cofnął się, wyciągając miecz z pochwy i odrzucił harfę na trawę. Zafascynowany Barthold patrzył na Bairthre'a. Pod długimi włosami dojrzał

doskonale wierne odbicie samego siebie.

Nareszcie znalazł odpowiedniego człowieka!

Ale ten człowiek nie wykazał ochoty do współpracy. Bairthre zbliżył się wolno, trzymając w pogotowiu miecz i zawołał:

- Precz, demonie, bo zarżnę cię jak kapłona!

- Nie jestem demonem! - krzyknął Barthold. - Jestem twoim krewnym!

- Kłamiesz - stanowczo stwierdził Bairthre. - Dużo podróżuję, to prawda, i od dawna przebywam poza domem, ale wciąż pamiętam wszystkich członków mojej rodziny. Nie jesteś żadnym z nich.

Musisz więc być demonem, który przybrał moją postać dla swych szatańskich celów.

- Zaczekaj! - błagał Barthold, gdy ramię Bairthre'a wznosiło się do ciosu. - Czy myślałeś kiedyś o przyszłości? - O przyszłości?

- Tak, o przyszłości! Całe wieki po tobie!

- Słyszałem o tych dziwnych czasach, choć ja sam żyję dniem dzisiejszym - rzekł Bairthre, wolno opuszczając miecz. - Mieliśmy kiedyś w Iona obcego, który twierdził, że jest Kornwalijszym, gdy był trzeźwy, po pijanemu zaś mówił, że jest reporterem "Life'a". Włóczył się wszędzie i szczerkał dziwnym pudełkiem przed różnymi rzeczami, mrucząc do siebie. Wystarczyło go upoić miodem, a wszystko ci opowiedział o przyszłych czasach.

- Ja właśnie jestem stamtąd - powiedział Barthold. Jestem twoim dalekim krewnym z przyszłości.

I jestem tu po to, by ofiarować ci ogromne skarby!

Bairthre szybko schował miecz do pochwy.

- To bardzo ładnie z twojej strony, krewniaku - rzekł uprzejmie.

- Oczywiście będzie to wymagało pewnej współpracy z twojej strony.

- Tego się obawiam - westchnął Bairthre. - Cóż, słucham cię, krewniaku.

- Chodź ze mną - powiedział Barthold i poprowadził go do flippera.

Cały sprzęt miał przygotowany w brązowej walizeczce. Zwalił z nóg Bairthre'a, gdyż Irlandczyk wykazywał pewne oznaki zdenerwowania. Następnie podłączył elektrody do czoła Bairthre'a i hipnotycznie przekazał mu krótki zarys historii świata, intensywny kurs angielskiego oraz kurs amerykańskich obyczajów. Zajęło mu to prawie dwa dni. W tym czasie Barthold za pomocą specjalnego urządzenia przeszczepił także skórę ze swoich palców na palce Bairthre'a. Teraz mieli takie same odciski palców. Na skutek odnawiania się naskórka odciski te znikną po kilku miesiącach i odsłonią pierwotne, ale to nie miało znaczenia. Nie musiały pozostać na stałe. Następnie Barthold dodał kilka znaków szczególnych, których brakowało Bairthre'owi i usunął mu kilka, których on sam nie miał. Za pomocą elektrolizy poradził sobie ze zbyt bujną, w stosunku do jego łysiny, fryzurą Bairthre'a.

Kiedy skończył, wstrzyknął w żyły krewniaka odżywkę i czekał.

Po chwili Bairthre jęknął, potarł swą głowę i odezwał się we współczesnej angielszczyźnie:

- Człowieku! Czym ty mi przyłożyłeś?!

- Nie przejmuj się - rzekł Barthold. - Przystąpmy do interesów.

Krótko wyjaśnił swój plan wzbogacenia się kosztem Inter-Temporal Corporation.

- A oni naprawdę zapłacą? - spytał Bairthre. - Zapłacą, jeśli nie obalą naszych roszczeń.

- I zapłacą aż tyle?

- Tak. Sprawdziłem to przedtem. Odszkodowanie za rozdwojenie jest fantastycznie wysokie.

- Tego wciąż nie rozumiem - powiedział Bairthre. Co to jest rozdwojenie?

- Zdarza się to - wyjaśnił mu Barthold - gdy człowiek podróżując w czasie ma pecha i wpadnie w lustrzaną szczelinę czasoprzestrzeni. To bardzo rzadki przypadek. Ale kiedy nastąpi, rezultaty są katastrofalne. Widzisz, jeden człowiek udaje się w przeszłość, a dwóch identycznych ludzi wraca.

- Aha! - rzekł Bairthre. - Więc na tym polega rozdwojenie!

- Tak jest. Dwóch identycznych ludzi wraca z przeszłości. Każdy z nich czuje, że to on jest

prawdziwą i oryginalną osobowością i że on jest jedynym pretendentem do swojego majątku, żony, pracy i tak dalej. Niemożliwe jest ich współistnienie. Jeden z nich musi utracić wszelkie prawa, opuścić Teraźniejszość, swój dom, żonę, pracę i udać się na zawsze w przeszłość. Ten drugi pozostaje w swoim czasie, ale żyje w ciągłym strachu, w poczuciu winy.

Barthold przerwał dla zaczerpnięcia powietrza.

- Widzisz więc - ciągnął dalej - że rozdwojenie jest nieszczęściem wyjątkowego kalibru. Tak więc obie strony muszą otrzymać stosowną rekompensatę.

- Hmm - mruknął Bairthre, intensywnie myśląc. Często się zdarza takie rozdwojenie?

- Dotychczas zdarzyło się mniej niż dziesięć razy. Istnieją pewne zabezpieczenia, jak omijanie punktów osobistych i przestrzegania limitu tysiąca lat.

- Cofnąłeś się poza tę granicę - zauważył Bairthre. - Zaryzykowałem i wygrałem.

- Słuchaj, skoro za rozdwojenie dostaje się tyle pieniędzy, dlaczego inni tego nie próbowali?

Barthold uśmiechnął się z przymusem.

- To nie takie łatwe do zrobienia. Opowiem ci kiedyś o tym. Ale wróćmy do rzeczy. Przyłączasz się do mnie? - Z takim majątkiem mógłbym zostać baronem - rzekł Bairthre z rozmarzeniem. -

Może nawet królem Irlandii! Zgadza się.

- Świetnie. Podpisz tu.

- Co to jest? - spytał Bairthre, patrząc z ukosa na oficjalnie wyglądający dokument, który podsunął mu Barthold.

- To po prostu oświadczenie, że po otrzymaniu stosownego odszkodowania od Inter-Temporal Corporation z własnej woli odejdziesz w przeszłość i tam pozostaniesz, zrzekając się wszelkich praw do Teraźniejszości. Podpisz to jako Everett Barthold. Datę wstawię później.

- Ale podpis... - Bairthre chciał zaprotestować, zawahał się jednak i roześmiał. - Dzięki hipnozie!

Wiem wszystko o hipnozie i jej możliwościach, łącznie z tym, że nie musisz mi odpowiadać na

moje pytania. Gdy tylko je zadaję, od razu znam odpowiedź. O lustrzanej szczelinie również; przy okazji - to dlatego zahipnotyzowałeś mnie tak, bym stał się leworęcznym. I oczywiście przeszczepione odciski palców są lustrzanym odbiciem twoich. - Zgadza się - rzekł Barthold. - Masz jeszcze pytania? - Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie muszę nawet porównywać naszych podpisów. Wiem, że będą identyczne, z tym, że... - znów przerwał i spojrzał ze złością. - To świństwo! Będę pisał od prawej do lewej!

Barthold roześmiał się.

- Naturalnie. Jakże inaczej mógłbyś być moim lustrzanym odbiciem? A jeśli moja epoka spodoba ci się bardziej niż twoja i spróbujesz mnie wysłać z powrotem, pamiętaj o środkach ostrożności, które przedsięwziąłem. Wystarczą, by wysłać cię do końca twoich dni na Więzienną Planetę. Wręczył dokument Bairthre'owi.

- Niczego nie zaniedbałeś, prawda? - spytał Bairthre, podpisując. - Staram się przewidzieć wszystkie ewentualności. To do mojego domu i do mojej Teraźniejszości się udajemy i mam zamiar zachować tam wszystko. Chodź. Powinieneś się ostrzyć i doprowadzić do porządku. Obaj identycznie wyglądający mężczyźni ramię w ramię weszli do flippera.

Mavis Barthold nie musiała się zmuszać do gwałtownych reakcji. Dwóch Everettów Bartholdów, odzianych w identyczne stroje i z tym samym wyrazem nerwowego zażenowania, stanęło przed frontowymi drzwiami i dwóch Everettów Bartholdów powiedziało:

- Eee, Mavis, to wymaga małych wyjaśnień...

Było tego dla niej stanowczo za wiele. Nieważne, że wiedziała o tym wcześniej. Krzyknęła, uniosła ręce do góry i zemdląła.

Później, kiedy obaj mężowie ocucili ją, opanowała się nieco.

- Udało się, Everett - rzekła. - Everett?

- To ja - powiedział Barthold. - Poznaj mojego krewniaka, Connora Lough Mac Bairthre.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła pani Barthold.

- Więc jesteśmy podobni? - spytał jej mąż.

- Identyczni. Wprost identyczni!

- Od tej chwili - rzekł Barthold - każdego z nas traktuj jak Everetta Bartholda. Detektywi towarzystwa ubezpieczeniowego będą cię obserwować. Pamiętaj - każdy z nas może być twoim mężem. Traktuj nas identycznie.

- Jak sobie życzysz, kochanie - skromnie rzekła Mavis. - Oczywiście z wyjątkiem... to znaczy poza sferą... no, do diabła, Mavis, czy naprawdę nie wiesz, który z nas jest mną?

- Pewnie, że wiem, kochanie - powiedziała Mavis. Żona zawsze pozna swego męża. - I rzuciła przelotne spojrzenie Bairthre'owi, które on odwzajemnił z zainteresowaniem.

- Cieszę się, że to słyszę - rzekł Barthold. - Teraz muszę zawiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe. Pośpiesznie przeszedł do sąsiedniego pokoju.

- Więc pan jest krewnym mojego męża? - spytała Bairthre'a Mavis. - Jacy jesteście podobni!

- W rzeczywistości jestem zupełnie inny - zapewnił ją Bairthre.

- Naprawdę? Wygląda pan zupełnie jak on! Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest pan kimś innym.

- Udowodnię to pani.

- Jak?

- Zaśpiewam staroirlandzką balladę - powiedział Bairthre i zaraz zaczął nucić miłym, wysokim tenorem.

Z sąsiedniego pokoju Mavis słyszała głos Bartholda.

- Halo, Inter-Temporal Corporation? Proszę z panem Grynsem! Pan Gryn? Mówi Everett Barthold. Zdarzył się dość nieszczęśliwy wypadek...

W biurach Inter-Temporal Corporation zapanowała konsternacja, przerażenie i szybka wymiana

telefonów, gdy weszło dwóch Everettów Bartholdów z identycznymi nerwowymi uśmieszkami.

- Pierwszy taki wypadek od piętnastu lat! - wykrzyknął pan Gryns. - O Boże! Poddacie się, oczywiście, panowie badaniom.

- Oczywiście - powiedział Barthold. - Oczywiście - powiedział Barthold.

Lekarze opukali ich i osłuchali. Odkryli różnice, które starannie wypisali i ponazywali łacińskimi nazwami. Ale wszystkie różnice mieściły się w zakresie dopuszczalnych odchyień i żadne biurokratyczne sztuczki nie mogły tego zmienić. Potem przejęli ich psychiatrzy.

Obaj mężczyźni odpowiadali na wszystkie pytania powoli i rozważnie. Bairthre nie był głupi i miał mocne nerwy. Z pomocą hipnotycznej wiedzy Bartholda odpowiadał na pytania powoli, ale poprawnie; dokładnie tak samo jak Barthold.

Inżynierowie z Inter-Temporal zbadali zegar flippera. Rozłożyli go na części i ponownie złożyli. Sprawdzili namiary przyrządów, które pokazywały Teraźniejszość, 1912, 1869, 1676 i 1595. Rok 662 też był zanotowany wbrew przepisom - ale zegar wskazywał, że ten namiar nie był uruchomiony. Barthold wyjaśnił, że wcisnął klawisz przypadkowo i sądził, że najlepiej będzie zostawić to w spokoju.

Sprawa była podejrzana, ale nie stanowiła jeszcze żadnego dowodu.

Inżynierowie zwrócili też uwagę, że zużyto dużo energii. Ale zegar pokazywał tylko podróż do roku 1595. Zabrali zegar do laboratorium w celu wykonania dalszych badań.

Inżynierowie przejrzeni wnętrze flippera cal po calu, ale nie mogli znaleźć nic podejrzanego.

Barthold dla pewności wrzucił brązową walizeczkę do kanału La Manche, zanim opuścił rok 662.

Pan Gryns zaproponował rozwiązanie polubowne, ale obaj Bartholdowie je odrzucili.

Zaproponował dwa inne rozwiązania - również zostały odrzucone. W końcu musiał się poddać.

Ostatnia rozmowa odbyła się w biurze Grynsa. Bartholdowie siedzieli po obu stronach biurka Grynsa i wyglądali na znudzonych całą tą sprawą. Gryns zaś wyglądał na człowieka, któremu

uporządkowany świat nagle zawalił się.

- Nie mogę tego wprost zrozumieć - rzekł. W epoce, w której panowie podróżowaliście, szansa natknięcia się na lustrzaną szczelinę wynosi jedna do miliona.

- Sądzę, że jesteśmy tym jednym - powiedział Barthold, a Barthold potaknął.

- Jak by to jednak nie wyglądało... cóż, co się stało, to się nie odstanie. Czy postanowiliście już coś, panowie, w sprawie waszego współistnienia?

Barthold wręczył Grynsowi dokument podpisany przez Bairthre'a w roku 662.

- On ma zamiar odejść, jak tylko otrzyma odszkodowanie.

- Czy zgadza się pan na to? - spytał Bairthre'a Gryns. - Oczywiście - rzekł Bairthre. - Jednak mi się tu nie podoba.

- Słucham?

- To znaczy - pośpiesznie wyjaśnił Bairthre - ja zawsze chciałem stąd uciec, wie pan, takie ciche marzenia, by znaleźć się w jakimś miejscu, wśród prostych ludzi...

- Rozumiem - podejrzliwie powiedział Gryns. A pan czuje to samo? - spytał, zwracając się do Bartholda. - Naturalnie - zapewnił Barthold. - Mam takie same ciche marzenia. Ale jeden z nas musi tu zostać rozumie pan, poczucie obowiązku - i ja się zgodziłem.

- Rozumiem - rzekł Gryns, ale z jego twarzy widać było, że nic nie rozumie. - Dobrze. Wasze czeki, panowie, niedługo będą gotowe. Trochę zwykłej biurokracji. Można je będzie odebrać jutro rano... zakładając, że nie wpłyną do nas żadne dowody oszustwa.

Atmosfera stała się nagle lodowata. Obaj Bartholdowie pożegnali się z panem Grynsem i szybko wyszli.

W milczeniu zjechali windą. Na zewnątrz budynku Bairthre powiedział:

- Przepraszam za to przejęzyczenie.

- Zamknij się!

- Co?

Barthold złapał Bairthre'a za rękę i wciągnął go do automatycznej heli-taxi, pilnie bacząc, by nie wejść 30 pierwszej wolnej.

Wcisnął Westchester, po czym obejrzał się, czy ktoś za nimi nie leci. Kiedy się upewnił, że nie, przeszukał wnętrze heli-taxi w poszukiwaniu kamer lub aparatów podsłuchowych. W końcu odezwał się do Bairthre'a:

- Ty skończony idioto! To przejeżdżenie mogło nas kosztować majątek!

- Robiłem, co mogłem - markotnie powiedział Bairthre. - Coś jest nie tak? Aha, sądzisz, że nas podejrzewają.

- To właśnie jest nie tak! Gryns z pewnością kazał nas śledzić. Jeśli coś znajdą, co podważy nasze roszczenia, trafimy na Więzienną Planetę.

- Musimy uważać na każdym kroku - trzeźwo zauważył Bairthre.

- Cieszę się, że to zrozumiałeś - rzekł Barthold.

W restauracji w Westchester w milczeniu zjedli obiad i wypili odrobinę. Wprawilo ich to w lepszy nastrój. Czuli się niemal szczęśliwi, gdy wrócili do domu Bartholda i odesłali heli-taxi do miasta.

- Dziś wieczorem pogramy trochę w karty - powiedział Barthold - pogawędzimy, wypijemy kawę i będziemy się zachowywać, jakbyśmy obaj byli Bartholdami. Rano odbierzemy nasze czeki.

- Może być - zgodził się Bairthre. - Z przyjemnością wrócę do siebie. Nie rozumiem, jak możesz wytrzymać na tej żelazno-kamiennej pustyni. Irlandia, człowieku! Być królem Irlandii, to będzie to!

- Na razie nie mów o tym. - Barthold otworzył drzwi i weszli do domu.

- Dobry wieczór, kochanie - powiedziała Mavis, patrząc pomiędzy nich.

- Myślałem, że potrafisz mnie rozpoznać - kwaśno skomentował to Barthold.

- Oczywiście, że potrafię, kochanie - rzekła Mavis, zwracając się do niego z promiennym uśmiechem. - Po prostu nie chciałem urazić biednego pana Bairthre'a.

- Dziękuję pani za uprzejmość - odparł Bairthre. Może później zaśpiewam pani następną staroirlandzką pieśń.

- To byłoby cudowne - powiedziała Mavis. - Jakiś człowiek dzwonił do ciebie, kochanie.

Wpadnie później. Złotko, oglądałam reklamy futer ze skartów. Polarne marsjańskie skarty są troszkę droższe niż zwyczajne kanałowe skarty, ale...

- Ktoś dzwonił? - spytał Barthold. - Kto?

- Nie przedstawił się. W każdym razie nosi się je wygodniej, a ich futro ma taki opalizujący połysk, że...

- Mevis! Czego on chciał?

- Mówił coś o odszkodowaniu za rozdwojenie powiedziała. - Ale już wszystko załatwione, prawda?

- Nie jest załatwione, póki nie będę miał czeku w garści - zwrócił się do niej Barthold. - Powiedz mi dokładnie, co mówił.

- Powiedział, że dzwoni w sprawie twoich naciąganych roszczeń wobec Inter-Temporal Corporation...

- Naciąganych roszczeń? Tak powiedział?

- Użył dokładnie tych słów. Naciągane roszczenia wobec Inter-Temporal Corporation.

Powiedział, że musi natychmiast porozmawiać z tobą, koniecznie przed jutrzejszym rankiem.

Twarz Bartholda poszarzała.

- Czy mówił, że zadzwoni?

- Powiedział, że wpadnie osobiście.

- Co to znaczy? - spytał Bairthre. - Oczywiście... detektyw towarzystwa ubezpieczeniowego!

- To prawda - rzekł Barthold. - Musiał coś odkryć.

- Ale co?

- Skąd mogę wiedzieć? Niech pomyślę!

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Bartholdowie popatrzyli na siebie w osłupieniu.

Dzwonek znów zabrzmiał.

- Otwieraj, Barthold! - zawołał jakiś głos. - Nie próbuj się wymigać!

- Może go zabić? - spytał Bairthre.

- To zbyt skomplikowane - powiedział Barthold po krótkim zastanowieniu. - Chodźmy! Przez tylne wyjście!

- Po co?

- Flipper jest tam zaparkowany. Uciekniemy w przeszłość! Nie rozumiesz? Gdyby miał dowód, powiadomiłby już towarzystwo. Więc tylko coś podejrzewa. Pewnie sądzi, że zdoła nas złapać na jakieś podchwytliwe pytania. Jeśli do rana nie pozwolimy mu się do nas zbliżyć, jesteśmy bezpieczni!

- A co ze mną? - powiedziała drżącym głosem Mavis. - Odwróć jego uwagę - rzekł Barthold, ciągnąc Bairthre'a przez tylne drzwi w stronę flippera. Dzwonek u drzwi brzęczał natarczywie, gdy Barthold zatrzaskał drzwiczki flippera i odwrócił się do pulpitu.

Nagle zdał sobie sprawę, że inżynierowie z Inter-Temporal nie zwrócili mu zegara.

Był zgubiony. Bez zegara nie mógł flippera skierować donikąd.

Na chwilę opanowała go zupełna panika. Potem odzyskał panowanie nad sobą i spróbował się zastanowić. Przyrządy były nastawione na Teraźniejszość, 1912, 1869, 1676, 1565 i 662. Tak więc nawet bez zegara mógł ręcznie wybrać jedną z tych dat. Latanie bez zegara było poważnym przestępstwem, ale do diabła z tym.

Szybko wcisnął rok 1912 i złapał sterownicę. Z zewnątrz posłyszał krzyk żony. Ciężkie kroki

dudniły po jego domu. - Stój! Zatrzymaj się! - wołał mężczyzna.

I wtedy mglista, nieskończona szarość otoczyła Bartholda, a flipper popędził poprzez lata.

Barthold zaparkował flippera na Bowary. Weszli z Bairthre'em do baru, zamówili po piwie i zabrali się za lunch. - Cholerny, wścibski szpicel - mruknął Barthold.

To go trochę otrzeźwi. Zapłacę słoną karę za jazdę flipperem bez zegara. Ale będzie mnie stać na to.

- To wszystko dzieje się za szybko dla mnie - rzekł Bairthre, pociągając wielki łyk piwa. -

Właśnie chciałem cię spytać, jak nasza podróż w przeszłość pomoże nam odebrać jutro rano czeki w twojej Teraźniejszości. Ale uświadomiłem sobie, że znam odpowiedź.

- Oczywiście. Liczy się czas upływający. Jeśli zdołamy pozostać w przeszłości przez jakieś dwanaście godzin, powrócimy do mojej epoki o dwanaście godzin później, niż ją opuściliśmy. To zapobiega różnym wypadkom, jak choćby powrót w tym samym czasie, w którym się odjeżdżało, czy nawet wcześniej. Normalne środki ostrożności. Bairthre zjadł kanapkę z salami.

- Hipnoza dość pobieżnie traktowała problem podróży w czasie. Ja chcę do domu. Kim są ci faceci ubrani na granatowo?

- To policjanci - odpowiedział Barthold. - Zdaje się, że kogoś szukają.

Dwaj wąsaci policjanci weszli do baru, a za nimi tłusty mężczyzna w pomalowanym tuszem ubraniu.

- To oni! - zawołał Bully Jack Barthold. - Aresztujcie tych bliźniaków!

- O co chodzi? - zapytał Everett Barthold.

- To wasz automobil stoi na zewnątrz? - spytał jeden z policjantów.

- Tak, proszę pana, ale...

- Więc wyjaśnimy całą sprawę. Jakiś człowiek wniósł skargę przeciwko wam. Powiedział, że macie nowy, błyszczący automobil. Obiecał bardzo wysoką nagrodę.

- Ten facet przyszedł prosto do mnie - rzekł Bully Jack. - Powiedziałem, że z przyjemnością mu pomogę... choć raczej powinienem dać w nos temu zawszonemu, oślizłemu, brudnemu...

- Panowie - prosił Barthold - my nic nie zrobiliśmy!

- Więc nie macie się czego obawiać. Chodźcie spokojnie z nami. Barthold runął nagle między policjantów, pchnął Bulla Jacka i wypadł na ulicę. Bairthre, który myślał o tym samym, kopnął policjanta w kostkę, drugiemu przyłożył w żołądek, odrzucił Bulla Jacka i pobiegł za Bartholdem. Wskoczyli do flippera i Barthold wcisnął rok 1869.

Ukryli flippera tak starannie, jak tylko mogli na tyłach jakiejś wozowni i poszli na mały skwer w pobliżu. Pod gorącym słońcem Memphis rozpięli koszule i położyli się na trawie.

- Ten detektyw musi mieć pojazd z turbodoładowaniem - stwierdził Barthold. - Dlatego przed nami przybywa do naszych miejsc.

- Skąd wie, dokąd się udajemy? - spytał Bairthre. - Nasze postoje są zanotowane w kartotekach towarzystwa. Wie, że nie mamy zegara i możemy udać się tylko w kilka miejsc.

- Więc nie jesteśmy tu bezpieczni - rzekł Bairthre. Pewnie nas szuka.

- Pewnie tak - powiedział ze znużeniem Barthold. Ale wciąż nas nie złapał. Jeszcze kilka godzin i będziemy bezpieczni! W Teraźniejszości nadejdzie już ranek i czeki będą gotowe.

- Naprawdę, panowie? - rozległ się słodziutki głos. Barthold spojrzał do góry i zobaczył Bena Bartholdera stojącego nad nimi: w lewej ręce trzymał mały rewolwer.

- Więc tobie też obiecał nagrodę! - rzekł Barthold. - Istotnie. Bardzo kusząca oferta, że tak powiem. Ale to mnie nie interesuje.

- Nie? - zdziwił się Bairthre.

- Nie. Interesuje mnie tylko jedno. Chcę wiedzieć, który z was ostatniej nocy był ze mną w barze.

Barthold i Bairthre spojrzeli po sobie, a potem znów na Bena Bartholdera.

- Chcę tego człowieka - rzekł Bartholder. - Nikt nie będzie sobie kpił z Bena Bartholdera. Choć

mam tylko jedną rękę, jestem również człowiekiem! Chcę tego faceta. Drugi może odejść.

Barthold i Bairthre wstali. Bartholder cofnął się, by obu trzymać pod muszką.

- Który z was, panowie? Nie mam zbyt wiele cierpliwości. Stał przed nimi, kołysząc się z lekka i spoglądając na nich jadowitym wzrokiem. Barthold uznał, że rewolwer jest zbyt daleko na jakiś gwałtowny ruch. Poza tym miał pewnie bardzo czuły spust.

- Gadajcie! - ostro powiedział Bartholder. - Który z was?

Barthold rozpaczliwie zastanawiał się, dlaczego Ben Bartholder jeszcze nie strzelił, dlaczego po prostu nie zabił ich obu.

Nagle zrozumiał i od razu wiedział, jak powinien postąpić.

- Everett - rzekł.

- Tak, Everett? - odpowiedział Bairthre.

- Teraz odwróćmy się obaj i chodźmy do flippera. - Ale rewolwer...

- On nie będzie strzelał. Mogę na ciebie liczyć?

- Możesz - powiedział Bairthre przez zaciśnięte zęby. Zrobili w tył zwrot, jak żołnierze, i wolno ruszyli z powrotem w stronę wozowni.

- Stać! - krzyknął Ben Bartholder. - Stójcie, albo obu zastrzelę!

- Nie zrobisz tego! - odkrzyknął Barthold. Byli już na ulicy i zbliżali się do wozowni.

- Nie? Myślisz, że się nie odważę?

- Nie o to chodzi - rzekł Barthold idąc w stronę flippera. - Po prostu nie zastrzelisz zupełnie niewinnego człowieka. A jeden z nas jest niewinny!

Powoli, ostrożnie Bairthre otworzył drzwiczki flippera. - Wszystko mi jedno! - ryknął Bartholder.

- Który? Odezwij się, nędzny tchórz! Który? Wyzwę go na uczciwy pojedynek. Gadajcie, bo zaraz obu zastrzelę!

- A co powiedzą inni? - zakpił Barthold. - Powiedzą, że jednoręki Jankes zdenerwował się i

zastrzelił dwóch bezbronnych cudzoziemców.

Uzbrojona w rewolwer ręka Bena Bartholdera opadła. - Wchodź szybko - szepnął Barthold.

Wgramolili się do środka i zatrzasnęli drzwiczki.

- Dobrze, panowie - powiedział Ben Bartholder. - Byliście tu już dwa razy, myślę, że będziecie trzeci. Zaczekam tu w pobliżu. Następnym razem was dostanę. Odwrócił się i odszedł.

Opuścili Memphis. Ale dokąd mogli się udać? Barthold nie brał pod uwagę Królewca z roku 1676 z szalejącą czarną śmiercią. Londyn w 1595 był pełen kumpli Toma Barthala, z których każdy z radością poderznąłby gardło Bartholdowi za jego zdradę.

- Wróćmy z powrotem - powiedział Bairthre. - Do Maiden Castle.

- A jeśli on tam jest?

- Nie. Przekraczanie bariery tysiąca lat jest niezgodne z prawem. Detektyw nie łamałby przecież prawa?

- Mógł tego nie zrobić - z namysłem rzekł Barthold. - Mógł tego nie zrobić. Warto spróbować. Ponownie uruchomił flippera.

Ocknęli się nocą, w polu, o milę od twierdzy Maiden Castel. Stanęli obok flippera i na zmianę pełnili wartę. Wreszcie nad zielonymi polami wzeszło słońce, ciepłe i żółte. - Nie ma go - powiedział Bairthre.

- Co? - spytał Barthold, gwałtownie się budząc.

- Mamy to z głowy, chłopie! Jesteśmy bezpieczni. Czy już jest ranek w twojej Teraźniejszości?

- Już jest - rzekł Barthold przecierając oczy. - Więc wygraliśmy i ja zostanę królem Irlandii!

- Tak, wygraliśmy - powiedział Barthold. - W końcu zwycięstwo jest... cholera!

- Co się stało?

- Ten detektyw! Popatrz tam! Bairthre przyglądał się polom, mrużąc: - Nic nie widzę. Czy jesteś pew...

Barthold trzasnął go w tył głowy kamieniem. Znalazł go w nocy i zachował na taką okazję.

Pochylił się i sprawdził puls Bairthre'a. Irlandczyk żył, ale przez kilka godzin nie odzyskał przytomności. Kiedy się ocknie, będzie sam i bez królestwa.

To nieładnie - pomyślał Barthold. Ale w tej sytuacji zbyt ryzykowne było zabieranie Bairthre'a z powrotem. O ileż łatwiej będzie pójść do Inter-Temporal i odebrać czek na nazwisko Everett Barthold, a za pół godziny wrócić i odebrać następny czek Everetta Bartholda.

Ile to przyniosłoby korzyści!

Wszedł do flippera i raz jeszcze spojrzał na swego nieprzytomnego krewniaka. To przykre - pomyślał - że nigdy nie zostanie on królem Irlandii.

Ale przecież - stwierdził - dzieje tego kraju za bardzo by się zagmatwały.

Uruchomił sterowanie, kierując się wprost ku Teraźniejszości.

Zjawił się na tylnym dziedzińcu swego domu. Szybko wbiegł po schodach i zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołała Mavis.

- Ja! - krzyknął Barthold. - Wszystko w porządku, Mavis... udało się wszystko!

- Kto? - Mavis otworzyła drzwi, spojrzała na niego i zaczęła wrzeszczeć.

- Uspokój się - powiedział Barthold. - Wiem, że to było wyczerpujące, ale już minęło. Zaraz idę po czek i wtedy... Przerwał. W drzwiach, za Mavis, pojawił się jakiś mężczyzna. Był to niski mężczyzna, zaczynający łysieć, o pospolitych rysach, o łagodnych oczach patrzących zza rogowych okularów.

To był on.

- Nie! - jęknął Barthold.

- Tak - powiedziała jego kopia. - Nie można bezkarnie przekraczać bariery tysiąca lat. Czasami przepisy prawne mają swoje uzasadnienie. Jestem twoim czasoprzestrzennym sobowtórem.

Stojąc w drzwiach Barthold spoglądał na Bartholda. Po dłuższej chwili zdołał się odezwać:

- Byłem ścigany...

- Przeze mnie - powiedział sobowtór. - W przebraniu, oczywiście, bo masz trochę wrogów w różnych epokach. Dlaczego uciekłeś, durniu?

- Myślałem, że jesteś detektywem. Dlaczego mnie ścigałeś?

- Tylko i wyłącznie z jednego powodu.

- Jakiego?

- Mogliśmy być bogatsi, niż śmiałybyś kiedykolwiek marzyć - rzekł sobowtór - gdybyś tylko nie był taki przerażony! My trzej - ty, Bairthre i ja - mogliśmy pójść do Inter-Temporal i zgłosić przypadek rozstrojenia!

- Rozstrojenia! - westchnął Barthold. - Nigdy o tym nie słyszałem.

- Odszkodowanie byłoby niewyobrażalnie wysokie. Wielekroć wyższe niż za rozdwojenie.

Wstyd mi za ciebie. - Cóż - rzekł Barthold - co się stało, to się stało.

Przynajmniej możemy odebrać czeki za rozdwojenie, a potem zastanowić się...

- Odebrałem oba czeki i podpisałem twoje zrzeczenie się praw. Rozumiesz, nie było cię tutaj.

- W takim razie chcę mego udziału.

- Nie bądź śmieszny - powiedział sobowtór.

- Ale to jest moje! Pójdę do Inter-Temporal i powiem im...

- Nie będą słuchać. Zrzekłem się w twoim imieniu wszystkich twoich praw. Nie możesz nawet pozostać w Teraźniejszości, Everett.

- Nie rób mi tego! - żebrał Barthold.

- Dlaczego? A ty, co zrobiłeś z Bairthre'em?

- Nie będziesz mnie sądził, do cholery! - krzyknął Barthold. - Jesteś mną!

- Kto jeszcze tu jest poza tobą, kto mógłby cię osądzić? - zapytał sobowtór.

Barthold nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Odwrócił się do Mavis.

- Kochanie - powiedział - zawsze mówiłaś, że potrafisz poznać swego męża. Nie poznajesz mnie teraz? Mavis odwróciła się i weszła do domu. Barthold zauważył błysk kamieni ruum na jej szyi i nie pytał już o nic.

Barthold i Barthold stali twarzą w twarz. Sobowtór podniósł rękę. Krążący nisko policyjny heli usiadł na ziemię. Ze środka wyszło trzech policjantów.

- Stało się to, czego się obawiałem, panowie - rzekł sobowtór. - Jak wiecie, mój sobowtór odebrał swój czek dziś rano. Zrzekł się wszelkich praw i wyruszył w Przeszłość. Bałem się, że może wrócić i zażądać więcej.

- Nie będzie już pana nachodził - powiedział policjant. Zwrócił się do Bartholda.

- Ty! Włóż do flippera i wynoś się z Teraźniejszości. Następnym razem cię zastrzelimy!

Barthold zrozumiał, że przegrał. Pokornie powiedział: - Z przyjemnością odejdę, panowie. Ale mój flipper wymaga naprawy. Nie ma zegara.

- Powinieneś o tym pomyśleć, zanim zrzekłeś się praw - rzekł policjant. - Jazda stąd!

- Proszę! - błagał Barthold. - Nie - odparł Barthold.

Żadnej litości. I Barthold wiedział, że na miejscu sobowtóra postąpiłby dokładnie tak samo.

Wdrapał się do flippera i zamknął drzwiczki.

W odrętwieniu rozważał możliwości wyboru, jeśli można je było tak nazwać.

Nowy Jork w roku 1912 z doprowadzającą do szaleństwa świadomością bliskości jego epoki? I z Bully Jackiem? Może Memphis w roku 1869 z Benem Bartholderem czekającym na trzecią wizytę? Może Królewiec w 1676 w towarzystwie głupawo uśmiechniętej gęby Hansa Baerthalera i czarnej śmierci? Może Londyn w roku 1595 z szukającą go po całym mieście bandą rzezimieszków, przyjaciół Toma Barthala? Może Maiden Castle ze wściekłym, pałającym żądzą odwetu Connorem Lough Mac Bairthre'em?

Było mu wszystko jedno. Tym razem - pomyślał niech miejsce wybierze mnie.

Zamknął oczy i na ślepo wcisnął klawisz.

przekład : Andrzej Śluzek

Sen

Ostatniej nocy miałem bardzo dziwny sen. Śniło mi się, że przemówił do mnie głos: "Wybacz, że przerywam ci pierwszy sen, ale mam niecierpiący zwłoki problem i tylko ty możesz mi pomóc w jego rozwiązaniu".

Śniło mi się, że odpowiedziałem: "Nie musisz przeproszać, jeszcze na dobre nie zasnąłem i jeśli mogę ci w czymś pomóc..." "W tobie cała nadzieja - odparł głos - bo inaczej ja i moi ludzie jesteśmy zgubieni".

"Chryste" powiedziałem.

Nazywał się Froka i był członkiem bardzo starożytnej rasy. żyli od niepamiętnych czasów w rozległej dolinie, otoczonej gigantycznymi górami. Byli społecznością nastawioną pokojowo i z biegiem czasu wydali na świat paru wybitnych artystów. Odznaczyli się niezłomnymi zasadami i wychowywali swe dzieci w duchu miłości bliźniego, i poszanowania prawa. Chociaż niektórzy z nich przejawiali skłonność do alkoholu i chociaż nieobce im było nawet pojęcie morderstwa w afekcie, to jednak uważali siebie za uczciwe i zacne istoty rozumne, które...

Przerwałem mu.

- Czekaaj, no! Nie możesz przejść od razu do tego niecierpiącego zwłoki problemu?

Froka przeprosił za rozwlekłość swych wywodów, ale wyjaśnił, że w jego świecie standardowa forma przedkładania próśb obejmuje drobiazgową deklarację moralnej prawości petenta.

- O'kay - powiedziałem. - Przejdźmy do tego problemu.

Froka wziął głęboki wdech i zaczął. Powiedział mi, że około stu lat temu (według ich rachuby czasu), z niebios opuszczył się ogromny, czerwono-żółty słup, lądując w pobliżu statuy Nieznanego Boga, przed frontonem ratusza ich trzeciego pod względem wielkości miasta.

Słup ten był z grubsza cylindryczny i miał około dwóch mil średnicy. W górę wykraczał poza zasięg ich przyrządów, wbrew wszelkim prawom natury. Zbadawszy go twierdzili, że jest odporny na ciepło, na zimno, na działanie bakterii, na bombardowanie protonami i tak właściwie na wszystko inne, co im przychodziło do głowy. Stał tam, nieruchomy i niepojęty, przez dokładnie pięć miesięcy, dziewiętnaście godzin i sześć minut.

Potem, bez jakiegokolwiek powodu, słup zaczął się przemieszczać w kierunku północno-zachodnim. Jego średnia prędkość wynosiła 78,881 mil na godzinę (według ich miary prędkości). Wyciął bliznę o długości 183,223 mil i szerokości 2,011 mili, po czym znikł.

Zwołane sympozjum autorytetów naukowych nie potrafiło w żaden racjonalny sposób wyjaśnić tego wydarzenia. Oświadczyli w końcu, że było ono niewytłumaczalne, unikalne i że nie może drugi raz się powtórzyć.

Ale powtórzyło się znowu, w miesiąc później, i to w stolicy. Tym razem cylinder, poruszając się na pozór chaotycznymi zrywami, przebył w sumie 820,331 mil. Szkód materialnych nie dało się oszacować, a liczba ofiar śmiertelnych przekraczała kilka tysięcy.

W dwa miesiące i jeden dzień po tym wydarzeniu, słup powrócił ponownie, przemykając w wielkim pędzie przez trzy główne miasta. Teraz już każdy zdawał sobie sprawę, że, jakies niezbadane, i być może niemożliwe do zbadania zjawisko, zagraża nie tylko jego własnemu życiu, ale również całej cywilizacji, samemu istnieniu jego rasy.

Świadomość tego wywołała powszechną rozpacz wśród ogółu ludności. Nastroje przechodziły gwałtowną metamorfozę od zbiorowej hysterii do głębokiej apatii.

Czwarty atak miał miejsce na nieużytkach, na wschód od stolicy. Wyrządzone w wyniku niego szkody były minimalne. Tym razem jednak wybuchła masowa panika, której rezultatem była przerażająco wielka liczba samobójstw.

Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Teraz, obok oficjalnych gałęzi nauki, na plac boju wkroczyły

pseudonauki. Nie pogardzano żadną pomocą, nie lekceważono żadnej hipotezy, czy to wysuwanej przez biochemika, przez chiromantę czy też przez astronoma. Nie wolno było pominąć najdziwniejszych nawet teorii, zwłaszcza po tej straszliwej nocy, kiedy to całkowitej anihilacji uległo piękne i starożytne miasto Zar, a wraz z nim dwa jego przedmieścia.

- Chwileczkę - powiedziałem. Przykro mi bardzo, że macie takie kłopoty, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Właśnie do tego zmierzam - odparł głos.

- No to mów dalej - powiedziałem - ale radzę ci się pośpieszyć, bo czuję, że się niedługo obudzę.

- Moja rola w tym wszystkim jest raczej trudna do wytłumaczenia ciągnął Froka. - Z zawodu jestem dyplomowanym księgowym, ale prywatnie interesuję się różnymi metodami poszerzania percepcji zmysłowej. Ostatnio eksperymentowałem ze związkami chemicznymi, które nazywamy "kola" i które wywołują często stany głębokiego rozjaśnienia umysłu...

- My też mamy podobne związki wtrąciłem.

- Zatem rozumiesz! No więc, kiedy byłem w transie..., też używacie tego określenia? Kiedy znajdowałem się, że tak powiem, pod wpływem, spłynęło na mnie objawienie. Stało się to w sposób całkowicie dla mnie niepojęty... Ale to tak trudno wyjaśnić.

- Wal dalej - wtrąciłem niecierpliwie - dojdź wreszcie do sedna sprawy.

- No więc - powiedział głos uświadomiłem sobie nagle, że mój świat istnieje jednocześnie na wielu poziomach - atomowym, subatomowym, płaszczyzn oscylacyjnych, na nieskończonej liczbie poziomów rzeczywistości, z których każdy jest również częścią innych poziomów istnienia.

- Wiem o tym - powiedziałem z podnieceniem. - Niedawno stwierdziłem to samo w odniesieniu do mojego świata.

- Tak więc stało się dla mnie oczywiste - ciągnął dalej Froka - że naruszony został jeden z naszych poziomów.

- Czy mógłbyś być bardziej precyzyjny? - zapytałem.
- Mam wrażenie, że mój świat doświadcza naruszenia swych granic na poziomie molekularnym.
- Nadzwyczajne - powiedziałem, ale czy zdołałeś odkryć istotę tego naruszenia?
- Wydaje mi się, że tak - powiedział głos. - Ale nie mam żadnych dowodów. Opieram się jedynie na intuicji.
- Sam wierzę w intuicję - oświadczyłem. - Powiedz mi co stwierdziłeś.
- No więc, sir - powiedział z wahaniem głos - doszedłem do wniosku intuicyjnie - że mój świat jest twoim mikroskopijnym pasożytem.
- Wyrażaj się jaśniej!
- W porządku! Odkryłem, że w jednym aspekcie, w jednej płaszczyźnie rzeczywistości, mój świat istnieje między drugą, a trzecią kostką twojej lewej dłoni. Istniał tam od milionów naszych lat, które są dla ciebie minutami. Nie mogę, oczywiście, tego dowieść i nie winię cię broń Boże...
- Dobrze, dobrze - powiedziałem. Twierdzisz więc, że twój świat znajduje się między drugą, a trzecią kostką mojej lewej dłoni. Niech ci będzie. Co mogę w tej sytuacji uczynić?
- No więc, sir, przypuszczam, że ostatnio zaczął się pan drapać w rejonie mojego świata.
- Drapać?
- Tak myślę.
- I twierdzisz, że ten wielki, siejący zniszczenie słup, to jeden z mnich palców?
- Właśnie.
- I chcesz, żebym przestał się drapać.
- Tylko w pobliżu tego miejsca powiedział pośpiesznie głos. - Zdaję sobie sprawę z tego, jak kłopotliwe będzie dla ciebie spełnienie mej prośby, ale czynię to tylko po to, aby ocalić mój świat od całkowitego zniszczenia i przepraszam...
- Nie ma za co - przerwałem. Stworzenia rozumne nie powinny się niczego wstydić.

- To miłe z twojej strony, że tak mówisz - powiedział głos. - pomimo że wiesz, iż nie jesteśmy ludźmi i pasożytujemy na tobie nie mając do tego żadnego prawa.

- Wszystkie stworzenia rozumne powinny trzymać się razem - powiedziałem. - Masz moje słowo, że już nigdy, jak długo będę żył, nie podrapię się między pierwszą a drugą kostką mojej lewej dłoni.

- Między drugą a trzecią - przypomniał mi.

- Że nigdy więcej nie podrapię się między żadną kostką mojej lewej dłoni! To jest uroczyste ślubowanie i obietnica, której dotrzymam, dopóki starczy mi tchu w piersiach.

- Sir - powiedział głos - ocaliłeś mój świat. Nie wiem jak ci dziękować, ale ci dziękuję.

- Nie ma o czym mówić - powiedziałem.

Potem głos ucichł i obudziłem się. Przypomniawszy sobie ten sen, z miejsca zakleiłem wszystkie kostki mojej lewej dłoni plastrem. Nie zwracałem uwagi na jakiegokolwiek swędzenie w tym rejonie i nawet nie myślałem lewej ręki. Nosiłem ten plaster przez cały dzień.

Mam zamiar go zerwać pod koniec przyszłego tygodnia. Obliczyłem, że powinno to im dać, według ich rachuby czasu, około dwudziestu, czy nawet trzydziestu miliardów lat, co jest chyba wystarczająco długim okresem czasu dla każdej rasy.

Ale to już nie moje zmartwienie. Niepokoją mnie teraz pewne nieprzyjemne przeczucia, które zaczęły mnie ostatnio prześladować, a związane z trzęsieniami ziemi wzdłuż uskoku San Andreas i wznowiona aktywnością wulkaniczną w centralnym Meksyku. Wszystko to z czymś mi się kojarzy i boję się.

Wybacz więc, że przerywam ci twój pierwszy sen, ale mam niecierpiący zwłoki problem i tylko ty możesz mi pomóc w jego rozwiązaniu...

przekład : Jacek Manicki

Skazaniec w kosmosie

Detringer został wygnany ze swojej ojczystej planety Ferlang za "akty szczególnego chamstwa" - bezczelnie wysysał z zębów resztki jedzenia podczas medytacji rekreacyjnej, a kiedy Wielki Okręgowy Ubikwitor raczył na niego splunąć, machnął ogonem w kierunku niezgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Normalnie takie impertynencje nie kosztowałyby go więcej niż kilkadziesiąt lat całkowitego ostracyzmu, ale Detringer pogorszył swoją sytuację przez świadome nieposłuszeństwo podczas konwentyklu Bożej pamięci, kiedy to z całym uporem głośno wspominał swoje niesmaczne wyczyny seksualne.

Jego ostateczne przestępstwo nie miało precedensu we współczesnej historii Ferlang: pozwolił sobie na jawny gwałt wobec pewnego Ukanistra dopuszczając się tym samym pierwszego od czasów prymitywnej ery Gier Śmiertelnych aktu otwartej agresji Publicznej. Ten ostatni odrażający czyn, w wyniku którego Ukanister poniósł nieznaczny wprawdzie szwank na ciele, ale za to poważny na duchu, sprawił, że zastosowano do Detringera najwyższy wymiar kary - wieczne wygnanie.

Ferlang jest - licząc od jej słońca - czwartą planetą w piętnasto-planetowym układzie położonym prawie na skraju galaktyki. Detringera wywieziono statkiem głęboko w próżnię kosmiczną, pomiędzy galaktyki, i pozostawiono w maleńkim sportolocie bez zapasu paliwa. Ochotniczo towarzyszył mu jego wierny mechaniczny sługa Ichor.

Żony Detringera - wesoła, roztrzepana Maruskaa, wysoka, poważna Gwenkifer i kłapoucha, nieokiełznana Uu - wszystkie rozwiódły się z nim w uroczystym akcie dozgonnego obrzydzenia. Ósemka jego dzieci dokonała obrzędu odtrącenia rodzicielskiego, chociaż słyszano, jak Deranie, najmłodszy, mamrotał już później pod nosem: "Mnie tam wszystko jedno, tato, coś ty zrobił, ja cię i tak kocham".

Ale Detringer nie miał oczywiście zaznać pociechy, jaką byłaby świadomość tego ostatniego. Rzucony w bezmiar oceanu przestrzeni kosmicznej maleńki stateczek o zbyt słabym systemie

zasilania nieuchronnie musiał odmówić posłuszeństwa. Detringer cierpiał głód, zimno, pragnienie i nieustanny pulsujący ból głowy wynikający z niedotlenienia, ponieważ dobrowolnie przeszedł na oszczędnościowe racje tlenu. Dokoła siebie miał bezkresną martwość kosmosu urozmaiconą jedynie bezlitosnym blaskiem odległych gwiazd. Wyłączył całkowicie silniki sportolotu - nie było sensu tracić i tak skromnych zasobów paliwa w próżni międzygalaktycznej, która obciążała nawet ogromne rezerwy wielkich statków. Wolał oszczędzać paliwo na manewry międzyplanetarne - gdyby mu się taka mało prawdopodobna okazja trafiła.

Czas był czarną nieruchomą galareta, w której Detringer tkwił uwięziony. Ktoś słabszy psychicznie pozbawiony swoich zwykłych punktów zaczepienia, musiałby się załamać. Ale właśnie miarą siły Detringera był fakt, że zamiast się poddać rozpacz, której obiektywne przesłanki miał dokoła siebie, walczył: zmuszał się do wykonywania najdrobniejszych bodaj czynności przy zamierającym statku, co "noc" dawał koncert dla swojego sługi Ichora, któremu słoń nadepnął na ucho, uprawiał gimnastyka i medytacje szybkobieżną, odprawiał skomplikowane rytuały autoseksualne według "Podręcznika samotnego przetrwania" i na setki różnych sposobów starał się odwrócić swoją uwagę od porażającej świadomości własnej niemal pewnej śmierci.

Po nieokreślonym upływie czasu charakter przestrzeni kosmicznej zmienił się nagle. Cisza i lekkie wiatry ustąpiły zakłóceniom. Pojawiły się skomplikowane zjawiska elektryczne zapowiadające nowe niebezpieczeństwo. Wreszcie nadszedł zimny front, szalejąca burza uderzyła w sportolot, porwała go i cisnęła beładnie w samo serce przestrzeni kosmicznej.

Mały stateczek uratował się jedynie dzięki własnej niedoskonałości. Nieodparcie gnany przez rozszalały żywioł, poddał mu się i to go ocaliło.

Zbędne byłoby mówić, co działo się w tym czasie z załogą, poza tym, że po prostu przetrwała. Detringer przez jakiś czas był nieprzytomny. W pewnym momencie otworzył oczy i skołowany rozejrzał się dokoła. Następnie wyjrzał przez luki i zajął się instrumentami nawigacyjnymi.

- Przemierzyliśmy całą próżnię kosmiczną - oznajmił Ichorowi. - Zbliżamy się do zewnętrznych granic układu planetarnego.

Ichor podparł się jednym ze swoich aluminiowych łokci i zapytał:

- A jakiego typu jest słońce? - Typu O.

- Chwała Bożej pamięci - odparł Ichor i padł z powodu wyładowanych baterii.

Ostatnie porywy sztormu ucichły, zanim sportolot przekroczył orbitę najdalszej planety, dziewiętnastej, licząc od krzepkiego życiodajnego słońca średniej wielkości typu O. Detringer naładował Ichora podłączając go do akumulatorów statku, chociaż robot protestował uważając, że lepiej oszczędzać energię na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa.

A niebezpieczeństwo nadeszło prędzej, niż sobie Detringer wyobrażał. Odczyt instrumentów wykazał, że jedynie piąta planeta, licząc od słońca, mogłaby zaspokoić jego życiowe wymogi bez importu jakichkolwiek sztucznych urządzeń. Ale była ona położona za daleko jak na mizerne zasoby paliwa statku, a że ponownie znaleźli się w strefie ciszy, nie mogli liczyć na żadną siłą, która by im nadała przyspieszenie, zbliżając do celu.

Jako jeden z wariantów postępowania można było przyjąć, że siedzi spokojnie i czekają na jakiś zabłąkany, a skierowany do środka układu prąd czy nawet następną burz. Ale byłaby to postawa wyraźnie konserwatywna. Jej przyjście groziło niebezpieczeństwem, że w tym krótkim czasie, na jaki starczy im zasobów ze statku, nic takiego się nie zdarzy. Albo, że nawet jeśli porwie ich jakiś prąd czy burza, to w niepożądanym kierunku.

Oczywiście ryzyko istniało niezależnie od tego, jaką by przyjęli linię działania. Ale, w sposób dla siebie charakterystyczny, Detringer obrał plan trudniejszy, a zarazem bardziej niebezpieczny.

Kalkulując jak najoszczędniej kurs i prędkość postanowił przebyć taką odległość, na jaką mu starczy paliwa, oddając się potem w ręce opatrności.

Pocąc się przy sterach i ręcznie dawkując paliwo zdołał się zbliżyć do celu na odległość dwustu

milionów mil. Następnie wyłączył silniki pozostawiając sobie paliwa na skąpą godzinę manewrowania już w granicach atmosfery. Sportolot zaczął więc znów dryfować w przestrzeni kosmicznej, wprawdzie dalej w kierunku piątej planety, ale tak wolno, że i tysiąca lat by nie starczyło, żeby sięgnął granic jej atmosfery. Nie wysilając specjalnie wyobraźni można było przyjąć, że statek jest trumną, a Detringer jej przedwczesnym lokatorem. Ale zamiast się przejmować, Detringer przywrócił reżim gimnastyki, koncertów, medytacji szybkobieżnej, rytuałów autoseksualnych.

Dla Ichora wszystko to było z lekka szokujące. Sam poglądów dość ortodoksyjnych, łagodnie wytknął swemu panu, że jego zachowanie jest niestosowne do sytuacji, a tym samym nierozsądne.

- Naturalnie masz rację - odparł Detringer wesoło. Ale chciałbym ci uświadomić, że nadzieja, nawet bez szans na spełnienie, jest w dalszym ciągu uważana za jedno z Ośmiu Dobrodziejstw Irracjonalnych i jako taka (według Drugiego Patriarchy) nadrzędna w stosunku do Nakazów Zdrowego Rozsądku.

Pobity argumentami zaczerpniętymi z Pisma Ichor niechętnie przystał na praktyki Detringera i nawet posunął się do tego, że wraz z nim zaśpiewał pieśń (z wynikiem tyleż zabawnym co kakofonicznym).

Nieubłaganie opuszczała ich energia. Zredukowane do połowy, a potem do jednej czwartej racje zmniejszyły ich wydajność powodując niemal całkowitą bezczynność. Na próżno Ichor błagał swego pana, żeby mu pozwolił zasilić jego własnymi osobistymi bateriami zimne grzejniki statku.

- Nie przejmuj się - odparł Detringer dygocąc z zimna - wyjdziemy stąd razem na równych prawach i o takich władzach, jakie są nam dane, o ile wyjdziemy w ogóle w co zaczynam szczerze wątpić pomimo poważnych danych przeciwnej natury.

Niewykluczone, że siła woli ma wpływ na przyrodę. W każdym razie dla nikogo poza

Detringerem natura nie zdobyłaby się na taki gest, by zesłać silny grąd skierowany do wewnątrz

układu słonecznego własne w momencie, kiedy zasoby energii statku pozostały właściwie już tylko wspomnieniem.

Samo lądowanie nie przedstawiało problemu dla pilota o tych kwalifikacjach i szczęściu co Detringer. Posadził statek lekko jak wiatr nasienie wśród gościnnej zieleni piątej planety Kiedy wyłączył silniki, zostało mu jeszcze paliwa na jakieś trzydzieści osiem sekund lotu.

Ichor padł na swoje ferruminiowe kolana dziękując Bożej pamięci, za to, że o nich nie zapomniała i przywiodła do tego miejsca schronienia.

- Zanim się rozkleimy z tej wdzięczności, chodźmy lepiej zobaczyć, czy będziemy mogli tu żyć - powiedział Detringer.

Ale piąty świat okazał się dość gościnny. Wszystko, co niezbędne do życia - poza jednakże wygodami - można było zdobyć kosztem niewielkiego wysiłku. Ucieczka nie wchodziła w grę: tylko bowiem rozwinięta cywilizacja techniczna mogła dostarczyć skomplikowanego paliwa, jakiego wymagał ich statek. A już nawet pobieżna obserwacja z lotu ptaka przekonała ich, że piąta planeta, choć malownicza i gościnna, cywilizacji żadnej nie miała. Nie mówiąc o inteligentnym życiu.

Dokonawszy pewnych prostych połączeń drutów Ichar przygotował się, że tutaj dokona swoich dni. Poradził Detringerowi, żeby i on pogodził się z nieuniknionym. Ostatecznie, zauważył, nawet gdyby w jakiś sposób zdobyli paliwo, to dokąd pójdą? Szanse na to, że znajdą planetę z jakąś rozwiniętą cywilizacją, nawet dysponując dobrze wyposażonym statkiem badawczym, były znikome. Z małym stateczkiem jak ich sportolot podobne przedsięwzięcie równałoby się samobójstwu.

Ale to rozumowanie nie przekonało Detringera.

- Lepiej umrzeć poszukując, niż wegetując żyć - oświadczył.

- Panie, to jest herezja - zaznaczył z szacunkiem Ichor.

- Jasne, że herezja - odparł wesoło Detringer - ale zgodna z moim wewnętrznym przekonaniem.

Mój nos mówi mi, że coś nam się trafi.

Ichor wzdrygnął się; ze względu na duchowe dobro Detringera był rad, że wbrew swoim nadziejom jego pan dozna pociechy wiecznej samotności.

Kapitan Makepeace Macmillan stał w głównej kabinie nawigacyjnej swojego statku badawczego "Denny Lind" i przeglądał taśmę wychodzącą z komputera koordynacyjnego typu 1100. Było jasne - na ile mógł to ocenić za pomocą przyrządów pokładowych - że nowa planeta nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa.

Macmillan odbył długą drogę, żeby doczekać tej chwili. Skończywszy błyskotliwie wydział nauk o życiu na uniwersytecie w Taos, zrobił magisterium z teorii i sterowania nukleonowego. Jego praca doktorska zatytułowana "Uwagi wstępne na temat pewnych rozważań z dziedziny nauki manewrowania międzygwiazdowego" została przez radę wydziału entuzjastycznie przyjęta, a następnie opublikowana dla szerokiego odbiorcy pod tytułem "Zagubiony i odnaleziony w najgłębszej przestrzeni kosmicznej". To, wraz z długim artykułem "Zastosowanie teorii deklinacji w modalności lądowania statków kosmicznych, zamieszczonym w piśmie "Nature", przesądziło o tym, że w wyborze na stanowisko kapitana pierwszego amerykańskiego statku międzygwiazdowego praktycznie nie miał konkurencji.

Był to wysoki, przystojny, potężnie zbudowany mężczyzna o włosach przedwcześnie przyprószonej siwizną, która zadawała kłam jego trzydziestu sześciu latom. W sprawach nawigacji kosmicznej odznaczał się pewnością i szybkim refleksem, a ze statkiem radził sobie w sposób godny podziwu.

Znacznie gorzej radził sobie z ludźmi. Przekleństwem Macmillana była jego nieśmiałość, brak zaufania do siebie i niepewność, która opóźniała proces podejmowania decyzji - cecha chwalebna u filozofa, ale słabość u człowieka powołanego do kierowania innymi.

Rozległo się stukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie wszedł pułkownik Kettelman.

- Wygląda całkiem nieźle tam na dole, co? - zagaił.

- Profil planety rzeczywiście wydaje się korzystny odparł sztywno Macmillan.

- To i dobrze. - Kettelman patrzył nierozumiejącym wzrokiem na taśmę komputerową. - Coś ciekawego?

- I to bardzo - odrzekł Macmillan. - Już nawet obserwacja z dużej odległości pozwoliła się domyślać unikatowych organizmów roślinnych. A poza tym nasze badania mikrobiologiczne wykazują pewne anomalie, które...

- Nie o to mi chodzi. - Kettelman wykazywał naturalną u zawodowego wojskowego obojętność dla robactwa i roślin. - Miałem na myśli rzeczy naprawdę ważne, jak obce wojska, floty kosmiczne i tym podobne.

- Nic nie wskazuje na istnienie jakiegokolwiek cywilizacji na planecie - poinformował go Macmillan. - Wątpię, czy napotkamy tam inteligentne życie.

- Nigdy nie wiadomo - odparł z nadzieją w głosie Kettelman, krępy, potężny w ramionach i nieugięty mężczyzna. Był on weteranem Amerykańskich Kampanii Sojuszniczych z roku 34, walczył jako major w dżunglach zachodniego Hondurasu w tak zwanej wojnie Owocowej, skąd wyszedł w randze podpułkownika. Na pułkownika awansował podczas niefortunnego Powstania Nowojorskiego, w którym osobiście poprowadził swoich ludzi na budynek Podskarbcza, a następnie obronił pozycje na 42. ulicy przed atakiem Batalionu Pedalów.

Nieustraszony, cieszący się opinią żołnierza z krwi i kości oraz nieposzlakowaną kartą w swojej karierze wojskowej, człowiek zamożny i nie pozbawiony inteligencji, przyjaciel amerykańskich senatorów i teksaskich milionerów, Kettelman zyskał stanowiącą przedmiot pożądanego wielu nominację na komendanta operacji militarnych na pokładzie "Jenny Lind".

Właśnie oczekiwał chwili, w której wyprowadzi swoją grupę bojową liczącą dwudziestu

żołnierzy piechoty morskiej na powierzchnię piątej planety. Ta perspektywa podniecała go ogromnie. Bo Kettelman wiedział, że niezależnie od tego, co mówiły instrumenty, mogło ich czekać dosłownie wszystko, co okaleczy i zabije - chyba że on się okaże szybszy - a to właśnie miał w planie.

- Jest jedna rzecz - odezwał się Macmillan - odkryliśmy na planecie obecność statku kosmicznego.

- No proszę - rzekł Kettelman - wiedziałem, że coś będzie na pewno. Zauważyliście tylko jeden statek?

- Tak. I to mały, o wyporności przeszło dwadzieścia razy mniejszej niż nasza i najwyraźniej nieuzbrojony. - Właśnie o to im chodzi, żebyśmy w to uwierzyli rzekł Kettelman. - Ciekawe, gdzie jest reszta.

- Jaka reszta?

- Pozostałe statki z załogami, rakiety ziemia-kosmos, i tak dalej.

- Z obecności jednego obcego statku wcale nie musi wynikać obecność ornych obcych statków - zauważył kapitan Macmillan.

- Nie musi? Wiesz, co ci powiem, Mac? Ja się uczyłem logiki w dżunglach Hondurasu - odparł Kettelman. - A tam jeśliś się nadział na jednego pokurcza z maczetą, mogłeś być pewien dalszych pięćdziesięciu ukrytych w zaroślach, gotowych obciąć ci uszy, jeśliś im tylko dał szansę.

Stosując abstrakcyjną logikę mógłbyś łatwo stracić życie.

- Okoliczności były trochę inne - zaznaczył kapitan Macmillan.

- I co z tego?

Macmillan skrzywił się i odwrócił. Rozmowy z Kettelmanem sprawiały mu trudność i wobec tego unikał ich, jak tylko mógł. Pułkownik był osobnikiem kłótliwym, upartym, łatwo wpadającym w gniew i wyznającym pewne prawdy, których większość zasadzała się na niewzruszonych

podwalinach niemal całkowitej ignorancji. Kapitan zdawał sobie sprawę, że antypatia, jaką darzy Kettelmana, jest wzajemna. Był świadom tego, że pułkownik uważa go za człowieka niezdecydowanego i niesprawnego, wygiąwszy może wąską dziedzinę jego naukowej specjalności. Szczęśliwie zakres ich kompetencji był ściśle określony i bardzo wyraźnie rozgraniczony. A przynajmniej tak było do tej pory.

Detringer i Ichor stali w kępie drzew i patrzyli na bezbłędne lądowanie wielkiego statku.

- Obojętne, kto prowadzi ten statek - powiedział Detringer - uważam, że jest mistrzem w tej sztuce. Chciałbym go poznać.

- Niewątpliwie będzie pan miał okazję. To z pewnością nie przypadek, że mając do wyboru powierzchnię całej planety posadzili swój statek prawie dokładnie koło nas.

- Oczywiście musieli nas zauważyć - rzekł Detringer. - I postanowili zagrać śmiało, dokładnie tak, jak ja bym zrobił na ich miejscu.

- To się trzyma kupy - odparł Ichor. - A co by pan zrobił na swoim miejscu?

- I ja zagram śmiało.

- To jest moment historyczny - oznajmił Ichor. Przedstawiciel Ferlang po raz pierwszy w dziejach spotka się wkrótce z inteligentnymi obcymi. Co za ironia, że taka okazja trafiła się akurat kryminaliście!

- Ta okazja, jak ją nazwałeś, została mi narzucona. Zapewniam cię, że jej nie szukałem. Ale a propos - mam nadzieję, że nie będziemy nic mówili na temat moich nieporozumień z władzami Ferlang.

- Chce pan powiedzieć, że pan będzie kłamał?

- To bardzo ostre sformułowanie - rzekł Detringer. Powiedzmy, że chcę oszczędzić moim ludziom niezręcznej sytuacji wynikającej z tego, że ich pierwszym przedstawicielem wobec obcej rasy jest przestępca.

- Aha, no chyba że tak - uspokoił się Ichor. Detringer spojrział surowo na swego mechanicznego sług.

- Widzę, że niezupełnie ci się podobają moje metody. - Istotnie, ale niech pan mnie zrozumie, sir: jestem panu wierny bez najmniejszych zastrzeżeń. W każdej chwili gotów do największych poświęceń. Będę panu służył do śmierci, a może nawet i dłużej, o ile to możliwe. Ale lojalność w stosunku do drugiej osoby nie może oznaczać wyrzeczenia się zasad religijnych, społecznych i etycznych. Kocham pana, sir, ale nie akceptuję pana postępowania.

- Dobrze - odparł Detringer - czuję się ostrzeżony. A teraz wracając do naszych obcych przyjaciół: otwiera się luk i wychodzą.

- Wychodzą żołnierze - zauważył Ichor.

Przybysze byli też dwunożni i też mieli po dwie kończyny górne. Każdy z nich miał tylko jedną głowę, jedno usta i jeden nos, tak jak i Detringer. Nie było widać żadnych ogonów czy jakichkolwiek anten. Sądząc ze sprzętu, z pewnością byli to żołnierze. Każdy z nich dźwigał wyposażenie, w którym można się było domyślać małych wyrzutni, granatów gazowych i rozrywających, broni promieniowej, broni atomowej bliskiego rażenia i jeszcze wielu innych rzeczy. Mieli też osobiste zabezpieczenie, a głowy chroniły im przezroczyste bańki plastikowe. Było ich w ten sposób wyposażonych dwudziestu plus jeden, najwyraźniej ich przywódca, bez widocznego uzbrojenia. Posługiwał się on czymś w rodzaju elastycznej pałki - stanowiącej najprawdopodobniej insygnium jego władzy - którą idąc na czele swoich żołnierzy, uderzał się rytmicznie w górną część lewej kończyny dolnej.

Żołnierze podeszli bliżej, w szyku luźnym, ukrywając się chwilowo za obiektami naturalnymi, i całą swoją postawą demonstrując najwyższą podejrzliwość i czujność. Oficer wystąpił naprzód, bez żadnej osłony, przejawiając tym samym brawuro czy po prostu głupot.

- Nie uważam, żebyśmy dalej musieli kryć się po tych krzakach - powiedział Detringer. - Czas

wyjść i stanic im czoła w sposób godny przedstawicielei planety Ferlang. Z tymi słowy wystąpił i eskortowany przez Ichora zbliżył się do żołnierzy. Był w tym momencie wspaniały.

Każdy z członków załogi "Denny Lind" wiedział o obcym statku odległym zaledwie o milę.

Dlatego obecność obcego, który właśnie śmiało zmierzał na spotkanie żołnierzy Kettelmana, nie powinna być dla nikogo zaskoczeniem.

A jednak była. Nikt nie był przygotowany na spotkanie z autentycznym, najprawdziwszym pod słońcem, niesamowitym z wyglądu nieziemcem z krwi i kości. W tej sytuacji nasuwało się wiele pytań - żeby wymienić choć jedno: co człowiek właściwie powinien powiedzieć, kiedy się wreszcie spotka z nieziemcem? Czy potrafi sprostać niezwykłości tej historycznej chwili? Cokolwiek wymyślisz, musi zabrzmieć jak: "Doktor Livingstone, jak sądzę?" Przez całe wieki będą się potem nabijać z ciebie i twoich słów - napuszonych czy banalnych. Spotkanie z nieziemcem potencjalnie jest nad wyraz krępujące.

Zarówno kapitan Macmillan, jak i pułkownik Kettelman gorączkowo szykowali tekst powitania odrzucając kolejne wersje i mając nadzieję, że w komputerze przekładowym C31 wysiądzie tranzystor: Żołnierze modlili się: Jezu, spraw, żeby nie chciał rozmawiać akurat ze mną". Nawet kucharz myślał: "Chryste, na początek go zainteresuje, jak się odżywiam".

Ale Kettelman szedł na czele. "Do cholery - domyślał nie mam zamiaru z nim pierwszy rozmawiać . Zwolnił kroku pozwalając swoim ludziom się wyprzedzić. Ale żołnierze stanęli w miejscu jak wryci czekając na pułkownika. Kapitan Macmillan, który podążał tuż za nimi, również przystanął, żałując, że ma na sobie mundur ze wszystkimi dystynkcjami. Najbardziej ze wszystkich rzucał się w oczy i dlatego wiedział, że obcy podejdzie prosto do niego.

Ziemiańskie stali nieruchomo. Nieziemiec szedł w ich stronę. W szeregach ludzi skrępowanie ustąpiło panice. Żołnierze patrzyli na obcego i myśleli: Jezu, co to będzie". Oczywiście byli bliscy ucieczki. Kettelman widział to i myślał: "Zhańbią całą jednostkę i mnie!"

Ta myśl go otrzeźwiła. Nagle przypomniał sobie o dziennikarzach. Tak, dziennikarze! Niech to wezmą na siebie ludzie prasy- ostatecznie za to biorą pieniądze.

- Pluton, stój ! - rozkazał. A następnie dodał: - Prezentuj broń.

Obcy też się zatrzymał, prawdopodobnie, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Kapitanie - Kettelman zwrócił się do Macmillana. Proponuję, żeby w tym historycznym momencie spuścić ze smyczy... to znaczy uruchomić dziennikarzy.

- Doskonały pomysł - odrzekł kapitan i polecił wydobyć dziennikarzy ze stanu hibernacji i natychmiast ich przyprowadzić.

Nastąpiła chwila oczekiwania.

Dziennikarze byli zainstalowani w specjalnym pomieszczeniu. Na drzwiach wisiała tabliczka: "HIBERNACJA - osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony". I poniżej odręcznie dopisana: "Budzić tylko w razie rewelacji".

A w kabinie - każde w swojej kapsule - spoczywało czterech dziennikarzy i jedna dziennikarka.

Wszyscy oni zgodzili się z tym, że prowadzenie aktywnego życia przez jałowe lata, potrzebne na dotarcie "Denny Lind" do jakiegokolwiek punktu przeznaczenia, byłoby dla nich stratą czasu subiektywnego. Dlatego wyrazili zgodę na przejście w stan hibernacji pod oczywistym warunkiem, że zostaną przywrócenii do życia natychmiast, jak tylko zaistnieje sytuacja wymagająca obsługi dziennikarskiej. Decyzję co do tego, jaka sytuacja zostanie za taką uznana, pozostawiono kapitanowi Macmillanowi, który na drugim i trzecim roku studiów na uniwersytecie Taos pracował jako reporter dla "Słońca Feniksa".

Polecenie obudzenia dziennikarzy dostał Szkot, inżynier Ramon Delgado, człowiek o dziwnym życiorysie. Poustawiał odpowiednio systemy zabezpieczające poszczególnych osób i w ciągu piętnastu minut wszyscy byli lekko oszołomieni, ale przytomni i domagali się wyjaśnień.

- Wylądowaliśmy na planecie - poinformował ich Delgado. - Jest to planeta typu ziemskiego, ale

nie widać, żeby była na niej jakaś cywilizacja czy inteligentne życie.

- I to był powód, dla którego nas obudziłeś? - zapytał Quebrada z Południowo-wschodniej Agencji Prasowej.

- Nie tylko - odparł Delgado. - Na planecie jest jakiś obcy statek i nawiązaliśmy kontakt z inteligentną istotą. - No, to już lepiej - rzekła Millicent Lopez reprezentująca dziennik "Ubiory damskie" i inne. - A czy może zauważyłeś, w co ten obcy jest ubrany?

- A można ocenić stopień inteligencji tego osobnika? zapytał Mateos Upmann z "New York Timesa" i "Los Angeles Timesa".

- A co do tej pory powiedział? - chciał wiedzieć Angel Potemkin z NBC-CBS-ABC.

- Nic nie powiedział - poinformował ich inżynier Delgado. - Bo jeszcze nikt z nim nie rozmawiał.

- Czy mamy przez to rozumieć - zdziwił się E.K. Quetzala z Zachodniej Agencji Prasowej - że pierwszy nieziemiec, jakiego kiedykolwiek spotkali ziemianie, stoi tam teraz jak ten głupi i nikt nie przeprowadza z nim wywiadu?

Dziennikarze runęli do wyjścia - wielu z nich wlokło jeszcze za sobą rurki i przewody - wstępując jedynie do pokoju reporterów po magnetofony. Na zewnątrz, mrużąc oczy w ostrym słońcu, troje z nich podłączyło się do komputera przekładowego C31. Następnie wszyscy razem ruszyli naprzód roztrącając żołnierzy i otoczyli nieziemca.

Upmann włączył komputer, wziął jeden z mikrofonów, a drugi podał obcemu, który po chwili wahania wyciągnął rękę.

- Próba: raz, dwa, trzy - powiedział Upmann. - Zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Powiedziałeś: "Próba: raz, dwa, trzy".

Wszyscy odetchnęli z ulgą, ponieważ wreszcie zostały wypowiedziane pierwsze słowa do pierwszego w dziejach nieziemca i Upmann rzeczywiście miał wyjść w książkach historycznych na kompletnego idiotę. Ale Upmannowi było dokładnie wszystko jedno, na co wyjdzie, byleby się w

ogóle znaleźć w książkach historycznych, dlatego nie przerywał sobie wywiadu. Po chwili inni poszli w jego ślady.

Detringer musiał odpowiedzieć, co jada, jak długo i jak często sypia, scharakteryzować swoje życie seksualne i jego odchylenia od normy przyjętej dla Ferlang, opisać pierwsze wrażenie, jakie zrobili na nim ziemianie, przedstawić swoją osobistą filozofię, wyznać, ile ma żon i jak mu się układa współżycie z nimi, ile ma dzieci i jakie to jest uczucie, jak się jest nim. Musiał podać swój zawód i hobby, ze szczególnym uwzględnieniem zainteresowań ogrodniczych lub ich braku.

Musiał się przyznać, czy kiedykolwiek się upił i w jakich okolicznościach, opisać swoje pozamałżeńskie doświadczenia seksualne, o ile miał takie, i wymienić uprawiane sporty. Musiał wyrazić swój pogląd na przyjaźń międzygwiazdną pomiędzy rasami inteligentnymi, przedyskutować ze swoimi rozmówcami korzyści i albo kłopoty wynikające z posiadania ogona i wiele innych.

Macmillan, nieco zawstydzony z powodu zaniedbania obowiązków kapitana, wystąpił teraz naprzód i uratował Deiringera, który dzielnie i z wielkim nakładem trudu próbował wytłumaczyć niewytłumaczalne.

Podszedł również pułkownik Kettelman - ostatecznie to on był odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa i do niego należało wnikać głęboko w naturę i intencje obcego.

Nastąpiło drobne spięcie pomiędzy tymi dwiema osobistościami co do tego, kto pierwszy powinien się spotkać z nieziemcem czy też może spotkanie ma być wspólne. Ostatecznie zdecydowano, że to Macmillan, jako symboliczny przedstawiciel ludów Ziemi, pierwszy będzie rozmawiał z obcym. Było jasne, że to spotkanie ma mieć charakter czysto formalny. Dopiero Kettelman, jako następny w kolejności, będzie już rozmawiał konkretnie.

Ten plan ładnie sprawę rozwiązał i Detringer oddalił się z Macmillanem. Żołnierzy odesłano na statek, gdzie złożyli broń i wrócili do pucowania butów.

Trzymającego się z tyłu Ichora dopadł przedstawiciel Agencji Środkowozachodniej i poprosił o wywiad. Ten sam dziennikarz, Melchior Carrera, współpracował także z takimi pismami, jak: "Popular Mechanics", "Playboy", "Rolling Stone" i "Automation Engineers' Digest". Był to ciekawy wywiad.

Rozmowa Detringera z kapitanem Macmillanem szła bardzo gładko. Obaj mieli poglądy liberalne na większość problemów, obaj odznaczyli się wrodzonym taktem i każdy z nich starał się okazać maksymalne zrozumienie dla punktu widzenia, którego nie podzielał. Przypadli sobie nawzajem do gustu i kapitan Macmillan nie bez zdziwienia stwierdził, że Detringer jest mu mniej obcy niż pułkownik Kettelman.

Spotkanie z Kettelmanem, które nastąpiło zaraz potem, miało zupełnie inny charakter. Po krótkiej wymianie uprzejmości pułkownik przeszedł wprost do rzeczy.

- Co pan tu robi? - zapytał.

Detringer, przygotowany na konieczność udzielania podobnych wyjaśnień powiedział:

- Prowadzę statek zwiadowczy kosmicznych sił Ferlang. Sztorm zwiął mnie daleko z kursu i byłem zmuszony wylądować tutaj dokładnie w momencie, kiedy skończyło mi się paliwo.

- To znaczy, że jest pan unieruchomiony.

- Jestem. Czasowo, oczywiście. Jak tylko moi ludzie zorganizują załogę i sprzęt, wyślą po mnie statek ratowniczy. Ale to może potrwać. Gdybyście więc wsparli mnie paliwem, byłbym wam głęboko zobowiązany.

- Hmmm - mruknął pułkownik Kettelman. - Przepraszam, bo nie dosłyszałem?

- Hmm - powiedział komputer przekładowy C31 - to uprzejmy odgłos oznaczający u ziemian chwilę zastanowienia.

- Gadanie - przerwał mu Kettelman. - "Hmmm" nie znaczy dosłownie nic. Aha, więc potrzebuje pan paliwa?

- Tak, pułkowniku, potrzebuję - odparł Detringer. - Z różnych oznak zewnętrznych wnioskuję, że nasze systemy napędowe są porównywalne.

- System napędowy "Denny Lind"... - zaczął C31.

- Chwileczkę, to jest tajne - przerwał mu Kettelman. - Nie, już nie jest - odpowiedział komputer. -

Wszyscy na ziemi używają tego systemu od dwudziestu lat i został w ubiegłym roku oficjalnie odtajniony.

- Tak jak myślałem - powiedział Detringer. - Nie będę nawet musiał zmieniać składu paliwa.

Mogę użyć tak, jak jest. Naturalnie o ile mi użyczycie.

- Z tym nie ma problemu - odrzekł Kettelman - paliwa mamy dość. Ale przedtem musimy omówić kilka spraw.

- Na przykład?

- Na przykład: czy danie panu paliwa będzie służyło sprawie naszego bezpieczeństwa.

- Nie widzę tu żadnego problemu - odparł Detringer. - To dziwne. Ferlang jest najwyraźniej planetą o wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej. Jako taka może stanowić dla nas potencjalne zagrożenie:

- Drogi pułkowniku, nasze planety należą do różnych galaktyk.

- Cóż z tego. My, Amerykanie, zawsze walczyliśmy tak daleko od domu, jak tylko to jest możliwe.

Być może wy z Ferlang robicie tak samo. Jaką przeszkodę stanowi odległość, skoro można ją pokonać?

Detringer opanował się i odpowiedział:

- Jesteśmy rasą pokojowo usposobioną, nastawioną na obronę i głęboko zainteresowaną w rozwoju przyjaźni i współpracy międzygwiazdnej.

- Tak pan mówi, ale skąd mogę być pewien, że to prawda?

- Pułkowniku, czy pana zachowanie nie jest przypadkiem... - Detringer szukał przez chwilę

odpowiedniego sformułowania i wreszcie wybrał nieprzetłumaczalne w sensie dosłownym -

"urmuguahtt"?

C31 podsunął właściwe słowo:

- Zastanawia się, czy pana zachowanie nie jest z lekka paranoiczne.

Kettelman najeżył się. Nic go tak bardzo nie wyprowadzało z równowagi, jak to, kiedy go uważano za paranoika. Czuł się wtedy szykanowany.

- Tylko niech mnie pan nie drażni - ostrzegł złowrogo. - Dlaczego na przykład nie miałbym kazać pana zabić, a pańskiego statku zniszczyć do najdrobniejszej części w interesie bezpieczeństwa Ziemi? Do czasu kiedy pańscy ludzie się tu zjawią, nas już tu dawno nie będzie i Ferlangerzy, czy jak tam się nazywacie, ni cholery się o nas nie dowiedzą.

- Naturalnie, że moglibyście tak postąpić - powiedział Detringer - gdyby nie to, że zawiadomiłem swoich o was drogą radiową, jak tylko zobaczyłem wasz statek, i byłem z nimi w łączności radiowej aż do chwili kiedy przyszedłem na spotkanie z wami. Przekazałem Dowództwu Bazy wszelkie możliwe informacje na wasz temat, łącznie z oceną typu waszego słońca na podstawie waszego wyglądu zewnętrznego, jak również i kierunku, w jakim znajduje się wasza planeta - na podstawie analizy ścieżki jonowej.

- Bystry z pana facet - powiedział złośliwie Kettelman.

- Zawiadomiłem też ich, że poroszę was o udzielenie mi paliwa z waszych najwyraźniej obfitych zasobów. Poczytają wam to za szczególnie nieprzyjazny akt, jeśli mi odmówicie tej uprzejmości.

- O tym nie pomyślałem - rzekł Kettelman. - Hmm. Mam rozkaz niewywoływania żadnych międzygwiazdnych niesnasek.

- No więc? - Detringer zawiesił głos.

Zaległa długa, niezręczna cisza. Kettelman zrywał się na samą myśl, o tym, że mógłby udzielić na dobrą sprawę wojskowej pomocy osobnikowi, który kto wie, czy nie okaże się jego najbliższym

wrogiem. Z drugiej strony nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

- W porządku - powiedział wreszcie - jutro przyślę panu paliwo.

Detringer podziękował i całkiem otwarcie i szczerze zaczął mówić o ogromnych rozmiarach i skomplikowanych rodzajach broni kosmicznych sił zbrojnych Ferlang. No, powiedzmy, że trochę przesadził. W gruncie rzeczy nie powiedział ani słowa prawdy:

Wczesnym rankiem do statku Detringera przyszedł ziemianin z kanistrem paliwa. Detringer poprosił go, żeby je zostawił gdziekolwiek, ale osobnik nalegał, że osobiście wniesie kanister do maleńkiej kabiny sportolotu i wleje paliwo do zbiornika. Taki ma rozkaz od pułkownika - powiedział.

- To dopiero początek - zwrócił się Detringer do Ichora. - Jeszcze ze sześćdziesiąt takich baniek.

- Ale dlaczego przysyłają nam po jednej ? - zainteresował się Ichor. - To bardzo nieekonomicznie.

- Nie wiadomo. Zależy, co Kettelman chce osiągnąć. - Co pan ma na myśli?

- Nic. Mam nadzieję. Poczekamy, zobaczymy. Czekali, mijały godziny. Wreszcie nastał wieczór, ale paliwa już więcej nie przysłano. Detringer poszedł do statku ziemskiego, odsunął na bok dziennikarzy i zażądał rozmowy z Kettelmanem.

Ordynans zaprowadził go do kabiny pułkownika. Pokój był urządzony z dużą prostotą. Na ścianie wisiało kilka pamiątek - dwa rzędy odznaczeń na czarnym aksamicie w solidnej złoconej ramce, fotografia dobermana pinczera z obnażonymi kłami i wysuszona głowa - trofeum z oblężenia Tegucigalpy. Sam pułkownik, rozebrany do szortów koloru khaki, ścisnął w każdej dłoni i w każdej stopie po kauczukowej piłeczce.

- Słucham, Detringer, co mogę dla pana zrobić?

- Przyszedłem zapytać, dlaczego przestał pan przysyłać mi paliwo.

- O? - Kettelman wypuścił wszystkie piłeczki na raz i usiadł w dyrektorskim skórzanym fotelu z

jego nazwiskiem wytłoczonym na oparciu. - Odpowiem panu na to pytanie pytaniem. Jak pan mógł nawiązać łączność radiową ze swoimi ludźmi nie mając żadnego sprzętu radiowego?

- A kto mówi, że ja nie mam żadnego sprzętu radiowego?

- Z tą pierwszą porcją paliwa wysłałem do pana inżyniera Delgado. Miał się zorientować, jakiego pan używa sprzętu. Powiedział mi, że na pańskim statku nie ma ani śladu urządzeń radiowych.

Inżynier Delgado jest ekspertem od tych spraw.

- Mamy sprzęt zminiaturyzowany - odpowiedział Detringer.

- My też. Ale to i tak wymaga wielu elementów, których u pana nie widać. Dodam jeszcze, że odkąd zbliżyliśmy się do tej planety, prowadzimy nasłuch na wszystkich długościach fal radiowych. Nie natrafiliśmy na żadne transmisje.

Detringer powiedział:

- Mogę wszystko wyjaśnić.

- Bardzo proszę.

- To jasne. Kłamałem.

- Tyle wiem. Ale to niczego nie tłumaczy.

- Jeszcze nie skończyłem. My, Ferlangowie, też mamy swoje siły bezpieczeństwa, pan rozumie.

Dopóki nie dowiemy się o was czegoś więcej, zdrowy rozsądek wymaga, żebyśmy się sami nie odsłaniali. Wasza naiwność, której dowiedliście wierząc, że posługujemy się tak prymitywnym systemem łączności jak radio, byłaby dla nas okolicznością pomyślną w przypadku gdybyśmy się mieli kiedykolwiek spotkać na stopie nieprzyjaznej.

- To wobec tego jak się komunikujecie? Czy może wcale?

Detringer zawahał się, po czym odparł:

- Myślę, że to by nie miało żadnego znaczenia nawet gdybym panu powiedział. Prędzej czy później sami byście odkryli, że my się porozumiewamy drogą telepatyczną.

- Telepatyczną? Twierdzi pan, że potraficie przesyłać na odległość myśli?

- Otóż to - odparł Detringer.

Kettelman wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym zapytał:

- Okay. A co ja wobec tego w tej chwili myślę? - Pan myśli, że jestem kłamcą.

Zgadza się.

- Ale to było oczywiste i tej wiadomości nie uzyskałem czytając pańskie myśli. My, Ferlangowie mamy zdolności telepatyczne tylko wewnątrz naszego gatunku.

- Wie pan co - powiedział Kettelman - ja w dalszym ciągu uważam, że jest pan cholernym łgarzem.

- Oczywiście. Problem polega na tym, czy jest pan pewien.

- Jestem cholernie pewien - odparł Kettelman ponuro.

- Ale czy to jest wystarczające? To znaczy z punktu widzenia waszego bezpieczeństwa. Niech pan pomyśli: jeśli ja mówię prawdę, to wczorajsze powody, żeby dać mi paliwo, są równie ważne i dzisiaj. Zgadza się pan ze mną?

Pułkownik niechętnie skinął głową.

- Jednocześnie, jeśli ja kłamię, a wy mi dacie paliwa, to i tak nic złego dla was z tego nie wyniknie. Pomoże pan drugiemu w potrzebie zobowiązując tym samym wobec siebie mnie i moich ziomków. To obiecujący początek wzajemnych stosunków pomiędzy naszymi rasami. A ponieważ obie prą coraz głębiej w kosmos, nasze spotkanie jest prędzej czy później nieuchronne.

- Zgadzam się, że jest nieuchronne - odparł Kettelman - ale mogę tu przynajmniej pana przytrzymać i opóźnić oficjalne kontakty do chwili, kiedy będziemy lepiej przygotowani.

- Proszę, niech pan próbuje opóźniać te kontakty rzekł Detringer - ale i tak może do nich dojść w każdej chwili. A ma pan przynajmniej okazję zrobić dobry początek. Następnym razem okoliczności mogą nie być dla was takie pomyślne.

- Hmmm - mruknął Kettelman.

- O, właśnie dlatego ma pan powody pomóc mi, nawet jeśli kłamię. Ale, proszę pamiętać: ja jednak mogę mówić prawdę. W tej sytuacji pańska odmowa będzie uważana za akt wielkiej wrogości.

Pułkownik przemierzył wąski pokój tam i z powrotem, potem odwrócił się w miejscu i rzucił z furją:

- Pańska argumentacja Test cholernie logiczna! - Moje szczęście, że akurat logika mi sprzyja.

- Ma rację - wtrącił komputer przekładowy C31 - to znaczy z tą logiką.

- Zamknij się! - warknął Kettelman.

- Myślałem, że podkreślanie takich rzeczy należy do moich obowiązków - bronił się C31.

Pułkownik przestał spacerować i potarł czoło.

- Wynoś się, Detringer - powiedział znużonym głosem. - Przyślę ci paliwo.

- Nie pożałuje pan tego.

- Już tego żałuj. A teraz proszę, niech pan sobie idzie.

Detringer pospieszył do swojego statku i zakomunikował Ichorowi dobrą nowinę. Robot był zdziwiony.

- Nie sądziłem, że on to zrobi.

- On też nie sądził. Ale zdołałem go przekonać. - Opowiedział Ichorowi swoją rozmowę z pułkownikiem.

- To znaczy, że pan kłamał - rzekł ze smutkiem Ichor.

- Tak. Ale Kettelman wie, że kłamałem. - To dlaczego chce panu pomóc?

- Ze strachu, że jednak mógłbym mówić prawdę.

- Panie, kłamstwo jest zarówno grzechem, jak i przestępstwem.

- Ale skazać się na pozostanie tutaj byłoby czymś gorszym - odrzekł Detringer. - Byłaby to

niewybaczalna głupota.

- Nie jest to pogląd ortodoksyjny.

- Myślę, że możemy sobie darować dalsze dyskusje na temat ortodoksyjności. Mam robotę. A ty mógłbyś się przejść i skombinować mi coś do jedzenia.

Służący usłuchał w milczeniu i Detringer zasiadł z atlasem gwiazdnym, żeby opracować jakąś trasę na wypadek gdyby mógł się stąd ruszyć.

Wstał rano, pogodny i wspaniały. Ichor poszedł na ziemski statek pograć w szachy z robotem-pomywaczem, z którym zawarł znajomość poprzedniego dnia. Detringer czekał na paliwo.

Nie był tak bardzo zdziwiony, kiedy do południa żadne paliwo nie nadeszło. Ale poczuł się zawiedziony i przybity. Odczekał jeszcze dwie godziny i poszedł na "Jenny Lind".

Wszystko na to wskazywało, że jest tam oczekiwany, ponieważ z miejsca zaprowadzono go do messy oficerskiej. Kettelman siedział w głębokim fotelu. Po obu jego stronach stali uzbrojeni żołnierze piechoty morskiej. Pułkownik miał surową minę, ale jednocześnie na jego pobrużdżonym obliczu igrał złośliwy uśmiezek. Obok siedział kapitan Macmillan, którego przystojna twarz była nieprzenikniona.

- Słucham, Detringer - odezwał się pułkownik. - O co tym razem chodzi?

- Przyszedłem spytać o paliwo, które mi pan obiecał. Ale już teraz widzę, że pan nie zamierza dotrzymać słowa.

- Źle mnie pan zrozumiał. Uczciwie zamierzałem dać paliwo przedstawicielowi sił zbrojnych Ferlang. Ale osoba, którą widzę przed sobą, nikim takim nie jest.

- A kogo pan wobec tego widzi przed sobą? - zapytał Detringer.

Kettelman opanował nieprzyjemny uśmiezek

- Widzę przed sobą kryminalistę z wyroku sądu najwyższego jego własnego ludu. Przestępcę, którego czyny zostały uznane za nie mające precedensu w rocznikach nowoczesnego wymiaru

sprawiedliwości Ferlang. Osobnika, którego niewysłowione zachowanie zasłużyło na najwyższy wymiar kary znany jego ziomkom - wieczne wygnanie w głęboki kosmos. Oto jest właśnie ktoś, kogo przed sobą widzę. Czy może pan zaprzeczyć?

- Chwilowo ani nie zaprzeczam, ani nie potwierdzam. Chciałbym się najpierw dowiedzieć źródła pańskich szczególnych informacji.

Pułkownik Kettelman skinął w stronę jednego ze swoich żołnierzy. Żołnierz otworzył drzwi i wprowadził Ichora, w ślad za którym szedł robot-pomywacz.

Mechaniczny sługa wybuchnął:

- Panie, podałem pułkownikowi Kettelmanowi prawdziwy przebieg wydarzeń, które doprowadziły do pańskiego wygnania na tę planetę. Proszę o wyrażenie zgody na skorzystanie przeze mnie z przywileju, jakim jest prawo do samozniszczenia - a to wszystko w akcie częściowego chociaż zadośćuczynienia za moją nielojalność.

Detringer milczał, z wściekłością myśląc, co by tu zrobić. Kapitan Macmillan nachylił się do Ichora i zapytał: - Dlaczego zdradziłeś swego pana?

- Nie miałem wyboru, panie kapitanie! - wykrzyknęła nieszczęsna maszyna. - Zanim władze Ferlang wyraził zgodę na to, żebym towarzyszył mojemu panu, w określony sposób mnie zaprogramowały. Ich polecenia zostały wzmocnione skomplikowanymi układami.

- Co to za polecenia?

- Sprowadzają się one do narzucenia mi roli zwykłego policjanta i stróża więziennego. Zażądano ode mnie, żebym natychmiast podjął odpowiednie kroki, gdyby Detringer jakimś cudem znalazł sposób na uniknięcie słusznej kary.

- On mi to wszystko wygadał wczoraj, kapitanie - wybuchnął robot-pomywacz. - Błagałem go, żeby nie wykonywał tych rozkazów. Wyglądało mi to na kiepski show, panie kapitanie, jeśli pan wie, co mam na myśli.

- I rzeczywiście, jak długo mogłem, powstrzymywałem się przed wykonaniem tych rozkazów - rzekł Ichor ale w miarę jak szanse ucieczki mego pana stawały się coraz realniejsze, imperatyw, by jej zapobiec, przybierał we mnie na sile. Mogłoby mnie przed tym powstrzymać jedynie usunięcie pewnych obwodów.

Na to wtrącił się robot-pomywacz:

- Chciałem go zoperować, panie kapitanie, mimo że jedyne narzędzia, jakimi dysponuję, to łyżki, noże i widelce.

- I ja bym się chętnie poddał takiej operacji, ja nawet chciałem dokonać aktu samozniszczenia po to, żeby z mojego mimowolnego zdradzieckiego pudła dźwiękowego nie wyszło ani jedno słowo. Ale władze Ferlang przewidziały i to. Zastosowano wobec mnie przymus niedopuszczania do jakiegokolwiek grzebania w moim mechanizmie czy tym bardziej zniszczenia, dopóki nie wykonam poleceń. Mimo to wstrzymywałem się aż do dziś rana i kiedy wreszcie, na skutek tego konfliktu wewnętrznego, rozładowałem się prawie zupełnie, poszedłem do pułkownika Kettelmana i wszystko mu powiedziałem.

- I oto koniec tej żalösnej historii - Kettelman zwrócił się do kapitana.

- Niezupełnie koniec - powiedział łagodnie Macmillan. - Na czym dokładnie polegały pańskie zbrodnie, Detringer?

Detringer wyrecytował je pewnym głosem - poczynając od aktów szczególnego chamstwa poprzez świadome nieposłuszeństwo aż do ostatniego wykroczenia - jawnego gwałtu. Ichor skinął głową w pełnym rezygnacji potwierdzeniu.

- Wydaje mi się, że to wystarczy - oświadczył Kettelman. - Pozwolę sobie teraz ogłosić wyrok w tej sprawie.

- Chwileczkę, pułkowniku-przerwał mu kapitan Macmillan i zwrócił się do Detringera: - Czy służy pan obecnie albo czy może kiedykolwiek pan służył w siłach zbrojnych Ferlang?

- Nie - odparł Detringer i Ichor potwierdził prawdziwość tej informacji.
- A więc ten osobnik jest cywilem - rzekł kapitan Macmillan - i jako taki musi być sądzony raczej przez władze cywilne niż wojskowe.
- Ja nic o tym nie wiem - odezwał się Kettelman.
- Sprawa jest zupełnie jasna. Detringer jako cywil został osądzony przez sądy cywilne. A nasze narody nie są w stanie wojny ze sobą. Jego sprawa nie podlega więc jurysdykcji wojskowej.
- Ale ja mimo to uważam, że powinna być w moich kompetencjach. W niczym panu nie ujmując, kapitanie, lepiej się na tym znam...

- Ja sprawę rozstrzygnę - uciął Macmillan - chyba że zechce pan siłą przejąć dowództwo statku. Kettelman potrząsnął głową. - Nie zamierzam w ten sposób plamić swego honoru. Proszę, kapitanie, niech pan go sądzi.

Kapitan Macmillan zwrócił się do Detringera:

- Musi pan zrozumieć, że nie mogę kierować się w tej sprawie moimi osobistymi sympatiami. Pańskie władze pana skazały i uchylenie tego wyroku byłoby z mojej strony niewskazane, aroganckie i niepolityczne.

- Święta racja - wtrącił Kettelman.

- Dlatego utrzymuję w mocy wyrok wiecznego wygnania, ale będę go egzekwował znacznie surowiej niż dotychczas.

Pułkownik uśmiechnął się złośliwie. Ichor wydał odgłos rozpacz. Robot-pomywacz szepnął:

"Biedak!" Detringer stał niewzruszenie patrząc kapitanowi w oczy. Macmillan powiedział:

- Wyrokiem tego sądu więzień ma dalej przebywać na wygnaniu. Co więcej, sąd stwierdza, że pobyt więźnia na tej przyjemnej planecie jest przywilejem, którego udzielenie nie leżało w intencjach władz Ferlang. Dlatego, Detringer, musi pan niezwłocznie opuścić to miejsce i wrócić w całkowite odosobnienie przestrzeni kosmicznej.

- No, to go pan załatwił - skomentował pułkownik Kettelman. - Nie sądziłem jednak, kapitanie, że będzie pana na to stać.

- Cieszę się, że jest pan zadowolony- odparł kapitan. Dlatego proszę; żeby pan dopilnował wykonania wyroku.

- Z przyjemnością.

- Mam nadzieję - podjął Macmillan - że z pomocą swoich ludzi zdoła pan napełnić zbiorniki paliwa Detringera w ciągu jakichś dwóch godzin. Po zakończeniu tankowania więzień jest zobowiązany natychmiast opuścić planetę.

- Nie ma obawy, wyprawię go jeszcze przed nocą powiedział Kettelman, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. - Jak to tankowania?! Przecież to jest właśnie to, o co mu chodziło od samego początku.

- Sądu nie interesuje, o co chodzi skazanemu - orzekł kapitan Macmillan. -Życzenia skazańca nie mają tu nic do rzeczy.

- Człowieku, ale czy pan nie widzi, że pan go zwalnia? - zaperzył się Kettelman.

- Ja mu umożliwiam odejście, a to zupełnie co innego.

- Zobaczymy, co na to powiedzą tam na Ziemi - rzekł złowieszczo Kettelman. Detringer skłonił się, wyrażając w ten sposób poddanie się wyrokowi. A następnie z trudem zachowując powagę, opuścił ziemski statek.

Z zapadnięciem nocy wystartował. Towarzyszył mu wierny Ichor - tym wierniejszy teraz, że wolny od nakazów. Wkrótce znaleźli się w głębokiej przestrzeni kosmicznej i robot zapytał:

- Panie, a dokąd my lecimy?

- Na jakiś nowy wspaniały świat - odparł Detringer. - Czy może raczej na śmierć?

- Może. Ale ze zbiornikami pełnymi paliwa nie mam zamiaru się tym przejmować.

Milczeli przez chwilę, po czym odezwał się Ichor:

- Mam nadzieję, że kapitan Macmillan nie będzie miał z tego powodu kłopotów.

- Wygląda na faceta, który wie, co robi - odrzekł Detringer.

Na Ziemi czyn kapitana Macmillana był przedmiotem licznych kontrowersji. Zanim jednak zdołano podjąć jakąś oficjalną decyzję, doszło do drugiego, tym razem oficjalnego, spotkania pomiędzy Ferlang i Ziemią. Sprawa Detringera w sposób oczywisty wyszła na szersze forum i została uznana za zbyt skomplikowaną, żeby ją można było szybko rozstrzygnąć. Przekazano ją więc ciału prawnemu składającemu się z przedstawicieli obu cywilizacji.

Ten przypadek dostarczył pełnoetatowego zajęcia pięciuset sześciu prawnikom z Ziemi i z Ferlang. Jeszcze wiele lat później trwały spory na ten temat, ale do tego czasu Detringer znalazł już cichą przystań i przyzwoitą pozycję wśród ludów Oumenke na rubieżach galaktyki.

przekład : Zofia Uhrynowska - Hanasz

Specjalista

Burza fotonowa uderzyła bez uprzedzenia spoza ławicy ogromnych czerwonych gwiazd. W ostatniej chwili, nim pochwyciła ich w swoje szpony, Oko zdążyło jeszcze nadać przez Gadacza sygnał ostrzegawczy.

Była to trzecia podróż Gadacza w dalekie rejony przestrzeni kosmicznej i pierwsza burza świetlna, jaką przeżył. Poczł więc skurcz strachu, kiedy Statek na skutek czołowego zderzenia z falą zbczył nagle z kursu i doznał gwałtownego przechyłu. Strach jednak szybko minął i pozostał tylko przyspieszony z podniecenia puls.

Ale właściwie dlaczego miałby się bać? - zadawał sobie pytanie. - Czyż nie przeszedł specjalnego przeszkolenia na wypadek takiego niebezpieczeństwa?

Mówił coś właśnie do Zasilacza, kiedy wybuchł sztorm, więc przerwał natychmiast rozmowę.

Miał nadzieję, że smarkaczowi nic się nie stało. Była to jego pierwsza podróż w dalsze rejony Kosmosu.

Podobne do drutów włókna, z których zbudowane było ciało Gadacza, przenikały cały Statek.

Błyskawicznie wciągnął wszystkie przewody, poza tymi, które łączyły go z Okiem, Silnikiem i ścianami. Teraz wszystko zależało od nich. Reszta Załogi sama musi sobie radzić aż do końca sztormu.

Oko przywarło całym tarczowatym ciałem do Ściany i wypuściło jeden ze swoich organów wzroku poza Statek. Dla większej koncentracji reszta czulek widzących spoczywała bezwładnie wzdłuż ciała.

Poprzez ten organ Oka Gadacz obserwował sztorm. Czysto wizualny obraz przekładał następnie na kierunek Silnikowi, który manewrował Statkiem. Mniej więcej w tym samym czasie Gadacz tłumaczył kierunek na szybkość dla Ścian, które sztywniały przed każdym uderzeniem fali.

Koordinacja była sprawna i pewna: Oko mierzyło fale świetlne, Gadacz przekazywał polecenia Silnikowi i Ścianom, Silnik prowadził Statek dziobem na fale, Ściany parowały ich uderzenia.

W ferworze działania zespołowego Gadacz zapomniał o swoim strachu. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Stanowił system łączności Statku, musiał więc tłumaczyć i przekazywać polecenia z największą szybkością, koordynując informacje i kierując całą akcją.

W ciągu kilku minut było już po burzy.

- W porządku! - powiedział Gadacz. - A teraz sprawdzimy, jakie ponieśliśmy straty. - W czasie sztormu wszystkie jego przewody zastały poplątane, ale zdążył je już rozsupłać i przeniknąć nimi cały Statek, sprawdzając pilnie, czy obwód jest zamknięty. - Silnik?

- W porządku - odparł Silnik. Potężny starzec wysunął w czasie burzy grafitowe pręty osłabiając w ten sposób wybuchy atomowe w swoim brzuchu. Żaden sztorm nie byłby w stanie zaskoczyć takiego weterana przestrzeni kosmicznej jak on.

- Ściany?

Ściany zdawały sprawę ze swego stanu jedna po drugiej, co trwało dość długo. Było ich bez

mała tysiąc - cienkie prostokątne płytki, które tworzyły skórę Statku. Oczywiście w czasie sztormu Ściany usztywniły krawędzie, zwiększając sprężystość Statku, ale mimo to jedna czy dwie zostały poważnie wgniecione.

Doktor oznajmił, że czuje się świetnie. Usunął sobie z głowy przewód Gadacza, wyłączając się tym samym z obwodu i przystąpił do naprawy Ścian. Zbudowany z samych niemal rąk, Doktor na czas burzy przywarł do Akumulatora.

- Zwiększmy trochę szybkość! - zarządził Gadacz, uświadamiając sobie, że przecież należy ustalić, gdzie się znajdują. Połączył się z czterema Akumulatorami.

- Co z wami? - zapytał.

Ale nie było żadnej odpowiedzi. Akumulatory spały w najlepsze. W czasie burzy ich receptory były otwarte i Akumulatory leżały teraz naładowane energią. Gadarz "obwąchał" je dookoła swoimi przewodami, ale Akumulatory ani drgnęły.

- Daj, ja spróbuję! - powiedział Zasilacz. Oberwało mu się porządnie, zanim zdołał przyczepić się do Ściany swoimi ssawkami, ale nie nauczyło go to skromności. Był on jedynym członkiem Załogi, który nigdy nie wymagał pomocy Doktora; jego ciało regenerowało się samo.

Śmignął na swoich kilkunastu mackach i kopnął najbliższy Akumulator. Wielki stożkowaty zasobnik otworzył jedno oko, po czym zaraz je zamknął. Zasilacz znów go kopnął, tym razem bez żadnego skutku. Sięgnął do zaworu bezpieczeństwa i upuścił trochę energii.

- Uspokój się! - wrzasnął Akumulator.

- No to się wreszcie obudź i odpowiedz, jak cię pytają burknął Gadacz.

Akumulatory odpowiedziały, wyraźnie rozdrażnione, że nic im się nie stało i że każdy idiota chyba to widzi. W czasie burzy były przyczepione do podłogi.

Dalej inspekcja poszła już sprawnie. Mózg był w świetnej kondycji, a Oko popadło dosłownie w ekstazę z zachwyty nad pięknem sztormu. Ponieśli tylko jedną poważną stratę: Popychacz był

martwy. Jako stworzenie dwunożne nie miał stabilności innych członków Załogi. Burza zaskoczyła go na środku Statku. Rzuciło go o zeszywniałą ścianę, na skutek czego Popychacz złamał sobie kilka spośród ważnych kości. Jego reperacja przekraczała możliwości Doktora.

Zapadło milczenie. Śmierć jednego z nich była poważnym problemem. Statek stanowił zespół oparty na współdziałaniu poszczególnych elementów - członków Utrata choćby jednego była ciosem dla reszty.

Tym razem sprawa wyglądała szczególnie poważnie. Dostarczyli właśnie ładunek do portu odległego o kilka tysięcy lat świetlnych od Centrum Galaktycznego. Trudno powiedzieć, gdzie się w tej chwili mogli znajdować.

Oko przywarło do Ściany i wysunęło na zewnątrz swój organ wzroku. Ściany zamknęły się wokół niego szczelnie. Czulek Oka wystawał tak daleko, że mogło ono ogarnąć wzrokiem całą sferę gwiazd. Obraz za pośrednictwem Gadacza wędrował do Mózgu.

Mózg - wielka, bezkształtna masa protoplazmy - leżał w rogu Statku. Mieściły się w nim doświadczenia wszystkich jego uprawiających podróże kosmiczne przodków. Zastanowił się nad odebrany obrazem, porównał go szybko z podobnymi sytuacjami zarejestrowanymi i zmagazynowanymi w jego komórkach i powiedział:

- W zasięgu wzroku nie ma żadnej planety należącej do Związku Galaktycznego.

Tego właśnie obawiali się najbardziej. Gadacz natychmiast przekazał tę informację wszystkim pozostałym członkom Załogi.

Oko, z pomocą Mózgu, obliczyło, że zboczyli o jakieś kilkaset lat świetlnych z kursu i znajdują się obecnie na peryferiach galaktyki.

Wszyscy członkowie Załogi wiedzieli doskonale, co to znaczy: bez Popychacza nigdy nie przekroczą szybkości światła, a tym samym nigdy nie wrócą do domu. Podróż powrotna bez Popychacza trwałaby dłużej niż życie większości z nich.

- Co radzisz? - Gadacz zapytał Mózgu.

Ale bardzo precyzyjnemu Mózgowi wydało się to zbyt mgliste. Poprosił o dokładniejsze sformułowanie pytania.

- Co twoim zdaniem powinniśmy robić - powtórzył Gadacz - aby powrócić do Związku Galaktycznego?

Rozważenie wszystkich możliwości i porównanie z doświadczeniami zmagazynowanymi we własnych komórkach zajęło Mózgowi kilka minut. Tymczasem Doktor zdążył już naprawić Ściany i domagał się czegoś do zjedzenia.

- Za chwilę wszyscy będziemy jedli - odparł Gadacz, nerwowo poruszając wąsami. Chociaż był zaraz po Zasilaczu najmłodszy spośród członków Załogi, odpowiedzialność w dużej mierze spoczywała na nim. A przecież w dalszym ciągu znajdowali się w niebezpieczeństwie - trzeba było koordynować informacje i kierować akcją.

Jedna ze Ścian oświadczyła, że w tej sytuacji nie pozostaje im nic innego, jak się upić. Ale ten bezsensowny projekt upadł natychmiast. Było to bardzo typowe dla Ścian, dobrych w gruncie rzeczy pracowników i towarzyszy, ale strasznych przy tym lekkoduchów. Jak wrócą na swoje rodzinne planety, z pewnością raz dwa przepiją cały zarobek.

- Utrata Popychacza uniemożliwia Statkowi uzyskanie szybkości nadświatlnej - zaczął Mózg bez żadnych wstępów. - A do najbliższej planety galaktycznej mamy czterysta pięć lat świetlnych.

Wiadomość ta przebiegła wszystkie włókna ciała Gadacza. - Możemy przyjąć dwa warianty.

Pierwszy: Statek będzie kontynuował lot do najbliższej planety Związku korzystając z napędu atomowego Silnika. Trwałoby to jakieś dwieście lat i nikt poza Silnikiem prawdopodobnie by tego nie przeżył. Druga możliwość to zlokalizować w tym rejonie jakąś prymitywną planetę, na której istnieją Popychacze. Trzeba by jednego z nich przeszkolić. A po przeszkoleniu pchnąłby Statek z powrotem w obręb Związku Galaktycznego.

Mózg zamilkł. Wyczerpał wszystkie możliwości zgromadzone w pamięci jego przodków.

Odbyło się szybkie głosowanie, w wyniku którego przyjęto drugi wariant. Właściwie nie było wyboru. Tylko to wyjście dawało jakąkolwiek nadzieję na powrót do domu.

- W porządku - powiedział Gadacz - a teraz coś zjemy. Myślę, że wszyscyśmy na to zasłużyli.

Ciało nieżyjącego Popychacza wrzucono do paszczy Silnikowi, który pożarł je natychmiast przetwarzając atomy na energię. Silnik był jedynym członkiem Załogi, który żywił się energią atomową.

Chcąc nakarmić resztę, Zasilacz przysunął się do najbliższego Akumulatora, żeby się naładować, po czym wewnątrz swego ciała przetworzył energię na różne substancje, którymi żywili się poszczególni członkowie Załogi.

Oko żyło wyłącznie łańcuchem chlorofilowym; Gadacz żywił się węglowodorami, Ściany związkami chloru. Dla Doktora Zasilacz przygotował krzemianowe owoce, takie, jakie rosły na jego rodzinnej planecie.

Wreszcie wszyscy się posilili i Statek był gotów do drogi. Akumulatory, stłoczone w rogu, znów zapadły w błogą drzemkę. Oko rozszerzyło zakres wizji do maksimum, nastawiając swój główny organ wzroku na najlepszy odbiór. Nawet w tej niepewnej sytuacji nie mogło się powstrzymać od układania wierszy. Oznajmiło właśnie, że pracuje nad nowym poematem epickim "Zorza kosmiczna". Ponieważ nikt nie chciał go słuchać, powierzyło swoje dzieło Mózgowi, który rejestrował wszystko bez wyboru: dobre i złe, ładne i brzydkie.

Silnik nie spał nigdy. Obżarty ciałem Popychacza, rozwijał szybkość kilkakrotnie przewyższającą prędkość światła. Ściany spierały się między sobą, która w czasie ostatniego urlopu była bardziej pijana.

Gadacz postanowił się odprężyć. Oderwał się od Ścian i jego małe, okrągłe ciało unosiło się w powietrzu, zawieszane na siatce krzyżujących się przewodów.

Myślał o Popychaczu. Dziwne! Popychacz miał dokoła samych przyjaciół, a tak szybko go zapomnieli. Ale to nie była obojętność, po prostu Statek stanowił zespół. Oczywiście śmierć każdego z członków Załogi była wielką stratą, ale zespół musiał funkcjonować dalej, i to był jego główny cel, którego nie mógł tracić z oczu.

Statek mknął pośród słońc kresów galaktyki. .

Mózg przedstawił trasę poszukiwań w formie spirali, oceniając szansę znalezienia planety Popychaczy jako z grubsza biorąc cztery do jednego. W ciągu tygodnia znaleźli planetę prymitywnych Ścian. Obniżając lot mogli dostrzec skórzastych, prostokątnych osobników, pływających się w słońcu, pełzających po skałach lub spłaszczonych na papierek i bujających na wietrze.

Ściany Statku westchnęły tęsknie. Widok ten przywiódł im na myśl dom rodzinny. Napotkani ziomkowie nie zetknąwszy się nigdy jeszcze z zespołem galaktycznym byli nieświadomi swego prawdziwego powołania i swojej roli w wielkiej rodzinie kosmicznej.

Spiralna trasa ich poszukiwań wiodła poprzez wiele światów wymarłych lub zbyt młodych, by mogło na nich powstać życie. Znaleźli planetę Gadaczy. Pajęcza sieć ich przewodów przenikała pół kontynentu.

Gadacz chłonał ich widok za pośrednictwem Oka. Rozczulił się nad sobą. Przypomniały mu się rodzinne strony, jego bliscy przyjaciele. Pomyślał o drzewie, które zamierzał sobie kupić po powrocie do domu. Przez moment zastanawiał się, co on tu właściwie robi gdzieś na krańcach galaktyki?

Otrząsnął się jednak szybko z tego nastroju. Muszą przecież w końcu znaleźć planetę

Popychaczy, jeśli tylko będą odpowiednio długo szukali. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Mknąc przez niezbadane peryferie galaktyki i mijając rozległe wypalone światy, natknęli się na planetę pierwotnych Silników, pływających w radioaktywnym oceanie.

- To bogate tereny - rzekł Zasilacz do Gadacza. - Galaktyka powinna przysłać tutaj Ekipę Kontaktową.

- Prawdopodobnie wyślą po naszym powrocie - odparł Gadacz.

Gadacz i Zasilacz byli ze sobą blisko związani. Ich przyjaźń wykraczała daleko poza więzy łączące całą Załogę. Nie tylko dlatego, że byli jej najmłodszymi członkami, chociaż miało to oczywiście duże znaczenie. Przede wszystkim jednak pełnili na Statku podobne funkcje i to zadecydowało o ich wzajemnym stosunku. Gadacz tłumaczył wszelkie informacje na różne języki; Zasilacz przetwarzał energię na różne rodzaje pokarmu. A poza tym byli trochę do siebie podobni. Gadacz składał się z głównego rdzenia i promieniście rozchodzących się przewodów; Zasilacz z rdzenia i promieniście rozchodzących się macek.

Gadacz uważał Zasilacza za drugiego po sobie na Statku, jeśli chodzi o stopień świadomości.

Nie mógł nigdy zrozumieć, jak przebiegają procesy myślowe u innych.

Coraz więcej słońc, coraz więcej planet! Silnik zaczął się przegrzewać. Zwykle używali go tylko do startu, lądowania i precyzyjnego manewrowania Statkiem pośród gęściejszych skupisk planet. Teraz pracował bez przerwy całymi tygodniami i wyczerpanie zaczynało się na nim wyraźnie odbijać.

Zasilacz, pospołu z Doktorem, sprokurowali mu system chłodzący. Był on bardzo prymitywny, ale cóż - musiał wystarczyć. Zasilacz przegrupował atomy azotu, tlenu i wodoru, aby dostarczyć substancji ochładzającej. Doktor zalecił Silnikowi długotrwały odpoczynek. Oświadczył, że bohaterski staruszek nie pociągnie w tej sytuacji dłużej jak tydzień.

W miarę przedłużania się poszukiwań duch wśród Załogi upadał. Stwierdzili, że w przeciwieństwie do płodnych Ścian i Silników Popychacze należą w galaktyce do rzadkości. Ściany porysowane od pyłu międzygwiazdowego, narzekały bez przerwy, że zaraz po powrocie będą się musiały poddać gruntownym zabiegom kosmetycznym. Gadacz zapewnił je, że

Towarzystwo pokryje związane z tym koszty.

Nawet Oko całe było przekrwione od ciągłego wpatrywania się w przestrzeń.

Znów obniżyli się przelatując nad jakąś planetą. Podali jej charakterystykę Mózgowi, który ją przemyślał.

Zeszli jeszcze niżej i już mogli rozróżnić poszczególne kształty.

Popychacze! Prymitywne Popychacze!

Śmignęli z powrotem w górę, żeby się przygotować. Z tej uroczystej okazji Zasilacz przyrządził dwadzieścia trzy rodzaje różnych trunków.

Przez trzy dni Statek był pijany.

- Gotowi? - spytał wreszcie Gadacz, z lekka skołowany. Miał kaca, którego czuł w koniuszkach wszystkich przewodów. Nieźle sobie dogodził. Pamiętał mgliście, jak obejmując Silnik proponował mu, żeby po powrocie dzielił z nim jego nowe drzewo.

Wzdrygnął się teraz na samą myśl o tym.

Reszta Załogi też się ledwie trzymała na nogach. Ściany przepuszczały wzdłuż wszystkich krawędzi, zbyt zawiane na to, żeby je porządnie uszczelnić. Doktor leżał nieprzytomny.

Ale najgorzej było z Zasilaczem. Jego organizm mógł się adaptować do każdego rodzaju paliwa, poza atomowym, i Zasilacz próbował wszystkich przyrządzanych przez siebie trunków - czy był to niezrównoważony jod, czysty tlen czy supernaładowany ester. Znajdował się w opłakanym stanie. Jego macki, o tak zwykle zdrowej wodnistej barwie, całe były w pomarańczowe żyłki. Zasilacz w straszliwej męce pozbywał się teraz tego wszystkiego.

Jedynymi trzeźwymi na Statku byli Mózg i Silnik. Mózg nie pił - rzecz niezwykła jak na weterana podróży kosmicznych, chociaż typowa dla niego - Silnik oczywiście nie mógł pić.

Słuchali właśnie Mózgu, który na podstawie podanego przez Oko opisu powierzchni planety informował ich o różnych rewelacjach. Odkrył mianowicie obecność jakiejś metalowej konstrukcji

i wystąpił z przerażającą koncepcją, że Popychacze stworzyły na tej planecie cywilizację mechaniczną.

- To niemożliwe - orzekły stanowczo trzy Ściany i większość Załogi była skłonna się z nimi zgodzić. Jedyne metal, z jakim się kiedykolwiek zetknęli, spoczywał głęboko w ziemi albo poniewierał się w postaci pordzewiałego złomu.

- Chcesz powiedzieć, że oni produkują różne rzeczy z metalu? - zapytał Gadacz. - Ze zwykłego martwego metalu? A co by z tego mogli zrobić?

- Nic - odparł Zasilacz kategorycznie. - Wszystko by się ciągle łamało. Bo metal n i e w i e, jakie są granice jego wytrzymałości.

Ale wszystko wskazywało na to, że Mózg ma rację. Oko powiększyło obraz i mogli teraz zobaczyć obszerne schronienia, pojazdy i inne przedmioty z nie ożywianego materiału, zbudowane przez Popychaczy.

Nie bardzo to wszystko rozumieli, w każdym razie nie był to dobry znak. Ale i tak najgorsze mieli za sobą. Znaleźli wreszcie planetę Popychaczy. Pozostało im jeszcze tylko namówić jednego z mieszkańców planety, by do nich przystał. Ta sprawa jednak nie powinna nastroić trudności. Gadacz wiedział, że współdziałanie jest naczelną zasadą obowiązującą w całej galaktyce, nawet wśród ludów pierwotnych.

Zdecydowali się nie lądować w rejonie gęsto zaludnionym. Oczywiście nie było powodu spodziewać się nieprzyjaznego przyjęcia, ale nawiązanie kontaktu z Popychaczami jak gatunkiem należało do Ekipy Kontaktowej. A im zależało na jednym osobniku.

Wybrali więc teren możliwie odludny i wylądowali dopiero, gdy po tej stronie planety zapadły ciemności.

Niemal natychmiast dostrzegli samotnego Popychacza. Oko zaadaptowało się do ciemności i obserwowali wszystkie jego ruchy. Po chwili Popychacz położył się przy niewielkim ognisku.

Mózg wyjaśnił im, że jest to typowy dla tych stworzeń sposób odpoczywania.

Tuż przed świtem Ściany się rozstały i ze Statku wyszli Zasilacz, Gadacz i Doktor. Zasilacz ruszył pierwszy i klepnął Popychacza po ramieniu. Gadacz wysunął mackę, aby nawiązać z nim kontakt. Popychacz otworzył swoje narządy wzroku, mrugnął nimi, następnie poruszył otworem gębowym, wreszcie zerwał się na nogi i zaczął uciekać.

Trzej przedstawiciele Załogi byli zdumieni. Popychacz nie zainteresował się nawet, czego od niego chcą.

Gadacz sięgnął gwałtownie jednym ze swoich przewodów i złapał Popychacza z odległości jakichś pięćdziesięciu stóp za jedną nogę. Popychacz upadł.

- Obchodź się z nim ostrożnie! - zawołał Zasilacz. Mógł się nas przestraszyć. Jego czułki zafalowały na samą myśl o tym, że Popychacz, ze swoimi wielokrotnymi organami, jedno z najdziwniejszych zjawisk w całej galaktyce, mógłby się kogokolwiek przestraszyć.

Zasilacz i Doktor pospieszyli do leżącego, podnieśli go i zaprowadzili do Statku. Ściany rozstały się, a następnie zamknęły za nimi szczelnie. Puścili Popychacza i przygotowali się do rozmowy. Uwolniony, skoczył natychmiast do miejsca, w którym zamknęły się Ściany. Zaczął walić w nie rozpaczliwie, a jego rozchyłony otwór gębowy wibrował.

- Uspokój się! - wykrzyknęła Ściana. Wydęła się przewracając Popychacza na ziemię. Poderwał się natychmiast i zaczął biec przed siebie.

- Zatrzymajcie go! - zawołał Gadacz. - Może sobie zrobić krzywdę.

Jeden z Akumulatorów zdołał się rozbudzić na tyle, że zabiegł mu drogę. Popychacz przewrócił się, ale zaraz się podniósł i pobiegł dalej. Przewody Gadacza sięgały aż na dziób Statku; jednym z nich złapał wpół Popychacza. Popychacz zaczął szarpać go za czułki i Gadacz ustąpił natychmiast.

- Podłącz go do sieci! - wykrzyknął Zasilacz. - Może jakoś się z nim dogadamy.

Gadacz zbliżył jeden ze swoich przewodów do głowy Popychacza, kołysząc nim i w ten ogólnie

przyjęty sposób sygnalizując chęć porozumienia. Ale Popychacz w dalszym ciągu zachowywał się dziko; odskoczył jak oparzony wymachując zapamiętałe trzymanym w ręku kawałkiem metalu.

- Jak myślisz, co on zamierza z tym zrobić? - zapytał Zasilacz. Popychacz zaatakował jedną ze Ścian, waląc w nią bez opamiętania. Ściana zeszywniała instynktownie i metal trzasnął.

- Zostawmy go - powiedział Gadacz. - Niech się uspokoi.

Gadacz odbył naradę z Mózgiem, ale nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Na włączenie w układ łączności na pewno się nie zgodzi. Ilekroć Gadacz zbliżał do niego któryś ze swoich przewodów, Popychacz zdradzał objawy dzikiej paniki. Znaleźli się chwilowo w impasie.

Mózg odrzucił propozycję złapania innego Popychacza. Uważał zachowanie tego osobnika za typowe, a tym samym wszelkie dalsze próby za bezcelowe. Nawiązaniem kontaktu z całą planetą powinna się zresztą zająć Ekipa Kontaktowa. Jeżeli nie zdołają się porozumieć z tym Popychaczem, nie porozumieją się z żadnym innym z tej planety.

- Wydaje mi się, że wiem, na czym polega kłopot powiedziało Oko i wpełzło na jeden z Akumulatorów. - Te Popychacze stworzyły tu cywilizację mechaniczną. Ale zastanówmy się, jak do tego doszły. Najpierw zaczęły używać palców, tak jak Doktor, do obróbki metalu. Potem, tak jak ja, zaczęły wykorzystywać swoje organy wzroku. I prawdopodobnie wiele innych narządów. - Oko zawiesiło głos dla uzyskania większego efektu. - Te Popychacze stały się z czasem niewyspecjalizowane.

Przez kilka godzin trwały na ten temat spory. Ściany utrzymywały, że żadna inteligentna istota nie może być niewyspecjalizowana. To się po prostu w galaktyce nie zdarzało. Ale z drugiej strony mieli najlepszy dowód w postaci miast i pojazdów zbudowanych przez Popychacze, nie mówiąc już o osobniku, którego gościli na pokładzie Statku, niewątpliwie zdolnym do mnóstwa rzeczy. Potrafił właściwie robić wszystko poza popychaniem.

Wyjaśnienie Mózgu było połowiczne.

- To nie jest planeta prymitywna. Jest ona stosunkowo stara i od tysięcy lat powinna być włączona w ogólny system współdziałania. Ponieważ jednak nie była, zamieszkujące ją Popychacze wynaturzyły się. Ich wrodzona zdolność, ich specjalność polegała na popychaniu, ale po prostu nie miały co popychać. W konsekwencji rozwinęły kulturę nienormalną dla swego gatunku.

- Na czym dokładnie polega ta kultura, możemy tylko zgadywać. Z tego jednak, cośmy zobaczyli, należy wnosić, że Popychacze są niewspółdziałalne.

Mózg miał zwyczaj wygłaszania najbardziej szokujących opinii z niewzruszonym spokojem.

- Bardzo możliwe - ciągnął nieubłaganie - że te Popychacze nie zechcą mieć z nami nic wspólnego. W tym wypadku nasza szansa znalezienia następnej planety Popychaczy jest w przybliżeniu jak jeden do dwustu osiemdziesięciu trzech.

- Ale przecież nie możemy mieć pewności, czy nie będzie współdziałał, dopóki go nie podłączymy do sieci. - Gadacz nie był w stanie zrozumieć, jak istota inteligentna może odmówić współdziałania.

- Ale w jaki sposób? - spytał Zasilacz. Błyskawicznie podjęli decyzję. Doktor podszedł wolno do Popychacza, który cofnął się przed nim gwałtownie. Tymczasem Gadacz wystawił jeden ze swoich przewodów na zewnątrz i jak pętlą objął nim Popychacza od tyłu. Popychacz przywarł do Ściany, a wtedy Gadacz wprowadził mu przewód do gniazdka w mózgu.

Popychacz zemdlął.

Kiedy odzyskał przytomność, Zasilacz i Doktor musieli trzymać go za wszystkie odnóża, żeby nie wyrwał przewodu. Gadacz wysilił całą swoją inteligencję, żeby opanować jego język. Nie było to zresztą specjalnie trudne. Wszystkie języki Popychaczy należały do tej samej rodziny, a ten nie stanowił wyjątku. Gadacz szybko na podstawie kilku złapanych myśli Popychacza opracował schemat porozumienia. Ale Popychacz milczał.

- Trzeba go chyba nakarmić - odezwał się Zasilacz. Uświadomili sobie, że minęły już dwa dni, odkąd go przyprowadzili na Statek. Zasilacz przygotował więc porcję standardowego pożywienia Popychaczy i podsunął mu.

- O rany, stek! - wykrzyknął Popychacz.

Przewody Gadacza rozbrzmiały radością całej Załogi. Nareszcie się odezwał!

Gadacz zbadał jego słowa i przeszukał archiwum swojej pamięci. Wiedział o około dwustu językach Popychaczy i o wielu prostych narzeczach. Stwierdził, że ich Popychacz posługuje się mieszaniną dwóch języków.

Tymczasem Popychacz najadł się i rozejrzał dokoła. Gadacz pochwycił jego myśli i przekazał je Załodze. Ich gość miał dziwny sposób patrzenia na Statek. Widział go jako orgię barw. Ściany falowały; przed nim znajdowało się coś w rodzaju ogromnego zielono-czarnego pająka, którego pajęczyna oplatała cały Statek przenikając do głów wszystkich członków Załogi. Oko wydało mu się dziwnym nagim stworzonkiem, czymś pomiędzy odartym ze skóry królikiem a żółtkiem jajka.

Gadacz był zafascynowany nowymi perspektywami, jakie otwierał przed nim umysł Popychacza. Nigdy dotąd nie patrzył na swoje otoczenie w taki sposób. Ale teraz, kiedy Popychacz zwrócił mu na to uwagę, musiał przyznać, że Oko j e s t ładnym, miłym stworzonkiem.

Wreszcie nawiązali łączność.

- Kim wy do diabła jesteście? - zapytał Popychacz znacznie już spokojniejszy niż w ciągu ubiegłych dwóch dni. - Dlaczegoście mnie porwali? Czy ja zwariowałem?

- Nie - odparł Gadacz. - Nie cierpisz na żadną psychiczną chorobę. Jesteśmy galaktycznym statkiem handlowym. Burza zniosła nas z kursu i straciliśmy naszego Popychacza.

- Dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

- Chcielibyśmy, żebyś się przyłączył do naszej Załogi i zastąpił go.

Po tym wyjaśnieniu Popychacz zastanowił się. Gadacz wyczuwał zamęt w jego myślach.

Popychacz nie był pewny, czy to rzeczywistość, czy jakieś przywidzenie. Na koniec zdecydował, że jednak jest przy zdrowych zmysłach.

- Posłuchajcie, chłopcy - powiedział - nie mam pojęcia, kim jesteście i czy to wszystko ma w ogóle jakiś sens. W każdym razie muszę się stąd wydostać. Jestem na urlopie i jeżeli nie wrócę na czas, armia Stanów Zjednoczonych może się niepokoić.

Gadacz poprosił Popychacza o dodatkowe informacje na temat "armii" i przekazał je Mózgowi.

- Te Popychacze stale walczą między sobą - brzmiała konkluzja Mózgu.

- Ale dlaczego? - zapytał Gadacz. Ze smutkiem musiał sam przed sobą przyznać, że Mózg może mieć rację. Popychacz rzeczywiście nie był skory do współdziałania.

- Chętnie bym wam pomógł w tej sytuacji, chłopcy rzekł Popychacz - ale nie wiem, skąd wam przyszło do głowy, że potrafiłbym popchnąć coś tak ogromnego jak ten Statek. Trzeba by całego dywizjonu czołgów, żeby go ruszyć z miejsca.

- No i wy popieracie te wojny? - zapytał Gadacz, za podszeptem Mózgu.

- Nikt nie lubi wojen, a już najmniej ci, co muszą na nich ginąć.

- No to po co je prowadzicie?

Popychacz zrobił swoim otworem gębowym ruch, który Oko pochwyciło i przekazało Mózgowi.

- Żeby zabić albo zostać zabitym. Wiecie chyba, chłopcy, co to jest wojna, prawda?

- My nie prowadzimy żadnych wojen - odparł Gadacz.

- Szczęściarze - rzekł z goryczą Popychacz. - My owszem, i to dużo.

- Na pewno chciałbyś z tym skończyć - zapytał Gadacz, któremu Mózg zdążył już wszystko wyjaśnić.

- Oczywiście że chciałbym.

- To przyłącz się do nas. Zostań naszym Popychaczem. Popychacz wstał i podszedł do Akumulatora. Usiadł na nim i poskładał swoje górne kończyny.

- A w jaki sposób, do diabła, ja mógłbym skończyć ze wszystkimi wojnami? - zapytał. - Nawet gdybym poszedł do wielkich szyszek i powiedział...

- Nie będziesz musiał - przerwał mu Gadacz. - Zabierz się tylko z nami. Popchnij nas do naszej bazy. Galaktyka wyśle na waszą planetę Ekipę Kontaktową i to na pewno położy kres waszym wojnom.

- Dziwne rzeczy mówicie - odparł Popychacz.

I twierdzicie, chłopcy, żeście tu zabłądzili, co? Nieźle! Nie ma obawy. Żadne potwory nie opanują Ziemi.

Zdumiony Gadacz usiłował zrozumieć tok jego rozumowania. Czyżby powiedział coś niewłaściwego? Czy to możliwe, żeby Popychacz go nie zrozumiał?

- Myślałem, że chciałeś skończyć z wojnami - rzekł Gadacz.

- Owszem, chciałbym. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek nam to narzucał. Nie jestem zdrajcą. I w tym wypadku będę walczył.

- Ale nikt wam tego nie narzuci. Skończycie z wojnami, bo po prostu nie będzie potrzeby się bić.

- A czy wy wiecie, dlaczego my walczymy?

- To jest oczywiste.

- Tak? Ciekawe, jak to rozumiecie.

- Wy, Popychacze, wypadłyście z głównego nurtu życia galaktyki - wyjaśnił Gadacz. - Waszą specjalnością jest pchanie, a tu nie macie co pchać. A tym samym nie macie pracy. Zajmujecie się więc różnymi rzeczami, takimi jak metale czy inne przedmioty nieożywione, ale nie macie z tego właściwie żadnej satysfakcji. Nie znajdując ujścia dla waszego prawdziwego powołania, odczuwacie stały niepokój, który z kolei prowadzi do ustawicznych wojen.

Jak tylko znajdziecie swoje miejsce w powszechnym galaktycznym współdziałaniu - a zapewniam cię, że jest to miejsce ważne - wasze wojny wstaną. Po co robić rzeczy sprzeczne z

naturą, skoro moglibyście zająć się popychaniem? Znikłaby wtedy wasza mechaniczna cywilizacja wraz z jej potrzebą.

Popychacz potrząsnął głową. Gadacz domyślił się, że niewiele z tego wszystkiego zrozumiał.

- A na czym polega popychanie?

Gadacz wytłumaczył mu najlepiej, jak potrafił. Ponieważ jednak czynność ta nie wchodziła w zakres jego kompetencji, miał jedynie ogólne pojęcie o tym, co należy do Popychacza.

- Chcesz powiedzieć, że to jest to, co powinien robić każdy Ziemianin?

- Oczywiście - odparł Gadacz. - To jest wasza wielka specjalność.

Popychacz zastanawiał się nad tym przez kilka minut.

- Wydaje mi się, że wy potrzebujecie fizyka albo telepatyka czy kogoś w tym rodzaju. A ja się do niczego takiego nie nadaję. Ja jestem świeżo upieczonym architektem. No i poza tym... cóż... to trudno wyjaśnić.

Ale Gadacz już zrozumiał przyczynę wahań Popychacza. Dostrzegł w jego myślach samice. Nie jedną - dwie, nawet trzy. No i uczucie obcości, osamotnienia. Popychacz pełen był wątpliwości. Bał się.

- Kiedy wrócimy do galaktyki - powiedział w nadziei, że o to właśnie chodzi - spotkasz się z innymi Popychaczami. Będą wśród nich i samice. Wy, Popychacze, jesteście do siebie bardzo podobni, będziecie się mogli zaprzyjaźnić. A jeśli chodzi o uczucie osamotnienia na Statku, to możesz się nie obawiać. Po prostu nie rozumiesz jeszcze istoty współdziałania. We współdziałaniu nikt nie jest osamotniony.

Popychacz w dalszym ciągu rozważał możliwość zetknięcia się ze swoimi pobratymcami.

Gadacz nie mógł pojąć, dlaczego tak go to dziwi. Cała galaktyka była przecież zaludniona Popychaczami, Gadaczami, Zasilaczami i wielu innymi gatunkami.

- Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek byłby w stanie położyć kres wojnom - odezwał się

Popychacz. - Skąd mogę wiedzieć, czy nie kłamiecie?

Gadacz był bliski załamania. Mózg miał najwidoczniej rację twierdząc, że Popychacze są niewspółdziałalne. Czyżby to miał być ich koniec? Czy on i cała Załoga mają przez głupotę bandy Popychaczy spędzić resztę życia w przestrzeni kosmicznej?

Ale nawet mimo takich myśli potrafił współczuć Popychaczowi. To musi być jednak straszne - ciągłe wątpliwości, wieczna niepewność, brak zaufania do wszystkich. Jeżeli Popychacze nie odnajdą swojego miejsca w galaktyce, prędzej czy później wyginą. Od dawna powinny się włączyć w ogólnogalaktyczne współdziałanie.

- Jak mam cię przekonać? - zapytał Gadacz.

W ostatecznej rozpaczy otworzył przed Popychaczem wszystkie swoje obwody: pokazał mu dobroduszną gburowatość Silnika, beztroski humor Ścian, poetyckie próby Oka, próżną, ale w gruncie rzeczy poczciwą naturę Zasilacza. Otworzył swój umysł i roztoczył przed Popychaczem widok swojej ojczystej planety, swojej rodziny i drzewa, które zamierzał kupić po powrocie do domu.

Obrazy te opowiadały o nich wszystkich, mieszkańcach różnych planet, reprezentujących najróżniejsze etyki, złączonych silnymi więzami galaktycznego współdziałania.

Popychacz oglądał to wszystko w milczeniu. Na koniec potrząsnął głową. Myśl towarzysząca temu gestowi była niepewna, słaba, ale - negatywna.

Gadacz polecił Ścianom, żeby się rozstąpiły. Ściany usłuchały i Popychacz patrzył na to w zdumieniu.

- Możesz sobie iść - powiedział Gadacz - wyciągnij tylko przewód z głowy i idź.

- A wy co zrobicie?

- Poszukamy innej planety Popychaczy.

- Gdzie? Mars? Wenus?

- Nie wiemy. Nie pozostaje nam nic innego, jak ufać, że gdzieś w tym rejonie jest jeszcze jakaś planeta Popychaczy.

Popychacz spojrział na ziejący przed nim otwór, a potem z powrotem na Załogę. Zawahał się; jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezdecydowania.

- Czy wszystko to, co mi pokazałeś, to prawda? Odpowiedź była zbędna.

- Dobra - oświadczył nagle Popychacz - zostaję z wami. Jestem skończony idiota, ale zostaję. Jeśli o to wam chodzi - a przecież musi wam o to chodzić.

Gadacz widział, że pod wpływem męki związanej z podjęciem tej decyzji Popychacz utracił kontakt z rzeczywistością. Wydawało mu się, że śni sen, w którym decyzje są łatwe i bez większego znaczenia.

- Jest tylko jeden szkopuł - rzekł Popychacz z lekkim odcieniem hysterii w głosie. - Niech mnie diabli wezmą, chłopcy, jeśli mam chociaż blade pojęcie, jak się popycha. Mówiliście coś zdaje się o przekroczeniu prędkości światła. Ja bym nie zrobił nawet mili na godzinę.

- Ale ty musisz umieć popychać - zapewnił go Gadacz mając nadzieję, że się nie myli. Ogólnie rzecz biorąc, znał możliwości Popychaczy, ale czy akurat ten... - Po prostu spróbuj.

- Jasne - zgodził się Popychacz. - Prędzej czy później muszę się obudzić z tego snu.

Ściany zamknęły się przed startem, a Popychacz mówił do siebie:

- To śmieszne, myślałem, że najprzyjemniejszą formą spędzenia urlopu będzie camping, a tymczasem zamiast odpoczynku mam jakieś koszmarne przywidzenia!

Silnik poderwał Statek do góry, a Oko prowadziło ich w Kosmos coraz dalej od planety.

- Jesteśmy już teraz w otwartej przestrzeni kosmicznej - powiedział Gadacz. Przysłuchiwał się słowom Popychacza, pełen obaw, czy tamtemu nie pomieszało się w głowie. - Oko i Mózg będą mi podawały kierunek, ja ci go będę przekazywał, a ty będziesz zgodnie z nim popychał.

- Chyba jesteś nienormalny - burknął Popychacz. Musieliście trafić na niewłaściwą planetę.

Chciałbym, żeby się wreszcie ten koszmar skończył.

- Zostałeś włączony do współdziałania - powiedział zrozpaczony Gadacz. Oto nasz kierunek.

Popychaj!

Przez chwilę Popychacz nie robił nic. Powoli jednak otrząsnął się z oszołomienia, dochodząc do wniosku, że to mimo wszystko rzeczywistość. P o c z u ł współdziałanie Oka z Mózgiem, Mózgu z Gadaczem, Gadacza z Popychaczem, a równocześnie wszyscy połączeni byli ze Ścianami i między sobą.

- Co to? - Popychacz odczuł jedność Statku, ogarniające go ciepło i bliskość, jaką można osiągnąć jedynie we współdziałaniu.

Spróbował pchnąć. Nic.

- Spróbuj jeszcze raz - zebrał Gadacz.

Popychacz badał swój umysł. Spoglądał w otchłań wątpliwości i strachu. Na jej dnie zobaczył własną udręczoną twarz.

Mózg wyjaśnił mu ten obraz.

Popychacze żyły z tymi wątpliwościami i strachem od wieków. Walczyły ze strachu, zabijały z wątpliwości.

Oto, co się stało z ich prawdziwym powołaniem! Człowiek-Specjalista-Popychacz zespolił Załogę, stał się jednym z nich, przycisnął do serca Mózg i Gadacza.

Nagle Statek wystrzelił z szybkością ośmiokrotnie przekraczającą prędkość światła, stale przyspieszając.

przekład : Zofia Uhrynowska

Świat stanął w miejscu

Laniganowi znów śniło się ta samo; zdołał się obudzić z gardłowym okrzykiem. Poderwał się, usiadł na łóżku i toczył wzrokiem dokoła po fioletowych ciemnościach. Zęby miał zaciśnięte, a

zwarte usta rozciągnęły się jak w upiornym uśmiechu. Poczuł, że żona, Estelle, porusza się i siada obok niego. Nie spojrzał na nią. Wciąż uwikłany w sen, czekał na namacalne dowody istnienia świata.

Krzesło poszybowało z wolna w poprzek pola widzenia i z cichym puknięciem trafiło w ścianę.

Twarz Lanigana nieco odtajała. Potem na ramieniu poczuł dłoń Estelle - dotknięcie z zamierzenia kojące, paliło jednak jak kłamstwo.

- Masz - odezwała się żona. - Wypij to.

- Nie chcę - odparł Lanigan. - Już w porządku. - Tak czy owak, wypij. - Nie, naprawdę.

Naprawdę już w porządku.

Chwilowo był całkiem wolny od władzy koszmaru. Był znowu sobą, a świat był znowu dawnym, swojskim światem. Lanigan bardzo to sobie cenił, nie chciał rozstawać się z tym doznaniem, nawet za cenę ulgi spowodowanej środkiem uspokajającym.

- Jak chcesz - powiedziała Estelle. (Nie chce mnie zdenerwować. Przerazam ją. Przerazam sam siebie.)

- Która to godzina, kochanie? - zapytała.

Lanigan spojrzał na zegarek.

- Czy to był znowu ten sam sen? - zapytała Estelle.

- Tak, dokładnie ten sam... Wolałbym o nim nie mówić.

- Szósta, piętnaście. - Kiedy to mówił, wskazówki wykonały gwałtowny skok do przodu - Nie, za pięć siódma.

- Pośpisz jeszcze?

- Chyba nie - odparł Lanigan. Chyba wstanę.

- Jak chcesz, kotku. - Estelle ziewnęła, zamknęła oczy, zaraz znowu je otworzyła i spytała : -

Kotku, nie sądzisz, że byłoby dobrze zadzwonić do...

- Jestem z nim umówiony na dwunastą dziesiątą - powiedział Lanigan. - To świetnie - ucieszyła się Estelle. Znow zamknęła oczy. Lanigan patrzył, jak ogarnia ją sen. Jej rudawe włosy przybrały kolor bladobłękitny, westchnęła głęboko, raz jeden.

Lanigan wstał i ubrał się. Na ogół bywał postawnym mężczyzną, przeważnie łatwym do rozpoznania. Miał zdumiewająco wyraźne rysy. I gęsią skórę na szyi. Poza tym nie było w nim nic szczególnego, z wyjątkiem tego, że cierpiał na powracający sen, który go doprowadzał do obłądu.

Kilka następnych godzin spędził na frontowym ganku, obserwując, narodziny gwiazd na porannym niebie.

Później udał się na przechadzkę. Pech chciał, że o głupie dwie ulice od domu natknął się na George'a Torsteina. Parę miesięcy wcześniej, w chwili nieostrożności, powiedział Torsteinowi o swoim śnie. Torstein był jowialnym bufonem, zagorzałym wyznawcą samokontroli, dyscypliny, pragmatyzmu, zdrowego rozsądku i innych pozbawionych wdzięku cnót. Jego twardogłowa postawa "nie pleć bzdur" na chwilę przyniosła Laniganowi ulgę. Teraz jednak działała jak papier ścierny. Ludzie pokroju Torsteina byli niewątpliwą solą tej ziemi i ostoją kraju, ale dla Lanigana zmagającego się z przegrywającego z nieuchwytnym, Torstein był już nie tylko irytujący był nieznośny.

- Czołem, Tam, jak się mamy? powitał go Torstein.

- Doskonale - odparł Lanigan. Trudno lepiej.

Uprzejmie skinął głową i zaczął się oddalać pod topniejącym zielonym niebem. Ale Torsteinowi nie tak łatwo było uciec.

- Wiesz, Tom, dużo myślałem o twoich kłopotach. Poważnie się o ciebie martwię.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - rzekł Lanigan. - Ale nie powinieneś zaprzętać sobie głowy...

- Robię to bo tak chcę - przerwał mu Torstein, wypowiadając czystą jak łąza prawdę: - Interesują mnie inni, Tom. Zawsze mnie interesowali, od dziecka. A ty od dawna jesteś moim przyjacielem i sąsiadem.

- Nie da się ukryć - przyznał bez entuzjazmu Lanigan. (Kiedy człowiek potrzebuje pomocy, najgorzej jest ją przyjmować.)

- Wiesz, Tam, uważam, że nic by ci tak dobrze nie zrobiło jak mały urlop. Torstein na wszystko miał proste lekarstwo. Ponieważ praktykował leczenie dusz bez licencji, zawsze pilnie uważał, żeby zalecać środki nie wymagające recepty.

- W tym miesiącu naprawdę nie stać mnie na urlop - powiedział Lanigan. (Niebo miało teraz odcienie ochry i różu; trzy sosny uschły na szczapy; wiekowy dąb przeistoczył się w młody kaktus.)

Torstein roześmiał się kordialnie. - Stary, w tym miesiącu nie stać cię na to, żeby nie brać urlopu! Pomyślałeś o tym?

- Nie, chyba nie.

- No to pomyśl! Jesteś przemęczony, spity, istny kłębek nerwów. Za dużo pracujesz!

- Cały ubiegły tydzień przesiedziałem na zwolnieniu - powiedział Lanigan. Zerknął na zegarek. Złota oprawka zmieniła się w ołów, ale czas był chyba dokładny. Od początku rozmowy minęły prawie dwie godziny.

- To za mało - perorował Torstein. - Siedziałeś w mieście, dwa kroki od roboty. Potrzebujesz kontaktu z naturą, Tom. Kiedy ostatni raz spałeś pod namiotem?

- Pod namiotem? Chyba nigdy nie spałem pod namiotem.

- Aaa, tu cię mam! Stary, musisz na nowo nawiązać kontakt z rzeczywistością. Nie ulice, nie domy, ale góry, rzeki.

Lanigan znowu spojrzął na zegarek i z ulgą stwierdził, że jest po dawnemu złoty. Ucieszył się:

bądź co bądź dał za niego sześćdziesiąt dolarów.

- Drzewa, jeziora - ciągnął swój wywód Torstein. - Dotyk trawy rosnącej ci pod stopami, widok wysokich czarnych gór maszerujących na tle złocistego nieba...

Lanigan pokręcił głową.

- Byłem na wsi, George. To mi nic nie daje.

Torstein nie dawał za wygraną.

- Musisz uciec od sztuczności.

- Wszystko jest równie sztuczne oświadczył Lanigan. - Drzewo czy dom - co za różnica?

- Domy tworzą ludzie - zauważył pobożnie Torstein. - Drzewa tworzy Bóg!

Lanigan co do obu stwierdzeń miał swoje wątpliwości, ale ani myśli zdradzać je Torsteinowi.

- Może i masz rację - powiedział. - Pomyślę o tym, co mi powiedziałaś.

- Pomyśl, koniecznie - rzekł Torstein. - Tak się składa, że znam jedno idealne miejsce. W Maine, Tom, zaraz koło tego jeziora...

Torstein celował w nieprecyzyjnych opisach. Na szczęście dla Lanigana coś się zdarzyło. Po drugiej stronie ulicy dom stanął w płomieniach.

- O cholera! - powiedział Lanigan. - Czyj to dom?

- Makelby'ego - odparł Torstein. Już trzeci raz się u niego pali w tym miesiącu.

- Może trzeba by kogoś zawiadomić?

- Racja, ja to zrobię - zaoferował się natychmiast Torstein. - Pamiętaj o tym miejscu w Maine, Tom.

Torstein ruszył wzywać pomoc i wtedy zdarzyło się coś śmiesznego. Ledwie zszedł z chodnika, beton stopniał pod jego lewą stopą. Zaskoczony Torstein wdepnął w ciasto aż po kostkę. Szarpnął się i runął na jezdnię, głową w przód.

Tom pospieszył mu z pomocą zanim beton zastygł z powrotem.

- Nic ci się nie stało? - zapytał. - Kostkę sobie skręciłem, cholera burknął Torstein. - Nie szkodzi, mogę iść.

Pokuśtykał złożyć meldunek o pożarze. Lanigan postać jeszcze chwilę, ciekaw, co będzie.

Doszedł do wniosku, że przyczyna ognia było samozapalenie. Po kilku minutach, zgodnie z jego przewidywaniami, nastąpiło samowygaszenie.

Nie należy się cieszyć z cudzego nieszczęścia, ale Lanigan nie mógł powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie skręconej kostki Torsteina. Nawet nagła powódź na Main Street nie popsuła mu humoru. Radosnym uśmiechem powitał przelatujący niebem pojazd w kształcie parowca z żółtymi kominami.

Nagle przypomniał mu się sen i na nowo wpadł w panikę. Pośpiesznie udał się do lekarza.

Gabinet doktora Sampsona był w tym tygodniu ciasny i ciemny. Zniszczona szara kozetka zniknęła, jej miejsce zajęły dwa fotele w stylu Ludwika V i hamak. Wyświechtany dywan wreszcie się pocerował, a na śliwkowym suficie widniał ślad po papierosie. Portret Andrettiego tkwił jednak na dawnym miejscu na ścianie, a ogromna, fantazyjnego kształtu popielniczka, lśniła nienaganną czystością.

Wewnętrzne drzwi otworzyły się i wychynęła spoza nich głowa doktora Sampsona.

- Siemasz - powiedziała głowa. Cwileczkę. - Po czym schowała się. Sampson nie rzucał słów na wiatr.

Cokolwiek miał do zrobienia, zrobił to istotnie, według zegarka Lanigana, w trzy sekundy.

Minęła jeszcze jedna sekunda i Lanigan leżał wyciągnięty na skórzanej kozetce i z czystą papierową serwetką pod głową. Doktor Sampson zaś pytał:

- No i jak tam, Tom? Jak leci?

- Bez zmian. Gorzej.

- Sen

Lanigan kiwnął głową.

- Przelećmy go sobie jeszcze raz.

- Wolałbym nie.

- Boisz się?

- Boję się bardziej niż zwykle.

- Nawet w tej chwili?

- Tak. Zwłaszcza w tej chwili. Zapadł moment terapeutycznej ciszy. Wreszcie odezwał się doktor Sampson:

- Mówiłeś mi już kiedyś, że boisz się tego snu, ale nigdy nie powiedziałeś, dlaczego aż tak się boisz.

- No... Bo to takie głupie. Sampson miał minę poważną, skupioną, opanowaną: minę człowieka, dla którego nie ma rzeczy głupich, człowieka, który z natury swojej w niczym nie dostrzega głupoty. Może i była to poza, ale na Lanigana podziałała ona uspokajająco.

- Dobrze, powiem ci - oświadczył nagle. I zamilkł.

- Słucham - zachęcił go Sampson. - Wszystko dlatego, że wydaje mi się, iż jakimś sposobem, którego sam nie rozumiem...

- Tak?...

- Że jakimś sposobem świat mojego snu staje się światem realnym. Znowu przerwał, ale zaraz pospiesznie podjął myśl. - I że pewnego dnia obudzę się w tamtym świecie. A wtedy tamten świat stanie się światem rzeczywistym, a ten świat będzie snem.

Obrócił się, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarło na doktorze jego szalone wyznanie. Nawet jeżeli go zaniepokoiło, to nic nie dał po sobie poznać. Spokojnie zapalał fajkę dymiącym opuszkiem środkowego palca lewej ręki. Zdmuchnął palec i powiedział:

- Tak, słucham dalej.

- Dalej? To wszystko, nie ma dalej! Na fioletowym dywanie Sampsona pojawiła się plamka wielkości ćwierćdolarówki: Ciemniała, gęstniała, wyrasta w małe drzewko owocowe. Sampson zerwał fioletowy strąk, powąchał go i położył na biurku. Karcąco, ze smutkiem spojrzął na Lanigana.

- Opowiadałeś mi już o swoim świecie snu, Tom.

Lanigan kiwnął głową.

- Przedyskutowaliśmy go, znaleźliśmy źródła, przeanalizowaliśmy znaczenie. W ciągu minionych kilku miesięcy ustaliliśmy, zdaje mi się, dlaczego odczuwasz potrzebę okaleczania się tym koszmarnym nocnym lękiem.

Lanigan znów kiwnął rozpaczliwe.

- A jednak nie trzymasz się wniosków - skarcił go Sampson. - Za każdym razem zapominasz, że świat twojego snu to tylko sen, i nic poza tym, zbudowany wedle arbitralnych praw snu, które sam stworzyłeś dla zaspokojenia własnych potrzeb psychicznych.

- Chciałbym w to wierzyć - rzekł Lanigan. - Najgorsze, że ten mój świat snu jest tak piekielnie racjonalny.

- Nieprawda - odrzekł Sampson. To tylko twoja iluzja jest hermetyczna, zamknięta i samoistna. Działania człowieka opierają się na pewnych założeniach dotyczących natury świata. Jeżeli się przyjmie założenia, każde zachowanie będzie od początku do końca racjonalne. Za to zmiana tych założeń, fundamentalnych aksjomatów, jest prawie nie do przeprowadzenia. Jak na przykład udowodnisz facetowi, że nie kieruje nim ukryty nadajnik, który tylko dla niego jest słyszalny?

- Rozumiem - wymamrotał Lanigan. I tak właśnie jest ze mną?

- Tak, Tam. W rezultacie tak właśnie jest z tobą. Chcesz, żebym ja ci udowodnił, że ten świat jest realny, a świat twojego snu jest fałszywy. Obiecujesz rezygnację z iluzji pod warunkiem, że ci dostarczy niezbędnych dowodów.

- Tak, właśnie tak! - ucieszył się Lanigan.

- Tylko że widzisz, Tom, ja nie potrafię ich dostarczyć - ciągnął Sampson. - Świat jest z natury oczywisty, ale nie do udowodnienia.

Lanigan chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

- Ale przecież, doktorze, nie jestem aż tak chory, jak ten facet od ukrytego nadajnika, prawda?

- Nie, nie jesteś. Jesteś bardziej myślący, bardziej racjonalny. Wątpisz w realność świata, ale, na szczęście, wątpisz również w wiarygodność swojej iluzji.

- No to spróbujmy - poprosił Lanigan. - Rozumiem twój problem, ale przysięgam, uwierzę we wszystko, w co tylko siła woli zdołam uwierzyć.

- Tak naprawdę to już nie jest mój teren - rzekł Sampson. - Tu by trzeba metafizyka. Boję się, że nie mam wprawy...

- Spróbuj - błagał Lanigan.

- No dobra, spróbujemy. - Czoło Sampsona zmarszczyło się i spochmurniało pod wpływem koncentracji. Po chwili powiedział: - Wydaje mi się, że świat poznajemy poprzez zmysły, a więc w ostatecznej analizie musimy zawierzyć świadectwu zmysłów.

Lanigan pokiwał głową; lekarz mówił dalej.

- A zatem, wiemy, że dana, rzecz istnieje, ponieważ nasze zmysły mówią nam, że ona istnieje.

Jak potwierdzamy adekwatność własnych obserwacji? Przez porównanie z wrażeniami zmysłowymi innych ludzi. Jeżeli zmysły innych ludzi zgadzają się co do istnienia danej rzeczy, oznacza to, że nasze własne zmysły nie kłamią.

Lanigan zastanowił się nad tym i powiedział:

- Czyli że świat realny jest tym, czym wydaje się większości ludzi. Sampson skrzywił się.

- Uprzedzałem cię, że metafizyka nie jest moją mocną stroną. Powiedziałbym jednak, że twoja definicja jest do przyjęcia.

- No tak... Ale założmy, doktorze, że wszyscy obserwatorzy się mylą? Założmy, na przykład, że jest wiele światów i wiele rzeczywistości, nie tylko jedna? Założmy że to, co widzimy, jest tylko przypadkowo wybraną wersją istnienia spośród nieskończonej liczby wersji istnienia? Albo też założmy, że cechą rzeczywistości jest zdolność do przemian i że ja w jakiś sposób mam zdolność postrzegania tych przemian?

Sampson westchnął, zlokalizował małego, zielonego nietoperza, który tłuł mu się pod marynarka i bezwiednie zdusił go linijką.

- No widzisz - powiedział. - Nie jestem w stanie podważyć ani jednego z twoich założeń. Myślę, Tom, że lepiej będzie, jeśli prześledzimy cały sen od początku do końca.

Lanigan skrzywił się.

- Naprawdę wolałbym nie. Mam przeczucie... - Wiem, że masz przeczucie uśmiechnął się

Sampsan. - Ale nareszcie zdobyłbyś dowody, w tę albo wewtę, raz na zawsze, prawda?

- Chyba tak - przyznał Lanigan. Zdobył się na odwagę - bardzo nieroztropnie - i powiedział: - No więc zaczyna się... mój sen zaczyna się...

Nim skończył to mówić, ogarnęła go groza. Poczul zawrót głowy, mdłości, lęk. Usiłował podnieść się z kozetki. Twarz doktora unosiła się nad nim jak balon. Dostrzegł błysk metalu, usłyszał głos Sampsona:

- Postaraj się rozluźnić... krótki atak.,. pomyśl o czymś przyjemnym. Potem albo Lanigan, albo świat, albo obaj, stracili przytomność. Lanigan i (lub) świat wrócili do przytomności. Upływ czasu dokonał się albo nie. Wszystko mogło się zdarzyć albo nie. Lanigan usiadł i popatrzył na Sampsona.

- Jak się teraz czujesz? - zapytał Sampson.

- Czuję się dobrze - odpowiedział Lanigan. - Co to było?

- Chwila słabości. Odpocznij jeszcze trochę. I Lanigan położył się z powrotem i usiłował

narzucić sobie spokój. Lekarz siedział przy biurku i coś pisał. Lanigan z zamkniętymi oczami doliczył do dwudziestu, po czym ostrożnie uniósł powieki. Sampson dalej coś pisał.

Lanigan rozejrzał się po pokoju, policzył pięć obrazków na ścianie, policzył drugi raz, spojrzął na zielony dywan, zmarszczył brwi, znowu przymknął oczy. Tym razem odliczył do pięćdziesięciu.

- No jak, chciałbyś teraz pogadać? - zapytał Sampson, zamykając notes.

- Nie, nie w tej chwili - odparł Lanigan. (Pięć obrazków, zielony dywan.)

- Jak sobie życzysz - powiedział lekarz. - Zdaje mi się, że czas wizyty dobiega końca. Ale gdybyś chciał jeszcze poleżeć, w poczekalni...

- Nie, dziękuję, pójdę do domu rzekł Lanigan.

Wstał i po zielonym dywanie doszedł do drzwi. Odwrócił się do pięciu obrazków i lekarza, który posłał mu uśmiech pełen otuchy. Następnie wyszedł do poczekalni, przez poczekalnię do głównych drzwi, przez główne drzwi i korytarz do schodów, schodami na ulicę.

Szedł i patrzył na drzewa, na których zielone liście poruszały się w podmuchach wiatru lekko i w sposób łatwy do przewidzenia. Pojazdy podążały prawidłowo lewą stroną jezdni w jednym kierunku, a prawą w drugim. Nieba było niezmiennie błękitne i to najwyraźniej już od jakiegoś czasu.

Sen? Uszczypnął się. Uszczypnięcie we śnie? Nie budził się. Krzyknął. Krzyk w wyobraźni? Nie budził się.

Był na ulicy świata swojego koszmaru.

Na pierwszy rzut oka była to normalna miejska ulica, płyty chodnika, samochody, ludzie, budynki, góra niebo, na niebie słońce. Wszystko normalnie. Tylko, że n i c s i ę n i e działało.

Chodnik ani razu nie ugiął mu się pod stopami. Po przeciwnej stronie ulicy stał Pierwszy Miejski Bank Narodowy - stał tam od wczoraj, a to już było niedobrze; najgorsze jednak, że będzie tam stał i jutro, bankowo, i pojutrze, i za rok też. Pierwszy Miejski Bank Narodowy (rok założenia 1892)

był groteskowo bezwolny. Nigdy nie przeistoczy się w grobowiec, w samolot, w szkielet prehistorycznego potwora. Pozostanie nudnym gmachem z betonu i stali, kurczowo przywiązanym do własnej niezmienności, póki nie przyjdą ludzie z narzędziami i nie przeprowadzą nudnej operacji rozbiórki.

Lanigan szedł przez zatrzymany świat, pod błękitnym niebem obrzeżonym mylącą białą światłością, która złośliwie obiecywała coś, czego nigdy nie będzie. Ruch uliczny był nieubłaganie prawostronny, ludzie przechodzili po pasach, niezgodność zegarów sięgała najwyżej minut.

Gdzieś tam za miastem leżała wieś, ale Lanigan wiedział, że trawa nie rośnie tam ludziom pod stopami, a jedynie tkwi w ziemi, rosnąc oczywiście, ale w sposób niedostrzegalny, bezużyteczny dla zmysłów. Góry zaś, choć wciąż wysokie i czarne, były olbrzymami zatrzymanymi w pół kroku. Już nigdy nie pomaszerują na tle złocistego (albo fioletowego, albo zielonego) nieba.

Istotą życia, mówił mu kiedyś doktor Sampson, jest zmiana. Istotą śmierci jest bezruch. Nawet trup ma w sobie szczątki życia, dopóki jego ciało podlega gniciu, dopóki robaki pasą się na jego niewidzącym oku, a muchy wysysają soki z popękanych jelit.

Lanigan obrzucił wzrokiem zwłoki świata i stwierdził jego zgon. Wrzasnął przeraźliwie.

Wrzeszczał i wtedy, kiedy ludzie zaczęli się wokół niego gromadzić i gapić (ale nic nie robili i wcale się nie zmieniali), a potem nadszedł policjant, tak jak mu nakazywał obowiązek (ale słońce ani na moment nie zmieniło kształtu), a potem nudną ulicą nadjechała karetka (ale bez trąbek, bez dziwek, na czterech kołach zamiast na miłych dla oka trzech lub dwudziestu pięciu), a potem sanitariusze wnieśli go do budynku stojącego dokładnie tam, gdzie się go spodziewali, i ludzie, którzy się nie zmieniali, bardzo dużo gadali, zadawali mnóstwo pytań w pokoju o nieustępliwie białych ścianach.

I nadszedł wieczór, i nadszedł ranek, i minął pierwszy dzień.

przekład : Jolanta Kozak

Nie kończący się western

Nazywam się Washburn: dla przyjaciół po prostu Washburn, pan Washburn dla wrogów i obcych. Mówiąc to powiedziałem wszystko, bo oglądaliście mnie tysiąc razy, na wielkich ekranach w pobliskim kinie i na małych ekranach u siebie w domu, widzieliście, jak jadę wśród kaktusów i niskiej trawy, w słynnym kapeluszu naciągniętym na oczy, ze słynnym Coltem 44 o długiej lufie przymocowanym do prawego uda. Teraz jednak jadę wielkim klimatyzowanym Cadillakiem, siedząc między moim agentem - menadżerem Gordonem Simmsem a moją żoną, Consuelą.

Zjechaliśmy z autostrady stanowej 101 i podskakujemy na terenowej drodze, która prowadzi do stacji dyliżansów Wells Fargo, stanowiącej jedno z wejść na Plan. Simms mówi pośpiesznie i masuje mi kark, jakby był bokserem szykującym się do wejścia na ring, co z grubsza odpowiada prawdzie. Consuela milczy. Nie jest jeszcze zbyt mocna w angielskim. Jest najpiękniejszą małą istotką, jaką sobie można wyobrazić; moją żoną od niecałych dwóch miesięcy, była Miss Chile, była aktorką w różnych awanturnicznych filmach kręconych w Buenos Aires i Montevideo. Cała ta scena nie jest filmowana, to coś, czego nigdy nie oglądacie: powrót słynnego rewolwerowca z szumnego Los Angeles w roku 2031 na Stary Zachód w połowie wieku dziewiętnastego.

Simms trajkuje o jakiejś inwestycji, której - jego zdaniem - powinienem dokonać, o jakimś nowym projekcie eksploatacji dna morskiego - najnowszym pomysłem Simmsa na szybkie wzbogacenie się. Simms już jest bardzo bogatym człowiekiem i trudno, żeby nie był przy trzydziestoprocentowym udziale w moich zarobkach przez dziesięć najlepszych lat mojego gwiazdorstwa.

Simms jest również moim przyjacielem, ale nie mogę myśleć o inwestycjach, kiedy podjeżdżamy do Planu.

Consuela, która siedzi po mojej prawej, zadrżała na widok nadgryzionej zębem czasu starej stacji. Moja żona nigdy tak naprawdę nie rozumiała Nie kończącego się westernu. W Południowej

Ameryce nadal kręci się filmy w staromodny sposób: wszystko wyreżyserowane, wszystko na niby i strzela się wyłącznie ślepymi nabojami. Nie rozumie, dlaczego słynny amerykański Film musi być rozgrywany naprawdę, kiedy można by wszystko zaaranżować i uniknąć trupów. Usiłowałem jej to wyjaśnić, ale po hiszpańsku brzmiało to idiotycznie.

Oczywiście dla mnie tym razem to coś zupełnie innego: jestem na emeryturze i wracam, żeby zagrać epizodyczną rolę. Mam kontrakt wykluczający zabójstwo słynny ongiś rewolwerowiec w komediowym kawałku ze Starym Jeffem Manglesem i Natchezem Parkerem. Scenariusza, oczywiście, nie ma, w Filmie nigdy nie ma scenariusza. Będziemy improwizować wokół każdej sytuacji, jaka powstanie - aktorzy commedia dell'arte ze Starego Zachodu. Consuela nic z tego nie rozumie. Słyszała o kontraktach śmiertelnych, ale kontrakt wykluczający zabójstwo to dla niej coś ważnego.

Wreszcie przyjechaliśmy. Samochód zatrzymuje się przed niskim budynkiem z nie malowanego drewna. Wszystko po tej stronie to Ameryka dwudziestego pierwszego wieku w całej swej chwale z odzysku i surowców wtórnych. Po drugiej stronie rozciąga się milion akrów prerii, gór i pustyni z tysiącami ukrytych kamer i mikrofonów, czyli Plan Nie kończącego się westernu.

Jestem już w kostiumie: dżinsy, koszula w granatowobiałą kratę, wysokie buty, kapelusz, skórzana kurtka i rewolwer. Koń czeka przywiązany do słupka po drugiej stronie stacji, z całą resztą mojego sprzętu w schludnie zrolowanym kocu. Asystent reżysera ogląda mnie i akceptuję a nie mam na ręku zegarka ani innych anachronizmów, które kamera mogłaby wyłapać.

- W porządku, panie Washburn - mówi - może pan wejść, kiedy będzie pan gotów.

Simms robi mi na pożegnanie masaż pleców. Podniecony przesypuje z pięt na palce, zazdrości mi, że to nie on pojedzie na pustynię, wysoki mężczyzna, powolny w ruchach i uprzejmy, z nagłą śmiercią zawsze w pobliżu jego prawej ręki. Ale Simms jest niski, gruby, prawie łysy i nie nadaje się do roli bohatera-rewolwerowca, przeżywa ją więc za moim pośrednictwem. Ja jestem jego

męskością i razem przebyliśmy po wielokroć niebezpieczny szlak, a nasze wierne czterdziestki czwórki zlikwidowały wszystkich oponentów, aż zostaliśmy niekwestionowanym mistrzem, bezwzględnie najlepszym rewolwerowcem Zachodu, który w końcu przeszedł w stan spoczynku, kiedy wszyscy jego przeciwnicy byli martwi albo -schodzili mu z drogi... Biedny Simms, zawsze marzył, że zagramy tę wielką ostatnią scenę, to ostatnie finałowe spotkanie na jakiejś piaszczystej Ulicy Głównej. Chciał, żebyśmy zagrali to wspaniale i pięknie, nie dla pieniędzy - tych mieliśmy już i tak aż nadto - ale dla sławy, odchodząc z filmu w huku wystrzałów, w szczytowej formie. Mnie też by to odpowiadało, ale oponenti stali się diabło ostrożni i Washburn spędził swój ostatni rok w filmie jeżdżąc idiotycznie z miejsca na miejsce z sześciostrzałowcem w pogotowiu i nie znajdując nikogo, kto by chciał się z nim zmierzyć. A teraz ta epizodyczna rólka... dla Simmsa to są kpiny ze wszystkiego czym byliśmy, myślę zresztą, że dla mnie też. (Trudno się zorientować, gdzie zaczynam się ja, a gdzie kończy się Simms, trudno oddzielić to, czego chcę ja od niego, czego chce on, trudno nam obu pogodzić się z końcem naszej wspaniałej kariery w filmie). Simms potrząsnął moją ręką, drugą ścisną mnie mocno za ramię i nie mówiąc nic, w zgodzie z tym męskim westernowym stylem, jakiego nabrał przez lata współpracy ze mną, więcej, bycia mną. Consuela obejmuje mnie, ma łzy w oczach, całuje mnie, mówi, żebym szybko do niej wracał. Ach, te niewiarygodne pierwsze miesiące z nową żoną! Sam urok, zanim nie da o sobie znać szara rzeczywistość. Consuela jest moją żoną numer cztery. Jeździłem w swoim życiu różnymi szlakami, większość z nich była taka sama i teraz reżyser sprawdza, czy nie mam śladów szminki, kiwa głową, odwracam się do Consueli i Simmsa posyłając im pozdrowienie dwoma palcami, z którego jestem sławny, wkraczam na skrzypiącą podłogę biura Wells Fargo i wychodzę z drugiej strony na oślepiające słońce, w świat nie kończącego się westernu.

Kamera ukazuje z oddali samotnego jeźdźcę, pełzającego jak mrówka między bajecznie kolorowymi ścianami kanionu. Widzimy go w kolejnych ujęciach w tle rozwijającej się panoramy

pustyni. Wieczorem, czarna sylwetka na tle nieba w płomieniach, kapelusz zsunięty na tył głowy, gotuje coś na małym ognisku. Teraz śpi zawinięty w koc, żar ogniska rozsypuje się w popiół. Przed świtem jeździec jest znów na nogach, zaparza kawę; szykuje się do całodziennego jazdy. Wschód zastaje go w drodze, jeździec osłania oczy przed słońcem, odchylony w siodle pozwala koniowi wybierać drogę po skalnych zboczach.

Jestem zarówno widownią, oglądającą mnie jako aktora, jak aktorem oglądającym siebie jako widownię. Jest to spełnienie dziecięcego marzenia: grać rolę i jednocześnie obserwować siebie grającego. Teraz już wiem, że nigdy nie przestajemy grać i nigdy nie przestajemy obserwować siebie jak gramy. To tylko ironia losu sprawia, że bohaterskie sceny, które ja widzę, są zbieżne z tym, co wy widzicie siedząc przed waszymi małymi ekranami.

Teraz Jeździec wspinał się na wysoką przełęcz między dwiema górami. Jest tam zimno; wieje górski wiatr, jeździec postawił kołnierz kurtki, kapelusz przywiązał pod brodą wełnianym kolorowym szalikiem. Zaglądając jeźdźcowi przez ramię daleko w dół widzimy osadę, małą i zagubioną w bezmiarze krajobrazu. Towarzyszmy jeźdźcowi, który cmoka na swojego zmęczonego wierzchowca i zaczyna zjeżdżać w kierunku osady.

Następnie jeździec prowadzi konia przez osiedle Comanche. Ma ono tylko jedną ulicę - Ulicę Główną - z saloonem, hotelikiem, stajnią z końmi do wynajęcia, kuźnią, jedynym sklepem, wszystko surowe i malownicze jak w dagerotypie z czasów Wojny Domowej. W miasteczku wieje nieustannie wiatr z pustyni i wszystko jest pokryte drobnym pyłem.

Jeźdźca rozpoznają. Gapie przed sklepem mówią "Hej, to Washburn!"

Zsiadam sztywno przed stajnią - wysoki, strudzony długą jazdą mężczyzna z rewolwerem przypiętym bardzo nisko na udzie, zniszczona, kościana kolba pod ręką i na widoku. Odwracam się i ocieram twarz - słynną, długą, smutną twarz z wyraźną blizną przekreślającą jeden policzek, z wąskimi, niemrugającymi szarymi oczami. Jest to twarz człowieka twardego, niebezpiecznego,

nieobliczalnego, a jednak sympatycznego. To ja, obserwujący was, jak mnie oglądacie.

Wychodzę ze stajni i na spotkanie wychodzi mi szeryf Ben Watson, stary przyjaciel ze spaloną słońcem twarzą i dużymi wąsami, z blaszaną gwiazdą na wełnianej kamizelce.

- Słyszałem, że możesz tędy przejeżdżać - mówi Watson. - Słyszałem, że byłeś przez jakiś czas w Kalifornii. Kalifornia oznacza w naszym języku emeryturę.

- To prawda - mówię. A jak sprawy tutaj?

- Jako tako - odpowiada mi Watson. - Pewnie nic nie wiesz o Starym Jeffie Menglesie?

Czekam. Szeryf mówi:

- To było wczoraj. Koń rzucił Starego Jeffa na pustyni. Myślmy, że przestraszył się grzechotnika - Bóg mi świadkiem, mówiłem mu, żeby sprzedał to wielkie, płochliwe, zezowate bydło. Ale znasz Starego Jeffa...

- Co się z nim stało? - pytam.

- Jak mówiłem, koń go zrzucił i pociągnął. Nie żył już, kiedy go Jimmy Connors znalazł.

Długa cisza. Zsuwam kapelusz na tył głowy. Wreszcie mówię:

- Dobrze, Ben. Co jeszcze chcesz mi powiedzieć? Szeryf jest wyraźnie zakłopotany. Kreci się, przestępuje z nogi na nogo. Czekam. Jeff Mangles nie żyje; nie bodzie sceny, którą miałem zagrać.

Co teraz?

- Pewnie jesteś spragniony - mówi Watson. - Może byśmy tak napili się piwa?

- Najpierw powiedz mi, co się jeszcze zdarzyło.

- Hm, słyszałeś o kowboju z Teksasu nazwiskiem Mały Joe Potter?

Potrząsam głową.

- Zawędrował tutaj jakiś czas temu, przynosząc ze sobą reputację szybkiego strzelca. Nie słyszałeś o strzelaninie w Twin Peaks?

Teraz przypominam sobie, że coś o tym słyszałem. Ale byłem wtedy w Kalifornii, zajęty czymś

innym i strzelaniny nie bardzo mnie interesowały.

- Ten Mały Joe Potter - ciągnął Watson - wystąpił przeciwko czterem opryszkom w sporze o pewną damę. Mówią, że to była nie byle jaka walka. W rezultacie Mały Joe posłał tych czterech do piekła i w związku z tym zyskał niemałą sławo.

- I co z tego? - pytam.

- Otóż w jakiś czas potem Mały Joe grał w pokera z jakimiś chłopakami z Gila Bend... - Watson milknie zażenowany. - Może lepiej niech ci to opowie Charlie Gibbs, bo on rozmawiał z człowiekiem, który był świadkiem tej gry, Charlie ci to lepiej opowie. To na razie, Washburn. Szeryf odchodzi, posłuszny dewizie Filmu, która zaleca skracanie scen dialogowych do minimum, żeby pozwolić ludziom nacieszyć się akcją.

Idę w stronę saloonu. Ktoś idzie za mną, chłopak, osiemnasto-, najwyżej dziewiętnastoletni, patykowaty, z zadartym nosem, piegowaty smarkacz w za krótkich spodniach i dziurawych butach. Ma rewolwer. Czego on może chcieć? Pewnie tego, co wszyscy. Wchodzę do środka, ostrogi brzęczą na drewnianej podłodze: Charlie Gibbs popija przy barze, tusty, niechlujny facet cały w uśmiechu i zmarszczkach, bez broni, bo Charlie jest postacią komiczną; nie zabija i jego nie zabijają. Charlie jest również naszym lokalnym delegatem Związku Aktorów Filmowych. Stawiam mu whisky i pytam o słynnego pokera Małego Joe Pottera.

- Słyszałem to od Jima Claire'a z Teksasu. Pamiętasz chyba Jima Claire'a, Washburn? Poczciwe chłopisko pracuje jako koniuch u Donaldsona. Otóż Jim grał w pokera w Gila Bent. W pewnym momencie zaczęło się robić gorąco. Na stole była kupa forsy i Doc Dailey postawił tysiąc dolarów meksykańskich. Małemu Joe podobały się karty, które dostał, ale nie miał dość forsy, żeby wejść do gry. Doc powiedział, że gotów jest wziąć coś w naturze, jeżeli Mały Joe coś zaproponuje. Mały Joe pomyślał przez chwilę, a potem mówi: "Ile byś dał za kapelusz pana Washburna?" Zapanowała cisza, bo wiadomo, że nie można ot, tak sobie, zabrać panu Washburnowi kapelusza, że trzeba

najpierw zastrzelić człowieka pod tym kapeluszem. Z drugiej strony wiadomo, że Mały Joe nie jest samochwałą i spisał się całkiem nieźle w zająsci z tamtymi czterema opryszkami. Więc Doc też zastanowił się przez chwile i mówi: "Zgoda, Joe, tysiąc dolarów za kapelusz Washburna i chętnie zapłacę drugi tysiąc za miejsce w pierwszym rzędzie, kiedy będziesz mu go odbierać". "Miejsce masz ode mnie za darmo - mówi Mały Joe - jeżeli przegram te grę, na co się nie zanosz". Zakład stanął i sprawdzili. Mały Joe miał karete ósemek, a Doc karete waletów. Mały Joe wstaje, przeciąga się i mówi: "No, cóż, Doc, wygląda, że wygrałeś to miejsce w pierwszym rzędzie". Charlie kończy swoją whisky i spogląda na mnie jasnymi, złośliwymi oczkami. Kiwam mu głową, dopijam swoją whisky i idę tylnymi drzwiami do wychodka.

Wychodek znajduje się poza zasięgiem kamer. Używamy go do rozmów koniecznych, a nie mieszczących się w kontekście filmu.

Chanie Gibbs przychodzi po paru minutach. Włącza ukrytą klimatyzację, znajduje na belce paczkę papierosów, zapala i rozsiada się wygodnie. Jako delegat związkowy Charlie spędza tu sporo czasu wysłuchując skarg i żalów. Jest to jego biuro i postarał się urządzić je możliwe przytulnie.

- Pewnie chcesz wiedzieć, co jest grane? - pyta Charlie.

- Jasne, cholera, że chce. Co to za pierdoły o tym, że Joe Potter ma mi odbierać kapelusz?

- Nie denerwuj się - mówi Charlie - wszystko jest w porządku. Potter jest nową wschodzącą gwiazdą. Po śmierci Jeffa Manglesa twoje spotkanie z Potterem stało się czymś naturalnym. Potter się zgodził. Wczoraj zwrócono się do twojego agenta, który zmienił umowę. Dostaniecie cholerną premie za udział w tym pojedynku.

- Simms zmienił moją umowę? Nie pytając mnie o zgodę?

- Byłeś wtedy nieuchwytny. Simms powiedział, że na pewno się zgodzisz. Złożył do prasy oświadczenie, że ty i on omawialiście to wielokrotnie i że zawsze było twoim pragnieniem

zakończyć karierę w wielkim stylu, w szczytowej formie, jednym ostatnim pojedynkiem.

Powiedział, że nie musi tego z tobą uzgadniać, bo jesteście sobie bliscy jak bracia i rozmawialiście na ten temat nieraz. Powiedział, że cieszy się z tej okazji i wie, że ty też się ucieszysz.

- Jezu, co ja mam z tym baranem!

- Czy Simms chciał cię załatwić? - pyta Chanie.

- Nie o to chodzi. Rzeczywiście często rozmawialiśmy na temat końcowego pojedynku.

Mówiłem mu, że chciałbym skończyć w wielkim stylu...

- Ale to były tylko rozmówki - podsuwa Charlie.

- Niezupełnie. - Ale co innego mówić o pojedynku, kiedy się jest na emeryturze i siedzi się bezpiecznie w Los Angeles, a co innego zostać nagle zmuszonym do walki bez przygotowania. -

Simms nie chciał mnie załatwić, ale zrobił mnie w coś, o czym wolałbym sam decydować.

- Wiec sytuacja wygląda tak - mówi Charlie - że ty byłeś głupi opowiadając, jak to chciałbyś rozegrać ostatni pojedynek, a twój agent był głupi biorąc cię na serio.

- Tak to wygląda.

- I co chcesz robić z tym pasztetem?

- Powiem ci, ale jako mojemu staremu kumpłowi Charlie'emu, a nie jako delegatowi związkowemu Gibbsowi:

- Wal - mówi Charlie.

- Zmyje się stąd - mówię. - Mam trzydzieści siedem lat, nie ćwiczyłem z bronią od roku, mam nową żonę...

- Nie musisz się tłumaczyć - mówi Gibbs. - Życie jest piękne, to wyjaśnia wszystko. Jako przyjaciel popieram twoją decyzję. Ale jako delegat muszę cię ostrzec, że Związek nie poprze cię, jeżeli złamiesz prawomocny kontrakt podpisany przez twojego upoważnionego przedstawiciela. Jeżeli Wytwórnia cię zaskarży, licz tylko na siebie.

- Lepiej być żywym i samotnym, niż mieć towarzystwo w grobie - mówię mu. - Dobry jest ten

Mały Joe?

- Dobry. Ale nie lepszy od ciebie. Nigdy nie widziałem nikogo lepszego od ciebie. Chcesz się z nim zmierzyć?

- Nie, tylko tak pytam.

- I bardzo dobrze - mówi Charlie. - Jako twój przyjaciel radzę ci się stąd zmywać i więcej się tu nie pokazywać. Zdobyłeś już wszystko, co można zdobyć w Filmie: jesteś sławny, jesteś bogaty i masz piękną młodą żonę. Zebrałeś wszystkie nagrody. Teraz nie stój i nie czekaj, aż ktoś ci je zabierze.

- Nie mam zamiaru - mówię mu, ale czuję, że ręka sama oparta mi się na kolbie rewolweru.

Wracam do saloonu. Siadam przy wolnym stoliku, szklaneczka whisky przede mną, cienkie, czarne meksykańskie cygaro w zębach. Zastanawiam się.

Mały Joe jedzie z południa. Pewnie liczy, że zastanie mnie tutaj w Comanche. Ale ja nie mam zamiaru czekać. Najbezpieczniej byłoby wracać tą samą drogą, którą przyjechałem, z powrotem do stacji Wells Fargo i tamtędy na świat. Ale nie zrobię tego. Opuszczę Plan w jego najdalszym, północno-zachodnim kącie przez Diabelski Most. Ciekawe, czy się domyślą...

Nagle na stół pada długi cień, ktoś nagle wszedł między mnie a światło, odruchowo staczam się z krzesła z odbezpieczonym rewolwerem w ręku, z palcem napiętym na spuście. Słyszę przestraszony, wysoki chłopiący głos:

- Oh, przepraszam, panie Washburn - To ten piegowaty pętaś z zadartym nosem, który przyglądał mi się wcześniej. Teraz z otwartymi ustami wpatruje się w wylot lufy mojego rewolweru, przestraszony i zresztą słusznie, jak przystoi komuś, kto wyrwał mnie nagle z rocznego marazmu.

Kciukiem spuszczam kurek mojej czterdziestki czwórki, wstaję, chowam broń, otrzepuję się,

podnoszę krzesło i siadam. Barman przynosi mi nową whisky.

- Synu - mówię do smarkacza - czy nikt ci nie mówił, że nie należy tak nagle podchodzić do człowieka? Powinienem być posłać cię do piekła z samej ostrożności.

- Przepraszam, panie Washburn - mówi. - Jestem tutaj nowy, nie wiedziałem. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam.

Niewątpliwie był świeży, wyglądał na kogoś prosto po Szkole Dzikiego Zachodu, którą wszyscy musimy przejść, zanim zostaniemy dopuszczeni na Plan. Ja byłem równie surowy przez pierwsze kilka tygodni.

- Któregoś dnia - mówi on - będę tak jak pan. Myślałem, że może zechce mi pan udzielić kilku wskazówek. Mam taki stary rewolwer...

Chłopak wyjmuje broń i znów reaguję bez zastanowienia, wytrącam mu rewolwer z dłoni i walę go pięścią w ucho.

- Niech cię szlag trafi! - krzyczę. - Czy nie masz za grosz oleju w głowie? Nigdy tak nie wyjmuj broni, jeżeli nie masz zamiaru jej użyć.

- Chciałem panu tylko pokazać mój rewolwer - mówi jeszcze z podłogi.

- Jak chcesz komuś pokazać rewolwer - mówię - to wyjmuj go bardzo powoli, trzymając palce z daleka od spustu. I najpierw powiedz co chcesz zrobić.

- Panie Washburn - mówi. - Naprawdę nie wiem co powiedzieć.

- Nic nie mów, tylko wynoś się stąd. Wyglądasz mi na kogoś, kto przynosi pecha. Idź i pokazuj swój przeklęty rewolwer komu innemu.

- Czy mam go pokazać Małemu Joe? - pyta wstając i otrzepując się z kurzu.

Patrzy na mnie. Ja milczę. Chłopak przetyka ślinę i czuje, że znów coś zrobił nie tak.

Powoli podnoszę się z krzesła.

- Czy zechciałbyś wytłumaczyć tę uwagę?

- Nic nie miałem na myśli.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie, panie Washburn. Bardzo przepraszam!

- Wynoś się stąd!- mówię i chłopak znika czym prędzej.

Podchodzę do baru. Barman trzyma w pogotowiu butelkę whisky, ale powstrzymuję go ruchem dłoni i nalewa mi piwo.

- Curly - mówię - wiem, że nie można nic na to poradzić, że się jest młodym, ale czy oni muszą być tacy głupi?

- Widocznie tak, panie Washburn.

Milczymy przez chwilę.

- Natchez Parker dał znać, że chciałby się z panem zobaczyć - mówi Curly.

- Dobrze - odpowiadam.

Zaciemnienie na: ranczo na skraju pustyni. W baraku kuchennym kucharz Chińczyk ostrzy noże.

Bud Farrell, jeden z kowbojów, siedzi na skrzynce i obiera kartofle. Podśpiewuje przy pracy, pochylając swoją długą końską twarz. Kucharz, nie zwracając na niego uwagi patrzy przez okno, mówi:

- Ktoś jedzie.

Bud Farrell wstaje, wygląda, drapie się po rozczochranej głowie, wygląda jeszcze raz.

- To nie ktoś, ty pogański żółtku, to coś więcej. To jest pan Washburn, to pewne jak to, że Bóg stworzył małe zielone jabłuszka!

Bud Farrell wstaje, podchodzi do głównego budynku, woła:

- Panie Parker! Jedzie do nas pan Washburn!

Washburn i Parker siedzą przy małym drewnianym stole nad parującymi kubkami kawy w saloniku Natcheza Parkera. Parker, wielki wąsaty mężczyzna, siedzi na krześle z indiańskim kocem

na kolanach. Jest sparaliżowany od pasa w dół z powodu starej rany postrzałowej w kręgosłup.

- I co, Washburn - mówi Parker - słyszałem o tobie i Małym Joe Potterze, jak wszyscy tutaj.

Będzie to nie byle jaki pojedynek. Żałuję, że nie będę mógł go zobaczyć.

- Sam bym chciał to zobaczyć.

- Gdzie to będzie?

- Pewnie w piekle. Parker pochylił się.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie mam zamiaru strzelać się z Małym Joe. Jadę do Diabelskiego Mostu i potem prosto przed siebie, daleko od Małego Joe i całego tego zakichanego Zachodu.

Parker pochyła się jeszcze bardziej i energicznie pociera swoją siwą czupryną. Jego duża twarz ściąga się nagle, jakby nadgryzł zgniłe jabłko.

- Uciekasz? - pyta.

- Właśnie - odpowiada Washburn.

Starzec krzywi się, odchrząkuje, spluwa na podłogę. - Nie myślałem, że kiedyś usłyszę coś takiego akurat od ciebie - mówi. - Nie myślałem, że kiedyś zobaczę, jak zdradzasz zasady, według których tak długo żyłeś:

- Natchez, to nigdy nie były moje zasady. One są przywiązane do roli. Teraz, kiedy kończę z rolą, zwracam razem z nią zasady.

Stary przeżuwa to przez chwilę i wreszcie mówi:

- Co się z tobą, do diabła, dzieje? Nagle ci tak zasmakowało życie? Czy tchórz cię obleciał?

- Nazywaj to jak chcesz - mówię mu. - Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć. Jestem ci to winien.

- Czy to nie wzruszające? - mówi Parker. - Jesteś mi coś winien, poza tym jest ci po drodze, więc postanowiłeś wpaść do mnie i powiadomić mnie, że uciekasz przed przechwalonym dzieciuchem, który ma na koncie jedną jedyną walkę.

- Zejdź ze mnie.

- Tom - mówi Parker - posłuchaj mnie.

Podnoszę głowę. Parker jest tutaj jedynym człowiekiem, który nazywa mnie po imieniu. Nie robi tego często.

- Wiesz - mówi - że przemówienia nie są moją specjalnością. Ale nie możesz tak sobie ni z tego, ni z owego uciec. Nie ze względu na innych, ale ze względu na siebie samego. Bo gdziekolwiek pójdziesz, od siebie się nie uwolnisz.

- Dam sobie jakoś radę - mówię mu. Parker potrząsa głową.

- Niech to diabli, jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? Pozwalają nam przebierać się i puszyć, jakby cały ten cholerny świat był naszą własnością. Płacą nam kupę forsy za to tylko, żebyśmy byli mężczyznami. Ale wszystko ma swoją cenę. My musimy być mężczyznami. Nie tylko wtedy, kiedy to jest łatwe, jak na początku. Musimy być mężczyznami do końca, niezależnie od tego, jaki to będzie koniec. My nie tylko odgrywamy te role, Tom, my je przeżywamy, poświęcamy im życie, jesteśmy nimi. Każdy może przebrać się za kowboja i przespacerować się Ulicą Główną. Ale nie każdy może nosić broń i używać jej.

- To było piękne przemówienie, Parker - mówię - ale za bardzo rozdałeś tę scenę. Wracaj do swojej roli i kończmy sprawę.

- Niech cię diabli - mówi Parker. - Mało mnie teraz obchodzi ta scena i cały film. Mówię do ciebie serio, Tom Washburn. Byliśmy jak bracia, odkąd przyszedłeś na Plan, przestraszony, potykający się o własne nogi wyrostek, który zdobył dla siebie miejsce samą odwagą. Nie mogę ci pozwolić uciec teraz.

- Kończę tę kawę - mówię - i odjeżdżam.

Natchez nagle skręca się na krześle, chwyta mnie za koszulę na piersi i przysuwa swoją twarz do mojej. W jego drugiej ręce widzę nóż.

- Bierz swój nóż, Tom. Wolę cię zabić własnoręcznie, niż pozwolić, żebyś odjechał jako tchórz.

Twarz Parkera tuż przy mojej, wytrzeszczone oczy, czuję kwaśny oddech starego. Przesuwam ciężar ciała na lewą nogę, prawą stawiam na skraju krzesła Parkera i mocno pcham. Krzesło przewraca się i widzę zdumienie na twarzy starego, który spada na podłogę. Wyciągam rewolwer i celuję mu między oczy.

- Na Boga, Tom - mówi.

Odciągam kurek.

- Ty głupi stary baranie - mówię - czy myślisz, że to jakaś zabawa? Straciłeś zręczność i zrobiłeś się gadatliwy, odkąd ta kula przejechała ci po kręgosłupie. Wydaje ci się, że są jakieś zasady gry i że ty je wszystkie znasz. Otóż nie ma radnych zasad. Nie mów mi, co ja mam robić i ja nie będę mówić tobie. Jesteś starym kaleką, ale jeżeli ze mną zaczniesz, będę walczyć po swojemu i załatwię cię tak, jak mi będzie wygodnie.

Naprężam palec na spuście. Parker wybałusza oczy, usta mu się trzęsą, próbuje nad sobą zapanować, ale bez skutku. Krzyczy, nie głośno, ale cienko, jak przestraszona dziewczyna.

Spuszczam kurek i chowam broń.

- No, dobrze - mówię. - Może teraz się obudziłeś i przypomniałeś sobie, jak to jest naprawdę.

Podnoszę go i podsuwam pod niego krzesło.

- Przykro mi, że tak wyszło, Natchez. Idę już.

W drzwiach przystaję i oglądam się za siebie. Parker szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Cieszę się, że ci ulżyło, Tom. Powinienem być pamiętać, że jesteś nerwowy. Wszyscy dobrzy są nerwowi. Ale w pojedynku wszystko będzie w porządku.

- Nie będzie żadnego pojedynku, ty stary idioto. Mówiłem ci już, że odchodzę.

- Powodzenia, Tom. Daj mu popalić!

- Idiota!

Wychodzę.

Na szczycie wzgórza pojawia się jeździec, pozwala koniowi samodzielnie wybierać drogę w dół zbrocza ku pustyni. Cichy świst wiatru, błyski miki, piasek ukształtowany w długie, kręte wydmy.

W promieniach południowego słońca jeździec mija gigantyczne formacje skalne wyrzeźbione przez wiatr w fantastyczne kształty. Wieczorem jeździec zsiada z konia i ogląda jego kopyta.

Pogwizdując bezgłośnie pod nosem nalewa wody z manierki do kapelusza, poi konia, zakłada kapelusz i sam pije oszczędnie. Pęta konia i rozkłada się do snu. Siedząc przy małym ognisku ogląda zachód nabrzmiałego pustynnego słońca. Jest wysokim, szczupłym mężczyzną w zniszczonym kapeluszu i z czterdziestką czwórką z rogową rękojeścią przypiętą do prawego uda.

Brinstone: opuszczona górnicza osada na północno-wschodnim krańcu Planu. Nad miasteczkiem wznosi się Diabelski Most - naturalna formacja skalna w postaci szerokiego, lekko pochyłego mostu. Jego dalszy koniec, tu niewidoczny, jest mocno zakotwiczony za granicą Planu - w odległości dwustu metrów i stu pięćdziesięciu lat.

Przybywam na kulejącym koniu. Ludzi tu niewiele, ale dostrzegam jedną znajomą twarz: to ten cholerny piegus. Musiał ostro jechać, żeby znaleźć się tu przede mną. Mijam go bez słowa.

Siedząc na koniu podziwiam przez chwilę Diabelski Most. Pięć minut jazdy na drugą stronę i opuszce Zachód na dobre, skończę z tym wszystkim, z dobrym i złym, ze strachem i śmiechem, z długimi, powolnymi dniami i niebezpiecznymi nocami: Za kilka godzin będę z Consuelą, będę czytał gazety oglądał telewizję...

Jeszcze tylko ostatni, pożegnalny łyk whisky i zmywam się stąd.

Zatrzymuje konia przed saloonem. Na ulicy jest teraz para osób, które mi się przyglądają.

Wchodzę do saloonu.

Przy barze stoi jeden człowiek. Jest niski i krepki, ubrany w czarną skórzaną kamizelkę i bawołą czapę człowieka z gór. Odwraca się ma za pasem jeden rewolwer bez kabury. Widza go po raz

pierwszy, ale wiem, kto to jest.

- Uszanowanie, panie Washburn - mówi.

- Jak się masz, Mały Joe - odpowiadam.

Pytającym gestem unosi butelkę. Kiwam głową. Sięga pod bar, wyjmując drugą szklankę, nalewa mi. Popijamy w milczeniu.

Po chwili mówię:

- Mam nadzieję, że nie miałeś kłopotów ze znalezieniem mnie?

- Tylko trochę - odpowiada Mały Joe. Jest starszy niż myślałem, koło trzydziestki. Ma twardą, kanciastą twarz, wydatne kości policzkowe, czarne wąsy. Pociąga ze swojej szklanki, a potem zwraca się do mnie bardzo grzecznie: - Panie Washburn, doszły mnie plotki, którym nie chciałem wierzyć. Mówią, że chce pan wyjechać z tego terytorium i to w pośpiechu.

- To prawda - odpowiadam mu.

- Mówią też, że nie zamierzał pan przed wyjazdem zobaczyć się ze mną?

- To też prawda, Mały Joe. Uznałem, że nie mam dla ciebie czasu. Ale i tak się spotkaliśmy.

- Rzeczywiście - mówi Mały Joe. Gładzi końce wąsów i chwyta się za koniec nosa. - Prawdo mówiąc, panie Washburn, po prostu nie mogę uwierzyć, że nie chce pan ze mną zatańczyć. Wiem o panu wszystko, panie Washburn, i po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- A jednak to prawda, Joe - mówię do niego. - Kończę te whisky, a potem wychodzę przez te drzwi, wsiadam na konia i jada przez Diabelski Most.

Mały Joe znów pociąga się za nos, marszczy czoło i zsuwa kapelusz z czoła.

- Nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś usłyszysz coś takiego na własne uszy.

- A ja bym nie uwierzył, że kiedyś coś takiego powiem.

- Naprawdę nie chce pan się ze mną zmierzyć? Kończę whisky i odstawiam szklankę na bar.

- Trzymaj się, Mały Joe - mówię i ruszam do drzwi. - Jeszcze tylko jeden drobiazg - mówi Mały

Joe. Odwracam się. Mały Joe odszedł o krok od baru, obie ręce ma na widoku.

- Nie mogę pana zmusić do pojedynku, panie Washburn, ale zawarłem pewien zakład w sprawie tego pańskiego kapelusza.

- Słyszałem.

- I dlatego, mimo że jest mi z tego powodu niewymownie przykro, muszę go mieć.

Stałem naprzeciwko niego nic nie mówiąc.

- Panie Washburn - mówi Mały Joe - nie ma co tak stać i patrzeć. Niech mi pan da ten kapelusz albo próbuje szczęścia.

Zdejmuje kapelusz, ocieram go o rękaw i puszczam w jego stronę. Łapie go nie spuszczając ze mnie oka.

- Niech mnie diabli - mówi.

- Trzymaj się, Mały Joe - mówię i wychodzą z saloonu.

Przed saloonem zebrała się gromadka gapiów. Stali i czekali rozmawiając przyciszonymi głosami. Drzwi saloonu rozchylają się i wychodzi przez nie wysoki, chudy mężczyzna z gołą głową. Na prawym udzie ma przypiętą czterdziestka czwórko i wygląda, jakby umiał się nią posługiwać. Ale nie skorzystał z tej umiejętności.

Pod uważnym wzrokiem tłumu Washburn odwiązuje swojego konia, dosiada go i zwraca w stronę mostu. Drzwi saloonu rozchylają się ponownie. Wychodzi przez nie niski, przysadzisty mężczyzna o twardych rysach, trzymając w ręku zniszczony kapelusz. Patrzy na odjeżdżającego mężczyznę.

Washburn daje ostrogę koniowi, który waha się przez chwile, a potem wchodzi na kamienny most. Trzeba stale przynaglać konia, żeby wszedł po pochyłej zwirowej powierzchni do połowy mostu. Tutaj Washburn zatrzymuje konia albo pozwala mu stanąć. Siedzi w najwyższym punkcie krzywizny mostu, w przejściu między dwoma światami, ale nie patrzy na żaden z nich. Wyciąga

raka, żeby poprawić rondo kapelusza i ze zdziwieniem stwierdza, że jest z gołą głową. Drapie się z rozmysłem w czoło, jak człowiek, któremu się nigdzie nie śpieszy. Potem zawraca konia i zjeżdża z powrotem do Brinstone.

Tłum obserwuje zbliżającego się Washburna. Ludzie stoją w milczeniu, bez ruchu. Potem, zrozumiałwszy, co się tu będzie za chwile działo, rozbiegają się szukając ukrycia za wozami i korytami z wodą, kucają za workami.

Na zakurzonej ulicy zostaje tylko Mały Joe Potter. Przygląda się, jak Washburn zsiada, odpędza konia z linii ognia i wolno kroczy w jego stronę.

- Hej, Washburn! - woła Mały Joe. - Wrócił pan po kapelusz?

Washburn obnaża zęby w uśmiechu i potrząsa głową.

- Nie, Mały Joe, wróciłem, bo to jest nasz taniec.

Obaj wybuchają śmiechem, jakby to był jakiś znakomity dowcip. Potem, nagle, obaj Biegają po broń. Ogłuszający huk ich czterdziestek czwórek przetacza się przez miasteczko. Dym i kurz przesłaniają pojedyńkowiczów.

Dym rozwiewa się. Obaj mężczyźni stoją. Broń Małego Joe skierowana jest w dół. Chce ją okręcić na palcu i patrzy, jak rewolwer wypada mu z dłoni. Potem sam osuwa się na ziemię.

Washburn chowa broń, podchodzi do Małego Joe, przyklęka i unosi jego głowę.

- Niech to diabli - mówi Mały Joe - to był krótki taniec, co, panie Washburn?

- Za krótki - odpowiada Washburn. - Przykro mi, Joe...

Ale Mały Joe już tego nie słyszy. Oczy zaszły mu mgłą, ciało znieruchomiało. Krew sączy się z dwóch dziur w piersi i wycieka na piasek z dwóch dużych ran wylotowych w plecach.

Washburn wstaje, podnosi swój kapelusz, otrzepuje go, zakłada na głowę. Podchodzi do swojego konia. Ludzie wychodzą z ukrycia, słysząc gwar rozmów. Washburn wkłada jedną nogę w strzemię, zaczyna wsiadać.

W tym momencie odzywa się drżący, cienki głos:

- Hej, Washburn, broń się!

Washburn z twarzą nagle stężałą obraca się na pięcie, żeby uwolnić prawą rękę i jednocześnie zejść z linii strzału. Nawet w tej nieprawdopodobnej pozycji udaje mu się wyciągnąć rewolwer i odwrócić twarz do piegoatego chłopaka, który stoi w odległości dziesięciu jardów z wymierzoną bronią i strzela.

W głowie Washburna wybuchają słońce, słyszy rzenie swojego konia, zapada się przez piaszczystą podłogę świata, kule biją w jego ciało z odgłosem rzeźnickiego tasaka uderzającego na płask ćwiartko wołowiny. Świat się rozpada, maszyna do robienia obrazów zostaje rozbita, oczy jak strzaskane soczewki odbijają nagłą zagładę świata. Jeszcze rozbłysk czerwonego światła jak ostatnie ostrzeżenie i już tylko czerń.

Widz i aktor w jednej osobie patrzy jeszcze przez chwila na ciemny ekran, poprawia się w fotelu, pociera podbródek. Wygląda na człowieka, którego coś droczy. W końcu mu się odbija. Wyciąga rękę i wyłącza ekran.

Przełożył Lech Jęczmyk

Wiatr się wzmaga

Na zewnątrz wiatr się wzmagał, lecz dwóch mężczyzn we wnętrzu stacji miało myśli zajęte czymś innym. Clayton odkręcił kurek z wodą i czekał, ale woda nie leciała.

- Spróbuj uderzyć - powiedział Nerishev.

Clayton trzepnął kurek pięścią. Spadły dwie krople. Trzecia drżała u ujścia tulejki, wreszcie zakołysała się i spadła. To było wszystko.

- No i klops - stwierdził Clayton. - Ta cholerna rura jest znowu zatkana. Jaki mamy zapas wody?

- Cztery galony, pod warunkiem, że zbiornik nie zaczął znów przeciekać - odparł Nerishev.

Wpatrywał się w kurek przebierając niespokojnymi palcami. Był to duży mężczyzna z rzadką

brodą, który mimo swego wzrostu wyglądał dość niepozornie. Nie wydawał się człowiekiem zdolnym do kierowania stacją obserwacyjną na odległej i obcej planecie. Jednakże Korpus Eksploracyjny już dawno przekonał się, iż nie istnieje typ człowieka, który by się do tego nadawał. Nerishev był dobrym biologiem i botanikiem. Mimo iż wiecznie niespokojny, posiadał zadziwiające zdolności opanowania. Był człowiekiem, który dopiero w trudnych sytuacjach pokazywał, co potrafi. Ta cecha sprawiała, że mógł nadawać się do eksploracji planety takiej jak Carella I.

- Sądzę, że ktoś powinien wyjść i odblokować wodociąg - powiedział Nerishev, nie patrząc na Claytona.

- Ja też tak sądzę - odrzekł Clayton uderzając ponownie w kurek - ale na zewnątrz musi być koszmar. Posłuchaj tylko!

Clayton był niskim, silnie zbudowanym mężczyzną o białym karku i czerwonej twarzy.

Odbywał trzecią turę służby w charakterze obserwatora planetarnego - choć pierwszy raz na Carelli.

Próbował już innych robót w Korpusie Eksploracyjnym, ale żadna mu nie odpowiadała. PPP -

Podstawowa Penetracja Pozaziemska - stawiała go wobec zbyt wielu nieprzyjemnych niespodzianek. To była praca - jego zdaniem - dla szaleńców i straceńców. Z kolei Obsługa Baz była zdecydowanie za bardzo jednostajna i ograniczająca.

Lubił natomiast pracę obserwatora planetarnego. Jego zadaniem było twardo siedzieć na planecie świeżo "otwartej" przez chłopców z PPP i sprawdzonej przez szperacza. Jedyne co musiał robić, to ze stoickim spokojem znosić niewygodę i umiejętnie utrzymywać się przy życiu. Po roku czegoś takiego przybywał wahadłowiec, by go zabrać. Na podstawie jego raportu decydowano, czy dalsze działania będą podjęte, czy nie.

Przed każdym ponownym kontraktem Clayton solennie obiecywał swojej żonie, że to już ostatni

raz, że zostanie na Ziemi i będzie pracował na swej niewielkiej farmie. Obiecywał...

Jednak gdy kolejny urlop się kończył, Clayton znów wyruszał, by robić to, co umiał najlepiej: utrzymywać się przy życiu dzięki wprawie i wytrzymałości.

Ale tym razem naprawdę miał już dość. I on, i Nerishev byli już od ośmiu miesięcy na Carelli, a wahadłowiec miał przybyć dopiero za cztery. Jeśli wyjdzie z tego żywy, zrezygnuje na dobre.

- Posłuchaj tylko tego wiatru - powiedział Nerishev. Stłumiony i odległy, wzdychał i mruczał wokół stalowej kopuły stacji jak zefir, jak letni wietrzyk.

Tak to brzmiało dla nich, wewnątrz stacji, oddzielonych od wiatru trzema calami stali i warstwą dźwiękoszczelną. - Wzmaga się - stwierdził Clayton. Podeszedł do elektronicznego wiatromierza.

Instrument wskazywał, że ten łagodnie brzmiący wietrzyk wiał ze stałą prędkością osiemdziesięciu dwu mil na godzinę.

Łagodny wietrzyk - jak na Carellę.

- Ech, chłopie! - zaczął Clayton - wcale mi się nie chce wychodzić. Za nic bym tam nie wyszedł.

- Teraz twoja kolej - zauważył Nerishev.

- Wiem, ale może pozwoliłbyś mi przynajmniej trochę ponarzekać? No dobra, chodźmy do

Smanika po prognozę. Ich kroki rozległy się echem na stalowej podłodze, gdy

szli przez stację mijając przedziały mieszczące żywność, zapasy tlenu, aparaturę, sprzęt

dotychczasowy. Gdy dotarli do ciężkich metalowych drzwi prowadzących do altany recepcyjnej,

nasunęli maski i wyregulowali dopływ tlenu.

- Gotów? - spytał Clayton. - Gotów.

Zebrali się w sobie i chwycili klamry przy drzwiach. Clayton dotknął sworznia, drzwi rozsunęły się i podmuch wiatru wtargnął do środka.

Mężczyźni pochylili głowy, przygotowując się na atak wiatru, i weszli.

Altana o wymiarach mniej więcej trzydzieści na piętnaście stóp była przedłużeniem stacji i w

przeciwieństwie do pozostałej części była otwarta. Ściany stanowiła ażurowa konstrukcja stalowa ze wstawionymi przegrodami. Nie chroniła od wiatru, ale zwalniała jego prędkość, która wewnątrz altany wynosiła tylko trzydzieści cztery mile na godzinę.

Clayton uważał za cholerną niedogodność konieczność rozmawiania z mieszkańcami Carelli w takiej wichurze. Niestety nie było innego wyjścia. Carellanie, wychowani na planecie, gdzie wiatr zawsze wiał z prędkością nie mniejszą niż siedemdziesiąt mil na godzinę, nie byli w stanie znieść "martwego" powietrza wewnątrz stacji. Nie mogli się przystosować nawet, jeśli zawartość tlenu obniżono do carellańskiej normy. Wewnątrz stacji stawali się lękliwi i niespokojni, a po krótkim czasie dusili się jak człowiek w próżni.

Clayton i Nerishev szli przez altanę. W rogu leżało coś, co wyglądało jak kłębowisko wysuszonych ośmiornic. Kłębowisko to poruszyło się i ceremonialnie zamachało dwiema mackami.

- Dzień dobry - powiedział Smanik.

- Dzień dobry. Co myślisz o pogodzie? - spytał Clayton. - Wspaniała - odrzekł Smanik.

Nerishev pociągnął Claytona za rękaw.

- Co on powiedział? - spytał i pokiwał głową w zamyśleniu, gdy Clayton przetłumaczył. Nerishev nie miał takiej zdolności do języków jak Clayton. Nawet po ośmiu miesiącach język carellański był dla niego niezrozumiałym strumieniem trzasków i gwizdów.

Kilku innych Carellan przyłączyło się do rozmowy. Wszyscy wyglądali jak pająki lub ośmiornice ze swoimi okrągłymi i długimi, giętkimi mackami. Był to jednak optymalny kształt umożliwiający przeżycie na Carelli i Clayton często im tego zazdrościł. On zmuszony był całkowicie polegać na schronieniu, jakie dawała stacja.

Często widywał ich spacerujących pod wiatr o sile tornada; siedmioma lub ośmioma mackami wczepiali się w grunt, a pozostałe kończyny szukały kolejnego oparcia. Widział również, jak

toczyli się z wiatrem, owinąwszy macki wokół ciała na kształt wyplatanego koszyka. Pomyślał i o tym, jak wesoło i odważnie sterowali swymi okrętami, radośnie mknąc z wiatrem...

Jednak na Ziemi wyglądałoby cholernie głupio.

- Na jaką pogodę się zanosi? - spytał Smanika. Carellanin podmuchał chwilę, powąchał wiatr i zatarł macki.

- Wiatr może się trochę wzmóc - powiedział w końcu. - Ale to nie będzie nic poważnego.

Clayton zastanowił się chwilę; n i c p o w a ż n e g o dla Carellanina mogło oznaczać katastrofę dla mieszkańca Ziemi. Jednak mimo wszystko brzmiało to dość optymistycznie.

Obaj z Nerishevem opuścili altanę recepcyjną i zamknęli drzwi.

- Słuchaj - rzekł Nerishev - jeśli chciałbyś przeczekać...

- Równie dobrze mogę mieć już to z głowy - burknął Clayton.

W magazynie marnie oświetlonym jedną żarówką piętrzył się gładki i błyszczący korpus

Bydlaka. Takie przezwisko nadali pojazdowi skonstruowanemu specjalnie do poruszania się po Carelli.

Bydlak był opancerzony jak czołg i wspaniale areodynamiczny. Luki obserwacyjne z pancernymi szybami, oczywiście odpowiednio grubymi, dorównywały wytrzymałością jego stalowym osłonom. Środek ciężkości miał nisko, większa część jego dwunastu ton skupiała się blisko ziemi.

Bydlak był znakomicie uszczelniony. Tak jego ciężki diesel, jak i wszystkie niezbędne otwory zaopatrzone były w specjalne okrycia przeciwpalne. Spoczywał na sześciu potężnych kołach, sprawiając wrażenie jakiegoś prehistorycznego potwora. Clayton wsiadł, założył kask, gogle i przypiął się pasami do fotela. Zapalił silnik, posłuchał, jak pracuje, po czym skinął głową.

- Okay - powiedział. - Bydlak już gotów. Skocz na górę i otwórz drzwi.

- Powodzenia! - powiedział Nerishev i poszedł. Clayton rzucił okiem na tablicę przyrządów sprawdzając, czy wszystkie specjalne urządzenia Bydlaka są sprawne. W chwilę później usłyszał

przez radio głos Nerisheva.

- Otwieram drzwi. - W porządku.

Ciężkie drzwi rozsunęły się i Clayton wyprowadził Bydlaka na zewnątrz.

Stacja była położona na rozległej, pustej równinie. Góry zapewniałyby jakąś ochronę przed wiatrem, lecz góry na Carelli znajdowały się w niespokojnym stadium powstawania i rozpadania.

Równina miała jednak też i swoje niebezpieczeństwa. By zapobiec najgorszemu z nich, wokół stacji blisko siebie usytuowane słupy pochylone były na zewnątrz, jak w antycznych zaporach przeciwczołgowych, i służyły podobnemu celowi.

Clayton prowadził Bydlaka przez pole słupów wąskimi, krętymi kanałami. Gdy wydostał się, odnalazł rurociąg i podążył wzdłuż niego. Lampka sygnalizowała każde jego przerwanie lub blokadę.

Przed nim rozciągała się rozległa i monotonna skalista pustynia. Czasami pojawiał się niski krzak. Wiatr, zagłuszany dźwiękiem diesla, wiał dokładnie zza jego pleców.

Spojrzał na wiatromierz. Carellański wiatr wiał z szybkością dziewięćdziesięciu dwu mil na godzinę.

Clayton posuwał się stale naprzód, nucąc pod nosem. Od czasu do czasu słyszał łomot. Kamienie niesione huraganem uderzały o Bydlaka i grzechotały nieszkodliwie o jego grube opancerzenie.

- Wszystko w porządku? - spytał Nerishev przez radio. - W porządku - odpowiedział Clayton.

W pewnej odległości zobaczył carellański okręt naziemny. Ocenił jego długość na jakieś czterdzieści stóp. Smukły, mknął gładko na swych topornych drewnianych rolkach. Żagle zrobione były z jednego z nielicznych na tej planecie liściastych krzewów.

Carellanie machali mackami mijając go. Zdawali się podążać w kierunku stacji.

Clayton skierował uwagę z powrotem na rurociąg. Zaczynał już słyszeć wycie wichru przez ryk diesla. Elektroniczny wiatromierz pokazywał, że wiatr wzmógł się do dziewięćdziesięciu siedmiu

mił na godzinę.

Ponuro wpatrywał się w zapiaszczoną szczelinę okna. W oddali majaczyły wyszczerbione wzgórza, niezbyt wyraźnie widoczne przez unoszący się kurz. Coraz więcej kamieni, głucho łomocząc, odbijało się od kadłuba pojazdu. Spostrzegł kolejny carellański okręt i potem jeszcze trzy. Uparcie halsowały pod wiatr.

Uderzyło Claytona, że wielu Carellan kierowało się ku stacji. Nawiązał łączność z Nerishevem.

- Jak ci leci? - spytał Nerishev.

- Jestem już blisko źródła i jak na razie nie ma uszkodzenia - zameldował Clayton. - Wygląda na to, że sporo Carellan udaje się w twoim kierunku.

- Wiem. Sześć okrętów jest przycumowanych do zewnętrznej strony stacji i jeszcze więcej nadciąga.

- Dotychczas nie mieliśmy żadnych kłopotów z tubylcami. Jak to wszystko wygląda?

- Przywieźli ze sobą jedzenie. Może to jakaś uroczystość... - Może. Uważaj na siebie.

- Nie martw się. Ty uważaj i spiesz się...

- Znalazłem miejsce awarii! Później pogadamy Uszkodzenie zasygnalizowała lampka na ekranie.

Wyglądając przez luk Clayton dostrzegł miejsce, gdzie gładki przewód przetoczył się przez rurę, miażdżąc go poleciał dalej.

Zatrzymał pojazd po nawietrznej stronie rury. Wiało sto trzydzieści trzy mile na godzinę. Clayton wysliznął się z pojazdu mając ze sobą parę kawałków rury, kilka łączników, lampę lutowniczą i torbę z narzędziami. Wszystko było do niego poprzywiązywane, a on sam był przymocowany do Bydlaka mocną nylonową linką.

Na zewnątrz wicher był ogłuszający. Grzmiał i ryczał jak łamiąca się fala. Clayton zwiększył dopływ tlenu i przystąpił do pracy.

W dwie godziny później zakończył piętnastominutową naprawę. Ubranie miał postrzępione i

wylot maski tlenowej całkiem zatkany kurzem.

Wspiął się z powrotem do Bydlaka, uszczelnił luk i położył się na podłodze, by odpocząć. Pojazd zaczął dygotać w porywach wiatru. Clayton zignorował to.

- Clayton!... Clayton!... - wołał Nerishev przez radio. Clayton ociężale wspiął się na fotel kierowcy i potwierdził odbiór.

- Spiesz się z powrotem! Nie ma czasu na odpoczynek! Wiatr doszedł do stu trzydziestu ośmiu! Sądzę, że nadchodzi burza!

Burza na Carelli było to coś, o czym Clayton nie chciał nawet myśleć. W ciągu ośmiu miesięcy doświadczył tylko jednej. Wiatr przekroczył wtedy sto sześćdziesiąt mil na godzinę.

Zawrócił pojazd i ruszył z powrotem, jadąc prosto pod wiatr. Przy pełnej mocy posuwał się naprzód bardzo powoli. Trzy mile na godzinę to było wszystko, co ciężki diesel mógł zdziałać przy takim wietrze. Uporczywie patrzył przed siebie przez szczelinę okna. Wiatr, pod postacią długich serpentyn kurzu i piasku, zdawał się nacierać prosto na niego; jakby przez ogromny lejek kierowany był dokładnie w jego małe okienko. Porwane przez wiatr skały leciały ku niemu, rosły coraz to większe i uderzały w pancerną szybę. Nie mógł powstrzymać się od robienia uników za każdym razem, gdy któryś nadlatywał.

Ciężki silnik zaczął krztusić się i pracować z wysiłkiem. - Och, złotko! - szepnął Clayton - nie zepsuj się teraz! Nie teraz! Dowieź tatusia do domu i w t e d y się zepsuj. Proszę!

Był około dziesięciu mil od stacji, która leżała prosto pod wiatr.

Usłyszał dźwięk jakby lawiny staczającej się w dół stoku. Wydawał go głaz wielkości stodoły.

Zbyt ciężki, by wiatr go uniósł, toczył się wprost na niego, złościąc koleinę w skalistym gruncie.

Clayton skręcił kierownicą. Silnik pracował ciężko i nieskończenie wolno pojazd zjeżdżał z drogi głazu. Dygocąc Clayton patrzył na pędzącą skałę. Jedną ręką trzepnął deskę rozdzielczą.

- Rusz się, złotko, rusz się!

Z głuchym łomotem gład potoczył się obok niego z prędkością dobrych trzydziestu mil na godzinę.

- Za blisko - powiedział Clayton do siebie. Spróbował skierować Bydlaka z powrotem pod wiatr, w kierunku stacji. Nie dał rady.

Diesel wysiłał się i wył, starając się odwrócić ciężki pojazd pod wiatr. A wiatr, jak twarda szara ściana, wciąż go odpychał.

Wskaźnik prędkości wiatru stał na liczbie 159.

- Jak sobie radzisz? - spytał Nerishev przez radio. - Wspaniale! Odczep się, jestem zajęty.

Clayton zaciągnął hamulce, odpiął pasy i pogonił w tył, do silnika. Ustawił zapłon i skład mieszanki i pośpiesznie wrócił do wskaźników.

- Hej, Nerishev! Ten silnik zaraz wysiądzie!

Minęła cała sekunda, zanim Nerishev odezwał się. Bardzo spokojnie zapytał:

- Co się z nim dzieje?

- Piasek! - powiedział Clayton. - Cząstki piasku niesione z prędkością stu pięćdziesięciu dziewięciu mil na godzinę; piasek jest w łożyskach, w dyszach, wszędzie. Dojadę najdalej, jak będę mógł.

- A potem?

- Potem spróbuję przyzeglować - odrzekł Clayton. - Mam tylko nadzieję, że maszyna wytrzyma.

Popatrzył uważnie na wskaźniki. Przy takich prędkościach wiatru pojazd trzeba było traktować jak statek na morzu. Clayton nabrał prędkości przy bocznym kursie, po czym skręcił pod wiatr.

Bydlak tym razem podołał.

Clayton zdecydował, że było to najlepsze, co mógł zrobić. Przez godzinę Bydlak parł naprzód halsując. Przemierzał trzy mile, by przybliżyć się o dwie. Jakimś cudem silnik nadal działał.

Clayton błogosławił producenta i błagał motor, by wytrzymał jeszcze trochę.

Przez oślepiającą zasłonę piasku zobaczył kolejny carellański okręt naziemny. Miał zrefowane żagle i był niebezpiecznie przechylony. Parł jednak uparcie do przodu, pod wiatr, i wkrótce go przegonił.

Szczęśliwcy, pomyślał Clayton, sto sześćdziesiąt pięć mil na godzinę to dla nich żeglarski wietrzyk!

Mógł już dostrzec przed sobą szarą półkulę stacji.

- Musi mi się udać! - wykrzyknął. - Szykuj trunki, stary. Tatko się dzisiaj urznie!

Diesel wybrał akurat ten moment, by zepsuć się na dobre. Clayton zaklął gwałtownie i zahamował. Co za cholerne szczęście! Gdyby miał wiatr za sobą, mógłby się dotoczyć. Ale oczywiście musiało wiać mu prosto w nos.

- Co teraz masz zamiar robić? - zapytał Nerishev. - Mam zamiar siedzieć tutaj - odrzekł Clayton.

- Kiedy wiatr przycichnie do huraganowego, przespaceruję się do domu.

Dwanaście ton Bydlaka drżało i klekotało w porywach wiatru.

- Wiesz - powiedział Clayton - zamierzam przejść na emeryturę, kiedy ta tura się skończy.

- Żartujesz. Naprawdę masz taki zamiar?

- Oczywiście. Mam farmę w Maryland nad zatoką Cheasapeake. Wiesz, co mam zamiar robić?

- Co?

- Hodować ostrygi. Widzisz, ostryga... czekaj...

Stacja zdawała się odpływać powoli, pod wiatr, coraz dalej od niego. Clayton przetarł oczy, zastanawiając się, czy przypadkiem nie wariuje. I wtedy zdał sobie sprawę, że pomimo hamulców, pomimo opływowych kształtów, wiatr odpychał pojazd coraz dalej od stacji.

Ze złością wcisnął guzik na tablicy, zwalniając prawą i lewą kotwicę. Usłyszał głośnie uderzenie kotwic, słyszał, jak stalowej liny trzeszczą i zgrzytają. Wypuścił sto siedemdziesiąt stóp stalowej liny i zaciągnął windy hamulcowe. Pojazd znów się zatrzymał.

- Rzuciłem kotwice - rzekł Clayton. - Trzymają?

- Jak na razie. - Clayton zapalił papierosa i odchylił się w fotelu do tyłu. Każdy mięsień bolał go z napięcia. Powieki mu drgały od wpatrywania się w linie wiatru biegnące ku niemu. Zamknął oczy i próbował odpocząć.

Wycie wichru przebijało się przez stalowy pancerz Bydlaka. Wiatr zawodził i jęczał szarpiąc pojazdem i starając się znaleźć punkt zaczepienia na gładkiej powierzchni. Przy stu sześćdziesięciu dziewięciu milach na godzinę osłony wentylatora zostały zdmuchnięte. Clayton pomyślał, że gdyby nie maska i hermetyczne gogle, zostałby oślepiiony i zaduszony. Piasek kłębił się w kabinie Bydlaka.

Kamienie niesione z prędkością kul karabinowych grzechotały o osłonę. Uderzały teraz mocniej.

Zastanawiał się, o ile większej siły potrzeba, by zaczęły przebijać pancerne pokrycie.

W takich wypadkach jak ten z trudnością przychodziło Claytonowi zachowanie zdrowego rozsądku. Był boleśnie świadom delikatności ludzkiego ciała, zatrwożony potencjalną brutalnością wszechświata. Co on tu robi? Miejsce człowieka było wśród cichego, spokojnego powietrza Ziemi. Jeśli kiedykolwiek wróci...

- Trzymasz się jakoś? - spytał Nerishev.

- Wprost wspaniale - odpowiedział Clayton ze znużeniem. - Jak w stacji?

- Nie bardzo. Cała konstrukcja wchodzi w rezonans. Odpowiedni wiatr przez wystarczająco długi czas i fundamenty się rozlecą.

- A oni chcą postawić tu stację paliwową! - powiedział Clayton.

- Hm, przecież znasz sytuację. Jest to jedyna stała planeta pomiędzy Angarsą III i Południowym Grzbietem. Wszystkie pozostałe to gazowe giganty.

- Lepiej by zbudowali stację w przestrzeni. - Koszt...

- Do diabła, człowieku, mniej by kosztowało zbudowanie nowej planety, niż utrzymanie bazy

paliwowej na tej! - Clayton wypluł z ust piasek. - Chcę tylko dostać się na wahadłowiec. Ilu

tubylców jest teraz w stacji?

- Około piętnastu, w altanie. - Jakież symptomy agresji?

- Nie, ale dziwnie się zachowują.

- Czemu?

- Nie wiem - odpowiedział Nerishev. - Po prostu nie podoba mi się to.

- Nie zbliżaj się do altany, dobra? Nie znasz nawet języka, a chcę cię zastać, kiedy wrócę. -

Zawahał się. - Jeżeli wrócę...

- Dasz sobie radę - odrzekł Nerishev. - Na pewno. Ja... o Boże!

- Co się stało?

- Głaz się toczy. Później pogadamy.

Przyglądał się głazowi, gwałtownie rosnącej czarnej plamce. Zmierzał dokładnie w kierunku zakotwiczonego i unieruchomionego pojazdu. Nieprawdopodobne - sto siedemdziesiąt cztery mile na godzinę! A jednak przypominał sobie, że na Ziemi, w wąskim pasie silnych wiatrów równoleżnikowych na wysokościach substratosferycznych, wiatry dochodzą do dwustu mil na godzinę.

Głaz, wielki jak dom i wciąż ogromniejący, toczył się wprost na niego.

- Skręć! Z drogi! - wrzeszczał Clayton, waląc pięścią w tablicę rozdzielczą.

Skała toczyła się z wiatrem prosto jak po sznurku.

Z jękiem udręki Clayton wcisnął guzik zwalniający obie kotwice na końcu liny. Nie było czasu na zwinięcie ich, nawet zakładając, że wyciągarka wytrzymałaby to obciążenie. Głaz rósł w oczach.

Clayton zwolnił hamulce.

Bydlak popychany przez wiatr wiejący sto siedemdziesiąt osiem mil na godzinę zaczynał nabierać szybkości. Po chwili już poruszał się z prędkością trzydziestu ośmiu mil na godzinę.

Clayton obserwował w lusterku wstecznym, jak gład go dogania.

Gdy skała była tuż, Clayton skręcił kierownicę mocno w lewo. Pojazd przechylił się niebezpiecznie, skręcił, zatańczył na gruncie i usiłował się wywrócić. Clayton zmagął się z kierownicą, starając się, by Bydlak złapał równowagę. Pomyślał: jestem chyba pierwszym człowiekiem, który stanął dęba dwunastotonowym pojazdem.

Gład wielkości wieżowca przegrzmiał obok. Ciężki pojazd kołysał się jeszcze przez chwilę, po czym opadł na wszystkie sześć kół.

- Clayton! Co się stało? Co z tobą?

- Wszystko w porządku - sapnął Clayton. - Ale musiałem wypuścić liny. Toczę się z wiatrem.

- Możesz skręcić?

- O mało co się nie wywróciłem próbując. - Ile masz jeszcze miejsca?

Clayton popatrzył przed siebie. W oddali majaczyła czarna skalna ściana obramowująca równinę.

- Mam jeszcze około piętnastu mil, zanim wpakuję się na skały. Niezbyt wiele czasu przy szybkości, z którą się poruszam. - Zaciągnął hamulce. Upony zaczęły piszczeć, wściekle dymiły.

Jednak wiatr wiejący sto osiemdziesiąt trzy mile na godzinę zdawał się nawet nie zauważać różnicy. Pojazd zwiększył prędkość do czterdziestu czterech mil.

- Spróbuj poześlować - powiedział Nerishev. - Nie da rady.

- Spróbuj, człowieku! Co innego możesz zrobić? Tutaj wiatr dobił do stu osiemdziesięciu pięciu.

Cała stacja się trzęsie! Głazy rozwalają całą barierę z pali. Obawiam się, że niektóre mogą się przedostać i zgnieść...

- Dość! Mam własne zmartwienie.

- Nie wiem, czy stacja wytrzyma! Clayton, słuchaj mnie. Spróbuj...

Radio nagle i niepokojąco zamilkło.

Clayton walnął w nie kilka razy i dał spokój. Prędkość Bydlaka osiągnęła czterdzieści dziewięć

mil na godzinę. Skała była zastraszająco blisko.

- No dobra - rzekł Clayton. - Spróbujemy.

Zwolnił ostatnią kotwicę, takie awaryjne maleństwo. Na całej długości dwustu pięćdziesięciu stóp stalowa lina przyhamowała go do trzydziestu mil. Kotwica puszczała i darła grunt jak odrzutowy pług.

Clayton włączył teraz mechanizm żaglowy, który zainstalowany został przez ziemskich inżynierów na podstawie teorii podobnej do tej, według której niewielkie oceaniczne motorowce wyposażone są w mały maszt i dodatkowy żagiel. Żagle są ubezpieczeniem na wypadek, gdyby motor wysiadł. Na Carelli człowiek nigdy nie byłby w stanie dojść piechotą do bazy z unieruchomionego pojazdu. Jakiś napęd musiał być.

Maszt - krótki, mocny słup stalowy - wysunął się z uszczelnionego otworu w dachu.

Magnetyczne wanty i sztangi wskoczyły na miejsce podtrzymując go. Z masztu spłynął żagiel gęsto utkany z metalu. Za szot służyła Claytonowi trójzwojowa lina stalowa pracująca przez kołowrót.

Żagiel miał tylko kilka stóp kwadratowych powierzchni, a był w stanie popychać dwunastotonowego potwora z zaciągniętymi hamulcami i kotwicą...

Z łatwością - przy wietrze wiejącym sto osiemdziesiąt pięć mil na godzinę.

Clayton wybrał szota i skręcił do półwiatru. Lecz nie był to wystarczający kurs. Wybrał żagiel jeszcze trochę i wyostrzył.

Z superhuraganem w żaglu ociężały pojazd przechylił się unosząc w powietrze całą jedną stronę.

Clayton pospiesznie poluzował szota. Metalowy żagiel łopotał i wył pod razami wiatru.

Przy żaglu pracującym tylko samą krawędzią Clayton był w stanie utrzymać pojazd w równowadze i sterować dość ostro na wiatr.

W lusterku wstecznym widział czarne postrzępione skały.

Były one dla niego wybrzeżem zguby. Ale właśnie uciekał pułapki. Krok za krokiem uchodził z tego.

- Jesteś kochany! - wykrzyknął Clayton pod adresem nocującego się z wiatrem Bydlaka.

Lecz jego uczucie zwycięstwa zniknęło prawie natychmiast, gdy usłyszał ogłuszający brzęk i coś gwizdnęło mu koło głowy. Przy prędkości stu osiemdziesięciu siedmiu mil na godzinę kamienie przebijały pancerne osłony. Znajdował się pod carellańskim odpowiednikiem ostrzału z karabinu maszynowego. Wiatr świstał przez dziury, próbując wyłomotać go z siedzenia.

Desperacko przywarł do kierownicy. Słyszał łopot żagla, który, mimo iż wykonany z najwytrzymalszych elastycznych stopów, nie miał szans wytrzymać długo. Krótki, gruby maszt podtrzymywany przez sześć potężnych stalowych lin giął się jak wędka.

Szczęki hamulcowe były już wytarte i prędkość Bydlaka wzrosła do pięćdziesięciu siedmiu mil na godzinę.

Był zbyt zmęczony, by myśleć. Sterował z rękami zaciśniętymi na kierownicy i z oczami utkwionymi przed siebie, w nawałnicę.

Żagiel rozdarł się z przeraźliwym gwizdem. Strzępy łopotały przez chwilę i zwały maszt.

Wichura przekraczała w porywach sto dziewięćdziesiąt mil. Pchała go teraz z powrotem na skały.

Wicher o prędkości stu dziewięćdziesięciu dwu mil na godzinę uniósł Bydlaka w powietrze i cisnął nim o ziemię. Pękła przednia opona, a potem dwie tylne. Clayton wtulił głowę w ramiona i czekał na koniec.

Nagle Bydlak zatrzymał się gwałtownie. Clayтона rzuciło do przodu. Pas bezpieczeństwa zatrzymał go na moment, a potem pękł. Walnął o tablicę rozdzielczą i opadł do tyłu, ogłuszony i zakrwawiony.

Leżał półprzytomny na podłodze i nie wiedział, co się stało. Powoli podciągnął się z powrotem na fotel, mgliście świadom, że wszystkie kończyny ma całe. Był bardzo potłuczony. Z ust ciekła

mu krew.

W końcu patrząc w lusterko wsteczne zobaczył, co się stało. Kotwica awaryjna ciągnięta na linie długości dwustu pięćdziesięciu stóp chwyciła występ skalny. Kotwica zatrzymała go niecałe pół mili od skał. Był uratowany... Przynajmniej na razie.

Wiatr jednak nie dał za wygraną. Z prędkością stu dziewięćdziesięciu trzech mil zawył, uniósł Bydlaka i trzepnął nim o ziemię, uniósł i znów trzepnął. Stalowa lina grała jak struna. Clayton kurczowo przywarł do fotela. Długo tak nie mógł wytrzymać, a gdy zwolni się uchwyt, wściekle podrzucony Bydlak rozmaże go po ścianie jak pastę do zębów...

Chyba że wpierw zerwie się lina i pojazd runie na skalną ścianę.

Trzymał się jakoś. U szczytu jednego skoku udało mu się rzucić okiem na wiatromierz. Zrobiło mu się niedobrze. Był kompletnie przegrany, wykończony. Nie można było oczekiwać, że wytrzyma przy wietrze o sile sto osiemdziesiąt siedem mil na godzinę. To już było zbyt wiele.

Czy to było sto osiemdziesiąt siedem mil na godzinę? Znaczyłoby to, że wiatr przycicha.

Z początku nie mógł w to uwierzyć. A jednak wskazówka przyrządu powoli pełzła w dół. Przy stu sześćdziesięciu milach na godzinę pojazd przestał podskakiwać i leżał spokojnie na końcu liny kotwicznej. Przy stu pięćdziesięciu trzech wiatr zmienił kierunek, co było niechybnym znakiem, że huragan ma się ku końcowi.

Gdy wiatr ścichł do stu czterdziestu dwu mil na godzinę, Clayton pozwolił sobie na luksus zemdlenia.

Carellanie przybyli po niego jeszcze w ciągu dnia. Umiejętnie doprowadzili dwa duże okręty do Bydlaka i przywiązawszy długie liny z pnączy, które okazały się wytrzymalsze od stali, doholowali zdewastowany pojazd do stacji.

Przenieśli Clayтона do altany recepcyjnej, a Nerishev przetransportował go do stacji.

- Nic sobie nie złamałeś poza wybitymi kilkoma zębami! - powiedział Nerishev. - Ale nie ma na

tobie nie stłuczonego nawet kawałeczka.

- Przetrwaliśmy - stwierdził Clayton.

- Ledwo co. Osłona przeciwgłazowa jest dokładnie sprasowana. Stacja dostała dwa ciosy i ledwo je wytrzymała. Sprawdziłem fundamenty, są naruszone. Jeszcze jeden huragan...

- ...jakoś sobie damy radę. My, ziemskie chłopaki, zawsze wychodzimy cało! Ta wichura była najgorsza w ciągu ośmiu miesięcy. Jeszcze cztery miesiące i przyleci wahadłowiec! Głowa do góry, Nerishev. Chodź ze mną. - Dokąd mam iść?

- Chcę pogadać z tym przeklętym Smanikiem!

Weszli do altany. Była pełna Carellan. Na zewnątrz, po zawietrznej stronie stacji, było przycumowanych kilka tuzinów okrętów naziemnych.

- Smanik! - zawołał Clayton. - Co tu się dzieje?

- To Święto Lata - odpowiedział Smanik. - Nasze wielkie doroczne święto.

- Hm, a jeśli chodzi o ten huragan. Co o nim sądzisz? - Sklasyfikowałbym go jako umiarkowaną wichurę - odrzekł Smanik. - Nic niebezpiecznego, ale trochę nieprzyjemny przy żeglowaniu.

- Nieprzyjemny! Mam nadzieję, że w przyszłości twoje prognozy będą dokładniejsze.

- Nie zawsze można przewidzieć pogodę - powiedział Smanik. - Bardzo mi przykro, że moja ostatnia prognoza była błędna.

- Twoja o s t a t n i a? Jak to? O co chodzi?

- Ci tutaj - rzekł Smanik, wskazując gestem wokół siebie - to całe moje plemię, Seramim.

Skończyliśmy właśnie obchody Święta Lata. Lato minęło i musimy odejść. - Dokąd?

- Do jaskiń na dalekim zachodzie. Są o dwa dni żeglowania stąd. Tam będziemy mieszkać przez trzy miesiące. W ten sposób zapewniamy sobie bezpieczeństwo.

Clayton poczuł, że robi mu się niedobrze ze strachu. - Bezpieczeństwo? A co wam grozi,

Smanik?

- Już ci mówiłem. Lato się skończyło. Musimy się schronić przed wiatrami, przed zimowymi huraganami. - O co chodzi? - spytał Nerishev.

- Zaraz. - Clayton pomyślał o superhuraganie, przez który właśnie przeszli, a który Smanik sklasyfikował jako umiarkowaną i nieszkodliwą wicherę. Pomyślał o ich unieruchomieniu, o zrujnowanym Bydlaku, o nadwerężonych fundamentach stacji, o zniszczonej osłonie przeciwgłazowej i o wahadłowcu, który ma przybyć dopiero za cztery miesiące. - Może moglibyśmy udać się tam z wami, Smanik, w waszych okrętach naziemnych, schronić się w tych jaskiniach... Nie, nie moglibyśmy - odpowiedział sam sobie czując, że jest mu coraz bardziej niedobrze. - Potrzebowalibyśmy dodatkowego tlenu, własnej żywności, zapasów wody... - O co chodzi? - niecierpliwie dopytywał się Nerishev. - Co, u diabła, on takiego powiedział, że masz taką minę?

- Mówi, że nadchodzą n a p r a w d ę wielkie wiatry - odparł Clayton.

Mężczyźni wpatrywali się w siebie. Na zewnątrz wiatr się wzmagił.

przekład : Małgorzata Sobkowska

Wycieczka

Ukazał się Papajzan w przebraniu człowieka. Pospiesznie sprawdził, czy głowa siedzi należycie.

"Nos i stopy tak jak brzuch, z tyłu dupa, z boku ucho" - przepowiedział sobie i dokładnie tak wyglądał.

Wszystkie jego systemy działały. Psychikę miał solidnie przylutowaną do szyszynki, dysponował nawet niewielką duszą na baterie. Był na Ziemi, dziwacznej planecie, w Nowym Jorku, na samym skrzyżowaniu dziesięciu milionów indywidualnych istnień. Chciał sobie grąpnąć, ale nie pozwoliło mu na to ludzkie ciało, wobec tego uśmiechnął się, co była adekwatnym substytutem grąpnienia.

Z budki telefonicznej wyszedł prosto na ulicę, pobawić się z ludźmi.

Pierwszą osobą, na którą się natknął, był grubas około czterdziestki. Grubas zatrzymał go i zapytał:

- Hej, szefie, jak stąd będzie najbliżej na róg Czterdziestej Dziewiątej i Broadwayu?

Papazjan odpowiedział bez wahania

- Proszę pomacać wzdłuż tej ściany, aż natrafi pan na czułe miejsce. Tamtędy przejdzie pan na drugą stronę. Jest to pasaż kosmiczny, który zainstalowali Marsjanie, w czasach kiedy jeszcze istnieli Marsjanie. Wyciągnę pana na rogu Czterdziestej ósmej i Siódmej Avenue - odpowiada?

- Mądrała zakichany, kurwa twoja mać - powiedział grubas i oddalił się, nawet nie dotykając ściany, żeby sprawdzić, czy ma czułe miejsce.

Znaczna łatwość formułowania ocen o ludziach - stwierdził sam do siebie Papazjan. - Muszę to zaznaczyć w sprawozdaniu.

Czy w ogóle miał pisać jakieś sprawozdanie? Nie wiedział. Ale, naturalnie, wcale się tym nie przejął. To było do przewidzenia.

Pora obiadowa! Papazjan wszedł do lichej, obskurnej jadłodajni na Broadwayu w pobliżu Ulicy Dwudziestej Ósmej.

- Poproszę hot-doga; wasz zakład słynie z hot-dogów - zwrócił się do barmana.

- Słynie? - uśmiechnął się krzywo barman. - To by dopiero było święto.

- W takim razie jest święto - powiedział Papazjan. - Wasz zakład słynie z hot-dogów na całą galaktykę. Znam istoty, które pokonały tysiące lat świetlnych tylko po to, żeby zjeść u was hot-doga.

- Kretyn - oświadczył barman.

- Kretyn? Tak pan uważa? Może to pana nie zainteresuje, ale połowa pańskich klientów, którzy tu siedzą w tej chwili, to istoty pozaziemskie. Naturalnie w przebraniu.

Połowa klientów, przy stole barowym zbladła.

- Co pan za jeden, zagranicznik jakiś? - zaciekał się barman.

- Po matce Aldebarańczyk - wyjaśnił Papazjan.

- Aaa, to już wszystko rozumiem powiedział barman.

Papazjan szedł ulicą i nic nie wiedział. Cieszył się własną ignorancją. Ignorancja była dla niego wielkim przeżyciem. Oznaczała, że jeszcze wiele musi się nauczyć. To było wspaniałe - nie wiedzieć, co się za chwilę zrobi, czym się będzie, co się powie.

- Szefie - krzyknął do niego jakiś mężczyzna - Dojadę tą linią do Wzgórz Waszyngtona?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Papazjan i mówił prawdę: istotnie nie miał pojęcia, nie wiedział nawet, jak się dostać na Wzgórze Waszyngtona ! To już był szczyt osiągnięć w dziedzinie ignorancji.

Niestety, nie da się długo być aż takim ignorantem. Jakaś kobieta podbiegła do nich i usłużnie objaśniła, jak mogą dojechać do Wzgórz Waszyngtona. Papazjan uznał jej informację za umiarkowanie interesującą, aczkolwiek nie tak interesującą jak niewiedza.

Tablica na budynku głosiła

STRYCH DO WYNAJĘCIA.

Papazjan natychmiast wszedł i wynajął strych. Pomyślał, że to pewnie właściwe posunięcie. Miał jednak cichą nadzieję, że okaże się niewłaściwe, co zawsze było o wiele zabawniejsze.

- Dzień dobry, nazywam się Marsh powiedziała młoda kobieta. - Przysyła mnie agencja. Podobno szuka pan sekretarki.

- To prawda. Angażuję panią. - Tak od razu?

- Żaden inny sposób nie przychodzi mi do głowy. Jak pani nazywa?

- Lillian.

- To mnie w zupełności zadowala. Prozę rozpocząć pracę.

- Przecież pan tu nie ma żadnych mebli, nawet maszyny do pisania.

- Proszę kupić, co parni potrzeba. Oto pieniądze.

- Ale co ja mam robić?

- O to mnie proszę nie pytać odparł cierpliwie Papazjan. - Mam dość kłopotów z ustaleniem, co ja sam mam robić. Przecież potrafi pani pokierować własnym życiem?

- Ale jaki jest cel pana pracy, panie Papazjan?

- Moim celem jest znaleźć odpowiedź na pytanie, jaki jest mój cel.

- Och... Rozumiem. Wydaje mi się, że będzie pan potrzebował biurka, krzesła, lamp, maszyny do pisania itp.

- Doskonale, Lil! Od początku czułem, że świetnie wiesz, co masz robić. Czy ktoś ci już mówił, że jesteś wyjątkowo ładną dziewczyną?

- Nie...

- No to może nie jesteś. Skoro sama tego nie wiesz, to skąd ja mam wiedzieć?

Papazjan obudził się i zmienił nazwisko na Hal. Był w Vilfage Central Hotel. Wieczór spędził bardzo ciekawie, słuchając jak karaluchy pyskują na gości hotelowych. Karaluchy mają wrodzony talent mimiczny i potrafią być bardzo zabawne.

Hal zrzucił zewnętrzną warstwę skóry i zostawił ją pod łóżkiem; pokojówka sprzątnie. Tak było szybciej, niż myć się.

Poszedł na swój strych. Lillian już tam była, pojawiły się też pierwsze meble.

- W poczekalni czeka klient, panie Papazjam.

- Zmieniłem nazwisko na Hal - powiedział Hal. - Proszę wpuścić klienta.

Klientem był krępy, zażywny jegomość nazwiskiem Jaspers.

- Czym mogę służyć, panie Jaspers?

- Nie mam pojęcia - odparł Jaspers. - Pchnął mnie tutaj jakiś niepoohamowany impuls.

Hal przypomniał sobie na to, że całkiem nie pamięta, gdzie zostawił Nadajnik Niepoohamowanych

Impulsów.

- Gdzie pan odczuł ten niepohamowany impuls? - zapytał.

- Na północno-wschodnim rogu Piątej Avenue i Ulicy Osiemnastej.

- Przy skrzynce na listy? Tak właśnie myślałem. Bardzo mi się pan przysłużył, panie Jaspers! Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Już panu mówiłem, że nie wiem. To był niepohamowany...

- Tak, tak, ale czego panu potrzeba?

- Czasu - wyznał ze smutkiem Jaspers. - Jak każdemu, nieprawdaż?

- Nie, nieprawdaż - odparł stanowczo Hal. - Ale zobaczę, może uda mi się coś dla pana załatwić.

Ile czasu by pan potrzebował?

- Jeszcze ze sto lat - powiedział Jaspers.

- Proszę przyjść jutro - rzekł Hal. Zobaczę, co się da zrobić.

Po wyjściu Jaspersa Lillian zapytała:

- Naprawdę może mu pan to załatwić?

- Jutro się pani dowie - odparł Hal.

- Dlaczego jutro?

- A dlaczego nie jutro?

- Bo każe pan czekać panu Jaspersowi i mnie, a to nie jest miłe.

- Nie jest - zgodził się Hal. - Ale za to jest jak w życiu. Podróże, które odbyłem, nauczyły mnie, że życie jest niczym więcej jak stanem oczekiwania. Stąd morał: Czekając ciesz się czym popadnie, bo i tak nie możesz robić nic innego, tylko czekać.

- Ojejku, to dla mnie za mądre.

- W takim razie proszę napisać list na maszynie albo zrobić cokolwiek innego, co pani zdaniem, należy do pani obowiązków.

Na lunch Hal udał się do baru typu Orange Julius na Ulicy Ósmej. Firmę tę polecał Międzynarodowy Przewodnik Żarłoka Po Niedrogich Jadłodajniach Na Ziemi. Hal był zachwycony grzanką z chili. Zjadł, do końca i wyszedł na południowo-wschodni róg Szóstej Avenue i Ulicy ósmej.

Przed sklepem firmy Nathan stał człowiek z flagą amerykańską. Wokół człowieka gromadził się tłumek. Człowiek był stary i miał czerwoną, poliniowaną twarz. Mówił tak:

- Powiadam wam, że umarli żyją nadal i nawet w tej chwili w najlepsze spacerują po ziemi. I co wy na to, hę?

- Osobiście - odezwał się Hal muszę przyznać panu rację, ponieważ stoi obok pana w postaci astralnej stara siwa kobieta z uschniętą ręką.

- Boże święty, to na pewno Ethel! Umarła rok temu, proszę pana, a ja od tamtego czasu bezskutecznie próbuję się z nią porozumieć. Co mówi?

- Mówi tak, cytuję: "Herbercie, przestań pleść głupoty i wracaj do mieszkania, bo żeś nastawił na kuchence ronderek, żeby gotować jajka, tylko że bez wody, i zapół godziny cała chałupa pójdzie z dymem".

- To Ethel, poznaję! - ucieszył się Herbert. - Ethel! Jak możesz się dalej upierać, że plotę bzdury, skoro sama jesteś teraz duchem?

- Ona odpowiada - tłumaczył Hal - że jak ktoś nie umie nawet ugotować jajek, żeby przy okazji nie spalić całego mieszkania, to taki ktoś gównem się zna na duchach.

- Zawsze mnie obcinała tym swoim cholernym non sequitur - zasmucił się Herbert. - Dziękuję panu za pomoc. Popędził do domu.

- Czy nie była pani dla niego zanadto surowa? - spytał Hal.

- Nigdy mnie nie słuchał za życia i po śmierci tak samo nie słucha. Na takiego jak on nie ma bata.

Przyjemnie się z panem rozmawiało, muszę zniknąć.

- Dokąd? - zapytał Hal.

- Do Domu Leciwego Ducha, a gdzie? - oddaliła się w sposób niedostrzegalny.

Hal z podziwem pokręcił głową. "Ta Ziemia !" - pomyślał. To jest dopiero ciekawe miejsce.

Szkoda, że przeznaczone do kasacji.

Poszedł dalej. A potem pomyślał: "A może wcale nie do kasacji?" Uświadomił sobie, że właściwie to nie wie. I poczuł się z tej racji bardzo szczęśliwy.

Hal przeszedł pasażem kosmicznym z Ulicy Szesnastej Zachodniej na Cathedral Parkway. Musiał się raz przesiąść w Yucca, stan Arizona, miście słynącym z najstarszego na świecie wolno stojącego silosu.

Na Cathedral Parkway stało dziesięć gigantycznych katedr podarowanych Ziemianom przez religijne gady z Sainny II. Dla uniknięcia kłopotów ze strony władz lokalnych katedry udawały, że są z piaskowca.

Zwiedzających było dzisiaj mnóstwo. Wenusjanie poprzebierani za Niemców, Sagitarianie w strojach hippisów kto lubi, żeby go brano za turystę?

Drobny zgrzyt: jakiś grubas (nie mający nic wspólnego z uprzednio napotkanymi grubasami) podszedł do Hala i zapytał:

- Przepraszam, pan Hal Papazjan? Hal zmierzył faceta spojrzeniem. Dostrzegł nieznaczne przebarwienie na wątrobie, nic poważnego, powiedzmy - plama wątrobowa. Poza tym gość nie miał żadnych cech szczególnych, chyba że otyłość.

- Jestem Arthur Ventura - przedstawił się. - Pański sąsiad.

- Z Aldebarana - zainteresował się Hal.

- Nie, z Bronx, tak jak pan.

- Na Aldebaranie nie ma Bronx oświadczył Hal, chociaż nie był specjalnie w nastroju do wygłaszania prostych zdań oznajmujących.

- Przestań się wygłupiać, Hal. Nie ma cię w domu prawie od tygodnia. Ellen odchodzi od zmysłów. Chce zawiadomić policję.

- Ellen?

- Twoja żona.

Hal zrozumiał, co się dzieje. Doświadczał autentycznej Sceny Konfrontacji, połączonej z Kryzysem Osobowości. Czegoś podobnego przeciętny turysta pozaziemski na ogół nie przeżywał. Cóż to będzie za bezcenne wspomnienie, jeżeli tylko zachowa je w pamięci!

- Rozumiem - rzekł Hal. - Bardzo ci jestem wdzięczny za tę informację. Przykro mi, że przysporzyłem kłopotów żonie. Moja kochana Melon...

- Ellen - poprawił Ventura.

- Hmm, no tak. Powiadom ją, że wrócę, jak tylko zakończę zadanie.

- Jakie zadanie?

- Moim zadaniem jest znaleźć własne zadanie. My, istoty wyższe, mamy to do siebie.

Hal uśmiechnął się i chciał odejść. Lecz Arthur Ventura okazał szczególną zdolność rojenia się: otoczył Papazjana ze wszystkich stron, wydawał dźwięki i demonstrował odruchy ponagląjące.

Papazjan przez moment rozważał możliwość wymyślenia promienia laserowego i pozabijania wszystkich dookoła, ale to oczywiście nie licowałoby z duchem sytuacji.

Tak więc stopniowo i przy pomocy wielu osób, niektórych w mundurach, Papazjan doprowadzony został do mieszkania w Bronx, gdzie wpadła mu w objęcia kobieta płacząca i wygłaszająca liczne teksty natury osobistej i tendencyjnej.

Hal wydedukował, że kobieta to Ellen. Ta sama, która uważała się za jego żonę. I miała na dowód tego odnośne papiery.

Z początku zabawnie było mieć żonę i przydział dzieci, i bogobojne zajęcie, i konto w banku, i samochód, i kilka zmian ubrania, i inne rzeczy, które zwykle miewają Ziemianie. Hal bawił się

wszystkimi nowymi zabawkami. Bez trudu udawało mu się grać rolę męża Ellen: wszystkie przesłanki miał jak na dłoni, do wyboru.

Niemal codziennie Ellen zadawała mu pytanie:

- Kotku, ty naprawdę nic a nic nie pamiętasz?

Na co Hal odpowiadał:

- Nic a nic. Ale na pewno sobie Przypomnę.

Wtedy Ellen płakała. Do tego też się przyzwyczał. Nie jego sprawą było oceniać sytuację.

Sąsiedzi rwali się do pomocy, przyjaciele okazywali wielką troskę. Wszyscy czynili ogromne wysiłki, żeby nie dać po sobie poznać, że wiedzą, że Hal sfiksował, zbzikował - no, wariat.

Hal Papazjan nauczył się wszystkiego, co robił niegdyś Hal Papazjan i robił to samo. Nawet najprostsze czynności dostarczały mu wielkich emocji. Czy aldebarański turysta mógł przeżyć piękniejszą przygodę, niż żyć na Ziemi życiem Ziemianina, będąc przez innych Ziemian traktowanym jak Ziemianin?

Owszem, popełniał czasem błędy. Trudno mu przychodziło wykonywanie właściwych czynności we właściwym czasie. Stopniowo jednak nauczył się, że nie należy kosić trawnika o północy, ani budzić dzieci o piątej z rano, żeby się przespały, ani wychodzić z biura o dziewiątej wieczorem.

Nie wiedział, czemu mają służyć te ograniczenia, ale dzięki nim wszystko było jeszcze ciekawsze.

Na wyraźne życzenie Ellen Papazjan udał się do niejakiego doktora Kardomana, osoby specjalizującej się w czytaniu ludzkich myśli i orzekaniu, które z tych myśli są prawdziwe, dobre i owocne, a które kłamliwe, złe i bezproduktywne.

KARDOMAN : Od jak dawna wydaje się panu, że jest pan istotą pozaziemską?

PAPAZJAN: Zaczęło się to wkrótce , po moich narodzinach na Aldebaranie.

KARDOMAN : Oszczędzi pan sporo czasu mnie i sobie, jeżeli raz na zawsze uświadomi pan sobie i przyjmie do wiadomości fakt, że jest pan człowiekiem obłąkanym, któremu pęta się po

głowie tysięcy szalonych pomysłów.

PAPAZJAN: Równie dobrze zaoszczędzimy sobie czasu, jeżeli pan uzna, że jestem samcem aldebarańskim postawionym w niezwykłej sytuacji.

KARDOMAN: Nie pieprz, bracie. Słuchaj, upór na nic się nie zda. Trzymaj się moich założeń, a ja cię znormalizuję.

PAPAZJAN: Nie pieprz, bracie.

Proces zdrowienia posuwał się stopniowo. Zapadła noc, a po niej nastął dzień. Nadszedł tydzień podporządkowany miesiącowi. Hal miał przebliski świadomości, które doktor Kardoman witał owacyjnie i które Ellen odnotowywała w manuskrypcie pod tytułem Powrót z Otchłani Kosmosu :
Relacja Pewnej Kobiety z Jej Życia z Mężczyzną,- Który Wierzył, że Pochodzi z Aldebarana.

Pewnego dnia Hal rzekł do doktora Kardomana :

- Wie pan co, zdaje mi się, że wraca mi pamięć.

- Hmmm - zauważył doktor Kardaman.

- Z mieszany mi uczuciami przypominam sobie, że kiedy miałem osiem lat, podawałem kakao żelaznemu flamingowi na trawniku w domu rodziców, niedaleko zagajnika, w którym wraz z Mavis Healey dokonywaliśmy wspaniałych i wstydliwych eksperymentów; niecałe sto jardów dalej rzeka Chesapeake wpadała nieodwołalnie w galaretowate głębiny Zatoki Chesapeake.

- Pamięć ekranowa - podsumował Kardaman, skonsultowawszy się z materiałami, które zestawiała dla niego Ellen. - W wieku lat ośmiu mieszkał pan w Youngstown, stan Ohio.

- O cholera - powiedział Papazjan.

- Nie szkodzi, zmierza pan w dobrym kierunku - pocieszył go Kardoman. - Każdy ma pamięć ekranową, zawierającą lęki i przyjemności wszystkich prawdziwych doświadczeń, które należy chronić przed buntującą się przeciwko nim psychiką.

- Czułem, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe - powiedział Papazjan.

- Proszę niczego nie przekreślać. Pańska pamięć ekranowa bardzo nam pomogła.

- Bardzo pan uprzejmy - podziękował Hal. - A teraz wracajmy pod starą dobrą tablicę psychiki.

Wyrywał się z różnymi wspomnieniami : a to lata młodości, które spędził jako chłopiec kabinowy na brytyjskiej kanonierce patrolującej Yangtse; a to szóste urodziny obchodzone w Pałacu Zimowym w St. Petersburgu; a to dwudziesty piąty rok życia; kiedy pracował jako kucharz od małych dań w Klondike.

Wszystko. to były wspomnienia niewątpliwie ziemskie, tylko całkiem nie te, których oczekiwał doktor Kardoman.

Ni stad, ni zowąd, pewnego pięknego dnia u drzwi pojawił się domokrażny sprzedawca szczotek i zażądał rozmowy z "panią domu".

- Wyszła, nie będzie jej jeszcze parę godzin - powiedział Papazjan. Ma dzisiaj lekcję demotycznej greki a potem zajęcia z intaglio.

- Doskonale - powiedział komiwojazer. - Tak naprawdę to chciałem się widzieć z panem.

- Nie potrzebuję szczotek - rzek Papazjan.

- A pies z nimi tańcował! Jestem pańskim wakacyjnym oficerem łącznikowym, przybywam, żeby pana poinformować, że odlatujemy dokładnie za cztery godziny.

- Odlatujemy

- Wszystko co dobre ma swój koniec, nawet wakacje.

- Wakacje .

- Daj pan spokój - zniecierpliwi się komiwojazer. - Cholery można dostać z tymi Aldebarańczykami.

- A pam skąd!

- Z Arcturusa. My na Arcturusie posługujemy się solidniejszą psychiką nie pozwalamy sobie na luki pamięciowe.

- My Aldebarańczycy zawsze chętnie pozwalamy sobie na luki pamięci - przyznał Papazjan.
 - Dlatego właśnie ja jestem oficerem łącznikowym, a pan turystą. Przyjemnie się pan bawił z tubylcami
 - Jednego nawet zdaje się poślubiłem, raczej jedną - odparł Papazjan - A ściślej mówiąc, jestem chyba sparzony z jedną taką, której poprzedni samiec wyglądał dokładnie tak jak ja.
 - Nasza robota - wyjaśnił Arcturianin. - Autentyczne ziemskie stadło - to był punkt pańskiego programu turystycznego. Idzie pan?
 - Melon, bidulka, bardzo się zmartwi.
 - Jej imię brzmi Ellen. Jak większość Ziemian, poświęca swój czas głównie zamartwianiu się. Nie mogę pana zmusić do powrotu. Jeżeli decyduje się pan zostać, następny statek do domu będzie pan miał za jakie! pięćdziesiąt-sześćdziesiąt lat.
 - A niech to szlag trafi - powiedział Papazjan. - Zobaczymy, kto pierwszy dotrze do statku!
- Statek kosmiczny był tak sprytnie po myślany, że wyglądał jota w jotę jak miejscowość Fairlawn, stan New Jersey. Prawdziwe Fairlawn, stan New Jersey, przeniesiono w całości do prowincji Rajasthan w Indiach. Nikt nie dostrzegł różnicy, poza Izraelitami, którzy natychmiast przysłali rabina eksperta od guerilli.
- Ale ja ciągle niczego nie pamiętam - pożalił się Hal wakacyjnemu oficerowi łącznikowemu.
 - To naturalne. Bank pamięci zostawił pan w skrytce na pokładzie statku.
 - Po co to zrobiłem?
 - Żeby się nie czuć wyobcowanym Pańskie dawne wspomniernia nakładają się jak ulał na bieżące. Pomogę panu je posegregować.

Wszyscy byli na pokładzie byli cali i zdrowi, za wyjątkiem kilku nieuniknionych ofiar bójek w portach Południowej Ameryki. Owych nieszczęśników miano rekonstruować w terminie późniejszym. Poza katem nie pozostanie im nic z przykrych doświadczeń.

Statek wystartował równo o północy. Przelot odnotował Korpus Obserwacyjny Amerykańskich Sił Powietrznych w Scrapple, stan Pensylwania. Obraz radarowy zinterpretowano jako potężną akumulację mieszaniny gazów przy jednoczesnym, przelocie licznego stada jaskółek.

Mimo dokuczliwego kosmicznego chłodu Hal wytrwał przy burcie patrząc, jak Ziemia niknie w oddali. Wracił do codziennego kieratu fotonomicznego konfiguratora systemów cząstkowych, do żon i dzieciaka, do wszechobecnej rdzy i liszaju.

Wracił jednak bez wielkiego żalu. Dobrze wiedział, że Ziemia to przyjemne miejsce na urlop, ale żyć tam na stałe - nie sposób.

przekład : Jolanta Kozak

Wykaz ważniejszych epidemii

Niedoświadczeni podróżni usiłują zwykle zmaterializować się w miejscu idealnie ukrytym.

Wyskakują ze schowków na miotły, spiżarni, budek telefonicznych, czy innych miejsc, zależnie od sytuacji, w rozpaczliwej nadziei, że przejście wyszło im gładko. Naturalnie takie zachowanie zwraca uwagę więc mają dokładnie to, czego chcieli uniknąć. Ale dla podróżnika tak doświadczonego jak ja, sprawa była prosta. Moim celem był Nowy Jork w sierpniu 1988 roku.

Wybrałem godzinę wieczornego szczytu i pojawiłem się w samym środku tłumu na Times Square.

Oczywiście, że to wymaga pewnej zręczności. Nie można się tak po prostu p o j a w i ć .

Natychmiast po zmaterializowaniu się trzeba ruszyć - głowa pochylona, ramiona zgarbione, niewidzący wzrok, w ten sposób nikt człowieka nie zauważy.

Ja to wykonałem idealnie. Z teczką w ręku pospieszyłem do metra. Wsiadłem na Sheridan Square i poszedłem na piechotę do Washington Square Park.

Miejsce, które sobie wybrałem, znajdowało się w pobliżu dużej cysterny, niedaleko łuku tryumfalnego. Postawiłem walizkę i energicznie klasnąłem w ręce. Kilka osób spojrzało w moją stronę.

- Chodźcie, przyjaciele - zaintonowałem - chodźcie no tutaj i wy posłuchajcie o szansie, jaka się trafia raz na całe życie. Nie wstyďte się, ludzie, podejdźcie, posłuchajcie dobrej nowiny.

Zaczął formować się niewielki tłumek. Jakiś młody człowiek zawołał:

- Hej, co tam sprzedajesz?

Uśmiechnąłem się do niego, ale nie odpowiedziałem. Nie chciałem rozpoczynać sprzedaży, dopóki nie będę miał odpowiedniego audytorium.

Nawijałem więc dalej:

- Podejdźcie bliżej, przyjaciele, chodźcie tu do mnie i posłuchajcie dobrej nowiny. To jest to, na co czekaliście od dawna, przyjaciele. Wielka szansa! Ostatnia szansa! Nie przepuście jej!

Wkrótce zebrało się około trzydziestu osób. Uznałem, że to wystarczy, jak na początek.

- Dobrzy obywatele Nowego Jorku - powiedziałem. Chce wam powiedzieć o dziwnej chorobie, która nagle wdarła się w wasze życie, o epidemii zwanej także Niebieską Zarazą. Musicie wszyscy zdawać sobie już teraz sprawę, że nie ma sposobu na tego masowego morderca. Niewątpliwie lekarze zapewniają was, że badania są w toku, że lada chwila należy oczekiwać odkrycia, że niezawodnie wkrótce zostanie opracowana metoda leczenia. Faktem jednak jest, że jak do tej pory nie wynaleziono żadnej surowicy, przeciwciał, ani żadnego innego środka na Niebieską Zarazę. Bo niby jak? Skoro nie odkryli przyczyn choroby, to jak mogli wynaleźć lekarstwo. Jedyne, czym do tej pory dysponują, to nieskuteczne i wzajemnie sprzeczne teorie. Z powodu szybkiego rozprzestrzeniania się choroby, jej znacznej zaraźliwości i nieznanymi właściwościami należy się liczyć z tym, że lekarze nie zdążą pomóc tym, którzy już zostali chorobą dotknięci. Przygotujcie się na to, że będzie tak, jak w przypadku wszystkich innych epidemii znanych w zapisanej historii świata, a mianowicie, że pomimo wszelkich wysiłków, zmierzających do wynalezienia metody leczenia i opanowania zarazy, choroba będzie szalała niepowstrzymana, dopóki sama się nie wyczerpie lub nie zabraknie jej ofiar.

Ktoś w tłumie roześmiał się, inni się uśmiechali. Położyłem to na karb hysterii i ciągnąłem dalej

- Cóż więc w tej sytuacji pozostaje do zrobienia? Czy macie pozostać biernymi ofiarami epidemii, omamionymi przez tych, którzy nie odkryją przed wami prawdziwego stanu beznadziejności? Czy może zgodzicie się spróbować czegoś nowego, czegoś, co nie jest opatrzone pieczętą zdyskredytowanych władz polityczno-medycznych?

Teraz już miałem wokół siebie tłumek w liczbie około pięćdziesięciu osób. Wkrótce zakończyłem - sięgnąłem po puentę:

- Wasi lekarze nie są w stanie uchronić was przed epidemią, a ja jestem.

Szybko otworzyłem walizeczkę i wyjąłem garść dużych żółtych pastylek.

- Oto lek, który zwalczy Niebieską Zarazę, moi przyjaciele. Nie ma czasu na wyjaśnianie ani skąd go zdobyłem, ani jak działa. Nie będę się też wdawał w naukowy bełkot. Zamiast tego dostarczę wam konkretnego dowodu.

Tłum się uciszył i zaczął słuchać z uwagą. Wiedziałem, że ich mam.

- Jako dowód - krzyknąłem - przyprowadźcie mi kogoś chorego. Przyprowadźcie mi dziesięć takich osób! Jeżeli zostało w nich jeszcze choć trochę życia, podejmuję się uzdrowić ich w przeciągu dziesięciu sekund od połknięcia tej pastylki! Przyprowadźcie mi ich, przyjaciele!

Wyleczą każdego mężczyznę, kobietę i dziecko cierpiące na Niebieską Zarazę!

Jeszcze przez chwile trwało milczenie, a potem w tłumie rozległy się śmiechy i oklaski. W zdumieniu słuchałem komentarzy.

- Jakiś studencki kawał?

- Trochę za stary jak na hippisa.

- To na pewno jakiś numer dla telewizji. - Hej, panie, co to za numer?

Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby próbować jakiegokolwiek odpowiedzi. Stałem po prostu z walizką u stóp i kapsułkami w ręku. Nie udało mi się sprzedać ani jednej w tym dotkniętym zarazą mieście!

Nie mogłem nawet rozdać mojego leku. Coś nieprawdopodobnego. Tłum rozproszył się, pozostała jedna dziewczyna.

- Co to za numer? - spytała.

-Numer?

- To pewnie jakiś trik reklamowy, prawda? Otwiera pan restauracje czy jakiś butik? Niech mi pan coś powie na ten temat. Może zorganizuje jakąś obsługę prasową.

Włożyłem do kieszeni garść kapsułek. Dziewczyna powiedziała:

- Pracuje w dzienniku Village. Specjalizujemy się w numerach niesamowitych. Niech pan powie o tym coś więcej.

Była zupełnie niebrzydka. Oceniałem ją na jakieś dwadzieścia parę lat. Szczupła ciemna blondynka o piwnych oczach. W jej tupecie było coś wzruszającego.

- To nie jest żaden kawał - wyjaśniłem. - Jeżeli wy jesteście na tyle głupi, że nie chcecie zastosować żadnych środków ostrożności przeciwko epidemii...

- Jakiej epidemii? - spytała.

- Przeciwko Niebieskiej Zarazie. Epidemii, która ogarnęła cały Nowy Jork.

- Wiesz, co ci powiem, bracie, w Nowym Jorku nie ma żadnej zarazy - niebieskiej, czarnej, żółtej ani żadnej innej. Powiedz mi wreszcie naprawdę, co to za kawał.

- Żadnej epidemii? - spytałem. - Jest pani pewna? - Najzupełniej.

- Może to ukrywają przed ludźmi - powiedziałem. Chociaż byłoby to trudne. Pięć do dziesięciu tysięcy zgonów dziennie trudno utrzymać w tajemnicy przed prasą... Mamy teraz sierpień 1988 roku, prawda?

- Tak. Ojej, ale pan jakoś tak dziwnie zbladł. Czy pan się dobrze czuje?

- Bardzo dobrze - odparłem, chociaż była to nieprawda.

- Może niech pan siądzie.

Podprowadziła mnie do ławki w parku. Nagle przyszło mi do głowy, że może pomyliłem lata. Że może firma miała na myśli rok 1990 albo 1998. Jeśli rzeczywiście tak było, to wywalili straszne pieniądze na moje podróże w czasie i najprawdopodobniej stracę licencję komiwojażera za próbę sprzedaży leków na terenie nie objętym epidemią.

Wyjąłem portfel, a z niego cienką broszurka zatytułowaną "Wykaz ważniejszych epidemii?". Ta ulotka-broszurka zawiera daty wszystkich wielkich epidemii, typy epidemii, śmiertelność w procentach i inne dane. Z wielką ulgą stwierdziłem, że jestem we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Nowy Jork, sierpień 1988 rok. Nowy Jork w sierpniu 1988 roku miał być poważnie dotknięty Niebieską Zarazą.

- "Wykaz ważniejszych epidemii"? - spytała czytając mi przez ramię. - A co to takiego?

Powinienem był się od niej odsunąć. A nawet zdematerializować. W naszej firmie obowiązują bardzo ściśle przepisy zabraniające komiwojażerom udzielania jakichkolwiek informacji, poza tymi, których uczą nas udzielać na kursach. Ale teraz było mi wszystko jedno. Stwierdziłem nagle, że mam ochotę porozmawiać z tą ładną, jasnowłosą dziewczyną w osobliwym stroju, siedzącą ze mną w słońcu, w mieście skazanym.

- "Wykaz epidemii" - powiedziałem - zawiera wykaz dat i miejsc, w których występowały lub będą występowały największe epidemie. Na przykład wielka zaraza w Konstantynopolu w roku 1346 albo zaraza londyńska z roku 1664.

- Domyślam się, że był pan tam?

- Tak. Zostałem tam wysłany służbowo przez moją instytucję, Medyczną Służbę Czasu. Między innymi mamy licencje na sprzedaż leków na obszarach objętych epidemią.

- To wobec tego pan pochodzi z jakiegoś miejsca w przyszłości, gdzie znają podróże w czasie?

- Tak.

- To cudowne - powiedziała. - Pan objeżdża tereny objęte epidemiami sprzedając pigułki. Prawda

mówiąc nie wygląda pan na kogoś, kto by zarabiał na nieszczęściu innych.

- Nie znała nawet połowy prawdy i nie miałem najmniejszego zamiaru jej wtajemniczać.

- To praca niezbędna - powiedziałem.

- Tak czy siak przeoczył pan fakt, że tu nie ma żadnej epidemii.

- Musiała zaistnieć jakaś pomyłka. Mam specjalnego człowieka, który ma za zadanie zjawiać się przede mną i przeprowadzać rozpoznanie terenu.

- Może zablądził w jakimś innym strumieniu czasu czy coś w tym rodzaju? Najwyraźniej świetnie się bawiła. Dla mnie cała ta sytuacja była koszmarna. Ta dziewczyna, jeżeli nie będzie należała do grona nielicznych szczęściarzy, nie przeżyje tej epidemii. Ale jednocześnie rozmowę z nią uznałem za fascynującą. Po raz pierwszy w życiu miałem okazję rozmawiać z ofiarą zarazy.

- Miło było z panem porozmawiać - powiedziała.

Mówiąc między nami, nie wiem, czy mogę wykorzystać tę naszą rozmowę.

- Wolałbym, żeby pani tego nie robiła. - Wyjąłem z kieszeni garść kapsułek. - Proszę, niech pani to weźmie.

- Ale naprawdę...

- Mówię poważnie. To dla pani i pani rodziny. Proszę je zatrzymać. Przydadzą się, zobaczy pani.

- No już dobrze, dziękuję bardzo. Miłych podróży w czasie.

Patrzyłem, jak odchodzi. Kiedy skręcała za róg, odniosłem wrażenie, że wyrzuca kapsułki. Ale nie byłem pewien. Usiadłem na ławce w parku i czekałem.

Zbliżała się północ, kiedy zjawił się George. Rzuciłem się na niego z wściekłością.

- Co się stało? Zrobiłem z siebie cholernego idiotę! Tutaj nie ma żadnej epidemii!

- Spokojnie - odparł George. - Miałem być tutaj tydzień temu, ale dostaliśmy polecenie od władz, żeby na rok zawiesić całą działalność. A potem kazali nam odwołać odwołanie i działać dalej według pierwotnego harmonogramu.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? zapytałem.

- Powinieneś zostać zawiadomiony. Ale wszystko się pomyliło. Naprawdę bardzo mi przykro.

Ale możemy zaczynać od zaraz.

- A czy rzeczywiście musimy? - spytałem. - Czy musimy co?

- No wiesz.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Co się z tobą dzieje? W Londynie zachowywałeś się zupełnie inaczej.

- Ale to było w roku 1664. A teraz mamy 1988. Jesteśmy bliżej naszych własnych czasów. A ci ludzie wydają się bardziej... ludzcy.

- Mam nadzieję, że się nie spoufaląłeś - powiedział George.

- Naturalnie, że nie.

- No, to w porządku - uspokoił się George. - Wiem, że ta praca z emocjonalnego punktu widzenia może się wydawać obrzydliwa, ale musisz na to patrzeć realistycznie. Rada Statystyczna dała im wiele szans. Dała im bombę wodorową.

- To prawda.

- Ale jej nie użyli. Rada zapewniła im też wszelkie możliwe środki do prowadzenia wojny bakteriologicznej na dużą skalę, ale i tego nie wykorzystali. Tak samo zresztą Rada wyposażyła ich we wszelkie informacje niezbędne do dobrowolnego zmniejszania wzrostu populacji. I też nie potrafili się zmusić, żeby po nie Biegnąć. Po prostu w dalszym ciągu mnożyli się na oślep wypierając inne gatunki i siebie nawzajem, zatruwając ziemię i prowadząc jakby nigdy nie gospodarkę rabunkową.

Wiedziałem to wszystko, ale dobrze, że jeszcze raz teraz musiałem tego wysłuchać.

- Nic przecież nie może rosnąć bez końca - ciągnął George. - Wszystko, co żyje, musi podlegać jakiejś kontroli. U większości gatunków równowaga jest utrzymywana automatycznie. Ale istoty

ludzkie przekraczały wszelkie granice. I dlatego same muszą się tym zająć. A jeżeli nie mogą albo nie chcą, to ktoś to musi za nich robić.

Nagle George wydał mi się zmęczony i zatroskany.

- Ale ludzie nigdy nie dostrzegają konieczności przerzedzenia swoich szeregów. Nigdy się niczego nie uczą. Stąd potrzeba naszych epidemii.

- No już dobrze, zaczynamy.

- Te epidemie przeżyje około dwudziestu procent oznajmił George.

Myślę, że chciał dodać sobie otuchy.

Wyjął z kieszeni płaski srebrny flakon. Odkorkował go. Podszedł i wlał jego zawartość do ścieku.

- No to już. Za jakiś tydzień możesz zacząć sprzedawać swoje pigułki. Potem nasz harmonogram przewiduje Londyn, Paryż, Rzym, Istambuł, Bombaj i tak dalej.

Skinąłem głową. Trzeba to było zrobić. Ale czasem trudno być ogrodnikiem ludzi.

przekład : Zofia Uhrynowska- Hanasz

Zapach myśli

Prawdziwy kłopot Leroya Cleevy'ego rozpoczął się wtedy, gdy przelatywał Pocztovcem nr 243 przez nie skolonizowany Rój Seergona. Dotąd trapiły go codzienne problemy gwiazdowego listonosza: stary statek, porysowane dysze, wadliwie działający nawigator. Teraz, gdy odczytał wskazanie kursu, zauważył, że w jego kabinie zrobiło się nieprzyjemnie gorąco.

Westchnął ciężko, włączył klimatyzację i połączył się z naczelnikiem w Bazie. Znajdował się na granicy kontaktu radiowego, głos naczelnika zanikał w morzu zakłóceń.

- Jakiś kłopot, Cleevy? - zapytał złowieszczym głosem człowiek, który rozpisuje harmonogramy i sam w nie wierzy.

- Nie wiem - pogodnie odparł Cleevy - wszystko jest w porządku; poza dyszami, automatycznym nawigatorem i instalacją elektryczną nawalają tylko izolacje i chłodzenie.

- To już, cholera, skandal - powiedział naczelnik, po czym dodał z nagłym współczuciem: -

Wiem, co czujesz. Cleevy włączył chłodzenie na pełną moc, starł pot z czoła i stwierdził, iż naczelnikowi w y d a j e się tylko, że wie, co on czuje.

- Czyż nie proszę się bezustannie Rządu o przydział nowych statków? - naczelnik zaśmiał się ponuro. - Im się chyba wydaje, że pocztę można przewozić byle starym pudłem.

W tym czasie Cleevy'ego przestały interesować wynurzenia naczelnika. Pomimo że chłodzenie przełączone było na pełną moc, statek grzał się dalej.

- Przerwę na chwilę - powiedział. Poszedł na rufę, skąd zdawało się emanować ciepło. Tam stwierdził, że trzy zbiorniki zamiast paliwa zawierały rozpaloną do białości bulgocącą szlakę. W czwartym gwałtownie zachodziła podobna przemiana. Cleevy przyglądał się temu przez chwilę, odwrócił się i pędem pobiegł do radiostacji.

- Nie mam paliwa - rzekł - zaszła chyba reakcja katalityczna. Mówiłem ci, że potrzebne są nowe zbiorniki. Siadam na pierwszej planecie z tlenem, jaką spotkam.

Włączył ręczne sterowanie awaryjne i spojrzął. na Rój Seergona.

W tym skupisku nie było kolonii, lecz skartografowano planety tlenowe z myślą o ich przyszłym wykorzystaniu. Co było na nich poza tlenem - nikt nie wiedział. Cleevy miał nadzieję to wyjaśnić, jeśli tylko jego statek wystarczająco długo będzie się trzymał kupy.

- Spróbuję na 3-M-22! - zawołał, przekrzykując narastające zakłócenia.

- Uważaj na pocztę! - zawył w odpowiedzi naczelnik. - Natychmiast wysyłam statek!

Cleevy odkrzyknął mu, co myśli zrobić z tymi dwudziestoma funtami poczty, lecz naczelnik wcześniej się wyłączył. Cleevy wykonał świetne lądowanie na 3-M-22, nad zwyczaj świetne, zważywszy fakt, iż przyrządy były zbyt gorące, by je dotknąć, dysze powyginane od żaru, a worek z pocztą, przytroczony do grzbietu, krępował jego ruchy. Pocztowiec nr 243 nadleciał jak łabędź. Dwadzieścia stóp nad powierzchnią nie wytrzymał i runął w dół jak kamień.

Cleevy odzyskał przytomność, lecz nie był pewien, czy po tym upadku choć jedna jego kostka pozostała cała.

Rozżarzone do czerwoności burty statku matowiały. Potykając się dotarł do luku awaryjnego, worek z pocztą ciasno przylegał do pleców.

Z zamkniętymi oczyma, zataczając się, odszedł ze sto jardów. Wtem statek eksplodował, podmuch rzucił Cleevy'ego płasko, twarzą do ziemi. Powstał, wykonał dwa następne kroki, po czym padł zemdlony.

Gdy odzyskał świadomość, leżał na zboczu małego pagórka, twarzą w wysokiej trawie.

Znajdował się w stanie cudownego oszołomienia. Czuł się oderwany od własnego ciała, był jakby nieskażonym umysłem falującym w powietrzu. Wszystkie zmartwienia, odczucia, obawy pozostały z ciałem - był wolny.

Rozejrzał się wokół i zauważył przebiegające obok małe zwierzątko. Było wielkości wiewiórki, lecz futro miało matowozielone.

Gdy się zbliżyło, stwierdził, że nie ma oczu ani uszu. Wcale go to nie zdziwiło. Wręcz przeciwnie, wydało mu się zjawiskiem zupełnie normalnym. Czemuż, u diabła, musi mieć koniecznie oczy i uszy? Lepiej, że nie widzą męki i bólu świata, nie słyszą pełnego skargi krzyku. Zbliżyło się inne zwierzę - to przypominało wielkością i kształtem szarego wilka, lecz również miało zieloną maść. Równoległa ewolucja? W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia, zdecydował. Ten osobnik także był pozbawiony oczu i uszu, posiadał natomiast rząd wspaniałych kłów. Cleevy przyglądał się im z nikłym zainteresowaniem. Cóż obchodzą nieskażony umysł jakieś wilki i wiewiórki, bez oczu lub jeszcze czegoś innego? Zauważył, że wiewiórka, znalazłszy się niecałe pięć stóp od wilka, nagle zamarła. Ten wolno się zbliżał. Wtem, niecałe trzy stopy od niej, jakby stracił trop. Potrząsnął głową i zrobił małe kółko. Gdy znów ruszył, posuwał się w złym kierunku. Gonił ślepy ślepego, powiedział do siebie Cleevy, co wydało mu się prawdą głęboką i

nieśmiertelną. Gdy patrzył, wiewiórka nagle drgnęła; wilk obrócił się i pożarł ją trzema kłapięciami. Ależ wielkie kły mają wilki, pomyślał Cleevy. Bawiła go myśl, że będzie pierwszym człowiekiem zjedzonym na tej planecie.

Cleevy czuł tuż przy samej twarzy oddech wilka, gdy znów zemdłał.

Był już wieczór, kiedy odzyskał przytomność. Długie cienie kładły się po ziemi, a słońce wisiało nisko nad horyzontem. Cleevy usiadł, spróbował zgiąć ramiona i nogi. Nie wyczuł żadnego bólu ani żadnych złamań.

Uklęknął na jedno kolano, czuł się otumaniony, lecz w pełni władał swymi zmysłami. Co się stało? Wspomnienie o katastrofie zdawało się odległe o tysiące lat. Statek spłonął, on oddalił się i zemdłał. Później spotkał wilka i wiewiórkę.

Dźwignął się niecierpliwie i rozejrzał wokoło. Ten ostatni epizod musiał mu się przyśnić. Jeśli wilk istniał naprawdę, on nie powinien już żyć.

Spojrzał w dół - u swych stóp zauważył zielony ogon wiewiórki, nieco dalej leżała jej głowa.

Gorączkowo usiłował się skupić. Więc wilk jednak tutaj był, i to głodny. Jeśli chce przetrwać do przybycia statku ratunkowego, musi znaleźć odpowiedź, co się tu wydarzyło i dlaczego.

Te zwierzęta nie miały oczu ani uszu. W jaki więc sposób wyczuwały swą obecność? Po zapachu? Jeśli tak, zatem dlaczego wilk miał tyle kłopotów ze znalezieniem wiewiórki?

Odwrócił się, gdy usłyszał basowy pomruk. W oddali, niecałe pięćdziesiąt stóp od niego, zauważył coś, co wyglądem przypominało lamparta. Żółtobrazowego, bezokiego i pozbawionego uszu lamparta.

Cholerna menażeria, pomyślał Cleevy i przykucnął w wysokiej trawie. Ta planeta zbyt szybko brała go w swoje obroty. Potrzebował czasu do namysłu. Czym kierują się te zwierzęta? Czyżby zamiast wzroku posiadały zmysł lokacji? Lampart zaczął się oddalać.

Cleevy odetchnął z większą swobodą. Być może, gdy znajdował się poza zasięgiem wzroku

zwierzęcia, lampart... Gdy tylko pomyślał słowo "lampart", bestia obróciła się w jego kierunku.

Cóż ja takiego zrobiłem? - zadał sobie pytanie Cleevy, zakopując się głębiej w trawie. Nie czuje mnie, nie słyszy ani nie widzi. Pomyślał jedynie, że lepiej się trzymać z daleka od...

Z głową uniesioną wysoko ku górze lampart zaczął kroczyć w jego kierunku.

To było to. Bez oczu i uszu istniał tylko jeden sposób, aby bestia wykryła jego obecność. To musi być telepatia! Aby zbadać swą teorię, pomyślał słowo "lampart", indentyfikując je odruchowo ze zbliżającym się do niego zwierzęciem. Lampart ryknął dziko i skrócił dzielący ich dystans.

W ułamku sekundy Cleevy zrozumiał mnóstwo rzeczy. Wilk tropił wiewiórkę za pomocą telepatii. Wiewiórka znieruchomiała - być może nawet przestała myśleć! I wilk zgubił ślad - do czasu, gdy wiewiórka nie mogła się już dłużej powstrzymać od myślenia.

W takim razie, dlaczego wilk nie zaatakował jego, gdy był nieprzytomny? Być może dlatego, że przestał myśleć -lub przestał myśleć na długości fali odbieranej przez wilka.

To ostatnie było bardziej prawdopodobne.

Teraz jednak problem stanowił L a m p a r t.

Bestia znów ryknęła. Była już tylko trzydzieści stóp od niego i odległość malała gwałtownie.

Jedyne wyjście, stwierdził Cleevy, to nie myśleć o nim - myśleć o czymś innym. W ten sposób, być może, zgubi ślad. Zaczął przypominać sobie wszystkie dziewczyny, jakie znał, z najmniejszymi detalami.

Lampart zatrzymał się i zaczął niezdecydowanie skrobać łapą ziemię. Cleevy myślał dalej: o dziewczynach, statkach, planetach, znów o dziewczynach i statkach, o wszystkim, byle nie o lamparcie...

Lampart zbliżył się o następne pięć stóp.

Niech to cholera, stwierdził, jak można nie myśleć o czymś? Myśleć wściekle o kamieniach, skałach, ludziach miejscach i rzeczach, lecz twój umysł ciągle wraca do - ty jednak ignorujesz to i

skupiasz się na swej świętobliwej babce, zapijaczonym starym ojcu, siniakach na prawej nodze.

(Policz je. Osiem. Policz jeszcze raz. Wciąż osiem.)

A teraz spójrz wyżej, obojętnie, widzisz, lecz naprawdę nie rozpoznajesz - mimo to wciąż się zbliża.

Cleevy stwierdził, że n i e myśleć, to jakby zatrzymać gołymi rękami lawinę. Uzmysłowił sobie, że rozum ludzki nie da się świadomie i tak sobie - ot, zatrzymać. Trzeba na to czasu i ćwiczeń.

Stracił około piętnastu stóp z dzielącego ich dystansu, usiłując zgłębić to, jak nie myśleć o...

Cóż, można jeszcze pomyśleć o grach karcianych, o przyjęciach, o psach, kotach, koniach, myszach, owcach, wilkach (a sio), o siniakach, pancernikach, jaskiniach, kryjówkach, legowiskach, kociakach (uwaga!), 1... limitach, równoznacznikach, łazikach, krawężnikach, robotnikach, szczegółikach (takich na osiem stóp), posiłkach, żywności, ogniu, lisie, sierści, kotach, workach, łodziach i 1... 1... 1...

Lampart znajdował się teraz około pięciu stóp od niego, szykował się do skoku. Cleevy już nie mógł dłużej utrzymać myśli na wodzy. Wtem, w przypiływie nagłego olśnienia, pomyślał:

Lamparcica! Lampart, wciąż jeszcze przyczajony, uniósł podejrzliwie głowę.

Cleevy skoncentrował myśli na lamparcicy. To o n nią był, cóż sobie wyobraża ten lampart, strasząc ją w ten sposób? Jego (jej, szlag by to trafił) myśli wracały do małych kociaków, ciepłej jaskini, rozkoszy polowania na wiewiórki...

Lampart powoli zbliżył się i otarł o jego bok. Cleevy myślał rozpaczliwie. Ładną pogodę dzisiaj mamy, i dalej; z tego lamparta całkiem przystojny facet, taki duży i silny, a jakie ma potężne kły.

Lampart się najeżył!

Cleevy położył się, zawinął wokół siebie wymaglinowany ogon i stwierdził, że pora udać się spać. Lampart przystanął obok niezdecydowany. Miał przecucie, że coś tu jest nie tak. Wydobył z gardła, z samej jego głębi, pojedynczy pomruk, po czym odwrócił się i oddalił susami.

Słońce właśnie zaszło, cała okolica tonęła w głębokim granacie. Cleevy uzmysłowił sobie, że trzęsie się od niepohamowanego, niemal histerycznego śmiechu. Gdyby lampart pozostał chwilę dłużej...

Z trudem zapanował nad sobą. Najwyższy czas pomyśleć poważnie. Zapewne każde zwierzę posiada swój charakterystyczny zapach myśli. Wiewiórka emitowała swój. Inny wilk, a jeszcze inny człowiek. Zasadnicze pytanie brzmiało: czy mógł być wyśledzony, gdy myślał o jakimś zwierzęciu? Czy też jego jaźń, jak zapach, była wyczuwalna, nawet gdy o niczym konkretnym nie myślał?

Jasne, że lampart wytropił go w chwili, gdy myślał wyłącznie o nim. Mogło to jednak nastąpić w wyniku dezorientacji. Jego obcy zapach myśli mógł zmylić lamparta - tym razem.

Pozostało mu jedynie bierne wyczekiwanie. Lampart zapewne nie jest głodny. Po raz pierwszy spleatano mu takiego figla. A każdy figiel udaje się tylko raz.

Cleevy położył się na plecach i patrzył w niebo. Był zbyt zmęczony, by się poruszać, bolało go posiniaczone ciało. Co może się wydarzyć teraz, w nocy? Czy bestie dalej polują? Czy może zapanuje coś w rodzaju zawieszenia broni? Stłamsił w sobie przekleństwo.

Do diabła z wiewiórkami, wilkami, lampartami, lwami, tygrysami i reniferami.

Usnął. Następnego ranka nie mógł się nadziwić, że wciąż jeszcze żyje. Oby tak dalej. Poza tym dzień zapowiadał się pięknie. Pokrzepiony tym udał się w stronę statku.

Wszystko, co pozostało z Pocztownca nr 243, to kupa powyginanego żelastwa rozsianego na wypalanej ziemi. Cleevy wyszukał metalowy łom, zważył go w dłoni, po czym wsunął za pas, poniżej worka z pocztą. Nie była to zbyt pewna broń, lecz dodawała mu nieco pewności siebie. Statek uległ kompletnej zagładzie. Oddalił się więc w poszukiwaniu żywności. W okolicy rosło kilkanaście krzewów z owocami. Ostrożnie spróbował jednego z nich i stwierdził, że smak mają cierpki, lecz przyjemny. Pospiesznie przełykał owoce - popijając wodą z pobliskiego strumienia.

Jak dotąd nie dostrzegł żadnych zwierząt. Mogły one oczywiście - wiedział to już z doświadczenia - zbliżyć się właśnie teraz.

Skasował tę myśl i rozpoczął poszukiwania kryjówki. Najlepiej trzymać się od nich z dala do czasu nadejścia statku ratunkowego. Wędrował wśród wdzięcznie pofalowanych pagórków w poszukiwaniu czubka drzewa lub jaskini. Jednak ten sielski krajobraz nie ofiarował mu nic większego poza sześciostopowym krzewem.

Minęło południe, a zmęczony i rozdrażniony Cleevy wciąż przepatrywał niespokojnie nieboskłon. Dlaczego nie ma statku? Szybkiemu statkowi ratowniczemu podróż do niego powinna zająć nie więcej niż jeden lub dwa dni - obliczył. Jeśli naczelnik szuka właściwej planety! Coś poruszyło się na niebie. Uniósł głowę, serce łomotało mu gwałtownie. Tam coś jest! To był ptak. Szybował wolno nad nim, bez wysiłku kołysząc potężnymi skrzydłami. Raz tylko zanurkował, później odleciał. Ptak zadziwiająco przypominał sępa.

Cleevy kontynuował wędrówkę. W następnej chwili znalazł się twarzą w twarz z czterema ślepymi wilkami. Załatwiło to jedno pytanie. M ó g ł być wytropiony po swym charakterystycznym zapachu myśli. Bestie z tej planety wyraźnie zdecydowały, iż nie jest na tyle obcy, by go nie można było zjeść.

Wilki ostrożnie zbliżały się do niego. Cleevy spróbował sztuczki, której użył wczorajszego dnia. Wysuwając zza pasa metalowy łom, wyobraził sobie, że jest wilczycą poszukującą swoich szczeniąt. Czy któryś z panów pomoże mi je znaleźć? Jeszcze przed chwilą tu były. Jedno było zielone, drugie cętkowane, pozostałe...

Te wilki chyba nie mają cętkowanych szczeniąt. Jeden z nich skoczył. Cleevy wyrznął go łomem, gdy był w pół drogi. Wilk chwiejnie się wycofał.

Idąc ramię w ramię, zbliżyła się cała czwórka.

Cleevy gorączkowo usiłował wyobrazić sobie, że nie żyje. Nic z tego. Wilki wciąż się zbliżały.

Cleevy pomyślał o lamparciu. On nim był, wielką bestią, no i nadarza się okazja schwywania wilka.

To je powstrzymało. Nerwowo śmigwały ogonami, lecz nie ustąpiły. Cleevy warknął, rozorał łapą ziemię i chyłkiem ruszył naprzód. Wilki wycofały się, lecz jeden z nich wymknął się, by zająć go od tyłu.

Cleevy poruszał się zakosami, aby uniemożliwić okrążenie. Wyglądało na to, że one naprawdę mu nie dowierzają. Chyba niezbyt dobrze udawał lamparta. Przestały się wycofywać. Jednego miał z tyłu, reszta stała nieugięte, z jęzorami wywieszonymi z mokrych, rozwartych pysków. Cleevy warknął dziko i wywinął maczugą. Wilk odskoczył, lecz ten z tyłu odbił się, wylądował na worku z pocztą; cios zwałił Cleevy'ego z nóg.

W trakcie kotłowania Cleevy'emu nasunął się inny pomysł. Wyobraził sobie, że jest bardzo zimnym, jadowitym wężem, jego kły zawierały truciznę zdolną w jednej chwili uśmiercić wilka. Wilki natychmiast odpadły od niego. Cleevy syczał i wyginał swój giętki grzbiet. Wilki zawyły, lecz nie wykazywały ochoty do ataku.

Wtedy Cleevy popełnił błąd. Chociaż wiedział, że powinien twardo stawić im czoło i nadrabiać bezczelnością, jednak jego ciałem rządziły inne siły.

Wbrew woli odwrócił się i zaczął pędem uciekać.

Wilki susami pognały za nim. Cleevy spojrzał w górę, zauważył sępy, zlatujące się w nadziei na resztki. Zapanował nad sobą i spróbował ponownie zamienić się w węża, jednak wilki nie zrezygnowały z pogoni. Krążące nad głową sępy nasunęły mu pewien pomysł. Jako pilot wiedział, jak wygląda ziemia z wysokości. Cleevy postanowił zamienić się w ptaka. W wyobraźni wzbił się ponad ziemię, lekko żeglował na unoszącej go ku górze fali powietrza, spoglądał z góry na pokryty zielenią, pofałdowany teren.

Wilki straciły orientację, biegały w kółko, podskakiwały w górę. Cleevy w dalszym ciągu się

wzbijał, coraz wyżej, wyżej, równocześnie powoli się wycofując.

W końcu znikły mu z oczu i nastał wieczór. Był wyczerpany. Przeżył jeszcze jeden dzień.

Stwierdził jednak, że jego posunięcia obronne udają się tylko raz. Co wymyśli jutro, jeśli nie nadejdzie statek ratunkowy?

Po nastaniu ciemności długo leżał bezsennie, wpatrując się w niebo. Widać było tylko gwiazdy.

Raz po raz dochodziło do niego wycie wilka i ryk lamparta śniącego o śniadaniu.

Wkrótce nadszedł ranek. Cleevy przebudził się, był zmęczony i niewypoczęty. Położył się na wznak i czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Gdzie jest statek ratunkowy? Mieli mnóstwo czasu, argumentował sobie. Dlaczego ich nie ma? Jeśli będą się zbyt długo ociągać, wtedy lampart...

Nie powinien był o tym myśleć. W odpowiedzi usłyszał z prawej strony ryk.

Powstał i oddalił się w kierunku odwrotnym do źródła dźwięku. Pomyślał, że z dwojga złego woli spotkanie z wilkami...

Tej myśli powinien także uniknąć, bowiem do ryku lamparta dołączył się teraz zew wilczej zgrai.

Cleevy napotkał zwierzęta równocześnie. Z boku rozróżniał sylwetki kilkunastu wilków. Przez moment przemknęła mu myśl, że mogłyby się o niego , pobić. Gdyby wilki obskoczyły lamparta, on mógłby w tym czasie uciec...

Ich zainteresowanie skupiło się jednak na nim. Po cóż bić się między sobą, uzmysłowił sobie, jeśli mają jego, emitującego wszem i wobec swoją bezradność i trwogę?

Lampart zbliżył się w jego kierunku. Wilki pozostały w tyle, wyraźnie skłonne zadowolić się resztkami. Cleevy spróbował starej sztuczki z ptakiem, lecz lampart, po chwili wahania, nieugięcie się zbliżał.

Cleevy wycofał się w stronę wilków, marzył o czymś, na co mógłby się wspiąć. Wstarczyłaby skała lub chociaż rozłożyste drzewo...

Tam są przecież krzaki! W przyływie inwencji zrodzonej z rozpaczyny Cleevy zamienił się w

sześciostopowy krzak.

Nie miał najmniejszego pojęcia, co czuje krzak, lecz z wszystkich sił wysilał fantazję.

Teraz właśnie kwitnął. A jeden z jego korzeni trzymał nieco niepewnie - wynik ostatniej burzy.

Zważywszy jednak wszystko, był sobie całkiem zgrabnym krzakiem.

Spoza gałęzi zauważył, że wilki znieruchomiały. Lampart okrążył go, powąchał i w osłupieniu przechylił łeb na bok.

Prawdę powiedziawszy, pomyślał Cleevy, któż by chciał gryźć krzak? Może się tobie zdawało, że jestem czymś innym, lecz obecnie jestem tylko i wyłącznie krzakiem. Nie masz chyba ochoty na łyk liści, nieprawda? Możesz przypadkiem wylamać sobie ząb na moich konarach. Kto słyszał o lampartach jedzących liście? A ja jestem krzakiem. Spytaj mojej matki. Ona też była krzakiem.

Wszyscy byliśmy krzakami, począwszy od okresu karbońskiego.

Lampart nie wykazywał ochoty do ataku. Z drugiej zaś strony, nic nie wskazywało, że zamierza odejść. Cleevy zastanawiał się, czy wytrzyma. O czym z kolei powinien myśleć? O urokach wiosny? O gnieździe drozdów w jego koronie?

Niewielki ptaszek wylądował na jego ramieniu.

Czy to nie urocze, zastanawiał się Cleevy. On także myśli, że jestem krzakiem. Uwij sobie gniazdo wśród moich gałęzi. To naprawdę cudowne. Wszystkie inne krzaki będą mi zazdrościć.

Ptaszek delikatnie dziobnął Cleevy'ego w szyję.

Uspokój się, myślał Cleevy. Nie chcesz chyba zniszczyć swego żywiciela...

Ptaszek znów dziobnął dla próby, po czym mocno zaparł się błoniastymi palcami i zaczął stukać w szyję Cleevy'ego z częstotliwością pneumatycznego młota.

Przeklęty dzięcioł, pomyślał Cleevy, usiłując zachować pozycję krzewu. Zauważył nagły niepokój lamparta. Gdy ptak po raz piętnasty nakłuł jego szyję, Cleevy nie wytrzymał. Pochwycił ptaszysko i cisnął nim w lamparta.

Bestia kłapnęła zębami, lecz zbyt późno. Rozwścieczony ptak badawczo okrążył głowę Cleevy'ego. Później pomknął w poszukiwaniu bardziej spokojnych krzaków.

W jednej chwili Cleevy znów był krzakiem, ale zabawa się skończyła. Lampart zaczął go tarmosić. Cleevy usiłował zbiec, lecz potknął się o wilka i upadł.

Słyszac warczenie lamparta tuż przy samej twarzy, uświadomił sobie, że jest już trupem.

Lampart zawahał się.

Cleevy zmienił się, aż po rozpływające się koniuszki palców, w trupa. Nie żył już od wielu dni, tygodni. Jego krew dawno wyciekła. Ciało cuchnęło. Pozostała jedynie rozpadająca się zgnilizna.

Żadne zwierzę przy zdrowych zmysłach nie tknęłoby go, bez względu na stopień głodu.

Lampart jakby podzielał jego zdanie. Wycofał się. Wilki zawyły krwiożerczo, lecz także się oddaliły.

Cleevy przyspieszył swój rozkład o dalsze kilka dni. Myśli skoncentrował na tym, jak bardzo był niejadalny, jak niekłamane niesmaczny. W głębi jednak zakradło się podejrzenie. Nie wierzył szczerze w swą niejadalność.

Lampart wciąż się oddalał, za nim podążały wilki. Był uratowany! Jeśli będzie trzeba, do końca życia pozostanie trupem. Wtem poczuł koło siebie woń p r a w d z i w e j padliny. Gdy się obejrzał, zauważył, że tuż obok wylądowało ogromne ptaszysko.

Na Ziemi nazywałoby się sępem.

W tym momencie Cleevy miał ochotę zapłakać. Czy już nic nie poskutkuje? Sęp kołyszącym się chodem zbliżył się w jego kierunku. Cleevy poderwał się na równe nogi i przegonił go kopniakiem. Jeśli ma być pożarty, niech to przynajmniej nie będzie sęp.

Lampart powrócił lotem błyskawicy, na jego puszystym, ślepym pysku malowały się złość i frustracja. Cleevy uniósł metalowy łom, marząc o drzewie, na które mógłby się wspiąć, o strzelbie, by z niej wypalić, lub chociaż o pochodni, by się nią oganiać...

Pochodnia! Natychmiast zrozumiał, że znalazł odpowiedź. Buchnął płomieniem prosto w lamparci pysk, zwierzę odskoczyło ze skowytem. Cleevy zaczął palić wszystko wokół. Ogień ogarnął wysuszoną trawę, przeniósł się na krzaki.

Lampart i wilki rzuciły się do ucieczki.

Teraz przyszła kolej na niego. Powinien był pamiętać, że zwierzęta posiadają głęboko zakorzeniony, instynktowny strach przed ogniem. Rany boskie, zrobi największą pożogę, jaka kiedykolwiek nawiedziła to miejsce!

Zerwał się lekki wietrzyk, który przeniósł jego ogień na pofałdowaną okolicę. Z poszycia czmychały wiewiórki, ratując się ucieczką, stada ptaków podrywały się do lotu, pierś w pierś biegły lamparty, wilki i inne zwierzęta, nikt nie myślał o jedzeniu, jedynym ich pragnieniem była ucieczka przed ogniem - ucieczka przed nim!

Cleevy niejasno uzmysłowił sobie, że stał się teraz prawdziwym telepatą. Zamknawszy oczy widział i wyczuwał, co się wokół dzieje. Parł naprzód jako huczący pożar, paląc wszystko wokół. Czuł w sobie trwogę pożerającą dusze cwałującej przed nim gromady.

Tak powinno być. Czyż człowiek nie był zawsze panem, dzięki swej zdolności adaptacyjnej i wyższej inteligencji? To samo osiągnął także tutaj. Pełen dumy przeskoczył wąski strumyk trzy mile dalej, podpalił kępę krzewów, buchał płomieniami, tryskał ogniem.

Wtem poczuł pierwszą kroplę deszczu.

Opalił ją, wnet jednak z jednej zrobiło się pięć, później piętnaście, a za chwilę było już ich pięćset. Przemókł, a jego paliwo - trawa i krzaki - wkrótce ociekały wodą.

Zgaszono go.

To nie fair, pomyślał Cleevy. Według wszelkich reguł powinien wygrać. Walczył zgodnie z narzuconymi mu przez tę planetę warunkami i zwyciężyłby - gdyby wszystkiego nie zrujnowało zwykłe zjawisko przyrody.

Ostrożnie zaczęły powracać zwierzęta.

Deszcz lunął na dobre. Zgasł ostatni z płomieni. Cleevy westchnął i zemdlał.

- ...cholernie dobrą robotę. Nie zostawiłeś poczty, a to wskazuje, że jesteś świetnym listonoszem.

Może uda się nam załatwić jakiś model.

Cleevy otworzył oczy. Nad nim stał promieniejący dumą naczelnik. Leżał na koi, nad sobą widział krzywiznę metalowych burt. Był na statku ratowniczym.

- Co się stało? - wykrztusił chrapliwie.

- Znaleźliśmy cię w ostatniej chwili - odparł naczelnik. - Lepiej jeszcze nie wstawaj. Jeszcze chwila, a pomoc okazałaby się zbędna.

Cleevy poczuł przyspieszenie podrywające statek i zrozumiał, że opuszczają powierzchnię planety 3-M-22. Słaniając się dotarł do okienka i spojrzął na ścielący się poniżej, pokryty zielenią krajobraz.

- Ogień był blisko - rzekł naczelnik, który przystanął obok i spoglądał wraz z nim w dół. - W samą porę uruchomiliśmy pokładowy system działek wodnych. Znajdowałeś się w samym centrum najpaskudniejszego pożaru stepu, jaki kiedykolwiek widziałem.

Spoglądając na nie zabliznioną zielen, naczelnik jakby przez moment się zawahał. Spojrzał niepewnie, wyraz jego twarzy przypomniał Cleevy'emu wyprowadzonego w pole lamparta.

- Słuchaj no - jakim cudem ty żeś się nie spalił?

przekład : Janusz Wójciak

Zezwolenie przestępcze

Był ranek. Wielkie czerwone słońce ledwie wzeszło nad horyzontem podążając za swym mniejszym żółtym towarzyszem. Wioska, niewielka i czyściutka, pojedynczy biały punkcik na zielonej powierzchni planety, skrzyła się w dwóch letnich słońcach. Tom Rybak, który dopiero się zbudził, nie miał pojęcia, że właśnie zbliża się początek jego przestępczej kariery.

Tom był wysokim, opalonym na brąz młodzieńcem. Po ojcu odziedziczył owalne oczy, po matce niefrasobliwy stosunek do pracy. Nie śpieszyło mu się, aż do okresu deszczów nie będzie żadnych połowów, a więc i żadnego zajęcia dla rybaka. Do tego czasu miał zamiar próżnować i naprawiać swoje wędki.

- Powinien mieć czerwony dach! - usłyszał z zewnątrz krzyk Billy'ego Malarza.

- Kościoły n i g d y nie mają czerwonych dachów! - upierał się głośno Ed Tkacz.

Tom zmarszczył brwi. Nie brał udziału w pracach, zapomniał więc o zmianach, które przez ostatnie dwa tygodnie zaszły w wiosce. Naciągnął spodnie i ruszył spacerkiem na rynek.

Pierwszą rzeczą, jaką tam zauważył, była nowa, duża tablica z napisem: OBCYM ZABRANIA SIĘ PRZEBYWANIA NA TERENIE MIASTA. Na całej planecie Nowego Delaware nie było żadnych obcych. Nie było niczego prócz lasu i tej jednej wioski. Tablica była wyłącznie deklaracją polityki mieszkańców.

Przy rynku stał kościół, więzienie i poczta, wszystko skonstruowane w ciągu dwóch ostatnich, gorączkowych tygodni, ustawione równym rzędem frontami do placu targowego. Nikt właściwie nie wiedział, co robić z tymi budynkami. Przez ponad dwieście lat wioska radziła sobie bez nich zupełnie dobrze. Ale teraz, oczywiście, trzeba je było wybudować.

Ed Tkacz stał przed nowym kościołem i spoglądał w górę, na Billy'ego Malarza, który balansował ryzykownie na stromym dachu, strosząc w oburzeniu swe jasne wąsy. Wokół nich zgromadził się niewielki tłumek.

- Do diabła, chłopie - mówił Billy. - Mówię ci, czytałem o tym w zeszłym tygodniu. Biały dach może być. Czerwony, nigdy.

- Pomyliłeś to z czymś innym - upierał się Tkacz. - Co o tym sądzisz, Tom?

Tom nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie, wzruszył więc tylko ramionami. W tym momencie na rynku pojawił się zaferowany burmistrz. Pocił się mocno, a rozpięta koszula

odsłaniała jego duży brzuch.

- Złaź! - zawołał do Billa. - Właśnie sprawdziłem. To była Mała Czerwona Szkoła, a nie Mały Czerwony Kościółek. Billy wyglądał na rozzłoszczonego. Zawsze był nerwowy, jak wszyscy Malarze. Ale odkąd burmistrz zrobił go szefem policji, stał się po prostu nie do wytrzymania.

- Nie mamy żadnej małej szkółki - upierał się, schodząc po drabinie.

- No, to musimy zbudować - odparł burmistrz. - I pospieszyć się też musimy - dodał, spoglądając w niebo. Cały tłum mimo woli także podniósł wzrok. Ale nic jeszcze nie było widać.

- Gdzie są chłopcy Cieślów? - spytał burmistrz. - Sid, Sam, Marv, jest tu który?

Między ramionami ludzi pojawiła się głowa Sida Cieśli. Ciągle jeszcze chodził o kulach, odkąd w zeszłym miesiącu wybrał się na jaja trestli i spadł z drzewa. W łażeniu po drzewach żaden z Cieślów nie był zbyt dobry.

- Chłopaki są w Tawernie Eda Piwiarza - oświadczył.

- A gdzie mogliby być - odezwała się z tyłu Mary Przewoźnikowa.

- No dobra. Zawołaj ich - polecił burmistrz. - Muszą postawić małą szkółkę i to szybko. Tuż obok więzienia. A ty, Billy dodał oglądając się na Billy'ego Malarza, który zszedł już na ziemię - pomalujesz tę szkołę ładną, jasnoczerwoną farbą, w środku i na zewnątrz. To bardzo ważne.

- Kiedy dostanę odznakę szefa policji? - chciał się dowiedzieć Billy. - Czytałem, że szefowie policji zawsze dostawali odznaki.

- Zrób sobie jakąś - odparł burmistrz ocierając twarz połą koszuli. - Ależ gorąco. Nie rozumiem, czemu ten inspektor nie mógł przylecieć zimą... Tom! Tom Rybak! Mam dla ciebie ważne zadanie. Chodź, wytłumaczę ci, o co chodzi.

Położył dłoń na jego ramieniu i razem ruszyli wzdłuż jedynej w wiosce brukowanej drogi, w stronę domku burmistrza za pustym placem targowym. Za dawnych czasów drogę tę pokrywała ubita ziemia, ale dawne czasy skończyły się dwa tygodnie temu i teraz drogę wysypano tłuczonym

kamieniem. Chodzenie po niej bosy było tak nieprzyjemne, że mieszkańcy po prostu przechodzili przez trawniki sąsiadów. Burmistrz jednak chodził drogą dla zasady.

- Proszę posłuchać, panie burmistrzu, mam teraz wakacje... - Nie możemy sobie pozwolić na wakacje - przerwał mu burmistrz. - Nie t e r a z . On ma przybyć lada dzień.

Wprowadził Toma do wnętrza i usiadł w wielkim fotelu, przysuniętym jak najbliżej międzygwiazdowego radia.

- Tom - zapytał wprost - co byś powiedział na pracę przestępcy?

- Nie wiem - odparł Tom. - A co to jest przestępca? Wierząc się nerwowo w fotelu burmistrz położył dłoń na radiu, żeby dodać sobie powagi.

- To jest tak - powiedział i zaczął wyjaśniać.

Tom słuchał, ale im więcej wiedział, tym mniej mu się to wszystko podobało. To przez to międzygwiazdowe radio, zdecydował. Dlaczego się naprawdę nie popsuło?

Nikt nie wierzył, że będzie działać. Przez całe pokolenia zbierał się na nim kurz, gdy stało w gabinetach kolejnych burmistrzów - ostatnie, milczące ogniwo łączące ich z Matką Ziemią.

Dwieście lat temu Ziemia kontaktowała się z Nowym Delaware, a także z Ford IV, z Alfa Centauri, Nueva Espana i pozostałymi koloniami, tworzącymi Zjednoczone Demokracje Ziemi. A potem wszystkie rozmowy urwały się.

Zdaje się, że wybuchła tam wojna. Nowe Delaware ze swoją jedyną wioską było zbyt małe i zbyt dalekie, by wziąć w niej udział. Czekali na wieści, które jednak nie nadchodziły. A potem wybuchła zaraza i wybiła trzy czwarte mieszkańców.

Wioska z wolna dochodziła do siebie. Ludzie nauczyli się własnych metod załatwiania spraw. Zapomnieli o Ziemi.

Minęło dwieście lat.

I nagle, dwa tygodnie temu, starożytne radio zakaszłało i ożyło. Przez całe godziny warczało i

trzeszczało, a mieszkańcy wioski czekali, zebrani koło domku burmistrza.

Wreszcie dobiegły słowa:

- ...mnie słyszycie, Nowe Delaware? Czy mnie słyszycie?

- Tak, tak, słyszymy - odpowiedział burmistrz.

- Czy kolonia nadal istnieje?

- Oczywiście - zapewnił burmistrz z dumą. Głos stał się suchy i oficjalny.

- Przez pewien czas nie utrzymywaliśmy kontaktu z Koloniami Zewnętrznymi, ze względu na niewyjaśnioną sytuację lokalną. Ale to już za nami. Pozostały tylko drobne porządki. Wy, z Nowego Delaware, pozostajecie kolonią Imperium Ziemi i podlegacie jej prawom. Czy uznajecie taki stan rzeczy?

Burmistrz zawahał się. Wszystkie książki mówiły o Ziemi jako o Zjednoczonych Demokracjach.

No cóż, w ciągu dwóch wieków nazwy mogły się zmienić.

- Nadal jesteśmy lojalni wobec Ziemi - oświadczył z godnością.

- Znakomicie. To oszczędza nam kłopotu wysyłania korpusu ekspedycyjnego. Z najbliższej bazy przybędzie do was inspektor. Ustali, czy przestrzegacie ziemskich praw, tradycji i obyczajów.

- Co? - zapytał zmartwiony nagle burmistrz. Suchy głos wzniósł się o ton wyżej.

- Naturalnie zdajecie sobie sprawę, że we Wszechświecie jest miejsce tylko dla jednego obdarzonego inteligencją gatunku: Człowieka! Wszystkie inne muszą zostać zmiażdżone, starte, unicestwione. Nie możemy tolerować żadnych kręcących się dookoła obcych. Jestem pewien, że pan to rozumie, generale.

- Nie jestem generałem. Jestem burmistrzem.

- Pan tam rządzi, prawda?

- Tak, ale...

- A więc jest pan generałem. Pozwoli pan, że będę kontynuował. W tej galaktyce nie ma miejsca

dla obcych. Żadnych! Ani dla zboczonych kultur ludzkich, które z definicji też są obce. Nie można rządzić imperium, gdy każdy robi to, na co ma ochotę. Musimy zaprowadzić porządek, b e z w z g l ę d u n a c e n ę .

Wpatrzony w radio burmistrz głośno przełknął ślinę.

- Mam nadzieję, że zarządza pan ziemską kolonią, generale, bez żadnych radykalnych odchyień od normy w rodzaju wolnej woli, wolnej miłości, wolnych wyborów czy innych tego typu pomysłów z listy poglądów zakazanych. To są obce idee, a dla obcych potrafimy być brutalni.

Proszę uporządkować swoją kolonię, generale. Inspektor pojawi się mniej więcej za dwa tygodnie.

Natychmiast zwołano zebranie wszystkich mieszkańców wioski, aby ustalić, jak najlepiej potwierdzić swoją ziemskość. Jedyne, co mogli zrobić, to pospiesznie dostosować się do wzorca Ziemi, opisanego w dawnych ksiązkach.

- Nie rozumiem, dlaczego musi być jakiś przestępca oświadczył Tom.

- Przestępca jest niezwykle ważną częścią ziemskiego społeczeństwa - wyjaśnił burmistrz. -

Wszystkie książki są co do tego zgodne. Jest równie ważny jak, powiedzmy, listonosz albo szef policji. Różni się od nich tym, że zajmuje się działalnością aspołeczną. Pracuje p r z e c i w k o społeczeństwu. Gdyby nie było ludzi pracujących p r z e c i w k o społeczeństwu, jak mogliby istnieć ludzie pracujący d l a niego? Nie mieliby nic do roboty.

- Nie rozumiem - pokręcił głową Tom.

- Bądź rozsądny. Musimy mieć tu wszystkie ziemskie rzeczy. Choćby brukowane drogi. I kościoły, i szkoły, i więzienia. Wszystkie książki o tym mówią. O przestępstwach też.

- Nie chcę - oświadczył Tom.

- Postaw się w moim położeniu - błagał burmistrz. - Przylatuje ten inspektor i spotyka Billy'ego Malarza, naszego szefa policji. Prosi, żeby mu pokazać więzienie. A potem pyta: "Żadnych więźniów?" A ja odpowiadam: "Oczywiście. Nie popełniamy żadnych przestępstw". "Żadnych

przestępstw? - dziwi się. "Przecież w ziemskich koloniach zawsze zdarzają się przestępstwa. Wie pan o tym". "U nas nie", tłumaczę. "Nie wiedziałem nawet, co to znaczy przestępstwo, dopóki w zeszłym tygodniu nie sprawdziłem w słowniku". "No więc po co zbudowaliście więzienie?" - on mnie pyta. "Po co pan zaangażował szefa policji.

Burmistrz przerwał dla nabrania oddechu.

- Rozumiesz? Wszystko się zawali. On od razu pozna, że nie jesteśmy naprawdę ziemscy. Ze udajemy. Że jesteśmy obcy!

- Hmm - stwierdził Tom, na którym zrobiło to duże wrażenie.

- A tak - podjął pośpiesznie burmistrz - będę mógł powiedzieć: "Naturalnie, mamy tu przestępstwa, zupełnie jak na Ziemi. Jest taki złodziej i morderca. Biedny chłopak, miał ciężkie dzieciństwo i jest nieprzystosowany. Nasz szef policji ma parę śladów i spodziewa się aresztowania w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Zamkniemy go w więzieniu i zresocjalizujemy".

- Co to znaczy zresocjalizować? - spytał Tom.

- Nie jestem pewien. Będę się martwił, kiedy już do tego dojdzie. Ale rozumiesz, dlaczego przestępstwa są konieczne?

- Chyba rozumiem. Ale dlaczego ja?

- Nie ma nikogo wolnego. A ty masz wąskie oczy. Przestępcy zawsze mają wąskie oczy.

- Nie są aż t a k wąskie. Nie węższe niż Eda Tkacza,...

- Proszę cię, Tom - przerwał burmistrz. - Każdy robi, co może. Chcesz przecież pomóc, prawda?

- Chyba tak - przyznał zmęczonym głosem Tom: - Świetnie. Jesteś więc naszym przestępcą. A tu jest urzędowe zaświadczenie.

Podał Tomowi dokument. Głosił on:

ZEZWOLENIE PRZESTĘPCZE

Informuje się Mieszkańców, że okaziciel Niniejszego, Tom Rybak, jest Oficjalnym Złodziejem i

Mordercą. Tym samym jest zobowiązany do Czajenia się w Ciemnych Zaułkach, Odwiedzania Miejsc o Złej Reputacji i Łamania Prawa.

Tom przeczytał dwa razy, po czym zapytał: - Jakiego prawa?

- Dam ci znać, jak tylko je wymyślę - wyjaśnił burmistrz. Wszystkie ziemskie kolonie mają prawa.

- Ale co ja mam r o b i ć?

- Kraść. I zabijać. To nie powinno być zbyt trudne - burmistrz podszedł do swojej biblioteczki i wyjął starożytne księgi o tytułach: "Przestępca i jego środowisko", "Psychologia zabójcy" i "Studium motywacji kradzieży". - Tu jest wszystko, co powinieneś wiedzieć. Kradnij ile chcesz, ale jedno morderstwo powinno wystarczyć. Nie ma sensu przesadzać.

- Dobra - kiwnął głową Tom. - Chyba się w tym połapię. Z książkami pod pachą wrócił do siebie.

Było gorąco, a cała ta rozmowa o przestępstwach rozstroiła go i zmęczyła. Położył się na łóżku i zabrał do czytania.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołał Tom przecierając zmęczone oczy. Wszedł Marv, najstarszy i najwyższy z rudowłosych chłopaków Cieślów, a za nim Jed Farmer. Nieśli niewielki worek.

- To ty jesteś naszym przestępcą, Tom? - upewnił się Marv. - Na to wygląda.

- No więc to wszystko jest dla ciebie.

Złożyli worek na podłodze i wyjęli z niego topór, dwa noże, krótką włócznię, maczugę i pałkę.

- Co to jest? - zapytał Tom siadając na łóżku.

- Broń, oczywiście - wyjaśnił rozdrażnionym tonem Jed Farmer. - Nie możesz być prawdziwym przestępcą bez broni.

- Naprawdę? - Tom podrapał się po głowie.

- Lepiej sam rusz trochę głową - odparł niecierpliwie Jed. Nie spodziewasz się chyba, że wszystko za ciebie zrobimy. Marv Cieśla mrugnął do Toma porozumiewawczo.

- Jed jest zły, bo burmistrz zrobił go listonoszem.

- Zrobię, co do mnie należy - oświadczył Jed. - Po prostu nie podoba mi się pisanie tych wszystkich listów.

- To chyba nie jest aż takie trudne - Marv wyszczerzył zęby. - Listonosze na Ziemi to robią, a tam jest o wiele więcej ludzi. Powodzenia, Tom.

I wyszli.

Tom schylił się i obejrzał broń. Wiedział, co to jest; stare książki często o niej wspominały. Ale nikt jeszcze nie użył broni na Nowym Delaware. Miejscowe zwierzęta były małe, kudłate i żywiły się wyłącznie trawą. A żeby użyć broni przeciw innemu mieszkańcowi wioski... dlaczego ktokolwiek miałby to zrobić?

Podniósł jeden z noży. Był zimny. Dotknął ostrego czubka. Zaczął spacerować po pokoju, spoglądając na stos broni. Widok ten wzbudził jakieś dziwnie nieprzyjemne odczucia w okolicy żołądka. Pomyślał, że chyba zbyt szybko zgodził się na przyjęcie tej funkcji.

Na razie jednak nie warto było się martwić. Przeczyta książki, a potem może połapie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Czytał przez kilka godzin, przerywając tylko raz, żeby zjeść lekki obiad. Książki były zrozumiałe; jasno tłumaczyły rozmaite metody przestępstwa, często przy pomocy schematów. Ale cała sprawa wydawała się bezsensowna. Jaki był cel przestępstwa? Komu przynosiło korzyść? Co ludzie z niego mieli?

Tego książki nie wyjaśniały. Przerzucał kartki, przyglądając się fotografiom przestępców.

Wszyscy wyglądali na poważnych i oddanych swej pracy, wysoce świadomych jej społecznego znaczenia.

Tom pragnął zrozumieć, na czym to znaczenie polegało. To ułatwiłoby zapewne wiele spraw.

- Tom! - usłyszał wołanie zza okna.

- Tu jestem - odkrzyknął.

Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzał burmistrz. Za nim stały Jane Farmerowa, Mary Przewoźnikowa i Alice Kucharzowa.

- Więc kiedy, Tom? - zapytał burmistrz:

- Kiedy co?

- Kiedy się wezmiesz do roboty?

- Miałem zamiar - Tom uśmiechnął się nieśmiało. - Właśnie czytałem te książki i próbowałem znaleźć...

Trzy damy w średnim wieku obrzuciły go gniewnymi spojrzeniami i Tom przerwał zakłopotany.

- Marnujesz czas na czytanie - oświadczyła Alice Kucharzowa.

- Wszyscy inni pracują - stwierdziła Jane Farmerowa.

- Cóż jest takiego trudnego w kradzieży? - zaatakowała Mary Przewoźnikowa.

- To fakt - wtrącił burmistrz. - Ten inspektor może tu być lada dzień, a my ciągle nie mamy żadnego przestępstwa.

- Dobrze, już idę - poddał się Tom.

Wsadził za pasek nóż i pałkę, wsunął do kieszeni worek na łupy - i wyszedł na dwór.

Ale dokąd mógłby pójść? Było wczesne popołudnie. Targ, logicznie rzecz biorąc najodpowiedniejsze miejsce do popełnienia kradzieży, będzie pusty aż do wieczora. Zresztą nie chciał rabować w biały dzień. Jakoś nie wydawało się to godne profesjonalisty.

Wyjął swoje zezwolenie przestępcze i przeczytał: Zobowiązany do Odwiedzania Miejsc o Złej Reputacji...

To było to. Odwiedzi miejsce o złej reputacji. Będzie mógł ułożyć jakieś plany i wczuć się w

przestępczy nastrój. Tyle że nie miał niestety zbyt wielkiego wyboru. Była tylko Małeńka Restauracyjka, prowadzona przez wdowy Ames, Klubowa Świetlica Jeffa Herna, i wreszcie Tawerna Eda Piwiarza.

Lokal Eda musiał wystarczyć.

Tawerna była domkiem bardzo podobnym do innych. Miała duży pokój dla gości, kuchnię i sypialnię gospodarzy. Żona Eda zajmowała się gotowaniem i utrzymywaniem lokalu w czystości - na tyle, na ile mogła, biorąc pod uwagę bolący kręgosłup. Ed podawał drinki. Był bladym mężczyzną o zaspanych oczach i skłonnościach do zamartwiania się.

- Cześć, Tom - powiedział. - Słyszałem, że jesteś naszym przestępcą.

- Zgadza się - przyznał Tom. - Wezmę pericole.

Ed Piwiarz nalał mu bezalkoholowego ekstraktu z korzeni i stanął zatroskany przy stoliku.

- Dlaczego nie kradniesz, Tom?

- Planuję - wyjaśnił Tom. - Moje zezwolenie mówi, że mam odwiedzać miejsca o złej reputacji.

Dlatego przyszedłem.

- Czy to ładnie? - Ed Piwiarz był urażony. - To nie jest miejsce o złej reputacji.

- Podajesz najgorsze jedzenie - zauważył Tom.

- Wiem. Żona nie umie gotować. Ale za to mamy miłą atmosferę. Ludzie lubią tu przychodzić.

- To się zmieniło, Ed. Od dziś ta tawerna będzie moją bazą. Ed Piwiarz przygarbił się.

- Staralem się, żeby było miło - mruknął. - I takie dostaję podziękowanie.

Odszedł, by stanąć za barem.

Tom myślał. Stwierdził przy tym, że jest to zajęcie niezwykle męczące. Im bardziej się starał, tym gorsze osiągał rezultaty. Ale nie załamywał się.

Minęła godzina. Richie Farmer, najmłodszy syn Jeda, wetknął głowę przez drzwi.

- Ukradłeś już coś?

- Jeszcze nie - odparł ponuro pochylony nad stołem Tom.

Ciągle myślał.

Upalne popołudnie przemijało z wolna. Przez niewielkie, niezbyt czyste okna tawerny widać już było ciemne plamy wieczornego nieba. Z dworu dobiegło granie świerszcza, a pierwsze poddmuchy wieczornej bryzy zbudziły drzemiący las.

Potężny George Przewoźnik i Max Tkacz wpadli na szklaneczkę gławy. Usiedli przy stoliku Toma.

- Jak ci idzie? - zainteresował się George.

- Nie najlepiej - przyznał Tom. - Jakoś nie mogę się połapać o co chodzi z tą całą kradzieżą.

- Poradzisz sobie - pocieszył go Przewoźnik z przekonaniem, wolno, z zastanowieniem dobierając słów. - Jeśli ktokolwiek może się tego nauczyć, to ty na pewno.

- Wierzymy w ciebie, Tom - zapewnił go Tkacz.

Tom podziękował, Obaj wypili i wyszli, a on nadal myślał, wpatrzony w pustą szklanekę po pericoli.

Godzinę później Ed Piwiarz chrząknął przepraszająco.

- To nie moja sprawa, Tom, ale k i e d y masz zamiar coś ukraść?

- Natychmiast - odparł Tom. Wstał, sprawdził, czy broń jest na miejscu i ruszył do drzwi.

Na rynku zaczął się już wieczorny handel. Wszystkie rzeczy leżały poukładane niedbale w stosy na straganach lub na słomianych plecionkach, na trawie. Nie obowiązywała tu żadna waluta ani kurs wymiany. Dziesięć ręcznie kutych gwoździ warte było skopka mleka albo dwóch ryb; zależnie od tego, co kto miał na wymianę i czego akurat potrzebował. Nikt się nie przejmował prowadzeniem rachunków - był to jeden z tych ziemskich zwyczajów, które burmistrzowi trudno było wprowadzić.

Wszyscy pozdrawiali Toma Rybaka, który zjawił się na rynku.

- Masz zamiar coś teraz ukraść, Tom?

- Trzymaj się, chłopcze!

- Dasz sobie radę!

Nikt w wiosce nie był nigdy świadkiem prawdziwej kradzieży. Uważali ją za egzotyczny zwyczaj dalekiej Ziemi i chcieli zobaczyć, jak się odbywa. Pozostawiwszy swoje rzeczy ruszyli za Tomem, wpatrując się w niego chciwie.

Tomowi drżały ręce. Nie podobało mu się, że tyle osób będzie obserwować, jak kradnie.

Postanowił załatwić sprawę szybko, póki jeszcze był w nastroju.

Zatrzymał się przed straganem pani Młynarzowej, uginającym się pod ciężarem owoców.

- Ładne gifery - rzucił niedbale.

- Świeżuteńkie - zapewniła go Młynarzowa, niewysoka, jasnooka kobieta. Tom pamiętał długą rozmowę, jaką odbyła z jego matką dawno temu, kiedy rodzice jeszcze żyli.

- Wyglądają na smaczne - powiedział żałując w duchu, że przyszło mu do głowy zatrzymać się akurat tutaj.

- Są smaczne - oświadczyła Młynarzowa. - Dziś rano je zrywałam.

- Czy on coś teraz ukradnie? - upewnił się szeptem ktoś w tłumie.

- Pewno. Patrz tylko - odszepnął ktoś inny.

Tom wziął do ręki jasnozielonego gifera i przyjrzał mu się. Tłum zamarł.

- Faktycznie, wygląda na bardzo smaczny - stwierdził Tom i starannie odłożył gifera na miejsce.

Tłum westchnął.

Przy następnym straganie stał Max Tkacz, jego żona i ich pięcioro dzieci. Dzisiaj wystawili dwa koce i koszulę. Uśmiechnęli się z zakłopotaniem, gdy podszedł do nich Tom, a za nim cały tłum gapiów.

- Ta koszula jest mniej więcej twojego rozmiaru - poinformował Tkacz marząc, by ludzie odeszli

i pozwolili Tomowi pracować.

- Hmm... - Tom wziął ją do ręki.

Tłum zadrżał w oczekiwaniu. Jakaś dziewczyna zachichotała nerwowo. Tom mocniej ścisnął w dłoni koszulę i otworzył swój worek na łupy.

- Chwileczkę! - do przodu przepchnął się Billy Malarz. Miał już odznakę - starą, ziemską monetę, którą oczyścił i przypiął do pasa. Wyglądał bardzo urzędowo.

- Co robisz z tą koszulą, Tom? - zapytał. - No... oglądam ją.

- Oglądasz, co? - Billy obejrzał się zakładając ręce do tyłu. Nagle odwrócił się do Toma i wystawił w jego stronę palec wskazujący. - Nic wydaje mi się, żebyś ją oglądał, Tom. Moim zdaniem masz zamiar ją u k r a ś ć !

Tom milczał. W jednej ręce trzymał wiele mówiący worek, w drugiej koszulę.

- Jako szef policji - mówił dalej Billy - mam obowiązek chronić tych ludzi. Jesteś mocno podejrzanym typem, Tom. Chyba cię przymknę do wyjaśnienia.

Tom spuścił głowę. Nie spodziewał się tego, ale w sumie był zadowolony. Kiedy już znajdzie się, w więzieniu, jego problemy się skończą. A kiedy Billy go wypuści, będzie mógł wrócić do łowienia ryb.

Nagle przez tłum przepchnął się burmistrz, powiewający połami rozpiętej na piersi koszuli.

- Billy, co ty wyprawiasz?

- Spełniam swój obowiązek, panie burmistrzu. Tom zachowywał się bardzo podejrzanie. Według książki...

- Wiem, co jest w książce - przerwał mu burmistrz. - Sam ci ją dałem. Nie możesz aresztować Toma. Jeszcze nie.

- Ale w wiosce nie ma innego przestępcy - zaprotestował Billy.

- Nic na to nie poradzę - odparł burmistrz. Billy zacisnął wargi.

- Książka mówi o prewencyjnym działaniu policji. Powiniennem zapobiegać przestępstwom, zanim zostaną popełnione. Burmistrz podniósł ręce i opuścił je zniechęcony.

- Billy, czy tego nie rozumiesz? W tej wiosce musi zostać popełnione jakieś przestępstwo. Ty też powinieneś pomóc.

- W porządku, panie burmistrzu - Billy wzruszył ramionami. - Staralem się tylko wykonywać swoje obowiązki. - Odwrócił się, lecz odchodząc obejrzał się jeszcze raz: - Jeszcze cię złapię - powiedział do Toma. - Pamiętaj: Zbrodnia Nie Popłaca. I odszedł.

- Jest trochę nadgorliwy - stwierdził burmistrz. - Nie przejmuj się. No dalej, ukradnij coś i miejmy to już za sobą.

Tom ruszył w stronę rozciągającego się za wioską lasu.

- Co się stało, chłopcze? - spytał zmartwiony burmistrz. - Straciłem nastrój - wyjaśnił Tom. - Może jutro...

- Nie. Zaraz - nalegał burmistrz. - Nie możesz ciągle odkładać tego na potem. No już, wszyscy ci pomożemy.

- Pewnie, że tak - wtrącił się Max Tkacz. - Ukradnij tę koszulę, Tom. Akurat na ciebie pasuje.

- Co powiesz na piękny dzban na wodę? - Spójrz tylko na te orzeszki skigowe.

Tom rozglądał się po straganach. Kiedy sięgał po koszulę Tkacza zza pasa wypadł mu nóż. Tłum zacmokał z zachwytu. Tom podniósł nóż i schował go czując się jak niezdara. Wyciągnął rękę, chwycił koszulę i wsadził ją do worka na łupy. W tłumie rozległy się oklaski.

Tom uśmiechnął się słabo. Poczul się trochę lepiej: - Chyba zaczynam łapać, o co w tym chodzi.

- Jasne, że tak.

- Wiedzieliśmy, że dasz radę. - Weź coś jeszcze, chłopcze.

Idąc przez targ Tom zabrał kawał liny, garść skigowych orzeszków i słomkowy kapelusz.

- To chyba wystarczy - spojrzął na burmistrza.

- Na razie tak - zgodził się tamten. - Zresztą wiesz, to się naprawdę nie liczy. To było tak, jakby ludzie sami ci wszystko dawali. Dla praktyki, można powiedzieć.

- Aha - Tom był rozczarowany.

- Ale już wiesz, na czym to polega. Następnym razem pójdzie ci łatwo.

- Chyba tak.

- I nie zapominaj o morderstwie.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Chciałbym, żeby nie było - westchnął burmistrz. - Ale ta kolonia istnieje już dwieście lat i nie mieliśmy żadnego morderstwa. Ani jednego! Według zapisów inne kolonie mają ich masę.

- No tak, chyba powinniśmy mieć chociaż jedno - przyznał Tom. - Zajmę się tym.

Ruszył w stronę własnego domku. Tłum wiwatował na jego cześć.

W domu Tom zapalił kaganek i przygotował sobie kolację. Zjadł, a potem długo siedział w wielkim fotelu. Nie był z siebie zadowolony. Właściwie kradzież nie była udana. Praktycznie rzecz biorąc, ludzie musieli sami pchać mu wszystko w ręce. Ładny był z niego złodziej!

Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Kradzież i mordowanie było niezbędne, jak każda inna praca. A to, że nigdy przedtem się nimi nie zajmował, że nie widział w nich żadnego sensu, to jeszcze nie powód, żeby je wykonywać po partacku.

Podszedł do drzwi. Noc była piękna, rozświetlona tuzinem pobliskich gwiazdnych gigantów.

Rynek opustoszał i światła w oknach gasły powoli.

Oto właściwa pora na złodziejskie wyprawy!

Poczuł dreszcz emocji. Był z siebie dumny. Tak właśnie pracowali przestępcy i tak powinna się odbywać kradzież - w ciszy, późną nocą.

Pospiesznie sprawdził swój sprzęt, opróżnił worek z łupów i wyszedł.

Ostatnie kaganki pogasły. Tom sunął bezszelestnie przez wioskę. Znalazł się przy domu Rogera

Przewoźnika. Roger zostawił opartą o mur swoją łopatę. Tom zabrał ją. Kawałek dalej, na swoim zwykłym miejscu koło drzwi, stał dzban na wodę pani Tkaczowej. Tom wziął go. Wracając do domu znalazł drewnianego konia, zapomnianego przez jakieś dziecko. Konik też powędrował do worka.

Kiedy łupy dotarły bezpiecznie do domu, Tom czuł przyjemne podniecenie. Postanowił zrobić jeszcze jeden kurs.

Tym razem wrócił z mosiężną tabliczką z domu burmistrza, najlepszą piłę Marva Cieśli i sierpem Jeda Farmera.

- Nieźle - mruknął do siebie. Wyrabiał się. Jeszcze jeden ładunek, a nocna praca przyniesie należyte efekty.

Udało mu się znaleźć młot i dłuto w szopie Rona Kamieniarza i wiklinowy koszyk koło domku Alice Kucharzowej. Miał właśnie zabrać grabie Jeffa Herna, gdy dosłyszał jakiś szmer. Przycisnął się do ściany.

Billy Malarz skradał się ulicą, a jego odznaka lśniła w świetle gwiazd. W jednej ręce niósł krótką, ciężką pałkę, w drugiej parę kajdanków własnej roboty. W mroku jego twarz wyglądała złowieszczo. Była to twarz człowieka, który poświęcił się walce z przestępstwem, nawet jeśli nie był do końca pewien, czym ono było.

Tom wstrzymał oddech gdy Billy Malarz przeszedł nie dalej niż dziesięć stóp od niego. Potem powoli zaczął się cofać.

Coś brzęknęło w worku z łupem.

- Kto tam jest? - wrzasnął Billy. Gdy nikt nie odpowiadał rozejrzał się dookoła, próbując przebić wzrokiem ciemność. Tom znów przycisnął się do ściany. Był prawie pewien, że Billy go nie zauważy. Billy miał oczy słabe od oparów farb, które mieszał. Wszyscy malarze mieli słabe oczy. Między innymi dlatego byli tacy nerwowi.

- Czy to ty, Tom? - zapytał przyjaźnie Billy. Tom już miał odpowiedzieć gdy zauważył, że tamten uniósł pałkę do ciosu. Nie odezwał się.

- Jeszcze cię złapię! - krzyknął Billy.

- To złap go rano! - huknął Jeff Hern z okna sypialni. - Są tacy, co chcieliby się przespać.

Billy ruszył dalej. Gdy tylko się oddalił, Tom pognał do domu i wysypał łup na stos. Oglądał swą zdobycz z dumą i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Łyknął jeszcze chłodnej gławy i poszedł do łóżka, gdzie od razu zapadł w spokojny sen bez marzeń.

Następnego ranka Tom wybrał się popatrzeć, jak postępują prace przy małej czerwonej szkółce.

Chłopcy Cieśłów pracowali ile sił. Pomagało im kilku innych mieszkańców wioski.

- Jak leci? - zapytał Tom uprzejmie.

- Nieźle - odpowiedział Marv Cieśła. - Byłoby lepiej, gdybym miał swoją piłę.

- Swoją piłę? - powtórzył tępo Tom.

Przypomniał sobie, że to on ukradł ją ostatniej nocy. Wtedy jakoś nie wydawało mu się, by należała do kogokolwiek. Piła i cała reszta były po prostu obiektami kradzieży. Nie pomyślał nawet, że ktoś może ich używać albo potrzebować.

- Jak myślisz - spytał Marv Cieśła - czy mógłbym zabrać tę piłę? Tylko na godzinę.

- Nie jestem pewien - Tom zmarszczył brwi.. - Wiesz, została legalnie ukradziona.

- Naturalnie. Ale gdybym mógł ją sobie pożyczyć... - Będziesz musiał oddać.

- Jasne, że oddam - Marv był urażony. - Nie zatrzymałbym czegoś, co zostało legalnie ukradzione.

- Jest w domu, razem z resztą łupu.

Marv podziękował i pobiegł w stronę domku Toma.

Tom szedł dalej, aż dotarł do domu burmistrza. Burmistrz stał przed drzwiami i patrzył w niebo.

- Tom, czy zabrałeś moją mosiężną tabliczkę? - zapytał.

- Oczywiście, że zabrałem - odpowiedział zaczepnie Tom.

- Aha. Zastanawiałem się tylko. Widzisz to? - burmistrz wyciągnął rękę w górę.

Tom podniósł głowę.

- Co?

- Tę czarną kropkę koło krawędzi mniejszego słońca.

- Tak. Co to jest?

- Założę się, że to statek inspektora. Jak ci idzie robota?

- Świetnie - Tom nie był zbyt pewny siebie.

- Zaplanowałaś już morderstwo?

- Miałem z tym trochę kłopotów - wyznał Tom. - Żeby być szczerym, panie burmistrzu, to w tej sprawie nie poczyniłem żadnych postępów.

- Wejdz do środka. Chcę z tobą porozmawiać.

Wewnątrz, w chłodzie zasłoniętego okiennicami salonu burmistrz nalał dwie szklaneczki gławy i wskazał Tomowi krzesło.

- Mamy coraz mniej czasu - stwierdził ponuro. - Inspektor może wylądować lada godzina. A ja mam pełne ręce roboty. To - wskazał międzygwiazdne radio - znowu się odezwało. Mówiło coś o rebelii na Deng IV i że wszystkie lojalne kolonie Ziemi powinny przygotować się do poboru - wszystko jedno, co to słowo oznacza. Nigdy nawet nie słyszałem o Deng IV, a teraz muszę, na dodatek do całej reszty, martwić się jeszcze rebelią.

Spojrzał na Toma z powagą.

- Przestępcy na Ziemi popełniają codziennie dziesiątki morderstw i nie sprawia im to żadnych problemów. A twoja wioska oczekuje od ciebie jednego, małego zabójstwa. Czy to aż tak wiele?

Tom rozłożył ręce.

- Czy naprawdę pan sądzi, że to konieczne?

- Wiesz - że tak. Jeśli ma tu być po ziemsku, to do końca. Tylko ten drobiazg nas hamuje. Cała reszta idzie zgodnie z planem.

Wszedł Billy Malarz W nowej, urzędowo błękitnej koszuli z błyszczącymi metalowymi guzikami.

- Zabiłeś już kogoś, Tom? - spytał siadając na krześle.

- On pyta, czy to k o n i e c z n e - odezwał się burmistrz.

- Oczywiście - stwierdził szef policji. - Przeczytaj którąkolwiek książkę. Żaden z ciebie przestępca, dopóki nie popełnisz morderstwa.

- Kto to będzie, Tom? - zainteresował się burmistrz. Tom poruszył się i nerwowo zatarł rękę.

- No?

- No więc zabiję Jeffa Herna - wypalił.

- Dlaczego? - zapytał szybko Billy pochylając się do przodu.

- Co dlaczego? A dlaczego nie?

- Jaki masz motyw?

- Myślałem, że zależy wam na morderstwie - zdziwił się Tom. - Nikt nie wspominał o motywie.

- Nie chcemy fałszywego morderstwa - wyjaśnił szef policji. - Trzeba to zrobić porządnie. A to oznacza, że musisz mieć odpowiedni motyw.

Tom zastanawiał się przez chwilę:

- No więc, nie znam go za dobrze. Czy to wystarczy?

- Nie, Tom, to na nic - pokręcił głową burmistrz. - Lepiej wybierz kogoś innego.

- Zaraz - zastanowił się Tom. - A może George Przewoźnik?

- A motyw? - zainteresował się natychmiast Billy:

- Ee... hm... No więc, nie podoba mi się, jak on chodzi. Nigdy mi się nie podobało. I czasem za

bardzo hałasuje.

- Moim zdaniem to brzmi całkiem nieźle - burmistrz z aprobatą pokiwał głową. - Co ty na to, Billy?

- Niby jak mam wydedukować taki motyw? - spytał rozdrażniony Billy. - Nie, to może być dobre na przestępstwo w afekcie. Ale ty, Tom, jesteś naszym oficjalnym przestępcą. Z definicji musisz być bezlitosny, chytry i pozbawiony skrupułów. Nie możesz zamordować kogoś tylko dlatego, że nie odpowiada ci jego sposób chodzenia. To g ł u p i e .

- Lepiej chyba przemyśle wszystko od początku - oświadczył Tom wstając z krzesła.

- Ale śpiesz się - przypomniał mu burmistrz. - Im szybciej to zrobisz tym lepiej.

Tom kiwnął głową i podszedł do drzwi.

- Jeszcze jedno, Tom! - zawołał za nim Billy Malarz. Nie zapomnij zostawić śladów. To bardzo ważne.

- Dobra - rzucił Tom i wyszedł.

Na zewnątrz większość mieszkańców wioski obserwowała niebo. Czarny punkt urósł niepomernie i przesłaniał już niemal całe mniejsze słońce.

Tom ruszył do swego miejsca o złej reputacji, żeby tam wszystko przemyśleć. Ed Piwiarz najwyraźniej zmienił zdanie na temat obecności elementów przestępczych w lokalu, gdyż całkowicie zmienił wystrój wnętrza. Nad drzwiami wisiał wielki szyld z napisem PRZESTĘPCZA KRYJÓWKA. W oknach pojawiły się nowe, starannie zabrudzone zasłony, blokujące dostęp dziennego światła tak, że tawerna sprawiała wrażenie prawdziwej jaskini zbójców. Na jednej ze ścian zawieszono broń, pospiesznie wyrzeźbioną z miękkiego drzewa. Na innej widniała wielka czerwona plama. Wyglądała złowieszczo nawet jeśli się wiedziało, że to tylko czerwona jagodowa farba Billy'ego Malarza.

- Wchodź, Tom - zawołał Ed Piwiarz i poprowadził go do najciemniejszego kąta. Tom zauważył,

że jak na tę porę dnia w tawernie było niezwykle dużo gości. Widać ludzie chętnie odwiedzali oryginalną przestępczą kryjówkę.

Tom łyknął pericoli i zamyślił się. Miał popełnić morderstwo.

Wyjął swoje zezwolenie przestępcze i przeczytał go. Rzecz była nieprzyjemna, niemiła i normalnie nigdy by niczego takiego nie zrobił. Teraz jednak był zmuszony przez prawo.

Dopił pericolę i skoncentrował się na morderstwie. Ma kogoś z a b i ć, mówił sobie. Musi o d e b r a ć ż y c i e . Ma sprawić, by ktoś przestał istnieć.

Lecz słowa nie mówiły niczego o istocie czynu. Były tylko słowami. Żeby mu się łatwiej myślało, wziął jako przykład dużego, rudowłosego Marva Cieśłę. Dzisiaj Marv pracował pożyczoną piłą przy budowie szkółki. Jeśli Tom go zabije:... no cóż, wtedy Marv nie będzie więcej pracował.

Zniechęcony pokręcił głową. Ciągle nie chwycił sedna sprawy.

No dobrze, oto Marv Cieśła, najstarszy i, zdaniem większości, najsympatyczniejszy z chłopców Cieśłów. Wygląda kawałek drewna mocno trzymając hebel w swych dużych, trochę piegowatych dłoniach, spoglądając wzdłuż wyrysowanej przed chwilą linii. Z pewnością spragniony, czuje lekki ból w lewym ramieniu, które Jan Aptekarz bez większych sukcesów próbował wyleczyć.

To był Marv Cieśła. Potem...

Marv Cieśła rozciągnięty na ziemi, otwarte zaszklone oczy, zeszywniałe ręce, wykrzywione usta, nozdrza nie wciągają i nie wypuszczają powietrza, serce nie bije. Nigdy już nie poczuje lekkiego i tak naprawdę nie bardzo przeszkadzającego bólu w ramieniu, które Jan Aptekarz...

Na jedną chwilę Tom dostrzegł prawdę o morderstwie. Wizja odpłynęła, lecz zapamiętał, by poczuć mdłości.

Może przeżyć jako złodziej. Ale morderstwo; nawet w interesie wioski...

Co pomyślą ludzie, kiedy zobaczą to, co właśnie sobie wyobraził? Jak będzie mógł żyć wśród

nich? Jak wytrzyma potem sam ze sobą?

A przecież musiał zabić. Każdy w wiosce miał swoje obowiązki, a ten powierzono właśnie jemu.

Ale k o g o zamorduje?

Prawdziwe zamieszanie zaczęło się później, kiedy w międzygwiazdowym radio odezwały się podrażnione. głosy.

- I to nazywacie kolonią? Gdzie jest stolica?

- Właśnie tutaj - odpowiedział burmistrz.

- A wasze lądowisko?

- Zdaje się, że teraz jest tam pastwisko - wyjaśnił burmistrz. - Mogę się dowiedzieć, gdzie było.

Żaden statek tu nie lądował od...

- W takim razie statek zostanie w górze. Proszę zebrać urzędników. Schodzę na dół natychmiast.

Cała wioska zebrała się wokół pola, które wyznaczył inspektor. Tom zatknął broń za pas i obserwował; przyczajony za drzewem.

Mały stateczek odłączył się od wielkiego. i szybko zaczął się zniżać. Opadał na pole i wszyscy wstrzymali oddechy pewni, że się rozbije. W ostatniej chwili błysnęły dysze wypalając trawę i stateczek miękko osiadł na ziemi.

Burmistrz wystąpił naprzód; tuż za nim szedł Billy Malarz. W stateczku otworzyły się drzwi, przez które wymaszerowało czterech ludzi. Trzymali jakieś metalowe przyrządy i Tom wiedział, że to broń. Za nimi wyszedł potężny, czerwony na twarzy mężczyzna w czerni, noszący na piersi cztery błyszczące medale. Potem jeszcze jeden, niski i pomarszczony, też ubrany na czarno, w końcu następna czwórka w mundurach.

- Witamy w Nowym Delaware - odezwał się burmistrz.

- Miło mi, generale - potężny mężczyzna mocno uściśnął mu dłoń. - Jestem inspektor

Delumaine. A to pan Grent, mój doradca polityczny.

Grent skinął głową ignorując wyciągniętą dłoń burmistrza. Z pewnym niesmakiem przyglądał się mieszkańcom wioski. - Obejrzymy sobie osadę - oświadczył inspektor kątem oka spoglądając na Grenta. Ten kiwnął głową. Umundurowani strażnicy zajęli pozycje wokół nich.

Tom szedł za nimi w bezpiecznej odległości, skradając się jak prawdziwy przestępca. W wiosce ukrył się za domem, żeby móc obserwować przebieg inspekcji.

Ze zrozumiałą dumą burmistrz pokazał przybyšom więzienie, pocztę, kościół i małą czerwoną szkółkę. Inspektor wydawał się być oszołomiony. Grent uśmiechnął się nieprzyjemnie i pocierał dłonią szczękę.

- Tak jak myślałem - mruknął do inspektora. - Strata czasu, paliwa i krążownika. Nie ma tu nic wartościowego.

- Nie byłbym taki pewny - odparł tamten, po czym zwrócił się do burmistrza:

- Ale po co je wybudowaliście, generale?

- Jak to? - zdziwił się burmistrz. - Żeby było po ziemsku. Robimy co możemy, jak pan widzi.

Grent szepnął coś inspektorowi do ucha.

- Niech pan powie - zapytał inspektor - ilu jest w wiosce młodych mężczyzn?

- Co proszę? - zdziwił się uprzejmie burmistrz.

- Młodych mężczyzn, w wieku od piętnastu do sześćdziesięciu lat - wyjaśnił Grent.

- Widzi pan, generale, Imperium Matki Ziemi toczy wojnę. Mieszkańcy Deng IV i kilku innych kolonii podnieśli rękę na swą ojczyznę. Zbuntowali się przeciwko absolutnej władzy Matki Ziemi.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł współczująco burmistrz.

- Potrzebujemy ludzi do floty kosmicznej - oświadczył inspektor. - Dobrych, zdrowych, walecznych mężczyzn. Nasze rezerwy są wyczerpane...

- Chcielibyśmy - wtrącił gładko Grent - dać wszystkim lojalnym kolonistom szansę walki o Imperium Matki Ziemi. Jestem pewien, że pan nie odmówi.

- Och, nie - zapewnił burmistrz. - Nigdy w życiu. Jestem przekonany, że nasi młodzi ludzie będą zachwyceni... to znaczy, oni nie bardzo się w tym wszystkim orientują, ale to zdolni chłopcy. Na pewno się nauczą.

- Widzi pan? - zwrócił się do Grenta inspektor. - Sześćdziesięciu, siedemdziesięciu; może nawet setka rekrutów. Wcale nie taka zmarnowana podróż.

Grent wyglądał, jakby nadal miał wątpliwości.

Inspektor i jego doradca udali się do domu burmistrza na małą przekąskę. Towarzyszyło im czterech żołnierzy. Pozostała czwórka spacerowała po wiosce częstując się swobodnie wszystkim, co znaleźli.

Tom ukrył się w lesie, by wszystko przemyśleć. Późnym popołudniem pani Piwiarzowa wykradła się ze wsi. Była to chuda, starsza kobieta o szaroblond włosach. Szła szybko, mimo chorego kolana. Miała ze sobą koszyk przykryty serwetką w czerwonej kratę.

- Tu masz kolację - powiedziała, gdy znalazła Toma.

- Ee... dziękuję - Tom był zaskoczony. - Nie musiała pani tu przychodzić.

- Ależ musiałam. Nasza tawerna jest twoim miejscem o złej reputacji, prawda? Jesteśmy za ciebie odpowiedzialni. A burmistrz przesyła ci wiadomość.

Tom podniósł głowę.

- O co chodzi? - zapytał z pełnymi ustami.

- Kazał ci się pospieszyć z tym morderstwem. Na razie jakoś mu się udaje z inspektorem i tym małym, paskudnym Grentem. Ale w końcu go zapytają. Jest tego pewny.

Tom pokiwał głową.

- Kiedy masz zamiar to załatwić? - spytała pani Piwiarzowa z zaciekawieniem.

- Nie mogę pani powiedzieć.

- Nawet musisz. Jestem współniczką przestępcy - przysunęła się bliżej.

- To fakt - przyznał Tom. - No więc zrobię to dziś wieczór. Po zmroku. Proszę powiedzieć Billy'emu Malarzowi, że zostawię tyle odcisków palców ile zdołam i wszystkie inne ślady; jakie uda mi się wymyślić.

- Doskonale, Tom - stwierdziła Piwiarzowa. - Powodzenia.

Tom czekał na nadejście nocy, a tymczasem obserwował, co się dzieje we wsi. Zauważył, że większość żołnierzy piła. Zataczali się po ulicach i zachowywali tak, jakby nikogo prócz nich nie było. Któryś wystrzelił w powietrze i śmiertelnie przeraził wszystkie małe, kudłate trawojady w promieniu paru mil.

Inspektor i Grent nadal siedzieli u burmistrza.

Zapadła noc. Tom wśliznął się do wioski i zaczął w przejściu między dwoma domami.

Przygotował nóż i czekał.

Ktoś nadchodził! Próbował przypomnieć sobie wszystkie przestępcze sposoby, alb nic nie przychodziło mu do głowy. Wiedział tylko, że musi popełnić morderstwo możliwie szybko i najlepiej jak potrafi.

Przechodzień był już całkiem blisko, nierozpoznawalny w ciemności.

- To ty, Tom? - przechodniem był burmistrz. Spojrzał na wzniesiony nóż. - Co ty wyprawiasz?

- Mówił pan, że musi być morderstwo, więc...

- Ale nie miałem na myśli s i e b i e - zaprotestował burmistrz i cofnął się o krok. - To nie mogę być ja.

- Dlaczego? - spytał Tom.

- No, przede wszystkim ktoś musi rozmawiać z inspektorem. On czeka na mnie. Ktoś musi mu pokazać...

- Billy Malarz sobie z tym poradzi - przerwał Tom, chwycił burmistrza za koszulę i uniósł nóż, mierząc w krtani. - Wie pan naturalnie, że nie mam żadnych osobistych pretensji - dodał.

- Chwileczkę! - zawołał burmistrz. - Jeśli nie masz osobistych pretensji, to nie masz motywu!

Tom opuścił nóż, lecz nadal trzymał mocno koszulę ofiary. - Jakiś wymyślę. Miałem duży żal do pana za wyznaczenie mnie przestępcą.

- To burmistrz cię wyznaczył, prawda?

- No tak...

Burmistrz wyciągnął Toma z cienia w światło gwiazd.

- Patrz!

Tom otworzył usta ze zdumienia. Burmistrz miał na sobie długie, idealnie zaprasowane w kant spodnie i obwieszoną medalami tunikę z podwójnym rzędem dziesięciu gwiazdek na każdym ramieniu. Jego kapelusz zdobił szeroki złoty otok w kształcie splecionych komet.

- Widzisz, Tom? Nie jestem już burmistrzem. Jestem generałem!

- Co to ma do rzeczy? Jest pan tą samą osobą czy nie?

- Urzędowo nie. Nie byłeś na uroczystości po południu. Inspektor powiedział, że skoro jestem generałem, to powinienem nosić generalski mundur. Bardzo miła ceremonia. Wszyscy Ziemianie uśmiechali się i mrugali do mnie i do siebie nawzajem.

Tom znowu uniósł nóż i trzymał go tak, jakby chciał wypatroszyć rybę.

- Moje gratulacje - powiedział szczerze. - Ale był pan burmistrzem, kiedy dał mi pan to zadanie, więc motyw jest nadal aktualny.

- Ale ty nie zabijesz burmistrza! Zabijesz generała, a to nie jest morderstwo!

- Nie? - zdmiiał się Tom. - A co?

- Zabicie generała to bunt!

- Och - Tom odsunął nóż i puścił burmistrza. - Przepraszam.

Drobiazg. Naturalna pomyłka. Czytałem o tym, a ty nie. Oczywiście, nie było potrzeby -

odetchnął głęboko. - Lepiej wróć. Inspektor chce spisać mężczyzn, których może zaciągnąć.

- Czy to morderstwo - zawołał za nim Tom - jest nadal niezbędne?

- Tak. Absolutnie - stwierdził burmistrz oddalając się pośpiesznie. - Po prostu to nie mam być ja.

Tom wsunął nóż za pas.

N i e j a , n i e j a . Każdy będzie tak mówił. A przecież ktoś musiał zostać zamordowany. Ale kto? Nie mógł zabić sam siebie. To by było samobójstwo, więc nie liczyłoby się.

Zadrzał. Starał się nie myśleć o tej chwili, gdy na moment ujrzał, czym naprawdę jest morderstwo. Praca musiała być wykonana.

Znow ktoś nadchodził!

Gdy podszedł bliżej Tom przykucnął, napinając mięśnie do skoku.

To była pani Młynarzowa, wracająca do domu z torbą jarzyn.

Tom próbował przekonać sam siebie, że nie miało znaczenia, czy to ona czy ktokolwiek inny.

Lecz nie mógł zapomnieć o rozmowach, jakie toczyła z jego matką. Nie miał żadnego motywu. Nie mógł zabić pani Młynarzowej.

Czekał kolejne pół godziny. Następna osoba weszła w ciemne przejście. Rozpoznał Maxa Tkacza.

Tom zawsze go lubił. Ale to nie znaczy, że nie mógł istnieć jakiś motyw. Niestety, potrafił myśleć jedynie o tym, że Max ma żonę i pięcioro dzieci, które będą za nim tęskniły. Nie chciałby, żeby Billy Malarz miał potem jakieś obiekcje. Cofnął się głębiej w cień i przepuścił Maxa bezpiecznie:

Potem przeszła trójka Cieślów. Tom miał już za sobą bolesne przemyślenia na ten temat.

Przepuścił ich. Później zbliżył się Roger Przewoźnik:

Tom nie miał rozsądnego motywu, by go zabić, ale nigdy się z nim specjalnie nie przyjaźnił.

Poza tym Roger nie miał dzieci, a żona go nie lubiła. Czy takie morderstwo zadowoli Billy'ego Malarza?

Wiedział, że nie... ale tak samo było ze wszystkimi innymi. Wyrósł wśród tych ludzi, dzielił z nimi jedzenie i pracę, radość i smutek. Jak miał znaleźć motyw, by zabić kogoś z nich?

A przecież musiał popełnić morderstwo. Zobowiązało go do tego jego przestępcze zezwolenie.

Nie mógł zawieść swej wioski. Ale nie mógł też zabijać ludzi, których znał przez całe życie:

Chwileczkę, powiedział sobie, nagle podniecony. Może przecież zabić inspektora!

Motyw? To będzie jeszcze ohydniejsze przestępstwo niż zamordowanie burmistrza - tyle że burmistrz był teraz generałem i zabicie go byłoby tylko buntem. Ale nawet gdyby burmistrz był ciągle burmistrzem, inspektor i tak jest o wiele lepszą ofiarą. Tom zabije go dla chwały, sławy, rozgłosu... A morderstwo udowodni Ziemi, jak ziemską jest ich kolonia.

Będą mówić: "Na Nowym Delaware kwitnie taka przestępczość, że niebezpiecznie jest nawet tam lądować: Przestępca zabił naszego inspektora już pierwszego dnia! Najgorszy przestępca, na jakiego trafiliśmy w całym kosmosie".

To będzie najefektowniejsze z przestępstw, jakie mógłby popełnić. Takie, jakiego nie powstydziliby się żaden przestępczy mistrz.

Tom po raz pierwszy od długiego czasu był z siebie dumny. Szybkim krokiem dotarł do domu burmistrza. Przyczajony pod ścianą słuchał dobiegającej z wnętrza rozmowy.

- ... populację wystarczająco bierną - mówił Grent. - Są jak stado owiec.

- To dość nudne - odpowiedział inspektor. - Zwłaszcza dla żołnierzy.

- A czego oczekiwałeś po tych zacofanych rolnikach? Przynajmniej ściągniemy stąd paru rekrutów - Grent ziewnął głośno. - Straż! Wstawać. Wracamy na statek.

S t r a ż ! Tom zupełnie o nich zapomniał. Z powątpiewaniem przyjrzał się swojemu nożowi.

Nawet gdyby skoczył na inspektora, strażnicy powstrzymają go, zanim zdoła popełnić morderstwo.

Na pewno są wyszkoleni w takich sprawach.

Ale gdyby zdobył ich broń...

Ze środka dobiegło go szuranie stóp. Odwrócił się i pobiegł do wioski. - Niedaleko rynku zauważył żołnierza. Siedział na progu i śpiewał pijackim głosem. Przy jego nogach leżały dwie puste butelki, a broń zwisała luźno z ramienia.

Tom podkradł się bliżej, wyjął pałkę i zamachnął się. Żołnierz musiał zauważyć jakiś cień, bo poderwał się na nogi i uchylił przed ciosem. Tym samym płynnym ruchem pchnął swą broń, trafiając Toma w żebra. Potem zerwał ją z ramienia i wycelował. Tom zamknął oczy i wyrzucił przed siebie obie nogi.

Kopnięty w kolano żołnierz przewrócił się, a zanim zdążył wstać, Tom zakręcił pałką.

Sprawdził mu puls - nie chciał zabijać niewłaściwej ofiary, a gdy stwierdził, że bije dostatecznie mocno, podniósł broń. Sprawdził jeszcze, czy na pewno wie, który guzik przycisnąć i pospieszył za inspektorem.

Dogonił całą grupę w połowie drogi na statek. Inspektor i Grent szli przodem, żołnierze wlekli się z tyłu.

Skręcił w krzaki. Biegł cichutko, aż znalazł się naprzeciw inspektora. Wymierzył, jego palec zacisnął się na spuście...

Ale przecież nie chciał zabijać Grenta. Miał popełnić tylko jedno morderstwo.

Pobiegł naprzód, wyprzedził całą grupę i wyszedł na drogę: Broń trzymał w pogotowiu.

- O co chodzi? - spytał inspektor.

- Nie ruszać się - rozkazał Tom. - Rzućcie broń i cofnijcie się.

Żołnierze poruszali się jak w szoku. Jeden po drugim odkładali broń i odchodzili pod krzaki.

Grent został na miejscu.

- Co ty wyprawiasz, chłopcze? - zapytał.

- Jestem tutejszym przestępcą - odparł dumnie Tom. Mam zamiar zabić inspektora. Proszę się odsunąć.

- Przystępcą? - Grent przyglądał mu się zdumiony. - Więc to o tym plótl burmistrz.

- Wiem, że od dwustu lat nie popełniono tu morderstwa wyjaśnił Tom. - Ale zaraz to zmienię. Z
d r o g i !

Grent odskoczył z linii ognia. Inspektor pozostał sam. Stał, kołysząc się lekko.

Tom wymierzył, starając się skupić na tym, jak spektakularne będzie to przestępstwo i jakie przyniesie społeczne korzyści. Wciąż jednak miał przed oczami rozciągniętego na ziemi inspektora, jego otwarte zaszklone oczy, zeszywniałe ręce, wykrzywione usta, nozdrza nie wciągające i nie wypuszczające powietrza, serce, które nie bije.

Próbował zmusić swój palec, by nacisnął spust. Lecz choć mózg był w pełni świadom konieczności przestępstwa, to ręka miała swoje zdanie.

- Nie potrafię! - krzyknął. Cisnął karabin i pognął w las. Inspektor chciał wysłać grupę poszukiwawczą i powiesić Toma na miejscu, lecz Grent był innego zdania. Nowe Delaware było całe pokryte lasem. Dziesięć tysięcy ludzi nie zdołałoby schwytać zbiega, gdyby nie chciał zostać schwytany.

Zbliżył się burmistrz i kilku mieszkańców wioski, ciekawych przyczyn zamieszania. Żołnierze otoczyli inspektora i Grenta. Stali z bronią w pogotowiu, a ich twarze były poważne i groźne.

Burmistrz wszystko wytłumaczył. Brak przestępstw w wiosce, świadczący o odejściu od cywilizacji. Zadanie powierzono Tomowi. I jak im było wstyd, że nie potrafił go wypełnić.

- A dlaczego wyznaczyliście akurat tego człowieka? - zdziwił się Grent.

- Pomyślałem sobie - wyjaśnił burmistrz - że jeśli ktokolwiek sobie z tym poradzi, to na pewno Tom. Wie pan, on jest rybakiem. To krwawa robota.

- A więc nikt inny nie potrafiłby zabić?

- Żaden z nas nie doszedłby nawet tak daleko, jak Tom przyznał smutnie burmistrz.

Grent i inspektor popatrzyli na siebie, potem na żołnierzy. Ci spoglądali, na mieszkańców wioski

ż podziwem i szacunkiem. Zaczęli szeptać coś między sobą.

- Baczość! - ryknął inspektor. - Lepiej się stąd zabierajmy - dodał cicho, zwracając się do Grenta. - Ludzie w naszej armii, którzy nie potrafią zabijać...

- Morale - mruknął Grent i zadrżał. - Możliwość zarażenia. Jeden człowiek na kluczowej pozycji zagraża statkowi, może nawet całej flocie, bo nie potrafi wystrzelić. Nie warto ryzykować.

Nakazali powrót na statek. Żołnierze maszerowali jakby wolniej niż normalnie. Oglądali się na wioskę i szeptali między sobą, mimo że inspektor wykrzykiwał rozkazy.

Mały, stateczek wystartował w ogniu dysz. Po chwili zniknął we wnętrzu wielkiego statku. A potem wielki statek odleciał. Krawędź ogromnego, wodniście czerwonego słońca zniżyła się tuż nad horyzont.

- Możesz już wyjść - zawołał burmistrz. Tom wynurzył się z krzaków, gdzie się krył, obserwując wszystko.

- Zawaliłem - powiedział żałośnie.

- Nie miej do siebie żalu - pocieszył go Billy Malarz. To było nie do zrobienia.

- Chyba nie - przyznał burmistrz, kiedy wracali już do wioski. - Miałem nadzieję, że może ci się uda. Nie można mieć do ciebie pretensji. Nie ma tu nikogo, kto potrafiłby wykonać tę pracę przynajmniej równie dobrze.

- Co zrobimy z tymi budynkami? - zainteresował się Billy Malarz wskazując na więzienie, pocztę, kościół i małą czerwoną szkołkę.

Burmistrz na chwilę zamyślił się głęboko.

- Już wiem - oświadczył. - Zbudujemy plac zabaw dla dzieci. Huśtawki, zjeżdżalnie, piaskownice i wszystko inne.

- J e s z c z e j d e n plac zabaw? - zdziwił się Tom. - Pewno. Dlaczego nie? Oczywiście, nie było żadnych powodów.

- Chyba nie będzie mi już potrzebne - rzekł Tom, podając burmistrzowi zezwolenie przestępcze.

- Nie, chyba nie - zgodził się burmistrz. Patrzyli z goryczą, jak darł dokument na strzępki. - No cóż, zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Po prostu to nie wystarczyło.

- Miałem szansę - mruknął Tom. - I zawiodłem was wszystkich.

- To nie twoja wina, Tom - Billy Malarz położył mu dłoń na ramieniu. - Zresztą, to nie jest niczyja wina. To efekt tego, że przez dwieście lat pozostawaliśmy z dala od cywilizacji. Pomyślcie, ile czasu potrzebowała Ziemia, żeby się ucywilizować. Tysiące lat. A my próbowaliśmy to załatwić w dwa tygodnie.

- Trudno, musimy dalej być nieucywilizowani - stwierdził burmistrz tonem, który miał być żartobliwy.

Tom ziewnął, pomachał im i poszedł do domu, by odespać zaległości. Przed wejściem spojrzął jeszcze w nocne niebo. Gęste, ciężkie chmury o czarnych obrzeżach zbierały się nad wioską. Pora deszczów była coraz bliżej. Niedługo znowu będzie mógł łowić.

Właściwie dlaczego nie wyobraził sobie inspektora jako ryby? Był zbyt zmęczony, by zastanowić się, czy byłby to rozsądny motyw. Zresztą, i tak już było za późno. Ziemia, a wraz z nią cywilizacja oddaliła się i uciekła na kto wie, ile jeszcze stuleci.

Tej nocy spał niespokojnie.

przekład : Piotr W. Cholewa

Zła kuracja

Drugiego maja 2193 roku Elwood Caswell szedł szybko Broadwayem z naładowanym rewolwerem, ukrytym w kieszeni płaszcza. Nie chciał użyć broni, obawiał się jednak, że mimo wszystko jej użyje. Przypuszczenie to było o tyle uzasadnione, że Caswell cierpiał na manię zabijania.

Był łagodny, mglisty, wiosenny dzień, powietrze pach_ mało deszczem i kwitnącym dereniem.

Caswell ścisnął rewolwer spocną dłonią i usiłował wynaleźć choć jeden ważny powód, dla którego miałby nie zabić człowieka nazwiskiem Magnessen, który poprzedniego dnia wygłaszał komentarz na temat powierzchowności Caswella.

Co Magnessena obchodzi jego wygląd? Przekłęci złośliwcy zawsze muszą wszystkim włożyć w drogę...

Caswell był cholerycznym, niskim mężczyzną o zaczerwienionych, wściekłych oczach, o szczękach buldoga i włosach w odcieniu imbirowej czerwieni; typem, który łatwo sobie wyobrazić, gdy szczerząc zęby z pudełka proszku do prania, woła do dostojnych biznesmanów i rozbawionych studentów: "Mars dla Marsjan, Wenus dla Wenusjan!"

Jednak, prawdę mówiąc, Caswella nie obchodziły godne pożałowania warunki socjalne gatunku pozaziemskiego. Był kierowcą odrzutowego autobusu Nowojorskiego Towarzystwa Szybkiego Transportu. Pochłaniały go własne sprawy. A był on po prostu szalony. Na szczęście uświadamiał sobie ten fakt, przynajmniej od czasu do czasu i przynajmniej połową swego umysłu.

Pocąc się obficie, Caswell dalej kroczył Broadwayem w kierunku 43 Ulicy, gdzie mieścił się sklep Towarzystwa Aparatów Terapii Domowej.

Jego przyjaciel Magnessen niedługo kończy pracę i powróci do swego małego mieszkania, położonego niedaleko domu Caswella. Jak łatwo byłoby, jak przyjemnie - wejść, zamienić parę słów i...

Nie! Caswell zaczerpnął powietrza i uprzytomnił sobie, że w gruncie rzeczy nie pragnie nikogo zabić. Ludzi nie wolno zabijać. Policja zamknęłaby go, przyjaciele nie zrozumieliby, a matka nigdy by tego nie zaaprobowała.

Argumenty te jednak wydawały się blade, wyrozumowane i pozbawione jakiegokolwiek siły: - Pozostawał nagi fakt on chciał zabić Magnessena. Czy tak silne pragnienie może być złe? Czy chociażby niezdrowe? Owszem, może! Z rozpaczliwym jękiem Caswell przebiegł ostatnie parę

kroków dzielących go od sklepu Aparatów Terapii Domowej.

Już sam fakt znalezienia się w tym lokalu przyniósł mu uczucie natychmiastowej ulgi.

Oświetlenie było tu łagodne, draperie naturalne, ekspozycja błyszczących maszyn terapeutycznych ani zbyt dyskretna, ani zbyt krzykliwa. Było to miejsce, gdzie człowiek mógł położyć się na dywanie, w cieniu maszyn terapeutycznych, czując się bezpieczny w świadomości, że pomoc na wszelkie kłopoty znajduje się w zasięgu ręki.

Jasnowłosy sprzedawca z długim i wydatnym nosem przysunął się miękko, choć niezbyt miękko i szepnął:

- Czym można służyć?

- Terapia - powiedział Caswell.

- Oczywiście, sir - odparł sprzedawca, gładząc klapy swojej marynarki, i uśmiechnął się ujmująco. - Po to tu jesteśmy. - Obrzucił Caswella badawczym spojrzeniem, dokonał w myśli błyskawicznej diagnozy i stuknął w lśniącą biało-miedzianą maszynę.

- Oto - powiedział - nowy Pomocnik Antyalkoholowy produkcji IBM, reklamowany w najpoważniejszych periodykach. Przyzna pan, że mebelek ładny i na miejscu w każdym domu. W środku znajduje się odbiornik telewizyjny.

Śmignawszy wąską dłonią, otworzył drzwiczki Pomocnika Antyalkoholowego, ukazując 52-calowy ekran.

- Ja potrzebuję... - zaczął Caswell.

- Terapii - dokończył za niego sprzedawca. - To się rozumie. Chciałem jedynie podkreślić, że ten model nie sprawi nigdy kłopotu ani panu samemu, ani pańskim przyjaciołom i bliskim. Proszę zwrócić uwagę na tę wgłębioną tarczę. Za jej pomocą mogę regulować stopień spożycia alkoholu. Jeśli nie życzy pan sobie całkowitej abstynencji, może pan nastawić na ilość dużą, średnią lub małą. To jest nowa, dotychczas unikatowa cecha maszyny terapeutycznej.

- Nie jestem alkoholikiem - stwierdził z godnością Caswell. - Towarzystwo Szybkiego

Transportu nie zatrudnia alkoholików.

- Hm... - Sprzedawca zerknął z niedowierzaniem na nabiegłe krwią oczy Caswella. - Pan, zdaje się, trochę nerwowo! Może przenośny Uspokajacz "Bendix"?

- Też nie dla mnie. Co macie na manię zabijania?

Sprzedawca ściągnął usta.

- Pochodzenia schizofrenicznego czy maniakalno-depresyjnego?

- Nie wiem - przyznał lekko zaskoczony Caswell.

- Właściwie to nie ma znaczenia - powiedział sprzedawca. - Po prostu prywatna teoria. Z mojego doświadczenia w tym sklepie wynika, że rudzi i blondyni są podatni na schizofrenię, podczas gdy bruneci skłaniają się ku psychozie maniakalno-depresyjnej.

- Ciekawe. Od dawna pan tu pracuje?

- Od tygodnia. A oto rzecz, której pan potrzebuje. Pieszczotliwie położył rękę na przysadzistej czarnej maszynie, wykończonej chromem.

- Co to?

- To jest, proszę pana, Regenerator "Rex" produkcji General Motors. Czyż nie ładny? Pasuje do każdego wnętrza, a w środku ma dobrze zaopatrzony bar. Pańska rodzina, przyjaciele, bliscy nie muszą w ogóle wiedzieć...

- Czy to wyleczy z potrzeby popełnienia zabójstwa? spytał Caswell. - Z silnej potrzeby?

- Absolutnie. Proszę nie mylić z małym, dziesięcioamperowym modelem antynerwicowym. To jest dwudziestopięcioamperowa maszyna o wielkiej sile i wytrzymałości, lecząca naprawdę głęboko zakorzenione poważne stany.

- Właśnie ja to mam - stwierdził nie bez dumy Caswell.

- Ta zabawka wszystko z pana wytrzęsie. Duże, silne łożyska oporowe! Ogromne absorbatory

ciepła! Kompletnie izolowane! Czułość rzędu ponad...

- Biorę ją - przerwał Caswell. - Od razu. Płacę gotówką.

- Świetnie. Zatelefonuję do magazynu i...

- Sam sobie poradzę - powiedział Caswell, wyciągając złożone banknoty. - Muszę jak najprędzej z niej skorzystać. Wie pan, chcę zabić mojego przyjaciela, Magnessena. Sprzedawca zagadał współczująco.

- Przejdzie panu ta ochota... Plus pięć procent podatku od sprzedaży. Dziękuję panu. Pełna instrukcja znajduje się w środku.

Caswell podziękował, obiema rękoma dźwignął Regenerator i szybko wyszedł

Po obliczeniu swojej prowizji sprzedawca uśmiechnął się do siebie i zapalił papierosa. Jego radość została zakłócona w momencie, kiedy kierownik, okazały mężczyzna wyposażony w imponujące pince-nez, wypadł ze swojego gabinetu.

- Haskins! - zawołał. - O ile się nie mylę, prosiłem pana o uwolnienie się od tego plugawego nałogu.

- Tak, panie Follansby, przepraszam - sumitował się Haskins, gasząc papierosa. - Natychmiast użyję Denikotynizatora. Dokonałem raczej korzystnej transakcji, panie Follansby. Jeden z tych dużych Regeneratorów "Rex".

Na kierowniku zrobiło to pewne wrażenie.

- Czyżby? - spytał. - Nieczęsto zdarza się - chwileczkę! Nie sprzedał pan chyba modelu, który stał na podłodze.

- Obawiam się, że tak, panie Follansby. Klientowi bardzo się spieszyło. Czyżby istniał jakiś powód...

Pan Follansby pochwycił w obie dłonie swoje wypukłe, białe czoło, tak jakby chciał je oderwać:

- Haskins, ja panu mówiłem, ja musiałem panu mówić. Wystawiony tu Regenerator był modelem

marsjańskim do maszynoterapii Marsjan.

- Och - westchnął Haskins. Zamyślił się na chwilę. Och.

Pan Follansby w ponurym milczeniu wpatrywał się w swojego pomocnika.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytał gorączkowo Haskins. - Maszyna z pewnością nie rozróżnia. Sądzę, że leczy manię zabijania nawet wówczas, jeśli pacjent nie jest Marsjaninem?

- Marsjańska rasa nigdy nie przejawiała najmniejszych tendencji do zabijania. Marsjański Regenerator nie ma nawet zaprogramowanego takiego pojęcia. Oczywiście, Regenerator będzie go leczył. Ale co on będzie leczył?

- Och - westchnął Haskins.

- Tego nieszczęśnika należy powstrzymać, nim... Mówi pan, że był to zabójca? Nie wiem, co może się zdarzyć? Prędko, jaki jest jego adres?

- Panie Follansby, on tak bardzo się spieszył... Kierownik obrzucił go przeciągłym, niedowierzającym spojrzeniem.

- Proszę natychmiast zawołać policję i zawiadomić Departament Bezpieczeństwa General Motors.

Haskins rzucił się do drzwi.

- Proszę poczekać! - zawołał kierownik, walcząc ze swoim płaszczem nieprzemakalnym. - Idę z panem.

Elwood Caswell wrócił do domu taxikopterem. Zataszczył Regenerator do bawialni, postawił koło tapczanu i przyjrzał mu się uważnie.

Sprzedawca miał rację - orzekł po chwili. - Pasuje do tego pokoju.

Z estetycznego punktu widzenia Regenerator był bez sprzecznie udany. Caswell podziwiał go jeszcze chwilę, po czym poszedł do kuchni i przygotował sobie kanapkę. Jadł powoli, uporczywie wpatrując się w jeden punkt na ścianie - z lewej strony i trochę poniżej kuchennego zegara.

- Niech cię diabli porwą, Magnessen! Ty parszywy łgarzu z rozbieganymi oczami! Ty wrogu wszystkiego, co na świecie przyzwoite i uczciwe... Wyjął z kieszeni rewolwer i położył go na stole. Popychając go sztywnym palcem wskazującym, parokrotnie zmieniał jego położenie.

Czas zacząć terapię.

Chociaż... Caswell skonstatował z niepokojem, że właściwie nie miał ochoty wyzbyć się żądzy zabicia Magnessena. Co by się z nim stało, gdyby stracił ten popęd? Jego życie zostałoby оголоcone z wszelkiego sensu, wszelkiego smaku i pikanterii. Byłoby po prostu nudne. Ponadto miał prawdziwy i głęboki żal do Magnessena, nawet myśleć o tym nie lubił.

Irena! Jego biedna siostra, uwiedziona przez podłego i podstępного Magnessena, zniszczona przez niego, a potem porzucona. Czyż mężczyzna może mieć większy powód do chwytania za broń...?

Caswell po chwili uprzytomnił sobie, że nigdy nie miał siostry. Teraz już naprawdę najwyższy czas na terapię. Wrócił do bawialni i odszukał instrukcję obsługi wetkniętą w otwór wentylacyjny maszyny. Rozłożył ją i zaczął czytać.

W celu skorzystania ze wszystkich Regeneratorów typu "Rex" należy:

1. Ustawić Regenerator w pobliżu wygodnego tapczanu - (wygodny tapczan można nabyć jako dodatkowe akcesorium we wszystkich sklepach firmy General Motors).
2. Włączyć maszynę do sieci.
3. Włożyć na głowę obręcz i dopasować ją do obwodu.

I to już wszystko! Całej reszty dokona twój Regenerator. Nie przeszkodzi Ci bariera językowa ani kwestia doboru odpowiedniego dialektu, bowiem Regenerator porozumiewa się z Tobą za Pomocą Bezpośredniego Kontakt Zmysłowego (patent Pendinga). Jedynym Twoim zadaniem jest współdziałać.

Nie poddawaj się uczuciu skrępowania czy wstydu. Wszyscy ludzie mają swoje problemy, często

znacznie poważniejsze od Twoich. Regenerator nie interesuje się Twoimi zasadami etycznymi. Nie wyobrażaj sobie więc, że on Cię "sądzi". Regenerator chce ci jedynie pomóc, pragnie, abyś czuł się dobrze i był szczęśliwy.

Twój Regenerator z chwilą, gdy tylko zgromadzi i przetworzy dostateczną liczbę informacji, bezzwłocznie zacznie leczenie. Możesz dowolnie przedłużyć lub skrócić seans. To Ty jesteś szefem! Oczywiście, możesz również w każdej chwili przerwać seans.

I to już wszystko! Proste, prawda? A teraz włącz swój Regenerator produkcji General Motors i wyzdrowiej!

- Nic trudnego - powiedział do siebie Caswell. Przysunął Regenerator jeszcze bliżej tapczanu i włączył go. Podniósł obręcz i zaczął nasuwać ją na głowę. Zatrzymał się na moment.

- Głupio się czuję - zachichotał.

Nagle spowaźniał i wlepił wojowniczy wzrok w czarno chromowaną maszynę.

"A więc sądzisz, że potrafisz mnie wyleczyć?" Regenerator nic nie odpowiedział.

"No dalej, spróbuj!" - nasunął obręcz na czoło, skrzyżował ramiona na piersiach i przechylił się do tyłu.

Nic się nie wydarzyło. Caswell ułożył się wygodnie na tapczanie. Podrapał się w ramię i przesunął obręcz pod właściwym kątem.

Nadal nic. Jego myśli zaczęły błądzić.

"Magnessen, ty krzykliwy, zarozumiały bałwanie, ty odrażający..."

"Dzień dobry - szepnął mu w głowie głos. - Jestem twoim maszynoterapeutą".

Zażenowany Caswell poruszył się niespokojnie. "Cześć. Ja właśnie - no wiesz, właśnie tak..."

"Oczywiście - powiedziała kojącym głosem maszyna.

Przecież my wszyscy... W tej chwili badam zawartość twojej podświadomości w celu dokonania syntezy, diagnozy, prognozy i ustalenia terapii. Znajduję tu..."

"Tak?"

"Chwileczkę. - Regenerator zamilkł na kilka minut. Po czym powiedział z wahaniem: - Jest to bezsprzecznie absolutnie niezwykły przypadek".

"Naprawdę?" - ucieszył się Caswell.

"Tak. Współczynniki wydają się... nie jestem pewien..." - Mechaniczny głos maszyny osłabł.

Światło kontrolne zaczęło migotać i przygasać.

"Hej, co się stało?"

"Chwilowe rozproszenie - stwierdziła maszyna. - Oczywiście - ciągnęła mocniejszym głosem - niezwykły charakter symptomów nie może stanowić przeszkody dla kompetentnej maszyny terapeutycznej. Symptom, jakkolwiek byłby dziwaczny, jest jedynie drogowskazem, oznaką wewnętrznych trudności. Wszystkie symptomy można podporządkować szerokiemu, głównemu nurtowi doświadczalnej teorii. Skoro teoria jest skuteczna, symptomy muszą być z nią zgodne. Będę działać opierając się na tym założeniu".

"Czy jesteś pewien, że wiesz, co masz robić?" - pomyślał oszołomiony Caswell.

Maszyna jak gdyby otrząsnęła się, jej światło kontrolne rozblęsnęło.

"Maszynoterapia jest dziś nauką ścisłą, nie dopuszczającą istotnych błędów. Przeprowadzimy test na skojarzeniach słownych".

"Strzelaj!"

"Budynek?"

"Dom".

"Pies?"

"Kot".

"Flifl?"

Caswell zawahał się, usiłując sklasyfikować to słowo. Dźwięczało raczej po marsjańsku, chociaż

mogło być również wenusjańskie, a nawet...

"Flifl?" - powtórzył Regenerator.

"Marfusz" - pomyślał Caswell, wymyśliwszy z miejsca nowe słowo.

"Głośny?"

"Słodko".

"Zielono?"

"Matka".

"Tanagojes?"

"Patamtonga".

"Arrides?"

"Neksotezmodrastika".

"Czisnohelnoptekes?"

"Rigamaru latasentikpropatria" - odpalił Caswell. Z tego zestawu dźwięków był szczególnie dumny. Przeciętny człowiek nie byłby w stanie ich wymówić.

"Hm - powiedział Regenerator. - Schemat pasuje. On zawsze pasuje".

"Jaki schemat?"

"Cierpisz na klasyczny przypadek popędu fomowego poinformowała go maszyna. - Z komplikacją silnych pragnień dwarkowych".

"Czyżby? A ja myślałem, że jestem zabójcą!"

"Ten termin nic nie znaczy - stwierdziła maszyna.

Musi być zatem odrzucony jako bezsensowny zestaw sylab. Natomiast popęd fomowy jest całkowicie normalny.

"Nigdy o tym nie zapominaj. Na ogół jednak w młodym wieku zostaje zastąpiony instynktem howendyjskim. Osobnicy pozbawieni tej elementarnej reakcji środowiskowej. ."

"Nie jestem całkowicie pewien, czy rozumiem, co mówisz" - wyznał Caswell.

"Posłuchaj. Musimy z góry uzgodnić pewną sprawę. Ty jesteś pacjentem. Ja jestem maszynoterapeutą. Przyszedłeś do mnie ze swoimi kłopotami po to, abym cię wyleczył. Jeśli jednak nie będziesz ze mną współpracował, nie masz co liczyć na moją pomoc".

"Dobrze - zgodził się Caswell. - Spróbuję".

Dotychczas napawał się poczuciem własnej wyższości. Wszystko, co mówiła maszyna, wydawało mu się nieco humorystyczne. Prawdę mówiąc uważał, że potrafi wyliczyć co najmniej kilka defektów maszynoterapeuty.

Teraz jednak, jak to zwykle u niego bywało, dobre samopoczucie ulotniło się i Caswell był sam, zupełnie sam; impulsywne stworzenie, łaknące odrobiny spokoju i radości. Zrobiłby wszystko, aby je osiągnąć. Upomniął surowo sam siebie, że nie wolno krytykować maszynoterapeuty. Przecież te maszyny wiedzą, co robią, i robią to już od dawna. Musi więc współpracować z maszyną bez względu na to, jak dziwna może się wydawać terapia z jego, laickiego, punktu widzenia. Jest jednak oczywiste, pomyślał ze smutkiem Caswell, moszcząc się na tapczanie, że maszynoterapia okazała się sprawą o wiele trudniejszą, niż to sobie wyobrażał.

Poszukiwania zaginionego klienta były krótkie i bezskuteczne. Nie udało się go znaleźć na zatłoczonych ulicach Nowego Jorku i nikt nie przypomniał sobie rudego, czerwonoookiego człowieka, niosącego czarną maszynę terapeutyczną. Był to widok zbyt pospolity. W odpowiedzi na pilny telefon błyskawicznie pojawiło się czterech policjantów. Przewodził im zafrasowany młody detektyw w randze porucznika, nazwiskiem Smith.

Smith zaledwie zdążył zapytać:

- Ej, ludzie, czemu wy nie przyczepiacie etykietek do waszych towarów? - kiedy mu przerwano.

Przepychając się obok stojącego w drzwiach policjanta, do sklepu wszedł mężczyzna. Był wysoki, kościsty i brzydki. Miał głęboko osadzone, mętnobłękitne oczy. Niechlujne, zmięte ubranie

zwisła wokół niego niczym falista blacha.

- Czego pan sobie życzy? - spytał porucznik Smith. Brzydał odchylił klapę, pokazując mały srebrny znaczek. - Jestem John Rath. Departament Bezpieczeństwa General Motors.

- Przepraszam, sir! - zawołał salutując porucznik Smith. - Nie sądziłem, że aż tak się pospieszycie.

Rath wydał nieokreślony odgłos.

- Czy sprawdził pan odciski palców? Klient mógł dotknąć również innych maszyn terapeutycznych.

- Zaraz to zrobię, sir - odpowiedział Smith. Nieczęsto zdarza się, żeby detektyw GM, GE albo IBM osobiście przybył z pomocą. Jeśli miejscowy gliniarz wykaże się odpowiednio, może otworzyć się przed nim perspektywa przejścia do służby w przemyśle.

Rath, obróciwszy się w stronę Follansby'ego i Haskinsa, utkwiał w nich wzrok równie bezosobowy i przenikliwy jak wiązka radaru.

- Proszę mi opowiedzieć całą historię - zażądał wyciągając z bezkształtnej kieszeni ołówki i notes.

Słuchał w złowieszczym milczeniu. W końcu zamknął notes i powiedział:

- Powierzenie komuś maszyny terapeutycznej jest dowodem największego zaufania. Sprzedanie klientowi niewłaściwej maszyny jest zdradą tego zaufania, pogwałceniem interesu publicznego i zniesławieniem dobrego imienia Towarzystwa. Kierownik przytaknął, piorunując wzrokiem swojego nieszczęsnego pomocnika.

- Marsjański model - ciągnął Rath - po pierwsze nie powinien być stać na podłodze.

- Mogę to wyjaśnić - wtrącił pospiesznie Follansby.

Potrzebowaliśmy modelu okazowego i napisaliśmy do Towarzystwa, żeby...

Nieubłagany Rath przerwał:

- Może być to uznane za karalny przypadek jaskrawego zaniedbania.

Kierownik i sprzedawca wymienili przerażone spojrzenia. Obaj pomyśleli o domu poprawczym General Motors koło Detroit, gdzie ludzie winni wykroczeń przeciw Towarzystwu spędzają dni w posępnym milczeniu, sprzedając mikroobwody do odbiorników telewizyjnych.

- Niemniej leży to poza zakresem moich kompetencji dodał Rath. Skierował złowrogie spojrzenie prosto na Haskinsa. - Czy jest pan pewien, że klient nie wymienił swojego nazwiska?

- Nie, proszę pana. To znaczy tak, jestem pewien wyrzucił Haskins.

- W ogóle nie wymienił żadnego nazwiska?

Haskins ukrył na chwilę twarz w dłoniach, po czym podniósł oczy w górę i zawołał:

- Tak! On chciał kogoś zabić! Swojego przyjaciela! - Kogo? - zapytał Rath ze straszliwą cierpliwością. - Nazwisko przyjaciela brzmiało - niech pomyślę

Magneton! Oczywiście! Magneton! A może Merrison? O Boże...

Kamienną twarz pana Ratha wykrzywił wyraz obrzydzenia. Ludzie jako świadkowie są beużyteczni. Gorzej niż beużyteczni - często wręcz wprowadzają w błąd. Polegać można tylko na robotach.

- Czy nie powiedział niczego, co mogłoby stanowić wskazówkę?

- Pomyślę - odparł Haskins, a jego twarz skurczyła się w przyływie skupienia.

Rath czekał.

Pan Follansby chrząkał.

- Myślałem właśnie, panie Rath, o marsjańskiej maszynie. Ona chyba nie wyleczy Ziemianina z manii zabijania?

- Oczywiście, że nie wyleczy. Zabójstwo jest na Marsie nieznanne.

- Tak. Co więc maszyna robi? Czy może odrzucić cały przypadek jako niezrozumiały?

Wówczas klient zwróciłby nam po prostu Regenerator z reklamacją, a my...

Pan Rath potrząsnął głową. Regenerator, jeśli stwierdzi psychozę, musi ją leczyć. Zgodnie z pojęciem Marsjan, klient jest bardzo chorym człowiekiem bez względu na to, co mu jest. Follansby zdjął pince-nez i wytarł je pospiesznie.

- Co zatem zrobi maszyna?

- Będzie leczyła go na chorobę marsjańską najbardziej zbliżoną do jego przypadku. Popęd fomowy, jak sądzę, z licznymi komplikacjami. Natomiast co może nastąpić po rozpoczęciu terapii - tego nie wiem. I wątpię, czy ktokolwiek wie, jako że dotychczas nic podobnego się nigdy nie zdarzyło. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że są to dwie główne możliwości. Albo pacjent może z miejsca odrzucić terapię, co oznacza, że jego mania zabijania pozostałaby nienaruszona. Albo też może zaakceptować terapię marsjańską i wyleczyć się.

Oblicze pana Follansby'ego rozpromieniło się nagle. - Ach, więc kuracja jest jednak możliwa?

- Pan nie rozumie - powiedział Rath. - On może zostać wyleczony ze swojej nie istniejącej marsjańskiej psychozy. Ale leczenie czegoś, co nie istnieje, jest równoznaczne z tworzeniem niczym nie uzasadnionego, urojonego systemu. Można założyć, że maszyna zacznie pracować w odwrotnym kierunku, produkując psychozę zamiast ją usunąć.

Pan Follansby jęknął i oparł się o Maszynę Psychosomatyczną produkcji Bella.

- Końcowym skutkiem tego procesu - podsumował Rath - byłoby przekonanie klienta, że jest Marsjaninem. Zdrowym Marsjaninem, oczywiście.

Haskins wrzasnął nagle.

- Przypomniałem sobie! Już sobie przypomniałem! Powiedział, że pracuje w Nowojorskim Towarzystwie Szybkiego Transportu! Przypominam sobie dokładnie!

- To już jest jakaś szansa - stwierdził Rath, sięgając po telefon.

Haskins z ulgą obtarł spoconą twarz.

- Przypomniałem sobie jeszcze coś, co może ułatwić całą sprawę.

- Co?

- Klient powiedział mi, że był kiedyś alkoholikiem. Jestem o tym przekonany. Z początku, póki go nie odciągnąłem, interesował się Pomocnikiem Antyalkoholowym produkcji IBM. Ma rude włosy, a wie pan, ja od pewnego czasu mam taką teorię na temat rudowłosych i alkoholizmu.

Wydaje mi się...

- Doskonale - stwierdził Rath. - Alkoholizm będzie figurował w jego ewidencji. To wydatnie zawęzi pole poszukiwań.

Gdy łączył się z Towarzystwem Szybkiego Transportu, wyraz jego kamiennej dotychczas twarzy stał się niemal miły. Jak dobrze jest odkryć dla odmiany, że człowiek mimo wszystko potrafi zapamiętać fakty.

"Jestem przekonany, że pamiętasz swoją gorykę?" mówił Regenerator.

"Nie" - odpowiedział znużonym głosem Caswell. "Mm. Zablockowanie - szepnęła maszyna. -

Uraz. Stłuczenie. Czy jesteś pewien, że nie pamiętasz swojej goryki ani tego, czym ona dla ciebie była? Jest to przecież doświadczenie uniwersalne".

"Nie dla mnie" - odpowiedział Caswell, tłumiąc ziewanie.

Od blisko czterech godzin poddawał się maszynoterapii i odnosił wrażenie, że robi to na próżno.

Przez chwilę chętnie opowiadał o swoim dzieciństwie, o matce i ojcu, o starszym bracie. Lecz Regenerator upomniął go, aby przestał fantazjować. Stosunek pacjenta od urojonych rodziców i rodzeństwa niczego nie wnosi i z psychologicznego punktu widzenia jest nieistotny. Najważniejsze są uczucia pacjenta, zarówno uświadomione, jak i nieuświadomione, względem jego goryki.

"Zrozum - pożalił się Caswell - przecież ja nawet nie wiem, co to jest goryka".

"Wiesz, tylko nie dopuszczasz tego do siebie". "Nie wiem. Powiedz mi".

"Byłoby lepiej, gdybyś ty mi to powiedział".

"Jakim cudem? - rozłościł się Caswell. - Ja nie wiem". "A jak ci się wydaje - co to może być

goryka?" "Pożar lasu - powiedział Caswell. - Tabletki soli. Słoik denaturatu. Mały śrubokręt.

Ciepłej? Notes. Rewolwer..." "Te skojarzenia nie mają sensu. Twoje skłonności do mówienia na chybił trafił wskazują wyraźnie na pewien ukryty mechanizm. Czy nie dostrzegasz go?"

"Co to jest, do diabła, Goryka?!!" - ryknął Caswell.

"Drzewo, które żywiło cię w niemowlęctwie i żywiło cię jeszcze długo po osiągnięciu dojrzałości, jeśli moja teoria jest słuszna. Przez nieuwagę Goryka nie dopuściła u ciebie do niezbędnego odrzucenia popędu fomowego. To z kolei przyczyniło się do powstania potrzeby dwarkowania kogoś metodą wlendyjską".

"Żadne drzewo mnie nie karmiło". "Nie pamiętasz tego po prostu".

"Oczywiście, że nie. Bo to nigdy nie miało miejsca". "Czy jesteś tego pewien?"

"Absolutnie". "Nie masz nawet cienia wątpliwości?"

"Nie. Żadna goryka nigdy mnie nie karmiła. Słuchaj, ja przecież mogę przerwać seans w każdym momencie. Prawda?"

"Naturalnie - odpowiedział Regenerator. - Nie radziłbym jednak robić tego teraz. Przejawiasz w tej chwili gniew, urazę, strach. Dzięki twojej upartej i całkowitej negacji..."

"Brednie" - orzekł Caswell i ściągnął obręcz z głowy. Cisza była rzeczą cudowną. Caswell wstał, ziewnął, przeciągnął się i rozmasował sobie kark. Stał naprzeciw buczonej maszyny i rzucił jej złośliwe spojrzenie.

- Nie wyleczyłabyś mnie ze zwykłego kataru - powiedział.

Sztywnym krokiem przemierzył pokój i wrócił do Regeneratora.

- Parszywa bujda! - krzyknął.

Przeszedł do kuchni i otworzył butelkę piwa.

Jego rewolwer wciąż leżał na stole, pobłyskując matowo. "Magnessen! Ty niewiarygodnie plugawy oszuście! Ty wcielony diable! Ty nieludzki, nienawistny potworze! Ktoś musi cię

zniszczyć, Magnessen! Ktoś..."

Ktoś? On sam będzie musiał to zrobić. Tylko bowiem on jeden zna bezdenną głębię jego zepsucia, jego ohydną żądzę władzy.

"Tak, to mój obowiązek" - pomyślał Caswell. O dziwo, jednak ta świadomość nie sprawiła mu przyjemności. W końcu Magnessen był jego przyjacielem.

Wstał, gotowy do działania. Wetknął rewolwer do prawej kieszeni płaszcza i spojrzał na kuchenny zegar. Dochodziła szósta trzydzieści. Magnessen siedzi teraz w domu, żarłocznie połyka kolację i uśmiecha się do swoich planów. Jest najlepsza pora, aby go dopaść.

Caswell podszedł do drzwi, otworzył je, wyjrzał na zewnątrz i - zamarł. Umysł jego przeszyła myśl, myśl tak piorunująca, tak istotna i tak brzemienne w konsekwencje, że poruszyła go do głębi. Caswell rozpaczliwie usiłował usunąć ją ze swojej świadomości, ale myśl nie chciała odejść, uparcie tkwiła w jego pamięci.

W tych okolicznościach mógł zrobić tylko jedną rzecz. Wrócił do bawialni, usiadł na tapczanie i nasunął obręcz na głowę.

"Tak?" - spytał Regenerator.

"Wiesz co, to jest cholerna sprawa - powiedział Caswell - ale wydaje mi się, że ja pamiętam swoją gorykę".

Jo hn Rath za pomocą telewideofonu skontaktował się z Nowojorskim Towarzystwem Szybkiego Transportu. Został natychmiast połączony z panem Bemisem, pulchnym, opalonym mężczyzną o czujnym spojrzeniu.

- Alkoholizm? - powtórzył pan Bemis po wysłuchaniu całej sprawy. Zwrócił się jakby od niechcienia w stronę swojej aparatury. - Pomiędzy naszymi pracownikami?

Przyciskając znajdujący się pod jego stopą guzik, zaalarmował Służbę Bezpieczeństwa, Departament Transportu, Reklamę, Wydział Współpracy Mędzyzakładowej oraz Departament

Transportu Psychoanalitycznego. Zrobiwszy to, popatrzył szczerze na Ratha.

- Nie ma o tym mowy, drogi panie. A tak, między nami, co właściwie General Motors chce wiedzieć?

Rath uśmiechnął się gorzko. Powinien był przewidzieć. NYST i GM dzieliły niegdyś pewne różnice zdań. Oficjalnie oba potężne Towarzystwa współpracowały ze sobą. Ale w praktyce...

- Sprawa dotyczy dobra publicznego - powiedział Rath.

- Och, nie wątpię - odparł z przebiegłym uśmiechem pan Bemis. Spojrzawszy na tarczę telewideofonu stwierdził, że kilku członków zarządu Towarzystwa włączyło się na jego linię. Jeśli odpowiednio rzecz potraktować, może to oznaczać awans.

- Dobro publiczne z punktu widzenia GM - dodał pan Bemis ze zgryźliwą uprzejmością. -

Insynuuję pan, jak przypuszczam, że nasze odrzutowe oraz heliautobusy są prowadzone przez pijanych kierowców?

- Skądże znowu. Poszukuję pojedynczego przypadku skłonności alkoholowych, indywidualnej utajonej osoby. - To jest wykluczone. My nie zatrudniamy w Szybkim

Transportie ludzi o najmniejszej nawet inklinacji w tym kierunku. I pozwolę sobie poradzić, abyście wyczyścili własne podwórko, nim zaczniecie mieszać się w cudze sprawy.

Z tymi słowami pan Bemis przerwał połączenie. r

Nikt nie będzie z niego kpił.

- Koniec - orzekł ponuro Rath. Odwrócił się i zawołał: - Smith, znalazł pan jakieś odciski palców?! Porucznik Smith, bez kurtki i z zawiniętymi rękawami koszuli, odpowiedział:

- Nic, co mogłoby mieć znaczenie.

Rath zacisnął wąskie wargi. Upłynęło już prawie siedem godzin, odkąd klient wyniósł marsjańską maszynę. Trudno przewidzieć, ile zła mogło się w tym czasie wydarzyć. Gdyby klient wszczął proces poszlakowy Towarzystwu, byłby niewątpliwie usprawiedliwiony. Nie chodzi tu

nawet o pieniądze, ale złej reklamy za wszelką cenę należy unikać. - Przepraszam, sir - powiedział Haskins.

Rath zignorował go. Co dalej? Na Szybki Transport nie ma co liczyć.

Może wojsko udostępni swoje archiwa, rejestry sklasyfikowane pod kątem typu somatycznego i kolorytu?

- Sir - powtórzył Haskins.

- O co chodzi?

- Właśnie sobie przypomniałem nazwisko przyjaciela klienta - Magnessen.

- Czy jest pan pewien?

- Najzupełniej - powiedział Haskins, po raz pierwszy od kilku godzin okazując śmiałość. -

Pozwoliłem sobie sprawdzić w książce telefonicznej. Na Manhattanie jest jeden człowiek o tym nazwisku.

Rath rzucił groźne spojrzenie spod krzaczastych brwi. - Haskins, mam nadzieję, że pan się nie myli. Mam szczerą nadzieję... Bo jeśli... to ja wtedy... nieważne. Chodźmy!

W ciągu piętnastu minut przybyli wraz z eskortą policji na miejsce. Był to stary dom o fasadzie z brązowego piaskowca. Nazwisko Magnessena figurowało na drzwiach pierwszego piętra. Zapukali.

Drzwi otworzyły się i stanął przed nimi trzydziestoparoletni mężczyzna, krępy i krótko ostrzyżony.

Był w samej koszuli. Przybladł trochę na widok tyłu mundurów, ale się opanował.

- Magnessen - szczerknął porucznik Smith.

- Tak. A co się nie podoba? Jeśli to mój samograj za głośno gra, to powiem, że ta stara wiedźma z dołu...

- Czy możemy wejść? - przerwał Rath. - Sprawa jest ważna.

Magnessen wyglądał, jakby chciał odmówić. Toteż Rath przepchnął się obok niego, a za nim Smith, Follansby, Haskins i mała armia policjantów. Magnessen obrócił się w ich stronę,

z dumionym, nieufnym i wyraźnie przestraszonym.

- Panie Magnessen - odezwał się Rath najprzyjemniejszym tonem, na jaki było go stać. - Proszę nam wybaczyć to najście. Zapewniam pana jednak, że chodzi o dobro publiczne, jak też i pana własne. Czy zna pan małego wściekłego człowieczka o rudych włosach i zaczerwienionych oczach?

- Tak - powiedział Magnessen powoli i niepewnie. - Czy poda pan jego nazwisko i adres? - spytał Rath. - Sądzę, że myślicie o... chwileczkę. A co zrobił?

- Nic.

- Więc po co go szukacie?

- Nie mamy czasu na wyjaśnienia - powiedział Rath. - Proszę mi jednak wierzyć, że leży to również w jego interesie. Jak on się nazywa?

Magnessen wpatrywał się badawczo w brzydką, uczciwą twarz Ratha, wahał się.

- No, Magnessen - ponaglił porucznik Smith - gadaj, jeśli dbasz o swoją skórę. Chcemy znać nazwisko, i to zaraz. Było to niewłaściwe podejście. Magnessen zapalił papierosa, dmuchnął dymem w kierunku Smitha i zapytał:

- Koleś, a nakaz aresztowania masz?

- A załóż się, że mam - warknął Smith, zbliżając się do niego - ale dla ciebie, mądralo!

- Dosyć - rozkazał Rath. - Dziękuję panu za pomoc, poruczniku Smith. Nie będę już pana potrzebował. Wściekły Smith musiał opuścić lokal, a za nim jego policjanci.

- Przepraszam za nadgorliwość Smitha - powiedział Rath. - Lepiej będzie, jeśli pozna pan całą prawdę. Krótko, ale niczego nie pomijając, opowiedział historię klienta i marsjańskiej maszyny, terapeutycznej. Kiedy skończył, Magnessen wydawał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

- Mówi pan, że on chce mnie zabić? - Stanowczo.

- To kłamstwo! Nie wiem, co pan kombinuje, ale nigdy mi pan tego nie wmówi. Elwood jest

moim najlepszym przyjacielem. Od dzieciństwa jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Razem byliśmy w wojsku. Elwood dałby sobie za mnie rękę uciąć. I ja zrobiłbym to samo dla niego.

- Tak, tak - powiedział niecierpliwie Rath - z pewnością tak by postąpił, gdyby był zdrow na umyśle. Ale pański przyjaciel Elwood - czy to jest imię, czy nazwisko? - Imię - mruknął niechętnie Magnessen.

- Pański przyjaciel Elwood jest chory psychicznie.

- Pan go nie zna. Ten chłopak kocha mnie jak brata. Panie, co on właściwie zrobił? Może nie zapłacił jakiegoś rachunku czy coś w tym rodzaju? Ja mogę uregulować.

- Ty tępy imbecylny! - wrzasnął Rath. - Staram się uratować twoje życie oraz życie i zdrowie twojego przyjaciela.

- A skąd ja mam o tym wiedzieć? - pożalił się Magnessen. - Wdarliście się tu tak, chłopcy...

- Pan musi mi uwierzyć - powiedział Rath. Magnessen wlepił badawczy wzrok w twarz Ratha, w końcu przytaknął kwaśno.

- Nazywa się Elwood Caswell. Mieszka blisko stąd. Pod numerem 341.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był niski, rudowłosy i miał czerwone obwódki wokół oczu.

Prawą rękę trzymał w kieszeni płaszcza. Wydawał się bardzo spokojny.

- Czy pan Elwood Caswell? - spytał Rath. - Elwood Caswell, który dzisiaj wczesnym popołudniem kupił Regenerator w sklepie Aparatów Terapii Domowej?

- Tak - potwierdził Caswell. - Czy panowie zechcą wejść?

W małej bawialni Caswella, obok tapczanu, dostrzegli błyszczący czernią i chromem Regenerator. Był włączony.

- Czy używał go pan? - zapytał z niepokojem Rath.

- Tak.

Follansby wysunął się do przodu.

- Panie Caswell, nie bardzo wiem, jak to wytłumaczyć, ale popełniliśmy okropną pomyłkę.

Regenerator, który pan wziął, jest modelem marsjańskim - do leczenia Marsjan.

- Wiem - powiedział Caswell.

- Wie pan?

- Naturalnie. Już po krótkim czasie było to oczywiste. - Sytuacja była niebezpieczna - powiedział

Rath szczególnie dla człowieka, hmm, z pana kłopotami.

Spojrzał ukradkowo na Caswella.

Mężczyzna wyglądał normalnie, ale pozory mylą, zwłaszcza w przypadkach psychozy. Caswell był potencjalnym zabójcą i nie istniał na dobrą sprawę powód, dla którego miałby przestać nim być.

Rath zaczął żałować, że tak wcześnie odprawił Smitha i jego policjantów. Obecność uzbrojonego patrolu podnosiła czasami na duchu. Caswell podszedł do maszyny terapeutycznej. Prawą rękę trzymał nadal w kieszeni płaszcza, lewą położył z czułością na Regeneratorze.

- Biedactwo, starało się jak mogło - powiedział - no, ale Regenerator nie mógł przecież wyleczyć tego, co nie istniało. - Roześmiał się. - Choć był właściwie bliski sukcesu.

Rath zlustrował badawczo Caswella i odezwał się wystudowanym, obojętnym tonem:

- Cieszę się, że nie stało się nic złego. Towarzystwo wynagrodzi panu oczywiście stracony czas i krzywdę moralną.

- Oczywiście - powiedział Caswell.

- I dostarczy panu natychmiast odpowiedni ziemski Regenerator.

- Nie widzę potrzeby.

- Nie?

- Nie.

Głos Caswella był zdecydowany:

- Terapeutyczne zabiegi maszyny zmusiły mnie do wejrzenia we własną psychikę. Przeżyłem chwilę absolutnej samokrytyki. Stałem się wówczas zdolny do przeanalizowania i pozbycia się moich zbrodniczych intencji wobec biednego Magnessena.

Rath pokręcił głową z powątpiewaniem:

- Nie odczuwa pan tej potrzeby?

- W najmniejszym stopniu.

Rath zmarszczył brwi, zaczął coś mówić, lecz przerwał. Zwrócił się do Follansby'ego i Haskinsa:

- Weźcie stąd tę maszynę. Będę miał z wami kilka spraw do omówienia w sklepie.

Kierownik i sprzedawca podnieśli maszynę i wyszli. Rath westchnął głęboko:

- Panie Caswell, z całym przekonaniem radziłbym panu przyjąć od Towarzystwa nowy Regenerator. Jeżeli kuracja nie została przeprowadzona we właściwy maszynoterapeutyczny sposób, zawsze będzie istniało niebezpieczeństwo nawrotu choroby.

- Co do mnie, nie ma obawy - stwierdził Caswell cicho, lecz z głębokim przekonaniem. -

Dziękuję panu za troskę. I dobranoc.

Rath wzruszył ramionami i podszedł do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołał Caswell.

Rath odwrócił się. Caswell wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej rewolwer. Rath poczuł krople potu spływające wzdłuż ramion. Przeliczył odległość dzielącą go od Caswella. Za daleko.

- Proszę - powiedział Caswell, podając mu rewolwer kolbą naprzód. - Nie będę już tego potrzebował.

Rath, usiłując utrzymać spokój na twarzy, wziął rewolwer i schował go do swojej bezkształtnej kieszeni.

- Dobranoc - powiedział Caswell.

Zamknął drzwi za Rathem i zaryglował je. Nareszcie był sam. Poszedł do kuchni. Otworzył

butelkę piwa, pociągnął potężny łyk i przysiadł na kuchennym stole. Zaczął uporczywie wpatrywać się w jeden punkt - na lewo i poniżej zegara. Musiał teraz przemyśleć swoje plany. Nie było czasu do stracenia.

Magnessen! Ten nieludzki potwór, który wyciął gorykę Caswella! Człowiek, który do tej pory nosi się z ukrytym zamiarem zarażenia całego Nowego Jorku ohydny popędem fomowym. Och, Magnessen, życzę ci długiego, długiego życia, wypełnionego torturami, które ci będę zadawał. A na początek...

Caswell uśmiechnął się do siebie na myśl, jak będzie dwarkował Magnessena metodą wlendijską.

przekład : Teresa Markowska

Żona model Ultra Deluxe

Edward Flaswell kupił swoją planetoidę na ślepo w Międzyplanetarnym Biurze Sprzedaży Nieruchomości na Ziemi. Wybrał ją na podstawie fotografii, na której poza malowniczym pasmem górskim niewiele było widać. Ale Flaswell kochał góry i widocznie pokładał w nich pewne nadzieje, skoro zwrócił się do sekretarza z zapytaniem:

- W tych tam, górach, może być złoto, co, kolego?

- Na pewno, bracie, na pewno - odparł sekretarz, zastanawiając się, czy jakiś człowiek o zdrowych zmysłach oddaliłby się dobrowolnie na odległość kilkunastu lat świetlnych od najbliższej znajdującej się kobiety. Uznawszy, że żaden normalny człowiek nie zrobiłby tego, sekretarz obrzucił Flaswella badawczym spojrzeniem.

Flaswell był jednak całkowicie normalny. Po prostu nie przyszło mu to do głowy.

Wpłacił niewielką sumę na poczet należności i przyrzekł co roku podnosić wydajność swojej ziemi. Zaledwie atrament wysechł na spisanej umowie, Flaswell zakupił miejsce na zdalnie sterowanym transportowcu II klasy, załadował nań różnoraki sprzęt zakupiony z drugiej ręki i

wyruszył ku swoim posiadłościom.

Wielu pionierów-nowicjuszy przekonuje się na miejscu, że kupili bryłę gołej skały. Ale Flaswell miał szczęście. Planetoida, nazwana przez niego Losem Szczęścia, miała sztucznie wytworzoną atmosferę, którą mógł doprowadzić do stanu umożliwiającego oddychanie. Za pomocą sprzętu do wiercenia studzien - przy dwudziestej trzeciej próbie wykrył wodę.

W tych swoich górach Flaswell nie znalazł, co prawda, złota, ale były tam złoża toru nadającego się na eksport. A co najważniejsze, duże przestrzenie ziemi nadawały się na uprawę dyrów, ilg, kisów i innych luksusowych owoców.

Flaswell ciągle powtarzał swemu robotowi-nadzorcy: - Ta planetoida przyniesie mi bogactwo!
- Z pewnością, szefie, z pewnością - niezmiennie odpowiadał robot.

Planetoida bezsprzecznie kryła w sobie wiele bogactw. Praca nad jej rozwojem była zamierzeniem przekraczającym siły jednego człowieka, ale Flaswell miał dwadzieścia siedem lat, był mocno zbudowany i odznaczał się silnym charakterem.

Dzięki jego wysiłkom planetoida rozkwitała. Miesiące mijały, a Flaswell obsiewał pola, wydobywał tor ze swoich malowniczych gór i wysyłał towary zdalnie sterowanym transportowcem, który od czasu do czasu kursował tą trasą.

Pewnego dnia robot-nadzorca zwrócił się do Flaswella: - Panie szefie, Człowieku, pan nie wygląda zbyt dobrze, szanowny panie Flaswell.

Flaswell zmarszczył się, słysząc te słowa. Producent, od którego kupił roboty, był zaciekleym wyznawcą teorii wyższości rasy ludzkiej, toteż ułożył ich odpowiedzi zgodnie ze swymi pojęciami o szacunku należnym Człowiekowi. Denerwowało to Flaswella, ale nie stać go było na kupno nowych taśm z odpowiedziami. A gdzież indziej dostałby roboty po tak niskiej cenie?

- Nic mi nie jest, Gunga-Sam - odparł Flaswell.

- Przepraszam bardzo, ale ośmielam się mieć inne zdanie, panie Flaswell, szefie. Pan mówił do

siebie będąc na polu, proszę mi wybaczyć, że o tym wspominam.

- E tam, to nic takiego.

- Ale pan ma początki tiku w lewym oku, sahibie. I ręce się panu trzęsą. I pije pan za dużo. L..

- Dosyć, Gunga-Sam! Robot winien znać swoje miejsce - skarcił go Flaswell. Zauważył jednak, że robot jest urażony, co w jakiś swoisty sposób odbiło się na jego metalowej twarzy.

Westchnąwszy dodał: - Oczywiście, masz rację. Ty zawsze masz rację, stary przyjacielu. Powiedz, co mi jest.

- Dźwiga pan na sobie zbyt wielkie brzemie Człowieka - Istoty Ludzkiej.

- Wiem o tym aż za dobrze! - Flaswell przesunął rękę po swojej czarnej, rozwichrzonej czuprynie. - Czasem zazdroszczę wam, robotom. Zawsze roześmiani, beztroscy, szczęśliwi...

- To dlatego, że nie mamy duszy.

- Niestety, ja ją posiadam. Co mi radzisz?

- Niech pan weźmie urlop, panie Flaswell, szefie doradził Gunga-Sam i kierując się rozsądkiem odszedł, aby jego pan mógł się nad tym zastanowić.

Flaswell doceniał życzliwą radę swego sługi, ale wyjazd na urlop napotykał wiele trudności.

Planetoida Los Szczęścia znajdowała się w trocyjjskim układzie gwiazdnym, w owych czasach jednym z najbardziej odosobnionych. Co prawda zaledwie piętnastodniowy lot dzielił Flaswella od niewybrednych rozrywek Cytery III, a niewiele dłuższy od Nagondikonu, gdzie ludzie o mocnych żołądkach mogli się dobrze zabawić. Ale odległość to pieniądze, a przecież właśnie nic innego jak pieniądze starał się zdobyć Flaswell na Losie Szczęścia.

Toteż Flaswell w dalszym ciągu powiększał swoje plantacje, wydobywał więcej toru i zapuszczał brodę. Niektóre z prostych, wiejskich robotów wpadały w popłoch, gdy Flaswell mijał je, zataczały się i wznosiły modły do boga spalinowego, którego kult od dawna był zakazany. Jednakże wierny Gunga-Sam wkrótce położył kres tym niebezpiecznym praktykom.

- Co z was za ciemne mechaniczne stwory - pouczał nadzorca robotów. Szef, Człowiek jest w porządku. On silny, on dobry! Wierzcie mi, bracia, że mówię prawdę.

Ale roboty nie przestawały szemrać, gdyż ich zdaniem Istoty Ludzkie powinny świecić przykładem. Sytuacji zapewne nie zdołano by opanować, gdyby Flaswell nie otrzymał wraz z następnym ładunkiem żywności nowego błyszczącego katalogu firmy Roebuck.

Flaswell pieczołowicie rozłożył katalog na prymitywnym plastikowym stole i przy świetle zwykłej zimnoświatlnej żarówki pograżył się w lekturze. Co za cuda tam były dla samotnego pioniera! Domowe destylatornie i wytwórnie księżyców, i przenośne solidowizje, i...

Flaswell odwrócił stronę, przeczytał, przełknął ślinę i przeczytał po raz drugi. Oto co tam było wydrukowane:

ŻONY ZA ZAMÓWIENIEM POCZTOWYM! Pionierzy, po co macie znosić mękę samotności? Po co macie dźwigać samotnie brzemień Istoty Ludzkiej? Firma Roebuck oferuje obecnie po raz pierwszy ograniczony wybór żon dla Ludzi żyjących samotnie na rubieżach cywilizacji!

Model żony pioniera z firmy Roebuck jest starannie wyselekcjonowany pod względem wytrzymałości, umiejętności przy stosowania się, zręczności, wytrzymałości, kwalifikacji pionierskich i oczywiście pewnej dozy urody. Dziewczęta nadają się na wszystkie planety, ponieważ mają stosunkowo nisko umieszczony środek ciężkości, skórę o odpowiednim pigmentcie na wszelkie klimaty oraz krótkie silne palce i paznokcie. Są dobrze zbudowane, choć kształty ich nie są zbyt pociągające. Cechę tę ciężko pracujący pionier powinien docenić.

Model pionierski firmy Roebuck dostarczany jest w trzech wymiarach według specyfikacji (patrz niżej), w zależności od wymagań. Po otrzymaniu zamówienia firma Roebuck zamrozi w sposób szybki wybrany modeli wyśle go zdalnie sterowanym transportowcem III klasy. W ten sposób obniżamy koszty przesyłki ekspresowej do absolutnego minimum.

Dlaczego nie miałby pan zamówić modelu żony pioniera jeszcze **DZISIAJ?**

Flaswell zawołał Gunga-Sama i pokazał mu ogłoszenie. Robot przeczytał w milczeniu, a potem spojrzał swemu panu prosto w oczy.

- Tego nam właśnie potrzeba, effendi - powiedział.

- Tak myślisz? - Flaswell wstał z krzesła i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. - Ale ja nie miałem zamiaru żenić się już teraz. Czyż można w ten sposób się żenić? Skąd ja mogę wiedzieć, czy ona mi się spodoba?

- Jest rzeczą właściwą, aby Człowiek Mężczyzna miał Człowieka Kobieta.

- Tak, ale...

- Zresztą, czy oni zamrażają w ten sam sposób duchownego i wysyłają go również?

Zastanawiając się nad wnikliwym pytaniem robota, Flaswell uśmiechnął się.

- Gunga-Sam, jak zwykle trafiłeś w sedno sprawy. Mam wrażenie, że ceremonia ślubna nie jest przewidziana, dopóki mężczyzna się na nią nie zdecyduje. Zamrożenie duchownego jest zbyt kosztowne. A swoją drogą przyjemnie byłoby przebywać w towarzystwie dziewczyny, która krzątałaby się przy swoich zajęciach.

Gunga-Samowi udało się przywołać tajemniczy uśmiech na metalowe oblicze.

Flaswell usiadł i wypisał zamówienie na model pionierski, żądając małego wymiaru, który i tak, jego zdaniem, sprawi mu wiele kłopotu. Następnie polecił Gunga-Samowi przekazać zamówienie drogą radiową.

Kilka następnych tygodni Flaswell przeżył w podnieceniu, wpatrując się niecierpliwie w niebo.

Nastrój oczekiwania udzielił się także robotom. Ich beztrioskie śpiewy i tańce wieczorne przeplatane były szeptami i cichym chichotem. Roboty bezustannie zamęczały Gunga-Sama pytaniami:

- Hej, nadzorco! Ta nowa Człowiek Kobieta, jak ona będzie wyglądać?

- To nie wasza rzecz - odpowiadał Gunga-Sam. - To sprawa Człowieka Mężczyzny, a wam,

robotom, nic do tego!

Wreszcie jednak on również zaczął obserwować niebo z takim samym przejęciem jak i inni.

W ciągu tych tygodni Flaswell medytował nad zaletami Kobiety Pionierki. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej podobała mu się ta myśl. Nie dla niego jakaś ładna, bezużyteczna, niezaradna, wymalowana kobietka! Jakby to było przyjemnie mieć u swego boku pogodną, rozsądną, praktyczną dziewczynę, która umiałaby gotować, pracować, ozdabiać mieszkanie, pilnować domowych robotów, szyć suknie, robić galaretki owocowe...

Tak oto marzył, zabijając czas i obgryzając paznokcie aż do krwi.

Wreszcie zdalnie sterowany transportowiec błyskawicznie przeciął horyzont, wylądował, wyrzucił za burtę dużą pakę i pomknął dalej w kierunku Amyry IV.

Roboty przyniosły przesyłkę Flaswellowi.

- Oto narzeczona, panie! - zawołały tryumfalnie, podrzucając w górę oliwiarki.

Flaswell natychmiast ogłosił pół dnia wolnego od pracy i wkrótce znalazł się w saloniku sam na sam z dużą zimną skrzynią opatrzoną napisem: "Ostrożnie! Kobieta wewnątrz!"

Nacisnął guziki odmrażające, odczekał przepisaną godzinę i otworzył skrzynię. Wewnątrz znajdowało się jeszcze jedno pudło, które należało odmrażać przez dalsze dwie godziny. Czekał niecierpliwie, chodząc tam i z powrotem po pokoju i gryząc resztki paznokci.

W końcu nadszedł upragniony moment. Drżącymi rękami Flaswell otworzył pokrywę i ujrzał...

- Hej, co to?! - krzyknął zaskoczony.

Dziewczyna leżąca w skrzyni mrugnęła powiekami, ziewnęła jak kotek, otworzyła oczy i usiadła.

Wpatrywali się w siebie w zdumieniu, aż wreszcie Flaswell zrozumiał, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka.

Dziewczyna miała na sobie piękną, ale niepraktyczną białą suknię, na której imię Sheila wyhaftowane było złotą nicią. Po chwili uwagę Flaswella zwróciła jej smukła postać, co

bynajmniej nie świadczyło o jej przydatności do ciężkiej pracy w warunkach panujących na odległych planetach. Skórę miała mlecznej białości, która na pewno pokryje się pęcherzami pod ostrymi promieniami letniego słońca planetoidy. Palce u rąk miała długie, wypielęgnowane, paznokcie czerwone - czyli wszystko całkowicie sprzeczne z tym, co obiecywała firma Roebuck. Natomiast nogi i inne części ciała byłyby, zdaniem Flaswella, mile widziane na Ziemi, ale nie tu, gdzie mężczyzna nie może odrywać się od swojej pracy.

Nawet nie można by o tej dziewczynie powiedzieć, że ma nisko umieszczony środek ciężkości.

Wprost przeciwnie. Flaswell uznał więc, nie bez podstaw, że go oszukano, wystrychnięto na dudka.

Sheila wyszła ze skrzyni, zbliżyła się do okna i ogarnęła wzrokiem kwitnące zielone pola

Flaswella oraz malownicze pasmo górskie widniejące w oddali.

- Ale gdzie są palmy? - spytała. - Palmy?

- No tak. Mówiono mi, że na Trinigarze V są palmy.

- To nie jest Trinigar V - odparł Flaswell.

- Czyż nie jest pan paszą na Trae? - wyjąkała Sheila.

- Skądże! Jestem pionierem. A czy pani jest modelem żony pioniera?

- Czy ja wyglądam na model żony pioniera? - rzuciła Sheila, a oczy jej zabłysły gniewem. -

Jestem modelem Ultra Deluxe i miałam się udać na subtropikalną planetę Trinigar V.

- Zostaliśmy oboje oszukani. W dziale ekspedycji musiała zajść pomyłka - ponuro stwierdził

Flaswell. Dziewczyna rozejrzała się po surowo urządzonej sypialni i grymas niezadowolenia

ukazał się na jej ładnej twarzyczce. - No cóż, przypuszczam, że pan może załatwić dla mnie

transport na Trinigar V.

- Nie mogę sobie pozwolić na przelot na Nagondikon - odpowiedział Flaswell. - Zawiadomię

firmę Roebuck o pomyłce. Na pewno załatwię przewiezienie pani wtedy, gdy wyślą mi model żony pioniera.

Sheila wzruszyła ramionami i powiedziała: - Podróże kształcą.

Flaswell skinął głową, rozmyślając intensywnie. Dziewczyna nie posiadała żadnych kwalifikacji pionierskich, to było oczywiste, odznaczała się za to niezwykłą urodą. Doszedł więc do wniosku, że pobyt jej mógłby okazać się przyjemny dla nich obojga.

- Ze względu na okoliczności - odezwał się z przytłumionym uśmiechem - powinniśmy zawrzeć przyjaźń.

- Ze względu na jakie okoliczności?

- Jesteśmy jedynymi Istotami Ludzkimi na tej planecie. - Flaswell lekko dotknął ręką jej ramienia. - Napijmy się czegoś. Proszę mi opowiedzieć wszystko o sobie. Czy pani...

W tym momencie usłyszał jakiś głośny stukot za swoimi plecami. Odwrócił się i ujrzał małego, przysadzistego robota wyłazącego z ciasnej przegródki skrzyni, w której przybyła Sheila.

- Czego chcesz? - zapytał Flaswell.

- Jestem robotem udzielającym ślubów - oznajmił mechanicznie przybysz - uprawnionym przez rząd do legalizowania związków małżeńskich zawieranych w przestrzeni kosmicznej. Ponadto firma Roebuck wyznaczyła mnie, abym działał jako opiekun i przyzwoitka młodej damy, póki nie nadejdzie czas spełnienia mej zasadniczej funkcji, czas dokonania ceremonii ślubnej.

- Przeklęty waśniak! - mruknął Flaswell.

- Czego się pan spodziewał? - spytała Sheila. Zamrożonego duchownego Człowieka?

- Pewno, że nie. Ale robot-pryzwoitka...

- Najlepszego gatunku - zapewniła Sheila. - Zdziwiłoby pana zachowanie niektórych mężczyzn, z chwilą gdy znajdą się w odległości kilku lat świetlnych od Ziemi.

- Czyżby? - wyraził powątpiewanie głęboko rozczarowany Flaswell.

- Tak mi mówiono - odpowiedziała Sheila, wstydliwie odwracając wzrok. - A zresztą przyszła żona paszy na Trae powinna mieć jakiegoś opiekuna.

- Najmilsi bracia - zaintonował robot - zebraliśmy się tutaj, aby połączyć...

- Nie teraz - przerwała mu wyniosłe Sheila - to nie o niego chodzi.

- Każę robotom przygotować pokój dla pani - burknął Flaswell i wyszedł z pokoju mamrocząc o brzemieniu Człowieka - Istoty Ludzkiej.

Po chwili nawiązał łączność radiową z firmą Roebuck i dowiedział się, że właściwy model żony zostanie natychmiast wysłany, a intruz przetransportowany będzie gdzie indziej. Po czym powrócił do zajęć gospodarskich, powziąwszy mocne postanowienie ignorowania Sheili i jej robota-pryzwoitki.

Prace na Losie Szczęścia ruszyły dawnym trybem. Tor czekał na wydobywanie, nowe studnie na wykopanie. Zbliżała się pora żniw i roboty pracowały przez długie godziny na kwitnących, zielonych polach, a ich uczciwe metalowe twarze lśniły smarem. Powietrze nasycone było zapachem kwitnących dyrów.

Obecność Sheili na planetoidzie dawała się na każdym kroku odczuć. Wkrótce pojawiły się plastikowe abażury na zimnoświatlnych żarówkach, kotary na oknach i dywaniki na podłodze.

Nastąpiło również wiele innych zmian w domu, które Flaswell raczej wyczuł niż zauważył.

Jedzenie także się zmieniło. Taśma pamięciowa robota-kucharza wytarła się już w tak wielu miejscach, że biedny mechaniczny stwór pamiętał tylko, jak się robi "Boeuf Strogonoff", mizerię, budyń ryżowy i kakao.

Flaswell wykazywał dużo samozaparcia, jedząc te dania od chwili przyjazdu na Los Szczęścia i tylko urozmaicając je od czasu do czasu żelaznymi racjami.

Sheila wzięła w obroty robota-kucharza. Cierpliwie nagrywała na jego taśmę pamięciową przepisy na duszoną wołowinę, przyprawianą sałatę, szarlotkę i wiele innych przysmaków.

Sytuacja jedzeniowa na Losie Szczęścia wyraźnie zaczęła się poprawiać.

Ale gdy Sheila zrobiła galaretkę z kisów i włożyła ją do słoików, Flaswella zaczęły ogarniać

poważne wątpliwości. Mimo wszystko była to nadzwyczaj praktyczna młoda kobieta, wbrew swemu luksusowemu wyglądowi. Umiała robić to wszystko, co powinna umieć żona pioniera. Miała też i inne zalety. Po co mu potrzebny przepisowy model żony pioniera firmy Roebuck? Po dłuższym zastanowieniu Flaswell wyznał swemu nadzorcy:

- Gunga-Sam, jestem w rozterce.
- Słucham? - powiedział robot, a jego metalowa twarz pozostała obojętna.
- Myślę, że intuicja robota może mi pomóc. Ona sobie doskonale daje radę, prawda, Gunga-Sam?
- Człowiek Kobieta pomaga dźwigać brzemień Osobie Ludzkiej.
- Z całą pewnością. Ale czy to tak może trwać? Ona robi tyle, co zrobiłaby żona pioniera. Gotuje, robi konserwy...
- Robotnicy kochają ją - powiedział Gunga-Sam z godnością. - Pan nie wiedział o tym, panie szefie, ale gdy w ubiegłym tygodniu wybuchła ta epidemia rdzy, Człowiek Kobieta pracowała niestrudzenie dzień i noc, przynosząc ulgę chorym i pocieszając przestraszone młode roboty.
- Ona to wszystko robiła? - wykrztusił przejęty Flaswell. - Dziewczyna z takiego otoczenia, model luksusowy...
- To nie ma znaczenia. Model Ultra Deluxe jest Człowiekiem, posiada więc siłę i szlachetność, aby wziąć na swoje barki brzemień Istoty Ludzkiej.
- Wiesz - powoli zaczął Flaswell - to mnie przekonało. Uważam, że da sobie radę. To nie jej wina, że nie jest modelem pionierskim. Jest to kwestia selekcji i przystosowania do warunków, a tego nie da się zmienić. Powiem jej, że może pozostać. A potem odwołam to drugie zamówienie. W oczach robota pojawił się dziwny wyraz, był to niemal wyraz rozbawienia. Ukłonił się nisko i powiedział:
- Będzie tak, jak sobie mój pan życzy.

Flaswell pośpiesznie ruszył na poszukiwanie Sheili. Sheila przebywała w izbie chorych

przerobionej ze starego składu na narzędzia. Przy pomocy robota naprawiała uszkodzenia, jakie przytrafiają się stworom o metalowej powłoce.

- Sheila - powiedział Flaswell - chcę z tobą pomówić. - Dobrze - odparła z roztargnieniem - jak tylko przykręcę tę śrubę.

Zręcznie przykręciła ją i poklepała robota kluczem.

- W porządku, Pedro - powiedziała - spróbuj stanąć teraz na tej nodze.

Robot wstał ostrożnie, przeniósł ciężar ciała na naprawioną nogę i przekonał się, że jest dobrze przymocowana. W śmiesznych podskokach zaczął biegać dookoła Człowieka Kobiety mówiąc:

- Jak świetnie mnie pani naprawiła, szefowo! Gracias, jaśnie pani.

Flaswell i Sheila przyglądali się robotowi ubawieni, podczas gdy on podążył tanecznym krokiem na zalane słońcem podwórze.

- Zachowują się jak dzieci - zauważył Flaswell.

- Nie można ich nie kochać - powiedziała Sheila. Są tacy szczęśliwi, beztroscy...

- Ale nie mają duszy - przypomniał jej Flaswell.

- Rzeczywiście - potwierdziła Sheila. - Co miałeś mi do powiedzenia?

- Chciałem ci powiedzieć... - Flaswell przerwał rozglądając się dookoła. Izba chorych była pomieszczeniem antyseptycznym, wypełnionym kluczami, śrubokrętami, piłami do metali, młotami i innymi medycznymi narzędziami. Nie tworzyło to właściwej atmosfery do zamierzonych oświadczeń.

- Chodź ze mną - powiedział.

Opuścili szpitalik i szli przez kwitnące zielone pola, aż znaleźli się u stóp malowniczych gór. W cieniu urwistych skał kryło się mroczne jezioro, nad którym splotły się konary olbrzymich drzew wyhodowanych przez Flaswella. Tu się zatrzymali.

- Chciałem ci powiedzieć - zaczął Flaswell - żeś mnie całkowicie zaskoczyła, Sheilo. Myślałem,

że będziesz pasożytem, beзуżyteczną osobą. Twoje pochodzenie, twoje wychowanie, twój wygląd, wszystko to potwierdzało moje przypuszczenia. Ale byłem w błędzie. Stawiłaś czoło pionierskiemu otoczeniu, podbiłaś je i zdobyłaś serca wszystkich.

-Wszystkich? - cicho spytała Sheila.

- Sądzę, że mogę mówić za wszystkie roboty na tej planetoidzie. One cię ubóstwiają. Myślę, że twoje miejsce jest tutaj, Sheilo.

Dziewczyna przez dłuższy czas milczała, a wiatr szumiał wśród gałęzi olbrzymich drzew i marszczył czarną taflę jeziora.

Wreszcie odezwała się:

- Sądziś, że moje miejsce jest tutaj?

Flaswell poczuł, że oszałamia go jej niezwykła uroda, że gubi się w topazowych toniach jej oczu.

Oddech jego stał się przyśpieszony, dotknął ręki Sheili, a jej dłoń odwzajemniła uścisk.

- Sheila...

- Tak, Edwardzie...

- Najmilsi bracia - rozległ się nagle piskliwy głos - zebraliśmy się tutaj...

- Nie teraz, ty idioto! - krzyknęła Sheila.

Robot udzielający ślubów zbliżył się i powiedział obrażonym tonem:

- Chociaż bardzo nie lubię wtrącać się do spraw Istot Ludzkich, nagrane na taśmie instrukcje zmuszają mnie do tego. W moim pojęciu kontakt fizyczny nie ma żadnego znaczenia. Kiedyś, tytułem próby, chwyciłem w objęcia robota-szwaczkę. Jedyнным doznaniem, jakie z tego wyniosłem, było uszkodzenie ciała. Pewnego razu wydawało mi się, że odczuwam coś, jakby elektryczny prąd, który przeszywa mnie na wskroś i każe myśleć o powoli zmieniających się geometrycznych figurach. Ale po zbadaniu siebie zobaczyłem, że rozizolował się jeden z ośrodków dyspozycyjnych. Dlatego też emocja ta była nieistotna.

- Przeklęty ważniak - mruknął Flaswell.

- Proszę wybaczyć, że nasunęło mi się takie przypuszczenie. Staralem się jedynie wytłumaczyć, że dla mnie instrukcje te są niezrozumiałe, gdyż każą mi zapobiegać wszelkim kontaktom fizycznym, dopóki nie odbędzie się ceremonia ślubna. Ale tak się to przedstawia i takie są moje rozkazy. Czy mogę teraz rozpocząć ceremonię?

- Nie - powiedziała Sheila.

Robot wzruszył ramionami dając za wygraną i skrył się w zaroślach.

- Nie znoszę robotów, które sobie za wiele pozwalają odezwał się Flaswell. - Ale zgadzam się.

- Na co?

- Tak - stanowczo powiedział Flaswell. - Nie ustępujesz w niczym modelowi pionierskiemu, a jesteś o wiele ładniejsza. Sheila, czy wyjdiesz za mnie?

Robot, który kręcił się w pobliskich zaroślach, żwawo ruszył w stronę rozmawiającej pary.

- Nie - odpowiedziała Sheila.

- Nie? - powtórzył niedowierzająco Flaswell.

- Słyszałeś! Nie! Stanowczo nie!

- Ale dlaczego? Pasujesz tu doskonale, Sheilo. Roboty cię ubóstwiają. Nigdy tak dobrze nie pracowały...

- Twoje roboty nic mnie nie obchodzą - odparła prostując się. Włosy miała zwichrzone, oczy miały błyskawice. - Twoja planetoida też nic mnie nie obchodzi. I ty mnie nic nie obchodzisz.

Polecę na Trinigar V, gdzie będę rozpieszczaną żoną paszy na Trae!

Wpatrywali się w siebie, Sheila blada z gniewu, Flaswell czerwony ze wstydu.

- Czy mogę rozpocząć ceremonię? - nagle odezwał się robot. - Najmilsi bracia...

Sheila odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu. - Nic nie rozumiem - żałośnie

powiedział robot. - To wszystko jest takie zadziwiające. Kiedy wreszcie odbędzie się ceremonia?

- Wcale - odparł Flaswell i ruszył ku domowi kipiąc ze wściekłości.

Po chwili wahania robot westchnął metalicznie i pośpieszył za modelem żony Ultra Deluxe.

Całą noc Flaswell przesiedział w swoim pokoju, pijąc na umór i mamrocząc do siebie. O brzasku wierny Gunga-Sam zastukał do drzwi i wśliznął się do pokoju.

- Kobiety! - warknął Flaswell.

- Słucham? - powiedział Gunga-Sam.

- Nigdy ich nie zrozumiem. Ona mnie zwodziła. Myślałem, że chce tu zostać. Myślałem...

- Umysł Człowieka Mężczyzny jest mroczny i tajemniczy - orzekł Gunga-Sam - ale w porównaniu z umysłem Człowieka Kobiety jest przejrzysty jak kryształ.

- Skąd to wzięłeś?

- To stare przysłowie robotów.

- Ach, wy roboty! Czasami zastanawiam się, czy wy aby nie macie duszy?

- O nie, panie Flaswell, szefie. Na naszych schematach konstrukcyjnych wyraźnie jest zaznaczone, że roboty mają być zmontowane bez duszy, aby oszczędzić nam udreki.

- Bardzo mądra klauzula - powiedział Flaswell. Należałoby ją rozszerzyć również i na Istoty Ludzkie. Trudno, niech Sheilę diabli wezmą! Czego chcesz?

- Przyszedłem powiedzieć, że ląduje transportowiec. Flaswell zbladł.

- Tak prędko! A więc przywozi mi moją nową żonę. - Niewątpliwie.

- I zabierze Sheilę na Trinigar V?

Flaswell jęknął i chwycił się za głowę. Po chwili wyprostował się i rzekł:

- Dobrze, dobrze. Zobaczę, czy jest gotowa.

Znalazł Sheilę w saloniku przyglądającą się spiralnemu lotowi transportowca.

- Życzę ci dużo szczęścia, Edwardzie - odezwała się. - Mam nadzieję, że twoja nowa żona spełni wszystkie twoje oczekiwania.

Transportowiec wyładował. Roboty zaczęły wyładowywać wielką skrzynię.

- Już muszę iść - powiedziała Sheila. - Oni nie będą czekać.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Flaswell ujął jej dłoń, uściśnął, a po chwili już trzymał Sheilę za ramię. Dziewczyna nie stawiała oporu ani też robot udzielający ślubów nie wtargnął do pokoju. Nagle Sheila znalazła się w objęciach Flaswella. Pocałował ją i poczuł się podobnie, jak jakieś małe słońce przechodzące przez fazę gwiazdy Nowa.

- Ha! - powiedziała wreszcie Sheila niezbyt pewnym głosem.

Flaswell chrząknął dwukrotnie.

- Kocham cię, Sheilo. Nie mogę ci ofiarować tu luksusowego życia, ale gdybyś zechciała zostać...

- Najwyższy czas, abyś przekonał się, że mnie kochasz, głuptasie! Oczywiście, że zostaję!

Kilka następnych minut minęło w oszalamiającym upojeniu. Nastrój ten zakłóciły w końcu głośne okrzyki robotów rozlegające się na podwórzu. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł robot udzielający ślubów, a za nim Gunga-Sam i dwóch mechanicznych parobków.

- Doprawdy! - powiedział robot udzielający ślubów. - To nie do wiary! Że też dożyłem dnia, w którym robot powstał przeciwko robotowi!

- Co się stało? - zapytał Flaswell.

- Ten pański nadzorca siedział na mnie - powiedział oburzony robot - podczas gdy jego kumple trzymali mnie za ręce i nogi. Ja tylko chciałem wejść do tego pokoju i spełnić mój obowiązek zlecony mi przez rząd i firmę Roebuck.

- Ależ, Gunga-Sam! - powiedział, uśmiechając się, Flaswell.

Robot udzielający ślubów podszedł do Sheili i zapytał: - Czy pani aby nie jest uszkodzona?

Jakieś wręby? Jakieś krótkie spięcia?

- Nie wydaje mi się - odparła zadyszana Sheila.

- To wyłącznie moja wina, panie szefie - odezwał się Gunga-Sam. - Ale wszyscy wiedzą, że Człowiek Mężczyzna i Człowiek Kobieta potrzebują samotności w czasie zalotów. Zrobiłem jedynie to, co uważałem za swój obowiązek wobec Rasy Ludzkiej w tym względzie, panie Flaswell, szefie, sahibie.
- Doskonale się spisałeś, Gunga-Sam - powiedział Flaswell. - Jestem ci bardzo wdzięczny i... o Boże!
- O co chodzi? - spytała zaniepokojona Sheila. Flaswell wpatrywał się w okno. Roboty-parobki niosły wielką skrzynię w stronę domu.
- Model pionierski! - powiedział Flaswell. - Co my zrobimy, kochanie? Odwołałem ciebie, a zamówiłem tę drugą. Czy sądzisz, że możemy zerwać kontrakt?
- Sheila roześmiała się.
- Nie martw się. W tej skrzyni nie ma modelu pionierskiego. Twoje zamówienie zostało unieważnione zaraz po nadejściu.
- Unieważnione?
- Tak. - Sheila spuściła oczy zawstydzona. - Znienawidzisz mnie za to...
- Na pewno nie - przyrzekł Flaswell. - Co to wszystko znaczy?
- Więc słuchaj, w rejestrze firmy Roebuck znajdują się fotografie pionierów i kandydatki na żony mogą zobaczyć, kogo dostają za męża. Dziewczęta mają prawo wyboru, a ja tak długo obijałam się w tej firmie nie mogąc uzyskać obniżenia mojej Ultra Deluxe kategorii, że... że zawarłam porozumienie z kierownikiem działu zamówień. I zostałam tu przysłana - szybko wyrzuciła z siebie.
- A pasza na Trae? - Zmyśliłam go.
- Ale dlaczego? - zapytał zdziwiony Flaswell. - Jesteś taka ładna...
- ...że każdy uważa mnie za zabawkę dla jakiegoś zepsutego, opasłego głupca - dokończyła

wzburzona. - Ja nie chcę być zabawką. Chcę być żoną! Jestem równie dobrą gospodynią jak jakaś krępa; brzydka baba.

- O wiele lepszą.

- Umieję gotować i leczyć roboty i jestem praktyczna, prawda? Czyż tego nie dowiodłam?

- Oczywiście, moja droga. Sheila zaczęła płakać.

- Ale nikt w to nie wierzył, więc musiałam podstępnie pozostać tu tak długo... dopóki mnie nie pokochałeś.

- I tak się właśnie stało - powiedział Flaswell ocierając jej łzy. - Wszystko ułożyło się jak najlepiej. To był szczęśliwy przypadek.

Metalowa twarz Gunga-Sama pokryła się czymś podobnym do rumieńca.

- Czyż to nie był przypadek?! - wykrzyknął Flaswell.

- Efendi, panie szefie, przecież wiadomo, że Człowiek Mężczyzna potrzebuje ładnej Człowieka Kobiety. Model pionierski opisany był dość surowo, a memsahib Sheila jest córką przyjaciela mego poprzedniego pana. Więc pozwoliłem sobie przesłać zamówienie wprost do niej. Memsahib poprosiła swego znajomego w dziale zamówień, aby pokazał jej pańską fotografię, a potem wysłał tutaj. Mam nadzieję, że pan nie gniewa się na pokornego sługę za nieposłuszeństwo.

- No niech mnie diabli wezmą - wreszcie zdołał wydobyć głos Flaswell. - Zawsze mówiłem, że wy, roboty, lepiej rozumiecie Istoty Ludzkie niż ktokolwiek inny. Ale co zawiera ta skrzynia?

- Moje suknie, klejnoty, pantofle, kosmetyki, przyrząd do układania włosów...

- Ależ...

- Chyba zależy ci na tym, abym ładnie wyglądała, kiedy będziemy jeździć w gości - powiedziała Sheila. - Przecież Cytera III znajduje się zaledwie w odległości piętnastu dni. Sprawdziłam to, zanim tu przyjechałam.

Flaswell skinął głową zrezygnowany. Należało się czegoś podobnego spodziewać po modelu

Ultra Deluxe.

- Zaczynaj - zwróciła się Sheila do robota udzielającego ślubów.

Robot milczał.

- Jazda! - krzyknął Flaswell.

- Czy aby na pewno? - zapytał robot obrażonym tonem.

- Tak. Zaczynaj!

- Nic nie rozumiem. Dlaczego teraz? Dlaczego nie w ubiegłym tygodniu? Czy ja jestem jedyną normalną istotą tutaj? Mniejsza o to. Najmilsi bracia...

I ceremonia ślubna wreszcie się odbyła. Flaswell ogłosił trzy dni wolne od pracy, a roboty śpiewały, tańczyły i świętowały na swój beztroski sposób.

Od tej pory życie zmieniło się na Losie Szczęścia. Flaswellowie nawiązali stosunki towarzyskie, jeździli z wizytami i przyjmowali u siebie inne pary małżeńskie mieszkające w odległości piętnastu czy dwudziestu dni na Cyterze III, Thamie i Randiko I. Ale przez pozostały czas Sheila spełniała bez zarzutu obowiązki żony pioniera, ubóstwiana przez męża i kochana przez roboty. Zgodnie ze swymi instrukcjami robot udzielający ślubów pozostał u nich w charakterze rachmistrza i księgowego, do których to zajęć miał wyjątkowo nadającą się umysłowość. Często mawiał, że tylko dzięki niemu na Losie Szczęścia nie panował bałagan.

A roboty nadal wydobywały tor z ziemi. Dyry, ilgi i kisy kwitły zapowiadając bogaty plon owoców. Flaswell i Sheila wspólnie dźwigali na swoich barkach brzemień Człowieka Istoty Ludzkiej.

Flaswell zawsze głośno wychwalał korzyści kupowania w firmie Roebuck, ale Sheila zdawała sobie sprawę, że prawdziwą korzyścią było posiadanie takiego nadzorcy jak wierny, pozbawiony duszy Gunga-Sam.

przekład : Eleonora Romanowicz